

Przemysław Paweł Grzybowski

# Śmiech

## Z edukacji



**KOMICZNY OBRAZ EDUKACJI  
w polskiej kulturze śmiechu**

**Tom 2**  
**Cytaty, przykłady i komentarze**

Monografia *Śmiech z edukacji. Komiczny obraz edukacji w polskiej kulturze śmiechu* zawiera charakterystykę polskiej kultury śmiechu pod kątem występowania w niej wątków dotyczących edukacji – szczególnie szkoły i systemu oświaty.

Na tom pierwszy składa się wprowadzenie teoretyczne na temat kultury śmiechu, komizmu, wspólnot śmiechu i wspólnot nienawiści; analizy dotyczące kultury ludowej i popularnej jako źródeł komicznych motywów i wzorców osobowych w literaturze; charakterystyki działalności pionierów literackiego śmiechu z edukacji; uwagi o komicznych wzorach osobowych występujących m.in. w kulturze śmiechu PRL oraz twórczości teatralnej, estradowej, radiowej i telewizyjnej. Część analityczną wieńczy przegląd badań polskich pedagogów zajmujących się zjawiskiem śmiechu w kulturze szkoły, charakterystyka komicznych zjawisk w akademickiej kulturze śmiechu oraz analiza tekstów zawartych w drugim tomie. Tom drugi jest załączony na płycie CD. Zawiera chronologiczne zestawienie ponad 700 przykładów komicznych utworów dotyczących edukacji z lat 1496–2017. Jest to pierwsze w Polsce opracowanie tego rodzaju.

To publikacja, która powinna być lekturą obowiązkową dla młodszych – by mogli przekonać się, jak zmieniała się szkoła i losy jej uczestników poprzez pryzmat śmiechu, dla ludzi dobrze pamiętających i ciepło wspominających szkołę, by mogli sentymentalnie do niej się uśmiechnąć, jak i dla tych, którzy chodzić do szkoły nie lubili, by patrząc na nią z perspektywy uśmiechu spróbowali zmienić swoją optykę – odnajdując i we własnych wspomnieniach to, co budzi śmiech – wszak ma on w sobie moc terapeutyczną. [...] Publikacja ma nie tylko wartość dla potencjalnych badaczy, którzy chcieliby się zająć problematyką śmiechu z edukacji. Zgromadzone materiały to gotowe teksty do wykorzystania w szkole – budowania spektakli kabaretowych, podstawy rozmów na godzinach wychowawczych, historycznego czy językowego odtwarzania/budowania wizerunku szkoły, nauczycieli i uczniów. [...] Czy mamy prawo i czy możemy śmiać się z edukacji? Czy warto takie teksty popularyzować, udostępniać szerokiej rzeszy Czytelników? Z całą pewnością tak. Powinniśmy wręcz zachęcać szczególnie młode pokolenie do patrzenia na szkołę z takiej właśnie perspektywy, burzącej sztywne ramy tradycyjnego spostrzegania jej jako instytucji fasadowej, nieprzystępnej, konserwatywnej i budzącej tak niekorzystne emocje, jak lęk, strach czy stres. Czas zacząć myśleć o szkole z uśmiechem.

*Z recenzji dr hab. Anny Szafrąńskiej, prof. UŚ*

Prof. UKW dr hab. **Przemysław Paweł Grzybowski** – wykładowca w Katedrze Pedagogiki Ogólnej i Porównawczej Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Interesują go zagadnienia związane z edukacją międzykulturową; edukacją w środowiskach defaworyzowanych; tanatopedagogiką (edukacją dotyczącą cierpienia, chorowania i umierania), a także śmiech jako czynnik edukacji i poprawiania jakości życia. Koordynator „Międzyszkolnika” Forum Młodych Pedagogów przy Komitecie Nauk Pedagogicznych PAN; opiekun Akademickiego Centrum Wolontariatu UKW; esperantysta i wolontariusz ruchu doktorów klaunów. Autor licznych publikacji na temat edukacji międzykulturowej i zjawiska śmiechu w różnych kontekstach. Strona internetowa: [www.grzybowski.ukw.edu.pl](http://www.grzybowski.ukw.edu.pl)



ISBN 978-83-8018-504-3

**Przemysław Paweł Grzybowski**

# **ŚMIECH Z EDUKACJI**

**KOMICZNY OBRAZ EDUKACJI  
W POLSKIEJ KULTURZE ŚMIECHU**

Tom 2

**CYTATY, PRZYKŁADY I KOMENTARZE**



Bydgoszcz 2022

*Komitet Redakcyjny*

Jarosław Burczyk (przewodniczący), Grzegorz Domek, Ewa Filipiak  
Marek Kurkiewicz, Jolanta Mędelńska-Guz, Krystian Obolewski  
Katarzyna Sokołowska, Ireneusz Skowron (sekretarz)

*Recenzja*

Anna Szafrńska (Uniwersytet Śląski)

*Redakcja*

Sylwia Białobłocka

*Projekt okładki*

Art Studio

*Opracowanie typograficzne*

Anna Mreła | Art Studio

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego  
Bydgoszcz 2022

Utwór nie może być powielany i rozpowszechniany w całości ani we fragmentach  
bez pisemnej zgody posiadacza praw autorskich

ISBN 978-83-8018-504-3

Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego  
(Członek Polskiej Izby Książki)

Redakcja: 85-074 Bydgoszcz, ul. Karola Szymanowskiego 3

tel. 52 32 66 479, e-mail: [wydaw@ukw.edu.pl](mailto:wydaw@ukw.edu.pl)

<https://wydawnictwo.ukw.edu.pl>

Rozpowszechnianie: tel. 52 32 36 730, e-mail: [piotr.krawczak@ukw.edu.pl](mailto:piotr.krawczak@ukw.edu.pl)

Druk: Drukarnia Cyfrowa UKW

tel. 52 32 36 702, e-mail: [poligrafia@ukw.edu.pl](mailto:poligrafia@ukw.edu.pl)

## Spis treści

Wstęp .....	29
Przykład 1. Z roku 1496. Fraszka z zapisków Ambrożego Pępowskiego (1496) .....	32
Przykład 2. Mikołaj Rej – Co ze trzech jaj siedm uczynił (1562) .....	32
Przykład 3. Mikołaj Rej – Żacy, co kawki na zwonicy zbierali (1562) .....	33
Przykład 4. Mikołaj Rej – Żacy, co półgroszki działali (1562) .....	33
Przykład 5. Anonim – Pater, Magister et Filius (1579–1620?) .....	33
Przykład 6. Jan Kochanowski – O kaznodziei (1584) .....	43
Przykład 7. Jan Krajewski – O studencie chorym (XVI–XVII w.) .....	44
Przykład 8. Anonim – Komedycja o Wawrzku do szkoły i ze szkoły (1612) .....	44
Przykład 9. Adam Władysławiusz – Przygody i sprawy trefne ludzi stanu wszelakiego. Fragmenty (1613) .....	52
Przykład 10. Jan z Kijan – Delicje szkolne (1614) .....	53
Przykład 11. Jan z Kijan – Przypowieść: pełna szkoła żaków (1614) .....	55
Przykład 12. Jan z Kijan – Rekreacja szkolna (1614) .....	55
Przykład 13. Anonim – O chłopie, co go ksiądz nauczał, co jest święta Trójca (1624?) .....	56
Przykład 14. Anonim – O chłopie, co syna do szkoły wiózł (1624?) .....	56
Przykład 15. Anonim – O mistrzu, co dyscypułów nie miał (1614?) .....	57
Przykład 16. Anonim – O sołtysie, co syn jego studował (1624?) .....	57
Przykład 17. Anonim – Szkolna mizeria w dialog zebrana, w której się zamykają wszystkie uciechy i rozkoszy (których nie masz) szkolne, także pokazuje, jakie wzgardy tych nauk, które najpierwej do Boga i znajomości jego prowadzą. Fragmenty (1633?) .....	58
Przykład 18. Anonim – Dobrze mówiący, źle zrozumiany (1650) .....	69
Przykład 19. Krzysztof Opaliński – Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzi (1650?) .....	69
Przykład 20. Wacław Potocki – Gniew na dzieci (1677–1694) .....	74
Przykład 21. Wacław Potocki – Jaje niż oko (1677–1694) .....	74
Przykład 22. Wacław Potocki – Pleban uczy teologii (1677–1694) .....	75
Przykład 23. Stanisław Jan Niewieski – Na nieuka (1695?) .....	75
Przykład 24. Anonim – Nagrobek bakałarzowi (XVII w.) .....	75
Przykład 25. Anonim – Nagrobek nauczycielowi i razem organiście (XVII w.) .....	76
Przykład 26. Anonim – Na chwalącego się żaka (XVII w.) .....	76
Przykład 27. Anonim – Nagrobek studentowi XVII. wieku (XVII w.) .....	76
Przykład 28. Anonim – Silva rerum. Fragmenty rękopisu (lata 40. XVIII w.) .....	76
Przykład 29. Adrian Krzywogębski – Chłopiec wyćwiczony (1759) .....	77

Przykład 30. Gracjan Józef Piotrowski – Na człowieka wszystko umięjącego, naturalnie bez uczenia się (1773) . . . . .	81
Przykład 31. Gracjan Józef Piotrowski – Na grubiaństwo, pochodzące z domowej złej edukacji (1773) . . . . .	86
Przykład 32. Gracjan Józef Piotrowski – Na uczących prywatnie młóódz polską ludzi przychodniów z cudzych krajów bez egzaminu: jakiejby religii i doskonałósci byli (1773) . . . . .	94
Przykład 33. Ignacy Krasicki – Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Fragmenty księgi pierwszej (1776) . . . . .	100
Przykład 34. Ignacy Krasicki – Derwisz i uczeń (1779) . . . . .	101
Przykład 35. Ignacy Krasicki – Syn i ojciec (1779) . . . . .	101
Przykład 36. Wincenty Marewicz – Do nauczycielów (1788?) . . . . .	102
Przykład 37. Józef Legowicz – Młóódz szkolna utęskniona do Miesiáca Augusta (1797) . . . . .	102
Przykład 38. Józef Legowicz – Na studenta leniwego (1797) . . . . .	103
Przykład 39. Adam Łabęcki – Na dom poprawy (1800?) . . . . .	103
Przykład 40. Anonim – Do pewnego literata (ok. 1800–1840) . . . . .	103
Przykład 41. Anonim – Nagrobek Żydkowi (ok. 1800–1840) . . . . .	103
Przykład 42. Andrzej Brodziński – Świat oświecony (1807) . . . . .	104
Przykład 43. Anonim – Katechizm francuski w czasach zaburzeń narodowych ogłoszony. Fragment (1812?) . . . . .	104
Przykład 44. Łopaciński (Jędrzej Śniadecki?) – Dalszy ciąg podróży Szweczuńscymsa. Fragmenty o edukacji (1820) . . . . .	105
Przykład 45. Łopaciński (Jędrzej Śniadecki?) – Dalszy ciąg podróży Szweczuńscymsa. Fragmenty o edukacji dziewcząt (1820) . . . . .	106
Przykład 46. Zefiryna (Jędrzej Śniadecki?) – Ogłósenie o nowej pensji dla panien (1820) . . . . .	109
Przykład 47. Anonim – O przymnożeniu swobód i wolności żydkom naszym. Fragmenty (1821) . . . . .	111
Przykład 48. Franciszek Hempel – Pani Trzepiotalska (1822?) . . . . .	112
Przykład 49. Aleksander Żólkowski – Momus. Fragmenty (1829?) . . . . .	113
Przykład 50. Alojzy Gonzaga Fortunat Żólkowski – Świeca ciemnogrodzka (1829?) . . . . .	113
Przykład 51. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa – Anekdoty. Prawdziwie o dzieciach (1833?) . . . . .	113
Przykład 52. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa – Troskliwość zbyteczna (1833?) . . . . .	114
Przykład 53. Józef Ignacy Kraszewski – Szuflada i głowa (1843) . . . . .	115
Przykład 54. Gustaw Gizewiusz – Ucz się bracie, po niemiecku... (1844) . . . . .	115
Przykład 55. Tomasz August Olizarowski – *** (1852?) . . . . .	116
Przykład 56. Władysław Syrokomla – Epilog życia (1853?) . . . . .	116
Przykład 57. Józef Symeon Bogucki – Czy może sowa urodzić sokoła? (1855) . . . . .	116
Przykład 58. Soter R. Rozbicki – Stodoła i ksiądz prefekt (1856) . . . . .	120
Przykład 59. Grzegorz Rozumiłowski – Pisma humorystyczne. Fragmenty (1856) . . . . .	120
Przykład 60. Artur Bartels – Vox populi vox Dei. Fragmenty (1859) . . . . .	122
Przykład 61. Franciszek Sokoł Szahin – O filozofie i chłopie (1859) . . . . .	123
Przykład 62. Wołody Skiba (Władysław Sabowski) – Szkoła. Fragmenty (1863) . . . . .	123

Przykład 63.	Józef Jakubowski – Pacanów, gdzie kozy kują (1865) . . . . .	131
Przykład 64.	Sadok Barącz – Gandziaboross. Fragmenty (1866) . . . . .	132
Przykład 65.	Anonim – Zgubne skutki oświaty. Spowiedź diabła z satyry galicyjskiej (1871) . . . . .	133
Przykład 66.	Marian Bałucki – Na łonie natury. Fragmenty (1871) . . . . .	134
Przykład 67.	Anonim – Nauczyciel wiejski i wilki. Bajka z satyry galicyjskiej (1872) . . .	136
Przykład 68.	Ignacy Danielewski – Chłopiec szewski w terminie (1873) . . . . .	137
Przykład 69.	Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) – Przyszłość prelegentów (1873) . . . . .	137
Przykład 70.	Anonim – Talia kart (1874) . . . . .	140
Przykład 71.	Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) – Na prowincji. W pokoju dziecięcym (1875) . . . . .	142
Przykład 72.	Norbert Bonczyk – Stary Kościół Miechowski. Fragmenty (1879) . . . . .	143
Przykład 73.	Franciszek Ksawery Tuczyński – Kasper Pokraka sowizdrzał polski. Fragmenty (1879) . . . . .	149
Przykład 74.	Ex-bocian (Faustyn Świdorski) – Wyborne skutki edukacji (1882) . . . . .	151
Przykład 75.	Lucjan Siemieński – Oryginalność (przed 1887) . . . . .	152
Przykład 76.	Anonim – Wolna wola (1889) . . . . .	152
Przykład 77.	Władysław Buchner (Ner. Buch) – Program zabawy, urządzonej dla uczennic przez przełożoną pensji, połączony z kolacyjnym menu (1889) . . . . .	152
Przykład 78.	Anonim – Dziwak (1890?) . . . . .	153
Przykład 79.	Anonim – Mądry student i głupi pan (1890?) . . . . .	153
Przykład 80.	Anonim – Skutki wychowania (1890?) . . . . .	154
Przykład 81.	Powój – Abecadło (1890?) . . . . .	155
Przykład 82.	Anonim – Najtańsza szkoła (1891?) . . . . .	156
Przykład 83.	Anonim – Kwestia pedagogiczna (1897) . . . . .	156
Przykład 84.	Adolf Nowaczyński – Małpie zwierciadło. Fragmenty (1897–1904) . . . . .	157
Przykład 85.	Adam Asnyk – Uczeni (1898) . . . . .	158
Przykład 86.	Włodzimierz Zagórski – Marcus Tullius Maruda. Fragmenty (1900) . . . . .	158
Przykład 87.	Anonim – *** (1900–1935?) . . . . .	160
Przykład 88.	Franciszek Reinstein – Lekcja francuskiego (1902) . . . . .	160
Przykład 89.	Franciszek Reinstein – Stanowisko studenta w życiu towarzyskiem (1902) . . . . .	162
Przykład 90.	Adolf Nowaczyński – Facecje sowizdrzalskie. Fragmenty (1903) . . . . .	164
Przykład 91.	Adolf Nowaczyński – Skotopaski sowizdrzalskie. Fragmenty (1904) . . . . .	164
Przykład 92.	Kazimierz Bartoszewicz – Słownik prawdy i zdrowego rozsądku. Fragmenty (1905) . . . . .	164
Przykład 93.	Klewe (Klemens Weitz) – Jeden dzień profesora (1905) . . . . .	165
Przykład 94.	Klewe (Klemens Weitz) – Lekcja tańców (1905) . . . . .	167
Przykład 95.	Wiktor Gomulicki – Wspomnienia niebieskiego mundurka. Fragmenty wspomnień dotyczących wydarzeń z lat 1860–1870 (1906) . . . . .	168
Przykład 96.	Fragmenty pierwszej szopki satyrycznej wystawionej przez kabaret „Zielony Balonik” w Jamie Michalikowej (1907) . . . . .	169
Przykład 97.	August Wilkoński – Wspomnienie szkolne. Fragmenty (1907) . . . . .	170
Przykład 98.	Anonim – Tymczasowa „doktoryzacja” (1910) . . . . .	173
Przykład 99.	Zygmunt Różycki – Pan profesor (1911) . . . . .	174

Przykład 100.	Artur Gliszczyński – Ongi i dziś (1912) . . . . .	<b>175</b>
Przykład 101.	Anonim – Do młodego Jasia (1914) . . . . .	<b>176</b>
Przykład 102.	Anonim – Elektrotechnik (1914?) . . . . .	<b>176</b>
Przykład 103.	Anonim – Fizjologja. Wypracowanie szkolne Józia o człowieku (1914?) . . . . .	<b>177</b>
Przykład 104.	Anonim – Lato (1914?) . . . . .	<b>178</b>
Przykład 105.	Anonim – Na balu pedagogów (1914?) . . . . .	<b>180</b>
Przykład 106.	Anonim – Program wykładów historii polskiej dla szkół średnich (1914?) . . . . .	<b>180</b>
Przykład 107.	Anonim – Radca (1914?) . . . . .	<b>182</b>
Przykład 108.	Anonim – Ustęp z wykładu historii w Uniwersytecie Berlińskim (1914?) . . . . .	<b>182</b>
Przykład 109.	Anonim – Wypracowanie szkolne (1914?) . . . . .	<b>183</b>
Przykład 110.	Anonim – Z notatnika czteroklasisty (1914?) . . . . .	<b>184</b>
Przykład 111.	Leo Belmont – Prosta droga (1914?) . . . . .	<b>185</b>
Przykład 112.	Catler (Pal-ski) – Z idylli (1914?) . . . . .	<b>185</b>
Przykład 113.	Stanisław Cyroński – Język warszawski. Przyczynek do historii języka warszawskiej młodzieży XIX wieku (1914?) . . . . .	<b>185</b>
Przykład 114.	Em-Ka – On i ona (1914?) . . . . .	<b>186</b>
Przykład 115.	J. Filewicz – Czytanka. Fragmenty wypisów polskich przejrane i poprawione przez A. Suworina (1914?) . . . . .	<b>188</b>
Przykład 116.	Gąsior – Przemowa uliczna do młodzieńca z patentem szkolnym (1914?) . . . . .	<b>188</b>
Przykład 117.	Kazimierz Gliński – Krnąbrny Jaś (1914?) . . . . .	<b>189</b>
Przykład 118.	Kl.J. – Ganz pomade. Pieśń ogromnie współczesna (1914?) . . . . .	<b>189</b>
Przykład 119.	Paul de Coś (Paweł Kościński) – Notatka z pamiętnika studenta. Fragmenty (1914?) . . . . .	<b>191</b>
Przykład 120.	Wł.M. – Na studentkę (1914?) . . . . .	<b>195</b>
Przykład 121.	Nerbuch (Władysław Buchner) – Egzamin na posła do IV dумы (1914?) . . . . .	<b>196</b>
Przykład 122.	Nerbuch (Władysław Buchner) – O dyplomach (1914?) . . . . .	<b>197</b>
Przykład 123.	Wł. Płaskowski – Janek i Jasek albo dobry i niedobry kolega (1914?) . .	<b>198</b>
Przykład 124.	M. Rodoć (Mikołaj Biernacki) – To zupełnie inna kwestia (1914?) . . . .	<b>200</b>
Przykład 125.	Kazimierz Tetmajer – Sen nauczyciela w Płakanowie pod Poznaniem (1914?) . . . . .	<b>201</b>
Przykład 126.	J. Waśniewski – Po szewsku (1914?) . . . . .	<b>203</b>
Przykład 127.	Artur Zawadzki – Icek Feinkind rekrutem (1914?) . . . . .	<b>203</b>
Przykład 128.	Władysław Jus – Studentka (1917) . . . . .	<b>205</b>
Przykład 129.	Anonim – Nauka (po 1918) . . . . .	<b>208</b>
Przykład 130.	Władysław Jus – Koniec świata. Fragmenty satyrycznego komentarza do plotek o końcu świata (1920) . . . . .	<b>208</b>
Przykład 131.	Tadeusz Słaza, Andrzej Włast, Jerzy Boczkowski – Misja jedzie... Revue polityczne w 3-ch aktach. Fragment satyrycznej analizy sytuacji społeczno-ekonomicznej i politycznej (1920) . . . . .	<b>209</b>
Przykład 132.	Konrad Tom – Sztubak. Monolog z repertuaru Romualda Gierasieńskiego w programie kabaretu Czarny Kot (1920) . . .	<b>209</b>



Przykład 133.	Bury Jan (Stanisław Wasylewski) – Lusja zdaje maturę. Fragmenty (1921) . . . . .	211
Przykład 134.	Wilhelm Raort (Józef Wilhelm Rappaport) – Miłość prawdy (1922) . . . .	215
Przykład 135.	Henryk Zbierzchowski – Szkołka freblowska w Sejmie (1922) . . . . .	217
Przykład 136.	Henryk Zbierzchowski – Podrożenie opłat szkolnych (1924) . . . . .	219
Przykład 137.	Kornel Makuszyński – Bezgrzeszne lata. Fragmenty (1925) . . . . .	220
Przykład 138.	Kazimierz Piekarski i in. (oprac.) – Przewodnik bibliograficzny nr 13. Fragmenty (1925) . . . . .	220
Przykład 139.	W.H. – Czy to jest pytanie dla ucznia I. klasy? (1925) . . . . .	222
Przykład 140.	Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Julian Tuwim (?) – Jak odpowiadać dzieciom na drażliwe pytania (1925) . . . . .	222
Przykład 141.	Wilhelm Raort (Józef Wilhelm Rappaport) – Z pamiętnika działacza. Fragmenty (1925) . . . . .	225
Przykład 142.	Czesława Wolniewiczówna – Profesor Dowcipnicki ma głos (1926) . . . .	225
Przykład 143.	Ewa Korotyńska – Nauczyciel. Komedyjka w jednym akcie. Fragmenty (1927) . . . . .	228
Przykład 144.	Gustaw Fiszer – Pan Kałamarzewski, nauczyciel szkół elementarnych starej daty. Obrazek sceniczny (1928) . . . . .	230
Przykład 145.	Jerzy Paczkowski – Mój syn (1928) . . . . .	237
Przykład 146.	Czesława Wolniewiczówna – Ucz się człeku (1928) . . . . .	240
Przykład 147.	Jerzy Paczkowski – Poezja w opracowaniu dla młodzieży szkolnej (1929) . . . . .	241
Przykład 148.	Piotr Choinowski – Kino i dzieci (1930) . . . . .	244
Przykład 149.	Wiktor Budzyński – Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Rozmowa o dzieciach z repertuaru Mieczysława Monderera i Adolfa Fleischera (1930–1936) . . . . .	246
Przykład 150.	Wiktor Budzyński – Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Rozmowa o zjeździe koleżeńskim z repertuaru Mieczysława Monderera i Adolfa Fleischera (1930–1936) . . . . .	252
Przykład 151.	Marian Hemar, Jan Lechoń, Julian Tuwim, Konstanty Ildefons Gałczyński, Jerzy Paczkowski, Światopełk Karpiński – Szopka polityczna 1931. Fragmenty (1931) . . . .	256
Przykład 152.	Julian Tuwim – Dzieje pewnego aforyzmu (1931) . . . . .	258
Przykład 153.	Anonim – Kolenda noworoczna śpiewana przez żaków (1932?) . . . . .	261
Przykład 154.	Anonim – Nauka kaprała w wojskowej szkole (1932?) . . . . .	262
Przykład 155.	Anonim – Oznaka studenta (1932?) . . . . .	264
Przykład 156.	Anonim – Zasady dawnej pedagogii (1932?) . . . . .	264
Przykład 157.	Tadeusz Boy-Żeleński – Moja metoda naukowa. List otwarty Tadeusza Boy-Żeleńskiego do prof. Stanisława Szpotańskiego (1932) . . . . .	264
Przykład 158.	H.I.Polit – „Vivat gwałtonomia, vivant profesores”. Na melodię Gaudeamus igitur majora Jędrzejewicza, Ministra W.R.iO.P. imaginacyjne przemówienie do profesorów w dniu wejścia w życie nowej ustawy akademickiej (1933) . . . . .	266
Przykład 159.	Marian Hemar – Nierozsądne wychowanie (1934) . . . . .	268
Przykład 160.	Ewa Korotyńska – Pan Beksalski. Fragmenty komedyjki w jednym akcie (1934) . . . . .	270

Przykład 161.	Janusz Makarczyk – Miłosny list (1934) . . . . .	272
Przykład 162.	Szczepko i Tońko (Kazimierz Wajda i Henryk Vogelfänger) – O dobrem wychowaniu. Skecz z programu Wesołej Lwowskiej Fali (1934) . . . . .	274
Przykład 163.	Melchior Wańkowicz – Szczęście lata. Fragmenty (1935) . . . . .	277
Przykład 164.	Witold Zechenter – Ego te faciam... (1935) . . . . .	278
Przykład 165.	Zuzanna Ginczanka (Zuzanna Polina Gincburg) – Słówka (1936?) . . . . .	279
Przykład 166.	Wiech (Stefan Wiechecki) – Sekret profesora (1936–1939) . . . . .	281
Przykład 167.	Wiech (Stefan Wiechecki) – Trzej studenci (1936–1939?) . . . . .	282
Przykład 168.	Konstanty Ildefons Gałczyński – Zima z wypisów szkolnych (1936) . . . . .	283
Przykład 169.	Kazimierz Krukowski – Egzamin (1936) . . . . .	284
Przykład 170.	Stanisław Jerzy Lec – Na oświatę w wolnej Polsce (1936) . . . . .	285
Przykład 171.	Witold Gombrowicz – Ferdurke. Fragmenty (1937) . . . . .	285
Przykład 172.	Janusz Minkiewicz – O prozaikach lat trzydziestych (1937) . . . . .	290
Przykład 173.	Janusz Minkiewicz – Sen maturalny (1937) . . . . .	291
Przykład 174.	Wiech (Stefan Wiechecki) – Tępy uczeń (1937–1939) . . . . .	292
Przykład 175.	Stanisław Jerzy Lec – O nadmiarze inteligencji w Polsce (1938) . . . . .	295
Przykład 176.	Jan Huszcza – Pilna Jadwisia (przed 1939) . . . . .	295
Przykład 177.	Jerzy Zagórski – Juliusz (przed 1939) . . . . .	295
Przykład 178.	Karol Zbyszewski – Niemcewicz od przodu i tyłu. Fragmenty przedmowy (1939) . . . . .	298
Przykład 179.	Witold Zechenter – Pytania (1939) . . . . .	299
Przykład 180.	Władysław Szlengel – Matura (wrzesień 1941) . . . . .	300
Przykład 181.	Bogdan Brzeziński – Niegrzeczne pacholę (1945) . . . . .	301
Przykład 182.	Jan Huszcza – Szkolnictwo zawodowe (30.VI.1945) . . . . .	301
Przykład 183.	Jan Koprowski – Fraszka angielska (1945) . . . . .	302
Przykład 184.	Janusz Minkiewicz – Że wymogi nie dość ostre (1946?) . . . . .	303
Przykład 185.	Niejaki X (Bolesław Surówka) – Uczęszczać. Fragment pamiętnika (1946) . . . . .	303
Przykład 186.	Bruno Winawer – Roztwór profesora Pytła. Fragmenty (1946) . . . . .	305
Przykład 187.	Konstanty Ildefons Gałczyński – Pomnik studenta (1947) . . . . .	311
Przykład 188.	Stefania Grodzieńska – Racjonalne wychowanie (1948) . . . . .	312
Przykład 189.	Stefania Grodzieńska – Kolega (1949) . . . . .	313
Przykład 190.	Wiesław Leon Brudziński, Tadeusz Polanowski – Sen bumelanta. Fragmenty szopki politycznej (1950) . . . . .	315
Przykład 191.	Mieczysław Dołęga – Poezja dla dzieci (1950) . . . . .	318
Przykład 192.	Antoni Marianowicz – Niezależnemu (1950) . . . . .	319
Przykład 193.	M. Rodoć (Mikołaj Biernacki) – *** (1950) . . . . .	319
Przykład 194.	Ryszard Serafinowicz – Wymigali się (1950) . . . . .	319
Przykład 195.	Benedykt Hertz – Pedagogzy (1951) . . . . .	322
Przykład 196.	Janusz Minkiewicz – Wiersz naukowy (1951) . . . . .	322
Przykład 197.	Wiech (Stefan Wiechecki) – Ala ma kota (1951) . . . . .	324
Przykład 198.	Wiech (Stefan Wiechecki) – Telimena nie była żonata (1951) . . . . .	325
Przykład 199.	Stanisław Wygodzki – Zapomniane słowa (1951) . . . . .	327
Przykład 200.	Bogdan Brzeziński – Pouczająca lektura (1952) . . . . .	329
Przykład 201.	Konstanty Ildefons Gałczyński – Dwaj maturzyści (1952) . . . . .	331
Przykład 202.	Stefan Krysiak – Sport to zdrowie. Notatki z pamiętnika obozowego (1952?) . . . . .	332

Przykład 203.	Sławomir Mrozek – Anonim (1952) . . . . .	333
Przykład 204.	Alicja Nawrocka – Z notatnika obozowego (1952?) . . . . .	334
Przykład 205.	Leon Pasternak – Lekcja historii (1952?) . . . . .	337
Przykład 206.	Jan Szelaąg – Były czasy... (1952?) . . . . .	337
Przykład 207.	Jerzy Waldorff – Obywatel specjalista (1952?) . . . . .	340
Przykład 208.	Witold Zechenter – Lekcja historii (1952?) . . . . .	343
Przykład 209.	Julian Tuwim – Przebłyński genialności i definicje. Fragmenty aforyzmów własnych, zasłyszanych i tłumaczonych (przed 1953?) . . . .	344
Przykład 210.	Wiesław Leon Brudziński – Słów kilka o chowaniu dzieci (1953) . . . . .	345
Przykład 211.	Wiesław Leon Brudziński – Słaba pamięć. Scenka według G. Horvatha (1953?) . . . . .	348
Przykład 212.	Wiesław Leon Brudziński, Antoni Marianowicz – Wywiad z Bartkiem (1953) . . . . .	349
Przykład 213.	Bogdan Brzeziński – Elementarz amerykański (1953) . . . . .	351
Przykład 214.	Jan Brzechwa – Ratujmy dzieci (1953) . . . . .	352
Przykład 215.	Zofia Bystrzycka – Elementarz (1953) . . . . .	354
Przykład 216.	Stefania Grodzieńska – Pierwsze wiadomości (1953) . . . . .	355
Przykład 217.	Stefania Grodzieńska – Pozytywne niemowlęta. Reportaż z terenu (1953) . . . . .	357
Przykład 218.	Anna Lechicka – Historia autentyczna (1953) . . . . .	358
Przykład 219.	Tadeusz Różewicz – Rozgadał się (1953) . . . . .	360
Przykład 220.	Jadwiga Rutkowska, Joanna Wilińska – Z życia świetlicowego (1953) . . . . .	362
Przykład 221.	Jan Szelaąg – Wstęp (1953) . . . . .	363
Przykład 222.	Irena Tomska – Wieczór autorski (1953) . . . . .	367
Przykład 223.	Zenon Wiktorczyk – „Głos Ameryki” o prześladowaniach kultury w Polsce (1953) . . . . .	370
Przykład 224.	Jarosław Abramow – Agitatory. Skecz z programu STS „Prostaczkowie” (1954) . . . . .	372
Przykład 225.	Jarosław Abramow – Konferansjer. Monolog z programu STS „Prostaczkowie” (1954) . . . . .	375
Przykład 226.	Jarosław Abramow – Krótka decyzja. Fragmenty skeczu z programu STS „Prostaczkowie” (1954) . . . . .	376
Przykład 227.	Bogdan Brzeziński – Egzamin (1954) . . . . .	378
Przykład 228.	Stefania Grodzieńska, Janusz Minkiewicz – Smutno mi, Boże. Fragment programu kabaretowego „Wieczory u Stańczyka” oraz Warszawskiego Teatru Satyryków (1954) . . . . .	379
Przykład 229.	Andrzej Jarecki – Dziedziczne cechy polityczne. Fragmenty programu STS „Prostaczkowie” (1954) . . . . .	382
Przykład 230.	Andrzej Jarecki – Komisja Przydziału Pracy. Fragmenty programu STS „Prostaczkowie” (1954) . . . . .	383
Przykład 231.	Antoni Marianowicz – Wymiana Fraszka nawiązująca do publikacji „Pamiętnika uczennicy” w „Nowej Kulturze” (1954) . . . . .	384
Przykład 232.	Sławomir Mrozek – Profesor. Scenariusz do przedstawienia teatryku Bim-Bom (1954–1956) . . . . .	384
Przykład 232a.	Krystyna Żywulska – Nauczycielka (1954) . . . . .	388
Przykład 232b.	Krystyna Żywulska – Odczyt popularny (1954) . . . . .	390
Przykład 233.	Jan Bester – Ballada pedagogiczna (1955?) . . . . .	391

Przykład 234.	Wiesław Brudziński – Trzy rozmowy z nauczycielem Nowakiem (1955?)	392
Przykład 235.	Jerzy Jurandot – Rzecz wstydliva. Fragment programu Warszawskiego Teatru Satyryków (1955?)	394
Przykład 236.	Tadeusz Kotarbiński – * * * (1955?)	395
Przykład 237.	Ziemowit Kuniński – Piosenka o „społecznicach”. Fragment programu radiowej spółdzielni satyrycznej (1955?)	395
Przykład 238.	Antoni Marianowicz – J.N.G. (1955)	397
Przykład 239.	Zenon Michalski – Świat deskami zabity. Fragment programu „Nie mamy czasu” Studenckiego Teatru Satyry Pstrąg (grudzień 1955)	398
Przykład 240.	Janusz Osęka – Lekcja przyrody (1955)	399
Przykład 241.	Tadeusz Polanowski – O Planie 6-letnim (1955)	400
Przykład 242.	Józef Prutkowski – Gadu, gadu (1955)	401
Przykład 243.	Kazimierz Rudzki – Egzamin. Dialog po „Walcu nocy” (1955)	402
Przykład 244.	Leszek Skrzydło – Jedność przeciwieństw. Fragment programu „Pstrągi” Studenckiego Teatru Satyry Pstrąg (premiera 6 marca 1955)	404
Przykład 245.	Maria Zientarowa – Drobne ustroje. Do szkoły (1955)	405
Przykład 246.	Maria Zientarowa – Drobne ustroje. Za byki dwóją. Fragmenty (1955)	408
Przykład 247.	Jarosław Abramow-Newerly, Andrzej Jarecki – Esteesik. Fragment programu STS „Czarna przegrywa, czerwona wygrywa” (1956)	410
Przykład 248.	Wiesław Brudziński – Uczennica (1956?)	412
Przykład 249.	Jerzy Litwiniuk – Drobiazg, błahostka, mała różnica. Napis: „Świetlica” wewnątrz: „Śmietnica” (1956?)	414
Przykład 250.	Tadeusz Łopalewski – Jajko i kura (1956?)	415
Przykład 251.	Antoni Marianowicz, Janusz Minkiewicz, Marian Załucki – Szopka satyryczna 1956. Fragmenty (1956)	415
Przykład 252.	Jeremi Przybora – Dramatyczny Koncert Życzeń. Fragmenty audycji Radiowego Teatryku „Eterek” (1956)	417
Przykład 252a.	Krystyna Żywulska – Referat (1956)	420
Przykład 253.	Bogdan Brzeziński – Kubuś. Tragikomedia w dwóch aktach (1957)	422
Przykład 254.	Henryk Haufa – Dialog w szkole (1957–1960?)	425
Przykład 255.	Antoni Marianowicz – Ojciec i syn (1957)	426
Przykład 256.	Antoni Marianowicz – Opowieść o niemrawym chłopczyku (1957)	427
Przykład 257.	Antoni Marianowicz – Żale uczennicy (1957)	428
Przykład 258.	Janusz Osęka – Ile jest 2 x 2 (1957)	428
Przykład 259.	Janusz Osęka – Problem dorosłych (1957)	429
Przykład 260.	Tadeusz Różewicz – Wspomnienia ze „starej budy” (1957)	430
Przykład 261.	Marian Załucki – Po wakacjach (1957)	437
Przykład 262.	Jerzy Afanasjew (?) – Krótki kurs studentologii. Fragment programu „Studenckie Święto Wiosny w Gdańsku” teatru studenckiego „Bim-Bom” (1958)	438
Przykład 263.	Jerzy Afanasjew – Regulamin Studenckiego Święta Wiosny (1958)	439
Przykład 264.	Bogdan Brzeziński – Zjazd koleżeński. Monolog z repertuaru Hanki Bielickiej (1958)	441

Przykład 265.	Jadwiga Rutkowska – Powołanie (1958) . . . . .	444
Przykład 266.	Wołody Skiba (Władysław Sabowski) – Nad poziomy (1958) . . . . .	445
Przykład 267.	Julian Tuwim – Porwanie Sabineki. Farsa ze śpiewami w 4 aktach według Franciszka Schönthana. Fragmenty aktu pierwszego (1958) . . .	450
Przykład 268.	Jerzy Zaruba – Z pamiętników bywalca. Fragmenty (1958) . . . . .	452
Przykład 269.	Gustaw Morcinek – Czarna Julka. Fragment o tym, jak poszliśmy witać cesarza (1959) . . . . .	457
Przykład 270.	Edmund Niziurski – Niewiarygodne przygody Marka Piegusa. Fragment (1959) . . . . .	466
Przykład 271.	Ernest Petrejtis (Karol Kord) – Pytanie (1959) . . . . .	468
Przykład 272.	Horacy Safrin – O logice (1959) . . . . .	468
Przykład 273.	Horacy Safrin – Pedagog (1959) . . . . .	469
Przykład 274.	Julian Tuwim – S.O.S.! S.O.S.! S.O.S.! (1959) . . . . .	470
Przykład 275.	Stanisław Wasylewski – Czterdzieści lat powodzenia. Fragmenty (1959) . . . . .	470
Przykład 276.	Tadeusz Polanowski – Disce puer (1961) . . . . .	475
Przykład 277.	Jarosław Abramow-Newerly – Lekcja. Słuchowisko Teatru Polskiego Radia (1962) . . . . .	475
Przykład 278.	Stefan Chmielnicki – Kwiaty oświaty (1962) . . . . .	477
Przykład 279.	Agnieszka Osiecka – Dziobak (1962?) . . . . .	478
Przykład 280.	Agnieszka Osiecka – Na wagary (1962?) . . . . .	479
Przykład 281.	Edward Szymański – O małym Jerzyku historia okropna (1962) . . . . .	481
Przykład 282.	Edward Szymański – O zamordowanej dziewczynie opowieść pedagogiczna (1962) . . . . .	482
Przykład 283.	Krzysztof Teodor Toeplitz – Dać im szkołę (16 września 1962) . . . . .	483
Przykład 284.	Witold Zechenter – Pewien pedagog (1962) . . . . .	485
Przykład 285.	Jarosław Abramow-Newerly – Kolega szkolny. Słuchowisko Teatru Polskiego Radia (1963) . . . . .	485
Przykład 286.	Jan Huszcza – Trzy dwójki (1963) . . . . .	488
Przykład 287.	Agnieszka Osiecka – Okularnicy. Piosenka z programu „Wszystko, co nasze” Studenckiego Teatru Satyryków, do muzyki Jarosława Abramowa (1963) . . . . .	489
Przykład 288.	Jadwiga Toeplitz-Mrozowska – Słoneczne życie. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 1895 r. (?) (1963) . . . . .	490
Przykład 289.	Edmund Niziurski – Sposób na Alcybiadesa. Fragment (1964) . . . . .	493
Przykład 290.	Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – Wycieczka szkoły do Warszawy (1964) . . . . .	495
Przykład 291.	Stanisław Tym – Mamusie. Fragment programu Studenckiego Teatru Satyryków „Mnie nie jest wszystko jedno” (1964) . . . . .	497
Przykład 292.	Stanisław Tym – Pierwsza lekcja. Fragment programu Studenckiego Teatru Satyryków „Już pora smażyć konfitury” (1964) . . .	499
Przykład 293.	Maria Zientarowa (Mira Michałowska) – Wojna domowa. Wywiadówka (1964) . . . . .	501
Przykład 294.	Stanisław Chmielnicki – O jednej (1965) . . . . .	504
Przykład 295.	Jeremi Przybora – Serdecznie dziękuję (1965) . . . . .	504
Przykład 296.	Jarosław Abramow-Newerly – Gazetka szkolna. Słuchowisko Teatru Polskiego Radia (1966) . . . . .	506

Przykład 297.	Jarosław Abramow-Newerly – Zjazd koleżeński. Słuchowisko Teatru Polskiego Radia (1966) i skecz z programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków (1967) . . . . .	<b>508</b>
Przykład 298.	Jerzy Jurandot – O jednym Olku Piszczkowskim ballada pedagogiczna (1966) . . . . .	<b>513</b>
Przykład 299.	Jonasz Kofta – Dialog filozoficzny (1966) . . . . .	<b>515</b>
Przykład 300.	Edmund Niziuński – Jutro klasówka. Fragment (1966) . . . . .	<b>516</b>
Przykład 301.	Janusz Osęka – Szkolne lata. Monolog sekretarki (1966) . . . . .	<b>517</b>
Przykład 302.	Maria Zientarowa (Mira Michałowska) – Wojna domowa trwa. Byle do dżdżownicy (1966) . . . . .	<b>518</b>
Przykład 303.	Krystyna Żywulska – Lekcja (1966) . . . . .	<b>521</b>
Przykład 304.	Krystyna Żywulska – Wszyscy się uczą (1966) . . . . .	<b>524</b>
Przykład 305.	Ziemowit Feddecki, Andrzej Jarecki – Egzamin wstępny. Prolog programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków (1967) . . . .	<b>525</b>
Przykład 306.	Ziemowit Feddecki, Andrzej Jarecki – Nowy Demostenes. Fragment programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków (1967) . . . .	<b>530</b>
Przykład 307.	Stefania Grodzieńska – Edukacja (1967) . . . . .	<b>533</b>
Przykład 307a.	Stefania Grodzieńska – Wspomnienia chałturzystki. Fragment (1967) . . . . .	<b>534</b>
Przykład 308.	Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – Dzień nauczyciela (1967) . . . . .	<b>536</b>
Przykład 309.	Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – Wieczorowa politechnika (1967) . . . . .	<b>538</b>
Przykład 310.	Agnieszka Osiecka – Lekcja fizyki. Piosenka z programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków, do muzyki Wojciecha Solarza (1967) . .	<b>539</b>
Przykład 311.	Agnieszka Osiecka – Lekcja miłości. Piosenka z programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków, do muzyki Jarosława Abramow-Newerly’ego (1967) . . . . .	<b>540</b>
Przykład 312.	Agnieszka Osiecka – Lekcja polskiego. Piosenka z programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków, do muzyki Macieja Małeckiego (1967) . . . . .	<b>542</b>
Przykład 313.	Michał Radgowski – Dalej, bracie, na kursokonferencję (1967) . . . . .	<b>543</b>
Przykład 314.	Horacy Safrin – Uwagi mądrego niedźwiedzia o górach (1967) . . . . .	<b>545</b>
Przykład 315.	Stanisław Tym – Dzienniczek. Fragment monologu z repertuaru Krzysztofa Kowalewskiego, z programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków (1967) . . .	<b>546</b>
Przykład 316.	Stanisław Tym – Ballada o Jasiach. Piosenka z programu „Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków, do muzyki Marka Lusztiga (1967) . . . . .	<b>547</b>
Przykład 317.	Stanisław Tym – W obronie artykułu (1967) . . . . .	<b>548</b>
Przykład 318.	Wiech (Stanisław Wiechecki) – Studenciaki dopisali (1967) . . . . .	<b>550</b>
Przykład 319.	Tadeusz Drozda – Dojrzałość. Piosenka z giełdy piosenki studenckiej we wrocławskim klubie Pałacyk (1968) . . . . .	<b>552</b>
Przykład 320.	Ludwik Górski – Pierwsza wizyta. Opowiadanie studentki (1968) . . . . .	<b>553</b>
Przykład 321.	Marian Hemar – Na wykształconego (1968?) . . . . .	<b>554</b>
Przykład 322.	Janusz Osęka – Póki nie jest za późno (1968) . . . . .	<b>555</b>
Przykład 323.	Jerzy Wittlin – Vademecum szefa. Jak układać sobie znajomości? (1968) . . . . .	<b>557</b>

Przykład 324.	Włodzimierz Boruński – Kolega szkolny (1969) . . . . .	558
Przykład 325.	Ludwik Jerzy Kern – W szkole (1969?) . . . . .	559
Przykład 326.	Aleksander Małachowski – Specjaliści (1969) . . . . .	560
Przykład 327.	Aleksander Małachowski – Życie z kalendarza (1969) . . . . .	562
Przykład 328.	Edmund Niziurski – Siódme wtajemniczenie. Fragment (1969) . . . . .	565
Przykład 329.	Maria Terlikowska – Straszny sen (1969) . . . . .	567
Przykład 330.	Jerzy Baranowski – Poprawka (1970) . . . . .	569
Przykład 331.	Jerzy Dobrowolski – Decybel. Fragment audycji Polskiego Radia (1970) . . . . .	570
Przykład 332.	Tadeusz Gicgier – Nic (1970) . . . . .	570
Przykład 333.	Tadeusz Gicgier – Szkoła (1970) . . . . .	571
Przykład 334.	Karol Kord (Ernest Petrejtis) – Ojcowski gniew (1970) . . . . .	571
Przykład 335.	Eryk Lipiński – Ogłoszenie w rubryce „Nauka i Wychowanie” (1970) . . .	572
Przykład 336.	Arnold Mostowicz – Nauczyciel muzyki (1970) . . . . .	572
Przykład 337.	Adam Ochocki – Miotła i katedra (1970) . . . . .	573
Przykład 338.	Softys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – Niemoralne kursy (1970) . . . . .	575
Przykład 339.	Softys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – Waluś szarlatan (1970) . . . . .	577
Przykład 340.	Jadwiga Rutkowska – Inni rodzice, inne dzieci (1970) . . . . .	579
Przykład 341.	Jadwiga Rutkowska – Metody (1970) . . . . .	580
Przykład 342.	Jadwiga Rutkowska – Wiew przeszłości (1970) . . . . .	581
Przykład 343.	Witold Zechenter – W związku z rozbudową szkolnictwa (1970) . . . . .	583
Przykład 344.	Witold Zechenter – Maturzystom (1970) . . . . .	583
Przykład 345.	Jerzy Baranowski – Wycieczka historyczna i kurso-wycieczka (1971) . . . . .	583
Przykład 346.	Jerzy Dobrowolski – Decybel. Fragment audycji Polskiego Radia (wrzesień 1971) . . . . .	587
Przykład 347.	Franciszek Irecki z Mnisztwa – W dawnej szkole austriackiej (1971) . . .	588
Przykład 348.	Marian Piechal – Punkty zbiorowego nauczania (1971) . . . . .	590
Przykład 349.	Joanna Wilińska – Rozmowa z dziewczynką (1971) . . . . .	591
Przykład 350.	Marcin Wolski – Edukacja. Piosenka z programu kabaretu „Salon niezależnych”, do muzyki Krzysztofa Knittela (1971) . . . . .	592
Przykład 351.	Marcin Wolski – Dobre wychowanie. Piosenka z programu kabaretu „Salon niezależnych”, do muzyki i w wykonaniu Jacka Kleyffa (1971) . . . . .	593
Przykład 352.	Wacław Czynczys – Mandryl na olejno (1972) . . . . .	594
Przykład 353.	Ludwik Górski – List do redakcji w sprawie szkoła-kawiarni (1972) . . . .	596
Przykład 354.	Ludwik Górski – Nasza recenzja (1972) . . . . .	596
Przykład 355.	Jan Huszcza – Aby... Napisane na prośbę uczennic i uczniów (1972) . . .	598
Przykład 356.	Jan Huszcza – Jubileusz. Z kroniki gazetowej (1972) . . . . .	600
Przykład 357.	Jan Huszcza – Kłopoty z wychowaniem (1972) . . . . .	600
Przykład 358.	Jan Huszcza – Listy (1972) . . . . .	602
Przykład 359.	Jan Huszcza – Niespodzianka (1972) . . . . .	604
Przykład 360.	Ziemowit Kuniński – Lekcja rachunków (1972) . . . . .	605
Przykład 361.	Mariusz Kwiatkowski – Delegacja (1972) . . . . .	606
Przykład 362.	Eryk Lipiński – Postaniec w kapeluszu (1972) . . . . .	607
Przykład 363.	Jerzy Medyński – Ogłoszenia nieprawdopodobne (1972) . . . . .	609
Przykład 364.	Jerzy Medyński – Reportaż z terenu (1972) . . . . .	609

Przykład 365.	Andrzej Nowicki, Joanna Wilińska – Cennik szkolny (1972) . . . . .	610
Przykład 366.	Józef Prutkowski – Nowy rok szkolny (1972) . . . . .	611
Przykład 367.	Jeremi Przybora – Jak pokochaliśmy przedszkolankę (1972) . . . . .	612
Przykład 368.	Henryk Czarnecki – Profesor na drodze (1972) . . . . .	617
Przykład 369.	Wiech (Stefan Wiechecki) – Nie straszyc dzieci. Fragmenty (1972) . . . .	618
Przykład 370.	Tadeusz Zimecki – Z dziennika licealistki (1972) . . . . .	619
Przykład 371.	Anonim (Tarnowskie Góry) – Eliasz profesorem (1973) . . . . .	623
Przykład 372.	Anonim (Krasów-Leśnica pow. Strzelce Op.) – Jak się synek za złodzieja uczył (1973) . . . . .	623
Przykład 373.	Anonim (Wełnowiec Katowice) – O jednym chłopie co do szkoły chodził (1973) . . . . .	624
Przykład 374.	Anonim (Zabrze Pawłów) – O jednym co chciał być doktorem (1973) . . . . .	626
Przykład 375.	Jacek Fedorowicz – Lekcje wychowania administracyjnego. Fragment audycji Polskiego Radia „Poradnia Zdrowia Psychicznego Jacka Fedorowicza” (1973?) . . . . .	628
Przykład 376.	Tadeusz Łopalewski – Szkołka aniołów (1973) . . . . .	631
Przykład 377.	Horacy Safrin – O Ewie (1973) . . . . .	639
Przykład 378.	Włodzimierz Ścisłowski – Pewien pedagog (1973) . . . . .	639
Przykład 379.	Witold Zechenter – Grymasy z komentarzem. Fragmenty (1973) . . . . .	639
Przykład 380.	Witold Zechenter – Pytania (1973) . . . . .	640
Przykład 381.	Jerzy Jurandot – Rachunek nieprawdopodobieństwa. Fragmenty komedii w trzech aktach (1974) . . . . .	641
Przykład 382.	Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – Przewód doktora Kierdziołka (1974) . . . . .	644
Przykład 383.	Jan Pietrzak – Jak się wybić? Wywiad telewizyjny (1974) . . . . .	646
Przykład 384.	Jan Pietrzak – Już nie należę (1974) . . . . .	647
Przykład 385.	Jan Pietrzak – Osłupienie. Fragment (1974) . . . . .	648
Przykład 386.	Melchior Wańkowicz – Karafka La Fontaine’a. Fragmenty listu o losach zabawnej lektury w życiu ucznia i jego rodziny (1974) . . . . .	649
Przykład 387.	Jerzy Wittlin – Jak unikać pomocy dzieciom w odrabianiu lekcji (1974) . . . . .	650
Przykład 388.	Jerzy Wittlin – Matka usprawiedliwia córkę z nieobecności w szkole (1974) . . . . .	652
Przykład 389.	Jan Bester – Wychowanie (1975) . . . . .	652
Przykład 390.	Ryszard Marek Groński – Miazmat (1975) . . . . .	652
Przykład 391.	Jacek Kleyff – Cała młodzież. Fragment programu kabaretu „Salon niezależnych” (1975) . . . . .	654
Przykład 392.	Jerzy Leszczyński – Fałszywe świadectwo (1975) . . . . .	655
Przykład 393.	Jerzy Leszczyński – Na dzień nauczyciela (1975) . . . . .	655
Przykład 394.	Leszek Maruta – Mój stary profesor (1975) . . . . .	655
Przykład 395.	Edmund Niziurski – Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego. Fragmenty (1975) . . . . .	657
Przykład 396.	Jeremi Przybora – List z parku dalekiego dzieciństwa (1975) . . . . .	659
Przykład 397.	Stanisław Tym – Ucz się Jasiu! Skecz z programu kabaretu „Dudek” (1975) . . . . .	660
Przykład 398.	Henryk Bardijewski – Zaskoczenie (1976?) . . . . .	664



Przykład 399.	Roman Masarczyk z Raciborza – Figle studentów (1976?) . . . . .	665
Przykład 400.	Sławomir Mrożek – Jeden sprawiedliwy (1976?) . . . . .	666
Przykład 401.	Jeremi Przybora – Kabaret starszych panów. Fragmenty programu telewizyjnego „Wieczór XV. Ostatni naiwni” (1976) . . . . .	668
Przykład 402.	Jerzy Dobrowolski – Wspomnienia moich pamiętników. Fragmenty (1977) . . . . .	669
Przykład 403.	Jan Gebethner – Młodość wydawcy. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 1916 roku (1977) . . . . .	669
Przykład 404.	Kazimierz Kretowicz – Korepetycje (1977) . . . . .	671
Przykład 405.	Eryk Lipiński – Zdaniem pesymisty. Fragmenty (1977) . . . . .	671
Przykład 406.	Bruno Miećugow – W tył zwrot – naprzód marsz (1977) . . . . .	672
Przykład 407.	Jeremi Przybora – Medea, moja sympatia. Fragmenty libretta wg Eurypidesa (1977) . . . . .	674
Przykład 408.	Michał Radgowski – Cudza mufa (1977) . . . . .	676
Przykład 409.	Leon Roppel – Długa lina (1977) . . . . .	678
Przykład 410.	Leon Roppel – Kwalifikacje kandydata na kupca (1977) . . . . .	679
Przykład 411.	Leon Roppel – Otrzyma nieco więcej (1977) . . . . .	680
Przykład 412.	Leon Roppel – Powiedział, co wiedział (1977) . . . . .	680
Przykład 413.	Leon Roppel – Zawieszenie obrazu i... Patocka (1977) . . . . .	681
Przykład 414.	Stanisław Strugarek – Kaczmarszek na wywiadówce. Gawęda z Polskiego Radia (1977?) . . . . .	682
Przykład 415.	Stanisław Strugarek – Nowy rok szkolny. Gawęda z Polskiego Radia (1977?) . . . . .	684
Przykład 416.	Stanisław Strugarek – Szkolny. Gawęda z Polskiego Radia (1977?) . . . . .	686
Przykład 417.	Włodzimierz Ścisłowski – Zjazd (1977) . . . . .	688
Przykład 418.	Zenon Wiktorczyk – Egzamin z historii oręża polskiego (1977?) . . . . .	689
Przykład 419.	Jerzy Wittlin – Dzieci wychowuje się razem (1977) . . . . .	690
Przykład 420.	Jerzy Wittlin – Pierwszy raz w przedszkolu (1977) . . . . .	690
Przykład 421.	Jerzy Wittlin – Pierwszy raz w szkole (1977) . . . . .	691
Przykład 422.	Jerzy Wittlin – Pierwsze wypracowanie z polskiego. Fragmenty (1977) . . . . .	692
Przykład 423.	Jerzy Wittlin – Pierwszy raz czytając lekturę szkolną (1977) . . . . .	693
Przykład 424.	Jerzy Wittlin – Pierwszy raz uzasadniając wybór kierunku studiów. Fragmenty (1977) . . . . .	694
Przykład 425.	Jerzy Wittlin – Pierwszy dzień w studenckim hufcu pracy (1977) . . . . .	696
Przykład 426.	Anonim – Student i kobieta (1978?) . . . . .	697
Przykład 427.	Józef Bułatowicz – Motylek ze szpilek. Fragmenty (1978?) . . . . .	698
Przykład 428.	Antoni Hajduk – Jak stary Kubik chodził do szkoły (1978?) . . . . .	698
Przykład 429.	Jacek Janczarski – Zabawa szkolna (1978) . . . . .	701
Przykład 430.	Jacek Janczarski – Korepetycje – język polski (1978) . . . . .	704
Przykład 431.	Jacek Janczarski – Korepetycje – przyroda (1978) . . . . .	709
Przykład 432.	Franciszek Juroszek z Istebnej – Jak zostałem „Quovadisem” (1978?) . . . . .	712
Przykład 433.	Stefan Friedmann, Jonasz Kofta – Egzamin. Słuchowisko Polskiego Radia z cyklu „Fachowcy” (1978) . . . . .	714
Przykład 434.	Włodzimierz Ścisłowski – Nasze nauki (1978) . . . . .	716
Przykład 435.	Włodzimierz Ścisłowski – Powroty (1978) . . . . .	717

Przykład 436.	Stanisław Zieliński – Kielbie we łbie. Fragmenty (1978) . . . . .	718
Przykład 437.	Anonim – Jak się synek po łacinie uczył (1979?) . . . . .	725
Przykład 438.	Jerzy Baranowski – Bajka Andersena. Skecz z repertuaru Barbary Marszel w audycji Polskiego Radia „Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?) . . . . .	725
Przykład 439.	Jerzy Baranowski – Dlaczego dzieci powinny jeździć na kolonie letnie. Skecz z repertuaru Reny Rolskiej w audycji Polskiego Radia „Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?) . . . . .	727
Przykład 440.	Jerzy Baranowski – Przysłowia są mądrością narodów. Skecz z repertuaru Reny Rolskiej w audycji Polskiego Radia „Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?) . . . . .	729
Przykład 441.	Jerzy Baranowski – Spotkanie na stole. Skecz z repertuaru Barbary Marszel w audycji Polskiego Radia „Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?) . . . . .	730
Przykład 442.	Jerzy Baranowski – Zastępstwo. Skecz z repertuaru Barbary Marszel w audycji Polskiego Radia „Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?) . . .	732
Przykład 443.	Jerzy Dobrowolski – Wspomnienia moich pamiętników. Fragmenty (1979) . . . . .	734
Przykład 444.	Stefan Friedmann, Jonasz Kofta – Fachowcy i profesor. Fragment słuchowiska Polskiego Radia „Fachowcy” (1979?) . . . . .	735
Przykład 445.	Horacy Safrin – Edukacja wilka (1979) . . . . .	737
Przykład 446.	Horacy Safrin – O wychowaniu dzieci (1979) . . . . .	737
Przykład 447.	Urszula Wierzbička – Ośła ławka. Fragmenty (1979) . . . . .	738
Przykład 448.	Jerzy Wittlin – Egzaminowaną na prawo jazdy uspokajając (1979) . . . . .	746
Przykład 449.	Jerzy Wittlin – Ekonomii ucząc się do egzaminu (1979) . . . . .	746
Przykład 450.	Jerzy Wittlin – Przemądrzałość dzieci ilustrując (1979) . . . . .	747
Przykład 451.	Jerzy Wittlin – Seksualnie uświadamiając córkę (1979) . . . . .	747
Przykład 452.	Jerzy Wittlin – Seksualnie uświadamiając syna (1979) . . . . .	748
Przykład 453.	Krzysztof Daukszewicz – Wywiadówka w klasie VIII „c” (1980) . . . . .	748
Przykład 454.	Tadeusz Gicgier – Nauka (1980) . . . . .	749
Przykład 455.	Ryszard Marek Groński – Sztuka kochania. Monolog z repertuaru Krystyny Sienkiewicz w programie Teatru „Syrena” (1980) . . . . .	750
Przykład 456.	Ryszard Marek Groński – Zacznijmy od elementarza. Fragment programu kabaretu „Pod Egidą” (1980) . . . . .	752
Przykład 457.	Jan Kaczmarek – Prestrogi wakacyjne (1980) . . . . .	754
Przykład 458.	Stanisław Ligoń – Cłowiek. Opracowanie szkolne dziesięcioletniego Karlika (1980?) . . . . .	755
Przykład 459.	Stanisław Ligoń – Ło dobrym wychowaniu – słówek pora (1980?) . . . . .	756
Przykład 460.	Stanisław Ligoń – Krowa. Opracowanie Zeflika Gromotki (1980?) . . . . .	760
Przykład 461.	Stanisław Ligoń – Opis konia. Zadanie szkolne (1980?) . . . . .	760
Przykład 462.	Stanisław Ligoń – Opis świni. Opracowanie szkolne Zeflika Mądrali (1980?) . . . . .	761
Przykład 463.	Stanisław Szalc – Ptastwo. Fragment programów Kabaretu „Elita” i „Studio 202” (1980) . . . . .	762
Przykład 464.	Jerzy Wittlin – Vademecum dla występujących z okazji. Fragmenty dedykacji i podziękowań (1980) . . . . .	764
Przykład 465.	Marcin Wolski – Centralna Kuźnia Młodych. Fragment programu kabaretu „Sześćdziesiątka” (1980) . . . . .	773

Przykład 466.	Anonim – Jak górnicy dzieci wychowywali (1981?) . . . . .	775
Przykład 467.	Anonim – Jakie miano miał pierwszy człowiek (1981?) . . . . .	777
Przykład 468.	Anonim – O jednym ojcu (1981?) . . . . .	777
Przykład 469.	Anonim – O ojcu, co chciał, żeby się syn za dzień nauczył czego w szkole (1981?) . . . . .	778
Przykład 470.	Anonim – Przekręcona łacina (1981?) . . . . .	778
Przykład 471.	Anonim – Student i gospodarz (1981?) . . . . .	779
Przykład 472.	Krzysztof Jakubowski – Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (I) (1981) . . . . .	779
Przykład 473.	Krzysztof Jakubowski – Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (II) (1981) . . . . .	780
Przykład 474.	Krzysztof Jakubowski – Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (III) (1981) . . . . .	782
Przykład 475.	Lech Konopiński – Moje uniwersytety (1981?) . . . . .	783
Przykład 476.	Romuald Lenech – Luka w wykształceniu (1981) . . . . .	784
Przykład 477.	Jeremi Przybora – Jak pan mógł. Fragmenty programu „Telefon zaufania” (1981) . . . . .	786
Przykład 478.	Witold Zechenter – Na tropach folkloru. Monolog estradowy (1981?) . . . . .	786
Przykład 479.	Witold Zechenter – Nowy rok szkolny (1981) . . . . .	789
Przykład 480.	Witold Zechenter – Okres egzaminów (1981) . . . . .	790
Przykład 481.	Zbigniew Korpolewski – Woźna. Monolog z repertuaru Hanki Bielickiej w programach estradowych (1982?) . . . . .	790
Przykład 482.	Włodzimierz Krzemiński – Lekcja o ptaszkach (1982) . . . . .	792
Przykład 483.	Włodzimierz Krzemiński – Raz pewien młody człowiek (1982) . . . . .	793
Przykład 484.	Włodzimierz Krzemiński – Uczcie się geometrii (1982) . . . . .	794
Przykład 485.	Edmund Niziurski – Szkolny lud, Okulla i ja. Fragment (1982) . . . . .	795
Przykład 486.	Jan Piechota – Pani nauczycielka (1982) . . . . .	798
Przykład 487.	Jan Pietrzak – Wychowanie przez sztukę (1982) . . . . .	799
Przykład 488.	Anatol Ulman – Przepis szefa na pracę naukową. Zapis magnetyczny z narady (1982) . . . . .	805
Przykład 489.	Anna Bikont, Piotr Bikont, Wojciech Cesarski (oprac.) – Małe vademecum Peerelu z wycinków gazet podziemnych. Fragmenty (1982–1987) . . . . .	806
Przykład 490.	Anonim – Obrony prac doktorskich. Fragment kącika satyrycznego z wydawnictwa podziemnego nauczycieli „Tu teraz. Pismo oświaty niezależnej” (1983) . . . . .	809
Przykład 491.	Krzysztof Jaroszyński, Jerzy Skoczylas – Dyskusja oszczędnościowa. Fragmenty skeczu Leszka Niedzielskiego, Jerzego Skoczylasa i Stanisława Szelca (1983?) . . . . .	811
Przykład 492.	Janusz Osęka – Akcja „PP” (1983) . . . . .	813
Przykład 493.	Marcin Wolski – Kurepetycje. Fragment programów kabaretu Związku Autorów i Kompozytorów „Warsztat” oraz kabarecika dla dzieci „Małpet szal”, w wykonaniu m.in. Jana Kryszaka (1983) . . . . .	815
Przykład 494.	Marcin Wolski – Szkoła odruchów (1983) . . . . .	818
Przykład 495.	Józef Bułatowicz – Nagrobek wiecznego studenta (1984?) . . . . .	819
Przykład 496.	Eugeniusz Korkosz – Trudy edukacji (1984?) . . . . .	819
Przykład 497.	Adam Ochocki – Papugi (1984) . . . . .	819
Przykład 498.	Adam Ochocki – Zreformowane przysłowie (1984?) . . . . .	822

Przykład 499.	Marcin Wolski – Centralna Kuźnia Młodych CKM. Fragmenty nie napisanej powieści dla trudnej młodzieży (1984?) . . . . .	823
Przykład 500.	Helena Adamczewska – Małpi proces. Fragmenty dotyczące wydarzeń w 1925 roku (1985) . . . . .	831
Przykład 501.	Józef Bułatowicz – O kształceniu (1985?) . . . . .	834
Przykład 502.	Józef Bułatowicz – W szkole (1985?) . . . . .	834
Przykład 503.	Tadeusz Gicgier – Spór w bibliotece (1985) . . . . .	834
Przykład 504.	Stanisław Janicki – W starym polskim kinie. Fragmenty wspomnień dotyczących okresu międzywojennego (1985) . . . . .	836
Przykład 505.	Agnieszka Osiecka – Analfabetyzm. Fragmenty wspomnień dotyczące lat 50. XX w. (1985) . . . . .	837
Przykład 506.	Jerzy Szaniawski – Wykład Profesora Tutki w wyższej szkole handlowej (1985) . . . . .	838
Przykład 507.	Anonim – I dziadek Łebek był kiedyś rekrutem (1986?) . . . . .	840
Przykład 508.	Anonim – O wójcie, co Niemcom jak pies służył (1986?) . . . . .	841
Przykład 509.	Szymon Kobylński – Noniusz. Wspominki z życia zewnętrznego. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń po 1944 roku (1986) . . . . .	842
Przykład 510.	Leszek Maruta – Lekcja języka (1986) . . . . .	842
Przykład 511.	Andrzej Waligórski – Bawiąc uczyć (1986) . . . . .	844
Przykład 512.	Andrzej Waligórski – Stróż Jasia (1986) . . . . .	845
Przykład 513.	Andrzej Waligórski – Szkoła katów (1986) . . . . .	846
Przykład 514.	Andrzej Waligórski – Zabytek (1986) . . . . .	848
Przykład 515.	Michał Stefan Dalecki – Ballada pedagogiczna (1987) . . . . .	849
Przykład 516.	Michał Stefan Dalecki – Douczanie (1987) . . . . .	849
Przykład 517.	Michał Stefan Dalecki – Dziedzic (1987) . . . . .	849
Przykład 518.	Michał Stefan Dalecki – Grzech za śmiech (1987) . . . . .	849
Przykład 519.	Michał Stefan Dalecki – Jak się stał hartuje (1987) . . . . .	850
Przykład 520.	Michał Stefan Dalecki – Legenda (1987) . . . . .	850
Przykład 521.	Michał Stefan Dalecki – Między dawnymi a nowymi laty (1987) . . . . .	850
Przykład 522.	Michał Stefan Dalecki – Nobilitacja (1987) . . . . .	850
Przykład 523.	Michał Stefan Dalecki – Podzwonne (1987) . . . . .	850
Przykład 524.	Michał Stefan Dalecki – Po latach (1987) . . . . .	850
Przykład 525.	Michał Stefan Dalecki – Rada (1987) . . . . .	851
Przykład 526.	Michał Stefan Dalecki – Reform autorzy (1987) . . . . .	851
Przykład 527.	Michał Stefan Dalecki – Rzecznik praw szkolnych (1987) . . . . .	851
Przykład 528.	Michał Stefan Dalecki – Stare kariery (1987) . . . . .	851
Przykład 529.	Michał Stefan Dalecki – Szkolna ekonomia (1987) . . . . .	851
Przykład 530.	Michał Stefan Dalecki – Tabula rasa (1987) . . . . .	851
Przykład 531.	Michał Stefan Dalecki – Tożsamość (1987) . . . . .	852
Przykład 532.	Michał Stefan Dalecki – Trójpolówka (szkolna) (1987) . . . . .	852
Przykład 533.	Michał Stefan Dalecki – Uczeń mistrza uczył (1987) . . . . .	852
Przykład 534.	Jan Gross – Nauczycielska dola (1987) . . . . .	852
Przykład 535.	Anonim – O Juleczku, co miał zwyczaj ssać palec (1987) . . . . .	852
Przykład 536.	Janusz Osęka – Analiza (1987) . . . . .	853
Przykład 537.	Włodzimierz Ścisłowski – Poemacik pedagogiczny (1987) . . . . .	854
Przykład 538.	Włodzimierz Ścisłowski – Wzory (1987) . . . . .	855
Przykład 539.	Igor Śmiałowski – Te szczeniące lata! Fragmenty wspomnień z okresu międzywojennego (1987) . . . . .	856

Przykład 540.	Krzysztof Daukszewicz – Szalet uczelniany (1988) . . . . .	<b>858</b>
Przykład 541.	Antoni Marianowicz – Profesor Jaś (1988) . . . . .	<b>860</b>
Przykład 542.	Wojciech Młynarski – Zeszytik z pierwszej klasy (1988) . . . . .	<b>862</b>
Przykład 543.	Igor Sikirycki – Białe na czarnym (1988) . . . . .	<b>864</b>
Przykład 544.	Igor Sikirycki – Dobry kolega (1988) . . . . .	<b>864</b>
Przykład 545.	Igor Sikirycki – Gdybym (1988) . . . . .	<b>864</b>
Przykład 546.	Igor Sikirycki – Kosmonauta (1988) . . . . .	<b>864</b>
Przykład 547.	Igor Sikirycki – Lubi szkołę (1988) . . . . .	<b>864</b>
Przykład 548.	Igor Sikirycki – Naiwny (1988) . . . . .	<b>865</b>
Przykład 549.	Igor Sikirycki – Nauka (1988) . . . . .	<b>865</b>
Przykład 550.	Igor Sikirycki – niesprawiedliwość (1988) . . . . .	<b>865</b>
Przykład 551.	Igor Sikirycki – Nowy półwysep (1988) . . . . .	<b>865</b>
Przykład 552.	Igor Sikirycki – Paluszek i główka (1988) . . . . .	<b>865</b>
Przykład 553.	Igor Sikirycki – Piosenka pewnego ucznia (1988) . . . . .	<b>866</b>
Przykład 554.	Igor Sikirycki – Pomoce szkolne (1988) . . . . .	<b>866</b>
Przykład 555.	Igor Sikirycki – Pomysł (1988) . . . . .	<b>866</b>
Przykład 556.	Igor Sikirycki – Problem (1988) . . . . .	<b>866</b>
Przykład 557.	Igor Sikirycki – Przed klasówką (1988) . . . . .	<b>866</b>
Przykład 558.	Igor Sikirycki – Pytanie (1988) . . . . .	<b>866</b>
Przykład 559.	Igor Sikirycki – Taki los (1988) . . . . .	<b>867</b>
Przykład 560.	Igor Sikirycki – To nieprawda (1988) . . . . .	<b>867</b>
Przykład 561.	Igor Sikirycki – Skarga lenia (1988) . . . . .	<b>867</b>
Przykład 562.	Igor Sikirycki – Skutek (1988) . . . . .	<b>867</b>
Przykład 563.	Igor Sikirycki – Spryciarz (1988) . . . . .	<b>867</b>
Przykład 564.	Igor Sikirycki – Wyznanie lenia (1988) . . . . .	<b>868</b>
Przykład 565.	Eugeniusz Iwanicki – Zwyczajna nauka (1989) . . . . .	<b>868</b>
Przykład 566.	Jacek Łopot – Ja nie narzekam. Fragment piosenki z programu Kabaretu „Długi”, do muzyki Leszka Furmana (1989?) . . . . .	<b>868</b>
Przykład 567.	Jacek Łopot, Piotr Skucha – Wolno myśleć. Fragment programu Kabaretu „Długi” (1989?) . . . . .	<b>869</b>
Przykład 568.	Ryszard Marek Groński – Nauka pływania dla topielców. Fragmenty wypisów z historii najnowszej (1990–1998) . . . . .	<b>871</b>
Przykład 569.	Irosław Szymański – Ojciec doskonały. Pogadanka na temat „Niektóre aspekty wychowania dzieci”. Fragment programu kabaretu „Loża 44” (1990?) . . . . .	<b>872</b>
Przykład 570.	Irosław Szymański – Uwaga rodzice! Fragment programu kabaretu „Loża 44” (1990?) . . . . .	<b>874</b>
Przykład 571.	Anonim – Kurs BHP (1991?) . . . . .	<b>875</b>
Przykład 572.	Anonim – Studenci na wsi (1991?) . . . . .	<b>876</b>
Przykład 573.	Krzysztof Daukszewicz – Aerobic (11.11.1991) . . . . .	<b>877</b>
Przykład 574.	Krzysztof Daukszewicz – Katecheta (1991) . . . . .	<b>877</b>
Przykład 575.	Krzysztof Daukszewicz – Ksiądz proboszcz i duch Gąsiorka (1991) . . . . .	<b>877</b>
Przykład 576.	Krzysztof Daukszewicz – O czym rozmawialiśmy? (1991) . . . . .	<b>881</b>
Przykład 577.	Krzysztof Daukszewicz – Zadanie matematyczne dla siedmioklasistów w konkursie matematycznym w katowickim Pałacu Młodzieży (5.06.1991) . . . . .	<b>881</b>
Przykład 578.	Ryszard Marek Groński – Czy warto być dowcipnym? Fragmenty (1991) . . . . .	<b>882</b>

Przykład 579.	Michał Ogórek – Trochę nauki (1991?) . . . . .	<b>882</b>
Przykład 580.	Jerzy Skoczyła – Studenckie czasy. Piosenka z programu kabaretów „Elita” i „Studio 202”, do muzyki Włodzimierza Plaskoty (po 1991?) . . . . .	<b>884</b>
Przykład 581.	Jan Tadeusz Stanisławski – Od autora. Parodia przedmowy do książki naukowej (1991) . . . . .	<b>885</b>
Przykład 582.	Jan Tadeusz Stanisławski – Wiosna dwa. Parodia wykładu naukowego (1991) . . . . .	<b>886</b>
Przykład 583.	Krystyna Sylwestrak – Na oświatę (1991–1999) . . . . .	<b>888</b>
Przykład 584.	Krystyna Sylwestrak – Uczniowska rada (1991–1999) . . . . .	<b>888</b>
Przykład 585.	Krystyna Sylwestrak – Zmiany w oświacie (1991–1999) . . . . .	<b>888</b>
Przykład 586.	Jerzy Urban – Prima aprilis, towarzysze! Fragmenty wspomnień dotyczących lat 70. XX wieku (1991) . . . . .	<b>888</b>
Przykład 587.	Krzysztof Daukszewicz – A co na świecie? Uganda (1992) . . . . .	<b>889</b>
Przykład 588.	Krzysztof Daukszewicz – Nowe w szkolnych czytankach. Marszałek Piłsudski lubi dzieci i lubi żołnierzy (1992) . . . . .	<b>889</b>
Przykład 589.	Krzysztof Daukszewicz – Praca domowa z matematyki dla dzieci, młodzieży i dorosłych (1992) . . . . .	<b>890</b>
Przykład 590.	Krzysztof Daukszewicz – Wiadomości z granicy wschodniej (1992) . . . . .	<b>890</b>
Przykład 591.	Ryszard Marek Groński – Wiejski nauczyciel oczekuje propozycji (1992) . . . . .	<b>890</b>
Przykład 592.	Krzysztof Jaroszyński – Do szkoły! (1992) . . . . .	<b>893</b>
Przykład 593.	Krzysztof Jaroszyński – Notatnik pedagoga. Fragmenty (1992) . . . . .	<b>895</b>
Przykład 594.	Jan Karnowski – Jak Sowizdrzał uczył się rozumu. Fragmenty (1992?) . . . . .	<b>909</b>
Przykład 595.	Aleksander Labuda – Wszyscy dobrze radzą (1992?) . . . . .	<b>910</b>
Przykład 596.	Wojciech Młynarski – W szkole wolności (1992) . . . . .	<b>911</b>
Przykład 597.	Roman Skwiercz – Spodnie (1992?) . . . . .	<b>913</b>
Przykład 598.	Bernard Sychta – Nauczyciel zabił (1992?) . . . . .	<b>913</b>
Przykład 599.	Bernard Sychta – Profesor (1992) . . . . .	<b>913</b>
Przykład 600.	Andrzej Waligórski – Jagienka i orzechy (1992) . . . . .	<b>913</b>
Przykład 601.	Jan Walkusz – Egzamin (1992?) . . . . .	<b>915</b>
Przykład 602.	Anonim – Po lekcji geografii (1992) . . . . .	<b>916</b>
Przykład 603.	Jerzy Stefan Feliksiak – Po egzaminie (1993?) . . . . .	<b>916</b>
Przykład 604.	Jacek Prześluga – Ęcyklopedia szalonego małolata. Fragmenty (1993) . . . . .	<b>917</b>
Przykład 605.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Lewom marsz! Fragmenty (1994) . . . . .	<b>922</b>
Przykład 606.	Krzysztof Stankiewicz – Na straży tajemnicy państwowej. Fragmenty (1994) . . . . .	<b>922</b>
Przykład 607.	Krzysztof Daukszewicz – Szkoła przetrwania (1994) . . . . .	<b>923</b>
Przykład 608.	Krzysztof Daukszewicz – Wiedźma czyli wspomnienia znachorki. Fragmenty monologu wewnętrznego z dialogami przez telefon (1994) . . . . .	<b>925</b>
Przykład 609.	Krzysztof Daukszewicz – Z konspektu kuratora Walczaka z Łodzi (1994) . . . . .	<b>928</b>
Przykład 610.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck próbuje pokierować dziećmi (1994) . . . . .	<b>928</b>
Przykład 611.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck wychodzi naprzeciw potrzebom dzieci (1994) . . . . .	<b>929</b>

Przykład 612.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck idzie na wywiadówkę (1994) . . . . .	930
Przykład 613.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck zapewnia dzieciom przyszłość (1994)	931
Przykład 614.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck przygotowuje się do matury (1994) . .	932
Przykład 615.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck posyła dzieci na studia (1994) . . . . .	933
Przykład 616.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck zleca prace naukowe (1994) . . . . .	935
Przykład 617.	Michał Bobrowski – Edek, ty draniu! Piosenka z repertuaru Sylwii Garbowicz w programie „40 Spotkanie z balladą. Paw story”, do muzyki Romana Opuszyńskiego (1995) . . . . .	936
Przykład 618.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Pamiętnik popaprańca. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z maja 1986 roku (1995) . . . . .	937
Przykład 619.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Pamiętnik popaprańca. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z maja 1986 roku (9.05.1995) . . . . .	937
Przykład 620.	Krzysztof Daukszewicz – Strajk pana profesora. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 1977 roku (1995) . . . . .	939
Przykład 621.	Waldemar Łysiak – Do przyjaciół mądrali czyli ostatnie tango w Siedemnastce (1995?) . . . . .	940
Przykład 622.	Krzysztof Daukszewicz – 1 wrzesień (1996) . . . . .	942
Przykład 623.	Krzysztof Daukszewicz – Filozofia i logika (1996) . . . . .	944
Przykład 623a.	Marek Jarośniński – Jak oszukiwać nauczycieli. Fragment o egzaminie wstępnym na wyższą uczelnię (1996) . . . . .	945
Przykład 624.	Kabaret „Potem” – Romeo i Julia i Prelegent. Fragment programu „Serca jak motyle” (1996) . . . . .	947
Przykład 625.	Jacek Prześluga – Ęcyklopedia szalonego małolata. Tom 2. Fragmenty (1996) . . . . .	949
Przykład 626.	Maciej Zembaty – Makabreska i współczucie. Fragmenty (1996) . . . . .	951
Przykład 627.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Król Manius Pierwszy. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z marca 1997 roku (1997) . . . . .	954
Przykład 628.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Król Manius Pierwszy. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z kwietnia 1997 roku (1997) . . . . .	954
Przykład 629.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Król Manius Pierwszy. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z października 1997 roku (1997) . . . . .	955
Przykład 630.	Stefan Friedmann – Le’kcja francuskiego. Fragmenty (1997?) . . . . .	958
Przykład 631.	Olga Lipińska – Co Ola wie o Reju (sierpień 1997) . . . . .	960
Przykład 632.	Andrzej Żor – Alma Mater czyli profesorskie dole i niedole. Fragment powieści satyrycznej o życiu akademickim (1997) . . . . .	961
Przykład 633.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Polska Rzeczpospolita Polska. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 29 października 1998 roku (1998) . . . . .	965
Przykład 634.	Krzysztof Daukszewicz – Między Worłujem a Przyszłozbożem. Polska Rzeczpospolita Polska. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 6 listopada 1998 roku (1998) . . . . .	966
Przykład 635.	Ryszard Marek Groński – Rewolucja w Pikutkowie po raz trzeci. Z Tuwima i Jurandota. Fragment (1998) . . . . .	966

Przykład 636.	Krzysztof Daukszewicz – Przystanek (maj 1999) . . . . .	967
Przykład 637.	Krzysztof Daukszewicz – Sylwia (1999) . . . . .	968
Przykład 638.	Henryk Grandys – Polska Akademia Nauk PAN (1999) . . . . .	969
Przykład 639.	Marek Polański – Pełnia sezonu. Fragmenty (1999) . . . . .	969
Przykład 640.	Michał Bobrowski – 57 Spotkanie z Balladą. Jesień w Kopydłowie. Fragmenty przedstawienia do muzyki Romana Opuszyńskiego (2001) . . . . .	970
Przykład 641.	Michał Bobrowski – To my. Spotkanie z Balladą. Fragmenty wspomnień o wydarzeniach z przełomu lat 60. i 70. XX wieku (2002) . . . . .	973
Przykład 642.	Jan Kaczmarek – Polak mądry po szkodzie. Na motywach fraszki Jana Kochanowskiego (lipiec 2002) . . . . .	975
Przykład 643.	Ryszard Marek Groński – Jeź na kaktusie. Fragmenty wypisów z historii najnowszej dotyczące wydarzeń z lat 1999–2002 (2003) . . . . .	977
Przykład 644.	Ryszard Marek Groński – Szkolny żarcik (2003) . . . . .	980
Przykład 645.	Artur Andrus – Eskimosek (czyli piosenka o tym, jak to dzieci muszą się uczyć piosenek o innych dzieciach zazwyczaj z dalekich krajów), do muzyki Włodzimierza Korcza (2004) . . . . .	980
Przykład 646.	Artur Andrus – Marianek Bambo (2004) . . . . .	982
Przykład 647.	Jan Pietrzak – Magistrowie od siedmiu boleści (12.05.2004) . . . . .	983
Przykład 648.	Jan Pietrzak – Państwo i wyczyn (23.08.2004) . . . . .	984
Przykład 649.	Jan Tadeusz Stanisławski – Zezem. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń w latach 50. XX wieku (2004) . . . . .	985
Przykład 650.	Zofia Nowacka-Wilczek – Podwyżka dla nauczycieli (2005) . . . . .	985
Przykład 651.	Michał Ogórek – Nieskoordynowane ruchy w oświacie (2005) . . . . .	986
Przykład 652.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck organizuje dzieciom wagary (2005) . . . . .	986
Przykład 653.	Michał Ogórek – Czas do szkoły (2005) . . . . .	987
Przykład 654.	Michał Ogórek – Wychowywanie jest procesem obustronnym (2005) . . . . .	988
Przykład 655.	Michał Ogórek – Skąd się wzięli uczniowie (2005) . . . . .	988
Przykład 656.	Michał Ogórek – Mister O’Goreck znajduje wspólny język z młodzieżą (2005) . . . . .	989
Przykład 657.	Michał Ogórek – Nauczycielom też może się przelewać (kulinaria) (2005) . . . . .	990
Przykład 658.	Stanisław Tym – Rodzina Wtorków, czyli 2 + 1 (2005?) . . . . .	990
Przykład 659.	Anonim – Ożenek a oceny społeczne (2006?) . . . . .	991
Przykład 660.	Anonim – Prawdziwy naukowiec (2006?) . . . . .	991
Przykład 661.	Joemonster.org – Chuck Norris. Z półobrotu. Fragmenty (2006) . . . . .	991
Przykład 662.	Joemonster.org – Kwiatki polityków, czyli spieprzaj dziadu! Fragmenty (2006) . . . . .	992
Przykład 663.	Joemonster.org – Z pamiętnika ministra edukacji. Fragmenty (2006) . . . . .	992
Przykład 664.	Maciej Szymkiewicz – Sejm się śmieje. Fragmenty wypowiedzi sejmowych na temat edukacji z 19.07.2006 (2006) . . . . .	993
Przykład 665.	Stefania Grodzieńska – Nie ma z czego się śmiać. Fragmenty wspomnień z okresu międzywojennego (2007) . . . . .	994
Przykład 666.	Marcin Rychlewski (oprac.) – Absurdy PRL-u. Fragmenty dotyczące wydarzeń z 1957 roku (2007) . . . . .	997



Przykład 667.	Marcin Rychlewski (oprac.) – Absurdy PRL-u. Fragmenty dotyczące wydarzeń z marca-kwietnia 1968 roku (2007) . . . . .	997
Przykład 668.	Marcin Rychlewski (oprac.) – Absurdy PRL-u. W trosce o oświatę (2007) . . . . .	998
Przykład 669.	Krzysztof Daukszewicz – Menel belgijski (2008) . . . . .	999
Przykład 670.	Krzysztof Daukszewicz – Menel z podstawówki (2008) . . . . .	999
Przykład 671.	Zdzisław Michał Kamiński – Apel (2008) . . . . .	1000
Przykład 672.	Artur Andrus – Żuj rzeżuchę. Wpis na blogu z 4 kwietnia 2009 roku (2009) . . . . .	1001
Przykład 673.	Artur Andrus – Wypracowanie. Wpis na blogu z czerwca 2009 roku (2009) . . . . .	1002
Przykład 674.	Krzysztof Daukszewicz – Porażenie. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 6 czerwca 2004 roku (2009) . . . . .	1004
Przykład 675.	Krzysztof Daukszewicz – Pamiętnik IV Rzezy. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 8 maja 2006 roku (2009) . . . . .	1005
Przykład 676.	Krzysztof Daukszewicz – Pamiętnik IV Rzezy. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 14 maja 2005 roku (2009) . . . . .	1005
Przykład 677.	Krzysztof Daukszewicz – Pamiętnik IV Rzezy. Fragmenty wspomnień dotyczących wydarzeń z 13 października 2006 roku (2009) . . . . .	1006
Przykład 678.	Krzysztof Daukszewicz – Pamiętnik IV Rzezy. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 2 listopada 2005 roku (2009) . . . . .	1007
Przykład 679.	Waldemar „Major” Fydrych – Żywoty Mężów Pomarańczowych. Fragmenty wspomnień dotyczących lat 70. XX wieku (2010) . . . . .	1008
Przykład 680.	Artur Andrus – Znaczy... Kobiety. Wpis na blogu z 8 marca 2011 roku (2011) . . . . .	1010
Przykład 681.	Artur Andrus – SRM (syndrom rodzica maturalnego). Wpis na blogu z 16 maja 2011 roku (2011) . . . . .	1012
Przykład 682.	Anna Januskiewicz, Marcin Rychlewski (oprac.) – Czarna księga humoru. Fragmenty (2011) . . . . .	1014
Przykład 683.	Grzegorz Maślanka (oprac.) – Najśłynniejsze polskie radio (2011?) . . .	1014
Przykład 684.	Grzegorz Maślanka (oprac.) – Skrzydlate słowa III Rzeczypospolitej. Edukacja III RP. Fragmenty dotyczące wydarzeń z lat 2006–2007 (2011) . . . . .	1015
Przykład 685.	Krzysztof Daukszewicz – Cwane główki i chłopaki z drogówki. Meneliki 2. Fragmenty (2012) . . . . .	1019
Przykład 686.	Wojciech Mann – Co zrobić, żeby poradzić sobie ze szkołą (2012?) . . .	1021
Przykład 687.	Wojciech Mann – Lekcja angielskiego 1 (2012?) . . . . .	1021
Przykład 688.	Wojciech Mann – Lekcja angielskiego 2 (2012?) . . . . .	1022
Przykład 689.	Jerzy Skoczylas – Ta nasza klasa. Fragmenty (2012) . . . . .	1022
Przykład 690.	Tadeusz Ross – Życie przerosło kabaret. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń w 1948 roku (2012) . . . . .	1025
Przykład 691.	Tadeusz Ross – Życie przerosło kabaret. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń w latach 50. XX wieku (2012) . . . . .	1029
Przykład 692.	Mirostław Kaźmierz Binkowski – Na dzin nauczyciela (2013) . . . . .	1031
Przykład 693.	Mirostław Kaźmierz Binkowski – Mynczarnia dobrego wychowania. Fragmenty (2013) . . . . .	1034

Przykład 694.	Jerzy Skoczylas – Elita i Studio 202. Hej szable w dłoni! Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń w latach 60. XX wieku (2013) . . . . .	1035
Przykład 695.	Jerzy A. Krakowski – Neomaturzyści (2014) . . . . .	1040
Przykład 696.	Michał Ogórek – Polska Ogórkowa. Fragmenty podręcznika dla wszystkich klas (2014) . . . . .	1041
Przykład 697.	Krzysztof Daukszewicz – Lekcja historii. Humoreska z 10 kwietnia 2012 roku (2015) . . . . .	1043
Przykład 698.	Krzysztof Daukszewicz – Dzień świrów. Humoreska z 1 września 2012 roku (2015) . . . . .	1046
Przykład 699.	Aszdiennik.pl – Jak wychować wolnego Polaka? (2016) . . . . .	1047
Przykład 700.	Alosza Awdiejew – Opowiem ci kawał. Życie ludzkie od zabawnej strony. Fragmenty (2017) . . . . .	1050
Przykład 701.	Wojciech Maziarski – Pan Prezes i podstępni harcerze (2017) . . . . .	1050

**ANEKS. Opublikowane po polsku komiczne utwory zagranicznych autorów  
dotyczące edukacji**

Przykład 702.	Michał Zoszczenko – Opowiadania o Leninie. Opowieść o tym, jak się Lenin uczył (1940) . . . . .	1053
Przykład 703.	N. Charkow – Wychowawca (1950–1953?) . . . . .	1055
Przykład 704.	A. Darbijan – Kret-ornitolog (1950–1953?) . . . . .	1058
Przykład 705.	S. Wasiljew – Cytatkiewicz (1950–1953?) . . . . .	1059
Przykład 706.	Jarosław Hašek – Lekcja religii (1959) . . . . .	1061
Przykład 707.	René Goscinny, Jean-Jacques Sempé – Mikołajek. Dzienniczki. Fragment (1960) . . . . .	1064
Przykład 708.	Ludwig Thoma – Wojna. Wypracowanie szkolne (1971) . . . . .	1067
Przykład 709.	Kurt Tucholsky – Człowiek. Wypracowanie z roku 1931 (1971) . . . . .	1068
Przykład 710.	Lew Łoginow – Dziwne dzieci (1976) . . . . .	1069
Przykład 711.	Jan Poliszczuk – Zagłada ciała (1976) . . . . .	1071
Przykład 712.	Silárd Darvas – Wzorowy pedagog (1977) . . . . .	1073
Przykład 713.	Jindřich Bešta – O szkole i rodzicach (1978) . . . . .	1074
Przykład 714.	Lubomir Feldek – Wiersz w obronie dzieci (1978) . . . . .	1077
Przykład 715.	Arkadij Awerczenko – W klasie (1988) . . . . .	1080

Bibliografia . . . . .	1084
------------------------	------

*Na wszystkich piętrach posiada szkoła swoje śmieszności i wzniosłości. Począwszy od gabinetu dyrektora aż po dyżurkę woźnego [...], który uprawia już swoją emerytalną grządkę<sup>1</sup>.*

Henryk Czarnecki

---

<sup>1</sup> H. Czarnecki, *Profesor na drodze*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988, s. 114–115.



# Wstęp

Tom ten, mimo oddania go w ręce czytelników na płycie CD, stanowi integralną część monografii *Śmiech z edukacji. Komiczny obraz edukacji w polskiej kulturze śmiechu*. Drukowany klasyczny egzemplarz ze względu na objętość byłby trudny do przeglądania, o wiele bardziej kosztowny i nieekologiczny. Zamieszczona na płycie książka w formie pliku pdf może być przez czytelnika wydrukowana w całości lub fragmentach we własnym zakresie. Plik można skopiować do komputera i czytników cyfrowych oraz przeglądać przy pomocy przeglądarek wyposażonych w wyszukiwarki wyrazów, co – mam nadzieję – ułatwi jego lekturę.

Przedstawione tu przykłady komicznych utworów dotyczących edukacji pochodzą z lat 1496–2017. W ogromnej większości są to cytaty z dorobku polskich autorów, niekiedy opatrzone komentarzami, które pozwolą zrozumieć występujące w nich wątki komiczne.

W aneksie towarzyszącym chronologicznemu zestawieniu znajduje się również kilkanaście utworów obcojęzycznych przetłumaczonych na język polski i opublikowanych w popularnych, wysokonakładowych opracowaniach satyrycznych.

Zbiór przykładów otwiera fraszka z zapisków Ambrożego Pępowskiego *Z roku 1496*, a zamyka humoreska Wojciecha Maziarskiego *Pan Prezes i podstępni harcerze* z 2017 r. Wybór fraszki nie wymaga szerszego uzasadnienia. Jest ona najstarszym, jaki udało mi się znaleźć, polskojęzycznym utworem komicznym, w którym wymieniony jest żak. Gdy chodzi o humoreskę zamykającą zestawienie, to niezbędne jest wyjaśnienie. W 2017 r. w Polsce zapoczątkowano kolejną reformę systemu oświaty. Jednym z jej elementów było „rozpoczęcie wygaszania gimnazjów”, czyli ich likwidacja. Zakończył się więc okres układania i rozpowszechniania utworów komicznych o gimnazjach, których podstawą były dotyczące ich bieżące wydarzenia. Wkrótce pojawiły się nowe wątki komiczne związane ze społecznymi konsekwencjami kolejnych decyzji politycznych w Polsce, m.in. występowanie w szkołach tzw. podwójnych roczników i zagęszczenie grup uczniów

w placówkach; strajk nauczycieli w 2019 r., uważany za największy protest tej grupy społecznej od 1993 r.; wypowiedzi Rzecznika Praw Dziecka we wrześniu 2020 r. o wykorzystywaniu przez edukatorów seksualnych w szkołach plecaków ze środkami powodującymi zmianę płci itp. Na całym świecie w marcu 2020 r. pojawiły się systemowe i edukacyjne następstwa pandemii, m.in. będące jej konsekwencją zdalne nauczanie. Wydarzenia te przyniosły tyle nowych utworów komicznych dotyczących edukacji, że wymaga to innego projektu badawczego.

W zestawieniu przykładów przeważają małe formy literackie, epickie, liryczne i dramatyczne autorstwa doświadczonych literatów, publicystów współpracujących z czasopismami satyrycznymi oraz zespołami twórców sceny i estrady, a także amatorów. Są to anegdoty, bajki, dialogi, dykteryjki, facecje, farsy, felietony, figliki, fraszki, groteski, humoreski, monologi, obrazki, opowiadania, parodie, pastisze, piosenki, powiastki, satyry, scenariusze, skecze, wiersze i in. Przytaczam również fragmenty wspomnień, pamiętników, opracowań o charakterze popularyzatorskim, a także publikacje nauczycieli i pracowników naukowych dzielących się swym komicznym dorobkiem. Mimo niewątpliwych różnic form, treści i stylu, wszystkie one mają taką samą wartość w perspektywie gelotologicznej i pedagogicznej. Dlatego też celowo nie wyróżniam żadnych utworów, pozostawiając czytelnikom wybór strategii zapoznawania się z nimi i możliwość oceny według własnych kryteriów.

Zaproponowany przeze mnie **chronologiczny układ przykładów jest względny i w wielu przypadkach hipotetyczny**. Nie udało mi się bowiem ustalić dokładnych lat napisania niektórych utworów. W większości opracowań nie wskazano dat powstania zamieszczonych w nich tekstów. W zestawieniu przykłady opatrzyłem więc rokiem lub dokładną datą wskazaną w tekście, a w przypadku ich braku – rokiem wydania publikacji, z której zostały zaczerpnięte. Nie mam jednak pewności, czy utwory te nie zostały napisane i opublikowane wcześniej. Wprawdzie w opracowaniach o charakterze antologii zwykle można znaleźć teksty opatrzone rokiem, jednak w każdym przypadku byłoby trudno ustalić, czy mamy do czynienia z rokiem jego napisania, czy opublikowania. Zorientowałem się też, że w niektórych opracowaniach istnieją przekłamania dotyczące chronologii utworów. Dlatego o kolejności przykładów w moim zestawieniu zdecydowały lata podane przez autorów utworów lub redaktorów ich opracowań, lata opublikowania poszczególnych utworów po raz pierwszy. W przypadku wątpliwości tytuł utworu opatrzyłem przypuszczalnym rokiem powsta-

nia i znakiem zapytania. Niekiedy o wiele istotniejszy od roku napisania danego utworu był rok opublikowania, bowiem to od niego rozpoczynał się długi, czasem trwający do dziś proces popularyzacji i recepcji tekstu.

Niektóre utwory zostały opublikowane w różnych wersjach, w kilku źródłach. Czasem różnice są niewielkie, dotyczą tytułów, formy składu, kilku słów lub zdań. Jeśli udało mi się do nich dotrzeć, to w przypisach wskazuję źródła do porównania.

W zestawieniu przykładów znajdują się nieliczne utwory pierwotnie opublikowane w czasopiśmie, lecz przedrukowane w antologiach tekstów satyrycznych ze wskazaniem źródła. W takich przypadkach również wskazuję w przypisie ich pierwotne źródło.

Już po otrzymaniu recenzji wydawniczej, na etapie korekty, udało mi się zdobyć od dawna poszukiwane brakujące źródła z komicznymi utworami, które w porozumieniu z recenzentką prof. UŚ dr hab. Anną Szafrąską zdecydowałem dołączyć do zestawienia przykładów. Aby nie zakłócić już zatwierzonego układu książki, dopisałem w porządku chronologicznym brakujące utwory Krystyny Żywulskiej (przykłady 232a, 232b, 252a), Stefanii Grodzieńskiej (307a) oraz Marka Jarosińskiego (623a). Są to unikalne, wartościowe pod względem gelotologicznym opracowania, moim zdaniem niezbędne w tej monografii. Informacjami o autorach oraz treściach dodanych utworów uzupełniłem table 1 i 2 i towarzyszące im analizy.

Jestem pewien, że zawarte w tym tomie zestawienie przykładów nie jest wyczerpujące. Polska kultura śmiechu jest jednak tak bogata, a literackie zbiory komicznych utworów tak liczne, że rozpoczynając pedagogiczną refleksję nad śmiechem z edukacji, po prostu trzeba od czegoś zacząć. Mam nadzieję, że opracowane przeze mnie zestawienie będzie mogło stanowić punkt odniesienia dla przyszłych badaczy. Zapraszam więc do lektury tego tomu i jednocześnie zachęcam do poszukiwań przykładów komicznych utworów, które go uzupełnią.

Przemysław Paweł Grzybowski

Bydgoszcz, kwiecień 2020

### **Przykład 1. Z roku 1496. Fraszka z zapisków Ambrożego Pępowskiego (1496)**

Dworak szkoda,  
Żak niezgoda,  
Pleban przygoda,  
Żebrak kłopotnik,  
Mnich paskuda,  
Pani ucieszenie,  
Panna wesele,  
Ale bezecna baba  
Wielka zgaga<sup>2</sup>.

### **Przykład 2. Mikołaj Rej – Co ze trzech jaj siedm uczynił (1562)**

Chłop dał syna do szkoły, wiele go kosztował.  
Potym go wziął do domu, aby go spróbował.  
Przyniesiono trzy jaja na stół uwarzone,  
Chłop rzekł: – „Umiesz wždy jakie sztuki nauczone?”  
Ten rzekł, iż: – „To ukażę, iż tu jej siedm będzie,  
U mnie dwie, u ciebie dwie, wej, co ich przybędzie!”  
Chłop wziąwszy trzy i rzece: – „Ja na tych przestawam,  
A już tobie z nauki tamty cztery dawam”<sup>3</sup>.

---

<sup>2</sup> A. Pępowski (?), *Z roku 1496*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957, s. 13.

Wszystkie komentarze, wyjaśnienia i dopowiedzenia zamieszczone w przypisach pochodzą od autorów przytaczanych utworów i/lub ich redaktorów – chyba że zazaczyłem inaczej. Przep. P.P.G.

<sup>3</sup> M. Rej, *Co ze trzech jaj siedm uczynił*, [w:] tegoż, *Figliki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970, s. 112. Źródło pierwotne: tenże, *Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, żwirząt i ptaków kstały przypadki i obyczaje są właśnie wypisane*, Drukarnia M. Wierzbiana, Kraków 1562.



**Przykład 3. Mikołaj Rej – *Żacy, co kawki na zwonicy zbierali* (1562)**

Dwa żacy na zwonicy kawięta zbierali,  
 Jeden drugiego dzierżąc z góry się wieszali.  
 Wziął jeden czworo kawiąt, a na poły było,  
 A potym go żaczysko jakoś upuściło.  
 Wpadł w wapno wielkim szczęściem, otrząsa się wstawszy.  
 Onemu pilnie grozi, ku górze weźrzawszy.  
 – „Wierę, byś miał na sobie i ze złota stulam,  
*Diabolum tibi dabo et non monedulam*”<sup>4</sup>.

**Przykład 4. Mikołaj Rej – *Żacy, co półgroszki działali* (1562)**

Żacy dwa w mecherzynę skórek nasypali,  
 Rzekomo jako półgroszków co z nich nadziałali.  
 Porzucił jeden z ciźbie, kędy chłopi stali,  
 A drugi ją pochwycił. Oni go pytali:  
 – „Coś znalazł?” Ten powiedział, iż – „Pieniędzy dosyć,  
 Ale ich na sumieniu nie chce, na swym nosić.  
 Lecz kto mi da znaleźne, niechby swe wysunął”.  
 Chłop mu dał dziesięć groszy, a ten w nogę dunął<sup>5</sup>.

**Przykład 5. Anonim – *Pater, Magister et Filius* (1579–1620?)**

Pater  
 Pódźże, pódź, pódź, Wojtalu! Nie sromaj się, synu.

Filius  
 Ej, nie pójdęc, nanuśku, boć tam siła gminu.

Pater  
 Siła gminu? Gadajże, któż ci co uczyni?

Filius  
 Ej, woleć ja się wrócić do domu, do świni.

<sup>4</sup> Tenże, *Żacy, co kawki na zwonicy zbierali*, [w:] tegoż, *Figliki...*, dz. cyt., s. 102.

<sup>5</sup> Tenże, *Żacy, co półgroszki działali*, [w:] tegoż, *Figliki...*, dz. cyt., s. 108.

Pater

O głupi! Nie rozumisz ty swemu dobremu!  
Ja bym ciebie chciał oddać komu podciwemu,  
Żeby z ciebie urobił człowieka dobrego.

Filius

Aboś mnie ty, nanuśku, nie dorobił czego?  
Wzdyć ja mam ręce, nogi. Każde będzie robił?

Pater

Będzie cię do wszelakiej nauki sposobił,  
Boś ty to jeszcze głupi, nie wiesz, co łacina,  
Którą gdybym ja umiał, ubogi chudzina,  
Nie robiłbym tak ciężko jak teraz cepami,  
Co mi waszmość panowie raczą przyznać sami.  
Wiesz, jak owo u księdza albo i we szkole  
Żołnierz nigdy nie stanie, a u mnie w stodole  
Do snopeczka wymłóci, obuchem po grzbiecie  
Wysmaruje. Ach, biada prostakom na świecie!  
Czegoć nigdy nie życzę, mój drogi synalu,  
Lecz byś mi był pociechą w moim ciężkim żalu,  
Pięknać to jest łacina! Dej ją Kurwantemu!  
Czytać, pisać, rozpierdać, poradzić drugiemu.  
Azabyś też mógł zostać czym wielkim na świecie,  
Dałbym cię tu do szkoły chociaż na dwie lecie.  
Azabyś też dał Pan Bóg, mógłbyś księdzem zostać.  
Jeżelibyś tak wielkiej rzeczy nie mógł sprostać,  
Przynamniej się wyuczysz, żebyś był kantorem.  
To byś ty po jajeczkach chodził po wsi z worem.  
Jedno że tu nie widać nikogo takiego,  
Żeby mi to pokazał uczyciela tego.

Magister

Słuchaj go, panie somsiad, czego to szukacie?

Pater

Mam też sam potrzebeczkę!

Magister

Przecie, miły bracie,

Co to za potrzebeczka, chciej mi go powiedzieć.

Pater

Nie wiem, jeśliby to miał waszmość o tym wiedzieć.

Owegoć mi to trzeba, co owo we szkole

Uczy się naukami, gdyż ja to pacholę,

Pierworodną dziecinę, przywiodłem dlatego,

Żeby go kto nauczył czego niepodłego.

Magister

To mi go dasz pan somsiad, będziem go ja uczył.

Pater

Ale by mi go waszmość po świecie nie włóczył,

Bo widzę waszmość drogę ultajską służycie.

Magister

Miły ociec, wierę go, leda co pleciecie!

Nigdy ja nie był dragon, ale pedagoga.

Pater

Odpuściż, miły panie, proszę was dla Boga!

A cóż to ten pagagos, rozpytom waszmości?

Magister

Ów to, co owo uczy dobrze ludzkie dzieci.

Pater

Waszmości mi też było, przyznom się, potrzeba,

A ponoć mi waszmości Pan Bóg zesłał z nieba.

Wyćwiczcież mi to dziecię czego frantowskiego.

Magister

Lubom chłopca nie uczył, przymiem przecie jego.

Potrzeba mi powiedzieć, jeźli się gdzie uczył.

Pater

Ej nic, świniec też pasał, także rolę włóczył!

Magister

A jak wiele na lata?

Pater

Kiedy powódź była,  
Wonczasci mi go moja niewiasta powiła.

Magister

Przecie jak wiele?

Pater

Pójdę spytać samy.  
Zda mi się, że trzydzieści lat ma przed żniwami.

Magister

Wielka to już ta kłopa!

Pater

Dużyć, jak widzicie,  
Aleć on to uczyni, co tylko każecie.  
Lepszyć też taki wielki niż mały pierdoła,  
Bo on prędzej wyszuka, gdzie czyja stodoła.  
Póddźże, Wojtalu, obłap za nóżeczkę pana!

Filius

O, dziwneć to ma nogi, jako u bociana.

Pater

Nie szczekaj, żeby się zaś na nas nie obruszył.

Filius

Odenyć mu się pludry, pono w nie naprószył.  
Coś to dziwnego! Nie łeb, lecz własny nasz kudła.  
Ino mu trochę ślepiów widać jakby z pudła.  
Putniaczek ma na głowie, a rożen u boku!  
Nie wytrwam ja u niego żadnej ćwierci roku.

Magister

Co to ten twoj[a] klopa dziwnego powiada?

Pater

Samci też to około domu przepowiada,  
Ale biedać by się to przeciwieć małemu!  
Waszmości go zalecam jako podciwe[mu].  
Uczcie, ćwiczcie także, też bądźcie nam łaskawi,  
A niechaj mi tu czasu daremnie nie trawi.

Magister

Dobrze, będziem go uczyć. Faską masła trzeba.  
Także korzec pszenice na białego chleba.

Pater

Ale, przynieś jać wom jaj na jajeńnice,  
Bo wiem[y], że to waszeć dobrze radzi jecie.

Magister

Będzie *Deo gratias* za ten upominka,  
A ja też będę uczył tego twego synka.

Pater

Zostońże tu, Wojtalu!

Filius

A jakoż bez ciebie!?  
Nie zostanę, nanuśku, nie puszczę ja ciebie!

Pater

A zostańże, synalu, będąc ja tu bywał.

Filius

Idźże, a dowiaduj się, jak się będę miewał.  
(*Tu Ociec odejdzie*).

Magister

Słuchaj, klopa, umiesz go greckie obiecado?

Filius

Mówilci też nanusiek nie raz: „zawieś sadło”,  
Aleć tu sadła nie masz, na cóż to mówicie?  
I pytom was, na czym to sadło zawiesicie.

Magister

Masz tablice?

Filius

Skrablice? A cości to dziwnego?  
Jakom żyw, [jeszcze] nigdy nie słycałem tego.

Magister

Deszczka, co na niej piszą.

Filius

Także powiadajcie.  
Owoż jest. Po naszymu wždy ino gadajcie.  
Jakież to tu ucieszne będzie rozprawianie!  
Ponoście wy to diabeł, mój łaskawy panie.  
Nie darmo się [to] mnie was serduszko lękało,  
Aż od wielkiego strachu spodem wypaść miało.

Magister

Pódź! Daj go! Przepowim ci.

Filius

O, siłać to tego!

Magister

*Dic: alfa, beta.*

Filius

Wilk świnię chwyta.

Magister

*Sed non ita, [asine]!*

Filius

Ująłci ją za szczecinę.

Magister

*Quare male dicis?*

Filius

Darmo, świnko, kwiczysz.

Magister

*Nil tu stis bona.*

Filius

Będzie z niej miał śniadanie.

Magister

Ej, będzie mię to bieda z tylo klopa głupi.

*Gamma, delta.*

Filius

Pojadł i cielęta.

Magister

*Ipsilon, zyta.*

Filius

Zmełłem korzec żyta.

Magister

*O, eodem benefari.*

Filius

Weźmieć młynarz miary.

Magister

*Quare male loqueris?*

Filius

Ino dobrze namierzysz.

Magister

Ej, nie wytrwam. Skurwa syna! Urwem cię po grzbiecie!

Filius

Diabłaż, panie, robicie! O cóż mie bijecie?

Abo ja to źle mówię?

Niech wszyscy przyznają,

Że młynarz miarę bierze, kiedy mu mleć dają.

Magister

*Itha, thita, jota.*

Filius

Złapała mysz kota.

Magister

*Tamen tu dicis male!*

Filius

Nazajutrz po świętym Michale!

Magister

Poczekaj, napiszę go czego łatwiejszego,

Ino trzeba, żebyś się nauczył każdego.

*Avis* – ptak.

Filius

Wrona – ptak.

Magister

Ale nie tak!

Filius

Ale nie tak!

Magister

*Avis* – ptak.



Filius

Wróbel – ptak.

Magister

*Scholaris* – żak.

Filius

Chłopiec – żak!

Nie mogęć ja zrozumieć waszego prawidła,

To ja powiem, czegom się nauczył u bydła:

Ptapta, wróbel,

Żelazo, skóbel;

Szynal, gwóźdz,

[Ręka, kość];

Deszczka, przęślica,

[Bijak], zapaśnica;

Powróż, lina,

Kosia, świnią;

Mieszek, worek,

Siekiera, toporek;

Fina, bdzina.

Owoż na desce takowa łacina.

Magister

Na, jeszcze go napiszę piosneczkęć jednego,

Bo widzę, że glosa masz sposobne do tego.

Filius

Umiemci ja też śpiewać także o Marusi:

Co się dzieje Marusi,

Jeszcze nóżką nie ruszy?

Magister

Będziesz śpiewał, lecz miło nie będzie twej duszy.

[Kłopa], ale mi go tam upadł krydka mego,

Podaj go prędko, podaj! Skłoń go głowa twego.

*(Tu się schyli po krydkę, przez ławę, Magister onego  
tymczasem przywiąże [i bić będzie]).*

Magister

Alberte! Czemuś w domu nie chciał pasać świnie?

Filius

Bo mnie o nie bi[ja]ła pani gospodyni.

Magister

Czemuż cię o nie biła, Alberte niebożę?

Filius

Bo mi marchy wbiegały często w ludzkie zboże.

Magister

Czemuś się go, Alberte, napała do szkoły?

Filius

Bom rozumiał, że w szkole nie tak bardzo boli.

O! Boli! Trzeba to tu bardzo mądrze gadać,

Mądrze [się] uczyć, słuchać, mądrze odpowiadać.

*(Tu ucieknie Magister, on będzie wołać)*

Przydź do ławy!

Rata, rata! Nanuśku, bo się już uduszę

Albo z wielkiej boleści ten stołek wywrócę!

Pater

A któż to tu tak krzyczy?

Filius

Jać, nanuśku, wrzeszczę,

A wzdyc mię znać po głosie, bo się z nim nie pieszczę!

Pater

Kiegoż szatana działasz, że cię tak połatał?

Filius

Bodej go tu iż nauką wielki kaduk mietał!

Uczyłci mnie tu złodziej wieszać jakieś sadła.

Bodej tu ta nauka mace diabłów zjadła!

A nuże, [mój] nanuśku, prędko mię odplątaj.

Pater

Nuże! [A] moje dżicie, na mnie nie dziesiątaj.

Pfe! Pfe! A cóż to śmierdzi, kiż choroba w tobie?

Filius

Abom ja to, nanuśku, nie musiał bđzieć sobie?

Niech ino ciebie by jął smarować licakiem,

Pewnie byś ty popuścił wczorajszem pęcakiem.

Pater

Nu, wy [skocz na onego].

Filius

Ba, chybaby na cię,

Coś mię tu [po]zostawił w tak wielkim hałasie.

Pater

Mój synalu, pódziemy tego zdrajcę szukać,

A znalazzsy, kosturem w grzbiet mu będziem pukać.

Filius

O, znajdęć go tam kędy! Pludry go opadną,

[Mam] też na przypasanie kitajkę łataną<sup>6</sup>.

### **Przykład 6. Jan Kochanowski – *O kaznodziei* (1584)**

Pytano Kaznodzieję: – Czemu to, prałacie,

Nie tak sami żywicie, jako nauczacie?

(A miał doma kucharkę); i rzece: Mój panie,

Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięćset za nie:

---

<sup>6</sup> Anonim, *Pater, Magister et Filius*, [w:] K. Budzyk, H. Budzykowa, J. Lewański (oprac.), *Literatura mieszczańska w Polsce od końca XVI do końca XVII wieku*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954, s. 224–235. Por. *Ojciec, nauczyciel i syn. Pater, magister et filius. 1579–1620 (?)*, [w:] J. Lewański (oprac.), *Dramaty staropolskie. Antologia*, t. 3, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 219–232. Intermedium dopisane w pierwszej połowie XVII w. do tzw. kodeksu horodeckiego (rkps. Ossolineum 6010), pochodzącego w większej części z końca XVI w. Według informacji ks. A. Załęskiego w t. 5 Biblioteki Starożytnych Pisarzy Polskich K. Wł. Wójcickiego, podobnej treści intermedium z 1579 r. znajdowało się w tzw. kodeksie pułtuskim.

A nie wziąłbym tysiąca, mogę to rzec śmieie,  
Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele<sup>7</sup>.

### **Przykład 7. Jan Krajewski – *O studencie chorym* (XVI–XVII w.)**

Jeden student do ojca pisał barzo chory,  
Dla potrzeby o pieniądź prosząc i doktory,  
Więc pisze: „Przysłaj mi, ojczy, co najprędzej,  
Bo mnie podobno żywym nie oglądasz więcej,  
Gorączka mię upiecze”. A ojciec, rad temu,  
Odpisał: „Po pieniądżach już nic umarłemu”<sup>8</sup>.

### **Przykład 8. Anonim – *Komedyja o Wawrzku do szkoły i ze szkoły* (1612)**

Persony rozmawiające: Wyrwa – chłop ze wsi; Wawrzek – syn jego;  
Żaczek szkolny; Lokat; Bakałarz.

*(Wszedszy Wyrwa, wodzi Wawrzka za rękę, chleb z serem jedzącego i gąsiora noszącego, a natrafiwszy Żaczka mówi)*

Słyszcie, panie *domine*, bywacież we szkole?

Żaczek

Pewnie, że częściej bywam niżli wilk w stodole.

Wyrwa

A Walantegoż by wilk miał w stodole działać?

Wolić on do obory, jeśliż chce śniadać.

I tyś jakiś przechera. Znacznież kamałarza?

Rad bym mu tego Wawrzka oddał.

Żaczek

Kogo? Łgarza?

<sup>7</sup> J. Kochanowski, *O kaznodziei*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej XV–XX w.*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953, s. 20. Źródło pierwotne: tenże, *Fraszki*, Drukarnia Łazarzowa, Kraków 1584.

<sup>8</sup> J. Krajewski, *O studencie chorym*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 58. Por. tenże, *O studencie chorym*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek)*. *Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005, s. 69.

Wyrwa

Ho, nie żartujcie sobie, trzebać mi do niego.

Przez kogo mam z nim mówić?

Żaczek

Przez Lokata jego.

Wyrwa

A to co za łopata?

Żaczek

I tyś też chłop głupi.

Wyrwa

Czamu? Ja swe drwa przedam, kto je u mnie kupi.

Żaczek

Anoż ten Lokat siedzi.

Wyrwa (*do Lokata*)

Waści dobre jutro.

Lokat

A tobie dobre wczora, miły panie mudro.

Wyrwa

Waści proszę, rad bym też dał Wawrzka do szkoły,

Bo mam inego doma, co pogania woły.

Poradźcież mi, twa miłość, jako się mam sprawić

Z panicem kamałarzem, bom ja w tym nie jest nic.

Lokat

Łatwieć to, miły bracie, dasz mu pozdrowienie,

A potym rozpierdolisz o tym swoim synie.

Wyrwa (*Ukłoniwszy się Lokatowi, idzie do Bakalarza, którego ujrzawszy z daleka ukazuje Wawrzkowi mówiąc*) Onoć to jest kamałarz, Wawrzku, widziszże go?

Wawrzek (*Wydzierając się nanuškowi z ręki, mówi z płaczem*)

Ho, porwan Walantemu, nie chcęć ja do niego.

Wyrwa

Miódci tu, bałamucie, cielęta pijają.

Wawrzek

Przetoć też tłuste mięso rzeźnicy przedają.

Wyrwa (*do Bakałarza*)

Dał Pan Bóg twej miłości dobre pozdrowienie,

A proszę o maluczkie z waścią pierdolenie.

Bakałarz

Nazbyteś się wystroił z swoją warancją,

Podobno gdzieś przy kartach ubudowałeś ją.

Ho, niech je gra boża każń, waścić to łopata

Nauczył mię, jać prostak, chociam dzieciom tata.

Wyrwa

Zasłychnąłem, że w szkole jest obyczaj taki,

Tkóry zawsze był, jest, i będzie między żaki.

Iże na święty Gawel kury przynaszają,

Tkórych na pojedynk pospołu spuszczaają,

I tkórego kur ze wszec będzie namężniejszy,

Ten też, tkóry go przyniósł, będzie nazacniejszy.

Waści proszę, tak li jest?

Bakałarz

Tak.

Wyrwa

Dobrze, mój panie,

Wygrałem ja tę bitwę, już tu za me stanie.

Nie mogłemci koguta dostać potężnego,

Alem gąsiora nabył na wybór dobrego.

Wierże mi, twoja miłość, żeć to rzecz tak duża,

Że sam na pojedynku każdej gęsi zduża,  
Osiądzie ją jak orzeł. A więc by kurowi  
Nie miał zdołać? Już tak jest, byście byli zdrowi.  
Przetoż do twej miłości o to oręduję  
I tego swego Wawrzka na to ofiaruję,  
Żeby też klorem został, z tymi racyjami,  
Że mój gąsior zwycięży, ujźrzycie to sami.  
Widzicie, i osoba sama godna tego,  
Bo jest twarzy i wzrostu dobrze poćliwego.  
Nogi do samej ziemi, suknia pękaciuchna,  
Że chudy? Ba, i matkać tak była chudziuchna.  
Umie też na kobyłę wsieść o swojej mocy,  
Karty mu się nie sprzykrzą i po całej nocy.

Bakałarz  
Dosyć już, przyjacielu.

Wyrwa  
A po kim by ty zdrów?

Bakałarz  
Po Bogu, nie po żenię.

Wyrwa  
Także mi twa mość mów.

Bakałarz  
Dość, mówię, tych zalotów, nie chwal w oczy syna,  
Zepsujeć się ten zły duch, azaż to nowina.  
Potym na cię psa nie da i matce nakurzy,  
Wszak to każdy w rozkosznych działkach łatwo ujźrzy.

Wyrwa  
Wieręć prawdę mówicie, Wawrzku, nie bądź taki,  
Nie cierpiaćbym tego, byłyby i znaki.  
Panice kamałarzu, proszę twej miłości,  
Żebyście kole niego łożyli pilności.

Jakby i klorem został, i dobrze ćwiczony,  
I mój też koszt ubogi nie był omylony.  
Wszak dosyć czasu na to, póki dREW nie przedam,  
Wróciwszy się, i jeszcze na garniec szepcu dam.  
Proszę, szanujcież mi go, jako szanowała  
Namilsza matka jego, kiedy piastowała.  
Nie trzebać go i bijać, będzieć samo słuchać,  
Tola z ochotą lezie, gdy każę poganiać.  
Już ja idę na rynek.

Bakałarz

Bogdajżeś zdrów chodził! Chodź sam, Wawrzku, czemuś sobie nóg nie umył?

Wawrzek

Nie było w izbie wody, a też matce było  
Trudno umywać, a mnie schylać się niemiło.

Bakałarz

Ba, patrz tego dyląga, nóg sobie nie umyć.  
Mało nie dorosły chłop, ma mu matka służyć?  
Weźcie mi go, wypędzę z niego grubaryją.

Wawrzek

Ho, mój domina, proszę sanctom salaryją.

*(Tu Wawrzek po odeszciu ojcowym i po chłoście siedzi przy Bakałarzu jedząc i karty przewracając pyta Bakałarza, jako którą zowią etc. Aż się ociec wróci).*

Wyrwa

Waściom Pan Bóg dobry wczas. Ba i twej miłości.  
A jakoż się Wawrzek w swej zachował pilności?

Bakałarz

Dosyćci teraz pilny, gdyby tak na potym.

Wyrwa

A małoż tego było, na dłużej nic potym.  
Wawrzku, jakoś się tu miał?



Wawrzek

Gorzej, niżli w błocie,  
Gdym był uwiązł, pomnisz li o onym kłopocie.

Wyrwa

Toś nie pił miodu w szkole?

Wawrzek

Piłem nie brzozowy,  
Ale z czegoś twardszego, podobno bykowy.

Wyrwa

A jużże cię tak prędko we szkole witano?

Wawrzek

Ho, Walkać mię witano, w dupęc mi to dano.

Wyrwa

Toś pono kłorem nie był?

Wawrzek

Nie lada klorestwo,  
Trzyma-li-ć mię kilka ich, własneć to szyderstwo.

Wyrwa

Ho, panie kamałarzu, to też być nie miało,  
A za cóż się tak wielkie gąsiorowsko dało?

Bakałarz

Gęści była, nie gąsior, czarci cię z nią dali,  
A więc oni kurowie, by kokosz mniemali,  
Nuż tartas koło gęsi.

Wyrwa

A gęś co działała?

Bakałarz

Tylko, uchylając się, na kury krzykała.  
Atoż tobie twój gąsior, co jeno gęś wstała,  
To zaś leda z kurczakiem swą bitwę przegrała.

Wyrwa

Kiś się Walanty ma dzać, samciem ja to widał,  
Gdy się mężnie z gęsiami ten gąsior potykał.  
Chybaby mi go Machną w domu odmieniła,  
Boć też owo przechera.

Wawrzek

Radać go lubiła.

Wyrwa

Jużci tak, miły Wawrzku, twojeć to nieszczęście,  
Zbawiły cię klorestwa fortele niewieście.  
Ba, panie kamałarzu, umież co ten Wawrzek?

Bakałarz

Umie leżeć na ławie, gdy trzymają, jak człek.

Wyrwa

Walanty wam dziękuje za takie łaciny,  
Żal się, Boże, że dają wam poćliwe syny.  
Toście mi go niczego jeszcze nie uczyli?

Bakałarz

Nie terazci to poznać, ale aż po chwili.

Wyrwa

Ho, diabła w czas, zarazci bywa robotę znać,  
Zostajeć za mną bruzda, gdy ja idę orać.  
Ba, i kiedybyście się pod snopem łożyli,  
I sami byście moją robotę chwalili.

Bakałarz

To to insza robota, a insza nauka,  
Siła jeść, a kęs umieć, nie lada to sztuka.

Wyrwa

Patrzcież tego bakały, jak mię odprawuje,  
Gąsiora wziął, Wawrzka bił i jeszcze żartuje.  
Wawrzku, barzoż cię ubił?

Wawrzek

Ukażęć, nanuśku.

Wyrwa

Ho, niech przy ludziach, zawiąż portki pomaluśku.  
Słyszcie, panie domine, wróćcież mi gąsiora.

Bakałarz

Zgadłeś, a chceszże go mieć?

Wyrwa

Chcę.

Bakałarz

Przydziesz poń wczora.

Wyrwa

Ho, przysięgam, ja ciebie laszczęgą strybiję.

Bakałarz

*Heus, pueri, omnes go!*

Wyrwa

Jać z wami żartuję!  
Bądźcież tedy łaskawi, pódź, Wawrzku, do domu,  
A nie powiadaj, chcesz li, o biciu nikomu.  
Boćby z ciebie, co żywo, naśmiać się musiało,  
Ba, i co żywo by cię nabdżiszkołą zwało.  
O, mili, dobrzy ludzie, jakie oszukanie  
I w mądrych się znajduje, powiedzcie swe zdanie,  
Gęś li owo, czy gąsior? Wszakeście widzieli,  
Gąsior, chyba żebyście rozumu nie mieli.  
A wždy w mię ten bakała swym rozumem wmówił,

Że nie gąsior, ale gęś, i tak mię odprawił.  
 Ja nie wiem, jako wy mu u siebie wierzycie,  
 Kiedy taki wykrętać, jako to widzicie.  
 Mógłiby tak i ludzie proste przeformować,  
 Ponieważ się nauczył tak dobrze machlować.  
 Idź, Wawrzku, po kobyłę, spieszwa się do domu,  
 Dawnochwa wyjechała nie rzekszu nikomu.  
 I znając by mógł kozły, byle chciał podzielać,  
 Spiesz się rychlej, co mieszkasz, mawać Walka czekać.  
 Uczyłciem się też i ja, i przez czas niemały,  
 Kiedym był u Zegzułów kęs, nie tydzień cały.  
 We trzy dni po kwietnicy dano mię w naukę,  
 A we cztery dni, przed święty wyprawilem sztukę.  
 Uciekleń, prosto mówiąc, takim się odprawił,  
 Jeszczem tam kalmary je porządne zostawił.  
 Ale takich wykrętów jeszcze nie bywało,  
 Czego się dziś, aż groza powiadać, nasiąło.  
 Bądźcież wszyscy łaskawi, a me pierdolenie  
 U waściów, jak ućliwych, niech ma odpuszczenie<sup>9</sup>.

### **Przykład 9. Adam Władysławiusz – *Przygody i sprawy trefne ludzi stanu wszelakiego. Fragmenty (1613)***

Po utracie trudno przyść do czego  
 Jeden szlachcic utratny, gdy przychodził k'nędzy,  
 Chciał się na starość uczyć zbierania pieniędzy.  
 Miał przedtym swoje wioskę, ale się podłużył,  
 Myślał: „Jeszcze w Krakowie będę komu służył.  
 Poznam się z niektórymi w tym akademiki,  
 Mogę słuchać pod którym więc ekonomiki”.  
 Ku Krakowu się puścił zimie tak piechotą,  
 Kiedy nawiętsze śniegi, gdy nędza z lichotą.  
 Przybiegszy stanie w domu niedaleko brony,  
 Pyta się, który doktor nabarziej uczony

<sup>9</sup> Anonim, *Komedyja o Wawrzku do szkoły i ze szkoły. 1612*, [w:] J. Lewański (oprac.), *Dramaty staropolskie. Antologia*, t. 4, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 503–513. Przypisy dotyczące tekstu: tamże, s. 635–638. Tranksypcja na podstawie przedruku K. Badeckiego „Exlibris”, z. 4, Lwów 1922 (rękopis w Bibliotece Jagiellońskiej sygn. 3526 na k. 37–39 odpis z druku). Por. K. Badecki, *Polska komedia rybałtowska. Pierwsze zbiorowe i krytyczne wydanie*, Ossolineum, Lwów 1931, s. 233–246.

Tu w Krakowie. Rzeczono, że pan Myślimita –  
Szedł do niego, z ukłonem pięknym go przywita.  
„Rozumiem to (prawi) o tej akademiej,  
Że tu uczą wszelakiej w niej filozofiej.  
Ja, żem utratą przyszedł ku niemałej nędzy,  
Chciałbym słuchać lekcycje o zbiorze pieniędzy.  
Zjednaj mi waszmość, niech tu do którego chodzę  
Magistra na naukę, ja dobrze nagrodzę”.  
Doktor widząc, że człowiek on był wpoły stary,  
Nie był taki, aby mu nie dał w prośbie wiary.  
Kazał otworzyć chłopcu Wujkową Bibliją,  
O Jakubie przeczytał jemu historyją:  
Iż z bojaźni Ezawa Jakub z ojczystego  
Domu uciekł do kraju mezopotamskiego  
Tylko z kijem, a przecie pismo o nim mówi,  
Że służbą pracowitą przyszedł k’ostatkwowi.  
„I ty podobnie uczyń. Przystań tu do kogo,  
Bądźże w posługach pilny i rządz się chędogo.  
Nie masz innej nauki między nami, bracie,  
Przez którą by pieniądze zbierać po utracie.  
Dostatków trzeba było, któreś miał, szanować,  
Nic marnie nie rozpraszać, a skromnie szafować”.  
Poszedł na miasto, dalej nie mówiąc z doktorem,  
Zawždy przecie w nędzy był, choć się bawił dworem<sup>10</sup>.

### **Przykład 10. Jan z Kijan – *Delicje szkolne* (1614)**

Gdyby kto chciał zrozumieć delicye szkolne,  
Nic nie najdzie, tylko to, że mieszkanie wolne.  
Jeszcze to dawna wola, z dawnych lat sądzona,  
Wiercimakiem w donicy jest ograniczona.  
Przywilej z pajęczyny w każdym kącie wisi,  
Który obwarowali starzy ludzie łysi.  
Zapisy na rapturach w kiesieni nosimy,  
Ktoby ich chciał poprawiać, wierę nie prosimy.

---

<sup>10</sup> A. Władysławiusz, *Przygody i sprawy trefne ludzi stanu wszelakiego teraz nowo polskim rymem spisane i nowo wydane od Adama Władysławiusza*, [w:] K. Budzyk, H. Budzykowa, J. Lewański (oprac.), dz. cyt., s. 201–202. Ze zbioru 45 fraszek, wydane w 1613 r. w Lubczu.

Skrzynka barszczu na piecu stoi okowana  
A popiołu donica w kącie malowana.  
Sam gospodarz w żupanie barszczowym, łatanym,  
Barszcz jada, w barszczu chodzi, któż jest większym panem.  
Czynszu nie dać nikomu, ani też poboru,  
Wyspać się zawsze wolno, byś chciał do niesporu.  
Późdzmy że jedno do potraw, jak tam używają,  
Któż z korzeniem, a oni korzenie jadają.  
Pociask do czarnej juchy, a głównie pieczone,  
Zaś do ostrego pieprzu dobrze przyprawione.  
Raki, co więc w pantoflach po podławiu łożą,  
Na tych ci co powetować, choć że ich nie warzą.  
Na śniadanie gorzałeczka, a na obiad kasza,  
Na wieczerzą nic nie warzą, zła nadzieja nasza.  
Jeszcze to foremniejsza, kto by nie mógł jadać,  
Wierę mu ja nie każę z doktory zasiadać.  
Co byś miał kilka niedziel trawić u doktora,  
Pomieszkaj lada kędy trochę u kantora.  
A nic więcej nie jadaj, tylko co i oni  
Wierz mi, że cie do misy wprzód nikt nie wygoni.  
Gdy sie jeszcze przypatrzysz ich porządnej sprawie,  
Wierz mi, jadł byś garścią lada gdzie na ławie.  
Mdłość na drugiego bije, gdy go groch zaleci,  
Wygląda, skąd co spadnie, niosąli co dzieci.  
Jeśli nie ma obiadu, rzodkiewkę oskrobie,  
Na poły sie rozdzieli; na też, frater, tobie.  
Drugi za kuflem piwa dał by sie zawabić,  
Byś go więc chciał i jutro w Przemyślu postawić.  
Jak sie im gdzie otworzy, toć go nalewają,  
Kwaśneli abo mętne, ba, nic nie patrząją.  
Ciśnieli też kto szeląg, nie żałują gęby,  
Wnet będzie miał dobrą myśl w sieni lada kędy.  
Daszli im też przyczynę, choć przy twoim piwie,  
Ujmą sie twoich włosów prędziuchno a chciwie.  
Ba, byś jedno zakrzywił palec na drugiego,  
Rzadkoć i pojedynkiem nie wyrządzi czego.  
Szukaj że go po świecie, a on już w Mazowszu,  
Radził bym zgodą z nimi, a dać im po groszu.

Świat im nie zagrodzony, wszędy sobie wolni,  
 Choć że też żon odeszli, młodzieńcy to szkolni.  
 Gdy kałamarz u pasa, a za czapką igła,  
 A parteski w tłomoczku, tylko jego bydła.  
 Chustek para, kołnierzyk, drugi koło szyje,  
 Choć ma drugi koszulę, tedy ją przepije.  
 Szkoła to nasze zamki, piec baszta, sień mury,  
 Rzadko gdzieby naciekło, w każdej szkole dziury.  
 Piec stłuczony, drzwi spadły, podrapane błony,  
 Z ścian lepienie opadło, zimno z każdej strony.  
 Pościeli nie wspominam, tak dostatek mamy,  
 Ledwie ruszysz widłami, trzy wiązanie słomy.  
 Na wierzchu kołdra owa, co na marach bywa,  
 Ba i wszystko za jedno, choć się nie przykrywa.  
 By jedno na wierzch słomy położył rogożą,  
 Łóżko z deszczek, co owo więc umarłych wożą,  
 Załóżmy się, że lepsze my mamy wyspanie,  
 Niżeli ty we mchowej, Miłościwy Panie.  
 Jam tego dobrze świadom, bom też bywał żakiem  
 Wtenczas, kiedym na piecu wszy bił wierzimakiem<sup>11</sup>.

### **Przykład 11. Jan z Kijan – *Przypowieść: pełna szkoła żaków* (1614)**

Jedna panna przy stole, gdy ją częstowano,  
 Chciała dwornie powiedzieć, jak z dawna mówiono:  
 Już pełna szkoła żaków (to jest: jadłam siła);  
 Rzekła: Pełen brzuch żaków, bo się omyliła<sup>12</sup>.

### **Przykład 12. Jan z Kijan – *Rekreacja szkolna* (1614)**

I wleźli w groch; chłop ujrzał, począł na nie wołać,  
 A było ich niemało, nie mógł im nic zdołać.  
 Nu dzieci nań gruzłami: „Pessime rustice!”<sup>13</sup>

<sup>11</sup> Jan z Kijan, *Sowizrzal nowy, albo raczej Nowyżrzal nie patrzęc ia iak sowy...* Kraków 1614, [w:] K. Badecki (oprac.), *Polska fraszka mieszczańska. Minucje Sowizrzalskie*, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1948, s. 143–144. Por. tenże, *Delicje szkolne*, [w:] S. Grzeszczuk, *Staropolskie potomstwo Sowizrzala. Plebejski humor literacki*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1990, s. 107.

<sup>12</sup> Tenże, *Fraszki sowizrzala nowego*, [w:] K. Badecki (oprac.), *Polska fraszka mieszczańska...*, dz. cyt., s. 164.

<sup>13</sup> Z łac. Niedobry chłopie.

A chłop mówi: „Dziateczki, a już do ruśnice?  
Wždy mnie na moim polu tu nie zabijajcie,  
Narwicie, co wam trzeba, tylko nie strzelajcie!”<sup>14</sup>

**Przykład 13. Anonim – *O chłopie, co go ksiądz nauczał, co jest święta Trójca* (1624?)**

W Niemczech, niedaleko Strażburgu, był chłop w jednej wsi, prostaczek wielki, ale dobry i pobożny, który na Wielkanoc według zwyczaju chrześcijańskiego szedł do Strażburgu, aby się grzechów swych wyspowiadał. Ksiądz, co go spowiedzi słuchał, spytał go między innymi rzeczami, coby około świętej Trójce rozumiał. Odpowiedział on chłop, iż o tym nigdy nie słyszał. Spowiednik jął mu pilnie rozpowiadać, jakoby to rozumieć miał, powiadając, że święta Trójca nic innego nie jest, jedno Bóg Ociec, Syn jego, a Duch święty. A iżby to on prostaczek łatwiej zrozumieć mógł, dał mu na przykład tak po prostu: „Tak, synaczk, rozumiej: ty jesteś, jakoby Bóg Ociec, syn twój, jakoby Syn Boży, a żona twoja, jako Duch święty. Patrzcie: oto was jest troje a jesteście jedno, jednakiej istności, jednego rodzaju wespół mieszkając. Tak też rozumieć masz i o świętej Trójcy”. To mu rozpowszechniając, kazał, aby to sobie wziął w pamięć. Potym go rozgrzeszył. Zaś w rok przyjdzie na spowiedź on chłop i trafi zaś do onego spowiednika pierwszego; zaraz go spyta, jeśli już rozumie dobrze o świętej Trójcy. Odpowie chłop: „Tatusiu miły, rozumiem dobrze o Ojcu i Synie, ale o Duchu świętym nie dobrze, abowiem to, co Ociec i Syn zarobi, to Duch święty rostera i przepije”. Ksiądz prostotę jego widząc, nie chciał mieć z niego filozofa, w prostocie jego tak go zostawił, pomniąc na on wierszyk:

Nadobna cnota –  
Szczera prostota<sup>15</sup>.

**Przykład 14. Anonim – *O chłopie, co syna do szkoły wiózł* (1624?)**

Wieśniak miał syna, którego chciał dać do miasta na naukę, i nakładł wóz drewna i kazał synowi wsieść na nie, powiadając, „że cię synu na naukę dam”. Do miasta przyjchawszy, odszedł wozu z końmi na rynku, a sam z synem do szkoły szedł. Ujrzał bakałarza, a on dzieci uczy; rzecze mu: „Księżę kałamarzu, chciałbym, abys mi z tego syna uczynił, coby mu się kłaniano, jako i drugim”. Bakałarz jego

<sup>14</sup> Tamże, s. 176. Por. tenże, *Rekreacja szkolna*, [w:] S. Grzeszczuk (oprac.), *Antologia literatury sowizdrzalskiej XVI i XVII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk – Łódź 1985, s. 209.

<sup>15</sup> Anonim, *O chłopie, co go ksiądz nauczał, co jest święta Trójca*, [w:] A. Brückner (oprac.), *Facecye polskie z roku 1624*, Akademia Umiejętności, Kraków 1903, s. 189. Por. przykład 22.



prostość bacząc, spyta go, rychłoliby to chciał mieć. „Nim oto drwa” (chłop rzecz) „na rynku przedam”. Nauczyciel się rozśmieję i rzecz: „Nie może to tak prędko być, bracie; ale jeśli chcesz rok albo siedm niechaj się uczy, tedy wżdy co z niego być może”. A chłop: „Jako rok albo siedm, a mnie ktoby drew albo gnoju na wóz kłaść pomagał? Niechajże będzie taki, jaki i ja”. – Przyda się ta przypowieść na owego, co prędko mądrym chce być, abo zaraz bogatym; ono wszystko za czasem idzie. Nadobnie Polacy i k rzecz mówią:

Co się prędko wznieci,  
To nie długo świeci<sup>16</sup>.

### **Przykład 15. Anonim – *O mistrzu, co dyscypułów nie miał* (1614?)**

Antystenes barzo wiele brał od dyscypułów, tak, że ich siła od niego odstawało; nakoniec potem żadnego nie miał. Gdy go pytano, czemu szkołę rozpuścił, iż żadnego żaka w niej nie miał, powiedział, „żem je srebrną różgą wypędził”. – Pomniał na to Antystenes:

Na tym żaden nie utraci,  
Kto naukę drogo płaci<sup>17</sup>.

### **Przykład 16. Anonim – *O sołtysie, co syn jego studował* (1624?)**

Sołtys jeden nakładał na syna w Krakowie niemającym dostatkim, ale on nakład próżno wiódł, bo p. student więcej gdzie szklankami dzwonią przeleżał, aniżeli w Kollegium. Gdy mu pieniążków nie stało, powędrował do ojca, aby mu zaś dał pieniędzy. Nieprawie się ojcu chciało, że już był nań niemato nałożył. Prędko jakoś potem kładł ociec gnój na wóz a synaczek dziwował się we drzwiach stojąc. Zawoła go ociec: „Synu, ba chodź jedno” Przyszedł: pyta go, jako po łacinie widły? – Syn rzecz: widłatus. – A gnój jako? – Odpowie: gnojatus. – A wóz? Wozatus, syn powiedział. Rozgniewał się ociec, dał mu widłami po łbu, mówiąc: Trafieć ja, łotrze, taką łacinę, znać, iżeś się za szkołą uczył. Nu, łotrze, weźmiż widłatus w rękatus, nakładajże gnojatus na wozatus, niechajże już widłatus będzie twój piórkatus a darmo mojego nakładu nie traw. – Pospolicie mówią: nie z każdego żaka ksiądz będzie, bo ono prawda:

Nie karmią łyżką nauk w Krakowie,  
Kto tam ma dziatki, snadnie się dowie<sup>18</sup>.

<sup>16</sup> Anonim, *O chłopie, co syna do szkoły wiozł*, [w:] A. Brückner (oprac.), dz. cyt., s. 177.

<sup>17</sup> Anonim, *O mistrzu, co dyscypułów nie miał*, [w:] A. Brückner (oprac.), dz. cyt., s. 87.

<sup>18</sup> Anonim, *O sołtysie, co syn jego studował*, [w:] A. Brückner (oprac.), dz. cyt., s. 31–32. Por. Anonim, *Facecyae polskie. Abo zartowne a trefne powieści biesiadne, tak z rozmaitych Authorow zebrane, iako też y powieści ludzkiey spisane. Teraz znowu poprawione, y przyda-*

**Przykład 17. Anonim – Szkolna mizeria w dialog zebrana,  
w której się zamykają wszystkie uciechy i rozkoszy  
(których nie masz) szkolne, także pokazuje,  
jakie wzgardy tych nauk, które najpierwej do Boga  
i znajomości jego prowadzą. Fragmenty (1633?)**

Do czytelnika

Szkoła swoje przewisko ma od próżnowania  
Wszelkich prac, według Greków zacniejszych mniemania.  
Lecz próżnowanie jakie, żeby zrozumieli  
Ci ludzie, co na szkoły nienawiści mieli.  
Toć się na ten czas krótko, czytelniku, pisze,  
Że szkoła nie próżnuje, ma zabawy insze.  
Większe, niż gdy cepami chłop młóci w stodole  
Abo gdy pracowicie uprawia swe role.  
Czytaj, dowiesz się snadnie, co to szkoła umie,  
Temu też chciej powiedzieć, co czytać nie umie.

Klecha

Pomagabóg, Matyja, masz jakie gomółki?

Kantor

Podobnieć by tobie mieć, co pilnujesz szkółki.  
Masz dzieci, coć przynoszą w każdy dzień śniadanie,  
Czasem też i obiady, jak jest twoje zdanie.  
Ciebie tu dominusem często nazywają,  
Żeś zjadł wszystkie nauki, tak ludzie mniemają.  
Nawet, jakom zrozumiał, leczysz i niewiasty,  
Tkórym podczas przygody dajesz leda chwasty.  
I rozumieją wszystko, że nie masz doktora  
Nad ciebie uczeńszego, jakom słyszał wczora.

Klecha

Cóż ty gadasz o chwastach, czyli to żartujesz?  
Czyli też tak ze mnie drwisz, jako pokazujesz?

---

no, b.w., b.m. 1624; Anonim, *Anonima facecje polskie abo żartowne a trefne powieści biesiadne*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 1, *Od Reja do Niemcewicza*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958, s. 61. Por. przykłady 437, 469.

Prawdać to, że ja leczę i biedne niewiasty,  
Lecz przecie; nie takimi, jak rozumiesz, chwasty.  
Mając ony swe baby, które rozumieją,  
Gdybym leda chwasty dał, to się ony śmieją.  
Lecz nie mówiąc od rzeczy, daj co jeść, Matyja,  
I ty ze mną jeść będziesz, będę z tobą i ja.  
Jest tom u mnie gomółka, także i powałka,  
Co mi ją darowała dopiero kowalka.

Kantor

Każże ją tedy przynieść, a ja też swoje dam,  
Którą od swojej druhny dopiero wczora mam.

Klecha

Wierę, frater, tak umiesz? dobrze wspomnieć ja to.  
Gdy przyjdzie petycja mnie na przyszłe lato.

Kantor

I tegoś roku mi z niej nieszczęście darował,  
Bodaj drugiej nie doczkał, coś się na nie chował.

Klecha

Także się to czcić będziem? pewnie nie wiesz zgoła  
Onej starej łaciny, której uczy szkoła.  
*Zob. Magistrum metue!*

Kantor

Ażaś ty mistrz, bracie?  
Pewnie i wy sami o tym nie pamiętacie,  
Co któryś zacny człowiek niekiedy powiedział.  
Pewnie, że lepiej prawo niżeli ty wiedział.

Klecha

Cóż takiego? powiedz mi, mój miły Matyja.

Kantor

Powiem, żebyś to wiedział, a nie tylko i ja.  
Powiedziano, lecz dawno: czci, klecha, kantora,

Żebyć nie wyleciało na balwierza z wora.  
A patrz, żeby cię kijmi nie obuszgowano,  
Żebyć rany przez gębę kiedy nie zadano.

Klecha

Widzę, że ty dziś ze mną chcesz załawiać, za łby  
Żebyśmy szli, nie widzisz tej na ścienie strzelby?

Kantor

Nie ślepymci, lecz się jej by namniej nie boję,  
Więcej ja o swój kosztur niż o strzelbę stoję.  
Jak go prędko dopadnę, strzelba cię odleci,  
Będziesz się miał wnet z pyszna, także twoje dzieci!

*(Tu Pleban przypadnie z kijem, rozkazując jednemu nakładać gnoju,  
drugiemu jechać do lasa).*

[...]

*(Tu, przychodząc do Św. Floriana szkoły, mówić będą:)*

Kantor

*Bonus vesper waszmości!*

Student

Boże wam daj zdrowie!  
A czego wam potrzeba, niech każdy z was powie.

Kantor

Jest *dominus* Albertus? o niego pytamy.  
Bo się tu jeszcze z nikim tak dobrze nie znamy.

Student

Cóż to jest za Albertus? którego szukacie,  
A jeszcze, jako słyszę, dobrze go nie znacie.

Kantor

Miał tu być, dobry kompan, aczci wprawdzie stary,

Student

Jużci dawno, gdy umarł, zaległ smutne mary.

Kantor

Ach! niestetyż, pożał się Panie Boże tego.  
Myśmy umyślnie przyszli pytać się o niego.  
Radzi byśmy tu byli gdzie miejsca dostali,  
A itegośmy się przezeń dostać spodziewali.  
Waszmość prosimy barzo, człowieka dobrego.  
Zaprowadźcie nas kędy do miejsca dobrego.  
Będziemy wam tę łaskę potym odsługować  
I jeśli dobrze będzie, z chęcią odczęstować.

Student

A skądżeście i co was tu do nas dziś przyгнаło?  
Jest tu u nas studentów podrosłych niemało.  
Miejsca próznego nie masz i ścisk między nami,  
Ledwie że się pożywić możemy my sami.  
Do tego, choćbyście też tu miejsca dostali,  
Nic byście, jak rozumiem, na nim nie wskórali.  
Stricta tu disciplina teraz przy Krakowie,  
Nie tylko ja, ale z nas każdy wam to powie.  
Naprzód wy senijora o miejsce będziecie  
Prosić, z trudna u niego łaski nabędziecie.  
Bo zaraz pytać będzie, kędyście mieszkali  
Przez ten czas, czymście się także zabawiali.  
Druga, jeśli was w rejestr publiczny wpisano,  
Jeśli *testimonium* tam, skądżeście, dano.  
Jeśli lekcyj słuchacie, majcie *praeceptora*...  
Tak jednego potkało tuż przed wami, wczora.

Kantor

Błazeństwo około nas, słabo idą rzeczy,  
Co nam Matys powiedział, to wszystko nic g'rzeczy.  
Cóż tu czynić będziemy, przynamniej za smyka  
Kędykolwiek przy szkole abo za dzwonnika  
Przystanę; o was ciężej, mój *domine frater*,  
Bo iże żonę macie, nie przyjmie was *pater*.

A to przecie na, Kraków tu z sobą pójdziemy,  
Za się czego lepszego tam sami dowiemy.

Klecha

Dla Pana Boga, proszę, mnie nie opuszczajcie!  
A żebym miał mieć żonę, tego nie udajcie.

Kantor

O, mnieć nic, ja wam życzę wszytkiego dobrego.  
Wiecie, że was miłuję jak siebie samego.  
Zda mi się, że nam przydzie gdzie indziej wędrować,  
A to w szkołach niektórych nie wadzi spróbować.  
(*Tu przyjdą do szkoły Panny Mariej*).

Kantor

Dobry wieczór waszmości, mój panie *domine*,  
Powiemy wam, ubodzy, nieszczęsną nowinę.

Signator

Aboście się popili, leda co pleciecie,  
Skądście i dlaczego tu do nas idziecie?

Kantor

Jeszcześmy nic nie jedli, jakoż wieczór wczora,  
Radzi byśmy dostali miejsca u kantora.  
Śpiewać mu pomożemy, gdy potrzeba będzie,  
Doma i też w kościele, indziej także wszędzie.

Signator

Skądście pod taki czas tu przywędrowali?  
Pewnieście tu o naszej nędzy nie słychali.  
Dawnoście tu przyszli? byliście też kędy?  
Bo wiem, że mizeryjej pełno w szkołach wszędy.

Kantor

Bogdaj szyję złamała! przed nią uciekamy,  
Dlatego też lepszego tu bytu szukamy.  
Kiedym mendykiem bywał, potym dyskancistą,

Chodziłem na wesela często z organistą;  
Żywiłem i studentów, było dobrze wszędzie,  
A teraz nie wiem, jako powodzić się będzie.

Signator

Darmo się tu włóczycie, nic tu nie wskóracie,  
Próżno się, jako widzę, miejsca spodziewacie.

Kantor

Przynamniej niechaj nocleg kędykolwiek mamy,  
A jutro się, dali Bóg, z wami oglądamy.

Signator

Możecie spać pod szkołą, tu u piwnicznego,  
Literak też kiedyś był i świadom wszystkiego.  
Ja bym radził, żebyście nie mizerowali,  
Szabliska pokupiwszy, na wojnę jechali.  
Studentów też tu od nas kilka odjechało,  
Którym się w szkole mieszkać barzo przykro zdało.  
Ledwie że im na głowie nie rąbano koła,  
Bito, więziono często, wielka to niewola.

Kantor

Przebóg! cóż jest? inakszeć tu rządy bywały,  
Gdym ja tu był mendyczkim, już to czas niemały.  
Podczas króla nowego dobrześmy się bili  
I Maksymilianaśmy z miasta wystraszyli.  
Jeśli mogę pamiętać, w Kollegijum zbroje  
Wszyscyśmy zostawili i były pokoje.  
A słychałem też przedtym od starych kompanów.  
Że studenci miewali łaskę wielkich panów.

Signator

Możnać to rzecz, bo tak jest, wszystko to dobrze wiem,  
Ale wam czasu tego coś inszego powiem.  
Nie tak był hojny Kraków w bogate klasztory,  
Tylko sami studenci śpiewali nieszpory.  
Na lekcycje, gdy było potrzeba, chodzili,

Przy mieście się ubodzy zawsze pożywili.  
Teraz mam dziwny miesiąc nastał i odmienny,  
Czyniąc wielką odmianę i dziw każdodzienny.  
Raz się księdzem okaże, drugi raz doktorem,  
A czasem alchmistą, podczas też kantorem.  
I jako miesiąc słońce przed nami zakrywa,  
Taka też ich postawka między ludźmi bywa.  
Barzo wiele tu nam far poodejmowali  
I domów barzo wiele zacnych zwywracali.  
Teraz się już wyżej pną, jako chmiel po tyce.  
Wtrącają ale w to, co się onych nie dotyczą.  
I studentów nam barzo wiele odwabili,  
I dla niewiast klasztorów wiele zasadzili.  
Czytają też lekcje, akty odprawują,  
A co księdzu należy, tego nie pilnują.  
Przysięgli, że ubóstwo zawsze cierpieć mieli.  
A pod płaszczem bogactwa wielkie ogarnęli.  
Gić nam szkodzą; nie było jako żywo tego,  
Nie było ich, a wszędy było dość dobrego.

Kantor

Błazeństwo, jako widzę, niechaj się prześpimy  
Przynajmniej; jutro wam co inszego powiemy.  
Teraz bądźcie łaskawi abo pódźcie z nami,  
Mamy tam kilka groszy, posiedzimy z wami.  
Bo nam pilna potrzeba wiedzieć wszystkie sprawy,  
Co się dzieje w Krakowie, co są za zabawy.

Signator

Dobrze, dosyćci czasu, barzo się frasuję,  
Bo wielki despekt od tych, których wam mianuję,  
Uznałem; a do tego niepotrzebne wojny  
Poturbowały pokój, w wiele lat spokojny.  
Gorzej niż na Zbarażu z nami wojowali  
I wyspać się w pokoju nikomu nie dali.  
Wydrą i studentowi sztukę chleba z gęby,  
Bogaczom często radzi zaglądają w zęby.  
Trzej, czterej po ulicach częstokroć chadzają



A ubogim studentom wszędy przeszkadzają  
Powiadając, że w szkołach nie masz nic dobrego.  
Także w nich nie obaczy porządku żadnego.  
A to się nie pokaże; bo niżli nastali,  
Żadnych turbacji nigdy szkolni nie miewali.  
Bywało mądrych ludzi zawsze po dostatku,  
Chociaż ubogo żyli nie mając dostatku.  
O tumultach nie słyhać przed czasy bywało,  
Choć studentów w Krakowie mieszkało niemało.  
Jak powiedział Albertus, do czterech tysięcy  
Bywało, i nad liczbę taką trochę więcej.

Kantor

Cóż mówicie? dobrzyć to ludzie przedtym byli,  
Słyszałem, kiedy się tu w Krakowie stawili.  
Nie wiem, o kim mówicie, jednak się domyślam.  
Zda mi się, że dochodzę trochę swoją myślą.  
Cnotliwi to są ludzie, vota swoje mają.

Signator

Ba, i swoim studentom dostatkiem jeść dają.

Kantor

Prawda to; gdy gorąco, beczka piwa w sieni.  
Kto chce, ten się napije i sztukę pieczeni  
Dostanie; który mądrze rzeczy odprawuje,  
Przy nich żadnej niewoli nigdy nie uczuje.  
Tym też dzieci do siebie często przywabiają,  
Że im obrazki, także relikwije dają.  
Nie żałują i krupek, także i kukielki  
Nawarzyć, i placków dać, wie to człowiek wszelki.  
A to się im sowicie z rodziców nagrodzi,  
Może się każdy postrzec, na co który godzi.

Signator

Wie go bies, mieszkając, tu niedaleko z nami,  
Nie wiem, by się parali temi cherchelami.  
Już tu kilka lat mieszkam, nie doznałem tego  
I nie wiem, co mi teraz prawie nowego.

Kantor

Nie maszci nic nowego, tylko stare rzeczy,  
Wiem, iże coś nowego knują, a nie k'rzeczy.  
Wźdyć tu Academia ma swe przywileje  
Potężne. Cóż się teraz takowego dzieje?

Signator

Wszystko opak. Dziś stanął świat wzdórę nogami.  
Jeżeli tu będziecie, to poznacie sami.

Kantor

Zachowajże nas, Boże, bytu takowego,  
Wolimyć wam dziś wierzyć niż próbować złęgo.

Signator

Czyńcie, jako raczycie, jeden to dzień sprawi.  
Że się to, com wam mówił, istotnie wyjawi.  
Wszakże tu niedaleko nocleg mieć będziecie,  
Jutro też kędy sobie miejsca dostaniecie.  
*Bona nox* wam, bo szkołę wkrótce zamknąć trzeba.  
Teraz owo na nocleg macie trochę chleba.

Kantor

*Deo gratias.*

Signator

Idźcie w skok, bo hałastrza idzie,  
Żeby was nie odarto, o to wam gra idzie.  
(*Tu odejdą, mówiąc:*)

Klecha

Prawieśmy z pieca na łeb obadwa trafili,  
Lepiej byśmy się byli z miejsca nie ruszyli.

Kantor

Jednakowo przespać się nam teraz nie wadzi,  
Służby teraz dostatek, tę przyjmiemy radzi.  
Widzę, że się drabanci teraz lepiej mają

Niżli ci, co z partesów w kościele śpiewają.  
Odrą, gdy się kto trafi, jakom słyszał, w nocy;  
Bronisзли sie, to tłuką zamrużywszy oczy.  
Roboty też na służbie tak wielkiej nie mają,  
Tylko karty i kostki, siedząc w bronach, grają.  
A choć z płacej nie mają dostatku żadnego,  
Przy boku zawsze konew jest piwa dobrego.  
Heryz go! już to próżno, nie myślić inaczej,  
Już być kozie na wozie! uczynić tak raczej  
Potrzeba niż ze wstydem wrócić się do domu,  
A pod nos sobie dmuchać nie damy nikomu.  
Rozumiałem, że rozkosz tu studenci mają,  
A oni, kędy mogą, zewsząd uciekają.  
Nie tak, jakom cnotliwy, przed laty bywało,  
Barzo mi się tu mieszkać zawsze podobało.  
Nie wolno było nigdzie studenta żadnego  
Szarpać abo też więzić u stanu żadnego.  
Tylko do collegium winnego oddano  
A tam sprawiedliwości słusznej pożądanio.  
Według winy nas starszy w carceres karali  
A krzywdy nam też czynić nikomu nie dali.  
Trudno dziś o tym mówić, ja bym przecie wolał,  
Żebym kędy przy szkole miejsca sobie dostał.  
Klecha Aza się który student nam natrafi dobry,  
Nie dbam, chociaż nie będzie przeciwko nam szczodry,  
Już się, widzę, na starość znowu uczyć przyjdzie,  
Jaki taki literak wszędy dobrze idzie.  
Wpiszę się do rejestru akademickiego,  
Zatym też najdę profesora łaskawego,  
Który dziatki narai dla żywności mojej,  
W prywatnych też naukach dla mnie pracę swojej  
Nie będzie chciał żałować; a ja też dla niego  
Tę torbę manny, co mam, dam z serca szczerego.  
Mam też doma dwie krowie, którem wziął w posagu,  
Masła faska, może być także ser iż twarogu.  
Lepiej z mądrymi ludźmi dobrze się obchodzić  
Niż jak ceklarz po mieście abo zbójca chodzić.  
A za tym czasem Zofki mej dusza odbieży,

Niechajże pochowana w ziemi sobie leży.  
Ja zaś księdzem być mogę, tu się poduczysz,  
Wierzcie mi, że kapłański stan jest najpocziwszy  
Niżli drabantska służba abo żywot inszy.  
Jednakowo! idź, gdzie chcesz, ja zamysłu swego  
Nie odmienię; bo widzę, że tu dosyć złego.

Kantor

Co żywo nad studenty już teraz przewodzi,  
A im dalej, tym gorzej, jak kto może, szkodzi.  
Nierad cierpię niewolej; uczyć-em się śpiewał,  
Żeby, gdy się starzeję, lepszy pokój miewał.  
Widzę, że się nam rozstać już obiema przyjdzie,  
Mnie się drabantską służyć nie zda, dobrze widzę.  
Wiem, że taka niewola niedługo trwać będzie.  
Kiedy co będę umiał, pożywię się wszędzie.  
Słyszałem, że *dormitat* w pewny czas Homerus,  
A upatrzwszy swój czas bywa też *severus*.  
Bądźcie na mię tym czasem, *domine*, łaskawi.  
Aże nas Bóg obudwu z tej nędzy wybawi.  
Jeżeli tenże zdarzy, że miejsca nabędę,  
Opak świat wywrócony opisawać będę.  
Tam się czego dobrego wkrótce doczytacie.  
To, czegośmy doznali, łatwo domacacie.  
Acz mizeryjej końca nie masz, która się zawsze przy ludziach wiesza,  
do czasu jednak jej czynię.

KONIEC

DO CZYTELNIKA

Przed laty ktoś opisał, iż wędrowała  
Tu z Polski Mizeryja; Niemców nawiedzała.  
Ale widzę, że skutków tu jej doznawamy.  
Jeśli kędy, to w szkole mizeryją mamy.  
Domyślisz się, ktoś bacznym, abo się doczytasz,  
Starych, jakie rozkoszy w szkołach były, spytasz.  
Dobrze rytmem mówiono, iż każda szkoła  
Nic nie jest, jedno *miseria sola*.

Krótko się rzeczy dotknęło wierszami,  
Ostatka się domyślą, którzy mądrzy, sami<sup>19</sup>.

### **Przykład 18. Anonim – *Dobrze mówiący, źle zrozumiany* (1650)**

Przyjechało niegdy młode książę z nauk do domu, gdzie będąc gościem, któryś przyjaciel zapyta pana młodego przed ojcem, czym się też tam w cudzych krajach bawił? – Że iura pilnował, że jurem. Na co ociec żałosny i zawstydzony powie: „A zły synu, nie potom cię tam posyłał, żebyś się bawił jurem i był jurny, ale po to, żebyś się uczył, a nie był durny”<sup>20</sup>.

### **Przykład 19. Krzysztof Opaliński – *Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzi* (1650?)**

Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzi  
Co po tych, proszę, zbiorach, co po pełnych złotem  
Skrzyniach żelaznych, które w sklepach<sup>21</sup> gęsto stoją  
Worków z zawiązanymi czuprynami strzegąc,  
Kiedy potomek wisieć<sup>22</sup>, który ma zażywać  
Tego wszystkiego, co nań chciwie zgromadasz?  
Po co te wioski sprzęgasz, a sąsiadów ciśniesz?  
Ba, czasem nie jednemu wszystko powydzierasz,  
Kiedy ten tego nigdy nie godzien, co wkrótce  
Ma po tobie dziedziczyć. (Bodaj nie dziedziczył  
Na większą hańbę domu i niesławę swoją!)  
Spytacie mię, Polacy, skąd to? Chcecież wiedzieć?

<sup>19</sup> Anonim, *Szkolna mizeryja w dialog zebrana...*, [w:] K. Budzyk, H. Budzykowa, J. Lewański (oprac.), dz. cyt., s. 299–333; Anonim, *Szkolna mizeryja w dialog zebrana...*, [w:] J. Lewański (oprac.), *Dramaty staropolskie. Antologia*, t. 3, dz. cyt., s. 181–215. Komedia rybałtowska, anonimowy utwór napisany w Wieliczce, wydany prawdopodobnie w Krakowie w 1633 r. Tekst oparty na pierwodruku. Jego motywy oraz innych staropolskich (m.in. *Pater, Magister et Filius*, *Trze straszy i balwierz*, *Mięsopust*, *Stary Dworzanin*, *Świat na opak*) posłużyły Zbigniewowi Taraniencie do opracowania scenariusza przedstawienia na scenę amatorską *Otrzęsiny*. Zob. Z. Taranienco (oprac.), *Otrzęsiny*, [w:] tegoż (oprac.), *Śmiech staropolski*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1977, s. 55–68.

<sup>20</sup> Anonim, *Dobrze mówiący, źle zrozumiany*, [w:] A. Brückner (oprac.), *Co nowego? Zbiór anegdot polskich z r. 1650*, Akademia Umiejętności, Kraków 1903, s. 26. Opracowano na podstawie: *Co nowego abo dwór mający w sobie osoby i mozgi rozmaite z których wydorne powieści, abo dworstwa, jako by nowe tego wieku apophtegmaty zebrane i na pospolity pożytek i uciechę są wydane przez Maurycjusza Trzyprztyckiego Radopatrzka Gładkotwarzkiego*, b.w., b.m. 1650.

<sup>21</sup> W piwnicach, w podziemiach.

<sup>22</sup> Ponieważ jest zbieg dwóch „ma”, jedno opuszczono.

Nie umiecie ćwiczenia dawać dziatkom z młodu;  
Owszem, przykładem swoim bardziej ich psujecie!  
Jako ma być na potem dobry, kto z dzieciństwa  
Do wszelkiego przywyknie złego i nałogów  
Niecnotliwych nabędzie; pomnijcie, co mówi  
Stary poeta, że więc skorupa, która się  
Świeżą będąc, napije smrodliwej tłustości,  
Już nigdy nie wycuchnie, ani pachnąć będzie!  
Cóż się tu właśnie dzieje? Naprzód, gdy od mamki  
Dziecię odsadzą, w drugim, i to ledwie roku,  
Że utyje jak cielę, tamże go zostawią  
Do kilku lat, aż zgnije między fraucymerem!  
Całują, pieścą, muszczą, czasem i przytulą  
Nieostroźnie, gdzieindziej, że się chłopiec zbestwi,  
Ba, czasem się nauczy, i sięgać już pocznie,  
Gdzie nie trzeba! Tymczasem papinkami karmią!  
Uchowaj, Boże, innej potrawy dziecięciu,  
Tylko co się na ątko zwykło terminować<sup>23</sup>!  
Jako to: gołąbki, kurczątka, cielątka;  
Wołowego nie dać mu mięsa, ani grochu!  
Truczna nie może być dziecięciu gotowsza.  
I tak między onemi rośnie białogłowy  
Sandranapale młode, tracąc zdrowie, wszystką  
Nakoniec czerstwość i ochotę do cnoty;  
Bo zmarnieje w więzieniu dziewczem, niż dorośnie!  
Gdy mu i na piędź wyniść z izby nie dopuszczą,  
Chyba zatkawszy gąbkę i nosek i uszka.  
A na cóż go tak długo trzymasz w tym karmniku;  
Co wżdy z niego na potem chcesz mieć, co dla Boga?  
Dopieroż ci zaledwie po różnych przymówkach  
I krewnych i przyjaciół, pośle go do szkoły!  
Przykazawszy surowie i pedagogowi  
I tym, którzy są przy nim, aby długo sypiał,  
Aby różga na ciałku jego nie powstała.  
Rośnie Jaś jak cielątka, będzie wołek z niego.  
Piszą wszyscy: że się Jaś uczy arcy dobrze,

---

<sup>23</sup> Kończyć.

Skacze z szkoły do szkoły, bo ci, co go uczą  
Chcąc się rodzicom całe w tem akomodować!  
Już przebiegł retorykę i dyalektykę,  
Już i wszystkie nauki. Szumny retor z niego;  
Trzech słów nie umie słusznie wyrzec i napisać!  
Toż z nim do filozofii, a potem do domu,  
Bo umie *in barbara* coś argumentować,  
Nie w szkole, ale w mieście! Kędy w cudzych domach,  
Gdy nie będzie *celarent*, albo też *ad raptim*,  
To nastąpi *ferio*, argument u męża  
Potężny, który jego wszystkie inne zbije<sup>24</sup>.  
Odprawiwszy tak tedy swój kurs i nauki,  
Powraca już do domu człowiekiem uczonym!  
Bo tak o nim ojciec i matka rozumie!  
Wszyscy jednak inaczej. Cóż wtedy po nim w domu,  
Kędy się nie nauczy, chyba wszeteczeństwa,  
I wszelkich niepoczciwych obyczajów oraz  
Pan ojciec w dzień i w noc i nie wyda go synek,  
Gra kostek, i tych pewnie tenże dopomoże!  
Zwadca on, wpraw się też niedługo w toż i syn.  
Rad podwiczki pilnuje, i w tem go wyrazi:  
*Ad amussim* i w innych zbytkach i nierządzie,  
I które tylko możesz ogarnąć rozumem  
Niecnotach. Ojcowski dom stanie mu na szkołę!  
Nie łoży na nauki syna i ciężko mu  
Kopę na to obrócić, a zaś tego darmo  
Nauczy się, cokolwiek i tego i wszystek  
Oraz dom zasromoci! Więc mówisz: co potem,  
Synowi po łacinie umieć? a on głupi  
Po polsku i łacinie i z ciebie przykład wzięwszy!  
Tak mu tedy ten miły dom i pomieszkanie  
Przy tatusiu wynidzie; aż się też namyśli  
Wysłać go gdzie daleko w cudzoziemskie kraje!  
Po co proszę: aby tam z małpą się ożenił,  
Albo wiec inspektora marnie okaleczył,

---

<sup>24</sup> Bardzo misterna gra słów, a nawet gra formuł sylogizmowych. Oczywiście jeżeli taki młodzian będzie się zachowywał w czymś domu jak *barbarzyńca* i zostanie *uwodzicielem*, a nie będzie się umiał *ukryć*, to nastąpi argument męża wszystko *zbijający*.

Albo zabił. Wszak wiecie niedawno przykłady!  
Wraca się pan syn z Włoch tantem do ojczyzny,  
Żonkę z sobą prowadząc a synową ojcu.  
Pociecha, dla której go trzeba było pięćset  
Mil od Polski posyłać. Nie wspominam straty  
I nakładu i kosztu, i pracy i złota,  
Które się tam rozeszło: raz na pijatyki,  
Drugi raz na zamtuzy<sup>25</sup> i złą kompanię.  
Lecz tego nie żałować, bo się grać na lutni,  
Śpiewać, skakać galardy<sup>26</sup>, ba, i po francusku  
Nauczył dyskurować, więc i *à la mode*  
Chodzić i stroić, i wszystko czynić po francusku.  
Cóż z tego? to rozumiesz, że siła ten wygrał?  
Mem zdaniem wszystko stracił, kiedy *bonam mentem*.  
Już mu i Polska śmierdzi, i wszystko w niej gani.  
O Francyi powiada, o damach, baletach.  
Nic nie umie tylko łągać, a udawać rzeczy,  
W zwierciadle nieustannie, ni tam małpa jaka  
Muszcze się, goli brodę i dwa razy o dzień.  
Toż napotem i w polskim stroju czynić będzie.  
Monstruje, perfumuje, pudruje i trefi  
Włosy, z których żelazo ledwie kiedy znijdzie!  
Mowa, strój po francusku i gest i zabawa.  
Siła przejął zwyczajów, umie i kapłona  
Drewnianego rozebrać, a zjeść prawdziwego!  
I po toż to całe ośm lat w Rzymie i w Paryżu  
Potrzeba było mieszkać? i na to się ten koszt  
Siedmdziesiąt tysięcy obrócił? i nad to:  
A toż masz korzyść z tych cudzych miłych krajów,  
Że syn twój, miasto nauk, przywiózł ci te figle,  
A presumpcyi nazbyt, którą ma o sobie,  
Że grzeczny, że uczony, że wszyscy błaznowie!  
Tylko sam nie. A ono opak to rozumieć.  
Jako jeden senator o sobie powiadał:  
Gdy też był we Francyi i ze Włoch powrócił,

---

<sup>25</sup> Nierządne domy (*Schandhaus*).

<sup>26</sup> Skoczny taniec włoski.



Że mu się w Polsce każdy zdał być ladajaki,  
Tylko on grunt. Za czasem tak mu się zaś zdało,  
Że wszyscy mądrzy, tylko on sam jeden błazen.  
Lecz ja do ciebie, ojczel! znowu się powracam,  
I pytam, co wżdy będziesz czynił z tym to synem,  
Który się świeżo wrócił? Poślesz go do dworu,  
Czy do wojska? Nic z tego. Niech się domem bawi,  
Tuć się siła nauczy a kosterować,  
Warcabami kołatać, kart grać do humoru!  
Nuż utracać, pachółków przyjmować, po miastach  
Hulać, kłócić, wadzić się, sąsiadów najeżdzać,  
Rodziców sobie znieważać, aż też utną rączkę,  
I oną piękną gąbkę sprośnie nakarbuja!  
Ty dopiero zabiegać temu chcesz; daremnie!  
Czemu? Bo już nierychło! gdy się rozbieżały  
Koła i gdy już trudno zatrzymać ich z góry.  
Spyta mię kto: nierządu tego za koniec?  
Króciusieńko odpowiem: marne ożenienie.  
W domu, jeśli się w Niemczech gdzie nie opartopił  
Przeciw woli rodziców. Zatem to nastąpi,  
Że wszystek dalszy żywot brzydko poprowadzi,  
I w domu lata strawi z powszechną niesławą,  
Bo z młodu do rozpusty i nierządu przywykł!  
To powiedziawszy, spyta mię kto: co wżdy radzę  
O wychowaniu dzieci? Powiem, tylko słuchaj.  
Z młodych lat i dziecinnych nie chowaj ich miękko,  
Niech przywyka synaczek niewczasom, córeczka  
Posłuszeństwu, bojaźni Bożej i rodziców!  
Potem na inspektora nie żałuj, a w karze  
Kaź mieć chłopię, sam także w niczem nie pobłażaj,  
Zwłaszcza gdy upór znajdziesz w jego przyrodzeniu!  
Utraty i złych rzeczy nie ucz, i owszem bron!  
Niech się też synek z tobą nie pospolituje,  
Aby cię i na potem szanował i matkę!  
Na nauki nie żałuj. Potem gdy zechcesz  
Posłać do obcych krajów, wprzód u siebie uważ,  
I kiedy, w których leciech, a gdzie i z kim posłać?  
Bo takiego potrzeba przybrać, kto by umiał

Kierować nim i jego porywczą młodością.  
 Nie żałuj na człowieka godnego, co by miał  
 Słuszną swoją powagę i respekt u niego!  
 Gdy się zaś z tych tam krajów do domu powróci,  
 Nie baw przy sobie, ale pošlij go do dworu,  
 Albo do wojska, albo też na służbę kędy,  
 Gdzieby brał swe ćwiczenie! Tak z niego mieć będziesz  
 Człowieka poczciwego i znaczną pociechę!  
 Inaczej, śmieie rzekę: Lepiej nie mieć dzieci,  
 Niżli mieć takowe, które dom twój, siebie  
 I ciebie zhańbić mają, a zhańbić na wieki!<sup>27</sup>

### **Przykład 20. Wacław Potocki – *Gniew na dzieci* (1677–1694)**

Gniewam się. Na kogóż zaś? Na swe własne dzieci.  
 O cóż? Że złe i głupie. Wina to waszeci,  
 Jeśli mają w rozumie złym ćwiczeniem dziurę;  
 Jeśli nie, wielkie głupstwo gniewać na naturę.  
 Choćci i ta łacniej się da w człeku przełomić,  
 Niż w bestyi. Możeli na krew rozłakomić,  
 Jako mu i sam skacze po multankach w plęsy,  
 Niedźwiedź człeka żywemi z młodu karmiąc mięsy;  
 Możeli zwierz naturę człęczą w lesie zdziczny,  
 Czemu jej niema w synu mądry ojciec ćwiczyć?<sup>28</sup>

### **Przykład 21. Wacław Potocki – *Jaje niż oko* (1677–1694)**

Student z okna na Żyda idącego woła.  
 Ten pojrzy, ów mu oko jajem wybił z czoła.  
 A Żyd: „Słuchaj, ty hultaj i ty – rzezce – zdrajca.  
 Czemu to bez potrzeby psujesz sobie jajca?”<sup>29</sup>

<sup>27</sup> K. Opaliński, *Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzi*, [w:] J. Lemański (oprac.), *Satyra polska. Antologia*, t. 1, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1912, s. 68–73. Por. tenże, *Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzi*, [w:] J. Kijas (oprac.), *Krzysztof i Łukasz Opalińscy. Wybór satyr*, Wydawnictwo M. Kot, Kraków 1950, s. 5–9; tenże, *Satyry*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987, s. 8–18.

<sup>28</sup> W. Potocki, *Gniew na dzieci*, [w:] J. Lemański (oprac.), dz. cyt., s. 103.

<sup>29</sup> Tenże, *Jaje niż oko*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 95.

**Przykład 22. Wacław Potocki – *Pleban uczy teologii* (1677–1694)**

Uczył prostaka, który niedługo pamięta,  
Ksiądz pleban w tym przykładzie, co jest Trójca Święta.  
„Tyś ojcem, Grześ twój synem, duchem twoja żona,  
Takać też w niebie Trójca jest błogosławiona”.  
W rok przyszedł chłop na spowiedź – w imię Boga Ojca  
Pyta go ksiądz: „A wiesz, co jest Święta Trójca?”  
„Pamiętam ci, ale to klin mi w głowę wbija,  
Co Syn z Ojcem zarobi, Duch Święty przepija”.  
„Bluźnisz – rzecze ksiądz, a wraz przykład on wyłoży –  
Bijąc się w piersi ze mną mów: Baranku Boży”.  
A chłop: „Baranie Boży”, ksiądz zaś: „Czyś pijanym?”  
Więc ten: „Wzdycь za rok będzie baranek baranem,  
Takiście mi kazali w tamtym mówić poście,  
Kiedy w dobrym chowaniu i prędszej urośnie”<sup>30</sup>.

**Przykład 23. Stanisław Jan Niewieski – *Na nieuka* (1695?)**

Cóż winna szkoła, gdy twój syn lub krewny  
Ma od natury w głowie defekt pewny.  
Daremnie winisz i narzekasz srogo:  
Rozum nie piwo, trudno go wlać w kogo<sup>31</sup>.

**Przykład 24. Anonim – *Nagrobek bakałarzowi* (XVII w.)**

Tu leży Bacalaureus,  
*Luceat ei Deus:*  
Uczył dzieci A. B. C.,  
*Requeiscat i pace*<sup>32</sup>.

<sup>30</sup> Tenże, *Pleban uczy teologii*, [w:] Z. Kuchowicz (oprac.), *Anegdoty, facecje i sensacje obyczajowe XVII i I-szej poł. XVIII wieku*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1962, s. 50–51. Por. przykład 13.

<sup>31</sup> S.J. Niewieski, *Na nieuka*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 103; tenże, *Na nieuka*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), dz. cyt., s. 142; tenże, *Na nieuka*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 114. Źródło pierwotne: tenże, *Rythmy abo wiersze Stanisława Niewieskiego, filozofijey doktora Akademiej Zamoyskiej profesora z jego kalendarzy przez 20 lat wydanych do roku 1695 zebrane, item jest tu jeszcze przydatek rytmów ze czterech kalendarzy zebranych, których w pierwszej nie było edycyjej bo się po tym napisały*, b.w., Zamość 1695.

<sup>32</sup> Anonim, *Nagrobek bakałarzowi*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), *Epigrammata, nagrobki, fraszki, ucinki, żarty, grzeczności, oraz myśli związane i dowcipne, bezimiennych pisarzy naszych, częścią już drukowane, częścią jeszcze drukiem nieogłoszone, zebrane, na*

**Przykład 25. Anonim – *Nagrobek nauczycielowi i razem organiście* (XVII w.)**

Tu leży, co bił organy i dzieci.

Niechaj mu światłość wiekuista świeci<sup>33</sup>.

**Przykład 26. Anonim – *Na chwalącego się żaka* (XVII w.)**

Me zdanie jest wyrocznią: chwalił się żak w dumie:

Prawdę mówisz: bo dotąd nikt cię nie rozumie<sup>34</sup>.

**Przykład 27. Anonim – *Nagrobek studentowi XVII. wieku* (XVII w.)**

Kto lat trzydzieści z górą na alwarze<sup>35</sup> strawił,

Którym wszystkich unudził i siebie nie bawił;

Kto postęp w rudymentach uczynił chwalebny,

Temu wieczny spoczynek koniecznie potrzebny<sup>36</sup>.

**Przykład 28. Anonim – *Silva rerum. Fragmenty rękopisu* (lata 40. XVIII w.)**

W Kolnie przez wartę nocną studenci znaczną do grasancyji przeszkodę mieli, więc, aby się pomścili, wśród ciemnej nocy, kiedy nic a nic widać nie było, w ciasnej ulicy wantuch od chmielu wielki rozpostarli, a za nim hałas uczynili. Na głos bieżą straż, nic nie widząc, jaki taki w wór, który studenci w tyle związali, i tak na śmiech straż podali<sup>37</sup>.

---

*cztery księgi rozdzielone i wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza, nakładem autora, drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1854, s. 25. Por. I.P. Legatowicz (oprac.), dz. cyt., [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, nakładem autora, druk W. Korneckiego, Kraków 1892, s. 138; S.S. (oprac.), *Księga dowcipu i humoru zawierająca przeszło 6.000 dowcipów, anegdot wierszem i prozą w XVII rozdziałach*, t. 2, Drukarnia Dziedzictwa bł. Sarkandra, Cieszyn 1932, s. 70.*

<sup>33</sup> Anonim, *Nagrobek nauczycielowi i razem organiście*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 26. Por. Anonim, *Nagrobek nauczycielowi i razem organiście*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 138.

<sup>34</sup> Anonim, *Na chwalącego się żaka*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 9.

<sup>35</sup> Alwar – chodzi o popularny podręcznik gramatyki łacińskiej autorstwa Manuela Alvarreza. Zob. M. Alvarez, *De institutione grammatica*, Venetiis Unitorum Societas, b.m. 1585. Przyp. P.P.G.

<sup>36</sup> Anonim, *Nagrobek studentowi XVII. wieku*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 5. Por. Anonim, *Nagrobek studentowi*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 730.

<sup>37</sup> Anonim, *Silva rerum*, [w:] J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Billip (oprac.), *Dawna facecja polska (XVI–XVIII w.)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960, s. 464.

**Przykład 29. Adrian Krzywogębski – *Chłopiec wyćwiczony* (1759)**

Chłopcóm gnuśnym, leniwym, kujonom i domatoróm dla ćwiczenia. Chłosty dobrej, według opisanía niżej mianowanych artykułów, szczerze i uprzejmie na zawsze życzy i winszuje.

PRZEMOWA. Kompanija i Bracia moi mili!

Z młodych lat moich, będąc u różnych osób na ćwiczeniu, umyśliłem WW. Kompanijej i Braci miłej artykuły i nauki ćwiczenia mego do wiadomości podać. Jakoż podaję, przestrzegając przy tym, żebyście każdej rzeczy z chęci swojej do usługi wszelakiej panóm swoim, nie czekając przestrogi tych artykułów, poczuwali się. Bo kto tym artykułóm nie uczyni dosyć, chłosty nie ujdzie. Zatem bądźcie weseli, jeśli będziecie mogli.

*Brat i Kompan WW. Adrian Krzywogębski.*

**ARTYKUŁ I.**

Rano, gdy wstaniesz, zaraz pomnij się przeżegnać,  
Bogu dziękuj za zdrowie, wzdłuż rąk nie wyciągać;  
Prędko potem do wody, omyj twarz nadobnie,  
Uklęknąwszy, paciorek zmów, żałuj za zbrodnie.  
Sukienki twe ochędoż, aby nic nie było,  
Co by pana twojego oczy obraziło.  
*Gdzie inaczej – Plag 10.*

**II.**

Zatem pomyśl o pańskim pilnie ubieraniu,  
Przestrzegaj, aby było wszystko przy wstawianiu  
Ochędożnie złożono, pięknie wyczesano,  
Żeby w niczym przygany nijakiej nie dano.  
Wody czystej nagotuj, ręcznik, grzebień, szczotkę,  
Mydło (jeśli potrzeba) i z flaszeczką wódkę. *Plag 72.*

**III.**

A gdy staniesz przed panem, gdziekolwiek to będzie,  
Lub w domu, lub w gościnie twój dobrodziej siędzie,  
I piędzią nie odstępuj, a stój przy nim wszędzie.  
Czekaj tego, co pan twój rozkazować będzie,  
Oka z niego nie spuszczaaj, nie oglądaj za się,  
Ale miej pilne oko na pana i na się. *Plag 15.*

## IV.

Coć też kolwiek rozkaże, lub słowem, lub okiem,  
Czynić z pilną ochotą, jak najlepszym krokiem;  
Chyba żebyć co żartem, lub w gniewie rozkazał,  
Tego nie czyń, byś sławy pańskiej nie pomazał.  
Wesoło okiem patrząc a bezpiecznie mówić,  
Bo chłopcu nie przystoi na gniew z kim załować. *Plag 10.*

## V.

Jeśli cię pan pośle w jakich sekretach kędy,  
Cicho a mądrze sprawuj, żebyś nie nabył biedy.  
A kiedyć też powierzą worek do szafunku,  
Lubo też dadzą klucze do dobrego trunku,  
Miej to pilnie na pieczy, byś szkody nie czynił,  
Sam pijąc, lub wydając, siła byś przewinił. *Plag 15.*

## VI.

Frasunek jeśli jaki trafiłby się na cię,  
O co byś chłostę pewną zasłużył, mój bracie,  
Nigdy nie taj przed panem, wyznaj prawdę śmieie,  
Bo nieprawdę znać będzie na cnocie i czele.  
Kryć się, albo uciekać, nie radzęć, niebożę,  
W karty abo w kostki grać, uchowaj cię Boże. *Plag 20.*

## VII.

Do stołu kiedy będziesz służył panu twemu,  
Nóż umyty podawaj na talerzu jemu.  
Talerze ochędożnie chustą piękną ścieraj,  
A drugiemu gotowych z ręku nie wydzieraj.  
Trzeźwo się zawsze chowaj, a nie bądź oszczercą,  
Skromnie wszego zażywaj, byś nie był obzerca. *Plag 10.*

## VIII.

Pamiętaj, abyś gębę miał zawsze zawartą,  
Nos w kącie gdzie ucieraj, stój z gębą utartą.  
Nogi zbyt nie wystawiaj, brzucha nie wypinaj,  
Czapkę za pas zatknąwszy, stój, kolan nie zginaaj.  
Nie poziewaj, a gdy co podasz panu swemu,  
Nie głową, ale nogą ukłoń się onemu. *Plag 24.*

## IX.

Przyczyny nigdy nie daj nikomu do zwady,  
Ażebyś nie nabawił pana swego zdrady.  
Zawsze (gdyż należy) czcij osobę starszego,  
Nikomu nie wyrządzaj psoty, ani złego.  
Przestrzeż pana, gdy szkoda jaka się gdzie stanie,  
Mówiąc: W tym bądź ostrożny, mój łaskawy panie! *Plag 30.*

## X.

W gościnę gdy wyjeżdżasz kędy z panem swoim,  
Pilno potem wypytaj ty dowcipem twoim,  
Co rozkaże wziąć z sobą, co doma zostawić,  
Jeśli nie chcesz kłopotu sam siebie nabawić.  
Pańskich rzeczy strzeż i swych, by nic nie zginęło,  
Jeśli zechcesz, żeby cię karanie minęło. *Plag 40.*

## XI.

Kiedy w domu zostaniesz lub będziesz przy panu,  
Pilno, proszę, przestrzegaj chłopięcego stanu.  
Boso, w jednej sukience, a choć ochędożnie,  
Pańskie słowa uważaj, a mów z nim ostrożnie.  
Gdy cię pošlą do kogo, w jakiejkolwiek sprawie,  
Jak najprędzej wracaj się, bo będziesz na ławie. *Plag 30.*

## XII.

I kiedyś się co przytrafi usłyszeć u kogo,  
Albo widzieć, żeby kto robił niechędogo,  
Zataj to sam w sobie, nie bądź nigdy świadkiem,  
Nie raduj się nad cudzym ułomnym przypadkiem.  
Nie rozsiewaj nowinek ani płonnych wieści,  
Nie wyjawiaj nikogo sekretnych powieści. *Plag 16.*

## XIII.

Cokolwiek panu podasz, z prochu pięknie ścieraj,  
A sam się o żadną rzecz nigdy nie opieraj.  
Upadnie-li też co panu twojemu,  
Pięknie oddaj do ręki z ukłonem onemu.  
Nie pięścią, ani ręką nos ucieraj sobie,  
Ale białą chusteczką, bo to zganiania tobie. *Plag 20.*

## XIV.

A jeśli się położysz spać kiedy w gościnę,  
Choćbyć kędy posłano najmniejszą pierzynę,  
Pilno ucha nadstawiaj, oczu mało zmrużaj,  
A gdy cię pan zawoła, prędko się ruszaj.  
Drzwi, okna, idąc spać, opatrzenie zamykaj,  
Cicho śpij a pięknie leż, nie chrap ani czochraj. *Plag 30.*

## XV.

Kiedy się też więc trafi panu twemu podpić,  
Lub słowem, lub też żartem prawdy co ustąpić.  
Pilno słowa pamiętaj, co i kiedy mówi,  
A ostrzeż, gdy kto na guz panu twemu łowi.  
Możesz-li, aby się spać położył, poradzić,  
Lepiej się wywczasować, aniżeli wadzić. *Plag 40.*

## XVI.

W izbie pańskiej proszeczku by nigdzie nie było,  
Jak z rąbeczku wywinął, wszystkim będzie miło.  
Bo inaczej nahajka dojmie bokom twoim,  
Gdy dość czynić nie będziesz powinnościom swoim.  
Pozmiataj ławy, stoły, ustaw szkło, miednice,  
A tak staniesz u wszystkich w grzecznej polityce. *Plag 20.*

Żebyś tych artykułów nie przepomniał czasem,  
Niechaj będzie nahajka zawsze za twym pasem.

*Przestrogi krótsze chłopcom gnuśnym i leniwym dla prędszego ćwiczenia.*

1. Rano wstawaj, prędko się ubieraj, ochędożny bądź. *Bo w tym plag 10.*
2. Szaty rano albo z wieczora pięknie wychędoż, łóżko porządnie uściel, ubrać i umyć się nagotuj. *Plag 12.*
3. Pana wszędzie pilny bądź, często nań poglądaj, nie odchodź nigdzie. *Plag 15.*
4. Pana nie gniewaj, rozkazania jego słuchaj, wesoło nań poglądaj. *Plag 20.*
5. Sekretu panu dotrzymaj, żadnej rzeczy jego nie ruszaj, wierności mu dochowaj. *Plag 30.*
6. Prawdę zawsze powiadaj, złego uczynku nie taj, kart i kostek nie graj. *Plag 20.*



7. Gębę zawieraj, nos w kącie a nie pięścią ucieraj, nóg nie bardzo wystawiaj. *Plag 10.*
8. Nie zginaj się, brzucha nie wypinaj, pięknie się kłaniaj. *Plag 12.*
9. Trzeźwo a nie obżarto się chowaj, do stołu pięknie gotuj, a chyżo się obracaj. *Plag 10.*
10. Zwady nie szukaj, starszego szanuj, panu szkody nie czyń. *Plag 30.*
11. Pana o wszystko pytaj, rozkazania jego czyń, zguby i straty jego pilno przestrzegaj. *Plag 40.*
12. Ochędożnie chodź, z panem ostrożnie mów, posłany prędko się wracaj. *Plag 12.*
13. Plotek nie rozsiewaj, mów cudzych nie wyjawiaj, z ludzi się nie oszczerzaj. *Plag 20.*
14. Polityczny bądź, gdy cię gdzie poszła, pięknie a prędko sprawuj, w mowie ostrożny bądź. *Plag 50.*
15. Zamki i okna zamykaj, czujno śpij a nie chrapaj, rzeczy powierzonych strzeż. *Plag 60.*
16. Zdrowia pańskiego przestrzegaj, od picia zbytniego się hamuj, pijane jego postęпки po trzeźwu mu powiedz. *Plag 30.*
17. Każdej rzeczy szanuj, rąk o suknie nie ocieraj, rozkazania prędko dobrze sprawuj. *Plag 12.*
18. Na ostatek ochędożno wszędzie, rzecz każda na swym miejscu niechaj zawsze będzie. *Plag 20.*

Ostatka dobry a cnotliwy chłopiec domyślić się powinien, nie czekając, aż mu rozkażą, i nie spuszczać się na tę naukę i przestrożę, bo to już lichota chłopiec, co z rejestru służy; ostatka go też nahajka nauczy, którą powinien zawsze za pasem nosić: Bo gdy chłopca nie bije, wątroba w nim nieznacznie gnije.

W KRAKOWIE, z przydatkiem i poprawą w Drukarni Sebastiana Fabiana Hebanowskiego J.K. MCi Typografa, Bibliopoli Krakowskiego i Warszawskiego. Roku Pańskiego 1759<sup>38</sup>.

### **Przykład 30. Gracjan Józef Piotrowski – *Na człowieka wszystko umięjącego, naturalnie bez uczenia się (1773)***

Nie uwierzyłbym nigdy o Mędrków narodzie  
Natrętnym i zuchwałym; których sława bodzie,  
I honor przyznawany uczynom, gdyby mnie

<sup>38</sup> A. Krzywogębski, *Chłopiec wyćwiczony*, [w:] K. Badecki, *Polska satyra mieszczańska. Nowiny sowiżrzańskie*, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1950, s. 263–268. Źródło pierwotne: tenże, *Chłopiec wyćwiczony*, Druk J.K.M. X.X. Trynitarzów, Lublin b.r.

Przykłady nie stwierdziły: co napisał w Rzymie<sup>39</sup>  
Krasomówca przez szczerość o ich brzydkiej zrzędzie,  
Bezczelnej natrętności, którą niosą wszędzie.  
Pali ich złość i zazdrość niegodziwa: skoro  
Postrzegą: że się wstawia uczonego pióro:  
Radziby zgubić imię nabywanej z pracą  
Nauki... Darmo (mówią) dni i nocy tracą  
Ludzie, którym natura w swych darach Macocha;  
Niech się puszy z czytania; i że mądrość kocha  
Kto inny, gdy krew jego i mózgu struktura,  
Niesposobne do lauru, prędzej do kosztura,  
Natura to jest hojna, dobroczynna Pani,  
Komu da bystry dowcip, a kto kogo pogani?  
Kto go przepisze prozę? Gdyby posiadał Księgi,  
I krew swoją przemienił? Próżne są mitręgi,  
Natura tryumfuje nad pracą i sztuką,  
Nic się bez jej pomocy nie nazwie nauką,  
Tak swej matki Natury mocą każdy gotów,  
Pokonać nas. Śmieją się z trudów i obrotów,  
Z bezsennych potów naszych: że kiedy z nas który  
Chce prawdy dowieść, zbiera Pismo, Ojców, Zbory  
Papieżów odpowiedzi, darmo się kłopoce,  
Znikną wnet krwawą pracą zebrane owoce,  
Jeden natury Synek miły, ukochany,  
Gdy dowcipu swojego przypuści tarany,  
Jak piorun te obali coś stawiał kolumny,  
Dowiedzie, żeś mniej z Pismem, z Ojcami rozumny,  
I skoro ci podobnych jak sam Mędrców wielu,  
Litanią wypisze; nie trafisz do celu,  
Musisz za wybranymi dziećmi do Królowy  
Natury Matki iść, gdy chcesz mieć rozum zdrowy,  
Nie chcesz paść na pośmiechy i Zoilów zęby,  
Chyba żeś tak uparty, widząc tve otręby  
Prawdy nie przełamane wojskiem, chociaż mnogiem,  
Więc musisz z twoją prawdą poczekać za progiem,

---

<sup>39</sup> X. Paulin Cheluci Sławny Orator napisał dwie mądre i śliczne mowy w *Tomie II na Mędrków*, w których dowodzi racjami i przykładami, że ci ludzie zuchwali więcej szkodzą swoim natręctwem Rzeczypospolitej uczonych niżeli głupi albo Tyrani i zburzyciele nauk.

Bo szczęśliwi ci, którzy przeciw prawdzie wojnę  
Toczą. Mają przynęty, ludzkie dary hojne;  
Aby tylko natury, wolności i Prawa  
Bronić śmiało umieli? Już ci nie zostawa,  
Który się Boga słowem bronisz, i Kościołem,  
Tylko prostym nazwać się osłem albo wołem,  
Onych przyznać za Orły, aż ku Niebu lotne,  
Tak są kółka u Mędrków chytryści obrotne,  
Tak umięją nastroić, jak bęben słuchacza:  
Iż uczonemu termin milczenie wyznacza.  
Bo na cóż darmo płynąć przeciw wodzie bystry,  
Chyba chcesz być pochłonięty przez Reny lub Istry.  
Poddaj się albo ustą; bo i kilkuletni  
Nauki lustr twój zniknie; i sam jak najszeptni  
Uczęstowany będziesz bluźnierstwami, krzyki,  
Że chcesz łamać natury twym dziwactwem szyki.

Blichtry tedy są jedne: Pismo z swym wykładem,  
Ojców zdania: co Hersztaów nie otruci jadem  
Podali nam moralność. Za nic Cyclerony,  
Liwiusze, Tacyty... Maro napuszony,  
I nadziany bajkami, w ciemnościach uwity  
Horacjusz, ten krótki, ten nad to obfity,  
Krótko mówiąc: omylni dawni Autorowie  
Rzodkiew, kapustę mieli zamiast mózgu w głowie<sup>40</sup>,  
Za dowcip, impet próżny Morei Bogini,  
Którą Ryżem, Senesem kadzili Latyni<sup>41</sup>.  
Takie są mowy Mędrków. Małpy jest portretem  
(Powiadają) kto swoim wzgardziwszy impetem  
Od natury, na ich się ducha styl przestraja,  
Tego chcesz naśladować w Hostoryji Baja?  
Łgać się darmo nauczysz. Tego Polityka  
Trzymasz się? Który myśli wysoko pomyka,  
I w dzikich zawiłościach rzecz swoją stanowi,

<sup>40</sup> Expressje i wyrażenia dawnych Poetów Plauta i Terencjusza, którzy o głupich to nadmieniali, że tykwę albo rzodkiew, nie mózg ma w głowie.

<sup>41</sup> Moria albo Morea była głupstwa Bogini. Której zaślubieni, czynili ofiary Łacinniej w Kadzidle, albo z Ryżu, albo z Senesu.

Więc chcesz się stać podobnym widzę Platonowi,  
Co w miesiącu fundował swoją Rzecz-Pospolitą  
Wymysłami samymi tylko znamienitą,  
Co po tych Chimerykach, po tym Książek lesie,  
Których głowa subtelna i jasna nie zniesie  
Chyba zbyt wołowata, do pracy wykuta,  
Niech ją taka zabawia zbyt ostra pokuta:  
Ślęczyć, smażyć się, blednąć nad Książek gromadą,  
Które są dowcipowi czystemu zawadą.  
Tak mówił o oczach moich Trzepalski Gaduła,  
Do jednego w czytaniu właśnie jakby muła  
Nieustannego, ale gruntownego w zdaniu,  
Nie na szumnym istotę mądrości gadaniu,  
I słówek zawilości wskrzeszanych od wieku  
Fundującego, lecz co jest pierwszą w człowieku  
Chwałą, na Boga Prawie, na Kościoła woli  
Broniącego uporu i w zdaniach swywoli  
Po tym też na rozumie, na świadectwach ludzi  
Leszych, co żaden radą porywczą nie łudzi.  
Ten tedy pan Trzepalski Salomon milutki,  
Jedyny Syn natury dziwne działał skutki,  
Gasił nas wszystkich, cośmy książek świadectwami,  
Historyji dowodem, Wieszczów wyrazami,  
Kompanią bawili. Ogłuszył nas tonem,  
Najbardziej tryumfując, gdy był zwyciężonym.  
Natura, wola, skłonność i obiektu lube  
Dawały mu projekta do mowy lecz grube,  
Cośmy zaś w kontr mówili, on zębami zgrzytał,  
I za bajki to marne zuchwale poczytał,  
Pytał się nas z pogardą, czyśmy byli przy tym?  
Kiedy Bóg świat ten stwarzał trybem należyty,  
I porządkiem z niczego w sześciu dni rozmiarze?  
Czyli Kancelaria jego, Pieczentarze,  
Agenty, Pomagacze, są z nami w przyjaźni?  
Mojżesz, Hiob i Prorocy, czyż te groźby kaźni,  
Prawa, zjawienia, Rady stylem Mahometa,  
Jako równi mu ludzie nie pisali? Że ta  
Tylko jest w nich odmiana: iż kilku pisało,

Przecież do sentymentów w nich różności mało?  
Ze świadectw więcej; iż Kościół swym rozkazem  
Przez wieki każe przyjąć, nam wszystko obłazem,  
Tak rezonował śmiało, tak się sadił w słowa!  
Miny, groźby! Na wszystko odpowiedź gotowa:  
Albom ja chłop? Poddany Rzymu? Augustyna?  
Zboru w Trydencie? Cóż to dla mnie za przyczyna,  
Bym się tym zdaniom poddał i ludzkim ustawom,  
Mogęź pójść w kontr instynktom i natury Prawom?  
Mieszal troje nie widy od potopu świata,  
To naturą, to znowu i pismem przeplata,  
Który tekst w Pieniach albo w Jana objawieniu,  
Zdał mu się do wykrętów, przeciw rozumieniu,  
Powszechnemu Kościoła, na tym się zasadza;  
Gdyśmy rzekli: nie tak nam to najwyższa władza,  
(Którą Duch Boski Rządzi) w Kościele tłumaczy;  
Ani jeden sens Pisma; on znowu inaczej:  
A mnie co do tej Władzy. Co do Pisma (prawi)  
Niech w nim sobie gmerają, jako chcą ciekawi,  
U mnie rozum i serce Prawem, i Kościołem,  
Wszystkie Zbory, Ojcowie niech się zejną społem,  
Nie ustąpię dlatego, że ich mnie więcy,  
Im wolno, mnie też wolno... Zwyczaj to zwierzęcy,  
Iść pasmem za drugimi właśnie do koryta,  
Ta mniej Ojców powaga za serce nie chwyta,  
Każdy Ojciec był jak ja, mnie podobny człowiek.  
Skądże ta znowu nosa zuchwałość i powiek?  
Bym dlatego, że tamten stary pisał dawni,  
Dał mu rozum osiodłać... Świadkowie są jawni  
Wszelkiej prawdy rozum nasz, zdrowe całe zmysły,  
Na nich wszelkie wykłady, twierdzenia zawisły.

Chcieliśmy go przekonać jak zwyczaj po wątku  
Idąc najprzód do źródła rozumu, z początku  
Zdrowego; potem przez grzech zbłąkanego... Ale  
Było to słowa tracić, na wiatr puszczać całe;  
Człowiek ów pełen siebie bez czytania, rady,  
Gdzie tylko co usłyszał: zdanie lub przykłady

Nieforemne, to roił, i na jednej dumie,  
Uporze, śmiechach mniemal całą moc w rozumie.

Westchnąłem ja i rzekłem: Wielki Oratorze<sup>42</sup>  
Prawdęś nam szczerą wydał o tych ludzi sporze!  
Przykłady, odpowiedzi nieforemne, harde,  
(Któreś zebrał w tych Tomach) ostatnią pogardę  
Ku książkom i uczonym pokazują jaśnie,  
Wszystko co mamy z pracy, u nich to są baśnie,  
A zatym i ten wniosek nieomylnym celem,  
Co był twych mów jedynym, (o którym niewielem  
Ja mówił) wydaje się przez śliczne dowody:  
Że więcej ci, niż głupi, czynią w świecie szkody,  
Zwodzą ludzi, mieszają pokój, grunt sumienia,  
I niewinnych odwodzą od drogi zbawienia<sup>43</sup>.

**Przykład 31. Gracjan Józef Piotrowski – *Na grubiaństwo,  
pochodzące z domowej złej edukacji (1773)***

Jadąc raz do Warszawy, w lesie niedalekiem  
Zjechałem się z Francuzem, arcymądrym człekiem,  
Który tu guwernera w znacznym bardzo Domu  
Urząd sprawował; słowem najmniejszym nikomu  
Nie umiał się sprzeciwić, człowiek dziwnie słodki  
Szczery w zdaniach rozsądnych bez żadnej ogródki.  
Ten po różnych pytaniach i dyskursach ze mną,  
Gdy polubił mą szczerłość i ludzkość przyjemną,  
Wkroczył w przyjaźń. Aże nam tak przypadła droga;  
Pomieściła nas karczma na nocleg uboga.  
Gdzie on przy kolacji pierwszy mię zagadnie  
O jakżeby w tym polskim kraju było ładnie!  
Lud mężny, ziemia żyzna, prawo piękne, wody,  
Lasy, łąki i inne rzeczy do wygody  
Miejsca do fortec dane od natury wcale,

<sup>42</sup> W.X. Paulinie Cheluci, jako wyżej: Tomo II, In Scieles II. Orasiene.

<sup>43</sup> G. Piotrowski, *Na Człowieka wszystko umiejącego, naturalnie bez uczenia się*, [w:] tegoż, *Satyr przeciwko zdaniom y zgorzseniom wieku naszego*, t. 1, *Za powodem Satyra Jana Kochanowskiego, xiążęcia naszych poetów, który się na końcu Satyr kładzie*, wydany, Scharum Piarum, Warszawa 1773, s. 68–73.

Cóż mówić o dowcipach? Te ja na nader chwałę.  
Zdrowie w Ludziach, sposobność do wszelkiej pracy,  
Zgoła przodkować w świecie mogliby Polacy,  
Ale tylko dwie rzeczy, że się prawda rzecze,  
Naród ten śliczny gubią, gorzej niżli miecze,  
Niżli nieprzyjacielskie ognie i najazdy,  
Co że prawda, przyzna mi sprawiedliwie każdy.  
Cóż takiego? Pytam go i nadstawiam ucha.  
Odpowie: Wychowanie, gdy tylko pielucha  
Dzieci rozwiąże w samym grubiaństwie dzikiem,  
Rozkoszą i pieszczotą, zaraz jak wabikiem  
Przywyknie dziecko z młodu (bo ten wiek się skłania  
Jak gałązka) do uciech i do próżnowania...  
Tę maksymę uroi sobie za prawidło  
Że sami gminni ludzie, którzy są jak bydło,  
Pracować mają, do nich kunszta, wolne sztuki  
Należą. Szlachta mogą być szczerze nieuki;  
Honor i sława onych w Herbowym klejnocie,  
W Genealogii dawnej, lecz nie w czoła pocie.  
Nie w obrotach codziennych, i porządnej pracy,  
Jakż z nich korzyść potem krajowi, i jacy  
Obywatele będą? Druga kraju zguba  
O równości zuchwała opinia, gruba,  
Przez którą sama dzikość, w młodych sercach rośnie  
Wzgarda Urzędów, Prawa, o czym wspomnieć sprośnie.  
A tak Rzemieślnik, Kupiec, Malarz, zawołany  
Złotnik, przedni Architekt, choć pomiędzy Pany  
Więszymi uczczon będzie, którzy znają rzeczy  
Potrzebne i przystojne krajom... wnet skaleczy,  
Znieważy imię jego Domator, z pogardą  
Iglę, pędzel wyśmiej, łokieć, skórę twardą.  
Jakoby to rzemioseł znaki i postaci  
Były cechą, dla której człowiek honor traci.  
Z drugiej strony i sam Król, Senator acz letni,  
Minister, Sędzia będzie spotwarzon najszpetni,  
Czemu? Bo różność na tym Wolności żrenica  
Zda się być w grubiaństwie prostego Szlachcica,  
By każdego znieważył, zelżył gdy się zdarzy,  
Samą tylko zuchwałą minę nosząc w twarzy.

Kiedy pocznie dopiero, wywodzić mi jaśnie,  
 Jak przez te dwie zarazy, lustr Polski schnie, gaśnie,  
 Goślicki wasz rozumny (mówił dalej) w Tomie  
 O Senatorze dobrym, to świadczy widomie:  
 Że taki kraj, Królestwo, i rząd w całym ciele,  
 Jacy będą onego, cni Obywatele<sup>44</sup>.

Ja wprawdzie u zacnego żem zostawał Dworu  
 Wszystko mi szło pomyślnie, prawie do honoru.  
 Państwo zacni, rozsądni, wielce oświeceni,  
 Prócz wspaniałej nadgrody, nigdy nich nie mieni  
 Nic w sentymentach, zdali moc zupełną rządu  
 Nauki na mnie, aże do samego lądu  
 Pókim z dwoma Synkami, nie przepłynął głębi,  
 Więc nigdy mych gorących chęci nie oziębi  
 I przywiązania do nich, niewdzięczność szalona,  
 Lecz widziałem jak inne Matki, prawie z łona  
 Radyby swych Synalów, nie spuściły, do ty  
 Dając jeszcze inne przydatki ślepoty.  
 Mdląła jedna Sąsiadka, gdy jej Jasia brano  
 Do Szkół raz pierwszy, a już jemu rachowano  
 Piętnasty rok. Co tydzień, czaczka, bagatelki,  
 Prowiant wysyłała. Pewnie tam niewielki  
 W Jasiu był z nauk profit. Chłopiec byle za co  
 Płakał, kwilił się, kłamał, kłął, całe ladaco  
 Choć pannę dworską zelżył, uderzył co siły,  
 Miał godnego po gębie, mój Jasiuśko miły,  
 Pogrożono po nosie i już ci po karze,  
 Strzelał bąki, a potem z Kupidyńkiem w parze  
 Już naciągał cięciwko, co raz żywiej z boku<sup>45</sup>  
 Gębusię krzywił, Starym podrzeźniał, mars w oku;  
 Dobry żołnierz Jaś będzie, ma rezon po temu,  
 A tak Bohaterowi, Jasiowi małemu,  
 Było wolno wojować. Trafił się raz pewny  
 Młody Zakonnik gościem, Domu tego Krewny,

<sup>44</sup> Wawrzyniec Grzymała Goślicki, Biskup poznański w Książce *de Optimo Senatore*, bardzo rozumnej, w Części I. ma to zdanie: *Tales sunt Respublica, quales Cives*.

<sup>45</sup> Kupidyndy malują próżnującego, i z łuku strzały do serc ludzkich naciągającego.



Uczciwy i rozumny. Więć matka Jasiowi!  
Szacując tego Księdza, szeptem w ucho powi:  
Będzieszże takim Księdzem? On się wnet posunie  
I odpowie z rezonem. Wolę żyć w fortunie  
Mojej Panem. Niech ten pies, bo też równie bury,  
Do Zakonnej prosi się, kiedy chce, Klauzury,  
Będzie mu bardzo pięknie w tym księżym habicie  
Na to ojciec: Idzież mi precz z oczu, złe dziecię!  
Kto to tego nauczył? A matka przeprasza  
Za śmiałość: wybacz, księżę, to jedyna nasza  
Pociecha, żal go skarać, tak chłopiec dość słaby  
Chociaż ma wolność w Domu i słodkie powaby,  
Cóż dopiero gdyby się, jemu naprzykrzono,  
Prędzej byśmy go trupem zobaczyli pono.  
Tak tedy w niezbożności i w głupstwie szkaradnym  
Rośnie mój Jaś, staje się byczkiem wcale ładnym,  
Aż przyjdzie czas i pora, że się stanie wołem,  
Lecz bez sierści i mięsa, łysym albo gołem.

Z tych pieszczot i z brzydkiego zawsze według woli  
Pobłażania zuchwałość, i krnąbrność powoli  
Jako grono po wiązie, pnie się coraz w górę,  
Dopieroż gdy dorostszy, swoją weźmie porę,  
Wkorzeniona od młodu wzgarda, dzikość, pycha,  
Przystojność i wstydlivość, z kretesem usycha,  
Łamie się czyste prawo, natury i Boże,  
Pocziwość honoru punkt nic nie pomoże.  
Zaczyna swe rzemiosło, Tyran społeczeństwa  
Przez niego nikt nie może zażyć bezpieczeństwa,  
Na szpilkach chodzić trzeba, i tak nawet krzywo  
Wszystko mu, nie dogodzi, złemu jako żywo.

Z takich Tyranów grubych, dopiero się składa,  
Sąd, Trybunał, Poselstwo, i Publiczna Rada.  
Przebóg cóż się dzieć będzie? Las, Zwierzyniec chyba  
Zrobi się, ten lepszy, kto drugiego przydyba.

Cóż tedy za pożytek, z zacnych takich ludzi,  
Których dobro Publiczne, i sława nie wzbudzi

Narodu do czynności, lecz interes brzydki  
I samo bystre oko, na własne użytki,  
Najprzód choćby Dwór myślał, z sędziwym Senatem  
Z Posłami Ziem, uczynić kraj cały bogatym,  
Chociażby się wysiłał, na rozumie zdania  
Pocziwy obywatel, swawola zabrania  
Swawola psuje wszystko, i jednym zamachem,  
Całą Ojczyznę gubi, z poczętych Rad gmachem,  
Swawola że tak powiem; Bo nie wolność prawa:  
Czynić co impet radzi, co się komu zdawa.

Nie ganię ja wolności, lubom jest zrodzony  
W absolutnym Królestwie. Ale się do strony  
Nie wiążę, gdzie są Stany, jakoby ogniwa,  
Gdzie jest rząd i porządek, tam Wolność prawdziwa.  
Gdzie każdy pewien swego, każdy swej swobody  
Dziedzicem, nie boi się napaści i szkody.  
W niskim, w wyższym urzędzie, tym bardziej, im wyżej  
Ma swój honor uczczenie, po Bogu najbliżej.  
Lecz u was najgodniejszy, i najrozumniejszy  
Nic nie wart, lada świstek sławy mu umniejszy.  
I kiedy jako wichur wpadnie do Kościoła,  
Przy Sejmiku, śmiertelny grzech nań wnet wywoła.  
Chociaż nic nie należy do sprawy, urzędu,  
Gada, wrzeszczy i łaje, bez żadnego względu.  
Nie pozwalam: i cała rzecz skończona; powie,  
By z naszej Ziemi byli, na ten Sejm Posłowie.  
Proszony o przyczynę, tego zabronienia,  
Płatka nawet honoru, dobrego imienia  
Nie zostawi na człeku, rzuca się i miota  
Do pięści i do szabli. Ta cała robota  
Wolności i równości, gardzić, lżyć, nikogo  
Nie uczyć, ale dać się przekupić niedrogo.  
Tą swawolą, rozpustą, nie wolnością, która  
Darem jest Boskim, coraz bardziej wasza chora  
Ojczyzna, nie daj Boże, aby umierała  
I ginęła znajoma światu Polska chwała.  
Wolne są i bogactwy, wojskiem znamienite,

Holenderska, Szwajcarska Rzeczy-Pospolite,  
Wolność taka niech będzie, jaka jest Wenecka,  
Nie taka, jakiej zwykły w grach używać dziecka,  
Które swoich zabawek jednym czynią celem  
Niezgodę, mogąc wydać wrzask pełnym gardzielem.  
Byłem ja, lat ośm temu, na jednym sejmiku  
W Wielkiej Polsce. Gdzie oprócz szkaradnego krzyku  
Nic zgoła nie słyszałem. A co mi sprawiło  
Podziwienie i o czym wspominać niemiło,  
Pijanych wielu przyszło do Boskiej świątnicy,  
Tak postępując, jakby na koziej ulicy.  
Co który z urzędników, z rozumniejszych panów,  
Co wyrzekł: Ejże, stul pysk, ozór swój zastanów,  
Widzisz, jaki mi mędrak! Krzyczał Szlachcic z kąta,  
A insi, którym gorycz żydowska zaprzęta  
Głowy słabe, do szabel zaraz się rzucali  
Na wszystko po pianu odważni, zuchwali...  
Co większa, gdy stawiano Marszałka przy stole  
Młodego, lecz grzecznego: jeden nie pozwolę  
Krzyczał szlachcic... A gdy ten za honor Marszałka  
Dzięki czyni, ów pijak, co go już gorzałka  
Na pół spaliła, coraz skradając się blisko  
Utnie go z tyłu w gębę. Piękne widowisko!  
A masz tu sprawę (mówiąc) smarkaczu, hultaju,  
Otóż masz; ów kawaler już to z obyczaju,  
Już z rozumu, imienia i kształtnej wymowy  
Arcygodny i zacny... Otóż marszałkowy  
Honor w Polsce wspaniały... Zdumiały młodzieniec  
Nie wiedział sam co począc; zajął się rumieniec  
W niewinnej, w godnej jego poważenia twarzy,  
Ogień się tylko w oczach słusznej pomsty żarzy,  
Tymczasem ztąd i owąd obskoczyły bronie,  
Procesja za kościół, sejmik pełźnie, płonie.

To lustr edukacyi, to równość nabita  
W głowę z młodu! To Jasia dzielność znakomita,  
W którą się wprawiał z dziecka w oczach Ojca, Matki,  
Obojga głupich: takie wydaje niestatki.

Truchlałem i na inne Sarmatyzmu dziwa,  
Które gruba, domowa, w szlachcie nieszczęśliwa  
Czyni edukacja! O, jakież junaki,  
Bohatery szalone! Rwie się jaki taki  
Do fordymentu; o cóż? Że do tańca w rzędzie  
Pierwszym stanął ten a ten, że pierwszy usiedzie  
Przy boku Nimfy jakiej. Że nie spełnił szklanki  
Ofiarując drugiemu: że imię kochanki  
Z Romansu przytaczając, przyciął mojej Damie  
Na weselu, na ucztach, ładunków jak w kramie,  
Obsyłają się niemi szaleni rycerze,  
W pyski, za łby doją się i mordują szczerze,  
Właśnie jak psy na siebie wspólnie są zażarci  
Przy każdej propozycji do zęba uparci;  
Wrzask, hałas, wzgarda, łoskot, ale bez dowodu,  
Bez fundamentu. Ten, że zaczął mowę z przodu  
Gardzi nami. Ów znowu, że milczał u stołu  
Znać bojąc się napaści, gdy inni pospołu  
Wadzili się i żarli, i to modest hardy  
Pełen dla kompanii pocziwych pogardy,  
Trzeba go przez kij dobrze przesadzić, nauczyć,  
Że powinien bawić się zarówno i huczyć  
Gdy inni razem huczą. Ten, że mrugnął okiem,  
Gdy drugi się rozwodził z rejestrem szerokim  
Antenatów, Pradziadów, Wujów i Stryjenek  
Wart kuli. Inny śmiał się: że z łowów jelenek  
Wysunął się galopem: żem trzy oraz sarny  
Wziąwszy pod włos, jak wróble, w jeden postrzał marny  
Zdmuchnął z dymem, i Jezus nie rzekły niebogi,  
Rzekł na stronie, żem pływacz i Gaduła srogi,  
Inny tyłem się zwrócił ku mnie, gdy swe susy,  
Czynił i koperczaki... Ten choć szczupły, kusy,  
Sadzi się i nadyma, podnosi na palce,  
Ci tedy wszyscy od nas odrodni zuchwalce  
Godni potwarzy szpetnej, godni w łeb postrzału.  
Lub paragrafu przez pysk. A to dla zakału,  
Który czynią Krajowi i Polskiej Manierze,  
Złość bowiem sprawiedliwa, pomsta człeka bierze,

Gdy ci Ichmości czynią się z Polaków Monstrami,  
Włochami, Francuza, albo Hiszpanami.

Te fatalne domowa grubiaństwa skutki  
Robi edukacja. O! jakże miłutki,  
Jak przyjemny jest rodzaj życia i mieszkania  
Z takimi Sarmatami! Nie masz rozeznania,  
Roztropności, honoru; Książka jest trucizną  
I powietrzem. Słowa czce, jakie się wyślizną,  
Jakie ślina do gęby przyniesie bez braku,  
Byle tylko paprzyca zawsze jak w tartaku  
Nie próżnowała, leca. Śmiech z cudzej omyłki.  
Nie może stać się dzikszym mieszkaniem od Syłki  
Lub z Mroźnej Laponii; jako ten Sarmata  
Nie zna geografii, położenia świata,  
Rządów ni obyczajów, ni Praw Narodowych,  
Ni reguł przystojności, sentymentów zdrowych,  
Jako pień do uczciwej uczonej zabawy:  
Burda tylko i kłótnik, o ladaco żwawy,  
Proszę zważyć, gdy takich zbierze się gromada  
Do Rady o Ojczyźnie, jaka będzie rada?  
Jaka obrona? Kiedy każdy na swe koło  
Wodę pociągnie? Pocznie na pozór wesoło,  
Obywatela Urząd, wnet go duch odbieży,  
Gdy w nim lada pasja krew dziką najeży.  
Ja tak mniemam: że pierwej wolność, Prawo, Wiara,  
Zginęłyby i cała sława Polska stara,  
Niżby mógł w jedność ścisłą zebrać Patriotów,  
Każdy tylko o swoje passować się gotów.  
Każdy siebie uznaje lepszym, każdy ma się  
Uczeńszym, odważniejszym, godniejszym i w czasie  
Posłuszeństwa prawego dla Zwierzchności swoi  
Różne preteksta snuje, i humory stroi,  
Ty dziś Rządca, ja jutro. Równość nie zna Pana,  
Niech zginie razem wszystko, niech będzie przegrana,  
Ja się nie dam równemu trzymać na powodzie,  
Dopiero żal nierychło: jak mówią: po szkodzie  
Polak mądry. Lecz w samej zbawiennej robocie,

Zapomni o pokornej skromności, i cnocie.  
 Król, Pan każdy swych chuci i swoje zdania,  
 Nic go do kluby prawa rygoru nie skłania.

Przyjdzie czas kiedykolwiek: kiedy jak w zwierciadle,  
 Da się poznać ta mowa. Bo najlepiej wedle  
 Siebie położyć mowę z rzeczą i przykładem,  
 Gdy będzie obsypana różnych klęsk gradem  
 I napaści Ojczyzna. Uznasz, że obrona  
 Niesforna, podejrzliwa, przekupna, spodlona,  
 Rozerwana na części, bardziej wam zaszkodzi,  
 Niż napaść nieprzyjaciół. Poczekać powodzi  
 Niezadługo. A uznasz jak w ratunku zgodni  
 Polacy? Jakiej w ten czas nie popełnią zbrodni?  
 Rok jedenasty właśnie po tej jego mija  
 Rozmowie ze mną. Nie wiem jaka konkluzja  
 Ma być ode mnie dana opisaniu temu:  
 Sądzić wolno najlepiej jak się zda każdemu;  
 Czy się prawdą tego Cudzoziemca słowa?  
 Tu lub ówdzie skłonić się rzecz wolna, gotowa<sup>46</sup>.

**Przykład 32. Gracjan Józef Piotrowski – *Na uczących prywatnie  
 młodź polską ludzi przychodniów z cudzych krajów  
 bez egzaminu: jakiejby religii i doskonałości byli (1773)***

Nieszczęśliwe teraz są jakieś właśnie czasy  
 Że lada mysz chce z kotem, ze psem iść za pasy.  
 Kto się umie pochwalić, udać minę człeka  
 Bywałego tu ówdzie, tego honor czeka,  
 Ten nad wszystkimi trzeszczy, góruje i szumi,  
 Temu przyznają ślepo: że on wszystko umi;  
 Bez braku i rozsądku: aby tylko zganić  
 Powiedział się odległych, zaraz swoi za nic,

<sup>46</sup> Tenże, *Na grubiaństwo, pochodzące z domowej złej edukacji*, [w:] tegoż, *Satyr przeciwko zdaniom y zgorszeniom wieku naszego*, t. 1, dz. cyt., s. 84–92. Por. fragmenty utworu: tenże, *Ze satyry: „Na grubiaństwo pochodzące z domowej złej edukacji”*, [w:] K. Bartoszewicz (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, Księgarnia K. Grendyszyńskiego, Petersburg 1897, s. 170–171 i 172–174; tenże, *Na grubiaństwo pochodzące z domowej złej edukacji*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), dz. cyt., s. 198–199; tenże, *Na grubiaństwo pochodzące z domowej złej edukacji*, [w:] J. Lemański (oprac.), dz. cyt., s. 148–153.

On zaraz Metr stanie się, on Salomon nowy,  
Choć nie wart z swym rozumem i kobylej głowy!  
Grek, Muzyk, Geometra, Arytmetyk Główny,  
Fizyk wielki, Historyk, Krasomówca mowny,  
Aby tylko łgać umiał udatnie i śmiało,  
I mówić tonem wielkim, coby mu się zdało,  
Zaraz przyznają: że on pochłonął rozумы,  
I że głupie są Ziomków względem niego tłumy,  
Szczęśliwy że bez czoła zamydli, zamówi,  
Dobrze chłopu mownemu, łownemu kotowi;  
Nie odzywaj się darmo, gdy on dyskurs zacznie,  
Powie zaraz że wszystko u nas jest opacznie.  
Że samo grubiaństwo, upór, próżność sama,  
U nas, i położona rozumowi tama:  
Że tylko same w szkołach świegotania, wrzawy,  
W samej rzeczy, ni mięsa, ni żadnej przyprawy.

Znałem ja tu niedawno Mędrca, co Lokajem  
Był w Wiedniu: aże nigdy ni dobra poznajem  
Ni też złęgo, aż chyba po jego pozbyciu  
Skąd i on, a gdy uciekł, co był w swoim życiu,  
W obyczajach, i wierze nie był wprzód poznany;  
I owszem przystęp miewał między pierwsze ściany  
Na przykład go stawiano. Miał wolność ganienia  
Nauk, Nauczycielów mimo przeciwienia,  
Wierzono mu i liczną Młodź w rządy oddano.  
Która zwiedziona Metra nie zastała rano,  
Obciążony długami i zbrodniami razem,  
Lękał się po Angielsku rzecz skończyć żelazem,  
Po Gaskońsku wymknął się, jako z kniei zając  
Bez pojazdu, lecz zapas nogi zakładając  
Nie oparł się zapewne aż za górą czwartą  
Z podeszwą od wybiegów w kawałki podartą.

Ja tylko sam wprzód jeszcze niżli nas sieroty  
Opuścił, dając oko na jego obroty,  
Na bluźnierstwa i wzgardy Boga i Kościoła,  
Sam na sam, gdy się wszyscy wychylili zgoła,

Tak się z nim rozmówiłem krótko, po szczeremu,  
Bez wydania osoby, rzecz głoszę każdemu:

A skądże ci Erneście do głowy te sumy  
Weszły: iż tak rozumiesz, żeś pojadł rozumy,  
Na kwartał wyjechawszy z Paniczem do Wiednia,  
Tak cię Pallas zmieniła w swoich darach przednia,  
Cały sentymentami, jak juktowa skóra  
Przeszedłeś? Po Arkadach masz imię Doktora?  
Gasisz nas tu uczących udatnością żwawą,  
Zowiesz nas wszystkich mnóstwem i daremną strawą?  
Wszystko ci w Polsce trąci, wszystko nic do rzeczy,  
Żaden cię krój, kunszt, sztuka nasza nie bezpieczy,  
Patrzysz czyli à Paris in Wien napisano,  
A jeżeli in Warszaw, zmarszczysz twarz zmieszana,  
Zbierasz wnet czoło w rugi, kaszlesz, mrugasz okiem,  
Wszystkich chcesz w pole wywieść za zdaniem wyrokiem:  
Że w Polsce samo głupstwo, fanatyzm, ślepotą;  
Zabobonność, niezgrabność, podłość i prostota.  
Że w Szkołach uczą bajek i próżnej chimery,  
Wpieraszą się tedy w imię, iżeś mędrzec szczerzy.  
I że tu gust naprawiasz jakoby z niewoli,  
Wyciągając Młodź Polską. Toć nas wszystkich boli  
Także jusz o nas sądzisz, żeśmy głupi wcale,  
Że się z nas żaden nie zna na mądrości chwale.  
Że mówić nie umiemy, ani myśleć zgoła,  
Tak nas Dom y publiczna omamiła Szkoła.  
Odrodzić nam się każesz, i wziąć to mniemanie,  
Żeśmy póty w nikczemnym byli nauk stanie.  
Tyż więc sam jeden bocian chcesz czyścić nieboże  
Kraj ten brzydky; niech Niebo ci w tym dopomoże;  
Zobaczym twoje dzieła: jakie Salomony  
Z twej nauki powstaną? Czyli rozdrażniony,  
Rozum w Szkołach nasycisz, napełnisz w dwie lecie,  
Szczęść Boże! Niech twa dzielność ten fetor wymiecie,  
Wytepi upór, głupstwo, a na ich ruinie  
Mądrość, Wdzięk niech osadzi godne dwie Boginie.  
Czekamy dziwnych skutków; niech Staruskiewiczza



Kalendarz zginie. Niech swych Prawdzicki nie zlicza  
Argumentów za wiarę. Sarmaccy Trutniowie  
Wierszopise, i mówcy, czczy Filozofowie,  
Mnichy błędne, nie ludzie stworzeni do ludzi,  
Niech ustaną. Niech nowych twa nauka wzbudzi  
Feniksów, jakich nasze nie widziało słońce:  
Niech usłyszają ten odgłos oba świata końca:  
Że Ernest Baro polskim był oświecicielem,  
Godzien pień i pochwał stać się słusznym celem,  
Że uczniowie z ust jego prawej się napili  
Mądrości, któraby się rozlała po chwili,  
I krai ciemny Sarmacki napełniła wonią,  
Gdziekolwiek biały Orzeł panuje z Pogonią...  
Ale coś mi się zdaie: że jako Baronem,  
Nie byłeś, a zowiesz się, tak też i uczonym.  
Znam twego brata w Chełku na Pruskiej granicy  
Szewcem; wszak to przyznają wszyscy w okolicy,  
Skądżeć Baronat przybył? Żeś w Królewcu Prawa  
Naturalnego liznął? Piękna rzecz, ciekawa!  
Ale nie cała mądrość, żeś w Wiedniu lokaja  
Rangę sprawując (widzisz, nic się nie utaja,  
Wiedzą ludzie o ludziach) geometrii trochę,  
Skosztował, już Naukić w Polsce podłe, płocze,  
Nieforemne, i tylko okryte łaciną,  
I to ieszcze łaciną; niechaj wszyscy zginą  
Takowi Łacinnicy. Brzydzisz się i wzmianką  
Filozofii, która rozumów tyranką  
U nas. Przechwalasz się: żeś zjadł Cyclerona,  
Że prawie jego w ciebie krew jest przetoczona,  
Że nim plujesz, gdy piszesz. Ale wierz mi, że ja  
Za swego Cyclerona wielbię Dobrodzieja,  
Żywi mię ten i tuczy. Mniemałem że i ty  
Miłośnik jego będąc, dobrześ z niego syty,  
Przy takich zwłaszcza chwalbach, jakich pełne Leszno,  
Żal mi tej ciekawości żem uwierzył wcześno!  
Aż tu Knitela pełno, Gwaltera Niemczyzny,  
I to szpetnej, ten cały plon łaciny żyzny,  
Z Niemieckiej Synonimy larwy wyciśnione.

Uderzyłem ciekawie potym w inną stronę;  
Mniejsza o styl, nauka musi być głęboka,  
Więc przysiadę, przyłożę do Twych pismów oka,  
Którym ledwie wyprosił od ucznia z zakłęciem,  
Jak klejnoty, że oddam przed pełni zaczęciem,  
Aż miotły rozwiązane, liście, próchno, wióry,  
Aż bogate z tych Mędrków i sowite zbiory,  
Których świat lepszy, sądzi godnych popalenia,  
Powiadasz w Prefacyi, że Polak odmienia;  
Psuje wszystko przez ciemne szklanych zdań powłoki,  
I że dziwne ma swoich odpowiedzi skoki:  
Z Fizyki zagadniony bije w zakrystyją;  
Spytany czyli ludzie na Miesiącu żyją,  
Do upirów uciecze, i właśnie w zawily,  
Zapuszcza się labirynt, kto z Polakiem miły,  
Chcąc mieć dyskurs, różnymi pytaniami bada;  
Lecz proszę mój Baronie, (moja szczerza rada  
Abyś sam w siebie wejrzał) A co twoja warta,  
Nauka, chyba w piekle, nagrody od czarta?  
Deizmem tchniesz, acz i to Święte Imię śmieie,  
Przyznają ci, bo tyle zdań w powszechnym ciele  
Twojej Filozofii przeczytałem, którym  
Ani Epikur więcej, nie przydałby piorem.

Gadasz dziwy, trzy po trzy. Każesz uczyć dzieci,  
Na co w dzień Słońce tylko pracującym świeci?  
Jak w ziemi operuje? Co się rodzi doma?  
Co nas obtacza zawsze? Co w gębę? A co ma  
Iść na stronę? Skąd wełna? Kruszcze, farby? Łoje?  
I na tym kończysz mądrość, o to się nie boję.  
Ani cię ganię stąd, bo jak ci się zdawa,  
Byle się na co zdało, nie masz na to prawa,  
Wolno ci uczyć; ale (co mię ciężko trwoży)  
Że o Bogu źle uczysz, to nie równie gorzy.  
Że wiarę, co ją dziatki od piersi wyskali,  
Lekce ważysz, i wieszasz jej prawa na szali  
Twego rozumu, ciemne tajemnice szydzisz,  
I czego żaden kacierz, nie śmiał, wolno brydzisz.

Nauczasz, że szczęśliwość doczesna być celem,  
Człowiekowi powinna, że gdy z przyjacielem,  
Z sąsiadem rzecz zachodzi, prócz natury, żadna  
O Religii wzmianka, nie jest tam dokładna;  
Że prawo czyste, które na rozumie żyje,  
Świętsze jest, i pewniejsze, niż Rewelacje,  
Że Rozum dojść nie może, czyli Bóg jest jaki?  
Że strachów i występków próżniacy, dziwaki  
Daremnie narobili, by swe cienkie nici,  
Z Metafizyki przędli, i że znakomici  
Męstwem, sercem, mężowie tego się nie boją,  
Mając stałość, niezmiennność, i moralność swoją.  
Ganisz zbory, świadectwa Ojców, teologów,  
Każesz się młodzi strzec ich, jako ciernia głógów,  
Błuźnić i to śmiesz, iż więcej ma Rzym baśni,  
Plotek, niż prawdy, że się nigdy nie objaśni  
Religia rzetelniej: jako gdy do sumienia,  
Dadzą moc dla każdego, wierzenia, czynienia,  
Że gorliwość Pasterzów, z nieczystego źródła,  
Że równości przeciwna, że jest nad to podła.  
Przywiązując do grubych, zasłon ludzkie serca,  
Które robak ma toczyć, okrutny pożerca.  
Gdy zabobonnych, zwierzchnych niespełnią rozkazów,  
Że zbyt prostych Ojcowie, używali wyrazów.  
Do oświadczenia prawdy, którą Boską zowią,  
I przez nie nieroztropnych, nieuczonych łowią,  
Ale rozumnym dają, od swych zdań hamulec,  
Radzi nie radzi musząc, ich trudnościom ulec,  
Bo wiedzą: że z umysłu te baśnie podali,  
Do szkół: by w strachu byli, w trwodze ludzie mali,  
Ani mogli wyjść nigdy, na wolność z pod młota,  
Którym srogi na ludzkie, serca Kościół miota.  
I że sama na koniec, jest Ewangelia,  
Niepodobna w spełnieniu, a cóż Homilia,  
Którego z Ojców Świętych? Ani się to ziści,  
By mieli być Czczyciele, onych cale czyści.  
Te tedy, twa nauka moralna, tve prawo  
Natury, które sławisz, i zaszczepiasz żwawo,

Ma kanony, te pilność twa troskliwie znieśła,  
 Wiadomości do swego uczciwego krzesła.  
 Masz więc słuszną przyczynę, ganić nas, i łaiać,  
 Że nie umiemy takich nauk, w młodych wpajać!  
 I że z naszych upomnień, muszą być głuchymi,  
 Na te bluźnierstwa, które powstają na ziemi.

O toż tedy bez braku, przychodniów nauka,  
 A przecież nie ten jeden nas, dzisiaj oszuka!  
 Który ten jad w młodziuchne, mózgi wnet zaszczepi,  
 Kiedy się nań spuszczaamy, najwierniej, najlepiej,

O sąd! O piekło pewne! I doczesne kary,  
 Które wiszą nad nami: że takie poczwary,  
 Zwodzą dzieci mizerne, biorąc je w swe szpony,  
 O podłość! O nikczemność! O wiek już zgubiony!  
 Nie dziw się tedy, że z takiej nauki najtrudni,  
 Aby wyszedł pocziwy... łakomi, obłudni,  
 Zdrajcy Ojczyzny, swoich Ojców potomkowie,  
 Niegodni, źli, niezbożni, jey wszyscy uczniowie<sup>47</sup>.

### **Przykład 33. Ignacy Krasicki – *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*. Fragmenty księgi pierwszej (1776)**

Nieskończenie przypadł mi do gustu mój nowy pan guwernor; stąd jednak najbardziej, gdy jaśnie i oczewiście matce mojej wypróbował, iż szkolna nauka żakom tylko przystoi, zacnego zaś panięcia dowcip regułami zacieśniony na to by się tylko przydał, żeby go palcem po Paryżu wskazowano. „U nas bowiem w Paryżu – dodał – język łaciński w takowej jest pospozycji, iż kto go umie, nie może się w uczciwej kompanii pokazać, damy się na niego krzywią, a kawalerowie nazywają go pedantem. Edukacja dobra zaczyna się od nabierania prezencji i fantazji, ciągnie się i kontynuuje probowaniem wspaniałości umysłu, kończy się zaś doświadczaniem sentymentów serca”. Przyznać się muszę, iżem tej planty edukacji najmniejszej rzeczy nie zrozumiał, a może i moja matka; z tym wszystkim tak się nam zdała być piękna, dowcipna i pożyteczna, iż z ochotą wszyscy na tym przestali, abym się ćwiczył w wspaniałości umysłu i doświad-

<sup>47</sup> Tenże, *Na uczących prywatnie młódz polską ludzi przychodniów z cudzych krajów bez examinu: jakiejby religii i doskonałości byli*, [w:] tegoż, *Satyr przeciwko zdaniom y zgorzeleniom wieku naszego*, t. 1, dz. cyt., s. 19–23.

czeniu sentymentów serca, nie przepominając jednak francuskiego języka, bez którego (jako twierdził pan Damon) i sentymentów, i wspaniałości mieć nie można. Zostawił był w domu mój wuj gramatykę francuską; tę nazajutrz rano ofiarowałem jegomości panu Damonowi, aby mi z niej lekcje dawać począł; ale mnie zadziwiła niezmiernie odpowiedź jego: „Widzę – praw – iż waszmość pana ledwo nie więcej niż z gruntu sentymentów uczyć potrzeba. Nadmieniałem niedawno, iż reguły umysł zacieśniają; cóż jest gramatyka, jeżeli nie zbiór reguł? Porzuć waszmość pan te żakowskie narzędzia, a idź torem wielkiego świata. Nauka kawalerska zawisła na konwersacji z równymi sobie; nie będziesz więc waszmość pan miewał inszych lekcji nad ustawiczną ze mną konwersacją; z niej i wiadomości rzeczy będziesz nabierał, i w sentymentach kawalerskich będziesz się ćwiczył”. Zdało mi się, iżem się już wszystkiego nauczył, taką mnie nabawiła radością odpowiedź Damona. Zaczęliśmy zaraz uprojektowaną plantę do skutku przyprowadzać i przyznać należy, iż w krótkim czasie dość dobrze pojmować, dalej rozumieć, na koniec i mówić po francusku zacząłem<sup>48</sup>.

### **Przykład 34. Ignacy Krasicki – *Derwisz i uczeń* (1779)**

Pewien derwisz uczony rano i w południe  
Co dzień pił świętą wodę z Mahometa studnie.  
Postrzegł to uczeń, a chcąc większym być doktorem,  
Czerpał z tej studni rano, w południe, wieczorem.  
Cóż się stało? Gdy mniemał, że już mędrceem został –  
I nic się nie nauczył, i puchliny dostał<sup>49</sup>.

### **Przykład 35. Ignacy Krasicki – *Syn i ojciec* (1779)**

Każdy wiek ma goryczy, ma swoje przywary:  
Syn się męczył nad książką, stękał ojciec stary.  
Ten nie miał odpoczynku, a tamten swobody:  
Płakał ojciec, że stary; płakał syn, że młody<sup>50</sup>.

<sup>48</sup> I. Krasicki, *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki* (fragmenty księgi pierwszej), [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), dz. cyt., s. 231. Źródło pierwotne: tenże, *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*, nakładem Michała Grölla, Warszawa 1776.

<sup>49</sup> Tenże, *Derwisz i uczeń*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 138. Por. tenże, *Derwisz i uczeń*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 194; tenże, *Derwisz i uczeń*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski, *Polska fraszka i satyra medyczna*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1961, s. 93. Źródło pierwotne: tenże, *Bajki i przypowieści*, nakładem Michała Grölla, Warszawa 1779.

<sup>50</sup> Tenże, *Syn i ojciec*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 194.

**Przykład 36. Wincenty Marewicz – *Do nauczycielów (1788?)***

Lekarskiego sposobu trzymać się zwierzchnicy  
Powinni w naprawianiu postępków młodzieży.  
Wszak uzdrowić rannego gdy chcą cyrulicy,  
Czy to się rzuca chory, czy spokojnie leży,  
Nigdy atoli rany nie leczą drapaniem,  
Lecz łagodnie skutecznych plastrów przewijaniem<sup>51</sup>.

**Przykład 37. Józef Legowicz – *Młódź szkolna utęskniona do Miesiąca Augusta (1797)***

Siódmy Augustcie w liczbie położony  
Miesiąców, w dary bogaty Pomony<sup>52</sup>.  
Przybądź rychło czasie drogi,  
W Akadema<sup>53</sup> świetne brogi.  
Przywróć nam wolność, której pozbawieni,  
Jęczym, lekcyi władzą uciśnieni,  
Myśl posępną zmień wesołą  
Otrzy z potu smutne czoło.  
Jako podróżny, którego cieniami  
Swemi okryła noc między lasami,  
W niebezpieczne wiodąc doły  
Psuie umysł w nim wesoły.  
Kiedy nam twoie przyświecaią czasy  
Pełne nas pola, pełne nas i lasy,  
Łąki także i ogrody,  
Dla nas czynią swe wygody.  
Przy tobie ani dzwonek szkolny uszy  
Przeraża, ani Księga głowę suszy,  
Ni Professor ma nad nami,  
Moc obciążać lekcyami,  
Každy w ogrodzie dni przepędza całe,  
Zrywając z drzewa owoce dojrzałe  
W tym pod chłodne stroniąc cienie  
Wdzięczne sobie nuci pienie.

<sup>51</sup> W. Marewicz, *Do nauczycielów*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 157.

<sup>52</sup> Pomona była u pogan Boginią owoców.

<sup>53</sup> Akademos w Grecyi plac darował na Szkołę dla młodzi Studenskiej.

Lub za zrobiony z darna siedząc stołem,  
Tobie pokornym daie dzięki czołem,  
Pod którego rzuca nogi,  
Żyżność hoyna zysk swój mnogi.  
Więcze Auguście rychło pożądany  
Przybywszy ztargay niewoli kaydany,  
Ni cię żądać ustaniemy,  
Czy my czuiem, czy my śpiemy<sup>54</sup>.

### **Przykład 38. Józef Legowicz – *Na studenta leniwego* (1797)**

Pytam się, czym się bawisz, mój kochany Janie?  
Zdrowie, rzecze, me psuję przez częste czytanie.  
Nie kłam, nie kłam, a raczej mów mój Janie miły,  
Że próżnując, leniąc się zrywam moje siły<sup>55</sup>.

### **Przykład 39. Adam Łabęcki – *Na dom poprawy* (1800?)**

Tu szkoła niezła: żaków złych po mieście chwytą,  
Dobrych czyni i dobrze; co kto umie? pyta<sup>56</sup>.

### **Przykład 40. Anonim – *Do pewnego literata* (ok. 1800–1840)**

Żeś chodził niegdyś do szkół z szklanym kałamarzem  
Lub, najwięcej, żeś szkolnym sam był bakałarzem,  
Już śmiałym tonem książki sądzisz i autory...  
Przestań! Lub szkolne żaki weź za asesory<sup>57</sup>.

### **Przykład 41. Anonim – *Nagrobek Żydkowi* (ok. 1800–1840)**

Tu poczciwy Żydek leży:  
Nic złego w życiu nie zrobił,  
Belfer żydowskiej młodzieży,  
Którą do handlu sposobił;

<sup>54</sup> J. Legowicz, *Młódź szkolna utęskniona do Miesiąca Augusta*, [w:] tegoż, *Zbiór przystoynych rozrywek czyli sposoby uczciwe y ucieszne do przystoynego rozweselenia umyśtu na użytek powszechności a szczególniej dla młodzi wieyskiej do druku podany*, Drukarnia Jego Królewskiej Mości XX Bazylianów, Wilno 1797, s. 106–107.

<sup>55</sup> Tenże, *Na studenta leniwego*, [w:] tegoż, *Zbiór...*, dz. cyt., s. 57.

<sup>56</sup> A. Łabęcki, *Na dom poprawy*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 135.

<sup>57</sup> Anonim, *Do pewnego literata*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 278–279.

Uczył ją zarabiać chleba  
Przez kupowanie starzyny,  
Mawiał jej: „Szachrować trzeba  
Do najpóźniejszej siwizny”<sup>58</sup>.

**Przykład 42. Andrzej Brodziński – *Świat oświecony* (1807)**

Znalazł Michał pieniądze, a pełen wesela  
Nie głupi, by się pytał o ich właściciela.  
Częstują niezdatnego urzędu stopniami,  
Nie głupi ich nie przyjąć, gdy mu dają sami.  
A jadąc w podróż, na czas, kiedy ją porzuci,  
Nie głupia żona czekać, rychło mąż powróci.  
Gachów na wakujące zaprasza swe łoża.  
Nie głupi ten iść na wojnę, co się schronić może.  
I pan student, gdy batóg nauczyciel zgubi,  
Nie głupi, aby zamiast z drugimi swawolić,  
Miał głowę nad nudnymi książkami mozolić.  
Niesłusznież z oświecenia więc się wiek nasz chlubi?<sup>59</sup>

**Przykład 43. Anonim – *Katechizm francuski  
w czasach zaburzeń narodowych ogłoszony.  
Fragment* (1812?)**

Pytanie 35 – Na co zda się nauka?  
Nauka przewodniczką dzieci, starych sława,  
Pomnażając szczęśliwość niedołężność cieszy,  
Nieuzbrojona prawda, przeciw głupstwu stawia  
A na błędów wstrzymanie światło onej spieszy<sup>60</sup>.

<sup>58</sup> Anonim, *Nagrobek Żydkowi*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 274.

<sup>59</sup> A. Brodziński, *Świat oświecony*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 177; A. Brodziński, *Świat oświecony*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), dz. cyt., s. 335.

<sup>60</sup> Anonim, *Katechizm francuski w czasach zaburzeń narodowych ogłoszony*, [w:] *Magazyn wesołych i moralnych zabaw czyli zbiór gładkich wierszów, dowcipnych powieści, żartów, anegdotów, ary, pieśni światowych i innych ciekawych wydarzeń*, b.w., Wilno 1812, s. 90.



**Przykład 44. Łopaciński (Jędrzej Śniadecki?) –  
*Dalszy ciąg podróży Szweczuńscym*  
Fragmenty o edukacji (1820)**

Muszę cokolwiek powiedzieć o edukacji mieszkańców podziemnych, których najlepiej wypadaloby nazywać wydrążenioziemcami, i rozumiem, że wyraz, który teraz proponuję, wejdzie w używanie, aby go tylko użył choć jeden poeta miarowy; tymczasem niech się nazywają, jak chcą, a ja będę o nich mówił. Dam poznać sposób wychowania dzieci, a stąd łatwo każdy ich obyczaje osądzi.

We wszystkich narodach, u których byłem, jednostajny mają sposób edukacji, różni się ona tylko stanem rodziców (bo trzeba wiedzieć, że i tam są stany). Kiedy się dziecko urodzi, cieszą się rodzice, że dostali potomka, a sąsiedzi, że będzie ucztą; jakoż powszechnie nazajutrz zjeżdżają się goście, idzie rzesista kolej, za nią następują prorocтва; biedne to już dziecię (albo złe bardzo wino), kiedy go minie mitra, a tylko na kasztelanii osiądzie; radość z prorocтва popędza koleje; powstaje gwar, zamieszanie, a czasem i bitwa; a tak ojciec i całe sąsiedztwo dlatego tracą zmysły, że się rozumny człowiek narodził.

Ten rodzaj witania nowego gościa zachowuje się w tak nazwanych średnich domach, to jest u szlachty, z mniejszą intratą; u panów zaś przeciwnie: uroczna cichość panuje, kilkunastu doktorów, tyluż chirurgów itd. stoi w oczekiwaniu wielkiego zdarzenia. Stało się; ojciec bardzo poważnie odbiera wiadomość, wnet służebnicy na palcach otaczają kolebkę, wznoszą się wonie. Tak właśnie niegdyś poganie kurzyli swoim bałwanom. W kilka tygodni po urodzeniu już matka krząta się koło edukacji dziecięcia [...].

Za wykroczenie lub swawolę gromią dzieci arcyzabawnie: ile razy zdarzy się im przewinić, ochmistrzyni krzyczy na wychowawca z gniewem: „Poczekaj, chłopcze, zaraz ty będziesz uczył się czytać!”. Na dziewczynę zawoła: „Zaraz ci poodbieram twoje lalki”. Jak sobie przypominam, podobnież karcą dzieci chłopki w mojej ojczyźnie, mówiąc: „Cyt, cyt, pan ciebie zjeść”, ale bo też w moim kraju chłopci są bardzo przywiązani do swoich panów.

Nie mogę pominąć środków, jakich używają do nadania dzieciom pewnego hartu duszy, który powszechnie później na upór się zamienia. Bierze ochmistrzyni coś błyszczącego lub kawał placka i drażni się z wychowawcem, raz mu podając, i znów odejmując; dziecko rozdrażnione wrzeszczy przeraźliwie, a czasem dostaje konwulsyj. Wtenczas zatrwożona piastunka oddaniem żądanego przedmiotu wraca spokojność i daje gruntowną naukę upor. Lekcje podobne są najczęściej skutkiem dobrego humoru piastunki. Tak dziecko, dochodząc do lat siedmiu, już ma zaszczepione: gust do nauk, stałość charakteru, wzgardę cie-

kawości i przezorny sposób myślenia; te wszystkie nauki kończy ochmistrzyni, nadając mu trochę wiadomości.

W tym celu w czasie wieczorów zimowych zgromadzają się kobiety służące do pokoju panięcia, a sama piastunka lub która z panien rozpoczyna historię. Tam nauczy się wychowaniec wielu zdarzeń bazylijskowych, dowie się o gryfach, ludożercach, a najczęściej o upiorze, który głowę nosi pod pachą i gubi ją czasem, gdy kogut nie w porę zapieje. Idą potem na plac sny panięcia z tłumaczeniem, a niekiedy i prawdziwe historie. Słyszałem sam, jak jedna piastunka wykladała dziecięciu dzieje naszych krajów i króla Nabuchodonozora ożeniła z Rzepichą, z tego związku wywiodła Batorego, który za jej czasów dowodził konfederatom barskim. Po jednej i drugiej podobnej lekcji o upiorach dziecko lęka się spać samo jedno, a ochmistrzyni bierze je do swego łóżka... Uważałem, że ludzie dorodni i bardzo rozsądni, lecz którzy przez ten rodzaj edukacji przechodzili, zachowali jej pamiętkę i ile razy zdarzało się im przechodzić koło cmentarza, nigdy kapelusza na głowie utrzymać nie mogli<sup>61</sup>.

**Przykład 45. Łopaciński (Jędrzej Śniadecki?) –  
Dalszy ciąg podróży Szwecpuńscymśa.  
Fragmenty o edukacji dziewcząt (1820)**

Kiedy już dziewczyna dojdzie do lat ośmiu, będące przy niej kobiety większą zaczynają mieć staranność o panience, a nade wszystko o jej twarzyczce i figurce. Tamtejsze bowiem kobiety najmocniej są przekonane, że nie tyle głowa, i *nota bene* w niej rozum, ujmują mężczyzn, ile szykowna postać i piękna, nie opalona twarzyczka. Mają poniekąd słuszną przyczynę podobnego mniemania, bo w ich

<sup>61</sup> Łopaciński, *Dalszy ciąg podróży Szwecpuńscynisa. O edukacji*, [za:] Z. Skwarczyński (oprac.), „Wiadomości Brukowe”..., dz. cyt., s. 276–281. Źródło pierwotne: tenże, *O edukacji*, „Wiadomości Brukowe”, nr 187 z 3/[15] lipca 1820. Artykuł ten ukazał się w „Wiadomościach Brukowych” jako kontynuacja artykułu *Do całego świata p. Szwecpuńscynis, były porucznik piechoty* z numeru 134 z 28 czerwca/[10 lipca] 1819 r. Łopaciński (imię nieznanne) zapoczątkował tym samym cykl artykułów będących satyrycznym opisem podróży po podziemnej krainie Mzy-ten-gamie (kalambur Magnetyzmu). Styl artykułu nawiązuje do *Podróży Guliwera* Jonathana Swifta, będącego parodią rozprawy o ludzkiej naturze. W tym wypadku chodzi o parodię edukacji na Litwie. Pierwszym autorem reportaży w „Wiadomościach Brukowych”, w których w krzywym zwierciadle zostały opisane „dalekie krainy”, był Jakub Szymkiewicz posługujący się pseudonimem Szlachcic na Łopacie (zob. G. Nieć, *Jakub Szymkiewicz „Szlachcic na Łopacie”. Satyryczny reporter „Wiadomości Brukowych”*, Collegium Columbinum, Kraków 2006). Po jego śmierci w 1917 r., jak twierdzi Sayaka Kaji, cykl publikacji kontynuował Jędrzej Śniadecki: S. Kaji, *Vilnius Intellectuals and the Early 19th-Century Concept of Lithuania: The Society of Scoundrels (Towarzystwo Szubrawców) and Local Society*, „Lithuanian Historical Studies”, nr 16/2011, s. 159). Być może to on jest autorem artykułu.

ojczyźnie znaczna część mężczyzn po kobiecemu wygląda. Jednakże ci, co mi się najbardziej kobietami wydawali, wyznawali sekretnie, że piękne twarzyczki bez głowy i serca radzi by mieli za miniatutki, lecz nigdy na żony. Zwierzali mi się tego, rozumiejąc, że w moim kraju nie ma kobiet, i obowiązywali do wielkiego sekretu; miałem pokusę wydać ich, ale lękałem się zapalić w kraju rewolucją. Płeć więc piękna, nie ostrzeżona od nikogo, i teraz jeszcze starannie i wyłącznie pracuje nad upiększeniem tych dwóch natury darów i to jedynie stanowi część fizyczną wychowania panieńskiego.

Nie chcą się w tym spuszczać na samą naturę, bo ta przedwieczna pani bez żadnej etykiety również chłopki, jak i wojewodzianki uposaża, wzywają więc sztuki, która samym panom jest przystępną. W tym więc celu, to jest dla nadania córkom lub wychowankom hożej i wysmukłej kibici, przywiązują im do piersi pręt żelazny, który aż brody dosięga, do niego mocują dwa naramienniki, na plecach dwoma sznurami mocno spięte. Tak związana dziewczyna w kij przechodzi, albo raczej przesiedzi, lat kilka, a kiedy dojdzie ich piętnastu, do pręta dodają jakąś sznurówkę z rogami, która w pół panienkę przecina i czyni z niej figurkę podobną do klekrotek, których tanecznice używają do fandango. Nic bardziej nie zadziwia cudzoziemca nad ruch tak skrępowanych dziewcząt, a który wielce cenią mieszkańcy, mieniając go chodem dobrego tonu, różniącym dostojne osoby od prostaczków, które chodzą, jak je Bóg stworzył. Przypisują nadto temu krępowaniu ważne zalety z tej przyczyny, iż panienki przez skrócenie oddechu muszą wydawać mocne westchnienia, które później wchodząc w nałóg, stają się zdolnymi do przyjęcia różnych form i rozwinięcia, co stanowi moralną część edukacji.

Tak urządziwszy postawę panien, zamykają je starannie w domach, i to w pokojach od pomocy; nie dlatego czynią tak matki, aby nie narażać córek na wzrok ciekawych, żądałyby bowiem, aby cały świat na nie patrzył, ale dlatego jedynie, aby im słońce nie zajrzało w oczy i nie użyczyło swoich kolorów. Kiedy zatem przymuszoną jest matka wywieść na świat córkę, wkłada jej na głowę pudło od kilkudziesięciu calów długości, na którego końcu jest zawieszona firanka z rąbku przezroczystego, przez który przypatrywać się i być widzianą, a z boku pudła wybornie spoglądać może i dlatego podobno tamtejsze panienki z ukosa, to jest boczkiem patrzą, jakowy rzut oka nazywa się lornowaniem i wielkie ma znaczenie w edukacji.

Ledwie pojąć można, jak daleko posuwają manią blechowania twarzyczek; niektórzy nacierają je białym jakimś proszkiem, drugie na noc przykładają surowe mięso, inne na koniec, najniebezpieczniejsze, pędzlem z klejową farbą twarz namazują i wyrównują, a potem skórą nadają polor. Dlatego też powszechnie mają twarz arcybiałą, lecz miękką i połyskującą się, co dało powód ich poetom do częstego wzywania lilij, a zupełnego zapomnienia o różach.

Wybieliwszy twarz należycie, starają się matki rozpoznać, co jest w córkach ich najpiękniejszego, a co najbrzydszego. Zwołują przeto przyjaciółki i gdy po długich naradach ustanowi się finalna decyzja, według niej dalsza postępuje edukacja. Jeżeli np. zęby są piękne i białe, każą pannie otwierać usta i ciągle uśmiechać się, a ta, która dobrze z tej lekcji skorzysta, chodzi później całe życie z otwartą gębą lub śmieje się ustawicznie. Toż samo czynią z wadami ciała, ale to nie bije tak w oczy, owszem, zdaje się pociągać, zwłaszcza cudzoziemca. Tylko że na nieszczęście do wad potrzebujących ukrycia liczą wielkość nogi i dlatego spowijają nielitościwie, aby nie rosła, a obuwie tak ciasne robią, iż chodząc wahają się, tak właśnie jak okręt wśród burzy. Chciałem przyłączyć do tego pisma rycinę chodu dziewcząt, czego dopełnić nie mogłem z przyczyny, iż którykolwiek artysta spojrzał na mój rysunek, chociaż bardzo rzetelny, dla wielkiego śmiechu nie mógł go wyrytować.

Kiedy panna przejmie się tymi początkowymi naukami, sprowadzają dla niej nauczyciela, który tym jest więcej wzięty, im wyżej od podłogi podskoczy; ten naprzód uczy ją, jak ma się witać, co zupełnie od mody zależy. Kiedym był w tym kraju, panny witając się, wystawiały jedną nogę naprzód, drugą podkurczając, a same nieco się w tył cofały, przy tym powinny były rzucić wzrok śmiały na powitanego i nagle w dół oczy spuszczać, zrobić na palcach lewo zwrot. Wszystkie panny w tym czasie, co do joty, jednostajnie się witały, tak że widząc ich kilkanaście razem, zdawało się postrzegać kompanię żołnierzy robiących obroty za słowami oficerskimi, szczególnie zaś pewna pensja tymi ukłonami celowała. Po ukłonach następowały ważne lekcje skoków, ale zupełnie nie takich, jakich u nas używają, a które, jak wiadomo, służą do rozrywki, zdrowia i nadania rzeźkości. Nie tańczą tam gromadnie, ale występują pojedynczo; tańiec cały zasadza się na wywijaniu rękami i głową: raz wznoszą ręce do nieba, potem przykładają je do serca, rzucają czułe lub groźne spojrzenia, słabiej lub rzeźwieją. Tańce podobne nazywają w języku krajowym: szalem, tamburynem, gawotem itp. Kiedym pierwszy raz widział te skoki, rozumiałem, że piękna tańiecznica dostała zawrotu głowy, ale mię z boku ostrzeżono, że to była konieczna kondycja do zrobienia z młodej panny dobrej żony i matki; a jak się dorozumiewam, muszą potem uczyć skakać swoich mężów. Co za przeciwne zwyczaje pod ziemią i na ziemi – myślałem – gdy to, co u nas jest zatrudnieniem tanecznie z profesji, dla zarobku, tam jest zabawą przyszłych żon i matek!<sup>62</sup>

<sup>62</sup> Łopaciński, *O edukacji*, [za:] Z. Skwarczyński (oprac.), „*Wiadomości Brukowe*”..., dz. cyt., s. 285–289. Źródło pierwotne: tenże, *O edukacji*, „*Wiadomości Brukowe*”, nr 204/1820 z 30 października/[11] listopada 1820.

### **Przykład 46. Zefiryna (Jędrzej Śniadecki?) – *Ogłoszenie o nowej pensji dla panien (1820)***

Niżej podpisana, po odbytych w cudzych krajach rozmaitych podróżach, po zwiedzeniu najświetniejszych instytutów ku wychowaniu młodzieży po różnych stolicach państw założonych, umyśliłam osiąść w Litwie i otworzyć w jej stolicy pensję dla płci żeńskiej, w nowym, w kraju tym mało znanym rodzaju. To moje dla zacnych tego kraju mieszkańców poświęcenie się, spodziewam się, że mile przyjętym będzie, zwłaszcza że wychowanie panien bardzo tu jest zaniedbane. Z litością patrzeć przychodzi, jak po niektórych pensjach, pod pozorem niby skromności, zaniedbują istotnych wychowania zasad, którym świat tyle sławnych kobiet winiem. Z poniższego prospektu lekcji, mających się dawać w ciągu roku na mojej pensji, łatwo się każdy przekona, że powierzone moim staraniom i troskliwości młode panienki wkrótce na wielkim świecie jaśnieć poczną.

Prospekt lekcji dawać się mających na pensji:

Historia starożytna. O początku i postępie tańców u Greków i Rzymian. Wybór anegdot o najświetniejszych w starożytności tancerzach. Mody za panowania rzymskich cesarzów Tytusa i Karakalli. Życie prywatne Aspazji z rozprawą o ubiorach, w których się na igrzyskach olimpijskich pokazywała.

Historia nowożytna. O postępie wielkiej sztuki tańczenia u Francuzów i Anglików. Historia turniejów, festynów i balów, które cesarzowie i królowie swoją bytnością zaszczykali. Historia francuskich i włoskich teatrów, a mianowicie wiadomość o operach, baletach i tragediach. Żywoty publiczne i prywatne najświetniejszych śpiewaczek i aktorek.

Geografia. Statystyka mody, czyli rzut oka na ubiory rozmaitych narodów, ze szczególnym zastanowieniem się w sposobie rozprawy nad tymi, które by najstosowniej można wprowadzić do tutejszego kraju. Wiadomość geograficzna, statystyczna i polityczna tych krajów, z których przychodzą najdroższe szale, najmodniejsze wstążki, koronki najcieńsze, perły, korale, diamenty, słowem to wszystko, co do ubioru pięknej kobiety posługiwać może; i na tym kończy się kurs geografii.

Języki. Z góry zapowiadam, że języka polskiego na mojej pensji uczyć nie będę, ponieważ tyle, ile się panna nauczyła od nianiek i służących w domu po polsku, aż nadto wystarcza; za to język włoski i francuski ze szczególniejszą bacznością dawać się będzie, aby zaś panien zawiłymi gramatycznymi regułami nie mordować, cała gramatyka ułożona jest w krótkich śpiewach, które Francuzi kupletami zowią. Wprawiać się będą panny w wymawianiu, aby akcent w mówieniu samą tkliwością oddychał. Ukończy kurs języka francuskiego czasowanie słowa *aimer* z gracją i czułością.

Mitologia. Dawać w całej obszerności naukę mitologii nie widzę potrzeby. Uczyniłam przeto wybór ze wszystkiego, cokolwiek młode serca zajmować może; jako to: miłostki Tezeusza i Ariadny, sąd Parysa, przypadki Psychy i tym podobne. Metoda w dawaniu mitologii będzie na wzór listów do Emilii o mitologii. Oprócz tego mój profesor mitologii, człowiek pełen grzeczności, odbywać będzie ćwiczenia mitologiczne z uczestniczkami, ułożone w madrygały, w których je porównywać będzie do Wenery lub do trzech Gracji.

Tańce, Muzyka, Deklamacja. Ponieważ te trzy przedmioty są istotną zasadą dobrego wychowania, przeto wszelkiego dołożę starania, aby nauki te w całej obszerności dawane były na mojej pensji. Teoria i praktyka połączą się z sobą, aby moje uczenniczki stały się godnymi wielkiego świata, na którym mają figurować. Tańce zajmować będą co dzień po godzin sześć, z których dwie poświęcone będą części teoretycznej. Wtenczas panny za wydoskonalone w tej sztuce uważać się będą, skoro potrafią udawać wiatry w *Powrocie Zefira*. Muzyka także zaniedbana nie będzie; moje uczenniczki nauczą się na pamięć najnowszych arii z oper ulubionych, oznajomią się ze wszystkimi instrumentami tak, iż każda panna po wyjściu z pensji może być uważana za prawdziwe *pariharmonicon*. Deklamacja, również jak tańce, tymże samym sposobem dawana będzie, część naukowa poprzedzi praktyczną: jest to bowiem rzecz równie istotna jak przystojna, aby panny umiały grać komedie.

Nauka moralna i obyczajowa. Na ten przedmiot oddzielnego kursu nie będzie, wiadomo bowiem całemu światu, że teraz wszędzie pełno moralności, jest ona w śpiewach, znajduje się w romansach, nawet balety, opery i komedie mają swoją moralność. Pod tym względem tańce i muzyka niemało się przyłożą do oswojenia panien z moralnością; obie te sztuki wzbudzają tliwość, łagodzą temperamenta i kształcą obyczaje. Deklamacja także niemały ma udział w moralności, teatr jest szkołą świata i nie widzę potrzeby powtarzać, że tryumf moralności szczególnie jest zaleconym przez Arystotelesa piszącym komedie i tragedie. Z tego wszystkiego każdy się przekona, że dosyć posiadam sposobów gruntowniania powierzonych mi panien w moralności i obyczajności. A w końcu moi profesorowie historii, geografii i mitologii mogą, kiedy ku temu ochota i czas posłuży, w godzinach od zatrudnień wolnych, wyklądać pannom prawidła moralności.

Na końcu każdego roku szkolnego rozdawane będą na mojej pensji nagrody dla panien w przytomności zaproszonych osób, i to po odegraniu komedii. Takich nagród będzie rozdawanych: 20 za tańce, 15 za deklamację, 10 za muzykę, 8 za mitologię, 6 za geografję, 4 za historję, 2 za gramatykę, a 1 za moralność.

Wszystkie panny będą miały uczestnictwo w nagrodach, jeźeliby zaś znajdowały się takie, które na żadną nie zasługują, takim dawane będą nagrody nadziei.

O szczegółach tego instytutu, warunkach i mieszkaniu niżej podpisanej do-  
wiedzieć się można każdego czasu w biurze Wiadomości Brukowych.

Zefiryra<sup>63</sup>.

### **Przykład 47. Anonim – *O przymnożeniu swobód i wolności żydkom naszym. Fragmenty (1821)***

Artykuł siódmy. O wychowaniu dzieci żydowskich.

Chcemy też mieć, by dziecięcki żydowski, a *teneris unguiculis* te wielkie  
miały sobie wpajane prawdy, które święty zawiera talmud; to jest, że cały okrąg  
ziemny, ze wszemi dostatkami, jakie goje w swym ręku dzierżą, są *directe* włas-  
nością Izraelowych dzieci; że całe pogaństwo dlatego tylko na tej ziemi cierpiane  
jest, bych nie schodziło na rękach, z których i przez które lud ten błogostawiony  
żywion być ma; że jak niebo wyłącznie dla nich, tak piekło dla odrzuconych go-  
jów, których Małahabołes ojcem jest nieodzownym od wieków zostało przerna-  
czone wyrokiem; że jeśli się jeszcze tak rychło nie zdawało niebu, na ziemskie  
trony żydków forytować, toć o to zawsze gorąco modlić się mają, by raczej bisur-  
maństwo i rodem i wiarą i obyczajami tak bardzo do synów Izraelowych zbliżone  
(dwa wiersze w Krotchwilcu nie dały się wyczytać)... nad światem panowanie...  
niżli, bych to być miało...

A kromia tego, tymże *utriusque sexus*, dziatkom, nauka rachunkowa w ku-  
plach i sprzedażach tak ludziom potrzebna, z przydaniem ku temu pewnych kra-  
somównych formuł i figur, tak wykładana i w praktyce okazywana być ma, iżby  
się nigdy one w całym swym życiu nie wahały w obraniu zysku dla się, straty dla  
gojów; a jeśli się kiedy w takowej nie dopilnowały rachunkowości, toć naka-  
zanym postem, wyszydzeniem, ba *etiom* i korporalnym karaniem do tej głównej  
w handlu z gojami, talmudem przepisanej metody póty naginane być mają, pó-  
kiby owo *axioma* na zawsze w młodocianej nie utkwilo pamięci: że to wszystko  
za dług wypłacony uważać się ma, cokolwiek i jakimkolwiek obyczajem z rąk  
chrześcijańskich do żydowskich przechodzi.

Mając tym sposobem dziatki żydowskie wpojone sobie od rodziców, rabi-  
nów, szkolników i spektorów tak ważne i tak w każdym sposobie życia poży-  
teczne prawdy; niższych żadnych nauk zgoła potrzebować nie mogą. A więc  
krajowe szkoły publiczne – w których maxymy, owym to wyżej opisanym tak  
przeciwnie – maxymy tak osłabiające, ba więc i z gruntu obalające talmudowe

---

<sup>63</sup> Zefiryra, *Ogłoszenie o Nowej Pensji dla Panien. Wiadomości Brukowe Nr. 199*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 96–98. Por. też, *Ogłoszenie o nowej pensji dla panien*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), dz. cyt., s. 345–346. Źródło pierwotne: „Wiadomości Brukowe”, nr 199/1820.

principia i maxymy pełne jadu – wykładają, się – zdaleka, mili żydkowie, jako miejsca zapowietrzane, omijać *tenentur*<sup>64</sup>.

### **Przykład 48. Franciszek Hempel – *Pani Trzepiotalska* (1822?)**

Pewien rektor szkoły parafialnej miał syna, który wcale był niepojętym, ale mimo tego zawsze dobrą o sobie miał opinię.

Przy każdym niemal egzaminie publicznym, zmartwił on głupotą swoją biednego ojca. Raz tedy znowu, dniem przed takim egzaminem, ojciec go jakoś chciał przygotować, do rozwiązania zadań się mających zapytał, i tak się do niego odezwał. „Słuchaj i uważaj! Noa miał trzech synów, jeden się nazywał Sem, drugi Ham, a trzeci Jafet. Jakże się ich ojciec nazywał?” Daremne było zapytanie, ponieważ godny synaczek, nic nie umiał odpowiedzieć na to.

Westchnął biedny ojciec, nową z nim rozpoczął próbę i to do niego mówił: „Na przykład Pan Rzempoła, Organista nasz tutejszy, ma również trzech synów, jednemu Ludwiś, drugiemu Michaś, trzeciemu Antek. Któż jest ich ojcem?”

– Juścić nie kto inny, jak Pan Organista – odezwał się najukochańszy synek.

– No, to przecież jest odpowiedź, która się słyszeć daje – rzekł ojciec z uśmiechem, i na tym się gawędka skończyła.

Ufny tatuś w dobitnej odpowiedzi synulka, śmiało nazajutrz w czasie egzaminu toż samo mu uczynił zapytanie: „Noa miał trzech synów, a ci byli, Sem, Ham i Jafet, któż był ich ojcem?”

– Juścić nie kto inny jak Pan Rzempoła, organista nasz kochany – była odpowiedź.

Można sobie wystawić jakie stąd powstały chichotki<sup>65</sup>.

<sup>64</sup> Anonim, *O przymnożeniu swobód i wolności żydkom naszym*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 114–115. Źródło pierwotne: „Wiadomości Brukowe”, nr 253/1821.

<sup>65</sup> F. Hempel, *Pani Trzepiotalska*, „Pasztet nie z Truflami, ale z Facecjami”, 1822, s. 101–102. Tytułowa Pani Trzepiotalska jest autorką humoreski. Poszczególne utwory w zbiorze są oznaczane nie tytułami, lecz personaliami autorów. Źródło pierwotne: „Pasztet nie z Truflami, ale z Facecjami”, 1816 lub 1822 (ukazało się kilka numerów). Jak zauważa Zofia Dźędżyk: *Cechą, jaka wyróżnia „Pasztet nie z Truflami, ale z Facecjami” spośród innych współczesnych mu i nieco późniejszych czasopism humorystycznych, jest jego oryginalna konstrukcja. Pisemko to podzielono na części nazwane schadzkami, na których spotykają się narratorzy poszczególnych historyjek. Są oni postaciami zmyślonymi. Nazwiska takie, jak Gadulski, Wszędobylska, Wścibska, Konceptowicz, Trzepiotalska oraz Bavard (z francuskiego bavard – gadatliwy) czy Plappertasze (z niemieckiego plappern – paplać, gadać), określają dominujące cechy charakterów i sugerują czytelnikowi, że może oczekiwać od tych osób mnóstwa plotek i dowcipów. Z. Dźędżyk, „Pasztet nie z Truflami, ale z Facecjami”: mało znana humorystyczna efemeryda z pierwszej połowy XIX wieku, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej”, nr 18 (2)/1979, s. 7.*



**Przykład 49. Aleksander Żółkowski – *Momus. Fragmenty (1829?)***

Daleko lepiej urządzone są klasy szkolne, niż klasy loteryj; bo w niej chociaż losy przez pięć klas kurs odbywają, jednak z ostatniej wychodzi kilka tysięcy pustaków – lubo równą z drugimi na edukację pobierali kwotę<sup>66</sup>. [...]

We Francji edukacja jest tak rozszerzona, że nawet chłopcy po francusku mówią<sup>67</sup>. [...]

W szkołach pierwiej jest *ex amen* a potem *Amen*<sup>68</sup>. [...]

Jezuici zadawali studentom *pensa*, a *ex pensa* sami brali<sup>69</sup>.

**Przykład 50. Alojzy Gonzaga Fortunat Żółkowski – *Świeca ciemnogrodzka (1829?)***

Gdy student nad czytaniem zasnął sobie smacznie,  
Świecy się podobało; więc rozważać zacznie.

Gdy się ocknął, w tem świeca tak do niego rzecze:

Zgon mój bliski, dla ciebie nauką człowiecze;

Chwałę ci, że się twa myśl ukształcać nie lubi:

Cóż mi z tego żem światła? toż światło mnie gubi<sup>70</sup>.

**Przykład 51. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa – *Anekdoty. Prawdziwie o dzieciach (1833?)***

W iedney rodzinie przypadło święto Babuni. Ponieważ nie była obecną, dzieciom wszystkim pisać do niej kazano; Matka chcąc się poszczycić z umiejętności Synów i Córek swoich, prosiła ich Nauczyciela, żeby piękne od nich wymyślił listy. Bronił się długo rozsądny Nauczyciel; przedstawiał, że byłoby nierównie lepiej, gdyby dzieci same w krótkich i prostych słowach, z własney głowy życzenia swoje napisały; że te ich wyrazy miłsze będą Babuni od iego nudnych i iednostaynych conceptów. Nie chciała przystać Matka, ulegając prawie powszechnemu zwyczajowi; musiał iey dogodzić choć nie chętnie. Znudził się niezmiernie

<sup>66</sup> A. Żółkowski (red.), *Momus. Tomik I*, b.w. Kraków 1829, s. 4; tenże (red.), *Momus, Tomik I*, W drukarni D.E. Friedleina, Kraków 1836, s. 4. Źródło pierwotne: „*Momus*”, 1820–1821.

<sup>67</sup> Tenże (red.), *Momus. Tomik I*, dz. cyt. (1829), s. 53; tenże (red.), *Momus. Tomik I*, dz. cyt. (1936), s. 53.

<sup>68</sup> Tenże (red.), *Momus. Tomik I*, dz. cyt. (1829), s. 86; tenże (red.), *Momus. Tomik I*, dz. cyt. (1936), s. 72.

<sup>69</sup> Tenże (red.), *Momus. Tomik II*, b.w., Kraków 1829, s. 72; tenże (red.), *Momus. Tomik II*, W drukarni D.E. Friedleina, Kraków 1836, s. 62.

<sup>70</sup> Tenże (red.), *Momus. Tomik I*, dz. cyt. (1829), s. 88; tenże (red.), *Momus. Tomik I*, dz. cyt. (1936), s. 74.

nad czterema powinszowaniami; jeszcze mu piąte zostawało od sześciolatniej Zosi. Długo dumał; nareszcie zniecierpliwiony napisał następujące:

„Nadchodzące Imieniny Babuni Dobrodziki, podaję mi sposobność wynurzenia Jey szczerych życzeń, które codziennie składać o Jey pomyślność i zdrowie. Niech kochana Babunia przyjmie łaskawie te wyrazy, które mi serce dyktuje, i niech raczy wierzyć przywiązaniu z którym jestem, Jey najniższą podnóżką i wnuczką”.

Ukończywszy nudną powinność, Nauczyciel wziął pięć pół arkuszy złożonego papieru, porobił na każdym po kilka linii, zatemperował pięć piór, i wołał po starszemu Dzieci, dyktował każdemu z osobna napisane powinszowanie. Gdy na Zosię kolej przyszła, stawiała pięknie i prosto, litera po literze, i wszystko szło dobrze, póki iey Nauczyciel tych słów nie podał: „które mi serce dyktuje”. – „Ja tego nie mogę napisać!” zawołała. „A to dla czego?” zapytał iey się. – „Bo to mi nie serce dyktuje tylko Nauczyciel”. Na tę uwagę tak słuszną rozśmiał się szanowny Mistrz, a biorąc list poszedł z Zosią do iey Matki. Opowiedziawszy iey całe zdarzenie: „Widzisz Pani, dodał, że zwyczaj pisania koncepcji dzieciom, fałszu i kłamstwa nauczyć ich może”. Przyznała mu słusność Matka; i odtąd wszystkie iey dzieci iak umiały i iak mogły powinszowania swoje i listy pisały. Mniej były wysadzone, przyjemniejsze osobom, które je odbierały, i zamiast w kłamstwo, wprawiały wcześniej Dzieci w sztukę pisania<sup>71</sup>.

### **Przykład 52. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa – *Troskliwość zbyteczna (1833?)***

Józio B. jest chłopczyk bardzo dowcipny, ale jeszcze mały; z tej przyczyny nie zna wartości nauki, i nie bardzo chętnie się uczy; on pewno odmieni się z wiekiem, bo któreż dziecko dowcipne nie zmiarkuje łatwo, że nauka koniecznie potrzebna; ale tymczasem woli jeszcze bawić się niż uczyć. Tak raz Dziadunio zasadził go nad książką, i kazał mu się uczyć; zaś wyszedł; wraca wpół godziny i zastaie Józia z kłosem na środku pokoju: „Coty robisz? chłopcze! zawoła. – „Dziaduniu, odpowie Józio, mysz tu przebiegła dopiero, chciałbym ją zabić”. – „Co tobie do myszy, książkę pilnuj”. – „Ale bo ja wiem, że myszy lubią iść książkę, i o moję bardzo się złąkłem”<sup>72</sup>.

<sup>71</sup> K. z Tańskich Hoffmanowa, *Anekdoty. Prawdziwie o dzieciach*, [w:] tejże, *Wybór pism. Tom 10*, nakładem Wilhelma Bogumiła Kohna, Wrocław 1833, s. 100–102.

<sup>72</sup> Taż, *Troskliwość zbyteczna*, [w:] tejże, *Wybór pism...*, dz. cyt., s. 122–123.

**Przykład 53. Józef Ignacy Kraszewski – *Szuflada i głowa* (1843)**

Pewien uczony  
bardzo wślawiony  
pokazywał mi szufladę.  
„Patrz, co to ja w te papiery  
przez lat trzydzieści cztery  
rozumu, nauki kładę”. –  
„Ach”, ktoś na to z boku doda,  
„cóż to za wielka szkoda,  
moi mili panowie,  
że rozum i nauka,  
której każdy w głowie szuka,  
u tego pana w szufladzie – a nie w głowie”<sup>73</sup>.

**Przykład 54. Gustaw Gizewiusz – *Ucz się bracie,  
po niemiecku...* (1844)**

Ucz się bracie po niemiecku!  
Ucz się dla mnie i po grecku,  
Ale w naszym polskim dziecku –  
Męcząc one po niemiecku –  
Nie zabijaj po zdradziecku  
Życia duszy po zbójceku.

Włożyć suknię po niemiecku,  
A już nie po staroświecku –  
Łatwa sztuka, po krawiecku,  
Lecz nicować po niemiecku  
Polską duszę w małym dziecku –  
To mi sztuka po turecku;

Kupczyć mową po kupiecku,  
Mieniać ją po nowoświecku,  
Nie jest to po mazowiecku.  
Wolę siedzieć w mym zapiecku,

<sup>73</sup> J.I. Kraszewski, *Szuflada i głowa*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (red.), *Kalendarz Szpilek, Szpilki*, Warszawa 1957, s. 63.

Skromnie żyć, nie po ślachecku,  
Niż być **przechrzta** po niemiecku!<sup>74</sup>

### **Przykład 55. Tomasz August Olizarowski – \*\*\* (1852?)**

Z nieukiem wiodąc sprzeczkę, uczony się silił  
Pokazać wobec głupich, że nieuk się mylił.  
Głupiec, z rozumnym w sporze, zdał się na chorego:  
Chory patrzył, kto zdrowszy – wziął stronę głupiego<sup>75</sup>.

### **Przykład 56. Władysław Syrokomla – *Epilog życia* (1853?)**

Cała natura jest chemią,  
A ród ludzki akademią;  
Całe twe życie w tej szkole  
Przepędzaj w ciężkim mozole.  
Idź z trudnościami w zapasy,  
By w końcu grzanekę swą upiec,  
A śmierć ci powie, żeś głupiec,  
I odda do pierwszej klasy<sup>76</sup>.

### **Przykład 57. Józef Symeon Bogucki – *Czy może sowa urodzić sokoła?* (1855)**

Nie potrzebujemy odpowiadać na to zapytanie, gdyż każdy za nadto ufając naturze, która nie cierpi monstrowości, sam odpowie sobie w duszy że tak być nie może. Jednak potrzeba było aż przysłowia, któreby człowiekowi tę jedną z prawd odwiecznych przypominało, chyba że je przystosujemy do sztuki, to jest do wychowania: bo w takim razie jesteśmy najpewniejsi, że rodzice z rodu baraniego nie koniecznie doczekają się ze swego potomstwa baranów, ale i to rzecz bardzo rzadka. Weźmy to jednak sobie za ogólną regułę że z ludzi rodzą się zawsze ludzie, a z tych dopiero powstają ludziska.

Każde człowieczysko kompletnie biernej bywa sobie natury: do 25 roku rośnie według Fizjologii Doktora Mullera<sup>77</sup>; potem tyje do 50-go, a następnie starzeje się i czeka śmierci zażywając tabakę. – Zazwyczaj w pierwszej epoce pokazu-

<sup>74</sup> G. Gizewiusz, *Ucz się, bracie, po niemiecku...*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, *Od Fredry do Bałuckiego*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1961, s. 156–157.

<sup>75</sup> T.A. Olizarowski, \*\*\*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 216; tenże, *Bez tytułu*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 300.

<sup>76</sup> W. Syrokomla, *Epilog życia*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 313.

<sup>77</sup> Więcej na ten temat, J.P. Müller, *Handbuch der Physiologie des Menschen für Vorlesungen*, Verlag von J. Holscher, Coblenz 1833. Przep. P.P.G.

je swój największy rozum – chodzi bowiem w majteczkach, a już go wszyscy figlarzem nazwali; rodzice nawet upatryli w nim tak zwany *spryt*, co według ich pojęcia już coś wielce intelektualnego oznaczało, chociaż mędrzec w nagłej jakiej potrzebie, nie umiałby sobie rozpiąć jednego guziczka bez pomocy mamy lub służącej. Już to w szkołach najbieglejszym zwykł bywać w rysunkach, czego dowody po wszystkich murach pozostawiał, a celującym w gimnastyce; zaś, skoro tylko zasłyszał od babki, że dosyć książkę włożyć na noc pod poduszkę, aby nauka sama dostała się do głowy, uznał to tak doskonałe, iż stale porzucił wszelkie inne teorie z bogacania głowy, aby odtąd wszystkiego mógł się uczyć przez sen, lub tylko z zamkniętymi oczyma. W dwunastym jednak roku taki niezawodnie spróbuje planu własnej kompozycji, to jest, złożywszy swe książki gdzie na kłocach szkolnego dziedzińca, sam, kształcić się będzie w Fyzyce na ślizgawce lub grając w piłkę kilka godzin; tak samo rachunków nauczyć się może wybijając szyby kamieniami; Botaniki, wycinając witki z krzaków gdzie w Saskim Ogrodzie albo strącając kasztany. Chrzęszcze których gwałtem zmuszać będzie do cudownego młynkowania, pouczą go Historii Naturalnej a nawet nie jeden wydoskonalić się może w Grammatyce i w obcych językach, próbując ustawicznie podrzeźniać mowę Niemców chodzących z małpami po ulicach, Włochów noszących na głowach gipsowe figurki; a prawie każdego żyda – za co od rodziców stanowczo *pojętnym* nazwany zostanie. Ma się jednak rozumieć że ojciec także sobie człowieczysko, wie tylko że byle synek chodził z ogromną teką do szkoły, zaś w domu miał guwernera z złotemi okularami na nosie, nadewszystko aby wołał a wołał ustawicznie o nowe książki, choćby tylko dla tego, że się w nich jeden obrazek albo mappa znajdowały, już nasycił jego dumę – mama znowu liczyła połamane rejsfedry, cyrkle, szczyzoryki, książki poszarpane jak sztandary, i to ją najwięcej o jego postępie upewniało; a skoro jedynaczek zażądał raz lancy z chorągiewką i poszedł na ekskursją, rozptakała się z radości – cóż dopiero jak wrócił bez czapki z podartemi na kolanach spodniami, z pękiem tataraku pod pachą; przytém ukazał kilkanaście swierszczów, które za otwarciem pudełka wyskoczywszy, zapowiedziały na noc koncert w szparach od podłogi, z uniesienia radości straciła apetyt – nawet lękając się większego złego, tegoż jeszcze wieczora zażyła magnezji. Gdybyśmy się teraz tych rodziców zapytali, czego się ich synek uczy w szkole, ani mama ani papa nie umieliby na to odpowiedzieć – oni prawdziwy postęp jego nauczyli się pojmować po numerze klasy w której ten zostaje, i dla tego to nie jeden z takich ojców spotkawszy się z drugim na bawarskiem piwie, nadyma się przekonany, że choć synowie ich obadwa w jednymże są wieku, jego jednak *kanalja*, o jedną klasę wyżej tamtego przeskoczył: przyczém każe stawiać na stół jeszcze dwa kufelki, co nie zawsze drugiemu dobry humor wraca, dopóki swego *trochę nygusa* nie usprawiedliwi, choć-

by tylko dał za powód że jest słabowitym i rozpieszczonym za nadto od matki. Ludziska tego rodzaju bywają bardzo o swe plemię zazdrośni, a podobno Bogiem a prawdą, najwięcej im w tej sprawie zwykło iść o siebie: bo jeżeli często obadwa czytać nie umieją, a znakami krzyża świętego podpisują się w potrzebie, pragną jednak czémkolwiek nagrodzić swą małość i wynaleźli ten jedyny sposób, że chełpią się rozumem swych dzieci! Jak trafia się niekiedy że dwóch zapaleńców sciera się w swoich zdaniach aż do upadłego, byleby z pola nieustąpić, tak samo rodzice walczą o rozumy swoich dzieci, dopóki w końcu nie obrócą pocisków na siebie. Wtedy to w gniewie tego dziwnego egoizmu, nie jeden dowiedzieć się może, że jego tak zwany kanalja, już połowę kosztownych książek wyprzedził na ciastka, a tak polubił ekskursy – iż po dwa tygodnie często zwykł nie bywać w szkole, spędzając czas na błoniach pod Warszawą, co się z dawna dawnego chodzić na wagusy nazywało. Nic nawet dziwnego, jeżeli zaraz naza-jutrz przedstawi się ktoś inny z likwidacją w rękę za potłuczone szyby w inspektach i połamane krzewy winne w jakim ogrodzie na przedmieściu lub o pół mili za Warszawą; na domiar nawet tylu prawd oczywistych, znajdzie się i trzeci, co przyjdzie oświadczyć, że synek jeszcze przed tygodniem ukarany, teraz całkiem ze szkoły wydalonny został, czego tajemnicę przeciągnął postanowił, aż do dni wakacji. Zwykle na takie ultimatum papa wpada w system nowy – dąsa się i zrzyma przed światem używając logiki starych panien, które poznawszy narreszcie że już im zamąż wyjść niepodobna, powtarzają każdemu: mąż, co mi to za wielkie szczęście! – Otóż ten papa odkrywa teraz same zalety głupoty i piorunuje na nauki, które tylko mózg suszą w człowieku a brzucha nie tuczą. Zobaczcie go teraz na bawarskim piwie, kiedy zasiądzie w gronie opasłych ojców i zacznie rozprawiać o *naturalnym rozumie*, rzucając klątwy na wszystkich starych, co sami kręcą powróż swym dzieciom na szyje, *hajdukując*, kiedy właśnie prawdziwy rozum jest tutaj (w kieszeni); przy czém, ma się rozumieć, popiera każdy frazes ręką, uderzając nią po kamizelce, ażeby pieniądze się odezwały, na co już nikt mu nie śmie odpowiedzieć, Zatem moja kolej!!!, woła jak z katedry; jeszcze sześć kufelków na stół! (zapewne dla wykazania wyższości pieniędzy nad rozumem) i jeszcze sześć!... bo jutro, mój syn zobaczycie, idzie do garbarza! Ale Bogu podziękować należy, jeżeli ten pater, swemu z krwi i ciała synalkowi wyrznawszy poprzednio piętnaście, spełni co zapowiedział i zaprowadzi go do garbarni – wówczas obódwóch szczęście ocalone, a i społeczność pozbyła się grożącej sobie plagi, którą przynosi światu każdy niedouczony w rozumie a z professyi... próżniak. Garbarzem, zostanie sobie jak jego ojciec człowieczy-ną, niepotrzebując nigdy wielkiego rozumu i wielkiej woli: bo jak w młodości popychali go rodzice, posyłając na oślepa do szkoły, tak odtąd będzie popychadłem majstrów i czeladzi, którzy mu zawsze pożyczą swoich myśli, dopóki się nie oze-

ni. Odtąd też już mu i głowa całkiem nie potrzebna – zostanie popychadłem swojej połowicy, nawet dzieci, które nim także rad nie rad kierować będą, ażeby nigdy głupstwa nie popełnił. Prawda że już ten prochu nie wymyśli, tém więcej nie poprawi systemu telegrafów elektrycznych ani żelaznych kolei nie przeinaczy, ale za to, wszyscy z jego łaski będziemy obowie z nieprzemakającej skóry na nogach nosili, za co mu społeczność wyda licencję wolnego spijania bawara, do ilu sobie kufli na jeden wieczór dociągnąć potrafi. Nigdy jednakże całkiem nie można odmówić mu zdolności; chodził przecie z tablicą i z teką do szkoły, a więc wie, że Bóg *Deus*, a mój *meus* po łacinie, czém jeszcze nie jednemu zaimponować potrafi, jak się kiedy odezwie niezartami; a ile razy tylko chmury zbiorą się na niebie, ręcymy iż odgadnie, że będzie deszcz niezadługo i weźmie ze sobą parasol; niech nawet kiedy zakłuje się w palec albo zakaleczy, niewątpliwie nauczy każdego, że nóż ostry a igła kole, a to podług elementarza, na którym przecie czytać się nauczył. Ale biada, jeżeli synek jeszcze w szkołach, zaczął już nosić w kieszeni szczoteczkę z lusterkiem, a w 3-ciój klassie będąc, przekrzywił sobie czapkę nieco na ucho z fantazją, wiedząc, że to się *na bakier* nazywało. – Zawierzcie słowu prawdy, ten już garbarzem nie będzie – on ma rozum każdej dobrze uczesanej głowy, i choćby go nie minęło zapowiedziane z wolnej woli ojca dziesięć lub piętnaście, tedy albo do wojska się zaciągnie jako ochotnik z powołania, albo uda się pod opiekuńcze skrzydło mamy, której właśnie najbardziej się podobało, że synek tylko co po raz pierwszy wystroiwszy się z żurnala, ma minę skończonego, jak się nie różnią niczém wszyscy co palą papierosy w Szwajcarskiej dolinie. Niechżeby jeszcze teraz Fixatoarem wysmarował włosy i zawinął je żelazkiem, został nawet najpotrzebniejszą figurą w jój domu – będzie bowiem robił znajomości z młodzieżą i sprawadzał w dom wszystkich z wywijanemi kołnierzykami na krawacie, dopóki siostry jego nie powychodzą za mąż po kolei chociaż te, dostają się najczęściej rzemieślnikom albo fabrykantom z Elektoralnej ulicy, a którzy może najmniej w tym domu bywali i najmniej wypili herbaty, a wtedy już i mama poznaje to sama, że nie byłoby tak bardzo źle, gdyby synek przed laty zaczął był wyprawiać skóry u garbarza. Ale mniejsza już co się stało – mamy gotowego członka społeczności w żurnalu paryzkim, który spełniwszy pierwszą epokę swego powołania, pragnie teraz coś znaczyć – to jest, chce opinji i pozycji, słowem jakiego bądź imienia, chociaż my powtórzemy mu zawczasu: nie urodzi sowa sokoła, tem więcej go nie wychowa, chyba że ptaszek popróbuje własnej siły i sam dalej wykształcać się będzie<sup>78</sup>.

<sup>78</sup> J.S. Bogucki, *Czy może sowa urodzić sokoła?*, [w:] tegoż, *Wizerunki społeczeństwa warszawskiego. Szkice obyczajowe*, nakładem Aleksandra Nowoleckiego, Warszawa 1855, s. 18–26.

**Przykład 58. Soter R. Rozbicki – *Stodoła i ksiądz prefekt (1856)***

Siedząc raz wrona na stodole

Pytała studenta w szkole.

Dla czego u licha,

Ksiądz prefekt kicha? –

A on jej na to:

A dla czego wrona,

Podnosi ogona?

Z tego sens następuje,

Że pchła kozły wyskakuje<sup>79</sup>.

**Przykład 59. Grzegorz Rozumiłowski – *Pisma humorystyczne. Fragmety (1856)***

Czemu też choć jednemu z naszych pedagogów na myśl nieprzyjdzie, ażeby z naszej młodzieży jowialnych ludzi porobić? Wszakże człowiek jowialny jest najszczęśliwszy na świecie. Zawsze zdrow, wesół, mówi pełnym głosem, uściśka każdego chętnie, śmieje się szczerze i głośno, a śmiechem swoim całe towarzystwo rozwesela. Ludzie jowialni mają powszechnie zdrowy żołądek i czyste sumienie, a to są dwa filary życia ludzkiego. Wszystko co czynią, dzieje się otwarcie śmiało, a jeśli się kto gniewa, oni o tym ani słyszeć nie chcą. Dlatego też robota idzie im sporo, a po robocie znów się weselą, bo trosków nieznają. – Kobiety lubią najbardziej wesołego a przyzwoitego mężczyznę. Wszędzie odnosi on zwycięstwo, ale nigdy się takowym nie chełpi. Jowialny człowiek nie zna ponęty do pijaństwa, bo życie trzeźwe dla niego rozkoszą. Pytam się więc, dlaczego jowialnych ludzie najmniej mamy? – Niechaj każdy co mu się podoba mówi, ale przyczyną tego jest złe i nienaturalne wychowanie naszej młodzieży. Niezabijajcie naszych dzieci zbyt młodo książkami, niezatępiajcie ich umysłu setnemi naukami, a będziecie z nich mieli ludzi zdrowych i jowialnych. Świat nazywa ludzi jowialnych obojętnymi, nieczułymi, lecz mylnie, ponieważ jowialny człowiek jest umysłowy, a dla tego właśnie zawsze wesoły, ponieważ, wszędzie i we wszystkim swoje szczęście znajduje<sup>80</sup>. [...]

<sup>79</sup> S.R. Rozbicki, *Stodoła i ksiądz prefekt*, [w:] tegoż, *Bajki ulubione humorystyczne wydane dosłownie przez Sotera R. Rozbickiego pacjenta filozofii ze znalezionej rękopismu Herszka Klapibrody dzierżawcy fabryki garnków glinianych w mieście Kocku*, nakładem T. Wyszomierskiego, Warszawa 1856, s. 14. Por. tenże, *Stodoła i ksiądz prefekt*, [w:] tegoż, *Bajki ulubione humorystyczne*, nakładem Wł. Borkowskiego, Warszawa 1887, s. 23.

<sup>80</sup> G. Rozumiłowski, *Pisma humorystyczne Grzegorza Rozumiłowskiego oryginalne. Złożone z ludowych opowieści, ulotnych poezji, ucinków, filozofii moralnej, dowcipu, satyr, bajek, facecyi i rozmaitych anekdot. Zeszyt II*, W drukarni gr. kat. Kapituły – pod zarządkiem uprzyw. dzierżawcy M. Dzikowskiego, Przemyśl 1856, s. 141.



Cieszcie się kobiety, panie i dziewczęta. We Francji otwierają wielki zakład emancypacyjny wychowania kobiet. Nie w Paryżu, ale za Paryżem, w lasku bułońskim postawiono już gmach olbrzymi z ogrodami, boduarami, aleami, łazienkami i reitsztulami. W gmachu tym umieścić będzie można 50000 panienek, które się na pułki, bataliony i kompanie stosownie do wieku dzielić będą. Co się tyczy postawy, taktu i ruchu wojennego sami tylko młodzi oficerowie naukę udzielać będą. *Reguła I.* W tym zakładzie suknie tylko takie nosić wolno, jakie świata najbardziej w oko wpadają. *Reguła II.* Wodę tam pod karą śmierci pić zakazano, tym bardziej zaś rano wstawać, albo co ciężkiego robić. Za napój powszechnie służy tam dubeltowe piwo, wino, kawa, czekolada, gorzałka prosto z kotła i koniak. – Trzy razy na tydzień zaś dostaje każda na noc pięć szklanek gorącego pączu. *Reguła III.* Przy toalecie niewolno mniej jak dwie godzin siedzieć, w lecie wstaje się o 10, a w zimie o 12 godzinie z łóżka. Wolno także po południu której się podoba szpaczka uciąć. *Reguła IV.* Obiad składa się zawsze z 10ciu, a kolacja z 5ciu potraw; podczas nauki niewolno im nic innego tylko konfitury albo owoce zjadać. – *Reguła V.* W tym zakładzie nie wolno się uczyć, gotować, szyć, prząść, haftować, suknie robić i dzierzgać, bo to się do niczego niezdało, ale za to musi się każda uczyć: stroić się, tańczyć, w karty grać, ptaszki strzelać, w bilard grać, kręgle stawiać, na koniu jeździć i cygara palić. – Wymawia się wszakże naprzód, że z konia paść i karku skręcić niewolno. – *Reguła VI.* Jest tam osobna katedra, z której wykładają naukę, jak można każdej chwili na zawołanie zemdleć, albo spazmy dostać, osobno zaś dają lekcje robienia plotek z nut, a niemniej uczą, jak się nad wszystkim rezonuje, kłamie, wyszydza, drażni i wydrzyżnia, a czasem i sługę białymi łapkami policzkuje. – Ochmistrzyni zakładu bardzo jest przykładną, bo kiedy która panienka w pasję padnie, a przy tym szkło, filiżanki, lustra albo talerze potłucze, zaraz ona jej funt karmelków w prezencie daje. – Oszczędności i rachunków uczyć się w żaden sposób niewolno, ale listy romansowe pisać z obowiązka każda musi.

Biblioteka tego zakładu składa się z samych romansów o rozbójnikach jak Rinaldo Rinaldini, tudzież z pism o filuteryi, oszczerstwie i obcinaniu paznogi. – Ach jak szczęśliwi ci mężowie będą, którzy żony z tego zakładu pobiorą<sup>81</sup>. [...]

Przy popisie publicznym w szkole kadetów w Warszawie, kazano jednemu uczniowi zrobić pisemne wypracowanie, jak by sobie postąpił, gdyby tę i tę wieś ze swoim oddziałem wojska przed nieprzyjacielem bronić musiał. – Kadet ów siadł do pióra ale jakoś mu to nie szło. Píše więc, zaledwie z swoim oddziałem

---

<sup>81</sup> Tamże, s. 141–142.

na górze stanąłem i zaledwie się rozpatrzyłem, dał nieprzyjaciel z dwóch dział ognia, kula armatnia blisko mnie przeleciała, dostałem kontuzję padłem już nie wiem co się dalej stało, – a ponieważ wachmistrz pomnie komendę objął, więc niechaj wachmistrz sprawozdanie robi<sup>82</sup>. [...]

Pewien podoficer ucząc rekrutów kazał im w marszu głośno, raz, dwa, raz, dwa liczyć i tak maszerować. Rekruci ci z początku liczyli, lecz jak już kawał odeszli, zamilkli. Czemu raz, dwa nieliczycie? wrzasnął rozgniewany podoficer. My liczymy, ale w myśli tylko, ozwali się pokornie rekruci. Co tam myśleć, na co to myśleć głośno mówcie, z myśli nikt jeszcze mądrym nie został<sup>83</sup>.

### **Przykład 60. Artur Bartels – *Vox populi vox Dei*. Fragmenty (1859)**

Peniacza, marnotrawnika,  
Jakiego pod słońcem niema,  
Wynoszą na urzędnika,  
Co los rodzin w rękę trzyma;  
Głupca, którego list prozą,  
Mógłby być dla osłów wzorem,  
Obierają kuratorem!  
Kuratorem szkół, o zgrozo!

Jak nasz tak i wszystkie kraje  
Mają wiele zła w szczegółach,  
Ale szczerze to wyznaję,  
Więcej jest sensu w ogółach.  
Co jest złem, złem się nazywa,  
Dobre dobrem, tu inaczej:  
Złe na dobre się tłumaczy,  
A dobre często złem bywa.

Królem ślepych jednooki,  
U nas co wiorsta uczony,  
Porządny co cztery kroki,  
A kochanieńkich – miliony!

<sup>82</sup> Tenże, *Pisma humorystyczne Grzegorza Rozumiłowskiego oryginalne. Złożone z ludowych opowieści, ulotnych poezyi, ucinków, filozofii moralnej, dowcipu, satyr, bajek, facecyi i rozmaitych anekdot. Zeszyt III, W drukarni gr. kat. Kapituły – pod zarządkiem uprzyw. dzierżawcy M. Dzikowskiego, Przemyśl 1856, s. 223.*

<sup>83</sup> Tamże, s. 227.

I nie ma nawet nadzieji,  
By inaczej kiedy było,  
Tak się u nas wyrobiło,  
To *vox populi, vox Dei*<sup>84</sup>.

### **Przykład 61. Franciszek Sokoł Szahin – *O filozofie i chłopie* (1859)**

Uczył chłopca filozof, że się ziemia cała  
Koło słońca podwójnym ruchem obracała;  
Prawda panie! rzekł chłop gorzałką zalany  
Patrz jak mną ziemią rusza, aż łbem tłukę ściany<sup>85</sup>.

### **Przykład 62. Wołody Skiba (Władysław Sabowski) – *Szkoła*. Fragmenty (1863)**

Do klasy wszedł monsieur Lami, nauczyciel języka francuskiego.

Był to człowiek w gruncie rzeczy dobry, w przedmiocie swoim należycie wykształcony, ale w wysokim stopniu śmieszny.

Wykładał język obcy, żądał od uczniów, żeby w nim czynili szybkie postępy, żeby mówili najczystszy akcentem i najpoprawniejszą pronuncjacją, a sam był żywym przykładem, że to nie jest rzecz taka łatwa, bo mówił po polsku strasznie, kalecząc niemiłosiernie nie tylko wymowę, lecz rodzaj i znaczenie wyrazów. Za to przede wszystkim nie lubiano go i wymowę jego polską przedrzeźniano we wszystkich klasach.

Nie na tem jednak ograniczała się śmieszność pana Lami. Będąc Francuzem czystej krwi, był on antytezą Francuza. Przybyszów z nad Sekwany wyobrażamy sobie zawsze jako ludzi wykwinnych, eleganckich i z dobrami manierami, tymczasem trudno sobie wyobrazić człowieka bardziej zaniedbanego w ubraniu, rubaszniejszego i większego brudasa, niż monsieur Lami.

Był on urodzonym, zaprzysiężonym wrogiem grzebienia i szczotki, wody i mydła. Dziwną sztuką umiał swój zarost utrzymać tak, że zawsze wyglądał, jakby go brzytwa po raz ostatni dotykała przed tygodniem.

W ruchach jego nie było żadnej dystynkcji i powagi, a rysy twarzy miał klasycznie brzydkie. Nizkie, marszczące się co chwila czoło, na które spadały raz wraz kosmyki beładnie utrzymywanych włosów, małe, biegające oczy, wielki nos, wielkie policzki, z mocno wyrastającym kośćmi, usta olbrzymich rozmiarów.

<sup>84</sup> A. Bartels, *Vox populi vox Dei*, [w:] tegoż, *Piosnki i satyry. Zeszyt I*, nakładem K. Bartoszewicza, Kraków 1888, s. 19–20.

<sup>85</sup> F. Sokoł Szahin, *O filozofie i chłopie*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 22.

rów, otwierające się przy każdej sposobności na szerokość bramy wjazdowej, oto rysopis wcale nieponętny.

Dodajmy do tego głos krzykliwy, chód rzucający się, niską, krępą postać, i wstrętne zamiłowanie w obgryzaniu paznogi, a będziemy mieli w całej postaci pana Lami, który prawdziwie osierocił swój kraj, przybywając do nas, bo w jego ojczyźnie zapewne drugiego podobnego egzemplarza nie pozostało.

Otóż pan Lami wszedł do klasy, a w klasie panowała cisza, jak makiem zasiał.

Było to coś niezwykłego. Nigdy jeszcze od czasu, jak pan Lami piastował godność nauczyciela nic podobnego się nie zdarzyło.

Witała go zawsze straszna, szalona wrzawa, którą musiał uspakajać, wchodząc na katedrę, uderzając linałem kilkakrotnie i wołając: – *Silence, messieurs, je vous le dis!...*

Napomnienie to naturalnie nigdy nie skutkowało, i monsieur Lami musiał je powtarzać co chwila, zaperzając się coraz bardziej i coraz silniej waląc linałem w katedrę.

Tym razem, jak powiedzieliśmy, panowała cisza, straszna cisza, cisza przed burzą, wielkie, uroczyste milczenie, które uorganizował Pawełek, podczas pauzy dziesięciominutowej, poprzedzającej lekcję pana Lami.

Nikt nie drgnął, nikt nie zakaszał, nikt nawet głośniejszo nie odetchnął. Cisza ta tak skonfundowała pana Lami, że, wszedłszy na katedrę, nie wiedział, jak się odezwać. Patrzył przez chwilę, potem machinalnie ujął linał, uderzył nim kilkakrotnie i wielkim głosem, jakby chciał zapanować nad niezwykłą wrzawą, zawołał: – *Silence, messieurs, je vous le dis!...*

Trzeba było heroicznego wysilenia ze strony kilkudziesięciu młodych chłopców, żeby na to wezwanie nie wybuchnąć śmiechem. Ale klasa pod komendą Pawełka do takiego bohaterstwa była zdolna! Nikt się nie roześmiał. Nikt nie poruszył.

Nałóg silniejszy jest, niż natura. *Monsieur* Lami, któremu się to zdarzyło po raz pierwszy w życiu, tak był pomieszany, tak dalece nie mógł się połapać w nowej dla siebie sytuacji, że zerwał się z krzesła, grzmotnął raz jeszcze z całej siły linałem w katedrę i krzyknął z całego gardła: – *Silence, je le répete!...*

Tego już klasa wytrzymać nie mogła... Tu i owdzie odezwały się stłumione śmiechy. Powstrzymało je jedno „pst”, pochodzące z ławki Pawełka. Ta odrobina wrzawy natychmiast przycichłej, a potrzebnej widać panu Lami na lekcjach, jak woda rybie, powróciła mu kontenans.

Przekonał się, że uczniowie jego nie zaniemieli nagle, skutkiem jakiegoś nadprzyrodzonego wypadku, i zaczął lekcję zwyczajnym trybem, od którego nie odstępował nigdy, to jest od przesłuchiwania tego, co było zadane.

Zadaną była na ten dzień konjugacja słowa *bailler*, rzecz dla wszystkich w klasie nietrudna, bo się już w niższych klasach, pod kierunkiem tego samego profesora, w odmienianie słów wprawili. Panu Lami, jako pedagogowi, szło tym razem o przekonanie się, czy klasa dawniejszej nauki nie zapomniała, a słowo „ziewać” wybrane było dlatego, żeby dać uczniom sposobność do egzer cytowania się w poprawnym wymawianiu miękkiego *l*.

– *Silence!* – powtórzył raz jeszcze pan Lami, bez krzyku jednak i bez uderzenia liniałem. – Pazderski, *conjuguez!* Paździerski, właściciel nazwiska, przeznaczanego przez Francuza, jeden z najmłodszych i najspokojniejszych w całej klasie uczniów, wstał i rozpoczął: – *Indicatif present. Je baille, tu bailles...*

Siwe oczy pana Lami zaczęły biegać niespokojnie po klasie. Drażniło go znów to, że wszyscy siedzieli, jak trusie. Nikt się nie ruszał, nikt nie szeptał do sąsiada, nikt nie zasłużył na najmniejsze upomnienie albo naganę. Cisza była tak poważna, że słaby głos Paździerskiego słyszeć było wyraźnie w najdalszych zakątkach.

Nawet samego recytatora konjugacji nie miał w czem poprawiać profesor. Był on jednym z tych uczniów, którzy najpoprawniej wymawiali *l* miękkie, według metody i wskazówek pana Lami. Czas terażniejszy przeszedł szczęśliwie, bez pomyłki, podobnież w *imparfait* i *passé indéfini* nie było żadnego potknięcia. A w klasie było tak cicho, że *monsieur* Lami ogryzaniem paznogci musiał sobie przeszkadzać, żeby znów nie krzyknąć niepotrzebnie nałogowego: *Silence!*

Paździerski zatrzymał się na chwilę, żeby odetchnąć. – *Continuez*, Pazderski, – rzekł pan Lami – *passé défini...*

– *Je baillai*, – konjugował mały student, – *tu baillas, il bailla, nous...*

W tem miejscu stała się katastrofa. Nie sam tylko Paździerski, lecz cała klasa jednomyślnie, jakby jednym gardłem, krzyknęła: – *Nous baillâmes!* I nie dość, że krzyknęła. Wszystkie te młode gardła i silne piersi, na najrozmaitsze sposoby przeciągały i modulowały końcowe *â*, z czego się wytworzył chór ogłuszający, piekielny koncert, rozdzierający uszy i doprowadzający do rozpaczycy dbałego o poprawność pronuncjacji francuzkiej pana Lami. To też Francuz podskoczył na katedrze, jak piłka. – *Qu'est-ce que cela signifie* – zawołał, trzęsąc się z gniewu – sso to jest?...

Popis się skończył. Młodym chłopcom trudno było śmiech pokonać, ale zapanowali nad nim i znów była cisza, jak makiem zasiał. Paździerski przestał konjugować.

– Sso to jest? – powtarzał, przychodząc do siebie z gniewu *monsieur* Lami, rozbrojony nagle uspokojeniem się swawolników, – żeby mi żaden osel nie ważyła się krzysić więsy... Pazderski, *continuez*.

Wydający lekcję zaczął na nowo: – *Je baillai...* Zaledwie jednak doszedł do owej nieszczęśliwej pierwszej osoby liczby mnogiej, znów się odezwał ten sam chór, tylko głośniejszy jeszcze, połączony z modulacjami i warjacjami jeszcze dziwniejszemi, jeszcze niemiłosierniej szarpiącemi słuch delikatny nieszczęśliwego profesora.

*Monsieur* Lami zatkał sobie uszy i czekał. Kocia muzyka trwała tym razem dłużej, niż poprzednio, wreszcie umilkła. Francuz zrozumiał, że jest ofiarą zmowy, przeciwko której sam nic nie poradzi. – Dobrze! – zawołał, – ja was będę nauszyś!... Idę poszukać pan inspektor...

Widząc to, Pawełek, który ruchów pana Lami nie tracił z oka, zerwał się sam z miejsca, w jednej chwili przesadził parę ławek, z tą samą kocią zręcznością, jakiej złożył dowody przy przesadzaniu sztachet w dniu rozstawiania się z Helą, przyskoczył do drzwi wprzód od profesora, zastawił je sobą i, rozkrzyżowawszy ręce zawołał: – Pan profesor nie pójdzie na nas się skarżyć... ja pana profesora nie puszcze!...

Takiej czynnej opozycji nikt jeszcze nie považył się stawić panu Lami. – A to so?... – zapienił się profesor, – jak ty śmiała osel jeden!... ustąpiła stąd presz!... *laisse-moi passer!*

Pawełek ani myślał się cofać. – Pan profesor nie pójdzie, – powtórzył stanowczo, – pan profesor byłby niesprawiedliwy i okrutny, gdyby poszedł... *vous seriez injuste et cruel...*

Francuszczyzna rozbroiła gniew pana Lami, a zarzut niesprawiedliwości go zabolął. – Niesprawiedliwy... sso on piesie, osel jeden?... dlaszego niesprawiedliwy?... *pourquoi injuste?...*

Sprawa była wygrana, *monsieur* Lami nie upierał się już, ażeby wyjść, i pozwalając z sobą parlamentować.

– Panie profesorze! – zaczął mu przekładać Pawełek, – myśmy nic złego go nie zrobili.

– Sso to nis?... Jak to nis?... Sala klasa krzyszała... to ne jest nis!...

– To nic, panie profesorze, jak ojca kocham, nic. Myśmy tylko chcieli pokazać, że wszyscy umiemy tak jak Paździerski... a pan profesor gniewa się, że nie umiemy... *vous êtes injuste et cruel.*

– Niesprawiedliwy!... niesprawiedliwy!... – zaczęto powtarzać w różnych ławkach. Klasa cała przybierała taką postać, do jakiej pan Lami był przyzwyczajony na lekcjach. To go zmiękczyło i ułagodziło do reszty. Wbiegł na katedrę, jakgdyby odmłodził, uderzył liniałem kilka razy i zawołał: – *Silence, messieurs... je vous pardonne...* przebaszam ostatni raz!...

Zrobiło się względnie cicho. Lekcja szła dalej. Paździerski dokończył konjugacji, następny z kolei, Adaś Pokrowiecki, miał odmieniać to samo słowo przez

wszystkie czasy i osoby, dodając do każdej tłumaczenie polskie. Kilka „pst!” Pawełka, w różne strony rzuconych, przestrzegło jego kolegów, że należy się jeszcze zachować spokojnie, że widowisko jeszcze nie skończone i spodziewać się winni od pomysłowego reżysera jakiejś mającej je uwieńczyć niespodzianki.

– *Je baille*, ziewam, *tu bailles*, ziewasz, odmieniał bez omyłki Adaś.

Ziewanie, jak wiadomo, jest zaraźliwe i pierwszemu Pawełkowi, słysząc o niem, zachciało się ziewnąć naprawdę. Ziewając, trącił Ignasia, epidemia ziewania udzieliła się i jemu, następnie inni zaczęli ziewać, niektórzy mimowolnie, inni domyślając się może, że w tem jakiś figiel się kryje. Wreszcie, gdy Adaś doszedł do trybu rozkazującego i zaczął go recytować, otworzyły się szeroko ogromne usta profesora... epidemja utorowała sobie drogę aż na katedrę.

Tego właśnie czekał i na to liczył Pawełek z kilkoma umówionymi naprzód pomocnikami. Jednocześnie z kilku punktów sali spadły na pana Lami jakieś czarne pociski. Niektóre przeleciały mu tylko koło uszu, jeden uderzył w same czoło, a jeden najtrafniejszy wpadł w otwarte usta. *Monsieur* Lami zamknął je szybko i zabulgotał, jak podrażniony indyk, nie będąc w stanie w pierwszej chwili słowa wymówić, ani swoim rodowitym, ani kaleczonym polskim językiem.

Żadna siła ludzka, żadna perswazja, żadna groźba nie byłaby w tej chwili powstrzymała wybuchów homerycznego śmiechu. Śmiali się wszyscy, gestykulując żywo, aż się trzęsły ławki, spadały pióra i podskakiwały kałamarze. A nieszczerliwy Francuz przez długą chwilę nie wiedział, jak postąpić z owym pociskiem, który tak niespodzianie dostał mu się do ust i utkwiał prawie w samym gardle. Najprostszą rzeczą było wypluć... ale ów pocisk zgniótł się przy zamykaniu ust i zdradził smak swój, który bardzo przyjemnie oddziaływał na podniebienie profesora.

Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Lami, obok innych zalet i przymiotów, był nadzwyczajnym amatorem wszelkich łakoci, a zarazem człowiekiem tak skąpym, że sobie grosza na ich kupowanie żałował. Ze skąpstwa tego słynął w całym mieście. Wszyscy widzieli, że, aby go kucharka nie oszukiwała, sam chodził do straganiarek i rzeźników, znosząc zakupione wiktuały do domu w zataczonych fularowych chustkach od nosa. Nim się więc zaczął gniewać, wprzód posmakował, i uczucie smaku przemogło.

– Śliwka!... *parole d'honneur* śliwka!... – zawołał wreszcie, połknąwszy owoc, – który osel poważyla się rzusaś śliwka na *son professeur*?...

Nim dokończył, wzrok jego padł na drugą śliwkę, która, odbiwszy się od czoła, stoczyła się na dziennik leżący na katedrze. Pochwycił ją szybko, otworzył, wyrzucił pestkę i zjadł.

– Który osel poważyla się? – powtórzył, – powiadajcie mi zaraz!... zaraz!... nech se przyzna!...

Odpowiedziano naturalnie milczeniem, pan Lami jednak nie czekał odpowiedzi. Przypomniało mu się, że było więcej śliwek, zbiegł więc z katedry i zaczął je zbierać z podłogi. Uprzątnął tak i spożył po kolei wszystkie *corpora delicti*, wszystkie faktyczne dowody popełnionego przez klasę ekscesu. Naturalnie, że to żarłocstwo nadsekwańskiego pedagoga uniemożliwiło wszelkie dochodzenia na serjo. Mimo to *monsieur* Lami czuł się obowiązany do zrobienia czegoś dla podtrzymania swej powagi.

– Który osel poważyla se? – powtarzał ciągle, jedząc śliwki i nie zważając, że cała klasa śmieje się tylko, a o ekspijacjach jakichkolwiek nawet nie myśli.

Nareszcie po ułatwieniu się ze śliwkami, przyskoczył do najbliższego, który się znalazł pod ręką, w pierwszej ławce i, chwyciwszy go za ramię, zawołał: – To ty rzusala, Ziskiewis! ty rzusala, osel jeden!

– Nieprawda, panie profesorze, – zaprzeczył stanowczo Diczekiewicz, – ja nie rzucałem.

Pan Lami nie słuchał zaprzeczeń. Puścił ramię chłopca, odstąpił od niego o parę kroków, złożył ręce, ramiona wzniosł do góry i, stanąwszy w postawie, która miała wyrażać politowanie i oburzenie, a postać jego śmieszna zawsze, jeszcze komiczniejszą czyniła, pokiwał głową i rozpoczął reprimendę, mającą skruszyć, zmiękczyć i do upamiętania doprowadzić zapamiętałego grzesznika.

– *Ah! c'est ça – ah! c'est ça, monsieur* Ziskiewis! Twój osies prasowała, twój osies była *économe*...

Diczekiewicz zerwał się z ławki, jakby go kto spoliczkował.

– Za pozwoleniem pana profesora, – zawołał, – mój ojciec nigdy nie był ekonomem!...

*Monsieur* Lami, przestraszony, cofnął się jeszcze dalej, wodząc oczyma po całej klasie ze zdziwieniem.

– Sso on plesie, osel jeden? – rzekł wreszcie, – ja nie powiedziała, że twój osies była ekonom, tylko była oszczędni, zbierała majątek, a ty jesteś marnotrawsa, i rzusasz na *ton professeur* śliwki, so kosztują pieniądze!... Ja Zyskiewis będzie zapisała do ziennik!...

Zwrócił się ku katedrze i wziął za pióro. Diczekiewicz miał odpokutować za wszystkich. Byłaby to jednak czarna sprawiedliwość, na którą klasa nie mogła pozwolić. Odkupicielem ogólnej winy, kozłem ofiarnym profesorskiego gniewu stałby się najmniej winny ze wszystkich. Zaczęto szemrać, protestować, śmielsi wybiegli z ławek, otoczyli profesora z perswazjami, instancjami, prośbami. Był to środek wypróbowany. *Monsieur* Lami miał zwyczaj krzyczeć wielkim głosem, walił liniałem w ławkę i katedrę strasznie hałaśliwie, ale perswazja zawsze miała na niego wpływ, a prośba miękczyła go zupełnie. Tak się też i tym razem



zdarzyło. Nadsekwański pedagog srożył się z początku, ale gdy mu pióro z rąk odebrano, dziennik z katedry uprzątnięto, gdy go otaczający malcy zaczęli skubać, głaskać i molestować, udobruchał się i zawołał: – No, już dosiś! assez!... przebaszam Zyskiewis... przebaszam sala klasa... ostatni raz!

Na takim przebaczeniu zwykle się kończyło, tym razem jednak czereda wyrostków była już zanadto rozswawolona.

– W górę pana profesora!... – krzyknął któryś, pamiętając z domu owację, jaką ojcu jego podczas wakacji wyprawili na imieniny rozochoceni sąsiedzi – w górę pana profesora!...

Myśl ta spodobała się wszystkim, i natychmiast znalazła wykonawców. Kilku najsilniejszych pochwyliło pana Lami, pomimo jego szamotania się i obrony, i zaczęto obnosić go w tryumfie. Tymczasem Pawełkowi, który do tej owacji nie należał, przyszła myśl szalona czy genialna, co zresztą i w szkole, tak, jak w życiu, najczęściej wychodzi na jedno. Skinął na kilku kolegów, pochwycili ze stalug wielką czarną tablicę, położyli ją na płask, na katedrze i krzyknęli do obnoszących profesora kolegów: – Dajcie go tu!...

W chwilę potem pan Lami był już umieszczony na tem zaimprovizowanym wzniesieniu. Zaledwie go tam instalowano, nim jeszcze nieszczęśliwy profesor mógł dokładnie zrozumieć niebezpieczeństwo swojej pozycji, dał się słyszeć wyraz, który w całym gimnazjum zawsze najzapaleńszych do upamiętania przywodził. Ktoś – historia nie powiada jego imienia – zawołał głosem donośnym: – *Ćwik!*...

W mgnieniu oku, na dźwięk tego wyrazu, rozpierzchli się wszyscy, którzy otaczali katedrę, jeden przez drugiego, śpiesząc się do ławek. W kilka sekund później każdy siedział na swoim miejscu, cicho, spokojnie, patrząc w książkę i nie śmiejąc podnieść oczu ani na profesora, pozostawionego w ryzykownej pozycji, ani na drzwi wchodowe, w których znajdowała się szybka, a poza szybką znajdować się były powinny oczy inspektora, zwykle w gwarze studenckiej nazywanego *Ćwikiem*.

Ów *Ćwik* był to człowiek serdeczny, dobroduszny, miękki i łagodny, jednym słowem dobry z kośćmi, który jednak posiadał szczególny talent wydawania się strasznym, jak gromowładny Jowisz, w oczach młodzieży. Gdy spojrzał groźnie, wszystkie dusze były na ramieniu, a gdy krzyknął, wszystko truchlało. Każdy drżał, żeby nie wpaść w jego ręce, a gdy się dostał, na najstrasliwsze przygotowywał się katusze. I rzeczywiście inspektor umiał straszyć okropnie, chociaż na dziesięć wypadków w dziewięciu straszne te groźby kończyły się przebaczeniem, a w dziesiątym okropna kara stawała się zwykle wcale łagodną i pobłażliwie ojcowską.

Ten talent utrzymywania swej powagi posiadał on nietylko wobec uczniów, ale i w gronie profesorów. Gdy zawołano „Ćwik”, nietylko wszyscy malcy rozbiegli się po ławkach, ale zaniepokoił się także kompromitująco ulokowany profesor. Rzucił on wzrokiem naokoło, namyślając się, jakby zejść, było to jednak zadanie trudniejsze, niż się spodziewał. Tablica była znacznie większa, niż wierzch katedry, na której spoczywał pan Lami zatem musiał pozostawać na środku, gdyby się bowiem zbliżył na brzeg którykolwiek, musiałby się zważyć, spaść i potłuc. Gimnastykiem pan Lami nie był, odwagi i zręczności nie miał wcale, a przemówić do chłopców, prosząc, żeby go sprowadzili, nie śmiał, bo i jemu się zdawało, że lada chwila otworzą się drzwi i ukaże się w nich groźny inspektor, który wszelkich układów pokojowych profesora z rozswawoloną klasą nie uznałby z pewnością za chwalebne. Drzwi się jednak nie otwierały i gromowładny Jowisz nie wchodził.

Pan Lami rzucił okiem i przekonał się, że oczów inspektora poza szybką nie było. Widocznie któryś z uczniów zawołał „Ćwik” z przywidzenia lub dla zastraszenia kolegów. Był zatem czas do zaczęcia układów i wyjścia z pozycji, nie dającej się pogodzić z godnością i powagą profesorską. *Monsieur* Lami zaczął mówić do klasy. Z początku gniewał się i krzyczał, następnie widząc, że to nie pomaga, zaczął upominać łagodnie i prosić. Mówił po polsku i po francusku. Przemawiał do ogółu i do jednostek, które wymieniał po nazwisku.

Wszystko to było bezskuteczne. Wszelka gromada, wszelki tłum, gdy się podnieci i rozszaleje, staje się okrutnym, nie ma litości, traci serce. Nikt ani myślał iść na pomoc profesorowi, który sam rady sobie dać nie umiał. Pastwiono się nad nim z bezmyślnym, nieświadomym siebie samego okrucieństwem. Byłby się może znalazł ktoś chętny do pośpieszenia panu Lami na ratunek, i gdyby kto mógł policzyć, w ilu sercach ta chęćka się budziła, byłby ich może znalazł większość, ale każdy się lękał uczynić krok pierwszy, bo każdy się obawiał, żeby go nie posądzono, iż chce sobie kosztem ogółu zaskarbić łaski profesora.

W tej też obawie podobno, a nie we wrodzonej przewrotności natury ludzkiej, leży główna przyczyna owego bezwiednego okrucieństwa tłumów. Niewiele zresztą miano czasu do rozważenia, czy iść, czy nie iść za szlachetniejszym instynktem. Po niejakiem czasie kilku nieśmiało spoglądających ku drzwiom, spostrzegło tam naprawdę poza szybką oczy Ćwika. Inspektor zajrzał, zobaczył, co się działo w klasie i schował się natychmiast, zapewne dlatego, żeby stłumić śmiech, jakim musiał wybuchnąć na widok pana Lami, stojącego z rozkrzyżowanymi rękami na katedrze.

Tego śmiechu jednakże nikt się nie domyślał w całej klasie, nikt bowiem nie przypuszczał, żeby gromowładny Jowisz, ujrawszy taki skandal, mógł nie

zawrzeć straszliwym gniewem. Domyślano się, że poszedł po stróży i narzędzia doraźnej egzekucji, nikt nie miał odwagi poruszać się, cisza panowała taka, jak na początku lekcji, a pan Lami, niemniej pomieszany od swoich uczniów, na nic innego zdobyć się nie mógł, prócz rzuconej z wyżyn swego stanowiska przestrogi. – *Silence, messieurs... je vous prie...*

Otworzyły się drzwi i wszedł inspektor. Cała klasa powstała na jego powitanie i lżej cokolwiek odetchnęła. Ćwik przyszedł sam. Groźnemu prokonsulowi nie towarzyszyli liktorzy. Na twarzy jego jednak nie znać już było wcale, że przed chwilą pracować musiał nad sobą, ażeby się wstrzymać od śmiechu. Wzrok jego miotał pioruny.

– Co to jest?... Co się tu dzieje?... zapytał pierwszego z brzegu.

– Nic, proszę pana inspektora, odmienialiśmy słowo *bailleur*.

Inspektor zrozumiał, że relacja zapytanego trwałaby zbyt długo, zwrócił się więc do profesora. – Co to się stało, panie Lami?...

– *C'est rien...* to jest nis... – plątał się nadsekwański pedagog – te swawolniki... osły jedne... to jest nis!... Rzusili śliwka na *son professeur et voilà tout*.

Widząc, że z profesorem trudniej się jeszcze dogadać niż z uczniami, inspektor zbliżył się do katedry, silną ręką przytrzymał tablicę, żeby się nie poruszała, i spojrzeniem zachęcił pana Lami do zejścia. Francuz niezgrabnie i z obawą zsunął się na fotel, następnie zeszedł z katedry.

– Panie profesorze – zakończył inspektor – nie będę dalej wchodził w tę sprawę. Proszę mi spisać wszystkich winowajców na kartce... ukarzę ich tak, że kiedyś, gdy posiwieją, jeszcze im się to przypomni, a panu profesorowi zaręczam, że taka zdrożna niesforność więcej się nie powtórzy. To powiedziawszy, wziął pana Lami pod rękę i wyszedł wraz z nim z klasy, choć jeszcze brakowało najmniej dziesięciu minut do ukończenia lekcji<sup>86</sup>.

### **Przykład 63. Józef Jakubowski – *Pacanów, gdzie kozy kują* (1865)**

Miasto Pacanów, dziś ogórkami sławne w obwodzie Krakowskim, przez jakieś niefortunne wypadki dało początek licznemu z siebie urągowskiemu. Niedowarzonego, niezgrabnego, a zarozumiałego młodzieńca, nazywano uczniem Akademii Pacanowskiej. Liche zapewne musiały być szkoły; lecz rzemieślnicy doskonalili,

<sup>86</sup> Wołody Skiba (Władysław Sabowski), *Szkoła*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altemberg, Warszawa – Lwów 1914, s. 417–424. Por. W. Sabowski, *Nad poziomą. Powieść z r. 1863*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1968.

gdy kożę robiąca w ogrodzie szkodę, bez skaleczenia okuł kowal, ztąd powstało przysłowie: że w Pacanowie kozy kują<sup>87</sup>.

### **Przykład 64. Sadok Barącz – *Gandziaboross*. Fragmenty (1866)**

Nieboszczyk Ważyński archiwista brodzki w swojej Nosologii powiada: nosy garbate są oznaką zmysłu spekulacyjnego. Zdanie to samo przez się upada, bo gdyby wartość moralna do pewnych znaków ciała ludzkiego była przywiązaną; natenczas byłby człowiek maszyną, nie zaś wolną istotą. Ale i godny synaczek państwa Gandziaborossów był przeczącym tego dowodem. Urodził on się wprawdzie z garbatym nosem i kędziorami na głowie, z ruchliwymi jak żywe srebro ślipakami, słowem powiedziawszy, cała postać tłustego dzieciaka zapowiadała wielką przyszłość, na którą też rodzice uradowani wiele bardzo liczyli.

Lecz niestety było to ciele w ludzkiej postaci. W koszuli biegający pędrak do marnotrawstwa wielką okazywał skłonność, uciekał też od książki szukając podobnych sobie, by czas drogi na niczem przepędzić. Ulubione zwrotki powtarzał bardzo często: – Ecie, pecie, pistolecie, nabijecie, wystrzelecie. Ecze, pecze, kotka pieczenie wlecze.

Razu pewnego zmęczony przybiega do matki jak gdyby skarby jakie odkrył i powiada: – Mamo zeby wy wedzeli jak nasa koza wogonem macha, fik, fik.

Matka rozplakała się, że takiego durnia porodziła. Niemniej też bolał nad tem ojciec, że takiego niezdareń żywicił musiał w domu. W nadmiarze swego utraipienia, powiadał do żony: Moja rybeńko, co my z tym durniem będziemy robili. Rada w radę, stanęło wreszcie na tem, żeby tego durnia na księdza wykierować. Jak zaczęli mu tedy wszyscy kleptać, księżuniu, księżuniu, tak księżunio jak fura siana wlaź do głowy młodego niezdary.

Szkoły gimnazjalne przepłynął jakoś przy troskliwości rodziców, którzy nauczycielów pieczonym i gotowanym starannie opatrywali.

Potem odwieźli go do stołecznego miasta, i ulokowali u krewnego księdza kanonika, żeby pod jego okiem słuchał filozofii i sposobił się do stanu duchownego. [...] Był wtedy na filozofii Katecheta wielki pedant, któremu jeżeliś od słowa do słowa z książki niewybębnił, to ci nie dał klasy, a proszącym o łaskę odpowiadał: nie mogę! Otoż tedy zdając religję, nieotrzymał pierwszej klasy pan Gandziaboross, skarży on się przed koleżkami na Katechetę. Koledzy poczciwi wiedząc o tem, że rodzice posełają Gandziaborossowi dosyć pieniędzy, powiadają do niego: Wiesz ty co, daj nam dziesięć guldenów, to my wręczymy pewnemu Jegomości, przez którego Katecheta bierze łapowe. Dał on im dziesięć guldenów, które

<sup>87</sup> J. Jakubowski, *Pacanów, gdzie kozy kują*, [w:] tegoż, *Książeczka humorystyczna pocztowa na rok 1865*, drukiem Wawrzyńca Pizsa, Bochnia 1865, s. 13.

oni zaraz przepili, a na drugi dzień zdybawszy się z nim, powiadają, że wszystko dobrze poszło, Katecheta wziął guldeny, a jak wyjdiesz na poprawkę, to mu szepnij tylko: „Memfis” to on już będzie wiedział. Wychodzi pan Gandziaboross poraz drugi na egzamin, Katecheta zadał mu pytanie i stanął nad nim według swego zwyczaju. Niemogąc odpowiedzieć na pytanie, wstaje pan Gandziaboross i do ucha szepcze Katechecie: „Memfis”.

- Co? – pyta zdziwiony Katecheta.
- Memfis Panie Dobrodzieju – odpowiada głośniej.
- Może pan słaby?
- Nie, ja jestem Memfis panie Dobrodzieju.

Koledzy w ławkach umierają od śmiechu, A on na całe gardło woła: – Memfis.

Katecheta obraca się do słuchaczy mówiąc: – Niech kto odprowadzi tego pana do domu, gdyż jest słaby, jak uważam. Koledzy ciągną go za sobą a on wrzeszczy „Memfis”. Nareszcie gdy już byli za drzwiami. Oh jeszcze raz drzwi otworzył, wystawił głowę z garbatym nosem i zawołał: – Me! Me! Me! Memfis! fis! fis! Memfis!

Dosyć że Memfis pomogło, pan Gandziaboross został księdzem<sup>88</sup>.

### **Przykład 65. Anonim – *Zgubne skutki oświaty. Spowiedź diabła z satyry galicyjskiej (1871)***

W pierwszej edycji dzisiejszego numeru pomieściłem piorunujący artykuł wstępny przeciwko tym, którzy w wniosku pośła Chrzanowskiego o przymusie szkolnym upatrywali przysposobienie jakiejś złowieszczej katastrofy, sztychłem z tych, co oświatę ludu nazywają inteligentnym kretynizmem, ośmieliłem się nawet zrobić (delikatny wprawdzie) wyrzut księciu marszałkowi, że zaplątawszy się w sieci dróg krajowych nie odszukał ścieżki, która by doprowadziła wniosek pana Chrzanowskiego na porządek dzienny...

*Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa!*...

Ale cóż robić! P. Majer nie dał mi jeszcze patentu na cnoty, na bezstronność, wyrozumiałość, oględność, umiejętność użycia czasu (!), miłość kraju i bogobojność!!!

Zgrzeszyłem i mniejszym publicznie z rozkazu spowiednika obrażonych przepraszam. Z obawy jednak, aby skrucha moja nie była niedostateczną, opiszę wypadek, który sprowadził mnie na drogę poprawy i pokuty.

---

<sup>88</sup> S. Barącz, *Gandziaboross*, [w:] tegoż, *Bajki, fraszki, podania, przysłowia na Rusi itd. zebrał ks. Sadok Barącz S.T.D.Z.K.*, nakładem autora, Tarnopol 1866, s. 62–64.

Było to w dzień targowy... Wraciałem ze zwykłej teologicznej konferencji na Wesołej, gdy z szynku p. Feintucha potoczył się około mnie na wpół pijany chłopak, a wchodząc do szynku w przeciwległym domu, zaśpiewał głosem pełnym rozpaczny: – Dana moja, dana, Ojczyzna kochana! Dana moja, dana, Ojczyzna sprzedana.

Mrowie przeszło po mnie – jeśli wieśniak po pijanemu śpiewa: „Ojczyzna sprzedana”, prawdopodobnie gdy wytrzeźwieje, spyta się: „Kto ją sprzedał?”. Dziś, dzięki naszym dobrze urządzonym stosunkom, nikt go nie objaśni, ale gdyby zaprowadzono przymus szkolny i dzieci tego wieśniaka znalazły się pewnego poranku w możliwości udzielenia ojcu dokładnej odpowiedzi – jakież nieobliczalne następstwa mogłyby stąd wyniknąć! Czy inteligencja kretynizmu nie poczułaby się do obowiązku pomszczenia owej sprzedaży?

Mordy! Pożoga! Rzeź! Nic więcej.

Wstrząsnąłem się, jak gdyby mnie kto Święconą oblał wodą, przybiegłem do domu, zniszczyłem cały już wydrukowany nakład, i kończąc to nowe wydanie zapytuję się wszystkich miłujących porządek: – Gdzież jest ten zbrodniarz, wisielec, komunista, który naszych pocziwych (bo głupich) wieśniaków uczy śpiewać: – Dana moja, dana, Ojczyzna sprzedana?!<sup>89</sup>

### **Przykład 66. Marian Bałucki – *Na łonie natury*. Fragmenty (1871)**

Scena druga

Marian, Ksawery, Cyriak, Stach

Cyriak (*ubrany z angielska, z wszelkimi możliwymi przyborami, jako to: lunetą, torbą, parasolem wiszącym na rzemykach, pudełkiem od cygar etc.; ukazuje się na pagórku i mówi do Stacha*): Gdzież ty mnie, nierozsądny, prowadzisz, wieśniaku? Ja ci kazałem przewodniczyć mi w lokalności najwięcej frekwentowanej przez dystyngowanych wojażerów, a ty, ignorancji czy też złośliwości pełny człowieku, wodzisz mnie, moim życzeniom na przekór, po ledwie dla kóz dzikich dostępnych gór ścieżkach.

Stach (*skrobiąc się po głowie, zakłopotany*): Kiej nie wiem, czego wy, panie, chcecie. (*Cyriak odwraca się od niego i patrzy przez lunetę do góry*).

Ksawery (*do Mariana*): A to oryginał jakiś?

Marian: Nie poznałeś go? To nasz dawny koleżka, Cyriak Porządnicki.

<sup>89</sup> Anonim, *Zgubne skutki oświaty. Spowiedź diabła*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, *Od Asnyka do Zapolskiej*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1965, s. 290. Źródło pierwotne: „Diabeł”, 7 XI 1871.

Ksawery: Cyruś! prawda, masz słuszność. Jak on się wyrobił z takiego osła; patrzaj, jaką ma porządną garderobę, a jaki ciekawy krój kołnierzyków; to musi być najświeższa moda. Spytam się go. (*Głośno*) Cyrusiu!

Cyriak (*odejmuje lunetę od oczu, zakłada kukera*<sup>90</sup> i powoli schodzi z pagórka): Z kimże mam tę przyjemność?

Ksawery: Nie poznajesz nas? Toż kolegowaliśmy z sobą. Ja Ksawery Dudliński, a to Marian Znencki.

Cyriak: Zdaje się, że nazwiska te nie są mi obce (*wita się z nim protekcyjnie*). Bardzo mi miło powitać i uścisnąć bratnią dłoń towarzyszy studiów szkolnych.

Marian: Tak, studiowaliśmy razem elementarz i tabliczkę mnożenia i wspólnie mierzyliśmy długość ławki, nad którą stróż szkolny powtarzał Hamletowskie: „bić czy nie bić, panie profesorze?”.

Cyriak: Były to fundamenta konieczne, bez których nie byłibyśmy w świecie tym, czym dzisiaj jesteśmy.

Ksawery (*kwaśno*): Na przykład ja, koncypientem<sup>91</sup> adwokackim.

Cyriak: Nie jest to jeszcze stanowisko, ale zawsze jesteś na drodze do wyrobienia sobie w świecie pozycji. (*Do Mariana*) A ty?

Marian: Ja uprawiam *paterna rura*<sup>92</sup>, a w chwilach wolnych od pisania rejestrów gospodarskich popełniam wiersze.

Cyriak: Rokowałeś, o ile sobie przypominam, daleko większe nadzieje.

Marian: A ty czymże jesteś, jeżeli wolno spytać?

Cyriak (*z dumą i powagą*): Ja poszedłem wcześniej drogą poważnej pracy i surowych obowiązków życia... i jestem dziś już profesorem obojga kaligrafii przy szkole normalnej.

Marian (*z zadziwieniem*): Czego?

Cyriak: Obojga kaligrafii, polskiej i niemieckiej... Poświęciłem się jednej i drugiej, aby mieć obszerniejsze pole działania na umyśle młodzieży.

Ksawery (*wybuchnąwszy głośnym śmiechem*): Obojga kaligrafii! A niechże cię nie znam! Słyszałeś, Marian, obojga kaligrafii! oj! oj! umrę, pękne ze śmiechu! Ja myślałem, że on co najmniej został ministrem oświecenia, a tu tymczasem profesor obojga Sycylii, chciałem powiedzieć kaligrafii, doktor wielkiego i małego abecadła.

<sup>90</sup> Kuker (z niem.) – lornetka.

<sup>91</sup> Koncypient (z łac.) – aplikant, początkujący adwokat pracujący w kancelarii pryncypała.

<sup>92</sup> Paterna rura (z łac.), raczej: *paternam ruram* – ojcowską wieś.

Cyriak: Pismo to charakter; kto uczy młodzież pisać, ten wyrabia jej charakter, charakter przyszlých pokoleń. Spodziewam się, że można być dumnym z takiego stanowiska.

Marian: Dajcież pokój dysputom. Po tylu latach niewidzenia się moglibyście o czymś innym pogadać, nie sprzeczać się o ogonki kaligraficzne.

Cyriak (*zblizając się żywo ku niemu*): A za pozwoleniem, co się tyczy ogonków, to znowu inna kwestia, bo są ogonki...

Marian (*przerywając mu*): Ale przestańże, na Boga, o tym. Mów raczej, gdzie przebywasz, jak ci się powodzi, czy się już ożeniłeś. (*Wśród rozmowy siadają*).

Cyriak: Jeszcze nie; dotąd jestem stanu wolnego. Chciałem bowiem pierwiej wyrobić sobie w świecie stanowisko, znaczenie pewne, i dopiero teraz, kiedy już doprowadziłem do tego punktu, zaczynam nosić się z myślą wstąpienia w świątynię Hymena<sup>93</sup>.

Marian: I cóż?

Cyriak: Dotąd jednak nie znalazłem nic odpowiedniego dla siebie. Dlatego to puściłem się na wozaj; chciałem zwiedzić trochę świata, mając nadzieję, że w podróży nowe znajomości nastreczą mi jakąś partię odpowiednią memu stanowisku. Tymczasem, jak widzę, tutejsza miejscowość wcale nie obfituje w wozajerów i zdaje się, że trzeba mi będzie wyjechać gdzie za granicę, na Śląsk, a może jeszcze dalej<sup>94</sup>.

### **Przykład 67. Anonim – *Nauczyciel wiejski i wilki.* *Bajka z satyry galicyjskiej (1872)***

Opuszczony od Sejmu, Szkolnej Rady, nieba,  
Nie mając w zimnej chacie i kawałka chleba.  
Nauczyciel zziębnięty, głodny i znękany  
Postanowił raz skończyć żywot opłakany.  
Lód na rzekach – więc trudno czekać, zanim staje;  
Wieszać się – pfe! tą śmiercią karze świat hultaje.  
Więc szedł w bór prosić wilków o przysługi bratnie,  
Litościwsi od ludzi, zjedzą go bezpłatnie.  
Już w lesie... Wnet usłyszał, jak wyją gromadą,  
W mgnieniu oka już całe otacza go stado –  
Lecz gdy go tylko bliżej nieco obwąchali,

<sup>93</sup> Świątynia Hymena – małżeństwo (Hymen – grecki bóg małżeństwa).

<sup>94</sup> M. Bałucki, *Na łonie natury. Fraszka sceniczna – fragmenty odstony 2*, [w:] R. Hennel (oprac.), *Kpiarze pod Giewontem*, Iskry, Warszawa 1987, s. 36–38. Premiera scenki miała miejsce w Krakowie w 1871 r.



Obracają się z wstrętem i chcą zmykać dalej.

„Dlaczego mnie nie jecie?” – wrzasł pedagog w złości.

„Boś chudy – wilk odpowie – sama skóra, kości.

Taką mizerną strawą głodu nie uśmierzę,

A żal mi łamać zęby na wiejskim belferze”<sup>95</sup>.

### **Przykład 68. Ignacy Danielewski – *Chłopiec szewski w terminie* (1873)**

Jestem chłopiec szewski sobie, już w terminie pięć lat robię;

Jeszcze w łóżku leżę zrana, już traktament mam od pana,

A gdy wstanę – na śniadanie od pani się coś dostanie.

Dostanie się i w warsztacie, jak to wszyscy dobrze znacie.

Zaś wieczorem gdy czas dobry, da kułaka, kto jest szczodry;

Poczęstuje tęgo, szczerze – wszyscy dają, człowiek bierze.

Lecz to fraszka mościpanie, boć to tylko na rozgrzanie –

Gdyby nie ten przyodziewek, zapomniałby człowiek śpiewek.

A tak oto śpiewam sobie; kiedy patrzą, to i robię,

Boć to tylko pożyczane. Niechno majstrem ja zostanę,

Lub choć tylko czeladnikiem, zacznę machać pociąglikiem,

I odpłacać to co cudze, wszystkim chłopcom na „wysłudze”.

Moja skóra już obita, więc się śmieję – ha! i kwita!

A że krzyczę kiedy biją, no bo lubię komedią”<sup>96</sup>.

### **Przykład 69. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) – *Przyszłość prelegentów* (1873)**

Obraz I. Rzecz dzieje się w r. 1850 w warszawskim klubie prelegentów

Prezes klubu: No, nie ma co, moi panowie!... Jeden z nas musi jechać do Lublina i wypowiedzieć tam odczyt na cel dobroczynny.

I Prelegent: Nie!... to się na diabła nie zdało... tam nikt nie przyjdzie...

II Prelegent: Chybaby wysiać jakiego fryca na próbę... Ot, na przykład pan Fikalski mógłby jechać... Ma głos i powierzchowność!

Fikalski: Ehe, nie głupim!... Na dobroczynność?

<sup>95</sup> Anonim, *Nauczyciel wiejski i wilki. Bajka*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 291. Źródło pierwotne: „Diabeł”, 7 I 1872.

<sup>96</sup> I. Danielewski, *Chłopiec szewski w terminie*, [w:] S.S. (oprac.), *Księga dowcipu i humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 58.

Prezes (*surowo*): Jak to, panie Fikalski, więc nie czujesz w sobie zdolności do ofiar?

Fikalski (*zmieszany*): Owszem, czuję... ale się to nie opłaci!

Prezes: Jak to nie opłaci?... A opłaci się siedzieć w Warszawie i przemawiać za Żelazną Bramą do przekupek albo szczęśliwszym prelegentom szyby wybić? Pojedziesz pan!... Właśnie pisał do mnie redaktor „Tygodnika Ilustrowanego Lubelskiego” i podał bardzo dobre warunki.

Fikalski: Czy nie mógłbym?...

Prezes: Na podróż tam i na powrót trzecią klasą przysłał 5 rubli, że zaś pojedziesz wagonem bydlęcym, więc zyskasz na czysto 10 złotych. Oprócz tego Towarzystwo Dobroczynności da panu jedno łóżko w sali ogólnej na nocleg...

Prelegent: A wikt?

Prezes: Prawdopodobne jest, że pana ktoś do siebie zaprosi na obiad, a ktoś drugi na kolację. Więc nie ma co, tylko pan jedź!

Fikalski: Jadę i proszę o 5 rubli na drogę!

Prezes: Fiu! fiu!... mądryś, ptaszku!... Idź pan na Pragę, zamelduj się konduktorowi, a on pana umieści. Resztę zaś 10 złotych dostaniesz pan dopiero w Lublinie po prelekcji!

Obraz II. Na banhofie w Lublinie.

Człowiek z gminu: Czego oni się tu zeszli z muzyką i z baldachimem?

Śledziarka: Jakiś tu z Warszawy jedzie, co ich będzie uczył.

Dama dobrego tonu: Czego się tak uwija redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”?

Mężczyzna dobrego tonu: Ma rację, pani dobrodziejko!... Inteligencja warszawska przesyła nam jednego z najznakomitszych swych przedstawicieli! (*słychać świst*)

Głosy z tłumu: Jedzie! Jedzie!...

Dama otyła: Bój się Boga, mężu, zaprosz go na obiad... To jakiś wielki człowiek, może by się ożenił z Kością...

Mąż: Daj pokój!... Tu już krociove panny do niego wzdychają! (*Pociąg zajeżdża*).

Tłum: Hura! hura!...

Głos z wagonu I klasy: Konduktor!... Zjadłeś trzysta diabłów... otwieraj!...

Redaktor „Tygod. Ilustr. Lubelsk”.: Konduktor! konduktor!...

Głosy z tłumu: Ten, co krzyczał z wagonu, to pewno prelegent... Jaki ma ładny głos (*Z wagonu wysiada grubas*).

Redaktor: Orkiestra! Różnij fanfarę!... (*Muzyka gra*).

Grubas: A co to znaczy, hę?...

Redaktor: Witamy cię, szanowny prelegencie!...

Grubas: Co? co?... Ja?... Prelegent?... Ja handluję świńmi, panie!... Ja nie żaden prelegent!

Fikalski: Panowie, ja jestem prelegent!...

Tłum: Hura! hura! (*Muzyka gra; Fikalskiego stawiają pod baldachimem; z obu stron ma redaktorów*).

Mąż (*do żony*): Jaki gruby w karku!... Akurat pasowałby do naszej Kości.

Redaktor: Mieszkańcy miasta Lublina!... Oto pan Damazy Fikalski, kawaler, liczący lat 23 i pół, wzrostu 6 stóp i 4 cale, wagi funtów 180 łutów 12... przenośna studnia mądrości!... Uniwersalny siewnik wiedzy... Zdrów jak ryba!... Ma świadectwa...

Tłum: Niech żyje! niech żyje!...

Głos z tłumu: Puśćcie mnie do niego. Chcę go widzieć i dotknąć.

Redaktor (*do Fikalskiego*): Jakiś starzec chce pana widzieć... Czy to nie wierzyciel?...

Fikalski (*do redaktora*): Puść go pan, będzie jakaś rzewna scena, (*głośno do tłumu*) Szanowni słuchacze, puśćcie tego starca!... (*Tłum się rozstępuje*).

Starzec (*do Fikalskiego*): Jakimże ja szczęśliwy, żeś pan tak zmądrzał!... Bo to przecież i ja pana edukowałem!

Fikalski: Kto jesteś, czcigodny starcze?

Starzec: Oho! pan mnie już zapomniał? Przecież ja jestem szkolny pedel i nierazem panu... ten tego... własną ręką...

Fikalski (*zmieszany*): Nie pamiętam cię, starcze!... Milcz już!...

Starzec: Oho! ho!... jest tu i Stanisław, co pana przytrzymał za nogi!...

Fikalski: Milcz, nędzniku!

Redaktor: Oto pan Damazy Fikalski, przenośna studnia mądrości!... (*Fanfara*).

Tłum: Niech gada!... niech gada!...

Fikalski: Szanowni słuchacze!... Potrzeba wszechstronnego ukształcenia jest tak ważna!... Ponieważ gdziekolwiek spojrzymy, widzimy ludzi więcej i mniej ukształconych, widoczne więc jest, że bez ukształcenia człowiek ani jednej chwili istnieć nie może!

Tłum: Niech żyje!... (*Muzyka gra fanfarę*).

Fikalski: Czy podniesiemy oczy na ten błękit niebieski... czy też spojrzymy na minerały, rośliny i zwierzęta... czy wreszcie wstąpimy w otchłań ponurą naszego ducha!...

Tłum: A! a! a! a!...

Fikalski: Czy też zajrzemy w głąb naszego serca przepętnionego miłością!...

Kilka Dam: Ach! ach!... (*Mdleją*).

Redaktor: Szanowni lublinianie!... Proponuję, abyśmy się udali do Dobroczynności, gdzie czcigodny prelegent dokończy tak szczytnie rozpoczętej mówki. Wejście po 2 kopiejek od osoby!

Dama (z tłumy): Dam dwa ruble za miejsce siedzące!

Mężczyzna: Ja dwanaście rubli!

Tłum: Do Dobroczynności! Do Dobroczynności!... (*Fanfara*).

Prezes: Panowie! W tej chwili odebrałem od Fikalskiego telegram. Prelekcja świetna. Trzynaście krociowych panien oświadczyło się przez swych rodziców Fikalskiemu! On wybrał jedną i założył w Lublinie sklep korzenny... Dwanaście pozostałych panien w rozpacz!... Lublin domaga się jeszcze dwunastu prelegentów!...

Prelegenci: Do Lublina!... Do Lublina!...<sup>97</sup>

### **Przykład 70. Anonim – *Talia kart* (1874)**

Było dwóch uczniów Ignacy i Stefan, którzy się bardzo kochali i żyli z sobą w wielkiej przyjaźni.

Ignacy miał karty, i lubiał sobie passjansa stawiać, kiedy mu czas od nauki zbywał, a Stefan często u niego bywając, przypatrywał się jego zabawie.

Razu jednego pokłócili się między sobą o jakąś bagatelkę i Stefan rozszalony poszedł i zaskarżył przed Inspektorem, że Ignacy grywa w karty i ma je u siebie.

A że uczniowie mają zabronione wszelkie gry w karty, zatem Inspektor ze szkolnym dozorcą poszli natychmiast na rewizję i rzeczywiście znaleźli karty.

Inspektor zabrawszy mu takowe rzeczy: „Dlaczegoż to masz karty, gdy wiesz dobrze, że za to jest sroga kara?”

Uczeń przestraszony, załkł się z początku, ale potem z najzimniejszą krwią odpowiedział: „Wielmożny Inspektorze! ja z tych kart mam kalendarz”.

„A to jakim sposobem?” spytał się Inspektor.

Uczeń karty rozłożywszy na stole, tłumaczy Inspektorowi:

„Najprzód cztery kolory, stawiają mi na pamięć cztery pory roku. W roku jest 12 miesięcy, mamy też tyle figur. – Jest 52 tygodnie, to są wszystkie

<sup>97</sup> B. Prus, *Przyszłość prelegentów*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 112–114. Źródło pierwotne: „Mucha”, Szkice społeczne VIII, 8 IV 1873.

karty. – Jest 365 dni, to jest w nich tyle oczek; ale oprócz tego, te karty służą mi na przypomnienie bardzo wielu rzeczy religijnych, których nas ksiądz prefekt uczy i tak:

Gdy spojrzę na asa, przypominam sobie jednego Boga. Dwójka stawia mi na myśli dwie natury w Chrystusie, to jest Boską i ludzką. Trójka przywodzi na pamięć trzy Osoby Trójcy najświętszej, to jest: Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch święty. Czwórka przedstawia mi czterech ewangelistów. Piątka wyobraża mi pięć niewiast, które zachowały gorejące lampy na przyjęcie swego oblubieńca. Szóstka przywodzi mi na myśl sześć dni, w przeciągu których Pan Bóg stworzył świat. Siódemkę wyobrażam jako siódmy dzień odpoczynku, to jest niedzielę. Ósemka przypomina mi ośmiu bogobojnych ludzi wybranych przez Boga, a którzy w czasie potopu byli w Arce Noego i szczęśliwie zostali uratowani od zatraty. Dziewiątka wyobraża mi dziewięciu trędowatych niewdzięczników, którzy po swem uleczeniu z trądu, nie podziękowali Panu Bogu, tylko jeden niezapomniał o tem. Dziesięć mamy przykazań Boskich. Dama przypomina mi królowę Sabbę, która z końca świata przyszła do Salomona, dla korzystania z wielkiego jego rozumu. Król to wyobraża mi króla Dawida, który ułożył psalmy, a choć wieki przeszły, dotąd są powtarzane”.

Na tem uczeń skończył, a Inspektor się zapytał, dlaczego nic o walecie nie wspomniał.

„Łaskawy panie Inspektorze!” odrzekł uczeń, „walet przypomina mi bolesne zdarzenie i dla tego zamilczam o nim”.

Inspektor tem bardziej zaciekawiony, rzecze: „Kiedyżeś już zaczął to i skończ opowiadanie, bo chciałbym wiedzieć co to masz za cierpienia”.

Uczeń dostał z kart waleta, położył go na stole przed Inspektorem i tak zaczął tłumaczyć:

„Proszę pana Inspektora, oto w jednej karpie co się nazywa waletem, jest ich dwóch i jeden z drugim żyją w nierozłącznej przyjaźni, i nigdy się nie rozdzielą, zatem jak spojrzę na waleta, to strasznie boleję, że pomiędzy ludźmi rozumnymi, z duszą i ciałem, takich przyjaciół nie znajdzie i zaraz przychodzi mi na myśl ten, co mnie zaskarżył”.

Inspektor zdziwiony tak trafnem tłumaczeniem, zostawił mu karty i od kary uwolnił<sup>98</sup>.

<sup>98</sup> Anonim, *Talia kart*, [w:] *Anegdotki. Zeszyt III*, Drukarnia J. Korzeniewskiego, Warszawa 1874, s. 23–27.

**Przykład 71. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) –  
*Na prowincji. W pokoju dziecięcym (1875)***

Nauczyciel: A nuże!... a do książki, osły. Ha!... Co z was będzie, jeżeli całe życie spędzicie na próżniactwie? Ja, kiedy byłem w Warszawie, to czytałem, pracowałem po całych dniach i nocach! – a wszystko o chlebie i wodzie!

Dziecko I: Aaa... Hum!... Pytanie... hum, pytanie... Jakie są najprzedniejsze stworzenia boskie.... jakie są... a hum!... jakie są najprzedniejsze...

Dziecko II: *Nominativus*... cykonია... *Genetivus*... cykonie... ehe... ehe... *Dativus* cykonie...

Dziecko III: Pierwszy przypadek... kto? co? zielony pies... drugi przypadek, kogo? czego? zielone.... zielonego psa... trzeci przypadek... trzeci... komu? czemu? zielonemu psowi...

Ojciec (*wchodząc*): O, tak, to lubię!... Dobrze, moje dzieci, dobrze! Uczcie się, bo inaczej będziecie świnie paść, jak mi Bóg miły... Ja na was kraść nie będę, a tu słyszę, w Warszawie to dziś nawet cham stróż może edukować swoich wiusów... Więc ten tego zatem nie ma co... tylko się trzeba brać do roboty!

Dziecko I: Najprzedniejsze stworzenie boskie... najprzedniejsze stworzenie boskie... No, Waciu!...

Dziecko II: Nie kłóć się, Kociu, bo przeszkadzasz!...

Dziecko III: Zielony, zieleniejszy, najzieleniejszy... stopień równy... wyższy...

Matka (*wchodząc*): Aaa! bardzo pięknie, moje dziateczki... Uczcie się, bo żebyście wiedzieli, jak się to w Warszawie i starzy, i młodzi zabierają do nauki, to... to... A po lekcji przyjdźcie do spiżarni, to wam dam suszonych śliweczek.

Dziecko I: Cykonია koaksat... nie, nie tak... Rana koaksat... żaba skrzeczy... Planta... plan... planta floret... roślina kwitnie...

Dziecko II: Ró...ró...rózowate... rośliny różowate... Podkrzewy, krzewy, a nawet... a nawet... a nawet wyniosłe drzewa... wyniosłe drze... Mają liście... mają liście...

Dziecko III: Cztery razy pięć... dwadzieścia!... Pięć razy pięć... a, dwadzieścia pięć!...

Dziadek (*wchodząc*): Ehem, ehem!... uczcie się, robaczki... ehem! ehem! bo to teraz w Warszawie, to nawet pastuchy biorą się do książek i do seksternów... ehem!... ehem!... a wy możecie zostać pucybutami.

Dziewczyna (*wbiega*): – Proszę łaski starszego pana cy nima młodszego państwa?

Dziadek: A bo co się stało... hę?

Dziewczyna: Abo, proszę łaski starszego pana, jakiś we fraku z Warsiawy psyjechał...

Dziadek: Bójcie się ran boskich!... aż z Warszawy?... we fraku?...

Nauczyciel: Szukajcie waszych rodziców... ktoś z Warszawy przyjechał!

Dzieci: Ktoś z Warszawy!... Jakiś pan z Warszawy!

Matka (*wbiega*): Jezus! Maria!... co się stało?...

Dziadek: Ehe... hem... z War...

Nauczyciel: Jakiś znakomity gość przyjechał z Warszawy!

Ojciec (*wbiega*): To nie podobna!... Jagusiu!... wody na miednicę!... brzytwy!... mój frak!...

Matka: Petronelo... ubierz dzieci!... daj im nankinowe majteczki i aksamitne surduciki, te, co to Lejbuś na Wielkanoc im zrobił... Mój kok!...

Dziadek: Ehem!... Bogdajże was... ty... ty... jak ci tam?... Jagna! Jaguś!... ehem!...<sup>99</sup>

### **Przykład 72. Norbert Bonczyk – *Stary Kościół Miechowski*. Fragmenty (1879)**

Z wieży ósma odbiła. Słońce ogniem strzela,  
W okna szkoły miechowskiej ciekawie się wchyła.  
W wyższej klasie przy pięciu niezgrabnie ciosanych  
Stołach stoi po parze ław w lesie łupanych,  
Na nich z tej strony chłopcy, z tej dziewczęta siedzą,  
Ci się kłóć, ci szepcą, ci śpią, ci chleb jedzą.  
Szkoła niezapełniona ani do połowy,  
Większa część dzieci pasie na Brzezinach krowy.  
W sieni, słyszeć, pan Rektór głośno rozmawiają.  
Można, będąc pisarzem gmińskim, wykładają  
Prawa ludziom kłótliwym. Nuż do szkoły weszli,  
Natychmiast się szkolarze z grzecznością podnieśli,  
Witają chórem: „Niechaj będzie pochwalony!”.  
Pan Rektór, śnać głęboko jeszcze zamyślony,  
Mówi z cicha: „Na wieki” i pijuskę kładzie  
Na stół, na którym w przykrym dla szkolarzy ładzie  
Leży tęgi lyskowiec, papier, nożyk, piórka,  
Kalendarzyk, nożyce. Lorka, jego córka,  
Ma ten stół w swej opiece. Jak codziennie bywa,  
Szkoła modli się wprzódy, potem z skrzypką śpiewa

<sup>99</sup> B. Prus, *Na prowincji. W pokoju dziecięcym*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej XV–XX w.*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953, s. 52–53.

Głosy wiejskimi: „Kiedy ranne wstają zorze...”  
On po pieśni łysinę chudą ręką orze  
I tabaczki zażywa, kicha, a: „Na zdrowie!” –  
W harmonii miechowskiej szkoła mu odpowie.  
Po tych ceremoniach pan Rektór siadają,  
Jakieś papióry, pisma wolno rozkładają,  
Oddmuchnąwszy pozornie wprzód ze stołu śmieci,  
Potem mówią łaskawie: „No, uczcie się dzieci!”.  
Słyszając miłe zlecenie, dzieci się rzuciły  
Do książek przewracania i jak zanuciły  
Ów wrzask pełen uroku, co aż w niebo woła,  
Toć i ślepy za słuchem trafiłby, gdzie szkoła.  
Ci się młóćą książkami, ten suszone kłaki  
Zamienia na kukiełkę, lub na placek jaki.  
Tam sąsiad nić guzików sąsiadom wskazuje,  
Tam dziewczyna przed drugą piórka swe rachuje;  
Inni za łby się doją; ktoś to ganiąc, przeto  
Głośno krzyknął zdradziecko: „Panie Re... ale to...”  
Pan Rektor podniósł głowę, zdało się że drzemał,  
Ale jak król swe berło, dzielnie prącik trzymał  
I rzekł: „Dosyć uczenia! Wprzód nim rozpoczniemy  
Nowe tydzień lekcje, krótko powtórzmy,  
Czegośmy się w tygodniu zeszłym nauczyli;  
Bo bez repetycyi, gdzież byśmy to byli?  
Jest przysłowie: powtórzyć nigdy nie zawadzi.  
Łatwiej głowę rozłupi, kto dwa kliny wsadzi.  
Zacznijmyż więc od wiary! Powiedz, Jędrzej Żyła,  
O czymże to w sobotę z biblii rzecz była?”.  
„Panie Rektór, joch nie był, bo nasi działali!”  
Ciężko westchnął pan Rektor, szkolarze się bali!  
Potem dodał: „Leniwcy, z was się nic nie dowiem,  
Więc, com w sobotę mówił, dziś raz jeszcze powiem”.  
Tu zaczął opowiadać tak śliczne powieści,  
Że z nich dotąd niejedna w pamięci się mieści.  
Znowu zażył tabaczki, kicha, a: „Na zdrowie” –  
W miechowskiej harmonii szkoła mu odpowie.  
Zadowolnion z grzeczności, rzekł: „Teraz pójdziemy  
Do Śląska! Co tu wiecie, zaraz zobaczymy.



Piotr Łukaszczyk, pójdź, przystąp z wskazówką ku mapie,  
Pokaż Śląska granice!". Łukaszczyk aż sapie  
Pod ciężarem swych nauk i rzekł: „Śląsk graniczy  
Kole okna na Wrocław; to naród rolniczy;  
Kole pieca jest Polska, a tu kole ziemi  
Rzeka Bałtyk; gdzie pokład, rozciąga się z swemi  
Odnogami olbrzymia góra".  
Tu coś gwizdło, coś jętko! Już Łukaszczyk siedzi,  
Czy się ręka Rektora jeszcze dźwignie, śledzi.  
Skończono powtarzania! Pan Rektór siadają,  
Wziąwszy aktów stos gruby, karty przewracają,  
Z westchnieniem mówią: „Dzieci możnoście słyszały,  
Co w wczorajszej gromadzie gminy obradzały:  
Będziem kościół rozwalać, już dla nas za ciasny,  
Nowy nam wybuduje Państwo na koszt własny.  
Abym się więc przekonał, że te mury święte  
Nie zejdu wam z pamięci, chociaż będą wzięte  
Z oczu waszych, że zawsze pamiętać będziecie,  
Jaki był nasz kościółek, tak teraz weźmiecie  
Tabulki lub spisewnik i tak napiszecie:  
»Opis starego we wsi miechowskiej kościoła  
Przed jego rozwaleniem«. Mnie mój urząd woła  
Do bardzo ważnej pracy. Piszcie, nie szeptaście,  
Wiele mam do czynienia, więc nie przeszkadzajcie!  
Banaś Bartek, zapisz tych, co się oglądają.  
Bonczyk, twój ojciec, kmostr mój, także pszczoły mają,  
Ty więc znasz się na rzeczy, idź mi do ogrodu,  
Ale nie tu, gdzie agrest już dojrzewa, z przodu,  
Lecz tam dalej ku ulom, a gdyby się pszczoły  
Roity, przyjdź natychmiast powiedzieć do szkoły!  
Krzon Julka, ty nie lubisz męczyć się pisaniem,  
Idź, ma Pani cię pošlą na pole z śniadaniem.  
Łaszczyk Wawrzyn pewno się ciężko nie rozgniewa,  
Gdy go pošlę do kuchni uciąć Pani drzewa.  
A wy piszcie, a pięknie, by się podobało  
Księdzu, gdyby do szkoły przyjść im się zachciało!".  
Tak oddawszy komendę szkoły Banasiowi,  
Widząc, iż do pisania wszyscy już gotowi,

Zaczął pisać pan Rektór, czytać – i – i drzemać.  
Banaś, zamiast w karności swych poddanych trzymać,  
Zaczął dzieciom chleb zjadać. Dziewczyny się kryły  
Pod ławy i na dylach swe sztyfty brusily,  
Inni na żeleźniaku. Niektórzy pisali,  
Pisząc, znowu ścierali, znów pisząc, szeptali:  
„Pokaż, coś ty napisał!”. Większa część nie miała  
Nic na piśmie prócz słowa: Opis; snać widziała,  
Jaki kościół; i pocóż go z trudem opisywać?  
Pan Rektór się obudził, powstał, zaczął ziewać,  
I spojrzawszy na dzieci sprytne jako lisy,  
Spamiętał się, że piszą zadane opisy.  
„Wypler, czytaj, coś pisał!” Wypler blady wstaje,  
Czyta: „opis” i milczy, szczęśliw, iż nie łaje  
Pan Rektór, choć on milczy, wszak próżna tabliczka.  
Ów zażywszy tabaczki: „Tekla Karczmarczyczka,  
Czytaj!”. Wstała i milczy. – „Eduard Nastańczyk!”  
Także milczy. Pan woła: „Marjanna Wermańczyk!”.  
Cichuteńko we szkole! Nuż zniecierpliwiony  
Bierze pan Rektór z stołu kij już rozszczepiony  
I znów woła: „Cichowski!”. Ten wstał bez bojaźni,  
Gotów jak do gorącej, tak do zimnej łaźni,  
Czyta: „Opis kościoła, a na jego wieży  
Jest krzyż, ale jest ten krzyż i na małej wieży  
I krzyż też przed kościołem!”. Milczy. Już to liże  
Rektór pedagogicznie kijem jego krzyże.  
„Czempiel Janek!” Ten wstaje, blado się zafarbił,  
Ramię stawia, coś dźwigać gotów, plecy zgarbił,  
Jednym wgląda na łyskę, w pismo drugim okiem,  
Czyta wolno z oddechem częstym i głębokim:  
„Opis. Tam grają Rektór palcami w niedziele;  
I są myszy; ale jest odpust przy kościele”.  
Tu coś gwizdło, coś jętko! Czempiel Janek siedzi,  
Czy się ręka Rektora jeszcze dźwignie, śledzi.  
Ten zaś westchnął i woła: „Gryczyk, czytaj!”. Wstawa,  
Drży, a z nim aż się trzęsie cała chłopców ława.  
Czyta: „Opis kościoła. Ale są na dachu  
Dziury,” i przestał czytać. Nuż we wielkim strachu

Że go łyska nie minie, rzekł: „Jam pisał, ale  
Dzieci ławą ruszały, więc nie mogłem wcale!”.  
Pan Rektór woła: „Banaś, jakież to porządek?”.  
Ten uniewinniając się, skarży: „To Jarząbek:  
Był najgorszy; on ciągle krywał się pod ławki  
I innym opowiadał, że na wieży kawki,  
Sowy i mnóstwo wróbli mają gniazda; z wieże,  
Skóro kościół rozwałą, on te gniazda zbierze!”.  
„Wy hultaje!” – rzekł Rektór, przyczem jego łyska,  
Młóci plecy Jarząbka, z groźnych oczu pryska  
Ogień gniewu. „Hultaje!” z gorzkością powtarza;  
„Pójdę ja jeszcze dzisiaj do księdza Fararza,  
Wszystko powiem! Niecnoty! wy uszanowania  
Najmniejszego nie macie, nie macie uznania,  
Jakto świętym jest kościół, jakby płakać trzeba  
Nad jego rozwaleniem! Wam tylko dać chleba  
I żuru i kartofli, o więcej nie dbacie,  
Wam cić jedno, czy macie kościół, czy nie macie!”  
Jeszcze w szkole nad sztyftem wszystko wciąż ślęczało,  
Kiedy się Boncykowi w ogrodzie zdawało,  
Iż brzęk pszczoł bardzo głośny; spieszy więc do szkoły,  
Szeptą w ucho Rektora: „Już się roją pszczoły!”.  
On się zbliża ku oknu; wkrótce mówi: „Dzieci,  
Jak to pracowitemu szybko dzionek leci!  
Niedaleko południe! Więć do domu idźcie,  
Ale mi jutro liczniej na lekcje przyjdźcie.  
Zmówmy jeszcze paciorek!”. Nuż wszyscy wstawają,  
Już nikt nie drży, nie płacze, wszyscy się żegnają  
I modlą się. Pan Rektór, mówiąc pacierz, słucha,  
Czy brzęk roju dochodzi aż do jego ucha<sup>100</sup>.

\* \* \*

„O drogi ludu wiejski, śliczny w twej prostocie!” –  
Westchnął Proboszcz: – „Ty nie wiesz, jak świecisz w twem złocie.  
O błogi, kto się schronił przed obłudą świata  
Pod strzechę wiejską! Tam ma najszczerzego brata!

<sup>100</sup> N. Bonczyk, *Stary Kościół Miechowski*, Instytut Śląski, Katowice 1936, s. 42–46.

Lecz ksiądz w dwójnasób szczęśliw, który wiejskiej trzodzie  
Jest pasterzem, jest bratem, jest Ojcem! We zgodzie  
Żyjąc z drogą swą dziatwą, – jak dni liczy lata,  
Z ulubionej swej chaty nie tęskni do świata.  
Wszystkim znajom, zna wszystkich; za przykładem jego  
Wszystcy sieją i żyją, przyrósłszy do niego!  
Ale gdy ta prostota napije się jadu, –  
Gdy skosztuje owocu z piekielnego sadu,  
Natychniać giną raje; kiep stawa się Panem,  
A ciura dotąd niemy mędrceciem niesłychanym.  
Trawą zarasta chodnik kościelny! Odchodzi  
Anioł Stróż, bo w rodzinach już szatan rej wodzi!  
A cóż ową trucizną? Obecna oświata!  
Ladajaki pędziwiatr, co trzy, cztery lata  
Przepróżnował gdzieś w szkołach, można w niższej klasie,  
Ledwo pacierz zapomniał, już to wybiera się  
Na dusz oświeciciela! Mając sieczkę w głowie,  
Za to gębę otwiera pod uszy; co powie,  
To mądrość niesłychana! Skoro nikt nie przeczy,  
Gdyż głupstwa nie pojmuje, on z takowej rzeczy  
Wnosi, że świat zwyciężył sprytem! Więc podlewa  
Pychę swą winem, piwem, gorzałką, rozsiewa  
Brednie po wszystkich karczmach. Chłop słuca, lecz milczy,  
Nie dowierza! To mędrka wzrok bystry, bo wilczy,  
Ledwo spostrzegł, do chytrych bierze się ataków:  
»Znam ja« – woła szyderczo, – »tych głupich prostaków  
Którzy w to tylko wierzą, co im Ksiądz wciąż kłamie!  
A więc gin w twej prostocie, głupi zawsze chamie!  
Lecz Was, Was, pracowitych, Was poczciwych ludzi  
Pytam, jakoż zniesiecie, że Was pop swą nudzi  
Bajką o piekle, niebie! A Wy go żywicie  
Krwawo zapracowanym groszem! Czy widzicie,  
Że go los Wasz obchodzi? O ludu kochany!  
Tobie kłamią z ambony, że te w świecie stany  
Bogatyh i ubogich pochodzą od Boga!  
Lecz gdzież ten Bóg? Któż widział? Nikt! Ja tylko wroga  
Waszego widzę wszędzie: Księdza! Jegomości!  
Lecz rozpatrzcie się w świecie, skosztujcie wolności,

Czytajcie w mądrych księgach: a z nich się dowiecie,  
 Że właśnie tam jest nędzy najwięcej na świecie,  
 Gdzie lud wierzy w pacierze! Wam rozumu trzeba;  
 Pocóż ludzkie odsyłać życzenia do nieba?  
 Gdzież to niebo? Dla kogoż? A kiedyż nastanie?  
 Ja chcę tu być szczęśliwym, tu, Księżu Mospanie!  
 Bracia! Dokąd Was pop ma uwodzić bajkami?  
 O! proszę, wasze niebo zróbcie sobie sami!«  
 „Takie”, ciągnie Książd dalej – „takie grzeszne mowy  
 Zawracają niektórym chłopom płytkie głowy:  
 Rozmyślają, badają, nareszcie pojmują,  
 Że prostaczy lud wiejski tylko księża trują!  
 Więc księży nienawidzą i gardzą kościołem,  
 A oświaty szukają za żydowskim stołem – A że zginą!”<sup>101</sup>

**Przykład 73. Franciszek Ksawery Tuczyński –  
*Kasper Pokraka sowizdrzał polski. Fragmenty (1879)***

Zajechał teraz do oberży nasz Kasper. Trafił wprawdzie na chrześcijańską, ale to na taką lichotę, że się zdrażał konia wprowadzić do stajni, z obawy, aby się nie zerwała i również obawiał się wniknąć do oberży, aby czasem podłoga z nim się nie załamała lub sufit nie zapadł. [...] Tak przepatrzywszy wszystko, poszedł do gospodarza i wdał się z nim w gawędkę.

Dowiedział się od niego, że jutro ma być wielka narada u żydów, bo w mieście znajduje się nawet sam najstarszy nadrabin i jakiś wielki kochemer<sup>102</sup>, który każdego, choćby największego głupca, nauczyć potrafi. Tylko nie siebie samego, pomyślał Kasper.

Powiedział wtedy Kasper gospodarzowi, że i on jest wielkim nauczycielem i że nie tylko ludzi, ale nawet zwierzęta czytać nauczyć potrafi. Gdy to gospodarz usłyszał, wnet powiedział żonie, ta znajomym i tak w momencie dowiedziało się żydostwo, że ten, który ów straszny dekret golenia bród przywiózł, jest zarazem takim a takim nauczycielem. [...]

<sup>101</sup> Tamże, s. 143–145. Autor występuje także pod nazwiskami: Bonczek, Bończyk, Bontzek. Źródło pierwotne: tenże, *Stary kościół Miechowski. Obrazek obyczajów wiejskich w narzeczu górnośląskim napisał ks. N. Bontzek. Parvum parva decent*, nakładem ks. N. Bontzek, Bytom 1879.

<sup>102</sup> *Kochemer* – uczoney.

Żydowski kochemer w okularach i z wielką brodą wcale inaczej wyglądał od Kaspra, lubo chłopca rosnącego, ale za to dziwacznie wystrojonego. Zapytany Kasper, czy się tylko żartem nie przechwalał, że może zwierzę nauczyć czytać, odpowiedział, że nie przechwala się, ale umie. Rabin tedy i ów kochemer, nauczyciel, obiecywali mu dać po trzydzieści złotych, jeśli jakie zwierzę przez dwa tygodnie chociaż początków nauczy, a jeśli nie nauczy, to on miał zapłacić każdemu po trzydzieści złotych. Kiedy umowa przy świadkach została zawarta, przyprawiono Kasprowi osła młodego. Kasper ani słówka nie rzekłszy, wziął osła, zaprowadził do stajni, a potem wróciwszy się, zapowiedział żydom, żeby na ulicę nie wychodzili w szabas, gdyż prawo jest takie a takie względem bród. Żydzi mu szczerze podziękowali i zamknęli się na onej sali zbornej, aby czasem jakiemu golarzowi od rządu wysłanemu nie wpadli w pazury. [...] Kasper zaś poszedł i odwiedził swego osiełka. Chwilę myślał, jakimby sposobem mógł się dowcipem wywikłać z ambarasu, gdy wtem szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy. Poszedł do organisty i od niego kupił jakąś dużą księgę za jeden polski złoty, a od tragarzy szefel owsa. Gdy z tem przybył do domu, nakładł owsa pomiędzy karty i pozwolił zwierzęciu z pomiędzy kart wybierać ziarenka. Tak czynił ciągle; osiełek inaczej strawy nie dostawał, ztąd też w parę dni tak się przyzwyczaił, że sam karty przewracał. [...]

Po południu zebrali się ciekawi żydzi oglądać osła, którego miał Kasper w nauce. Już od samego rana żydostwo było ciekawe widowiska, na jakie się zanosilo. Kasper, ubrany po czarnoksiężku, obchodził po mieście i ogłaszał, że dziś będzie publiczny popis jego ucznia. Na głowie miał jakąś śpiczastą czapkę, na dwa łokcie wysoką, a na tej czapce pełno było figur, przedstawiających samych smoków, wężów, a nawet słońce i gwiazdy. Czarna, buchasta suknia spadała mu od szyi, aż do samej ziemi. W ręku trzymał mały kijek, czyli czarnoksiężką laskę.

Nie dziw tedy, że na oznaczoną godzinę całe miasto się zbiegło, aby oglądać takie widowisko. Żydzi wyznaczili co najmędrszych z pośród siebie na znawców. Byli tam ów obcy rabin, miejscowy rabin i ów przybyły mądry nauczyciel żydowski.

Kasper już od wczoraj nie dał osiełkowi nic jeść. Wyprowadził go teraz na rynek, gdzie się znajdowało miejsce stosowne od publiczności odgradzone; ustawił koryto, a w tem korytku położył osiełkowi ową znaną księgę.

Osiełek na pierwszy rzut oka przedstawił się wszystkim, jako mędrzec nie lada, bo na nosie miał okulary, jak na takiego mędrca studenta przystało.

Gdy się sędziowie zebrali, zaraz podsunął Kasper osiełkowi księgę, a ten, jak zwykle, zaczął karty przewracać, szukając owsa, ale niestety, pomiędzy kar-

tami owsa nie było. Smutny więc nieborak uniósł po pierwszej karcie łeb do góry i zaryczał „a-i”, a odwróciwszy drugą kartę i nie znalazłszy nic, zaryczał: „i-a” i tak dalej. Lud zgromadzony w śmiech, a znawcy patrzą na siebie i nie wiedzą, co na to powiedzieć. Wtedy Kasper rzecze: – Mości panowie, osiołek ten jest bardzo tępy, ale widzicie jednak, że mi się w dwa tygodnie udało nauczyć go chociaż tych dwóch liter. Patrzy on w książkę, a skoro jedną z tych liter zobaczy, zaraz ją powie. Jeżeli się chcecie przekonać, to sami weźmijcie książkę i pokażcie mu te litery palcami. Śmiało możecie tę książkę wziąć do ręki, bo to jest mszał, a kilka razy święcony.

Żydzi aż kilka kroków odskoczyli od księgi, a o dotknięciu jej ręką ani myśleć nie chcieli, bo jakże tu się mszału dotknąć, kiedy ten jest święconym?

Jakże tu chwycić książkę, kiedy to świętość gojom? Żydzi tedy ku ogólnemu śmiechowi zgromadzonych musieli uznać, że osiołek umie wymawiać głoski „a, i,” i naturalnie zapłacić po trzydzieści złotych.

Tak Kasper zubożył się znów, otrzymawszy sto sześćdziesiąt złotych polskich od żydów, w Brodach<sup>103</sup>.

#### **Przykład 74. Ex-bocian (Faustyn Świderski) – *Wyborne skutki edukacji* (1882)**

Pan Paweł ma trzech synów; by rozum pokazał,  
Polecał to studiować, co ojciec rozkazał:  
By najstarszy się cieszył pełnym złota worem,  
Chodził na medycynę i został doktorem,  
Średni zaś porzuciwszy z czwartej klasy tekę,  
Za cel przyszłych dochodów musiał wziąć aptekę;  
Najmłodszy nie miał żadnej do nauki chęci.  
Widząc ojciec, że z piasku bicza nie ukręci,  
Że synek jest w rodzinie plagą oczywistą,  
Kazał mu być w parafii swojej organistą.  
Doktor pisał recepty podług ojca woli,  
Aptekarz robił proszki niekontent z swej roli.  
Nie pomaga apteka i rady medyka,  
Panuje straszny tyfus, cholera i plika.  
Organista na grobach za szumne oracje

---

<sup>103</sup> F.K. Tuczyński, *Kasper Pokraka sowizdrzał polski. Żywot największego figlarza, jaki żył na bożym świecie*, nakładem Fr. Chocieszyńskiego, Poznań 1903, s. 58–64. Źródło pierwotne: pierwsze wydanie z 1879 (?).

Ze *requiem in pace* i za eksportację  
 Zbiera grosik niemały, strasznie się bogaci,  
 Z woli ojca i z łaski starszych swoich braci<sup>104</sup>.

### **Przykład 75. Lucjan Siemieński – *Oryginalność* (przed 1887)**

Ktoś rzekł: „Do żadnej szkoły nie należę,  
 Cóż mię nauczą Greki lub Rzymianie?  
 Znajomość z nimi – to naśladowanie”.  
 – Zgadłem twej myśli wysoki kierunek:  
 Chcesz głupcem zostać na własny rachunek<sup>105</sup>.

### **Przykład 76. Anonim – *Wolna wola* (1889)**

Pytał raz nauczyciel ucznia swego w szkole,  
 Czy ludzie posiadają własną wolną wolę?  
 „Nie – odpowie żak – bowiem gdybym ja miał wolę,  
 To z pewnością byś, panie, nie widział mnie w szkole”<sup>106</sup>.

### **Przykład 77. Władysław Buchner (Ner. Buch) – *Program zabawy, urzędzonej dla uczennic przez przełożoną pensji, połączony z kolacyjnym menu* (1889)**

- 1) Odczyt o sławnym rycerzu Godfrydzie de BOUILLON.
- 2) Gra na fortepianie. Ketterera: Złota RYBKA.
- 3) Czy w 1871 r. zdradził Francję generał Le BOEUF.
- 4) Zaśpiewają chórem młode pensjonarskie GAŚKI.
- 5) Deklamacja: och ty sukienko moja kra-CIASTA
- 6) Tańce: Kontredans, Walc, Poleczka i MAZUREK<sup>107</sup>.

<sup>104</sup> Ex-bocian (Faustyn Świdorski), *Wyborne skutki edukacji*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski (oprac.), *Polska fraszka i satyra medyczna*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1961, s. 179. Źródło pierwotne: „Kolce”, nr 4/1882, s. 27.

<sup>105</sup> L. Siemieński, *Oryginalność*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 297.

<sup>106</sup> Anonim, *Wolna wola*, [w:] J. Tuwim, *Cicer cum caule czyli groch z kapustą. Panopticum i archiwum kultury. Seria II*, Czytelnik, Warszawa 1959, s. 195. Źródło pierwotne: „Śmigus”, nr 6/1889.

<sup>107</sup> W. Buchner, *Program zabawy, urzędzonej dla uczennic przez przełożoną pensji, połączony z kolacyjnym menu*, [w:] tegoż, *Facet – wesoly kalendarzyk na 1890 rok*, nakładem autora, Warszawa 1889, s. 34.



**Przykład 78. Anonim – Dziwak (1890?)**

Człowiek, który ma śmiałość myślenia inaczej, aniżeli podobni mu z pochodzenia obywatele. Są też dziwacy z zamiłowania. Do takich należą pewni filolodzy, którzy są cichymi zwolennikami własnej nieomyślności i tę, przez miłość bliźniego, wpajają następnie w dorastające pokolenia<sup>108</sup>.

**Przykład 79. Anonim – Mądry student i głupi pan (1890?)**

Przyszedł wędrowny student do pana i prosi: – Niech mię panocek przenocują!

Pan go przyjął, pokładli się spać w izbie, za niedługi czas pan się pyta:

– Czy student śpi?

Ten powiada: – Nie śpię panie!

– Co się studentowi widzi? – pyta się pan.

– A mnie się widzi, że się pan Bochenkowic przebiera do Torbowic!

Powiada pan: – Może to i być!

A ten student wypatrzył, gdzie tam chleb mieli, ukradł bochenek i do torby se wpakował. Za niedługi czas tłuce się znowu po stole, pan znowu się pyta:

– Czy student śpi?

– Nie śpię panie!

– A czemu?

– Bo mi się widzi, że się pan Gąsiorowic przebiera do Torbowic.

Pan powiada: – Może to i być!

A on wziął ten student gęś, co stałą na kominie w garcku, wyjął i do torby se włożył. Skoro potem pan się pyta: – Czy student śpi?

– Nie śpię panie!

– A co się studentowi widzi?

– Mnie się widzi, że pan Kierpcowic przebiera się do Garckowic!

Powiada pan: – Może to i być!

A on wziął kierpce, wraził do tego garcka, gdzie był gąsior, potem rychło dzień zabrał się, posedł.

Na rano patrzy pan, tu nie ma chleba, nie ma gąsiora, kierpce włożone do garcka; dopiero se pomiarkował, jaki to pan Bochenkowic i pan Gąsiorowic przebierał się do Torbowic, a pan Kierpcowic do Garckowic!<sup>109</sup>

<sup>108</sup> Anonim, *Dziwak*, [w:] W. Wołowski (red.), *Encyklopedia humoru zawierająca najcenniejsze utwory humoru ludzkiego*, t. 1, nakładem autora, Drukarnia A. Pajewskiego, Warszawa 1890, s. 311.

<sup>109</sup> Anonim, *Mądry student i głupi pan*, [w:] D. Simonides (red.), *Skarb w garncu. Humor ludowy Słowian zachodnich*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1976, s. 283. Źródło pierwotne: S. Ulanowska, *Z humorystyki ludowej*, „Wisła” 1890, t. 4, s. 383–384, T 1544 A\*. Por. przykład 471.

**Przykład 80. Anonim – *Skutki wychowania* (1890?)**

Jedna wdowa miała ładną, ale leniwą córkę i pieściła ją. Parobcy z tej wsi nie chcieli jej, bo wiedzieli, że nycus, że do niczego i mówili, że: „Z tego nic dobrego nie będzie, wszakże będącieti widzieli ma żywe oczy”.

Matkę to kłopotowało i zaczęła ją wreszcie naganiać do roboty, ale to nic nie pomogło. Kaśka tylko w kominie siedziała, a kawaler się żaden nie pojawiał.

Wreszcie zobaczył ją Kuba w kościele, parobek z drugiej wsi. Podobobała mu się i przysłał swatów. Matka uradowana, przyrzekła mu rękę córki, ale prosiła go, żeby ją oszczędzał i dał jej wszystko na wolę, bo jeszcze dziewczę młode i mię wie jak co wziąć w rękę.

Po weselu Kuba zabrał żonę do siebie. Na drugi dzień Kuba wstał, a Kaśka przez cały dzień ani się ruszyła, ani się do czego wzięła; musiał on sam zamieść, uwarzyć obiad, pójść w pole itd. Tak było i na trzeci, czwarty itd. dzień i na koniec cały tydzień. Wreszcie bierze się on na sposób. Wieczór, gdy Kasia szła spać do łóżka, zdjął on swoją skórzaną torbę wiszącą koło okna, a potem wziął łebski pręt laskowy i odzywa się do torby: – Moja torbo, to tak być nie może; ja rąbię jak wół, a ty wisisz i wisisz; ja jeść gotuję, a ty na to patrzysz; a wszakże ja cię mam, abyś w domu porządek zrobiła i jedzenie ugotowała; widzisz: oto ten kij, jak mi od dziś dnia nie ugotujesz regularnie śniadania, obiadu i wieczerzy, jak mi nie pościelisz łóżka i statków nie poumywasz, i nie zamieciesz; domu, to ten kij będzie cię miał w robocie, tak jak jestem Kuba!

Kaśka słysząc to, dziwiła się i śmiała z głupiego męża. Na drugi dzień potem, gdy znowu nic nie było zrobionego w chałupie, mówi on do Kasi: – Wszakżeś sama słyszała, com wczoraj mówił do torby, a ona nic a nic, jak gdyby ciemna była i głucha; trzeba jej tu dać pamiętne, bo ja żartować nie lubię. I wzięwszy torbę, zarzucił ją na plecy Kaśki, i jak zacznie łomotać po grzbiecie prętem, a wołać: – A słuchaj torbo, a słuchaj torbo!

Tak Kaśka w krzyk, bo ją tam samą dobrze razy te dojęły. Dopiero gdy jej dobrze zbił plecy, wziął torbę i powiesił na swoim miejscu, obiecując i nazajutrz także smarowanie, jak go torba nie usłucha.

Od tego czasu Kaśka jakby się nowo narodziła, zupełnie stała się inną, rano wstała, wszystko na czas zgotowała i męża w wielkiej miała bojaźni i poszanowaniu, a cała wieś, szczególnie matka, dziwili się, co się z nią stało i jak to mądrze i dowcipnie wziął się Kuba do rzeczy, by ją rozumu nauczyć<sup>110</sup>.

<sup>110</sup> Anonim, *Skutki wychowania*, [w:] O. Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 14, *Wielkie Księstwo Poznańskie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Wrocław – Poznań 1962, s. 290–291. Por. D. Simonides (red.), *Skarb w garncu...*, dz. cyt., s. 26.

**Przykład 81. Powój (pseudonim) – *Abecadło* (1890)**

Lat temu będzie niepamiętam ile,  
Lecz błogie były to chwile.  
Byłem dzieckiem... francuzka, bona przy mnie siadła  
I dawała mi pierwszą lekcję abecadła,  
W przeciągu pół godziny poznałem pięć głosek,  
Byłem zdolny – prosty wniosek.  
To bogactwo wiedzy nowe  
Tak mi obciążało głowę,  
Żem niedługo utrudzony  
Usnął na kolanach bony.  
Usnąłem... a moje świeże  
Alfabetyczne znajome,  
Wydały mi się niby żywe i ruchome  
I błąkały się w eterze.  
A... mające kształt drabinki,  
E... od boku odemknięte,  
I... rodzaj wysmukłej trzcinki,  
M... dziwacznie w czworo zgięto  
R... z dwóch różnych połów spięte.  
Póty się ustawiały, mijały, tańczyły,  
Aż słowo *Aimer* złożyły.  
Błyszczą mi tak chwilę w złotym transparencie  
Po chwili... jak na zaklęcie,  
W innym stanęły szeregu:  
Te co były na środku, znalazły się z brzegu,  
I jakby przez jakieś czary  
Utworzyła się z nich: *Marie*.  
Biegły lata... dorosłem... wielu różnych wrażeń  
Doznałem i wspomnienie o nich zatraciłem:  
Zapomniałem i o tem, co naówczas śniłem,  
Choć to był elementarz mych dziecinnych marzeń.  
Powiedz mi, pani, czemu, odkąd cię poznałem,  
Sen dziecinny w pamięci stanął mi jak żywy?  
Czemu sądzę, że w owym marzeniu czytałem  
Wróżbę przyszłości szczęśliwej?  
Dlaczego mnie niekiedy śmiech porywa szczery,  
Gdy kto mówi, że liter jest dwadzieścia cztery,  
I gotówbym oddać szyję,

Że ich więcej jak pięć niema: M. A. R. I. E.  
 Dlaczego pozbyć się nie mogę wiary,  
 Że aby być szczęśliwym bez granic i miary.  
 Dosyć jest pięć owych literek,  
 Dwakroć w odmienny poustawiać szereg,  
 A. I. M. E. R... M. A. R. I. E.<sup>111</sup>

### **Przykład 82. Anonim – *Najtańsza szkoła* (1891?)**

Pewien uczoney twierdzi, że najlepszą szkołą dla człowieka jest bieda.

Czy to prawda? Nie wiemy – ale to pewnik, że w owej szkole nie optaca się wpisów i że miejsc wakujących nigdy w niej nie braknie<sup>112</sup>.

### **Przykład 83. Anonim – *Kwestia pedagogiczna* (1897)**

Jaś nie biegłym jest w łacinie  
 I w fizyce także gapa,  
 Ale mówią mu w rodzinie:  
 „Będziesz sługą Eskulapa!”  
 Lepszym byłby przy warsztacie  
 U ślusarza lub kowala –  
 Cóż – gdy na to miły bracie,  
 Urodzenie nie pozwala.

Gramatyką Staś źle włada,  
 Do ksiąg go nie ściągniesz batem,  
 Ale papa mu powiada:  
 „Musisz zostać adwokatem!  
 Chcę by imię tve w blask wzrosło  
 I świeciło jak ognisko –  
 Nie pozwala na rzemiosło  
 Twego taty stanowisko!”

Michaś smuci papę swego,  
 Bo zeń główka niezbyt bystra,

<sup>111</sup> Powój, *Abecadło*, [w:] M. Wołowski (red.), *Encyklopedia...*, t. 1, dz. cyt., s. 4–5.

<sup>112</sup> Anonim, *Najtańsza szkoła*, [w:] M. Wołowski (red.), *Encyklopedia humoru zawierająca najcenniejsze utwory humoru ludzkiego*, t. 4, nakładem autora, Drukarnia A. Pajewskiego, Warszawa 1891, s. 86.

Ale jednak mimo tego  
Kierują go na ministra.  
Choć byłoby więcej racji,  
Gdyby siedzieć chciał nad dratwą,  
Lecz wysokiej aspiracji  
Zrzec się u nas nie tak łatwo.

Jaś źle włada nauk wiośłem  
I do pilnych nie należy,  
Choć skończonym zwą go osłem,  
Ale papa w to nie wierzy.  
„Musisz, synku drogi, zostać  
Sławnym mężem, wielkim panem –  
Twój prapradziad, znana postać,  
Był drążkowym kasztelanem!”

W upojeniu marzeń złotem  
Próżno ludzie głowy suszą:  
Skąd moc wielkich, którzy potem  
Abdykować z tego muszą?  
Skąd miast dzielnej, zdrowej braci  
Wyptywają z tych odmętów  
Miernej sławy adwokaci  
I lekarze bez pacjentów?<sup>113</sup>

#### **Przykład 84. Adolf Nowaczyński – *Małpie zwierciadło*. Fragmenty (1897–1904)**

Różnorodnych kłownów, produkujących się na arenach intelektualnych efektywnym trikiem o „bankructwie nauki współczesnej”, należałoby tracić na amerykańskich dynamo-elektrycznych „fotelach śmierci”, skraplając im na nos gazy rozweselające, a pozwalając przed śmiercią na odczytanie pierwszej lepszej broszurki z dziedziny: astrofizyki, spektroskopii, bakteriologii, mechaniki analitycznej itd.<sup>114</sup>

<sup>113</sup> Anonim, *Kwestia pedagogiczna*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski (oprac.), dz. cyt., s. 184–185. Źródło pierwotne: „Kurier Świąteczny”, nr 19/1897, s. 3.

<sup>114</sup> A. Nowaczyński, *Małpie zwierciadło. Wybór pism satyrycznych*, t. 1, 1897–1904, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, s. 401.

**Przykład 85. Adam Asnyk – *Uczeni* (1898)**

Gdy przybędzie do miasta obcy kruk uczony,  
 Wnet na niego miejscowe napadają wrony,  
 Dzióbią go bez litości, wyskubują pióra,  
 Próbując, czy grzbiet giętki i hartowna skóra.  
 Jeśli konieczną mędrcom cierpliwość posiada,  
 Wtedy go mądre wrony przyjmują do stada;  
 A do wielkiego bractwa gdy się raz zapisze,  
 Wolno mu wraz z drugimi dzióbać znów przybysze<sup>115</sup>.

**Przykład 86. Włodzimierz Zagórski –  
*Marcus Tullius Maruda*. Fragmenty (1900)**

Dziwny to był człowiek ten Maruda – Marcus Tullius Maruda, jak go nazywałem, gdym wiedział, że mnie nie słyszy. Moralista i pedant, uczony a niedorzeczny, surowy a słaby, podejrzliwy a naiwny, poważny a śmieszny zarazem, był on jak gdyby umyślnie wybrany na to, aby mi zbrzydzić tabakę, którą zażywał, klasyczną łacinę, którą co chwila cytował, i „rzymską cnotę”, o której prawił bez ustanku.

Nie było nic pociesniejszego nad jego kazania, nadziane cytatami i przykładami ze starożytnych dziejów. Chciałby mnie być gwałtem przemienić na Rzymianina, pełnego surowości i powagi. Dziecinne psoty moje były w jego oczach przerażającymi zdrożnościami. Gdym się dopuścił roztargnienia, prawił mi o Hannibalu, który już w dzieciństwie myślał poważnie; gdym zrobił żyda na papierze, stawiał mi za przykład Grachów i Katona.

Gderaniom takim nigdy nie było końca, i strofujący głos mego nauczyciela wbił mi się w słuch tak dalece, że go i dziś słyszę, ilekroć się dopuszczę jakiegoś wybryku. Wewnętrzny sędzia mój i doradca mówi przez nos, całkiem tak jak Marcus Tullius Maruda, cytując przytem łacinę, i nazywając mnie „młodzieńcze”, choć mam lat już blisko czterdzieści. Być może, iż się to wam dziwnem wyda, ale jestem najwięcej przekonany, że sumienie moje zażywa tabakę.

\* \* \*

Nizki, łysy i pękaty, miał nauczyciel mój głowę nadzwyczaj wielką a śpiczastą, ogromnie ostające uszy, na wierzchu głowy osadzone oczy i nos od zażywania tabaki fioletowy. Nie był to właściwie nos, lecz raczej narośl gąbczasta, podobna do środka w granatowym jabłku.

<sup>115</sup> A. Asnyk, *Uczeni*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 33. Por. tenże, *Uczeni*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 243.

Nos ten wywierał na mnie wpływ magnetyczny. Słuchając wykładu, lub odpowiadając na pytania mego mentora, którego Achillesową piętą była ta narośl potworna, nie mogłem od niej oderwać oczu.

Przekonałam się o tem wkrótce, że nie chcąc w zły humor wprowadzać Marudy zwalczyć należy niemiłą mu ciekawość, ale nie miałem siły oprzeć się pokusie. Nos ten drażnił mnie, rozciekawiał, łaskotał myśl moją i opanowywał uwagę, zwłaszcza latem, gdy do niego szturm przypuszczały muchy, z którymi rozpaczliwe walki musiał staczać mój nauczyciel.

Natarczywość ich doprowadzała go do wściekłości, którą jednak tłumił w sobie, nie chcąc zwracać mojej uwagi na swe pocieszne zapasy. Wówczas zasypywał mnie gradem pytań bez liku, usiłując myśl moją zatrudnić i baczność odwrócić. Wszelako starania te ostrzegały mnie tylko, że w okolicy nosa Marudy dzieć się musi coś nadzwyczajnego i z tem większą ciekawością przypatrywałem się jego wysiłkom. Wtedy, stwierdziwszy moje roztargnienie, moralizował bez końca.

Nie mówił jednakże wprost, o co mu chodzi. Kołował zdaleka, strofując mnie za lekkomyślną nieuwagę i dopatrując się w niej zgubnego wpływu grzesznych podszeptów ducha wieku, „który niezdolnym jest pojmować i traktować życia tak poważnie, jak je pojmować i traktować powinien człowiek cnotliwy”.

Lekkomyślność młodych obywateli, skłonność ich do szyderstwa i brak poszanowania dla starszych, były, zdaniem jego, pierwszą przyczyną upadku społeczeństw. Tezę ową udowodniał, cytując: Juwenala, Petroniusza i Tacyta. Wynikało ztąd jak na dłoni, iż Rzym upadł dlatego jedynie, że młodzi patrycyusze nie mieli należytego szacunku dla nosów swych nauczycieli.

\* \* \*

Portret Marcusa Tulliusa Marudy byłby niepełnym, gdybym tu nie wspomiał o jego wstręcie do niewieściego rodu i jego wstydlivości, posuniętej aż do dziwactwa. Nienawdził Łazienek i Saskiego ogrodu z powodu „nieprzyzwoitych” posągów, które się tam znajdują. Do przechadzek naszych wybierał zawsze miejsca odludne, rumieniąc się, spuszczać oczy i usiłując odwrócić moją uwagę, ilekroć się nam zdarzyło spotkać jaką kobietę.

Jaki był powód tej odrazy, była-li to wrodzona nienawiść, był-li to skutek w miłości doznanych zawodów, tego wyjaśnić nie jestem w stanie. Prawdopodobnie odgrywał w tem pewną rolę nos mojego mistrza, który, jak już wiemy, był Achillesową piętą tego surowego Rzymianina.

Cokolwiekby, pewnem jest, że Marcus Tullius Maruda pałał ślepą zawziętością nietylko dla żywych kobiet, ale i dla tych, które już dawno umarły. Tłumacząc mi Wirgiliusza i Horacego, przeskakiwał wszystkie miejsca, które się do

kobiet i bogiń odnoszą, a gdy mu wypadło mówić o mitologicznych, biblijnych lub historycznych bohaterkach, czynił to zawsze z tajemniczą jakąś niechęcią i pogardą.

Największą jednak nienawiścią gorzał Marcus dla Heleny Trojańskiej. Ilekroć o niej wspominał, zapalał się gniewem bezmiernym, piorunując przeciw niewieściemu rodowi, którego płochliwość i zmienność – *varium et mutabile semper femine* – jest przyczyną wszystkiego złego na świecie. Miłość była, zdaniem jego, jedną z największych klęsk ludzkiego istnienia, a koniecznym plonem jej były nieszczęścia, hańba i zgryzota. Cnotliwy młodzieniec winien przeto unikać sideł niewieścich, gdyż – *notumque furens quid femina possit* – uśmiechy kobiet są zdradzieckim jadem, a spojrzenia zabójczą trucizną<sup>116</sup>.

### Przykład 87. Anonim – \*\*\* (1900–1935?)

Wpajać młodzieży skutki żałosne  
Błędów i lekcję dać doświadczenia,  
By dzieś wiedziała, co będzie jutro –  
To tak, jak sprawić sobie na wiosnę  
Grube kalosze i ciepłe futro,  
By w zimie strzegły od zaziębienia<sup>117</sup>.

### Przykład 88. Franciszek Reinstein – *Lekcja francuskiego* (1902)

Po ścianach pokoju dziecięcego chodzą ruchliwe cienie gałęzi akacjowych, ledwie, ledwie okrytych pączkami, z których niebawem mają wystrzelić liście. Te same gałęzie, lecz już w naturze, najniedyskretniej zaglądną w okna.

Do pokoju weszła sztywna, systematyczna i urzędowa mademoiselle, płacona na godziny. Mademoiselle usiadła przy stole tyłem do okna. Światło słoneczne razi oczy nauczycielki, osłabione w ciągu piętnastu czy osiemnastu lat zawodu, a przytem siedząc tyłem do okna, łatwiej może obserwować bieg zegara, zawieszzonego na ścianie.

– Gdzież jest Zosia?

Pokojówka oznajmia: – Panienska uciekła.

– Uciekła?!

– Do ogródka, do dziewczątek, które skaczą tam przez „skakankę”.

<sup>116</sup> W. Zagórski, *Marcus Tullius Maruda*, [w:] tegoż, *Humoreski*, Drukarnia A.T. Jezierskiego, Warszawa 1900, s. 157–160. Por. tenże, *Z teki chochlika*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953, s. 161–164.

<sup>117</sup> Anonim, *bez tytułu*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki...*, dz. cyt., s. 477.



Pani domu trze oburącz stroskane czoło.

– Z tą dziewczyną dzieje się coś od pewnego czasu... Zawsze bywa posłuszną... Magdziu, sprowadź mi natychmiast panienkę.

Mademoiselle siedzi nieruchomie z rękoma założonemi na piersiach. Jej wszystko jedno, czy Zosia odbywa lekcję lub „zatraca ślady dobrego wychowania w towarzystwie dziewcząt z gminu”. Mademoiselle przybyła na czas i za czas też będzie zapłaconą.

Do pokoju wpadła raczej niż weszła delikwentka. Twarzyczka pała, z pod grzebyka oddzieliło się pasmo włosów lnianych i zroszone potem przyłgnęło do czoła.

– *Mais que ce que ça Sophie?*

– Kto ci pozwolił Zosiu?

Ta jednym skokiem znalazła się na krześle, twarzą wprost okna, po za którym chór cienkich, piskliwych głosików zawodzi:

Jawor, jaworowe ludzie,

Co wy tu robicie,

Budujemy mosty

Dla pana starosty... i.t.d.

Mademoiselle przystąpiła do egzekucji.

– Marynarz?

– *Le matelot.*

– Marynarz naszego ogrodnika?

– *Le matelot de notre jardinier.*

– Marynarze naszych dobrych sąsiadów zjedli ogrodnika i jego materace?

Zosia macha nożętami zawieszonemi nad podłogą, cała wsłuchana w gwar głosików wiośnianych.

– *Repetez donc Sophie et attachez l'attention:* Marynarze naszych dobrych sąsiadów zjedli...

Zosia uderza w płacz: – Marynarze, proszę pani, nie zjedli ogrodnika ani materaców! Ja nie chcę, ja chcę do dzieci, do ogródka!

Mademoiselle spokojnie spogląda na zegar, pani domu stanęła w pozie Niobe, z rękoma załamane boleśnie.

– Zosiu! – mówi tonem oburzenia – pani mówi, że zjedli, a ty ośmielasz się nie wierzyć...

Tu matka robi odkrycie: – Ależ ona nie przygotowała się do lekcji!... Jej ogródek w głowie! Ma głowę zajętą słońcem, wiosną i dziatwą! Klęczęc, a potem przepowiadanie lekcji aż do wieczora.

Mademoiselle znowu spojrzała na zegar i przywdziewając rękawiczki, opuszcza miejsce kaźni.

Zosia klęczy w kąciuku, a za oknem „działwa z gminu” tańczy radośnie w blaskach słońca<sup>118</sup>.

### **Przykład 89. Franciszek Reinstein – *Stanowisko studenta w życiu towarzyskiem (1902)***

Sędziwy ojciec rodziny, ze łzami w zapadłych oczach, nad którymi wznosi się troskami poorane czoło, stanął z rękoma załamane przed moim biurkiem i podyktował do druku tren następujący:

Student uniwersytetu lub politechniki, jest to największa klęska z pomiędzy tych, jakie dotykały kiedykolwiek ojca córek na wydaniu.

W sądach średniowiecznych istniały tortury, które jednak nie wytrzymują żadnego porównania z cierpieniami, gnębiącemi mnie i moich towarzyszków-współojców panien, które co rychlej zamąż wydaćby należało.

Poniżej podaję treściwy spis rozmaitych cierpień, których wyniki będą wskazane w ostatnich wierszach artykułu, raczej trenów niniejszych.

#### *Cierpienie I.*

Ojciec rodziny wylazł ze skóry. Nakupił materiałów spożywczych, wina, papierosów, a nawet cygar. Sprosił młodzież z ustalonymi stanowiskami, jak: lekarzy, pomocników adwokatów przysięgłych, fabrykanta, przemysłowca i obywatela ziemskiego. I niechaj przeklęty będzie pomysł, zwrócił się ojciec rodziny mimochodem do studenta, korepetytora domowego: – Dziś będzie trochę skakania. Może pan przyprowadzisz paru kolegów?

Efekt owego „zaproszenia mimochodem”.

Do sali wchodzi młody, lecz wybitnie obiecujący fabrykant, lekarz, pomocnik adwokata przysięgłego i.t.p. Zbliża się do doletniej córki mojej Krysi: – Proszę panią do pierwszego kontredansa.

– Już tańczę ze studentem medycyny A.

Młodzieniec z pozycją syka.

– To do drugiego?

– Zamówił mnie student politechniki B.

Młody człowiek z ustaloną przyszłością tupie nogą.

– A więc do pierwszego mazura?

– Właśnie zapisał się w karnecie student matematyki C.

<sup>118</sup> Fr. Reinstein, *Lekcja francuskiego*, [w:] tegoż, *Humoreski*, Drukarnia A.T. Jezierskiego, Warszawa 1902, s. 33–35.

Milioner początkujący zacisnął usta, obraził się i wyszedł, Krysia straciła konkurenta... A studenci tańczą ochoczo na mogile nadziei ojca rodziny!

### *Cierpienie II.*

Majówka na Saskiej Kępie z udziałem młodego a już majątnego obywatela miasta Warszawy, oraz grona studentów, bo ci, proszę ja pana, wszędzie wcisnąć się muszą.

W chwili powrotu do przystani, zagrzmiało i lunął deszcz. Obywatel, zarazem właściciel listów zastawnych, jest nadzwyczajnie bojaźliwy i nieśmiały, lecz posiada parasol.

– Oświadczy się Krysi pod parasolem – szepce moja żona rozpromieniona. Potem oboje zgrzytamy szczątkami zębów.

Nieśmiały obywatel nigdy nie zdobędzie okazji oświadczenia się o rękę Krysi. Studenci otoczyli ją nieszczęśliwą. Otoczyli ją dokoła, a ona jeszcze się do nich śmieje!

### *Cierpienie III.*

Właściciel apteki, wdowiec, bezdzietny, w wigilię oświadczyń zapragnął wpisać wyjątek z „Maryi” Malczewskiego do albumu Krysi.

Zgadzamy się oczywiście z radością. Aptekarz bezdzietny otwiera album i na rozmaitych stronicach znajduje aforyzmy, w rodzaju:

„Która panna, pytam, która  
Nie podryga do mundara?  
*Medyk D*”.

„Niech pani wierci i kręci  
Lecz niema jako studenci.  
*Prawnik E*”.

„Pannie Krystynie, w dowód najczystszej miłości. W imieniu ogółu kolegów Politechniki.

*Chemik F*”.

Wdowiec przeczytał, machnął ręką i oświadczył nazajutrz... pannie z przeciwka.

### *Cierpienie IV.*

Złożył nam wizytę kasyer z biura bankierskiego (3,500 rubli rocznej pensyi) G. Rozmowa weszła na tory stanu małżeńskiego.

Obecny (oby mu guziki u munduru poodpadały!) student, spojrział na Krysię, ta parsknęła śmiechem i wszystko przepadło.

*Cierpienie V.*

W tem miejscu starzec zaniemówił z boleści<sup>119</sup>.

**Przykład 90. Adolf Nowaczyński –  
Facecje sowizdrzalskie. Fragmenty (1903)**

– A widzi pan, że ja, nauczyciel gimnazjalny i tylko w IX randze, a umiem krytykować poetów – mówił pewien nauczyciel gimnazjalny – a pan choć i poeta i krytyk w jednej osobie, a nie umiałbyś wykładać w mojej szóstej klasie botaniki i mineralogii. Aha, a widzisz pan, a cóż pan na to?

– A bo pan jesteś w IX randze, dlatego! – odpowiedział cokolwiek złośliwie i krytyk i poeta<sup>120</sup>.

**Przykład 91. Adolf Nowaczyński – Skotopaski sowizdrzalskie.  
Fragmenty (1904)**

Fundamentami elementarzy są: nauka o zabobonach, nauka o hierarchii i nauka o konwenansach.

\*

Dobre wychowanie zasadza się na jednorazowym ostrzeżeniu przed kłamstwem w ogólności i każdorazowym ostrzeżeniu przed każdą prawdą!<sup>121</sup>

**Przykład 92. Kazimierz Bartoszewicz – Słownik prawdy  
i zdrowego rozsądku. Fragmenty (1905)**

Gimnazjum – od *gimnos* nagi, goły, gdyż młodzież grecka odbywała swe ćwiczenia nago. Stąd też ukończony gimnazysta chodzi dzisiaj najczęściej boso i z trudem pokrywa resztkę golizny<sup>122</sup>.

Katedra – mebel drewniany, z którego przemawiają rzadko uczeni, a często niedouczeni<sup>123</sup>.

---

<sup>119</sup> Tenże, *Stanowisko studenta w życiu towarzyskiem*, [w:] tegoż, *Humoreski...*, dz. cyt., s. 11–14.

<sup>120</sup> A. Nowaczyński, *Facecje sowizdrzalskie*, [w:] tegoż, *Małpie zwierciadło...*, dz. cyt., s. 282.

<sup>121</sup> Tenże, *Skotopaski sowizdrzalskie*, [w:] tegoż, *Małpie zwierciadło...*, dz. cyt., s. 398.

<sup>122</sup> K. Bartoszewicz, *Słownik prawdy i zdrowego rozsądku*, Druk Jana Cotty, Warszawa 1905, s. 28.

<sup>123</sup> Tamże, s. 44.

Męczennik, patrz pod: uczeń gimnazjalny<sup>124</sup>.

Nauczyciel ludowy – patrz pod: głodomór<sup>125</sup>.

Słuchaczka uniwersytetu – osoba młoda, niekoniecznie przystojna. Czasami ma zamiar czegoś się nauczyć, przeważnie ma zamiar wyjść za mąż<sup>126</sup>.

Szkoła ludowa, patrz pod: budynek dziurawy, zaduch i.t.d.<sup>127</sup>

Uniwersytet – zakład dający sposobność ludziom uczonym i niedouczonym do wygadania się, a za granicą od pewnego czasu miejsce schadzek dla dorosłej młodzieży płci obojga<sup>128</sup>.

Żak vs pauper. Byli to dawniej biedni chłopcy kształcący się w szkołach o żebranym chlebie. Dziś ten typ zaginął, ale są żacy w sztuce, w literaturze itd. Poznać ich można po ogromnej zarozumiałości i rzucaniu się na starszych. Żak piszący nie różni się niczym od zwykłego ulicznika – ba! ma nawet słownik obszerniejszy. Nie stanowią tu lata; ludzie zupełnie młodzi mogą nie być nigdy żakami – wówczas gdy inni żakami pozostają do późnego wieku<sup>129</sup>.

### **Przykład 93. Klewe (Klemens Weitz) – *Jeden dzień profesora* (1905)**

Pan profesor jest starym kawalerem i trochę roztargnionym, ale bardzo poczciwym człowiekiem. Wczoraj wstał rano o godzinie czwartej, co skonstatował na zegarku i wybrał się na spacer do parku. Zdziwił się tylko, że o tak wczesnej godzinie panuje tak wielki ruch w mieście, a dzieci już idą z książeczkami do szkoły.

W parku był dość długo, poczem poszedł na wykład do sali V. Nikogo tu nie zastał, więc zabrał się tymczasem do żmudnej korekty swego dzieła. Gdy po godzinie nie było jeszcze nikogo w sali, pomyślał, że słuchacze zapomnieli o dzisiejszym wykładzie i wybrał się do domu. Drogę miał pan profesor niedobłą, bo deszcz lał, jak z cebra. Chciał otworzyć parasol, lecz nie mógł, bo to była laska.

Wstąpił tedy do najbliższej bramy, aby w sieniach deszcz przeczekać, ale zapomniawszy, w jakim celu wszedł, zaszedł za daleko i zatrzymał się dopiero na podwórzu, pod gołem niebem. Tu stał na deszczu i długo myślał nad tem, w jakim celu tutaj wszedł, na co czeka, i jak długo ma tu zostać. Podczas tego myślenia zmókł do nitki i byłby jeszcze może bardzo długo stał, gdyby go stąd nie był wypędził śmiech kucharek na galeryach.

---

<sup>124</sup> Tamże, s. 65.

<sup>125</sup> Tamże, s. 70.

<sup>126</sup> Tamże, s. 111.

<sup>127</sup> Tamże, s. 117.

<sup>128</sup> Tamże, s. 126.

<sup>129</sup> Tamże, s. 140–141. Por. przykłady 604, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 652, 656.

Opuścił więc podwórze, a idąc prosto do domu, zaszedł przypadkiem znów do sali V. Tu przypomniał sobie, że wykład miał się właściwie odbyć w sali I. Wszedł tedy do sali I, lecz nikogo nie zastał. Spoglądnął na zegarek i z przerażeniem zobaczył, że jest już godzina czwarta, naturalnie popołudniu.

Postanowił więc nie iść już na obiad, bo o tej godzinie regularnie siedzi w cukierni. Zdziwił się bardzo, że w cukierni nikogo nie zastał, bo zwykle o tej godzinie zajęte są wszystkie stoliki. Przy czarnej kawie siedział dwie godziny i przeczytał w tym czasie wszystkie dzienniki. Spoglądnął na zegarek, czy już czas wracać do domu, a że to była dopiero czwarta popołudniu, więc siedział i nudził się i wyglądał przez okno na ulicę. Najwięcej dziwiło go, że dzieci chodzą z książkami do szkoły i ze szkoły, jedne bowiem szły w prawo, drugie w lewo. Siedział jeszcze godzinę, a gdy nikt nie przychodził do cukierni, spoglądnął na zegarek i zdziwił się, że dziś tak prędko załatwił się z dziennikami, bo zegarek wskazywał dopiero czwartą popołudniu.

Zmęczony kilkugodzinnym siedzeniem, zapłacił za kawę i poszedł do biblioteki. Przez zapomnienie zaszedł do handlu, a że pamiętał, jak dziś przemókł z powodu braku parasola, więc kupił sobie jeszcze jedną laskę. Mając już dwie laski, udał się do biblioteki. Tu siedział długo, czytał, robił notatki, korektę, wyciągi, wreszcie zdrzemnął się. Śniło mu się, że wyklada w sali V., i że już jest bardzo późno, bo ósma godzina wieczorem, a on bardzo głodny. Na tę myśl zerwał się i spoglądnąwszy na zegarek, uspokoił się, bo była dopiero czwarta popołudniu. Pospieszył więc do cukierni, gdzie płonęły już lampki elektryczne.

Zabrał się do dzienników, lecz wszystko to już przedtem czytał. Pomyślał więc, że to pewnie święto, a dzienniki są wczorajsze i poszedł do domu. W domu zastał drzwi otwarte i odrazu wlaź do łóżka, bo był przemoknięty, zmęczony i śpiący.

Około północy zbudził go jakiś pan, który przypadkiem znał pana profesora.

– Pan profesor – mówi – pewnie przez pomyłkę wszedł aż na drugie piętro do mego mieszkania, zamiast do swego na pierwszym piętrze.

– Bardzo możliwe – rzekł pan profesor – w takim razie bardzo pana przepraszam.

Spoglądnął na zegarek, a że była dopiero godzina czwarta, więc obrócił się na drugi bok i znów zasną<sup>130</sup>.

---

<sup>130</sup> Klewe, *Jeden dzień profesora*, [w:] tegoż, *Z pamiętnika pchły i inne ucieszne historie*, nakładem Księgarni Feliksa Westa, Brody 1905, s. 79–81.

**Przykład 94. Klewe (Klemens Weitz) – *Lekcja tańców* (1905)**

– Mój kochany – powiada do mnie onegdaj żona – to nic nie pomoże, ty musisz pójść do nauczyciela tańców na parę lekcji, bo mamy w tym karnawale być na kilku wieczorkach, a bez tańców nie ma sensu chodzić na wieczorki.

Broniłem się, jak mogłem, tłumaczyłem żonie, że to byłoby śmiesznym teraz zaczynać naukę tańców, skorom tego dotąd nie uczynił – nie pomogło nic.

Drugiego dnia wieczorem byłem już w szkole tańców. Zgodziliśmy się z profesorem, że za umówioną kwotę z góry płatną, ma moje nogi w dziesięciu lekcjach doprowadzić do takiej perfekcji, że będą mogły śmiało stanąć do każdego tańca.

I odrazu rozpoczęliśmy pierwszą lekcję „kroków”. Te kroki, a raczej ta lekcja kroków, to martyrologia, o której mógłbym napisać gruby tom. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy z mojego kalectwa, na które zwrócił mi dopiero uwagę profesor tańców. Dotychczas żyłem bowiem w błędzie, że mam nogi – jak to mówią, w porządku, a dopiero tu dowiedziałem się, że to nawet nie są wcale nogi. To jakieś kłody – mówił profesor – albo wrośnięte w ziemię słupy telegraficzne, ale nie nogi, na Boga świętego, nie nogi! A choć ja byłem zupełnie odmiennego zdania, profesor nie dał sobie nic wmówić i nie przestał biadać, że to w najlepszym razie para konewek, a nie nogi. Mógł sobie na wszystko pozwolić, bo wziął z góry honorarium. Prawda, że nie urodziłem się na baletmistrza, i dlatego pociliśmy się obaj rzetelnie, ale że mój profesor był trochę nerwowym, to jest rzeczą pewną. Co ten człowiek wyrabiał z mojej nogami, to jeden Bóg widział. Nigdy mu tego nie przebaczę.

Najbardziej złościła go moja lewa noga. Twierdził, a nawet dawał mi na to słowo honoru, że to właściwie nawet nie jest lewa noga, ani prawa, tylko jakaś dzika. Doszło do tego, że zapomniałem, która prawa noga, a która lewa, tak mi się jakoś wszystko pomieszało. Skonstatował także, że nawet chodzić nie umiem, bo mając iść naprzód, idę wstecz i naodwrot.

Nieraz wołał z furią: – Zapomnij pan do stu dyabłów, że pan masz prawą nogę i stój pan na lewej, niech się panu zdaje, że panu prawą nogę ucięli na wojnie, albo, że ją panu pies odgryzł, albo egzekutor zagrabił i sprzedał – nie wiem, jak mam mówić do pańskich nóg!

Cała wina była w tem, że pan profesor mówił do moich nóg przeważnie po francusku, czego nie rozumieliśmy ani ja, ani moje nogi. Te francuskie wyrażenia powtarzałem ciągle, aby je spamiętać i dlatego już mniej uważałem na to, co mam robić nogami.

– Co pan dotychczas robił nogami?! – pytał zirytowany profesor.

– To, co każdy robi – odpowiadałem zawstydzony.

– Nie, panie – wołał profesor – pan je musiałeś trzymać w jakimś płynie, od którego one panu zeszywniały, jak dęby. Pan nie masz w nogach rozumu za centa!

Powtarzam tylko delikatniejsze obrazy honoru, o ciężkich nie wspominam nawet, bo mnie to irytuje.

Poważył się nawet twierdzić, że takimi nogami można wymordować pół pułku wojska. Ta pierwsza lekcja była zarazem ostatnią, a ja dotąd dwa razy dziennie masuję nogi i nie mogę przyjść do siebie<sup>131</sup>.

**Przykład 95. Wiktor Gomulicki –  
*Wspomnienia niebieskiego mundurka.*  
Fragmenty wspomnień dotyczących wydarzeń  
z lat 1860–1870 (1906)**

Z miasta i ze wsi, z domów urzędniczych i rzemieślniczych, z dworów, nawet z chat słomą krytych, napływa świeża fala, szumna, hałaśliwa, nie umiejąca jeszcze posuwać się spokojnie równem, prawidłowo wykreślonym łożyskiem... Boże! jacyż są śmieszni ci nowicyusze w swych workowatych mundurkach, w za długich, zawiniętych u dołu spodenkach, z włosami spadającymi na ramiona lub przy samej skórze ostrzyżonymi (przyczem niewprawna ręka matki lub służącej usiała na ich głowach całe konstelacje gwiazd, słońce i księżyców), z wyrazem twarzy napół wesołym, napół płacziwym, z niespokojnymi palcami, które muszą nieustannie coś skubać, czegoś dotykać, po czems bębnić... Niektórą matki przypinały na tę uroczystość wielkie kokardy z kolorowej wstążki, wysuwające się z pod kołnierza w sposób rażący. Zanim inspektor wyszarpienie i do kieszeni schować każe te „nadetatowe” dodatki, żartownisie szkolni (stara gwardya!) rzucają w nie czapkami wołając, że to... motyle, które nakryć, a potem na szpilkę wbić trzeba<sup>132</sup>.

[...] jak przed południem tak i popołudniu młodzież szkolna nie widzi nic, niczem się nie zajmuje, o niczem nie myśli, prócz chrabąszczów. W ogrodach i ogródkach, na pobrzeżu Narwi, na „Górze Benedyktyńskiej”, na cmentarzach przykościelnych – wszędzie, gdzie się choć kilka drzew zieleni – widać biegnące, zadyszane, z zadartymi w górę nosami pilnie upatrujące „zwierzyny” gromadki niebieskich mundurków. Z trzęsionych drzewek senne owady sypią się na ziemię, jak dojrzałe śliwki. Co chwila któryś, rozwinąwszy skrzydła, z brzękiem

<sup>131</sup> Tenże, *Lekcja tańców*, [w:] tegoż, *Z pamiętnika pchły...*, dz. cyt., s. 70–72.

<sup>132</sup> W. Gomulicki, *Wspomnienia niebieskiego mundurka*, G. Gebethner i Spółka, Warszawa – Lublin – Łódź – Kraków 1918, s. 20–21.



ulatuje w górę, a chłopcy za nim, krzyżąc i na palce się wspinając, żeby go dostać. Co chwila rozlega się krzyk przeraźliwy, któremu towarzyszą wybuchy śmiechu... To jakiś figlarz strachliwemu koledze wsunął chrabąszcz za kołnierz, albo wpuścił do rękawa. Ofiara figla rzuca się, jak ukąszona przez żmiję, a inni aż przysiadają do ziemi od śmiechu. Po zachodzie słońca, brzęk chrabąszczów, krzyki i śmiechy wzmagają się. Powietrzni rycerze, „skrzydlaci, wąsaci”, urządzają istny najazd na miasteczko. Wszędzie ich pełno. Przez otwarte okna wpadają do mieszkań, nakształt pocisków wystrzelonych uderzają o twarze przechodniów – toną tysiącami w rzece, idąc na żer wielkim rybom, które z pluskiem głośnym rzucają się na nie. Błogosławione dnie chrabąszczowe! Ileż zabawy, figłów, pustoty sprowadzają na ciche zwykle miasteczko! W zabawie dzieci biorą udział i starsi – niema w miasteczku człowieka, któryby idąc na spoczynek, nie śmiał się, lub przynajmniej nie uśmiechał, przypominając sobie różne wesołe epizody chrabąszczowej kampanii<sup>133</sup>.

**Przykład 96. Fragmenty pierwszej szopki satyrycznej  
wystawionej przez kabaret „Zielony Balonik”  
w Jamie Michalikowej (1907)**

Student i studentka ze stowarzyszenia „Ethos”  
(*Trawiata: Więc pijmy, więc pijmy za zdrowie miłości...*)

Razem

Pracujmy, pracujmy dla szczęścia ludzkości,  
By w Ducha regiony ją wznieść;  
Śpiewajmy, śpiewajmy na chwałę czystości,  
W niej życia nowego jest treść!

Niech zniknie przesąd czczy,  
Co chłopiec, co dziewczyna,  
Gdy skryje peleryna  
Różnicę naszych płci...

Student

Przecz wszelkie nieczyste, przelotne miłostki!  
I myśli ustrzeżmy się złej:  
Kto w zmysłów kałuży się zmacza po kostki,  
Ten cały utonie już w niej!

---

<sup>133</sup> Tamże, s. 159–160.

A choć nam czasem brak  
Tego, co jest w kobiecie,  
Radzimy sobie przecie,  
Niech nikt nie pyta jak...

Studentka

A gdy się połączym małżeńskim ogniwem  
I przyjdzie w łożnicy nam lec,  
Spłodzimy dzieciątko, w skupieniu cnotliwym,  
Rozpusty potrafić się strzec!

Niech brudnych wzruszeń szaf  
Nie skazi pra-czystości  
Bytu, co się z nicości  
Człowiekiem właśnie sta!

Razem

Więc piejmy, więc piejmy: precz z wszelkim ekscesem!  
I śmiało pośpieszmy na bój;  
Niech krążą, niech krążą puchary z Ceresem,  
W nich życia nowego jest źródło!<sup>134</sup>

### **Przykład 97. August Wilkoński – *Wspomnienie szkolne*. Fragmenty (1907)**

Byłem dopiero w klasie trzeciej, oddziale pierwszym, gdy przybył z Getyngi (nie pamiętam, czy doktor filozofii, czy nie doktor – mieliśmy ich bowiem czterech pomiędzy naszymi profesorami) pan Berendt i objął katedrę literatury niemieckiej w gimnazjum poznańskim. Mąż ten pełen nauki i nieco zgarbionej postaci nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustkę czarnego koloru, a u kamasy sięgających po kolana było na każdej nodze 7 dużych stalowych guzików – mówię wyraźnie siedem, bom je nieraz rachował, przemyśliwając, jakim by to sposobem kilka oberznąć; zdawało mi się, że taka sprawka mogłaby sławę moją figlarną na zawsze utrwalić:

<sup>134</sup> Pierwsza szopka satyryczna wystawiona przez kabaret „Zielony Balonik” w Jamie Michalikowej, [za:] Z. Mitzner, *Z dziejów satyry polskiej. Szopka*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (red.), *Kalendarz Szpilek*, dz. cyt., s. 132–133. Jak zauważył Zbigniew Mitzner: *Szopka ta odrzuciła już wszystkie pozostałości, biorące się z jej pochodzenia. Odrzuca i tradycyjne postacie, takie jak Herod czy śmierć. Wprowadza żywych ludzi pod postacią kukiełek, bądź też postacie syntetyczne*. Z. Mitzner, *Z dziejów satyry...*, dz. cyt., [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (red.), *Kalendarz Szpilek*, dz. cyt., s. 132.

O ty, co bujasz wesoło po jasnej niebios przestrzeni, A z pełnego chluby czoła pasmo rozwijasz promieni, Serce cię moje chwyciło, Wysoka chwało!

Co za tryumf!... gdybym był zdołał chociaż jeden guzik w obliczu całej klasy od nienawistnych nam kamaszów odłączyć! – Już nawet skradałem się raz ku katedrze, ale obejrzał się czujnego ucha profesor i znikła wielkiego czynu sposobność.

Lecz wracam do głównego mej powieści celu. Siódmego stycznia, nazajutrz po Trzech Królach, przybiegłem rychło do zakrystii, pragnąc służyć do mszy studenckiej – a lubo nie bardzom dobrze w ministranturze odpowiadał i tylko końcówki: *ped Dominum Deum nostrum... sanctae* głośno wymawiałem – jednakże natomiast potężnym dzwonkiem słynnie machać potrafiłem.

Patrzę – aż tu już pięciu kandydatów do tego zaszczytu kłóci się o pierwszeństwo.

– Jakoś się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiej biedzie.

– Rozumiesz ty, co ten Berendt szwargoce? *Die erste Abteilung der deutschen Litteratur... ruhig... ruhig...* i zawsze *ruhig*, zupełnie jak gdyby kto szczotką po uszach drapał.

– Lecz kto z was Berendta rozumie? – zabawnie, on ma nas czegoś nauczyć, a my jego języka nie rozumiemy; żeby on to po polsku mówił: „Pierwszy oddział literatury niemieckiej poczyna się...”

– Ej, gadasz, on nas pierwej powinien nauczyć gramatyki, wokabuł, a potem dopiero rozprawiać o literaturze. Słuchaj, Auguście! zrobmy mu dzisiaj figla; jak on zacznie: *Ruhig!* to my się odezwijmy: *Stille!* tylko tak, aby żadnego nie spostrzegł, i można by wywoskować ławki i puścić pischzonego, ty wiesz?...

– Dobrze, dobrze, wiem – masz wosk?

– Albo go tu mało w zakrystii, tylko poprośmy Walentego.

– Mój kochany Walenty, dajcie – dajcie mnie – i minie.

Jakoż w krótkiej chwili powolny zakrystian dał każdemu z nas po odrobinie żółtego wosku.

Od ósmej do dziewiątej był język polski. Poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego. Słuchaliśmy z wdzięcznością, bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lube obrazy dla serc naszych młodzieńczych, czynił objaśnienia, porównania z innymi pisarzami, i szybko, mile, na skrzydłach, króciuchna ubiegła godzina. Gorliwy w służbie stary pedel Schal zmianę godzin dzwonkiem ogłosił; wytoczył się poważnie szanowany ksiądz Antosiewicz, a miejsce jego zajął profesor Berendt. Porachowałem u prawej nogi guziki, było ich jak dawniej nie mniej, nie więcej jak siedem; rachuję u lewej – nie dowierzam oczom moim! o rado-

ści! – sześć tylko. – Prawił tymczasem pan Berendt o Wielandzie; myśmy wosk z kieszonek wydobyli.

– *Ruhig!*

– *Stille!* – ozwało się po różnych klasy stronach kilka piskliwych głosików.

– *Was ist das?*

Harmonia woskowa zagrała.

– *Du ungezogener Bufae!* – schwycił mnie za kołnierz granatowego spancerka i silnie za drzwi wyrzucił.

Świeże powietrze owiało mnie. Michałowska, żona stróża szkolnego, roześmiała się, mówiąc: „Już to znów na pokucie”. Usiadłem sobie przy progu w kuczki, słuchając, jak się tam moi koledzy popisują, i kiedym się dziwił spokojności, jaka w klasie panowała, ksiądz Antosiewicz, przechadzający się po dziedzińcu, do mnie zagadał: – A cóż, wilczku, wygnali cię z kniei: pewnoś baranka dusił?

– Nie, księżę profesorze, jam nic nie robił – i skrzywiłem twarz moje w grymas płaczu – tylko pan profesor Berendt opowiadał nam, że Kopernik był Niemcem, a wszakże ksiądz profesor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem.

Zarumienił się ksiądz Antosiewicz, roztworzył na rozcież drzwi klasy, i popychając mnie naprzód, z przyciskiem wyrzekł: – Kopernik był Polakiem, jest to rzeczą dowiedzioną i żadnej nie ulegającą wątpliwości! Proszę pana profesora, tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którym by może dano wiarę w Getyndze, ale nie u nas... – i wychodząc drzwi za sobą zatrasnął.

Berendt stał nieporuszony i niemy; łoskot grzmotu nie jest tak głośnym, jak był śmiech i wrzask siedemdziesięciu chłopców.

– *Aha! Sehen Sie, Herr Professor!* Nie będę marzył na zimnie – i wyszczerzyłem zęby.

Tu już hałas wzmógł się do najwyższej potęgi, ławki trzeszczały, nogi tupają, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów powtórnie za drzwi wyleciałem.

– Cóż? – zapytał przybiegając do mnie obrońca polskiego Kopernika.

– Ksiądz profesor ledwie wyszedł, on zaraz powtórzył, że Kopernik był Niemcem i że się Polacy niesłusznie przyznawają...

Nie dał mi dokończyć ksiądz dziekan, trzęsąc się ze złości, wnosi mnie za kołnierz na powrót do klasy i w najwyższym uniesieniu zawołał: – Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie będzie, a jeżeli nam, pozazdrościli...

– *Was wollen Sie damit sagen, Herr Kollege?*

– *Kopernik war ein Pole!*

Wtem ukazał się ówczesny rektor Kaulfuss; rzecz się wyjaśniła – cenzor klasy zdał świadectwo, pogodzili się przeciwnicy, i gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem tylko już lekką zwadę o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwólcie, łaskawi czytelnicy, że zamilczę – bo chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboką myśl tych wyrazów „co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole!” do niektórych przynajmniej okoliczności i dzisiaj zastosować muszę<sup>135</sup>.

### **Przykład 98. Anonim – *Tymczasowa „doktoryzacja”* (1910)**

„Acha, jak się masz, Zosiu droga?  
Toż to miła niespodzianka!”  
Wykrzyknęła, spotykając  
Pannę Zosię panna Anka.  
„Witam, witam cię, kochanie” –  
Panna Zosia jej odpowie,  
I dalejże w ruch języczki:  
„Cóż tam słycać?... A jak zdrowie?”  
I tam dalej... Aż nareszcie  
Pada takie zapytanie:  
„Powiedz, droga, bom ciekawa,  
Dawnoś też widziała Frani?”  
„Franię? Boże!... Wiesz, z tą Franią  
To po prostu heca cła!  
Wszakże ona przed pół rokiem  
Już się *doktoryzowała!*”  
„Co ty mówisz? Być nie może!  
Toż rok ledwie teraz minie,  
Jak się Frania, nieboraczka,  
Poświęciła medycynie...  
I już dyplom otrzymała?”  
„No, nie, na to jeszcze pora,  
Lecz... tymczasem nasza Frania  
Wyszła za mąż za... doktora”<sup>136</sup>.

<sup>135</sup> A. Wilkoński, *Wspomnienia szkolne*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, dz. cyt., s. 105–107. Źródło pierwotne: tenże, *Wspomnienia szkolne. Pomyłki. Ułamek ze starej gawędy*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1907.

<sup>136</sup> Anonim, *Tymczasowa „doktoryzacja”*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski (oprac.), dz. cyt., s. 223. Źródło pierwotne: „Kurier Świąteczny”, nr 46/1910, s. 7.

**Przykład 99. Zygmunt Różycki – *Pan profesor* (1911)**

W klasie trzeciej przed rozpoczęciem niemieckiego języka było rojno i gwarno. Jedni uczniowie z hałasem wskakiwali na ławki, drudzy tarzali się w gimnastycznych zapasach po ziemi. Kilku zaledwie oddzieliło się od ogólnego grona i stanęło przy oknie, dysputując cicho. Myśleli zawzięcie nad tem, jakimby nowym figlem przywitać profesora Fon-Bocka.

Nagle jeden z nich, znany dowcipniś i łobuz, zbliżył się szybko do tablicy, stojącej obok katedry.

– No, zobaczycie! zobaczycie! jak herr profesor będzie się irytował – krzyczał, niezmiernie zadowolony ze swego pomysłu.

To mówiąc, wziął kredę i narysował na tablicy ogromną świnie, pod którą grubemi literami podpisał: Fon-Bock.

Cała klasa wybuchnęła homerycznym śmiechem, on zaś spokojnie wrócił na swoje poprzednie miejsce.

Na korytarzu rozległ się przytłumiony szelest kroków. Wszyscy uczniowie rozbiegli się po swoich miejscach. Zapanowała głęboka cisza.

Profesor Fon-Bock, z dużym dziennikiem pod pachą, ukazał się w progu.

– Tysze! – krzyknął z przyzwyczajenia i siadł przy katedrze.

W klasie zapanował nastrój bardzo uroczysty. Wszyscy utkwili swoje oczy w tablicy, oczekując z niecierpliwością chwili, kiedy herr profesor raczy się w tamtą stronę obrócić.

Ale śmiech, tłumiony przez kilka minut, nagle wybuchnął z całą gwałtownością.

Herr profesor zaczął się obracać we wszystkie strony.

– Co to jest? Co to za śmiech? Kto to? Nikt jednak nie przyznawał się do winy. Herr profesor wówczas wstał ze swego krzesła i zaczął z niecierpliwością przechadzać się wzdłuż ławek.

– To ty się śmiejesz!... – zwrócił się do pierwszego lepszego ucznia, który otworzył usta tak szeroko, jak kościelne wrota.

– Nie, panie profesorze!

– No, to ty!

– Nie, panie profesorze!

Wtem śmiech go doleciał z przeciwnej wprost strony.

– Aha! mam cię – krzyknął zadowolony herr profesor i błyskawicznym ruchem odwrócił się.

Ale wzrok jego zamiast paść na winowajcę, padł bezwiednie na tablicę.

Zbladł, jak płótno, zatrząsł się ze złości.

– Ach! Wy! Ja będę pan dyrektor powieścić. Ja będę wam wszystkim w karcer wsadzić.

To mówiąc, podbiegł do katedry, chwycił dziennik i wybiegł, jak oparzony, z klasy.

Ledwo herr profesor zniknął za drzwiami, autor rysunku szybko podbiegł do tablicy i startł pod figurą, wyobrażającą świnię, podpis: Fon Bock. Poczem siadł na swoje miejsce.

Po upływie kilku minut wkroczyli uroczyście do klasy dyrektor Diengolubow w asystencji inspektora Wziatocznikowa i dwóch pedeli. Na samym końcu włókł się, jak kosą podcięty, herr profesor.

– Nu, gdzie eto profesor? – zapytał dyrektor, zwracając się do Fon-Bocka.

Herr profesor rzucił wzrok na tablicę, lecz oto w tej chwili spostrzegł, że podpis został starty. Krew uderzyła mu do głowy.

– Nu, gdzie eto? – powtórzył ostro dyrektor.

Herr profesor w rozpaczliwych susach podskoczył ku tablicy i wskazując palcem na świnię, krzyknął: – Panie direktor! Oni już starli! Ale ja wiem, że to ja!

Dyrektor Diengolubow wraz z inspektorem Wziatocznikowem uznali za właściwe uśmiechnąć się nieznacznie; to samo uczynili dwaj pedelowie, nie chcąc się narażać wyższej władzy. Poczem wszyscy wyszli z klasy.

Profesor Fon-Bock siadł na swoim miejscu i przez długi czas nic się nie odzywał.

Ale nagle rozwarł książkę i, zwracając się do klasy, zaczął objaśniać: – A teraz przejdziemy do Orleańskiej dziewicy, którą Schieller obrabiał dziesięć lat<sup>137</sup>.

### **Przykład 100. Artur Gliszczyński – *Ongi i dziś* (1912)**

Gdym w klasie był trzeciej.  
Coś – w piętnastej wiośnie,  
Do nadobnej Teci  
Wzdychałem miłośnie.

W drugiej klasie była,  
Młodsza tylko rokiem:  
Śliczna, wdzięczna, miła –  
Z turkusowem okiem.  
Surowość rodziny  
Sam na sam być wzbrania,  
Raz tylko jedyny,  
Przyszło do spotkania...

<sup>137</sup> Z. Różycki, *Pan profesor*, [w:] tegoż, *Figle młodego satyra*, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1911, s. 115–118.

Raz! To moge przysiąc!  
 Lecz w tej jednej chwili,  
 Chybażeśmy tysiąc  
 Całusów zmienili!...  
 Nieraz potem w życiu  
 Rad, bywało, marzę  
 O schadzki odbyciu,  
 Mimo ojców strażę.

Za to, dziś, gdy dzieci  
 Mam już z pół tuzina:  
 Syn jest w klasie trzeciej,  
 A w drugiej dziewczyna;  
 Strach mnie chwyta nieraz  
 W myśli desperackiej:  
 Czy i oni teraz  
 Też miewają – schadzki?<sup>138</sup>

### **Przykład 101. Anonim – *Do młodego Jasia* (1914)**

Oto, Jasiu, w czysty zeszyt  
 Upuściłeś żyda,  
 – Więc go skrobień, ale pomnij:  
 Niech się rada przyda...

Gdy czyściutką hipotekę  
 Odda papa tobie,  
 Strzeż się – żyda, bo gdy padnie,  
 Djabeł nie wyskrobie<sup>139</sup>.

### **Przykład 102. Anonim – *Elektrotechnik* (1914?)**

Zygmuś, synek szlagonowski,  
 Skończył ledwie jedną klasę,  
 Za to grosza ojcowskiego  
 Stracił wkrótce całą masę.

<sup>138</sup> A. Gliszczyński, *Ongi i dziś*, [w:] tegoż, *Humor i satyra H.K.T.*, Drukarnia Piotra Ambroziewicza, Warszawa 1912, b.s.

<sup>139</sup> Anonim, *Do młodego Jasia*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914, s. 5.



Gdy się znalazł już na bruku,  
Trza zapisać to w kronice!  
Postanowił się poświęcić,  
Wiecie, elektrotechnice!  
– Co mi – prawit – jakieś studia,  
Napuszony, niby wrona;  
Gdy mi tylko się zażąda,  
Łatwo zaćmię Edisona.  
Z „elekstryką” wszelką radę  
Już ja sobie dać potrafię...  
Rzeczywiście, wkrótce potem  
Został... woźnym w telegrafii<sup>140</sup>.

### **Przykład 103. Anonim – *Fizjologja. Wypracowanie szkolne Józia o człowieku (1914?)***

Człowiek składa się z głowy, szyi, tułowia, rąk i nóg. Na samym szczycie ma człowiek głowę. Na głowie nosi człowiek włosy, a jeżeli niema włosów, to nosi łysinę. Kobieta ma zawsze włosy, które jej ciągle wypadają. Głowa służy człowiekowi do myślenia i do noszenia kapelusza. W głowie ma czasem człowiek mózg, ale nie każdy. W głowie nosi człowiek oczy, które są zwierciadłem duszy i dlatego człowiek oczami śpi, płacze, albo patrzy. U kobiet służą jeszcze oczy do mrugania i dlatego nazywają się gwiazdki dwie. Oczy są bardzo delikatne i dlatego niebezpieczne jest, jeśli człowiekowi coś wpadnie w oko. U kobiet to nie jest niebezpieczne i dlatego ciągle im coś wpada w oko.

Pod oczami znajduje się nos, którym człowiek wacha i za który daje się wodzić żonie. Oprócz tego nos jest dobry do noszenia okularów i kataru. Nos podobny jest do ulicy, bo może także być długi albo krótki, równy albo krzywy, czysty albo brudny, pusty albo pełny. Jeżeli człowiek ma nos czerwony, to pije.

Oprócz tego ma człowiek uszy, po dwóch stronach głowy, jedno prawe a drugie lewe, za które wolno ciągnąć tylko w niższych szkołach, w warsztatach, przy wojsku i w ogóle w małżeństwie. Uszy służą na to, ażeby do nich mówić sekrety, albo coś takiego, czego głośno mówić nie wolno. Tylko kobiety powtarzają zawsze to, co się im mówi do ucha, chyba, że o tem zapomną. Uszy są bardzo cienkie i żadnych ciężarów na nich nosić nie można. Tylko kobiety noszą na nich drogie i ciężkie kamienie.

<sup>140</sup> Anonim, *Elektrotechnik*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914, s. 265.

Pod nosem nosi człowiek usta, które służą do jedzenia, śmiania się, mówienia, całowania a czasem do ziewania i chrapania. U kobiet usta nazywają się buzią, chociaż czasem są bardzo wielkie.

W ustach człowiek ma język, który służy do wystawiania wrogowi, do obliźywania się i do nalepiania marek pocztowych. Język należy trzymać za zębami, nawet, jeżeli kto nie ma zębów. Zęby człowiek ma zepsute tj. własne, albo zdrowe tj. sztuczne. Kobieta, która się dużo śmieje, ma ładne zęby. Kobieta, która ma brzydkie zęby, zatyka sobie otwarte usta ręką.

Nad ustami ma człowiek wąsy, jeżeli jest mężczyzną, a jeżeli jest kobietą ma czasem także wąsy. Naokoło twarzy ma człowiek brodę, która mu ciągle rośnie, co u kobiety należy do rzadkości.

Pod głową ma człowiek szyję, która służy do noszenia kołnierzyków i do wieszania człowieka.

Za szyją ciągnie się tułów, na którym ma z tyłu plecy i krzyże a z przodu klatkę piersiową, ażeby był podobny do rysunku na tablicy w szkole.

Do tułowia przyczepione są po bokach ręce, które służą do rozmaitych rzeczy i do bicia, a pod tułowiem znajduje się brzuch, z którego wychodzą nogi, służące do chodzenia, tańczenia, suwania, froterowania, kopania i uciekania. U nóg, tak samo jak i u rąk ma człowiek po pięć palców, chyba że się urodzi z mniejszą, lub większą ilością, albo, że mu pies odgryzie.

Widzimy więc z tego, że człowiek składa się z różnych części, a prawie wszystkie są mu na coś potrzebne, z wyjątkiem nagniotków<sup>141</sup>.

### **Przykład 104. Anonim – *Lato* (1914?)**

Mały Józio wrócił wczoraj ze szkoły z płaczem, bo nauczyciel napisał mu notę „niedostateczną” na wypracowaniu domowym „o lecie”, które opisał w następujący sposób: „Lato jest najcieplejszą porą roku po zimie, dlatego można wyprzedzić wszystkie zimowe ubrania tandeciarzowi, albo zastawić. W lecie jest bardzo

<sup>141</sup> Anonim, *Fizjologia. Wypracowanie szkolne Józia o człowieku*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, dz. cyt., s. 308–309. Por. *Wypracowanie ośmioletniej dziewczynki o kocie: Kot rozmnaża się przez swoje małe, które są dziewięć dni ślepe. Potem dostają oczy, a stara się nimi opiekuje, albo lata po dachach za kotami. Kotki są bardzo zabawne i zajmują się kłębkami nici albo innymi swawolami. Potem uczą się łowić myszy, przyczem ich pazurów nie słychać. Uszy są ostre i kończą się do śledzenia myszki. Wreszcie wychodzi z dziury. Pozwala jej parę razy latać, nim ją poźre. Kot jest obciążony różnym futrem. Bywa elektryczny, jak się go odwrotnie pogłaszcze. Z tyłu za nim znajduje się ogon coraz cieńszy, aż na końcu ustaje. Za: M.S. Fog (oprac.), *Absurdy Polski międzywojennej*, Vesper, Poznań 2008, s. 149. Niestety nie udało mi się ustalić autora i nawet przybliżonego okresu powstania tego utworu. Nie jestem też pewien jego oryginalności i dlatego nie zamieściłem go w wykazie przykładów. Przep. P.P.G.*

przyjemnie, bo możnaby się kąpać w zimnej rzece, ale nie można się kąpać, bo niema rzeki. Matka i sługa otwierają wszystkie okna i drzwi, aby był przeciąg i aby ojciec krzychał, że w domu może człowieka szlak trafić, a potem siedzi się cały dzień na balkonie, gdzie mówi się ciągle o sąsiadach i podlewa się kwiaty, ażeby woda kapiała przechodniom na głowy. W oknach stawia się wazon, które spadają na ulicę, albo pościel, która jest nieświeża i musi się przewietrzyć.

W lecie zawsze człowieka boli żołądek, ponieważ jest dużo owoców, kwaśnego mleka, lodów, ogórków i wody sodowej. W lecie jest także dużo kwiatów, które są tanie i dlatego lubią je siostry i matka.

Ponieważ w mieście jest bardzo gorąco i ludzie są zmęczeni, wychodzą dla wypoczynku za miasto, gdzie jest jeszcze większe gorąco i skąd wracają jeszcze więcej zmęczeni.

W niedzielę wybierają się ludzie na festyn na plac powystawowy i wtedy jest tam bardzo dużo tramwajów. Dlatego trzeba jechać fiakrem albo iść piechotą. Na festynie jest dużo restauracji, w których nigdy niema miejsca i jest bardzo wesoło, bo gra muzyka i biją się kelnerzy, albo goście rzucają szklankami do płatniczego.

Czasem jedzie się do Brzuchowic albo do Janowa koleją, gdzie mama i tato pod drzewem udają, że śpią, a siostry rozmawiają z kawalerami w lesie i bardzo chcą się zaręczyć. Potem ojciec funduje dla wszystkich kolację i wraca się do domu, pomimo, że jeszcze gra muzyka, a siostry jeszcze się nie zaręczyły.

Dzieci urządzają często majówki, z których wracają w podartych ubraniach i dostają bicia od matki. Turyści wybierają się w góry wysokie, z których spadają w przepaść, aby potem pisano o tem po gazetach. W lecie odbywają się także wyścigi, które są bardzo przyjemne, a panie kochają się w koniach i oficerach i dlatego ubierają się bardzo ładnie.

Kiedy nadchodzą wakacje, pożyczają się pieniądze i wyjeżdża na lato, bo każdy jest chory. Dlatego matka i siostry sprawiają nowe suknie, a ojcu pierze się i prasuje stare ubrania. Przez cały tydzień pakuje się wszystko, a potem zapomina się dużo rzeczy, matka kłóci się z córkami i ojcem, wyrzuca sługę i wszyscy jadą do Krynicy. Tu spotyka się wielu znajomych, ażeby było z kim rozmawiać o innych. Córki tańczą na reunionach i przez całe wakacje zaręczają się, ale potem wracają niezaręczone. Ojciec gra w karty, a matka robi awanturę, czemu przegrywa obce pieniądze.

Gdy już wyjdą wszystkie pieniądze, powiada się, że Krynica znudziła i wraca się do miasta na zimę, gdzie opowiada się, gdzie się było i co się robiło w lecie<sup>142</sup>.

---

<sup>142</sup> Anonim, *Lato*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 196–197.

### **Przykład 105. Anonim – Na balu pedagogów (1914?)**

Dama. – Pan nie tańczy?

Pedagog. – *Non, pulchra puella!*

Dama. – Ale wino pan pije?

Pedagog. – *In vino veritas!*

Dama. – A wygląda pan na lwa salonowego...

Pedagog. – *Leo est generosus.*

Dama. – Zajada pan z prawdziwie wilczym apetytem...

Pedagog. – *Lupus est rapax, crudelis et insatiabilis...*

Dama. – A to źle, że pan nie tańczy... Patrz pan, jak profesor X. hasa, zda się, że ziemia się pod nim zapadnie...

Pedagog. – *Terra est rotunda et globosa...*

Dama. – Ależ z łaciną daj pan już pokój...

Pedagog. – *Requiescat in pace!*...<sup>143</sup>

### **Przykład 106. Anonim – Program wykładów historii polskiej dla szkół średnich (1914?)**

OKRES I

*Mieczysław I.* Jego chrzest. Wskutek zdradzieckich podszeptów jezuitów, Mieczysław I chrzci swój naród według obrządku rzymskiego.

*Bolesław Mieczysławowicz*, niesłusznie zwany przez szowinistów polskich *Wielkim* albo *Chrobrym*. Początki intrygi polskiej na rdzennie rosyjskiej ziemi, w Kijowie. Zakłócenie spokoju i przekroczenie przepisów policyjnych pod „Złotą Bramą”.

*Mieczysław Bolesławowicz*. Żona jego Ryksa, niemieckiego pochodzenia. Ich pożycie małżeńskie.

*Kazimierz I Odnowiciel*. Remont państwa za jego czasów.

*Bolesław II. Zwany Śmiałym*, dla tego, że śmiało porwać się na Ruś, za co w końcu skazany został na zesłanie do Węgier.

*Bolesław Krzywousty*. Podzielił państwo między synów, czego mu Polacy darować nie mogą, uważając go za przeciwnika idei „Polski od morza do morza”.

*Władysław Łokietek*. Wyjaśnić różnicę pojęć „łokieć” i „arszyn”. Bitwa pod Płowcami, zakończona zwycięstwem Władysława, dzięki zycziwej neutralności Rosji.

<sup>143</sup> Anonim, *Na balu pedagogów*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 250.

*Kazimierz Wielki*. Jego filosemityzm, jako skutek przekupstwa żydowskiego. Rola Esterki.

## OKRES II

*Władysław Jagiełło*. Połączenie Litwy z Polską, jako wynik intryg Jadwigi. Bitwa pod Grunwaldem, pomyślna dla Polaków, dzięki pomocy ruskich.

*Władysław Warneńczyk*. Jego chęć podbicia słowian bałkańskich i śmierć pod Warną.

*Kazimierz Jagiellończyk, Jan Olbracht, Aleksander Zygmunt Jagiellończyk*, sprzyjają jezuitom i szlachcie, której każą w pień wycinać nieposłusznych chłopów. Wobec braku komisarzy włościańskich, szlachta dopuszcza się awantur (*bójstwa*) we wsiach.

*Zygmunt August*, ostatni z Jagiellonów, ostatecznie nakłada na Litwę jarzmo polskie, zwane Unją.

*Stefan Batory*. Jego hołd, złożony Iwanowi Groźnemu w Pskowie i Wielkich Łukach. Intryga polska w gubernjach nadbałtyckich.

## OKRES III

*Zygmunt III*, z rodziny Wazów, buntuje się przeciw Rosji, która jednak przebacza mu i pozwala na wystawienie jego pomnika na placu Zamkowym w Warszawie. Odłączenie się od prawosławia unitów i przyjęcie na świat pierwszego przodka prof. Filewicza. Minin i Pożarski.

*Władysław IV*, może nie być wspomniany, z powodu jego nieprawomyślnej podróży do Rosji, za czasów następstwa tronu.

*Jan Kazimierz*. Opisanie szczegółowe wojen kozackich i zwycięstw nad Polakami. Polska zostaje ukarana za swoją nieprzychylność dla Rosji.

*Jan III Sobieski*. Zwycięża Turków pod Wiedniem, przy pomocy kozaków dońskich, których sława datuje od tego czasu.

## OKRES IV

Dynastia saska: *August II* i *August III*, wywierają silny wpływ na kulturę polską. Od tego czasu pochodzą: Saski ogród, Saska Kępa i saskie kluski.

*Stanisław August Poniatowski*. Jego rozum praktyczny i pokojowe usposobienie. Moralne poddanie się władzy, pomimo przeszkód ze strony różnych buntowników. Bezinteresowne ofiarowanie przez Rosję zaprzyjaźnionym mocarstwom Galicji i Poznańskiego. Zawieszenie w czynnościach Poniatowskiego. Skasowanie państwa Polskiego. Przemianowanie Polaków na inorodców<sup>144</sup>.

<sup>144</sup> Anonim, *Program wykładów historii polskiej dla szkół średnich*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 8–9. Por. przykład 115.

### **Przykład 107. Anonim – Radca (1914?)**

Inspektor szkolny, który miał tytuł radcy, zwrócił przy wizytacji szkoły uwagę nauczyciela na to, że uczniowie za mało są grzeczni. Gdy np. o nazwisko pytał ucznia, który nazywał się Kazimierz Wiszniewski, to uczeń odpowiadał tylko: Kazimierz Wiszniewski, a powinien dać grzeczniejszą odpowiedź: Nazywam się Kazimierz Wiszniewski, panie radco. – Nauczyciel, odpowiednio do tej uwagi, przyuczał chłopaków do grzeczności.

Po jakimś czasie inspektor, znowu przyjechawszy, natrafił w którejś klasie na naukę religii. Nauczyciel wyładował właśnie o grzechu pierworodnym. Radca sam rozpoczął pytać uczniów i zagadnął jednego z nich: – Powiedz mi, jakie słowa wymówił Bóg, ogłaszając Adamowi karę za grzech?

Uczeń odpowiedział: – „Przeklęta będzie ziemia dla ciebie”, panie radco!

Inspektor szybko zwrócił się do innego ucznia z zapytaniem: – Ty powtórzysz mi słowa, jakie Bóg do węża powiedział.

Uczeń na to: – „Na brzuchu twoim czołgać się będziesz”, panie radco!

Inspektor jeszcze prędzej niż przedtem, zwrócił się do innego znowu chłopaka ze słowami: – Mów dalej!

Chłopak zagadnięty odpowiedział: – „Proch jeść będziesz po wszystkie dni żywota twego”, panie radco!

Inspektor co rychlej pożegnał nauczyciela i wyjechał. Jeszcze nigdy tak krótko nie trwała wizytacja<sup>145</sup>.

### **Przykład 108. Anonim – Ustęp z wykładu historii w Uniwersytecie Berlińskim (1914?)**

Kraje zamieszkane przez Polaków i skuzynowane z nimi szczepy słowiańskie, są ziemią odwiecznie niemiecką, wydartą dobrodusznym Germanom przez chciwych zdobywczy barbarzyńskich najeźdźców słowiańskich. Możecie mi, panowie, wierzyć na słowo, gdybyście jednak mieli jakiegokolwiek wątpliwości pod tym względem, to fonetyka wielu nazw rzekomo słowiańskich przekona was ostatecznie. Nawet pod samymi granicami Azji spotyka się ślady pobytu szlacheckich Germanów, jak to wskazuje np. rdzennie niemiecka nazwa rzeki „Wołga”, co znaczy po niemiecku: *Voll-Gau*, czyli *pełna łąka*.

Im dalej posuwamy się ku zachodowi, tem pamiątki niemieckie coraz częstsze. Nie mówiąc już o Warcie, która pozostała niemiecką *Die Warthe* (straż) o rzece „Wisła”, zowiącej się właściwie *Fischla*, od ryb w niej żyjących, każde miasto pseudo-polskie, przy odpowiedniej transpozycji, wykazuje swoje pocho-

<sup>145</sup> Anonim, *Radca*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 3, dz. cyt., s. 260.

dzenie niemieckie. Tak np. położone w górzystej okolicy miasto Sandomierz zowie się właściwie *Sand-o!-mir* czyli: *dajcie mi piasku!* tak bowiem wołali niegdyś nasi przodkowie, osiedliwszy się w tej bezbezpiecznej krainie. Miasto Włocławek zwać się raczej winno *Wocłowik*, gdzie człowiek, jak pytali przybysze polscy niemieckich krajowców tej ziemi. Sama Warszawa jest najzupełniej prawidłową niemiecką *Wahr schau*, czyli: naprawdę patrz!

Zastosowując nasze historyczno-fonetyczne badania do samej nazwy *Polacy – Polen* – widzimy, że nazwa ta (*pole* – bieguny) wskazuje, że właściwym miejscem zamieszkania Polaków był biegun północny lub południowy. Kierując się zawsze sprawiedliwością, rząd niemiecki nie odmawia prawa Polakom do ich ziemi, a nawet stosuje różne środki zachęty, mające na celu skłonienie Polaków do powrotu do ich pierwotnych siedzib. Gdyby Polacy, usłuchawszy tego rozważnego głosu naszego rządu, porzucili Poznańskie, Śląsk oraz Prusy i przenieśli się na bieguny swojej ojczyzny, miałyby to wysokie znaczenie kulturalne i ogólnoludzkie, wtedy bowiem cały świat nie miałby żadnej wątpliwości naukowej, że na biegunach istnieje ziemia zamieszкана<sup>146</sup>.

### **Przykład 109. Anonim – *Wypracowanie szkolne* (1914?)**

Na zadany temat: „Opisać wołu i krowę” przyniósł mały Józio wypracowanie do mowe: „Wół należy do zwierząt domowych, jak gęś, kura, kucharka, pies i stróż. Wół rozpada się na trzy główne części, a mianowicie: głowa, tułów i ogon, który jest zakończeniem wołu. Między głową, a ogonem mieści się właściwy wół, który nie tylko tak się nazywa, ale jest rzeczywistym wołem i jest bardzo ceniony wszędzie. Także jest wół przedmiotem rozmów, a nawet debat politycznych w parlamencie, ponieważ wół staje się coraz droższy. Z tego widać, że woły odgrywają wielką rolę w naszym życiu codziennym i politycznym. Jak każde stworzenie i jak człowiek, ma wół głowę i rogi, które mu wyrastają dopiero wtedy, gdy jest starszy. Wół ma cztery nogi, które są przyłączone do wszystkich czterech końców wołu, z wyjątkiem piątego końca, do którego przymocowany jest ogon.

Jak długo wół jest dzieckiem i nie ma jeszcze rozumu, nazywa się cielęcikiem. Potem staje się powoli coraz mądrzejszym wołem, ale mimo to niema dużo rozumu. Ale wół jest mądrym stworzeniem, bo się nigdy nie żeni. Jak długo wół jest dziecinny, mięso jego jest droższe, tak samo, jak u ludzi, i nazywa się cielęcina, która jest bardzo zdrowa, jeżeli jest świeża.

<sup>146</sup> Anonim, *Ustęp z wykładu historii w Uniwersytecie Berlińskim*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 7–8. Por. Anonim, *Ustęp z wykładu historii w Uniwersytecie Berlińskim*, [w:] Z. Jasiński, *Śląski kogel-mogel czyli wybór karykatur, satyr i dowcipów politycznych oraz takich sobie głównie z okresu powstań śląskich*, Instytut Śląski, Opole 1982, s. 78.

Gdy cielę jest rodzaju żeńskiego, nazywa się jałówką i wychowuje się na krowę. Ponieważ wół nie daje mleka, więc musi być krowa, która daje mleko, chyba, że dużo ryczy. Zresztą krowa nie różni się niczem od wołu, chyba wyglądem. Krowa rozpada się na te same części, co wół i także sprzedaje drogie mięso, bo jest równouprawniona i często udaje wołu. Krowa jest stworzeniem bardzo użytecznym, jeżeli daje dużo mleka dobrego. Ale czasem krowa daje mleko tak rozwodnione, jakby ją wydojono przez pomyłkę z odwrotnej strony.

Krowa oprócz mleka daje nam masło, ser, ser szwajcarski, rokfordzki, ementalski i śmietanę, czego o wole nie można powiedzieć. Dlatego krowa jest jeszcze pożyteczniejsza, niż wół i cielę i zawdzięczamy jej wiele zdrowia, ponieważ wszystko bez wyjątku, co krowa ze siebie wydaje, jest smaczne i zdrowe. Jeżeli krowa nie jest uczciwą, to zamiast masła dają margarynę albo kunerol.

Z tego wszystkiego widać, że wół i krowa należą do najpożyteczniejszych zwierząt domowych i można z nich ciągnąć wiele korzyści, jeżeli się je ma<sup>147</sup>.

### **Przykład 110. Anonim – *Z notatnika czteroklasisty* (1914?)**

Dała mi złotówkę mama,  
 Bym zobaczył panorama,  
 Ale ja nie jestem frycem,  
 By się bawić takim „witzem”,  
 Więc nie łamiąc długo głowy,  
 Poszedłem do „Udziałowej”.  
 Tam zajęte wszystkie kąty:  
 Wacek z czwartej, Bolek z piątej,  
 Stach, którego wypędzili,  
 Przy nich Kizia, Kocia, Lili.  
 Bawiłem się wyśmienicie  
 I do domu aż o świcie  
 Powróciłem z bólem głowy.  
 Mniejsza już, że bez złotówki,  
 Ale (fater dotąd sarka)  
 Wróciłem i bez zegarka,  
 Bom za piwo *et caetera*  
 Zastawił go u kelnera<sup>148</sup>.

<sup>147</sup> Anonim, *Wypracowanie szkolne*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 3, dz. cyt., s. 180–181.

<sup>148</sup> Anonim, *Z notatnika czteroklasisty*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 331.



**Przykład 111. Leo Belmont – *Prosta droga* (1914?)**

Męczył się ongi pedagog stary,  
 By wbić mi do głowy w szkole,  
 Że linia prosta najkrótszą drogą,  
 Ażem to pojął w mozole.  
 Jednakże w życiu odwrotny wniosek  
 Wysnuwam z spostrzeżeń wielu,  
 Bo ci, co idą drogą najprostszą,  
 Najpóźniej dochodzą celu<sup>149</sup>.

**Przykład 112. Catler (Pal-ski) – *Z idylli* (1914?)**

On był w czwartej gimnazjalnej, w seminarjum ona była.  
 On wciąż marzył o „bogdance”, ona znów o „lubym” śniła.  
 Poznali się na ślizgawce – pokochali wkrótce wzajem.  
 Wśród miłości pierwszej szatów, świat wydawał im się rajem.  
 Miłość ich z dniem każdym rosła i rozmiary miała szersze.  
 Ona kwiaty mu dawała, on jej w album pisał wiersze...  
 Przytem czując brak gotówki – przehandlował książki swoje;  
 potem ciastka jej przynosił i oświadczeń składał roje...  
 I tak dzień im za dniem spływał, on zaniechał nudnej greki,  
 jej wszystkie zadania szkolne spoczywały na dnie teki.  
 Aż w tem kursu nadszedł koniec. I tu los ich djablo schłostał.  
 Ją – ze szkoły wydalono, on – wspaniałą dwóję dostał.  
 Rzec ta w skutkach przykrą była, (o, to zdarza się nie rzadko!).  
 Ją złażała mama za to, jemu skórę „zerznął” tatko!<sup>150</sup>

**Przykład 113. Stanisław Cyroński – *Język warszawski.*  
*Przyczynek do historii języka  
 warszawskiej młodzieży XIX wieku* (1914?)**

Pani Hortensja Z., obywatelka ziemska i właścicielka Dużych Snopków z przyległościami, wysłała swego dwudziestoletniego jedynaka po raz pierwszy do Warszawy, aby w gronie tutejszej młodzieży nabrał salonowych manier... i języka.

Zaopatrzony w odpowiednią gotówkę, Zdziś wkrótce zapoznał się z całą śmietanką warszawskiej złotej młodzieży.

<sup>149</sup> L. Belmont, *Prosta droga*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 218.

<sup>150</sup> Catler (Pal-ski), *Z idylli*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 35.

Przez trzy miesiące edukacja jedynaka, prowadzona przez kilku warszawskich złotych młodzieńców w salonach Eldorado, Chateau des fleurs i.t.p. wydała znakomite rezultaty. Zdziś wreszcie po wyczerpaniu udzielonej mu na drogę gotówki, wystosował do najdroższej mamci list następujący: „Kochana mamciu! *Wypsztykałem się z floty do tego stopnia, że musiałbym dać nogę z Warszawy, przepraszam więc kochaną mamcię, że Jej zawracam kontramarkę i proszę o przysłanie mi forsy. Wczoraj miałem wyborny kawał z Wietrzykowskim, myślał, że trafił na frajera, ale naturalnie nie dałem mu się wzięść na łapę i chociaż z całą tą historją, co mamcia wie, robił mi szopki, jednakże puściłem go w trąbę i w końcu kazałem mu się wypchać! Wczoraj z Lolem i Olesiem mieliśmy randkę w jednej knajpce. Biba była fest, Oleś (wyborny facet) za tę fundę beknął najwięcej i ja też naturalnie musiałem postawić dwa szampitry... bo nie wypada odróżniać się od paczki. Słowem, powiem, kochanej mamci, że była ogromna frajda i że bąbłowaliśmy do rana. Przepraszam mamcię, że już nie mam floty, ale śmieję się z tego, kochana mamciu, i nie żałuj pieniędzy dla jedynaka. Przywiązany syn Zdziś”.*

Pani Hortensja po odczytaniu listu, z którego ani jednego zdania zrozumieć nie mogła, przywołała do pomocy swego kuzyna, pana Marcina. Po wspólnem odczytaniu listu, oboje zaopinowali, że nieszczęśliwy chłopiec w Warszawie zwarjował i że potrzeba na gwałt jechać leczyć jedynaka.

Jakoż nieszczęśliwa matka na drugi dzień była już w Warszawie i pomimo zapewnień jedynaka, że jest zdrow na umyśle, tylko trochę *zbaşlowany*, udała się z nim do doktora specjalisty. Doktor jednakże, po zbadaniu chorego i odczytaniu nieszczęsnego listu, zaopinował, że Zdziś jest zdrow na umyśle, tylko język ma silnie skaleczony<sup>151</sup>.

### **Przykład 114. Em-Ka – *On i ona* (1914?)**

Myślał o egzaminie,  
Mieszkał na facyjatce,  
I kochał się w sąsiadce,  
Co szyła na maszynie.

Pilnie badał nerwacje,  
Uczył się ciałoskładu,  
Chociaż nie jadł obiadu,  
Choć miał wątlą kolację.

<sup>151</sup> S. Cyroński, *Język warszawski*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 66.

Zbierał wiedzy okruchy,  
A z praktycznego życia  
Studjował serca bicia  
I bezwiedne odruchy.

Miał więc czyste sumienie,  
Gdy z okienka swej klatki,  
Patrzył w okno sąsiadki,  
Marząc... nie o higienie.

Czuł magiczne wstrząśnienie,  
Przez szerokość ulicy  
– Piekł go ogień żrenicy  
Sąsiadeczki spojrzenie.

Ona miała przyczynę,  
Wielbić w ducha pokorze,  
Lica studenta hoże  
I sowitą czuprynę.

Lecz gdy w uczuć wyżyny,  
Biegła myślą, o! dziwo,  
Wszystkie ściegi szły krzywo,  
Pękała igła maszyny.

Kiedy miłością świętą,  
Gore młodzieńcza dusza...  
Z systemu Lineusza,  
Sromotnie go obcięto.

Stąd sens moralny płynie:  
Kochajcie się, o młodzi,  
Bo miłość życie słodzi,  
Ale... po egzaminie<sup>152</sup>.

---

<sup>152</sup> Em-Ka, *On i ona*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 259–260.

**Przykład 115. J. Filewicz – *Czytanka*. Fragmenty wypisów polskich przejrane i poprawione przez A. Suworina (1914?)**

CZĘŚĆ I. (na klasy niższe).

Ptaszka

Ptaszka boża nie zna trudu,  
I wesoło sobie żyje,  
Tiu-lu-lu-lu... du-du-du-du  
Śpiewa, kiedy gniazdko zwije.  
Z kwiatka fruwa wciąż na kwiatek,  
Albo w drzewa dzióbkiem stuka  
I dla małych swych rebiatek  
Pożywienia wszędzie szuka.  
Czy dzień słotny, czy upalny  
Zawsze buja wśród dąbrowy,  
Bo w robocie tej legalnej  
Nie przeszkadza jej stójkowy. [...]

Na co nauka potrzebna

Małe chłopcy (malczyki) nie lubią się uczyć, bo po głupoci swojej nie wiedzą, na co nauka potrzebna. A między tem nauka rzecz to ważna i każdy powinien się uczyć, osobliwie, jeżeli miał szczęście do kazionnej gimnazji popaść. Póki wy, dziatki, małe i bez nauki, tak tylko w pociesznych rotach być możecie, a kiedy, podrosłszy, choć czteroklasny cenzus otrzymacie, to i prawdziwym rewirowym każdy z was być może i do czynu wszelkie prawa mieć. A człowiek bez czynu nic nie znaczy w życiu i próżno tylko po świecie na śmiech ludziom chodzi<sup>153</sup>.

**Przykład 116. Gąsior – *Przemowa uliczna do młodzieńca z patentem szkolnym* (1914?)**

Młodzieńcze, którego przeszłość aż dotąd jest *Jasna i Czysta*, jako woda *Źródłana*, którego gałązka *Brzozowa* i ława *Szkolna* prowadziły na człowieka, otwarta przed tobą droga *Prosta*, przyszłość *Piękna*, gdyż może cię w życiu spotkać godność *Senatorska*, *Marszałkowska*, a nawet *Książęca*, więc prawdziwie *Pańska*,

<sup>153</sup> J. Filewicz, *Czytanka*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 175–176. Por. przykład 106. Więcej na temat Iwana Filewicza, W. Osadczy, *Święta Ruś. Rozwój i oddziaływanie idei prawosławia w Galicji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2007, s. 307–308.

a gdy będziesz miał dużo *Złota*, to niech cię nie ogarnia *Próżna*, *Pawia duma*, ani chciwość *Krucza*, *Wronia*, *Sowia*, lub *Orla*, bo chociaż to tylko *Ptasia*, ale zawsze *Dzika*. Gdy ci serce zajmie *Hortensja*, *Leopoldyna* lub inna *Hoża* dziewczoja, chociażby *Wiejska*, to niech miłość wasza nie będzie *Zimna*, ani *Chłodna* lecz *Ciepła*; a gdy się już odbędzie uroczystość *Kościelna* i nastanie dla was *Miodowa* pora, niech zapanuje między wami *Miła Żelazna Zgoda*. *Boleść* każda niech wam będzie *Wspólna* zarówno jak i ziemskie *Dobra*, a generacja wasza niech będzie *Ludna!*

Lecz pamiętaj, że od dobrego do złego jest łatwy *Przeskok* i możesz łatwo wziąć *Rozbrat* z cnotą i droga twa będzie wtedy *Długa*, a co gorsze, *Śliska*.

Więc unikaj gospód takich jak *Piwna*, niech cię nie ciągnie *Czysta* lub *Nalewki*, bo cię mogą wprowadzić w *Bagno* i możesz skończyć jako *Topielec*<sup>154</sup>.

### **Przykład 117. Kazimierz Gliński – *Krnąbrny Jaś* (1914?)**

Bił ojciec dziecię różgą, że się nie uczyło;  
Gdy odszedł, dziecię różgę ze złości spaliło.  
I cóż zarobił ojciec, że kijem je zwałił?  
Rękę zwichnął w łopatce, a Jaś książki spalił<sup>155</sup>.

### **Przykład 118. Kl.J. – *Ganz pomade. Pieśń ogromnie współczesna* (1914?)**

Nie grymaszę, jako żywo,  
Nerwy we mnie się nie burzą,  
Od młodości lubię piwo,  
Chcę mieć tedy piwa dużo,  
A czy ciemne jest czy blade  
To mi wszystko ganz pomade!

Niech uczony głowę suszy!  
Niech wysila mózgownicę,  
Dusza jest, czy nie ma duszy,  
Czy są inne tajemnice?  
Gdy na talerz pieczęń kładę,  
To mi dusza ganz pomade!

<sup>154</sup> Gąsior, *Przemowa uliczna do młodzieńca z patentem szkolnym*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 4, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914, s. 81.

<sup>155</sup> K. Gliński, *Krnąbrny Jaś*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 57.

Niech kto bada stare dzieje,  
Niech z molami księgi toczy,  
Jakie przeszedł świat koleje,  
Co w przyszłości go zaskoczy?  
Tak daleko ja nie jadę,  
Bo mi wszystko ganz pomade.

Bo i cóż mi ztąd za szansa,  
Choć zagadkę się rozmota,  
Czy pochodzę od szympansa,  
Od sokoła, czy od kota?  
Gdy dziś swym koczykiem jadę,  
To mi wszystko ganz pomade.

Powiadają: społeczeństwo!  
Kwestja bytu i oświaty,  
Jakieś tam proletarjaty,  
Czy też inne bezeceństwo!  
Niechże wrzeszczy, kto ma swadę,  
A mnie wszystko ganz pomade!

Jak się tam na świecie dzieje?  
Ja nie myślę wglądać głębiej,  
Bo mnie rzecz ta ani grzeje,  
Ani też, co prawda, ziębi,  
Ja swój dochód w kieszeń kładę,  
A zresztą mi ganz pomade!

Byłem jako tako trawił,  
Byle listów kurs nie spadał,  
Byłem czasem się zabawił,  
O nowinkach z kimś pogadał,  
To szczęśliwy spać się kładę,  
Bo mi wszystko ganz pomade.

Nie grymaszę, jako żywo,  
Nerwy we mnie się nie burzą,  
A ponieważ lubię piwo,

Więc też pragnę mieć go dużo,  
A czy ciemne, czy też blade,  
To mi całkiem ganz pomade<sup>156</sup>.

**Przykład 119. Paul de Coś (Paweł Kościński) –  
*Notatka z pamiętnika studenta. Fragmenty (1914?)***

Jeszcze podczas wakacji przyjechałem do Warszawy celem wyszukania sobie paru korepetycji, sądziłem bowiem, że wcześniejszy przyjazd pozwoli mnie na uprzedzenie innych w tym względzie, którzy odprawiają jeszcze u swych rodziców lub krewnych *dolce far niente*.

Adresy, które z dzienników wypisałem, odznaczały się przede wszystkim pewną tajemniczością, a następnie dystansami, które przywoity i szanujący się cyklista nazwałby stuwiorstowym rekordem. Cóż jednakże było robić?

Oto właśnie numer domu na ulicy Mokotowskiej, pod którym „potrzebny jest korepetytor do dwóch malców, uczęszczających do szkół. Pędzę na trzecie piętro – dzwonię. Przez uchylone drzwi wytyka głowę służąca (dalibóg, szyk!) i pyta: – A cegoj?

- Pan w domu?
- Chi! chi! chi!
- Z czegoś się śmiejesz, budzibudko, pytam, czy pan w domu?
- Chi! chi! chi!... Pan?
- No tak, pan!
- Pan już dwa kwartały, jak pomarli.
- Tak? Świeć mu panie! Ale pani żyje?
- No, jużci...
- Więc powiedz pani, że jeden pan chce się z panią widzieć...
- Zaro.

Zatrzasnęła mi znów drzwi przed nosem i po długiej pauzie ukazała się powtórnie: – Proszę...

Wszedłem. Marysia (naturalnie!) wprowadziła mnie do niewielkiej salki, do której po chwili weszła dama w grubej żałobie, kiwnęła mi głową i szybko pytała: – Czy nie z Ciemieszewa?

- Nie, pani.
- Ach, to zapewne od rejenta z Konina?
- Ależ...

---

<sup>156</sup> Kl.J., *Ganz pomade. Pieśń ogromnie współczesna*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 303–304.

– Jakże tam będzie, panie szanowny, z tą sprawą? Ach, ten spadek już mi kością w gardle stoi! Chcą mnie, biedną wdowę, wyzyskać, ograbić! Ale wy, szanowny rejencie, nie pozwolicie na to – to by była zbrodnia. Mój nieboszczyk mąż istotnie zawikłał ten interes, ale przecież to się da naprawić. Nieprawdaż?

– Zapewne... tylko że...

– Kochany pan pewno bez śniadania? Zaraz... Marysiu! Podaj tu z kredensu wódeczkę i zakąski... Widzi szanowny pan, ja, biedna wdowa, nie mogę go przyjąć niczym luksusowym... Niedostatek przez okna się ciśnie... pan to rozumie.

Marysia wniosła śniadanie na tacy. Wszystko było diabelnie apetyczne, honor mi jednak nie pozwalał udawać urzędnika od rejenta z Konina, powstałem więc i rzekłem: – Przepraszam... ale zaszła tu pomyłka, jestem bowiem studentem, który na skutek ogłoszenia zgłasza się po korepetycję do synów pani.

Dama zrobiła kwaśną minę i szepnąwszy Marysi: – Sprzątnij tacę! – wycedziła przez zęby: – Ach... to przepraszam, ale już mam takiego...

Sfrunąłem z trzeciego piętra i na dole spojrzałem na spis adresów, postanowiłem bowiem „dla szczęścia” nie układać sobie żadnej marszruty, ale „machać” według wypisanej kolei. Następny adres był na Chłodnej. Dobry kurs, ale sympy na Chłodną!

I znów na trzecie piętro. Na drzwiach przybita karta: „Dawid Cymerbaum”, więc dzwonię i otwierają. Stara Żydówka w watówce koloru rakowej zupy nie może się ze mną dogadać, woła wiec drugą, która pomada, że p. Dawid Cymerbaum jest (na szczęście) w domu, i prowadzi mnie do jego gabinetu. Otyły szlachcic izraelski siedział przy biurku z miną ministra finansów z Argentyny i liczył banknoty, skoro jednakże mnie spostrzegł, natychmiast paczkę papierów wsunął do szuflady, jakby przed gerylasem żądającym okupu lub życia, i wskazał krzesło.

Usiadłem i zacząłem: – Właśnie... mówiono mi...

– Niech pan idzie prosto do rzeczy, ja nie mam czasu... Wiele pan potrzebuje? Pan Cinciński mówił mi o panu...

– Mówił?

– Nu, co to jego mówienie pomoże? Które tera mamy godzinę na pański zegarek?

– Ja nie mam zegarka.

– Pan nie ma zegarek? Ny, ny... A jaki pan daje poręczyciel?

– Ależ, panie – przerwałem – ja tu nie przyszedłem pożyczyć pieniędzy!

– Ny... a po co pan przyszedł do Dawid Cymerbaum?

– Podobno pan do swego synka potrzebuje korepetytora?

– Koreptytor? Co un jest? Ja nie handluję z meblem, ja żaden koreptytor nie potrzebuję.



– Ależ nauczyciela, belfera... – tłumaczyłem.

– Belfera? Ja mam do swoje chłopaki mełameda, uni chodzą do chederu...

A, już rozumiem! Korepetytor, to, panie, nasieciwko.

„Nasieciwko” – więc powstałem, wyszedłem i bezzwłocznie zapukałem „nasieciwko”. Otworzyła mi chuda jak pogrzebacz dama w neglizżu i piszczącym głosem zawołała: – Nie można to wchodzić przez kuchnię?!

– Przepraszam...

– Co tu przepraszać!... Za często się włóczycie! Tydzień temu jeden mi przecie komin wycierał... Nie lubię tak często! Podam zażalenie! Tylko mi zapaskudzacie wszystko i tyle! Nie dam dziś wycierać! Nie dam!

„Wzięto mnie za kominiarza – pomyślałem – trzeba błąd sprostować”.

– Wybacz pani – rzekłem delikatnie – ale jestem studentem, nie kominia-rzem, i przychodzę, wyczytawszy ogłoszenie w „Kurierze”, iż potrzebuje pani nauczyciela do swego synka...

– Co? co?! – pisała przeraźliwie dama. – Paszkwil, dyfamacja, kalumnia, potwarz!... Ja mam synka! Ja? Pisali o tym w „Kurierze”?! Potwarz! Jestem uczciwą panną, cnota moja jak łąza czysta! Dyfamacja! Andziu! Franiu!

Wybiegły jeszcze dwie panny, a za nimi cała zgraja psów i kotów. Poznałem błąd, ale sytuacja, dzięki pannie Frani (wcale jeszcze przystojnej!), wyjaśniła się: powiedziano mi bowiem, że to w tymże domu, tylko w innej oficynie potrzeba korepetytora. Udałem się więc do tegoż domu, tylko do innej oficyny. Skoro otworzono mi drzwi, w przedpokoju stał olbrzymi jegomość i zapytał: – Pewno korepetytor?

– Tak, panie.

– A cóż, u licha! Czy się szkuta z wami rozbiła? Już ze stu dziś było. Kaśka, nie puszczaj ich tu więcej, bo jeszcze co poginie... Nie ma już, panie, miejsca.

Wyszedłem markotny, jak aktor po wygwizdaniu, ale śmiało dążyłem pod następnym adresem na Zakroczymską, gdzie ludzie snadź byli grzeczniejsi, na drzwiach bowiem wskazanego numeru przybitą była kartka: „Korepetitor jusz wynaienty”.

Udałem się więc na ulicę Kruczą, głodny, zmordowany, zziajany, zakurzony, pomięty... Wskazany numer na spisie lokatorów nosił przydomek: „Rzeźnik”.

„Dobra! – myślę sobie. – Jestem zwolennikiem „prostego ludu”, z tym dam sobie radę, będzie korepetycja, kiełbasy, czernina i inne salami...”

– Korepetytor przyszedł! – zawołała młoda panienka do pokoju, gdym stanął w progu.

– Wołaj go! – odezwał się tubalny głos.

– Proszę pana...

Wszedłem. Ukłoniłem się jegomościowi, który miał pyszczek podobny do okopconej dyni i zawzięcie pałaszował bigos.

– Potrzebny jest u pana korepetytor? – zapytałem.

– Zaraz... – odpowiedział obibok i ocierał usta serwetą – zaraz... A skąd pan wie?

– Czytałem ogłoszenie w „Kurierze”...

– Więc pan czytał?

– Czytałem.

– No, jeżeli pan czytał, to po co się pan pyta? Jakby był belfer niepotrzebny, to bym darmo pieniędzy na ogłoszenie nie wyrzucił!... Niech pan siada... A z jakich pan, niby... z tych tam realistów czy jak?

– Jestem studentem...

– A, więc student...

– Tak jest...

– Więc widzi pan, o co idzie. Mój bachor zdał do pierwszej do Gargulskiego... Otóż, niby, trzeba by mu, niby tego... pomóc w tym co tego... Czy pan może?

– Z przyjemnością...

– Ale... niby... czy pan, tego, twardy we łbie?...

– Sądzę, że...

– Arytmetykę pan zna?

– Przepraszam, pan mnie obraża!

– O! o! o! Obrażać się nie ma o co! Ja za swego rubla powinienem wiedzieć wszystko jak się patrzy. Bo jak pan nie zna, to lepiej z góry powiedzieć, nie chłopakowi łeb bałamucić i tumanić... Potem tylko chryje z tego!

– Ależ, panie! Ja ukończyłem kurs gimnazjalny, zdaje mi się więc, że mogę uczyć malca z pierwszej klasy?

– Tak? No, to znaczy się, że pan gimnazjum na wylot... tego... No, to tak pan gadaj od razu... A to, mówisz pan, „student”, a co do gimnazjum ani pół słowa... Teraz to inaczej pogadamy... Widzi pan, ja daję za trzy godziny zajmania się z moim bechem osiem rubli na miesiąc.

– Pan chyba żartuje?

– Żartuje?... Nie, mój panie, ja nie mam czasu na żarty...

– Ależ to wynagrodzenie niemożliwe.

– Nic niemożliwego! Ceny stałe... tego... No, a wiele by pan żądał?

– Ja myślę... za trzy godziny... najmniej dwadzieścia rubli...

– Wiele? Dwadzieścia?! Jadłeś pan dziś obiad?

– Jadłem.

– Gorący czy zarżniętego śledzia?

– Cóż znaczą te pytania?

– Bo pan cenę stawiasz jak magnat... Panie, u mnie czeladnik bierze dwadzieścia rubli, ale on wstaje o piątej rano i do wieczora bije byki, panie, ...tego... A pan będziesz miał cały dzień wolny... tego..., tylko, niby, te trzy godziny...

– Nie mogę, panie...

– No... daję dziesięć rubli, hę?

– Czternaście...

– Dwanaście! Bierz pan, bo przyjdzie głodniejszy, to weźmie... Bierz, tego, mówię... niby...

Byłem cały siny ze złości, ale cóż było robić? Istotnie, zapach bigosu zadecydował w moim losie – przystałem.

– Więc... zgoda! – rzekłem.

W chwili jednak gdy domawiałem ostatniego wyrazu, weszła pani rzeźnikowa w olbrzymim czepcu i rzekła: – Polikarpku! Mówiła Zuzia, korepetytor przyszedł.

– No tak...

– Ale ja już rano zgodziłam jednego do obowiązku, więc chyba...

– A... tak?... Niby... to przepraszamy pana... tego...

Ukloniłem się i wyszedłem<sup>157</sup>.

### **Przykład 120. Wł.M. – *Na studentkę* (1914?)**

Wstaje rano,

Jeść jej dano.

Myje

Ręce, głowę, (w lecie) szyję,

Grzebie w puzdrze,

I tak się guzdrze.

Gdy wreszcie z włosami da sobie rady,

Rżnie na wykłady.

Strasznie rada,

W pierwszej ławce siada,

I manatki rozkłada.

O scyzoryk, to znów o notatki

Prosi sąsiada,

Wzamian dając mu pomadki.

<sup>157</sup> P. Kościński (Paul de Coś), *Notatka z pamiętnika studenta*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, dz. cyt., s. 361–364. Por. tenże, *Notatka z pamiętnika studenta*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 3, dz. cyt., s. 392–395.

Wchodzi profesor – stary, czy młody

I wylewa cebrzyk wody.

Studentka

Do pisma prędko

To, co z katedry kapie,

Do kajetu łapie.

Wyszedł jeden, wnet już drugi,

Trzeci, czwarty,

Nad katedrą się kołysz.

A ona – jak dzionek długi

Ciągle pisze, pisze, pisze,

Mądrości wciągając w karty.

Czasem taka niewiasta

Po bibliotece się szasta,

Zawadza

I przeszkadza.

Zastania się książkami

I flirtuje z kolegami.

A tak długo się nadweręza,

Aż znajdzie męża<sup>158</sup>.

**Przykład 121. Nerbuch (Władysław Buchner) –  
*Egzamin na posła do IV dумы (1914?)***

Rzecz dzieje się w kancelarii starszego strażnika ziemskiego w jednym z powiatów w Cesarstwie.

- Niechże kandydat siada. Zrobimy rządowy egzamin.
- Ale któżby przy władzy śmiał usiąść!
- Znaczy, pierwszy punkt w porządku! Uszanowanie dla władzy jest. Czym kandydat się zajmuje?
- Jestem profesorem uniwersytetu i właścicielem ziemskim.
- Będzie kandydat egzaminowany z dwóch formularzy, przysłanych od gubernatora: profesorskiego i obywatelskiego. Zaczniemy od pierwszego. Kto jest obecnie największym politykiem w Rosji?

<sup>158</sup> Wł. M., *Na studentkę*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 3, dz. cyt., s. 395.

- Któżby, jak nie nasza sława, rzeczywisty radca stanu, Puriszkiewicz.
- Dobrze. A kto jest największy wróg Rosji?
- Polak.
- Mało!
- Żyd.
- Mało!
- Muzułm...
- Mało! Namyśl się kandydat dobrze.
- Ach, wiem już. Każdy inorodziec.
- Teraz dobrze, zupełnie podług formularza. Gdzie państwo wygrało największą bitwę rozstrzygającą?
- Pod Połtawą.
- Nie. Formularz o tem nie wspomina.
- Pod Berezyną.
- Nie.
- Pod Szypką.
- Nie. Tutaj, widzę, kandydat utonie.
- Pod Chełmem!
- Utonął kandydat, ale zaraz wypłynął z honorem. A teraz egzamin obywatelski. Co to jest chłop?
- Dwie nogi w łapciach, o pustym brzuchu i głupiej głowie.
- Dobrze. Co to jest ziemia?
- Przestrzeń do dawania podatków.
- Dobrze. Co to jest Duma?
- Sala do kiwania głową i mówienia rządowi: tak!
- W formularzu stoi trochę inaczej. Napisane jest: Sala do kiwania głową, mówienia rządowi: tak i plucia na lewicę. Ale to nic. Pluć kandydat odrazu się nauczy, jak zostanie posłem. Egzamin wytrzymał; teraz kandydat złoży tutaj: 5 rubli na papier, 5 na marki, 5 na umyślnego do gubernji, razem rubli... 25 i liczyć się może za wybranego na deputata do czwartej Dumy z rządowej i większości<sup>159</sup>.

### **Przykład 122. Nerbuch (Władysław Buchner) – *O dyplomach* (1914?)**

Chodził pewien ojciec wciąż z obliczem chorem:

- Mój syn być nie może sędzią, ni doktorem,  
Bo jest w polskiej szkole, więc mimo ogromu  
Nauk, nie dostanie od rządu dyplomu.

<sup>159</sup> Nerbuch, *Egzamin na posła do IV dumy*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 260–261.

Na te skargi drugi rozsądnie odpowie:

– Po co dyplom w rękę, niech ma dyplom w głowie,  
Czy umiera z głodu, uczciwie odpowiedz,  
Zdolny technik, kupiec albo przemysłowiec?

Więc rzuć w kął aksjomat, w Polsce tylko znany  
Że przyszłość jedynie ma dyplomowany<sup>160</sup>.

**Przykład 123. Wł. Płaskowski – *Janek i Josek albo dobry  
i niedobry kolega (1914?)***

Lat już temu będzie sporo,  
Gdy mniej znaną była troska,  
W szkole, z której rozum biorą,  
Siedział Janek obok Joska.  
Janek, chłopiec istne cacko,  
Jak prawdziwy żak wesoły,  
Choć się uczył niezbyt chwacko,  
Był pieszczochem całej szkoły.  
Zawsze gotów do wszystkiego,  
Mina dzielna, jak u franta,  
Rządził sercem niejednego,  
Bo jak anioł grał w palanta.  
I gdy znalazł się zuch tęgi,  
Co spróbować chciał swej mocy,  
Janek zaraz rzucał księgi,  
Biegnąc na plac, choćby w nocy.  
To też szkolna młodzież miła,  
Której praca zbyt dolega,  
O swym Janku wciąż mówiła:  
Co to z niego za kolega!  
Josek za to, sąsiad Janka,  
Nie miał miru w szkolnem gronie,  
Bojaźliwy, niby branka,  
Zawsze trzymał się na stronie.  
I choć śmieli się próźniacy,

<sup>160</sup> Tenże, *O dyplomach*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 231–232.

Że to żydek nieruchawy,  
Jasek nigdy pilnej pracy,  
Nie porzucił dla zabawy.  
To też w szkole bardzo często,  
Mały Janek, pełen pychy,  
Mówił głośno z miną gęstą,  
Że kolega z Joska – lichy.

Porzuciwszy szkolną ławę,  
Janek z Joskem w jednej chwili,  
Chcąc handlową zdobyć sławę,  
W spekulacje się puścili.  
Fundusz mieli jednakowy,  
Jednakowe działań pole,  
I obydwaj swoje głowy,  
Meblowali w jednej szkole.  
Tem się tylko Jasek wiele,  
Wyróżniał od druha swego,  
Że go Janka przyjaciele,  
Zawsze zwali: złym kolegą.  
Bo choć Jasek był dość chybki,  
W picciu szampcica i xeresu,  
Nie wdawał się jednak w bibki,  
Gdy pilnował interesu.  
Janek za to, serce złote,  
Nieraz nawet wśród kłopotów,  
Choć pić małą miał ochotę,  
Rzadki szuwaks pić był gotów.  
Bo nie wypić – to nie pięknie,  
Trudno przecie być kokoszą,  
Wszak interes nie ucieknie,  
A tu, panie, gwałtem proszą.

Pędząc życie w takim trybie,  
Zmieniła się rzeczy postać,  
Bo choć Janek na to dybie,  
By majątnym prędko zostać,  
Nieszczęśliwy jednak chłopak,

Dojść nie może do niczego,  
Gdyż mu wszystko idzie w opak,  
Chociaż dobrym był kolegą.  
I rzecz dziwna! Nudny Josek,  
Dawniej wcale nielubiany,  
Teraz z pychą zdziera nosek,  
Bo go wielbią wszystkie stany.  
Ma pieniądze, poważanie,  
Zawsze górą między nami,  
I wszystkich na zawołanie,  
Mógłby mieć dziś kolegami<sup>161</sup>.

**Przykład 124. M. Rodoć (Mikołaj Biernacki) –  
*To zupełnie inna kwestia* (1914?)**

Ci chłopci to dziwna rasa:  
Święty zapał do oświaty  
Coraz bardziej w nich przygasa!  
Propagandy, systematy,  
Ankiety, stowarzyszenia...  
Wszystko idzie jak z kamienia.  
Wczoraj, chcąc obejrzeć studnię,  
Idę... stoi chłop przy chacie;  
Więc mówię: „Dobre południe!  
Iwanie, co tak dumacie?”  
I gawędząc z nim troszeczkę,  
Ofiaruję mu książeczkę.  
Kładę w głowę, jak łopata:  
Że są ciemni i niedbali,  
Że jedyny środek na to,  
Żeby książki kupowali.  
Że to nie jest żaden zbytek,  
A przyjemność i pożytek.  
W końcu pytam: „Cóż, Iwanie?”  
A on mówi z kwaśnym gestem:

---

<sup>161</sup> Wł. Płaskowski, *Janek i Josek*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 121–122.



„To prawda, wielmożny panie,  
Tylko, że ja głodny jestem”.  
Głodny! co za dzika bestia!  
To zupełnie inna kwestia!<sup>162</sup>

### **Przykład 125. Kazimierz Tetmajer – *Sen nauczyciela w Płakanowie pod Poznaniem (1914?)***

Nauczyciel Wilhelm Gruene w Płakanowie, urzędowo Weinendorf nazwanem, spał snem sprawiedliwego.

Spał w szlafmocy profesora Schulza, kaftaniku profesora Jaegera i majtkach profesora Lahmanna.

Spał spokojnie, ponieważ go uwolniono od wszelkiej odpowiedzialności.

Sąd okręgowy uwolnił go od wszelkiej odpowiedzialności, a przekłety polski chłop Polepa został, z powodu nieudowodnionej skargi, na dwa miesiące więzienia zasądzony.

Mały Polepa umarł – no i co? Umarł, prawda. Ale umarł pięć dni później, jak go nauczyciel Wilhelm Gruene obił, całe pełne pięć dni później.

*Der verfluchte polnische Bub*<sup>163</sup> nie chciał się po niemiecku modlić. A wszystkie *diese verfluchten polnischen Kinder*<sup>164</sup> powiadały: Kiedy Jaś Polepa, Jaś się zwał *dieser verdammte Kerl*<sup>165</sup>, nie chciał się po niemiecku modlić, zaczął go pan nauczyciel Gruene bić i krzyczał: *Ich werde dich toeten, du polnischer Hund*<sup>166</sup>. Gdy przestał go bić, zaczął go kopać. Mały Polepa, który zdrów do szkoły przyszedł, wrócił chory do domu, a potem umarł. Stary Polepa zaskarżył nauczyciela pana Gruene. Twierdził, że pan nauczyciel zabił mu dziecko.

Ale komisja, choć znalazła na ciele chłopca *manche Spuren der Pruegelei und auch einige Wundmale* liczne ślady bicia i kilka ran, i skonstatowała pewne zaburzenia, *Stoerungen*, w wątrobie i mózgu dziecka, orzekła, że mały Polepa umarł wskutek influency, *an der In fluenza gestorben ist*<sup>167</sup>. I nauczyciel Gruene został przez sąd okręgowy od wszelkiej odpowiedzialności uwolniony, a stary Polepa *wegen der unerwiesenen Anklage zu zwei Monalen Ker kers verurteilt*<sup>168</sup>.

<sup>162</sup> M. Rodoć, *To zupełnie inna kwestja*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 3, dz. cyt., s. 124–125.

<sup>163</sup> Przekłety polski bachor.

<sup>164</sup> Przekłete polskie dzieci.

<sup>165</sup> Potępiony cham.

<sup>166</sup> Zabiję cię, ty polski psie.

<sup>167</sup> Zmarł na influencję.

<sup>168</sup> Za niedowiedzioną skargę skazany na dwa miesiące kozy.

Więc snem sprawiedliwego spał pan nauczyciel Wilhelm Gruene w szlafmycy profesora Schulza, kaftaniku profesora Jaegera i majtkach prof. Lahmanna.

Była to noc wigilijna. I królewsko pruskiemu nauczycielowi Wilhelmowi Gruene, który był podobny do buldoga, dzikiej świni *und schliesslich auch Aenlichkeit mit eitem koeniglich preussischen Gendarmen hatte*<sup>169</sup> z czego był dumny on i jego matka, zaczęło się śnić. I zaczęło mu się śnić mnóstwo ślicznych aniołków o białych skrzydełkach, niebieskich oczkach i różowych buziach, *etwa wie die Mitzi vom „Heidelberger Fass“*<sup>170</sup>. I te małe aniołki przyniosły z nieba małego Chrystusa.

Wtem nadeszły w długich szeregach *die koeniglich preussischen Kinder im berlinerblauen Blusen und Muetzen*<sup>171</sup>, z niebieskimi oczkami i różowymi ustami, jak *Mitzi* z pod „Heidelberskiej beczki”. I przyszły tysiące, tysiące dzieci i tysiące, tysiące aniołków przyleciało z nieba. A kiedy mały Chrystus stanął między dziećmi i aniołkami, zaczęły oba chóry śpiewać: *Heil dir im Siegeskranz Herr Lehrer Wilhelm Gruene...*<sup>172</sup>

Nagle pojawiła się śmierć, kościana i w prześcieradle i przywiodła za rękę małego, piątego dnia na influencę zmarłego, Jasia Polepę, ze szkoły ludowej w Płakanowie – Weinendorf pod Poznaniem, zupełnie nagiego. I mały Chrystus zobaczył go. Ale obydwie chóry, białe aniołki i dzieci *in den berlinerblauen Blusen* śpiewały: *Heil dir im Siegeskranz Herr Lehrer Wilhelm Gruene...* I mały Chrystus począł patrzeć na Jasia Polepę.

I nauczyciel Wilhelm Gruene począł się trochę niepokoić pod szlafmycą profesora Schulza. I mały Chrystus poszedł do małego Polepy i począł go dotykać paluszkami, a gdzie dotknął śladów uderzeń i kopnięć, czerwieniło się ciało chłopca, który był nagi, jak od krwi. I mały Chrystus popatrzał na kościaną śmierć, a śmierć kiwnęła głową. Ale białe aniołki i *die berlinerblauen Kinder* śpiewały: *Heil dir im Siegeskranz Herr Lehrer Wilhelm Gruene...*

Wtem nagle mały Chrystus otarł z oczu łzę. I stało się cicho. Naprzód umilkły aniołki, a potem dzieci. A nauczyciel Wilhelm Gruene zaniepokoił się znowu pod szlafmycą profesora Schulza. I kościana śmierć w prześcieradle począła powoli skandować heksametr, jak profesor Kuno Fischer w Heidelbergu: *Koeniglich preussischer Henker du, der du die Kinder toetest!...*<sup>173</sup> Królewsko pruski kacie, ty, który dzieci mordujesz!...

<sup>169</sup> I wreszcie podobnym był do królewsko-pruskiego żandarma.

<sup>170</sup> Coś jak *Mitzi* z pod „Heidelberskiej Beczki”.

<sup>171</sup> Królewsko-pruskie dzieci w prusko niebieskich bluzach i czapczkach.

<sup>172</sup> Chwała ci w wieńcu zwycięstwa.

<sup>173</sup> Jesteś królewsko-pruskim katem, ty, co zabijasz dzieci.

Szlafmyca profesora Schulza zadrżała na głowie nauczyciela Gruenego, a kaftanik systemu profesora Jaegera i majtki systemu profesora Lahmanna przeniknął pot... I stało się coś strasznego. Białe aniołki uciekły, jak stado gąsienic, a dzieci w niebieskich bluzach poczęły krzyknąć: *Fort, fort mit dir, du Schande der grossen deutschen Nation!* Precz, precz z tobą, ty hańbo wielkiej nacji niemieckiej! I nauczyciel Gruene zaniepokoił się tak mocno, że się obudził.

Było późno, dziewiąta rano. I pani Luiza Gruene przystąpiła ku niemu z otwartym listem w ręku. – Co to jest? – zapytał nauczyciel Gruene swojej żony. – *O Maennchen!* – zawołała pani Luiza Gruene ze wzruszeniem. – *O Maennchen!* Jakże jestem dumna i szczęśliwa! List był dla oszczędności nie zaklejony i przeczytałam go! Niemieccy mieszkańcy Poznania zamianowali cię honorowym obywatelem! *Heil dir im Siegeskranz Herr Lehrer Wilhelm Gruene!*...<sup>174</sup>

### Przykład 126. J. Waśniewski – *Po szewsku* (1914?)

Terminator raz zbroił – dał mu majster bicie;  
Odtąd siedział więc cicho, choć nie jadł obiadu,  
– Ty coś złego zamyślasz – rzekł majster, i wiecie,  
Znow go bił co dzień za to: dojdź że tu ładu.  
Sens z tej bajki wypisać można w piecu węglem  
– Ten ma rację, kto rację urabia... pocięglem<sup>175</sup>.

### Przykład 127. Artur Zawadzki – *Icek Feinkind rekrutem* (1914?)

(*Młody żydek w ubraniu rekruta wchodzi na scenę*).

No, chwalić Boga, co się skończyło „uczenie!”. A co to za kłopot takie „uczenie!”. My w każdy dzień o piąty godzinie idziemy na takie „uczenie!”. Ja wiedziałem, co to będzie takie te wojenne sztuki, to się bojałem i dwa razy uciekałem, aż dopiero wójt z całej gromady przyprowadzili mnie do miasteczka na takie wojskowe losowanie. Nas zamknęli w takiej dużej izby, będzie takie, jak ta... (*pokazuje na salę, w której monolog wygłasza*) to już w te izby wszystkie panowie na nas czekali: pan komisarz Brzecki, pan konsyljarz Niecki i pan ławnik Trecki, siedzieli wedle dużej stół, zielone płachtę nakryty, jak do jedzenia. Przy ten stół stało okrągłe sitko ze szkłem i z korbą do kręcenia. W środku to byli takie igielniki, i kuźdy

<sup>174</sup> K. Tetmajer, *Sen nauczyciela w Płakanowie pod Poznaniem*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 3, dz. cyt., s. 12–14. Opowiadanie to jest bardziej dramatyczne niż komiczne. Zamieszczam je jednak w zestawieniu, ponieważ zostało przedrukowane w antologii utworów komicznych.

<sup>175</sup> J. Waśniewski, *Po szewsku*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 3, dz. cyt., s. 414.

z nas przyprowadzony przysły wojaki potrzebował rękę wsadzić w te sitko i wyjąć jeden igielnik. Naprzód zawołali: „Jan Wróbel!” Wyszedł chłop, powiadam państwu, w te drzwi by się nie zmieścił. Wsadził łapę w te sitko, jemu nie chciała wleźć, takie duże łapę od gnoju, to un je gwałtem wepchał, o mało to sitko nie pękło, wyjął kilka igielniki, ale policmany mu odebrali, powiedzieli, co by tylko jeden wziął, bo to taki goj chciwy. To un wziął jeden, oddał panu ławnikowi Trecki, pan ławnik Trecki dał panu konsyljarzowi Niecki, pan Niecki dał panu komisarz Brzecki, rozłamał ten igielnik, wyjął z ten igielnik kawałek papier i przeczytał, co stało napisane: „982”. To wszystkie zaczęli gadać, co un jest wolny. To ten hamulec się ubrał i poszedł sobie. Taki duży chłop, taki Wróbel, ładny mi wróbel, puszczali go na wolność. A później zawołali: „Icek Feinkind”, to wyszło dziecko, syn od naszego rabina, taki delikatny chłopczyk, on całe życie nad książką siedział, bardzo uczony, to także musiał wsadzić rękę w te sitko, takie małe, delikatne rękę z pierścionkiem, bo un był już zaręczony, wyjął jeden igielnik, cały się trzęsnął od te wewnętrzne wzruszalność, dał ten igielnik panu ławnik Trecki, pan ławnik Trecki dał panu konsyljarz Niecki, pan Niecki dał panu komisarz Brzecki, pan komisarz Brzecki rozłamał i z tego kawałek papir, co tam siedział w środku, przeczytał: „41”. To wszystkie gadali, co jest „godzien” i wzięli na wojaka takie delikatne dziecko, a taki ordynarny chłop, Wróbel, puścili! Ja miałem numer 71, to mnie także wzięli do ten wojskowy interes. Od te chwile to jest ciągle kłopot. A to wszystko dla tego, co ja miałem fein kepeły, lepsze głowy od wszystkie inne na te wojenne sztuki, my żydkowie to zawsze mamy lepsze głowy. U państwa to jeden ma głowę, a dziesięć z przeproszeniem to jest bez głowę, ale u nas co żydek, to fein kepeły. To ja te wojenne sztukę odrazu rozumiałem, i lepiej potrafiłem robić od wszystkich. To bez to ten starszy, na ten przykład krzyczy: „R-o-w-n-y-m s-z-a-g-o-m!”, to ja już wiem, co un chce powiedzieć „marsz!”, to ja już poleciałem, a wszystkie inne zostali, to un te całe gromadę nie mógł wymyślać, to mnie jednemu wymyślał. Un krzyczy: „N-a-k-a-r-a...” to ja już dawno wiem, co un chce powiedzieć „uł”, to ja już zrobiłem i znowu mnie wymyślał. Najlepiej to czekałem, jak un tylko krzyczał „biegom”, to ja tak prędko czekałem, co nikt nie mógł nadążyć. Jak my chodzili znów na „strzelbowoje uczenie”, to tam het daleko stał taki papiżowy żołnierz, to trza było do niemu strzelić, co by mu trafić albo w brzuch, albo w kolano, albo w oko, gdzie będzie można. A ja nie chciałem psuć taki papiżowy żołnierz, bo to kosztuje pieniądze, i proch i kule kosztują, to ja nie strzeliłem, tylko zrobiłem z gęby taki pif! paf! To za moje oszczędność także dostałem wymyślanie. I tak w „maniebry” było, – państwo nie wiedzą, co to jest „maniebry”! To jest takie jakby była cała wojna, tam strzelają z góry, z dołu, z przodu, z tyłu, na takie „maniebry” to bardzo łatwo mogą zabić, a broń

Boże i skaleczyć! To całe nasze rotę była na te „maniebry” i ja zaraz w pierwszy rząd, a tam daleko, to my szli na takie żołnierzy, co się nazywa „nieprzyłecioł”, co by jego z kolbą piknąć. A ja to byłem taki zły, taki wszczekły na tego „nieprzyłecioł”, że nie mogłem na niego patrzeć (*robi ruch, jakby szedł w tył*). To poszedłem z tyłu roty, ale „rotny komandir” jak zobaczył, że taki dobry żołnierz idzie na końcu, to zaraz krzyknął: „Jankiel naprzód!”. Ja się zestraszylem i upadłem. Nasze rotę poleciała, ja się podnoszę, patrzę gdzie moje rotę, a moje rotę niema! To zacząłem lecieć za moje rotę i patrzę, naprzeciwko mnie, leci czarne kule, takie czarne, jak smoła, ale sobie zaraz pomyślałem, co by się usunąć na prawo, a te kule za mną na prawo. To ja zebrałem całe odwagę i ucieknąłem w tył, a te kule za mną i upadła mi na szyje, to ja zostałem całkiem „tojt” i byłbym się już nie podniósł, ale temu kule to mało jeszcze było i zaczęła pod kołnierzem na szyi tak kręcić, co nie mogłem wytrzymać. To wzięłem w te dwa palce, z całe siłę zacząłem ciągać te kule, ciągałem, ciągałem i nareszcie wyciągałem. To nie była kule, to był szelma czarny duży bąk, ale jakby była to kule, to bym był nie żył! (*Udaje, jakby go wołali*).

Panie starszy! ja tu jestem, zaraz idę, trzeba wzięść strzelbę i chodzić na „uczenie!”. (*Wybiega*)<sup>176</sup>.

### **Przykład 128. Władysław Jus – *Studentka* (1917)**

W świąt nurzamy się powodzi,  
 Mamy wielkie też obchody,  
 Lecz mnie najżywiej obchodzi  
 Nasz uniwersytet młody.  
 Więc gdy słońce wiedzy wschodzi,  
 Słuszne mamy dziś powody  
 Z tego cieszyć się my, młodzi  
 Żądni światła i swobody!  
 Niech radosna huczy wieść:  
 Cześć nauce polskiej, cześć!

Jesień... Pusty polski Prater  
 Szumią liście, deszczu zdroje  
 Ludzie kryją się do kwater  
 Kryjąc w sercu niepokoje  
 I otwiera Alma Mater

<sup>176</sup> A. Zawadzki, *Icek Feinkind rekrutem*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 27–29.

Dla młodzieży swe podwoje  
Serce płonie niby krater  
*Salve*, cnej młodzieży roje!  
W chłód i zimno wiosnę nieść  
To twe hasło! Cześć ci, cześć!

Wiwat ramię, co wzwyż sięga!  
Tobie rymy te poświęcę!  
Kiedy wszystko się rozprzęga,  
Gdy się lud boryka w męce,  
Kiedy oszust i ciemięga  
Wszystko garnie w brudne ręce,  
Wiwat, młodości potęga,  
Czyste myśli pacholące!  
Młódź rozszerza życia cieśń,  
Młódź wiekową ściera pleśń.

Chociaż wkoło cmentarzyska,  
Zgliszcza i strzeleckie rowy,  
Chociaż jeszcze miecz połyska  
I padają drogie głowy,  
Obok trumny jest kołyska  
I powstaje już byt nowy!  
Młodzież nasza kraj odzyska  
Kwitnij, kwiecie narodowy!  
*Sursum corda!* Młodzież już  
Tworzy przyszłość podczas burz!

Hej! studenta młoda głowa  
Cudny w sobie świat zawiera  
Orientacja ta, czy owa  
Lecz szlachetna, ale szczerza!  
On się nie da brać na słowa  
I nie kręci go kariera!  
Miłość kraju w sercu chowa,  
Dąży w ślady bohatera.  
Ty się nie dasz za nos wieść,

Więc, studencie, cześć ci, cześć!  
Student nasz nie tonie w piwie,  
Jak to tam u obcych bywa  
I nie szasta się krzykliwie  
Sprośnych piosnek też nie śpiewa.  
Nie śni o karczemnej dziwie  
Próżno szpady nie dobywa,  
Lecz na swojskiej orze niwie  
I kąkole z niej wrywa.  
Prawd odwiecznych broni on  
I na górny śpiewa ton!

Akademik wzór rycerzy,  
Nie lubi strzelać z za płotów  
To, co głosi, to, w co wierzy,  
Krwiaż przypieczętować gotów!  
Ach, poznali te junaki  
Cytadelę, więzień kraty  
Syberyjskie śnieżne szlaki,  
Szliselburskie kazamaty!  
Bodaj ten ofiarny szął  
Wśród młodzieży wiecznie trwał!

A któż lepiej od studenta,  
Któż serdeczniej kochać może?  
Miłość jego – to rzecz święta  
To skąpane w słońcu morze!  
Ma on stałe sentymenta  
I pamięta o honorze!  
A marzące ma oczęta  
I całuje... o, mój Boże!  
Ach z kolegą marzyć, śnić!  
Zawsze chcę studentką być!<sup>177</sup>

---

<sup>177</sup> W. Jus, *Studentka*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 3. Utwory Wł. Jusa*, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1917, s. 11–14.

**Przykład 129. Anonim – *Nauka* (po 1918)**

To, co wam tu opowiem, wyglądało na jakiejś beranie, ale to nie są bery ino pro-wda, choć się i pośmioć z tego można.

No, to wiecie, kiedy po 1918 roku rząd niemiecki zniósł zezwolenie nauczania języka polskiego, to Rady Ludowe na Górnym Śląsku wzięły się do roboty. Zaczli organizować rozmaite kursy języka polskiego dlo starszych. No, ni mieli my wtedy wykwalifikowanych nauczycieli, to zgłaszali się i tacy, co trocha lepi po polsku poradzili, no i ci uczyli w gminach. Znali dobrze ta nasza gwara, ale tak blank czysto po polsku też nie umieli, zawsze trocha se z książek pomagali.

No roz tyż, jo som był na tym kursie, rehtór zaczyna nos uczyć, no i pado tak: – Przypatrzcie się, moi mili i słuchajcie dobrze, a dejcie se pozór:

nie pado dyszcz – ino deszcz,

nie pado sie łon – ino on,

nie pado sie wiela lot – ino ile lat,

nie pado sie ptok – ino ptak!

– No, to już teraz wszyscy wiecie, prawda?

– Wim – pado jedyn chłop – nie pado sie sroka ino sraka!<sup>178</sup>

**Przykład 130. Władysław Jus – *Koniec świata*.  
*Fragmenty satyrycznego komentarza  
do plotek o końcu świata* (1920)**

Mój syn się uczy marnie,  
Do książki się nie garnie,  
Zaleca się do Zosi  
I ciągle pałki znosi,  
Gdy przyniósł złą cenzurę,  
Złoiłem chłopcu skórę,  
„Niech mnie nie bije tata,  
Bo jutro koniec świata”<sup>179</sup>.

<sup>178</sup> Anonim, *Nauka*, [w:] D. Simonides, *Kumotry diobła. Opowieści ludowe Śląska Opol-skiego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1977, s. 153–154.

<sup>179</sup> W. Jus, *Koniec świata*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 16*, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1920, s. 30.



**Przykład 131. Tadeusz Słaza, Andrzej Włast,  
Jerzy Boczkowski – *Misja jedzie... Revue polityczne  
w 3-ch aktach*. Fragment satyrycznej analizy sytuacji  
społeczno-ekonomicznej i politycznej (1920)**

Tararot

Przejdźmy do oświaty. Znajdziecie ją w każdej encyklopedji pod literą O! Nigdzie, panowie, niema tylu jaśnie oświeconych, co u nas! Co dom – to szkoła, szkoła tańca co prawda, ale szkoła! Książki rozchodzą się w ogromnych ilościach! O co zapytać – wyczerpane! I książka i autor! O obecnych nie mówi się naturalnie<sup>180</sup>.

**Przykład 132. Konrad Tom – *Sztubak*. Monolog  
z repertuaru Romualda Gierasieńskiego  
w programie kabaretu Czarny Kot (1920)**

Proszę pana profesora mieliśmy na dziś napisać wypracowanie o Warszawie, ale, proszę pana profesora, nie mogłem napisać, bo palcę na chorzec... to jest, choruję na palec i nafty nie było, bo tatuś nie chciał stać w ogonku, więc bez nafty, to jest po ciemku, to nie mogłem pisać. Ale ja mogę tak powiedzieć z głowy... No to dobrze!

Warszawa. Warszawa jest miastem gubernjalnem i nazywa się tak, bo leży w Warszawskiej gubernji. Właściwie to Warszawa nawet nie leży tylko stoi, ale stoi marnie.

Ale jeszcze właściwiej to Warszawa *stoi i leży*, bo *położenie* jest takie, że wszystko *stoi*, a *zastój* taki, że wszystko *leży*.

Dawniej, przed wojną, to Warszawa nawet przeważnie siedziała... w cytadeli, albo w ratuszu.

Prócz tego Warszawa znajduje się w Europie, ale o tem nie wszyscy wiedzą. Chociaż Warszawa leży na płaszczyźnie, ale ma śnieżne góry wprawdzie nie naturalne, tylko układane przez stróżów, ale to nikogo nie obchodzi, nawet magistrat.

Miasto dzieli się na dzielnice. Dzielnic jest tyle, ilu dzielnicowych. Dzielnicowy to jest taki pan, co ma pięć pasków na rękawie i szósty do ściągania pustego brzucha.

Dawniejszy dzielnicowy nazywał się rewirowy i przeciwnie: jadł, pił i popuszczał pasa. I był srogiej, jak terażniejszy oficer od straży ogniowej.

---

<sup>180</sup> T. Słaza, A. Włast, J. Boczkowski, *Misja jedzie... Revue polityczne w 3-ch aktach*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 15*, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1920, s. 46.

*Ludność.* Ludność Warszawy składa się z różnych narodowości, prócz tego składa się na ciągłe kwesty i składki. Jednym z najgorszych składników ludności jest *składnik warszawski*.

Na takiego składnika od węgla, nafty, albo cukru, składa się reszta mieszkańców. A składnik pokłada się od śmiechu i składa grubszy grosz do kabzy. Składników nazywają także pijawkami, ale niesłusznie, bo pijawka jak się nasyci, to odpada, a składnik jest nienasycony.

*Zajęcia mieszkańców.* Mieszkańcy Warszawy trudnią się staniem w ogonkach, oraz puchnięciem z głodu. Warszawa nie jest miastem rolniczym, bo warszawiak ani sieje, ani orze, a żyje jak ptaszęta boże. Rolnictwem zajmują się tylko gazety warszawskie, które młóćą pustą słomę. Ale przemysł kwitnie, bo każdy warszawiak jest przemysłowy w naciąganiu na pożyczkę. Dzięki temu stosunki są bardzo naciągnięte.

Kobiety warszawskie w naciąganiu przewyższają najlepszą chińską herbatę. Młodzież zajmuje się szlifierstwem i inżynierją praktyczną, szlifując bruki i mierząc ulice.

W ostatnich czasach rozwinął się nowy przemysł wróżek i magików. Wróżka jest to osoba, która za pomocą kart pocztowych z fotografią może wywróżyć, z kim się będzie jadło kolację w gabinecie.

Magik jest to osobnik, który z wapna i wody robi niezberane mleko, a z wron – kuropatwy, a z kotów – zające.

*Flora i fauna.* Roślinność jest bardzo uboga. Najbujniej rosną ceny artykułów spożywczych, pozatem rosną długi, apetyty i pretensje. Spekulacja kwitnie o każdej porze roku. Jak grzyby po deszczu wyrastają także teatry i teatrzyki prywatne, flancowane sztucznie na skórze frajerów, ale prędko więdną z nadmiaru powietrza na widowni.

*Świat zwierzęcy* reprezentują aktualne, bo dardanelskie osły, niebieskie ptaki i spasionie świnie, których nietylko się nie zabija, ale przeciwnie, otacza specjalnym szacunkiem. Drobniejsze zwierzęta ewakuowały się razem z Rosjanami.

*Gmachy, pomniki, pamiątki.* Domy warszawskie są zupełnie podobne do warszawianek. Po wierzchu pięknie otynkowane, obwieszane ozdóbkami, wewnątrz przeważnie puste, zimne, niezdrowe i drogie. Często zmieniają lokatorów, mają mocno obłożoną hipotekę i przechodzą z rąk do rąk.

Do piękniejszych gmachów należą: dworzec wiedeński, z doskonale wyregulowanym zegarem na wieży i dom. Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, w którym z czasem mieścić się będzie rzeźnia centralna. Pięknym jest również dom odchodowy teatrów nierządowych i łaźnia centralna na Zjeździe.

Do miłych pamiątek zaliczyć należy sobór na placu Saskim, front pałacu Staszycy i pomnik ks. Paskiewicza.

Inne pamiątki, jak np. zbiory z Wilanowa, Łazienek i Zamku zostały w rozmaitych czasach wyewakuowane.

*Sztuka i nauka.* Sztuka w Warszawie jest bardzo wysoko postawiona, tak wysoko, że nie dojrzy ludzkie oko. Dawniej bardzo dobrze postawiona była młoda sztuka, bo zawsze się znalazł taki co postawił. A dziś nawet na postawienie pół czarnej brak frajerów.

Malarstwem zajmują się przeważnie kobiety, ale wobec drożyzny płótna malują sobie twarze. Malarstwo warszawskie ożywiło się znacznie przy zamalowywaniu szyldów rosyjskich. Wogóle nawet w najniższych sferach warszawskich odczuwa się pociąg do malarstwa i do rzeźby, czego dowodem są popularne wyrażenia: „idź, bo cię zamaluję”, albo „jak cię wyrznę w pysk, to ci gips obleci”.

Najwięcej przedstawicieli, ale najmniej wydawców ma literatura. Literaci, nie mając za co wydawać swych utworów, wydają pożyczone ruble. Ojcowie córek na wydaniu nie są wydawcami, dopóki nie znajdą nakładców na swoje dojrzałe utwory.

*Dziennikarstwo.* Warszawa posiada kilkanaście dzienników, które właściwie powinny nazywać się inaczej, bo wychodzą w nocy... I proszę pana profesora ja też już muszę wyjść. (*Wybiega*)<sup>181</sup>.

### **Przykład 133. Bury Jan (Stanisław Wasylewski) – *Lusia zdaje maturę. Fragmenty (1921)***

Drzemał jeszcze świt i spał pierwszy promień słońca („jak szczęśliwym jesteś o słońce, albowiem nie potrzebujesz zdawać matury”), gdy panna Lusia zerwała się z łóżka i poczęła się ubierać.

Trud to był nielada. Trzeba bowiem wiedzieć, że strój dziewicy w dniu pisemnej matury jest jednym z najwymyślniejszych i najkunsztowniejszych, jaki kiedykolwiek miała na sobie kobieta.

Są dwa momenty w życiu kobiety, w których za żadną cenę nie ubrałyby jupe culotów, a za to wzdycha tęsknie do czasów krynoliny.

Jednego z tych momentów nie określam bliżej, gdyż nie pozostaje w żadnym związku z naszym rozważaniem, drugim jest właśnie matura pisemna. A ten strój maturalny! Z wierzchu, jak gdyby nigdy nic, może troszkę, ale zresztą... Za to od wewnątrz sukni, czy bluzki, dziwne się rzeczy dzieją! Przytwierdza się tam torebki i woreczki wymyślnych kształtów, jaśki i schowki przeróżne.

<sup>181</sup> K. Tom, *Sztubak*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 26. Konrad Tom. Monologi. Z repertuaru Romualda Gierasińskiego. Tom I*, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1920, s. 14–18.

Panna „Lusia” o świecie spełniała tę czynność z namaszczeniem. Pedantka we wszystkim, ułożyła zaraz katalog dla tej nie tyle „kieszonkowej”, ile „pończoszkowej” biblioteki. W lewej pończosze mieści się język polski, tzn., że o ile dziś będzie polskie zadanie to stamtąd szpargały wyciągnąć należy. Cisną się więc w lewej pończosze: „charakterystyki” Mazanowskiego, Kurpiel, treść „Pana Tadeusza”, 5 tomów Tarnowskiego (w nich można znaleźć „ciepły” wstęp i zakończenie), a wreszcie parę tuzinów gotowych zadań, jakie pozostały w spuściźnie po dawno wymarłych pokoleniach maturzystów i maturzystek. W prawej pończosze – francuskie. Znalazł tam przytułek słownik francusko-polski i polsko-francuski, rozmówki Ollendorfa (tylko na prośbę babci), a wreszcie „Czy mówisz Pan po francusku?” za 24 halerze.

W torebkach i woreczkach u góry uwięzion był 3-tomowy odwieczny leksykon niemiecki – rzecz, której tatko używał jeszcze na technice i byłby ją sprzedał niechybnie, gdyby nie dziwna apatja handełesów w tym kierunku.

Gdy już wszelki nieużytek byt zużytkowany i każda „piędź ziemi” wyzyskaną, panna Lusia krokiem drżącym i niepewnym udała się nad granicę Rubikonu. Miała metrowy rulon szkarłatnej bibuły w ręku i tysiączne wątpliwości:

Czy stróż dobrze zakaszle?

Czy kominiarz wywiąże się z zadania?

A jak pogotowie zawiedzie?

Albo sznurek się urwie?

Po drodze dała jałmużnę ślepemu Ignasiowi, aby jej na skrzypcach połamanych śmierć szczęśliwą w razie upadku przy maturze wyprosił i wstąpiła na chwilę do Bernardynów, tam bowiem czekał na nią znajomy ze ślizgawki siód-moklasista i wręczył jej jeszcze 2 tuziny gotowych już zadań, zapewniając, że jedno z nich będzie z pewnością tematem maturalnym.

W szkole wszystko było najlepszej myśli: sznurek jest, kominiarz jest, tercjan na próbie kaszlał doskonale, kawiarnia zaś pełna po brzegi.

„Wszelako krótka jest jednak chwila rozkoszy i przeminęła!” Bo oto nagle zwały się w gruz szklane góry szczęścia i runęły w przepaść kryształowe pałace. „O jasne kwiaty mojej doliny” zapłakała dusza panny Lusi.

Nie pytajcie nawet, co się stało... Gdy tylko bowiem stróż wszedł do klasy z zapytaniem, czy panienki czego nie potrzebują, w tej chwili wleciał z trzaskiem pan dyrektor, stróża wyrzucił, powiedział, że on (pan dyrektor) nie jest taki głupi, jak się wydaje, że to się musi skończyć i że sam uczennicom bułeczki na śniadanie przyniesie. Zaś ksiądz katecheta po drobiazgowych w pewnym miejscu poszukiwaniach odkrył kunsztowne połączenie sznurkowe i doniósł o tem p. dyrektorowi. Zaczem p. Dyrektor z urzędu polecił księdzu katechecie przez

5 godzin w owym miejscu na straży pozostać. Kum tercjanowej kominiarz, został także odkryty. Bo gdy rozpoczął manipulować w kominie, na kuchnię pani dyrektorowej spadła taka masa sadzy, że gwałt się zrobił w całym gmachu. I tak panna Lusia i jej koleżanki została zupełnie odcięta od bożego świata.

Matura pisemna rozpoczęła się. Wielkimi literami wypisał pan dyrektor na tablicy temat polskiego zadania:

### ŻYCIE – PODRÓŻĄ

poczem zauważywszy, że większa jest radość komisji egzaminacyjnej z jednego własnym konceptem napisanego słowa, aniżeli z 99 odpisanych ze starych szpargałów – wyszedł zobaczyć, co robi stróż i ksiądz katecheta.

Na klasę padł strach i zwątpienie. Poczęło się gorączkowe przeszukiwanie lewych pończoch, a panna Lusia zrobiła szybko w myśli przegląd swoich zapasów. Życie – podróż! Niestety żadna z dzwiganych z trudem książek pomódz tu nie mogła, wyrobione zaś zadania, które miała z sobą, także daleko odbiegały tematami. Dla pewności raz jeszcze je przeglądnęła. Były takie:

Architektura koszar Ferdynanda.

Opisać jeden dzień z życia serweladki.

Czternasta miłość Jana Kochanowskiego.

Znaczenie nalepek dla kultury polskiej.

Rozwinąć i poprzeć przykładami słowa hr. Daniły z „Wesołej wdówki”: „Kochaj się zawsze, zaręczaj wciąż, lecz nigdy nie żeń się”.

Porównać Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy” z „Przygodami Jacka Texas’a w stepach”.

Wszystko na nic! Więc wywiedziawszy się na migi, co znaczy „podróż” po niemiecku, zaczęła na gwałt szukać w niemieckim leksykonie i znalazła wreszcie pod „Reisebücher” – życiorys Karola Baedekera. Eureka! To będzie doskonałe na wstęp. Zaczem panna Lusia wszystką dolę i niedolę Baedekerowego żywota do kajetu przetransportowała. Na tem się jednak urwało.

Co dalej? Nie wiedziała. Już odważną dziewczynę poczęło ogarniać zwątpienie, kiedy ją natchnął dobry duch Mazanowskiego, w lewej pończosze mieszkający. Przecież Słowacki odbywał także podróż i to na Wschód i miał nawet poemat o tem napisać.

Rzecz właściwie była uratowana. Stanowiło ją dokładne streszczenie czterech pieśni „Podróży na wschód”.

Za to na zakończenie już się zgola nic nie nadawało. Więc przeżegnawszy się postanowiła panna Lusia napisać je sama. I w parę chwil miała je rzeczywiście gotowe:

„Tak więc życie ludzkie, skoro do różnych rzeczy podobnem bywa, może być też czasem podobnem do podróży. Bo tak jak podróż, ma swój początek i koniec. Może się udać lub nie udać, może być miłe albo przykre może kosztować dużo albo mało. Ale największym poetą polskim był Adam Mickiewicz, który urodził się jeszcze w r. 1798 w Zaosiu, a umarł w r. 1855 na cholera w Konstantynopolu i dlatego pochowany jest w grobach królewskich na Wawelu”.

Szczęśliwa opuściła panna Lusia klasę. Była dumna i zadowolona. Napisała zadanie sama, bez pomocy sznurka, kominiarza, kuma tercjanowej, bez przyłożenia się czterech urzędników od tatka z biura i trzech kolegów stryjecznego brata. Jasną stała się teraz stara Ibsenowska prawda: „Najszczęśliwszym człowiekiem na świecie jest ten, który stoi sam”.

\* \* \*

Ustny egzamin dojrzałości przedstawiał o wiele mniej trudności od czasu błogosławionego okólnika ministra oświaty, który zalecił, aby do odpowiedzi ustnych abiturjentek mniejszą przykładać wagę, biedactwa bowiem są wielce zdenerwowane w tak ważnej chwili. Dlatego poszło wszystko jak po maśle. Profesor łaciny wiedział, że Lusia konkurencji Tacytowi nie zrobi i dlatego dał jej w czasie egzaminu swój własny, wypróbowany egzemplarz ze starannie wpisanem tłumaczeniem pomiędzy wierszami. Z matematykiem nie było kłopotu. Nie darmo przecież przetańczyła z nim Lusia tyle tur two-steepa w karnawale.

Pozostawała historia powszechna i język polski.

– Z kim prowadził wojnę cesarz Fanciszek Józef I? – zapytał tonem uroczystym profesor historii, który był kiedyś austriackim radcą dworu.

W Lusi oddech zapało, ale przypomniła sobie, że gdy się niema nic do powiedzenia należy z emfazą i głębokim przekonaniem powtórzyć kilkakrotnie zadane pytanie.

– Cesarz Franciszek Józef I prowadził wojnę, cesarz Franciszek Józef I prowadził wojnę, wojnę, wojnę, przede wszystkim z Polską!

Odpowiedź uzyskała powszechny aplauz komisji. Egzamin toczył się dalej.

– Jakie dzieła przeczytała abiturjentka na lekturę prywatną?

Lektura prywatna była dumą Lusi. Wydobyła z torebki sążnisty arkusz z tytułami dzieł przeczytanych. Rejestr przedstawiał się bardzo okazale. Pilna maturzystka zapoznała się z własnej pilności z treścią następujących arcydzieł literatury polskiej:

„Wieczory pod lipą”, „Quo vadis” (tylko w wydaniu dla młodzieży bo mamusia nie pozwoliła), „Alraune”, „Katechizm dziecka polskiego”, „Kult ciała”, „Żywoty św. Teresy”, „Żywoty pań swawolnych”, „Dewajtis”, „Wiązanie Helenki”, „Dziwy doktora Lerna”, „Przygody Jacka Texasa w stepach” i „Dekameron” (w wydaniu ilustrowanem).

Wobec tak rozległego odczytania Komisja egzaminacyjna uznała Lusię jednogłośnie za dojrzałą. Wszyscy cieszyli się bardzo i tylko ten głupkowaty Tuptuś pozwolił sobie wieczorem w parku na niesmaczny dowcip, że wolał dawniejszą niedojrzałą Lusię, od jednogłośnie dojrzałej<sup>182</sup>.

### **Przykład 134. Wilhelm Raort (Józef Wilhelm Rappaport) – *Miłość prawdy* (1922)**

Wobec wprowadzenia nowych planów naukowych w szkolnictwie, byłoby na miejscu zreformowanie podręczników szkolnych, względnie ważniejszych ustępów treści etycznej. Dla przykładu, jak owe ustępy powinny być zreformowane, podajemy na pierwszy ogień znany ustęp p.t.: „Miłość prawdy”, w którym św. Jan Kanty napadnięty przez zbójców, oddaje im wszystkie przy sobie posiadane pieniądze i przysięga, iż więcej przy sobie nie posiada. W międzyczasie św. Jan Kanty znachodzi w kieszeni zapomniany grosz i pomny na złożoną przysięgę, wraca do zbójców i oddaje im znaleziony pieniądz. Zbójcy wzruszeni tą niezwykłą miłością prawdy, klękają przed świątobliwym mężem i oddają mu zrabowane poprzednio pieniądze, prosząc, by pomodlił się za ich grzeszne dusze.

Jan Kanty, zwany także ministrem Steczkowskim, szedł pewnego razu późnym wieczorem przez gęsty las. Słońce schowało się już dawno, a tylko purpurowe refleksy na niebie znaczyły drogę, którą słońce odbyło swoją codzienną wędrówkę.

Jan Kanty myślał właśnie, jak wypełnić rubryki fasji podatkowej, której pomimo iż była jego wynalazku, żaden żyjący człowiek nie mógł zrozumieć, nie wyłączając samego Jana Kantego, gdy w czasie tych rozmyślań zabłądził i z przerażeniem spostrzegł, iż znajduje się wśród gęstego lasu, z którego niema wyjścia.

Na darmo przedzierał się przez gęste krzaki kosodrzewiny i jałowca, raniąc sobie twarz i ręce! Na darmo czynił rozpaczliwe wysiłki, aby wydostać się na drogę, która niby zaczarowana, znikła mu z oczu!...

„Im dalej w las, tem więcej drzew”, pomyślał nad tą starą prawdą, którą dopiero teraz pojął.

Noc czarna zapadała z chwili na chwilę, a Jan Kanty przecierał sobie spoczone czoło, wypatrując na darmo oczy w głąb czarnego lasu, gdy w tem nagle obskoczyła go banda zbójców z hersztem na czele.

Tu już nawet budżet nie pomoże! – westchnął Jan Kanty, wznosząc oczy ku Panu Zastępów, gdy z przerażeniem skonstatował, iż wpadł w ręce bandy

<sup>182</sup> Bury Jan, *Lusia zdaje maturę*, [w:] tegoż, *Świadczenia wojenne pani Muszki i inne humoreski*, Spółka Nakładowa „Odrodzenia”, Lwów 1921, s. 22–28. Na okładce cytowanej książki widnieje inny tytuł niż na wewnętrznej stronie tytułowej: *Przygody pani Muszki i inne humoreski*.

międzynarodowych zbójców, których herszt przezwiskiem Uncle Sam, nosił gwiazdzistą banderolę na cylindrze.

– *La bourse ou la vie!* – krzyknął jeden ze zbójców, przypominający typ rejtjera z bulwarów paryskich.

– *Hands off!* – warknął znowu inny bandyta o twarzy buldoga, którego inni zbóje nazywali przez uszanowanie „Sir”.

Inni otoczyli przerażonego Jana Kantego zwartem kołem, błyszcząc oczyma i kurcząc żylaste pięści.

– Oddaj nam wszystkie pieniądze, które posiadasz przy sobie, inaczej śmierć cię z naszej ręki nie minie! – zawołał herszt Uncle Sam.

– Śmierci się nie boję – rzekł Jan Kanty, myśląc równocześnie o reformie rolnej – ale żeby was od zbrodni zabójstwa powstrzymać, oddaję wam wszystko, co posiadam.

To mówiąc, wysypał całą zawartość swych kieszeni na murawę. Zbójcy rzucili się na skarb biednego Jana Kantego w oka mgnieniu. Dolary, szterlingi, franki, liry, leje, korony czesko-węgiersko-austrjackie, marki niemieckie, ory, floreny i dynary – wszystko to zginęło w przepaścistych kieszeniach bezbożnych zbójców.

– Przysięgnij nam, że więcej pieniędzy nie posiadasz! – zawołał herszt do nieprzytomnego z żalu Jana Kantego.

– Przysięgam wam na włócznię św. Weyganda, że wszystko wam oddałem, co posiadałem!

Zbójcy rozbiegli się w las, nie rzuciwszy nawet okiem na nieszczęsną ofiarę.

Jan Kanty puścił się w dalszą drogę i dziękował Bogu, że pozwolił mu ocalić dusze zbójców od grzechu morderstwa, gdy wtem przypadkowo sięgnął ręką do kieszeni i znalazł w niej zwitek banknotów 1000-markowych. Sprawdziwszy przy zapałce, czy podpis jego jest autentyczny i czy banknoty nie są fałszywe, zakłopotał się srodze świątobliwy mąż, że mimowoli popełnił kłamstwo. Bez chwili namysłu zawrócił w stronę lasu, którą zbójcy pierzchli i po długich szukaniach odnalazł ich kryjówkę. Stanąwszy przed nimi, zawołał: „Darujcie! Mimowoli skłamałem, gdyż po waszem odejściu znalazłem jeszcze kilka tysięcy marek polskich. Oto są!”...

Zbójcy wzruszeni wielką miłością prawdy Jana Kantego, parsknęli mu śmiechem w twarz, a herszt poklepał go po ramieniu poufale.

– Idź, idź do domu – rzekł Uncle Sam z uśmiechem, oddając mu zwitek 1000-markówek – nie skłamałeś wcale. To nie są żadne pieniądze!...

Z tego mamy naukę, że prawda zawsze zwycięża<sup>183</sup>.

<sup>183</sup> W. Raort, *Miłość prawdy*, [w:] tegoż, *Kłopoty pana Michała i inne dolegliwości. Satyry*, Spółka Nakładowa „Odrodzenie”, Lwów 1922, s. 104–106.



**Przykład 135. Henryk Zbierzchowski – *Szkółka freblowska w Sejmie* (1922)**

Tak jak gdyby Sejm był szkółką,  
Co powagi nie rozumie,  
Każda partia tworzy kółko,  
Które bawi się jak umie.

Niewzruszone fatum leci,  
Pożar w gumnie, złodziej w chacie,  
W Sejmie zaś się bawią dzieci,  
Jak w freblowskim internacie.

Jeśliś owych spraw ciekawy,  
Popatrz, jakie to zabawy:

1.

Lata Witos po lewicy,  
Zbiera sobie kłos pszenicy,  
Co uzbiera, to uzbiera,  
Chce Rataja na premiera.  
Hirszhorn, Grünbaum, Perl przy boku  
Dotrzymują świetnie kroku,  
Kiedy bieda to do Żyda,  
Nie codziennie jest Dojlida<sup>184</sup>.

2.

Ojciec Głębiński uczy dzieci swoje,  
A ma ich wszystkich 123.  
Hejże dzieci, hejże ha  
Róbcie to, co i ja.  
Tańczcie tak wszyscy, jak ciągnę sznurek,  
Jeżeli chcecie, by padł Arturek<sup>185</sup>.

---

<sup>184</sup> Witold Staniszkis, poseł z ramienia Związku Ludowo-Narodowego, w interpelacji złożonej w Sejmie 17 XII 1921 r. wysunął zarzut pod adresem Władysława Kiernika, członka ścisłej czołówki PSL „Piast”, a zarazem prezesa Głównego Urzędu Ziemskiego, że ten przyczynił się do narażenia Skarbu Państwa na duże straty, ponieważ dopuścił do tego, że Polsko-Amerykański Bank Ludowy, kupując majątek ziemski Dojlidy pod Białymstokiem, podał w akcie kupna znacznie mniejszą sumę, niż w rzeczywistości zapłacił – celem zmniejszenia podatku stemplowego i że później ten majątek rozparcelował po znacznie wyższej cenie.

<sup>185</sup> Artur Śliwiński, prezes Rady Ministrów 28 VI–7 VII 1922 r.

Hejże dzieci, hejże ha,  
Róbcie to, co i ja.  
Patrzcie, Arturek z rządem już się słania.  
Dalej! Odmówcie chłopu zaufania!  
Hejże dzieci, hejże ha,  
Róbcie to, co i ja.

## 3.

Pierwsza godzina, pan Brył śpi,  
Druga godzina, pan Brył śpi,  
Trzecia godzina, pan Brył wstał,  
Putkowi w Sejmie w gębę dał.

## 4.

Inki, pinki, lodominki,  
Ency klas buter was  
Ty Kierinku biegaj w las,  
Tam gdzie łączka, tam gdzie las,  
Tam gdzie Witos świnie paś.

## 5.

Dalej, dzieci, strzeżcie głowy!  
Pędzi, leci wóz parowy,  
Twarze kopci dymu smugą,  
Jedzie ciężko, jedzie długo,  
W korytarzach ludu gęsto,  
Wykoleja się dość często,  
A choć człowiek drogo płaci,  
Kolej – wynalazek boski,  
Niechaj żyje – Marynowski!  
Niewzruszone fatum leci,  
Pożar w gumnie, złodziej w chacie,  
W Sejmie zaś bawią się dzieci,  
Jak w freblowskim internacie<sup>186</sup>.

---

<sup>186</sup> H. Zbierchowski, *Szkółka freblowska w Sejmie*, [w:] A. Zakrzewski (oprac.), *Prosto z Wiejskiej. Sejm i Senat II Rzeczypospolitej w karykaturze i satyrze*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków 1990, s. 44–45. Źródło pierwotne: „Szczytek”, nr 28/1922.

**Przykład 136. Henryk Zbierzchowski –  
*Podrożenie opłat szkolnych* (1924)**

Wszystko drożeje dzisiaj na tym świecie,  
Nafta i węgiel podskoczyły w cenie,  
Więc chyba dziwnym tego nie znajdziecie,  
Że podróżowało wszelkie oświecenie,  
A łaska gazu i elektryczności  
Jest w Polsce tylko dla zamożnych gości.

Z tego powodu minister oświaty,  
Krocząc z prawami ekonomicznymi,  
Tak nam podwyższył wszelakie opłaty  
Do szkół i wszędnic w całej polskiej ziemi,  
Jak byśmy byli narodem bogaczy,  
Dla których dzieście złotych nic nie znaczy.

Biedny studencie, któryś wśród suterren  
Lub na poddaszu o chłódzie i głodzie  
Rozszerzał dotąd wiedzy swojej teren,  
Aby być kiedyś świecznikiem w narodzie,  
Co poczniesz teraz, jeśli – niestety –  
Nie wydobędziesz na czesne monety?

Co poczniesz teraz ojciec kilku dziątek,  
Żyjący z pensji, która ledwie starczy,  
Ażeby załatać domu niedostatek,  
Jeżeli czesne budżet mu obarczy,  
A wszystkie wpisy i szkolne opłaty  
Przewyższą pensję nieszczęsnego taty?

Jedna jest dla was rada w tym strapieniu  
I to wam tylko pozostało w końcu:  
Chcecie oświaty? nie lubicie cieniu?  
To idźcie kąpać się w złocistym słońcu,  
Zanim Warszawa rachując najściślej  
I za to światło opłat nie wymyśli<sup>187</sup>.

---

<sup>187</sup> Tenże, *Podrożenie opłat szkolnych*, [w:] E. Lipiński (oprac.), *Szczutek Cyrulik Warszawski Szpilki 1919–1939*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975, s. 45–46. Źródło pierwotne: „*Szczutek*”, 1924.

**Przykład 137. Kornel Makuszyński – *Bezgrzeszne lata*.  
Fragmenty (1925)**

Uśmiechnąłem się jak szatan... Nie będzie ślizgawki? dobrze! – ale będzie wiersz! Nie! Nie wiersz, lecz satyra, taka, jakiej jeszcze świat ani miasto S... nie widziały; satyra krwawa jak trzydziestoletnia wojna, jak rzeźnia miejska, satyra pełna żółci, octu, jadu, trucizn i klątwy. [...] Powstała w ten sposób jedna z najbardziej gorzkich satyr tego wieku. Książę został sponiewierany. Rymy były takie:

Na próżno jęcza  
w ubraniu księdza  
z lodu nas spędza!  
W pierwszej b klasie  
w zimowym czasie  
nikt mu nie da się!!!

Druga zwrotka była jeszcze potężniejsza, ale jej już nie pamiętam. Nazajutrz dwie klasy pierwsze, oddziały a i b – oszalały. Patrzone na mnie z podziwem, jak na bohatera. Osiemdziesięciu młodych idiotów powtarzało wspaniałe moje rymy z upojeniem i z zachwytem<sup>188</sup>.

**Przykład 138. Kazimierz Piekarski i in. (oprac.) –  
*Przewodnik bibliograficzny nr 13. Fragmenty (1925)***

W roku 1925 grono dowcipnych naukowców, historyków i bibliofilów krakowskich, z nieodżałowanym moim przyjacielem Kazimierzem Piekarskim na czele, wydało parodystyczny numer „Przewodnika bibliograficznego”, słynny „Nr 13”, druk arcyrzadki dzisiaj, zawierający przeszło dwie setki tytułów nieistniejących książek istniejących autorów. Zeszyt ten jest znakomitym okazem nieczęsto uprawianej parodii: parodii publikacji naukowej. Każda pozycja w nim to satyra na autora i na samą bibliografię. Wybieramy na chybił trafił:

BERNACKI LUDWIK jun. *Najstarszy polski bilet wizytowy*. Studium bibliograficzne. Z 163 podobiznami. Tom I: Literatura. Tom II: Źródła. Tom III: Materiały. Tom IV: Notatki. Tom V: Studia. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich 1925. 8°. T. I. Str. XV + 784. T. II. Str. 932. T. III. Str. 861. T. IV. Str. 890. T. V. Str. 632 + 163 podobizny. Zł. 850.

BRUCHNALSKI WILHELM, prof. Uniw. *Krytyczne zestawienie pierwszych liter we wszystkich miejscach „Pana Tadeusza” jako wstęp do umiejętności literatury polskiej*. Lwów. Nakładem Koła Polonistów. 1925. Str. 854.

<sup>188</sup> K. Makuszyński, *Bezgrzeszne lata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980, s. 52–53. Źródło pierwotne: tenże, *Bezgrzeszne lata*, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1925.

BYSTROŃ JAN STANISŁAW. *Geneza i warianty pieśni „Pani dziś jest bez koszulki”*. Nakładem Tow. Ludoznawczego 8°. Str. 32.

BIRKENMAJER ALEKSANDER. *Szesnasta karta, rękopisu Nr 2798 Biblioteki Jagiellońskiej i inne szesnaste karty innych rękopisów innych bibliotek*. Kraków 1925. 4°. Str. 78.

FIERICH FRANCISZEK XAWERY. Prof. Dr Prezydent Komisji Kodyfikacyjnej. *Procedura Sądu Ostatecznego. Studium prawno-eschatologiczne. Z planem orientacyjnym doliny Jozafata i tablicami konkordancji artykułów praw boskich i ludzkich*. Warszawa 1925. 8°. Str. 806 + 72 tablice + I plan.

GOETHE JAN WILKOŁAZ. *Pięść. Jedna tragedia*. Przełożył Leon Wachholz. Wydanie drugie poprawne. Warszawa. Gebethner i Wolff. Str. 230.

KALLENBACH JÓZEF. Prof. Uniw. Jagiell. *Nieznany spis garderoby domowej domniemanego pradziadka Jacka Soplicy z r. 1727*. Nakł. Uniw. Stefana Batorego. 1925. 8°. Str. XXIII + 2 z licznymi podobiznami.

KOWALSKI TADEUSZ. *Pierogi z kapustą, jako potrawa spożywana przez św. Jacka w czasie głodu na misjach wśród Kumanów*. Kraków. Polska Akademia Umiejętności. 1925. 8°. Str. 146.

OR-OT (ARTUR OPPMAN mjr). *Bakenbardy księcia Pepi. Oktawy żołnierskie*. Warszawa. Nakładem „Żołnierza Polskiego”. 1925. 16°. Str. 32.

PASEK JAN CHRYZOSTOM. *Pamiętniki. Z francuskiego przekładu P. Cazina przełożył na polski Tadeusz Boy-Żeleński*. Warszawa. Nakł. Biblioteki Boya. 1925. 8°. Str. IV + 256 + 3 nlb.

PIEKARSKI KAZIMIERZ. *Nieodkryty fragment nieznanego urywka niedrukowanego Sowizdrzała w zaginionym tłumaczeniu czeskim lub polskim. Drobny przyczynek do bibliografii polskiej*. Kraków. 1925. 16°. Kart nłb. 2 + str. I + kart czystych 6.

PIŁSUDSKI JÓZEF. *Jak uniknąłem błędów Napoleona?* Kraków. Osobne odbicie z 547 wywiadu w „Ilustr. Kurierze Codz”... Str. 2.

ROSTWOROWSKI KAROL HUBERT. *O ile ja i Dante stoimy wyżej od Żeromskiego?* Kraków. Nakł. „Głosu Narodu”. 1925. 8°. Str. 30.

SIERPINSKI WACŁAW. Prof. Uniw. Warszawskiego. *O pewnym dowodzie pewnego twierdzenia i pewnym zagadnieniu tyżącym się pewnych przypadków błędnego stosowania pewnych zasad do rozkładu pewnych liczb całkowitych na pewne sumy potrójne*. Warszawa. Nakładem Pol. Tow. Matemat. Z zasiłku Min. W.R.iO.P. 1925. 8°. Str. 142.

SROKOWSKI KONSTANTY. *Rosja sowiecka z okien wagonu i z głowy własnej*. Kraków. Nakł. Krak. Sp. Wydawn. 1925.

SZOBER STANISŁAW. *Cecha cechy i cecha cechy cechy. Przyczyunki metodologiczne do nauczania języka polskiego w niższych klasach szkół powszechnych*.

Warszawa. Nakładem autora. Czysty dochód na „Willę łez dziecięcych” w Zakopanem. 1925. 8°. Str. XVI + 264.

TATARKIEWICZ WŁ., Prof. fil. na Uniw. Warsz. *Czy Stanisław August nosił getry? Przyczynek do poglądów filozoficznych epoki*. Warszawa. 1925. 8°. Str. 18.

WACHHOLZ LEON. *Uwiedzenie czy zgwałcenie? Sprawa Fausta i Małgorzaty wobec Kodeksu Karnego b. trzech zaborów*. Kraków. 1925. 8°. Str. 218 i 7 tablic.

WRZOSEK ADAM. *Numizmatyka dla medyków*. Warszawa. M. Arct. 1925. 8°. Str. 318 + 73 tablic<sup>189</sup>.

### **Przykład 139. W.H. – *Czy to jest pytanie dla ucznia I. klasy? (1925)***

Chcąc myśl malców na drogę pacierza pchnąć bożą,  
Pyta ksiądz katecheta uczniów nie dość jasno,  
Co robi tatuś z mamą, nim się spać położą,  
Względnie zanim wieczorem ostatecznie zasną.  
Jeden mówi, że mama papiloty kręci,  
Drugi to, trzeci tamto, każdy, co pamięta,  
Aż ksiądz, myśląc, że może to chłopców zachęci,  
Powiada, że kto zgadnie, ten dostanie centa,  
Jeszcze kilka nietrafnych zdań pada niestety,  
Aż jakiś dryblas widać na grosz bardzo łasy,  
„Ja wim – powiada – proszę księdza katechety,  
Ale, czy to jest pytanie dla ucznia z pierwszej klasy?”<sup>190</sup>

### **Przykład 140. Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Julian Tuwim (?) – *Jak odpowiadać dzieciom na drażliwe pytania (1925)***

Niebawem nakładem „Roju” ukaże się książka Ireny Krzywickiej pt. *Jak odpowiadać dzieciom na drażliwe pytania*. Z książki tej podajemy najciekawszy ustęp:

„Jest rzeczą wiadomą, że dzieci są wścibskie i ciekawskie. Czy należy odpowiadać na wszystkie pytania? Czy należy z fałszywą pruderią udawać, że się

<sup>189</sup> K. Piekarski i in. (oprac.), „Przewodnik bibliograficzny”, nr 13/1925, [za:] J. Tuwim, *Cicer cum caule czyli groch z kapustą. Panopticum i archiwum kultury*, Czytelnik, Warszawa 1958, s. 102–104. Por. *Przewodnik bibliograficzny miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jako też czytających i kupujących książki. Założony w r. 1878, wydawany obecnie przez Narodowy Instytut Bibliograficzny w Niebylcu pod redakcją Szymona Starowolskiego*. Wydali J.A. Zaluski, J.D.A. Janocki, M.H. Juszyński, A.B. Jocher. Seria II. Tom VI, zeszyt 13, 1925 (fragmenty), [w:] H. Markiewicz (oprac.), *Zabawy literackie krakowskich uczonych*, Collegium Columbinum, Kraków 2007, s. 150–156.

<sup>190</sup> W.H., *Czy to jest pytanie dla ucznia I. klasy?*, [w:] tegoż (red.), *Ucieszny ilustrowany kalendarz humorystyczny. Figliki – anegdotki – żarty – opowiadania na rok 1926*, Polskie Wydawnicwo Kalendarzy J. Nowaka, Cieszyn – Orłowa 1925, s. 73.

pytania nie dosłyszało? Nie, obowiązkiem człowieka współczesnego jest patrzeć śmiało w oczy własnych i cudzych dzieci. Jeśli chodzi o pytania drażliwe – bo na pytania zwykłe oczywiście nie ma co odpowiadać byle szczeniakowi – najlepiej jest mieć z góry przygotowane odpowiedzi. Podaję więc najważniejsze i najczęściej przez dzieci zadawane pytania.

– „Mamusiu, z czego się robią dzieci?”

Na to pytanie proponuję dwa rodzaje odpowiedzi. Jeśli dziecko jest jeszcze za małe, aby mogło zrozumieć prawdę, należy odpowiedzieć: „Dzieci powstają z nadmagnezjanu chlorku potasu”. Jest to odpowiedź bardzo zręczna, gdyż dziecko przeważnie nie może spamiętać tej długiej nazwy i gdy powtórzy to w szkole lub kawiarni starszemu koledze, nigdy się nie wyda, żeśmy dali fałszywą informację, i w ten sposób autorytet rodziców zostaje zachowany. Gdy dziecko zapamięta i po paru latach, wiedząc już, o co chodzi, przypomni z wyrzutem, że się je oszukało, można pętakowi wmówić, że przekręciło słowo „potas”. Inna odpowiedź powinna być stosowana wobec dzieci już większych. Jeśli chodzi o chłopców i dziewczęta w wieku dojrzewania, należy odpowiedzieć: „Dzieci powstają z zaniedbania i lekkomyślnego zapuszczenia ciąży”.

– „Tatusiu, dlaczego tatuś jest taki czerwony, gdy ściska służącą?”

Jest to bardzo typowe pytanie, na które należy odpowiedzieć, przerzucając zręcznie sprawę na tło społeczne. Mówimy więc poważnie: „Tak, moje dziecko, służąca należy do proletariatu, a ludzie, którzy zbliżają się do proletariatu, są «czerwoni». Możesz o tym, dziecko, przeczytać w «Płomyku» i w «Ilustrowanym Kurierku»”. Gdy dziecko zacznie się mądrzyć, że to nie to samo, możemy dodać: „Paszoł won, szczeniaku”.

– „Mamusiu, czego chciała ode mnie ta pani, co stoi zawsze u nas na rogu ulicy?”

Na to odpowiemy: „A won, ty bydlaku! Stare chłopisko, kobity go na ulicy zaczepiają, a on się pyta mamusi”.

W razie pytań bardziej skomplikowanych, na które nie mamy gotowej odpowiedzi, należy uciekać się do dywersji taktycznej. Np. dziecko pyta się, czy chlorek potasu jest związkiem węgla. Odpowiadamy: „Nie garb się”. Albo: „Nie nudź, widzisz, że mamusią głowa boli”. Albo też najprostsze: „Paszoł won, pętaku”. Zwykle dziecko odpowiada na to „Ty sama paszoł”, a to już jest oczywiście wystarczającym pretekstem do sprania szczeniaka. Potem następują płacze, przeprosiny, i sprawa potasu rozpląwa się we łzach pojednania.

Bardzo częsty u dzieci jest objaw pytań seryjnych. Np. dziecko pyta się, co to jest na szybie. Odpowiadamy: „Mróz”. „A dlaczego mróz”. Odpowiadamy: „Bo zima”. „A dlaczego zima? A co idzie po zimie?” Przy zimie stosujemy

pierwszy cios w szczękę. Zdarzają się oczywiście cierpliwszi rodzice, którzy biją w mordę dopiero przy jesieni lub nawet po jedenastym, a nawet dwunastym pytaniu. Pewna matka z Ohio uderzyła dziecko dopiero po trzydziestym piątym pytaniu, które brzmiało: „Dlaczego mamusia gryzie syfon?”. Był to, o ile wiadomo, rekord świata. Normalni rodzice walą w pysk przy trzecim lub czwartym pytaniu. Oczywistym błędem jest bicie już przy drugim pytaniu. Znałam ojca, którego synek spytał: „Jak się nazywa ta ulica?”. Ojciec odpowiedział: „Chmielna”. Dziecko spytało: „A jak na imię?”. Ojciec zaczerwienił się, no i naturalnie bęc szczeniaka w mordę. Otóż bicie przy drugim lub trzecim pytaniu uważamy za szkodliwe. Po pierwsze, oducza dziecko w ogóle od zadawania pytań, po drugie, odbiera uderzeniom właściwe napięcie.

Słynny uczony norweski Hugo von Gulgenstjerna radzi stosować w pedagogice system riposty. To znaczy odpowiadania na pytanie pytaniem. Gdy dziecko pyta: „Mamusiu, dlaczego pan Giellepur zdejmuje spodnie w salonie?“, należy szybko odpowiedzieć: „A ile jest trzydzieści pięć razy osiem?“, albo: „W którym roku była bitwa pod Zama?“. Gdy dziecko odpowie: „Nie wiem“, mówi się: „No to won, ty szczeniaku, do książki, ty cholero, uczyć się, a nie gadać o cudzych parszywych portkach“. Metoda ta daje bardzo dobre rezultaty i jest stanowczo lepsza od systemu dra Margulsteina, który zaleca dawanie dziecku zamiast odpowiedzi datków pieniężnych. Gdy dziecko pyta się: „Czy bocian przynosi dzieci zaraz czy w dziewięć miesięcy potem?“, odpowiadamy: „Masz tu, kochasiu, dwadzieścia groszy, i jesteście kwita“. Przy bardziej kłopotliwych pytaniach suma może dojść do setek, a nawet tysięcy. Dr Margulstein opowiada o pewnym dziecku w Zurychu, które pytało ojca o pewną urzędniczkę z jego biura i dostawało jednorazowo po dziesięć tysięcy franków, i to szwajcarskich.

Dzieci, jak to już powiedzieliśmy, są wścibskie i interesują się tematami seksuologicznymi. A przecież często się mówi, że nasi milusińscy lubią tylko zabaweczki i lalczki. Ten symplicystyczny pogląd na dzieci naszego pokolenia stanowczo należy odrzucić. Oczywiście, wszystkie wyżej podane sposoby są to tylko surogaty. Pozostaje droga otwartej prawdy i uświadomienia naukowego. Zawsze najprostsze i najzdrowsze będzie zapoznanie dziecka z nagim faktem. W tym celu polecamy gorąco znakomitą książkę dra Grutzhandlera pt. *Noga i jej okolice* ze składaną mapką i portretem autora<sup>191</sup>.

<sup>191</sup> J. Lechoń, A. Słonimski, J. Tuwim, *Przegląd przedwieczorny*, [w:] D. Sykucka (oprac.), *Księga parodii*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986, s. 192–194. Źródło pierwotne: „Przegląd Przedwieczorny”, 1 IV 1925 (numer primaaprilisowy, trudno ustalić, który z redaktorów był autorem humoreski). Por. np.: przykłady 323, 387 i tomy *Vademecum...* tegoż autora.



**Przykład 141. Wilhelm Raort (Józef Wilhelm Rappaport) –  
Z pamiętnika działacza. Fragmenty (1925)**

14 maja. Głowa szalenie mnie boli z niewyspania. Wstałem o 3-iej pop., aby zająć na posiedzeniu „Koła aktywistów młodzieży ogólnokształcącej” odpowiednie stanowisko w sprawie nieprzyjęcia delegacji młodzieży przez premiera. Ten stan rzeczy musi ustać! Jestem zwolennikiem odpowiednich represyj, z czego nie robiłem tajemnicy. Policja wiec rozwiązała. Obiecałem urzędującemu komisarzowi wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Redagowanie artykułu w tej sprawie dla oddanej nam prasy, zajęło mi prawie całą noc. Zdaje się, że pan komisarz straci tupet do walki z młodzieżą...

15 i 16 maja. Uczyłem się do pierwszego egzaminu, którego termin wyznaczono mi nagle na 20 maja. Oszaleć można z tego nadmiaru materiału! W każdym razie przeforsowałem rezolucję w naszym Związku, aby zwrócono uwagę dziekanom i profesorom, że każde „złanie” członka naszego Związku uważać będziemy za terror komunistyczny, z którego wyciągniemy odpowiednie konsekwencje. [...]

19 maja. Interweniowałem u premiera w sprawie poprawki uchwalonej przez Komisję sejmową co do ustawy o odpowiedzialności sądowej osób nieletnich. Premier konferował ze mną przeszło godzinę i obiecał swe poparcie. Delegacja nasza również była u ministra spraw zagranicznych w sprawie subwencji. – Jutro egzamin. Będę się uczył całą noc.

20 maja. Zlałem! To bydlę pytało mnie o rzeczy, których wcale w skryptach niema. Zwołujemy masowy wiec doraźny w auli uniwerku. Ten sabotaż musi raz ustać! Młodzież nie da się terroryzować przez panów, ulegających wpływowi masonerii. Odpowiednie, potępiające rezolucje przygotowuję, gdy tylko wrócę z demonstracji, która dziś się odbędzie przed gmachem konsulatu czeskosłowackiego<sup>192</sup>.

**Przykład 142. Czesława Wolniewiczówna –  
Profesor Dowcipnicki ma głos (1926)**

*(Młody, bardzo ruchliwy profesor to okularach, z małą bródką wchodzi na katedrę lub poza pulpit, krząka, pije wodę, rozpoczyna wykład żywo gestykując).*

Szanowni państwo! Zaproszony przez organizatorów dzisiejszej wieczornicy do wygłoszenia wykładu przed gronem tak wybranem, odczuwam pewien niepokój, czy dobrze wywiążę się ze swego zadania. Postaram się jednak pań-

<sup>192</sup> W. Raort, *Z pamiętnika działacza*, [w:] tegoż, *Grochem o ścianę*, Wydawnictwo „Odrodzenie”, Lwów 1925, s. 127–128.

stwa zainteresować i rozweselić. Powróciwszy z podróży odbytej naokoło świata, opowiem państwu o pewnym, nieznanym kraju. Miano jego Kuribelting.

*Niezwykły kraj.* Ponieważ jest to podzwrotnikowa kraina, przeto zachodzą tam wszelkie możliwości. I tak ludzie chodzą na patykach z kapusty, która zwiesza się z gałęzi domów, płynących po cukrze. Ludzie oddychają drzewem, a w piecach palą wodą, rośliny w ogrodzie podlewają kamieniami, a kamienie wykopują w powietrzu.

Ptaki tamtejsze chodzą na czterech nogach, a stoły, krzesła, oraz inne czworonożne zwierzęta mają skrzydła i biją nimi dukaty.

*Waluta.* Pieniądze z maku mają kształt kostki i zamiast nimi płacić, to się je połyka, a wszelkie towary płaci się uśmiechem. Jeżeli coś jest bardzo drogie, to śmiać się trzeba cały rok!

*Ubiory i żywność.* Materjały na ubrania rosną na kominach, a kominy wzniesione są na butelkach i wypuszczają gołąbki pieczone w sacharynie. Ziemniaki robi się tam z kiszonych guzików, a guziki ze złego humoru, zły humor z porcelany, a porcelanę z atramentu.

*Miasta.* Dziwny to jest kraj. Ulice miast zwieszają się jak drabina sznurowa z góry na dół. Wyłożone są aksamitem, a małe uliczki jedwabiem. Zmywa się je codziennie orzechami, wydobywanymi z kopalni węgla. Place publiczne rozbite są jak namioty powietrzne, wyłożone mozaiką z kiełbas i cukierków. W domach z bitej śmietany są drzwi z kukurydzy, okna z czerwonego wina, podłogi są z róż zakwitłych w stajni, ściany z kałamarzy, a sufity z mączki ryżowej.

*Umeblowanie.* Wszystkie sprzęty mają kształt łódek, są skrzydlate i czworonożne, choć rzeźbione w jabłeczniku. Zwierciadła są z trzciny, wklęsłe i wypukłe. Prawdziwa rozkosz mieszkać w takim domu. Wszystko fruwa, gra, śpiewa i tańczy, każda rzecz mówi swoim własnym językiem, kłania się i pozdrowia człowieka. Każdy talerz życzy dobrego apetytu, każda łyżka zdrowia, każdy widelec spisuje życzenia, a każdy nóż układa smaczne wiersze.

*Rząd.* Jednym słowem jest to kraj nadzwyczajny. Rządzi nim jasna smuga. Rząd składa się z samych jasnych promieni, dlatego kraj jest szczęśliwy. Co minister, to promień jaśniejszy i dłuższy. Urząd swój spełniają ministrowie w ten sposób, że współzawodniczą w tem, aby w każdym zakątku jaśniej świecić i lepiej go ogrzewać. To też jak wspomniałem, w piecach palą wodą, aby nie było za gorąco.

*Posady.* Jeżeli kto chce zdobyć posadę, pisze podanie czekoladą na listku złotej brzozy i puszcza go na wiatr. Ponieważ to, co wiatr zamiast poczty roznosi, podchwytyją promienie, listy nie giną i bez adresu dochodzą do właściwych osób. Żadna prośba nie bywa odrzucona.

*Marzenia.* Iszczą się nawet marzenia. Jeżeli marzysz o domeczku z ogródkiem, dostaniesz park z pałacem, albo całe miasto, jeżeli chcesz mieć miasto, dostaniesz województwo. Jeżeli marzysz o książce, odbierasz bibliotekę. Jeżeli chcesz zjeść kawał pieczeni dostaniesz całe stado bydła, co fruwa po łące, która powiewa pod fundamentami domów. Co to za śliczny widok! Nawet ócz nie potrzeba, aby się nim zachwycać.

*Winogrona.* Najpiękniejsze są jednak winogrona. Rosną one w walizkach podróży. Wystarczy podlać je igłami, a pyszne grona w mgnieniu oka siadają na koń i rewidują żołądździe na kryształowym moście. Wyłania się z tej rewizji piękny śpiew, ze śpiewu powstają jelenie dwugarbne z osłemi uszami i trąbą do marszczenia fałd u szklanek.

*Złodzieje.* Złodziei niema w Kuribeltingu. Złodziei swych nigdy tam nie pisało!

*Dzieci.* Kuribeltingonka, niby to dzieci Kuribeltingów, mają u ramion skrzydełka. Najgorsze są chrabąszczami, średnio dobre motylkami, a najlepsze słowikami. Dzieci nigdy nie płaczą, a kiedy się śmieją, wówczas pada deszcz cukierkowy. Jest to wielkie szczęście, że deszcz taki pada, gdyż w dziwnym kraju tym zapotrzebowanie słodczy jest olbrzymie. Gdyby więc dzieci się nie śmiały, to cukier fabrykowanoby tam ze starych pantofli, które za życia nosiły krokodyle, a które małpy powyciągały z paszcz tygrysów, włóczących się po obłokach.

*Ser.* Drugim ulubionym przysmakiem w kraju tym jest ser. Wyrabia się go z marynowanych serwet haftowanych żółwiami przez skowronki. Słodczy i ser ten jada się z przyjemnością 18 razy na dzień. Komu się nie chce żywności do ust wkładać, otwiera drzwiczki do żołądka i ładuje doń za każdym razem 10 kilo specjałów. Przyjemna robota, niema co mówić! Nie wierzycie mi państwo?

*Zdrowie.* Aha, zapomniałem opowiedzieć, że Kuribeltingowie nigdy nie chorują. U każdego człowieka znajdziemy kilka gatunków drzwi, wiodących do poszczególnych organów wewnętrznych. Według gustu i potrzeby można je otwierać i zamykać. Na przykład kto chce zbadać swoje płuca, żołądek, wątrobę, otwiera drzwiczki, zagląda, wyprząta nagromadzony pył i śmieci i już dobrze. A skoro kogo pokocha, otwiera drzwi serca swego na oścież i drugie serce bije, bije, bije, bije, bije, bije, bije, bije, bije aż wybije godzina i cała komedia się kończy, czego po tym steku niedorzeczności wam i sobie życzę. Wiwat! (*Kłania się*). Dowidzenia. (*Wychodzi*)<sup>193</sup>.

<sup>193</sup> C. Wolniewiczówna, *Profesor Dowcipnicki ma głos*, [w:] *też*, *Kawał na karnawał*, Biblioteka Wieczornicowa, Zjednoczenie Młodzieży Polskiej, Warszawa 1926, s. 11–14.

**Przykład 143. Ewa Korotyńska – *Nauczyciel. Komedyjka w jednym akcie. Fragmenty (1927)***

Osoby: Ojciec; Teoś; Andzia; Gienio; Fredzio (jego dzieci); Robert (ich kuzyn); P. Barbariski (nauczyciel)

Scena pierwsza

Robert (*do dzieci*) – Dzień dobry, moi drodzy! Ale cóż to się stało? Skąd te smutne miny? Czyście mieli jaką przykrość?

Wszyscy – Spotkało nas wielkie nieszczęście!

Robert (*zaniepokojony*) – Czy przytrafiło się co złego memu wujowi?

Wszyscy – Ależ nie! To nie to.

Robert – Czy może ciocia niezdrowa?

Wszyscy – I nie to także.

Robert – A więc cóż takiego? Doprawdy, nie mogę odgadnąć.

Andzia – A więc powiem ci wszystko. Wiesz o tem, że od pewnego czasu tatuś zaprzestał nas uczyć. Bardzo wiele ma zajęć.

Robert – To znaczy, że używacie wakacji. Cóż to więc tak straszego? Przeciwnie, powinniście się z tego cieszyć. Zazdroszczę wam, moi kochani, i chętnie zamieniłbym się na wasz los. Brat mój każe mi pracować, jak murzynowi.

Andzia – Mamusia chciała się nami zająć, ale tatuś nie zgodził się na to: twierdzi, że mamusia za pobłażliwa... Mamy mieć nauczyciela!

Robert – Ach! Teraz rozumiem wasz smutek!

Genio – Ma przyjść do nas już dzisiaj.

Robert – Żal mi was bardzo, moje dzieci.

Teoś – Prawda, że to okropnie mieć nauczyciela?

Robert – Zwłaszcza jeśli nudny.

Teoś – Czyś widział kiedy nauczyciela?

Robert – O, i ile razy!

Teoś – Jak wygląda nauczyciel?

Andzia (*śmieje się*) – Jakiż ten Teoś zabawny!

Robert – Nauczyciel, mój chłopcze, jest zawsze stary, brzydki, w okularach, gderze, chce, żeby wciąż pracować, a jeśli się tego nie robi, czego od dzieci wymaga, idzie do mamusi lub tatusia na skargę.

Teoś – A, to będę nieszczęśliwy! (*placze*) Hi! hi! hi!

Robert (*tonem pouczającym*) – Życie nie może być zawsze usłane różami. Trzeba być filozofem!

Genio – Patrzcie, jaki z niego egoista! Szydzi z nas, zamiast nam współczuć!...

Andzia – Ależ to nieszczęście i ciebie, mój kochany, dotyczy. Rodzice twoi prosili naszego tatusia, żebyś się z nami uczył.

Robert – Rodzice moi nie wspominali mi o tem. Ależ to mi się wcale, ale to wcale nie podoba...

Fredzio – Aha! Widzisz! Zmieniasz teraz swój ton pouczający na żaloszny.

Robert – Z bratem radziłem sobie jakoś, robiłem co chciałem, podczas gdy z nauczycielem to będzie niemożliwe.

Andzia (*naśladując mowę Roberta*) – Życie nie może być samemi różami usłane; trzeba być filozofem. Zamiast pracować jak jeden murzyn, będziesz pracował za dwóch murzynów... Pogódź się z losem...

Robert (*wzruszając ramionami*) – Czy jesteście pewni, że dzisiaj przyjdzie ten nauczyciel?

Genio – Tatuś mówił.

Andzia – Nazywa się p. Barbariski.

Robert (*wykrzywiając się*) – Brzydkie nazwisko!

Teoś – Straszne!

Robert – Zła przepowiednia. Barbariski! To znaczy, że będzie się z nami obchodził po barbarzyńsku.

Fredzio – Odpowiednie nazwisko dla nauczyciela.

Robert – Trzeba go się pozbyć za wszelką cenę. Czekajcie, czy wiecie co zrobimy?

Wszyscy – Mów! Mów! Cóż takiego?

Robert – Utworzymy ligę, koalicję... Ilu nas wszystkich? Czterech – Teoś nie będzie do tego należał, to dzieciak. Ale nasza czwórka da mu doskonale radę. Musimy stać się dla niego utrapieniem, starać się być nieznośnymi, niegrzecznymi, tak niemożliwymi, żeby uciekł od nas jak najprędzej.

Wszyscy – Dobra myśl!

Andzia – Ja wiem, co będę robiła, żeby mu dokuczyć.

Fredzio – Ja także!

Genio – Ja także!

Teoś – O, i ja mu potrafię dokuczyć. I ja się do was przyłączam.

Fredzio – Podajmy sobie ręce i dajmy słowo wypełnić to, cośmy tu postanowili. Jeśli który z nas zechce inaczej postępować, będzie wykluczony z naszej ligi.

Wszyscy – Niech będzie wykluczony!

Teoś – Co to znaczy wykluczony?

Fredzio – Nie masz potrzeby wiedzieć, ty się nie liczysz!

Teoś (*płacząc*) – Jak to nie liczę? wczoraj wieczorem przeliczyłem do 69-ciu bez omyłki (*śmiech ogólny*).

Andzia (*całując Teosia*) – Biedny Teosiu! Nie martw się, przyjmiemy i ciebie<sup>194</sup>.

**Przykład 144. Gustaw Fiszer – *Pan Kałamarzewski, nauczyciel szkół elementarnych starej daty. Obrazek sceniczny (1928)***

(*Stary, wygolony, łysy, w długim surducie, w okularach, w czapce z daszkiem, z la-ską, pod pachą książki i katalog, z tyłu z kieszeni wywieszona chustka czarno-żółta z orłem, w kieszonce od kamizelki tabakierka z kory, vatermerdery – chodzi kołyszając się środkiem tułowia w obie strony, fałszywie akcentuje wyrazy niemieckie i wybija każde polskie ę – intonuje przesadnio oratorskim tonem belfra, bardzo głośno z przeciąganiem. Zapowiada się za drzwiami charczącym kaszlem, wchodzi w czapce mierząc surowo publiczność, która wyobraża klasę, a poukładawszy swe bagaże systematycznie po obu stronach stolika, na środku stojącego, siąka nos i mówi w pewnym kierunku do publiczności z giestem*).

Bete, Puchała!... Mów pacierz głośno! (*Żegna się po łacinie, mamrocze spostrzegłszy śmiechy w jednym kącie klasy, przechyla się w tę stronę i zjadliwym skrzywieniem twarzy grozi w tę stronę, przechodząc w modlitwie z szeptu w ton zirytowany – kończy szybkim przeżegnaniem się*). *Sed libera nos... ty tam w przedostatniej ławce... ja ci się pośmieję, poczekaj!... ich werde dir während des Gebetes Lachen, Esel einer!...* Trzecia z obyczajów!... (*Zapisuje, kończąc wykrętasem, od którego się aż trzęsie, zażywa łapczywie nozdrzami tabakę*). *Setzet euch!... siadajcie!...*

Przede wszystkim... *vor allem kommen die sogenannten Schwätzer... – tak nazwani szweczerzy!... Zobaczymy, kogo nam tu zapisał pan Puchała!... der Herr Übersensor! (Czyta z oddalenia, trzymając kartkę i poprawia okulary, co częściej powtarza, głośno wywołując)*.

Cieśliński! *auf die Mitte... puście go tam... auf die Mitte Lump einer... (woła z gestami i przeprowadza wzrokiem aż na scenę każdego wychodzącego – czyta) Cieśliński... auf die Mitte... Swędzimirski... Srocza!... (ostrzej niż do innych) Na środek Sroka!... auf die Mitte!... Prędzaj lamparcie jeden puście go tam... puszczaj go... dalej na środek... tu!... tu!... tu sobie stań koło tamtego drugiego lamparta! bliżej!... (Czyta)*.

<sup>194</sup> E. Korotyńska, *Nauczyciel. Komedycja w 1 akcie*, Wydawnictwo Księgarni Popularnej, Warszawa 1927, s. 2–7.

Mucha!... Pająk!... *Insekten auf die Mitte!* ... na środek owady!... ruszaj jeden z drugim... prędzaj... o tak... *Da sind die Hauptschwätzer...* (*Obraca kartkę*).

Aha!... *noch einer ist da!*... (czyta) Cwancygier... (zdziwiony) Co? Cwancygier?...

Puchała! Cwancygier szwecował?... *der Cwancygier hat auch geschwetzet...* szw... szwecował?...

Ha moje dziecko! chodź tutaj!... *komm auf die Mitte mein Kind*. To trudno... *da hilft kein Herrgott...* (*po chwili*) *Alle Schwätzer sind da?*...

(uroczyście) I cóż wy to sobie myślicie, lamparty, hę – to ja tu do was spieszę, ażeby was nauczać, a wy tymczasem szwecujecie, że sobie z wami Puchała rady dać nie może?...

Za karę przez cały tydzień będziecie siedzieli w oślej ławce!... *durch die ganze Woche werdet ihr jin der Eselbank sitzen*.

Na miejsce jeden z drugim!... marsz! *jin die Eselbank!*...

(łagodnie) Cwancygier zostań! (*poufnie*) Puchała!... Puchała... *hat der Cwancygier zum orsten Maale geschwetzet?*... po raz pierwszy szwecował?... (*wmawiając pospiesznie twierdząco*) *zum ersten Maale...*

*Also, du gehst nicht jin die Eselbank...* idź na miejsce... nie będziesz siedział w oślej ławie Cwancygier... tylko za karę napiszesz mi dwadzieścia razy, *zwanzig Mal wirst du kaligrafisch schön schreiben: Jin der Schule...* *muss man...* *ruhig... sitzen!*... albo nie inaczej: *Jin der Schule... darf man... nicht... schwetzen!*... Albo czekaj, napiszesz mi po polsku... *jin dor polnischen Sprache wirst du mir schreiben: W szkole... trzeba... zawsze... uważać... Das schreibst du mir zwano zig Mal auf Morgen!*... (*Idzie do stołu, przypomniawszy sobie, wraca*).

Ale... ale... jakże się ma twój ojciec?... zdrów, co?... kłaniaj się taciowi ode mnie... (*postępując bliżej, zerka*) Tego... tam... zresztą nie potrzebujesz koniecznie pisać... *denn du hast zum ersten Maale geschwetzet...* nie... nie potrzebujesz... Oważ kłaniaj się ode mnie taciowi i powiedz, że butelki, które mi był łaskaw przysłać, już są próżne, *dass diese Flaschen, welohe mir der Herr Vater geschicket hat, sind schon leer...* i kłaniaj się tatkowi... (*Z uśmiechem, giest przyjazny, potem zmienia ton i minę i odchrząkuje*).

Zaczynamy naukę! (*Nagle... zwracając się w pewną stronę sali*)

Co?... co tam?... co to za śmieszki? O tam, w tym kącie?... *Warum lachet ihr dort?*... O ty! nie chowaj się, ja cię widzę... co ty tam... co on tam robi?... co?... co zrobił?... dyabła z wosku? *einen Teufel aus Wachs?* Pokaż to zaraz!... chodź tu!... *auf die Mitte mit dem Teufel!* Puchała!... łapaj dyabła, żeby przez drogę nie zepsuł... dawaj tu! (*Przeprowadziwszy chłopca wzrokiem na środek, odbiera dyabła, ogląda go z oddalenia i śmieje się z politowaniem*).

Oj ty ośle jakiś!... to ty się takimi rzeczami w szkole będziesz bawić?... To ty *Lump einer der, die, das, des, der, des, dem, des, des, (plącze się)* nie umiesz, a dy-abły to umiesz!... *Dritte Klasse...* na miejsce!... *Der Teufel bleibt hier.* Po godzinie przyjdiesz do kancelaryi... *jin die Kanzelei...* do pana dyrektora... *ich sage ihm, dass du jin die Schule kommst nicht zu lernen, sondern um Teufel aus Wachs zu machen!*...

A ty, Puchała, pójdziesz do jego matki i powiesz, że ja proszę, ażeby dziś na obiad za karę leguminy nie dostał... *dass er den Mehlspeis nicht kriege...* Co?... nie jadacie leguminy?...

To powiedz, żeby nie dostał pieczystego!...

I pieczystego nie jadacie? To cóż wy tam u licha jadacie? *Du sagst also seiner Frau Mutter, Puchała, dass er das, was er heute bekommen soll, nicht bekommen soll, nicht bekommen soll...* (zapisuje w katalogu). Będziesz repetował... *Wegen Schwätzererei und Teufel macherei aus Wachs...* (rozgląda się po klasie, raptem przypomina sobie)

A prawda... (bierze kartkę ze stołu) *da sind ja die Schwätzer...* (czyta) Cieśliński... Powiedz mi, Cieśliński, co znaczy: „Bóg jest dobrotliwy”?... *aber deutsch... Sage mir, wast das heisst Go...* Bóg jest dobrotliwy... No co znaczy Bóg?... *was heisst Go... Bóg?... Nie wiesz?... Setze dich... Lump einer!* siadaj ośle... (pisze) *Dritte Klasse...*

Swędzimirski!... Co znaczy: Bóg jest dobrotliwy!... *was heisst Bóg?... co znaczy Go... e... Bóg... Swędzimirski... jest dobrotliwy... no?... co znaczy jest?... No uważaj... (poddając mu) jii... jii ... jii... (straciwszy cierpliwość)* Siadaj ośle...

Cwancygier!... *sage ihm!... Dritte Klasse Swędzimirski!... (zapisuje)* Co znaczy: „jest”?... *was heisst „jest”? Cwancygier! no?... (poddając mu) ji... ji... Jist!... jjist!...* dobrze Cwancygier!... O widzicie!... Cwancygier wiedział... *jist... dobrze!...*

Dobrotliwy?... Srocza nam powie, co znaczy: „dobrotliwy”! Sroka nie wiesz?... *Dritte Klasse!... Cwancygier! powiedz mu! no... tylko uważaj... (poddając) Gü... gü... tig!...* bardzo dobrze!... Jestem z ciebie kontent!... *ich bin mit dir zufrieden!...* Cwancygier!... masz dobrą klasę!... a pamiętasz, co masz tatkowi powiedzieć?... co?... pamiętasz?... no dobrze, kłaniaj się tam ode mnie!...

Sroka! *nimm den Komenius, weż Komeniusa i czytaj... (Czyta głośno, rozdierając przeraźliwie gębę i chodząc naokoło stołu, z jedną ręką założoną z tyłu pod odwiniętą połą długiej kapoty, oddziela wyraźnie zgłoski).* *Der neugeborene...* no? jeszcześ nie zaczął?... *Der neugeborone... Mensch... heisst... ein... Kind... (daje książkę w tył za siebie)* *Wie wirst du mir das jin die polnische Sprache jybersetzen?... Sroka... Der neugeborene Menseh... co znaczy neugeborene... Sroka!... no!... powiedz mu, Cieśliński... jak?... nowonarodzonemu... siadaj ośle... Cwancygier... no?...*



nowonarodzony!... dobrze!... Cwancygier!... Dalej, Sroka!... co znaczy „Mensch”?... co?... ludzie?... Cieśliński... *Mensch*... no?... (*poddaje*) człow... czło... człowiek!... no tak, tak... ośle jeden, bom ci podpowiedział... Siadaj sobie!... *Der neugeborene Mensch*, nowonarodzony ludzie... e... człowiek... *heisst*, Sroka?... *wie heisst* „*heisst*” Sroka?... jak się nazywa... nazywa... e, jak się nazywa *heisst*... no?... nie wiesz, ośle!... Cwancygier, co znaczy „*heisst*”? na... na... nazywa się!... dobrze! Dokończ, Cwancygier... co znaczy: *ein Kind*?... dziecię... dobrze! *der neugeborene Mensch heist ein Kind*... nowonarodzony człowiek nazywa się człowie... e... dziecięciem!... dobrze, Cwancygier!... a nie zapomnij tam o tem, co ci powiedziałem... wiesz?... no, dobrze!... (*surowo*) Siadaj sobie, Sroka... siadaj! – *Du bekommst eine Dritte und wirst repetieren!*... ośle!... tylko egzamin przyjdzie... *wenn die Prüfung kommt, Faulenzer einer... am Ende des Semesters*... wtedy ci gorzko będzie, lamparcie jeden!...

(*czule*) Biedny ojciec... poczciwy włościanin... *der arme alte Elster*... *er wird da auf die Prüfung kommen*, ażeby się przekonać o postępach swojego syna młodego Sroczi... *um sich zu überzeugen, czy nie darmo hat er dem jungen Eister die kasza und die krupy geschicket?*... *die Gäste werden da in dem Saale w półkole sitzen, der Herr Direktor, der Herr Kanonikus, der Herr Kreishauptmann*, nareszcie i szersza publiczność *das breitere Publikum*, otóż i on usiądzie sobie skromnie na krzeselku wśród innych w swojej czcigodnej szacie włościanina. – Tymczasem egzamin się zaczyna, Panowie profesorowie wyrwyją owego, wyrwyją owego – *reissen aus diesen, reissen aus jenen*... wszystko pięknie odpowiada... tylko jednego Sroki nie słysząc... Twój stary się dziwuje, czeka, może i jego chłopaka zapytają... *wird vielleicht auch sein Bube herausgerissen werden?*... Gdzie tam... *da kommt die polnische Sprache... die deutsche Sprache... da kommt die Religion und die biblische Geschichte*, a Sroczi jak nie ma tak nie ma!... *denn die Herren Profesoren fürchten sich zu blamieren von dem Herrn Kreishauptmann und dem Herrn Kanonikus!*

A biedna matka przez cały rok dźwigała na plecach chleb i masło... ha?... prawda? ...a tyś tylko na pełnej skrzynce siedział, w maśle kozikiem dziobał, pajdyś chleba krajał i napasałeś się... *aber in der Schule hast du gar nichts gelernet, nur geschwetzet und gelachtet!*... dlatego też twój stary się przekona, *dass sein Bube nur Trocinen im Kopfe hat!* Siadaj sobie! siadaj! *Esel einer! Dritte Klasse!* (*Idzie do stołu, wyciera nos i ogląda chustkę*). Puchała!... weź no czapkę... *nim deine Mütze*, Puchała, *und springe zu meiner Frau*... pokłoń się pięknie i poproś dla mnie o świeżą chustkę... *sage der Frau Professorin, dass der Herr Professor ein frisches Schnupftuch braucht, weil der Herr Profesor hat Schnupfen.*

(*po chwili*) Aha, dobrze, żem sobie przypomniał!... Moje dzieci! zbliża się właśnie ta uroczysta chwila, kiedy młodzież wyrusza ze swoimi profesorami za

miasto na świeże powietrze, ażeby pod błękitnem niebem i w świeżej woni szpilkowych drzew zabawić się wspólnie...

Otóż niech każdy powie w domu ojcu, matce, opiekunowi, kogo tam kto ma, że będziecie mieli wkrótce majalis, że urządzona została składka u pana profesora Kałamarzewskiego na wspólne kwaśne mleko... na orła, którego wam klei pan profesor Podskakiewicz, i na balon, który sporządza pan nauczyciel kaligrafii Wzdychalski. Zeszłego roku się wprawdzie balon nie udał, dlatego, że pan Wzdychalski te gazy... (*nie umie wytłumaczyć, pomaga sobie gestami*)... niby, że to gazy... te... *weil diese Gasen* panie... ponieważ te gazy... no!... ale o tem będziecie się uczyć dopiero w gimnazjum... a także dlatego, *weil das Kanzleipapier zu schwach war*... Jest jednak nadzieja, że tego roku balon się uda, że pan Wzdychalski jakoś te gazy lepiej wywiąże, *und der Balon wird zu euerer Freude jin das Blaue e... emporsteigen!*...

Więc tedy co tam kto będzie mógł: po dwa dytki, po cztery dytki, po pół cwancygiera, po cwancygierze, ryński *schein!*... złożycie to u mnie, no... a ja to potem tego... te ... a ja to sobie dla was urządzę!...

Weźmiemy teraz jeszcze coś z historii naturalnej... *etwas aus der zoologischen Geschichte*... Do jakiego rodzaju zwierząt należy koń... no... kto wie?... Ty wiesz?... dobrze! I ty wiesz i Cwancygier wie? Patrzącie, Cwancygier już ma palce w górze, Cwancygier wie wszystko!... Dobrze!... Cwancygier, dobrze!... ale niech tamten powie...

No? jakiego rodzaju zwierzęciem jest koń?... Czemu nie gadasz?... co?... *hinaus?*... a idź! idź, osłe jeden! (*Odwraca się, krzywiąc*) Prędziej... bierz czapkę... puśćcie go!... (*Zażywa tabakę i kicha*). Cicho! cicho!... dziękuję wam, ale cicho!... a co Puchała! już się wrócił?... gdzie chustka?... nie ma?... wszystkie w praniu?... Uhm!... No!... Cwancygier, powiedz ty! *sage du ihm*, jakiego rodzaju zwierzęciem jest koń? Co?... *das Peerd?*... ale nie! – uważaj!... *Ich frage nicht*... jakiego rodzaju gramatikalisch, sondern ob es gehört zu den Säugethieren oder zu den Wiederkäuern?... *Zu den Säugeth...* no... widzicie!... dobrze!... a pamiętasz ty o tem, com ci... nie zapomnij!...

Wymieńcie mi teraz... *aufzählet mir drei Haustiere*... trzy zwierzęta domowe!... No! Sroka!... trzy zwierzęta domowe... koń, dobrze... *das Pferd*... *Noch zwei Haustiere!* – jeszcze dwa... ty nie wiesz?... następny... *folgender, folgender*... ty z kraju... żaden nie wie? Cwancygier, powiedz im *zwei Haustiere*, wymień dwa zwierzęta... co? dwie gęsi?... Cicho! nie śmiać się... Dobrze, Cwancygier!... *Du hast einen speculativen Geist*... ty daleko zajdziesz... Ale ja chciałem, żebyś mi wymienił po jednym, dwa różne zwierzęta domowe... *zwei verschiedene*... i dlatego tylko jedną gęś przyjmę od ciebie... Co takiego?... powiesz tatkowi, to tatko mi

przyśle?... ale nie!... Patrzajcie! nie zrozumiał mnie, myśli, że ja chciałem, żeby jego tatko gęś dla mnie!... Nieee!... ja biorę jedną gęś od ciebie od tych trzech zwierząt, a zatem koń – *ein Pferd*... gęś – *eine Gans*... i jeszcze jedna! ... przypomnij sobie, co tak meee... *mit einem Barte*... no!... koza... dobrze!... *ein Ziegenbock oder eine Ziege*... *Genug* Cwancygier!...

*Saget mir jetzt, was ist die Hauptnahrung des Menschen*... co jest głównym pożywieniem człowieka?... kto wie?... ty!... kartofle?... kartofle – *ja, es ist eine Nahrung, aber ich frage um die Hauptnahrung*... o główne pożywienie człowieka... Cwancygier... no!... Gęsina? Nie śmiać się!... Dobrze moje dziecko!... *Gęsina ist auch eine Nahrung!*... ale nie każdy jada gęsinę!... *und ich frage im allgemeinen!*... No! pomyśl trochę!... *du bist schon auf gutem Wege*... to co po rosole!... mię... mię... mięso... widzisz! mięso!...

(*Patrzy na zegarek*). *Noch fünf Minuten!*... jeszcze mamy trochę czasu!... (*Szuka oczyma*) Ty!... powiedz mi jak nazywa się to bydłę, które ciebie żywi i okrywa?!... Nie podpowiadaj mu tam, ty drugi!... wyłaż spod ławy!... zaraz!... No!... was? Jak się nazywa bydłę, od którego masz pokarm i odzienie? *Die Nahrung und die Kleider?*!... Co? Ojciec? *Setze dich, siadaj ośle!* (*Biegnie do stolika*). *Dritte Klasse aus den Sitten, Lumppeiner*... będziesz repetował... (*zapisuje*) O ty ośle jeden... *o hebes hebetis! asinus asinorum, in secula seculorum*... (*urywa nagle*) który z was tam powiedział: „Amen”? *Welcher von ihnen hat „Amen“ gesaget?*... to w tym kącie... tam... dobrze słyszałem!... Jak mi się zaraz nie przyzna, wymierzę mu większą karę... Ty?... ty? lamparcie?... *To lernen kannst du nicht, Lump einer, ale dowcipki machen ja? Dritte Klasse*... (*Pisze*). *Wegen fortwährenden „Polnischsprechen“ und andere Lumpereien*... Tak! *zwei Dritte*... *machen Zweite*... będziesz repetował, nygusie jakiś!...

A! teraz sobie przypominam, mieliście tutaj niedawno na zadanie domowe własnymi słowami opisać, com wam w szkole opowiadał: „Jak się łowi lwy w puszczy afrykańskiej”?... Czy wiecie, co ten nicpoń napisał?... że się pustynię bierze w przetak i trzęsie się... pustynia – pisze – wyleci, a lwy zostaną... A ty lamparcie jeden, kto ci to podyktował, bo to ty sam sobie tego nie tego... co?... korepetytor twojej siostry?... aa!... to on ją tam ładnie wykorypetytuje! Powiesz ojcu, żeby tu do mnie jutro przyszedł, rozmówić się chcę z nim za tablicą! A także żebyś sobie wiedział, że tego roku nie poniesiesz sztandaru na *majalis* za karę... Cwancygier, ty będziesz niósł sztandar, *du wirst die Fahne tragen!*... Masz bęben?... *du hast schon eine Trommel na majalis?*... Nic nie szkodzi, będziesz bębnił... a przytem będziesz niósł fanę... *weil du fleissig bist!*...

Ty!... mały, ty... w tym ładnym surduciku... czem twój ojciec jest?... ha... Niczem... Jak to niczem?... Macie wieś!... aha!... a to ładnie, *das ist sehr schön*... I czemuż to twój tatko nigdy do mnie nie zajrzy dowiedzieć się o ciebie?... ha?...

Ojciec Cwancygiera bywa... to też ma pociechę... *siehst du lauter Eminenzen und Ademinenzen* w katalogu... tak... tak... powiedz taciowi... kłaniaj się... niech raczy mnie odwiedzić... ty tu masz dobre klasy...

Puchała!... przesadzisz go do pierwszej ławki... od jutra będziesz siedział w pierwszej ławce, bo ja widzę, że ty masz zdolności... (*po chwili przed innym uczniem*). A u was wczoraj bili wieprza... prawda?... Widzisz, jak ja to wiem... Słyszałem kwik przechodząc... będziecie robić kiełbasy... ha?... i kiszki? *die Kiszken und die Kiełbasen*... prawda? będziesz zajadał!... No!... *empfehle mich deinem Herrn Vater!* (*Patrzy na zegarek*).

U!... dwie minuty po godzinie!... (*z pośpiechem*). Na przyszłą godzinę wyłożę wam o jajku Kolumba... *von dem Kolumbusei*... z geografii...

Żeby mi każdy z domu przyniósł jajko... będę wam demonstrował!... Co takiego?... jak kto nie będzie mógł przynieść jajka?... hm!... no to niech przyniesie takiego kształtu kawałek masła, na tem także można pokazać... Co? może być i większy... może... tylko żeby było świeże, pamiętajcie!... Modlitwa! (*Przypomniawszy sobie*) Ale prawda!... Wychodzić z klasy spokojnie, nie rozbijając się... Wczoraj widziałem któregoś lamparta, jak siedział sobie na baryerze od schodów *und ist so auf der Barriereheruntergeritten*... a ojciec kupuje... tego – a ty drzesz?... Niech to jeszcze raz zobaczę!... Pamiętaj uważać, Puchała, żeby wszyscy do domu szli piechotą, *und auch dass einer den anderen nicht herumstosse!*... nie popychać mi się!... *Es ist jezt eine regnerische Zeit*... niepogoda... Kucharki po trotoarach stawiają balie na deszczówkę, *weil sie das Regenwasser fangen wollen*... któren się pośliznie, wpadnie do wody *und es wird dann eine schöne Sache daraus*, jak w gazetach będzie stało, że chłopak z pod pana profesora Kałamarzewskiego *ist in einer Balia ertrunken!*... Kiedyś właśnie jednego na czas jeszcze za kołnierz wyciągnęli...

Puchała, mów pacierz!... (*Przy pacierzu jak z początku*). A teraz wychodzić!... Cwancygier zostań!... (*do innych*) Co... czemu nie wychodzicie?... dalej (*bierze Cwancygiera na bok, w czapce na głowie mówi półgłosem*) Więc powiedz tatkowi... *dieser*... Tokaj... co to na Boże Narodzenie... wiesz... *diese sechs Flaschen*... więc to uważasz jest próżne... dlatego jeżeliby można, to panie, *noch einmal sechs Flaschen!*... rozumiesz?... A także ten Ruster!... *dieser Ruster, co für meine Frau, das hat ihr gut geschmecket* – to także poproś... *zwei Flasehen*, bo sobie bardzo chwaliła żona (*na stronie*) Ec... czego ci potrzeba... do domu!... nie zatrzymywać się!... (*do Cwancygiera*) Kłaniajże się tatkowi bardzo pięknie ode mnie... (*daje mu rękę do pocałowania, idzie do drzwi tu się odwraca*) Puchała, zamykaj klasę!... (*wychodzi*)<sup>195</sup>.

<sup>195</sup> G. Fiszer, *Pan Kałamarzewski, nauczyciel szkół elementarnych starej daty. Obrazek sceniczny*, Wydawnictwo „Kultura i Sztuka”, Lwów 1928, s. 3–30.

**Przykład 145. Jerzy Paczkowski – *Mój syn* (1928)**

Wymieniony w tym wierszu Michałek, kilkunastoletni chłopiec wiejski,omalże nie odegrał w swojej wsi na Lubelszczyźnie tej roli, którą, siedemdziesiąt lat przed nim w Lourdes, odegrała z takim powodzeniem Bernardette Soubirous. Małego wizjonera, który przez parę tygodni był bóstwem służby domowej i reporterów, oddano do zakładu dla niedorozwiniętych dzieci – i widzenia jakoby ustały.

Wiersz „Mój syn” powstał w epoce, kiedy „odstawiona niedawno od cycka narodowa młodzież akademicka” urządziła, z nieznanых bliżej powodów, sławne blokady kin i teatrzyków, zwłaszcza zaś teatru „Qui pro quo”. Autor przyznaje zresztą, że nie bardzo mu było z mentorstwem do twarzy, w owym bowiem czasie liczył sobie wszystkiego dziewiętnaście lat.

Niech mu to będzie poczytane dzisiaj za okoliczność łagodzącą.

Mój syn ma dziewiętnaście lat,  
W tym wieku (gdzie te czasy?!)  
To się dopiero wchodzi w świat  
I czerpie jego krasy.

Lecz, żeby kto powiedział mi.  
Gdy był w dziesiątej wiośnie,  
Z takiego ojca, z zacnej krwi!  
Że taki-syn wyrośnie!...

Wtedybym chyba gościa w pysk:  
Niech szczeka pode drzwiami!  
A jaki dziś mam z syna zysk,  
Że splendor rodu plami?

Łudziłem się przez szereg lat,  
Gdym na naukę łożył,  
Że synek pójdzie w ojca ślad,  
Zapisze się do Łoży.

Tak! Spróbuj dać mu tajny znak  
Jak człowiek do człowieka,  
To cię w „Dwóch Groszach”, niech go szlag!  
Jak rudy pies obszczeka.

Mówię mu: „Synu, *entre nous*.  
Nic wstyd ci w takiej szmacie?”.  
On w krzyk: „Sam Dmowski pisał tu,  
Zresztą, co wy się znacie?!”.

Reformę rolną w dyskurs wsadź.  
Ot tak, między innemi,  
To zaraz woła: – Wszyscy wstać!  
I grzmi: „Nie rzucim ziemi!”.

A za „Brygadę” gotów tłuc!  
Nie mów o Belwederze,  
Bo ci odpowie: „Co za wódz,  
Co wszystkich ma w derjerze?”.

Chcąc ojca zgiewa *coute one coute*  
Pyta zjadliwym sykiem:  
„Ile ci płaci Wielki Wschód  
Za to, żeś piłsudczykiem?”.

Gotów jest nawet pobić mnie,  
Gdy nazwę starym gratem  
Kogoś z hetmanów O.W.P.,  
Ale nie koniec na tem!

Aż ciężko mówić! Szkoda słów:  
Żarliwy jest jak jędza  
I z namaszczeniem słucho mów  
Nowakowskiego Xiędza.

Michałka to mi nie da tknąć  
I z pyskiem do mnie zaraz:  
„Jak chcesz, tak sobie krajem rządź,  
Lecz od ołtarzy – wara!”.

Ach, straszny z mego syna kiep,  
Wszystkiego mu za mało.  
Czapeczką śmieszłą zdobi łeb,  
Nosi się z grubą pałą.

Jak „do głębi dotknie” co,  
Na nic tu *professores*, –  
Rozbija teatr *Qui pro quo*  
I *vivant boni mores!*

Pójdzie na Gęsią Żydów bić  
Lub protest gdzie założy,  
A ty się potem, ojczy wstydz  
Przed kolegami z Łoży!

Pouczam syna raz po raz:  
„Zastanów się człowieku,  
Na praworządność przyjdzie czas,  
Gdy będziesz w moim wieku.

Endekiem chcesz być wchodząc w świat,  
Już dziś cię ludzie winią,  
To za dwadzieścia parę lat  
Czem będziesz? – Starą swinią!

Słuchaj, obrazie wszystkich cnót,  
Nie na tom ciebie spłodził,  
Byś mi o ideałach plótl,  
Byś mi się tak wyrodził!”.

I miej tu dzieci! Pal je czart!  
A przytem zapominam  
Zaznaczyć, że to wszystko żart.  
Ja wcale nie mam syna.

Ho! Gdyby syn mój taki był  
I z takim we łbie ćwiekiem,  
Dopierobym go w skórę bił  
Za to, że jest endekiem!<sup>196</sup>

---

<sup>196</sup> J. Paczkowski, *Mój syn*, [w:] tegoż, *Na ostrzu noża. Satyry*, Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa 1935, s. 19–22. Jerzy Paczkowski publikował m.in. w „Cyruliku Warszawskim”, „Kulturze” i „Wiadomościach Literackich”, wzorując się na „Rzeczpospolitej Babińskiej” Jana Lechonia, u którego terminował. Jego charakteryzujące się dydaktyzmem utwory

**Przykład 146. Czesława Wolniewiczówna – *Ucz się człeku* (1928)**

Ucz się, człeku, ucz!  
Oto wiedzy klucz.  
Ucz się człeku, ucz!  
Oto wiedzy klucz.

Czego umysł nie zrozumie,  
To otworzyć ten klucz umie!  
Cyt, cyt, cyt, wiedzy szczyt.

Ucz się, człeku, ucz!  
Czarodziejski klucz.  
Ucz się człeku, ucz!  
Czarodziejski klucz.

Wszelkie skarbcce ci otworzy  
I fortuny ci przymnoży!  
Cyt, cyt, cyt, bogactw szczyt!

Ucz się, człeku, ucz!  
Oto szczęścia klucz.  
Ucz się człeku, ucz!  
Oto szczęścia klucz.

Kto na wiedzy stanął szczycie,  
Śmiało pójdzie poprzez życie,  
Cyt, cyt, cyt, zdrów i syt.

Ucz się, człeku, ucz!  
Powodzenia klucz...  
Ucz się człeku, ucz!  
Powodzenia klucz...

---

z dopiskami zawierającymi wyjaśnienia okoliczności napisania mają szczególną wartość gelotologiczną. Zawierają elementy będące wyrazem wsparcia twórcy dla czytelników, aby byli w stanie zrozumieć okoliczności ich komizmu. Por. przykład 158.



Ludzkie serca ci otworzy  
I przyjaciół ci namnoży,  
Cyt, cyt, cyt, kwita kwit<sup>197</sup>.

**Przykład 147. Jerzy Paczkowski – *Poezja w opracowaniu dla młodzieży szkolnej (1929)***

Pragnąc naszym milusińskim ułatwić zaznajamianie się z pomnikami literatury pięknej, a z drugiej strony chcąc oszczędzić pracy pedagogom, postanowiliśmy zwrócić się do poetów z apelem, aby odtąd każdy swój utwór uzupełniali wierszowanym komentarzem własnego pióra. Od słów – do czynów! Oto przykłady:

I  
Per aspera ad astra  
*Zaledwie wszędzie szary dzionek,  
Który rozwiewa mgieł welony.  
(3) Siadam do pracy jak szalony  
I nucę, nucę by skowronek.*

*Hej, ty codzienna szara praco,  
Którą wykuwam dłonią hardą!  
Czem ludzie za cię mi zapłacą?  
Ha, ha! Zawiścią i pogardą!*

W myśli przewodniej utworu  
Poeta nader się żali.  
że zapłacili mu wzdardą,  
A honorarium nie dali.

Niech uczeń zwróci uwagę  
Przy artystycznym rozbiorze  
Na poetyckie przenośnie  
Rozsiane po tym utworze;

Te „mgieł welony” na przykład  
Czy są użyte tak sobie?

<sup>197</sup> C. Wolniewiczówna, *Ucz się człeku*, [w:] tejże, *Wieczór humoru*, Biblioteka Wieczornicowa, Zjednoczenie Młodzieży Polskiej, Poznań 1928, s. 39–40.

I co ma znaczyć skowronek  
Użyty w trzeciej osobie?

Z tą mgłą to właśnie przenośnia  
Że taka brudna jak welon.  
Zaś jak skowronek się ludzie  
Przy zbożnej pracy weselą.

Że praca lekką nie była  
Widzimy chociażby z tego,  
Że ją poeta od rana  
Musiał wykuwać (Dlaczego?!)

Wiersz ten (pisany pod wpływem  
Kończyca oraz Bajrona)  
Jakie porusza problemy  
I o czym chce nas przekonać?

Że gdy szlachetna pobudka  
Raz w naszym sercu zagości,  
Winno się dążyć i z pracy  
Czerpać nadzieję przyszłości.

Uwaga ad (3)  
Szalony – tej metafory  
Użył poeta nasz po to,  
Aby mieć rym do „welony”,  
Bynajmniej nie był idiotą!

## II

Smęt nad otchłanią  
(dla dojrzałszej młodzieży klas wyższych)

*Ach, gdzież się za podziały mej młodości skrzydła,  
Za pośrednictwem których wlatywałem w wyże?  
Dziś, sterany siwizną, zali się poniżę  
Do poziomu Twych chuci, hałastro obrzydła?!  
Cyt, serce! A Ty, duszo niż lot. Szkoda zdrowia.*

*Kwiat Twych natchnień uszczknięty u rajskich rubieży  
Znów-li ma stać się karmią ludzkiego pogłowia?!  
Przebóg!! Raczej się stoczyć w odmęty lubieży!...*

W wierszu tym mówi poeta,  
Że z jego zdrowiem jest gorzej:  
Chciałby, jak dawniej, ulecieć,  
Lecz w żaden sposób nie może.

„Gdzież moje skrzydła? zapyta –  
Ja chcę napisać poema!”  
Męczy się, szuka. Tymczasem  
Skrzydeł jak nie ma tak nie ma.

Widząc, że tak z nim nie tego  
A czytelnika chcąc wzruszyć,  
Zwraca się najpierw do serca,  
Po pewnej chwili do duszy.

Łagodnie, ale stanowczo  
Poeta duszę swą prosi,  
„Zniź lot – powiada – nie warto!”  
A ją furt w niebo ponosi.

Zirytowany poeta,  
By duszy zapal uśmierzyć,  
Zaczyna straszyć, że przez nią  
Stoczy się w odmęt lubieży.

Duszy w to graj, oczywiście  
I śmiech ogarnia ją pusty.  
Lubież – jak uczniom wiadomo  
To gorszy rodzaj rozpusty.

Dlaczego autor się skalał  
Tem słowem nieestetycznym  
Bo chciał mieć w swojej puencie  
Tak zwany zwrot erotyczny.  
Bo, żeby serio tak myślał,

Dotąd krytycy nie wierzą;  
Skąd? Taki zdolny poeta  
Z taką ohydną lubieżą?!

Zresztą, na pierwszy czterowiersz  
Czytelnik okiem niech rzuci:  
Wieszcz nie ma słów oburzenia  
Dla żądz nikczemnych, dla chuci!

A teraz, kiedy uczniowie  
Wszystkie poznali sekrety,  
Niech w domu wykres sporządzą:  
„Walka wewnętrzna poety”.

Z przytoczonego utworu.  
Poprzez gry słów, porównania,  
Przenośnie, rymy i rytmy,  
Jakiż się morał wyłania? –

Poskramiać niskie popędy.  
A kiedy przyjdzie potrzeba.  
W godzinach wolnych od lekcji  
Piąć się ku wyżom – do nieba!

Utwór powyższy nie jest, jakby się zdawać mogło, parodią belferskich wykładów. Tak właśnie, chociaż prozą uczono „czytać i rozumieć” poezję – w czasach, kiedy autor był zesłany do szkoły średniej<sup>198</sup>.

### **Przykład 148. Piotr Choynowski – *Kino i dzieci* (1930)**

Ostatniej niedzieli byłem w kinie na popołudniowym przedstawieniu. Dawano farsę amerykańską z Haroldem Lloydem. Na pięć przed czwartą poczekalnia zapchana już była dzieciarnią. Całe to towarzystwo miało oczy wlepione w drzwi przybytku i aż nogami drygało z niecierpliwości. Nic dziwnego. Bo za temi

---

<sup>198</sup> J. Paczkowski, *Poezja w opracowaniu dla młodzieży szkolnej*, [w:] tegoż, *Na ostrzu noża...*, dz. cyt., s. 27–31. Por. G. Wasowski, *PKP, czyli poczet królów Polski*, Wydawnictwo Garamond, Warszawa 1996; tenże, *PKS, czyli przegląd ksiązek szkolnych*, Prószyński i Ska, Warszawa 1997.

drzwiami inny komplet „młodzieży” napawał się właśnie sztuką Harolda Lloyda: co chwila dochodziły stamtąd salwy chóralnego śmiechu tak potężne i radosne, że w poczekalni wywoływać musiały dreszcz entuzjazmu. Jakże tu ustać spokojnie? Kiedyż zaczniesz się dla nas wreszcie!

Portierzy dali przecież znak ręką – i w sekundę zdobyliśmy salę jak redutę. Zdobywałem i ja, bo wydało mi się nagle, że też mam lat dziesięć. Potem dłuższą chwilę szukaliśmy i nawoływaliśmy znajomych po sali, oraz przebiegaliśmy po cudzych nogach do coraz innego rzędu krzeseł. Nikt się za to nie obrażał: trzeba przecie starannie wyszukać miejsce, z którego „najlepiej widać”.

Co do mnie, usiadłem obok starszego już towarzystwa, w wieku lat może dwunastu, złożonego z dwóch uczniów i dwu dziewczynek. Jako dorośli, przyszli bez rodziców, boć to i taniej. Mój sąsiad, pucułowaty blondynek, przyszedł nawet dość wcześnie, bo na pierwsze przedstawienie, o 2-ej: teraz miał wspólnie z przyjaciółmi oglądać program po raz wtóry.

– A nie znudzisz się, Kaziu? – pisnęła któraś z dziewczynek.

– Ja? – obraził się prawie. – Ja? Siedziałbym i na trzecim, tylko mi „starzy” kazali wcześniej wracać. Zobaczycie, jakie to śliczne! Zobaczycie!

Trąciłem koleżkę Każka łokciem. Sza! sza! śliczność rozpoczęła się właśnie. Zgasło światło, zagrała okropnie wesoła muzyka i Harold Lloyd zaczął nas bawić swoim naiwnym humorem. Źle mówię – „bawić”. Jakie tam „bawić”! To starsi „bawią się” w salonie. My pękaliśmy ze śmiechu! Ryczeliliśmy z radości jak stado młodych słoń! Zarykiwaliśmy się wprost! Zarykiwaliśmy się od początku do końca! Bo wszystko w tym filmie rozumieliśmy doskonale. Chodziło o przygody młodzieńczego studenta, co to chciał zostać ulubieńcem i chlubą całej szkoły. Studentem tym był – oczywista – Harold Lloyd. Taki głuptas, taki niedorajda i chce zostać chlubą całej szkoły! My z Każkiem wiedzieliśmy od razu, że mu się to nie uda! Bo i cóż to był za osioł! Podrygiwał jakoś dziwnie, wечно wpadał, wszyscy go nabierali i ciągle brał lanie. Och, to lanie! Jakież było śmieszne! Zaśmiewaliśmy się, byliśmy dla Harolda Lloyda bezlitośni! Gdy raz, przy jakichś „wyczynach” sportowych, dostał szczególnie mocno w ucho, któryś z widzów na galerii aż gwizdnął w palce z zachwytem. I pomyśleć tylko, że ten Harold Lloyd kochał się przy tym! Kochał się i nawet całował ze dwa razy. Moim chłopcom wydawało się to szczytem komizmu – ryczeli. Dziewczynki zachowywały się wówczas znacznie powściągliwiej i słyszałem jak jedna powiedziała wtedy „ach!” ze zdziwieniem. Zresztą, wszystko było wspaniałe. I mnie podoobało się tak bardzo, że musiałem podzielić się z Każkiem swym wzruszeniem.

– Klasa, co?! – rzekłem.

Nie spojrzął na mnie, bo patrzył na ekran, ale odpowiedział po męsku: – Klasa, psiakrew!

Dopiero podczas przerwy przyjrzał mi się nieufnie. Nie wydawało mu się, że i ja mam lat dwanaście. Zaraz też zawołałem chłopca z czekoladą i kupiłem dwie bomby: jedną dla niego, drugą dla siebie. Jedliśmy i rozmawialiśmy o filmach:

– Ten film, to chyba najładniejszy? – pytałem podstępnie.

– E, nie! – odparł bez wahania. – Najładniejszy – to „Złodziej z Bagdadu”. Choć i ten „klawy”. A „Robin Hood’a” pan widział? Historyczny z Fairbanksem?...

Nie czekał zresztą na odpowiedź, tylko zawołał „psst”, bo światło zgasło znowu. Zaczęła się część druga. Harold Lloyd cierpiął teraz przez chwilę: brutalnie otwarto mu oczy, wykazując, iż od początku był nie chlubą, tylko pośmiewiskiem całej szkoły. Harold Lloyd cierpiął i był straszliwie komiczny.

Ale, o dziwo! Nikt na sali nie śmiał się z tego komizmu. Milczeliśmy i my z Każkiem. Milczeliśmy, bo wiadomo nam było od dawna, że z Harolda – choć jest osioł i niedojda – wcale „porządny chłop”. Było go nam żal, nam i całej sali. Pękaliśmy dopiero w ostatnim akcie, gdy znowu brał wały. To trudno! Niech nie udaje bohatera, kiedy jest „fajtłapa”. Na bohatera trzeba się urodzić. Zresztą, wały są zawsze śmieszne, a cierpienie moralne nie śmieszy nas z Każkiem nigdy, o ile je rozumiemy.

– Kochany Haroldzie Lloydzie! Dziękuję ci serdecznie za to niedzielne popołudnie. Jesteś niezwykle miły i przemiły masz widownię. Domyślasz się już pewnie, że miałem pisać o olbrzymim wpływie kina na młodzież<sup>199</sup>.

**Przykład 149. Wiktor Budzyński – *Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Rozmowa o dzieciach z repertuaru Mieczysława Monderera i Adolfa Fleischera (1930–1936)***

Untenbaum: Panie Aprikosenkranc, co pan tyle papierów dźwiga pod pachą?

Aprikosenkranc: To nie są żadne papiry, to jest przyszłość moich dzieci.

Untenbaum: Pożyczka inwestycyjna?

Aprikosenkranc: Tak pan dobrze życzysz moim dzieciom?

Untenbaum: Gotowe się okazać, że jest to papier higieniczny... To też przyszłość, wprawdzie nie promienna, ale przyszłość, cel...

Aprikosenkranc: Uś, przyziemniak! Niski człowiek! Czytaj pan, co to za papiery!

<sup>199</sup> P. Choynowski, *Kino i dzieci*, [w:] tegoż, *Rzeczy drobne i zabawne*, nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1930, s. 34–38.

Untenbaum (czyta): Projekt propozycji schematycznego planu, ewentualnie pracy pedagogiczno-wychowawczej dla szkół powszechnych... Uj, okropnie długi tytuł, a w ogóle nic z tego nie rozumiem!

Aprikosenkranc: To jeszcze nic! A tutaj poczytaj pan, na tym drugim papierze!

Untenbaum (czyta): Rozkład materiału naukowo-wychowawczo-pedagogiczno-encyklopedycznego na klasę drugą... Bój się pan Boga, panie Aprikosenkranc, na co panu tego?!

Aprikosenkranc: Początek roku szkolnego. Moje dzieci muszą mieć wykształconego ojca. W szkole mi poradzili na konferencji, żebym sy kupił cały materiał profesorski. Trzy złote i dwadzieścia groszy mnie kosztowała ta wiedza. Ale wim przynajmniej teraz, co ja mam za moje pieniądze od dzieci wymagać!

Untenbaum: Już pan wi?

Aprikosenkranc: Wim tyle, co profesor!

Untenbaum: Niech ja słyszę!

Aprikosenkranc: Po co panu tego, przecież pan nie ma dzieci.

Untenbaum: Mogę mieć. To dzisiaj jest najtańsza produkcja przy najmniejszym ryzyku.

Aprikosenkranc: Dajmy na to, że pan już masz czworo dzieci...

Untenbaum: Dajmy na to, że pan szlag już trafił...

Aprikosenkranc: To wtedy zapiszę panu moich czworo dzieci. Na razie Iziom zapisany jest do drugiej klasy, Miciutka – do czwartej, Olgierd do szóstej, a Rózia jest w siódmym...tfju! – te...w siódmej...

Untenbaum: Ho, ho! To pan masz w sobie całe grono nauczycielskie!

Aprikosenkranc: Pan wi, ja na stare lata umiem na wyrwyki cały materiał od drugiej do siódmej klasy i po prostu, obydwójce z Sabiną, żyjemy jak ciało profesorskie...

Untenbaum: Stosunki są miłe?

Aprikosenkranc: Przymusowo wymuszone, aby żyć!

Untenbaum: Ma pan w domu szkołę, co?

Aprikosenkranc: Panie Untenbaum, pan by nie poznał mego domu. U mnie dzień i noc nad łóżkiem wisi mapa... Ja przez sen mogę po omacku położyć rękę na Madagaskarze... A u Sabiny na nachkasliku całą noc stoi globus. Uwierz mi pan, od tego czasu zbrzydła mi cała kula ziemiska...

Untenbaum: I kręci się pan ze złości dookoła własnej osi... Ja rozumiem!

Aprikosenkranc: Codziennie o szóstej rano zaczynam z dziećmi lekcje praktyczne...

Untenbaum: Według tych papierków?

Aprikosenkranc: Ale skąd! Kto te papierki zrozumie?

Untenbaum: Jak to? Kosztowało trzy złote dwadzieścia i pan tego nie rozumie?

Aprikosenkranc: Ani słowa.

Untenbaum: A w szkole rozumieją?

Aprikosenkranc: Co, grono profesorskie?

Untenbaum: Właśnie. Czy grono rozumie?

Aprikosenkranc: Jak grono nie rozumie, to jest winne, a jako winne grono podpada pod przepisy i szlus! I co im pan zrobisz?

Untenbaum: Czytaj pan kawałek z tych planów!

Aprikosenkranc: To są hasła i zagadnienia klasowe: „Chcę być zdrowym i czystym”.

Untenbaum: Pan? Komu pan kręci głowę na stare lata?

Aprikosenkranc: Cicho! Przeczytałem panu pierwsze hasło.

Untenbaum: A odzew?

Aprikosenkranc: Odzew? W gębę się daje! Następny punkt: „Nasza kultura w obrazach”.

Untenbaum: Obrażają naszą kulturę?

Aprikosenkranc: Kraj – obrazy...

Untenbaum: Obraza kraju...? Za to się dostaje sześć miesięcy aresztu bez zamiany na grzywnę!

Aprikosenkranc: Mało było nieszczęścia z hasłami, to w dodatku Izio w poniedziałek został prezesem klasowego kółka ochrony przyrody, a Rózia skarbnikiem gminy...

Untenbaum: Królewsko-stołecznego miasta Lwowa?

Aprikosenkranc: Oj, panie Untenbaum! Pan by zaraz chciał magistrat cały mieć w domu. W klasie została skarbnikiem, w klasie! Panie, co ja miał z tego powodu przykrości! Izio kazał wszystkim dzieciom w naszej kamienicy mówić do siebie: – Panie prezesie! – i dostał za to kasztanem w oko, a Rózia zrobiła mi w gminie manko na pięćdziesiąt pięć groszy...

Untenbaum: Uś, co to za manko? Zdarza się bardzo często... No i co?

Aprikosenkranc: Prezes gminy był u nas z wizytą w tej sprawie.

Untenbaum: Pi, pi! Sam prezydent gminy Lwowa?

Aprikosenkranc: Ciemniak z pana! Znowu się czepił magistratu! Z klasy prezes, z klasy, Lorcia Salcsztangel...

Untenbaum: No, ale pewnie z Miciutką i z Olgierdem ma pan święty spokój?

Aprikosenkranc: Ale skąd! Miciutka została przedwczoraj sekretarką komitetu klasowego tygodnia matki, a Olgierd natomiast – wicezastępcą tymczasowego członka zarządu klasowego tygodnia dziecka...



Untenbaum: Ona – matka, a on – dziecka? Okropne!

Aprikosenkranc: Właśnie! Mojej Sabinie się z tego powodu do reszty w głowie przewróciło... Ale, ale, ja sobie zrobię na najbliższych wakacjach, dzień ojca!

Untenbaum: Panie Aprikosenkranc, ja sobie z końcem lipca zrobiłem tydzień męża!

Aprikosenkranc: No i co?

Untenbaum: I z początkiem sierpnia, jak przyjechałem do domu to dostałem od Malwiny po pysku...

Aprikosenkranc: Pomagajmy sobie wzajemnie!

Untenbaum: Co znowu? W czym? Nie rozumiem!

Aprikosenkranc: Nic. To następne hasło. W imię tego hasła zacząłem pomagać moim dzieciom w nauce. Prowadzę cały katalog: z gimnastyki i stania bociana – dostatecznie...

Untenbaum: Pi, pi! To już teraz w drugiej klasie biorą stanie bociana?

Aprikosenkranc: Kto wytrzyma najdłużej na jednej nodze...

Untenbaum: Oczywiście dzieci kupców górą!

Aprikosenkranc: Z zabaw ruchowych – źle! Jedynie z podróży do Warszawy – bardzo dobrze.

Untenbaum: No, jak już chłopak umie jeździć do Warszawy to już w życiu nie zginie. Może nawet po drugiej klasie będzie jeździł pierwszą...

Aprikosenkranc: To wszystko była druga klasa. Idziemy wyżej! Miciutka Aprikosenkranc – klasa czwarta. Rysunki z wyobraźni – dobre...

Untenbaum: Co ona rysuje?

Aprikosenkranc: Rozmaicie. Narysowała na przykład, że ja idę z Sabiną pod rękę na spacer... No, popatrz się pan, co za fantazja!

Untenbaum: Powiedziałbym nawet, że to chorobliwa fantazja i do tego dopiero z czwartej klasy.

Aprikosenkranc: Zabawy i gry ruchowe – zadawałająco, szczególnie uzdolniona jest w zabawie zwanej – strzelec...

Untenbaum: To wielka satysfakcja mieć takie prorządowe dzieci!

Aprikosenkranc: W śpiewie – dostatecznie. Gamę majorową śpiewa dobrze, do góry ciągnie ciężko.

Untenbaum: Żeby tylko dociągnęła do pułkownika<sup>200</sup>, to już wystarczy.

Aprikosenkranc: Poza tym kult do przyrody i zbieranie kwiatków – zadawałająco. Przy okazji muszę powiedzieć, że raz trafiła na rydz!

---

<sup>200</sup> Kolejna aluzja do kolejnego rządu pułkowników.

Untenbaum: Oj, to bardzo trudne do trafienia. Ale jak to było?

Aprikosenkranc: Byli w lesie z całą klasą. Jak Miciutka mi opowiadała, były same grzyby, nagle – mówi Miciutka – patrzę, a w dali śmignął mi rydz<sup>201</sup>. Na to ja jej przerywam i mówię, że nie mówi się śmignął a mignął, tak jest poprawniej po polsku, więc Miciutka prędko pobiegła i zobaczyła wspaniałe zbiorowisko rozmaitych grzybów, a wśród nich królował jeden jedyny rydz. Zerwała go, no i została królową grzybobrania!

Untenbaum: Uś, to rzeczywiście nadzwyczajne! Ale, ale, przerwałem panu, pan chciał coś innego powiedzieć...

Aprikosenkranc: Ano właśnie! W zeszłym tygodniu to on śmignął przez Lwów i nawet Targów nie oglądał...

Untenbaum: Co? Co pan mówi? Nie rozumiem nic z tego. Kto śmignął?

Aprikosenkranc: Panie Untenbaum, cały czas mówimy o Rydzu, zapomniał pan?

Untenbaum: Aha, aha, tak!

Aprikosenkranc: No widzi pan, cały czas odchodzimy od tematu, od wątku rzeczy samej...

Untenbaum: A słyszał pan? Za to minister Rejchman<sup>202</sup> kupił na Targach szachy. I wie pan za ile? Za całe dwa tysiące pięćset złotych...

Aprikosenkranc: Takimi szachami, to się rozumie, łatwo dać mata!

Untenbaum: No, pewnie!

Aprikosenkranc: Przejdźmy do klasy szóstej. Olgierd Aprikosenkranc. Z nim największa zgryzota. Jemu źle idzie geografia. On wziął teraz Abisynię...

Untenbaum: Co? Może do spółki z kimś?

Aprikosenkranc: Nie na spółkę, a na rozum.

Untenbaum: Przepraszam, a jak mu idzie z historią?

Aprikosenkranc: Każda historia idzie ciężko, ale on jest celujący w historii. Tu kiedyś kazali im wyrysować bitwę pod Grochowem, mówię panu, jak on to ślicznie zrobił! Na lewo w Olszynie narysował pułk Czwartaków z pierwszej Brygady, na środku Kościuszko skacze przez Elsterę, a z prawej strony od strony Grunwaldu nadjeżdża stara lokalna kolejka grochowska... Czy to nie genialne?

Untenbaum: Nie przeczę. Ma chłopak wielki talent!

---

<sup>201</sup> Aluzja do nazwiska i pseudonimu Edwarda Rydza Śmigłego (1886–1941), polityka, legionisty, artysty malarza, marszałka Polski, najbliższego współpracownika Józefa Piłsudskiego.

<sup>202</sup> Henryk Rejchman-Floyar (ur. w 1893 r.), prawnik, legionista, dyplomata, poseł na sejm, był m.in. ministrem przemysłu i handlu (1935).

Aprikosenkranc: Tylko nie ma słuchu. Kiedyś w szkole kazali mu ze słuchu zaśpiewać: Ksiądz mi zakazał... Wi pan, co to znaczy brak słuchu? Co on zaśpiewał? Zaśpiewał: Rabin mi zakazał...

Untenbaum: A ćwiczenia cielesne?

Aprikosenkranc: Dwie godziny tygodniowo mają. Na razie biorą kończyny górne, z końcem tygodnia dojdą do kończyn dolnych...

Untenbaum: Będzie pan miał z nim wtedy kłopot...

Aprikosenkranc: Nie będzie kłopot. Napije się na noc ziółka albo gorzkiej wody.

Untenbaum: A co z Rózią?

Aprikosenkranc: Ja w ogóle Rózi nie widuję. W myśl nowego programu dla siódmej klasy, to one przez cały tydzień chodzą do gorzelnii, do mleczarni, do gazowni... Ja rodzzonego dziecka nie widzę całym dniami, a jak przyjdzie pod wieczór, to staje przed lustrem i ubiera na twarz maskę gazową, a w salonie ćwiczy zachowanie się w schronie...

Untenbaum: A jak jej idzie przyroda?

Aprikosenkranc: Panie, jej idzie dobrze, ale pan nie masz pojęcia, co się u mnie dzieje! Na parapecie suszy się szczaw, na firance wisi kwiat lipowy, w wazoniku śmierzdzi szczypiorek, bo ona musi ćwiczyć zajęcia praktyczne...

Untenbaum: I co pan na to?

Aprikosenkranc: A co ja mogę zrobić? Mało tego, ona chce od wtorku w naszej sypialni założyć pasiekę... Co pan na to?

Untenbaum: Pasieka, ule... Nic nie szkodzi. Przypomną się panu miodowe miesiące...

Aprikosenkranc: Daj pan spokój z hecami! Z ćwiczeń cielesnych to im w siódmej klasie wyznaczili dwie godziny tygodniowo na mocowanie się z dwójkami... Słyszał pan coś takiego?!

Untenbaum: I Rózia się mocuje?

Aprikosenkranc: Jeszcze jak! Nawet poza szkołą! Sabina na własne oczy widziała, jak tu kiedyś na schodach mocował się z nią jakiś akademik...

Untenbaum: Nadobowiązkowo, z własnej pilności! To się nawet chwali!

Aprikosenkranc: Przedwczoraj, to jej kazali nauczyć się – pływanie ciał... A ponieważ teraz taka panuje metoda, że wszystko, co masz się nauczyć, należy przeprowadzić praktycznie, więc cała moja rodzina musiała się na pokaz wykąpać, na oczach Rózi...

Untenbaum: Uś, to praktycznie... Przynajmniej raz wszyscy za jednym razem!

Aprikosenkranc: Pan sobie wyobrażasz mnie? Ja pływałem, ja nurkowałem, ja mydliłem się, ja się pieniłem pianą, a wszystko po to – niech się dziecko uczy!

Untenbaum: Taka nowoczesna metoda, wszystko na przykładach i na własne oczy...

Aprikosenkranc: Jej zadali tu kiedyś, z historii nauk społecznych – potrzeby podatków... Zilustrować konieczność podatków... Co robić, jak państwo potrzebuje pieniędzy z podatków... To wi pan, co ja zrobiłem?

Untenbaum: To bardzo ciekawe. Skąd mogę wiedzieć?

Aprikosenkranc: Nie płaciłem podatków i co? Dopuściłem do egzekucji! Niech dziecko wi, że ma ojca, co dba o jego wykształcenie. Niech dziecko na wszystko ma przykład we własnym domu!

Untenbaum: Uś, nowoczesny z pana ojciec!

Aprikosenkranc: Trudno! Tak ma być obecnie<sup>203</sup>.

**Przykład 150. Wiktor Budzyński – *Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Rozmowa o jeździe koleżeńskim z repertuaru Mieczysława Monderera i Adolfa Fleischera (1930–1936)***

Aprikosenkranc: Jak się panu podoba ten cały kongres, panie Untenbaum?

Untenbaum: Ja stary kongresowiak jestem, panie Aprikosenkranc, mnie się każdy zjazd podoba, żeby tylko mnie tanio kosztowało.

Aprikosenkranc: My tu kiedyś mieli zjazd maturalny 30-lecia. Mówię panu, panie Untenbaum, kogo tam nie było!

Untenbaum: Kogo? Kogo nie było?

Aprikosenkranc: Już jeden z naszych jest prokurator, pan wi? A dwóch siedzi w kryminale.

Untenbaum: No! Przynajmniej będą mieli poparcie koleżeńskie!

Aprikosenkranc: Mnie się w klasie przedstawił jakiś wysoki pułkownik od artylerii i mi mówi: – Benek, kogo ja widzę! Daj pyska!

Untenbaum: I dał mu pan?

Aprikosenkranc: Nie! Pójdę czekać na pana! Pan sobie zdaje sprawę? Pułkownik artylerii zwraca się wylewnie do mnie: – Benek! – i żąda całować! Uś, w oczach mi zamgliło. Ja wim? – myślę sobie, jak on do mnie: – Benek! – to może mi zniżą podatek dochodowy albo i nawet obrotowy, może mi zatrzymają egzekucję, co można wiedzieć?! Więc się wycalowaliśmy z dubeltówki.

Untenbaum: Czytali wam katalog?

<sup>203</sup> W. Budzyński, *Rozmowa o dzieciach*, [w:] W. Budzyński, J. Wasylkowski, *Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Dialogi i skecze z Wesołej Lwowskiej Fali*, Instytut Lwowski, Warszawa 2000, s. 164–171.

Aprikosenkranc: Czego nie czytali! Ponieważ był między nami kolega prokurator, to my czytali wszystko po kolei, począwszy od spraw dochodzeniowych, zeznania świadków, wyroki – cały czas my czytali. Po czym kolega prokurator zakończył przemówienie słowami: – Koledzy kochani! Cel uświęca środki! – i zaproponował zwiedzenie miejscowego kryminału.

Untenbaum: I wy poszli?

Aprikosenkranc: Cały zjazd poszedł z ochotą do kryminału!

Untenbaum: I tak też zdarza się, że wszyscy za jednego... Jednym słowem to wy byli taka sztafeta niby?

Aprikosenkranc: Sztafeta – nie! O sporcie wtedy nie było mowy.

Untenbaum: Ładnie było w kryminale?

Aprikosenkranc: Ślicznie! My zwiedzali ubikacje w stylu zapóźnego odrodzenia moralnego, podziwialiśmy ściany pokryte obrazami...

Untenbaum: Phi, phi! Nawet obrazy tam byli?

Aprikosenkranc: I jeszcze jakie! Słowne! Wyobraź pan sobie – słowne!

Untenbaum: Jak Zachęta<sup>204</sup>.

Aprikosenkranc: Zachęty były też... Węgłem pisane na ścianach!

Untenbaum: A czy nie widział pan przypadkiem kogoś ze znajomych?

Aprikosenkranc: Panie Untenbaum! Aż nie do wiary! Widziałem kupę znajomych, nawet paru wpływowych. W jednym z gabinetów siedział, hm, przepraszam za słowo – przebywał – znany wydawca!

Untenbaum: Wydawca czego?

Aprikosenkranc: Wydawca pieniędzy państwowych.

Untenbaum: No i co było dalej?

Aprikosenkranc: Potem my się wpisywali do książki pamiątkowej...

Untenbaum: A bankiet był?

Aprikosenkranc: Jeszcze jaki! Pan kolega prokurator wydał nawet doraźne śniadanie na naszą cześć, to znaczy z naszej okazji, a jak kto nie miał okazji, to szedł do domu. Bardzo fajne było to doraźne śniadanie!

Untenbaum: To rzeczywiście nadzwyczajne!

Aprikosenkranc: Wszystko było na sposób amerykański, to znaczy zwolniony... Im pomalej, tym bardziej fasonowe...

Untenbaum: Takie rozwolnione śniadanie, w takim lokalu i z takimi kolegami, to rozumiem, to może zaimponować. A co podawali?

Aprikosenkranc: Zaczęło się od przystawki tak zwanej śledczej... Mówię panu, to było piękne wprowadzenie w nastrój konsumpcji. Następnie, normal-

---

<sup>204</sup> Towarzystwo Zachęty Przyjaciół Sztuk Pięknych, zwane popularnie Zachętą.

nym tokiem sprawy, wszystko szło bardzo wolno – więc była zupa żółtowa, to tak a propos „wolno”... Dalej pierogi leniwe, fuszowana kaczką, duszone podatki, przepraszam, ziemniaki... A na leguminę podano moratorium na kwaśno...

Untenbaum: Przepraszam, co to za legumina?

Aprikosenkranc: No wie pan! Taka kwaskowata przyprawa leguminowa, bardzo dobra!

Untenbaum: To jest menu, proszę siadać!

Aprikosenkranc: Toteż nikt nie mógł wstać. Aż w końcu podali starego węgrzyna...

Untenbaum: Przepraszam, a w jakiej roli?

Aprikosenkranc: W ogóle bez roli. Do picia omszała butelka.

Untenbaum: Były przy tym mowy?

Aprikosenkranc: Tak. Prokuratorska.

Untenbaum: O czym mówił?

Aprikosenkranc: Rozmaicie... Było i o trzydziestu latach, że ława...

Untenbaum: Przysięgłych?

Aprikosenkranc: Panie Untenbaum, to był zjazd koleżeński... Ława szkolna, że hej, ła za się w oku kręci...

Untenbaum: I kręciła się jemu?

Aprikosenkranc: Skądżesz znowu! To się tylko tak mówi, jak opowiada się coś bardzo rozczulającego. Na końcu kolega prokurator wznosił staropolski toast – „Szukajmy się!”.

Untenbaum: Wy coś śpiewali?

Aprikosenkranc: Naturalnie. W pierwszym rzędzie – ja ze Zdzisiem!

Untenbaum: Z którym Zdzisiem?

Aprikosenkranc: Pokazało się, że ten pułkownik od artylerii nazywa się Zdzisiu... Więc my ze Zdzisiem zaintonowali starą polską piosenkę „Idzie żołnierz borem lasem, aż do ministerstwa zajdzie może z czasem...” Koledzy ze szkolnej ławy, prokurator i redaktor codziennego, bardzo poczytnego pisma zaaranżowali z miejsca piękną zabawę w cenzurowanego...

Untenbaum: Strasznie miłe chwile! Och te lata szkolne, dziecinne!

Aprikosenkranc: Nastrój był przewyborny, a w dodatku zebrana w kąciku orkiestra policyjna zagrała nam ostatni przebój sezonu – „Dwa bez atu...”.

Untenbaum: Bezczelność! Przy takich asach tylko dwa bez atu!

Aprikosenkranc: Potem, na wniosek kolegi sędziego śledczego została wybita druga strona medalu pamiątkowego – i wreszcie zaczął się raut przy drzwiach zamkniętych...

Untenbaum: Od czego się to zaczęło?

Aprikosenkranc: Ma się rozumieć – od poloneza, w którym w pierwszej parze prowadził kolega prokurator...

Untenbaum: A walczyk był?

Aprikosenkranc: Naturalnie! I to jaki! Aranżował jego Zdzisiu. To był walczyk z figurami. Zresztą, jak on go już aranżował, to musiał być z figurami i to w dodatku z wysokimi figurami. Nie wolno było iść na prawo, a najczęściej to była figura „Change de place”<sup>205</sup>. Pójście w lewo było zakazane, natomiast mile widziane było wyróżnianie orderami kotylionowymi, jednak bez prawa ubiegania się o niżki kolejowe.

Untenbaum: A co było na deser?

Aprikosenkranc: Podano czarną kawę.

Untenbaum: To było zawsze na pierwsze śniadanie, a nie na deser. Ja wim, ja to dobrze pamiętam, a na obiad zawsze podawali pęczak i groch...

Aprikosenkranc: Po owocach przyszła częściowa amnestia na tańce. Aha, po czarnej kawie, kolega redaktor wygłosił okolicznościowy wiersz pod tytułem „Trzydzieści lat, panowie”.

Untenbaum: Bez zamiany na grzywnę? A produkcje były jakież?

Aprikosenkranc: Pan myśli – wyplatania koszyczków, stolarka?

Untenbaum: Nie, produkcje solowe?

Aprikosenkranc: Ze solowych produkcji było tylko odciskanie palców i fotografia do albumu sądowego... Pan rozumie, to wszystko było w gmachu sądowym...

Untenbaum: Uś, to naprawdę był śliczny zjazd!

Aprikosenkranc: Niezapomniany! O drugiej w nocy nastąpiła uroczysta apelacja obecnych i my poszli do domu.

Untenbaum: Za kaucją?

Aprikosenkranc: Za dwadzieścia złotych... To był udział od osoby w całym zjeździe.

Untenbaum: Wie pan, za dwadzieścia złotych tyle figur poznać!

Aprikosenkranc: Ale panie Untenbaum, jeszcze ta satysfakcja!... Zdzisiu się ubrał w buty z cholewami i z ostrogami i ja go odprowadził na dworzec i jak pociąg ruszał, jak ja zawołał na cały peron: – Zdzisiu, czołem! Zdzisiu, a pisz! To warte było całe pieniądze!

Untenbaum: Taki zjazd to się panu kalkuluje nawet dwa razy do roku, nawet żeby wkładka była po pięćdziesiąt złotych od osoby!

---

<sup>205</sup> „Zmiana miejsc” – zwrot używany przez wodzirejów na ekskluzywnych zabawach tańecznych.

Aprikosenkranc: Pewnie! Gdzie ja teraz usłyszę, że zjazd, konferencja, kongres, sesja – to ja już jestem!

Untenbaum: Uj, to pan będzie miał roboty a roboty, bo u nas teraz na siedem dni tygodnia wypada dziewięć zjazdów.

Aprikosenkranc: Przy dobrej organizacji, jakby my się wzięli do tego obydwa, to można wyciągnąć dziesięć zjazdów w tygodniu. W poniedziałek będę sławista, kto mi udowodni, że nie? We wtorek – geografista, w środę – strzelec...

Untenbaum: A ja w czwartek – wychowawca moralny, w piątek – plastyk, w sobotę – mastyk, w niedzielę rano – neurastenik, po południu – hodowca lnu, a wieczorem – penklubista...

Aprikosenkranc: I można żyć, co?

Untenbaum: I to jeszcze z kim!

Aprikosenkranc: I to jeszcze jak!

Untenbaum: Zaraz, zaraz, panie Aprikosenkranc, a czy od tego jeżdżenia na zjazdy podatek nie idzie, co?

Aprikosenkranc: Jeszcze nie idzie, ale jak dobrze pójdzie, to i do tego dojdzie!<sup>206</sup>

**Przykład 151. Marian Hemar, Jan Lechoń, Julian Tuwim,  
Konstanty Ildefons Gałczyński, Jerzy Paczkowski,  
Świątopełk Karpiński – Szopka polityczna 1931.  
Fragmenty (1931)**

Czerwomir<sup>207</sup>

(*śpiewa na mel. bluesa „Miłość”*)

Tak mi dobrze szło na Bagateli

Wtem mi wiceksiedza podsunęli,

<sup>206</sup> Tenże, *Zjazd koleżeński*, [w:] W. Budzyński, J. Wasylkowski, *Rozmówki panów...*, dz. cyt., s. 101–106.

<sup>207</sup> Komentarz autora wypisów: Czerwomir, Rządołowicz – Sławomir Czerwiński (1885–1931) – doktorat z filologii polskiej. Od 1919 r. pracował w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, od połowy 1929 r. do śmierci na stanowisku ministra. Popierał rozwój szkolnictwa zawodowego i oświaty pozaszkolnej, przyczynił się do powstania kilku instytutów. W połowie 1930 r. wiceministrem został ks. Żongołłowicz, z którym Czerwiński był zobowiązany do działania. Ks. Bronisław Żongołłowicz (1870–1944) – profesor prawa kościelnego i kanonicznego, wykładowca w Petersburgu, Wilnie i in., podsekretarz stanu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (1930–1936), popierający Piłsudskiego w walce z opozycją). *Objaśnienia 1931*. T. Januszewski (oprac.), *Hemar, Lechoń, Stonimski, Tuwim. Szopki 1922–1931 Pikadora i Cyrulika Warszawskiego*, Iskry, Warszawa 2013, s. 388.



Z księdzem teraz stopnie i programy  
Uzgadniamy, uzgadniamy...  
W nocy mam telefon wyłączony,  
Bo mi urywają go masony –  
I co trzy minuty  
Robią mi wyrzuty,  
Że Messalka spowiednika ma.

Twórczość wielka, święta i radosna,  
Państwowość od Kalisza aż do Krosna!  
W szkołach nowy plan robimy –  
Zamiast Deotymy Maria Jehanne,  
Dla klas starszych będzie generał Barcz,  
W niższych pułkownik Karcz.  
Twórczość, jak już twórczość to radosna,  
We wszystkich szkołach od Kalisza aż do Krosna!  
Program ujednostajniono: wszędzie portret i słówko na P.!  
Bo nie darmo świat ministrem zwie  
BBWROP.

*(śpiewa na mel. piosenki „Bywaj dziewczę zdrowe...”)*

Kochana młodzieży, słuchaj moich przestróg:  
Niech ci Kaden świeci Bandrowski, a nie Strug,  
Co Kutrzeba pisał, to są głupie brednie,  
To Piłsudski pobił Mustafę pod Wiedniem!

Na ostatniej lekcji była o tym mowa,  
Jak się Szwedom oddać chciała Częstochowa,  
Już się oddawała, Szwed się do niej palił,  
Ale przyszedł dziadek, wziął ją i ocalił.

Nie wszystko to prawda, co Herodot pisał  
O tych Egipcjanach, co czcili Apisa,  
Czcili mitologię, Apis swoją drogą,  
Ale zasadniczo to już wiecie kogo.

Kto historii nie zna, niech fałszuje fakty,  
Tu pominie postać, tam zatai akty,

Trzeba fakty, zanim staną się faktyczne,  
Uzgodnić z Wojskowym Biurem Historycznym.

(*śpiewa na mel. „Ksiądz mi zakazował”*)

Ksiądz mi zakazował,  
Bym nie negliżował  
Kościoła, Kościoła –  
Muszę mu folgować,  
By nie denerwować,  
Żongoła, Żongoła.

Rządołłowicz (*wchodzi, mówi*)  
Synu, dlaczego moje przekręcasz nazwisko?  
I dlaczego nie w biurze? Wróć na stanowisko!  
(*do publiczności*)  
Jestem ów Rządołłowicz! Wypchnął mnie inspicjent  
Bym rozgrzeszał sanację, grzebał opozycję.

Czerwomir  
Kto ma księdza w rodzie, tego endek nie ubodzie.

Rządołłowicz  
A kysz, a kysz!

Czerwomir (*wychodzi*)<sup>208</sup>.

### **Przykład 152. Julian Tuwim – *Dzieje pewnego aforyzmu* (1931)**

Redakcja pewnej jednodniówki, wydanej na rzecz kształcącej się młodzieży, zwróciła się do mnie z prośbą o przysłanie jakiegoś utworu – wiersza, noweli lub aforyzmu. Cel – bardzo szlachetny, prośba uprzejma, nie było więc powodów do odmowy. Najmniej kłopotliwym wydało mi się napisanie aforyzmu. Dla pewności zajrzałem do „25 000 wyrazów obcych”, gdzie pomiędzy afonią a Afrodytą

<sup>208</sup> M. Hemar, J. Lechoń, J. Tuwim, K. Gałczyński, J. Paczkowski, Ś. Karpiński, *Szopka polityczna 1931*, [w:] T. Januszewski (oprac.), dz. cyt., s. 233–236. Treść *Szopki*... jest ponadczasowa i mogłaby być wykorzystana także współcześnie jako źródło aluzji do polityków przypisujących sobie cudze zasługi, upolitycznienia i wątków religijnych w oświacie, realizacji przez finansowane przez rządzących instytucje tzw. polityki historycznej itp.

było napisane: „Aforyzm – zasada wyrażona niewielu słowami; urywek, sentencja, maksyma”.

Aby się całkowicie uspokoić co do istoty przedsięwziętej pracy, sprawdziłem jeszcze wyrazy: maksyma (zasada ogólna, którą ktoś kieruje się w postępowaniu) oraz sentencja (krótkie, treściwe zdanie, zawierające piękną moralną myśl, głęboką prawdę życiową) i zabrałem się do napisania aforyzmu.

Przede wszystkim, pomyślałem, moje krótkie treściwe zdanie, moja zasada, wyrażona niewielu słowami, moja głęboka prawda życiowa i piękna moralna myśl, słowem mój aforyzm – powinien dotyczyć młodzieży i to młodzieży uczącej się, dla niej bowiem wydaje się jednodniówkę. Napiszę tedy coś o potędze wiedzy, o znaczeniu i dobroczynnych skutkach nauki. I oto po chwili aforyzm był gotów: – Wiedza i nauka są dla młodzieży bardzo ważne.

Ale nie brzmiało mi to dobrze! Zresztą, przynaję, było dość banalne. Takie drewniane stwierdzenie powszechnie znanego faktu wydało mi się zbyt prostackie. Trzeba to ubarwić, okrasić, poezji trochę podpuścić. Wykreśliłem poprzedni aforyzm i napisałem nowy: – O, wiedzo! Tobie ucząca się młodzież zawdzięcza swą potęgę!

Ale znowu się zastanowiłem. Gdyby młodzież miała potęgę – to co innego. Aforyzm byłby słuszny. Ale wydawanie jednodniówek nie świadczy o mocy. Przekreśliłem więc i napisałem: – Wiedza jest, jak słońce: prowadzi do promiennej przyszłości i potęgi jutra.

Brzmiało to pięknie, ale na ogół idiotycznie: czy słońce prowadzi do promiennej przyszłości? Słońce w ogóle nie prowadzi, a jeżeli – to do zachodu, a ta „potęga jutra” wydała mi się zbyt napuszona. Tak rozmyślając, stworzyłem kolejno aforyzmy następujące:

- Nauka to potęga. Za jej przewodem złączym się z narodem.
- Młodzież jest solą ziemi w oku, a wiedza wznosi ją do słońca.
- Mędrców szkiełko i oko rozświetla mroki niewiary i prowadzi do słońca.
- Nauka jest ziarnem, z którego wyrasta siew (!?) potęgi i wiary.

Ale wszystkie te treściwe i piękne uwagi moralne przekreślałem stopniowo. Nie byłem z nich zadowolony. Wreszcie postanowiłem dać spokój wiedzy i młodzieży i przerzucić się na dziedzinę natury ogólniejszej, społeczno-patriotycznej. Po pół godzinie wytężonego myślenia miałem do wyboru całe mnóstwo sentencji:

- Czynów nam trzeba, gdyż słów nie przekujemy na miecze ani lemieszce.
- Wolność narodu jest jego największym skarbem, a skarb narodu – to wolność jego największa.

– Społeczeństwo jest jak morze: rozsadza brzegi i zalewa bezduszne pustynie przeszłości i czynu.

– Praca dla ojczyzny jest jak drzewo: dąży wzwwyż i karmi łaknących wiarą w świetlaną promiennność ducha.

– Napoleon (!) powiedział: „Państwo – to ja”. Niech każdy obywatel pamięta, że nosi w tornistrze buławę czynu i ducha (wzgl. potęgi).

Przyznam się, że to wszystko podarłem. Wiem już! Napiszę coś o kobiecie, o miłości! Coś lekkiego, w miarę frywolnego, dowcipnego. I zaczęło się:

– Kobieta jest jak róża; na to ma kolce, aby je owijać płatkami.

– Kobiety mają do mężczyzn pretensje, że ich nie rozumieją. *Mon Dieu!* (!)

Czy kwiaty pytają rosy, czemu ją strząsa motylek?

– Miłość jest snem, rzekł poeta. Zgoda, odrzekł filozof, lecz na dnie tej czaricy (!) toną złudne snów marzenia. Poeta zapłakał...

– Mówią, że nasza prababka Ewa była pierwszą kobietą. Może... Ale w takim razie skąd wzięła, model do figowego liścia? (W pierwszej chwili byłem zachwycony szampańską lekkością tego aforyzmu. Potem już nie).

– Małżeństwo jest jak róża: im bardziej ją zrywać, tym czulej rozkwita.

– Mężczyźni i kobiety – to dwa bieguny jednej ziemi. Szczęście jest południkiem, małżeństwo globusem, kochanek równikiem, dziecko – zwrotnikiem, a rozwód – podróżą.

\* \* \*

Powyższe wspomnienia, o tworzeniu aforyzmu dla jednodniówki akademickiej piszę w jasnym, białym pokoju z okratowanym oknem. Jest mi tu dobrze i spokojnie. Doktor przychodzi dwa razy dziennie. Po czterech miesiącach zaczynam już rozumieć, co do mnie mówi. Zaprzyjaźniłem się na spacerze z kolegą, który siedzi tu już trzeci rok. Twierdzi on, że jest tureckim sułtanem, a nas wszystkich uważa za swój harem. Zapoznał mnie ze swym Wielkim Wezyrem. Jest to pewien inżynier z Poznania. Bardzo miły człowiek – szkoda tylko, że cały dzień pieje jak kogut i łązi na czworakach.

Jeść dają nieźle. Ze snem jest gorzej. Koledzy wyją po nocach, a dozorczy oblewają ich zimną wodą<sup>209</sup>.

<sup>209</sup> J. Tuwim, *Dzieje pewnego aforyzmu*, [w:] tegoż, *Piórem i piórkiem*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957, s. 205–208. Por. tenże, *Cyganka oraz inne satyry i humoreski prozą, teksty kabaretowe i aforyzmy*, Iskry, Warszawa 2011, s. 10–12; tenże, *W kabarecie ale nie tylko (skecze, parodie, fraszki, humoreski, żarty, aforyzmy)*, Wydawnictwo PiK, Katowice 1994, s. 114–118.

**Przykład 153. Anonim – *Kolenda noworoczna  
śpiewana przez żaków* (1932?)**

Mości gospodarzu! domowy szafarzu,  
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały  
Dobrej z alembika, a do niej piernika,  
Hej kolenda! kolenda!  
Chleba pytlowego i masła do niego,  
Kaź stoły nakrywać i talerze zmywać;  
Kaź dać obiad hojny, boś pan bogobojny,  
Hej kolenda! kolenda!  
Kaczka do rosołu, sztuka mięsa z wołu,  
Z gęsi przysmażanie – zjemy to mospanie,  
I comber zajęczy i do niego więcej;  
Hej kolenda! kolenda!  
Indyk do podlewy panie miłościwy,  
I to tłuste prosię, pomieści i to się;  
Kaź upiec pieczeni, weźmiem do kieszeni,  
Hej kolenda! kolenda!  
Mości gospodarzu! domowy szafarzu,  
Kaź dać gąsior wina, bo w brzuchu ruina;  
Nie długo się bawcie i drugi postawcie,  
Hej kolenda! kolenda!  
Dla większej ochoty daj czerwony złoty,  
Albo talar bity, będziesz znakomity;  
Daj i żupan stary, byle jeszcze cały,  
Hej kolenda! kolenda!  
Mości gospodarzu! domowy szafarzu,  
Kaź spichrze otworzyć i miechy nasporzyć,  
Żyta ze trzy wory i woły z obory,  
Hej kolenda! kolenda!  
Na piwo jęczmienia, koni do ciągnięcia,  
Jeśli jagły macie, to nam korzec dacie;  
Tatarki na kaszę, kocham przyjaźń wasze,  
Hej kolenda! kolenda!  
Grochu choć pół woru z tutejszego dworu,  
Na mąkę pszenicy, zjemy razem wszyscy;  
Owsa ze trzy miary dla większej ofiary,  
Hej kolenda! kolenda!

Mościa gospodyni! domowa mistrzyni,  
 Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę;  
 Jeżeliś nie sknera, daj i kawał serca,  
 Hej kolenda! kolenda!  
 Mościa gospodyni! domowa mistrzyni,  
 Bacz w jakim to czasie i daj dwie kiełbasie,  
 Które kiedy zjemy, to podziękujemy,  
 Hej kolenda, kolenda!<sup>210</sup>

### **Przykład 154. Anonim – *Nauka kaprała w wojskowej szkole* (1932?)**

*Antreten* rekruty do szkoły! *vorwärts!* brać ławki i stoły  
 I siadać! ja wam dziś jacy powiem, co *repetier*<sup>211</sup> znaczy.  
 Z ilu części on się składa, jak się go w anśląg<sup>212</sup> przykładą,  
 Jak się strzyla i ładuje i jak się go konserwuje.  
 Bo jakby was kiej kto pytał, każdy to jakby z książki cytał,  
 Wszystko tak musi powiedzieć, bo to wojak musi wiedzieć.  
 Wtedy jak ja narukował<sup>213</sup>, to jesce *Wendel*<sup>214</sup> *gieltował*<sup>215</sup>,  
 A tak stary jak i nowy musiał się zmieścić do głowy.  
 Wam otworzyć łby na poły, a zawdy będziecie woły.  
 Ja już prawie od pastucha wojskowego miałem ducha,  
 To też moje krowy znały *egzeczyrkę* i sygnały.  
*Śwenkung*<sup>216</sup> *Aufmars*<sup>217</sup> defilada, jaz się dziwiła gromada.  
 Tylkom dał na trąbie sygnał, zaraz każdy bydło wygnał.  
 Ja se dam radę i z wami śmierdzącymi rekrutami.  
 Niech mi który nie odpowie, jak się nasz *repetier* zowie,  
 Albo z którego on roku, zaraz walę po mazoku<sup>218</sup>.  
 Który zaś wszystko odpowie, przedstawię go *hauptmanowi*,

<sup>210</sup> Anonim, *Kolenda noworoczna śpiewana przez żaków*, [w:] S.S. (oprac.), *Księga dowcipu i humoru...*, t. 2, dz. cyt., s. 221–223.

<sup>211</sup> *Repetier* – karabin strzelający po jednym nabicu kilka razy.

<sup>212</sup> *Anśląg* (*Anschlag*) – gotowość do strzału.

<sup>213</sup> *Narukować* (*einrücken*) – przybyć do wojska.

<sup>214</sup> *Wendel* – karabin systemu Werndla.

<sup>215</sup> *Gieltować* (*gelten*) – mieć znaczenie. *Gieltował* – był używany.

<sup>216</sup> *Śwenkung* – skręcenie przy marszu.

<sup>217</sup> *Aufmars* (*Aufmarsch*) – postępowanie w marszu.

<sup>218</sup> *Mazok* – szczołeczka do czyszczenia butów. Tu może znaczy głowę, bo do „mazoka” podobna, zwłaszcza gdy nieuczesa.

I tak ciągle wajter! wajter! za pół roku będzie frajter.  
Frajtrem jak się śtreng okaże, i kapralem zostać może.  
Ale co to gadać z wami? wy będziecie kaprałami?  
Zreśtą cy wy wiecie jacy, co przy wojsku kaprał znaczy?  
Kaprał pan, siarsia<sup>219</sup> wysoki, stellung przed nim na trzy kroki;  
Choć ci każe w ogień skoczyć, nie śmiesz się ani zaboczyć,  
A jak werdzino<sup>220</sup> zapali, jaze wszyckich serce boli.  
Gdy mnie zaś užry dziewucha, schowa ocy do fartucha,  
I mówi: coby ja dała, żebyś kaprała dostała!  
Mnie zaś mówi: kocham ciebie, jak janieli Boga w niebie.  
Zreśtą co gadać z góralem? tybyś kciał zostać kapralem?  
*Keine Idee, keine Rede!* prędzaj ja kajzerem będę.  
Więś co kaprał musi umieć? – Na sygnałach się rozumieć,  
Śwarm<sup>221</sup> do śturmu poprowadzić, wszycko rozbić, w luft wysadzić.  
A wieś ty, co to dienst bydlę? może to ciućpajs<sup>222</sup> i knydle?  
Dienst to służba głupie świnie, zawarta w regulaminie.  
To jest vorśryft<sup>223</sup> dla żołnierzy od rekruta jesce wyżej;  
Obowiazki dla plenklera<sup>224</sup>, jak i kiedy użyć gwera,  
Ze jak go pucujes chłopie, musis mieć oel<sup>225</sup> i konopie,  
Ale dyć mi szkoda pyska, psuć go dla was rekruciska.  
Wie on, co pan kaprał gwarzy? kiej on myśli o menaży<sup>226</sup>.  
Pysk otworzy kieby krowa, nawet niewie o cem mowa.  
Miałem wam mówić o gwerze, ale niech was djaboł bierzel!  
*Auseinander*<sup>227</sup> wy śmierdziuchy! pójdę raczej do dziewuchy,  
Bo ona już stoi w bramie i ceka tam biedna na mnie.  
Zmitrężyłem całą Śtunde dla was Śweine, dumme Hunde;  
Niceście nie zrozumieli; niek was wszyckich pieron strzeli!<sup>228</sup>

---

<sup>219</sup> Siarsia (*charge*) – przełożony, starszy.

<sup>220</sup> Werdzino – mocne, cienkie cygaro.

<sup>221</sup> Swarm (*Schwarm*) – mały oddział żołnierzy.

<sup>222</sup> Ciućpajs (*Zuspeise*) – dodatek do obiadu.

<sup>223</sup> Vorśryft (*Vorschrift*) – przepis.

<sup>224</sup> Plenkler (*Plänkler*) – pojedynczy żołnierz.

<sup>225</sup> Oel (*Öl*) – oliwa.

<sup>226</sup> Menaż – jadło.

<sup>227</sup> *Auseinander* – rozejść się.

<sup>228</sup> Anonim, *Nauka kaprała w wojskowej szkole*, [w:] S.S. (oprac.), *Księga dowcipu i humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 450–452.

**Przykład 155. Anonim – *Oznaka studenta* (1932?)**

Rumiana twarz, czapka na bok, pod pachą szpargałów paka,  
 Wesoła myśl i śmiały krok, to jest studenta oznaka.  
 Gdy na stół pełny piwa dzban postawią sobie studenci,  
 Każdy z nich zuch i każdy pan, bo się każdemu w łbie kręci.  
 Gdy student wzrok rzuci na bok, zobaczy postać dziewiczą,  
 Już książki swe odrzuca precz ujęty miłą słodyczą.  
 Wtenczas to już wesołość chwil zatruta jednym wejrzeniem,  
 Już mu za nic niemczyzny styl, łaciny słuca z westchnieniem<sup>229</sup>.

**Przykład 156. Anonim – *Zasady dawnej pedagogii* (1932?)**

Różgą Duch Święty dziateczki bić radzi,  
 Różga dziateczkom nigdy nie zawadzi.  
 Różga napędza rozumu do głowy,  
 Uczy pokory, uczy skromnej mowy,  
 Różga rodzicom posłusznymi czyni,  
 Wypędza zbytki, a uczy łaciny.  
 Na młodszych dobra jest różga brzoźowa,  
 Na starszych korbacz albo wić dębowa<sup>230</sup>.

**Przykład 157. Tadeusz Boy-Żeleński – *Moja metoda naukowa.*  
*List otwarty Tadeusza Boy-Żeleńskiego*  
*do prof. Stanisława Szpotańskiego* (1932)**

Szanowny Panie!

W podjętej przeze mnie w „Wiadomościach Literackich” kwestii otrucia Adama Mickiewicza w roku 1855 w Konstantynopolu za sprawą jednej z wybitnych figur emigracyjnych napisał Pan w dniu 24 sierpnia 1932 r. w „Kurierze Warszawskim”, że nie jestem ekspertem od Mickiewiczowskich dokumentów.

Przyznam się szczerze, iż zabołał mnie ten niezastużony zarzut, los udzielił mi jednak natychmiast zadośćuczynienia, gdyż zaraz następnego dnia dano mi poufnie znać, iż w jednej żydowskiej tandeciarni przy ul. Bagno w Warszawie znajduje się do nabycia przedmiot, który jest najprawdopodobniej autentyczną strzelbą Adama Mickiewicza.

<sup>229</sup> Anonim, *Oznaka studenta*, [w:] S.S. (oprac.), *Księga dowcipu i humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 420–421.

<sup>230</sup> Anonim, *Zasady dawnej pedagogii*, [w:] S.S. (oprac.), *Księga dowcipu i humoru...*, t. 1, dz. cyt., s. 420.



Pobiegłem w te pędy na Bagno; czyniąc pozór nabywcy pogruchothanej kanapy i rozglądając się wokoło, zauważyłem istotnie stojącą w kącie rurkę żelazną długości około metra. Dla laików lub znawców epoki Mickiewiczowskiej tej miary co Pan, przedmiot, który stał w kącie, byłby zwykłym zardzewiałym przewodem do gazu lub wodociągu – dla mnie była to na pierwszy rzut mego wyostrzonego oka... strzelba Mickiewicza, jednym słowem, bezcenny klejnot muzealny. Co mnie o tym przekonało? Moje olbrzymie odczytanie i moja niebywała inteligencja.

Bo zechce Pan tylko posłuchać. Rurka stojąca w kącie u tandeciarza była grubo omotana sznurkiem, a w „Panu Tadeuszu”, w Księdze IV, wiersz 774 i dalsze, mówi sługa Horeszków, Gerwazy, przecież wyraźnie:

„A potem dłoń podnosząc i kulę na dłoni:  
«Panowie – rzekł – ta kula nie jest z waszej broni,  
Ona z tej Horeszkowskiej wyszła jednorurki  
(Tu podniósł flintę starą, obwiązaną w sznurki)...»”.

Podkreślam słowa poematu: obwiązaną w sznurki, a ta rurka, którą nabyłem onegdaj u tandeciarza na Bagnie tonęła formalnie w starych sznurkach. Dalsze dowody. Gerwazy mówi: „Ona z tej Horeszkowskiej wyszła jednorurki”, a na Bagnie u izreality stała w kącie jedna rurka, nie dwie.

Teraz należy rozstrzygnąć jeszcze naukowo dwie ważne kwestie: czy Adam Mickiewicz lubował się w ogóle w broni palnej, a jeżeli tak, to jaką drogą strzelba, jego znalazła się u izraelity na Bagnie?

Na pierwsze pytanie niech odpowie sam wieszcz w „Panu Tadeuszu”, Księga II od góry, gdzie pisze:

„Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę,  
Ze strzelbą na ramieniu, świszcząc, szedł na pole...”  
Oraz dalszymi słowy w tejże Księdze, wiersze 309 i 310:  
„Więc uciekli pod lamus, a już był poranek.  
Pan Stolnik wesół wyszedł ze strzelbą na ganek...”

Panie Profesorze, sam Pan może skonstatować, iż wielki wieszcz nasz dwukrotnie używa słowa „strzelba” w jednej Księdze swego poematu. Jeżeli tak uczynił, to słowo „strzelba” było jego ulubionym, a jeżeli słowo, to naturalnie i sam śmiercionośny przedmiot. Co do sprawy drugiej, przypadek przyszedł mi z pomocą. Kiedy dumiałem u tandeciarza nad tym, jaką drogą mógł on dojść do tej bezcennej pamiątki narodowej, do sklepu wpadła jego żona i zawołała do niego: – Jankiel, gay cy dy żarcies!

To mi wystarczyło za wszelkie poszukiwania. A więc Jankiel! potomek w prostej linii owego zacnego i szlachetnego pachciarza u Sopiczy i koncertan-

ta na cymbałach! Tak, jego prapradziadek, mieszkaniec Soplicowa, które leży przecież w okolicy Nowogródka, gdzie Mickiewicz urodził się i wychował, mógł osiąść drogą kupna lub darowizny strzelbę naszego wieszczka.

Jak się Szanowny Pan przekonywa, moją metodą naukową można wszystko wytłumaczyć racjonalnie, trzeba tylko umieć tę metodę tak stosować, jak potrafi to niżej podpisany

Tadeusz Boy-Żeleński  
nad-mędrzec<sup>231</sup>

**Przykład 158. H.I.Polit (Janusz Minkiewicz) – „*Vivat gwałtonomia, vivat professores*”. *Na melodię Gaudeamus igitur majora Jędrzejewicza, Ministra WR.iO.P., imaginowane przemówienie do profesorów w dniu wejścia w życie nowej ustawy akademickiej (1933)***

– Senat zbiórka! Baczność! Zwrot!  
Szeregami stanąć w lot!  
Odlicz! Padnij! Powstań! Ćwicz!  
Źle – Kutrzeba, słabo – Nitsch!  
Brückner – nie tak, Czerny – zuch!  
Kostanecki – schować brzuch!  
Hę?! – Zdziechowski szepcze coś?  
Do raportu pan się zgłoś!  
Co? – Estreicher gada też?  
Czy pan iść do paki chcesz?  
Plutonowy! Żywo, no,  
Odkomenderować go!  
– Baczność! Naprzód! W lewo zwrot!  
Zmienić nogę, panie Kot.  
Lewa, prawa, lewa, stój!  
Świetnie, świetnie Wałku mój!  
Kleiner mi przynosi wstyd,  
Znowu tyłek wypiął zbyt!  
Inni też niedobrze, nie.

<sup>231</sup> T. Boy-Żeleński, *Moja metoda naukowa. List otwarty Tadeusza Boy-Żeleńskiego do prof. Stanisława Szpotańskiego*, [w:] B. Winklowska, E. Lipiński (oprac.), *Obrachunki boyowskie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975, s. 40–42. Źródło pierwotne: „Mucha”, nr 37/1932.

Musztra idzie bardzo źle.  
 Chcecie żebym był z was rad:  
 Pójdźcie w Stefki, Wałka ślad!  
 Brawo Stefko z Wałkiem wraz,  
 Wielką mam pociechę z was.  
 Co za ludzie! Świetnie im  
 Odpowiada mój *régime*!!!  
 – Raz, dwa! Raz, dwa! Równaj! Kryj!  
 Drżysz tam jeden z drugim, drżysz!  
 Bo za każdy w mustrze błąd  
 Oddam pod polowy sąd!  
 Padnij! Powstań! Raz, dwa! Raz...  
 Stój! Już minął ćwiczeń czas.  
 Teraz coś zaśpiewać mnie...  
 Spocznij! Czołem! Rrrrrrozejść się!

WRiOP – skrót oficjalnej nazwy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Kutrzeba, Nitsch, Brückner, Kostanecki, Zdziechowski, Estreicher, Kot, Kleiner – wybitni profesorowie, którzy negatywnie odnieśli się do nowej ustawy akademickiej, drastycznie ograniczającej autonomię wyższych uczelni.

Czerny, Wałek, Stefko – również profesorowie, znani tylko z tego, że okazali poparcie dla kagańcowej ustawy.

Minister WriOP Wacław Jędrzejewicz był bratem Janusza, który będąc premierem, przychodził mu w sukurs w walce z ciałem profesorskim, znosząc szereg katedr uniwersyteckich. Stąd frazka:

Pan premier wciąż katedry znosi,  
 Więc młodzież smutna i znękana  
 Choć jedną nam zachowaj – prosi  
 Katedrę –  
 Tę świętego Jana<sup>232</sup>.

<sup>232</sup> J. Minkiewicz, „*Vivat gwałtonomia, vivant profesores*”, [w:] tegoż, *Bilans osobisty*. Wydawnictwo Trio, Łódź 2001, s. 54–55. Por. H.I.Polit, „*Vivat gwałtonomia, vivant profesores*”. *Majora Jędrzejewicza, Ministra W.R.iO.P. imaginacyjne przemówienie do profesorów w dniu wejścia w życie nowej ustawy akademickiej*, [w:] E. Lipiński (oprac.), *Szczutek...*, dz. cyt., s. 94–95. Źródło pierwotne: „*Cyruulik Warszawski*”, 1933. Przykład utworu o wyjątkowej wartości gelotologicznej, którego autor wyjaśnia okoliczności jego komizmu tak, by były zrozumiałe po latach. Por. przykłady 145, 147.

**Przykład 159. Marian Hemar – *Nierozsądne wychowanie* (1934)**

W domu bili mnie za młodu,  
Że nie miałem samochodu.

Krzyczeli na mnie: idioto,  
Dlaczego chodzisz piechotą?!

Bił mnie ojciec, łając: synu,  
Znów masz krawat nie z Londynu!

Z pogardą patrzyła mama,  
Że nie z „Old England” pyjama.

Stryjek bijał mnie wieczorem,  
Żem jadł bliny nie z kawiozem.

Wujek znowu bił mi pyski,  
Gdym pił piwo, a nie whisky.

Babcia mi wsypała baty,  
Żem z Wieniawą nie był na ty,

Straszna była w domu scena,  
Żem raz pił Winkelhausena.

Biła ciotka, choć anielska,  
Gdy garnitur miałem z Bielska.

Wymyślali od endeków,  
Gdym opuścił jour u Becków.

Pradziad się obrócił w gróbie,  
Kiedym w bridża grał nie w klubie.

Tłukli, tłukli. Bili, bili,  
Aż na swoim postawili.

\*

A ja tylko to jedno mam w głowie –  
Patrzę w ogień na weneckim kominku –  
Żeby teraz, w tej chwili – we Lwowie  
Siedział sobie, siedział sobie w szynku.

I pił wódkę (po cholerę mi wino?) –  
Och, jak miło marzeniem się łudzić!  
– Żeby siedział z jaką zwykłą dziewczyną,  
Żeby umiał się z taką nie nudzić.

Mdlą mnie w gardle antrykoty, bryzole –  
Mnie kiełbasy! Sera i salami!–  
Chrzanu, chrzanu! I łokcie na stole!!  
I palcami! Palcami! Palcami!!

\*

A ja marzę od najmłodszych lat  
I tak marzyć będę całe życie –  
Żeby kiedyś wstać wcześniej, o świcie,–  
I wyjść z domu, i po prostu – w świat.

Gdzieś za Łomżę, pod Jasto, za Brześć,  
Gdzieś nad Bugiem, pod Kowlem, przez Żabie  
Tylko wlec się i włączyć, i leżć  
W ranków szkło i w wieczorów jedwabie.

Gdzieś po błocie, między brzozy, w piasku,  
Drogą, lasem, nad rzeką – po świecie,  
W spiecu, w deszczu, i w mroku, i w blasku,  
Z kijem w rękę i z plecakiem na grzbiecie.

\*

A w plecaku – – – – –  
W plecak się nie zmieści. Trza by kufra....  
A kufer na auto?...  
Po tych drogach nie przejedzie.  
O boleści!  
– No to szosą do Radomia na obiad.

\*

Jest człowieka zniszczyć w stanie  
Nierozsądne wychowanie<sup>233</sup>.

**Przykład 160. Ewa Korotyńska – *Pan Beksalski*.  
Fragmenty komedyjki w jednym akcie (1934)**

Osoby: Jasio lat 9; Kocio lat 12; Cesia lat 10; Nastusia, dziewczynka lat kilkunastu; Głos za sceną

*(Rzecz dzieje się w mieście. Scena odbywa się w pokoju dzieciennym, gdzie stoi stół, krzesła, szafa, leżą książki i kajety. Może być etażerka i łóżko. Na oknie kwiaty).*

Akt I. Scena 1.

Jasio (*siedzi nad książką, oparty łokciami na stole i płacze*): U – u– u! u-u! ja nie-szczęśliwy!

Cesia (*wpada i woła*): I czegoż tak znów zawodzisz! Już obrzydły nam wszystkim te twoje lamenty... Co ci się stało?

Jasio: Nie mogę się wyuczyć gramatyki... A! a! a! (*Znów płacze*).

Cesia: Zamiast płakać, przyszedłbyś do mnie lub do Kocia, a pomogliśmy z największą chęcią...

Jasio: Taka trudna, że i wy nie nauczycie...

Cesia: Tak źle nie będzie... Pokaż, co tam masz tak trudnego do wyuczenia się...

Jasio (*płaczliwym tonem*): Te nieznośne odmiany, wyliczanie przypadków i nazw ... np. mianownik, dopełniacz ... ot już zapomniałem, jak się trzeci nazywa... U! u! u! (*Płacze*).

Cesia: A przestańże, bekso jeden! I czegoż tu płakać?... Trzeci zwie się celownik, bo oznacza cel, np. ku słońcu, ku dobru, lub kierunek np. idziemy ku wschodowi... Cóż tak trudnego zapamiętać?...

Jasio (*wymienia po kolei*): Mianownik, dopełniacz, celownik...

Cesia: A czwarty?

Jasio (*chwilkę myśli*): Czwarty? Czwarty? otóż to właśnie, że zapomniałem (*opiera głowę na rękach i płacze*).

<sup>233</sup> M. Hemar, *Nierozsądne wychowanie*, [w:] R.M. Groński, *Kabaret Hemara*, Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Warszawa 1989, s. 29–32. Por. tenże, *Kiedy znów zakwitną białe bzy*. (*Utwory wybrane*), Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991, s. 32–34; tenże, *Koń trojański*, Burchard Edition, Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1993, s. 15–17.

Cesia (z *gniewem*): Dostyc już tego! Słuchać tych beków nie mogę! Czwarty: Biernik. Powtórz!

Jasio (*jeszcze płacząc*): Biernik... U! u! u!

Cesia: I czegoż teraz płaczesz? Czy na zapas?...

Jasio: Bo się gniewasz... U! u! u!

Cesia: No, cicho, cicho, już się wcale nie gniewam, ale przestań się mazać...

Powtórz...

Jasio: Mianownik, Biernik, Celownik...

Cesia (*przerywa*): Mianownik, Dopełniacz nie Biernik...

Jasio: Mianownik, Dopełniacz, Celownik, Biernik... A co dalej?

Cesia: Wołacz.

Jasio: Ach! prawda, prawda, to będę pamiętał...

Cesia: Szósty będzie narzędnik... Siódmy miejscownik...

Jasio: Mianownik, Dopełniacz, Celownik, Biernik, Wołacz, Narzędnik, Miejscownik...

Cesia: A widzisz! I potrzebne te płacze?... Jak ty się tego nie wstydzisz?... Powtórz sobie raz jeszcze, żebyś się jutro nie pomylił (*wychodzi*).

## SCENA 2

(*Jasio sam, potem Kocio*)

Jasio (*podskakując na jednej nodze*): Umieć! umieć! ach! jak to dobrze! Ale... (*zamyśla się*) Ale... ta nauczycielka taka sroga... chociażbym nie wiem, jak umiał, gotowa mi dać (*płacząc*) pałkę!... Ach! ja nieszczęśliwy! pałkę, pałkę, dostanę! palicę, nie więcej!... U! u! u! (*płacze*)

Kocio (*wchodzi i stoi zdziwiony*): Czego ryczysz?!... Co ci dolega? kto cię pobił? kto na życie twoje nastaje?... Ach! ty bekso, ty bekso! kiedyż się nareszcie poprawisz?

Jasio: Pałkę, pałkę dostanę...

Kocio: Będziesz miał się czym bronić: kij lub pałka zawsze się chłopcom przydadzą...

Jasio (*płacząc*): Pałkę z gramatyki...

Kocio: A to dlaczego? Wszak jest na to rada: naucz się dobrze, a dostaniesz piątkę...

Jasio: Umieć doskonale, ale ta nauczycielka polskiego taka sroga... Na pewno da mi pałkę...

Kocio: Ale jeszcze nie dała... po cóż więc lamentujesz?... Zresztą, jak będziesz umiał, nikt ci nie da palicy... Uspokój się!...

Jasio: Dobrze mówić: uspokój się! jak masz same piątki...

Kocio: Bo się nie mażę...

Jasio: Bo nie masz czego się mazać...

Kocio: A ty masz czego? Na przykład teraz? Toć nie wiesz jaki stopień dostaniesz i już płaczesz...

Jasio (*ocierając oczy*): Jestem pewny, że dostanę zły stopień, taki już mój los...

Kocio: Co tam los? Ucz się pilnie, nie becz, a będziesz pierwszym uczniem w klasie... masz duże zdolności... [...] <sup>234</sup>

### **Przykład 161. Janusz Makarczyk – *Miłosny list* (1934)**

Zbyszek jest od wiosny uczniem Szkoły Morskiej. Przedtem był w szkole średniej. Skończył przed tygodniem osiemnaście lat i świat do niego należy. Podczas lata poznał pannę Basię i pannę Irkę, które już za rok będą zdawały maturę.

Wrócił właśnie z pierwszego pływania. Sześć tygodni żeglował. Po odbyciu swej pierwszej podróży był często w towarzystwie obu panienek i zakochał się. Niezupełnie tylko zdawał sobie sprawę, którą kocha – Basię czy Irkę.

Raz mu się śniło, że strasznie mocno całował Basię, a drugi raz, że Irkę. Aż zmizerniał trochę z tych snów i wreszcie tańcząc z Basią, zdecydował się: – Ta albo żadna.

Irki mu wprowadzie trochę było żal. Ale sam to rozumiał, że nawet w Turcji haremy znieśli. Powiedział Basi, że ją kocha, a wtedy Basia odpowiedziała, że jej wydawało się, że on, to jest Zbyszek, i Irka...

Zbyszek nie bardzo się umiał wytłumaczyć, zwłaszcza że sen z Irką pamiętał i że do pewnego stopnia zdrada była. Postanowił więc napisać list do Basi, wierząc, że na piśmie lepiej się wytłumaczy, zwłaszcza że podczas pisania Basia nie będzie mu przerywać, co go trochę peszyło.

Gdyby nie to, że powiedział Basi, iż do niej napisze list i gdyby mu na to nie odpowiedziała, że bardzo lubi czytać „takie” listy, dałby spokój, dał bowiem arkusz za arkuszem i jakoś nic nie wychodziło, aż wreszcie umyślił sobie pierwsze zdanie i zaczął: *Szanowna Panno Basiu!*

Ale znowu nasunęła mu się wątpliwość, czy dobrze jest w tym wypadku pisać zdrobniałe imię, i po wszechstronnym zanalizowaniu doszedł do wniosku, że zważywszy powagę sytuacji lepiej pisać poważnie, z godnością i poczuciem konsekwencji. Zdał sobie sprawę, że to już klamka zapada, że to już na zawsze, i zaczął pisać: *Wielce Szanowna Panno Barbaro!*

<sup>234</sup> E. Korotyńska, *Pan Beksalski. Komedyjka w 1 akcie*, nakładem „Nowego Wydawnictwa”, Warszawa 1934, s. 3–11.



*Czy wie Pani, co znaczy abakować? Abakowaniem nazywamy wytyczanie spławnej drogi na wodzie. Ale o ileż to łatwiej zrobić, Panno Barbaro, na wodzie niż w miłości, aby wiedzieć, że się nie pomyliło, że się wzięło kurs zgodnie z sercem, które kocha.*

*Odrzuciłem balast z serca i wiem, że go już nie spotka awaria ani ogólna, ani częściowa, gdy je złożę do Pani stóp.*

*Panno Barbaro, moje ciało drży od uderzeń serca, a ja wiem, że ono tak bije dla Pani. Dopóki Pani nie poznałem, płynąłem przez życie w baksztag i musiałem lawirować. Och! jak to ciężko, ale teraz popłyniemy pełnymi żaglami do szczęścia, Panno Barbaro, a to, co Pani mówiła o pannie Irenie, to nieprawda. Wody sodowej jej przyniosłem, bo jej się pić chciało, ale bez żadnych ubocznych myśli i nie dlatego, jak to sobie Pani myślała.*

*Panno Barbaro! Gdyby Pani wiedziała, co to jest batymetria! Batymetrią nazywamy mierzenie głębokości albo sondowanie. Gdyby Pani, Panno Barbaro, chciała wysondować moje serce, które dla Pani bije, a jeżeli ono biło po tańcu z panną Ireną, to dlatego, że było gorąco i że tańczyliśmy oberka, ale nie z tych przyczyn, o których Pani myśli.*

*Ja, Panno Barbaro, chcę być Pani beting. Niech Pani zobaczy w słowniku żeglarskim, co to znaczy. Ale że wiem, że Pani takiego słownika nie ma, to powiem, że beting znaczy pacholek. Pacholek jest to słupek żelazny u burty do uwiązywania lin, ale ja to mówię w przenośni.*

*Panno Barbaro! Jeszcze przed poznaniem Pani osobiście – marzyłem o Pani. Raz stojąc na percie (jest to, Panno Barbaro, lina idąca od masztu do końców rei, po której chodzimy, aby związać żagle) miałem widzenie i to widziałem Panią, którą wtedy znałem tylko z widzenia i ledwo nie spadłem na pokład. Było to na bezanmaszcie, kiedy zwiłaliśmy brejs-bom-bramsel.*

*O, Panno Barbaro, gdybym mógł zarzucić kotwicę do Pani serduszka i brat-szpilem przyciągnąć je do mego serca!*

*Bo to, co Pani mówiła, że ja sam nie wiem, jak się zdecydować i czy się zakochać w Pani, czy w pannie Irenie, to jest żart – prawda? Bo gdybym się zakochał w pannie Irenie, to bym ten list do niej wysłał, a do Pani bym nic nie napisał, tak jak teraz nic nie piszę do panny Ireny.*

*Mam w sercu igłę kompasową i ona wskazuje mi Panią. Wziąłem peleng na Panią i idę teraz ku Niej bez zboczeń i dewiacji (dewiacją jest to odchylenie igły kompasowej pod wpływem, żelastwa na okręcie), ale w moim sercu nie ma dziś innego przyciągania prócz jednej tylko miłości...*

*Panno Barbaro, Pani mi mówiła, że panna Irena Pani mówiła, iż wie od Staszka, że ja chorowałem na morską chorobę w czasie naszej ostatniej pływy. Pro-*

szą Pani, ja mówiłem to Staszкови i on mi powiedział, i słowem honoru mężczyzny i marynarza zaręczył, że on tego pannie Irenie wcale nie mówił, bo to jest intryga, żeby mnie w Pani oczach poniżyć. I Pani mogła myśleć, że ja się mogę kochać w pannie Irenie, która takie rzeczy o mnie mówi i chce mnie pogniewać ze Staszkiem, który nie tylko dał mi słowo honoru mężczyzny i marynarza, ale poza tym nie mógłby tego opowiadać, bo wtedy ja bym mógł opowiedzieć, jak Staszek, kiedyśmy ćwiczyli pierwszy raz z sekstantami, miał taki właśnie wypadek, ale ja takich rzeczy o przyjacielu i koledze bym też nigdy nie opowiadał.

Poza tym panna Irena mówiła do Pani, że ja mam piegi. Mam – nabawiłem się ich podczas służby na morzu, które kocham i któremu pragnę służyć tak jak i Pani.

A zresztą w niedzielę wynajmę jacht i zaproszę Panią, pannę Irenę i Staszka i bardzo się będę cieszył, jak będzie duża fala, to wtedy zobaczymy.

Myślę, że Pani, Panno Barbaro, rozumie teraz wszystko i wierzy mi, że ja nie jestem banderolka, to znaczy chorągiewka na maszcie, i że kocham tylko Panią!

Na przyszły rok popłyniemy do Brazylii, ale ja, czy patrzę na Wielką Niedźwiedzicę, czy też będę patrzył na Krzyż Południa, jednakowoż będę zawsze myślał o Pani, zamustrowała się Pani bowiem w moim sercu na zawsze.

Wie Pani, jak się nazywa inaczej ster Lumleja? Nazywa się zrównoważony ster i ja taki właśnie ster mam w sercu.

Pani jest moim punktem uzyskanym, a panna Irena nie była nawet moim punktem minionym i nigdy nie była oznaczona na mapie mego serca.

Jutro do Pani przybiegnę na plażę, a pannie Irenie proszę powiedzieć, że skoro jej zdaniem chorowałem w czasie naszej ostatniej pływby i skoro mam brzydkie, a nawet „wstrętne” piegi, to niech sobie kogo innego znajdzie, żeby ją uczył pływać na wznak, a Panią, Panno Barbaro, nauczę i położymy się razem na toni morskiej i razem popłyniemy w naszą szczęśliwą przyszłość.

Z wielką miłością i poważaniem.

Zbigniew<sup>235</sup>

**Przykład 162. Szczepko i Tońko (Kazimierz Wajda  
i Henryk Vogelfänger) – O dobrem wychowaniu.  
Skecz z programu Wesołej Lwowskiej Fali (1934)**

Szczepko: Tońku, aliś ty mi wczora zrobił sztemp! Wszystku – ali tegum si pu tobi ni spudziwał. Jakiś taki du niczegu chłop!

<sup>235</sup> J. Makarczyk, *Miłosny list*, [w:] E. Kassel, S. Bernatt (oprac.), *Morze w humorze*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1957, s. 61–65. Źródło pierwotne: tenże, *Porty i marynarze. Humoreski sentymentalne*, Liga Morska Kolonialna, Warszawa 1934.

Tońko: Co si stału, co ja zrobił?

Szczepko: A o wczora na przyjenciu u Bencowy. Ni pamientasz?

Tońko: Ta wszystku byłu fajnu i śliczni. A o, Bencowa mówiła, żyby ja jeszcze kiedy przyszyd.

Szczepko: Ali już chiba ni ze mnu. Ni!

Tońko: Za cu ludzi?! Co si stału? Gwałtu?

Szczepko: Cały aligancki tuwarzystwu siedzi kołu stoła, przychodzi pan Antoni, bu un si musiał troszka spóźnić.

Tońko: A co ja temu winny, jak mnie w ostatny chwill szpinka pstrykła i...

Szczepko: I za to ży ci szpinka pstrykła, tu ty si musiał zapchać akurat na sam front stoła, tam gdzie najlepszy tuwarzystwu siedzi.

Tońko: Ta Bencowa mówiła: „pani Tońciu, niech sy pan siendni”.

Szczepko: To ty sy musiał siendnoć akurat miendzy panym waclimistrzym a paniu maszyniścinu.

Tońko: Nu bu tam był wolny stołyk...

Szczepko: I toś narobił, ży jak przyszyd pan muturowy, tu Bencowa bidna musiała ławki z kuchni przydźwigać.

Tońko: Żyby była puwidziała, ja byłby ji był pomógł przynieść.

Szczepko: O, ty du pumagania jezdyś... ty inu du żarcia. O, właśni, właśni, jageś si przyczepił do ty studzininy, tu byłby ci był paru koni ni uderwał.

Tońko: Szczepciu, ta bu bardzo dobra była. Samu mięsu, skurki ani chru-stawki ani kawałeczka.

Szczepko: A furkał, a ćmakał, a mlaskał, aż si panu wachmistrzowi węża trzenśli. I powidz mi pocu ty wzioł talirz na kulana.

Tońko: Joj Boży, Boży, ta musiałym wzionść ten talirz, bu miałym na nim studzininy jaszczy, a już gułombki rukowali na stół.

Szczepko: Nu ta bez tu, żyś talirz schował tu Bencowa musiała z patelni jeść. A już najwienkszy styd, ta ja si z tegu w dzisiony wodzi ni ubmyjim.

Tońko: A ty myślisz o tym, żym Pitراسiński wylał te cinknocy musztardy na szlafruk?

Szczepko: Ni, to ni to, ni to, chociaż to tyż swoju ściżku fajny kawałyk, akurat du ciebi pudobny w sam raz, ali maszyniściny Wikcia prosi gu du tańca „pani Tońciu, moży pan ze mnu zatańczy”, tu un ji mówi: „dzienkujj ja posiedzy”. Ży ja żyji po tym wszystkim, tu inu cud Boski.

Tońko: Ta to przyz ciebi, przyz twoji rady. Ta ty mi tak kazał robić!

Szczepko: Ludzi trzymajci mi... ludzi ja jemu, gwałtu, kazał robić... taki sztemp kazał robić!

Tońko: A nimówiłyś Szczepciu, ży jak mi chto co powi, żyby ja nasampirw puwidział „dzinkujj”?

Szczepko: Ja mówił... co ja mówił? Ży jak ty przychodzisz du chałupy, guspudynia mówi: „prószy siadać”, to co ty gadasz?

Tońko: Dzinkujim, ja pustojim.

Szczepko: Dobra. Jak to powisz, tu dupiru możysz siednonć. Tera ona si pyta, jaki wódki pijisz?

Tońko: Mnie wszystku jednu.

Szczepko: Ta ni możysz tak puwiedzić, bu ona akurat moży inu jedny wódki ma?

Tońko: Ta jak ma inu jedyn kolor wódki tu si mi ni bedzi pytała u wybirani.

Szczepko: Ji fason jest si puspytać, a twój fason żyby ty ji pu wie dział, tak o, zy smichim troszka: „mnie u pani wszystku smakuj!”.

Tońko: Nu, kiedy ona dała piułunówki, a ja tegu ni weźmy du giemby, bu bym zara umar.

Szczepko: Tu trza powiedzić: „Dzinkujim, ja ogoli... później moży”, abu coś tak! A tera kurytu.

Tońko: Ta tu ja chiba nikomum stydu ni zrobił.

Szczepko: Taś tudupiru pukazał si dziki człowiek, ludojad. Syrfuładki chapnuł du kułaka, z całego buchenka chleba, tu inu minkuszki frygał i pysk sy du ubrusa puwycirał!

Tońko: Ta co to szkodzi, ta obrus był czysty. Przeciż ja du brudnegu byłby ni puwycirał.

Szczepko: Ta ja ci mówim, ży inu bez tu, żyś Bandziuchowy krewny, tu ci na pysk ni wyrzucili. Bandziuchowa tera i tak za tobu uczami świci.

Tońko: Boży! żeby ja był wiedział, ży ta zabawa taki niszczęsci napruwadzi, ja byłby ci był pudzinkował za cały przyjemność!

Szczepko: Acha! A co ty gadał du Pitrasiaski Walerki, to ty pamientasz?

Tońko: Tak o piadzisiony przez pindzisiony!

Szczepko: Ta jak ty ji móg puwiedzić, ży ona jest „magnolja”! Ta dziwczyni-sku szło lecić do matki skarżyc! Wiency ci nie trza, inu żyby Pitrasińska si o tym duwidziała. Ta dobrzy, ży ja ji zatumanił...

Tońko: Szczepciu, taż to musi być coś bardzu ślicznegu, bu to na płyci gramufunowy grału.

Szczepko: A jakby płyta gramufunowa była marsz pogrzebowy, to tyby ji puwiedział ży una jest marsz pogrzebowy?

Tońko: Ni, ni Szczepciu. To znowu ty si ni rozumisz. A jak mi raz Karolka puwidziała, ży ja jezdy „spij moji sercy cichutku”, tu ty mi radził si ubrazić, a... późni si pukazału, ży tu tyż gramufunowy kawałyk. Co du miłośnegu gadania, to ja jezdy forant przed tobu. Karolka moży poświadczyć.

Szczepko: Ty, słuchaj mnie! Jak jest przyjenci, a tobi chtoś mówi, żyby ty sy sieńdnoł, abu zjad, abu nawyt wypił, masz puwiedzić „dzinkuji ja pustojim, dzinkuji ja ni mogli, dzinkuji ja ni piji...”

Tońko: Nu, a jak ja ciebi pusłuchał i puwiedział Wikci, jak ona mi puprusiła du tańca „dzinkuji, ja pusiedzy”, tu ty mi mału głowy ni urwał.

Szczepko: Bu ty to w złym miejscu puwiedział.

Tońko: Ja ni mogim tak furt kłamstwu mówić. Jakby państwu tak kłamali, tuby nich t ni siedział, nichtby nie jad, nichtby ni tańcował!

Szczepko: To nie jist żadny kłamstwu, irm taki aligancki bajtluwant. Bu to, cu tobi przyjemnuść, masz pu wiedzie „dzinkuji”, a to cu komu przyjemnuść, tu masz puwiedzić „i z owszym”, a tera chodź, ja ci stawiam piwu.

Tońko: Ja ni pójdę.

Szczepko: Czegu?

Tońko: Bu ja nie wim, co ci puwiedzić, bu to i twoja przyjemnuść i moja przyjemnuść.

Szczepko: Mnie, takiemu kulegowi masz puwiedzić „dzinkuji”!

Tońko: Dzinkuji.

Szczepko: Ali ni tera! Jak wypijisz. Tera chodź.

Tońko: Już idy<sup>236</sup>.

### **Przykład 163. Melchior Wańkowicz – *Szczenięce lata*. Fragmenty (1935)**

W pokoju babki mieszkałem jakiś czas od trzech do sześciu lat życia, nim sprowadzono Niemca, profesora Blese.

Nie musiałem być zbyt wygodnym szlafkamratem. Pamiętam, że otrzymał pewnego razu wieczorem prezent: pistolet pneumatyczny, bijący do celu ostro gumową kulą, i blaszanego koguta piejącego, gdy mu się dmuchało w ogon, o świcie już obudziłem się z wielkiej emocji i radości, zapałem, a kiedy się babka obudziła – prasnąłem w nią z pistoletu; zgórowałem – i ze świętego obrazu nad łóżkiem babki posypało się szkło.

Czy i jak mnie za to ukarano – nie wiem, ale gradację kar mam dobrze w pamięci; najnudniej, aczkolwiek najłżejsza to była kara, było stać w kącie. Toteż uciekałem z niego, zwykle więc delegowano Alinkę, pannę respektową jeszcze

---

<sup>236</sup> Szczepko i Tońko, *O dobrem wychowaniu*, [w:] K. Wajda, H. Vogelfänger, *Szczepko i Tońko. Dialogi radiowe z „Wesołej lwowskiej fali”* Lwów 1934. Reprint z postawieniem Jerzego Janickiego, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1989, s. 60–65. Por. wersja z uwspółcześnioną pisownią Szczepko i Tońko, *O dobrym wychowaniu*, [w:] W. Szolginia (oprac.), *Na wesołej lwowskiej fali*, Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1991, s. 139–142.

mojej matki, która wyhodowała nas wszystkich. Alinka zastawiała kąt krzesłem i rozsiadała się na nim z mruknięciem „ot – trucizna...”, i pilnowała wiernie, nim wyznaczony kwadrans nie minął.

Miała też potem pysznie za swoje – udawałem, że przynoszę żabę w czapce. Żab stara panna panicznie się bała, biegła do swego pokoiku, zamykała go na klucz i ze szczotką do zamiatania w rękę siadała na łóżku z podwiniętymi nogami, w pozycji obronnej.

Z biegiem czasu „ulepszono” stawianie mnie do kąta; najprzód przywiązywano mnie za nogę do stołu, ale kiedy okazało się, że potrafię za sobą ciągnąć stół po domu w dążeniu np. do jakichś roczników „Biesiady Literackiej”, przywiązywano mnie do nogi fortepianu.

Następnym stopniem kary było „klęczenie”, z nieodłączną zapowiedzią, że jak jeszcze raz to się powtórzy, to będę klęczał „na grochu”, a ostatnią i najwyższą karą, pachnącą ponurym średniowieczem, było „leżenie krzyżem”.

Tę karę pasjami lubiłem. Człowiek kładł się jak długi na samym środku stołowego lub „pierwszego pokoju” na chodniku i oddawał się kontemplacji, a przechodzący domownicy z nabożeństwem musieli delikwenta wymijać. W okna sączył się szary zmierzch, gdzieś z drugiego końca ogromnego domu, z kredensu, dochodził brzęk szykowanych sztucców, stary Karol wnosił kulistą naftową lampę, zegar cykał równo, równiutko w takt z chłopięcym sercem<sup>237</sup>.

### **Przykład 164. Witold Zechenter – *Ego te faciam...* (1935)**

Akademicki roczek nowy,  
łańcuchy, togi i pedele,  
uroczystości, czesne, mowy,  
kwestura i indeksów wiele.

Ach, myśmy też tak zaczęli  
akademickie nasze lata,  
gdy tak byliśmy jeszcze mali,  
żeśmy wierzyli w szczęście świata...

I były testy i nomina,  
proseminaria i kolokwia,  
i rozmaite egzamina,  
że aż trzeszczało w mózgu krokwiach.

<sup>237</sup> M. Wańkowicz, *Szczenięce lata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 25. Źródło pierwotne: tenże, *Szczenięce lata*, Towarzystwo Wydawnicze Rój, Warszawa 1935.

Dziś nowa młodzież w mury wkracza,  
ci mają laski, tamci kije,  
znów jakieś chesne się odracza,  
znów ktoś na wiecu „niech nam żyje”.

Znowu zebrania różnych kółek  
i sale w świetle lampek bladym...  
... Słysząc głos jakiś: – *Disce, puer,*  
*ego te faciam* mościzadem...<sup>238</sup>

### **Przykład 165. Zuzanna Ginczanka (Zuzanna Polina Gincburg) – *Słówka* (1936?)**

Byli uczniowie, byli studenci  
noszą tajemne słówka w pamięci,  
słówka z nauki obcych, języków,  
z szkolnych, podartych, starych słowników:  
„Liberté”, „egalité”, „fraternité”.

Byli uczniowie są ministrami,  
publicystami, adwokatami,  
są więc Czym Innym bardzo zajęci;  
– a tu wyłazą słówka z pamięci:

„liberté”,  
„egalité”,  
„fraternité”.

Cóż to za słówka? Nikt nie pamięta,  
jaka treść w dźwięku była zamknięta,  
jak się ich pozbyć? Głowa nie mieści  
sylab natrętnych nieznanej treści:

„liberté”,  
„egalité”,  
„fraternité”.

Byli uczniowie ciskają gromy,  
dzwonią do Byłych Uczniów – znajomych:

---

<sup>238</sup> W. Zechenter, *Grymasy z komentarzem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s. 155. Wykorzystanie frazy „ego te faciam...” z innego utworu komicznego. Por. przykład 175.

„Niech Pan Minister mi wytłumaczy,  
co każde słówko z osobna znaczy:

„liberté”,  
„égalité”,  
„fraternité”.

Znajomi milczą. Co za puenta?  
Nikt ze znajomych już nie pamięta,  
nawet lingwiści pełni wymówek  
nie pamiętają znaczenia słówek:

„liberté”,  
„égalité”,  
„fraternité”.

W jakichś komórkach, za jakimś stryszkiem  
długo słowników szukają ciszką,  
by ku zdumieniu byłych kolegów  
odnaleźć wreszcie wyszłe z obiegu:

„liberté”,  
„égalité”,  
„fraternité”.

I nagle: – ostrym, gwałtownym sztorcem  
wstają francuskie barwne proporce  
i „Marsylianka” wstrząsa orkiestrą.  
Słuchajcie! Wolność! Równość! Braterstwo!

Liberté!  
Egalité!  
Fraternité!

Stoją, zdumieni i osłupiali,  
grzmoty przeszłości dudnią w oddali,  
A Pan Minister powiada do mnie:  
Żeby tak, patrzcie państwo, zapomnieć!

Liberté!  
Egalité!  
Fraternité!<sup>239</sup>

---

<sup>239</sup> Z. Ginczanka, *Słówka*, [w:] Z. Mitzner, L. Pasternak (oprac.), *Satyra prawdę mówi... 1918–1939*, Czytelnik, Warszawa 1963, s. 111–112; też, *Słówka*, [w:] W.L. Brudziński,



**Przykład 166. Wiech (Stefan Wiechecki) –  
*Sekret profesora* (1936–1939?)**

– Kochana pani Balon, dziś, po wotywie u Kapucynów, mówiła mi piegowata Pietruszyńska z Krzywego Koła, że zamierujesz pani w związku małżeńskie wstąpić.

– Nie powiem paniusi ani tak, ani nie, tylko zauważę, że trafia mnie się jeden profesor. Chłop niczego, wdowiec, bezdzietny, na regularnej posadzie – w dodatku brenet z mieszkaniem, dochody także samo ma – odrzekła na pozór obojętnie na pytanie znajomej właścicielka elektrycznego i ręcznego magła, pani Agnieszka Balon, osoba korpulentna i ogólnie szanowana ze względu na majątek i zalety towarzyskie.

– Czy kochana pani aby dobrze robi? Profesory to teraz bida z nędzą, łatki bez butów.

– Totyż moja pani na forszę nie lecę, ale honor chce mieć, bo mnie na to stać.

A takżesamo z pozycji towarzyskiej cofać się nie mogę, mój nieboszczyk pierwszy mąż stolarz był i ławki dla szkół robił, znakiem tego z naukową branżą stosunki miałam i profesor będzie dla mnie na męża pasował jak ulał.

I byłaby pani Balon dotrzymała swego postanowienia, gdyby nie jej sąsiad przez ścianę, pan Mieczysław Kwiatkowski, malarz pokojowy i szyldowy, który od dawna marzył o fuzji obydwu interesów. Myślał sobie, że gdy sztuka zawiedzie, pracować na niego będzie magiel.

Pan Kwiatkowski nosił eleganckiego profesora długo na wątrobie, śledził go przy pomocy swego asystenta, aż wreszcie przyszedł któregoś dnia do zakładu ukochanej kobiety i rzekł: – Już wiem kogo i gdzie uczy panin profesor. Widziałem jego studentów, o mało mnie dziury w portkach nie wygryzli.

– Co pan mnie tu opowiada, a cóż to za uczenie?

– Buldoki czyli cwajnosy! Ten profesor uczy psy służyć i słomianek nie zanieczyszczać!

Z dalszych słów mściwego zalotnika wynikało, iż wykrył, że pedagog starający się o rękę pani Agnieszki jest wykładowcą i dyrektorem zarazem uczelni, wpajającej salonowe maniery rasowym okazom psiego rodu. Po przeszkoleniu sprzedaje wykształconych swych pupilów na Kercelaku.

– O rety! Psiarz! – krzyknęła pani Agnieszka i zemdłała. Po dojściu do przytomności zawrzała srogim gniewem i skoro „profesor” przyszedł wieczorem na

wizytkę, wypukała przez ścianę wiernego malarza i oboje dali pedagogowi taki „wycisk”, że na ulicy było słyhać.

Nic zatem dziwnego, że stanęli już jako małżeństwo przed sądem grodzkim o pobicie pana Jana Wąska, hodowcy i tresera zwierząt.

Sędzia, wzięwszy pod uwagę tło sprawy skazał młodych małżonków na trzy dni aresztu, z zawieszeniem kary<sup>240</sup>.

### **Przykład 167. Wiech (Stefan Wiechecki) – *Trzej studenci* (1936–1939?)**

W zalanej złotym słońcem głównej alei parku Praskiego, na jednej z ławek siedzieli trzej studenci, o czymś z ożywieniem rozmawiając. Obok leżały teczki, wypchane podręcznikami.

Miło jest patrzeć na młodzież, tę przyszłość narodu, miło jest posłuchać jej sporów na tematy naukowe.

Nic też dziwnego, że siedzący opodal jakiś starszy szpakowaty pan, wyglądający z pozoru na emeryta, przysiadł się nieco bliżej: z dobrotliwym uśmiechem począł przysłuchiwać się pogwarce trzech akademików.

Jeden z nich, przystojny blondyn o dziewczęcej prawie twarzy, nachyliwszy się do kolegów, mówił z młodzieńczym ogniem w oczach: – A ja wam raz jeszcze zaznaczam, łachadojdy w ząbek czesane, że w ten sposób nic nie zrobimy. To trzeba załatwić technicznie na pasówkie z biglem i ceremonią. Ty, Bolek, weźmiesz kawałek mydła i uskutecznisz fotografie kłódki. Szmaja do wieczora zrobi modelik i jak tylko pudel zamknie sklep, bierzem się do roboty. Ja wchodzę do środka, Bolek stoi na świcy, od Ząbkowskiej, a ty Szmaja bajerujesz na rogu na Targowej papucie. Możesz mu, uważasz, trajlować o polityce, nocne strupie to lubię, tylko musisz jenteligientnie z niem gadać, żeby się nie znudził. A ja tymczasem zabierę w walizki co się da i prysnę na Szmulki. U Mańka Orzechoszczaka majland się rozdzielili, każdy weźmie swoje dole i zataszczy do domu.

– Faktycznie myśl jest niezła, tylko o to się rozchodzi, żebyś ty, Jasiu, grzbieciem do wiatru nas nie wystawił i nie zjechał nam z całym towarem – zastrzegł się drugi student, w czapce „Bratniaka” Politechniki.

– To jest niemożliwość – oświadczył z pewnością siebie młodzieniec w dekle korporanckim, poprawiając trójbarwną bandę.

<sup>240</sup> Wiech, *Dryndą przez Kierbedzia*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990, s. 71–72. Autor publikował felietony w „Expressie Porannym”, „Kurierze Czerwonym” i „Kurierze Warszawskim”. W latach 1936–1939 zostały one spopularyzowane dzięki następującym wydaniom zbiorowym felietonów (niektóre wznawiane kilkakrotnie przez różne wydawnictwa): *Dryndą przez Kierbedzia*; *Ja panu pokażę*; *Piecyk i S-ka*; *Syrena w sztywniaku*; *W ząbek czesany*; *Wysoka Eksmisjo*; *Znakiem tego*.

– On wi, że ciężko by u mnie był przegrany! A święta idą i nieprzyjemnie by mu było wилie na chirurgicznej sali Przemienienia Pańskiego spędzać.

O co inszego się martwię, Jasio jest chłopakiem nerwowem. Jak się znacznie spieszyć, połowę obstalunków nam nie wykona.

– Znakiem tego pamiętaj, o co cię prosiłem. Weźmiesz dla mnie pięć butelek spirytusu, boczek wędzony, ten co wisi na prawo od wejścia, trochę bakalii, ze trzy zające, faskie minóg na prezent dla cioci Kwapiszewskiej, troszkie sardynek no i coś niecoś z drobiu.

– Dla mnie może być to samo, tylko nie zapomnij o flaszcze czerwonego wina, tego na żołądek!

– Dobra, wszystko będzie.

– No, to w taki sposób posuwamy.

Trzej akademicy wstali razem z ławki, poprawili palta, ujęli teczki pod pachę, gdy nagle uśmiechnięty emeryt podszedł do nich i powiedział uprzejmie: – Zaraz, zaraz, chłopaki. Nic pilnego, wstąpimy tylko na chwilę do biura.

Młodzież cofnęła się w tył i zaczęła uciekać. Ale starszy pan wydobył z jednej kieszeni kajdanki, a z drugiej policyjny gwizdek.

Na dany sygnał z bocznej alei wybiegli jacyś dwaj znajomi staruszka, wspólnymi siłami ujęli trzech studentów i przewieźli do biura urzędu śledczego przy ulicy Daniłowiczowskiej.

W dniu wczorajszym przed sądem starościńskim stanęli panowie: Jan Zabłocki, Michał Kozioł oraz Bolesław Winiecki, którzy istotnie okazali się słuchaczami wyższych uczelni złodziejskich na Pradze.

Za posiadanie w teczkach podręczników do włamań, i pomocy naukowych w postaci wytrychów, plasteliny, mydła itp., zostali skazani na jeden miesiąc bezwzględnego aresztu<sup>241</sup>.

### **Przykład 168. Konstanty Ildefons Gałczyński – *Zima z wypisów szkolnych* (1936)**

Któż to tak śnieżkiem prószy z niebiosów?

Dyć oczywiście pan wojewoda;  
módl się, dziecino, z całą krainą –  
niech Bóg mu siły doda:  
śnieżku naprószyl, śnieżek poruszył  
dobry pan wojewoda.

<sup>241</sup> Tenże, *Trzej studenci*, [w:] tegoż, *Dryndą przez Kierbedzia*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990, s. 125–126.

A któż na szybach maluje kwiaty,  
czy mróz, czy mróz, dziecino?  
Nie, to rączuchną dla ciebie, żabuchno,  
starosta ze starościną:  
srebrzyste prążki, listki, gałązki  
dla ciebie, dziwna dziecino!

A któż te śliczne zawiesił sople  
za oknem u okapu?  
Czy może także mróz niedobry  
swą fantastyczną łapą?  
Nie, moje złoto, to referenci,  
podkierownicy, nadasytenci  
nocą nie spali, hura! wołali  
sople przyklejali.

Hej, tam w Warszawie jest pan minister  
siwy i taki miły,  
przez okno rzuca spojrzenie bystre,  
bo chce, by dla ciebie były  
zimą sopolki, śniegi i lody:  
wszystkie zimowe wygody.

Jeżeli tedy sanki usłyszysz  
i dzwonki tajemnicze,  
wiedz: to minister w skupionej ciszy  
nacisnął taki guziczek,  
że sanki dzwonią i gwiazdki lśnią  
nad miastem i nad wsią<sup>242</sup>.

### **Przykład 169. Kazimierz Krukowski – *Egzamin* (1936)**

Wysoki dostojnik: No i co synku? Jak ten egzamin wstępny?

Syn: Zdałem, papo.

Wysoki dostojnik (*ucieszony*): Zdałeś!

---

<sup>242</sup> K.I. Gałczyński, *Zima z wypisów szkolnych*, [w:] tegoż, *Satyra, groteska, żart liryczny*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955, s. 189. Por. tenże, *Zima z wypisów szkolnych*, [w:] W.L. Brudziński, A. Marianowicz, A. Mostowicz (oprac.), dz. cyt., s. 35.

Syn: Zdałem z odznaczeniem.

Wysoki dostojnik (*dumny z syna, z tkliwości*): Z odznaczeniem... No, a o co cię pytali przy egzaminie?

Syn: Czy jestem twoim synem?<sup>243</sup>

**Przykład 170. Stanisław Jerzy Lec –  
Na oświatę w wolnej Polsce (1936)**

Lud szczęśliwy, lud wesoły,  
Nikt mu już nie daje szkoły<sup>244</sup>.

**Przykład 171. Witold Gombrowicz – *Ferdydurke*.  
Fragmenty (1937)**

W ogólnym rozgardiaszu uczniowie zajmowali miejsca w ławkach i krzyczeli, jakby za chwilę mieli zamilknąć na zawsze.

I nie wiadomo kiedy ukazał się na katedrze nauczyciel. Było to to samo ciało, wyblakłe i smutne, które w kancelarii wyraziło ważki pogląd, że staniało. Zasiadłszy na krześle nauczyciel otworzył dziennik, strząsnął pyłek z kamizelki, obrócił rękawy, żeby się na łokciach nie wytarły, zacisnął usta, stłumił coś w sobie i założył nogę na nogę. Następnie westchnął i spróbował przemówić. Hałasy wybuchnęły ze zdwojoną mocą. Krzyczeli wszyscy, za wyjątkiem chyba jednego Syfona, który pozytywnie wyciągał zeszyty i książki. Nauczyciel spojrział na klasę, poprawił mankiet, zwęził usta, otworzył je i znowu zamknął. Uczniowie wrzasnęli. Nauczyciel zmarszczył się i skrzywił, obejrzał mankiety, pobębnił palcami, pomyślał o czymś dalekim – wyciągnął zegarek, położył go na pulpicie, westchnął, znów coś stłumił w sobie czy przełknął, a może ziewnął, dłuższy czas skupiał energię, wreszcie huknął dziennikiem w katedrę i krzyknął: – Dość tego! Proszę się uspokoić! Lekcja się zaczyna.

Wtedy cała klasa (prócz Syfona i kilku jego zwolenników) jak jeden mąż objawiła niecierpiącą zwłoki konieczność udania się do ubikacji. Nauczyciel, zwany pospolicie Bładaczką od szczególnie niezdrowej i ziemistej cery, uśmiechnął się kwaśno.

<sup>243</sup> K. Krukowski, *Egzamin*, [w:] tegoż, *Mała antologia kabaretu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1982, s. 34–35. Pokazywany po raz pierwszy na polskiej scenie blekaut, czyli dowcip ilustrowany, to znaczy nie opowiadany, lecz przedstawiany w formie migawek scenicznych z teatryku literackiego Światopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza „13 Rzędów”, którego przedstawienia odbywały się w kawiarnianej salce na antresoli „Café Clubu”. Więcej o tym teatryku: tenże, *Mała antologia...*, dz. cyt., s. 30–42.

<sup>244</sup> S.J. Lec, *Na oświatę w wolnej Polsce*, [w:] tegoż, *Spacer cynika. Satyry i fraszki*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Łódź 1946, s. 90.

– Dosyć! – krzyknął automatycznie. – Zwolnić was! Chciałaby dusza do raju? A dlaczego to mnie nikt nie zwolni? Dlaczego to ja muszę siedzieć? Siadać, nikogo nie zwalniam, Miętalskiego i Bobkowskiego zapisuję do dziennika, a jeżeli jeszcze który się odezwie, to wyzwę go do odpowiedzi!

Wówczas nie mniej niż siedmiu uczniów przedstawiło świadectwa, że z powodu takich to a takich chorób nie mogli przygotować lekcji. Prócz tego czterech zadeklarowało migrenę, jeden dostał wysypki, a jeden drgawek i konwulsji.

– Tak – powiedział zawistnie Bładaczka – a dlaczego to mnie nikt nie da świadectwa, że z przyczyn od siebie niezależnych nie przygotowałem lekcji? Dlaczego mnie nie wolno mieć konwulsji? Dlaczego, pytam, nie mogę mieć konwulsji, tylko muszę siedzieć tu dzień w dzień oprócz niedziel? Precz, świadectwa są sfałszowane, choroby udane, siadać, znamy się na tym!

Ale trzech uczniów, najbardziej spoufalconych i wymownych, zbliżyło się do katedry i zaczęło opowiadać zabawną historię o Żydach i ptaszkach. Bładaczka zatkał uszy. – Nie, nie – jęczał – nie mogę, zlitujcie się, nie kuście, lekcja przecież, co by było, gdyby nas pan dyrektor przyłapał.

Tu zatrząsł się, obejrzał niepewnie na drzwi i blady strach wy płynął mu na policzki.

– A gdyby pan wizytator nas przyłapał? Panowie, uprzedzam, że wizytator jest w szkole! Właśnie!... Uprzedzam panów... Nie pora na głupstwa! – jęknął przestraszony. – Trzeba natychmiast zorganizować się wobec wyższej władzy. No... hm... który tam najlepiej opanował przedmiot? Tylko bez blagi, nie czas na żarciki! Pomówmy zupełnie szczerze. Co?! nikt nic nie umie? Zgubicie mnie! No, może jednak któryś, no, przyjaciele, śmiało, śmiało... Aa, Pylaszczkiewicz, mówicie? Bóg zapłać, Pylaszczkiewicz, zawsze miałem Pylaszczkiewicza za wartościowego. No, a co Pylaszczkiewicz najlepiej opanował? *Konrada Wallenroda* czy *Dziady*? A może ogólne rysy romantyzmu? Niech Pylaszczkiewicz wyzna mi.

Syfon wszakże, już na dobre utwierdzony w chłopięciu, wstał i odpowiedział: – Przepraszam pana profesora. Jeżeli pan profesor wyzwie mnie do odpowiedzi przy panu wizytatorze, będę odpowiadał według najlepszej swojej wiedzy – ale obecnie nie mogę zdradzić, co opanowałem, gdyż zdradzając, zdradziłbym samego siebie.

– Syfon, zgubisz nas – ozwali się z przerażeniem inni – Syfon, wyznaj szczerze!

– No, no, Pylaszczkiewicz – rzekł pojednawczo Bładaczka. – Dlaczego to Pylaszczkiewicz nie chce wyznać? Rozmawiamy przecież prywatnie. Niech Pylaszczkiewicz wyzna mi... Pylaszczkiewicz nie ma chyba zamiaru gubić mnie

i siebie? Jeżeli Pylaszczkiewicz nie chce powiedzieć otwarcie, niech Pylaszczkiewicz da do zrozumienia.

– Przepraszam pana profesora – odpowiedział Syfon – ale nie mogę wdawać się w żadne kompromisy, gdyż jestem bezkompromisowy i nie mogę sprzeniewierzać się sobie ani zdradzać siebie.

I usiadł.

– Tiu, tiu – mruknął nauczyciel – uczucia te przynoszą zaszczyt Pylaszczkiewiczowi. Ale niech Pylaszczkiewicz tego do serca nie bierze, ja tylko tak sobie prywatnie żartowałem. Oczywiście, oczywiście, paczyć się nie można, co to mamy na dzisiaj? – rzekł surowo i zajął do programu. – Aha! Wy tłumaczyć i objaśnić uczniom, dlaczego Słowacki wzbudza w nas miłość i zachwyty? A zatem, panowie, ja wyrecytuję wam swoją lekcję, a potem wy z kolei wyrecytujecie swoją. Cicho! – krzyknął i wszyscy pokładli się na ławkach, rękami podpierając głowy, a Bładaczka, nieznacznie otworzywszy odnośny podręcznik, zaciśniętą ustą, westchnął, stłumił coś w sobie i rozpoczął recytację.

– Hm... hm... A zatem dlaczego Słowacki wzbudza w nas zachwyty i miłość? Dlaczego płacemy z poetą, czytając ten cudny, harfowy poemat *W Szwajcarii*? Dlaczego, gdy słuchamy heroicznych, spiżowych strof *Króla Duchy*, wzbiera w nas poryw? I dlaczego nie możemy oderwać się od cudów i czarów *Balladyny*, a kiedy znowu skargi *Lilii Wenedy* zadźwięczą, serce rozdziera się nam na kawały? I gotowiśmy lecieć, pędzić na ratunek nieszczęsnemu królowi? Hm... dlaczego? Dlatego, panowie, że Słowacki wielkim poetą był! Wałkiewicz! Dlaczego? Niech Wałkiewicz powtórzy – dlaczego? Dlaczego zachwyty, miłość, płacemy, poryw, serce i lecieć, pędzić? Dlaczego, Wałkiewicz? [...]

– Dlatego, że wielkim poetą był! – powiedział Wałkiewicz, uczniowie wycinali scyzorykiem ławki albo robili małe kuleczki z papieru, najmniejsze, jak mogli, i wrzucali je do kałamarza. Był to niby staw i ryby w stawie, więc też łowili je na wędkę z włosa, ale nie udawało się, papier nie chciał chwytać. Więc włosem łechtali nos albo podpisywali się w zeszytach, raz za razem, to z zakrętasem, to bez, a jeden kaligrafował przez całą stronicę: – Dla-cze-go, dla-cze-go, dla-cze-go, Sło-wac-ki, Sło-wac-ki, Sło-wac-ki, wac-ki, wac-ki, Wa-cek, Wa-cek-Sło-wac-ki-i-musz-ka-pchła. Twarze im zbiedniały. Gdzież się podziało niedawne podniecenie, spory i dyskusje – paru tylko szczęśliwców zapomniało o bożym świecie nad Wallace'em. Nawet Syfon zmuszony był wyteńczyć całą siłę charakteru, żeby nie sprzeniewierzyć się swoim zasadom samodoskonalenia i samokształcenia, lecz umiał on się tak urządzić, że właśnie przykrość była mu źródłem rozkoszy, jako probierz siły charakteru. Inni zaś tworzyli wzgórczki i dołki na dłoni i dmuchali w dołki z rosyjska – ech, ech, dołki, górki, dołki, górki. Nauczyciel westchnął, stłumił, spojrzął na zegarek i mówił.

– Wielkim poetą! Zapamiętajcie to sobie, bo ważne! Dlaczego kochamy? Bo był wielkim poetą. Wielkim poetą był! Nieroby, nieuki, mówię wam przecież spokojnie, wbijcie to sobie dobrze w głowy – a więc jeszcze raz powtórzę, proszę panów: wielki poeta, Juliusz Słowacki, wielki poeta, kochamy Juliusza Słowackiego i zachwycamy się jego poezjami, gdyż był on wielkim poetą. Proszę zapisać sobie temat wypracowania domowego: „Dlaczego w poezjach wielkiego poety, Juliusza Słowackiego, mieszka nieśmiertelne piękno, które zachwyt wzbudza?”.

W tym miejscu wykładu jeden z uczniów zakręcił się nerwowo i zajęczał: – Ale kiedy ja się wcale nie zachwycam! Wcale się nie zachwycam! Nie zajmuje mnie! Nie mogę wyczytać więcej jak dwie strofy, a i to mnie nie zajmuje. Boże, ratuj, jak to mnie zachwyca, kiedy mnie nie zachwyca? – Wytrzeszczył oczy i usiadł, grążąc się w jakieś bezdenne przepaście. Naiwnym tym wyznaniem aż zakrztusił się nauczyciel.

– Ciszej, na Boga! – syknął. – Gałkiewiczowi stawiam pałkę. Gałkiewicz zgubić mnie chce! Gałkiewicz chyba nie zdaje sobie sprawy, co powiedział?

GAŁKIEWICZ – Ale ja nie mogę zrozumieć! Nie mogę zrozumieć, jak zachwyca, jeśli nie zachwyca.

NAUCZYCIEL – Jak to nie zachwyca Gałkiewicza, jeśli tysiąc razy tłumaczyłem Gałkiewiczowi, że go zachwyca.

GAŁKIEWICZ – A mnie nie zachwyca.

NAUCZYCIEL – To prywatna sprawa Gałkiewicza. Jak widać, Gałkiewicz nie jest inteligentny. Innych zachwyca.

GAŁKIEWICZ – Ale, słowo honoru, nikogo nie zachwyca. Jak może zachwycać, jeśli nikt nie czyta oprócz nas, którzy jesteśmy w wieku szkolnym, i to tylko dlatego, że nas zmuszają siłą...

NAUCZYCIEL – Ciszej, na Boga! To dlatego, że niewielu jest ludzi naprawdę kulturalnych i na wysokości...

GAŁKIEWICZ – Kiedy kulturalni także nie. Nikt. Nikt. W ogóle nikt.

NAUCZYCIEL – Gałkiewicz, ja mam żonę i dziecko! Niech Gałkiewicz przynajmniej nad dzieckiem się ulituje! Gałkiewicz, nie ulega kwestii, że wielka poezja powinna nas zachwycać, a przecież Słowacki był wielkim poetą... Może Słowacki nie wzrusza Gałkiewicza, ale nie powie mi chyba Gałkiewicz, że nie przewierca mu duszy na wskroś Mickiewicz, Byron, Puszkina, Shelley, Goethe...

GAŁKIEWICZ – Nikogo nie przewierca. Nikogo to nic nie obchodzi, wszystkich nudzi. Nikt nie może przeczytać więcej niż dwie lub trzy strofy. O Boże! Nie mogę...

NAUCZYCIEL – Gałkiewicz, to jest niedopuszczalne. Wielka poezja, będąc wielką i będąc poezją, nie może nie zachwycać nas, a więc zachwyca.



GAŁKIEWICZ – A ja nie mogę. I nikt nie może! O Boże!

Nauczycielowi pot kroplisty zrosił czoło, wyjął z pugilaresu fotografię żony i dziecka i próbował wrzucić nimi Gałkiewicza, lecz ten powtarzał tylko w kółko swoje: „Nie mogę, nie mogę”. I to przejmujące „nie mogę” rozpleniało się, rosnąc, zarażało, już z kątów dochodziły szmery: „My też nie możemy”, i zagrażać jęła powszechna niemożność. Nauczyciel znalazł się w okropnym impasie. Lada sekunda mógł nastąpić wybuch – czego? – niemożności, lada moment dziki ryk niechcenia mógł porwać się i dopaść dyrektora i wizytatora, lada chwila gmach cały mógł runąć, grzebiąc pod gruzami dziecko, a Gałkiewicz właśnie nie mógł, Gałkiewicz ciągle nie mógł i nie mógł. Nieszczęsny Bładaczka poczuł, że jemu także grozić zaczyna niemożność.

– Pylaszczkiewicz! – krzyknął. – Niech Pylaszczkiewicz natychmiast wykaże mnie, Gałkiewiczowi i wszystkim w ogóle piękności którego z celniejszych ustępów! Prędszej, bo *periculum in mora!* Proszę uważać! Jeżeli kto piśnie, zarządzę ćwiczenie klasowe! Musimy móc, musimy móc, bo z dzieckiem będzie katastrofa!

Pylaszczkiewicz podniósł się i zaczął recytować ustęp z poematu. I recytował. Syfon ani trochę nie uległ powszechnej, a tak nagłej niemożności, przeciwnie – mógł zawsze, gdyż właśnie z niemożności czerpał swoją możliwość. Recytował zatem i recytował ze wzruszeniem tudzież z właściwą intonacją i z uduchowieniem. Co więcej, recytował pięknie i piękność recytacji, wzmożona pięknnością poematu i wielkością wieszczą oraz majestatem sztuki, przetwarzała się niepostrzeżenie w posąg wszelkich możliwych piękności i wielkości. Co więcej, recytował tajemniczo i pobożnie; recytował usilnie, z natchnieniem; i wyśpiewywał śpiew wieszczą tak właśnie, jak śpiew wieszczą winien być wyśpiewany. O, cóż za piękność! Jakaż wielkość, jakież geniusz i jakaż poezja! Mucha, ściana, atrament, paznokcie, sufit, tablica, okna, o, już niebezpieczeństwo niemożności było zażegnane, dziecko było uratowane, a żona tak samo, już każdy się zgadzał, każdy mógł i prosił tylko, żeby przestać. [...] Po kwadransie sam Gałkiewicz zajęczał, że dosyć, że już uznaje, że uchwycił, że cofa, zgadza się, przeprasza i może.

– A widzi Gałkiewicz?! Nie ma to jak szkoła, gdy chodzi o wdrożenie uwielbienia dla wielkich geniuszów!

A ze słuchaczy wydobywały się na wierzch dziwne rzeczy. Zniknęły różnice, wszyscy, czy to spod znaku Syfona, czy Miętusa, jednakowo wili się pod brzemieniem wieszczą, poety, Bładaczki i dziecka oraz otępienia. Gołe ściany i gołe czarne ławki szkolne z kałamarzem nie dostarczały ani krzty rozmaitości, przez okno widać było kawałek muru z jedną wystającą cegłą i wydłubanym na niej napisem: „Wyleciał”. Przeto nie pozostawało nic innego do wyboru, jak tylko albo ciało pedagogiczne, albo własne. Ci zatem, którzy nie zatrudniali uwagi licze-

niem włosów Bładaczki na czaszce i badaniem zawitych sznurowadeł u jego bucików, starali się zliczyć własne włosy oraz zwichnąć szyję. Myzdral wiercił się, Hopek machinalnie kłapał, Miętus miętolił się niejako w bolesnej prostracji, niektórzy zatapiali się w marzeniach, inni popadali w fatalny nałóg szeptania do siebie, inni obrywali guziki, niszczyli ubranie i wszędzie zakwitały dżungle i pustynie niesamowitych odruchów, dziwacznych czynności. Jeden jedyny perwersyjny Syfon prosperował tym lepiej, im większa była powszechna niedola, posiadał bowiem specjalny mechanizm wewnętrzny, za pomocą którego umiał bogacić się nawet ubóstwem. A nauczyciel, pomny na żonę i dziecko, nie ustawał: – Towiański, Towiański, Towiański, mesjanizm, Chrystus Narodów, znicz, ofiara, czterdzieści i cztery, natchnienie, cierpienia, odkupienie, bohater i symbol. – Słowa wchodziły przez uszy i dręczyły umysł, a twarze wykrzywiały się coraz przeraźniej, zrywały z pojęciem twarzy i zmiętoszone, znużone i wymaglowane, gotowe były przyjąć każdą twarz – z tych twarzy można było zrobić wszystko, co się zamarzyło – o, co za ćwiczenie wyobraźni! A rzeczywistość, też wymaglowana, też znużona, zmiętoszona, zdarta, niepostrzeżenie pomału zmieniała się w świat ideału, daj mi teraz marzyć, daj!

Bładaczka: – Wieszczem był! Wieszczył! Panowie, zaklinam panów, a zatem jeszcze raz powtórzmy – zachwycamy się, gdyż był wielkim poetą, a czcimy, gdyż wieszczem był! Nieodzowne słowo. Cimkiewicz, proszę powtórzycie! – Cimkiewicz powtórzycie: – Wieszczem był!<sup>245</sup>

**Przykład 172. Janusz Minkiewicz –  
*O prozaikach lat trzydziestych* (1937)**

Nie chcę mieć córki,  
Nie chcę mieć synka,  
Boby im w szkole  
Dano Rusinka.

Czytać Rusinka,  
Czytać Morcinka  
Byłaby dola  
Córki i synka.

Poza tym synek,  
A także córka,

<sup>245</sup> W. Gombrowicz, *Ferdydurke*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 39–46.

Czytać by Jalu  
Musieli Kurka.

Czytać więc Kurka  
I czytać Burka  
Musiałby synek,  
A także córka.

Pisałby w klasie  
Biedny mój synek:  
„Czy na Rusinka  
Wpływ miał Morcinek?”.

Szkolne zadania  
Miałaby córka:  
„Omówić wpływy  
Kurka na Burka”.

„Burek (przecinek)  
Kurek (przecinek)  
A spór: Rusinek  
Contra Morcinek...”

Przez was, o Kurki  
I przez Rusinka,  
Przez was, o Burki  
I przez Morcinka  
Będę bez córki,  
Umrę bez synka...<sup>246</sup>

### **Przykład 173. Janusz Minkiewicz – *Sen maturalny* (1937)**

Normalnemu człowiekowi, który kiedykolwiek w życiu zdawał maturę, śni się zazwyczaj koszmarny sen, określony już przez Freuda jako sen maturalny.

Gdy milion zapalek  
Ustawić przy słońcu

<sup>246</sup> J. Minkiewicz, *O prozaikach lat trzydziestych*, [w:] tegoż, *Kazania i skargi*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1946, s. 59–60. Por. tenże, *Sen maturalny*, [w:] tegoż, *Bilans osobisty...*, dz. cyt., s. 102–103. Źródło pierwotne: „Szpilki”, 1937.

Pionowo na czubkach,  
 A wreszcie na końcu  
 Umieścić talerzyk  
 Z serwetką.  
 W serwetkę  
 Na każdym jej rogu  
 Wpiąć jedną żyłkę,  
 A na tych żyłkach  
 Posadzić facetki  
 Tak, aby nie mogły  
 Dotykać serwetki,  
 Z wyjątkiem Halinki,  
 Co bycze ma cyci,  
 Rosnące na pensji  
 U pani Przesmyckiej –  
 Obliczyć plus minus,  
 Czy można by było  
 Zbudować cosinus,  
 Gdy słońca ciepłota  
 Przy tym obliczeniu  
 Wynosi  $x$  stopni  
 Celsjusza, lecz w cieniu;  
 I stąd wyprowadzić  
 W końcowym wyniku  
 Moc siły drzemiącej  
 W Adamie Asnyku...<sup>247</sup>

### **Przykład 174. Wiech (Stefan Wiechecki) – *Tępy uczeń* (1937–1939)**

*Ach, jak pan tańczysz, panie Zalc?*

*To nie jest mazur, to jest walc!*

mówi staropolska piosenka. Nic tedy dziwnego, iż niejeden Zalc, nie chcąc się narazić na podobny zarzut, uczęszcza do szkoły nowoczesnych i stylowych tańców, gdzie już za 2 zł 50 gr miesięcznie można zgłębić najzawilsze tajniki wiedzy choreograficznej.

<sup>247</sup> Tenże, *Sen naturalny*, [w:] tegoż, *Kazania i skargi...*, dz. cyt., s. 130. Źródło pierwotne: „Wiadomości Literackie”, 1937. Por. tenże, *Sen naturalny*, [w:] tegoż, *Bilans osobisty...*, dz. cyt., s. 84. Michał Rusinek, Gustaw Morcinek, Jalu Kurek, Wincenty Burek – pisarze (uwaga Antoniego Marianowicza).

Szkół takich w północnej dzielnicy naszego miasta są tysiące, a już kilkadziesiąt jest ich na pewno.

Nadchodzący karnawał, liczne luki w wykształceniu tanecznym oraz tzw. żyłka dziennikarska sprawiły, że postanowiłem przeżyć miesiąc jako pilny elew takiej uczelni.

Przyświecał mi w tym przykład znakomitych kolegów po piórze, którzy w ten właśnie sposób zdobywali bezcenne, bo na bezpośrednich doznaniach oparte materiały do reportaży.

Jednym słowem, zapisałem się do mieszczącej się w okolicy placu Muranowskiego głośniejszej szkoły mistrza Rafała Grynszpana, przybrawszy dla lepszego zamaskowania stylowe imię i nazwisko: Mietek Cynamon.

W ubiegły poniedziałek starannie wygolony subiekt branży galanteryjnej, Mietek Cynamon, stanął przed obliczem profesora Grynszpana.

Mistrz obrzucił go podejrziwym spojrzeniem, po czym zapytał, z których Cynamonów się wywodzi. Kandydat na ucznia spieszył się nieco, ale odrzekł przytomnie, że z linii falenickiej, której dwaj członkowie wyemigrowali w pierwszej połowie XX wieku do Michalina.

Uspokoilo to widocznie profesora, bo powiedział ciepło: – A sof! Płać pan wpisowego i proszę antre na salę. Mnie mam was, Cynamon, być człowiekiem z salonowym wykształceniem, znaczy się, nie potrzebuję nadmienić na podłogę się nie pluje tudzież danserek się nie szczypa i nie klepa też. Do wydzenia za chwilę! Ja tam już dochodzę.

Nowo przyjęty z biciem serca wszedł do skromnie, ale wytwornie urządzonego salonu, gdzie oczekiwało już spore grono wychowalców wszechnicy. Jedni, stojąc we framugach okien, zabawiali błyskotliwym flirtem mniej lub więcej urocze koleżanki. Inni, z minami więźniów skazanych na długoterminową katorgę, siedzieli w milczeniu na wąskich kanapkach, z których przez czerwony niegdyś plusz przeglądały gdzieś tam mosiężne sprężyny.

Ten drobny na pozór szczegół nader pochlebnie świadczył o frekwencji, jaką cieszyć się musiała szkoła przez długie lata swego istnienia.

Ale nie było czasu na obserwacje. Profesor, ukończywszy zapisy, zgodnie ze swą zapowiedzią stanął w drzwiach i zawołał: – Orewuar, hau du judu, zdrastwujcie czyli dobry wieczór!

Po czym wystąpiwszy na środek sali, takie wygłosił przemówienie: – Ledi und gientelmanes oraz panie Cynamon. Za chwilę my pójdziemy zacząć naszą lekcję.

Już staroświeckie Greki w tak zwanych wiekach średnich lubili się podpuścić w płas. Dlaczego oni to robili? Z powodu chcieli się każdego spodobać i ożenić z posagiem. Od tamte porę istnieją na świecie szkoły tańca, a najpierwsza na Warszawę jest szkoła profesora dyrektora Rafała Grynszpana, to jest mi!

Z każdego chambała, wieśniaka prosto od krowy, za dwa złote pięćdziesiąt groszy miesięcznie ja się idę podjąć zrobić prima baletnika, kutego na cztery wiatry apropos co się dotyka najnowsze i najstarsze tańce, że się tu wymienię z tangiem, karioka, rumbę, wyjmując walc figurowy oraz oberka.

Zaczem my zaczniemy naszej lekcji, zmuszony jestem zrobić uwagę, że tańczyć to nie dosyć, trzeba się też umieć zachować w towarzystwie.

Tu profesor udzielił uczniom kilku wskazówek z dziedziny *savoir-vivre'u*. Kiedy, dajmy na to, do damy przebywającej w salonie czy na dancingu podchodzi pan, z którym ona nie ma ochoty tańczyć, w odpowiedzi na jego zaproszenie dama nie może w żadnym wypadku odrzec pogardliwie: – Paszoł wont szmondak! – czy też: – Się mnie nie chce tańczyć z byle kogo. – Ale ująwszy się obie- ma rękami za głowę winna wycedzić przez zęby: – Taka coś się odczuwam znu- żona. Spróbuj mnie pan zapraszać drugą razą.

W wypadku, kiedy tancerz odpowiada wymaganiom, należy odrzec z uśmie- chem: – Awek pur buar, czyli z przyjemnością!

Po krótkim wstępie mistrz Rafał przeszedł do właściwej lekcji, która potoczyła się dość sprawnie.

– Raz, dwa, trzy, cztery... wszyscy panowie za mną... i raz, dwa, trzy, cztery...

Rabinowicz, proszę wolniej... gdzie się pan spieszysz, to nie licytacja, psia krew!... Karabińczyk, anawa, równo, równo, w tańca też musisz się pan jąkać?!

Cytryn, co pan skaczesz obiema nogoma, mordę pan chcesz sobie rozbić? Raz, dwa, trzy, cztery...

Cynamon, ja nie żądam od was być na pierwszej lekcji Parnell, ale za kalekie też tu nie możecie się kręcić. Raz, dwa...

Przy tańcach z udziałem dam szczególnie mocno denerwował mistrza niejaki Beniek Zimnomordzik, który przy każdym obrocie zdradzał tendencje wywrotowe. Ratował się w ostatniej chwili, kurczowo chwytając za szyję swą partnerkę.

– Uj, udusi kobitę! Zimnomordzik, co pan robisz, co? Ile razy mam pana powtarzać? Obcasy każ pan sobie przybić. Tancerz na biegunach... psia krew. Raz, dwa, trzy, cztery...

Mietek Cynamon też uległ kilkakrotnie druzgocącej krytyce, co go tak zniechęciło, że postanowił więcej nie pójść do szkoły tańca na Muranów.

Na tym miejscu składa mistrzowi Grynszpanowi serdeczne podziękowanie za ciężki, pełen poświęcenia trud, jakiego zacny profesor nie żałował, by zrobić zeń baletnika.

Że się nie udało, winien tylko tępy uczeń<sup>248</sup>.

<sup>248</sup> Wiech, *Tępy uczeń*, [w:] tegoż, *Trup przy telefonie*, Etiuda, Kraków 2004, s. 21–24. Źródło pierwotne: „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”.

**Przykład 175. Stanisław Jerzy Lec – *O nadmiarze inteligencji w Polsce* (1938)**

Ucz się, ucz mój synu,  
Ceń królewską radę:  
„Disce puer latine,  
Ego te faciam, mości panie,  
Dziadem”<sup>249</sup>.

**Przykład 176. Jan Huszcza – *Pilna Jadwisia* (przed 1939)**

Bardzo dobrze się uczy sześćioletnia Jadwisia,  
prześcignęła nawet starszych od siebie chłopaków.  
Przedwczoraj zaledwie literki umiała, a już dzisiaj  
na tablicy zgrabnie napisała: „pol Ska dla Polakuf...”<sup>250</sup>

**Przykład 177. Jerzy Zagórski – *Juliusz* (przed 1939)**

W drugiej ćwierci XX wieku w niektórych krajach rozdawnictwo wiedzy zaczęto traktować jako narzędzie selekcji.

Była epoka brązu – trwała tysiące lat,  
Były epoki żelaza i łupanego kamienia.  
Juliusz, można powiedzieć, że przyszedł na smutny świat  
W najtwardszej ze wszystkich epok –  
W epoce tabliczki mnożenia.

Mówiła małemu Julkowi  
Mama: o ucźże się, ucz,  
Wiedza potęgę stanowi,  
Zabawki zamknę pod klucz.

Nie trzeba lokomotywy  
Już po podłodze wieźć,  
Ucz się, Juleczku szczęśliwy,  
Ile to pięć razy sześć.

<sup>249</sup> S.J. Lec, *O nadmiarze inteligencji w Polsce*, [w:] tegoż, *Spacer cynika...*, dz. cyt., s. 90; tenże, *Z tysiąca i jednej fraszki*, Iskry, Warszawa 1959, s. 18. Wykorzystanie frazy „ego te faciam...” z innego utworu komicznego. Por. przykład 164.

<sup>250</sup> J. Huszcza, *Pilna Jadwisia*, [w:] Z. Mitzner, L. Pasternak (oprac.), dz. cyt., s. 154.

Wyrośniesz, będziesz studentem  
Przez wiele okrągłych lat,  
A potem sobie okrętem  
Popłyniesz w daleki świat.

Wieczorem idziesz do łóżka,  
Cichutko w łóżeczku leż,  
Rówieśnik twój Kazik Świstuszka  
Usypia w tej chwili też.

W Grecji kształcono efebów w śpiewie i walce na pięści,  
Miała swój system wiedzy Chin starożytnych Azja,  
Lecz żadna młodzież w historii nie miała takiego szczęścia,  
Takiego wylotu w przyszłość, jak nasza – przez swoje gimnazja.

„Jakie młodzieży chowanie,  
Takie ojczyzny są”,  
Geometryczne zadanie  
I słówek francuskich sto.

Poza tym o Hazdrubalu  
Tych kilkanaście stron  
I kto, i kogo w Wersalu  
Posadził na perski tron.

Gdy zdasz maturę, studentem  
Będziesz przez wiele lat,  
A potem sobie okrętem  
Popłyniesz w daleki świat.

Wieczorem książki do łóżka  
Pod swą poduszkę kładź,  
Rówieśnik twój Kazik Świstuszka  
Także już idzie spać.

Czym dzisiaj są wyższe uczelnie – wiezcie, ojcowie i matki,  
Tam się naukę pogłębia nie lata, lecz lat dziesiątki.  
Selekcja, panowie, selekcja. Ludzie o mózgach w kratkę  
Wyjdą stąd na magistrów albo z ich mózgów szczątki.



Profesor dr Jełopienja  
Mówił na jednej z rad,  
Że jakaś psychoastenia  
Sieje na mózgi wiatr.

„Studentom w głowach się troi”.  
Mam taką złośliwą myśl: –  
Posłuchaj wykładów twoich,  
A może zrozumiałbyś...

W twojej uczelni studentem  
Jest Juliusz od wielu lat  
I wierzy, że kiedyś okrętem  
Popłynie w szeroki świat.

Nocami nie idzie do łóżka,  
Powiększa w swej głowie mrok.  
Tak samo Kaźmierz Świstuszka  
Pochłania księgi jak smok.

A kiedy już uzyskał Juliusz wykształcenie  
I przeszedł poprzez wszystkie niezbędne selekcje,  
Był starcem osiwiąłym, a jego myślenie  
Martwe było jak tamte, które poznał, lekcje.

Magister swemu wnuczkowi  
Mówi: o ucz się, ucz.  
Wiedza potęgę stanowi,  
Daje do światła klucz.

Wyborcą senatu nawet  
Czynią dyplomy nas,  
A zwłaszcza Chemia i Prawo –  
Solfegio, Historia, Jazz.

Tak mówił ten, co studentem  
Był wiele okrągłych lat,  
A potem nigdy okrętem  
Już nie popłynął w świat.

Śmierć tylko jak dobra wróżka

Stała u jego leż.

A co, pytacie, Świstuszka?

– Został magistrem też<sup>251</sup>.

### **Przykład 178. Karol Zbyszewski – *Niemcewicz od przodu i tyłu*. Fragmety przedmowy (1939)**

Młodym historykom nieprzyjętą tę pracę doktorską poświęcam.

Przedmowa

Ślęczałem 7 lat nad tą pracą, spóźniłem się nawet dwa razy na tenis, tak mnie pochłonęło zapyłone archiwum. Cytuję 193 źródła (cyferki w tekście oznaczają numery dzieł podane w bibliografii), ale jasne, że przeczytałem trzy razy tyle książek i przewertowałem stopy rękopisów. Podałem tylko tytuły tych źródeł, na które się powołuję – samą esencję.

Skromnie twierdzą, że mam dość wiadomości na napisanie pół tuzina rozpraw doktorskich. Nasłuchałem się ich dużo, wiem jak powinno wyglądać: me-eeee – meeee – muuuu... coś pośredniego między sprostowaniem urzędowym a obwieszczeniem o licytacji.

Pedantyczna dokładność, rozwlekłość, oschłość, zagmatwany styl, zupełne lekceważenie ewentualnego czytelnika – oto zasadnicze cechy. W rezultacie najgorliwsza narzeczona zasypia nad dziełem ukochanego doktusia. Piwnice Towarzystwa Naukowego w pałacu Staszica są wypchane po sufit nietkniętymi nakładami rozpraw doktorskich. Łatwiej namówić profesora uniwersytetu na kupno fujarki niż normalnego człowieka na tezę doktorską. Są to studnie wiedzy, z których nikt nie czerpie.

Jako zawodowy dziennikarz jestem przyzwyczajony pisać dla ludzi – nie dla myszy bibliotecznych. Zabierając się więc do Niemcewicza, postanowiłem napisać pracę doktorską i jednocześnie rzecz, którą by ktoś jeszcze przeczytał oprócz profesora.

Pierwsza część zamierzenia się nie powiodła. Nie będę figurował w książce telefonicznej jako „dr Zbyszewski” i fryzjer z przeciwka nie będzie mi mówił: – szanowanie panu doktorowi! To są te przywileje stanu doktorskiego o których mamrocze po łacinie Jego Magnificencja rektor przy promocji. Ale nie-dyplomowany generał może wygrać wielką bitwę, więc chyba i nie-doktor może napisać wartościową pracę naukową.

---

<sup>251</sup> J. Zagórski, *Juliusz*, [w:] Z. Mitzner, L. Pasternak (oprac.), dz. cyt., s. 473–476.

Niektórzy mało rozgarnięci czytelnicy mogą się dopatrywać w mojej książce braku poszanowania dla religii, wojskowości, monarchii, arystokracji, sejmu, moralności – no dla wszystkiego.

Protestuję jak najenergiczniej. Ani mi w głowie żadne „szarganie świętości”. Lecz nie mogę ludzi, co doprowadzili Polskę do upadku, przedstawiać w korzystnym świetle. Bardzo wygodnie zwałać wszelkie nieszczęścia na zły los, fatum, sytuację międzynarodową – ale to nie przekonywujące. Jeśli zdecydnie osioł – może istotnie to tylko pech, ale gdy ginie całe państwo, ktoś jednak jest temu winien.

Polska upadła nie z powodu Katarzyny i Prus, lecz z winy Poniatowskiego, magnatów, biskupów i szlachty.

Jestem głęboko religijny i dlatego doceniam ogromny wpływ i znaczenie duchowieństwa. Odmalowując jakąś epokę, niepodobna go pominąć. Gdyby w XVIII-stym wieku kler stał na właściwym poziomie, nie doszłoby do takiego rozpicia, nieróbstwa, przedajności, spodlenia. Byli nawet antypapież, nie tylko zbrodniczy biskupi. Nie należy tego przemilczeć. Tym wspaniałej to świadczy o Kościele Katolickim, że mimo okresów niżu swych kapłanów nic nie stracił ze swej powagi i świętości.

Pobożność szlachty z tej epoki nic nie była warta. Klepało cały dzień pacierze takie uosobienie siedmiu grzechów głównych, wykraczając w międzyczasie przeciw wszystkim dziesięciu przykazaniom boskim. Ta czysto zewnętrzna, powierzchowna pobożność, zwana fideizmem, została przez Rzym przykładowo potępiona.

Cokolwiek podaję – fest oparte na źródłach. Oprócz tytułu nic tu nie wymyśliłem.

– A czy wszystkie dialogi są autentyczne? – niepokoili się koledzy-doktoranci na seminarium.

No, źródła nie zawsze są na tyle szczegółowe. W każdym razie rozmowy takie powinny były się odbyć<sup>252</sup>.

### **Przykład 179. Witold Zechenter – *Pytania* (1939)**

Wprowadzić mają przy maturze  
z polskiego utrudnienia duże  
dla pań. Egzaminowana

---

<sup>252</sup> K. Zbyszewski, *Niemcewicz od przodu i tyłu*, Gebethner i Ska, Warszawa 1991, s. 13–14. Jest to fragment pastiszu rozprawy doktorskiej, którego pierwsze i drugie wydanie ukazało się w 1939 r. Źródło pierwotne: tenże, *Niemcewicz od przodu i tyłu*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939.

ma odpowiadać na pytania:  
 jak często pani się gałuszka?  
 dlaczego pani czasem burka?  
 czy nie telega pani nóżka?  
 czy pani kurka, czy kędziora?  
 jaki u pani przyboś oraz  
 czy pani speiperyzowana?<sup>253</sup>

### **Przykład 180. Władysław Szlengel – *Matura* (wrzesień 1941)**

Przy zbiegu ulic, gdzie tłum się tłoczy,  
 znajoma twarz rzuciła się w oczy.  
 „Irka, jak się masz, kopę lat! Jak zdrowie?  
 Pracujesz może, co z tobą, opowiedz!”  
 „Ja nie pracuję, inne mam zajęcie,  
 Teraz matura, więc kuję zawzięcie”.  
 Matura! Pomimo braku wolności  
 egzaminy dojrzałości.  
 Dawna matura – cisza w korytarzach,  
 lęk i powaga na twarzach,  
 białe bluzki, wreszcie stół zielony,  
 godziny czekania – papier wymarzony.  
 Ja się dziś nie uczę w szkole,  
 mnie uczą troski, mnie uczą niedole.  
 Lekcji udziela mi nauczyciel,  
 któremu na imię życie.  
 Egzamin, który zdaję przed jego obliczem,  
 przy waszej maturze wydaje się niczem.  
 Trudne mi daje profesor zadania:  
 jak długo wytrzymać, nie jedząc śniadania,  
 deszcz pada, a ja chodzę w podartych buciskach  
 I głód tyl[ko] bez przerwy w żołądku mnie ściska.  
 aa[...]aa tura, matura codzienna.  
 aa[...]aa wasza, matura wojenna.  
 aa[...]aa ra i przed nim drzę cała,

<sup>253</sup> W. Zechenter, *Pytania*, [w:] tegoż, *Guzy dla muzy. Fraszki, satyry, parodie*, Książnica Atlas, Lwów – Warszawa 1939, s. 25. Por. przykład 380, zawierający ten sam utwór uzupełniony o komentarze wyjaśniające zastosowane przez autora kategorie pojęciowe związane z nazwiskami literatów.

aa[...]aa e: jesteś niedojrzała,  
 aa[...]aa mam przecucie mętne,  
 aa[...]aa pewno się a[...]aatnę<sup>254</sup>.

### **Przykład 181. Bogdan Brzeziński – *Niegrzeczne pacholę* (1945)**

Pewien młody ludożerca,  
 Gdy nań dziadzius burczał z kątką,  
 Miast nauki wziąć do serca –  
 Wziął dziadziusia do żołądka!<sup>255</sup>

### **Przykład 182. Jan Huszcza – *Szkolnictwo zawodowe* (30 VI 1945)**

Teraz dużo mówi się o potrzebie zawodowego kształcenia młodzieży. Zawodowego, tzn. fachowego, tzn., żeby po ukończeniu kształcenia człowiek umiał coś pożytecznego robić, a nie psuć powietrza w biurze czy przy pomocy słuchawki telefonicznej na randki się umawiać.

Jeżeli mówi się, to znaczy i robi się... Niedawno grono moich przyjaciół opracowało plan powołania do życia średniej szkoły zawodowej garncarstwa. Będzie doskonała szkoła.

Nauczanie ma trwać pięć lat. Od wstępujących wymagane są: 20 świadectw szkolnych i metrycznych, opinia odnośnej Rady Narodowej i odnośnych organów, dane o pracy społecznej oraz egzaminy z łaciny, historii etruskiej i nurtów ideowych XIX stulecia.

Po zadośćuczynieniu wszystkim powyższym danym przed delikwentem staje perspektywa szczegółowego zaznajomienia się z programem średniej szkoły zawodowej garncarstwa.

Program – trzeba przyznać że obfity i wszechstronny – składa się z następujących przedmiotów:

- 1) Dzbanuszek polerowany w literaturze polskiej z naciskiem na literaturę romantyczną (90 godzin wykładów).
- 2) Ceramika w starożytnej Grecji (117 godzin wykładów).
- 3) Zdobnictwo na przestrzeni wieków (49 godzin wykładów).

<sup>254</sup> W. Szlengel (?), *Matura*, [w:] A. Żółkiewska, M. Tuszewicki (oprac.), *Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawskiego. Tom 26. Utwory literackie z getta warszawskiego*, Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2017, s. 111–112. Utwór pochodzi ze zbioru oznaczonego w Archiwum Ringelbluma jako utwory satyryczne z getta warszawskiego przypisywane Władysławowi Szlengelowi.

<sup>255</sup> B. Brzeziński, *Niegrzeczne pacholę*, [w:] tegoż, *Proszę o przyjemny wyraz twarzy... Humoreski i fraszki*, Gebethner i Wolff, Kraków 1945, s. 25.

- 4) Glina, jako taka i glina, jako surowiec (18 godzin wykładów).
- 5) Polewa za czasów Mieszka I (30 godzin wykładów).
- 6) Mieszko I za czasów polewy (45 godzin wykładów).
- 7) Oda na cześć wazy etruskiej, pióra Eryka Ciubcika, z komentarzem prof. Adama Kujakowskiego, z deklamacją i melorecytacją (116 godzin wykładów).
- 8) Problem naczyń glinianych jako problem estetyczny i moralny (13 godz. wykł.).
- 9) Zasadnicze elementy sztuki (119 godz. wykł.).
- 10) Niezasadnicze elementy sztuki (32 godziny wykładów).
- 11) Hitleryzm a dzbanuszki (15 godz. wykł.).
- 12) Handel porcelaną z uwzględnieniem szabrownictwa (32 godziny wykł.).
- 13) Problem garncarski w literaturze epoki pozytywizmu (19 godzin wykł.).
- 14) Ozdoby gliniane u Azteków (23 godz.).
- 15) Struktura Ministerstwa Kultury i Sztuki (7 godzin).

Oto konspekt programu nauczania.

Na nasze skromne zapytanie, czy po ukończeniu szkoły absolwent będzie mógł przystąpić do samodzielnej pracy i założyć np. warsztat garncarski – odpowiedziano nam, że nie o to chodzi. Chodzi natomiast o to, żeby taki absolwent mógł być przyjęty do Wyższej Szkoły Garncarstwa, której ukończenie da szczegółowe wiadomości o motywie dzbanuszka nie tylko w literaturze polskiej, ale i w literaturze światowej oraz da tytuł naukowy magistra garncarstwa. Chcący się w tej dziedzinie naukowej doktoryzować będą mieli umożliwiony wyjazd do odpowiednich szkół za granicę, o ile takie odpowiednie szkoły za granicą zaistnieją.

Ale nie wiadomo, czy zaistnieją. Bo zagranica podobno ma mniej polotu, a więcej praktycznego podejścia do sprawy szkolnictwa zawodowego<sup>256</sup>.

### **Przykład 183. Jan Koprowski – *Fraszka angielska* (1945)**

Profesor medycyny nie przyszedł na wykład.

Rzecz to rzadka u niego, po prostu niezwykła.

Lecz na słupie ogłoszeń podobnym do ula

napisał: Król chory,

jestem tam wraz z innymi doktory”.

Ktoś dodał: „Boże, chroń króla”<sup>257</sup>.

<sup>256</sup> J. Huszcza, *Szkolnictwo zawodowe*, [w:] tegoż, *Impertynencje*, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa 1947, s. 108–110.

<sup>257</sup> J. Koprowski, *Fraszka angielska*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 477.

**Przykład 184. Janusz Minkiewicz – *Że wymogi nie dość ostre* (1946?)**

W związku z pobłażliwością, jaką Uniwersytet Jagielloński (Alma Mater) traktuje swoich profesorów, którzy współpracowali z Niemcami:

Że wymogi nie dość ostre,  
Czas jej sprawić „pater noster”,  
Czas już sprawić „noster pater”,  
Naszej Almie (naser) Mater<sup>258</sup>.

**Przykład 185. Niejaki X (Bolesław Surówka) – *Uczęszczać. Fragment pamiętnika* (1946)**

Nazywam się Jan Karol Skumbriewtomacie i jestem pracownikiem. Pracownikiem Wytwórni Wagonów i Mostów w Chorzowie. Ponieważ chcę szerzyć oświatę i kulturę, więc wypełniłem deklarację na członka świetlicy. Deklaracja ta wyglądała następująco:

„Niniejszym deklaruje się przez swój własnoręczny podpis na członka świetlicy powyższego Zakładu Pracy i obowiązuję się być członkiem jednego stowarzyszenia, które istnieją przy świetlicy danego Zakładu.

Składka członkowska wynosi 2,- zł. miesięcznie, którą uiszcza każdy członek, na zakup książek, nut, instrumentów muzycznych, jak i narzędzia sportowe i innych.

Stowarzyszenia, do których się obowiązuję, jak następująco: tow. Sportowe, tow. Śpiew, tow. Muzyka, tow. Literatura, tow. Teatralna, tow. Czytelnia, tow. Turystyka.

Deklaracja raz podpisana, każdy członek powinien uważać za największy honor, sumienie wykonywać obowiązki raz na siebie wzięte, szerzenie kultury i oświatę, uczęszczać na każdą lekcję, rozwijać śpiew, muzykę, sport, a przeważnie siebie i innych wychowywać na dobrego Polaka i Demokrata naszego Państwa”.

Deklaracja raz podpisana – więc zacząłem uważać za największy honor i postanowiłem wykonywać sumienie. Uczęszczać na każdą lekcję nie chciałem, ale za to przysięgłem sobie rozwijać śpiew, muzykę, sport, a przeważnie siebie. Aczkolwiek uważałem, że sam jestem dostatecznie rozwinięty, ale ponieważ deklaracja raz podpisana, więc nie było wyjścia. No i złożyłem ślubowanie, że będę wychowywał przeważnie siebie i innych na dobrego Polaka oraz Demokrata.

<sup>258</sup> J. Minkiewicz, *Że wymogi nie dość ostre*, [w:] tegoż, *Kazania...*, dz. cyt., s. 15.

Nie mogłem jednak wobec powyższego być członkiem tylko jednego stowarzyszenia, lecz także i innych. Uiszczałem 2 złote miesięcznie i zostałem członkiem po kolei: towarzystwa Sportowe, towarzystwa Śpiew, towarzystwa Muzyka, towarzystwa Literatura, towarzystwa Teatralna, towarzystwa Czytelnia i towarzystwa Turystyka.

W towarzystwie Sportowe zostałem kapitanem bardzo ciężko atletycznej i zacząłem się starać o narzędzia sportowe i inne. Jednak bez skutku. W towarzystwie Śpiew zacząłem śpiewać, ale ponieważ nie mam słuchu, więc kazali mi zająć się zakupem nut.

Kupiłem następujące nuty: „Hej, hej”, kwartet na cztery ręce, kantatę „Naprzód marsz!” w wykonaniu fortepianu, oraz utwór na puzon i mandolinę p.t. „Tra la la”.

W towarzystwie Muzyka postanowiłem grać na klarnecie. Wyperswadowano mi to, a zresztą klarnetu nie było. Kazano mi za to zająć się zakupem instrumentów muzycznych. Kupiłem następujące: Pasodoble, drumlę i klipę – ponieważ gram w nią bardzo dobrze.

W towarzystwie Literatura kupowałem znowu książki. Kupiłem: Jednego Wallaca, dwa numery czegoś tam i broszurę p.t. „Gotuj na gazie, o ile masz co”.

Najbardziej jednak czynny byłem w towarzystwie Teatralna. Tu zacząłem pisać sztukę z życia, aby ją później u nas wystawić. Występuje w niej trzydzieści siedem osób, nie licząc dzieci. Początek bardzo mi się podoba – innym nie. Do środka jeszcze nie doszedłem.

Działam również w towarzystwie Czytelnia, gdzie dużo czytam. Czytam rozwieszane tam afisze: „Oświata luda dokona cuda”, „Przez oświatę do dobrobyta”, „Popierajcie czytelnictwo i komunikację!”, „Czytajcie!” i inne.

Poza tym wstąpiłem do towarzystwa Turystyka. Odebrałem już kilka mniejszych i dwie dalsze piesze wycieczki, wszystkie z powodu przepełnienia tramwaju.

Jak każdy widzi, pracuję kulturalno-oświatowo i świetlicowo bardzo wszechstronnie i różnolicie. Nie spotykam się jednak z należyтым uznaniem, pomimo że uważam wszystko za największy honor. Zawistni mówią: „Ten Jan Karol Skumbriewtomacie mimo wszystko, nie działa należycie. Zaniedbuje się. Za mało wykonuje sumienie. Szerzenie kultury i oświaty źle przeprowadza, na każdą lekcję nie uczęszczając, śpiew nie rozwijając, tak samo muzykę, sport, a przeważnie siebie. Nie wychowuje należycie innych na dobrego Polaka i Demokrata naszego Państwa...”.

A ja, przysięgam na wszystko, że się staram jak najlepiej. Wykonuję przecieź sumienie dostatecznie, szerzenie kultury i oświatę przeprowadzam, śpiew



rozwijając, tak samo muzykę, sport, a przeważnie siebie. Wychowuję też innych na dobrego Polaka i Demokrata Państwa.

Jedynie tylko z tym uczęszczać na każdą lekcję. Jakoś nie wychodzi. Ale od dziś rano postanowiłem się poprawić.

Będę uczył. Na każdą lekcję! I na każdej lekcji<sup>259</sup>.

### **Przykład 186. Bruno Winawer – *Roztwór profesora Pytła*. Fragmenty (1946)**

Osoby: Profesor Dr. Pytel; Dr. Gordon; Dr. Perlmutter (Jego Asystenci); Prof. Dr. Ciołek-Tarski; Panna Mira (Jego Córka); Radca Mętnlik; Lola Zambezi; P. Wojtaszek; Podolek; Przetakowa; Trylski, Jackowski (Studenci); Pępkowski I, Postaniec

*(Rzecz w mieście uniwersyteckim, w Kiernozi, teraz albo przed kilku laty).*

#### AKT PIERWSZY

*(Pokój, jeden z dwóch, które asystent i prywat-docent Dr. Gordon, odnajmuje od pani Przetakowej. Drzwi w głębi wejściowe; drzwi po prawej do sypialni. Gabinet pracy młodego uczonego; książki, portrety, biurko, stół na środku. Wszystko ustawione porządnie i systematycznie. Zegar bije siódmą. Przez drzwi w głębi wchodzi pani Przetakowa, osoba już starsza, ale bardzo ruchliwa. Niesie tacę – kawa, masło i bułki w koszyczku).*

Przetakowa *(stawia tacę na stole, staje przy drzwiach do sypialni i puka)* Panie doktorze, to ja.

Przetakowa *(nadśłuchuje – głośniej)* Panie doktorze, śniadanie. Pan doktor dziś ma wykład! *(pauza – po chwili mówi)* Proszę pana doktora, już po siódmej! Śniadanko czeka. Niech pan doktor wstaje! Mamy dziś wykład! *(znowu puka, kręci głową)* A śpi dopiero! *(puka jeszcze mocniej)* Panie doktorze, kawka wystygnie.

*(Wchodzi Dr. Perlmutter, człowiek młody i nawet przystojny, ale strasznie rozczochrany i nad wyraz niedbale ubrany. Jakiś wyrośnięty żakiet, przykrótkie spodnie, krawat, zawiązany, jak pętlica na krowie. Z czupryny sterczy pionowo w górę wicherek, tak zwany „kogut”).*

Perlmutter *(binokle na nosie, wzrok krótki, wchodzi i potrąca jakieś krzesło)*  
– Dzień dobry. Do licha z tymi stołkami.

Przetakowa – Aach, pan doktor Perlmutter!

<sup>259</sup> Niejaki X, *Uczęszczać. Fragment pamiętnika*, [w:] tegoż, *Dziura w brzuchu*, Wydawnictwo AwiR, Katowice 1946, s. 94–97.

Perlmutter – W rzeczy samej, to ja. Zastałem kolegę Gordona? Jest w domu? Nie wyszedł jeszcze?

Przetakowa – Jeszcze nawet nie wstał, proszę pana doktora. Dobudzić go się nie mogę.

Perlmutter – To świetnie, to doskonale. (*Wyjmuje z kieszeni olbrzymi plik papieru*). Przyniosłem mu, uważa pani, korekty jego pracy. Jest zatrzważająca ilość błędów zecerskich.

Przetakowa – Niech pan będzie łaskaw papiery tu położyć, na stole.

Perlmutter – Dobrze. Prócz tego muszę z Gordonem pomówić. Mam do niego pilny interes – mianowicie muszę mu coś przypomnieć. Na razie zapomniałem co. W każdym razie chciałbym się z nim zobaczyć.

Przetakowa – Ba, kiedy go się dziś wcale dobudzić nie można. (*Patrzy na zegar*). Olaboga, jak ten czas leci! Może pan doktor będzie łaskaw zapukać? A ja duchem pobiegnę po kamasze! (*Wybiega*).

Perlmutter – Duchem – po kamasze! Po jakie znowu kamasze? Kobieta jest zawsze zagadką! (*Puka do drzwi*). Gordon. Wstawaj, słyszysz? Po pierwsze masz dziś wykład, a po drugie ja mam do ciebie interes. Miałem ci przypomnieć, że dziś radca Męntlik przyjeżdża, ten z ministerium. Pamiętasz? Ma zwiedzać instytut. Słyszysz? W pracy jest kupa błędów zecerskich. Uważasz? Pierwiastek ci źle wyciągnęli! Wstań, to ci pokażę.

Przetakowa (*kamasze w rękę i spodnie*) – Cóż, panie doktorze, wstaje?

Perlmutter – Bo ja wiem, kochana pani Przetakowa. Jeżeli mam polegać na moich wrażeniach słuchowych, to nie.

Przetakowa – Może mu się co stało? Nie było wypadku, żeby spał tak mocno.

Perlmutter – A może on już w ogóle wyszedł z domu, co?

Przetakowa – Bez śniadania? Bez butów? Zresztą, widziałabym przecie!

Perlmutter – Hm! Rozumuje pani bardzo logicznie, zatem pukajmy dalej.

Przetakowa – Mój Boże, mój Boże, zaczynam się obawiać. Może mu się co stało? Może jaki wypadek? (*Walą we drzwi coraz usilniej*). Panie doktorze! Gordon!

Przetakowa – Mój Boże! Tak mi serce bije! Coś w tym jest! Coś w tym jest, panie doktorze. Jeszcze nigdy tak mocno nie spał. Może pan doktor wejdzie do sypialni i zobaczy?

Perlmutter – Do sypialni powiada pani? Wolałbym nie wchodzić. Każdy z nas powinien mieć w duchu tudzież obok, taką dziedzinę, do której bliźni wkraczać nie mają prawa. Jest to niechlujny zwyczaj słowiański, że ludzie wdzierają się ludziom w najtajniejsze zakamarki ich jestestwa. Jak pani myśli? Zgadza się pani ze mną?

Przetakowa – Ja myślę, że trzeba koniecznie wejść i zobaczyć. Pan doktor Gordon jest zawsze taki punktualny. Jak ma wykład, to już sam się wcześniutko zrywa... A tu po siódmej! Boże! Boże!

Perlmutter – Wejść? A jeżeli on nam to za złe weźmie?

Przetakowa – Niech się dzieje, co chce. Wszystko jedno. Ja wchodzę! (*Naciska klamkę, szeptem*) Drzwi niezamknięte...

Perlmutter – Tak! Drzwi są absolutnie niezamknięte, zwłaszcza od chwili, gdy je pani otworzyła.

Przetakowa – Boże, Boże... (*z nagłą determinacją*) Co tam, idę. (*Wchodzi do sypialni, słyhać okrzyk grozy, wraca po chwili, błada*). Panie doktorze, panie doktorze!

Perlmutter – Co? Co? Co takiego?

Przetakowa – Panie doktorze... pan doktor... pana doktora... panu doktorowi...

Perlmutter – Przez litość! To nie jest czas na deklinacje gramatyczne. Co się stało?

Przetakowa – Panie doktorze... z panem doktorem...

Perlmutter – O panu doktorze! Niech pani już raz skończy z liczbą pojedynczą. Co zaszło? Co takiego?

Przetakowa – Pana doktora niema!!

Perlmutter – Jak to niema?

Przetakowa – Nie ma! Pokój jest pusty! widzi pani. Nie ma go, dlatego nam nie odpowiadał.

Perlmutter – Wszystko się raptem wyjaśnia w sposób prosty i naturalny. Kolega Gordon najwidoczniej już wyszedł.

Przetakowa – Nie, panie doktorze, dziś jeszcze nie wychodził.

Perlmutter – Proszę pani, gdyby nie wyszedł, toby był, a skoro go niema, to znaczy, że wyszedł. Zgadza się pani ze mną, czy nie?

Przetakowa (*przeoczy ruchem głowy*) – Nie, panie doktorze, nie wychodził jeszcze. Nie mógł wyjść!

Perlmutter – Mógł, kochana pani Przetakowa, najlepszy dowód, że go niema. Wykłada sobie pewnie teraz w uniwersytecie swoją teorię światła. [...]

(*Krótką pauza. Wchodzi Professor Pytel, osobnik siwy, łysy, poważny i pedel Podolek – factotum, prowadzące nieomal cały instytut i wodzące profesora Pytła za nos. Podolek utyka z lekka na jedną nogą*).

Podolek – Tędy, panie profesorze. Tu jest wejście. Naturalnie, samo przez się – jest to gabinet d-ra Gordona.

Pytel – Aha! Tu jakoś nikogo niema?

Podolek – Będziemy musieli zaczekać. Niech pan profesor raczy usiąść. Proszę. (*Pytel siada, nie wie co począć z kapeluszem*). Kapelusik naturalnie, samo przez się – ja potrzynam.

Pytel – Podolek! A może to co zaraźliwego?

Podolek – Nie ma obawy, panie profesorze. Zwichnięcie nogi w pachwinie nie jest – naturalnie – samo przez się – chorobą epidemiczną.

Pytel – Zwichnięcie nogi. Aha. A czy doktor Gordon jest przytomny?

Podolek – Nic mi w tej kwestii nie wiadomo, panie profesorze. Trzeba czekać, aż ktoś przyjdzie, to się dowiemy. (*Z sypialni słychać wybuch śmiechu*).

Pytel – Podolek! Ktoś się śmieje?

Podolek – Naturalnie – i mnie się tak zdawało. Nie jest z nim widać tak źle. (*Drzwi się raptem otwierają – tanecznym krokiem wpadają Lola, Gordon, Perlmutter*).

Lola – Uwaga! druga figura! Trzymajcie się taktu, chłopaki. Od lewej nogi, Perlmutter! Raz, dwa, trzy!

Perlmutter (*nagle, przerażony*) – Świat się kończy! Pytel!

Gordon – Jeszcze tego brakowało!

Pytel (*wstaje, zdumiony*) – Panie doktorze Gordon! Uważałem za swój obowiązek odwiedzić pana, jako chorego. Ale spóźniłem się z moją wizytą, jak widać. W każdym razie przyszedłem nie w porę.

Gordon – Skądże znów, panie profesorze. Zawsze pan jest mile widziany.

Pytel – Dziękuję. Nie zdaje mi się. Przyznać trzeba, że pan ma niezwykle, oryginalny sposób leczenia się! Którą to nogę pan wywichnął, jeżeli spytać wolno?

Gordon – Lewą... prawą... właściwie... obie.

Lola (*śmieje się*) – Dobrze się pyta, ten łysy! A to go ubrał!

Pytel – Ubrał? Zdaje mi się, że słyszałem słowo „ubrał”? Co to ma znaczyć?

Lola – Teraz znów nie wie, co to znaczy ubrał? A to stypa z tym starym! On ma pypcia! Perlmutter, on ma pypcia!

Pytel – Przepraszam, z kim mam przyjemność. Tu ktoś twierdzi, że ja mam pypcia! Chciałbym wiedzieć z kim mam przyjemność?

Gordon – To jest... miss... panna... mademoiselle... Przepraszam, żem od razu nie przedstawił... miss...

Lola – Lola, Lola Zambezi. Bardzo mi przyjemnie.

Gordon – Właśnie! Tak. Moja nauczycielka angielskiego.

Lola – Trzymajcie mnie! Co on gada!

Pytel – W każdym razie konstatuje, panie doktorze Gordonie, że pan nader szybko powraca do zdrowia. O 7-ej pan nogę wywichnął, o 8-ej tańczy pan jakiś

taniec wojenny plemienia irokezów! Życzę polepszenia. Podolek! Jesteśmy tu zbyt tacy. Proszę o mój kapelusz!... (*Wpada zadyszana Przetakowa z olbrzymią butlą, rozpycha obecnych, wytrąca Podołkowi kapelusz z ręki*).

Przetakowa – Jest, panie doktorze! Przyniosłam największą butelkę! Niech pan natychmiast zażyje! Boże, żeby tylko pomogło.

Gordon (*siada zrozpaczony na krześle*) – Jeszcze i to! Ja już nie mogę.

Pytel (*goni za swym kapeluszem*) – Przyrodnik, panie doktorze Gordon, fizyk! Nawet w najzawilszych sytuacjach życiowych nie powinien się uciekać do – jak się nazywa – do tego – do zbaczania z drogi prawdy! Podolek, idziemy.

Podolek – Naturalnie, samo przez się...

Lola – A to stypa! (*Woła za Pytlem*) A niech pan weźmie tę butelkę ze sobą. To się panu przyda na porost włosów.

Pytel (*z namaszczeniem*) – Do widzenia, panom. (*Chwyta parasol Loli*). Przepraszam, to nie mój parasol. (*Bierze butelkę z pixavonem i wychodzi, za nim Podołek*).

Lola – I wziął tę butelkę! Pyszny stary! Skąd on się urwał! [...]

## AKT DRUGI

(*Pracownia fizyczna uniwersytetu. Sala, składająca się z dwóch naw bocznych, idących w głąb w obie strony i części środkowej, węższej. Całość ma formę mniej więcej litery T. Wszędzie aparaty fizyczne, lunety, na półkach galwanometri etc. Drzwi w głębi oszklone, wielkie z napisem „Pracownia fizyczna” prowadzą na korytarz. Drzwi po prawej z napisem „Asystent”. Drzwi po lewej z napisem „Prof. dr. Pytel”. Po prawej, pod ścianą, duża tablica, kreda, gąbka. Nad drzwiami w głębi – wielki zegar, wskazuje mniej więcej 9-ą. W głębi po lewej – siedzi w półwidoczny Jackowski, student – i „dmucha szkło”. Kandydat nauk przyr. Pępkowski siedzi po prawej na zydelku i obserwuje pilnie, zmrużywszy jedno oko, przez lunetę aparat galwanometr umieszczony na półce, w pewnej odległości*).

Pępkowski – Nie odchyła się szelma! Rób, co chcesz, stoi jak mur.

Jackowski – Kto?

Pępkowski – No, ten galwanometr. Jak myślicie, Jackowski, co tu począć?

Jackowski – Każcie mu zażyć soli Glauberskiej. Może go ruszy.

Pępkowski – Wy zawsze z głupimi kawałami. Chodźcie lepiej, pomóżcie mi!

Jackowski – Nie mogę, bo mi rura pęknie.

Pępkowski – A co wy? Szkło dmuchacie?

Jackowski – Dmuchać, psiakość, bez powodzenia.

Pępkowski – Gordona niema, Perlmuttera niema... Człowiek jest, jak ten kółek w płocie, sam na sam z nieskończonością wiedzy! (*Z nagłą determinacją*).

Niech się dzieje wola Nieba. Robię, co do mnie należy. Rozpaczam drugą serię doświadczeń.

Jackowski – Brawo!

Pępkowski (*majstruje coś, porusza jakiś klucz czy przerywacz prądu – nagle syk, dym, coś się tli*) – Olaboga! Jackowski! Ratujcie! Tu się pali! (*Biegnie wgłąb, sprowadza Jackowskiego, który trzyma oburącz długą rurę szklaną*). Patrzcie, tu się jakieś nieszczęście stało.

Jackowski (*mina znawcy*) – A coście wy takiego zrobili?

Pępkowski – Nic! Włączam, uważacie, prąd elektryczny, a tu coś syk – trzask – płomień bucha...

Jackowski – Zaraz to zbadamy. Aha. Widzicie. Rzecz jest jasna. Ten drut połączyliście z tym drutem, ten drut jest odprowadzony do ziemi. To proste. Zaraz się wszystko nareperuje. Trzeba, uważacie, w ten sposób. (*Majstruje coś – ten sam efekt – syk, dym, płomień*). Olaboga! Lećcie do Gordona.

Pępkowski – Nie ma go. Ma ten swój wykład.

Jackowski – Lećcie po Perlmuttera! Prędzaj!

Pępkowski – Nie ma Perlmuttera!

Jackowski – Tam do licha. Po Podołka! Sprowadźcie kogoś!

(*Pępkowski leci wgłąb sceny, wpada na Trylskiego, już we drzwiach*).

Trylski – Dokąd to spieszycie, kolego Pępkowski?

Pępkowski – Nie widzieliście gdzie „strupla”? Wypadek! Nieszczęście!

Trylski – A co się stało?

Pępkowski – Zapaliło się coś!

Trylski – Gdzie?

Pępkowski – Tu, patrzcie, o dymi się jeszcze.

Trylski (*idzie naprzód sceny*) – Aha! Rozumiem! Krótkie spięcie.

Pępkowski – Więc co robić? Co, jak myślicie?

Trylski – Nic nie trzeba robić.

Jackowski – No jakże? Przecie się pali?

Trylski – Czekać aż się wypali.

Jackowski – Bójcie się Boga, przecie tak nie można.

Trylski – Można, można. Wierzcie, Pępkus, doświadczeniu starszych. Ja dłużej od was studiuje. Przyrodnik powinien posiadać flegmę, spokój i równowagę ducha. Głównie zaś przytomność umysłu. Jak się co zapali, to powinien czekać, aż się wypali.

Jackowski – Prąd trzeba naturalnie wyłączyć. (*Majstruje coś – ten sam efekt*).

Trylski – Nie mówiłem? Pogarszasz tylko sytuację, Jackowski! Nie ma w tobie materiału na przyrodnika! Bierz sobie przykład ze mnie, zawsze ci to powtarzam. Flegma lorda angielskiego.

Jackowski – Tak, naturalnie. Ty świecisz przykładem – szkoda, że wyłącznie w nocy.

Trylski – Wyłącznie w nocy? Jackowski, zdaje się, że znów rzucasz na mnie kalumnie! Zgadnijcie, skąd wracam?

Pępkowski – O tej wczesnej godzinie? Z pijatyki.

Trylski – Nie zgadłeś, młodzieńcze! Gorzej!

Jackowski (*kiwa głową z politowaniem*) – O, Trylski, Trylski, kiedy ty się wreszcie usatkujeś.

Trylski – To nie jest odpowiedź na pytanie. Pytanie brzmi skąd ja wracam? Otóż wracam...

Jackowski – Nie kończ! Szanuj mury tego przybytku nauki!

Trylski – Otóż – wracam... z wykładu!

Jackowski, Pępkowski – Co, z wykładu? To wam się przyśniło!

Trylski – Tak jest. Z wykładu fizyki teoretycznej. Więcej powiem, postanowiłem sobie, że będę chodził na ten wykład stale!<sup>260</sup>

### **Przykład 187. Konstanty Ildefons Gałczyński – *Pomnik studenta* (1947)**

W mieście \*\*\* (prawda w oczy kole)  
pomnik studenta stoi na cokole,

ze spiżu pomnik i ze spiżu cokół,  
ze spiżu także allegorie wokół:

Księżki, Pochodnie, Globusy i Sowy  
wszystko artysta w kształt zaklął spiżowy,

a potem zaklął potwornie. Punkt. Czyli  
za pomnik widać mu nie dopłacili.

Lecz mniejsza o to. My pomnik pokażmy:  
Więc na cokole stoi młodzian straszny

pod względem garderoby. Odzian letko,  
agrafką spina przewiewne paletko,

<sup>260</sup> B. Winawer, *Roztwór profesora Pytla. Humoreska 3-ch aktach*, Wydawnictwo „Odrodzenie”, Katowice 1946, s. 3–7, 28–30, 38–41.

a pod paletkiem, w miejscach dolno-tylnych,  
nie rozwiązany ma problem tekstylny,

lecz się uśmiecha i ręce go swędzą,  
jakby za chwilę miał dostać stypendium.

A napis taki na pomniku świeci:

TEN POMNIK NARÓD WZNIÓŚŁ DLA SWOICH DZIECI  
DROGICH STUDENTÓW, KTÓRZY Z RÓŻNYCH WZGLĘDÓW  
NIE UKOŃCZYLI STUDIÓW. I ja się tu  
wcale nie dziwię.

Bo żywy student, to jest kłopot dziki.

A my, Polacy, my lubim pomniki<sup>261</sup>.

### **Przykład 188. Stefania Grodzieńska – *Racjonalne wychowanie* (1948)**

Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w postępowaniu z niemowlętami, jako że niemowlę Joanna jest moim pierwszym dzieckiem.

Kupiłam książkę *Pielęgowanie niemowląt* i ściśle stosuję się do zawartych w niej wskazówek. W zamian za to dziecko powinno oczywiście odzwierciedlać wszystkie stadia rozwoju, opisane w II części *Pielęgowania – Normalny rozwój oseska*.

Rzeczywiście tak było. Co parę dni odczytywałam na głos odpowiedni rozdział i wszystko się zgadzało.

„Na początku pierwszego miesiąca życia: połykanie, kichanie, ziewanie”. Joanna połykała, kichała, ziewała.

„Na szmery reaguje dziecko przy końcu miesiąca”. Reagowała przy końcu miesiąca.

„Brak wydzielania łez przy płaczu”. Na Joannę można było liczyć jak na Zawiszę. Nie wydzielala ani jednej łzy przy płaczu.

Raz tylko zdarzyło mi się przeoczenie: przepuściłam na początku drugiego miesiąca „świadome obejmowanie rączką podanego palca lub przedmiotu”. Ładna historia! To już koniec drugiego miesiąca, a Joannie nikt jeszcze nie podał palca ani przedmiotu! Odtąd co dzień dawałam jej na godzinę palec do trzymania, aby nadrobić zaległość.

<sup>261</sup> K.I. Gałczyński, *Pomnik studenta*, [w:] tegoż, *Satyra, groteska...*, dz. cyt., s. 41–42. Por. napisy na nagrobkach: przykłady 24, 25, 27, 41, 284, 378, 495.



Pewnego dnia, przypatrzawszy się dziecku, zajrzałam czym prędzej do książki i zawołałam z przerażeniem: – Nic nie piszą, że dziecko, mając siedem tygodni, macha nóżką!

Ku memu zdziwieniu dziecko natychmiast przestało machać nóżką i od tej pory już nie machało. Spodobał mi się ten sposób i odtąd wychowywałam Joannę systemem książki kucharskiej: czytałam na głos odpowiedni rozdział *Pielęgnowania niemowląt*, a dziecko postępowało zgodnie ze wskazówkami.

„Niemowlę pod koniec drugiego miesiąca wydaje nieartykułowane dźwięki”. Joanna powiedziała wyraźnie: „gu”.

– Nieartykułowane! – poprawiłam ją. Zawstydzone dziecko szybko wydało kilka idealnie nieartykułowanych dźwięków.

Przez kilka tygodni wszystko szło jak najlepiej. Joanna zaczęła trzeci miesiąc. „Na początku trzeciego miesiąca dziecko odwraca głowę za przedmiotem zwracającym uwagę (błyszczącym)”. Joanna zaczęła się rozglądać, ale w pobliżu nie było żadnego przedmiotu zwracającego uwagę (błyszczącego). Rozpłakała się. Przyniosłam błyszczącą łyżkę. Dziecko natychmiast się uspokoiło i odwróciło za nią głowę, jak nakazywał podręcznik.

Aż nagle wczoraj, kiedy weszłam do pokoju, trzymiesięczna Joanna podniosła się, zeskoczyła z łóżeczka i podbiegła do mnie, wołając „Mama! Mama!”. Kiedy spostrzegła moje zdziwienie, rzekła: – Cego tak ocy wytsescas? Po płoszu psecytałam sobie z *Pielęgnowania niemowląt* rozdział o dwuletnim dziecku i chciałam ci złożyć niespodziankę. Może to cię odzwyciai od zawlaczania mi główki zasadami z książki. Sału można dostać. Już ja sama wiem najlepiej, jak się mam lozwijać.

Po czym położyła się do łóżeczka i zaczęła gaworzyć jak przedtem<sup>262</sup>.

### **Przykład 189. Stefania Grodzieńska – *Kolega* (1949)**

– Panie naczelniku, jakiś pan do pana.

– Przecież powiedziałem, że jestem zajęty i nie przyjmuję teraz nikogo.

– Ale ten pan mówi, że pan naczelnik bardzo się ucieszy.

– Jak się nazywa?

– Dąbrowski.

– Nie wiem. Proszę powiedzieć, żeby przyszedł jutro.

– Ale ten uprzedził, że ma mało czasu i nie będzie mógł drugi raz przyjść.

I że jak powiem nazwisko, to pan naczelnik na pewno przyjmie.

<sup>262</sup> S. Grodzieńska, *Racjonalne wychowanie*, [w:] tejsze, *Rozmówki*, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1949, s. 200–203. Por. też, *Już nic nie muszę*, Akapit Press, Łódź b.r., s. 20–22.

– Dąbrowski? Tylu jest Dąbrowskich... No, niech wejdzie.

Po chwili do gabinetu naczelnika wydziału wtoczył się pan w średnim wieku.

– Pan naczelnik Kowalski? – spytał.

– Tak. W jakiej pan sprawie?

Interesant podbiegł do naczelnika, rzucił mu się na szyję i ucałował z odgłosem.

– Kowalszczak, to ty? No, no, nigdy bym cię nie poznał. Ale się starzejemy...

– Z kim mam przyjemność? – dziwił się naczelnik.

– Jak to, nie poznajesz? Oj, Kowalski, Kowalski, zawsze byłeś roztrzepany!

Ale zaraz ci przypomnę, Ostatnio widzieliśmy się na popisie po maturze. Nie pamiętasz Zyzia Dąbrowskiego? Siedziałem w ostatniej ławce. Z Klimczakiem.

– Coś sobie jak gdyby przypominam – odpowiedział mętnie naczelnik.

– Ha, ha, ha. Powinno być przysłowie: „im wyższe stanowisko, tym krótsza pamięć”. Nie bierz mi za złe, ha, ha. Zawsze miałem cięty język, pamiętasz? A co do Klimczaka, jeśli już o nim mówimy, to widuję go. Wędliniarnię miał podczas wojny, wyspecjalizował się, uważasz, w tej branży i teraz ma w Łodzi bardzo elegancki zakład. Nieraz zachodzę do niego.

– Tak, to bardzo miłe, dawni koledzy... – powiedział z roztargnieniem naczelnik, patrząc na zegarek – może byśmy się kiedy spotkali wszyscy.

– Doskonale! Bo tu w Łodzi jeszcze paru kolegów. Tokarczyk na przykład, uważasz, ale nie ten starszy. Ten młodszy. Zgadnij, co robi.

– Nie wiem.

– Jest dentystą! I co ty na to? A taki był tępy do przyrody! Jak to nic nie wiadomo. Jabłoński tak samo w Łodzi. Jak myślisz, co robi?

– Ma piekarnię.

– Ależ co ci też do głowy przychodzi? Jest asystentem na uniwersytecie. Grosze zarabia. A w szkole, zdawałoby się, prymus. Nic nie wiadomo.

Naczelnik kręcił się już na krześle, spod oka spoglądając na papiery rozłożone na biurku.

– Dziękuję, żeś mnie odwiedził – powiedział – zatelefonuj kiedy, to się umówimy. Bo widzisz, dziś mam wyjątkowo dużo roboty...

– Rozumiem, rozumiem i szanuję. Czas to pieniądź. Piechotę nie chodzi. Więc krótko, *ad rem*, jak to mówią. He, he, jeszcze coś nie coś z tej łaciny zostało. Mój drogi, może byś mi taki drobiazg załatwił, mieszkanie mi potrzebne, rozumiesz. Człowiek, jak to człowiek. Bez mieszkania zawsze już nie to.

– Ależ ja z tym nie mam nic wspólnego! Przecież pracuję w przemyśle!

– Oj, Kowalski, Kowalski! Tegom się nie spodziewałem! Że ty mnie trudności będziesz robił? Mnie, Zyziovi Dąbrowskiemu?

- Kiedy nie widzę sposobu.
- Już ty załatwisz. Gdybyś tylko chciał. Nie ty, to jakiś twój kolega. Ręka rękę myje, jak to mówią. Tu słówko, tam słówko. On tobie taką przysługę, ty jemu inną. I tak między sobą. Nie tak, to inaczej. No, zrób to dla mnie, Kaziu.
- Przepraszam, ale to mi wygląda na nieporozumienie. Nazywam się Wacław.
- Co? Więc pan nie jest Kaziem Kowalskim, który siedział w trzeciej ławce z rudym Piotrowskim?
- Nie.
- Hm. No to przepraszam pana. Bardzo mi przykro. Ale co do mieszkania, to mam nadzieję, że mimo to... Czyż po to, żeby komuś wyświadczyć drobną przysługę, trzeba być aż szkolnym kolegą?<sup>263</sup>

**Przykład 190. Wiesław Leon Brudziński, Tadeusz Polanowski –  
*Sen bumelanta. Fragmenty szopki politycznej (1950)***

*(Wchodzą Biurokrata i Frazesowicz. Biurokrata zasiada za biurkiem, rozkłada na biurku papiery, teczki etc. Tymczasem Frazesowicz bezgłośnie przemawia, wymachując rękami. Biurokrata natomiast przekłada z miejsca na miejsce papierki, mrużąc „ad acta”, „ad acta” itd. – scena mimiczna).*

Frazesowicz

Zna cała szkoła zdolności moje,  
W pracy na niwie zawsze przoduję  
I śmiało wkraczam w wiedzy podwoje...

Biurokrata

Chciałeś powiedzieć chyba: po dwóje.

Frazesowicz

Tak, to się zdarza w świadectwach moich,  
Oto są skutki, gdy człek się dwoi!  
Ten, co się uczy, ma żywot słodszy.

Biurokrata

Bo też nie plecie ciągle trzy po trzy.

---

<sup>263</sup> Taż, *Kolega*, [w:] *teże, Rozmówki...*, dz. cyt., s. 158–160.

Frazesowicz (*żywo, tonem wyrzutu*)

Mój drogi Biurokrato, co znaczą te słowa?

Jeszcze o mnie publiczność pomyśleć gotowa,

Że jestem Frazesowicz, próżno słowa leję,

A przecież w to nie wierzysz chyba, mam nadzieję.

(*na stronie*)

Cóż, że w nauce może mam wyniki słabsze,

Ale wymowa moja te usterki zatrze.

(*wchodzi Analfabeta*)

Analfabeta (*zwraca się do Biurokraty*)

Ośmielam się zapytać pana referenta

O ten kurs. Pan referent zapewne pamięta?

Biurokrata (*na stronie*)

Ach ten Analfabeta znów nachodzi mnie tu.

Analfabeta

Ja względem tego kursu dla analfabetów.

Frazesowicz

Analfabetyzm to klęska, oto moje zdanie,

Hej, ramię do ramienia! Naprzód... i tak dalej.

Póki się tego... wrzodu... jak tam... nie wypali!

Bowiem jak... pewien tego... gdzieś wyliczył docent,

Analfabetów jest ściśle... no, jakiś tam procent.

I nie spoczniemy w wysiłkach, ażeby w tej dobie

Analfabetyzm... położyć na łopatki obie.

Analfabeta

A to okazja jest znakomita:

Niechaj pan co dzień uczy mnie pisać i czytać.

(*podchodzi do Frazesowicza z gazetą*)

Najpierw niech mi pan powie, jaka to litera?

Frazesowicz

Ja?! Niestety nie mogę, mam dzisiaj referat.

Temat – analfabetyzm, więc dobrze się składa.

(*spogląda na zegarek*)

O, już mi obywatela pożegnać wypada!

(wymyka się szybko)

Analfabeta (*do biurokraty*)

Więc jak będzie z tym kursem, panie referencie?

Tak myślę o nauce, jak o wielkim święcie!

Biurokrata

I czego wy mnie ciągle tak męczycie, kumie?

Chce się na kurs zapisać, a pisać nie umie!

Analfabeta

Ja właśnie chcę się u was nauczyć pisania.

Biurokrata

Obywatel nie złożył żadnego podania.

Załączniki: życiorys i trzy formularze.

Napiszcie, no a potem... potem się okaże.

Analfabeta

Kiedy pisać nie umiem i z tym cała bieda!

Biurokrata

Trudno, nie napiszecie, nic się zrobić nie da.

Analfabeta

Ba, kiedy pan co powie, to jakoś opacznie,

A kiedyż to nareszcie załatwiać pan zacznie?

Biurokrata (*śpiewa*)

Może w maju, może w grudniu,

Zresztą, kto to wie?

Może jutro po południu.

Albo jeszcze nie.

Dni się robią coraz krótsze,

Może jutro lub pojutrze,

W każdym razie dzisiaj nie!<sup>264</sup>

---

<sup>264</sup> W.L. Brudziński, T. Polanowski, *Sen bumelanta. Szopka polityczna*, [w:] *Sen bumelanta. Materiały repertuarowe dla młodzieżowych zespołów świetlicowych*, Wydawnictwo

**Przykład 191. Mieczysław Dołęga – *Poezja dla dzieci* (1950)**

Motto:

*Są to przedziwni poeci,  
którym przez losu wybryki  
nie danym jest płodzić dzieci  
tylko dla dzieci wierszyki.*

Frania, Mania, Stasio, Jasio –  
gąski, kaczkki, kurki (a sio!).  
Kwiatki – bratki i bławatki –  
a ty, Józiu, nie dręcz matki.  
Kotek-psotek, kici, kici...  
krasnoludek tyci, tyci.  
Witek-trębacz, Zbyszek-lotnik –  
Jędruś cacy, Jurek psotnik.  
W polu zboże (oprócz maku)...  
„Nie szczyp Zosi, brzydki raku”.  
Skowroneczki i przepiórki –  
a my z górki na pazurki.  
Krówka ryczy, konik wierzga –  
jest wróbelek, jest i piegża.  
Murzyn Bambo (ludożerca) –  
wstyd dla babci nie mieć serca.  
Skrzył się w dżunglę hipopotam –  
„Idźże, Kasiu, szukaj go tam”.  
Wujek weźmie was do zoo –  
będą dzieci wołać „oooo”.  
Tu są gwiazdki, tam księżyczek –  
Lodzia nie chce umyć rączek.  
Lasek, piasek, trawka, łąka –  
Zbysio znowu puścił bąka.  
jesień, wrzesień, chłody, lody –  
hej! do gaju na jagody.  
Słońce szumi, świecą drzewa –  
słowik skrzeczy, sroka śpiewa.

Śnieżek kropi, deszczyk prószy –  
 wróżka da wam ośle uszy.  
 Proście wasze dobre mamy,  
 by kupiły wam wierszyki,  
 bo z wierszyków forszę mamy...  
 Tirli bumcyk! Fiki miki!<sup>265</sup>

### **Przykład 192. Antoni Marianowicz – *Niezależnemu* (1950)**

Chwalił się jeden: „Jestem własnym uczniem  
 I nikt mi nauk nie udzielał prócz mnie,  
 Nie wielbię mistrzów, których sławi ogół,  
 Ani się modlę do przeszłości bogów”.  
 To znaczy, jeśli go dobrze pojąłem,  
 Że chce na własną rękę być matolem<sup>266</sup>.

### **Przykład 193. M. Rodoć (Mikołaj Biernacki) – \*\*\* (1950)**

W pieluchach uczą nas muzyki,  
 Szkoła nas uczy – Cyclerona,  
 Świat uczy różnej – gimnastyki,  
 Ale rozumu uczy – żona<sup>267</sup>.

### **Przykład 194. Ryszard Serafinowicz – *Wymigali się* (1950)**

Osoby: Bombasiewicz; Cichy; Gadulski; Powtarzalski; 6 Zetempowców  
 (*Rzecz dzieje się w obozie wypoczynkowo-wychowawczym ZMP*).

Konferansjer: Zdarzają się jeszcze wśród nas koledzy, którzy wyobrażają sobie, że są niesłuchanie aktywni. Zabierają głos na zebraniach, bardzo dużo mówią, ale gdy trzeba coś naprawdę zrobić, wtedy ich brak. Są znów inni, i tych jest większość, którzy w razie potrzeby potrafią zakasać rękawy i pracować.

Obrazek pt. „Wymigali się”, który za chwilę zobaczycie, pokaże wam kilka typów takich gadatliwych kolegów, których, na szczęście, jest wśród nas coraz mniej.

<sup>265</sup> M. Dołęga, *Poezja dla dzieci*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955, s. 41–42.

<sup>266</sup> A. Marianowicz, *Niezależnemu*, [w:] tegoż, *Na wpół drwiąco*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1950, s. 56.

<sup>267</sup> M. Rodoć, \*\*\*, [w:] tegoż, *Satyry i fraszki*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1950, s. 161. Por. tenże, *bez tytułu*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki...*, dz. cyt., s. 370.

*(Na scenie, która nie wymaga żadnych dekoracji, w niedbałych pozach siedzą lub stoją: Bombasiewicz, Cichy, Gadulski, Powtarzalski i 6-ciu Zetempowców; wszyscy młodzieńcy są w wieku 16–19 lat).*

Bombasiewicz: Jako przewodniczący koła ZMP nr I przy Państwowym Liceum Mechanicznym, obecnie na obozie wypoczynkowo-wychowawczym w Sękocińcu, otwieram... ee... otwieram nadzwyczajne zebranie koła.

Proszę kolegów! Chłopi z sąsiedniej spółdzielni produkcyjnej Wachowice, którą właśnie zwiedzaliśmy w zeszłym tygodniu, przysłali nam list (*wyciąga z kieszeni list i czyta*): „Do Zetempowców obozu wypoczynkowo-wychowawczego w Sękocińcu. My, chłopie ze spółdzielni produkcyjnej Wachowice, prosimy Was, Zetempowców, o pomoc. Jesteście uczniami liceum mechanicznego, a nam właśnie zepsuł się kombajn; nasz mechanik jest chory i nie możemy dalej pracować. Grozi nam niewykonanie zobowiązania, które podjęliśmy, że zakończymy żniwa przed terminem. Spodziewamy się, że Wy nam pomożecie w naszej biedzie i naprawicie maszynę. Przewodniczący spółdzielni – Kowalski”.

Cichy: (*Zwraca się z zapraszającym gestem do obecnych; niepostrzeżenie wychodzi, a wraz z nim trzech kolegów*).

Bombasiewicz: (*Nie zwraca uwagi na wychodzących, przybiera pozę mówcy i podnosi głos, jakby zwracał się do audytorium, składającego się z kilkuset osób*).

Koledzy! Wszyscy wiemy, jak ogromne znaczenie mają żniwa dla gospodarki narodowej! W miastach nasi ojcowie i bracia czekają na zboże, które dostarczy im wieś, aby mogli podnosić swą stopę życiową i lepiej, i wydajniej pracować!

Koledzy! Jesteśmy wprawdzie na obozie wypoczynkowym, ale nasz obowiązek obywatelski, nasz obowiązek społeczny każe nam natychmiast pośpieszyć z pomocą chłopom z Wachowice! Nie potrzebuję Wam chyba mówić, że w takich wypadkach każdy dzień zwłoki, każda godzina, ba, każda minuta zwłoki oznacza nieobliczalne straty dla gospodarstwa narodowego!

Jeden z obecnych: Słusznie! Dobrze mówi. (*Wyciąga gazetę i zaczyna czytać*).

Bombasiewicz: Koledzy! Nie mogę tu pominąć milczeniem faktu, że naszym obowiązkiem w takich chwilach jest stale podnosić nasze wyniki w nauce, starać się osiągnąć coraz wyższy poziom; a przede wszystkim my, Zetempowcy, my mamy obowiązek, abyśmy świecili przykładem przez nasze wyrobienie społeczne i wiedzę zawodową, abyśmy dawali przykład i żebyśmy byli przodującymi na wszystkich odcinkach. My, nasze koło, musimy zadokumentować, musimy się wykazać i musimy udowodnić, że my, Zetempowcy z liceum mechanicznego, nie pozostajemy w tyle, że nasze koło, którego ja jestem przewodniczącym (*uderza*



się w piersi), że to koło, to najlepsze koło, i my musimy pokazać innym, że osiągnęliśmy już wysoki poziom naszego wyrobienia obywatelskiego i społecznego, że my jesteśmy najlepsi ze wszystkich, że my przodujemy i że my wyprzedzamy. Z ogromną wolą czynu powinniśmy wykazać, że chcemy działać, że chcemy potężnie działać, że nie boimy się odpowiedzialnych i poważnych zadań!

Zebraliśmy się tu, aby przedyskutować sprawę... sprawę... o czym to ja mówiłem?... otwieram dyskusję. (*Siada z miną zadowolonego z dobrze spełnionego obowiązku*).

Gadulski: (*Mówiąc, zwraca się po kolei do wszystkich obecnych z przesadną trochę gestykulacją, jak gdyby chciał każdego przekonać o słuszności tego, co mówi*). Ja, koledzy, nigdy się nie uchylam od pracy, ja nigdy się nie chowam, jak trzeba spełnić obowiązek. Jak tu słusznie przede mną podkreślił kol. Bombasiewicz, musimy się tu zastanowić nad listem chłopów ze spółdzielni Wachowice. Koledzy, ja jestem zdania, że trzeba chłopom pomóc!

Głosy: Tak, trzeba koniecznie pomóc. Musimy pomóc. To nasz obowiązek!

Gadulski: Jak już zaznaczył kol. Bombasiewicz, nasze zadanie jest zupełnie jasne: musimy dać przykład, musimy pociągnąć za sobą, musimy się wyróżnić i musimy pokazać wszystkim innym. Wprawdzie, jak zupełnie słusznie stwierdził kol. Bombasiewicz, jesteśmy tu na obozie wypoczynkowym, ale to zupełnie nie zwalnia nas od obowiązku, który nakłada na nas to, że... od obowiązku, który musimy wypełnić z jak największym entuzjazmem!

Jak się dowiedzieliśmy z listu, chłopci ze spółdzielni Wachowice potrzebują naszej pomocy, oni czekają na naszą pomoc. Ja, proszę kolegów, byłem zawsze w pierwszych szeregach tych, którzy stawali do pracy: Jak trzeba było coś urządzić w szkole...

Głos (*przerywa*): Wtedy ty najwięcej ze wszystkich gadałeś!

Gadulski: To ja byłem tym, który zorganizował, który wskazał innym, co mają robić. Ja nie dlatego to mówię, żeby się chwalić, ale dlatego, żeby powiedzieć, proszę kolegów, że uważam, że powinniśmy wykazać naszą twórczą postawę, żebyśmy w sposób aktywny i bojowy pomogli chłopom, którzy czekają na naszą pomoc! Skończyłem.

Bombasiewicz: Kto jeszcze z kolegów chce zabrać głos? (*Jeden z obecnych podnosi rękę*). Kol. Powtarzalski, proszę.

Powtarzalski: Koledzy Bombasiewicz i Gadulski słusznie podkreślili, że stoi przed nami ogromne zadanie pomożenia chłopom w wypełnieniu ich zobowiązania. Ja chciałem tylko zaznaczyć, że nic nie można dodać do słów kol. Bombasiewicza i kol. Gadulskiego. Muszę tu jednak powiedzieć, że nie możemy zakładać rąk i czekać, że przy tej pracy nie powinno zabraknąć...

Cichy: (*Wchodzi wraz z grupą kolegów, którzy opuścili zebranie na początku. Wszyscy wyglądają na trochę zmęczonych i są powaleni smarem*).

Bombasiewicz (*ironicznie*): A gdzie to koledzy byli, gdy my tu tak ważną sprawę omawiamy?

Gadulski: Chcieliście się pewnie wymigać, co?

Cichy: Rzeczywiście chcieliśmy się wymigać od omawiania. Byliśmy w Wachowicach...

Drugi z grupy nowoprzybyłych (*kończy*): I naprawiliśmy ten kombajn; nic wielkiego, po prostu sprzęgło nawaliło!<sup>268</sup>

### **Przykład 195. Benedykt Hertz – *Pedagodzy* (1951)**

Eisenhower dla armii  
chce nauczycieli.  
Odzyskają więc wolność  
SS-dostojnicy.  
Zwycięzać nie nauczą,  
skoro lanie wzięli,  
lecz wiedzą, jak wykręcić  
się od szubienicy<sup>269</sup>.

### **Przykład 196. Janusz Minkiewicz – *Wiersz naukowy* (1951)**

Na wydziale Masowej Zagłady  
Rozpoczęły się wykłady...  
Rektor Nuns, z Florydy sława,  
Objął tam katedrę prawa,  
Prawa dżungli, oczywista,  
Bo zeń głośny specjalista...

Na wydziale Truciźnianym  
Docent Compton kreśli plany  
Jak tu całą ludzkość, razem,  
Wytruć szybko pewnym gazem,  
By z niej (tak planuje docent)  
Nie pozostał nawet procent...

<sup>268</sup> R. Serafinowicz, *Wymigali się*, [w:] *Sen bumelanta. Materiały...*, dz. cyt., s. 51–54.

<sup>269</sup> B. Hertz, *Pedagodzy*, [w:] tegoż, *Satyry 1919–1951*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1952, s. 139.

Na wydziale Ludobójstwa Doktor

Leppie pogląd swój stwa-

rza na gazy śmiercionośne:

Są mu obce i nieznośne,

Jako środek nazbyt prędko,

A on dłuższej chce wojenki,

Chce ustalić świata tak ład,

By w nim było więcej zagład:

Bakcylowych, wodorowych,

Atomowych, raketowych,

Zagład innych i pochodnych

I nowocześniejszych od nich...

Na wydziale Podżegania

Wprowadzono kurs dla nianiek,

By poznała każda niania

Piękną sztukę zabijania,

By wpajała wciąż ją dzieciom

Modląc się o wojnę trzecią...

Na wydziałach psychiatrycznych

Wszystkich państw demokratycznych

Warto nad tym się pogłowić,

Jak wyleczyć, jak uzdrowić

Tych kopniętych w mózg rektorów,

Zwyrodniałych profesorów,

Imbecylów atomowych,

Ludobójców wodorowych...

Warto dobrze się pogłowić

Nad tym, co należy zrobić,

Aby wreszcie wodór, atom

Powytrącać z rąk wariatom,

A ich posłać do szpitala

Pod wezwaniem Forrestala...<sup>270</sup>

---

<sup>270</sup> J. Minkiewicz, *Wiersz naukowy*, [w:] tegoż, *Pigułki*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1951, s. 16–17.

**Przykład 197. Wiech (Stefan Wiechecki) – *Ala ma kota* (1951)**

– Przeczytałem parę dni temu w tył w gazecie, że podobnie już niedługo reszta tak zwanych alfabetów, czyli facetów niepiśmiennych, ma się nauczyć czytać i pisać. Niedużo już ich co prawda jest, ale trafiają się gdzieniegdzie. I teraz ma się z tem skończyć. Także samo muszą się wziąć nazad za naukie obywatelowie, które coś niecoś kursów liznęli i dali sobie z oświatą spokój.

Sam znam jednego takiego – niejaki Wyskrobek. Alfabetu nie jest, bo umie pisać, ale nie zanadto i ciut-ciut za mało, z powodu że za wcześniej przerwał wykształcenie.

I co się robi. Dostałem kiedyś list, roztwieram i czytam te słowa: „Ala ma kota”. I więcej nic. Zdziwiło mnie to troszkie. „Jaka Ala? – myślę sobie. – Żadnej nie znam i w taki sposób cholera mnie do jej kota”. Patrę na stempel pocztowy i widzę, że list jest z Parzęczewa. W Parzęczewie znam tylko właśnie tego Wyskrobka i dlatego żem się domyślił, że list od niego pochodzi. Zaczęłem medytować, co to ma znaczyć – czy Wyskrobek chory, czy pijany, dlaczego taki tajemniczy list do mnie przysłał. Nie kominując długo, ponieważ że jak raz niedziela była, wsiadłem w pociąg i jede do tego całego Parzęczewa.

Wyskrobek zdrow i najtrzeźwiejszy. Totyż mówię do niego: „Co to faktycznie jest z tem kotem i która to będzie ta Ala?”.

To on mnie zaznacza, że sam detalicznie nie wie, bo zna ją tylko z elementarza, dlatego że akurat na tem kocie swoją naukową karierę skończył. A przysłał go mnie na imieniny w charakterze serdecznych życzeń, bo nic innego nie umiał napisać. Obsztorcowałem go jak się należy i powiedziałem, że musi zaraz wziąć się za dalszą naukie. Przyznał mi racje, że faktycznie musi, bo z tego powodu ma różne trudności.

Jak raz na poczcie kazali mu się podpisać, a on jem na kwicie „Ala ma kota” zasunął – pieniędzy mu nie wypłacili i jeszcze protokół chcieli na niego zestawić za żarty z państwowej waluty.

Z miejsca zaprowadziłem Wyskrobka na kursa i teraz nie tylko sam czyta i pisze na wyrywki, ale inszem sąsiadom pomaga i do nauki ich namawia. Właśnie w tem Parzęczewie zdarzył się taki wypadek. Jeden gospodarz, nazwiskiem Karaluch, zwrócił się do Gminnej Rady Narodowej o przydział, z przeproszeniem, sztucznego nawozu. Za jakiś czas dostaje odpowiedź na piśmie. Chociaż w czytaniu był mocno słabosilny, bo tylko parę liter znał, i to z widzenia, z ciekawości zaczął ten papier słabizować: „En...i – ni!”.

Przeczytał i zmartwił się strasznie. Żona, która przy tem była, pyta się go: „No co, dostaniesz nawóz?”.

„Ni... Napisał, że ni” – i dawaj oboje rozpaczać.

Wchodzi na to Wyskrobek i widzi, że siedzą takie przegrane, pyta się co i jak. „Pokażcie ten list”.

Pokazują mu, a on jem czyta: „Niniejszym zawiadamiamy, że obywatel Karaluch otrzyma sto kilo sztucznego nawozu”.

Ucieszył się Karaluch niemożebnie, ale także samo troszkie zawstydyził, że go Wyskrobek tak obciął, i zaraz poleciał zapisać się na kurs.

„Co, mnie będziesz oko otwierał, mnie będziesz jemponował?! Niedoczekanie twoje!” – zaznaczyła na to Karaluchowa i tyż się zapisała. Teraz są za pierwszych uczni na tych kursach i razem z Wyskrobkiem na wyścigi takie listy piszą, że palce lizać. Mnie raz nawet obsztorcowali na piśmie za to, że „wtorek” przez „f” i „g” na końcu przez pomyłkie w jednym liście do nich napisałem<sup>271</sup>.

### **Przykład 198. Wiech (Stefan Wiechecki) – *Telimena nie była żonata* (1951)**

Zawsze w końcu roku szkolnego odczuwam wyrzuty sumienia, że nie jestem w całkowitym porządku wobec swoich młodych przyjaciół – uczniów szkół podstawowych.

Z dumą tu podkreślam, że dostaję od młodzieży sporo listów, w których zwierza mi się ona ze swoich trosk, kłopotów i życzeń... Z rumieńcem wstydu tłumaczę się, że nie na wszystkie odpisuję. Trochę z braku czasu, a głównie najprawdopodobniej przez wrodzony wstręt do pióra.

Ale zawsze pod koniec roku staram się to jakoś naprawić. Oto leży przede mną list pewnego Włodka z Warszawy. (Leży już trzy miesiące). Włodek skarży się w nim, że profesor od polskiego uwziął się na niego, szykanuje go, przekreśla świetnie napisane ćwiczenia i w ogóle się czepia. Na dowód do listu dołączył uczeń parę klasówek, istotnie bez litości pokiereszowanych czerwonym atramentem, z mnóstwem uwag na marginesach.

Przemykam oczy na wydziwiania nauczyciela i czytam, co napisał Włodek. Wypracowanie jest o „Panu Tadeuszu” i zawiera takie zdania:

*...Przy wieczerzy Tadeusz przypodabia sobie Telimenę. Po raz pierwszy spotkał się z Zosią w pokoiku przy stole, który zamiast Zosi poznał Telimenę, lecz gdy się dowiedział, że zbłądził, był bardzo smutny.*

*Spotkał się z Telimeną, która mu się wydała podobieństwem Zosi. Tymczasem Telimena, gdyż to ona była, podobał się jej.*

<sup>271</sup> S. Wiechecki (Wiech), *Ala ma kota*, [w:] tegoż, *Śmieję się pan z tego. Dzieła wybrane. Wybór felietonów. Tom drugi 1946–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1956, s. 280–281.

*Tadeusz ojca swego zasadniczo nie znał, lecz pozostawał z nim w ścisłym kontrakcie.*

*Telimena nie była żonata, mimo tego miała pieska.*

*Robak chce wydać Tadeusza za Zosię i odgania od niej natrętów.*

*Gdy niedźwiedź miał go dostać w swe ręce, Robak zagryzłszy palce porwał flintę i ratuje mu życie zabijając go w ostatniej chwili...*

Pod ćwiczeniem wśród różnych niepochlebnych uwag o stylu, składni, gramatyce itp. nauczyciel napisał: „niezrozumiale” i to najbardziej oburzyło autora.

– Czy to naprawdę niezrozumiale, proszę pana? – pyta mnie.

– Mój chłopcze, każdy jako tako inteligentny Polak powinien znać na wrywki treść „Pana Tadeusza”, a tym bardziej obowiązuje to nauczyciela, więc należy się rzeczywiście dziwić, że twój profesor nie rozumie tego, co się działo między Zosią, Tadeuszem, niedźwiedziem, Telimeną i Robakiem.

Ja zrozumiałem wszystko, trochę mnie tylko dziwiło, że wspominasz o jakimś stole, który zamiast Zosi poznał Telimenę i był bardzo smutny. Niezupełnie go pamiętam z „Pana Tadeusza”, ale Mickiewicz opisuje tam tyle różnych mebli, że mogło mi wypaść z pamięci.

I jak ten Robak uratował życie temu niedźwiedziowi zabijając go w ostatniej chwili z flinty zagryzłszy palce – też nie bardzo sobie przypominam. Ale zaraz sprawdzę w pięknie wydanym jubileuszowym egzemplarzu, który sobie kupiłem na ostatnim Kiermaszu Książki. Nauczyciel powinien był zrobić to samo zamiast czepiać się ciebie.

A już naprawdę nie rozumiem, co mu się mogło nie podobać w zdaniach zawartych w innych ćwiczeniach.

Na przykład: „Brodziński był pompierem romantyzmu” albo „Mickiewicz wydał romanse dziadów”.

Ja od razu pojąłem, że miałeś na myśli pioniera, a napisał ci się pompier – sam w dzieciństwie marzyłem o zostaniu strażakiem.

No, a te romanse dziadów, to przecież akcja „O” – zamiast pisać: „Ballady i romanse”, „Dziady” itd., użyłeś oszczędnościowego skrótu.

Ten twój profesor to musi być ziółko – nie życzę wrogowi! Ale z takim lepiej się nie sprzeczać, dla świętego spokoju tak pisać, jak chce! Przejmować się tym pompierem też nie masz powodu, bo przejęzyczenia zdarzają się nie tylko tobie. Dorośli mają czasem takie same kłopoty.

Niedawno byłem na pewnym zebraniu, gdzie mówca piętnując pewnego ukrytego wroga instytucji zawołał: – To koń trojanowski reakcji!

W tej chwili z ostatniego rzędu podniósł się jakiś starszy pan i krzyknął do tknięty do żywego: – No, no, tylko nie koń i nie z reakcji!

Okazało się, że ten obywatel nazywał się akurat Trojanowski. Długo go musiał mówca przeproszać, zanim udowodnił, że miał na myśli konia trojańskiego<sup>272</sup>.

### **Przykład 199. Stanisław Wygodzki – *Zapomniane słowa* (1951)**

Ośmioletnia Marysia odłożyła rocznik pisma z lat trzydziestych i odwróciła się do ojca.

- Tato, co to znaczy eksmisja?
- Co takiego? – zdziwił się ojciec.
- Eksmisja – powtórzyła dziewczynka.
- Eksmisja... Eksmisja to znaczy, jeśli się kogoś wyrzuca z mieszkania.
- Wyrzuca z mieszkania? A kogo się wyrzuca z mieszkania?
- Nikogo, dziecko, nikogo.
- Ale tu piszą: „Dziś na mocy wyroku sądowego eksmitowano z mieszkania rodzinę bezrobotnego...”

– Ach, o tym mówisz. Więc widzisz, jeśli ktoś był bezrobotny i nie opłacał komornego, to go wyrzucano z mieszkania.

– Nigdy tego nie widziałam – powiedziała Marysia.

– O, to było dawno, bardzo dawno temu. Jeszcze ciebie na świecie nie było.

Marysia zamyśliła się: – Tato, proszę cię, nie płać komornego, to nas wyeksmitują i dostaniemy inne mieszkanie na MDM. Ja cię proszę, tam mieszka Halinka i Józek...

– Dobrze, dobrze, dziecko. Pozwól mi czytać.

Dziewczynka powróciła do przeglądania rocznika, ale wkrótce natrafiła na niezrozumiałe słowo.

– Co to znaczy lombard? – spytała ojca.

– Lombard?... Lombard to był taki zakład, gdzie się zanosilo zegarek albo palto, albo poduszkę i za te dawali pieniądze.

– To musiało być bardzo zabawne. Wyobraź sobie, wracasz do domu i patrzysz, a tu nie ma, no, nie ma radia, bo ja je zaniiosłam do lombardu.

– To by nie było zabawne, a poza tym nikt by aparatu nie przyjął, bo już nie ma lombardów.

– A dlaczego? To musiało być bardzo wesołe. Poproś w Komitecie Blokowym, żeby u nas w osiedlu zrobiono lombard.

– Ale po co?

---

<sup>272</sup> Tenże, *Telimena nie była żonata*, [w:] tegoż, *Na perłowo*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1951, s. 135–137.

– No, latem na przykład ciebie ani mamy nie ma w domu, a ja chcę sobie kupić porcję lodów i nie mam pieniędzy, wtedy biorę poduszkę, odnoszę do lombardu i już pieniądze są.

Ojciec uśmiechnął się.

– Już ci mówiłem, że lombardów nie ma. Dziś nikt nie musi chodzić do lombardu. Pozwól mi, dziecko, czytać.

– Tak, ty zawsze mówisz: „Pozwól mi czytać”. Ale mnie to nie chcesz sprawić żadnej przyjemności. Ja postawię w szkole wniosek, aby u nas w osiedlu założono lombard. Zobaczysz, dzieci na pewno się zgodzą.

Ojciec skinął głową i zagłębił się w gazecie. Ale po chwili Marysia odezwała się znowu: – Tato, co to jest lokaut?

– Jak ci to wytłumaczyć? – zastanowił się ojciec. – Lokaut jest wtedy, kiedy się zamyka fabrykę i nie pozwala ludziom pracować.

Marysia zaśmiała się: – Zamyka się fabrykę?... A kto wykona plan, jeśli zamkną fabrykę?

– Nikt nie zamknie – rozłościł się ojciec. – Fabryki są po to, żeby w nich ludzie pracowali.

– Ale sam mówiłeś, że gdy zamykają i nie pozwalają ludziom pracować, to wtedy to się nazywa lokaut.

– Tak było kiedyś, dawniej. Dziś się buduje nowe fabryki, bo ich jest za mało – krzyknął ojciec.

– Tak. Krzyzcze to potrafisz, ale dziecku nigdy nie wytłumaczysz.

– Przecież wytłumaczyłem ci.

– Tak, wytłumaczyłeś, ładnie wytłumaczyłeś! Jakże można zamknąć fabrykę? Przecież wtedy plan się zawali.

– Tak było kiedyś, zrozum.

– Ja rozumiem, tylko ty nie rozumiesz, że nie wolno fabryki zamykać.

– No, dobrze, dobrze – rzekł ojciec łagodniej – już daj mi spokój, dziś nikt nie zamyka fabryki.

Po chwili.

– Tato, co to znaczy okultysta?

– Co? – zdenerwował się ojciec.

– Okultysta.

– Okultysta... No, widzisz, okultysta to taki człowiek, który... który rozmawiał... z duchami.

– A o czym taki okultysta rozmawiał z tymi duchami?

– O różnych rzeczach, głównie o tym, o czym chcieli słyszeć naiwni ludzie, którzy go odwiedzali.



- A co chcieli usłyszeć?
  - A czy ja wiem?
  - A kto ma wiedzieć? Ja? Kto tu jest dorosły w tym domu? Ja czy ty?
  - No, chcieli na przykład dowiedzieć się, kiedy dostaną pracę.
  - Ach, jacy głupi. Przecież o to trzeba zapytać w wydziale kadr i zatrudnienia.
  - No, tak, ale wtedy pracy nie było.
  - Czy nie mieli etatów?
  - Ojciec zniecierpliwił się.
  - Nie – rzekł – nie mieli.
  - To trzeba było wsiąść na wydział planowania. Jak się planuje bez głowy, to potem są takie wyniki.
  - Masz rację, dziecko.
  - Ty mi nie przyznawaj racji tak tylko, aby się mnie pozbyć. A czy skrytykowali to na naradzie produkcyjnej?
  - Wtedy nie było jeszcze narad produkcyjnych.
  - No, to jak mogli usprawniać, oszczędzać, podwyższać normy?
  - Dziecko, daj mi spokój, okultysta o tym nie rozmawiał z duchami.
  - Sam mówięś, że pytali o pracę.
  - Mówiłem, ale tylko tak, dla przykładu.
  - No, to może powiesz konkretnie, rzeczowo, a nie tak bez zastanowienia.
  - Dziecko, przecież duchów nie ma!
  - Ty mnie nie ucz, wiem lepiej od ciebie o tym, ale ty najpierw tumanisz dziecko, wmawiasz mi, że okultysta to taki człowiek, który rozmawia z duchami, a potem nabijasz się ze mnie.
  - To nie ja, to on się nabijał z głupich ludzi.
  - Dobrze już, dobrze, już ci nie będą przeszkadzała.
- Rozmowa przerwała się. Słychać było tylko szelest coraz wolniej przewracanych kartek i senny szept Marysi: – Towarzystwo akcyjne... Bal dobroczynny... Tombola... Licytacja...<sup>273</sup>

### **Przykład 200. Bogdan Brzeziński – *Pouczająca lektura* (1952)**

Opowiem ci, Johnny, bajeczkę:  
 Raz palił pan gangster fajeczkę,  
 A paląc wciąż marzył i marzył,  
 Aż spadł mu z fajeczki węgielek

<sup>273</sup> S. Wygodzki, *Zapomniane słowa*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia...*, dz. cyt., s. 642–646.

I w rączkę go trochę oparzył,  
I mały wyskoczył bąbelek!  
A o czymże marzył gangsterek?  
O swoim, dziecino, zawodzie.  
Pomysłów gangsterek miał szereg,  
Bo sprytny z gangsterka był złodziej  
Tu podkop, tam napad z włamaniem,  
A ówdzie już mokra robótka...  
Nie zawsze masz puste mieszkanie.  
Czasami jest ciotka i kłódka!  
Więc ciotce – dwie kule  
I spokój w ogóle,  
Cichutko, bez wsypy, jak w kinie!  
Policja? „Na tropie...”  
Gangstera nie wkopie.  
Łapówkę wziąć może jedynie!  
Śpij, Johnny, kochanie,  
Gdy dzionek znów wstanie –  
Dokończę tę bajkę milutką.  
O Billu bajeczkę,  
Co palił fajeczkę  
I siedząc wygodnie  
Obmyślał swe zbrodnie...

Śpij, Johnny, amorku!  
Wyrośniesz w New Yorku  
Na zucha, jak inne Jankesy!  
Już dzisiaj ci wróżę,  
Że dzięki lekturze  
Wspaniale obmyślisz byznesy!

A co na to mama, tata?  
Czy nie rani serca matki  
Fura bujd nie z tego świata,  
Którą comics karmi dziatki???  
Cóż?... Tatusie  
Są w korpusie  
U następcy Mac Arthura...

Dziś w Korei ich widzicie,  
Jak wcielają pilnie w życie  
To, co dała im lektura!<sup>274</sup>

**Przykład 201. Konstanty Ildefons Gałczyński –  
*Dwaj maturzyści* (1952)**

Gdy księżyc stęchłym „Sidolem”  
złe miejskie niebo wyczyści,  
wychodzą na głupi spacer  
dwaj maturzyści.

Postacie prawie bliźniacze,  
jak wałek podobny do wałka,  
przystając, jeden zapłacze,  
a drugi załka:

Bo cóż, że skończyli szkoły,  
cóż, że w kieszeniach matury?  
Jeden z nich niewesoły,  
drugi ponury.

Dzień cały stukali-pukali –  
niestety: wszystko zajęte...  
Żebyż chociaż zostać kelnerem  
lub konfidentem!

Nazajutrz, kiedy się ściemni,  
bez celu znów i korzyści  
w noc ciemną wyjdą jak cienie  
dwaj maturzyści<sup>275</sup>.

---

<sup>274</sup> B. Brzeziński, *Pouczająca lektura*, [w:] tegoż, *Dla każdego coś ciętego*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953, s. 28–29.

<sup>275</sup> K.I. Gałczyński, *Dwaj maturzyści*, [w:] tegoż, *Liryka 1923–1953*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1994, s. 250. Źródło pierwotne: tenże, *Dwaj maturzyści*, „Przekrój”, nr 370/1952, s. 15.

**Przykład 202. Stefan Krysiak – *Sport to zdrowie.******Notatki z pamiętnika obozowego (1952?)***

1.VI. Nareszcie pod namiotami obozu szkoleniowego ZMP! Dreszcz radości przenika mnie, gdy pomyślę, że skończyło się siedzenie w murach wielkowiejskich, że zacznie się wprawdzie usilna praca, ale powietrze, słońce, woda, sport dodadzą nam nowych sił do dalszej nauki. Dzisiaj w czasie odpoczynku znalazłem odpowiedni kawałek miejsca na siatkówkę i doskonały piasek do skoków w dal. Na rozbieg jest wiele twardego gruntu. Trzeba tylko zrobić odbicie. Zresztą po co się nad tym zastanawiać? Na pewno nasze władze lepiej to wszystko przemyślały i przygotowały. Jak się o tym pomyśli, to człowiek nabiera tym większej chęci do nauki...

5.VI. Już czwarty dzień trwają wykłady. Uczę się intensywnie, gdyż materiału do przerobienia jest bardzo wiele. Wszystko jest ciekawe, a zwłaszcza dyskusje. Jest tu wielu mądrych chłopców. W czasie przerwy między wykładami zerknąłem na nasze przyszłe boisko. Coś tam robią. Zdaje się, że mierzą i obliczają. Ciekawe, czy ustawią tam bramki, siatkę czy też kosze?...

11.VI. Przez te kilka dni nie miałem nawet czasu zajrzeć do pamiętnika. W głowie mi trochę szumi od ciągłej nauki i w krzyżu mi trzeszczy. Dzisiaj przerabialiśmy gospodarkę leśną. Gdy nasz wykładowca doszedł do słów: „Bardzo korzystny jest wpływ lasu na zdrowotność kraju. Wycięcie lasu na dużej przestrzeni powoduje pogorszenie się warunków zdrowotnych i klimatycznych. Las reguluje stan wilgoci. Oczyszcza atmosferę z dwutlenku węgla i zasila ją w tlen”, znacząco spojrzął na polankę i uśmiechnął się. Domyślamy się, co miał na myśli. Ale tamci wciąż jeszcze mierzą i obliczają. Mogliby już zrobić to boisko. Jestem pewien, że my sami zrobilibyśmy je o wiele szybciej...

16.VI. Przez pół dnia bolała mnie głowa. Może się przeziębilem? Nawet nie miałem czasu zobaczyć, jaka dziś pogoda. Kończę, gdyż mam jeszcze do przerobienia „Ochronę zdrowia”.

23.VI. Już wiemy, dlaczego nasz wykładowca uśmiechał się, gdy mówił o gospodarce leśnej. Dziś rano obok polany zatrzymały się wozy. Wsiadły z nich kobiety i na całej polanie zasadziły drzewa. Poprosiliśmy nasze władze szkoleniowe, by kilka godzin w tygodniu poświęciły na sport. Że takniemy sportu. Ciekawe, czy nasza prośba zostanie uwzględniona...

26.VI. Została. Dziś rozpoczął się cykl wykładów na temat: „Sport to zdrowie”<sup>276</sup>.

---

<sup>276</sup> S. Krysiak, *Sport to zdrowie*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), *Na obie łopatki. Zbiór satyr*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1952, s. 135–136. Por. przykłady 204, 593.

**Przykład 203. Sławomir Mrożek – *Anonim* (1952)**

Panie Srożek, zadają ja to pytanie, w jakim duchu pan wychowujesz swoje dzieci? Czy pan je wychowujesz w duchu praojców, szczerze demokratycznym i polskim? Co? Czy jak one wstają z kołyski, to ich zaraz zatruwasz jadem Nowej Huty? Nawet pan nie drgniesz, tak się pan zakamieniłeś.

Ale racja. Pan nie masz dzieci. Pan masz potworki! Tak myśli każdy prawdziwy, szczerzy, przedwojenny Polak, a nie żaden ze wsi. Jak czytamy, co pan piszesz w tych pańskich gazetach, to nam się przypominają hetmani polscy, co ich pan zdradziłeś. Uważaj pan, żeby panu nie uschła ręka. Jakbyś pan był Polak, to byś pan znał taką legendę, jak był chłopczyk, co mu ręka uschła, co bił swoją mamusię, i ta ręka mu później sterczała z grobu i ludzie się na niej potykali. A pan też bijesz swoją mamusię, tradycję polską, taką prawdziwą, naszą, a nie żadną ze wsi.

Pan nie jesteś Sławomir, ale Słabomir. Nie pluj pan na Amerykę! Pan nie masz pojęcia, jak w Ameryce jest dobrze. Jakbyś pan był na filmie *Jesse James* albo *Miasto zbrodni*, to byś pan wiedział. Ale jasne, że pan nie byłeś, pan chodzisz na same niekatolickie filmy. A także samo pan nie pluj jadem na Trumana, bo to jest szczerzy Polak.

Co pan gangrenujesz młodzież tymi hutami, panie Sławomit! Wy polską młodzież wabicie do tej Nowej Huty, żeby tam z nią mieć dzieci! Ale to się wam nie uda! My wiemy, na co wam to potrzebne! Wy te dzieci potem wywozicie masowo do ochotników chińskich. Wiadomo, nasze szczerze, polskie dzieci są najlepsze! Wy to robicie pod płaszczykiem! Jakieś wielkie piece otwieracie w tej Nowej Hucie, spuszczaście niby stal! Ale my czuwamy. Wy tam żadnych wielkich pieców nie otwieracie, wy tam otwieracie bratrury! Nie uda się wam pod przykrywką wielkich pieców zhańbić kwiat młodzieży polskiej!

Pan nie jesteś Mrożek, ale Wrożek. Pan piszesz, że przed wojną był wyzysk w fabrykach i wszędzie, a ja panu mówię, że nie był! Co pan robił przed wojną? Nic! A mój szwagier miał fabryczkę. To kto lepiej wie – on czy pan, panie Wrożek!

Tak, my wiemy, że pan jesteś na usługach, ja pana widziałem jeszcze w 1914 w Kijowie. My wiemy, że się panu księżniczka angielska nie podoba, że pan mówi, że ona ma za grube nogi. Panu się nic nie podoba, co jest w Anglii. Pan sam masz za grube nogi, panie Mrożsrek!

Pan jesteś pismak. My czytamy pańskie dowcipy i my nic nie rozumiemy, pan jesteś półgłówek! Znałeś pan Krupę?

Módl się pan i przestań pan bryzgać jadem.

Prawdziwy socjalista<sup>277</sup>.

<sup>277</sup> S. Mrożek, *Anonim*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia...*, dz. cyt., s. 463–465.

**Przykład 204. Alicja Nawrocka – *Z notatnika obozowego* (1952?)**

Sobota

Egzamin już poza nami! Jedziemy na obóz szkoleniowo-wypoczynkowy.

Poniedziałek

Przyjechaliśmy wczoraj rano. Mamy świetne warunki do nauki i do odpoczynku. Mieszkamy w pałacu, podobno jest piękny park. Nie zdążyłam się jeszcze sama o tym przekonać, ponieważ mieliśmy kilka zebrań. Trzeba było zorganizować obóz. Podzieliłiśmy wszystkich na grupy. Powołaliśmy kilka sekcji: sportową, kulturalno-oświatową, szkoleniową itp. Od jutra zaczynają również pracę – kółko śpiewacze, kółko taneczne, redakcja gazetki. Zostałam przewodniczącą sekcji sportowej. Zebrania sekcji będą się odbywały co drugi dzień. Grupy natomiast poza szkoleniem będą się zbierać codziennie, aby omawiać postawę członków.

Plan dnia bardzo racjonalny. Rano 5 godzin wykładów, potem 1 godz. na kąpiel w rzece. Po obiedzie 2 godz. samokształcenia, a potem czas wolny. O 11 gasimy światło.

Czwartek

Sekcja szkoleniowa podała dosyć obszerny materiał do samokształcenia – 2 godz. nie wystarczają – postanowiliśmy więc wykorzystać wszystkie godziny popołudniowe.

Zebrania grup, sekcji, kółek, kierownictwa, odprawy grupowych itd. odbywają się wieczorem. Grupy, które nie wykonały planu samokształcenia, mogą uczyć się dłużej.

Piątek

Jedna z grup wpadła na świetny pomysł. Po co tracić tyle czasu na kąpiel, kiedy można uczyć się, siedząc nad wodą i mocząc nogi? To prawdziwie racjonalizatorski pomysł.

Sobota

Nasza grupa wezwała cały obóz do współzawodnictwa. Park jest bardzo zapuszczony, trzeba przekopać ścieżki i wypielić chwasty. W tym celu będziemy wstawali o 2 godz. wcześniej, to znaczy o 5 rano.

Poniedziałek

Wczoraj nie pisałam, bo zebranie przeciągnęło się do późnej nocy. Dyskutowaliśmy nad zagadnieniem, jaką obrać formę współpracy z ludnością wiejską.

Projektów było dużo, a zdania podzielone, wobec tego przełożyliśmy dyskusję na następne zebranie. Tymczasem wybraliśmy 5-osobową komisję dla rozpracowania zagadnienia.

Wtorek

Trzeba było załatwić coś w pobliskim miasteczku. Kierownik chciał, żeby zgłosił się ktoś na ochotnika. Zgłosiło się 40 osób. Kierownik jednak podejrzewał i zdaje się, że miał rację, że ci „ochotnicy” chcieli po prostu pod tym pretekstem przejść się trochę. Polecił więc sprawę koledze, którego bolała noga. W ten sposób wyrabia się w ludziach prawdziwą ofiarności.

Środa

Znów odbyło się zebranie w sprawie kontaktu ze wsią. Komisja przedstawiła dwa projekty – pomoc w żniwach lub urządzenie dla ludności wiejskiej poranku poświęconego twórczości młodych poetów. Dyskusja była długa i ożywiona. Przegłosowano projekt urządzenia poranku, wychodząc z założenia, że jego wartość mobilizująca przewyższy znaczenie naszego mało operatywnego udziału w żniwach. Wybraliśmy 6-osobowy komitet dla opracowania programu.

Czwartek

Przykre to, ale znalazło, się wśród nas kilku kolegów, którzy wykazali karygodny brak dyscypliny. W czasie godzin popołudniowych samowolnie wzięli piłkę i poszli grać w siatkówkę.

Natychmiast zwołałam zebranie sekcji sportowej. Przyjęto mój wniosek, aby cały sprzęt trzymać pod kluczem. Zainteresowania sportowe trzeba skierować na właściwe tory. Jutro zwołamy w tej sprawie masówkę.

Środa

Wczoraj nie pisałam, bo prawie dwie noce odbywały się próby poranku. Ja wprawdzie nie deklamuję, nie śpiewam ani nie tańczę, ale opracowywałam referat o kontakcie miasta ze wsią. Program ciekawy, urozmaicony – tematyka produkcyjna i wiejska.

Po próbie, która trwała do 3 rano, zdarzył się przykry incydent. Kilku kolegów nie chciało wstać, aby pracować przy uporządkowaniu parku. Oto przykład demobilizowania kolektywu i niedoceniaenia znaczenia wysiłku fizycznego.

### Niedziela

Odbył się poranek. Nikt ze wsi nie przyszedł. Zarząd PGR-u tłumaczy się wzmożoną pracą przy żniwach. Trzeba jednak zbadać sprawę dokładniej. Kto wie, czy to nie jest jakaś wroga robota.

### Poniedziałek

Z powodu poranku dopiero dziś odbyła się masówka w sprawach sportowych. Podjęliśmy jednogłośnie zobowiązanie zdobycia na zakończenie obozu odznaki SPO. Od jutra w godzinach wieczornych zaczynamy szkolenie na normę teoretyczną.

### Środa

Co za skandal! Dziś po wykładach zauważyłam, że Hanka i Władek wymknęli się do parku trzymając się za ręce. Od razu wydało mi się to podejrzanе. Poszłam za nimi. Jak można zawieść się na ludziach! Hanka – jedna z najlepszych aktywistek – pozwala się całować, i to gdzie! – Na ławce w parku! W biały dzień!

Powiedziałam im od razu, co o tym myślę. Sprawę postawiłam na zebraniu kierownictwa. Wydaliśmy ostry zakaz wychodzenia parami do parku. Zło trzeba tępić w zarodku.

### Piątek

Na wczorajszym zebraniu kierownictwa zdarzył się przykry wypadek. Zebranie przeciągnęło się trochę, bo okazało się, że nawet wśród czołowego aktywu zdarzają się ludzie niezdiscyplinowani. Po wyczerpaniu porządku dziennego, o godz. 1 w nocy, kilka osób chciało wyjść do parku, aby się przewietrzyć, mimo że od dziesiątej nie wolno wychodzić na dwór. Wywiązała się burzliwa dyskusja. Kierownik uległ już prawie argumentom, że tyle godzin w zadymionym pokoju itd., ale kiedy przypomniałam sprawę Hanka i Władka – przyznał mi rację. Zebranie skończyło się o godz. 2.

### Niedziela

Wszystko na nic! Nasza czujność zawiodła! Na ostatniej odprawie grupowych jeden z kolegów złożył głąboką samokrytykę: dopiero przed końcem obozu odkrył na swojej grupie zorganizowany sposób uchylania się od samokształcenia. Z braku miejsca w świetlicy samokształcenie odbywało się w sypialniach na łózkach. Grupowy czytał na głos lekturę. Otóż kolega ten odkrył, że zamiast słuchać wszyscy spali, a tylko jeden czuwał, aby utrzymywać kontakt z prowadzącym szkolenie. Po pewnym czasie budził następnego, a sam zasypiał. Inni



grupowi stwierdzili, że u nich coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć – na samokształceniu spali wszyscy, bez żadnych wyjątków. Grupowi jednak wiedzieli o tym i skutecznie interweniowali. Jeden np. rzucał w śpiących poduszkami, inny był zwolennikiem używania do tego celu butów, jeszcze inna koleżanka polewała śpiących wodą.

Skrytykowałam ostro te metody. Wykazałam, że są to tylko półśrodki, które w żadnym wypadku nie mogą doprowadzić nas do celu. A sprawa jest poważna – obozy szkoleniowe muszą być należycie wykorzystane. Postawiłam wniosek, który uznano za słuszny. Polecam go uwadze kierowników wszystkich obozów szkoleniowych: do rąk uczestników samokształcenia przywiązuje się sznurki, których końce trzyma wykładowca. W ten sposób można nie przerywając czytania i nie niszcząc sprzętu, jak poduszki, obuwie itd., budzić w słuchaczach właściwy stosunek do samokształcenia<sup>278</sup>.

### **Przykład 205. Leon Pasternak – *Lekcja historii* (1952?)**

Pewien belfer historię wykladał z patosem,  
chwalił wojnę i mordy, krzyczał: *Vivat! Gloria!*  
Na to uczeń mu jakiś odbąknął pod nosem:  
„Hm, ładna mi historia!”<sup>279</sup>.

### **Przykład 206. Jan Szeląg – *Były czasy...* (1952?)**

Państwo pozwolą, że się przedstawię. Jestem postacią historyczną, ale w jakimś sposób poznać możecie postać, która naprawdę należy do dziejów ojczystych. Uczą was o tym Kostce Napierskim, Czarnieckim, Lelewelu, o mnie zaś tylko pogardliwe wzmianki. A ja... Dekiel-Korporancki jestem... No właśnie, nikt nie wie. No, więc się dowiecie. Otóż ja w sprawie leżącej mi najbardziej na sercu. Tak jest, w sprawie młodzieży. Ja sam jestem starym, zasłużonym działaczem młodzieżowym międzywojennego dwudziestolecia i nie mogę znieść tych wszystkich kłamstw o położeniu młodzieży w tamtym okresie. Tych wszystkich komunistycznych kłamstw o rzekomej złej doli młodzieży robotniczej i wiejskiej i o naszym rzekomym słodkim życiu, naszym, tych, których rodzice na roli, prawda, w kartelach, prawda, i tego... no więc, jednym słowem, ludzie zamożni, dostatni i tak dalej. Jak było naprawdę? Zaraz wam opowiem.

<sup>278</sup> A. Nawrocka, *Z notatnika obozowego*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), dz. cyt., s. 163–168. Por. przykłady 202, 593.

<sup>279</sup> L. Pasternak, *Lekcja historii*, [w:] tegoż, *Ja się nie śmieję*, Iskry, Warszawa 1976, s. 34. Por. tenże, *Lekcja historii*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 403.

Było to – że zacznę od przykładu – wczesną jakąś wiosną roku 1937, może 1938, chyba w początkach marca – wracam ja nad ranem z komerszu<sup>280</sup> z Durniem Kastetowiczem.

– Chodź – powiada Durnio – pójdziemy Alejami Ujazdowskimi, trzeba trochę tego eeep... trochę wytrzeźwieć, to jest, przepraszam – ochłonąć.

No, więc idziemy. Nagle Durnio jak nie ryknie: – Patrz, i to ma być sprawiedliwość!

Patrzę, a tu na ławkach pełno jakiejś młodzieży, leżą sobie, gazetami się ponakrywali i śpią w najlepsze. Durnio złapał mnie za klapy, przycisnął do drzewa i wrzeszczy: – I to ma być sprawiedliwość! To my od rana do rana działać musimy. Rano na uniwersytecie komunistów tępić, profesorów wolnomysłnych jajkami obrzucać. Po obiedzie, jak dziś na przykład, konferencja z Hitlerjugend, potem w naszej „Arkonii” komersz z Andersem. A potem do rana wódka i szampan, wódka i szampan, aż mi się odbija... A oni co? Cały dzień bruki zbijają. Na uniwersytet nawet ich nie przyjmą, takie prawa w Polsce mają. Żadnej pracy. My całą noc w dusznym lokalu, a oni zdro...wo, rzeško, na świeżym powietrzu. Budzi ich przyjemny chłód, a nie takie zgniłe powietrze, jak w naszych przegrzanych mieszkaniach. Skandal! – krzyczał Durnio. – My musimy walczyć o prawo do Alej dla całego narodu. Ja się uginam pod ciężarem obowiązków, a oni nic. Im słowiki za darmo śpiewają, a ja na utrzymanie Dwidzi (to takie miłe stworzenie, fordanserka z dansingu) muszę tysiące wydawać...

Tu Durnio zaczął wołać: – Policja! Policja! Policja!

Rzeczywiście zjawił się posterunkowy, zasalutował przed Durniem i pyta: – Czy mam do domu odprowadzić pana hrabiego?

Bo trzeba wam wiedzieć, że Durnia znali wszyscy policjanci. Nie było takiego w Warszawie, który by go nie odprowadzał nad ranem do domu, wyczerpanego pracą dla ojczyzny.

A Durnio woła: – To są porządki, to jest demokracja! Zaraz mi tu tych chamów, łobuzów powyrzucać. Te ławki należą do narodu, a nie do jakichś uprzywilejowanych.

Posterunkowy znów zasalutował i powiedział: – Wedle rozkazu, panie hrabio, ale my dzisiejszej nocy już pięć razy tę hołotę spędzaliśmy z ławek, ale ciągle nowi przychodzą, mówią, że bezdomni.

A na to Durnio: – Bezdomni nie bezdomni, wyrzucić. Jak kto nie ma domu, to może spać w „Bristolu”, a nie tutaj.

---

<sup>280</sup> Komersz (niem. *Kommers*) – zebranie studenckie, hulanka.

Więc policjant gwizdnął na kolegów, a my poszliśmy dalej i jeszcze po drodze omawialiśmy krój mundurów dla naszych sztafet ochronnych, żeby były ładniejsze od niemieckich. Oho, o honor narodu to się wówczas dbało.

I tak było ze wszystkim. Nie to, co teraz. Pytałem, wuja, co robi, jak mu parobek zachoruje. A on mi na to krótko: – Zwalniam natychmiast.

No, proszę. A dzisiaj niech parobek w pegeerze zachoruje, to nie ma żadnej swobody w chorowaniu. Do sanatorium wysyłają, zasiłki płacą. To jest wolność? Wolności młodzież nie ma od dziecka. Wszędzie panuje przymus szkolny. A przed wojną? Każde dziecko mogło już: od siódmego roku życia wybierać, czy chce się uczyć, czy nie. Rząd liczył się nawet z wolą dzieci i tak już wszystko zorganizował, że więcej jak milion dzieci korzystać mogło z tej wolności nieuczenia się. I starano się, żeby zasięg tej wolności od szkoły coraz bardziej rozszerzać. Proszę.

A dziś: do szkoły pchają, na wyższe uczelnie namawiają, do pracy zachęcają, z pastuchów naszych robią inżynierów. Toż to przecież zamach na nasz polski krajobraz. Wieś bez pastuszków – to przecież skandal.

Powiadają, sport, wychowanie fizyczne dla młodzieży. Teraz wychowanie fizyczne! Koń by się uśmieł. Przed wojną młodzi dopiero mieli zdrowe życie. Sen na świeżym powietrzu, mycie w zimnej wodzie bieżącej – w Wiśle, sucha bułeczka na śniadanie albo i to nie, żeby żołądka nie przeciążać. Potem spacer po mieście za pracą, do której nikogo nie zmuszano. Potem postać pół dnia pod Urzędem Pośrednictwa Pracy albo przed komitetem, gdzie zupki dawali – to było samo zdrowie. Mój lekarz zawsze mi mówił: – Zimna woda, świeże powietrze i dużo ruchu – to fundament zdrowia.

No, ale czy ja, czy inni mogliśmy sobie na to pozwolić. To miała tylko młodzież robotnicza i chłopska.

Teraz dla niej niewola i zguba, a jeszcze teraz na jakiś zlot do Warszawy posyłają paręset tysięcy młodych. Za naszych czasów ...takie okrucieństwo było nie do pomyślenia. Tak samo, żeby młody robotnik czy chłop został na przykład oficerem. Wszystko za nich sami robiliśmy. No, a z tym zlotem. Dawniej jak ze stu choćby tylko takich głupich młodzików się zleciało gdzieś na placu, na Bankowym, Grzybowskiem czy gdzie indziej, to zaraz policja im tłumaczyła, że mają się rozejść, a opornych brała na przeszkolenie do obozu w Berezie. Żeby nie przeszkadzali swobodnemu rozwojowi naszej młodzieży robotniczej i chłopskiej. Durnio mi pisze z Londynu, że Amerykanie gotowi są przywrócić tutaj dawne prawa i szczęście naszej młodzieży. Durnio zawsze był idealistą. Ja jestem tutaj i widzę, co się dzieje. Ta nasza młodzież jest stracona. Odpisałem mu, żeby się z Amerykanami nie fatygował, bo naprawdę szkoda tak drogich wysiłków, żeby szły na marne<sup>281</sup>.

<sup>281</sup> J. Szeląg, *Były czasy...*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), dz. cyt., s. 36–42.

**Przykład 207. Jerzy Waldorff – *Obywatel specjalista* (1952?)**

– Mówisz, Wiewiór, że jedzie?

– Przecież słysząc.

Rzeczywiście od szosy, już z pobliza bramy wjazdowej, dobiegał klekot kopyt końskich po asfalcie. Potem to umilkło – bryczka musiała wjechać do alei parkowej.

Na ganku dawnego dworu, w którym obecnie była szkoła i świetlica spółdzielni, chłopi zgromadzili się, żeby powitać gościa. Pierwszy stał przewodniczący, Konieczny, a tuż za nim młodzi z ZMP.

Teraz bryczkę już było widać. Wytoczyła się z zadrzewionej alei i brała zakręt wokół trawnika. Specjalista siedział za powożącym Władkiem i z daleka machał w stronę ganku pęczkiem kwiatów.

– Bywajcie, bywajcie! – wołał.

Bryczka stanęła. Podczas gdy Specjalista wysiadał, chłopi przyglądali mu się ciekawie. Robił odpowiedzialne wrażenie: choć młody, był poważnie wyblakły, nosił okulary i miał początki łysiny.

Konieczny przyjmował gościa.

– Witajcie w naszym Zarzeczcu! Jak wam minęła droga?

– Kielo telo – odparł Specjalista, po czym dodał: – A co tam u was? Cielita się?...

Konieczny z żoną wymienili zaniepokojone spojrzenia. Zarzeczce było jedną z wiejskich spółdzielni produkcyjnych na Dolnym Śląsku, na terenach nawiedzonych przez stonkę ziemniaczaną. W zeszłym roku zdawało się, że szkodnik został już wytępiony, lecz w tym pojawił się na nowo. A tak się złożyło, iż jakoś równocześnie Władek, syn Koniecznego, dowiedział się, że wojewódzkie zarządy ZMP kierują w teren instruktorów z odczytami na aktualne tematy. Władek był aktywistą koła ZMP w Zarzeczcu, więc zaprojektował wysłanie listu z prośbą o instruktora-specjalistę od walki z upartą stonką. Właśnie wskutek tego listu zarzeczanie zgromadzili się dzisiejszej niedzieli po południu w swej świetlicy.

Specjalista wydobył już z teczki tekst odczytu. Ludzie rozsiedli się po ławkach. Porządku wśród młodych pilnowali Władek i jego przyjaciel, zetempowiec – żwawy, wesoły chłopak, przezywany dla swych rudych włosów „Wiewiorem”.

Od mównicy rozległo się stukanie ołówkiem o szklankę. Wszyscy umilkli. Specjalista poprawił okulary na nosie, chrząknął i zaczął: – Moiściewy obywateli! Bojowym zadaniem chwili jest – nie mylić! Wasze ludowe przysłowie uczy nas o tym, że „zamienił stryjek na siekierkę kijek”, co było dla stryjka transakcją wyraźnie niekorzystną. Dlatego najważniejsze jest, żebyście nie mylili ston-

ki ziemniaczanej z jelonkiem, który zwany jest naukowo „*lucenus cervus*” i ma długości 6 cm, do czego należy doliczyć u samców żuwaczki długości 2,5 cm. Juścić głupi byłby i ten, co by pomylił stonkę z grupą żuków, czyli „*scarabeidae*”. W tej grupie najbardziej znane są gnojówce – „*geotrupidinae*”. Dlatego wnoszę, abyśmy powzięli rezolucję, że w ramach unowocześnienia środków produkcyjnych będziemy od dziś nazywali gnojówki – geotrupidinami. Kto jest za? Kto jest przeciw?...

Chłopi siedzieli, nic nie rozumiejąc, ale nie tracili nadziei, że z odczytu Specjalisty coś jednak później wyniknie.

Specjalista umilkł na chwilę, nalał sobie wody z karafki, wypił i ciągnął dalej: – Jeśli chodzi o gnojówce, to któż z nas nie zna „poświętnika czczonego”? Zlatują się one gromadnie gdy tylko odkryją gdzieś kupkę nawozu. Oddzielają następnie mniejsze cząstki tegoż i urabiają z nich kule, które niezwłocznie transportują w pewne miejsca. Poświętnik czczony, czyli „*scarabeus sacer*”...

Tymczasem Władek i Wiewiór wymknęli się ze świetlicy na ganek. Władek był aż błądliwy ze złości i z rozpacz.

– Kogo oni przysłali?! – pienieł się. – Toż to jakiś idiota! Wsi nigdy na oczy nie widział czy co? Cóż nam pomoże w walce ze stonką jego „naukowe” gadanie?... I to ja będę musiał za niego świecić oczami przed całym Zarzeczem! Powinniście wyrzucić mnie z ZMP...

Wiewiór, po swoim, brał sprawę od strony komicznej.

– A cóż ty jesteś winien? – śmiał się. – Nie ty przysłałeś tego łukanusa cerwusa.

Wsadził rękę w kieszenie, począł gwizdać, a potem nagle zachichotał, złapał Władka za ramię i powiedział: – Wracaj do świetlicy i zostaw to mnie. Biorę na siebie, że za pięć minut będzie już po tym, psia jego nędza, odczycie!

W świetlicy panował nastrój senności. Już nikt nie wierzył, żeby z gadaniny chuderlawego wyskrobka miała wypaść jakaś korzyść dla Zarzeczca. Konieczny i inni mężczyźni siedzieli coraz bardziej nachmurzeni. Starsze kobiety jawnie spały, a Specjalista plótt swoje.

– Trzeba także bardzo uważać, żeby nie pomylić ze stonką ziemniaczaną blisko spokrewnionego chrabąszcza majowego – „*melolontha vulgaris*”.

W tej chwili staruszka, która siedziała w kącie z wnukiem, zachrapała tak gwałtownie, że mały zleciał z ławki. To ożywiło nieco zebranych, lecz nie stropiło Specjalisty.

– Obywatele – upomniał – do dyskusji będziecie się mogli zapisywać dopiero po referacie. Co zaś tyczy się chrabąszczów, to samce różnią się od samic wielkością maczużki czułków.

Trudno było słuchać tego dalej spokojnie. Władek kręcił się na swym miejscu, aż w końcu wybuchnął: – Może byście jednak coś powiedzieli o stonce ziemniaczanej?!...

Specjalista poczuł się obrażony.

– Obywatelu kolego! – zwrócił się do Władka, poprawiając okulary. – Wykazaliście, że nie znacie się na metodologii wykładu. Skoro jednak koniecznie chcecie, to mogę drogą skrótów... Zaczął grzebać w papierach.

– Stonka ziemniaczana... ma cztery nogi i ogon. Przepraszam! Omyliłem się... To dla innej wsi, pogadanka o koniu.

Zebrani w świetlicy gruchnęli śmiechem, ale Specjalista postanowił się nie dać. Znalazł odpowiednie zapiski i podniósł je szybko do oczu.

– Stonka żeruje nie tylko na kartoflach, lecz i na chwastach z rodziny psiankowatych, a te oczywiście wszyscy dobrze znamy, więc je pomijam... Pochodzi z Ameryki, ze stanu Colorado – 1 100 000 mieszkańców, znad rzeki Colorado – 1 300 km długości...

Drzwi świetlicy otworzyły się nagle. Ukazała się w nich ryża głowa Wiewióra.

– Musimy przerwać odczyt! – krzyknął. – Kury się wyroiły!...

Między ławkami zakotłowało się radośnie. Wszyscy powstali z miejsc i jeden przez drugiego, byle prędzej, wypadli do parku.

W pustej sali został Konieczny, Władek, Wiewiór i Specjalista. Konieczny i dwaj chłopcy dusili się ze śmiechu. Specjalista był nadal rzeczowy.

– O kurach też mam odczyt – zwrócił się do Koniecznego. – Skoro zapędzicie je do... tego...

– Do ula – podpowiedział Wiewiór.

– ... to będę mógł ten odczyt wygłosić.

– Chyba innym razem – przeciął Konieczny. – Władek, zaprzęgaj konie!

Specjalista siedał już do bryczki, gdy zza węgła dworu wybiegł Wiewiór niosąc coś na zielonym liściu.

– To dla was, na pamiątkę – podał liść odjeżdżającemu.

– Jaka śliczna boża krówka! – ucieszył się Specjalista. – Ale dlaczego nie w kropki, tylko w paski?

– Bo to jest właśnie – powiedział zimno Konieczny – stonka ziemniaczana.

\* \* \*

Jakie były dalsze losy Zarzeczca? Czy w skutkach bezsensownego odczytu kartofliska tej spółdzielni produkcyjnej zostały wyniszczone przez stonkę? – Oczywiście, że nie!

Władek był chłopcem niełatwo dającym za wygraną. Już nazajutrz rano pognął na rowerze do miasta i wrócił z kilkoma broszurami uczącymi najnowszych sposobów tępienia niebezpiecznego chrząszcza. Po dwóch dniach, wieczorem, odbył się następny odczyt w Zarzeczcu. Tym razem prelegentem był Władek. Ten drugi odczyt dał jak najlepsze praktycznie wyniki. Pracownicy wiejskiej spółdzielni produkcyjnej Zarzeczce, z miejscowym kołem ZMP na czele, ruszyli – dobrze przygotowani – do walki ze stonką ziemniaczaną i zwalczają ją coraz skuteczniej.

Na pewno i instruktorzy terenowi, wysyłani przez zarządy oddziałowe ZMP, będą wszyscy w przyszłości dobrze obeznani z terenem i jego potrzebami, nie tak, jak opisany przez nas specjalista. Może się jednak zdarzyć, że jeszcze raz czy dwa spotkacie się z nim w którejś wiejskiej świetlicy. Stanie na mównicy, poprawi okulary, rozłoży przed sobą maszynopis odczytu i zacznie tak: „Krowa tym się różni od konia, że u góry ma rogi, a u dołu wymiona, czyli – prymitywne narzędzia produkcji nabiału, które musimy zmechanizować”.

Jeżeli usłyszycie powyższe, pokażcie Specjaliście żywą krowę, a potem – drzwi<sup>282</sup>.

### **Przykład 208. Witold Zechenter – *Lekcja historii* (1952?)**

- Jak się masz, Henryczku! Skądże to wracasz taki opalony?
  - Byłem na pięknej wycieczce.
  - Tak? A gdzie to?
  - Byłem na Sępiej Górze. Zwiedzałem wspaniałe ruiny tamtejsze.
  - Nigdy tam nie byłem. Opowiedzże mi w paru słowach...
  - Bardzo chętnie. Otóż na Sępiej Górze wznosi się zamek – jeden z najdawniejszych zabytków w naszym kraju. Dzisiaj są z niego tylko ruiny, ale jeszcze nieźle zachowana jest jedna baszta, brama wjazdowa, części murów wewnętrznych, resztki ozdób ściennych, jakieś posągi, rzeźby... Wszystko to przywodzi na myśl dawne, bardzo dawne lata...
  - Więc byłeś tam na takiej małej lekcji historii?
  - O, tak!... I wiesz, czego się tam dowiedziałem?
  - Opowiadaj!
  - Otóż dowiedziałem się w ruinach historycznego zamku, że Karol Kupkiewicz, słuchacz geologii, kocha Zosi, polonistkę, i ma serce przebite strzałą. Takie serce, takąż strzałą przebite ma G.R. z Brzeska, i to już od roku 1948, z wyjaśnieniem, że dlatego przebite strzałą, iż za mocno ukochało. Jadwiga K.

<sup>282</sup> J. Waldorff, *Obywatel specjalista*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), dz. cyt., s. 70–76.

marzy o Ryszardzie, który zdradza ją jednak ze wstrętną blondynką-farmaceutką. 12 września 1949 roku zwiedzała ruiny wycieczka szkolna z Pcimia w osobach Józefa Buby, Jana Listewki, Józefa Grabskiego, Józefa Przebyłego oraz pozostałych również historycznych 12 osób, które uwidoczniły się jedynie w inicjałach.

„O, jak tu pięknie dusza ulatuje, bo dawne wieki w swoim wnętrzu czuje!” – oto utwór Mariana Przedłuckiego z Krakowa. Inny utwór literacki stworzyła Katarzyna Kólkiewiczówna z Chrzanowa: „Luby, pójdz ze mną w te stare ruiny poznać przeszłości zalety i winy!”. Skromne wiadomości o sobie pozostawili uczniowie szkoły zawodowej z Pacanowa: Adam Fraczek i Jan Bazgralski, oświadczając jedynie: „Byliśmy i podziwiali dnia 8 czerwca 1950”. „Orłem wylatuj!” – radzi Marianna F. „Miej serce i patrzaj w serce!” – przypomina bez oczywistej potrzeby słowa wieszczka Karol H., uczeń klasy X z Katowic. „Tu byliśmy szczęśliwi” – oświadczają Jan i Magdalena z Bochni. I jeszcze 15 serc przebitych 15 strzałami, i jeszcze 124 inicjały, i jeszcze...

– Przestań, na litość! Cóż to wszystko znaczy?!

– Powiedziałem ci: lekcja historii... Tego wszystkiego dowiedziałem się z ruin zabytkowego zamczyska na Sępiej Górze. Całe bowiem ruiny pokryte są takimi i wieloma innymi napisami... Pojedź tam, jeżeli i ty pragniesz nauczyć się pewnych szczegółów z naszej historii. Współczesnej!!

(P.S. Gdyby ktoś chciał wyszukać Sępią Górę i jej ruiny, może w tym przedsięwzięciu być mu pomocna uwaga, że ruiny sępiogórskie znajdują się wszędzie w naszym kraju, gdzie tylko można się... podpisać...) <sup>283</sup>.

### **Przykład 209. Julian Tuwim – *Przebłycki genialności i definicje.* Fragmenty aforyzmów własnych, zasłyszanych i tłumaczonych (przed 1953?)**

Człowiek, który nie był w szkole, nic się nie uczył, nic nie czytał: idiota na własną rękę <sup>284</sup>.

Wykształcenie – to, co mądrymu pokazuje, jak mało umie, głupiemu zaś daje złudzenia, że umie dużo <sup>285</sup>.

<sup>283</sup> W. Zechenter, *Lekcja historii*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), dz. cyt., s. 146–148.

<sup>284</sup> J. Tuwim, *Przebłycki genialności i definicje*, [w:] tegoż, *Cyganka...*, dz. cyt., s. 75.

<sup>285</sup> Tamże, s. 87.



**Przykład 210. Wiesław Leon Brudziński –  
*Słów kilka o chowaniu dzieci* (1953)**

Zdzisio

- Zdzisiu, idź się bawić do ogródka!
- Ale ty, kochanie, powinnaś iść z dzieckiem, aby na nie uważać.
- A ja sądzę, że dziecku trzeba dać jak najwięcej swobody.
- Moim zdaniem należy roztoczyć nad nim kontrolę.
- Nie masz racji, swoboda wychowa go najlepiej.
- Kontrola uchroni go od nieszczęść i wypadków.
- Głupiś z tą twoją kontrolą!
- A ty masz fioła na punkcie tej twojej swobody.
- Żebym ja ci nie pokazała, kto ma fioła, ty chamie!
- Żebym ja ci nie wybił tego chama z głowy!
- Spróbuj mnie dotknąć, to ci oczy wy drapię! Tylko swoboda zapewni dziecku pogodę i radość życia. Czego płaczesz, ty pocieszko nasza najmiłsza?!

Janek

Mamusia Janka jest osobą delikatną.

- Mamusiu, niech babcia da mi kawałek chleba! Żreć mi się chce!
- Jak ty się wyrażasz, Janeczku, mówi się „jeść”, nie „żreć”.
- No to chce mi się jeść. Dawaj już prędko, baburo!
- Nie „dawaj”, tylko „proszę”, Janeczku! Nie mówi się tak do babci.
- Babciu, proszę, tylko prędko, bo dam babci w łeb!
- Jak ty się wyrażasz, Janeczku, nie „w łeb”, tylko „w główkę”!

Józik

- Gdzie jest ten łobuz, dlaczego hałasuje?
- Kiedy Józik wcale nie hałasuje.
- No, oczywiście, zaszył się gdzieś w kącie i siedzi jak mumia. Nic życia w tym dziecku.
- Józeczku, nie denerwuj ojca, idź na spacer.
- Dokąd idziesz, Józik?
- Na spacer, tatusiu.
- A dlaczego nie pytasz się ojca?
- Mamusia mi kazała.
- Ojca powinieneś pytać, rozumiesz! Cóż to, ja już w tym diabelskim domu nie mam nic do powiedzenia?! To skandal, jak tu się mnie traktuje! Oczywiście taka gęś jak ty nie potrafi wychować dziecka w atmosferze szacunku dla ojca.

Ojciec to rzecz święta. Zabieraj tego nicponia z moich oczu! Józik! Dlaczego bijesz mamę? Mamusię trzeba szanować! Ty łotrze, rękę podniosłeś na matkę?! Co z ciebie wyrośnie! Gdzie jest mój pas?

Franio

– Jak tak będziesz dalej postępował, to wyrośniesz na takiego bęcwała jak ten łajdaczyzna twój ojciec. Mnie tylko zawdzięcza, że go, lenia, jeszcze z biura nie wyleli. Wiedzą, że ma na utrzymaniu żonę i dziecko, więc jakoś go tolerują. No, już, marsz na spacer! Pożegnaj się z ojcem. Słyszysz? Pocałuj ojca w rękę, jaki on tam jest, ale zawsze ojciec. Ojca należy szanować, przykazanie boskie tak nakazuje. No, pocałuj ojca! Ugryź, naprawdę ugryź! Wdał się w tatę! Co z tego dziecka wyrośnie?!

Joanna

Joanna stoi przed radiem i słucha. Joanna ma trzy latka i wielkie, wielkie, smutne oczy.

– Mamusiu, ja bym też tak śpiewała, ale nie umiem wejść do radia.

– Znowu to dziecko opowiada jakieś niestworzone bajdy. Bóg nas pokarał jakimś nienormalnym stworzeniem!

Joanna nie mówi nic więcej, tylko jej wielkie oczy robią się jeszcze smutniejsze.

Wieczorem mamusia znalazła na poduszce Joanny narcyzy wyjęte z wazonu. Cała poduszka nasiąkła zielonkawą wodą.

Joanna ma łzy w dużych oczach.

– Kwiatki bardzo się zmęczyły, stały przez cały dzień w wazonie, więc je położyłam do łóżeczka, mamusiu.

– Nie, przecież z tego dziecka wyrośnie jakaś wariatka! Śpij mi w tej chwili! Klaps! Kwiaty, zgarnięte energiczną ręką, wędrują łukiem do kosza na śmieci.

Joanna zasypia. Jej plecki wstrząsa szloch. Joanna ma na szczęście bardzo rozsądnych, trzeźwych rodziców.

Genio

– Od kogo dostałeś te cukierki? Kupiłeś? Nie kłam! Zostań tu chwilę z mamą, telefon dzwoni. Halo, tak, tutaj Byczewski. Nie, niestety, nie mogę.

Bardzo się źle czuję. Po prostu jestem chory. Tak. Do widzenia. Pytasz, kto dzwonił? Ten idiota Kowalik. Znowu jakieś zebranie. Mam już po uszy tego wszystkiego. Nie mają innego prelegenta? No, więc od kogo dostałeś te cukierki? Nieprawda! Nie kupiłeś ich! Nie miałeś zresztą pieniędzy. Cóż to za kłamca

z tego dziecka! I skąd on się tego nauczył? Marysiu, kochanie, trzeba koniecznie zwrócić uwagę na to, z kim Genio się bawi!

Mareczek

- Haniu, Mareczek wbija gwoździe w fortepian.
- Mój Mareczek, jaki on dowcipny, będzie z niego muzyk. Czym ty będziesz,

Mareczku?

- Rzeźnikiem.
- A dlaczego, Mareczku?
- Bo wtedy ciebie i babcię zarżnę.
- Jakie to dowcipne dziecko, jakie ono ma pomysły! Słyszała mama, co on

powiedział?

- Haniu, Mareczek włożył na żyrandol.
- Akrobata! Zupełny akrobata! Chodź, mamusia cię zdejmie. Jakie to dziecko ma zdolności! Niech się bawi, mamó, niech się rozwija, nie trzeba mu zabraniać, tyle jego, co w dzieciństwie, a potem ciężka praca.

– Haniu, Mareczek wzięł zapałki.

– Kochany, zawsze coś nowego wymyśli. Kiedy o tym dziecku myślę, to mi się na łzy zbiera, tak mnie ono potrafi rozczulić. Aż mnie w oczach piecze z rozrzewnienia.

– To nie z rozrzewnienia, Haniu, tylko od dymu.

Mareczek podpalił bibliotekę.

Jeszcze jeden sposób

Jest wiele sposobów chowania dzieci. Niektórzy uważają, że aby dzieci nie przeszkadzały na przykład w czasie wizyty gości, należy je chować do szafy albo zamykać w łazience. I ta metoda chowania dzieci nie wydaje mi się najwłaściwsza.

Tak chowają dzieci fajtlapy i niezguły. A tymczasem dzieci należy wychowywać energicznie, w karności, posłuchu i szacunku dla starszych.

Na tym niestety muszę kończyć, bo Wojtuś odbiera mi pióro, które potrzebne mu jest do rysowania po ścianach, a Krysia wyrwała mi z ręki papier, aby zrobić z niego latawca<sup>286</sup>.

---

<sup>286</sup> W.L. Brudziński, *Słów kilka o chowaniu dzieci*, [w:] tegoż, *Po nosie*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953, s. 79–83.

**Przykład 211. Wiesław Leon Brudziński – *Słaba pamięć.*  
*Scenka według G. Horvatha (1953?)***

Osoby: Referent kulturalno-oświatowy; Kaliniak.

Referent: Cóż, kolego, idziecie na szkolenie? Możemy pójść razem.

Kaliniak: Na szkolenie? Eee... nie mogę, kolego, nie mogę. To nie dla mnie. W zeszłym roku też się uczyłem, uczyłem, a nic mi do głowy nie szło. Widzicie, ja mam słabą pamięć. Bardzo słabą pamięć – od razu wszystko zapominam.

Referent: Widocznie nie macie dobrej metody uczenia się.

Kaliniak: Metoda nic nie pomoże. Ja już rozmaicie próbowałem. Chodziłem przy czytaniu, robiłem notatki... na nic – na seminarium nic nie pamiętałem. Moja pamięć jest zupełnie do niczego.

Referent: Możebyście spróbowali uczyć się na głos.

Kaliniak: Próbowałem. Czytałem na głos pięć razy, dziesięć, trzydzieści. Nic nie pomogło. Mój synek nauczył się tekstu na pamięć, a mnie nic nie pozostało w głowie.

Referent: A możebyście...

Kaliniak: Nie, nie, nic mi nie mówcie. Ja nawet kładłem skrypt na noc pod poduszkę i też nie pomogło. Rano nic nie umiałem. Nic na to nie poradzę, mam od urodzenia słabą pamięć. Wybaczcie, ale na szkolenie nie pójde, nawet mnie nie przekonujcie, szkoda słów. A teraz bardzo was przepraszam, ale się śpieszę. Za dwadzieścia minut ma być w radio transmisja z zawodów. Chciałbym jak najprędzej dostać się do domu.

Referent: To wy się interesujecie sportem?

Kaliniak: I to jak jeszcze. Podczas olimpiady na przykład nie opuściłem ani jednej transmisji. Żona i dzieci musiały chodzić przez czternaście dni na bosaka, aby nie robić hałasu. A jak Graj zrobił na pięć kilometrów znakomity czas 14,30, to z radości strąciłem kryształowy wazon, który w 1947 roku kupiłem za ówczesne dwa tysiące trzydzieści cztery złote.

Referent: O ile pamiętam, to Graj przebiegł pięć kilometrów w czternaście minut czterdzieści sekund...

Kaliniak: Bzdura. 14,33 miał Noji w Berlinie w 1936 roku, a 14,24 pobiegł w 1939 roku w Finlandii Kusociński.

Referent: I wy to wszystko pamiętacie?

Kaliniak: Jeszcze się pytacie? Co chcecie wiedzieć? Mam wam powiedzieć, kto wygrał na olimpiadzie bieg na sto metrów mężczyzn? Remigio, czas 10,4 sekundy. A rekord olimpijski ma Owens – 10,2. W dysku kobiet pierwsza była Romaszkowa 51,47 m...

Referent: Nadzwyczajne, nadzwyczajne. Musieliście włożyć w to wiele wysiłku, aby to wszystko zapamiętać.

Kaliniak: Ja? Ale skąd. Raz przeczytam i już nigdy nie zapomnę.

Referent: Ciekawe. A czy to nie wy mówiliście przed chwilą, że macie słabą pamięć, która nie pozwala na samokształcenie?

Kaliniak: Co? Ja mówiłem?... Aha... No, patrzcie, sami widzicie, jaką mam kiepską pamięć. Zupełnie zapomniałem, co mówiłem przed chwilą<sup>287</sup>.

### **Przykład 212. Wiesław Leon Brudziński, Antoni Marianowicz – *Wywiad z Bartkiem (1953)***

*(Rzecz dzieje się w rozgłośni radiowej „Głosu Ameryki”)*

Spiker: Słyszycie „Głos Ameryki”. W audycji dla rolników usłyszycie dzisiaj wywiad z Bartkiem. Bartek, którego nazwisko ze zrozumiałych względów musi pozostać tajemnicą, przemknął się przez szparę w żelaznej kurtynie i wylądował w pewnej miejscowości na gościnnej ziemi Waszyngtona i Dullesa, której swobody demokratyczne znamy wszyscy, co także ze zrozumiałych względów musi pozostać tajemnicą.

Kiedy wpatrujemy się w czerstwą jak bochen razowego chleba twarz tego wieśniaka, okoloną sumiastą strzechą wąsów, spod których wyglądają szczerze oczy małorolnego Piasta Kołodzieja, kiedy widzimy tę wytartą sukmanę i te parciane portki, rozumiemy, ile wycierpieć musiało jego wierne, do ostatniego tchu bijące tam dla ojczyzny serce. Panie Bartku, prosimy najpierw o kilka słów o sobie.

*(Do mikrofonu zbliża się wytwornie odziany jegomość z monoklem).*

Bartek: Jestem, psiajucha, małorolnym chłopem, rozparcelowanym, psiajucha, po wojnie przez krwawy ucisk reżymu w okolicach Lublina. Wybacz pan, że będę mówił nie swoim głosem, ale chcę ustrzec od prześladowania moją rodzinę, która została w Polsce.

Spiker: Oto do jakich poświęceń zdolni są Polacy na emigracji dla swych rodzin w kraju. Panie Bartku, komuniści utrzymują, że na wsi jest teraz lepiej niż przed wojną. Co pan może o tym powiedzieć?

Bartek: Wszystko to jest propaganda. Nigdy nie wiodło nam się tak dobrze jak przed wojną, wciurności! Jakże szczęśliwe były te sielskie czasy, do dziś wspomniane przez nas z rozrzewnieniem. A teraz wszystko chłopu zabierają, wszystko kasują. Nawet miarki i odsypy, i to skasowali. A współzycie z naszym

<sup>287</sup> Tenże (oprac.), „*Słaba pamięć*”. *Scenka według G. Horvatha*, [w:] Z. Wiktorczyk (oprac.), *Bez retuszu. Portrety satyryczne*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953, s. 25–27.

ukochanym dworem? Tego wspomnienia do dziś nie mogą wydrzeć chłopu komuniści. Zawsze będzie on mówił do żony: „Wynieś pomyje na dwór!”, a nie „na PGR”. Nie ma to, jak drzewiej bywało! Jaśnie panienki z dworu uczyły czytać, pisać i pomywać lniane główki w zgrzebnych koszulinach, a z dobrą panią dziewczką nieraz łamaliśmy się opłotkiem na przypiecku. Dwór bezinteresownie pomagał wsi i kiedy czego nie dojedzono, zawsze dawaliśmy, to jest zawsze dostawaliśmy najlepsze kąski z pańskiego stołu... A dzisiaj? Nędza doszła do tego stopnia, że chłopci, zgnębieni kontraktacją, dają świniom to, co przed wojną sami zjadali. Oto, do czego doprowadziły wieś pepeery i pegeery.

Spiker: Panie Bartku, reżymowe gazety piszą tyle o sojuszu wsi z miastem. Jak to wygląda naprawdę?

Bartek: Bujda, i tyła. O, *pardon*, ale mnie poniosła ludowa krzepa... Dawniej, gdy chłop przyjechał do stolicy, jakież otwierały się przed nim perspektywy. Mógł kupić tramwaj, most Poniatowskiego, kolumnę Zygmunta. A dzisiaj? Oprowadzają chłopów po Trasie W-Z, ale czy któremu sprzedano by tę Trasę? Nigdy! Znikają tradycje naszej ukochanej stolicy...

Spiker: Komuniści mówią wiele o walce klas na wsi. Czy istnieje rzeczywistość na wsi podział klasowy?

Bartek: Adyć skąd, *mon Dieu!* Nigdy nie było na wsi żadnego podziału klasowego. Bogatszych gospodarzy zawsze otaczano miłością i szacunkiem. Przed wojną ubożsi chłopci zgodnie pracowali u bogatszych gospodarzy, i to bezinteresownie, bo prawie nic za to nie dostawali.

Spiker: Panie Bartku, jeszcze tylko jedno pytanie: co pan, jako małorolny chłop, sądzi o kołchozach?

Bartek: Paskudztwo, i tyła. Choćby te wspólne garnki. Jak można, żeby wszyscy jedli to samo. Jeden przecież lubi *filet aux champignons*, drugi kotlet *de volaille*, a trzeci *vol-au-vent, sauce tomate*. Ja, na przykład, do ust nie wezmę pasztetu sztrasburskiego z truflami albo zupy neapolitańskiej z profitrolkami, psiamać. A baby miały być wspólne – i nie ma. Oszukaństwo, i tyła.

Spiker: Dziękujemy panu, panie Bartku, za tych kilka nieuczonych słów płynących z serca i na pociechę rzucamy gromkie: „Bartoszu, nie traćwa nadziei”.

Bartek: *Merci*. Bądźcie zdrowi.

Spiker: Słyszycie „Głos Ameryki”. „Głos Ameryki” przemawia do Polaków na całym świecie. A teraz w audycji „Razem, młodzi przyjaciele” nieletni skaut polski przemówi do młodzieży w kraju. Kiedy patrzymy na to smukłe pachole o lnianych włosach i otwartym spojrzeniu chabrowych oczu, w krótkich spodenkach, ogarnia nas żal, że cała młodzież polska nie może tak wyglądać. Proszę, moje dziecko, nie bój się, mów śmiało, niech twoi koledzy w Polsce, siedzący na ławach, usłyszą głos prawdy z niewinnych ust, nie skalanych kłamstwem.

Bartek (*zmieniając głos*): Młodzieży polska, pędzona przez siepaczy do internatów, szkół i uniwersytetów, gnana w lochy i kazamaty tak zwanych Pałaców Młodzieży i zmuszana do reżymowych zabaw i tańców, wierzaj mi, że tu byś była najzupełniej wolna od tych trosk. Niech mój młodzieńczy głosik przyłączy się do ogólnego chóru sławiącego swobody tej krainy i jej sprawiedliwych i rzetelnych władców...<sup>288</sup>

### **Przykład 213. Bogdan Brzeziński – *Elementarz amerykański* (1953)**

*W USA wydano urzędowy elementarz, który w ten sposób uczy dzieci alfabetu: „A – jak atom, B – jak bomba...” – i tak dalej, w duchu hysterii wojennej. (Z prasy).*

Johnny czyta: A – jak atom,  
Johnny czyta: B – jak bomba,  
Będzie z malca duży matoł,  
C – jak cymbał, T – jak trąba!

Będzie z ciebie duży zbrodniarz,  
Jeśli, Johnny, zapamiętasz,  
Czego uczy cię zachodnia  
Szkoła – oraz elementarz!

A – jak atom, B – jak bomba,  
D – jak dolar, R – jak rasizm...  
I z sokoła zrobią głąba,  
Co pokocha łatwo faszysz!

A to właśnie idzie o to,  
Żebyś był bez piątej kleпки!  
O – jak o'key, Z – jak złoto,  
Masz być głupi, ale krzepki!

<sup>288</sup> W.L. Brudziński, A. Marianowicz, *Wywiad z Bartkiem*, [w:] W. L. Brudziński, *Po nosie*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953, s. 115–118. Por. W.L. Brudziński, A. Marianowicz, *Wywiad z Bartkiem*, [w:] A. Marianowicz (oprac.), *Estrada satyryczna. Wybór tekstów estradowych z lat 1945–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955, s. 9–13; W.L. Brudziński, A. Marianowicz, *Wywiad z Bartkiem*, [w:] A. Marianowicz (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1956*, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, Warszawa 1956, s. 218–221.

Wall Street chytrze małe dzieci  
 Nienawiści uczyć każe:  
 Niech przykładem bomba świeci!  
 Po to są elementarze...

Gdy czytamy o tym w prasie,  
 Aż porywa nas pokusa,  
 By poprawić – jeszcze da się! –  
 Elementarz made in USA.

Pan wydawca niech zaznaczy  
 Dodatkowo na stronicach,  
 Że nikczemnych podżegaczy  
 Czeka S – jak szubienica!<sup>289</sup>

### **Przykład 214. Jan Brzechwa – *Ratujmy dzieci* (1953)**

Bywało sporo klęsk w naszym kraju:  
 więc klęska gradu, nieurodzaju,  
 ognia, posuchy, powodzi, głodu –  
 wie się coś o tym z dziejów narodu;  
 lecz nie pamięta nikt od stuleci  
 klęski tak lichych wierszy dla dzieci!  
 Biedne dziateczki! Nie ma ucieczki  
 od rymowanej bezładnej sieczki.  
 Coraz to więcej – w setkach tysięcy  
 mnoży się plaga wierszy dziecięcych  
 i jęk błagalny przez Polskę leci:  
 „Ratujmy dzieci! Ratujmy dzieci!”.

Powstał z pieniędzy ludu i Państwa  
 raj, proszę państwa, dla grafomaństwa,  
 nie chcą autorki i redaktorki  
 pamiętać tego, co mówił Gorki,  
 nie chcą pamiętać mądrych wytycznych,  
 humanistycznych, socjalistycznych,

<sup>289</sup> B. Brzeziński, *Elementarz amerykański*, [w:] tegoż, *Dla każdego coś ciętego*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953, s. 23–24.



tylko na jedno ciągle kopyto  
płodzą a płodzą wiersze-niby to,  
jak gdyby brakło kosztów do śmieci.  
„Ratujmy dzieci! Ratujmy dzieci!”

Płyną książeczki, płaczą dziateczki,  
nie chcą spożywać niestrawnej sieczki;  
czyliż się rozstać mają z nadzieją?  
Leją się strofki, leją a leją,  
zawsze klecone w sposób utarty:  
wiersz zrymowany drugi i czwarty. –  
No, a ten pierwszy? No, a ten trzeci?  
„Ratujmy dzieci! Ratujmy dzieci!”

Bierzemy utwór – cóż w nim widzimy?  
Są tam półrymy i niedorymy,  
rymy-poczwarki, rymy-wyskrobki,  
rymy-potworki i kozie bobki,  
ple-ple-rymiątka, psi-psi-rymeczeki:  
„poduszenieczi”, „gołębisieczi”,  
przy tym „aj” w środku, „oj” – na początku,  
coś z ludowego, jakoby, wątku.  
„Kogut” i „kura” – za rym obleci,  
bo „u” jest wspólne. Bo to dla dzieci.  
Hania i Mania, Frania i Wania  
to słowa zdatne do rymowania,  
rymów tych znaleźć można bez liku  
w każdym „Płomyczku”, w każdym „Świerszczyku”  
Ostatnio modna stała się „Nastka” –  
Nastka to także rymu namiastka.  
Nastka do Hani, Hania do Pieti...  
„Ratujmy dzieci! Ratujmy dzieci!”

Tak może pisać tylko macocha,  
osoba, która dzieci nie kocha.  
A dzieci myślą: „Czytać to? Po co?”.  
I zniechęcone – bawią się procą.  
Oto już tylko krok, proszę państwa,

od grafomaństwa do chuligaństwa –  
niech więc Oświatę wiersz mój oświeci.  
„Ratujmy dzieci! Ratujmy dzieci!”<sup>290</sup>

### **Przykład 215. Zofia Bystrzycka – *Elementarz* (1953)**

Każda rodzina posiada pewien procent cudownych dzieci, przynajmniej w przekonaniu najbliższego otoczenia.

Więc pewien ojciec miał takiego pięcioletniego synka, który zapalał żądzą wiedzy, czyli chciał zgłębić tajemnicę czytania i pisania. Ojciec ucieszył się bardzo, widząc w potomku przyszłego profesora Infelda lub Leona Kruczkowskiego schyłkowych lat dwudziestego stulecia i postanowił na razie kupić mu elementarz. Ponieważ ojciec mieszkał w Rutce, więc zaczął szukać w Częstochowie. Chodził po sklepach i pytał naiwnie: – Czy dostanę elementarz Falskiego?

Lecz trafiał na zdumione spojrzenia sprzedawców, zupełnie tak, jakby prosił o ostre żyłki polskiej produkcji. Zmobilizowano bliższych i dalszych krewnych do ekspedycji poznawczych po Częstochowie, lecz krewni wracali wieczorami okryci potem i kurzem, z przekrwionym od wypatrywania wzrokiem, wycieńczeni rzucali się łapczywie na jadło, ale żadnych wieści o elementarzach dostarczyć nie mogli.

Wobec tego ojciec postanowił kupić elementarz w Warszawie. Poprosił o to znajomych jeżdżących do stolicy kraju, w którym, jak wiadomo, toczy się walka z analfabetyzmem.

Znajomi nawet chętnie się zgodzili, ostatecznie taki sprawunek to drobiazg, a przyszły Infeld pisać i czytać nauczyć się ostatecznie powinien. Pełni nadziei pojechali znajomi do Warszawy, ale po powrocie nikt nie zjawił się u w/w ojca. Więc ojciec, przypominając im delikatnie obietnicę, podsunął zdrową myśl, żeby zapytano w CDD. Któryś z sąsiadów dał znać listownie, że w CDD odpowiedziano na jego pytanie pytaniem:

– Na wiosnę można kupić fiołki, świeżą rzodkiewkę, ale elementarz?!

– I popatrzone na niego z wyrozumiałością. Napisał o tym listownie, bo nie chciał się pokazać na oczy nieszczęśliwemu ojcu zdolnego dziecka. I w ogóle znajomi zaczęli go unikać. Na ulicy kłaniano się ojcu z daleka i z oryginalnym okrzykiem: – Strasznie się śpieszę na ważne i ciekawe zebranie, na które to czekam od dwóch tygodni z niecierpliwością! – uciekano w przeciwną stronę.

<sup>290</sup> J. Brzechwa, *Ratujmy dzieci*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia...*, dz. cyt., s. 31–33; tenże, *Ratujmy dzieci*, [w:] R.M. Groński, *Od Stańczyka do STSu. Satyra polska lat 1944–1956*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1974, s. 171–173.

Ojciec opuszczony przez przyjaciół zaczął chodzić na stację i tam łąpać znajomych, ale ci widząc, co się święci, brnąc w błocie wchodzili do pociągu od strony torów, włączając z wysiłkiem przez okna. W tej liczbie starcy i kobiety, ogarnięci paniką na myśl szukania elementarza w Warszawie.

Tak minął miesiąc. Dziecko z przyszłością uśmiechało się smutno i oglądało „Mały Expressik”. Pewnego wieczoru wyczerpany walką ojciec opadł bezsilnie na krzesło przy łóżku śpiącego synka.

Patrzył na pogrążoną we śnie twarzyczkę dziecka i w głowie rodziły mu się ponure myśli na temat losu dzieci w ogóle, a Domu Książki w szczególności. Wtem wzrok jego padł na zeszyt w zaciśniętej ręczce. Na zeszyt i na „Mały Expressik” w drugiej ręczce. Ojciec wyjął zeszyt i zdumiony zobaczył mozolnie wyrysowane drukowanymi literami z „Expressiku” słowa:

„Z tym elementarzem to wielka granda, zresztą już mi nie jest potrzebny!”<sup>291</sup>.

### **Przykład 216. Stefania Grodzieńska – *Pierwsze wiadomości* (1953)**

Przeczytałam w gazecie, że za tanie pieniądze można się nauczyć kierowania samochodem. Bo Polski Związek Motorowy uruchomił trzymiesięczne kursy dla kierowców. Człowiek przychodzi całkiem głupi, a po trzech miesiącach wychodzi jako samodzielny kierowca. Postanowiłam się zapisać, zwłaszcza że tak ograniczona osoba, jak Pipczakówna, która myli Grusa z Prusem, umie prowadzić samochód i jeszcze się chwali, że wszyscy kierowcy z daleka przed nią uciekają, taka jest znana w Warszawie.

Więc zaczęłam chodzić na te lekcje teoretyczne i aż mi się śmiać chce, bo niedawno jeszcze myślałam, że w gruncie rzeczy w podłodze samochodu są wycięte dla kierowcy dwie dziury na nogi i kiedy kierowca biegnie, to wóz się posuwa. Zastanawiało mnie tylko, jak to jest możliwe, żeby człowiek leciał na przykład sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wydawało mi się to jednak znacznie bardziej prawdopodobne niż taka bujda, że samochód sam jedzie. W końcu jednak uwierzyłam w to, a to na podstawie spostrzeżenia, że w podłodze samochodu nie ma dziur na nogi.

W ogóle podobno nie mam tak zwanej smykałki technicznej. Od chwili kiedy mój mąż sam naprawił korki (bez żadnej pomocy!) – zaczęłam na niego patrzeć z zabobonnym lękiem i od tego czasu już mu nigdy nie daję niedogotowanych kartofli.

---

<sup>291</sup> Z. Bystrzycka, *Elementarz*, [w:] tejsze, *Ładne kwiatki. Felietony satyryczne*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953, s. 114–115. Por. przykład 274.

Więc kiedy się zapisałam na te kursy dla kierowców, mąż, ten sam, który umie bez żadnej pomocy naprawić korki, zadał mi kilka pytań wstępnych, na które odpowiedziałam wyczerpująco: – Co to jest silnik?

- Mistrz w wadze ciężkiej.
- Co to jest cylinder?
- Nakrycie głowy, ale już się nie nosi.
- Tłok?
- W tramwaju.
- Kierownica?
- Cheptakiewiczowa.
- Dlaczego?
- Bo żona kierownika.
- Hamulec?
- Rodzaj chuligana.
- Łożysko?
- Duży tapczan.
- Karburator?
- Fryzjer.
- No to gaźnik?
- Pijak.
- Izolacja?
- Osobny pokój.
- Kabel?
- Ten, którego zabił brat Ain.
- Dynamo?
- Świetna drużyna moskiewska.
- Akumulator?
- System na wyścigach.
- Wysokie napięcie?
- Zawieszanie firanek.
- Karter?
- Nałogowy gracz w brydża.
- Chłodnica?
- Taka zupa.
- Piasta?
- Rzepicha.

Mój mąż, ten, który potrafi bez żadnej pomocy naprawić korki, westchnął i powiedział, że mam jednak pewne braki.

Być może. Nie będę się spierała z człowiekiem, który jest w stanie samodzielnie, bez najmniejszej pomocy naprawić korki. Pomimo to już po pierwszych dwóch lekcjach w szkole udaje mi się na pierwszy rzut oka odróżnić pedały od kierownicy. Wystarczy spojrzeć na kierowcę: to, na czym trzyma on nogi – to pedały. To, na czym nie trzyma nóg – to kierownica<sup>292</sup>.

### **Przykład 217. Stefania Grodzieńska – *Pozytywne niemowlęta.* Reportaż z terenu (1953)**

Wchodzimy do żłobka. Wita nas gwar dziecięcych głosików, uśmiechnięte pielęgniarki bawią wesołe niemowlęta. Żadne dziecko nie płacze, radość rozbrzmiewa dokoła.

Zwracamy się do dziecięcia, oblizującego właśnie nogę szmacianego marynarza: – Obywatelu niemowlaku, czy moglibyście opowiedzieć nam o waszym życiu, pracy i bolączkach?

– Chętnie – rzekło pogodnie niemowlę, uderzając nas w głowę szmacianym marynarzem – zapoznam was z zagadnieniami, związanymi z naszym terenem. Zacznę od omówienia wyników akcji społecznych. Do niedawna prawie wszyscy pozostawaliśmy w szponach nałogu: ssaliśmy palec. Podjęliśmy jednak szeroko zakrojoną walkę z tymi relikdami złego wychowania i oto część kolegów przestała się już na smoczek. Nieomal całkowicie ukręciliśmy chuligańskie wybryki, jak ciągnięcie pielęgniarek za włosy w czasie przewijania – gaworzył dalej informator, mając tłustą nóżką w powietrzu. – Wspomnę jeszcze o pożalowania godnym wypadku pogryzienia gumowego zajęczka przez nieopanowane elementy.

– Potworne – wydarł się z naszych piersi okrzyk zgrozy.

– Winni zostali przez nas surowo potępieni i w przemówieniach samokrytycznych przyrzekli odtąd gryźć wyłącznie palec własnej nogi.

– Jak przedstawiają się sprawy administracyjne?

– Bardzo dobrze. Przez jakiś czas kulała dystrybucja grzechotek. W tej chwili jednak każdy z nas dysponuje własnym instrumentem.

– Czy jesteście zadowoleni z wyników waszej pracy?

– Jak najbardziej – stwierdza nasz interlokutor, częstując nas smoczkiem.

– W ostatniej dekadzie zjedliśmy dwadzieścia dwa procent kaszki na mleku ponad plan.

– A jak wygląda akcja kulturalna?

---

<sup>292</sup> S. Grodzieńska, *Pierwsze wiadomości*, [w:] tejsze, *Dziesięć satyryka*, Czytelnik, Warszawa 1953, s. 69–72.

– Znakomicie.

Tu rozmówca nasz wskazał młodą kobietę w różowych śpioszkach, zajęta darcie okładki „Przekroju”.

– To nie wszystko – dodał z dumą, obracając się na brzusek. – Wczoraj jeden z kolegów zjadł artykuł wstępny z „Expressu”.

Dziękujemy za wyczerpujące informacje i wychodzimy ze żłobka podniesieni na duchu.

Napisawszy powyższy żart autor zwrócił się do kierownika działu satyry w jednym z pism.

– Niestety – rzekł redaktor po przeczytaniu – nie możemy tego drukować.

– Dlaczego?

– Rozumiem, że chcieliście dać satyrę na sztuczne, szablonowe, optymistyczne reportaże. Słusznie. To jedna z bolączek naszej prasy.

– No więc?

– Tak. Ja to rozumiem. Ale czytelnik? Pozytywny czytelnik pomyśli, że to kpiny z samokrytyki czy akcji społecznej. Reakcjonista będzie tryumfował, że u nas niemowlęta zmusza się do mówienia sloganów. Matki przestaną przynosić dzieci do żłobków, obawiając się, że tam dają do jedzenia artykuły wstępne. Nie. Dobrej roboty ten felieton nie zrobi.

Autor przeprosił i zabrał maszynopis.

– Chwileczkę! – zawołał redaktor. – A może byście, kolego, dostarczyli prawdziwy reportaż ze żłobka? O, coś takiego: „Wchodzimy do żłobka. Wita nas gwar dziecięcych głosików, uśmiechnięte pielęgniarki bawią wesole niemowlęta...” i tak dalej<sup>293</sup>.

### **Przykład 218. Anna Lechicka – *Historia autentyczna* (1953)**

Piliśmy herbatę i chrupaliśmy ciasteczka. Rozmowa toczyła się wokoło nowych gatunków chałwy i kłopotów z dziećmi.

– Najgorsze są te wielkie szkoły – powiedział wykwintny inżynier, znany z doskonałych manier i zalet towarzyskich. – Różny element chodzi i wpływa. Mój Stasiulek chodzi właśnie do takiej szkoły. Później tylko rodzice mają nieprzyjemności.

Bardzośmy się ożywili, bo chałwa była już omówiona dokładnie i rozmowa właśnie zaczynała zamierać.

<sup>293</sup> Taż, *Pozytywne niemowlęta*, [w:] tejsze, *Dziesięć...*, dz. cyt., s. 103–105. Por. taż, *Pozytywne niemowlęta*, [w:] tejsze, *Felietony i humoreski 1944–1954*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955, s. 139–142.

– Co ja miałem za kłopoty – mówił tatuś-inżynier. – Nie uwierzylibyście państwo. Historia nie z tej ziemi, jak mówi Stasiulek.

Przysunęliśmy się bliżej, a tatuś opowiadał: – Stasiulek to delikatne dziecko. Nieodpowiednie podejście może zwarzyć wrażliwą naturę. Dziecko jest przekorne, a nauczycielka często nietaktowna. Państwo wiecie – ci dzisiejsi nauczyciele... No i ostatnio mieliśmy mały konflikt. Stasiulek zaśpiewał piosenkę...

– Muzykalna natura – szepnęła pani Zofia tonem wahającym się pomiędzy zapytaniem a stwierdzeniem.

– Stasiulek nudził się na lekcji. On się zawsze nudzi, dla niego to za niski poziom. Państwo rozumiecie – te dzisiejsze szkoły... No, i zaśpiewał...

Tatuś wstał i odśpiewał z chłopięcym wdziękiem piosenkę zaczynającą się od słów: „Nie zaglądamy mi w rozporek...”.

– Nauczycielka się uniosła i kazała mu wyjść z klasy, wtedy dziecko też się zdenerwowało i powiedziało: „Mam cię w d..., ty stara k...”. Chryja się z tego zrobiła. W rezultacie wezwano mnie do szkoły. Nie lubię tego wzywania, bo wysłuchiwać trzeba narzekań, a wszystko przez to, że nie mają właściwego podejścia. Ale poszedłem. Szukam nauczycielki, czuję, że jestem zdenerwowany, wreszcie jest! No i co państwo powiecie? Dziecko ma instynkt. Mnie też się ta nauczycielka nie podobała...

– Szkoła narozrabiła – ciągnął tatuś po małej przerwie. – Wtrąciła się w to Dzielnicowa Rada Narodowa i ni mniej, ni więcej tylko chcieli oddać dziecko do szkoły z internatem. Zaprotestowałem energicznie. Stasiulek ma rodziców, otrzymuje staranne wychowanie nie po to, żeby się wykolejać w internatach.

– Nie na darmo mówili, że będą zabierać rodzicom dzieci – powiedziała ze zgrozą pani Zenobia.

– Nieprzyjemności, człowiek ma same nieprzyjemności – ciągnął tatuś, zasiadając wygodnie w głębokim fotelu. – Ledwie sprawa ucichła, znów wzywają mnie do szkoły. „Gdzie Stasiulek?” – pytają. „Jak to gdzie, w szkole, jak każdego ranka” – odpowiadam. A oni na to, że od trzech tygodni przeszli na popołudniowe godziny. To jest dziecko, co?! Trzy tygodnie wychodzi z tornistrem z domu, a w szkole się nie pokazuje. Fantazja! Ma to po pradziadku.

– I gdzież ta dziecina chodziła? – spytała pani domu.

– O to samo go pytałem. Przez pół godziny wołałem: „Gdzie byłeś?”. A on przez pół godziny odpowiadał: „W szkole”. Charakter! Zdenerwowałem się i mówię do niego: „To ja cię oddam w ręce milicji, niech cię milicja wychowuje. Ty wiesz, co milicjanci robią z małymi chłopcami, nie muszę ci jeszcze raz opowiadać...”.

– Biedne dziecko – westchnęła pani domu.

Wtedy się przyznał, że chodził z kolegami na bocznicę kolejowe. Kamyczkami rzucali w wagony... A pieniądze na ciastka to brał matce z torebki. I co z takim zrobić?

W głosie tatusia brzmiało zakłopotanie pomieszane z dumą.

– Niektórzy twierdzą, że powinienem go przenieść do innej szkoły, bo widocznie wpadł pod jakieś złe wpływy kolegów. Ale jakże dziecku robić taką przykrość? On tak się już tu przyzwyczył.

Przyznaliśmy tatusiowi rację. Po czym zmieniliśmy temat. Potoczyła się rozmowa o ostatnich wybrykach chuliganów<sup>294</sup>.

### **Przykład 219. Tadeusz Różewicz – *Rozgadał się* (1953)**

Świetlica przy Fabryce Nawozów Sztucznych w Gębach Wielkich jest dziś bogato udekorowana. Pod sufitem wiszą girlandy uwite z gałązek jodłowych i kwiatów, na lampach kołyszą się abażury z kolorowej bibułki. Świetlica przyjmuje dzisiaj dzieci z miejscowego przedszkola. Dla miłych gości, których wiek nie przekracza lat sześciu, kółko teatralne urządziło przedstawienie. Widownia jest niezwykle ożywiona. Scena szczelnie zasłonięta czerwoną kurtyną, w której jest kilka niewielkich otworów. Tymi otworami patrzą na widownię zdenerwowani i niecierpliwi zazwyczaj aktorzy. Gwar na widowni jest tak wielki jak w sklepie ptasznika albo na drzewku, które obsiadło stado wróbli. Zgiełk rośnie i rośnie, jak wysoka fala, i tylko głosy wychowawczyń mogą wpłynąć na jego opadnięcie. Pod ścianami sali, tak żeby nie zasłaniać dzieciom widoku, siedzą zaproszeni dorośli goście.

Przed kurtynę wychodzi mężczyzna w ciemnym garniturze, starannie uczesany, zaciera ręce, spogląda z bezradnym uśmiechem na rozkołysaną widownię. Lecz już morze ucisza się.

– Dzieci, cicho, ten pan chce wam coś powiedzieć.

– A gdzie jest wilk, proszę pani? Gdzie jest las?

– Wilk będzie później – mówi wychowawczyni.

Teraz mężczyzna kłania się w stronę siedzących pod ścianą gości, chrząka, zaczyna mówić: – Drodzy goście, jako kierownik świetlicy przy Fabryce Nawozów Sztucznych, pozwolę sobie przywitać u was przedstawicieli władz, organizacji społecznych i życia kulturalnego. Witam was, kochane dzieci. Dla was właśnie kółko teatralne naszej świetlicy urządziło dzisiejsze przedstawienie. Sztukę *Czerwony Kapturek* wystawiamy w miesiącu wrześniu. Nie jest to przypadek. Miesiąc wrzesień stał się pamiętny dla nas wszystkich. Minęło w tym roku czternaście lat od chwili, kiedy wróg napadł na nasze granice. Pamiętacie, dzieci,

<sup>294</sup> A. Lechicka, *Historia autentyczna*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia...*, dz. cyt., s. 430–432.



jak na naszym niebie ukazały się bombowce, a żelazne zastępy wroga deptały nasze pola? Pamiętacie, dzieci, ten dzień i nigdy go nie zapomnicie! Czternaście lat minęło... Dziś wy, dzieci urodzone w latach 1947–1948–1949, siedzicie na tej sali z ufnością, że z jasnego nieba nie posypie się na wasze główki żelazny grad śmiercionośnych pocisków...

Szanowni słuchacze, drodzy przyjaciele! Niepojęta może się wydawać na pierwszy rzut oka duża liczba problemów i zadań, które wyrosły przed naszym społeczeństwem w tym miesiącu. Trzeba podkreślić, że tak święto odbudowy stolicy, jak i święto lotnictwa oraz dożynki są wyrazem tego, co nas nurtuje. Wy, dzieci, najlepiej wiecie, że wypełnienie zadań zakreślonych na różnych odcinkach możliwe jest do wykonania jedynie w warunkach głębokiego zrozumienia potrzeb chwili i wzrastających wymagań ludzi pracy. Chciałbym scharakteryzować obecną sytuację na odcinku wiejskim w naszym kraju.

W tej chwili rozlega się cieniutki głosik: – Proszę pani, ja chcę siusiu... On już zrobił, proszę pani!

– Cicho, dzieci, co wy robicie? Wacuś, gdzie Wacuś?

– On siedzi pod krzesłem, bo się wstydzi...

Mówca chrząka, rozgląda się po sali, uśmiecha przepraszająco w kierunku ściany, pod którą siedzą zaproszeni dorośli goście. Po chwili mówi dalej: – Chciałbym scharakteryzować obecną sytuację na odcinku wiejskim w naszym kraju, aby następnie przejść do omówienia sytuacji międzynarodowej i wzrastającej fali niezadowolenia w krajach arabskich... poza tym, kochane dzieci, chciałbym wam wytłumaczyć, że bajka *Czerwony Kapturek* nie jest bajką. Jest to jakby alegoria. Wilk nie jest wilkiem, tylko symbolem drapieżnych sił, babcia nie jest babcią, strzelec, który zabija złego wilka, nie jest strzelcem, a mała dziewczynka nie jest dziewczynką. Słuchajcie uważnie, a ja wytłumaczę wam sens tego opowiadania...

Na sali rozlega się płacz i głos: – Proszę pani, gdzie jest wilk? Gdzie jest Czerwony Kapturek?

– Ciiicho, dzieci, zaraz pan skończy!

Tymczasem mówca sięgnął po szklankę z wodą. Korzystając z niespodziewanej przerwy w przemówieniu, niecierpliwi aktorzy, którzy już od godziny stali na scenie, rozsunęli szybko kurtynę, i zaczęło się przedstawienie. Kierownik świetlicy skłonił się zaproszonym dorosłym gościom i zniknął... Tymczasem senne dzieci przebudziły się na widok wilka, który skradał się do łóżka chorej babuni, kłapiąc okrutnymi kłami...<sup>295</sup>

<sup>295</sup> T. Różewicz, *Rozgadał się*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia...*, dz. cyt., s. 526–529.

### **Przykład 220. Jadwiga Rutkowska, Joanna Wilińska – *Z życia świetlicowego (1953)***

Macie rację, kolego. Praca świetlicowa u nas, można powiedzieć, leży. Mówicie, że z naszej winy? No tak, może, ale są też inne przyczyny natury, że tak powiem, obiektywnej. Brak lokalu? Ano, właściwie mamy, to jest mieliśmy, a właściwie tak, jakbyśmy mieli dwa lokale... Za dużo? Nie powiedziałbym...

Wiecie, ten pierwszy to był nawet bardzo porządny. I niewieleśmy trudu w niego włożyli. Trzeba było tylko pokryć dach, otynkować ściany, wstawić okna, położyć podłogę. W dwa miesiące byliśmy z tym gotowi.

A otwarcie było bardzo uroczyste. Sołtys, kiedy przemawiał, wprost łzy miał w oczach z rozczulenia: – Rośniemy, rozszerzamy się – powiedział – dzięki tej naszej młodzieży kochanej! Obywatele! W tych czterech ścianach wspólnego domu życie kulturalno-oświatowe zakwitnie!

Kiedyśmy przyszli na inauguracyjne zebranie, zastaliśmy nowy lokal zamknięty na kłódkę. No cóż, Samopomoc Gminna w ramach pomocy sąsiedzkiej wypożyczyła sobie naszą świetlicę na zastępczy magazyn, bo u nich dach się trochę zawalił, a właśnie padał deszcz.

Mieliśmy z tym trochę kłopotu, bo, wiecie, ten dach to się naprawiał i naprawiał...

Przeprowadziliśmy wreszcie burzliwą rozmowę z sołtysem, jakoś wspólnymi siłami wyremontowaliśmy ten dach i wynieśliśmy towary ze świetlicy. Trzeba było trochę sprzątnąć i po nafcie wywietrzyć, ale to się zrobiło raz dwa...

Przyszliśmy właśnie na inauguracyjne zebranie. Patrzymy, a tu w naszej świetlicy odbywa się doroczne szczepienie psów!

Odbyliśmy burzliwą rozmowę z sołtysem, ale wytłumaczył nam: – Wiecie – powiada – nie było gdzie robić. Nikt by się nie zgodził, bo to i nabrudzi się, i hałas, i fatyga, a tak, we wspólnym domu, to nikt nie ma urazy.

Uprzątnęliśmy po tych psach, ale zanim doszło do zebrania, do Królaków przyjechała kuzynka i wprowadziła się do naszej świetlicy.

Rozmowa z sołtysem miała burzliwy charakter. Ale wreszcie wyjaśnił: – Królak, widzicie, to mój kum. Nie sposób było odmówić. Kobieta z dużego miasta, inteligentna, przyzwyczajona do warunków, a u Królaków – ciasnota. Zresztą, przecie dom wspólny, to i Królakom może posłużyć. A wy nie macie się czym przejmować. Kobieta dwa, trzy tygodnie posiedzi i pojedzie!

Rzeczywiście po miesiącu wyjechała...

I przyszliśmy właśnie na inauguracyjne zebranie, a w drzwiach stoi sołtyso-wa: – O żadnym – mówi – zebraniu mowy nie ma! Bielizna jeszcze nie wyschła. Przecież na taką pogodę nie wyniosę. Pobrudzicie mi tylko albo jeszcze co zgi-

nie... I w ogóle – mówi – z tymi zebraniem to na razie nie zawracajcie głowy, bo świniaka się będzie u nas biło. Wiecie przecież, że Manię za męża wydają. Królowie miesiąc zajmowali, a ja co? Gorsza? Dom przecie wspólny!

Pobiegliśmy do sołtysa, by przeprowadzić z nim burzliwą rozmowę, ale on tylko rozłożył ręce.

– Trudno – powiada – z nią to ja zaczynać nie będę! A najlepiej wam poradzę: nie szczęści się wam tu, weźcie ten pusty domek na górce. Trochę daleko, ale spokojnie. O deski się wam postaram i będziecie mieli świetlicę jak się patrzy!

Z tym domkiem, to wiecie, trochę więcej roboty. Ściany jednej tam brakowało i przewody elektryczne trzeba było ciągnąć ze 2 km. W ogóle rudera była od dziesięciu lat nie zamieszkała. Naharowaliśmy się przy tym nielecho i co tu mówić – nie umywała się do naszej pierwszej świetlicy! Miała tę jedną zasadniczą zaletę: utrudniony dostęp.

Ustawiliśmy właśnie ławki na ganku (prawie wszystko było już gotowe), gdy wszedł Józwiak z Ochotniczej Straży Pożarnej.

– Pracujcie, pracujcie, chłopaki! – zawołał wesoło. – A tu mam coś dla was. Ucieszycie się! – i wręczył mi dużą kopertę. Otworzyłem i czytam głośno: „Komenda Ochotniczej Straży Pożarnej dziękuje Kołu ZMP za wyremontowanie obiektu na punkt obserwacyjny dla OSP. Komenda wyraża nadzieję, że roboty remontowe zostaną wykonane przed terminem, co pozwoli na szybsze uruchomienie tej tak ważnej dla całej okolicy placówki.

Jednocześnie Komenda zaprasza wszystkich członków Koła ZMP na uroczystą inaugurację punktu obserwacyjnego OSP, która odbędzie się w pierwszą niedzielę po pierwszym”.

(Podpisano) Komendant OSP<sup>296</sup>

### **Przykład 221. Jan Szeląg – *Wstęp* (1953)**

Ignacy Krasicki – jeden z wielkich twórców satyry polskiej – pisał:

„Satyra prawdą mówi, względów się wyrzeka;  
Wielbi urząd, czci króla, lecz sędzi człowieka”.

Satyra Polski szlacheckiej ostro tępiła wszelkie wady i przywary społeczności szlacheckiej, niejednokrotnie podnosząc hasła reformy położenia chłopów i samego ustroju państwowego. Narodziny satyry w literaturze polskiej wiążą się z samym faktem narodzin literatury. Nurt satyry od początku jest żywy w naszym piśmiennictwie, poczynając od jego ojca – Mikołaja Reja.

<sup>296</sup> J. Rutkowska, J. Wilińska, *Z życia świetlicowego*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej XV–XX w.*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953, s. 166–168.

Satyra to krytyka, to artystyczny wyraz postępowych dążeń epoki. Oczywiście, granice tej krytyki bywają rozmaite. Krasicki wyłączał z niej króla i urzędy. Bywała satyra nie oszczędzająca króla, surowo sądząca go wówczas, gdy działał wbrew interesom narodu. Stosunki szlacheckie, pańszczyzna, feudalizm – wszystko to należy do dalekiej przeszłości. Mimo to dzieła satyryczne tamtych czasów warte są przypomnienia współczesnym Polakom, obywatelom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dlaczego? Oto dlatego, że mimo zasadniczej zmiany stosunków społecznych i politycznych w satyrze staropolskiej pozostało wiele żywej treści, ubranej w piękną i interesującą formę. Te stare utwory albo jeszcze tylko bawią interesując przypomnieniem dawności, albo też jeszcze dziś brzmią żywą aktualnością. We fraszkach Kochanowskiego czy w bajkach Krasickiego znajdujemy typy ludzkie dziś jeszcze spotykane, wady ludzkie dziś jeszcze pieńiące się i warte wyśmiania.

Zadania satyry w naszej epoce, w naszym kraju zmieniły się, ale to nie znaczy, by uległy umniejszeniu. Przeciwnie, nigdy satyra nie była tak ważna i potrzebna jak narodowi budującemu socjalizm. Powiedzieliśmy, że satyra w Polsce szlacheckiej była czynnikiem postępu. Podobnie jak w okresie kapitalizmu, gdy występowała przeciwko wyzyskowi, przeciwko zdradzie narodowej burżuazji, przeciwko faszizmowi, w obronie mas ludowych.

W najśmielszych, najbardziej świadomych swych utworach satyrycy polscy demaskowali sam ustrój, choć nie zawsze umieli wskazać drogę wyjścia ku lepszemu. Gdy przeczytamy sienkiewiczowski fragment z „Listów z podróży do Ameryki”, będziemy zdumieni: ten młody wówczas jeszcze pisarz w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku dociera niemal całkowicie do istoty „demokracji” burżuazyjnej, w tej rozmowie z londyńskim ulicznikiem demaskuje niemal do końca całą oszukańczą treść „demokracji”, ukrywającej pod pozorami swobody, równości, parlamentaryzmu prawdziwe swe oblicze nierówności społecznej, nędzy i wyzysku.

Podobnych akcentów nie brak u innych pisarzy tego okresu, nie brak ich u Prusa, u Lema, u Rodocia, który w krótkiej fraszce wiele zawarł treści swoich czasów:

„Piękne są ludzkości dzieje,  
Jesteśmy nie lada gracze:  
Na jednego, co się śmieje,  
Sto tysięcy gorzko płacze”.

W okresie międzywojennego dwudziestolecia rządy faszystowskie tępiły satyrę ze wszystkich sił. Satyra postępową bowiem wypowiadała się przeciwko zbrodniczemu sojuszowi z Hitlerem, stawała w obronie interesów Polski,

łącząc się w ten sposób z walką klasy robotniczej, chłopów i najszerszych mas ludowych.

Jakaż to rola przypada satyrze w naszych czasach, gdy ziemię odebra-  
no obszarnikom, fabryki kapitalistom, a władza należy do ludu pracującego?  
Czy wówczas, gdy nie ma potrzeby dopominać się o lepszy ustrój społeczny,  
bo ten lepszy ustrój buduje cały naród pod wodzą Partii i władzy ludowej, satyra  
powinna skończyć swoją rolę? Po stokroć nie.

Przed wszystkim wiemy dobrze, że kraj nasz, złączony braterskim soju-  
szem ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami demokracji ludowej, znajduje  
się w świecie, w którym nie brak wrogów socjalizmu i pokoju. Na dużych jeszcze  
połaciach świata działają imperialiści, roztaczając swoją władzę, dążąc do wy-  
wołania nowej wojny. Demaskować stale tych naszych wrogów, budzić i podtrzy-  
mywać czujność narodu – to jedno z pierwszych zadań satyry. Są jeszcze u nas  
tacy – powiedzmy to sobie szczerze – co dają ucho podszeptom wroga czy też  
bełkotowi tej czy innej zagranicznej szczekaczki. Satyra takim przemawia do  
rozumy. Robi to słowem, robi to nieraz i rysunkiem.

Satyrę na ten temat jest na przykład taki rysunek: przed głośnikiem „Głosu  
Ameryki” spiker zapowiada: – Za chwilę przemówi do was uczestnik kampanii  
wrześniowej w Polsce.

I na rysunku widzimy tego uczestnika kampanii wrześniowej w Polsce: jest  
to hitlerowski żołdak.

Oto satyra: celna, prosta, ostra. Tak jest, bowiem „Głos Ameryki” to głos  
amerykańskich imperialistów sprzymierzonych z zaprzysiężonymi wrogami na-  
rodu naszego – z hitlerowcami.

Wiemy o tym, że ci imperialiści wielkie miliony dolarów sypią na szpiego-  
stwo, na sabotaż, na dywersję w naszym kraju. Oni nie chcą, byśmy zbudowali  
socjalizm, Polska to wielka strata w ich rachunku, tym boleśniesz, że nie jedy-  
na. Satyra budzi i podtrzymuje czujność ludzi wobec wroga, tępi brak czujności,  
gapiostwo, łatwowierność.

Poza tym pamiętać musimy, że wrogowie socjalizmu w Polsce znajdują się  
nie tylko gdzieś daleko, za morzami. Oni żyją także w naszym kraju, o tu, obok  
nas, przez ścianę czy przez miedzę. Główne twierdze kapitalizmu w Polsce zo-  
stały obalone, ale pozostał przecież jeszcze spekulant, drobny aferzysta, niebie-  
ski ptak, dawny fabrykant czy obszarnik, który zakradł się do naszego ludowego  
aparatu i tam nieraz robi swoje: psuje ile może. Pozostał jeszcze na wsi wcale  
wielmożny kapitalista – kułak. Mało- i średniorolni chłopci w oparciu o sojusz  
z klasą robotniczą podejmują dzieło postawienia gospodarki wiejskiej na no-  
wych socjalistycznych zasadach: tworzą coraz liczniejsze spółdzielnie produk-

cyjne. Czyż im, tym chłopom, nie potrzeba satyry dla walki z kułakiem, z przesadami, z resztkami ciemnoty na wsi, dawnego zacofania? Potrzeba na pewno.

Jednym słowem: toczy się w Polsce walka klasowa, socjalizm buduje się i na wsi, i w mieście, nie bez przeszkód, ale wśród pokonywania przeszkód, a gdy jest walka, a jest coraz bardziej ostra, to musi być, żyć i walczyć satyra.

Wiele już zrobiliśmy: wypędziliśmy obszarników i fabrykantów, ujęliśmy władzę w nasze ręce, budujemy socjalizm, ale przecież i my sami, my – miliony ludzi w Polsce – wychowani zostaliśmy w epoce kapitalizmu. Kapitalizm, likwidowany w postaci kułackiego wyzysku na wsi, ma swoje wpływy w świadomości ludzkiej, w nawykach, w przyzwyczajeniach, w charakterze ludzkim. Socjalizm – to wielkie nowe w naszym życiu i w życiu narodu. A wiemy, że żadne nowe nie przychodzi, nie zwycięża ot tak sobie idąc lekkim, tanecznym krokiem, ale w walce ze starym. Na przykład nowe metody pracy – współzawodnictwo, mechanizacja, racjonalizacja. To przecież urzeczywistnia się w walce z dawnymi, przestarzałymi metodami pracy, reprezentowanymi przez ludzi nawykłych do starych metod, do dawnego stylu pracy. Walczyć z tymi przesądami ludzkimi, walczyć o nowe we wszystkich dziedzinach, to także pole walki satyry. Walczyć z bumelanctwem, z chuligaństwem, z biurokracją, z pijaństwem, z niewłaściwym stosunkiem do młodych, do pracy kobiet, o podnoszenie kultury – to wszystko pole walki satyry. Krytyka i samokrytyka – to w naszym ustroju podstawowe motory postępu. A czymże innym jest satyra jak nie obrazową, ostrą, celną formą krytyki i samokrytyki?

Chcecie napiętnować bumelanta w waszym zakładzie pracy? Dajcie jego karykaturę w gazetce ściiennej: zobaczycie, jak go ona zaboli, jak przyczyni się skutecznie do zmiany jego postępowania. Zrobicie tym sposobem więcej i lepiej niż niejednym przemówieniem na zebraniu. Satyra operuje niesłychanie potężnym orężem, jakim jest śmiech.

A my w Polsce mamy prawo do śmiechu. O zmianie życia ludzkiego w socjalizmie mówił kiedyś tak towarzysz Stalin: „Podstawą ruchu stachanowskiego było przede wszystkim gruntowne polepszenie materialnego położenia robotników. Życie stało się lepsze, towarzysze. Życie stało się weselsze. A gdy życie jest wesołe, to i praca idzie dobrze. Stąd wysokie normy wydajności. Stąd bohaterowie i bohaterki pracy. W tym przede wszystkim jest źródło ruchu stachanowskiego... Nasza rewolucja jest jedyna, która nie tylko rozbiła kajdany kapitalizmu i dała ludowi wolność, ale zdołała prócz tego dać ludowi warunki materialne do dostatniego żyda. Na tym polega siła naszej rewolucji, to, co ją czyni niezwykłą... Charakterystyczna właściwość naszej rewolucji polega na tym, że rewolucja ta dała ludowi nie tylko wolność, ale i wartości materialne, ale i możliwość

dostatniego i kulturalnego życia. Oto, dlaczego życie stało się u nas wesołe i oto, na jakim gruncie wyrósł ruch stachanowski” („Zagadnienia leninizmu”, str. 461).

Życie stało się wesołe... Jest więc w naszym życiu wiele, coraz więcej miejsca dla śmiechu i humoru. Nie lekceważymy siły naszych wrogów, ale rozumując historycznie, wiemy, że ostateczne zwycięstwo będzie na pewno nasze. Stąd radość i wesołość. Śmiech pomaga w pracy, śmiech pomaga w zwycięskiej walce nowego ze starym. Śmiech pomaga zwycięstwu nowego nad starym.

Dajmy satyrze, śmiechowi, humorowi jak najwięcej miejsca w naszym życiu, bo i praca wówczas będzie szła lepiej. Deklamujmy wiersze satyryczne, grajmy scenki satyryczne, czytajmy opowiadania i felietony satyryczne, śpiewajmy wesołe i satyryczne piosenki. Śpiewajmy chórem. Wielki nasz poeta Słowacki pisał:

„A kiedy śpiewa chór – drży serce wroga!”<sup>297</sup>.

### **Przykład 222. Irena Tomska – *Wieczór autorski* (1953)**

(*Na scenie stolik z rozłożonymi papierami. Przy stoliku Autor. W chwili podniesienia kurtyny Autor czyta*).

– „...był to ich ostatni wspólny posiłek. Za chwilę Henryk wyprowadzi się z domu, a po paru miesiącach gdy rozwód stanie się faktem dokonany, rozpocznie nowe życie z tą kobietą, o której Lucyna nie może myśleć bez bolesnego ściśnienia serca. Aby ukryć napływające do oczu łzy, skierowała wzrok na stół zastawiony przez nią tak starannie wszystkim, co zwykle smakowało jej mężowi. Oto jego ulubione grzybki. Oto biała salaterka wypełniona kompotem. Od jutra będzie siedzieć przy tym stole samotnie. Henryk czuł się widocznie również nieswojo. Zwrócił głowę ku oknu, bawiąc się trzymanym w rękę widelcem. Gdy wreszcie przemówił, w głosie jego zabrzmiał jakiś dziwny patos:

– Tak, moja droga – powiedział – małżeństwu naszemu brakowało zasadniczej rzeczy: nie umieliśmy nadać mu odpowiedniej struktury, i dlatego musiało się rozpaść.

– A mnie się zdaje – szepnęła nieśmiało – że nie trzeba winić naszego małżeństwa. To tylko kwestia różnych charakterów. Gdybyśmy się postarali je uzgodnić, gdybyśmy nauczyli się ustępować sobie wzajemnie w drobiazgach, mogłaby nastąpić znaczna poprawa.

---

<sup>297</sup> J. Szelaąg, *Wstęp*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej...*, dz. cyt., s. 5–8. Trudno powiedzieć, czy mamy do czynienia z tekstem satyrycznym (co byłoby zrozumiałe z racji wykorzystania go do otwarcia antologii satyry), czy tylko z wybujałym przykładem dydaktyzmu utrzymanego w formie PRL-owskiej nowomowy. Nawet jeśli autor miał wyłącznie poważne zamiary, to ideologiczny ładunek jego publikacji z czasem stał się komiczny, dlatego postanowiłem przytoczyć ten utwór bez skrótów. Przep. P.P.G.

Zerwał się porywczo od stołu.

– Za późno! – wykrzyknął. – To się już nie da odrobić. Nie mówmy lepiej o tym. Pozwól, że cię ucałuję po raz ostatni, a potem rozstańmy się jak para dobrych przyjaciół.

Poczuła na swoich ustach jego wargi. Ciałem jej wstrząsnął dreszcz, jakby miała za chwilę zemdleć. Opanowała się jednak. Patrzyła, jak wychodzi z pokoju, aby nigdy więcej nie powrócić.

Za chwilę usłyszała warkot odjeżdżającego sprzed domu jego samochodu...”

Na tym kończy się ósmy rozdział mojej powieści. O dalszych losach bohaterów dowiedzie się, drodzy czytelnicy, gdy książka wyjdzie z druku. Na razie pragnęłam wam tylko w ramach tego wieczoru autorskiego odczytać parę wybranych luźno fragmentów. Chciałem usłyszeć o nich wasze zdanie. Nie wyobrażacie sobie, jak cenne dla autora są wszelkie uwagi czytelników. Dają mu one nowe, świeże spojrzenie na jego dzieło, pozwalają zobaczyć wszystkie błędy i niedociągnięcia, które należy poprawić. Więc proszę, nie krępujcie się. Mówcie szczerze i otwarcie, co wam się podoba, a co nie. Będę wam głęboko wdzięczny za najsurowszą nawet krytykę. No, śmiało, kto chce pierwszy zabrać głos? Co mówicie, drogi czytelniku? Że nie uwzględniłem w powieści roli wsi? Słusznie, bardzo słusznie. Postaram się to uzupełnić. Prawdopodobnie w przyszłym miesiącu wyjadę na dzień lub dwa w teren, zwiedzę kilka PGR-ów i wrócę z zapasem doświadczenia, które pozwoli mi fachowo rozpracować tematykę wiejską.

Płodozmiany? Oczywiście, napiszę o płodozmianach. Zaraz to sobie zanotuję. Kwestia nawożenia? Słusznie, bardzo słusznie Notuję: nawożenie... komposty... odkwaszanie stopniowe... Bardzo, bardzo wam jestem wdzięczny za te uwagi. Właśnie odczuwałem brak tego rodzaju fachowej terminologii. Może jeszcze coś z tego zakresu? Struktura drobnogruźelkowa? Świetnie, notuję. Spulchnianie... wał kruszący... beczkowsy... pierwotniaki, grzybki, promieniowce i bakterie. Doskonale!

Bielica pyłowa? Ach tak, rozumiem. To gleba, która powstała z utworów pyłowych. Niezwykle cenna uwaga! Wykształcone i niewykształcone profile gleb górskich? Niebywałe! Toż to kopalnia tematów!

Co mówicie? Wczesne podorywki? Naturalnie. Nie zapomnę o podorywkach. Notuję dalej. Jak? Potas... lucerna... siewy kupkowe... Drapacze? No, o drapaczach wiem. Mamy je przecież i w mieście. Ach, to inne? Takie maszyny rolnicze? Notuję – drapacze. Co dalej? Strukturotwórcza próchnica... Wierzę, że taka próchnica doskonale wpłynie na strukturę mojej powieści. Doda jej tego... tego.... no, kompostu twórczego.



Naprawdę, drodzy czytelnicy, jestem wam niewymownie wdzięczny za wasze cenne uwagi. Aby was przekonać, że je uwzględnię, spróbuję zaraz, na gorąco, przerobić czytany przed chwilą fragment ósmego rozdziału. Mam nadzieję, że wypadnie lepiej niż w wersji poprzedniej. Posłuchajcie:

„...był to ich ostatni wspólny posiłek. Za chwilę Henryk wyprowadzi się z domu, a po kilku miesiącach, gdy rozwód stanie się faktem dokonany, rozpocznie nowe życie z tą kobietą, o której Lucerna nie może myśleć bez bolesnego ściśnienia serca. Aby ukryć napływające do oczu łzy, skierowała wzrok na stół zastawiony przez nią tak starannie wszystkim, co zwykle smakowało jej mężowi. Oto jego ulubione grzybki, promieniowce, bakterie i pierwotniaki. Oto biała salaterka wypełniona kompostem. Od jutra będzie siedzieć przy tym stole samotnie. Henryk czuł się widocznie również nieswojo. Zwrócił głowę ku oknu tak, że widziała tylko jego górski, niewykształcony profil. Bawił się nerwowo trzymanym w ręku drapaczem. Gdy wreszcie przemówił, w głosie jego zabrzmiał jakiś dziwny patos:

– Tak, moja droga – powiedział – małżeństwu naszemu brakowało zasadniczej rzeczy: trwałej, drobnogruzelkowej struktury, i dlatego musiało się rozpaść jako utwór pyłowy.

– A mnie się zdaje – szepnęła nieśmiało – że nie trzeba winić naszego małżeństwa. To tylko kwestia różnych charakterów gleby. Gdybyśmy postarali się je uzgodnić, gdybyśmy nauczyli się ustępować sobie wzajemnie w drobiazgach, nastąpiłoby stopniowe odkwaszenie.

Podorywczo zerwał się od stołu.

– Za późno! – wykrzyknął. – To się już nie da odrobić. Siew kupkowy wydał już swoje owoce. Nie mówmy lepiej o tym. Pozwól, że cię ucałuję po raz ostatni, a potem rozstańmy się jak para dobrych przyjaciół.

Poczuła na swoich ustach jego wargi. Ciałem jej wstrząsnął dreszcz, jakby przeniknął je wał kruszący. Opanowała się jednak. Patrzyła, jak wychodzi z pokoju, aby nigdy więcej nie powrócić.

Za chwilę usłyszała turkot odjeżdżającego sprzed domu jego beczkowozu...”

No jak, kochani czytelnicy? Zdaje się, że uwzględniłem wasze uwagi. A teraz pozwólcie, że...

(*Na scenę wbiega zdyszany Młodzieniec*).

Młodzieniec: Mistrzu, czekamy!

Autor: Jak to? Co to znaczy? Kto czeka?

Młodzieniec: Publiczność czeka. Czytelnicy, którzy przyszli na spotkanie autorskie.

Autor: Nie rozumiem. Przecież spotkanie właśnie się odbyło.

Młodzieniec: Ach nie... To pomyłka, za którą was bardzo przepraszamy. Kwestia złej organizacji. Czytelnicy czekają w sali kina „Wiktoria”.

Autor: A ci tutaj?

Młodzieniec: Tutaj? Tu miał się odbyć odczyt z zakresu gleboznawstwa dla instruktorów rolniczych<sup>298</sup>.

### **Przykład 223. Zenon Wiktorczyk – „Głos Ameryki” o prześladowaniach kultury w Polsce (1953)**

Mówi „Ge-łos Ameryki”. Nadajemy wiadomości dobre lub złe, ale zawsze prawy-dziwe. Dzisiaj, drodzy słuchacze, opowiemy wam o nowej straszy-liwej fali terroru, jaką rozpętał reżim warszawski przeciw resztkom kultury polskiej.

Nasz naoczny świadek, który przedarł się przez żelazną kury-tynę, donosi nam z Nowego Jorku o szczegółach prześladowań kulturalnych w Polsce.

Akcja wymierzona jest przede wszystkim przeciw meło-dzieży, którą zmu-sza się w szkole do czytania bibuły komunistycznej różnych pismaków bolsze-wickich, jak na przykład niejakiego Mickiewicza Adama, Słowackiego Juliana, Orzeszko Elizy, Konopnickiej Marii, Sienkiewicza Henryka, Żeromskiego Stiepa-na i wielu innych zaprzedańców reżimowych.

Do nich należy też biskup-patriota Ignacy Krasicki, który dał się przekupić diecezją warmińską oddaną mu bezprawnie w zarząd, ponieważ, jak wiadomo, przynależność jej do Polski nie została uznana ani przez Watykan, ani przez kan-clerza Adenauera.

Reżimowy biskup upodlił się tak dalece, że nawet wstąpił do partii komuni-stycznej i zaczął szerzyć publicznie jej hasła. On to właśnie pierwszy wymyślił krytykę i samokrytykę pisząc słowa: „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi”.

Na służbę reżimu poszli także inni duchowni, jak na przykład Staszic, Koł-łataj, Konarski, a nawet kanonik Kopernik Mikołaj, któremu reżim obiecał wydać jego rewolucyjną broszurę pod tytułem *De revolutionibus orbium coelestium*<sup>299</sup>. To kokietowanie Kopernika ma na celu pozyskanie dla reżimu wszystkich bez-partyjnych astronomów, do jakich należy ten osobnik.

Mimo służalstwa literackich agentów reżimu popadają oni coraz częś-ciej w niełaskę, ponieważ nie potrafią tyle pisać, ile od nich reżim wymaga. Najlepszym tego dowodem jest brak nowych utworów wymienionych wyżej pismaków.

<sup>298</sup> I. Tomska, *Wieczór autorski*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia...*, dz. cyt., s. 563–567.

<sup>299</sup> O obrotach ciał niebieskich.

Mickiewicz, mimo że napisał ohydny paszkwil na hrabiego Horeszkę pod tytułem *Pan Tadeusz*, ukarany został obniżeniem ceny jego książek. Cytowany *Pan Tadeusz* kosztuje dziś tyle, ile dwie paczki papierosów. Czy przy tej cenie autor może sobie coś odłożyć na starość?

To samo stało się z kolegą Mickiewicza Słowackim, który mimo oszczerczej propagandy przeciw Zachodowi widocznej w jego wierszu *Smutno mi, Boże, dla mnie na Zachodzie* – został zdyskryminowany zbiorowym wydaniem jego dzieł za cenę równającą się przeciętnemu zarobkowi murarza za trzy dni pracy. Dzieło całego życia poety za trzy dniówki murarza! Oto prawdziwe oblicze stosunku reżimu warszawskiego do twórczości nawet własnych pisarzy!

Inny rodzaj kary spotkał Bartosza Głowackiego, pseudonim Aleksander Prus vel Bolesław Wokulski. Pisarzyna ten zgrzeszył swoją przeszłością klasową, ponieważ, jak wiadomo, prowadził on swego czasu sklep z lalkami, a następnie wżenił się w arystokratyczną rodzinę, pojmując za żonę hrabiankę Izabelę Later, primo voto Emancypantkę. Ściągnęło to na niego zemstę reżimu w postaci nowego wydania dzieł tego autora w jednym zbiorowym tomie, lecz o takiej grubości, która uniemożliwia noszenie go pod pachą. Oto w jaki sposób reżim tępi czytelnictwo w Polsce!

Zupełnie cynicznie rozprawiono się z Żeromskim, którego książki umieszczono na indeksie sprytnie zamaskowanym jako katalog wydawnictw „Czytelnika”. Dla całkowitego pogrążenia w niepamięci twórczości tego pisarza nowe wydanie jego utworów jest bogato ilustrowane, żeby odwrócić uwagę od treści.

Podobna taktyka stosowana jest w książkach dla dzieci, przy czym ze szczególnym wysiłkiem prowadzona jest akcja pozbawiania przyjemności czytania dziatwy w wieku do lat pięciu, dla której wydaje się książeczki złożone tylko z samych obrazków.

Niezależnie od opisanych tu sposobów gnębienia ruchu czytelniczego w Polsce, reżim urządza co roku specjalne akcje wyniszczające czytelnictwo. Są to tak zwane „Dni oświaty, książki i prasy”, których istotnym celem jest ogołocenie półek księgarskich z książek. Dokonują tego miliony agentów przebranych za ludność tubylczą. Agenci ci, korzystając z nieuwagi społeczeństwa zabawianego w międzyczasie koncertami i występami aktorów, wykupują książki, w specjalnie w tym celu zbudowanych stoiskach, które są niczym innym jak zamaskowanymi ekspozyturami komunistycznych ośrodków tępienia czytelnictwa w drodze masowej i taniej wyprzedazy wszelkich wydawnictw.

Tak wygląda prawda o rzeczywistym obliczu tak zwanej polityki kulturalnej reżimu. Jeśli, drodzy rodacy, chcecie się dowiedzieć dalszych szczegółów o wa-

szym straszliwym życiu w Polsce, słuchajcie pilnie „Ge-łosu Ameryki” z Nowego Jorku<sup>300</sup>.

*(Uwagi inscenizacyjne*

*Głos Ameryki. Nasuwają się tu dwie koncepcje. Jedna z nich to wypowiedzenie tekstu zapowiedzianego jako powtórzenie „zawsze prawdziwych” informacji „Głosu Ameryki”. Druga koncepcja, to ukazanie studia i spikera nowojorskich audycji w języku polskim. Spiker powinien odczytywać przed mikrofonem kartki podawane mu przez kolegę, który w międzyczasie komponuje te „prawdziwe” wiadomości, ssąc palec, spoglądając w sufit, trąc czoło i stosując podobne zabiegi pomocnicze mające ułatwić proces zmyślenia. Można tu wprowadzić także takie efekty komiczne, jak na przykład nerwowe wyciąganie ręki przez spikera po następne kartki zapisywane przez jego kolegę, który chwilami nie nadaża, co znowu wywołuje tragiczną gestykulację i mimikę spikera, przerażonego, że za chwilę nie będzie miał co mówić do mikrofonu. W tekście zaznaczono w kilku miejscach charakterystyczną dla „polskich” spikerów „Głosu Ameryki” wymowę polegającą na przeciąganiu sylab, co w pisowni fonetycznej daje taki mniej więcej obraz: „Mówi Ge-łos Ameryki. Nadajemy wiadomości dobre lub złe, ale zawy-sze prawy-dziwe...” itp)<sup>301</sup>.*

**Przykład 224. Jarosław Abramow – *Agitatory*.  
Skecz z programu „Prostaczkowie”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1954)**

*(Kuchnia. Za stołem siedzi chłop lat około czterdziestu. Obok przy piecu żona. Wchodzi dwóch studentów i dwie studentki).*

Studenti: Dzień dobry.

Chłop: A dzień dobry, dzień dobry!

Student: My tu do was przyjechaliśmy w ramach akcji łączności miasta ze wsią.

Chłop: Niech ta będzie i w ramach. Franka, daj no z izby ze dwa stołki dla panów elektryków.

Studentka I: Bynajmniej, jesteśmy studentami.

Chłop: Ja wiem, kochana pani, ja wiem. Tak se tylko nazywam tych to z miasta, co to do nas ciągle przyjeżdżają. Kiedy to, pięć niedziel temu nazad, zaraz po mszy będzie, tak, Franka? Przyszli tu tacy i gadają, że oni elektrycy, że będą światło naprawiać. Naprawiajta – myślę sobie. Gadali, gadali, obiecywali, tylko

<sup>300</sup> Z. Wiktorczyk, „Głos Ameryki” o prześladowaniach kultury w Polsce, [w:] tegoż (oprac.), *Bez retuszu...*, dz. cyt., s. 109–111.

<sup>301</sup> *Uwagi inscenizacyjne*, [w:] Z. Wiktorczyk (oprac.), *Bez retuszu...*, dz. cyt., s. 156.

patrzeć, jak sami zaczną świecić. Można czekać do świętego Rocha i jeszcze trocha. Wie pani, co oni za jedni? Później ludzie gadali. Wcale nie elektryki, tylko te, biuraliści, urzędniki. – Tak, Franka?

Studentka I (ze *statutem w rękę*): Macie słuszość. Gdy paralelnie bowiem sięgniemy i wnikiemy, że się tak wyrażę, w głębię istoty i specyfiki różnorodnej rolnictwa jako takiego w ogólności, a drobnego producenta towarów w szczególności, to...

Chłop: No tak, tak! Same nieszczęścia. Krowa mi się, pani, całkiem zbyczyła. Mleka nie daje za nic. Znowu świniak, nawet duży był świniaczek, miał z meter ciężkości, tak, Franka?... i zdechł mi, panie, latoś.

Studentka I: Otóż to. Potrąciliście, gospodarzu, o kapitalne zagadnienia, mające w planie fundamentalne niejako znaczenie. Zgodnie bowiem z systemem trawopolnym Dokuczajewa i Wiliamsa hodowla bydła w ogólności, a trzody chlewnej, krócej mówiąc, nierogaczny w szczególności jest tym czynnikiem cementującym...

Chłop: Prosiłem, kochana pani, prosiłem. To gadali, że cementu nie mają. A Pietruskowej Wojtek zaraz po wojsku dostał i chlew se nawet postawił. Będzie z pół roku, jak se postawił. A jak ja prosiłem, to mi w gminie powiedzieli, żebym się do spółdzielni zapisał.

(*Żona próbuje go uspokoić; odchodzą na stronę*).

Chłop: Daj no, Franka, herbaty, czy co?

Student I (*do kolegów*): Słuchajcie, tak nie można. Tu trzeba jasno, twardo i po reymontowski, rozumiecie? Ich językiem. Przygotowałem sobie taką krótką mówkę. (*Pokazuje notes*). Ja go zaagituję. Dialektologię i gwary mam w małym palcu. (*Spluwa sążnięcie, bierze statut i podchodzi do chłopca*). Wojciech mi na krzcie dali. A juści, włodarzu, a juści, mata słuszość. Ale handrycyć też nie uchodzi. Hale, ze tam kaj nie kaj, moiściewy, cyconie w spółdzielni... (*Patrzy w notes*). Psia kostka, łoni dali cement Pietruskowemu Wojtkowi, toć ta nie róbta ciężkiem z gęby cholewy.

Chłop: Gęby jak gęby. Ale cholewy to by się zdały. Gumioki całkiem na nic. Paluchy można na słońcu opalać.

Student I: Słuchajta. Skąpiąc wama nie damy. A że wam się wieprzek zlechnił (*zapominając zagląda w notes*)... Jedrona pałka, juści niescęście. Aleć, słodki Zbawicielu, jest wyjście. Na co – pedam, włodarzu, wisieć wama w dzieścioro u krowiego ogona, kiej mozeta ciepnać to wszystko w pierona i wstąpić do spółdzielni. Niech cały przysiółek wie, zešta nie ciarach żaden, ino gospodarz. Na złość tym kobyliłom synom kułakom! Niech im się ze złości poprzewracają wąpię!

Chłop (*wzdycha*): Wątpię, panie... Wojciechu, wątpię. U nich w gminnej spółdzielni taka szajka! Luśtyk, później ten, jak mu tam, Franka?

Franka: Ficołek.

Chłop: O, Ficołek! Sliwiński starszy...

Studentka II (*do studenta*): Zbyszeczk, tak nie można. On ciebie nic a nic nie zrozumiał.

Student I: Spokojna czaszka. Ewy to on na pewno nie zrozumiał, ale mnie? Już go prawie zaagitowałem.

Studentka II: Daj spokój. Ja go zaagituję (*przysuwając się do chłopca*). Złociutki gospodarzu! Patrzcie, już w ogródku waszym jabłonie zakwitły, a w polu jeszcze jeden hektar nie obsiany.

Chłop: Nie obsiany, bo Luśtyk...

Studentka II: Świnkę, słyszę, zamorzyliście głodem, że zdechła biduła, a wszystko dlatego, że jesteście wstrętny uparciuch.

Chłop: Niby dlaczego?

Studentka II: Przyjeżdżają tu do was, agitują was, męczą się, a wy wciąż upieracie się i upieracie jak doprawdy... osiołek. I wciąż nie chcecie zapisać się do tej spółdzielni. Nieładnie. Duży głuptas jesteście.

Chłop: Gdyby nie z musu, tobym wstąpił.

Studentka II: Kto was zmusza, może ja? Jeszcze w życiu nikogo nie zmuszałam, a mężczyźni żyć mi po prostu nie dają. (*Przysuwa się do chłopca*). Słuchajcie tylko. W spółdzielni takie miłe życie. I traktory mają, i fortepiany. A wy co? W ogóle fajnie. I nawet nie wiecie, ile jedna chlewmistrzynie w ciągu roku świnek wyhodowała. No, zgadnijcie, ile?

Chłop: A bo ja wiem?

Studentka II: Widzicie, nie wiecie. A ja wiem. Pięćdziesiąt świnek wyhodowała.

Chłop (*śmieje się*): Nie gadajcie. Toć maciora ma tylko dwanaście cycków.

Studentka II: Fuj, wstręciuch. Nie mówi się tak brzydko. Mówi się sutek. I jaki z was niedowiarek. Czy od razu trzeba sutkami?

Chłop: No nie... Sutek, niedowiarek?...

Studentka II: Słuchajcie, macie tu statut i pomyślcie. Wierzę, że się zapiszecie. (*Przymilnie*) Zrobicie to dla mnie, prawda? (*Do studentów*) Słuchajcie, kochani, ale na nas już czas. Samochód na pewno dawno już czeka. (*Do chłopca*) Pamiętajcie, nie róbcie mi przykrości.

Studentka I: Zakonotuj dietę, gospodarzu.

Student: Pamiętajta włodarzu, jedrona pałka!

(Wychodzą).

Chłop (*do żony z ironią*): Agitatory...<sup>302</sup>

**Przykład 225. Jarosław Abramow – *Konferansjer*.  
Monolog z programu „Prostaczkowie”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1954)**

(*Sala wykładowa z katedrą. Wchodzi profesor, zdyszany dopada katedry, po czym rozpoczyna wykład*).

Proszę towarzyszy. Proszę towarzyszy! Piętnastominutowe spóźnienie dzisiejsze wynikało z pilnych zajęć, których, niestety, nie mogłem przełożyć, a które, prawda, spowodowały wąskie gardło, (*śmieje się*) awarię w toku wykładu. Hm... (*chrząka*). Tak. (*Pauza*). Po tych kilku słowach wyjaśnienia, prawda, po prostu normalnie przystępujemy do naszego wykładu.

Tematem dzisiejszego mojego wykładu z marksizmu będzie szerokie, jak słusznie stwierdza program, zagadnienie... jeśli tak można uogólnić... którym będę się zajmował przez szereg cykliczne, że się tak wyrażę, godzin... a mia-nowicie wglądnięcie w istotne przyczyny powstania legalnego marksizmu jako takiego w Rosji.

Hm... Tak. Dyktuję lekturę. (*Pauza*). Podkreślam z całą świadomością, że lektura jest ważna, nawet, że się tak wyrażę, bardzo ważna, ponieważ bez jej znajomości wykłady moje, rzecz jasna, pełne, ale ramowe... będą nie tyle – żeby zaryzykować powiedzenie – mniej zrozumiałe, ile w ogóle niezrozumiałe! (*Odkrywczo*) Niejasne!

Tak... (*Pauza*). Proszę dobrze zanotować, żeby później na egzaminie towa-rzysz czy... (*kokietyrnie*) towarzysza, oczywiście, nie tłumaczyli się, że tego nie znają, a tamtego nie przeczytali, co zresztą w praktyce, jak wiemy, na jedno wychodzi – nie znać i nie przeczytać. (*Odkrywczo*) No bo jasne, towarzysze, że musi wyjść na jedno. Inaczej być nie może.

Hm... Tak. A więc idźmy dalej. (*Pauza*). Dyktuję lekturę. Plechanow, „Przy-czynek do zagadnienia rozwoju monistycznego pojmowania dziejów”. Nie obo-wiązuje. Zbyt trudne.

„Rozbieżności w naszych poglądach”. Co? Czy były rozbieżności? Ależ oczy-wiście, że były. Musimy to sobie, towarzysze, śmiało powiedzieć! To te rozbież-ności weźmiemy sobie od stroniczki pierwszej do piątej, tak... Te rozbieżności, tak... Dalej.

<sup>302</sup> J. Abramow, *Agitatory*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., *Myślenie ma kolosalną przyszłość. Wybór tekstów satyrycznych i piosenek Warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków 1954–1956*, Iskry, Warszawa 1957, s. 20–23.

„Krótki kurs historii WKP(b)”. Dziś, jak już wiemy, KPZR. Przemiany, prawda... A więc WKP(b) rozdział pierwszy. Możliwe, że niektórzy zetknęli się już z tą książką. Co, jak wygląda? Taki średni format, w szarej okładce... Łatwo dostępna, w każdej bibliotece. Idźmy naprzód. „Historia WKP(b)”, ale już rozdział drugi, towarzysze! Pierwszych pięć stron.

Hm... Tak. (*Pauza*). Klasycy marksizmu, syntetycznie rzecz biorąc, Lenin i Stalin, bo Marks i Engels, jak już wiemy z poprzednich wykładów, nie mogli rozprawić się z legalnym marksizmem, ponieważ nie było ich w Rosji w tym okresie, a zresztą, (*odkrywczo*) jak słusznie stwierdza program, już nie żyli... a więc jasną jest rzeczą, że Lenin i Stalin wiele miejsca poświęcali powyższej sprawie, cytują dosłownie... (*czyta z książki bez słów, na niemo, tylko gestykulując*) koniec cytatu. Znamienne te słowa były pierwszym właściwie krokiem w kierunku, cytuję... (*cytat na niemo*) Idźmy dalej. Narzuca się jasno wniosek ze stroniczki piątej, cytuję... (*niemo*) ...który zresztą wypływa ze stroniczki drugiej, cytuję... (*niemo*) ...że sprawa jest oczywista, cytuję... (*niemo*) ...na stroniczce siódmej. Koniec cytatu<sup>303</sup>.

**Przykład 226. Jarosław Abramow – *Krótką decyzją*.  
Fragment skeczu z programu „Prostaczkowie”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1954)**

(*Scena przedzielona na dwie części. Na lewo instancja okręgowa, na prawo instancja naczelna*).

(*W instancji okręgowej*)

Studentka: Dzień dobry, towarzyszu Pieniek. [...] Przyszłam tu do was w sprawie zespołu studenckiego, który powstał. I chcielibyśmy się was poradzić, czy na obecnym etapie pracy celowe jest istnienie...

Pieniek: Wyżej wzmiankowanego zespołu. Znaczy się, poradzić się mnie, czy celowe jest, rozumiem was. No, cóż, dobrze, że do mnie przyszliście, bardzo dobrze. Pomyślimy. Chwileczkę. (*Telefonuje, odwrócony tyłem, mówi półgłosem*). Halo?! Instancja naczelna? Tu Pieniek z Okręgu. Przyszła do nas z terenu, proszę ja was, towarzyszka. (*Śmieje się*). Nie, nie, tym razem na pewno nie. I mówi, że powstał u nich taki zespół studencki. Czy na tym etapie można? Tak? (*Odkłada słuchawkę, do studentki*) Aprobujemy.

<sup>303</sup> Tenże, *Konferansjer*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., dz. cyt., s. 24–15. Por. tenże, *Konferansjer*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993, s. 21–22; tenże, *Konferansjer*, [w:] R. Prac, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994, s. 12–13.



Studentka: Serdecznie wam dziękuję, towarzyszu Pieniek. Sądzę, że nasz zespół satyryczny...

Pieniek: Satyryczny? A miał być studencki. (*Śmieje się*). A... a... nie, nie, rozumiem. Rozumiem was. Znaczy się i studencki, i satyryczny razem. [...] Pomyślimy. Pomyślimy. Zaraz. (*Telefonuje*) Halo! Towarzyszu Cykoria. Sytuacja zmieniła się całkowicie. Ten zespół to satyryczny. Tak, tak, właśnie, wiecie, jak jest. Ryzyko...

(*W instancji naczelnej*)

Cykoria: [...] Pomysł doskonały, ale niestety przedwczesny. Zawsze lepiej być pięć minut zdecydowanym, za surowym taktykiem niż całe życie liberalnym odchylnicem...

Ziuta: Po II Zjeździe podobno powstały jakieś tam zespoły.

Cykoria: Tak? To świetnie, grunt to krycie. (*Do słuchawki*) Halo, Pieniek, dostosujcie, prawda, ten zespół, uważacie, jakoś do specyfiki terenu, no bo my tu, rozumiecie chyba, nie możemy tak sztywno, biurokratycznie, nie znając dokładnie sprawy, mówić tak albo nie. Co? Co znowu? Aha, sądzę, że nie ma przeszkód. Tak, tak, cześć.

(*W instancji okręgowej*)

Pieniek: Jednak? No, jak uważacie. Cześć! (*Do studentki*) Wszystko w porządku. Akceptujemy.

Studentka: Serdecznie wam dziękuję, towarzyszu Pieniek.

Pieniek: Dobrze. Chwileczkę. Teraz zmobilizujcie uwagę. Co to jest satyra jako taka? (*Pauza*). Przypuśćmy, że wiecie. Uwzględniać tradycje, koniecznie uwzględniać tradycje, Kraszewski, prawda, chociaż biskup, ale piętnował...

Studentka: Krasicki...

Pieniek: Tak, tak, o nim myślałem. Piętnował, tak, piętnował. Dalej, zachować umiar w ostrej konfliktowości, z głową, z głową operować tym, no... kagańcem, jak to się mówi, chłosty społecznych odchylni, jednostek oczywiście. Ale pamiętajcie, grunt – pozytywność sytuacji. Tak jest, ster, ster. Inaczej zginiecie. Nie szkalować, nie małpować, nie czepiać się instancji, lecz ukazywać usterki, drobne usterki, a przede wszystkim widzieć, doceniać, zrozumieć – aktywnie etatowego, jego pracę. (*Pokazuje papiery, segregatory*). Patrzcie, ile tu tego. No, nie narzekam. Bywajcie!

Studentka: Do widzenia. (*Wychodzi*).

Pieniek (*po chwili*): Ale, ale, a skąd wy właściwie jesteście?<sup>304</sup>

<sup>304</sup> Tenże, *Krótką decyzją*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., dz. cyt., s. 17–19. Por. tenże, *Lwy STS-u...*, Rosner i Wspólnicy, Warszawa 2005, s. 77–78.

**Przykład 227. Bogdan Brzeziński – *Egzamin* (1954)**

Stół, a za stołem trzej profesorzy,  
Przed nimi dziewczę egzamin złoży.  
Dziewczę jest blade – po minie znać,  
Że chce koniecznie egzamin zdać.

Jeden profesor, suchy jak bramin,  
Pierwszy z kolegium zaczął egzamin:  
– Dla orientacji na wstępie spytam,  
Co kandydatka najchętniej czyta?  
Czy poematy?  
Czy coś z liryki?  
Czy może z działu beletrystyki?  
A może panią reportaż urzekł  
Lub też historia?  
Albo podróże?

A na to dziewczę odparło tak:  
– Mam wyrobiony wybornie smak!  
Nim się kieruję w książek wyborze,  
Wiem, co mam czytać, o profesorze!  
Jestem obkuta w socrealizmie  
I byle bajka nie bawi dziś mnie.  
Czytam natomiast lekturę zdrową,  
Która rozwija mnie ideowo!  
Ja dialektycznie oraz krytycznie  
Łuskam z aspektów wszystkie wytyczne  
I żując księgą jak twardy kęs,  
Z niej polityczny wyciskam sens!  
Odrzucam plewy – chwytam sam miąższ  
I dzięki temu kształcę się wciąż!

Jeden profesor powiedział:  
– Ślicznie!  
Drugi pochwalił:  
– Bardzo praktycznie!  
A trzeci, tenże suchy jak bramin, Rzekł:  
– Kandydatka zdała egzamin!

A kandydatka,  
 Płocha dzierlatka,  
 Kiedy egzamin poszedł jak z płatka,  
 Do koleżanki szepnęła cicho:  
 – Już chciał mnie wkopać ten stary matoł...  
 Ale odcięłam mu się nielicho!  
 ...I poszła czytać.  
 – Co?  
 – „Trędowatą”!<sup>305</sup>

**Przykład 228. Stefania Grodzieńska, Janusz Minkiewicz –  
*Smutno mi, Boże*. Fragment programu  
 kabaretowego „Wieczory u Stańczyka”  
 oraz Warszawskiego Teatru Satyryków (1954)**

*(Pokój mieszkalny; na środku stół. Przy stole siedzi Uczennica i czyta głośno wiersz Słowackiego „Smutno mi, Boże”. Z kulisy wychodzą kolejno postacie wyobrażające I i II Słowackiego. Słowacki I udrapowany w pelerynę; fryzura z epoki. Słowacki II ubrany współcześnie).*

Słowacki I: Przepraszam, dziecko...

Uczennica: Kto?! Skąd pan się wziął?! Którędy pan wszedł?

Słowacki I: Wcale nie wszedłem.

Uczennica: Jak to? Więc... jak pan się tu znalazł?

Słowacki I: Zwyczajnie. Ukazałem się. Słyszałem, że uczysz się, dziecino, o mnie – i chciałbym parę rzeczy wyjaśnić.

Uczennica: Ale kto pan jest?

Słowacki I: Jestem Juliusz Słowacki.

Uczennica: Pan? Przecież pan nie żyje... Na jakiej zasadzie pan się ukazuje?

Słowacki I: Na zasadzie nieśmiertelności.

Uczennica: I często pan to robi?

Słowacki I: Od czasu do czasu.

*(Wchodzi Słowacki II).*

Uczennica: Kto to znowu?

Słowacki II: Jestem Juliusz Słowacki.

Słowacki I: Pan?

Słowacki II: Ja. A wy kto?

Słowacki I: Juliusz Słowacki.

<sup>305</sup> B. Brzeziński, *Kto jest cacy?*, Czytelnik, Warszawa 1958, s. 63–64.

Uczennica: Ojej, ilu was właściwie było?

Słowacki I i II (*razem*): Jeden.

Słowacki II: Ten osobnik się podszywa! Wy, jako uczennica klasy jedenastej, chyba orientujecie się na tyle...

Słowacki I: Ależ ja udowodnię, że jestem sobą! To przecież mój wiersz, to moje słowa: „Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami...”.

Uczennica: Wcaleście ze mną nie żyli! Jestem porządna dziewczyna, nie żadna bikiniarka.

Słowacki II: Uspokójcie się. On przytoczył początek jednego z moich artykułów publicystycznych. Wypowiadam się tam, między innymi, w sprawie wieczorów autorskich: „Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi iść?”.

Słowacki I: Pan sobie przywłaszcza moje wiersze i przypisuje im fałszywe intencje!

Słowacki II: Wiersze są moje, a intencje zostały uzgodnione przez najznakomitszych badaczy literatury!

Uczennica: Błagam was, który jest prawdziwym Słowackim?

Słowacki I i II (*razem*): Ja.

Słowacki I: Dziecino, ty prostym, nieskażonym instynktem, dziecięcym wyuczaniem piękna poznasz, który z nas jest poetą.

Słowacki II: Dobrze. Niech ona rozstrzygnie. Uczennico klasy jedenastej, powiedzcie nam, co wiecie o poezji.

Uczennica: Poezja jest to stawianie słusznych politycznie tez w formie rymowanej lub pozbawionej rymów.

Słowacki I: Dziecko, czy nic więcej w poezji nie ostrzegasz? Posłuchaj: „Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty, umieram z żalu, usycham z tęsknoty...”. Co ci to mówi?

Uczennica: Autor ustala dokładnie czas rozpoczęcia procesu usychania.

Słowacki I: Ależ nie na tym polega istota poezji!

Słowacki II: Uczennico klasy jedenastej, zarzucają wam, że nie wiecie, na czym polega istota poezji. Proszę powiedzieć, co poeta odczuwa?

Uczennica: Poeta odczuwa łączność z szerokimi rzeszami swoich konsumentów.

Słowacki II: Czego poeta dotyka?

Uczennica: Najistotniejszych zagadnień.

Słowacki II: Co poeta ma przed sobą?

Uczennica: Perspektywy rozwojowe.

Słowacki II: Co poeta ma za sobą?

Uczennica: Masy pracujące.

Słowacki II: Na czym poeta stoi?

Uczennica i Słowacki II: Na mocnym gruncie ideologicznym.

Uczennica: To jest Słowacki! Tak, poznałam go od razu – Słowacki z podręczników szkolnych, z krytyk literackich, referatów i dyskusji! Znamy go wszyscy.

Słowacki II:

Jam trybun ludu  
jest, co wynika  
jasno ze wszystkich  
stron podręcznika.

Jako bojownik  
postępu świadom,  
wciąż ulegałem  
Engelsa radom.

Jam tytan czynu,  
nie synek mamin,  
w tym sensie ze mnie  
zdawaj egzamin!

Uczennica: Taki egzamin na piątkę złożę. (*Do Słowackiego 1*) I co wy na to?

Słowacki I: Smutno mi, Boże.

Uczennica:

Ja, owszem, waszą  
poezję czuję,  
lecz sza! bo jeszcze  
oberwę dwóję.

Poety bóle  
podręcznik gromi,  
miłość w ogóle...

Słowacki I: Boże, smutno mi.

Słowacki II:

Egzamin nieco  
zrobimy szerszy:

Kim był Mickiewicz?

Uczennica: Przodownik wierszy.

Słowacki II: Współzawodnicząc z nim, kto mu uległ?

Uczennica: Słowacki Juliusz.

Słowacki I: O rany Julek!

Uczennica:

Nie trudź się, wieszczu:

w ogniu krytyki

w odstawkę pójdą

te podręczniki.

Nie będzie dla nich

miejsca na ziemi.

Słowacki I: Uff, odetchnąłem!

Słowacki II: Smutno, Boże, mi...<sup>306</sup>

**Przykład 229. Andrzej Jarecki – *Dziedziczne cechy polityczne.*  
Fragmenty programu „Prostaczkowie”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1954)**

Ojciec: Kiedy byłem studentem, uważasz, Antosiu, tośmy nic, tylko się bawili.  
Powiadam ci...

Antoś: No a egzaminy tatuś zdawał?

Ojciec: liiii, nie, kto by tam zdawał... To znaczy tak, oczywiście, co ja mówię – no, zdawałem, ma się rozumieć!

Antoś: I jakie tatuś miał stopnie?

Ojciec: Same piątki, naturalnie, same piątki!

Antoś: Bo ja... tego... Muszę się przyznać – oblałem dzisiaj matematykę.

Ojciec: Co? No, tak. Tego się doczekałem. Ja! Oblałem matematykę. I czym ty się właściwie zajmujesz?

Antoś: Jak to czym? Tak samo jak tatuś: bawię się...

Ojciec: Antoś! Więc ty nie rozumiesz, że to była kapitalistyczna Polska?<sup>307</sup>

<sup>306</sup> S. Grodzieńska, J. Minkiewicz, *Smutno mi, Boże*, [w:] L. Klekow (oprac.), *Psychiczna zadra. Z programów Warszawskiego Teatru Satyryków*, Czytelnik, Warszawa 1955, s. 198–201. Por. S. Grodzieńska, J. Minkiewicz, *Smutno mi Boże*, [w:] R.M. Groński, *Od Siedmiu Kotów do Owcy. Kabaret 1946–1968*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1971, s. 217–221; S. Grodzieńska, J. Minkiewicz, *Smutno mi Boże*, [w:] A. Marianowicz, E. Lipiński (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1958*, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, Warszawa 1958, s. 158–163.

<sup>307</sup> A. Jarecki, *Dziedziczne cechy polityczne*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., dz. cyt., s. 31–32.

**Przykład 230. Andrzej Jarecki – *Komisja Przydziału Pracy.*  
Fragmenty programu „Prostaczkowie”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1954)**

*(Akcja rozgrywa się na dziedzińcu Uniwersytetu. Tłum złożony z absolwentów i członków Komisji Przydziału Pracy tańczy walca. Po zakończeniu członkowie podchodzą do siebie i przedstawiają się publiczności. Studentki, chcąc się najlepiej przed nią zaprezentować, śpiewają).*

Jedna z dziewcząt

Uroda, wysoka kultura,  
motyle warszawskiej ulicy.  
Architektura  
to bzdura –  
my jesteśmy ozdobą stolicy...

Dziewczęta

My jesteśmy absolwentki, absolwentki,  
stój, staruszkule nazbyt prędki!  
Stój, staruszkule, odwróć oczy,  
bo cię tutaj zauroczym.  
Jakie buzie, jakie nóżki!  
Idź, staruszkule, do staruszkule,  
byś nie nabrał zdrożnej chętki –  
my jesteśmy absolwentki!

*(Dziewczęta śpiewają refren, po czym wybiegają. Do członków Komisji podchodzi grupa Smutnych Bez Pleców).*

Smutni (śpiewają)

Nikt w naszej sprawie nie zadzwoni,  
nie szepnie, nikt się nie ukloni,  
nie ściśnie rączki, nie pochwali,  
nikt się nad nami nie uzali.  
Bo my nie mamy pleców  
i takich jak my speców,  
najgorszy czeka pracy dział... [...]

*(Po wyjściu Smutnych Bez Pleców do członków Komisji podchodzi grupa Aktywistów).*

**Aktywiści (śpiewają)**

Jedźmy w teren w imię planu,  
 niech się święcą kadry nowe!  
 Bierzmy przydział od tych panów  
 i zasługi krzyż na drogę!  
 (*Stają zwrócenii twarzami w cztery strony świata*).  
 Czeka północ i południe, wschód i zachód!  
 Kto w Warszawie chciałby zostać, jest ofiarą!  
 W teren, brachu! W teren, brachu! W teren, brachu!  
 Porzuć miłość, a nadzieję połącz z wiarą! [...] <sup>308</sup>

**Przykład 231. Antoni Marianowicz – *Wymiana*.  
 Fraszka nawiązująca do publikacji  
 „Pamiętnika uczennicy” w „Nowej Kulturze” <sup>309</sup> (1954)**

W „Płomyku” – legion sędziwych ciotek,  
 W „Nowej Kulturze” – jeden podłotek.  
 Na tej wymianie robią dorośli  
 Interes lepszy od latorośli <sup>310</sup>.

**Przykład 232. Sławomir Mrożek – *Profesor*. Scenariusz  
 do przedstawienia teatryku Bim-Bom (1954–1956)**

Obsada: Uczeń – E. Krzemiński; Profesor – T. Wojtych; Dyrektor Szkoły – Kogut – W. Bielicki; Głos I, II, III, IV – Zespół.

(*Na proscenium, na tle zamkniętej jeszcze kurtyny pojawia się Uczeń. Niebieski mundurek, białe pończochy, w rękę proca*).

Uczeń: Była lekcja matematyki. Była jesień. Padał deszcz. W piecach jeszcze nie palono. Nikt z nas nie odrobił domowego zadania. Pan profesor zapowiedział: każdy przyjdzie do tablicy i dostanie trzy zadania. Logarytmy. Wyróżniki.

<sup>308</sup> J. Abramow-Newerly, *Lwy STS-u...*, dz. cyt., s. 142–143.

<sup>309</sup> 29 września 1953 r. w piśmie Związku Literatów Polskich „Nowa Kultura” ukazał się anonimowy artykuł ze wstępem Tadeusza Konwickiego *Pamiętnik uczennicy*. Tekst został dostarczony przez dziennikarkę i socjolożkę Dorotę Zabłocką-Skupieńską. Autorka (?) pamiętnika opisała wesołe życie młodzieży w podwarszawskim miasteczku, skarżąc się na brak ZMP. Artykuł uznano za skandaliczny i godzący w socrealistyczne kanony, a dotyczące go komentarze przyczyniły się do odwilży politycznej w środowisku artystycznym. Zob. Anonim, *Pamiętnik uczennicy*, „Nowa Kultura”, nr 48/1953, s. 3–4.

<sup>310</sup> A. Marianowicz, *Wymiana*, [w:] tegoż, *Satyry*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954, s. 208.



Wielomiany. Deszcz. I był tylko jeden sposób. Wiedzieliśmy o tym wszyscy. I tego właśnie dnia postanowiliśmy się nim posłużyć. Widzę jeszcze Pana Profesora, jak wchodzi do klasy, staromodny, mały... Panie Profesorze, czy Pan nie pamięta? To ja byłem tym, który odkrył, że Pan Profesor tak bardzo lubił opowiadać o mieście swojej młodości. Mieście, w którym Pan Profesor był tylko jeden raz. O Wiedniu.

Od chwili, kiedy poznaliśmy ten sekret, Pan Profesor nie umiał się już bronić. Bo my, ze strachu przed matematyką, cynicznie wzruszaliśmy Pana Profesora. „Panie Profesorze, jeszcze o Burgu! Panie Profesorze, jeszcze o Bahnhofie! Panie Profesorze!” Aż ustępował i zaczynał opowiadać, zapalał się, błyszczały mu binokle. A my tymczasem, już uspokojeni, graliśmy w guziki, puszczaaliśmy papierowe strzały i scyzorykiem wyrzynaliśmy na ławce ten slogan „Laokoona mamy w grupie – A twój Wiedeń”... No cóż, nie byliśmy wybredni. Tak bywało zawsze. Aż raz... Wszedł do klasy bardziej przygarbiony niż zwykle. W piecach jeszcze nie palono. Szyby zaszyły mgłą. Logarytmy, wyróżniki, wielomiany... Pachnie atrament i kreda. Padał deszcz...

*(Kurtyna w górę. Scena przedstawia klasę gimnazjum. Na tle wiszącej w głębi czarnej kotary, białymi listewkami zarysowane widnieją profile kilku ławek szkolnych i katedry profesorskiej. Dalej w głębi na kilku ławeczkach siedzą parami gimnazjaliści. Jednakowo ubrani, mundurki z wysokimi kołnierzami, spodnie spięte tuż pod kolanami, długie białe skarpetki i czarne kamasze. Nad nimi, na czarnym tle kotary, coś jakby chmurka, co przeniknęła do klasy, w części pokryta tiulem, a w części pozorująca fragment tablicy szkolnej z napisem  $\log(x+y)=A$  e  $(+c)$ . Za pulpitem katedry stoi Profesor. Szare, za długie, niezgrabne spodnie, siwe włosy, zniszczony tużurek-frak, staromodna wstążka pod szyją. U jego stóp globus, Z tyłu, w głębi za nim drzwi na korytarz. Profesor przekłada podręczniki, katalogi... Mówi na pół ze złością, gderząc).*

Profesor: Wiedeń, Wiedeń! No cóż, Wiedeń!

Chór głosów: Panie Psoorzeeee...!

Głos I: Bardzo prosimy Pana Profesoraaaa!

Chór głosów: Psimyyyy!

Głos II: Jak było w Praterzeeee!...

Chór głosów: ...w Praterzeeee!...

Głos III: W Schonbrunieeee!...

Chór głosów: Bruniee!...

*(Profesor kreci głową, zniecierpliwiony)*

Głos IV (z kąta, dyszkantem): I Wurcle!!!

Chór głosów (błagalnie): Panie Psoorzeeee!...

*(Profesor kręci głową, powtarza już łagodniej)*

Profesor: Wiedeń... *(patrzy w okno; powtarza jeszcze raz, w zamyśleniu)*

Wiedeń...

*(Za oknem słyhać odgłosy kopyt dorożkarskiego konia, klaszczących po mokrym asfalcie. Efekt wycisza się. Profesor mówi dalej, raczej do siebie).*

Profesor: Taak. Kto by wtedy pomyślał... Fiakrem do Kronprinz, elektryczny tramwaj dzwoni, bruki lśnią... Ogromne czarne parasole, takie parasole... *(pokazuje rękami, jakby pokazywał, jaką dużą rybę złapał)* ...Co ja mówię, większe... chyba takie! Deszcze o budę: tap-tap-tap-tap-tap... Chwileczkę. Albo tak: tip-tap-tip-tap-tip-tap...

*(Uczeń. Głos I, z ostatniej ławki, do kolegi scenicznym szeptem).*

Głos I: O tym jeszcze nie było!...

Profesor: Wiedeń... A tu już Kaiser Platz i kocz, fiakry, landary, karoce, a ówdzie automobil: piit-piiit, patrzcie państwo! Z góry liliowa mgła, niżej gazowe lantarnie, kule żółte i blask od mokrego kamienia. I szum. A tak! Szum! Hippr! Hej! A co to takiego, człowieku! A dalej przejechać nie sposób. Nie sposób? Dalej, dalej, czy nie widzisz, że ja także do Burgteatru? – Do Burgteatru! Jaaa, właśnie do Burgteatru! Do Burgteatru... Przy wejściu tłok...

*(Podkręca nie istniejącego węża).*

Tu wchodzi damy. Na futrach deszczu krople, u sukien długi tren. I syczy gaz – w pas biją nam szwajcarzy. I ostróg dźwięk po schodach marmurowych. Kołują w lustrach ogony strusich piór. W foyer już krawat się poprawia... *(Poprawia sobie krawat)*. I jeszcze krok, do łoży.

Głos I *(zasłuchany)*: Do łoży!

Profesor: Oczywiście! Miałem wtedy dwadzieścia lat! *(Profesor, który dotychczas siedział, teraz wstaje, wyciąga ręce przed siebie, mruży oczy, chwilę milczy)*.

...Trzy piętra wzwyż! Partery i galerie! W purpurze obić – alabastrowe czoła dam. I torsów biel, fraków pola czarne – dewizek połysk i lornetkowych szkielec. Gorący szum wachlarzy szybkie ruchy, kolczyki drżą, gasną i płoną drogie kolie... Siadamy...

*(Siada).*

...program *(przysuwa sobie katalog szkolny)* sprawdza się mankiety... *(poprawia sobie rękaw znacząco)* ...Ktoś patrzy przez lorgnon... *(zrywa się nagle w swoim porywie entuzjazmu, gestykuluje)*. Te wszystkie srebra, migotania, kaskady światła z lamp-kariatyd, iskierki, bliki, fajerwerki, blików miliardy, te zwierciadła i wszystko razem, panie święty, to jakby cała góra światła! Na samym szczycie pajak wielki, z kryształu, chyba na sto świec! Cały teatr był jak gwiazda...

Głos II (z przejściem): ... jak gwiazda?...

Profesor (zawstydzony): Naturalnie. A przed samą sceną było miejsce dla orkiestry.

*(Uczniowie coraz bardziej zasłuchani, podpierają brody rękami, wychylają głowy do przodu, żeby lepiej słyszeć).*

Z mej łoży świetnie widać było. Różne tam były instrumenty, kotły i smyczki, wiole, bębny... Już coś tam słyszać... Najpierw skrzypce, to znów waltornia, panie święty... To pierwsze próby instrumentów. O!

*(Naśladuje głosy instrumentów, charakterystyczne przed rozpoczęciem występu)...* Rozmaicie. Także...

*(Zasłuchany, przykładą palec do ust)...* Ciiii... To znowu jakby śpiewał ptak. (Gwiżdże). Strumyczek... Gaik... *(a potem w rozbawioną salę, tu imituje perkusję bębniąc głośno po katedrze)* Grzmi ostrzegawczo bębna huk!! Hahaaa!

*(Rzy zwycięsko, rozgrzany perkusją, potem nagle mówi, z przejściem, cicho).*

Wtem patrzę... Widzę dyrygenta! Jakby dmuchnięto lekko w lampy. Zapada półmrok. Cichnie gwar. Kurtyna podświetlona nagle bordowym jasnym prostokątem przyciąga wzrok. U samej rampy – wstaje sylwetka dyrygenta. I pachnie kurz, gorących perfum mieszanina. Z szelestem kart wertuje chwilę partyturę. Podnosi ręce, daje znak... Tak się zaczyna uwertura.

*(Zaczyna nucić. Nuci coraz śmieiej. Zaczyna dyrygować. Coraz energiczniej, swobodniej. Uczniowie najpierw kiwają głowami do taktu, potem wchodzi w pierwsze partie głosów. Murmurando. Potem coraz wyraźniej imitują poszczególne instrumenty. Crescendo. Profesor z wolna zupełnie wchodzi w swoją rolę, prawdziwego dyrygenta kierującego prawdziwą orkiestrą. Wreszcie przy fortissimo, zaczyna wołać w ostatecznej ekstazie, nie przerywając dyrygowania, tylko przekrzykując orkiestrę).*

I oto kurtyny pierwsze drgnienie. Powoli... w górę... Od kinkietów już się odrywa ciężki plusz. Zaraz się zacznie przedstawienie! I coraz głośniej, pełniej, śmieiej, już – widać scenę!!! A na scenie...

Dyrektor Szkoły (staje w drzwiach): Panie Profesorze! (Wszystko się urywa. Profesor, oszołomiony, nie wraca jeszcze do rzeczywistości. Tkwi nieruchomo z rękami wzniesionymi). – Proszę natychmiast ze mną do gabinetu!

*(Profesor nieco przytomnieje, zbiera niezgrabnie katalogi, książki i ołówki. Ręce mu drżą. Patrząc przed siebie schodzi z katedry i przechodzi przez proscenium. Wychodzi za Dyrektorem, który odwraca się i pierwszy wychodzi. W tym momencie widać na głowie Dyrektora mały koguci grzebień. Uczniowie odprowadzają wzrokiem Profesora w ciągu całego przejścia przez proscenium.*

*Po wyjściu Profesora siedzą przez chwilę wytrzymałą dość długo, z głowami skręconymi w ramionach, wpatrując się w drzwi. Wreszcie jeden z nich wstaje i mówi głośno, prawie beznamiętnie, z lekką mieszaniną obiektywizmu, respektu i zdziwienia).*

Uczeń: Ale se zagrał!!!<sup>311</sup>

### **Przykład 232a. Krystyna Żywulska – *Nauczycielka* (1954)**

Pewna debiutująca autorka złożyła w wydawnictwie rękopis swojej książki. Wydawnictwo wyznaczyło redaktora odpowiedzialnego książki.

Podczas pierwszej rozmowy redaktor odpowiedzialny powiedział do autorki: – Całość jest możliwa i nie sądzę, żebyśmy wiele musieli nad nią pracować. Trzeba jednakże koniecznie zmienić scenę z nauczycielką. Idzie o to, że nauczycielka jest postacią nieżywiową. Jest zbyt cukierkowa, zbyt miła i słodka. Moim zdaniem nauczycielka w tym wypadku powinna być raczej postacią negatywną, co spowoduje świetny kontrast ze sceną poprzednią.

Autorka przeczytała omawiany fragment, który brzmiał: „Nauczycielka rozejrzała się po klasie swoim ciepłym, dobrym wzrokiem. Wszystko tego pamiętnego dnia wydawało jej się przyjemne i serdeczne. Roześmiane twarze chłopców, odgłos dzwonka, który jeszcze rozlegał się na korytarzu, a nawet gwar głosów dobiegających z ostatnich ławek. Radość promieniejąca z jej oczu udzieliła się uczniom. – Podejź do mnie, Grzesiu – rzekła uśmiechając się – miałeś trudności z tym zadaniem? – Nie, proszę pani – odpowiedział Grzes – po pani wyjaśnieniach wszystko wydawało mi się proste i łatwe”.

– Wydaje mi się, że scena ta wiąże się ściśle z całością i że nauczycielka nie może być inna – próbowała przekonywać redaktora autorka.

– Zmienimy to, a całość zyska na prawdzie życiowej i będzie pani wdzięczna wydawnictwu – zapewniał redaktor odpowiedzialny.

Wobec tego autorka zmieniła tekst, który po poprawkach brzmiał: „Nauczycielka spojrzała na klasę złym wzrokiem. Wszystko tego niczym nie różniącego się od innych dnia wydawało jej się ponure i obce. Smutne twarze chłopców, odgłos dzwonka, który jeszcze rozlegał się na korytarzu, gwar głosów dobiegających z ostatnich ławek – działały jej na nerwy. Jej zły nastrój udzielił się uczniom. – Podejź tu, Grzesiu – rzekła groźnie – na pewno nie odrobiłeś zadania, bo jesteś leń i nie uważasz na lekcjach. – Nie, proszę pani – odpowiedział Grzes – nie odrobiłem, bo nic nie rozumiem z tego, co pani mówiła na ostatniej lekcji”.

<sup>311</sup> S. Mrozek, *Profesor*, [w:] R.M. Groński, *Od Stańczyka...*, dz. cyt., s. 240–246.

Po trzech miesiącach poproszono autorkę do wydawnictwa. Tym razem rozmawiał z nią redaktor działu, w którym wychodziła książka. Redaktor działu powiedział: – Książka jest słaba i trzeba będzie nad nią bardzo popracować. A najstraszniejsza jest ta scena z nauczycielką. Po cóż my mamy pokazywać takich ludzi, kiedy jest tyle miłych nauczycielek. Kto by swoje dziecko powierzył takiej nauczycielce? Czy pani sama nie czuje, że to jest postać sztuczna i zupełnie nie wiąże się z całością książki?

– W pierwszej wersji nauczycielka była inna i została zmieniona po uzgodnieniu z redaktorem odpowiedzialnym – wyjaśniła autorka.

– Może była zanadto przecukrzona i przez to nieżyciowa – powiedział redaktor działu. – Należy znaleźć jakieś wyjście pośrednie i scenę tę poprawić bezwzględnie.

Autorka znów zmieniła tekst, który brzmiał teraz jak następuje: „Nauczycielka popatrzyła po klasie nic nie mówiącym wzrokiem. Wszystko tego małego w gruncie rzeczy ważnego dnia wydawało jej się jak zwykle nieistotne. Twarze chłopców bez wyrazu, odgłos dzwonka, który jeszcze rozlegał się na korytarzu – nic ją nie obchodziły. – Podejź, Grzesiu – rzekła obojętnie – jak właściwie jest z tym zadaniem? – Odrobiłem, ale nie wszystko – powiedział Grzes – bo z tego, co pani mówiła na ostatniej lekcji, zrozumiałem tylko trochę”.

Po trzech miesiącach poproszono autorkę do wydawnictwa. Redaktora działu nie było, rozmawiała więc z jego zastępcą. Zastępca redaktora działu powiedział: – Książka jest zupełnie możliwa, tylko bardzo mi się nie podoba ta scena z nauczycielką. Nie wiadomo, jaka ta nauczycielka jest. Zła czy dobra, sympatyczna czy niesympatyczna. Scena ta jest sztuczna, nieżyciowa i właściwie nijaka. Ja bym radził ją po prostu usunąć, a książka bardzo na tym zyska.

Autorka wyrzuciła scenę z nauczycielką zadowolona, że nie musi już więcej poprawiać. Po trzech miesiącach poproszono ją do wydawnictwa. Rozmawiał z nią zastępca redaktora naczelnego, z czego wywnioskowała, że książka na pewno już niedługo pójdzie do druku.

– Książka jest dosyć słaba – mówił zastępca redaktora naczelnego – a w jednym miejscu jest wyraźna luka. Kto uczył małego Grzegorza, bohatera powieści, skąd właściwie czerpie on swoją wiedzę o życiu? Moim zdaniem tak uczyć go mogła tylko miła, dobra nauczycielka, która powinna być wprowadzona jako postać do książki. Musi pani koniecznie wstawić jakąś scenę z nauczycielką. Sądzę, że nie będzie to dla pani trudne.

– Nie, nie będzie trudne – powiedziała autorka i przywróciła swój pierwotny tekst z rękopisu.

Po trzech miesiącach poprosił autorkę o rozmowę redaktor naczelny wydawnictwa.

– Widzi pani, jak to dobrze – powiedział – kiedy wydawnictwo pracuje z autorem. Po naszej współpracy książka jest świetna, no i doskonale wypadła ta scena z nauczycielką. Wprawdzie upłynęło dwanaście miesięcy, ale za to teraz możemy książkę z czystym sumieniem wydrukować<sup>312</sup>.

### **Przykład 232b. Krystyna Żywulska – *Odczyt popularny* (1954)**

Andrzej miał wolne popołudnie. Poszedł na popularny odczyt, na który wstęp był wolny. Usiadł wygodnie i słuchał. Bardzo przyjemny pan bardzo przyjemnym głosem mówił: – Nie wiadomo, czy wszyscy zdają sobie sprawę, że przyczynkarskie archiwowanie dialektycznego materiału jest przeciwne żywiołowemu dualizmowi jak również idealizmowi i animizmowi. Wszyscy chyba rozumieją, że elementy perspektyw zasadniczych krzyżują się niedostrzeżenie z problematyką o dynamice kształtującej się w warunkach specjalnych.

– Dlaczego? – spytał Andrzej głośno.

– Jak to? Przecież to jasne. Procesy zachodzące w refleksach eksperymentalnych, zarówno w konstrukcji poznawalnej, jak i w aspekcie formalizmu, stwarzają światopogląd o motywach potęgujących ich rozwój.

– Czy to możliwe? – zdziwił się Andrzej.

– Naturalnie. Przecież gdybyśmy nie stosowali systemu rozważań o znaczeniu deformacji stanów imaginacyjnych, nigdy nie doszlibyśmy do tak imponujących rezultatów.

– Jakich? – spokojnie zagadnął Andrzej.

– Jakich? – zdenerwował się wykładowca. – I pan jeszcze ma wątpliwości? Dlaczego nikt oprócz pana nie zadaje tak zawiłych i skomplikowanych pytań? Moje proste wywody zmierzają do wyjaśnienia, że imponujące rezultaty nowoczesnych form oddziaływania na tematykę z dziedziny zjawisk interpretujących zahamowania obiektywne nie mają nic wspólnego z jarzmem wyciskającym swe piętno na wszechstronnym identyfikowaniu.

– A ja myślałem, że mają – rzekł Andrzej posępnie.

– Boże, co za człowiek – denerwował się coraz bardziej popularny wykładowca. – Nie rozumie, że zakłamaný kompromis świadomości jest stokroć ważniejszy od struktury statycznej, odzwierciedlającej koncepcję tradycji naturalistycznych.

– Trzeba było od razu tak mówić – powiedział Andrzej. – Bo ja do dziś byłem przekonany, że schemat pseudokonwencjonalnych analiz składa się z czynników deprawujących alegorię mistyfikacji, czyli wkracza w personalizm sofizmatów.

<sup>312</sup> K. Żywulska, *Nauczycielka*, [w:] *też*, *Tu mówi życzliwy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954, s. 130–133. Por. przykład 240.

Po czym opuścił salę.

– Co się stało? – rozległ się szept w krzesłach.

– Posprzeczali się na temat odczytu.

– A o czym właściwie mówił referent?

– O hodowli królików<sup>313</sup>.

### **Przykład 233. Jan Bester – *Ballada pedagogiczna* (1955?)**

Długo mówiono o młodzieży,  
Jak postępować z nią należy.  
Starsi panowie, pulchne panie  
Formułowali swoje zdanie –  
Że wychowawcze zmieniać normy,  
Że śmiało chwycić nowe formy,  
Że zamiast łajać, lepiej wzruszać,  
Że delikatnie (nie przymuszać!),  
Że nam potrzebny jest od teraz  
Typ syn-te-tycz-ny bohatera,  
Że młodych lat energię wszystką  
Należy ująć (w co?) w łożysko,  
Że ciągnąć takich do świetlicy,  
Co łążą z nudów po ulicy,  
Że książki czytać im (za karę!)  
I że rozrywki (ile?) w miarę.  
A każdy wzywał gestem ręki  
Na świadka – portret Makarenki,  
Który, co prawda, w tym pokoju  
Jakby się trochę czuł nieswojo.  
Im dłużej zaś tak rozprawiali,  
Tym młodzież była dalej... dalej...  
W gęszczu fachowych uwag nikła  
I za wykładem leciał wykład.  
Nagle  
brzdęk!!!  
szyba się rozprysła.  
Kamień poleciał między krzesła.  
Przez okno wtargnął powiew świeży,

<sup>313</sup> Taż, *Odczyt popularny*, [w:] tejże, *Tu mówi...*, dz. cyt., s. 92–93.

Dostojnej braci włosy zjeżył...  
 -----

I trwał namiętny spór do rana  
 O definicję chuligana!

KOMENTARZ: Autor wcale nie solidaryzuje się z osobnikiem, wybijającym okna w czasie narady pedagogów, uważa bowiem, że przerywanie wszelkich obrad jest godną napiętnowania niegrzecznością<sup>314</sup>.

### **Przykład 234. Wiesław Brudziński – *Trzy rozmowy z nauczycielem Nowakiem (1955?)***

I

Nowak, Kulebiak

(*Dzwonek telefonu, Nowak bierze słuchawkę. Głos Kulebiaka w słuchawce*).

K: Czy pan profesor Nowak?

N: Przy telefonie.

K: Mówi Kulebiak. Prochowce nadeszły, co to pan profesor się pytał.

N: Bardzo się cieszę, bo już myślałem, że nigdzie nie dostanę.

K: Właściwie już są rozsprzedane, ale dla pana profesora jeszcze się jeden znajdzie. Specjalnie schowaliśmy. No, tak, trzeba pamiętać o naszych tych... wychowawcach młodego pokolenia, no i w ogóle, żeby mieli co włożyć na to ciało pedagogiczne. Tak. Proszę przyjść koniecznie, bo i tak się narażam. Może się zjawić kontrola i ten prochowiec znaleźć. Ale czego się nie robi dla kochanego wychowawcy pokoleń. Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć? Aha. Jak tam mój Kazik?

N: Przykro mi, ale chłopiec się zupełnie zaniedbał. Musiałem mu postawić dwójkę.

K: Co? Będzie miał dwójkę na półrocze! Wychowawco, to niemożliwe!

N: Niestety, decyzja już zapadła.

K: Decyzja zapadła? To bardzo niedobrze. No to do widzenia.

N: Zaraz, zaraz, a co będzie z tym...

K: Z czym?

N: No, z tym prochowcem.

K: A, z prochowcem. Bardzo przepraszam, ale właśnie dowiaduję się od ekspedientki, że ten ostatni prochowiec już został sprzedany. Tak. Może jeszcze nadejdą.

<sup>314</sup> J. Bester, *Ballada pedagogiczna*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1955*, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, Warszawa 1955, s. 217. Por. przykład 298.



N: Nie wie pan kiedy?

K: Nie wiem. Trzeba się dopytywać, nic z nieba nie spada. Do widzenia.

## II

Nowak, Matka ucznia

M: Pan profesor czeka na tramwaj, ja też. Pan profesor trochę mizerny, zamęczają pewnie prośbami o protekcję, prawda, panie profesorze, nie dają spokoju. W szkole, w domu, na ulicy...

N: Nawet na przystanku.

M: Właśnie. Nawet na przystanku. Co to za ludzie! Pan profesor będzie jutro na zabawie organizowanej przez nasz komitet? Pan profesor musi być znakomitym tancerzem.

N: Dlaczego?

M: No, z taką figurą!

N: Niestety, nie tańczę.

M: Nie szkodzi, my już profesorka nauczymy. Bo ja tańczę namiętnie. W ogóle mnie pociąga praca społeczna. Jak moi Jureczek skończy szkołę, to nie wiem, co będę robiła. Te zabawy gdzie indziej takie podłe. A jak tam mój Jureczek, panie profesorze, wyrównał z polskiego?

N: Wyrównał, do innych dwój. Pani syn, Jurek, jest najgorszym uczniem w klasie.

M: Panie profesorze!

N: Nawet z rysunków ma dwójkę, nie mówiąc o innych przedmiotach. Nie zdarzyło się jeszcze, aby choć raz odpowiedział na pytanie.

M: Dziecko nie lubi popisywać się swoją wiedzą.

N: I zachowuje się skandalicznie. Przed tygodniem domalował na portrecie Mickiewicza brodę i wąsy.

M: A pan profesor mówi, że nie umie rysować!

N: Lekcji nie odrabia. Czy pani kontroluje go kiedy? Wczoraj na przykład nie napisał wypracowania.

M: Wczoraj nie było mnie w domu. Z ramienia komitetu kontrolowałam warunki, w jakich dzieci odrabiają lekcje w domu.

N: A w ogóle, jak tak dalej pójdzie, syn pani nie przejdzie do następnej klasy.

M: To straszny cios dla mnie. A jaka jest na to rada, panie profesorze?

N: Syn pani musi się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć!

M: Uczyć? Ładna historia! Czy ja po to tracę czas na ten komitet rodzicielski, żeby mój syn miał się uczyć, jak każde dziecko?!

III

Brzeszczot (*mówi do telefonu*): Czy towarzysz Nowak? Tutaj Brzeszczot. Chciałem was zapytać o postępy mojego syna, Chwalisława. Podobno ma dwójkę. Tak? A więc to prawda. Z początku nie chciałem wierzyć. Mój syn ma dwójkę, podczas gdy dzieci prostych bezpartyjnych mają czwórki, a Pietrusiewicz, taki środowiskowo obcy syn chwiejno-liberalnego inteligenta ma piątkę! Co? Pietrusiewicz dobrze się uczy? A co, jeszcze miałby się źle uczyć! Ja tylko się zastanawiam, czy to nie jest jakaś wroga robota. Tak. Acha, co to ja wam chciałem powiedzieć. Nie byliście wczoraj na szkoleniu. Co? Pomagaliście słabszym uczniom w szkole? To was nie zwalnia z obowiązku przychodzenia na szkolenie. Zanedbujecie się ideologicznie. Nie, nie, zajmujecie oportunistyczne stanowisko. Waszym zdaniem tych rzeczy pewno nie można pogodzić, co? I w ogóle jesteście pewnie przeciwni szkoleniu, prawda? To wszystko razem bardzo dziwne. Trzeba będzie tę sprawę postawić. Do widzenia<sup>315</sup>.

### **Przykład 235. Jerzy Jurandot – *Rzecz wstydliva*.**

#### **Fragment programu Warszawskiego Teatru Satyryków (1955?)**

My jesteśmy naród, który  
Z natury nie jest ponury.

Tylko że wciąż we krwi mamy  
Wszystkie narodowe dramy.

Nie zachwyci żadna draka-ć,  
Bo szlachetniej się popłakać.

Nie porwie rozrywka płocha-ć,  
Bo podniosłej się rozszlochać.

Do tragedii ciągnie coś cię,  
Bo to jakoś w lepszym guście.

<sup>315</sup> W. Brudziński, *Trzy rozmowy z nauczycielem Nowakiem*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1955*, dz. cyt., s. 181–182. Por. fragment skeczu opublikowany osobno: tenże, *Spółeczniczka*, [w:] tegoż (oprac.), *Na fali humoru i satyry. Z repertuaru radiowej spółdzielni satyrycznej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955, s. 53–54.

I entuzjazmuje ból cię,  
Boś wychowan w jego kulcie.

Zasię śmiech – to rzecz wstydliva,  
Z którą każdy się ukrywa.

Bo to zawsze coś gorszego.  
A cholera wie dlaczego!<sup>316</sup>

### **Przykład 236. Tadeusz Kotarbiński – \* \* \* (1955?)**

Uczą pedagogowie, nakazują sejmy,  
By każdy dla każdego równie był uprzejmy.  
Hasło równości przejął pewien biurokrata  
I uczciwie wszystkim jednako pomiata<sup>317</sup>.

### **Przykład 237. Ziemowit Kuniński – *Piosenka o „społecznicach”*. Fragment programu radiowej spółdzielni satyrycznej (1955?)**

Najdroższy mój synalek  
Nie uczy się wcale,  
Więc żeby mu dopomóc  
Nie siedzę już w domu,  
Lecz jestem aktywistką  
I robię już wszystko,  
Gdzie tylko coś społecznie,  
Bezsprzecznie  
Tam ja:

W dzielnicy, w świetlicy,  
Tam można na mnie liczyć,  
I w Lidze Kobiet działałam też,  
Na akademii powiem wiersz,  
W kontroli przedszkoli,  
I gdzie kto tylko woli,  
Zaświadczyć może cały dom,  
Że zbieram również złom.

<sup>316</sup> J. Jurandot, *Rzecz wstydliva*, [w:] L. Klekow (oprac.), dz. cyt., s. 3.

<sup>317</sup> T. Kotarbiński, \* \* \*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 301.

Bo grunt, powiedzmy szczerze,  
 To – wszędzie należeć,  
 Choć to społeczna praca,  
 Niech też się opłaca.  
 Dzięki tej pracy łatwiej  
 Swe sprawy załatwisz,  
 Bo czy odmówi kto mnie,  
 Gdy wspomnę,  
 Że ja:

W dzielnicy, w świetlicy  
 Tam każdy na mnie liczy,  
 I w Lidze Kobiet działałam też,  
 Na akademii powiem wiersz,  
 W kontroli przedszkoli,  
 I gdzie kto tylko woli,  
 Zaświadczyć może cały dom,  
 Że zbieram również złom.

Chcąc stopnie złe synkowi  
 Poprawić cokolwiek,  
 Mówiłam wszystkim w szkole  
 O swoim mozole,  
 Odrzekli, że to cenią,  
 Lecz stopni nie zmienią.  
 Niech wiać szukają innych  
 Tak czynnych,  
 Bo ja:

(z płaczem)

W dzielnicy, w świetlicy  
 Niech na mnie nikt nie liczy,  
 Skończyłam z Ligą Kobiet też,  
 I niech kto inny mówi wiersz,  
 W kontroli przedszkoli  
 Niech męczy się, kto woli,  
 I już beze mnie cały dom  
 Niech sobie zbiera złom<sup>318</sup>.

<sup>318</sup> Z. Kuniński, *Piosenka o społecznicach*, [w:] W. Brudziński (oprac.), *Na fali...*, dz. cyt., s. 55–56.

**Przykład 238. Antoni Marianowicz – J.N.G. (1955)**

I

Rzekł do uczniów nauczyciel  
wzniośle tak, jak tylko mógł:  
„Wszystko to, co stworzył Bóg,  
jest zrobione znakomicie.

Nie ma skazy na tym cudzie,  
wszystko jest bezbłędne w krąg:  
błękit nieba, zieleń łąk,  
zwierzę wszelkie oraz ludzie”.

Wtem wymowy tok mu przetnie  
głos garbuska z tylnych łąw:  
„A mnie czy w nawale spraw  
Pan Bóg stworzył też tak świetnie?”.

Baczenie spojrzął się na niego  
nauczyciel, łebski człek,  
po czym bez wahania rzekł:  
„Świetnie, jak na garbatego”.

II

Długo brak mi było tego  
hasła: „Jak na garbatego”.  
Dla wygody skróćmy je  
do trzech liter: „J. n. g.”.

Film nagrody dostał dwie.  
Arcydzielko. J. n. g.

Kupść się stale w górę pnie.  
Tytan prozy. J. n. g.

Bzdyl Romea zagrać chce.  
Ma warunki. J. n. g.

Obraz – mocna rzecz, no nie?  
Leonardo. J. n. g.

Kabarecik – he! he! he!  
Jest humorek. J. n. g.

O kulturo! Szkoda, że  
tyle w tobie J. n. g.

Człowiek cię łyżkami żarłby,  
Lecz go trochę peszą – garby...

### III

Zapytuję więc, dlaczego  
tworzy się arcydzieł stos tych  
świetnych JAK NA GARBATEGO,  
właśnie w imię ludzi PROSTYCH!<sup>319</sup>

### **Przykład 239. Zenon Michalski – *Świat deskami zabity.* Fragment programu „Nie mamy czasu” Studenckiego Teatru Satyrę Pstrąg (premiera grudzień 1955)**

Bardzo Ważna Osoba: Towarzysze! Jest trudna sytuacja. Podległy nam dom studencki jest koedukacyjny. Stwierdzono, towarzysze, że studenci chodzą do studentek i odwrotnie. Siadają tam na łóżkach studentek. (*Oburzenie*). Tak, tak, towarzysze. Budzi to zdrożne myśli. Trzeba więc pokoje studentów i studentek odgrodzić płótem z desek. Teraz dyskusja. Głos ma katedra literatury chińskiej.  
Sinolog:

Głową deski nie przebijesz,  
Nie przebijesz deski głową.  
Chociaż siły swe zużyjesz,  
Głową deski nie przebijesz.  
Że w tęsknocie wielkiej żyjesz  
Za dziewczyną? – Nic, to zdrowo.  
Głową deski nie przebijesz,

<sup>319</sup> A. Marianowicz, *J.N.G.*, [w:] tegoż, *Opowiadki spod ciemnej gwiazdki*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955, s. 92–93. Por. tenże, *J.N.G.*, [w:] tegoż (red.), *Antologia...*, dz. cyt., s. 131–133; tenże, *J.N.G.*, [w:] tegoż, *Królowa Bona umarła?*, Iskry, Warszawa 1973, s. 34; tenże, *J.N.G.*, [w:] tegoż, *Plamy na słończku. Wiersze, utwory estradowe, szopki, parodie, fraszki, humoreski, przekłady 1945–1956*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957, s. 158–159.

Nie przebijesz deski głową.  
Bardzo Ważna Osoba: Prosimy Katedrę Podstaw Mark... Proszę!  
Przedstawiciel Katedry Marksizmu:  
Jak nas uczy materializm,  
Jego prawa wszechdziejowe,  
W ruchu i w rozwoju stałym  
Może się narodzić nowe.  
Ja więc pomysł bardzo chwalę,  
Czas deskami dom przegrodzić.  
Deski zamkną ruch wspaniałe  
I nic się nie będzie rodzić.  
Bardzo Ważna Osoba: Proszę Katedrę Historii.  
Przedstawiciel Katedry Historii:  
Myśl jest słuszna, choć nie nowa,  
Znam przykłady takich czynów,  
Te zasady już stosowałam  
Zakon Ojców Kapucynów<sup>320</sup>.

### **Przykład 240. Janusz Osęka – *Lekcja przyrody* (1955)**

Pewien malarz dostał zamówienie na obraz o tematyce szkolnej. Obraz przedstawiać miał lekcję przyrody.

Malarz narysował dużą, jasną klasę szkolną, w której na ławkach siedziały dzieci. Koło tablicy stał nauczyciel i pokazywał dzieciom jakieś liście. Wykończywszy obraz malarz zawinął go w gazetę i zaniósł tam, skąd otrzymał zamówienie. Obraz podobał się. Jednak przyjęcie jego uzależniono od opinii rzeczoznawcy.

Rzeczoznawca, który miał ocenić obraz pod względem merytorycznym, za ledwie rzucił nań okiem, powiedział: – Stwierdzam, że dziewczynki i chłopcy siedzą tutaj razem na ławkach, co nie jest dydaktyczne. Należy ich rozsadzić: chłopcy po jednej stronie, dziewczynki po drugiej...

Ponieważ malarzowi zależało na tym, żeby praca jego nie poszła na marne, poszedł do domu i natychmiast przystąpił do rozsadzania dziewczynek i chłopców. Niektórym chłopcom domalował warkoczyki, zaś dziewczynkom skasował warkoczyki, natomiast dorobił spodenki. Wykończywszy obraz, zaniósł go do instytucji.

<sup>320</sup> Z. Michalski, *Świat deskami zabity*, [w:] W. Machejko, *Pstrąg. Studencki Teatr Satyry*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2005, s. 39–40.

Zaproszony rzeczoznawca spojrział na obraz krytycznie i rzekł: – Wprawdzie dzieci są teraz prawidłowo rozmieszczone, ale siedzą w nieprawidłowej pozycji. Podpierają się łokciami o ławki. Szkoła to nie karczma. Wszyscy uczniowie i uczennice powinni siedzieć prosto, z rękami założonymi do tyłu...

Malarz, któremu zależało na tym, żeby praca jego nie poszła na marne, wrócił natychmiast do domu i rozrobiwszy farby na palecie, powykrecał wszystkim dzieciom ręce do tyłu oraz wyprostował plecy. Wykończywszy obraz, pośpieszył do instytucji.

Rzeczoznawca popatrzył na płótno i rzekł: – Z zadowoleniem stwierdzam, że uczniowie i uczennice siedzą teraz w prawidłowym rozmieszczeniu, jak również wystarczająco prosto. Jednakże rażą mnie jeszcze następujące szczegóły: w tylnych ławkach klasy znajdują się trzy wolne miejsca, co nasuwa przypuszczenie nie usprawiedliwionej absencji. Poza tym twarz nauczyciela jest niepożrebnie uśmiechnięta. Nauczyciel nie powinien nigdy śmiać się podczas wykładu, chociażby go rozśmieszali niegrzeczni uczniowie...

Malarz zabrał obraz do domu, by dokonać poprawek, jakkolwiek zaczął się już nieco obawiać, że praca jego pójdzie na marne. Domalował troje brakujących dzieci i zmienił twarz nauczycielowi, który teraz pokazywał dzieciom jakieś liście z bardzo ponurą miną. Dokonawszy poprawek, malarz zawinął swe dzieło w gazetę i zmęczonym krokiem ruszył w kierunku instytucji.

Jak zwykle wysłuchano opinii rzeczoznawcy.

– Tak – zawyrokował rzeczoznawca – teraz jest wszystko dobrze...

– Dobrze? – ucieszył się malarz.

– ...z wyjątkiem jednego szczegółu – kontynuował spec. – Otóż lekcja przyrody, która jest przecież tematem obrazu, powinna w zasadzie odbywać się nie w zamkniętym pomieszczeniu, tylko w polu lub w lesie...<sup>321</sup>

### **Przykład 241. Tadeusz Polanowski – *O Planie 6-letnim* (1955)**

Książki, szkoły, świetlice i teatry nowe.

Jaka jest w naszym Planie takich cyfr wymowa?

Będzie wszystkiego więcej nie tylko na głowę,

Ale i w głowach<sup>322</sup>.

<sup>321</sup> J. Osęka, *Lekcja przyrody*, [w:] tegoż, *Przełom w Bulwie*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955, s. 83–85. Por. przykład 232a.

<sup>322</sup> T. Polanowski, *O Planie 6-letnim*, [w:] tegoż, *Kolce bez róż*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955, s. 16.



**Przykład 242. Józef Prutkowski – *Gadu, gadu* (1955)**

Przyjechał do chłopskiej spółdzielni

Referent uczony piekielnie.

– W wyniku tachimetrii te maszyny

Osiągną sto minut na godzinę.

Jeśli fibry zastąpimy membraną,

Woltaż skoczy wedle planu. Zrozumiano? –

Gdy samochód znów do miasta odwiózł z pól go,

Chłopi pełną piersią odetchnęli z ulgą.

Ale ulga niezbyt długo trwała:

Już poetka jedzie młoda, śmiała.

Bohatersko jest odważna ta dziewczucha,

Czyta, czyta, chociaż przecież nikt nie słucha.

„Zaorane ugorzysko,

Na nim biedniak śmiał się w kułak,

Wyżej pełźnie bardzo nisko

Chmur kłębiastych groźny pułap.

Wsią rozkwita moje wnętrze,

Gdy zadumam się i męczę...”

Po trzech godzinach pyta: – Czytać dalej?

– Oj, znacznie dalej! – chłopi zawołali.

Potem słuchali chłopi referatu,

Który wygłosił referent z powiatu.

– Ja w ramach... tego... eee... krzywienia sztuki...

Zęby... eee... tego... prasy i nauki...

Bo gdy straszły sanacyjne widma...

Analfabeta... tego... wielki wstyd ma.

No, to my tego... w ramach... eee... krzywienia

Ple, ple, ple... (*parę godzin*) tego... do widzenia.

Nic więc dziwnego, że z pewnej gminy

Do województwa list zawitał dziwny:

„O zwolnienie z kultury prosimy.  
A zamiast tego nałóżcie nam grzywnę.  
Jak nie można grzywny, to chcieliśmy wiedzieć,  
Czy tę kulturę można by odsiedzieć?”<sup>323</sup>.

**Przykład 243. Kazimierz Rudzki – *Egzamin.*  
*Dialog po „Walcu nocy”* (1955)**

R.: Kazimierz Rudzki

K.: Kazimierz Kurczyński (z sali)

R.: No, i w ten oto wokalny sposób zapoznaliśmy się z pierwszym tematem naszego dzisiejszego wykładu... No, więc, co to było? Co to za utwór? Kto wie?

K.: Ja...

R.: Proszę... No, więc... Co to za pieśń?

K.: To jest pieśń tych, których domem ulica, czarna, rozpaczna, jak dola zła.

R.: Dobrze... Tytuł utworu?

K.: „Walc nocy”... muzyka – Kriera, słowa – Henryka Zbierzchowskiego...

R.: Tak... słowa polskie, oczywiście, oryginał był bowiem napisany po...

K.: Francusku...

R.: Tak... i tytuł oryginału brzmiał „Valse brune”... (brune, brun, Brun, Krzysztof Brun... i syn... Christophore Brun et Fils... syn... fils... fis-moll). Czas powstania dzieła?

K.: Pierwsze lata dwudziestego wieku...

R.: To znaczy... epoki... no, no....

K.: ...to znaczy epoki narastania schyłkowego kapitalizmu...

R.: Dobrze... A teraz jeżeli chodzi o bohaterów pozytywnych utworu w sensie negatywnym?

K.: ...reprezentują oni typową postawę wielkomiejskich elementów na szczyblu peryferyjnym podczas nocnej zmiany.

R.: Dobrze, i te peryferyjne elementy stanowiły właściwie nie tylko elementy, ile...

K.: Ile – męty...

R.: Na odcinku?

K.: ...na odcinku nocnego życia tajników wielkiego miasta...

R.: Dobrze... A jak gwarowo nazywał się taki wielkomiejski element, a raczej – ...ment?

<sup>323</sup> J. Prutkowski, *Gadu, gadu*, [w:] tegoż, *Gdybym był Gogolem...*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955, s. 46–47.

K.: Apasz...

R.: I to stanowiło ówczesny...

K.: Problem... tak zwany problem apaszy... oonocny problem apaszy... w skali gospodarki miejskiej.

R.: Tak... tak jak dzisiaj w skali gospodarki wiejskiej mamy problem paszy... Tak. I w ten sposób wiemy już o piosence wszystko. Aha... Jeszcze: Pochodzenie socjalne apaszy?

K.: Raczej niziny, czyli lumpenproletariat do drobnomieszczaństwa włącznie.

R.: Dobrze... Rekwizyty apaszy?

K.: Alkohol, czyli absynt, papieros w charakterze ogarka i nóż w charakterze sztućca...

R.: Dobrze... Żona apasza?

K.: Nie posiadała... Pan profesor raczej ma na myśli związek pozalegalny, czyli konkubinat...

R.: Co ja myślę, to moja rzecz... Wiecie, o kogo się pytam... No, kto to był... Jeżeli mężczyzna apasz, to kobieta, no?

K.: Apaszka...

R.: No, nareszcie... I stąd do dzisiaj to, co zarzucamy sobie na szyję, nazywa się apaszka... Typowy moment reperkusji retro-spektywno-obyczajowej... A teraz proszę powiedzieć... jaki był nieco późniejszy odpowiednik „Walca nocy”, oczywiście w uszlachetnionej formie, który wyrósł na gruncie dawnego Krakowa?

K.: „Walczyk katarynkowy” ze zbiorów Leona Schillera...

R.: ...który już jako gimnazysta wystąpił w pierwszym polskim kabarecie, „Zielonym Baloniku”, za co...

K.: ...został usunięty z gimnazjum i po zdaniu matury, jako ekstern, działał na terenie krakowskich „Figlików”...

R.: Założonych przez...

K.: ...przez dyrektora Arnolda Szyfmana i właśnie w tych „Figlikach” wykonany był po raz pierwszy wspomniany wyżej „Walczyk katarynkowy”...

R.: Dobrze... W roku 1955 którą rocznicę powstania „Zielonego Balonika” obchodzimy?

K.: Pięćdziesiątą...

R.: Dobrze... A dlaczego zaprodukowaliście tutaj „Walca nocy” i myślimy o „Walczyku katarynkowym”?

K.: Dlatego, że do tradycji „Szpaka” należy nawiązywanie do dawnych tradycji dawnego kabaretu...

R.: Dobrze... Wobec tego teraz – co?

K.: „Walczyk katarynkowy” ...

(*Rozlegają się pierwsze takty „Walczyka katarynkowego”*)<sup>324</sup>.

**Przykład 244. Leszek Skrzydło – Jedność przeciwności.  
Fragm. programu „Pstrągi”  
Studenckiego Teatru Satyry Pstrąg  
(premiera 6 marca 1955)**

(*Na scenie przewodnik i grupa studentów*).

Przewodnik: Pierwsze, nie będziesz brał zjawisk oddzielnie.

Chór: Nie będziemy brali.

Przewodnik: Drugie, nie będziesz miał na myśli przyrody w stanie niezmiennym.

Chór: Nie będziemy mieli.

Przewodnik: Trzecie, pamiętaj, że zmiany ilościowe prowadzą do zmian jakościowych.

Chór: Pamiętajmy.

Przewodnik: Czwarte, czcuj jedność przeciwności w zjawisku.

Chór: Czcijmy.

Przewodnik: No, teraz to już chyba wszyscy zrozumieli, co mają mówić przed profesorem na egzaminie?

Chór: Wszyscy.

Przewodnik: To dobrze. Teraz sprawdzimy wyuczone wiadomości. „Proletariusze nie mają nic do stracenia prócz swych kajdan”. Co to jest?

Stud. I (z zamkniętymi oczami): Marks i Engels, Manifest komunistyczny, strona ostatnia, wiersz trzeci i drugi od dołu.

Przewodnik: Dobrze. Co znajduje się w WKP/b/ na stronie 126?<sup>325</sup>

Stud. II: Pierwsza cecha materializmu filozoficznego.

Przewodnik: Zgadza się. Jak brzmi ta pierwsza cecha?

Stud. III: Świat jest wcieleniem idei absolutnej.

Przewodnik: Zgadza się, ale na egzaminie macie pamiętać, że świat jest materialny.

<sup>324</sup> K. Rudzki, *Egzamin*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Kabaret „Szpak”*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975, s. 10–12.

<sup>325</sup> Pełny tytuł to *Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Krótki kurs. Podstawowy podręcznik do nauki marksizmu na wszystkich wyższych uczelniach*. Wydanie Książki i Wiedzy z 1948 r. zawierało skromną informację „Tłoczono 1.000.000 egzemplarzy”.

Chór (*ponuro*): Jest materialny.

Stud. I: Nie damy chyba rady temu marksizmowi. Miesza się wszystko.

Przewodnik: Panie! Pomóż nam zdać egzamin z marksizmu.

Chór: Pomóż nam panie.

(*Wszyscy zastygają, na ich tle Konferansjer*):

Raz pewien pstrąg dumny jak paw

Między pstrągami myśl tę kolportował:

Że świat stworzył Bóg, ale wedle praw,

Które już przed nim Marks był sformułował<sup>326</sup>.

### **Przykład 245. Maria Zientarowa (Mira Michałowska) – *Drobne ustroje. Do szkoły (1955)***

– Zdejmże wreszcie ten tornister – prosiła matka Andrzeja. – Musisz się wykapać.

– Zaraz – Andrzej siedział w pokoju przy stole ubrany w czarny fartuch szkolny, z tornistrem na plecach, chlebakiem przewieszonym przez jedno ramię, a workiem z rannymi pantoflami przez drugie.

– Bardzo mi będzie trudno pisać z tym wszystkim – westchnął.

– Przecież nie będziesz tak siedział w szkole – pouczała matka Janka.

– Kapsie nałożysz, worek zostawisz w szatni, tornister zdejmiesz.

– Tornistra nie zdejmę – oświadczył Andrzej stanowczo.

– No to zdejm go przynajmniej do kąpieli – zaproponowała matka.

– Nie mogę. Janek będzie w nim zaraz grzebać. On czyha na moje kredki.

– Do wanny w nim nie pójdziesz. Wiesz co, zabierz go do łazienki, połóżmy go na krześle.

– Wykluczone. Zapryska się.

– To daj go ojcu do przechowania.

– Ale pod warunkiem, że go włoży na plecy, bo inaczej zapomni i Janek mi wykradnie gumkę.

– Pogadaj z ojcem, może się zgodzi. Ja tymczasem przygotuję kąpiel.

Po chwili w łazience zjawił się Andrzej.

– Tata bardzo porządnym – oświadczył. – Nałożył tornister i chlebak, i worek. Fartuch na niego nie wchodzi, ale go położył na szafie, żeby Lejek się nim nie mógł bawić. Janek jest wściekły – dodał – i kąp mnie prędko, bo tacie bardzo niewygodnie.

<sup>326</sup> L. Skrzydło, *Jedność przeciwieństw*, [w:] W. Machejko, dz. cyt., s. 33–34.

– Chyba już teraz sam się będziesz kąpał, od jutra jesteś uczniem szkoły numer siedemset trzydzieści.

– Nieprawda – krzyknął Andrzej dumnie. – Numer pięć tysięcy. Mydło mi utonęło. Dawaj szcztokę, bo inaczej nie zmyję kolan. Nie wiem, dlaczego kolana są takie dziwne.

– Uszy też są dziwne. Lepiej je umyć.

W zamknięte drzwi łazienki zaczął ktoś gwałtownie stukać.

– Ja do ubikacji – krzyczał Janek.

– No trudno, muszę go wpuścić – powiedziała matka Janka.

– On udaje – stwierdził Andrzej pogardliwym tonem. – Ja go znam.

– Tata już też długo nie wytrzyma z tym tornistrem – Janek z rozmachem otworzył drzwi. – Kazał się wam pośpieszyć. Nie może usiąść, a Lejek skacze na niego cały czas. W tym chlebaku musi być kiełbasa.

– Ja tam nic jeszcze nie włożyłam – zaniepokoiła się matka Janka.

– Wziąłem pasztetówkę ze spiżarni – przyznał się Andrzej. – Muszę mieć jakieś zapasy.

– Będziesz musiał odrabiać lekcje. Co dzień. Tata mi mówił. Skończyło się z zabawą. Dziesięć lat będziesz teraz pracował. Słyszałem, jak tata mówił z kimś przez telefon. Możesz mi oddać wszystkie zabawki. Już nie jesteś dziecko.

– Pewnie że nie. Będę za to zbierał znaczki pocztowe. Mam już jeden. Z tego kraju, co z niego przyjechał ten słoń do Zoo.

– Okropnie stary słoń. Ma czterdzieści lat. Jest starszy od taty. Pewnie nie-  
długo umrze.

– Słoń żyje bardzo długo – pouczała matka. – Dłużej niż ludzie.

– Dlaczego? – zainteresował się Janek.

– Bo ja wiem. Pewnie dlatego, że wszystko żre.

– Na pewno nie żre szpinaku – powiedział Janek z głębokim przekonaniem.

– Niech mama się kiedy zapyta w Zoo.

– Andrzej, nakładaj piżamę.

– Mówiłeś, że musisz do ubikacji, no i co? Bujalesz, chciałeś tu tylko być i gadać.

– Teraz ja się będę kąpał – Janek zaczął zdejmować buty.

– Nic podobnego – zawołała matka. – Ty jutro nie idziesz do szkoły. Nie mam już dziś czasu, żeby cię kąpać. Muszę jeszcze przyszyć biały kołnierzyk do fartucha Andrzeja, wyczyścić mu porządnie buty, obciąć mu paznokcie, obłożyć zeszyty, przyszyć guziki w fartuchu, bo wszystkie odpadają, i muszę wcześniej iść spać, żeby rano nie zasnąć. Budzik się zepsuł jak na złość...

– To ja już nie muszę być czysty? – obraził się Janek. – Dobrze. Teraz tak będzie dziesięć lat. Już bym chciał, żeby on skończył tę szkołę.

– Też pójdziesz na przyszły rok – pocieszała go matka.

– To wtedy mnie wykąpiesz?

– No pewnie, a teraz do łóżka jeden i drugi.

Andrzej położył się do łóżka razem z tornistrem, chlebakiem i blokiem rysunkowym numer jeden. Janek wziął do łóżka żaglówkę, starą, wyliniałą żyrafę i pudełko z plasteliną.

– Tata poczyta Pinokia – poprosił.

– Ale nie mnie! – krzyknął Andrzej zza tornistra. – Mnie się już nie czyta na głos. Ja sam będę czytał. Tylko że mi się dzisiaj jeszcze nie chce – dodał szybko.

– A mnie tata poczyta? – napraszał się Janek.

– Poczytam, poczytam – zgodził się ojciec. – Od którego miejsca?

– Jak on zostaje marionetką. Ale niech tata siada na moim łóżku i mi czyta do ucha.

– Daj że pokój. Będę czytał normalnie.

– To on będzie podsłuchiwał.

– Nie rozdrażniaj ich, bo Andrzej się nie wyśpi – zawołała matka z kuchni.

– Ja i tak nie będę w ogóle dzisiaj spał – westchnął Andrzej. – Budzik się zepsuł. Pewnie Janek się nim bawił.

– Przestańcie tyle wyprawiać z tą szkołą – zdenerwował się ojciec. – Przecież jutro jest dopiero początek roku szkolnego i nic jeszcze nie będzie, tylko przemówienie ministra i jakiś film.

– Tata chce, żebym się spóźnił na przemówienie ministra – oburzył się Andrzej. – I ten minister się zaraz na mnie obrazi, od pierwszego dnia.

– I filmu ci nie pokaże za karę – dorzucił Janek.

– Tata widzi – Andrzej po raz dwudziesty otwierał tornister i sprawdzał, czy nic z niego nie zginęło. – No, niech tata już czyta, to ja ostatecznie też posłucham.

W nocy matka Janka cichutko wysliznęła się spod kołdry i bosy ruszyła do pokoju dzieci. Lejek zerwał się ze swojego legowiska w przedpokoju i zaczął strasznie szczekać. Ojciec Janka poderwał się z łóżka przerażony.

– Pewnie złodzieje – szepnęła. – Nie waż mi się wychodzić z pokoju. Poczekaj, nałóżę pantofle i zobaczę.

– Żaden złodziej, to tylko ja chciałam coś zobaczyć w pokoju dzieci. Nie jestem pewna, czy wyłożyłam Andrzejowi czyste skarpetki.

– Kobieto, jest czwarta godzina – ojciec Janka nakrył się kołdrą po same uszy. – Kładź się zaraz. Bo jutro nie będziesz mogła wstać.

– Ja już chyba nie usnę – westchnęła matka Janka, ubijając pięściami poduszkę – po raz pierwszy od piętnastu lat znowu się boję, że się spóźnię do szkoły<sup>327</sup>.

**Przykład 246. Maria Zientarowa (Mira Michałowska) –  
*Drobne ustroje. Za byki dwója. Fragmenty (1955)***

– Ten Zakrzewski – wykrzyknął Andrzej, wpadając do mieszkania i rzucając tornister na kufer w przedpokoju – ten Zakrzewski cały obrósł w dwója. Dzisiaj dostał dwie.

– Za co? – zainteresował się Janek.

– Wlał jednej dziewczynce atrament do ust. – Andrzej ściągał gwałtownie fartuch szkolny, przy czym zaplątał się w worek z kapturami, przewieszony przez ramię.

– No i co?

– Nic, napiła się i wrzeszczała. Wyglądała, jakby się jagód nażarła.

– I za to dostał pięć dwój?

– Nie, za to dostał jedną.

– A te drugie?

– Jakie drugie?

– No te tamte, co też dostał?

– Te tamte to dostał przedtem. Za gadanie, za kopanie się, za wyrazy i jedną za arytmetykę.

– Arytmetyki też nie wolno? – dopytywał się Janek.

– Wolno, wolno, tylko byków robić nie wolno. Dwója jest za byki. Ty tego jeszcze nie możesz rozumieć, bo jesteś za mały.

– To wy tam macie byki? – rozentuzjasmował się Janek. – A gdzie one są?

– Żadnych byków nie mamy, tylko tak mówimy.

– Szkoda – stwierdził Janek. – Daj trochę ponosić tornister.

– Nie dam. Będziesz podskakiwał i zepsujesz mi stalówki.

– Nie będę podskakiwał. Dam ci dwa znaczki z festiwalu.

– No to noś, ale ostrożnie i dawaj te znaczki.

– Jeszcze ich nie mam, ale wezmę od Kazika z podwórza, bo on ma siedem.

– Jak to weźmiesz? A on ci da?

<sup>327</sup> M. Zientarowa, *Drobne ustroje*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1980, s. 203–208. Źródło pierwotne: tamże, *Drobne ustroje*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.



- Ja mu za to dam potrzymać wędkę.
- Wędkę na zimę! On nie będzie chciał. Oddawaj tornister.
- Masz. Już sobie ponosiłem. Ciężki. Wolę teczkę taty.
- No to teraz dawaj znaczki.
- Jakie znaczki? Oddałem ci tornister, to co chcesz? Obrzydliwy tornister. Taki jakiś granatowy. Jedna pani mówiła, że jak będzie deszcz, to on ci cały płaszcz zafarbuje, zobaczysz.
- Poczekaj, aż wszyscy wyjdą – powiedział Andrzej groźnie – to cię naleję.
- Dwóje dostaniesz. A w ogóle czy ty nie masz jeszcze żadnych dwój?
- Pewnie że nie.
- A co masz?
- Nic nie mam. U nas albo stawiają dwóje albo nic.
- To ja bym już wolał być Zakrzewski – oświadczył Janek z głębokim przekonaniem w głosie. – Ten przynajmniej ma zabawę.
- Głupi jesteś. Jak on dostanie jeszcze jedną, to pani posadzi go na oślej ławce.
- Na czym?
- No, na oślej ławce. Ośla nie widziałeś? To jest taka ławka dla osłów.
- To tam siedzą osły?
- Nie – warknął Andrzej – żadne osły. To się tylko tak nazywa, że niby osioł jest głupi.
- A kto teraz tam siedzi?
- Ja – powiedział Andrzej. – Od wczoraj. Nie mam ani jednej dwóji, słowem się nie odezwałem na lekcji, nawet jednej kulki z bibuły na nikogo nie rzuciłem i muszę tam siedzieć.
- Na oślej ławce! – krzyknęła matka Janka z kuchni. – Dlaczego siedzisz na oślej ławce?
- Bo codziennie przybywa dzieci w klasie i ciągle dostawiają ławki. A wczoraj to już zabrakło zwyczajnych ławek, to przesunęli na front tę oślą i akurat na moje miejsce i musiałem tam usiąść. I teraz to mi dosadzają co dzień najgorszych chuliganów, co ich pani musi mieć z przodu.
- I co? I nic nie przeskrobałeś? – zdenerwowała się matka Janka.
- No, mówię ci, że nic. Tylko że ławek zabrakło. Ty wiesz, ilu nas teraz jest w klasie?
- W zeszłym tygodniu było was czterdzieści osiem.
- Figa. Już nas jest pięćdziesiąt pięć – zatriumfował Andrzej. – Moja ławka to już jest przy samej tablicy. No, a wrzask jest! Przyszłabyś, tobyś zobaczyła. Albo lepiej nie przychodź. [...]

- A dwa i siedem, ile jest? – przerwał mu Andrzej.
- Nie wiem, pewnie dużo – mruknął Janek. – Ale po co mi dwa i siedem?
- To jest arytmetyka – pouczał Andrzej – Można liczyć na zapałkach albo na palcach.
- Ale po co?
- Jak masz najpierw siedem cukierków, jeszcze dwa – wtrąciła się matka – to wtedy dodajesz te dwa do tych siedmiu i wiesz, ile masz.
- Ja je zjadam – powiedział Janek spokojnie. – Mnie możesz dać te siedem cukierków, a jemu daj zapałki, ale lepiej wypalone. Albo nie dawaj mu, bo on ma palce.
- Ja też chcę cukierki – zaniepokoił się Andrzej. – My już liczymy do piętnastu, a ja mam tylko dziesięć palców.
- A u nóg? – zdziwił się Janek. – U nóg to co? To nie palce? [...] <sup>328</sup>

**Przykład 247. Jarosław Abramow-Newerly, Andrzej Jarecki –  
*Esteesik*. Fragment programu „Czarny przegrywa,  
czerwony wygrywa” Studenckiego Teatru Satyryków  
(1956)**

Prolog

Nauczycielka: Dzień dobry, dzieci. No, no, dzień dobry. Żebyście się kochane dzieci nie nudziły, nie mówiły później, że wszystko było tylko dla dorosłych – ty, dziewczynko w okularach, zostaw braciszka w spokoju – żebyście się nie nudziły, pokażemy wam taki mały teatrzyk... Powtórzcie: Es-te-e-sik! Tak, świetnie. Więc ten Este-esik pokaże wam bajeczkę o przodujących dzieciach.

*(Orkiestra gra tusz, dzwonek szkolny dzwoni. Kurtyna odsłania izbę szkolną. W ławkach siedzą dzieci. Wchodzi nauczycielka, gwar powitalny).*

Dzieci: Dzień dobry towarzysze.

Nauczycielka: Dzień dobry, kochane dzieci. Czy odrobiliście lekcje?

Dzieci: Tak!

Nauczycielka: No to czytaj, Karolku, zadanie.

Karol: Tramwajarz otrzymał premię i kupił samochód za sto złotych i ciastek z kremem za dwadzieścia złotych. Zostało mu sześć złotych i pięć groszy. Ile wynosiła premia?

Nauczycielka: No, ile ci wypadło, Karolku?

Karol: Tramwajarz otrzymał 126 złotych i 5 groszy. Proszę pani, a dlaczego pięć groszy na końcu?

<sup>328</sup> Taż, *Drobne ustroje...*, dz. cyt. (1980), s. 208-213. Źródło pierwotne: taż, *Drobne ustroje...*, dz. cyt. (1955).

Nauczycielka: To wszystko zapracowane. Teraz, Dolores, przeczytaj drugie zadanie.

Dolores: Proszę pani, ja nie odrobiłam lekcji.

Nauczycielka: Jak mogłaś, Dolores? Dlaczego?

Dolores: Proszę pani, bo wczoraj był bankiet u ambasadora Chińskiej Republiki Ludowej i tatuś z mamusią poszli na bankiet, i nie było mnie gdzie zostawić, i musieli mnie wziąć ze sobą.

Nauczycielka: Jak to, a nikogo więcej nie było w domu?

Dolores: Nie, bo cały personel miał zebranie partyjne.

Nauczycielka: To jesteś usprawiedliwiona, tylko dlaczego wcześniej się nie przyznałaś?

Dolores: Wstydziałam się, proszę pani.

Nauczycielka: Nic dziwnego. Twoja patronka Dolores by się gniewała, gdyby dowiedziała się o twoim postępowaniu. (*Dzwonek*). Przerwa śniadaniowa. Antoni, przynieście pomarańcze. Każde dziecko musi zjeść po dwie pomarańcze.

Dzieci: Nie chcemy pomarańczów, ciągle pomarańcze.

Fryderyk: To ja zjem wszystkie. Jakby klasa robotnicza nie jadła pomarańczy, toby planu nie wykonała.

Nauczycielka: Posłuchajcie, jaki Fryderyk jest grzeczny. Na niego klasa robotnicza nie będzie się gniewała.

Dzieci: Nie będziemy jadły.

Nauczycielka: Zjedzcie przynajmniej po czekoladce, a Fryderyk pójdzie ze mną do Antoniego na pomarańcze. Bawcie się grzecznie. (*Wychodzi z Fryderykiem*).

Dzieci:

Będziemy się bawić ślicznie,  
grzecznie i demokratycznie.

W kółko graniaste,  
w spójnię wsi z miastem,  
w różyczkę i krasnoludka,  
w walkę klasową,  
w stopę życiową i elemele dudki.

(*Klaksony, dzieci podbiegają do okna*).

Ooooo, przyjechali nasi tatusie!

Aurora: Po mnie mamusia niebieskim przyjechała.

Marcelek: Kłamiesz, bo twoja mamusia zawsze czarnym jeździ.

Aurora: Wcale nie, bo mamusia przyjechała tatusia, a tatusia jest niebieski.

Karol: On jest zazdrosny, bo jego tatuś przyjeżdża taksówką.

Dzieci: Eeee!

Marcelek (płacze): A za taksówkę trzeba płacić, bo taksówka kosztuje, a tak to nie.

Dzieci: I tak nie bawimy się z tobą.

Dolores: Aurora do środka.

Dzieci (tańczą): Stoi różyczka w czerwonym wieńcu... (*wchodzi nauczycielka, tatuś i „towarzyszka bona”, dzieci przerywają zabawę*) Ooo, tatuś Karolka!

Aurora: A po mnie przyjechała towarzyszka bona, a nie mamusia!

Tatuś: Czołem *riebiata!*

Bona: *Bon jour, mes enfants!*

Dzieci: Czo-łem-bon-jour!

Tatuś (*do nauczycielki*): No jak, towarzyszeko? Macie jakieś trudności pedagogiczne?

Nauczycielka: Wszystko w porządku. (*Głaszcze Karola po głowie*). Z Karola mamy pociechę.

Tatuś: No, nie chciałbym, żeby mój syn był wyróżniany. Kolektyw przede wszystkim. Kolektyw rośnie?

Nauczycielka: Tak jest.

Tatuś: Dzieci uspołecniają się?

Nauczycielka: Tak jest.

Tatuś: A żyją sprawami kraju?

Nauczycielka: Oczywiście.

Tatuś (*do jednego z chłopców*): No, to powiedz mi chłopcze, kim chciałbyś być, jak dorośniesz?

Marcelek: Klasą robotniczą.

Tatuś (*z dumą*): Rosną następcy. Nowa kadra. (*Dzwonek*)<sup>329</sup>.

### Przykład 248. Wiesław Brudziński – *Uczennica* (1956?)

Kiedy mi żona w dwa miesiące po ślubie oświadczyła, że wzięła do zupy **dwie** kalafiory i że samochód jedzie właśnie przez **szos**, wstałem i stwierdziłem, że tak dalej być nie może.

<sup>329</sup> J. Abramow, A. Jarecki, *Esteesik*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., dz. cyt., s. 120–124. Por. J. Abramow, A. Jarecki, *Esteesik*, [w:] R. Pracz, dz. cyt., s. 51–53; P. Szlachetko, J.R. Kowalczyk, *STS. Tu wszystko się zaczęło*, Prószyński i Ska, Warszawa 2014, s. 56–57 (fragment o wizycie tatusia prominenta); J. Abramow-Newerly, *Lwy STS-u...*, dz. cyt., s. 234–236 (z komentarzem o powstaniu tekstu); J. Czarny, T. Gigier (oprac.), dz. cyt., s. 43–45; J. Abramow-Newerly, A. Jarecki, *Esteesik*, [w:] T. Polanowski, *Bunt żaków. Studenckie teatry satyryczne*, [za:] E. Lipiński, A. Marianowicz (red.), *Kalendarz Szpilek*, dz. cyt., s. 195–198.

– Mówi się dwa kalafiory i ta szosa, a nie: ten szos. To przecież każdy żak wie!

– A co to jest żak? – rzekła nieśmiało. Zatkąło mnie.

– Tego nawet nie wiesz?! Nie uczyli cię tego w szkole? No, mów – rzekłem łagodniej, widząc, że ma już łzy w oczach.

– Uczyli – odparła cicho – ale to już tak dawno...

– No, a co przez wojnę robiłaś?

– Przez wojnę musiałam pracować w fabryce. A nasz majster – przypomniawsobie – zawsze mówił **szos**. A on był bardzo stary i wszystko wiedział. Aha! To zmieniało postać rzeczy. Jeżeli pracowała w fabryce i majster wszystko wiedział, to jak tu odróżnić szos od szosy i dwie kalafiory od dwóch! Niemniej coś trzeba było zrobić.

– Od jutra pójdziesz do szkoły – rzekłem. – Ile miałaś lat, jak wojna wybuchła?

– Czternaście.

– No to zapiszę cię do drugiej gimnazjalnej.

Z początku ciężko mi było się przyzwyczaić – strasznie głupio się czułem. Chyba już z dziesięć lat, jak chodziłem ze sztubaczką. I to z czerwoną tarczą, a żona miała niebieską. Zdawało mi się, że wszyscy ludzie się za mną oglądają. Gdy spotykaliśmy moich znajomych z czasów kawalerskich, przechodziliśmy szybko na drugą stronę ulicy.

I w domu jakoś mi było nieswojo. Czułem się jak stary rozpustnik. Z uczennicą, psiakrew...

Powoli zacząłem się jednak przyzwyczajać. Żona też mnie trochę pocieszyła. Do jej klasy, powiada, chodzi nawet jedna rozwódka, która ma dwoje dzieci. I nie przejmuje się. A my przynajmniej nie mamy ani jednego.

Szkoda tylko, że żona też nigdy nie ma dla mnie czasu. Muszę sam sobie radzić.

Zapisałem się do stołówki. Bieliznę daję do prania jak za kawalerskich czasów. Śniadania jem u znajomych z przeciwka, kolację, dla odmiany, w restauracji. Poza tym byłoby wszystko w porządku. Z jednym tylko wyjątkiem.

Nowy kłopot. Jakoś ciężko szły żonie lekcje. Płakała wprost nad nimi.

Na szczęście moja mała siostrzeniczka podjęła się dawać jej korepetycje. Warszawianka, ma trzynaście lat, ale cały czas chodziła na tajne komplety i jest w tej samej klasie.

Trzyma żonę krótko. Gdy zaczynają odrabiać lekcje, wychodzę zawsze z pokoju. W drzwiach jeszcze widzę, obie siadają przy stole. Żona lękliwie patrzy na swą małą nauczycielkę, która z powagą na twarzy rozpoczyna wykład.

Moja siostrzeniczka na ogół jest z żony zadowolona. Skarży się tylko, że nie uważa, że trochę nieposłuszna i uparta i że urywa się z lekcji.

Przyparta do muru żona przyznała się, że czasami ciągnie ją, żeby coś przeprać lub pocerować. Cóż, taka natura!

Siostrzeniczka twierdzi, że żona powinna jeszcze uczęszczać na dodatkowe kursy angielskiego. Ale ja nie chcę. Dosyć.

I tak rzadko ze sobą jesteśmy. Już dwa dni żony nie widziałem. To teatr kukiełek, to obowiązkowe kino z filmem o królownie Śnieżce, to znowu akademii.

Już mi po prostu zaczyna jej być brak.

Ale jutro powetujemy sobie za wszystkie czasy.

Jutro, psiakrew, idziemy z żoną na wagary<sup>330</sup>.

### **Przykład 249. Jerzy Litwiniuk – *Drobiazg, błahostka, mała różnica.***

#### ***Napis: „Świetlica” wewnątrz: „Śmietnica” (1956?)***

Jest w Polsce wioska – Wola Junacka.

Była w niej kiedyś świetlica gromadzka.

Otwarta z hukiem. Wpisana w rejestr.

Była – nie była...

Jest – i nie jest...

Kierownik służy w marynarce,  
za mąż się wyszło bibliotekarce.

Tytany! Ludzie niezastąpieni!

Ale ich nie ma już od jesieni.

Klucze na wszelki wypadek chowa  
przykładna Rada Narodowa.

Książki czytuje jedna radna,  
a jeden radny słucha radia.

Pod kluczem w stanie nienaruszonym  
zostały śmieci dwa furgony.

Szkoda gadania! Podobny pietyzm  
do głębi wzrusza serce poety.

W owym zaś kątku pustym i głuchym  
z pewnością się umawiają duchy,  
smętnie wzdychając na wszystkie sposoby:

... Dobrze by... żeby... gdyby... byłoby...

Toteż o zmierzchu babcia niejedna  
przechodząc mimo gęsto się żegna.

<sup>330</sup> W. Brudziński, *Uczennica*, [w:] R.M. Groński, *Od Stańczyka...*, dz. cyt., s. 93–95.

Dokoła wznosi lud nieszczęśliwy  
modły do świętej inicjatywy.  
Niejeden radny głośno im wtórzy  
i zetempowcy także niektórzy:  
„Przybądź, Odgórna! Ocal! Poratuj!  
Bo dla sprzątaczkę zabrakło etatu!”.  
Drodzy koledzy! Trzebaż was uczyć,  
gdzie szukać miotły, ścierki i kluczy,  
żeby gromadzką waszą „śmietlicę”  
zamienić w tętniącą życiem świetlicę?  
Sami ją sobie dajcie w prezencie!  
Albo też – nazwę wioski zamieńcie!<sup>331</sup>

### **Przykład 250. Tadeusz Łopalewski – *Jajko i kura* (1956?)**

Pytał się ksiądz młodzieńca, co zdawał maturę,  
Co też Pan Bóg wpierw stworzył: czy jajko, czy kurę?  
Odrzekł młodzian, z namysłem gładząc sobie przedział:  
– Gdyby jajko wpierw było – któżby je wysiedział?<sup>332</sup>

### **Przykład 251. Antoni Marianowicz, Janusz Minkiewicz, Marian Załucki – *Szopka satyryczna 1956.* Fragmenty (1956)**

Akt I

Jaś

Małgosia

Personalny

Personalny (*śpiewa do wbiegających Jasia i Małgosi na melodię  
z „Pięknej Heleny” Offenbacha*):

Czołem Jasiowi i Małgosi!

Radośnie wita was, kto żyw.

Bawmy się w łapci-kosi, kosi,

Bo to jest propaganda żniw.

---

<sup>331</sup> J. Litwiniuk, *Drobiazg, błahostka, mała różnica*, [w:] *Scena młodzieżowa Nr 1. Teatr, piosenki, taniec, zgaduj-zgadula, satyra*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1956, s. 176–178.

<sup>332</sup> T. Łopalewski, *Jajko i kura*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 344.

W krainę baśni chcę was powieść,  
Tych u nas nigdy nie jest brak.  
Streszczę wam pewną nową powieść,  
Zawsze to lepsze od Bab Jag. (*Wychodzi*).

Jaś i Małgosia (*śpiewają na tę sama melodię*):  
My nie wierzymy w żadne blagi,  
W bajki i cały taki kram.  
Nas te dziś straszą Baby Jagi,  
Co podręczniki piszą nam!

Ach, wciąż z nich byśmy się uczyli,  
Bo są ciekawe, że aż strach,  
Ale niestety, już po chwili  
Wszystko się myli nam we łbach!  
(*Śpiewają na melodię ballady dziadowskiej*)  
W mieście Erenburg, gdzie Ilia rzeka  
Wodami swymi się perli –  
Stefan Batory czyhał z daleka  
Na archipelag Neverly...

Stanął ubrany w ciężką haubicę  
Na obcym nam stanowisku –  
Wciąż Dystrybucję, swą nałożnicę,  
Dzierżąc w feudalnym uścisku!

W mieszczańskich błędach trwał tak do rana,  
A dziewcząt orkiestra cała  
W słuckie arnoldy ledwie odziana  
Na mandalianach mu grała...

Wreszcie swą mając korzyść na względzie,  
Pomimo przedsięwziętej pory –  
Wstał i na przekór wrogiej legendzie,  
Batory wlaźł do komory!

A tam się gruszek tak najadł – psiakosc –  
Że dostał strasznej instrukcji,



Ponieważ ilość przechodzi w jakość

Przez wąskie gardło produkcji!<sup>333</sup>

**Przykład 252. Jeremi Przybora – *Dramatyczny Koncert Życzeń.*  
Fragmenty audycji Radiowego Teatryku „Eterek”  
(1956)**

*Tło uliczne.*

Profesor (*woła*): Hola! Dorożka samochodowa! Hola! I złap tu dorożkę samochodową. Hola! Dorożka samochodowa!

Doktor: Bardzo przepraszam. Czy nie pan profesor dr Hugo Sporopotrąfiński, słynny językoznawca i lingwista-purysta?

Profesor: W samej rzeczy to ja.

Doktor: Jakże mi miło! Doktor Pęcherczyk, filolog-stomatolog. Przybyłem aż z odległego Pułtuska i oto spotyka mnie szczęście poznania osobiście wielkiego uczonego...

Profesor: Ależ skąd, na Boga, poznał pan, że to właśnie ja?

Doktor: A któż, u licha, wołałby „dorożka samochodowa” zamiast „taksówka”?

Profesor: Ma pan rację. Wolę nieraz zwroty mniej wygodne niż brzydkie, których nie lubię. Do takich należy ohydne słowo „taksówka”.

Doktor: Czy można wobec tego zaproponować panu profesorowi przyczepę?

Profesor: W jakim celu?

Doktor: W celu odwiezienia go?

Profesor: Przyczepę do czego?

Doktor: Do motocykla.

Profesor: Dziękuję, chętnie skorzystam.

Milicjant (*podchodzi*): Przepraszam, czy panowie nie widzieli chłopaka? Rudego chłopaka?

Profesor: W piegi?

Milicjant: W piegi.

Profesor: Nie widzieliśmy.

Milicjant: A dlaczego pan pyta, czy w piegi?

Profesor: Rudzi często bywają w piegi.

Doktor: A cóż uczynił ten chłopak?

<sup>333</sup> A. Marianowicz, J. Minkiewicz, M. Załucki (oprac.), *Szopka satyryczna 1956*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1956, s. 9–10.

Milicjant: O mało nie spowodował katastrofy tramwajowej. (*Biegnie dalej*).

Doktor: Dzisiejsza młodzież. Proszę – niech pan profesor zechce do przy-  
czepy.

Profesor: Dziękuję. Panie, tu ktoś już wlał. Schował się.

Doktor: Rudy chłopak w piegi. Oddamy go milicjantowi.

Chłopiec: Nie chromol pan.

Profesor: Proszę?

Chłopiec: Nie chromol pan! O milicjancie będzie tu chromolił!

Profesor: Słyszysz pan? Cóż za ciekawy fenomen językowy. Pojechałbyś z na-  
mi, chłopcze?

Chłopiec: Mogę zachromalać, tylko niech mi ten tam nie chromoli.

Doktor: Przyzna pan jednak, profesorze, że zachowanie tego chłopca...

Profesor: Wie pan co – zabierzemy go do mnie. Nagram go na taśmę.

Zawsze byłem zapalonym kolekcjonerem językowych kuriozów.

Doktor: Skoro pan profesor sobie życzy – jest jeszcze miejsce na siodełku.

(*Motocykl rusza*).

\*\*\*

(*W mieszkaniu Profesora*).

Profesor: No a teraz opowiedz nam, chłopcze, swoimi słowami całą tę hi-  
storię z tramwajem i milicjantem.

Chłopiec: Ano zachromalam na cycku szesnastki, a za nami zachromala  
piętnastka z tym motorczym, co mnie już raz ochromolił za czepianie. To ja  
mu pokazuję, że go chromolę. To on, z tej złości na mnie, wchromala się na szes-  
nastkę. Ja schromalam, latarnia rozchromolona w drobny mak, szyby też. A do  
mnie – milicjant. To ja mu pedał pod platfus, a ten jak nie chromolnie! Wtedy  
ja – gazu!

Profesor: I schowałeś się do przyczepy.

Doktor: Coś podobnego.

Profesor: Niezwykle ciekawy wypadek regresu językowego, posuniętego do  
granic rzadko spotykanych nawet u naszej młodzieży, posługującej się nader  
ubogim słownikiem. Chłopiec ten, podobnie jak niektóre szczepy afrykańskie,  
posługuje się właściwie niemalże jednym jedynym czasownikiem.

Doktor: Czasownikiem „chromolić”?

Chłopiec: Nie chromol pan! A pan starszy lepiej by dał coś wchromolić.

Profesor: Słyszysz pan – chłopiec chce coś zjeść. Chodź, dam ci kolację.

(*Wychodzi z Chłopcem, po chwili wraca sam*).

Doktor: I cóż zamierza pan profesor począć z tym okazem?

Profesor: Postanowiłem przeprowadzić z nim arcyciekawy eksperyment.

Doktor: Jakiż to eksperyment?

Profesor: Przekona się pan za trzy miesiące, doktorze. Za trzy miesiące oczekuję pana u siebie. Razem z chłopcem udamy się na wieczór towarzyski do Exclusive-Clubu Twórców Kultury Ludowej.

Doktor: Co takiego?! Tego ordynarnego wyrostka chce pan profesor wprowadzić do najwytworniejszego lokalu stolicy, zanurzyć w samej śmietance stołecznych sfer?

Profesor: Przekona się pan, doktorze, czy chłopiec przyniesie nam wstyd. Pan jeszcze nie zna, jak widzę, profesora Hugona Sporopotrąfińskiego i jego możliwości w zakresie naukowego eksperymentowania. Powtarzam – za trzy miesiące oczekuję pana, doktorze.

\* \* \*

Narrator: I podjął profesor doktor Hugo Sporopotrąfiński, słynny językoznawca i lingwista purysta, trud Pygmaliona. Począł w bezkształtnej masie brudnego żargonu wielkowiejskiego rzeźbić czysty kształt mowy ludzkiej.

Profesor: Przygotowałem ci, mój chłopcze, krótki słowniczek podręczny, czyli wokabularzyk. Oto on:

Chromolić – zawracać głowę, nudzić, bzdurzyć.

Zachromalać – biec, jechać, pędzić, śpieszyć.

Schromalać – uciekać, umykać, szybko odchodzić.

Podchromalać – przywłaszczać sobie, samowolnie sobie pożyczać.

Wchromalać – jeść, spożywać, konsumować.

Wchromolić się – wpaść na coś, zderzyć się z czymś.

Chromolnąć (się) – uderzyć, wyrznąć, stuknąć (się).

Rozchromolić – rozbić, rozwalić, roztłuc.

Ochromolić – upomnieć, skarcić, zwymyślać.

No, jak ci się podoba mój wokabularzyk chromolenia?

Chłopiec: Ja chromolę wokabularzyk!

Profesor: Brawo! Świetnie! Byłbym zapomniał! (*dopisuje*) Chromolić coś, kogoś (na przykład wokabularzyk) – mieć stosunek lekceważący do czegoś, kogoś (wokabularzyka), lekceważyć.

Narrator: W ślad za małym słowniczkiem podręcznym poszły, mimo oporów chłopca, ćwiczenia z fonetyki.

Profesor: No, powtarzaj za mną:

Trzy trzpiotowate siostrzyczki wstrzykiwały skrzętnie szczepionkę trzem ostrzyżonym strzelcom szybkostrzelnym.

(*Chłopiec powtarza. Głos odpływa*).

Narrator: A kiedy uczeń dojrzał już do tego, niestrudzony profesor począł oddziaływać nań pomnikami literatury, wybierając opisy głośnie, obfitujące w efekty pirotechniczne, aby wyrostek nie zasypiał.

Profesor: (czyta)

„... Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza

Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;

Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci

I ogromna łysina wśród kolumny świeci”.

Chłopiec (*sennym głosem*): Kto był łysy?

Profesor: Nikt nie był łysy. Taka przenośnia. Słuchaj jeszcze raz uważnie.

„Patrz – tam granat w sam środek kolumny się nurza...”

Chłopiec (*jw.*): Się nurza?

Profesor: (*zniecierpliwiony*) Granat chromolnął w wojsko, kapujesz?!

Chłopiec: Kapuję<sup>334</sup>.

### Przykład 252a. Krystyna Żywulska – Referat (1956)

(*Udział biorą: Felek, babcia, ojciec. Rzecz dzieje się w mieszkaniu u Felka*).

Felek trzyma w ręku gazetę i mówi do babci siedzącej na fotelu.

Felek: Babciu, klaszcz!

Babcia: Co ty mówisz, moje dziecko?

Felek: Mówię, żebyś klaskała, bo ja właśnie wygłosiłem początek mojego referatu, który przygotowuję na jutro.

Babcia: Przepraszam cię, mój drogi, nie uważałam. Powtórz jeszcze raz.

Felek: A więc tak: „Koleżanki i koledzy! Powinniśmy nie ustawać w walce, zarówno my, jak i całe społeczeństwo. Problem winien być rozwiązany na szczeblu szkoły tudzież w pozostałych ogniwach terenowych”. Babciu, klaszcz!

Babcia: (*klaszcze*) Nie gniewaj się, ale ja zupełnie nie rozumiem, o czym ty mówisz.

Felek: Jak to? Przecież chyba mówię wyraźnie. Na półroczu w naszej klasie było pełno dwój, jakoś musimy się podciągnąć i ja właśnie mam mieć o tym referat...

Babcia: Więc dlaczego, jeśli masz mówić o tym, nie mówisz o tym, tylko o tamtym?

<sup>334</sup> J. Przybora, *Na wyraj*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 1, Znak, Kraków 2015, s. 37–46; tenże, *Znów wiosna*, [w:] tegoż, *Dzieła...*, t. 1, dz. cyt., s. 182–185.

Felek: Jak to o tamtym? Przecież wyraźnie i jasno przemawiam. Niech babcia się nie gniewa, ale babcia ma przestarzałe poglądy na naukę. Za babci czasów inaczej się przemawiało i dziś inaczej...

Babcia: Możliwe, moje dziecko, możliwe...

Felek: Więc najlepiej będzie, jeśli babcia będzie tylko publicznością. Babcia ma klaskać i czasami przerywać mówcy, to jest mnie, okrzykami radości. Na przykład: „Ach, jakie to mądre!”, albo: „Ach, jakie to nadzwyczajne!”. Dobrze?

Babcia: Rozumiem, rozumiem. Mów dalej.

Felek: Na czym to ja stanąłem? Aha! Na ogniwach terenowych. No więc dalej: „Osiągnięcia nasze, proszę koleżanek i kolegów, możliwe będą dzięki ofiarności całej załogi i możemy odnieść sukcesy, jeśli zastosujemy metodę zwiększenia naszej produkcji. Załoga nasza...”

Babcia. Ach, jakie to mądre!

Felek: Bardzo dobrze. O, teraz babcia już zrozumiała. Więc na czym to ja stanąłem?... Aha, na załodze...

Babcia: Ależ ty na podłodze stoisz, moje dziecko!

Felek: Ojej... mówiłem, że babcia jest publicznością. Ja wiem, że nie stoję na suficie. Ale w referacie stanąłem na „załodze”...

Babcia: Przepraszam, już nie będę.

Felek: „Załoga nasza powinna opierać się na doświadczeniach innych placówek szkolnych i przede wszystkim nie powinna odrywać się od mas. Musimy bezustannie mieć w głowie...”

Babcia: Ach, jakie to nadzwyczajne!

Felek: No, widzi babcia. Tak właśnie trzeba. Na czym to ja stanąłem?... Aha, już wiem. Na głowie...

Babcia: Tylko nie to, moje dziecko. Ja wszystko zniosę, byleś stał zwyczajnie.

Felek: Ale babcia znów... Najlepiej niech babcia nie przerywa, tylko słucha. „Musimy bezustannie mieć w głowie troskę o szarego ucznia, o warunki jego działalności w aspekcie masowej organizacji, zbiorowego wysiłku w oparciu o kontrolę społeczną, będącą gwarancją likwidacji pozostałości kapitalistycznej w świadomości mas szkolnych i naszych koleżanek i kolegów, którzy wykazali dwójkowy system zacofania indywidualnego, po to, aby jasne się stały perspektywy upiętkowania naszego terenu klasowego”. Skończyłem. (Składa gazetę). No, babciu klaszcz!

Chwila ciszy.

Z fotela babci słychać głębokie chrapanie. Wchodzi ojciec.

Ojciec: Twoja publiczność usnęła.

Felek: Tak, widzę, ale dlaczego?

Ojciec: Publiczność lubi, jak się do niej mówię swoimi słowami. Zwyczajnie.

Felek: Ja naprawdę nie rozumiem, ja przecież zwyczajnie... tak jak o tu, w gazecie...

Ojciec: Nie rozumiesz? Więc ja ci powiem. Twoja babcia spożyła wieczerę i usnęła na bazie nudy, która powiała z terenu jej wnuka Felka, w aspekcie jego referatu na niwie spopularyzowania zagadnienia lepszych stopni w ramach następnego półrocza. No i co? Dużo z tego zrozumiałeś?

Felek: (zamyślony). No to może w takim razie ja próbuję na nowo. Już tak naprawdę – po swojemu. Więc na czym... gdzie to ja stanąłem?...

Ojciec: W złym miejscu, mój synu. W bardzo złym miejscu stanąłeś i musisz zaczynać od początku...

Babcia budzi się gwałtownie i klaszcze<sup>335</sup>.

**Przykład 253. Bogdan Brzeziński – *Kubuś*.  
*Tragikomedja w dwóch aktach* (1957)**

AKT I

*(Narada familijna. Cała rodzinka w komplecie).*

Tata

Kubuś, proszę zacnych gości,  
Zdał egzamin dojrzałości!

Stryj

Dzieją się w naturze cuda...

Ciocia

I głupiemu coś się uda...

Tata

Teraz mam kłopotów w bród ja,  
Dokąd pchnąć by go na studia.

Mama

Myślę, że nasz syn zaśnie  
Jako geniusz w medycynie!

---

<sup>335</sup> K. Żywulska, *Referat*, [w:] *tejże, Tak zwane życie*, Iskry, Warszawa 1956, s. 140–143.

Stryj

Ten półgłówek?! Wszyscy święci!  
Biedni byliby pacjenci!...

Tata

Dziadziu, teraz zabierz głos ty!

Dziadzio

Może niech buduje mosty?

Wujek

Gdyby most mu zrobić dali,  
To się zaraz most zawali...

Dziadzio

Prawda! Chociaż skończył szkołę,  
Jednak nie jest on sokołem...

Tata

Orłem także nie, psiakrew!

Ciocia

A więc może – AWF?  
W sportach, wiecie, grunt to zdrowie  
Dużo w nogach, mało w głowie.

Wujek

Skoro nie wiesz, to się dowiedz,  
Że kuć musi i sportowiec!  
Teraz nawet dyskobole  
Pół dnia kują w wyższej szkole!

Babcia

Sytuacja więc fatalna...

Ciocia

No, a Szkoła Teatralna?  
Mógłby osiąść sztukę Keana,  
A tak z boczku grać dla kina...

Stryj

Kubuś??? Przecież on sepleni!

Ciocia

Dykcja – Fikcja!

On się zmieni...

Jeśli dobrze kwestie poda,

Seplenienie wdzięku doda!

Stryj (z *przekąsem*)

Winien jadać mak ze smakiem,

By mieć w gębie – kluski z makiem!

Ciocia

Nawet sprzeczać nie warto się

Z gorszą dykcją są w „Artosie”!

Stryj

„Artos” umarł – jest „Estrada”.

Ciocia

Do „Estrady” też się nada!

Zresztą – jak to mówią – ha!

Każdy się na scenę pcha...

I choć z nich nie każdy Talma

– Czy ktoś z widzów o to żal ma?

Wszyscy

Słusznie! Jak to mówią – ach,

Wszak nie hańbi żaden fach!

AKT II

(*Rzecz dzieje się na ulicy*).

Ciocia

(*spotyka Kubusia*)

Kubuś! Widzę, żeś wesoły...

Nie wylali cię ze Szkoły?



Kubuś

Skąd?! Ciutecko, próżna troska!

Jestem prymus!

Gram Świątoska...

To na razie –

Na pokazie.

A reżyser mówił mi, że

Olśnię ludzi wnet w Sekspize!

I duserów prawił mi sto,

Ze mam dykcję nader cystą...

I ze strasnie mi zazdrości

I wymowy, i zdolności!

Ciocia

E!... Czy szczerze mówił to ci?

Kubuś

On się jąka, prośę cioci...

(*Kurtyna spada – Kubuś pnie się w górę*)<sup>336</sup>.

### **Przykład 254. Henryk Haufa – *Dialog w szkole* (1957–1960?)**

– Pragnąłbym dziś z wami, jako uczniami X klasy, szczerze pogawędzić. Służę odpowiedzią na każde pytanie.

– Doskonale, panie profesorze. Ale niektóre nasze pytania mogą być dla pana zbyt kłopotliwe. Dlatego może je pan śmiało uchylić. Czy pan profesor jako uczeń chodził często na wagary?

– Uchylam to pytanie.

– Czy kochał się pan w swojej nauczycielce?

– Uchylam to pytanie.

– Czy flirtował pan z dziewczętami?

– Uchylam to pytanie.

– Czy jest pan za wczesnym uświadamianiem seksualnym młodzieży?

– Uchylam to pytanie.

---

<sup>336</sup> B. Brzeziński, *Kubuś. Tragikomedia w dwóch aktach*, [w:] tegoż, *Kto jest cacy?*, dz. cyt., s. 87–90.

– Czy w przyszłym roku z okazji święta nauczyciela będziemy mogli znowu z panem szczerze i bezpośrednio porozmawiać?

– Ależ oczywiście!<sup>337</sup>

### **Przykład 255. Antoni Marianowicz – *Ojciec i syn* (1957)**

Ojciec i syn

Ilekcja oberwie dwóję,  
powiada: „Gwiżdżę na wszystko.  
Mój ojciec jest dyrektorem,  
ogromne ma stanowisko.

Zajeżdża po niego co dzień  
nowiutka, lśniaca «Pobieda».  
Mój ojciec jest dyrektorem,  
on krzywdy zrobić mi nie da.

Ma w biurze piękny gabinet  
i sekretarek z pięć chyba.  
Mój ojciec jest dyrektorem  
i bardzo gruba zeń ryba.

Na ty jest z wiceministrem,  
z ministrem wciąż konferuje,  
mój ojciec jest dyrektorem,  
więc cóż obchodzi mnie dwóje?”.

Twój ojciec... Przepraszam bardzo,  
lecz tu nie idzie o niego,  
twój ojciec jest dyrektorem,  
a czym TY jesteś, kolego?<sup>338</sup>

---

<sup>337</sup> H. Haufa, *Dialog w szkole*, [w:] J. Mikołajczak, *Kpink i docinki*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989, s. 175. Źródło pierwotne: poznański tygodnik satyryczny „Kaktus” 1957–1960, dodatek do „Głosu”.

<sup>338</sup> A. Marianowicz, *Ojciec i syn*, [w:] tegoż, *Plamy...*, dz. cyt., s. 235.

**Przykład 256. Antoni Marianowicz –  
*Opowieść o niemrawym chłopczyku* (1957)**

Żył raz niemrawy chłopczyk.

Jako osesek bał się wszystkiego, nawet smoczka. Rodzice nie mieli z nim żadnych kłopotów. Był już w pieluszkach dotrze ułożonym niemowlęciem. Nie krzyczał, bo lękał się własnego głosu.

Radość i duma rodziców ustąpiły jednakże miejsca niepokoju, kiedy ich synek wyrósł na niemrawego chłopczyka. Koledzy w szkole przezywali go beksą i babą. Chłopczyk szczękał wciąż zębami ze strachu, a na widok nauczycieli, krów, myszy oraz własnego cienia dostawał konwulsji. Zwykł schodzić z drogi każdemu, nawet jeszcze bardziej od siebie niemrawemu chłopczykowi, gdyby taki znalazł się w promieniu mili. Trzymał się z dala od wszelkich swarów, a kiedy dochodziło do rękoczynów, uciekał, gdzie pieprz rośnie.

Pewnego razu niemrawy chłopczyk wracał do domu przez ciemny las, dygocąc z trwogi. Nagle usłyszał wołanie o pomoc. Chłopczyk wziął nogi za pas, ale zmyliwszy drogę, znalazł się na polance, gdzie jego silny i niegrzeczny kolega znęcał się właśnie nad kolegą grzecznym i słabym. Na wycofanie się było już za późno. Niemrawy chłopczyk rozpłakał się, po czym dał sójkę w bok leżącemu na ziemi słabemu koledze i ukłoniwszy się silniejszemu, pobiegł dalej własną drogą.

Innym razem dwóch kłócących się kolegów poprosiło go, z braku kogoś lepszego, o rozsądzenie ich sporu. Widząc, że obaj koledzy są mniej więcej równego wzrostu i równej siły, niemrawy chłopczyk nie mógł rozstrzygnąć, który z nich ma rację. Symulował więc omdlenie i w ten sposób zdołał ocalić swą neutralność.

Chłopczyk ten był tak niemrawy, że odpowiadając przy tablicy, nie umiał wykrztusić z siebie słowa. Raz, kiedy nauczyciel nazwał go ślamazarą, zjadł z przeżalenia kredę wraz z gąbką. W czasie klasówek trząsał się tak bardzo, że jego zeszyty pokryte były kleksami, zamazującymi treść wypracowań. Tylko dzięki temu przechodził jakoś z klasy do klasy.

Rodzice niemrawego chłopczyka zamartwiali się. Syn przysparzał im wiele trosk, nie mówiąc już o kosztach związanych z ciągłymi zmianami jego bieleziny.

„Co się z nim stanie, gdy dorośnie?” – załamywała dłonie matka. „Jaki los czeka go, jeśli się nie zmieni?” – rozpaczła posiwiła ojciec. „Jak uda się przejść przez życie chłopczykowi tak niemrawemu?” – gryźli się oboje w ciągu długich, bezsennych nocy.

Tymczasem niemrawy chłopczyk udowodnił, że płonne były obawy starych rodziców. Osiągnąwszy pełnoletniość, znalazł właściwe dla siebie zajęcie.

Został funkcjonariuszem odpowiedzialnym za walkę z chuligaństwem na terenie Warszawy<sup>339</sup>.

### **Przykład 257. Antoni Marianowicz – *Żale uczennicy* (1957)**

Czytając raz książkę starą  
znalazłam w niej takie zdanie:

„Hufce do walki gotowe  
stłoczyły się na polanie.

Zapał ogarniał je wielki,  
rycerze ścągali zewsząd”,  
więc przyszłam z książką do szkoły  
i tak powiadam do dziewcząt:

„Trzeba by skończyć nareszcie  
z tą dziwną tradycją szkolną.  
RYCERZE ŚCIAĞALI ZEWSZĄD,  
a uczniom ścigać nie wolno!”<sup>340</sup>.

### **Przykład 258. Janusz Osęka – *Ile jest 2 × 2* (1957)**

W pewnej szkole pewien nauczyciel matematyki powiedział kiedyś dzieciom: „Zapamiętajcie sobie, kochane dzieci, że dwa razy dwa jest dziewięć”. Była to jedna z jego ostatnich lekcji, albowiem niedługo potem z powodu podeszłego wieku przeniesiono go na emeryturę.

Po odejściu nauczyciela rada pedagogiczna stanęła w obliczu bardzo poważnego zagadnienia: jak poprowadzić dalej nauczanie matematyki, jeżeli dzieci tkwią w błędnym przekonaniu, że dwa razy dwa jest dziewięć? Jak wyprostować u nich zwichnięty pogląd na mnożenie?

Po wymianie zdań, która odbyła się w łonie ciała pedagogicznego, ktoś doszedł do wniosku, że nonsensem byłoby ujawnić dzieciom absolutnie odmienny wynik mnożenia, wynoszący cztery. Taka jaskrawa różnica w obliczeniach mogłaby, jak twierdzono, nazbyt wstrząsnąć dziecięcymi umysłami. Polecono za-

<sup>339</sup> Tenże, *Opowieść o niemrawym chłopczyku*, [w:] tegoż, *Plamy...*, dz. cyt., s. 281–282.

<sup>340</sup> Tenże, *Żale uczennicy*, [w:] tegoż, *Plamy...*, dz. cyt., s. 240. Por. R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska. Część IX, Ciesz się powoli!*, Wydawnictwo Harcerskie Horyzonty, Warszawa 1971, s. 34.

tem nowemu nauczycielowi, aby zakomunikował swym uczniom wynik bardziej już zbliżony do prawdziwego:  $2 \times 2 = 7$ .

– Niech dzieci stopniowo poznają prawidłowe rozwiązanie – powiedział dyrektor szkoły na zebraniu ciała.

Zgodnie z tym założeniem na następnej lekcji uznano za stosowne podać bardziej jeszcze zbliżony do prawdy wynik:  $2 \times 2 = 6$ .

Jednakże skutki tej metody wykładów okazały się trudne do przewidzenia. Nie wszyscy mianowicie uczniowie jednakowo reagowali na ten pewnego rodzaju mętnik liczbowy. Byli tacy, co każdorazowo podany wynik wpisywali do zeszytu obojętnie, nie odrywając się intelektualnie od klipy i lizaków. Niektórzy buntowali się wewnątrznie, publicznie nie protestując. Znalazła się grupka dzieci, która po lekcjach zwróciła się do nauczyciela o wyjaśnienie, jednakże ten spławił je pod byle jakim pretekstem. Nieliczny odłam uczniów upierał się przy pierwszym wariancie „ $2 \times 2 = 9$ ”, ponieważ nie chciało im się przepisywać wciąż tego samego działania.

Grzeczne dzieci przepisywały kolejne wyniki z radością i entuzjazmem. Niegrzeczne umieszczały w ubikacjach ohydne napisy: „ $2 \times 2 = 4$ ”. Dalekowzroczni karierowicze wykrzykiwali publicznie na pauzach (tak, żeby słyszał dyrektor), że dwa razy dwa jest trzy albo zgoła jeden. Nikt natomiast w całej klasie nie miał najmniejszych wątpliwości co do pewnika:  $2 \times 2 = 4$ , ponieważ każde dziecko umiało sobie wyliczyć to na paluszkach<sup>341</sup>.

### **Przykład 259. Janusz Osęka – *Problem dorosłych* (1957)**

Tocząca się na łamach prasy dyskusja o demoralizacji młodego pokolenia odwróciła uwagę społeczeństwa od daleko ważniejszego problemu, jakim jest demoralizacja wśród dorosłych. Liczne rzesze świadomej młodzieży gorąco przejęły się sprawą upadku moralnego dorosłych, o czym świadczy wiele listów, na które odpowiadać będziemy w miarę możliwości.

Stroskany uczeń szkoły podstawowej pisze: „Mój tatuś nie ma szacunku dla przełożonych, ponieważ swego dyrektora nazywa w domu małorolnym głupkiem i biedniakiem umysłowym. Tatuś mówi, że dyrektora ma gdzieś i dlatego podlizuje mu się ze wstrętem. Jak mam się do tego ustosunkować?”.

Odpowiedź: Ze względów wychowawczych nie powinieneś tatusiowi okazywać współczucia ani przyznawać racji, choćby dyrektor był wyjątkowym bałwanem do kwadratu.

<sup>341</sup> J. Osęka, *Ile jest 2 x 2*, [w:] tegoż, *Cyrk pcheł*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957, s. 9–10.

Przodownik nauki żali się: „Mój tatuś jest sekretarzem POP, a gra w karty z księdzem proboszczem, tłumacząc, że ksiądz jest niewierzący. Mamusia jest bardzo niezadowolona, bo tatuś przegrywa. Zdaje mi się, że to wszystko moja wina, ponieważ ja odrabiałem za tatusia szkolenie ideologiczne”.

Odpowiedź: Wpłyn na ojca, żeby nie wciągał w grę bezpartyjnych i grał możliwie tanio, bo jako sekretarz POP nie zarabia tyle, ile ksiądz.

Wrażliwe dziecko opisuje: „W każdą niedzielę przychodzi do nas wujek, który jest tak wielkim reakcjonistą, że mój tatuś nie podaje go w żadnej ankiecie. Wujek opowiada szeptane anegdoty, żeby zachwiać tatusiem i zrodzić wątpliwości w dziadku.

Poza tym wujek handluje na czarnej giełdzie i ostatnio oszukał tatusia na walutach, bo tatuś się na tym nie zna, jako aktywista Frontu Narodowego. Co mam robić?”.

Odpowiedź: Poradź tatusiowi, żeby handlował z kim innym.

Zaniepokojony harcerz pisze: „Nasz nauczyciel gimnastyki chodził do lasu z panią od rachunków, a teraz nie chce się z nią ożenić, bo twierdzi, że wyczuł w niej bezduszny stosunek. Czy sprawa nadaje się do poruszenia na zbiórce harcerskiej?”.

Odpowiedź: Raczej skrytykujcie nauczyciela w szkolnej gazetce ściennej, aby mogły to przeczytać panie od innych przedmiotów.

Niespokojna uczennica skarży się: „Mój papa ma wysokie stanowisko, samochód i sfałszowany życiorys. Papa bardzo ciężko pracuje i często w domu przeklina tę chwilę, kiedy został karierowiczem. Ciągłe w nocy ma egzekutywę; mama mówi, że w hotelu. Mojej mamie jeden pan kupił futro za gotówkę. Jak wyjaśnić to zdarzenie?”.

Odpowiedź: Twoi rodzice mieli na pewno trudną młodość, czego dowodem jest fakt, że papa musiał sfałszować swój życiorys. Nie piszesz nam, drogie dziecko, na jakim stanowisku jest twój tatuś. W sprawie zdemoralizowanych dorosłych – od dyrektora departamentu wzwyż – na razie nie odpowiadamy<sup>342</sup>.

### **Przykład 260. Tadeusz Różewicz – *Wspomnienia ze „starej budy”* (1957)**

Przy stoliku restauracyjnym siedzi trzech gości. Dwóch mężczyzn w sile wieku i chłopak „żółtodziób”. Jeden z mężczyzn ma na imię Kazimierz i najwyraźniej łysieje, a drugi, blondyn, ma na imię Wacław, nosi okulary i marszczy czoło, jakby się czemuś dziwił. Chłopiec, który z nimi siedzi, jest uczniem dziewiątej klasy

<sup>342</sup> Tenże, *Problem dorosłych*, [w:] tegoż, *Cyrk...*, dz. cyt., s. 20–22.

i kuzynem łysiejącego Kazimierza. Na stoliku stoją trzy kufle piwa i wypróżniona ćwiartka. Przed uczniem, na talerzyku, leży nadgryziona kanapka.

– A pamiętasz „Dyra”? Chodzi po szkole jak po folwarku i grzmi. – Blondyn zmienia głos i huczy grubym basem na całą restaurację: – „Nocuń, chodź tu, bratku, kiedy ojciec chesne zapłaci?” „Krowa się nie ocieliła, panie dyrektorze, jak tylko się ocieli, zaraz ojciec zapłaci... Mama śmietaną będzie mogła zbierać i masła trochę sprzeda...”

Blondyn naśladuje cieniutki głos przestraszonego Nocunia, a potem znów grzmi basem: – „Nocuń, ty mi o krowie nie opowiadaj, już od zeszłego roku się ta krowa cieli, a ojciec za szkołę nie płaci. Ty mnie o śmietanie nie opowiadaj, jak do przyszłego miesiąca wszystkiego ojciec nie zapłaci, to do szkoły nie przychodź. Ja też muszę z czegoś żyć, profesorom płacić”. No, bracie, napijmy się – mówi teraz blondyn do łysiejącego kolegi.

Wychylają kieliszki, wpatrują się uśmiechnięci w swoje twarze. Siedzący z nimi uczeń wypił też kieliszek wódki i teraz mąci mu się w głowie. Myśli, że jest dorosły, że wspomina razem z tymi dwoma starymi koniami dawne czasy, a nawet, że trochę łysieje.

– Czekał no, Kaziu – przypomina sobie blondyn – kiedy „Dyro” zaczął budować nową część szkoły, w trzydziestym drugim? Nie, w trzydziestym drugim zmienili czapki. Pamiętasz nasze rondelki? To były czapki, w całym mieście je znali, dach na pół metra długi. Mogłeś sobie tam wszystko szczyrykiem wyrzować. Pamiętasz, najdłuższy daszek w szkole miał Moczek, a jeszcze złamał go w trzech miejscach. To był daszek! A pamiętasz, jak Moczek prefektowi trąbę wbił na głowę po pogrzebie Dobijanki?

Kazio kręci głową: – Nie byłem na tym pogrzebie, z budy mnie wylali na dwa tygodnie, bo chesnego nie zapłaciłem.

– „Katabas”, zanim do naszej budy przyszedł, był więziennym kapelanem – opowiada Waclaw – to wiesz, wypić sobie lubił i Moczek też był nie od tego. Po tym pogrzebie wypili pewnie, bo był listopad i zimno... Katabas rwie się do Moczka i krzyczy: „Moczek, chuchnij mi!”. A Moczek: „To ty chuchnij!”. „Jak ty do kapłana mówisz? Upiłeś się, łajdaku!” A Moczek mu trąbę na głowę! Cha, cha, cha, bracie, to były czasy.

Blondynowi aż łzy napływają do oczu, tak się śmieje.

– Słuchaj, Wacek – zwraca się do blondyna łysy Kazio – a co się stało z „Kalfiorem”? Słyszałem, że przed samą wojną się wykończył, podobno znaleźli go nieprzytomnego w rowie, w szpitalu umarł. To była głowa, co? Świrus, bo świrus, ale swoje wiedział. Pamiętasz, na lekcje przychodził urzęnięty jak bela.

Łusy Kazio wykrzywia się i mówi chrapliwym głosem zmarłego starego bel-fra: – „Kretyny, idioty, matołki... Łapeta, matołku, co było na ostatni lekcji, siadej, kretynie, nic nie wiesz. Puto, co było na ostatni lekcji? Tyż nie wiesz? Siadej, pałka na kwartał. Mikołajczyk, kretynie, z czego się śmiejesz? No, kto w klasie wi, co było na ostatni lekcji? Nikt nie wi? Kretyny, matołki, piętnaście dwójek na półro-cze postawię...”

Łusy Kazio podnosi teraz dwa palce do góry, jakby siedział w ławce w szkole i mówi: – „Czytaliśmy dalszy ciąg *Erlkönig*”. „*Erlkönig... Erlkönig...* matołki, już pół roku to samo czytają. Kuchta, dokąd było czytane na ostatni lekcji, czytaj dalej”.

Teraz łusy Kazio zaczyna deklamować głosem Kuchty:

*Wer reitet so spdt durch Nacht und Wind?*

*Es ist der Vater mit seinem Kind;*

*Er hat den Knaben wohl in dem Arm,*

*Er fasst Urn sicher, er hdlit ihn warm...*

Wacek patrzy z zachwytem na Kazia, a Kazio na Wacka. Kazio znów sobie coś przypomniał, bo się uśmiecha.

– Pamiętasz, jak w maju cała czwarta klasa poszła na węgry? Czwórkami. W pierwszych czwórkach szli mandoliniści, a rowerzyści jechali za oddziałem. Dyrektorowa spotkała nas wtedy na ulicy i pyta: „Gdzie to, chłopcy, idziecie?”. „Na wycieczkę”. „A który profesor z wami idzie?”. „Pan Jama... Mamy wycieczkę przyrodniczą”. „A gdzie pan profesor?” „Po papierosy skoczył”.

Dyrektorowej się ta wycieczka nie podobała i mówi: „To ja poczekam na pana profesora”.

Tymczasem Boniek wydaje komendę: „Klasa, ze śpiewem «Pensjonarki» na-przód marsz”.

Dyrektorowa rozkłada ręce na środku ulicy i krzyczy: „Nie przejdziecie... Chyba po moim trupie. Prawa nam odbiorą, szkołę zamkną!”.

Tymczasem mandoliniści zaczynają przygrywać i cała klasa śpiewa:

*Róż na buzi, w ręku teczka,*

*oto jest pensjonareczka...*

*A gdy przyjdą letnie ranki,*

*te uroczę pensjonarki*

*siądą sobie gdzieś w ogrodzie,*

*by pogadać o porodzie...*

Ruczmy „o porodzie” na całe miasto, a dyrektorowa mdleje... Piętnaście trójek z zachowania było na koniec roku... to było życie.

Starzy sztubacy patrzą z litością na siedzącego między nimi ucznia dzie-wiątej klasy. Łysiejący Kazio macha ręką na swojego młodego kuzyna.



– Czego oni się teraz uczą. Chodzi, bracie, do tej szkoły i uczy się, uczy, a jak się o co spytać, to nic nie wie. Za naszych czasów, jak co wkułeś, to do śmierci nie zapomnisz... Pamiętasz, Wacek, starego „Siapę”? Chłop był jak szafa, gęba cała w dziobach, wąsy jak u starego szlachcica, ciągle go bolały zęby... Przyjdzie czasem do klasy i przez pół godziny tylko syka z bólu, a patrzy tak, jakby cię chciał walnąć globusem. Nagle wyjmuje mały notesik w czarnej ceratce i zaczyna kartki przewracać. A w klasie cicho jak podczas podniesienia... Wszyscy sobie przypominają, na jaką literę pytał ostatnio... Raz ten Kłyś, co siedział ze mną, mówi: „Słuchaj, dzisiaj kolej na moją literę, ja się schowam pod ławkę, a ty powiesz, że wychowawca zwolnił mnie do doktora” i włazi pod ławkę. „Siapa” pomacał się po twarzy, syknął z bólu i wrywa: „Kłyś!”.

„Nie ma Kłysia – mówię – Kłyś poszedł do doktora, wychowawca go zwolnił, chłopak krwią pluje!”

„Siapa” poruszył tylko wąsami, dzioby na twarzy zrobiły mu się fioletowe.

„Kłyś – krzyczy – wyłaż, łosie, spod ławki i opowiedz, co wiesz o jurze krakowsko-wieluńskiej. Nie podpowiadać mu!”

Kłyś, bracie, porusza gębą, ale nic nie mówi, jakby go sparaliżowało. „Siapa” podchodzi do niego, podnosi ręce do nieba i woła: „Siadaj, łosie, masz dwójkę na półrocze. Biedna ta twoja matka, taka porządna kobieta. Na wywiadówce była i za serce się trzymała, jak jej wychowawca powiedział, ile ci grozi dwójek. Ta biedna kobieta już jedną nogą w grobie, a ty ją jeszcze tam popychasz”.

„Siapa” aż się wzruszył tym, co powiedział, my wszyscy robimy głupie miny, a Kłyś pocałował go w rękę i zaczął płakać: „Ja się już będę uczył, tylko niech pan profesor mamusi nie mówi, bo ataku może dostać i umrze”.

„Siapa” głaszcze Kłysia po głowie i mówi grobowym głosem: „Już ty się, łosie, nic nie nauczysz... Siadaj!”.

Znów zagląda do notesika. W klasie jak na cmentarzu. Nagle „Siapa” mówi wielkim głosem: „Zalewski, chłopcze, powiesz nam, co wiesz o jurze krakowsko-wieluńskiej”.

Zalewski jakby nie słyszał, nawet nie wstaje z miejsca. Przecież wiedział, że „jego litera” ma być pytana dopiero za dwa tygodnie, teraz przepisywał w spokoju ducha algebrę od Kuśmierka...

„Siapa” dotknął znów bolnego zęba i zasyczał: „Zalewski, nie słyszysz?”.

Zalewski wstał. „Słucham, panie psorze”.

„Ty mi tu nie słuchaj, tylko o jurze opowiadaj”.

Zalewski spojrział na niego zdumiony, potem rozejrzał się po klasie, na znak zdziwienia podniósł brwi do góry...

„Dzisiaj jest litera K”.

„Siapa” podszedł bliżej do niego.

„Co tam gadasz?”

„Dzisiaj nie moja litera – tłumaczy Zalewski – dzisiaj na K pan profesor powinien pytać”.

W klasie rozlega się szmer. Wiadomo przecież było od lat, że „Siapa” pyta według alfabetu. Choćby się niebo waliło, choć wizytator przyjechał, to „Siapa” pytał zawsze według alfabetu. Każdy wiedział, na kiedy się uczyć. Teraz rozlegają się głosy: „Właśnie, nie jego litera... niesprawiedliwie... Jak takie będą porządki, to nikt się nie nauczy”. „Siapa” rozgląda się po klasie i aż mruga oczami ze zdziwienia.

„Zalewski, mówisz o jurze albo ci pałkę postawię!”

Zalewski jechał z geografii na samych piątkach, ale na dzisiaj nie był przygotowany, miał przecież jeszcze dwa tygodnie czasu... Niezadowolony w klasie rośnie. Wszyscy patrzą na „Siapę” jak na winowajcę, a on krzyczy: „Gadaj o jurze, łosie!”.

Zalewski otworzył usta.

„Ju... ju... ju... ju... ra k... k...” – jąka się i bełkoce, a przecież przez cztery lata mówił zawsze gładko i wyraźnie.

„Siapa” przysłuchuje się ze zdziwieniem temu bełkotowi.

„Co ty, chłopcze, jąkasz się?”

Zalewski spuszcza oczy i milczy.

„Zalewski, co to, przestraszyłeś się, przecież nigdy się nie jąkałeś, co z tobą?”

Sąsiad Zalewskiego podnosi się i mówi do „Siapy” głosem męczennika: „On ma, panie profesorze, taką chorobę nerwową, lekarz na ostatnim badaniu powiedział, że jak się zdenerwuje, to może dostać padaczki... Taki taniec świętego Wita” – dodaje wyjaśniająco.

„Siapa” przyjrzał się uważnie Zalewskiemu, pocałował go w czoło i mówi: „No, siadaj już, moje dziecko, masz piątkę...”

Widzimy, że mu się łzy w oczach kręcą, a i nam się chce płakać, ale patrzmy na „Siapę” jak na winowajcę, przecież to nieładnie, żeby nagle zaczynać pytanie od końca... Już „Siapa” więcej nie burzył ustalonego porządku.

Łysy Kazio uśmiecha się do dalekiego obrazu „Siapy”. Wacek marszczy czoło i kiwa głową.

– Tak, tak, „Siapa”! Bracie, ja wszystko miałem wykute jak pacierz. Dwa-dzieścia pięć lat minęło od tego czasu, jak mnie „Siapa” uczył, ale możesz mnie w środku nocy obudzić, a ja ci zaśpiewam jak z nut: Soła, Skawa, Raba, Dunajec z Popradem, Wisłoka... Tak, bracie, to już do śmierci zostanie. Nauczone i koniec.

Koledzy ze „starej budy” znów popatrzyli na ucznia dziewiątej klasy i pokręcili głowami. Kazio zwrócił się do swojego młodego kuzyna: – Co wy w tej szkole teraz robicie? Przecież ty nie wiesz, co to jest życie sztubackie, ścigałeś chociaż raz w życiu, widziałeś prawdziwy bryk?

– No pewnie, że ścigałem – odpowiedział uczeń i z dumą spojrzął na dwóch panów.

Łysy Kazio przygaśli go jednym szyderczym spojrzeniem.

– Ty, bracie, nigdy nie widziałeś i nie zobaczysz prawdziwej ściągaczki, nie zobaczysz... Słyszysz, Wacek, on „raz ścigał”. Ty wiesz, chłopcze, że to była cała gałąź wiedzy, byli specjaliści, ludzie wtajemniczeni, żyli z tego. Pamiętasz, Wacusz, Adasia Rosówkę, ten wiedział swoje. Adaś! Bracie, jak przyszło do matury, to Adaś cały rok ściągę pisał, bryki z całej Polski skrzynkami sprowadzał, miał w swojej kartotece z pięćset tematów. Żyło się tym, bracie! Ściągę były robione solidnie, nie jakaś tam karteczka papieru; pewnie, były i takie, wyrzucało się to zaraz po klasówce. Ale prawdziwa, solidna ściągę była robiona na dobrym papierze, trwałą jak pergamin... Trzeba było pisać ściągę piśmem drobnym jak mak, ale czytelnym. Specjaliści robili. Ściągę przechodziły, można powiedzieć, z ojca na syna. Adaś miał jedną ściągę z matematyki! Wszystko tam było, algebra, geometria wykreślna, pierwiastki, wszystkie wzory i prawa, od Pitagorasa do samego, jakże mu tam, Archimedesza. Wszystkie figury pięknie wyrysowane, dowody przeprowadzone. Cała wiedza matematyczna tam była w zakresie ośmiu klas gimnazjalnych. Ściągę miała pewnie pięć albo sześć metrów długości, była pisana tuszem na miękkiej ceratce. Adaś odkupił ją od Kipigrocha, bo ten miał już wszystko w głowie, a może i nie miał... Pamiętasz, Wacek, „Kipka”? Trzy razy oblał przy maturze. Chłop jak dąb, z laską bambusową do szkoły chodził, poważny, ojciec dzieciom. Jak trzeci raz oblał, to wszedł z tą laską do pokoju nauczycielskiego. Pamiętasz, jaka była granda? Czekajcie... O czym to ja mówiłem? – Kazio potarł się po łysiejącej czaszce – ten „Kipek” mi się wpa-radował...

– O ściągaczkach – podpowiedział nieśmiało dziewiątoklasista.

– Właśnie, bracie, o ściągaczkach. Robiło się ściągaczki, które służyły na całe lata. Ale dawniej można było liczyć na coś stałego. Tematy z łaciny albo polskiego zmieniały się bardzo rzadko. Jeśli miałeś z polskiego z pół setki ściąg, mogłeś być pewny, że trafisz na temat. Wiadomo było, że będzie coś z trzech wieszczów albo „Skarga, Słowacki, Żeromski jako budziciele sumień”. Wiadomo było, że musi być też jakiś państwotwórczy temacik, potem coś z pozytywizmu, jednym słowem, jak ktoś miał nosa, to mógł iść na pewniaka. Teraz, bracie, nie tylko tematy, ale i podręczniki zmieniają. Podręczniki! Ja mam

jeszcze w bibliotece historię Nankego i gramatykę łacińską Samolewicza. Książki, można powiedzieć, z ojca na syna przechodziły. Na Samolewiczcu uczył się mój kuzyn, który teraz jest proboszczem, i choć miał zamiar zostać misjonarzem i z trędowatymi życia dokonać, gospodynię ma... a niech mu tam będzie! Od niego książkę nabył Stasiek Miskoszczak, który w kawalerii w Grudziądzu był, a teraz gdzieś tam w Ameryce żyje... Ile tam, bracie, kreśleń zielonym i czerwonym, niebieskim i czarnym atramentem, kartki wyczytane, wytarte. Książkę się szanowało, podklejało, oprawiało, gumką czyściło, na koniec roku sprzedawało. Ja w szóstej klasie miałem dwie książki, na czternaście potrzebnych... Teraz, szkoda gadać! Na początku roku idzie taki – tu Kazio spojrzął krytycznie na swego kuzyna z dziewiątej klasy – idzie taki do księgarni i przynosi tuzin nowych podręczników. Starych nie sprzedaje, bo mu się „nie opłaci” i to jest nauka! Płakać się chce!

Kazio zamrugał oczami, jakby się chciał rzeczywiście rozpłakać. Po chwili ciągnął dalej: – Ale czasem tematy przywoził ze sobą na maturę wizytator i kopertę na sali otwierał. Jak kuratorium chciało maturę „położyć”, to robiło takie kawały. Pamiętasz, Wacek, w trzydziestym pierwszym roku, jakie było w budzie piekło. Chcieli nam maturę położyć i położyli. W następnym roku prawa szkół państwowych odebrali i „Dyro” budę musiał zamknąć. „Dyro” chodził wtedy jak zaczadziały i do maturzystów mówił: „Szkolę mi chcą zamknąć, tematów nie przysłali, przecież żaden z was matury nie zda... wizytator tematy przywiezie...”

„Dyro” tylko ręką machnął na wszystko. Przy tym, nie wiadomo dlaczego, kazali wtedy naszym zdawać nie w budzie, tylko w gmachu szkoły handlowej. Już było wiadomo, że kuratorium chce rzeź urządzić. Do matury dopuszczono dwudziestu trzech, a pewniaków było dwóch: Sikora i Walczakowski, przy dużym szczęściu mogło zdać pięciu, a reszta „tabula rasa”, nic nie umieli. Nawet „Kipek”, choć już trzeci raz szedł do matury, mówił, że mu się wszystko pokręciło... U „Dyra” w mieszkaniu sądny dzień. W całej szkole było słychać głos dyrektorowej: „Maturę nam chcą położyć, szkolę chcą nam zamknąć”.

Adaś Rosówka błąd jak śmierć przeglądał swoje ściagi. Tematy przywiózł ze sobą delegat, który przyjechał na dzień przed maturą i zamieszkał w hotelu „Polonia”... Co tu robić, bracie. Adaś i „Kipek” ze sprzętaczkami hotelowymi kombinowali, ale nic z tego nie wyszło. Jeszcze tego samego dnia chłopaki telegraficznie sprowadzają z Warszawy trzech studentów do pisania ściąg, zamawiają też jakichś emerytowanych profesorów i innych specjalistów. Wszyscy maturzyści radzą tylko nad tym, jak tematy na zewnątrz wyrzucić. Profesorowie odmówili wyniesienia tematów i przemycenia ściąg. Żli byli na „Dyra”, bo od trzech miesięcy nie wypłacał im pensji, i też mu się chcieli za to „przysłużyć”.

Adaś Rosówka dał projekt, żeby tematy przez okno na nitce wypuścić i potem je taką samą drogą wciągnąć, ale wszyscy odrzucili ten projekt, bo łatwo było wpaść. Co robić? Wszyscy zmartwieni. A tu czas ucieka i „Hannibal ante portas”... Wreszcie „Kipek” wymyślił: „Murarza nam trzeba – woła – kto zna murarza, niech go tu zaraz sprowadzi”.

Adaś znał starego Orzyńskiego, pijaka sakramenckiego, ale majstra jak złoto... I tak, bracie, Orzyński jeszcze tego wieczora cegłę wyjął ze ściany, w tej sali, gdzie się miała odbywać matura. Robił to na ulicy, a chłopaki drabinę mu trzymali; na salę otworek wychodził przy samej podłodze, woźny za pół litra stolik koło tej dziury ustawił. Tą dziurką tematy na ulicę wyleciały i ściągi przyfrunęły. Orzyński swojego litra dostał. Chodził przez kilka dni ze sztubakami, ludzi na ulicy zaczepiał i opowiadał: „Chcieli chłopakom maturę położyć s... syny, a ja nie pozwoliłem i chłopakom maturę zrobiłem! Swoją robotę znam. Zdawajta, chłopaki, z Bogiem, co wam żałować. O jedną głupią cegłę się rozchodziło... Jak zdawać, to zdawać!”

Tak gadał, aż trzeba było drugiego litra postawić, żeby gębę zamknął. A maturę i tak położyli. Z dwudziestu trzech siedmiu zdało. Delegat ścinał na ustnym, sam pytania zadawał. I „Kipek” oblał, i Rosówka też... Delegat, bracie, w nocy dorożką zmiatał na stację, bo chłopaki na niego polowali, mordę mu chcieli zbić... „Kipek” i tak germaniście binokle laską zdjął z nosa i do góry podrzucił; jak upadły, to się potłukły... Od tej matury „buda” zaczęła kapcaniec, prawa szkół państwowych odebrali i wreszcie „Dyro” budę zamknął...

Kazio i Wacek spuścili głowy, jak dwie dorożkarskie szkapy. Kuzyn Kazia, uczeń klasy dziewiętej, westchnął też ciężko, jakby to jego „budę” zamknęli, ale dwaj koledzy ze „starej budy” nawet nie zwrócili uwagi na jego westchnienie<sup>343</sup>.

### **Przykład 261. Marian Załucki – *Po wakacjach* (1957)**

Dosyć już lasów i traw –  
Dosyć, Koledzy, hasania!  
Do szkoły, Koledzy! Do łąk!  
Pitagoras się kłania...

Na harce nie ma już czasu,  
Już jesień, już wrzesień – już pierwszy!  
Tam w szkole Jan z Czarnolasu  
Z naręczem czeka was wierszy

<sup>343</sup> T. Różewicz, *Wspomnienia ze „starej budy”*, [w:] tegoż, *Uśmiechy*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957, s. 128–135.

I Archimedes – jak myślę –  
 Z westchnieniem wzywa już was:  
 „Ciała zanurzone w Wiśle –  
 Na brzeg! I do klas!...”

...Ja sam – mówiąc tu między nami –  
 Bym teczkę z książkami wziął w dłoń  
 I do szkoły z wami – parami –  
 Powędrowałbym – stary koń...

Gdzieś tam w tyle usiadłbym może  
 I dwa palce podniósłszy do góry,  
 Powiedziałbym: „Profesorze,  
 Ja w sprawie drażliwej natury...”

Może źle, że to powiem przy klasie,  
 Może ktoś mnie potępi z kretesem –  
 Lecz, Profesorze, ja się  
 Nie zgadzam z Archimedesem!!!

Sam pan przyzna po głębszym namyśle  
 (No, bo trudno, bo fakt – nie poradzę),  
 Że ciała zanurzone w Wiśle  
 Przez wakacje – Przybrały na wadze!”<sup>344</sup>

**Przykład 262. Jerzy Afanasjew (?) – *Krótki kurs studentologii.*  
 Fragment programu „Studenckie Święto Wiosny  
 w Gdańsku” teatru studenckiego „Bim-Bom” (1958)**

Zagadnienie I

Student jako człowiek

Studenta na pierwszy rzut oka można poznać po następujących cechach: Ślepa kiszka, kocha – lubi – szanuje, zapeklowany zachowuje godność. Uczonym dotychczas nie udało się zaobserwować momentu rozmnażania się studenta, toteż problem ten owiany jest mgłą tajemnicy. Je wszystko. Zmienia owłosienie mniej więcej po dwudziestu latach. (Niektórzy osobnicy zatrzymują się jednak

<sup>344</sup> M. Załucki, *Po wakacjach*, [w:] tegoż, *Oj-czyste kpiny*, Iskry, Warszawa 1957, s. 68–69.

w połowie tego procesu – na przykład Lepczyński). Zanurzony w wodzie traci pozornie na swojej wadze tyle, ile waży wyparta przezeń woda. (Czasem więcej, szczególnie w dzisiejszych czasach). Z WC korzysta zazwyczaj w poniedziałki, środy i piątki, przy tym gaworzy wesoło. Przewrócony na grzbiet lubi baraszkować. Dobrze przygotowany stanowi prawdziwą ozdobę każdego polskiego stołu. Uderzony kwili cichutko i wtedy robi się wszystkim smutno.

#### Zagadnienie 2

##### Student jako mąż

W dzisiejszych czasach na męża najlepiej nadaje się: student płci męskiej. Student – mężczyzna. Jako mąż posiada nieprzeciętne walory. Przede wszystkim jest łagodny, dobrze ułożony, nie brudzi, chętnie otwiera puszkę z ananasem, dobrze znosi samochody. Zresztą, po odbyciu studiów, jest w takim stanie, że z pokorą zniesie wszystko. Nawet jajo (był taki wypadek w Rzeszowskiem!). Jest nastawiony społecznie, gdyż mając kilkoro dzieci, mówi do nich per „wy”. O wschodzie Słońca radosnym chichotem budzi rodzinę, sąsiadów, uczucia patriotyczne w narodzie, zazdrość kobiet niezamężnych, sympatię otoczenia i powszechnie uznanie. Jako Druet rośnie wysoko.

#### Zagadnienie 3

##### Student jako zwierzyzna łowna

Prawo polowania na studenta (nie licząc milicji) mają kobiety w wieku 18–22 lat. Polować można najlepiej przy użyciu zachodów słońca, zamków błyskawicznych, artykułów spożywczych, przekonań politycznych, pojazdów mechanicznych i niewielkiej ilości mam – kandydatek na teściowe.

Na upatrzonego polować można z nagonką, z zasadzki, z wabikiem, z fuzją, ale to czasem może chybić celu, jeżeli się trafi na żółtodzioba, albo jeżeli student nazywa się Rybka – to na spinning. Można też zastawić sidła (kobiety wiedzą najlepiej, jak to się robi). W okresie rui (juwenalia 17, 18 maja) polowanie uważane jest za kłusownictwo i pociągane do odpowiedzialności sądowej<sup>345</sup>.

### **Przykład 263. Jerzy Afanasjew – *Regulamin Studenckiego Święta Wiosny* (1958)**

Gdgdgdańszczanie!

Stud Dęci! Chudzi! Grubi! I zacne Wasze Pchły! Za kilka dni, gdy na niebie ukaże się pięta św. Michała, a krytycy biczący swoje grzeszne ciała przypląną łaźnią parową z Góry Kalwarii, gdy konie wyjdą na ulicę w studenckich czap-

<sup>345</sup> Za: A. Cybulski, *Pokolenie kataryniarzy. Zapiski z 10-lecia Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”*, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1963, s. 170–171.

kach, a studenci w końskich chomątach ROZPOCZNIE SIĘ STUDENCKIE ŚWIĘTO WIOSNY.

Obejrzyjcie sobie:

słonia, który pierwiastkuje trąbą,  
pchłę, studentkę medycyny w Bejrucie,  
jamnika, prokuratora z Mediolanu  
oraz ideał skromności, krowę w biustonoszu

i

wszystkie studenckie teatry, będące z Melpomeną na bakier.

Panie, Panowie, Psy i Koty!  
Szanowne Osły z Doktoratem!  
I Wielebni Księża Krytycy!

Śmiejcie się, bo żadna zdobyta docentura nie da Wam poczucia humoru. Ojciec Wasz, Łazarz, był przecież uroczym facetem! Jeśli nie potraficie się śmiać, to idźcie do cholery na cmentarz! Grabarz oliwi już na Was łopatę.

Stypendyści! Kochajcie Szaszkiwiczową!

[...] W dniu otwarcia juwenaliów nasza armata wystrzeli ponad Gdańsk 200 tysięcy złotych w papierkach.

Całuję Was w nos  
prof. Samolot Studencki<sup>346</sup>  
z łatą na skrzydle

Regulamin

1) Wszystkie studentki zamiast kapeluszy noszą na głowach wazoniki z różami.

11) Wszystkie konie w Gdańsku malarze przemalują farbą olejną na białe. W ogóle można będzie każdemu malować po koniach.

111) Przed Klub Studenta wypuścimy 1000 czarnych kotów posypanych proszkiem do kichania.

1111) Malarze niech wieszają własne obrazy na szyjach swoich dziewcząt jako medaliony.

11111) Zamiast papierosów palić można tylko parówki z musztardą.

111111) W powietrzu pływają na wznak chude anioły z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

1111111) Małe dziewczynki wożą w wózkach żywe krokodyle.

---

<sup>346</sup> W innym źródle pod regulaminem podpisany jest prof. Cyrkus Tralabomba: J. Afanasjew, *Rozpocznie się*, [w:] J. Afanasjew, M.J. Kononowicz, W. Słobodnik, H. Safrin, J. Sztayndynger, *Pięć śmiechów głównych*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1967, s. 62.



11111111) Wygłodzeni studenci zamiast jakichś tam kanapek jedzą prawdziwe kanapy z serem.

111111111) Wszystkie psy nakręcone są za ogon i tykają.

1111111111) Studenci pianiści wypływają na morze własnymi fortepianami.

11111111111) Karuzele są po to, aby unosić się z nami w powietrze<sup>347</sup>.

### **Przykład 264. Bogdan Brzeziński – *Zjazd koleżeński*. Monolog z repertuaru Hanki Bielickiej (1958)**

– Ale ten czas leci – co? A człowiekowi czasem się zdaje, że to było wczoraj, jak do szkoły chodził! Jak człowiek gruby warkocz nosił i taaaką kokardę na czubku głowy... Dwoje człowiek zbierał i do kąta człowieka stawiali...

Ech! Po co wspominać te dwoje? Każdy wiek ma swoje nieprzyjemne strony. Gdy człowiek jest dzieckiem, to ma szkarlatynę, ale za to nie ma tyżew. A gdy dorośnie, to ma teściową, a za to nie ma nowego kapelusza!

A co do mnie, to ja byłam bardzo żywa jako dziecko! Szalenie! Podobno jak przyszłam na świat, to tego dnia było trzęsienie ziemi w Persji. Możliwe, ale to chyba tylko zbieg okoliczności!

A potem poszłam do szkoły. Właściwie to nie była zwykła szkoła, ale prywatna pensja hrabianki Kapuścińskiej. Bo wtedy jeszcze można było w Polsce wyżyć z pensji i hrabianka Kapuścińska sobie otworzyła.

Nauczyciele strasznie mnie lubili. Pamiętam – matematyki uczyła nas młoda nauczycielka z całkiem siwymi włosami. Wszyscy mówili, że to bardzo oryginalnie wygląda – młoda twarz i te siwe loki. I ona zawsze lojalnie podkreślała: – Pietrusińska, te włosy to ja mam dzięki tobie!...

Bardzo sympatyczna osoba! A panu Nowakowi, który nas uczył historii, to zawsze coś chowałam. A to kredę, a to gąbkę, a to okulary... A raz to mu nawet szczękę schowałam! Nie, nie jego osobistą, ale szczękę pierwotnego człowieka, gdy ją przyniósł do klasy, żeby pokazać.

I to było strasznie śmieszne, jak on krzyczał: – Oddajcie mi moją szczękę pierwotnego człowieka!

Aż przyleciała pani przełożona i pyta z przerażeniem: – Co się stało, panie profesorze?

– Szczęka mi przepadła! – on na to. – Taka piękna szczęka!

– Niech się pan profesor nie martwi – powiada przełożona – mój szwagier jest dentystą, to panu tanio wprawi!

---

<sup>347</sup> Za: A. Cybulski, dz. cyt., s. 169–170.

A profesor wrzeszczy jeszcze głośniejsze: – Co mi wprawi? Gdzie mi wprawi?! Sto tysięcy lat miała moja szczęka!

No i przełożona uciekła przerażona, że profesor ma – jak to dzisiaj mówią – nierówno pod sufitem...

A na drugi dzień profesor wpada do klasy i od razu krzyczy: – Pietrusińska, gdzie zginął Hannibal?

– Jak Boga kocham, panie profesorze, ja go nie wzięłam! Nawet go nie ruszałam!

Ale nie uwierzył. Dwójkę mi postawił i kazał przyjść z rodzicami.

No, ale jakoś – mówiąc po sportowemu – zakwalifikowałam się do finału, czyli dostałam maturę. Upłynęło od tej chwili parę lat... Ile?... Nie będziemy wchodzić w szczegóły! Tu nie biuro statystyczne... Prawda?...

Tylko mężczyźni chętnie przyznają się do swoich lat. Gdy chłop skończy czterdziestkę, to zaraz chwali się wszystkim naokoło: – Powinszujcie mi! Już mi stuknęła piąty krzyżyk!... Tak, tak, nie ma co, starzejemy się! O, patrzcie, ile mam siwych włosów! O, tu jeden, jak byk!... Stąd na przykład wiemy dokładnie, że biblijny Matuzal liczył sobie dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat. A gdyby to była Matuzalowa – przyznałaby się najwyżej do ośmiuset lat, a i to niechętnie! No więc przeleciało te parę lat i urządzono jubileuszowy zjazd koleżeński byłych wychowanek byłej pensji byłej hrabianki Kapuścińskiej – obecnie Zawodowej Szkoły Położniczej imienia Tysiąca Walecznych.

Oczywiście bardzo się ucieszyłam, bo, myślę sobie, zobaczę, jak się te moje koleżanki postarzały. Bo co do mnie to proszę mi wierzyć... Nic się nie zmienia! Prawie wcale, słowo daję! Pan Powidłowski, kolega męża – bardzo elegancki mężczyzna – często mi mówi: – Pani to wygląda jak wiosenka! Jak podłotek!

A mąż, jak to mąż, zaraz dodaje: – O, patrzcie ją!... Cud natury – najstarszy podłotek świata!...

No, ale wiadomo – każdy mąż lubi być szalenie „dowcipny”!... Aż się wierzyć nie chce, że toto było kiedyś subtelnym narzeczonym! Róże toto przynosiło... A potem płatki opadły – i zostały same kolce, w szlafroku i przydeptanych pantoflach!...

No, ale wracamy do zjazdu koleżeńskiego. Więc wchodzę ja do tej sali – patrzę – i oczom nie wierzę! Ani jednej młodej kobiety w moim wieku! Nagle zrywa się taka mała, pękata pani, pędzi do mnie, aż się jej wszystkie podbródki trzęsą, i krzyczy:

– Dziunia, kochanie! Poznajesz mnie? To ja, Kryśka! No... nie pamiętasz? Ta nowa, co to przysłała od półrocza, w szóstej klasie!

Ona – nowa?! No, wiecie państwo!... Jeżeli ona jest nowa – to ja jestem prosto z igły! Ale jeszcze nie zdążyłam ust otworzyć, a ta nowa babina krzyczy na całą salę:

– Bój się Boga, kobito, co się z tobą stało? Gdyby nie te twoje piegi, tobym cię chyba nie poznała! Przecież ja przy tobie wyglądam jak córka!...

Jeżeli ona wygląda jak moja córka, to mamusia natychmiast wychodzi! Już byłam przy drzwiach, gdy nagle podszedł do mnie całkiem łysy staruszek i powiedział:

– Ależ pani młodziutko wygląda! Zupełnie się pani nie zmieniła od tego dnia, gdy mi pani szczękę schowała! Pamięta pani?

No to mnie się zrobiło tak ciepło, o, tu... Nie, raczej tu – już człowiek z tego wszystkiego zapomniał, gdzie ma serce!... O, tu – i mówię: – A, to pan profesor Nowak! Pan też strasznie młodziutko wygląda, jak na pocziwego staruszka!

A wtedy profesor wziął mnie za rękę i z wilgotnymi oczami pyta: – Gdzie zginął Hannibal?...

– Ja go nie wzięłam powiadam.

I coś mnie za gardło ścisła... A profesor surowym tonem: – A jak brzmi prawo Archimedesza?

– Nie znam się na prawie, panie profesorze. Nawet jak mnie sąsiadka zaskarżyła do sądu za to, że w towarzyskiej rozmowie powiedziałam do niej: „Ty zwiędła ludowa pokrzywo, nie udawaj przed moim mężem orchidei po 50 złotych sztuka!” – to adwokata wzięłam, żeby sprawę nie przegrać.

– Jak to? – woła profesor. – Nie pamięta pani? Archimedes akurat kąpał się i wyskoczył z wanny, wybiegł na ulicę i coś krzyczał... Co on krzyczał?

– Czy ja wiem?... Co on mógł krzyczeć, jak nagi i mokry biegł przez ulicę? Pewnie: „Cholerrra, jak zimno!...”

A wtedy staruszek pokiwał głową i powiedział: – Siadaj, Pietrusińska, jutro przyjdiesz z rodzicami!

Ach, jak przyjemnie było usłyszeć te słowa! Taka poczułam się młodziutka!...<sup>348</sup>

---

<sup>348</sup> B. Brzeziński, *Zjazd koleżeński*, [w:] tegoż, *Sokrates w szewrolecie. Humoreski, monologi, skecze*, Iskry, Warszawa 1960, s. 15–18.

**Przykład 265. Jadwiga Rutkowska – *Powołanie* (1958)**

Osoby:

Kandydat

Profesor

Profesor – Następnym kandydat, proszę!

Kandydat – Dzień dobry.

Profesor – Dzień dobry. O co by tu pana zapytać? Jaki okres pan lubi?

Kandydat – Okres wielkich przemian, w którym żyjemy.

Profesor – A w literaturze?

Kandydat – Okresy to ja nie bardzo. Wolę współczesną.

Profesor – Niech będzie. Czytał pan „Stare i nowe”?

Kandydat – Nowe tak, naturalnie, ale stare... Nie miałem czasu na stare.

Trzeba nadążać.

Profesor – Ale Rudnickich pan zna?

Kandydat – Znam, mają ładną córkę. Trochę zacofani.

Profesor – To już może jednak zapytam o coś z dawnych rzeczy. Kim był

Kołątaj?

Kandydat – Był Polakiem. Dobrym Polakiem. Postępowym.

Profesor – Z zawodu? (*cisza*) To pan nie wie, że Kołątaj był księdzem?

Kandydat – Pan profesor żartuje!

Profesor – Jeśli żartuję, to co, pana zdaniem, robił Kołątaj?

Kandydat – On miał kuźnię.

Profesor – Proszę mi powiedzieć, młody człowieku, dlaczego pan zdaje na dziennikarstwo?

Kandydat – Dlaczego? Ja od najmłodszych lat marzę o tym, żeby być człowiekiem pióra, żeby wzbogacić nasz język ojczysty o nowe dzieła. Dźwigać ten gmach kultury! Ja już dawno sam piszę. Wiersze, aforyzmy. Mnóstwo. To jest po prostu powołanie. Żeby mi tylko umożliwić start! Ja czuję, że we mnie drzemią wielkie możliwości. W ukochanym zawodzie...

Profesor – Widzę tu z pana papierów, że pan już przed rokiem zdał maturę. Dlaczego wówczas pan się nie zgłosił?

Kandydat – Bo ja, panie profesorze, zdawałem w zeszłym roku na dentystrykę. Nie udało się. Nie miałem poparcia. Ale ja zasługuję. Niech Rudniccy zaświadczą. Pan profesor też ich przecież zna...<sup>349</sup>

<sup>349</sup> J. Rutkowska, *Powołanie*, [w:] *Scena młodzieżowa Nr 4*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1958, s. 33–35. Por. J. Rutkowska, *Powołanie*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym*

**Przykład 266. Wołody Skiba (Władysław Sabowski) –  
*Nad poziomy* (1958)**

Inspektor policzył wzrokiem winowajców, którzy stali z pospuszczanymi głowami, jakby za chwilę mieli iść na ścięcie.

– Winę waszą znacie – rzekł – i znacie mnie. Wiecie, że nie może być mowy o przebaczeniu. Wszystko można darować, ale drwin i żarcików z profesorów, którzy was kształcą, nie przebacza się nigdy. Kara będzie straszna. Dziś sobota, lekcji popołudniowych nie ma, zostaniecie zamknięci do godziny ósmej wieczorem, o chlebie i wodzie. Ale na tym nie dosyć. Postąpiliście jak żaki, więc będziecie ukarani jak żaki, chociaż niejednemu wąsy już rosną. Żebyście mieli o czym rozpamiętywać w kozie, dostanie każdy po piętnaście.

Tak srogiej kary nie spodziewano się rzeczywiście. Kara cielesna w ogóle praktykowana była wyjątkowo, i to tylko w klasach najniższych. Klasa czwarta, do której należeli skazańcy, stała już na przełomie pomiędzy niższymi a wyższymi. Nie dawano w niej jeszcze uczniom tytułu „pan”, lecz ich już nie traktowano jak małe dzieci.

Tym większe też było upokorzenie skazanych i tym większa ich konsternacja. Niektórzy wprost po dziecinnemu zaczęli płakać, niektórzy chcieli prośbami zmiękczyć inspektora.

Z Ćwikiem jednakże nie było układów.

– Ani słowa!... – krzyknął. – Ruszać do kozy!... Wiecie, że co ja powiem, to stać się musi, choćby było trzęsienie ziemi i skończenie świata.

Nie było w całym gimnazjum ani jednego ucznia, który by o tym powątpiewał, zaniechano więc próśb i gromadka delikwentów poszła wolnym krokiem do kaźni.

Odprowadził ich tam stróż gimnazjalny, Szapski, ten sam, na którego z przerażeniem spoglądali zwykle wstępujący do szkoły nowicjusze i o którego funkcjach tajemniczych ponure między nimi krążyły legendy. Zaprowadził, zamknął w milczeniu i wyszedł na korytarz, a w chwilę potem skazańcy usłyszeli, że inspektor donośnym głosem wydawał mu zwyczajne w takich okolicznościach zlecenie. Nie było już wątpliwości, że barbarzyńska egzekucja zacznie się zaraz.

Rzeczywiście, po chwili Szapski ukazał się znów w klasie, w której zamknięci byli skazańcy, i zapytał: – No, panowie, kto pójdzie na początek, na ochotnika?

Nikt się nie wysuwał z szeregu.

Szapski uśmiechnął się złośliwie.

– Ech, panowie, to wstyd – mówił – gdyby tak w wojsku, to by się zaraz jaki ochotnik znalazł... Jak się to prędzej skończy, to i prędzej boleć przestanie...

Racja w tym była, lecz do głów młodych nie trafiała.

Szapski wiedział, że gdyby się certował dłużej, sam byłby odpowiedzialny przed inspektorem, chwycił zatem za rękę pierwszego z brzegu i poprowadził ze sobą na koniec długiego korytarza. Biedny skazaniec, gdy stanął przed inspektorem, miał głowę spuszczoną tak, że w ciemnym trochę korytarzu niepodobna było go poznać.

– Podnieś głowę! – krzyknął inspektor.

Nieszczęśliwy chłopiec, drżąc cały, podniósł nieśmiało oczy na gimnazjalnego Jowisza.

– Pokrowiecki! – zawołał inspektor. – Jeden z najlepszych uczniów... Syn takiego zacnego ojca!... No i widzisz, na co ci przyszło!...

– Ja, panie inspektorze... – chciał coś przez łzy odpowiedzieć rozpieszczonego właściciela bułamka, który i tym razem, nie mogąc zapanować nad sobą, płakał rzewnie jak przy pożegnaniu z rodzeństwem – ja, panie inspektorze...

Ćwik słuchał, czekał może, czy winowajca czymś się naprawdę nie usprawiedliwi.

Ale Adasiowi przestraszył tak serce ścisnął, że powtarzał tylko: – Ja, panie inspektorze... ja, panie inspektorze...

Słowa więcej nie był w stanie z siebie wydobyć.

– Stało się – rzekł nareszcie inspektor – nie ma ratunku... musisz być ukarany. Choćbym chciał przebaczyć ci, nie mogę... zgorzsyłoby to innych... nie mogę... Sam przyznasz, że nie mogę.

– Ja, panie inspektorze – powtarzał drżący jak liść chłopczyzna.

– Ale mi cię żal... boś ty tam może nie był najwinniejszy...

– Ja, panie inspektorze...

– Żal mi cię, jesteś jednym z najlepszych uczniów... syn takiego zacnego ojca... Więc przebaczyłbym ci...

– Ja, panie insp... – zaczął i nie dokończył Adaś.

Oniemiał zupełnie. Zdawało mu się, że źle słyszy. Ćwik mówił o przebaczeniu. Tego jeszcze nie było, odkąd Pan Bóg świat stworzył, a ludzie na nim, ku strapieniu młodzieży, gimnazja pobudowali.

– Przebaczę tobie... tobie tylko jednemu... – powtórzył inspektor – ale pod warunkiem, że się o tym nikt w świecie, nawet twój rodzony ojciec nie dowie.

W serce Adasia, zakrwawione nie tyle obawą bólu, ile myślą o hańbie mającej go spotkać pierwszy raz w życiu, zaczęła wstępować otucha.

– Ja, panie inspektorze – powtórzył głosem, w którym spoza łez już zaczęło przebijać trochę szczęścia.

– No, gadaj, przyrzekasz?... Dajesz słowo?...

– Przyrzekam, panie inspektorze... daję słowo...

– Nie powiesz nikomu; ani ojcu, ani matce, ani koledze, ani żadnej rzeczy, która jego jest?...

– Nie powiem, panie inspektorze.

– Więc dobrze, przebaczam ci.

Uszczęśliwiony Adaś chciał już podziękować.

– Czekał, jeszcze nie koniec... – powstrzymał go inspektor. I zwracając się do cerbera gimnazjalnego rzekł: – Szapski, rozumiesz... ani słowa przed nikim, że mu przebaczyłem... Parol żołnierski... Jakbyś to rozgadał, straciłbyś miejsce. Bierz zaraz różgę i wal z całym sił w ławkę...

Szapski sięgnął po narzędzie kary, inspektor zwrócił się do Adasia: – A ty po każdym uderzeniu krzycz, drzyj się z całego gardła, tak jakby cię naprawdę obdzierano ze skóry.

Był to, jak się okazało, kompromis, w którym i strona ułaskawiona musiała się poddać twardym warunkom. Nie będąc bitym, trzeba było krzyczeć tak, żeby to z oddalenia inni słyszeli, trzeba było wykroczyć przeciw jednemu z kardynalnych warunków ambicji studenckiej, nakazującemu znosić prześladowania i katusze w prawdziwie męskim, stoickim milczeniu.

Trzeba jednakże było przejść przez to jarzmo kaudyńskie. Ratunku na to nie było żadnego. Tak chciał Ćwik i tak się stać musiało, choćby to było trzęsienie ziemi i koniec świata.

Szapski z zamachem i siłą uderzył w ceratową powłokę ławki, Adaś z uczuciem prawdziwej zgrozy, wyobrażając sobie, co by to było, gdyby ten cios okrutny miał spaść rzeczywiście na niego, krzyczał z całego gardła: – Aj! aj! aj!... Panie inspektorze, łaski, litości, przebaczenia!...

– Nie ma łaski! Nie ma litości – powtarzał Ćwik donośnie. – Szapski, wall!...

Powtórzyło się to piętnaście razy. Współskazańcom Adasia, którzy z oddalenia, zamknięci, słyszeli krzyki, włosy tymczasem powstawały na głowach. Jedni załamywali ręce chodząc po klasie rozpaczliwymi krokami, inni, zastoniwszy oczy, płakali, a Węgrzynek udając zucha zawołał: – Jak się ten Pokrowiecki nie wstydzi tak wrzeszczeć... Ja z pewnością ani zipnę!... Niech mnie Ćwik każe zamordować, ani zipnę!...

Dobrze czynił, że się pokrzepiał na duchu, bo w chwilę potem ukazał się znów Szapski; spostrzegłszy go najbliżej drzwi, jego właśnie ze sobą wprowadził.

Ignas poszedł nie tak jak chwiejący się, słaby, rozpieszczony Adaś. Był on zahartowany do walki z losem, wiedział, że łyż to rzecz babska i że należy przeciw niebezpieczeństwu śmiało iść naprzód, z podniesionym czołem, z odkrytą pierśią.

Pewnym krokiem przeszedł korytarz i zaczął mięknąć cokolwiek dopiero wtedy, gdy stanął przed marsowym obliczem Ćwika.

– Węgrzynek! – zawołał inspektor. – Wcale nieżyły uczeń!... Syn takiego zanego ojca!... Więc to ciebie w tej szkółce nad Pilicą uczyli takie zbytki wyprawiać z profesorami, takie im wyrządzać zniewagi?...

– Nierozwaga młodzieńcza, panie inspektorze – odpowiedział syn burmistrza – poprawię się, panie inspektorze.

– Hm! Żeby ci mógł wierzyć, to bym ci może i przebaczył!...

– Poprawię się, panie inspektorze, najniezawodniej.

I stało się tak samo jak z Adasiem. Ćwik przebaczył przez wzgląd na zanego ojca, przebaczył na próbę, dla przekonania się, czy winowajca dotrzyma słowa i poprawi się naprawdę, przebaczył pod największym sekretem tylko Ignasiowi jednemu, żeby się inni nie dowiedzieli i nie zgorszyli.

Ale przebaczył pod tym samym, co i Adasiowi warunkiem. Szapskiemu kazał wymierzyć straszną chłostę niewinnej ławce, a Ignasiowi krzyżeć, choć go nie bolało. Węgrzynkowi spodobała się ta kombinacja, przyjął ją bez wahania i za każdym uderzeniem dał się wniebogłosość jak opętany.

Dopiero po ukończeniu tej fikcyjnej egzekucji zrozumiał nieborak, co uczynił, i załamawszy ręce rzekł do siebie: „Co ja zrobiłem, nieszczęśliwy... beczalem i wrzeszczałem jak ostatnia baba, jak dzieciak... jestem wobec całej klasy zhańbiony!...”

W taki sposób nie bolesny, a jednak nauczający i skuteczny, odbył się wymiar kary na wszystkich wypisanych przez pana Lami przestępcach. Każdemu z nich inspektor mówił, że przez wzgląd na jego ojca i matkę, na jego własne postępy w nauce, na klasę, do której należał, jemu tylko jednemu pod największym sekretem przebacza. Każdego kazał fikcyjnie bić i każdego zmuszał do krzyczenia.

Darował im jednakże tylko karę cielesną, której w głębi duszy był wrogiem. Od aresztu nie uwolnił nikogo i wszystkim zapowiedział, że przez osiem godzin, aż do wieczora, będą siedzieli o chlebie i wodzie. Zamykać ich kazał w innej sali, nie w tej, w której byli osadzeni pierwotnie, i tam też zbierali się po jednemu.

Każdemu, którego po rzekomej chłości odprowadzał Szapski do tej kaźni, kara aresztu wydawała się szczytem pobbłażania, każdy w groźnym Ćwiku widział strasznego pogromcę dla wszystkich, ale w duchu każdy musiał uznać, iż



nieubłagany w surowości inspektor obszedł się z nim łagodniej od najpobłaźliwszego ojca, każdy czuł się podniesionym moralnie, podwyższonym we własnym przekonaniu, bo go z tym inspektorem, przed którym wszyscy drżeli, łączył węzeł wspólnej tajemnicy i szczerze uczucie wdzięczności.

I miał słuszość zacny, starej daty pedagog, gdy mówił do pana Lami, że tak winnych ukarze, iż przypominać sobie o tym będą i wtedy, gdy posiwieją. Wielu już uczniów jego posiwiało, a każdy z nich z czcią i miłością o zacnym przewodniku swej młodości wspomina i o wymierzanych przezeń karach pamięta.

Po ukończeniu tej egzekucyjnej komedii tak zręcznie ułożonej, że każdemu, kto miał w niej udział, wydawać się musiała smutną, sromotną rzeczywistością co do wszystkich jego kolegów, Ćwik wydał krótki rozkaz Szapskiemu: – Chleba i wody zanieś im zaraz, a o czwartej przyjdiesz do mnie.

– Słucham pana inspektora – odpowiedział Szapski, prostując się po żołniersku, z miną, która wyrażała, że odgaduje, co ten rozkaz znaczy.

Po tych słowach inspektor poszedł do siebie. Nie mogło być podobno nic pociesniejszego nad miny ukaranych, gdy się znaleźli po otrzymanej niby chłości zamknięci razem w karceresie.

Każdy z nich byłby przysięgł, że tylko jego spotkała wyjątkowa łaska, że tylko on jeden skorzystał na przypadkowym dobrym humorze Ćwika. Żaden nie myślał się z tym zdradzać i łamać danego inspektorowi słowa, bo każdy czuł, że inni by mu nie wierzyli. Krzyk przecież był świadectwem, że egzekucja odbyła się na serio.

Węgrzynek nie śmiał w oczy spojrzeć żadnemu, tak mu wstyd było tego krzyku. Zbliżył się do okna, podparł głowę i stał tak zamyślony, smutny, zbolały, nie słuchając, co inni mówią.

– Cóżes ty taki zwarzony? – rzekł do niego Pawełek. – Boli cię jeszcze?...

– Ach, jak boli!... – westchnął jedynak burmistrza.

– Głupstwo... przestanie... każdego z nas bolało... – perswadował mu Pawełek – trzeba się pogodzić z losem tak jak ja.

– Anim się spodziewał, że on tak strasznie każe walić, ten wasz Ćwik – kłamał zarumieniony Ignaś, nie śmiejąc patrzeć w oczy koledze, bo nie mógł wytrzymać jego wzroku – mnie to przecież nie pierwszy raz... u nas w miasteczku także nie żalowali skóry... a ja jednak nie krzyczałem. Tutaj... było to silniejsze nade mnie... darłem się, aż mnie wstyd, teraz!

– Nie masz czego się wstydzić – pocieszał go kolega – nawet głuchoniemy od urodzenia musi krzyczeć, gdy się w ręce Ćwika do stanie. Ma on na to swoje sposoby...

– Och, to prawda...

Słowa Pawełka potwierdzili inni koledzy. Ignas zrozumiał, że nie okrył się znowu tak wielką hańbą, że nie jest zbezczeszczone na wieki. Wstąpiła weń otucha, zabrał się do chleba i popił wodą. Smakowało to nie tak bardzo; obiad na stacji, choć niezbyt wykwinny, byłby i obfitszy, i lepszy. Ale trudno, głową muru nie przebić. Dla młodego apetytu dobre jest wszystko, co się pod zęby nawinie. Sztuka Tanerów, Merlatih i Succich nie była jeszcze wówczas wynaleziona. Prawdziwie straszny dla skazanych na zamknięcie podrostków byłby tylko zupełny głód.

Z uderzeniem czwartej, przywykły do wydzwaniania godzin w całej szkole, Szapski ze służbistością i punktualnością żołnierską stawił się u inspektora. Była tam już przygotowana taca, a na niej siedem kubków kawy, siedem dużych kawałków chleba z masłem i wielka torba papierowa śliwek.

– Słuchaj, Szapski – rzekł inspektor – zanieiesz tym hultajom podwieczorek.

– Zaniosę, panie inspektorze.

– Ale niech cię ręka Boska broni, pamiętaj, żebyś się nie poważył powiedzieć, że to ode mnie.

– Nie powiem, panie inspektorze.

– Gdyby pytali, powiedz, że to się twoja baba zlitowała nad nimi... bez mojej wiedzy... rozumiesz? Bez mojej wiedzy!... Poprosisz, żeby nie mówili nikomu, bo jak ja się dowiem, to cię wypędzę... Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, panie inspektorze.

I jak nie miał zrozumieć poczciwy eks-wojak? Niby mu to po raz pierwszy zdarzyło się otrzymywać takie zlecenie od tego samego zwierzchnika!<sup>350</sup>

**Przykład 267. Julian Tuwim – *Porwanie Sabineek. Farsa ze śpiewami w 4 aktach według Franciszka Schönthana. Fragmenty aktu pierwszego (1958)***

Osoby: Profesor; Weronika, służąca.

*(Gabinet Profesora. Drzwi z prawej, lewej i pośrodku. W głębi, na lewo od drzwi środkowych, alkowa, którą zasłonić można portierą. W alkwie lampa i stolik z książkami. Na pierwszym planie z prawej strony biurko pełne zeszytów i papierów. Z prawej – drugi stolik, także zawałony papierami. Za stolikiem – sofa. Półki z książkami wzdłuż wszystkich ścian. [...] Wchodzi profesor. Wraca z ulicy. Muzyka, urywa się nagle).*

<sup>350</sup> W. Skiba, *Nad poziomy*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego...*, t. 2, dz. cyt., s. 302–307. Źródło pierwotne: tenże, *Nad poziomy*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1958, s. 42–50.

Profesor – Weroniko. Co to? Co to za tańce?

Weronika – Bynajmniej, panie profesorze. Sprzątam.

Profesor – Czy woźny przyniósł kajety?

Weronika – Tam leżą, panie profesorze. Wypracowanie klasy czwartej b o wojnie punickiej.

Profesor – Zamiast tutaj jakieś skoki wyprawiać, mogłaby Weronika poduczyć się trochę i coś o drugiej wojnie punickiej przeczytać. Kiedy była druga wojna punicka?

Weronika – W dwadzieścia trzy lata po pierwszej, czyli w roku dwieście osiemnastym przed naszą erą, panie profesorze.

Profesor (*zaskoczony*) – Świetnie. A skąd to Weronika wie?

Weronika – Jakżeż, panie profesorze... przecież już piąty rok u państwa jestem, więc się człowiek z tymi starogreckimi Rzymianami otrząsał. Wiem, na ten przykład, że jak w gospodarstwie przychodzi pora kwaszenia ogórków, to w czwartej b idą ćwiczenia o wojnie punickiej.

Profesor (*wzdycha*) – Już pięć lat. Kawał czasu. *Eheu, fugaces...*

Weronika (*kończy*) – *Posthume, Posthume, laborantur anni...* Horacy... (*pokazuje szafę biblioteczną*)

Profesor – Księga druga...

Weronika – Pieśń jedenasta. Prawda?

Profesor – Znakomicie, Weroniko. Świetnie. Bardzo się cieszę (*przegląda kajety*).

Weronika (*coś mówi, chrząka, wyjmuje z zanadru banknot, idąc*) – Ale, ale... Panie profesorze... proszę te pięćset koron, co to pan profesor mówił.

Profesor – A, dziękuję bardzo kochanej Weronice... Tak się złożyło, że zabrakło mi i musiałem prosić o tę pożyczkę. Zwrócę... zaraz... Kiedy? Jeszcze przed świętami...

Weronika – U pana profesora jak w banku. Przecież to moje odłożone, u państwa zarobione, więc jaka dla mnie różnica, czy w kufrze leżą, czy u pana w portfelu.

Profesor – Gdyby nie to, że pani wyjechała i większe wydatki, no to...

Weronika – Dobrze, dobrze... W porządku. Banknocik tylko trochę u góry naddarty i w lewym rogu atramentem poplamiony... Nie szkodzi?

Profesor – Nie, nie szkodzi. Jeszcze raz dziękuję (*chowa banknot do portfela, muzyka gra cichutko drugą część marsza*)<sup>351</sup>.

<sup>351</sup> J. Tuwim, *Porwanie Sabineek. Farsa ze śpiewami w 4 aktach według Franciszka Schönthana*, [w:] *Scena młodzieżowa Nr 4*, dz. cyt., s. 33–35.

### **Przykład 268. Jerzy Zaruba – *Z pamiętników bywalca*. Fragmenty (1958)**

Lata sztubackie

Wielki gmach I Gimnazjum kijowskiego znajdował się przy bulwarze Bibikowskim. Do gimnazjum przylegał olbrzymi ogród, zdobiący swymi empirowymi sztachetami i zielenią aż trzy ulice: Gimnazjalną, Funduklejowską i Włodzimierską. Przy Włodzimierskiej też nieco na ukos czerwiecił się potężny, ozdobiony doryckimi kolumnami uniwersytet. To car Aleksander III rozkazał go pomalować na czerwono, karząc w ten sposób studentów za ich rewolucyjne wybryki. „Niech się rumieni ze wstydu za wasze postęпки” – powiedział w swym przemówieniu do studentów.

Empirowa fasada naszego gimnazjum była pomalowana na żółto. Chyba z nudów. Wielka sala, mieszcząca się na parterze, obwieszona była portretami carów w nadnaturalnej wielkości. Tu też w zimie odbywały się lekcje tańców i gimnastyki. Uczniacy skaczący przez „kobyłę” pod okiem majestatycznych, obwieszonych wstęgami orderowymi i gronostajami carów – przedstawiali nie byle jaki groteskowy widok. Potem ciągnęły się trzy piętra korytarzy z ponurymi klasami po obu stronach, klasami, gdzie niepodzielnie panowały strach i nuda. Jeżeli nadmienię, że koszarowa niemal dyscyplina, utrzymywana przez sforę tzw. „pedli”, nie przyczyniała się bynajmniej do stworzenia atmosfery znośnej do nauki, to zrozumiałym stanie się fakt, że siedzenie przez sześć godzin w tych klasach było dla bardzo wielu prawdziwą udręką i że nierzadkie były wśród uczniów wypadki wagarowania.

Wagary

Wiosną, zwłaszcza kiedy zaczynają się zielenić sady i ciepły powiew niesie zapachy ziemi, trudno było po prostu usiedzieć w klasie. Nawet ostrzyżonego „pod zero” wstępniaka w granatowym mundurze ze srebrnymi guzikami ciągnęło za miasto, nad wodę, na zieloną trawkę...

Paczka kolegów, z którymi się zwykle włóczyłem, zbierała się przy „Źródle Cyryla i Metodego” nad Dnieprem. Stamtąd brzegiem rzeki szło się do urwisk wznoszących się stromo, a uwieńczonych białymi złotogłowymi dzwonicami najstarszego klasztoru prawosławnej Rusi: Ławry Pieczerskiej. Po dość uciążliwej wspinaczce odpoczywaliśmy na łące tuż pod klasztornymi murami. Piękny stamtąd roztaczał się widok na panoramę Dniepru i lewobrzeżną Równinę Czer nihowską.

Ale i sama łąka przedstawiała się barwnie i ciekawie. Roilo się tu od setek malowniczych pątników ze wszystkich stron Rosji. Wśród tego wielobarwnego tłumu czerniały habity „monachów”, uprawiających tu dość otwarcie handel de-

wocjonaliami, cudownymi lekami i cienkim winkiem klasztornym. Pod krzaczkami grano w „oko”, trzy karty itp.

Napatrzywszy się na ten swoisty jarmark i odsapnąwszy nieco, wkraczaliśmy na tereny klasztorne i schodziliśmy nie kończącymi się schodami głęboko pod ziemię do słynnych pieczar.

Tu właśnie przed wiekami pobożni mnisi zamuroywali się w swych celach, kryjąc się od pokus i znikomości tego świata. Minęły wieki. Miejsce świętych mężów zajęli mnisi „spryciarze”. Ascezę i mistykę zastąpił kult mamony i oszustwa. Przez setki lat miliony pobożnych pielgrzymów z bezkresnych przestrzeni Rosji ciągnęło tu, znosząc swe grzywny, kopiejki i grosze. Miliony woskowych świec płonęły bez przerwy na chwałę świętych cudotwórców, dla ubłagania ich o łaski, o zbawienie. Po obu stronach tego mrocznego labiryntu leżały pokryte ciemnymi całunami, wypchane słomą kukły w olbrzymich bizantyjskich czapkach. Przy każdej – szyldek z imieniem świętego i talerzyk na datki pieniężne. Nie brak tu też było i specjalnych cudeńków. Oto szczątki świętego „wrastającego” coraz głębiej w ziemię na stojąco. Kiedy się skryje pod ziemię – ma być koniec świata... Na szczęście olbrzymią czapę pokrytą całunem widać na dobry metr; jeszcze więc świeatek trochę pożyje... Dalej znów na głębokim talerzu leży ludzka czaszka w oliwie – jest to słynna „mirrę sącząca głowa”. Za namaszczenie się tą mirrą – osobna dopłata.

Wagarujące sztubactwo znało zakulisowe tajemnice klasztornych cudów. Podchmielony mnich, grając w „oko”, wygadał się kiedyś cynicznie o tym i o owym... Mówiono na przykład o przedświątecznym trzepaniu świętych z kurzu, o sprzedawaniu pątnikom pustych zalakowanych flaszeczek z napisem „ostatnie tchnienie świętego Teodozja”, o czapkach niewidkach, którymi udawało się nieraz skusić naiwnych prostaczków, że mogą niby odbyć powrotną podróż koleją bez biletów, gdyż, rzecz jasna, pasażer w „czapce niewidce” jest niewidzialny... Cała ta makabryczno-mistyczna sceneria z mrokiem pieczar, płomyczkami świec woskowych, zapachem kadzidła i ponurym barytonem oprowadzającego mnicha-przewodnika kojarzyła się dość paradoksalnie w świadomości drugoklasistów z rodzącym się cynizmem i groteskowym sceptycyzmem dwunastoletnich filozofów. Chodzenie do pieczar nazywaliśmy „targaniem świętości”, niektórzy bowiem smarkacze mieli ze sobą specjalne haczyki, którymi wyciągali słońce z kukieł.

Niezapomniane te wagary kończyliśmy zwykle w klasztornej herbaciarni dla pątników, gdzie piliśmy herbatę z fantastycznych, malowanych w różę czajników i zajadaliśmy się istic gargantuowskimi pierogami z kapustą i grzybami. Do dziś jeszcze czuję smak tych postnych specjałów.

## Ciało profesorskie

Ale powróćmy na Bibikowski bulwar do empirowego I Gimnazjum, by z łezką wzruszenia wspomnieć parę przynajmniej sympatycznych, utrwalonych w pamięci postaci profesorów. Do takich na przykład należał geograf Czerkunow, miły staruszek z aureolą siwych, długich włosów dokoła rumianej jak jabłuszko twarzy. Stworzył on we własnym mieszkaniu rodzaj muzeum geograficznego, gdzie stały w gablotach pamiątki z dalekich podróży: posążki, imbryczki chińskie, zabłąkany bumerang australijski, łuki dzikich plemion afrykańskich itp. Polskę reprezentował dość trafnie miniaturowy tradycyjny stół wielkanocny z szynką, prosiakiem i kiełbasami z cukru. Polacy słynęli, jak widać, z dobrej wyżerki. Zbiory te uzupełnione były setkami albumów z fotografiami z całego świata. Zwiedzanie muzeum kończyło się tradycyjną herbatą z ciastkami. Nic więc dziwnego, że młodzież chętnie go odwiedzała. Nie zapomnę też nigdy zabawnej okrągłej sylwetki matematyka i inspektora gimnazjum w jednej osobie, przez uczniów przezywanego popularnie Kubem. Lubił on, zdaje się, często zaglądać do kieliszka. Kiedyś w czasie świąt na prywatnym przyjęciu u jednego z kolegów, niejakiego Apraksina, ululany Kub, uzbrojony w maszynkę do strzyżenia, postrzygł wszystkich nieprzepisowo owłosionych uczniów, uczestników kinderbalu, w piękne ząbki, po czym widząc swe nieudane dzieło, rozplakał się, przeproszał nas, wycalował i dał każdemu na fryzjera.

Ze wszystkich jednak profesorów najgłębiej mi się wrył w pamięć nasz prefekt gimnazjalny, ksiądz kanonik Olędzki. Uczniowie szkół kijowskich owej epoki pamiętają go na pewno dobrze. Był to osiemdziesięcioletni olbrzym, posługujący się srebrną tabakierką jako przyrządem do wpajania cnót chrześcijańskich i uczniowskich. Posiadał bodajże największe kalosze na świecie (zamawiane specjalnie w firmie „Treugolnik”), które stale z sobą nosił do klasy, żeby mu „nie zamienili w szatni”. Uczył niewiele. Czas lekcji schodził na drzemce, na opowiadaniu dykteryjek i na „wrywaniu” z katechizmu. Zamiast stawiania złych stopni bił po prostu tabakierą po łapach. Na płask – znaczyło źle, kantem – bardzo źle. Właściwie stopnie uczniowie stawiali sobie sami, kiedy ksiądz Olędzki drzemał. Miał on swego stałego dryndziarza, który go woził po Kijowie od jednej szkoły do drugiej. W czasie jazdy trzymał go parasolem za kołnierz, żeby nie wypaść, a za każdy zbyt dotkliwy wstrząs dawał mu potężnego szturchańca. Utarło się, że uczniowie, znając dokładnie marszrutę jego wędrówek po szkołach, przypinali mu w czasie lekcji pod pelerynkę sutanny liściki miłosne do znajomych pensjonarek tej pensji, do której się bezpośrednio po naszej lekcji udawał. Kiedyś wszystko się wydało. Awantura! Krzycząc: „A łajdaki, poczytliona sobie ze mnie zrobili!”, puścił w ruch swoją tabakierę...

Raz, kiedy drzemał, narysowałem na tablicy szkolnej jego karykaturę z wylatującymi spod pelerynki listami.

– Dawać mi tego Matejkę – zawołał po przebudzeniu, wywijając groźnie tabakierą.

Po egzekucji miałem łzy w oczach, ale od tej chwili zacząłem marzyć o sławie. Tak to drobne na pozór fakty decydują o losie człowieka (porównaj teorię Freuda, rozdział „O urazach wieku młodzieńczego”).

Jeżeli chodzi o kolegów z ławy szkolnej, to poza paczką wagarowiczów, zespołem teatru szkolnego i nieliczną stosunkowo grupą Polaków, występujących zwykle wspólnie podczas bójek (w czasie dużej pauzy na terenach ogrodu szkolnego), z nikim specjalnie się nie przyjaźniłem. Apraksin, syn podupadłego arystokraty, Kozłowski, którego ojcem był imponujący wąsał, szef straży ogniowej, bracia Trzeciency, najbardziej bojowi z całego „hufca polskiego”, i jedyny w klasie Izraelita prymus Mazor byli tymi, z którymi łączyły mnie trochę bliższe stosunki. Na sąsiedniej ławce siedział nieco melancholijny i skupiony Konstanty Paustowski. Jest to ten sam Paustowski, który zajął potem poczesne miejsce w literaturze rosyjskiej i którego świetne książki: *Dalekie lata*, *Kolchida* znane są dobrze i w Polsce.

Trzeba pamiętać, że klęska carskich wojsk na Dalekim Wschodzie była początkiem rewolucji 1905 roku. Byłem wtedy w drugiej klasie. Strajki objęły nie tylko fabryki, ale również uniwersytety i szkoły średnie. Gimnazjum było zamknięte. W mieście trwały niepokoje. Mecenasa Pradkowskiego, u którego „stałem na stacji”, zamykał moje trzewiki, żeby mnie utrzymać w domu. Ale gdzie tam – poleciałem w kaloszach. Kijów miał też swoje krwawe dni: masakrą demonstrantów na placu Dumskim, Byłem tam też i ja. Do mego uczniowskiego szynelu przypięta była czerwona kokarda. Oberwałem też trochę w tłoku i zgubiłem w ucieczce jeden kalosz.

Potem nauka szła mi coraz bardziej kulawo. Zapisalem się do KKUP (Kijowska Korporacja Uczniów Polaków). Były to zakonspirowane uczniowskie zespoły nauki historii i literatury polskiej. Powstały one na skutek prowokacyjnych, polakożerczych wystąpień niektórych profesorów spod znaku „Czarnej sotni”. W tym okresie węgry rozwinęły się na potęgę. Przynosiłem coraz gorsze stopnie. Z ryśunków tylko miałem zawsze piątki. Skończyło się tym, że zostałem w czwartej klasie na drugi rok. W czasie tradycyjnej majówki na zakończenie roku szkolnego, kiedy całe gimnazjum odbywało przejażdżkę statkiem po Dnieprze i wynajęta orkiestra wojskowa zagrała hymn carskiej Rosji „Boże caria chrani”, ja wraz z grupą innych „buntowników” nie stanąłem na baczność, tylko demonstracyjnie siedziałem. Miarka się przebrała. Groziło mi wylanie z budy. Toteż po naradzie

familijnej, biorąc pod uwagę moje wyraźne skłonności do rysunków, postanowiono przenieść mnie do kijowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie jednocześnie mogłem kończyć studia ogólnokształcące. Mimo że jedna z ciotek utrzymywała, że żadna praca, nawet malarstwo, nie hańbi, rodzice zapisali mnie na architekturę, jako coś poważniejszego.

Kijowska Szkoła Sztuk Pięknych

Choć gmach tej szkoły w niczym nie przypominał empirowego pałacu i nie mieścił się wśród ogrodów, lecz przy tzw. Siennym Bazarze, i podobny był raczej do łaźni trzeciej kategorii niż do przybytku muzy, ja czułem się tutaj w swoim żywiole i triumfowałem. Jako czternastoletni piątoklasista znalazłem się nagle wśród dorosłych wężali o hajdamackich manierach i sercach płonących entuzjazmem zarówno dla sztuki, jak i gorzały. Nie brakło tam typów i oryginałów. Taki Fedczenko albo Kajsarow! Pierwszy to korpulentny zaporozec, jakby żywcem wycięty z obrazów Riepina. Ambicją jego było malowanie modelu w najdziwniejszych skrótach. Sadowił się w tym celu tuż przy podium, na niziutkiej ławeczce. Tusza, wysiłek i niewygodna pozycja sprawiały, że wydawał on przy tym dość dziwne dźwięki, zgoła nieraz nieartykułowane. Co gorsza, uważał za stosowne za każdym razem przepraszać, unosząc się i mówiąc wykwintne *pardon* z wybitnie połtawskim akcentem. Żadna z jego kompozycji malarskich nie mogła się obejść bez wymalowanego w rogu obrazu pieska. W ten sposób wypełniał on tak zwaną „próżnię kompozycyjną”. Raz tylko, malując na zadany przez szkołę temat „Przejście Żydów przez Morze Czerwone”, umieścił w rogu, wśród morskich bałwanów, zamiast psa kozę. „Kozą ma bardziej biblijny charakter” – wyjaśniał.

Mieliśmy w szkole modela, starca cierpiącego na reumatyzm. Fedczenko podjął się go leczyć. Kazał mu sięść do kotła do gotowania bielizny i zaczął go powoli gotować. Kiedy woda dochodziła już do stanu wrzenia, dziad wyskoczył na rozpaloną blachę. Nieszczęśliwego pacjenta zabrało pogotowie, domorośłego eskulapa – policja.

Ponieważ w szkole rysowaliśmy tylko figury gipsowe, a jako studia żywej nagości najczęściej starca z wiononczelą między nogami, zapisałem się dodatkowo do prywatnego „studia” na szkice modelu żeńskiego. Zbierali się w tej pracowni artyści bardziej już zaawansowani, z których wielu ocierało się nawet i o Paryż. Akcesoria tej pracowni, naga modelka, gorące dyskusje o nowych prądach w sztuce wytwarzały specjalny nastrój. Po tych seansach udawaliśmy się często na nocną włóczęgę po knajpach. Imponowały mi te eskapady niebywale. Pociągał mnie swoisty romantyzm życia nocnego, a choć lokale kijowskie przy bujnej tylko wyobraźni mogły zastąpić paryskie „Bal Tabaryn” i „Olimpie”, fantazja



mnie ponosiła i wczuwałem się w typy z reprodukcji słynnych malarzy nocnego Paryża – Ropsa i Toulouse Lautreca. Na dobytek liczne nagrody za prace szkolne i pochwalna recenzja w prasie miejscowej do reszty przewróciły mi w głowie.

Miałem wtedy dopiero piętnaście lat. Marzyłem o zapuszczeniu brody i absyncie. Pozowałem na zblazowanego artystę dekadenta, nosiłem długie włosy, pelerynę i beret. Ten mój dość ekscentryczny jak na Kijów wygląd potrafił wykorzystać w celach utylitarno-trunkowych przyjaciel mój i kolega Kajsarow. Był to uroczy cynik i spryciarz, smakosz życia i znawca dusz ludzkich. Pamiętam, siedzieliśmy raz w knajpce greckiej, jedząc bardziej niż skromną kolację. Nie mieliśmy nawet na piwo. Nastrój minorowy. Nagle mój Kajsarow się ożywia i wzrokiem wskazuje obiekt swych zainteresowań. Parę stolików od nas siedział typowy kupiec moskiewski: jedwabna „rubaszka”, trzy kamizelki, pełno breloków, stół zastawiony kawiorami i baterią wyborowych wódek.

– Zaraz będziemy mieli forszę – oświadczył Kajsarow. Podchodzi do kupca i klepnąwszy go przyjacielsko po plecach mówi mu coś, ukazując na mnie. Po chwili wraca, trzymając w ręku dwadzieścia rubli. Kupiec z zachwytem i podziwem łypie okiem w moją stronę. Kiedy na stole naszym pojawiły się koniak i kawior, zapytałem zdumiony: – Jakaś to zrobił?

– Zwyczajnie! Chwył psychologiczny. Trzeba znać kupców. Po prostu powiedziałem: „Daj dwadzieścia rubli. Francuz patrzy”. Zaskoczony kupiec zbaraniał i nie wiadomo dlaczego dał.

W tym okresie rozstałem się ze „stancją” u mojej ciotki, instalując się w kawalerskim pokoju, któremu starałem się nadać pozory atelier. Według tradycji nowe *locum* należało „oblać”. Sprosiłem kolegów i modelki, nakupiłem wiktuałów i spirytualii. Toastom, śpiewom i tańcom nie było końca. Koło północy lokatorzy z dołu posłali po policję. Nad ranem przybyła straż pożarna. Spisany został protokół, a ja dostałem wymówienie mieszkania. W tydzień później obchodziłem nowe „oblewanie” innego „atelier”<sup>352</sup>.

### **Przykład 269. Gustaw Morcinek – *Czarna Julka*.**

#### ***Fragment o tym, jak poszliśmy witać cesarza (1959)***

Postanowiliśmy przywitać samego najjaśniejszego pana cesarza Franciszka Józefa I.

A raczej postanowiła to uczynić Julka, my zaś mieliśmy jej pomagać i drzeć się jak najmocniej po polsku: „Niech żyje! Niech żyje!”. Chodziło o to, by pan cesarz mógł się dowiedzieć, że na Śląsku są przede wszystkim polscy Ślązacy.

<sup>352</sup> J. Zaruba, *Z pamiętników bywalca*, Iskry, Warszawa 1958, s. 8–19.

cy, a ci zaś, co wrzeszczą: „Hoch! Hoch!” – to są albo renegaci, albo niemieccy „przywandrowalscy”.

Zebraliśmy się, cała nasza banda, w Kamieńczoku i radziliśmy, jak to uczynić, by wszystko wypadło jak najlepiej. Z gazet już wiedzieliśmy, że cesarskie manewry odbywają się na przestrzeni od Jabłonkowa po Łąki i że najjaśniejszy pan cesarz przebywa w głównej kwaterze na zamku w Cieszynie, i że na zębatej wieży piastowskiej powiewa ogromna chorągiew czarno-żółta, i że Cieszyn jest wystrojony jakby w jaki wielki odpust, i że w najbliższą niedzielę będzie koniec manewrów, że przez Cieszyn przejedzie pan cesarz w powozie, i że będzie defilada wojskowa.

Może przy tej sposobności zobaczymy maszerującego nauczyciela Michnika, obwieszzonego już chyba medalami.

Siedzieliśmy więc pod ogromną wyrwą w Kamieńczoku, a było nas dwunastu. Pierwsza była Julka. Potem był zezowaty Waniek, następnie już byli: rudy Hibner, wyelegantowany, ulizany Lizak, chudziutki Niezgoda, mazurzący Smolorz, gdyż pochodził od Wadowic, lecz mieszkał na Granicach, potem jeszcze Polednik, któremu z ucha ciekło, był Siuda ze spiczastym nosem, był Erwin Onderek, którego siostra miała dziecko, a nie wiedziała z kim; był jeszcze Janek Tomosz, brat tego przystojnego Tomosza z szybu „Głębokiego”, który był bibliotekarzem w „Jedności” i który prządlł dobre nici z Judytą Pastorową tak długo, aż Judyta uciekła od Pastora i pojechała z Tomoszem gdzieś w świat i skończyła się biblioteka „Jedności”, gdyż zabrał ją Pastor; był jeszcze Poldek Fabera, którego matka była moją ciotką, a brat kelnerem u Haubenstocka na Sowińcu i miał suchoty; był jeszcze potem Zeflik Krótki, który nie był wcale krótki, lecz długi jak kiszka i umiał chodzić na rękach. Ja także byłem. W sumie była nas foremna gromadka.

Julka gadała coś o jakimś Rinaldinim, takim italskim Ondraszku, który też miał dwunastu zbójników koło siebie. Chciała przez to powiedzieć, że ona jest tym Rinaldinim, a my zbójnikami. Przemądrzały Lizak, cierpiany w naszej bandzie tylko dlatego, że miał bardzo mądrego ojca, zaczął coś głądzić o jakimś Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach. Chodziło mu o to, by naszą bandę powiększyć do czterdziestu zbójców.

– A kto byłby Ali Babą? – zapytała nachmurzona Julka.

– Ja! – rzekł pyszałkowato Leuś Lizak.

Dostał za to od Julki w pysk, a myśmy także wsiedli na niego z krzykiem, potarłosiliśmy jego ulizaną czuprynę, wsunęli jednego i drugiego kuksa pod zebro i w ten sposób poskromiliśmy jego ochotę stania się Ali Babą.

– Gdyby nie twój mądry ojciec, już dawno wyciepałabym cię z naszej bandy! – krzyczała na niego Julka. [...]

– Aha... – mruknął zgodliwie Waniek.

– No, widzisz!

Waniek od tamtej chwili, gdy sprzął skarżypytę Zdenkę Zlatnikową, a potem przez cały tydzień „polował” i byłby „polował” jeszcze dłużej, gdyby go nie przyprowadził do szkoły gminny policjant, pan Hanzlik z krzywą szablą, ten czupurny Waniek był szczególnie poważny w naszej bandzie.

Wańkowi jakoś upiekła się cała ta historia z pobiciem Zdenki i całotygodniowym „polowaniem” i niewiele z niej wyszło. Tyle tylko, że na lekcji pana kierownika, uczącego teraz gramatyki w zastępstwie Michnika, Waniek musiał klęczeć pod tablicą. Na następnej lekcji uczył nas nauczyciel Skupień nowej pieśni. Kazał Wańkowi iść do ławy, gdyż potrzebował jego drugiego głosu. Chodziło o ten drugi głos w prześlicznej pieśni, która nam się bardzo podobała, jej tekst był bowiem łaciński:

*O sanctissima, o piissima,*

*dulcis virgo Maria!*

*Mater amata, intemeraia,*

*ora, ora, pro nobis...*

Waniek więc śpiewał tutaj drugim głosem, co było niesłychanie piękne. My zaś darliśmy się jak słowiki. Dziewczyny cienko piszczwały. Ludzie przystawali na drodze pod naszymi oknami, słuchali uważnie, kiwali głowami z uznaniem, cmokali z zachwytem i chwalili nas i pana nauczyciela Skupienia.

Ponieważ jednak pan inspektor szkolny Dostał nalegał, byśmy się nauczyli śpiewać niemieckie pieśni, przeto pan Skupień na następnej lekcji śpiewu napisał na tablicy tekst naprawdę niemieckiej pieśni. Tylko że uśmiechał się tajemniczo i coś tam szuszkął do ucha Julce przy katedrze. Julka miała duże, rozpromienione oczy i przytakiwała żywo. Potem wróciła do ławy z tajemniczą miną.

My zaś przepisywaliśmy z tablicy do zeszytów tekst tamtej pieśni. Niewiele rozumieliśmy, lecz Julka miała nam ją przetłumaczyć na język polski, co nam zapowiedziała, siedząc już w ławie.

Przepisaliśmy więc pierwszą zwrotkę:

*In Warschau schwuren Tausend auf den Knieen:*

*Kein Schuss im neil'gen Kampfe sei getan!*

*Tambour, schlag'an! Zura Blachfeld lass uns ziehen!*

*Wir greifen nur mit Bajonetten an!*

*Und ewig kennt das Waterland und nennt*

*Mit stiliem Schmerz sein Yiertes Regiment!*

Pan nauczyciel Skupień dopisał jeszcze w górnym rogu tablicy, że to jest pieśń napisana przez Mosena pod tytułem: *Die letzten Zehn vom Yierten Regiment.*

Przepisaliśmy, jak kto umiał i potrafił, narobiliśmy w tekście sporo byków, a potem pan Skupień zaczął nas uczyć melodii. I zaledwie nas nauczył pierwszych dwóch linijek, zaledwie zaczęliśmy nucić, jeszcze niezdarnie, że *in Warschau schwuren Tausend auf den Knieen*, wpadł do klasy kierownik Koczvara, załamał ręce ponad głową i zawołał płaczącym głosem: – *Ja, um Gottes willen, Herr Kollege, was treiben sie wieder da?...*

Stańto na tym, że pan Skupień startł gąbką z tablicy tamte słowo „Warschau”, a napisał „Teshen”, czyli po polsku „Cieszyn”. I pan kierownik był zadowolony, myśmy byli także zadowoleni, pan inspektor również. Julka wyraźnie protestowała. Przestała mruczeć, gdy pan Skupień mrugnął na nią lewym okiem i głową skinął, by wyszła z nim na korytarz.

Gdy wróciła, już była spokojna. Potem nam dopiero wytłumaczyła, że w ten sposób będzie owca cała i wilk syty, czyli że my wszyscy mamy wiedzieć, iż ta przysięga tysiąca walecznych działa się w Warszawie, dla pana inspektora zaś w Cieszynie podczas jakiejś Wiosny Ludów. Tak ją pouczył pan Skupień. Dodała jeszcze – ale już w Kamieńczoku – że to jest polska pieśń, napisana przez takiego małego niemieckiego Mickiewicza i że po polsku śpiewa się ją tak: *Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę, Przysięgaj klęcząc, naszym świadkiem Bóg...*

To była bardzo smętna pieśń, podobnie smętna, jak tamta o powstańcu, który prosi o pomoc rodaków, bo okrutny los go nęka. Odtąd śpiewaliśmy ją sobie w Kamieńczoku, po drodze i na hałdzie, raz po polsku, potem zaś po niemiecku, a przegradzaliśmy ją łacińską *o sanctissima, o piissima*.

Julka poza tym umiała jeszcze kilka innych pieśni. Nauczyła się ich od tych dziewczyn, które czytały dużo książek, śpiewała więc o tym, jak pasażerka na bukowinie albo jak za Ebru falą goniąc spojrzeniem, młoda Cyganka siedziała, albo też o tym, coż jest winna, że jej Pan Bóg serce dał. Poza tym także czerwony sztandar, a na nim robotników krew i zapowiedź, że jeszcze Polska nie zginęła.

Z tą piosenką o Polsce, która nie zginęła, było małe zamieszanie, bo niektórzy chłopcy już ją umieli, lecz śpiewali ją tak, jak ich nauczył ubiegłego roku nauczyciel Michnik.

Gdy więc Julka zapowiedziała, że teraz będziemy śpiewali *Jeszcze Polska nie zginęła*, kilku z naszej bandy zaczęło się drzeć haniebnie, że: *Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy, jeszcze wódka nie skwaśniała, bo ją wypijemy...*

Julka wtedy sprząła tamtych nieszczęśników po gębie, aczkolwiek tłumaczyli się gęsto, że tak ich uczył nauczyciel Michnik. Odtąd śpiewali ją wszyscy w naszej bandzie poprawnie. Nikt nie wiedział jednak, kto to był ten jakiś Dąbrowski i dlaczego z ziemi włoskiej maszerował do Polski. Julka też nie wiedziała. Przyrzekła jednak dowiedzieć się od pana Michnika.

Naradzając się teraz w Kamieńczoku przed naszą wyprawą do Cieszyna, by przywitać najjaśniejszego pana cesarza, po kolei prześpiewaliśmy wszystkie nam znane pieśni, wraz z hymnem austriackim na dodatek. Nikt bowiem nie wiedział, czy nam nie wypadnie zaśpiewać go panu cesarzowi. Lecz koniecznie po polsku „*Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj*”.

Następnie uradziliśmy, że nazajutrz, w niedzielę, zbierzemy się wszyscy bardzo wcześnie, tak koło godziny szóstej, przy „Henricie”. Był to stary szyb wentylacyjny niedaleko Żabkowa, w którym ogromne skrzydlika zwyrały się jak wrzeciono i dudniły, jakby w dużym, obszernym blaszonym kominie tysiąc kotów mruczało głaskanych pod włos. I niechaj każdy niesie z sobą buciki zawieszane na patyku. Pójdziemy bowiem boso, a dopiero, przed Cieszynem wciągniemy je na nogi, by cieszyniacy nie powiedzieli, że przyszła jakaś banda pasterzy.

– A co będzie z Demellochem? – zapytał Niezgoda.

– Z jakim Demellochem? – zdziwiliśmy się wszyscy.

I tu nam chudziutki i bledziutki Niezgoda powiedział, że słyszał, iż w Cieszynie jest Demelloch, czyli takie przejście pod torem kolejowym, a w tym Demellochu siedzi stara baba i każdy, kto po raz pierwszy przyjdzie do Cieszyna, musi ją pocałować gdzieś...

– Kto ci to powiedział!?! – zapytała się Julka.

– Górnicy mówią...

– Trzy po trzy, a po żadnej nic! – ofuknęła go Julka,

– Drzystu chlastu, aż ku miastu! – poparł ją Waniek. [...]

Nazajutrz spotkaliśmy się wszyscy przy „Henricie”. Nie przyszedł tylko ulizany Lizak i chudziutki Niezgoda. Zaśpiewaliśmy pobożnie *O sanctissima, o piissima, dulcis virgo Maria* – i pokrzepieni na duchu, ruszyliśmy.

Słońce wyszło już kęs na niebo, zapowiadał się upalny dzień, rosa była obfita, łąki pachniały, ptaki śpiewały jak pijane i dmuchał ciepły wietrzyk. Najpobożniejsi ludzie szli już do kościoła. Pytali się, dokąd wędrujemy, a gdy mówiliśmy, że idziemy witać pana cesarza w Cieszynie, ogromnie się dziwili.

Myśmy także się dziwili. Nie dlatego, że idziemy witać cesarza, lecz że wybraliśmy się aż do Cieszyna. Dotychczas Cieszyn znajdował się dla nas gdzieś na skraju świata. Wyprawa zaś na skraj świata równała się prawie zu-chwalstwu. [...] Wędrując teraz do Cieszyna z tak sporą bandą, z Julka na czele, byliśmy podobni do kudłatych Kolumbów, wybierających się na odkrycie Ameryki. Pełni animuszu śpiewaliśmy po drodze o tej dziewczynie, która pasażowała na bukowinie i chciała dać chłopcu buziaka siedemdziesiąt siedem razy, raz po raz, i o tej Cygance, która goniła spojrzeniem Ebru fale, oraz *O sanctissima, o piissima*.

Łacińska pieśń ogromnie podobała się przechodzącym ludziom i wszyscy myśleli, że jesteśmy ministrantami. Dziwiło ich tylko, że Julka także śpiewa po łacinie. Waniek im wytłumaczył, że Julka jest córką księdza proboszcza i stąd u niej ta znajomość łaciny. Szliśmy szparko, jako że słońce wynosiło się coraz wyżej na niebo, a czas uciekał. [...] Przeszliśmy Darków i nic nam się nie przytrafiło. Doszliśmy do Łąk i tu spotkała nas śmieszna przygoda. Oto głupi pies myślał, żeśmy drapichrusty, i podarł spodnie Wańkowi. Waniek bowiem wlaźł na gruszę w przydrożnym sadzie. Lecz zanim zdołał zerwać jedną płonkę, z chałupy wybiegł gazda z kryką, a za nim pies. Waniek zeskoczył z gruszy, uciekł gaździe, lecz nie uciekł głupiemu psu. Odpędziliśmy łajdaka bryłami, a potem wspólnie z Julką jako tako pościągaliśmy Wańkowi spodnie rozdarte szpetnie na pośladkach. Na szczęście Południk miał przy sobie zwitek cieniutkiego drutu.

Minęliśmy Łąki, a nas mijaly pociągi osobowe i towarowe. Na towarowe śmiągaliśmy kamieniami, z osobowych wyglądali ludzie i coś na nas wołali. Robiło to wrażenie, że pośmiewają się z nas, iż drałujemy piechotą, gdy oni jadą wygodnie pociągiem. Gwizdaliśmy na nich z pogardą. Wkroczyliśmy do miasta dwójkami jak triumfatorzy. Na przedzie szła Julka.

Widzieliśmy, że ogromne zbiegowiska na Sachsenbergu, odświętnie ubrane, mają myśli zaprzątnięte cesarzem. Miasto było wystrojone nad podziw. Jak długi Sachsenberg i inne ulice, wszędzie maszty z czarno-żółtymi chorągwiemi, przewieszane festony z jedliczek, papierowe chorągiewki austriackie, w oknach portrety cesarza obstawione lichtarzami z płonącymi świecami, jakby to był jaki święty, ludzie podnieceni, a w niektórych oknach wystawione ogromne tuby gramofonów w kształcie kolorowych kielichów lili, z tub zaś ryczała zardzewiała muzyka o Radetzky, o pryncu Eugenie, o cesarzu i jego kraju... Harmider był taki jak na frysztaekim jarmarku.

Ponieważ był jeszcze czas na powitanie cesarza, przeto nakłoniłem Julkę i kamratów, byśmy poszli popatrzeć pod Demelloch, czy tam istotnie znajduje się owa stara baba, o której fanzolił Niezgoda.

Poszliśmy, popatrzyliśmy, w głąb Demellochu i starej baby nie było. Stała tam prześliczna dziewczyna o jasnych włosach, o niebieskich oczach, o bardzo czerwonych ustach. Sprzedawała małe bukieciki przewiązane czarno-żółtymi wstążeczkami. Była podobna do tego anioła, który na obrazie w starym kościele karwińskim zwiastuje Pannie Marii wielką nowinę z nieba. Brak jej było tylko dużych skrzydeł u ramion. Takiej pięknej dziewczyny jeszcze jak żyw nigdy nie widziałem. Panowie kupowali od niej bukieciki, ona zaś szczyrzyła do nich śliczne białe zęby. Jeden z panów kupił taki bukiecik i błyskając złotym zębem w ustach, wręczył jej kwiat z ukłonem. I byłbym się na nią gapił nie wiedzieć

jak długo, gdyby nie ogromnie śmieszna rzecz. Oto ta dziewczyna, podobna do anioła, zaczęła dłubać palcem w nosie.

Julka z kamratami wcale nie patrzyła na nią. Podziwiała szumiące i rozbełkotane miasto. Potem szturchnęła mnie pięścią w bok i rzekła nadąsana, że wytrzeszczyłem oczy na jakąś umalowaną małpicę jak cielę na nowe wrota. A tamta dziewczyna wciąż dłubała w nosie...

Ponieważ wciąż jeszcze było sporo czasu, więc Julka, która zdołała już przepytać się przechodniów, poprowadziła nas na drogę w kierunku Cierlicka. Były tam obszerne błonia i na tych błoniach miała się odbyć defilada wojskowa przed samym panem cesarzem i całą bandą generałów. Pobiegliśmy więc i trafiliśmy w sam raz na moment, gdy od Cierlicka już maszerowało wojsko, skręcało na błonia i defilowało dziarsko przed jakimś ogromnym namiotem. Pod namiotem stali sami generałowie i z pewnością był między nimi pan cesarz. Nie mogliśmy precyzyjnie się bliżej, bo żandarmi krzyczeli na nas po niemiecku, żebyśmy się wynosili do wszystkich diabłów.

Patrzyliśmy więc, jak obok nas maszerowali żołnierze z karabinami przewieszonymi przez ramię, jak walili obcasami w ziemię, aż się kurzyło, słyszeliśmy, jak orkiestra gra *Radetzky marsch*, widzieliśmy z daleka, jak żołnierze, przechodząc koło namiotu, wyprężają się i jeszcze bardziej walą butami w ziemię, jak oficerowie coś krzyczą i machają szablami, a orkiestra gra, a tamci generałowie salutują wyprężeni, trochę śmieszni, bo wszyscy podobni do jakichś świętych Mikołajów, a żołnierze idą i idą bez końca!

– Michnik! Maszeruje! – wrzasnęła Julka i jęła wskazywać na szereg żołnierzy idących koło nas.

Wytrzeszczyliśmy oczy. Istotnie! Nasz nauczyciel Michnik maszeruje! Boże, jaki on podobny do sakramenckiej ofermy!... Za obszerna bluza wisi na nim jak na patyku! Za duża czapka wlaża mu na uszy. Maszeruje krzywy, spocony, lekko utykający, o gębie takiej, jakby chciał płakać.

– Panie nauczycielu! Panie Michniku! – zawołała Julka.

– Niech żyje Michnik! – zahuczał Waniek.

– Niech żyje Michnik! – zaczęliśmy się drzeć.

A on nic. Jakby nie słyszał. Przeszedł koło nas i nic. Rozczarowani do Michnika, zawróciliśmy. Jakiś porządny pan powiedział bowiem Julce po niemiecku, żeby tu się nie darła jak sroka, bo jakiś pan Michnik wobec pana cesarza – to plewa. Że jeżeli chcemy wołać „niech żyje”, to powinniśmy tak wrzeszczeć na widok pana cesarza, a nie jakiegoś rekruckiego ofermy. Julka odpowiedziała, że my wszyscy chcemy wołać, by pan cesarz żył sto lat i jeszcze trochę dłużej...

– Ale po niemiecku! – zaznaczył ów pan z rudymi bokobrodami, w cylindrze i ze zwiniętym parasolem.

– A jak się woła po niemiecku „niech żyje”? – zapytała Julka z głupia frant.

– *Hoch! Dreimal hoch! Tausendmal hoch!*

– Pan cesarz nie usłyszcy nas stąd!

– To idźcie ku kościołowi jezuitów. Tamtędy pojedzie pan cesarz do zamku na obiad!

Julka podziękowała i wyprowadziła nas z ciżby. Pognaliśmy jak młode jelonki. Galopem. Chodziło o to, by zająć dogodne miejsce przy jezuickim kościele. Okazało się jednak, że nic z tego, bo ulice były obstawione żandarmami. Nie chcieli nas przepuścić. Na szczęście jakaś pani nauczycielka prowadziła długi szereg dziewczynek ubranych w białe szatki, z koszyczkami, w koszyczkach zaś były kwiaty. Dziewczynkom brakowało jeszcze świec w dłoniach, a każdy by rzekł, że idą na procesję Bożego Ciała. Julka kazała nam przyłączyć się do tamtego szeregu dziewczyn. Pani nauczycielka z cwikrem na chudym nosie, w czarnym kapeluszu, na którym chwiał się jakiś wypchany ptaszek wśród pęku czereśni, zaczęła coś na nas krzyżeć. Julka jej wytłumaczyła, że prowadzi delegację chłopców z karwińskich szkół. Nauczycielka złagodniała, gdyż Julka mówiła pięknie i płynnie po niemiecku, kazała nam iść grzecznie za dziewczynkami, a gdy doszliśmy do kordonu żandarmerii, wytłumaczyła panu wachmajstrowi, że jesteśmy delegacją.

Przeszliśmy kordon i stanęliśmy przy ulicy, którą miał przejeżdżać pan cesarz. Długo czekaliśmy, a cesarza nie było widać. Chciało nam się jeść, nogi nas bolały, słońce prażyło, a cesarza jak nie ma, tak nie ma!

W końcu doczekaliśmy się! Posłyszeliśmy bowiem lecący z daleka jakiś bełkot, bełkot zaś dudnił, toczył się i przybierał stopniowo kształt powtarzanego słowa „Hoch!”... Wiedzieliśmy już, że jeżeli tamci cieszyńscy mieszczanie wrzeszczą wzdłuż cesarskiej drogi „Hoch!”, znak to bez ochyby, iż najjaśniejszy pan cesarz jedzie na obiad do cieszyńskiego zamku.

– Syncy! Pamiętajcie! Wszyscy wołamy po polsku „niech żyje” – ostrzegła nas Julka.

Stawaliśmy na palcach, wyciągaliśmy szyje, lecz cesarza jeszcze nie było. Widzieliśmy tylko tłumy, wzdłuż ulicy, szumiące chorągwie czarno-żółte na masztach, szumiące festony w słonecznym wietrze, furkoczące chorągiewki papierowe i słyszeliśmy rosnący wrzask wiwatujących ludzi.

Waniek nie wytrzymał. Obok stała latarnia. Napluł więc w dłoń, roztał i jął się wspinać po słupie. Chciał lepiej widzieć cesarza. Już był w połowie słupa, gdy nadbiegł policjant miejski. Jak się dowiedzieliśmy, nazywał się Pietruła. Strugał straszego waźniaka.



– *Runter! Runter!* – zaczął wołać na Wańka.

Wąsy miał nastroszone, zakończone jakby czarnymi szpikulcami pod nosem, był ogromnie wyelegantowany, w wyprasowanych modrych spodniach, z krzywą szablą u boku, z półksiężycem pod brodą, z jakimiś medalami na piersi.

– *Runter! Du, Lausbub!* – dał się coraz mocniej i gestykulował tak bardzo, że błyszczące czako na wypomadowanej głowie zsunęło mu się na bakier.

– Ciś, chromie, bo cię kopne! – odpowiedział mu Waniek i wspinał się coraz wyżej. I wtedy stała się rzecz straszna!

Powinniśmy byli pójść za to do kryminału na kilka lat, a Wańkowi należałoby łeb ściąć na cieszyńskim zamku. Bo gdy policjant Pietruła, na próżno krzyczący na Wańka, zniecierpliwiony wspiął się na palcach i ujął go za nogawkę, Wańkowe spodnie, widać niedokładnie podrutowane, pękły, opadły, a Waniek świecił teraz nagimi pośladkami. A w tejże samej chwili grzmot wiwatowania dobiegł już do nas i widziałem, jak środkiem ulicy mknie wspaniała kolasa zaprzężona w sześć białych koni, a w kolasie siedzi sam pan cesarz, o grubym, pijackim nochalu, z białymi bokobrodami, obwieszony orderami, w kapeluszu nastroszonym kogucimi piórami. Obok niego sterczał jakiś chudy generał i tkwiła gruba pani z parasolką. Tłum wrzeszczał, pan cesarz uśmiechał się łaskawie i kiwał dłonią, konie rwały z kopyta, kolasa błyszczała i śmigła, a Waniek trzymał się kurczowo latarni, szarpany za nogawki przez Pietrulę, i wypinał odsłonięty tyłek na pana cesarza.

Byliśmy tak bardzo przerażeni tą obrazą majestatu, że zapomnieliśmy witać po polsku pana cesarza. Oniemieliśmy z tego przerażenia. A pan cesarz nic. Ukłonił się, zasalutował Wańkowi na latarni i tyle go było. Spieszył do zamku, bo był ogromnie głodny.

Koło latarni wszczęło się teraz piekło. Policjant Pietruła wrzeszczał po niemiecku, myśmy wrzeszczeli po polsku, dziewczynki z kwiatami piszczały jak stado głupich myszy, ludzie się zbiegali, z Wańkiem zaś było już bardzo źle. Trzymał się wciąż słupa latarni i chociaż przedstawiał się tak haniebnie, nie chciał zejść.

– Zeskocz! – zawołała Julka. – A wy, syncy, na tego policjanta!

Pierwsza podbiegła Julka, my za nią. Rzuciliśmy się na Pietrulę, Waniek zeskoczył! Szybko naciągnął opadnięte nogawki, wydobyl sztydło, pchnął Pietrulę w tyłek. Pietruła wrzasnął, puścił Wańka i Waniek dał nura w tłum. A my za nim. Długo gonił nas nieludzki wrzask, by nas chwytać, łapać, ścigać, myśmy zaś rwali z kopyta za Julką... I tak uciekaliśmy rączko aż za Cieszyn do Podobory.

W Podoborze zaszyliśmy się w nadolzańską wiklinę i z tłukącymi sercami rozpamiętywaliśmy naszą porażkę. Nie wychylaliśmy głowy, bo oczekiwaliśmy

pogoni całego regimentu wojaków. Nie było regimentu wojaków, lecz nadjechał pociąg od Cieszyna. Był przepełniony tymi, którzy także witali pana cesarza. Wskoczyliśmy do ostatniego wagonu, uczepiliśmy się go i pojechaliśmy do domu<sup>353</sup>.

**Przykład 270. Edmund Niziurski – *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa. Fragment (1959)***

[...] do klasy wszedł przerośnięty Zdeb. Jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą gładził się z dziwnym uśmiechem po brodzie.

– Czego chcesz? – zapytałem ostro.

– Ty, uważaj, bo ci zrobię syfona – nastroszył się Zdeb. – Mówi się do mnie „proszę kolegi”, szczeniaku.

Nie chciałem z nim zadzierać.

– Przepraszam, zapomniałem – przygryzłem wargi. – Kolega tak rzadko teraz przychodzi do klasy.

– Ciepło jest – ziewnął Zdeb – i nudzi mi się między smarkaczami. Moje miejsce jest w dziesiątej, rozumiesz mały.

– Rozumiem – odpowiedziałem grzecznie – to straszne, że kolega w swoim poważnym wieku musi jeszcze chodzić do naszej klasy.

– To przez złośliwość Pitagorasa i dyra – zgrzytnął zębami Zdeb. – Zawsze pytają mnie akurat z tego, czego się nie nauczyłem. Ale dosyć. Nie mam zwyczaju spoufalać się ze smarkaczami. Ty jesteś nowym dyżurnym?

– Tak, proszę kolegi.

– Golić umiesz?

– Golić? – wytrzeszczyłem oczy.

– Dzisiaj są imieniny pani Okulusowej i muszę być ogolony, rozumiesz?

– To... to kolega chce, żebym go ogolił? – wykrztusiłem.

– Dyżurni zawsze mnie golą – wzruszył ramionami Zdeb. – To należy do ich obowiązków. Nie wiedziałeś o tym?

– Nie! Czesiek mi nic nie mówił. Czy on też kolegę golił?

– Oczywiście, że golił! – huknął Zdeb. – Robił to nawet z dużą wprawą.

No, prędeż, nie ma czasu, na co czekasz.

Zdeb rozsiadł się wygodnie na krześle za katedrą i rozłożył „Panoramę”.

– Dobrze... – bąknąłem – ale czym kolegę ogolić?

<sup>353</sup> G. Morcinek, *Czarna Julka o tym jak poszliśmy witać cesarza (fragmenty)*, [w:] T. Chrościelewski, H. Karwacka, E. Kozikowski (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 4, *Od Kasprowicza do Tuwima*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1968, s. 508–516. Źródło pierwotne: tenże, *Czarna Julka*, Czytelnik, Warszawa 1959.

– Przybory są w szufladzie w katedrze – mruknął Zdeb. – Woda może być z flakonu, byle tylko nie za stara. No, jazda. Pośpiesz się.

Oszołomiony wyjąłem z szuflady brzytwę, mydło, miseczkę i ręcznik i stanąłem bezradnie przed Zdebem.

– No, gazem – popędził mnie Zdeb – zawiąż mi ręcznik!

Zawiązałem.

– Nie tak mocno! Udusisz mnie! – zakrzuszył się Zdeb.

Poprawiłem.

– Woda!

Nalałem wody z flakonu do miseczki.

– Mydło!

Namydliłem.

– Brzytwa!

Porwałem brzytwę i zacząłem go skrobać.

– Przerwij!

Przerwałem.

– Na co się gapisz? – krzyknął Zdeb. – Nie czujesz, że tępa? Naostrz!

Obejrzałem brzytwę bezradnie.

– Jak naostrzyć?

– O pasek! Masz chyba pasek przy spodniach?

Ściągnąłem pasek z nieszczęśliwą miną, bo czułem, że spodnie mi opadają. Podciągnąłem je. Znów mi opadły. Zdjąłem je zrozpaczony, przywiązałem pasek do klamki, tak jak tatuś robi, i zacząłem ostrzyć brzytwę. Zdeb rzucał na mnie niecierpliwe spojrzenia zza „Panoramy”, wreszcie zakomenderował:  
– Dosyć! Go!

Wciągnąłem pośpiesznie spodnie i zacząłem manipulować brzytwą po brodzie Zdeba. Nagle Zdeb podskoczył na krześle.

– Oszalałeś!

– Co się stało?

– Jak to: co! Zaciąłeś mnie, smarkaczu! Znów dostanę pryszczki albo liszajów! Rany boskie... ile krwi! Na co czekasz? Wata! Opatrunek! Ja... wykrwawię się! – jęczał przerażony.

Pobiegłem do apteczki, wyjąłem butelkę jodiny i watę.

– Zaraz opatrzę kolegę – wyjąkałem.

– Dostanę pryszczki – jęczał Zdeb.

Umoczyłem kawałek waty w jodynie i przylepiłem mu do brody. Zdeb wrzasnął przeraźliwie i zerwał się z krzesła.

– Oj, moja broda! Coś ty mi zrobił, łobuzie!

– Za... zajodynowałem.  
 – Co? Jodyna... O złośliwy smarkaczu, czekaj, porachuję się z tobą... O moja broda... moja broda!  
 Jęcząc i odgrażając się na przemian, wybiegł z klasy, trzymając się za brodę<sup>354</sup>.

### **Przykład 271. Ernest Petrejtis (Karol Kord) – *Pytanie* (1959)**

– Po co się uczysz liter, dziecię?  
 Pewien dowcipniś chłopca spytał.  
 – Wszak, gdy dorośniesz i tak przecie  
 Między wierszami będziesz czytał<sup>355</sup>.

### **Przykład 272. Horacy Safrin – *O logice* (1959)**

Profesor Anastazy Kuś, nauczyciel miejscowego gimnazjum, słynął ze swej uczoności, spokoju i roztargnienia. Usiłując okiełznać mój burzliwy temperament, stale zwracał się do mnie z ojcowskim napomnieniem.

– Spokój, przede wszystkim spokój, kochany chłopcze!  
 A gdy z ust moich zamiast odpowiedzi lała się kaskada błyskotliwych słów, zwykł był dodawać z namaszczeniem: – Należy się wyrażać jasno, zrozumiale i logicznie! Logika to podstawa prawidłowego myślenia.

Po latach przekonałem się, iż zacny pedagog nie rzucał na wiatr swoich hasel, lecz stosował je w całej rozciągłości w praktyce codziennego życia.

Było to podczas pierwszej wojny światowej. W pociągu panował nieopisany tłok i egipskie ciemności. Wchodząc do przedziału, nadepnąłem na czyjąś nogę. Wytężyłem wzrok. W świetle latarni dworcowej rozpoznałem spokojne oblicze profesora Kusia.

– Przepraszam najmocniej, ale zrobiłem to nie chcąc...  
 – Czym mogę służyć? – odparł z roztargnieniem mój były wychowawca.  
 – Zdaje się, że nastąpiłem panu profesorowi na nogę?  
 Zamyślił się głęboko: – Możliwe... Hm... hm... Jeśli nadepnął pan na nogę w niebieskiej skarpetce, w takim razie to moja noga...<sup>356</sup>

<sup>354</sup> E. Niziurski, *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2000, s. 49–53. Źródło pierwotne: tenże, *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej Nasza Księgarnia, Warszawa 1959.

<sup>355</sup> E. Petrejtis, *Pytanie*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 461.

<sup>356</sup> H. Safrin, *O logice*, [w:] tegoż, *Mucha na cokole*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1959, s. 43–44.

**Przykład 273. Horacy Safrin – *Pedagog* (1959)**

W trzydzieści lat po opuszczeniu murów szkolnych spotkałem go w Krakowie. Siedział przy stoliku kawiarnianym, obgryzając kromkę przyniesionego z domu chleba. Przed nim stała nie dopita szklanka kawy. Oczy jego, uzbrojone w grube, wypukłe binokle, tkwiły w gazecie.

Szurnałem z przyzwyczajenia nogą i ukloniłem się grzecznie. Nie poznał mnie. Wymieniłem nazwisko. Twarz staruszka ożywiła się.

– Ach, tak, pamiętam. Przy maturze nie odpowiedziałeś mi na pytanie, czym odznacza się styl Tacyta...

Profesor Zachariasz Dębica, członek-korespondent Akademii Umiejętności, znakomity filolog, był postrachem kilku pokoleń naszej młodzieży. Surowy egzaminator (przed jego okiem nie ukrył się żaden kant uczniowski) pełnił zarazem ochotniczo funkcje komisarza obyczajowego na terenie naszego gimnazjum.

gorliwość jego sięgała daleko poza godziny służbowe. Wieczorem można go było spotkać na promenadzie, jak bacznie obserwował spacerowiczów.

Nazajutrz: – Horacjuszu, jak się nazywały te dwie panny, za którymi wczoraj gonileś?

– Panie profesorze! Muszę stwierdzić zgodnie z prawdą, że nie ja goniłem za nimi, a one za mną...

– Ach, ty poetyzujesz, poetyzujesz!...

Przyznaję się, że jako uczeń rzadko zadowalałem wymagania srogięgo mentora. W ogólnej ocenie wyrażało się to co najwyżej w trójce z plusem. Raz tylko wzbudziłem jego nieklamany zachwyty. A było to tak:

Profesor stale oburzał się na fakty nieuzasadnionej absencji swoich wychowanków. Do białej gorączki doprowadzały go szczególnie świstki papieru, usprawiedliwiające nieobecność ucznia bólem głowy lub zęba.

A oto zdarzyło się, że w siódmej klasie zachorowałem obłożnie. Ciężka choroba przez półtora miesiąca przykuwała mnie do pościeli. Po powrocie do szkoły wręczyłem wychowawcy zaświadczenie internisty stwierdzające obustronne zapalenie płuc, pleuryt i ostry katar oskrzeli.

Profesor przebiegł oczyma papierek, po czym z lubością przeczytał go po raz drugi i trzeci... Oczy jego rozpromieniły się, głos nabrał słodczy. Zwrócił się do klasy i zawołał radośnie: – Widzicie, chłopcy! Oto jak powinno wyglądać świadectwo lekarskie!<sup>357</sup>

<sup>357</sup> Tenże, *Pedagog*, [w:] tegoż, *Mucha...*, dz. cyt., s. 45–46.

### Przykład 274. Julian Tuwim – *S.O.S! S.O.S! S.O.S!* (1959)

Ojciec uczennicy klasy IV szkoły TPD w Warszawie, literat, autor wielu książek, współpracownik wielu pism, członek redakcji miesięcznika popularnonaukowego „Problemy”, dr phil. h.c. Uniwersytetu Łódzkiego, zwraca się do litościwych serc czytelników Tego Działu z błagalną prośbą o wiadomość, czy istnieje „klucz” do zbioru zadań arytmetycznych pt. „Arytmetyka z geometrią” A.M. Rusieckiego, A. Zarzeckiego, Z. Chwiałkowskiego i W. Schayera.

Cena nie gra roli! Bardzo pilne! *Periculum in mora!* Łaskawe oferty proszę nadsyłać pod jednym z następujących haseł: Zagrożony autorytet, Zatrute życie domowe, Upokorzony, Codzienna z mora etc.<sup>358</sup>

### Przykład 275. Stanisław Wasylewski – *Czterdzieści lat powodzenia. Fragmenty* (1959)

Zaczął się pogwarek z nauczycielem śpiewu w klasach początkowych<sup>359</sup>. Mało się zmienił. Ta sama półrewerenda, półczamara (był kiedyś klerikiem). Odnaczał się plastyką samorodną słowa, dowcipem rozśmieszał malców. Ożyły wkrótce figury prowincjonalnej szkoły. Nieporadny, wiecznie zastraszonego cyklopa, dyrektor Hahn, krzykliwy starorusin Daniów, dwóch Lewickich (zapleśniały rutynista i młody małomiasteczkowy elegant z laseczką i wyfiksowanym wąsikiem). Nauczyciel Chyrowski latał, czyniąc gwałt po korytarzach, katecheta ks. Boryszko gromił smarkaczy przyklękających w kościele na jedno kolano, że czynić to będą mogli dopiero po utracie jednej nogi na wojnie. Gdyśmy raz po przerwie wpadli w wrzaskiem do klasy przed lekcją Dzidowskiego, na tablicy widniało wykaligrafowane wyrażenie: „Burdel”. Pierwszy z brzegu smyk, zapytany o sprawcę, odpowiedział, że nie wie, bo chłopaka o takim nazwisku nie ma w klasie, i na rozkaz pana „psora” zmasał obce nam słóweczko<sup>360</sup>. [...]

W ślad za odgłosem kuśtykającego połamańca wchodził do klasy niemiły odór, zwiększający się, gdy połamaniec otworzył usta. Michał Kurek, wieczny suplent, był sadystą, znęcającym się w wymyślny sposób nad sztubakami. Powtarzał do znudzenia swoje gwarowe: „Chośćaj, trutniu, berbeciu!”. Wzywał ich coraz na gradus, do katedry, i chwyciwszy za skrajne włosy na skroni, szarpał aż do krzyku i płaczu malców. Każdego spóźnialskiego witało pytanie: „Gdzieś ty chowany?”. I delikwent, klęcząc, musiał głośno odmawiać pacierz. Mnie wyroki

<sup>358</sup> J. Tuwim, *S.O.S! S.O.S! S.O.S!*, [w:] tegoż, *Cicer cum caule...*, dz. cyt., s. 53. Por. przykład 215.

<sup>359</sup> Autor opowiada o profesorce Dzidowskiej – nauczycielu szkoły wydziałowej w Stryju.

<sup>360</sup> S. Wasylewski, *Czterdzieści lat powodzenia. Przebieg mojego życia*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1959, s. 64–65.

śmierdziela nie dotykały nigdy, gdyż byłem bratankiem profesora gimnazjum, więc tak Kurek jak inni woleli nie narażać się na ewentualność moich złych odpowiedzi<sup>361</sup>. [...]

Ostatni komers i gęsior

Od komersu rozpoczynał się rok akademicki. Po oficjalnym otwarciu, czyli inauguracji urzędowej, następowała druga, społeczna niejako. W największej, XIV sali Starego Uniwersytetu przy ul. Św. Mikołaja, tuż przy jego kościele, albo w którejś z wielkich sal w mieście, gdy stare kolegium jezuickie nie zdołało pomieścić natłoku słuchaczy – zbierał się wieczorem ogół młodzieży. Przemawiał rektor i jeden z dziekanów, po czym występował z orędziem prezes Czytelni Akademickiej. Żartobliwie mawiano, że były trzy władze w dawnym Lwowie, stolicy Galicji: c.k. namiestnik, marszałek krajowy i... prezes Czytelni Akademickiej. Już to była ostatnia kadencja jego rządów, bo mu ją czasy nowe, idące szybkim krokiem, odbierały. Po tej mowie sprawozdawczej i programowej – przemówienia przedstawicieli pomniejszych stowarzyszeń, Bratniaka uniwersyteckiego i Politechniki; tłum poruszył się, falując ku wyjściu. Następowała najważniejsza część uroczystości, formował się tradycyjny gęsior akademicki.

Obecni na sali, zasileni sporą gromadą spóźnionych słuchaczy prawa, filozofii, medycyny (bez teologów) ustawiali się gęsiego. Pochód sięgający, gdy się rozwinął, od bram Uniwersytetu do hotelu George'a. Postępowano w karnym ordynku, buzując śmiechem, kawałami, radością, ogarniającą łby zielone. Starczyć jej miało na parę godzin wędrówki przez całe miasto. Manifestacja żywiołu niewstrzymanego. Młodość prąca naprzód, łamiąca, czego rozum nie złamie. Huczna, łobuzerska, kpiąca. Ale spokojna, trzymająca krok, kryjąca starannie. Prawie jak w wojsku. Gęsior miał rozmaite zadania po drodze. Tu zamierzał się pokłonić, tam złożyć kartę wizytową swej obecności, gdzie indziej napiętnować, ostrzec, ukarać nawet. Kroczący na czele zarząd Czytelni Akademickiej *in corpore* dawał niejaka gwarancję, że wybryków łobuzerskich nie będzie.

Gdzieś około 9-tej wieczorem ruszyliśmy. Złożyć wypadało najsampierw hołd staremu Fredrze, który od lat kilku, dobrym dłutem wykuty, siedział na krześle opodal uniwersytetu, spoglądając w stronę swego pałacyku, na którego gruzach wznosić zaczynało ze składek Polski Dom Akademicki. Zapewne Czesław Mączyński, przyszła dusza budowy, dał impuls. I gęsior w skupionym milczeniu okrążył bryłę spizową twórcy *Ślubów panińskich*. Gromadki przechodniów przystawały po ulicach, gapiąc się.

---

<sup>361</sup> Tamże, s. 67.

Sporo czasu upłynęło, zanim cały pochód okrążył gęsim krokiem Fredrę, czołówka wchodziła tymczasem do kawiarni artystów i literatów Sznajdra, wypełnionej tak, że uważnie należało przemykać się między stolikami pijących czarną lub grających w domino. Na dużym stole, jak tradycja nakazywała, zastał właściciel pełne szklanki, posiłki, które konsumować należało w locie, bez zatrzymywania się. Aby nie było przerwy w gęsiorze. On dążyć musiał naprzód i naprzód. Sznajder miał dobrą markę, więc wolno było skorzystać z gościnności, były jednak lokale czarne, z opinią ujemną, daremnie dopraszające się. Bojkotowaliśmy ich propozycje. Widok gromady wesołków, czasem groźnie pozierających, nie wszędzie budził entuzjazm, często przestraszał marsową miną.

Na ulicach junakieria strzelała conceptami. Stał jakiś wielkopański powóz na gumach. Dalej go. Paręset par butów przewaliło się przez jego wnętrze, ubabrany porządnie i uszkodzony wrócił do domu. Okrążało się to gromadę przechodniów śpieszących do bramy przed 10-tą, to nocne komety wyległe na żer nocny musiały dobry kwadrans wycierpieć od docinków w zaczarowanym kole gąsiora. Już prysnęła powaga, już ulotniły się surowe władze. I rozgrzeszyło się wesołe bractwo, raczone po lokalach restauracyjnych i kawiarniach. Ale zawsze w ruchu, „żywiąc się w locie”, jak wieścił po latach tytuł tomiku wierszy Leopolda Staffa, który zapewne brał udział w jednym chociaż z gęsiorów, odbywanych za jego lat akademickich. Okrążywszy gmach wzniesionego niedawno – z uderzeniem nowego stulecia – teatru, przepadała gromada w dzielnicy mętów nocnych. Ale w ordynku, zawsze w ordynku, wędrując gęsiego przez sienie, korytarze, salony mała prywatnych domów...

Działo się to na pierwszym roku moich studiów akademickich, 1904/1905. Następnego komersu-gęsiora już nie mogę odbudować w pamięci. Chyba nie odbył się w ogóle. I ten byłby ostatnim. Bardzo to prawdopodobne, z różnych względów. Najprzód rok pomruków rewolucyjnych nie sprzyjał, odwodząc myśli w inne regiony. Zniszczała też bezpowrotnie patriarchalna dotąd, idylliczna jedność młodzieży akademickiej. Prymat, wyłączność Czytelni Akademickiej, narodowej, prawicowej, prysnął. Odłamy lewicowe, radykalne, żądały miejsca dla siebie w życiu akademickim. Powstało radykalne „Życie”, z czasem główna komórka odłamu legionowego, socjalistyczna „Spójnia”, grupa nieliczna, skupiająca wszelkiego zabarwienia socjalrewolucjonistów. Nie chcieli oni żadnych związków z młodzieżą narodową z Czytelni, odmawiając jej prawa reprezentowania ogółu akademickiego. Powtarzano to wielokrotnie w uchwałach wieców sprzymierzonych stronnictw radykalnych. Życie młodzieży, silnie zajętrzone, dalekie było od wczorajszej harmonii.



Z rokiem rewolucji komersy i gęsiory odeszły w przeszłość niepowrotną. Tradycja o nich zaginęła tak szybko, że już po latach kilku następne pokolenie słuchaczy w ogóle o nich nic nie wiedziało.

Była to jeszcze jedna oznaka, że czasy wałą się na nas i przemiany ogromne!...<sup>362</sup> [...]

Dowcip niszczący

Autor barwnych, pełnych dociekliwej obserwacji *Wspomnień Ossolińskich*, istnej monografii tej instytucji, profesor Stanisław Łempicki, poświęca sporo uwagi mej osobie, a przede wszystkim memu dowcipowi, który wtedy zaczął harcować. Píše obiektywnie i nad podziw życzliwie, choć sam bywał nieraz ofiarą mego ostrego języka. Rówieśnik, kolega w bibliotece i na seminariach uniwersyteckich, w kawiarnianym dymie wreszcie, a to były główne majdany moich harców. Któż nie padał ofiarą rozzuchwalonego szydercy? Julkowi Kleinerowi przyspiliłem na plecach pajaca z papieru, nie bacząc, że siedzący w pierwszej ławie na seminarium prof. Kallenbach obserwuje całą operację, odbitą w binoklach na nosie. Zorganizowałem chórek, nucący ćwierćgłosem jakieś aryjki i trawestacje w czasie uroczystego, nudnego jak flaki z olejem komentowania Króla Ducha. Nic to, że poniewierany dotąd wielki poeta zbłądził wreszcie pod stropy sal uniwersyteckich po raz pierwszy, nic to, że trwał właśnie jego rok jubileuszowy! Główni obżałowańcy mych wymysłów zachowywali się mężnie, nie brakło im bowiem mocnego poczucia humoru. Kleiner zachał się, i słusznie, wówczas i powtarzające kpinki parował trawestacją z Mickiewiczowskiego Upióra: Ma nas za trupa ten... dowcip i wraca! Łempicki, zwany przez nas Pempusiem, odgryzał się czasem zręcznie i dopiero po latach, gdy już sam poszedł w profesory, pokwitował, zarejestrował moje przeciw niemu wyczyny gadane czy rymowane. Ale inni! Zapisywali mi zemstę w sercu, na razie odpowiadając milczącym obtudnie uśmiezkami. Nieraz oberwawszy porządnie po łapach, nie śniłem nawet, że to akt dobrze zamaskowanej wendety jakiegoś ongiś ukąszonego przeze mnie zwierzaka. Mieli czas, nie śpieszyli się, choć były i akcje doraźne. Profesorowi Bruchnalskiemu, też nie oszczędzanemu w moich popisach, wmówiono z ławością, że to ja – nie kto inny – napisałem w „Krytyce” W. Feldmana złośliwy pamflet na lwowską, nieruchawą metodykę uniwersytecką. Podejrzliwiec zaraz potem zwałił moje podanie ubiegające się o honorowe stypendium, ufundowane przez matkę Słowackiego dla dobrze zapowiadających się młodych polonistów. Dyshonor to był raczej niż strata małego zasiłku. Ścigał mnie potem Bruchnalski lata całe aż po swój grób, szkodząc, gdzie się tylko dało.

---

<sup>362</sup> Tamże, s. 144–147.

Szyd mój obejmował zasadniczo ludzi z tych czy owych względów odpowiadających mi i sympatycznych. Najczęściej zrażałem ich sobie z miejsca, a jowialny, nie dybiący na zgubę niczyją kawał szkodził jedynie autorowi, który nie potrafił utrzymać języka za zębami. Dlatego muszę określić rodzaj mego humoru jako niszczący przede wszystkim samego twórcę. Po cóż dalej szukać? Osoba najbliższa mi w świecie, z wielu powodów jedyna, niezastąpiona moja żona nieraz cierpieć musiała, słysząc jak w nieopanowanym porywie dobrego humoru nie oszczędziłem i jej również, i gorzko to sobie po fakcie wyrzucałem. Że kawały moje i podrywki z reguły dotyczyły jedynie osób obecnych, to mnie naturalnie w oczach zaatakowanych nie usprawiedliwiało.

Krótko mówiąc, Opatrzność użyzyła mi talentu słowa, z którego z powodzeniem korzystałem, diabeł zaś umiał zręcznie pomieszać szyki, przetwarzając moje narządy mowy w instrument zabójczy, destruktywny! W starości wypadło mi nieraz płacić protestowane weksle głupich kawałów.

A wszystko złe stąd szło, że język świerzbii i ciągnęło do kawału złośliwego co chwila, szczególnie gdy ktoś mi był sympatyczny czy interesujący. Jakiś przekorny chochlik wyrzucał ze mnie dosadne powiedzonko, zanim ja sam zdołałem mu przeszkodzić. Chochlik, istota złowieszcza w rodzaju gnoma z *Balladyny*, nie ten Chochlik, który był miłym, sielskim przydomkiem herbowym Wasilewskich<sup>363</sup>. [...]

Wierszem

Nie chciałem nigdy zostać poetą, nawet za lat uczniowskich, choć przypadły one na epokę grafomaństwa Młodej Polski, gdzie byle pętał roił o własnym tomiku. Nie brakło impulsów w najbliższym otoczeniu: stryj sypał wierszami bez trudu na każdą odpowiednią okazję; brat matki, Starkel-syn, miał istotny talent improvizatorski, szersze ambicje, zgubione w mocniejszym nad nie alkoholu; matka wreszcie, niedokończona literatka, obok wierszątek imieninowych dla swych dzieci, próbowała przekładać głośny i modny utwór Rostanda *Cyrano de Bergerac*. Nie interesowało mnie wierszopisarstwo na razie. Dopiero na uniwersytecie kabaret literacki „Momus Warszawski”, Figliki Nowaczyńskiego, „Zielony Balonik” wreszcie rozbudziły śpiocha. Karykatura, deformacja, parodia? Owszem. Spróbujemy. I w grubych murach Ossolineum, w sekrecie przed starcami, na oczach i uszach chyba Lula Bernackiego i wszystko wybaczącego Czapelindera, rozbrzmiewać zaczęła moja „odkształcająca”, a więc świętokradcza piosenka. Satyryczne ucinki domowe, wariacje na rapsodach batiarni łyczakowskiej. Poza mury biblioteki przedostała się chyba tylko piosenka o komecie Halleya,

---

<sup>363</sup> Tamże, s. 167–169.

grożącej wówczas kosmosowi, nucona na nutę tańca brzuchem. Łatwiotkie to były (dalekie od wzorców Boya) podróbki, ale nabrałem smaku. Na setną rocznicę urodzin Słowackiego (1909) napisałem parodię hymnu „Smutno mi, Boże”, przygważdżającą jowialnym zresztą szydem osobistości z komitetu jubileuszowego, którego sekcji literackiej byłem sekretarzem. Profesor dr Wiktor Hann, zasłużony twórca uroczystości, pozbawiony jednak zmysłu humoru, obraził się na autora na wieki, natomiast Waław Sieroszewski, przybyły z dalekiej Warszawy na tę uroczystość, wyraził uznanie humorowi i odwadze autora, który schował się, choć go szukano<sup>364</sup>.

### **Przykład 276. Tadeusz Polanowski – *Disce puer* (1961)**

Ucz się, chłopcze, a nie zdurniej –  
Wygrasz kiedyś tele-turniej<sup>365</sup>.

### **Przykład 277. Jarosław Abramow-Newerly – *Lekcja. Słuchowisko Teatru Polskiego Radia* (1962)**

(*Na scenie dzieci, leżący pijak i nauczycielka*)

Nauczycielka: Dzień dobry, dzieci. No... no... (*publiczność odpowiada: „Dzień dobry pani!”*) Taak. Dzień dobry. Żebyście się, kochane dzieci, nie nudziły i nie mówiły później, że wszystko było dla dorosłych – ty dziewczynko w okularach, zostaw braciszka w spokoju – żebyście się nie nudziły, pokażemy wam taki mały teatrzyk. A zatem, kochane dzieci, znów kolejna lekcja o zgubnych skutkach alkoholizmu, (*do publiczności*) Wy nawet nie wiecie, co może alkohol.

Karolek: A co?

Nauczycielka: (*pokazuje na uśmiechniętego pijaka*) Jak będziecie pić, to czeka was to, co tego pana. On kiedyś też nie pił, ale później zaczął i od tego czasu staczał się coraz niżej, coraz niżej, aż się stoczył na samo dno.

Różyczka: (*podlizuje się*) I tak sobie leży, prawda, proszę pani?

Nauczycielka: Tak, moje dziecko.

Karolek: (*nieśmiało*) I dobrze mu tak?

Nauczycielka: (*zgorziona*) Jak możesz, Karolku!

Karolek: A dobrze mu tak (*wygraża*) dobrze, dobrze!

Nauczycielka: Bardzo dobrze, Karolku. Twoje oburzenie jest całkowicie uzasadnione. Wódka bowiem wykoleja, degeneruje, niszczy, sieje spustoszenie, deprawuje.

<sup>364</sup> Tamże, s. 171–172.

<sup>365</sup> T. Polanowski, *Disce puer*, [w:] tegoż, *Wybrałem fry-wolność*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1961, s. 61.

Aurora: Podnieca...

Nauczycielka: Co mówisz, moje dziecko?

Aurora: Mówią, że wódka podnieca, proszę pani, do czynów występnych.

Nauczycielka: Konkretnie jakich? Mówiłam o tym na poprzedniej lekcji. Dawałam przykłady. No, kto powie?

Marcelek: Ja. A więc... Choćby Janko Muzykant. Gdyby nie wódka, toby się nie urodził ani nie umarł. Ojciec jego bowiem pił, i pani rozumie... Dobrze, że Janek miał słuch, bo mógł być całkiem idiotą, a później pan bił go po pijanemu, aż umarł.

Nauczycielka: Doskonale. Marcelek odpowiedział dziś na piątkę.

Dolores: Zgubny wpływ alkoholu widzimy również w noweli „Michałko” Be Prusa i u Marii Konopnickiej.

Władysław: A gdyby Bartek Zwycięzca tak pił, jak ten pan, toby nie zwyciężył. Tak samo jak Ślimak, czy ksiądz Robak, który pił, ale z wyrzutów sumienia.

Nauczycielka: Doskonale. To są przykłady z lektury. Przykładów z życia nie wymagam. Spotykamy je na każdym kroku.

Róża: A mnie jest żal tego pana, że musi pić. Może on był sierotą albo go ktoś skrzywdził. Przecież dla przyjemności sam by siebie nie wykolejał.

Dolores (*do publiczności*): A ja się w ogóle państwu dziwię, że produkuje takie świństwo, zamiast zwiększyć produkcję czekoladek na głowę. Ten pan jadłby wtedy czekoladki i nie leżał na chodniku. Dlaczego tak się robi?

Marcelek: Nie zadawaj państwu dziecinnych pytań.

Fryderyk: Głupia, produkuje się wódkę, bo ludzie piją, ludzie piją, więc produkuje się wódkę – przecież to takie proste. Każde dziecko o tym wie.

Dolores: Wstrętny prymus! Zawsze się wymądrza. Chce być mądrzejszy od państwa. (*Pijak wyciąga ćwiartkę i wlewa wódkę do gardła. Ma wyraz błogości na twarzy*).

Nauczycielka: Spójrzcie, dzieci, i zapamiętajcie. Ohyda. On teraz jest do wszystkiego zdolny. (*Pijak robi groźną minę*).

W takim stanie to on może zamordować, naubliżyć, pobić żonę, ryczeć, wpaść pod tramwaj...

Pijak: (*ryczy*)

Nauczycielka: Nawet wierszyk do niego nie przemówi.

Róża: Nie pij wódki, nie pij wódki.

Marcelek: Wódka niszczy życia zdroj. Oto skutki picia wódki.

Chór: Wódka wstrętna jest, a fuj! (*Dzwonek*)

Nauczycielka: Jesteście, dzieci, wolne. Na dziś koniec. (*Dzieci wybiegają z wrzaskiem, na scenie pozostają tylko pijak i Marcelek*).

Pijak: No, i jak wypadłem? Lepiej niż na poprzedniej lekcji?

Marcelek: Z lekcji na lekcję się tatko poprawia. Dostałem piątkę.

Pijak: Widzisz. Odkąd się ojciec zabrał za twoją naukę, od razu inaczej. No, to skocz, Marcyś, po ćwiartkę. Święto w rodzinie<sup>366</sup>.

### **Przykład 278. Stefan Chmielnicki – *Kwiaty oświaty* (1962)**

*(Obrazek, w którym występują: Ojciec, Sekretarka Liceum, Sekretarka Inspektoratu Szkolnego oraz Świadek. Rzecz, prawie jak we śnie, dzieje się jednak na jawie i jak najbardziej współcześnie).*

#### AKT I

*(w sekretariacie Liceum)*

Ojciec

Spełniłem wszystkie wymagania,  
czegoś brak jeszcze do podania,  
żeby po wstępnych egzaminach  
mogliście przyjąć mego syna?

Sekretarka Liceum

Owszem, dowodu brak, mój panie,  
o pańskim majątkowym stanie.  
Dostanie pan w Inspektoracie,  
gdzie załatwiają to jak z płotka:  
trzeba zaledwie dwa dni stracić,  
oraz pięć złotych mieć i świadka.

#### AKT II

*(w sekretariacie Inspektoratu)*

Ojciec

Po zaświadczenie mnie przysłano,  
a to jest świadek mego stanu.

Świadek

Ten pan jest biedny jak sierotka,  
nie wygrał nigdy w „Toto-lotka”,  
nie ma wujaszka w Ameryce,

---

<sup>366</sup> J. Abramow-Newerly, *Lekcja*, [w:] tegoż, *Co pan zgłasza?*, Czytelnik, Warszawa 1977, s. 79–82.

nie wybudował kamienicy,  
 pieniędzy w bankach nie gromadzi,  
 tylko na jednej jest posiadzie,  
 autem jedyny raz dla zdrowia  
 jechał karetką pogotowia,  
 żona srebrnego nie ma lisa, syn...

Sekretarka Inspektoratu  
 Starczy. Proszę to podpisać.

### AKT III

(*po wyjściu z Inspektoratu*)

Ojciec (*do świadka*)

I powiedz pan, po co to wszystko,  
 panie ... Przepraszam, jak nazwisko?...<sup>367</sup>

### **Przykład 279. Agnieszka Osiecka – *Dziobak* (1962?)**

W podręczniku zoologii dla klas trzecich,  
 strona setna, siedemnasty wiersz od góry,  
 ku zdumieniu, oburzeniu grzecznych dzieci,  
 ku obrazie sensu, prawa i natury:

Figuruje sobie dziobak.  
 Ani ptak to, ani ssak.  
 Czy to kaprys, czy choroba?  
 Czy rarytas to, czy brak?  
 Czy to ptaszek, czy to krowa?  
 Czy potrzebny jest ten biust?  
 Może zbędna jest ta głowa  
 z wielkim dziobem zamiast ust?

Grzeczne dzieci z klasy trzeciej się zebrały,  
 umoczyły swoje pióra w atramencie,  
 list otwarty do dziobaka napisały,  
 opatrzyły go w podpisy i pieczęcie:

<sup>367</sup> S. Chmielnicki, *Kwiaty oświaty*, [w:] tegoż, *Pejzaż satyryka*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1962, s. 43–44.

„Dziobaku, ty się zastanów,  
dziobaku, zlikwiduj dziób.  
Ty jesteś nie według planu,  
dziobaku, porządek zrób.  
Natury ty jesteś gafa,  
dziobaku, czy ci nie wstyd,  
toć nie ma cię w paragrafach,  
ty jesteś po prostu nikt.  
Powiedz, dziobak, tak czy owak?  
Czyś ty ptaszek, czyś ty krowa?  
Powiedz, dziobak, tak czy siak,  
czyś ty krowa, czyś ty ptak?”.

Tylko Józio, ten wypędek, ten ladaco,  
nie podpisał się pod listem z całą klasą,  
i wieczorem, kiedy tylko słońko zgasło,  
wymalował na tablicy takie hasło:

„Dziobaku, w tobie nadzieja,  
dziobaku, tyś miły nam,  
dziobaku, ty się nie zmieniaj,  
kolego dziobaku, trwaj!”<sup>368</sup>.

### **Przykład 280. Agnieszka Osiecka – *Na wagary* (1962?)**

Niewątpliwie Archimedes brał kąpiele  
i z pewnością była bitwa nad Rodanem.  
I w ogóle było faktów bardzo wiele,  
tyle lekcji, i jeszcze zadane...  
Lepiej chodźmy na wagary,  
zostawmy bibułę i tusz.

Na wagary, na wagary –  
wiedzicie, że ciepło już!

<sup>368</sup> A. Osiecka, *Dziobak*, [w:] tejże, *Kolory. Piosenki estradowe*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1962, s. 55–56. Por. też, *Dziobak*, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska. Część IX...*, dz. cyt., s. 38–39; też, *Dziobak*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Polska poezja satyryczna*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975, s. 113–114.

Na wagary, na wagary,  
nad rzekę, nad morze czy w las,  
mierzmy siły na zamiary –  
wagary, wagary, wagary,  
to już najwyższy czas!

Pan zapewne jest zajęty jak minister,  
konferencja czeka pana już od rana  
i spotkanie po południu uroczyste,  
i telefon wciąż dzwoni u pana...  
Lepiej chodźmy na wagary,  
po prostu za rękę mnie weź.

Na wagary, na wagary –  
przed siebie daleko gdzieś...  
Na wagary, na wagary,  
o, jaka ta pani jest zła,  
proszę, nie bój się tej pani –  
wagary, wagary, wagary,  
to już najwyższy czas!

Niewątpliwie byt świadomość nam określa  
i przeważnie bez przyczyny nie ma skutku.  
Nie uznaje niespodzianek stary wszechświat,  
tak już leci pomalutku, pomalutku.  
Lepiej chodźmy na wagary,  
na odwrót, na przekór, na stos,  
na wagary, na wagary –  
postawmy na głowie los.

Na wagary, na wagary,  
porzucmy ciężenie i czas,  
mierzmy siły na zamiary –  
wagary, wagary, wagary,  
urwijmy się wszyscy wraz!<sup>369</sup>

---

<sup>369</sup> Taż, *Na wagary*, [w:] tejże, *Kolory...*, dz. cyt., s. 27–28. Por. taż, *Na wagary*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Polska poezja satyryczna*, dz. cyt., s. 112–113.



**Przykład 281. Edward Szymański –  
*O małym Jerzyku historia okropna* (1962)**

Jeszcze żywie duch dziadów  
I bez W.C. są domy,  
Ale za to z ogniskiem rodzinnym.  
Tak i w domu Jerzyka święcie świecił ów płomyk.  
Nad Jerzyka łóżeczkiem dzieciennym.

Dla Jerzyka tatusia, dla Jerzyka mamusi  
Była prawda – jak dzień oczywista  
Że ich Jerzyk na zawsze tępą główkę mieć musi  
(I duszyczkę niewinną jak kryształ).

Ale biada – niestety zbrodnicze masony  
Na duszyczkę i główkę Jerzyka  
Zionęły miazmatami, bolszewickie swe szpony  
Szczercząc z krwawych numerów „Płomyka”<sup>370</sup>.

Coś tam czytał o pracy, o teatrze dla dzieci  
(Wszystko z Marksa, Lenina, Zoszczenki).  
Zaraz nóż chwycił w dłonie, ogniem w oczach zaświecił,  
Aż brutalnie szczękały mu szczęki.

--- tu deseczka krótka,  
tu deseczka długa  
tralala, trelele,  
wszystko się wystruga...

Wpada matka i płacze, wpada ojciec z Ikaćcem  
Patrzą: Jerzyk, nóż, „Płomyk” i drewno.  
Zatruli go ci zbóje, szubienicę buduje.  
Matkę zarżnie, dom spali na pewno.

---

<sup>370</sup> Wydanie w 1936 r. numeru „Płomyka” poświęconego teatrowi i w ogóle sztuce dla dzieci w Związku Radzieckim wywołało wielką burzę w obozie sanacyjnym i wśród sprzymierzonej reakcji.

--- tutaj będzie rampa,  
tutaj scena taka,  
tralala, trelele,  
tu tańczą kozaka...

Słyszysz? widzisz? Jerzyka zmienili w bolszewika,  
Przekupili gadzionowym złotem.  
Biegnie tatuś do syna, bić go w ciemię zaczyna,  
potem pisze do gazety protest.

„Płomyk” mama spaliła, 10 mszy zakupiła.  
Teraz Jerzyk czytuje „Rycerzyk”.  
Rośnie, aż miło patrzeć, i nie nic o teatrze,  
w diabła wierzy i w masonów wierzy<sup>371</sup>.

**Przykład 282. Edward Szymański – *O zamordowanej dziewczynie*  
opowieść pedagogiczna (1962)**

*Do pisma dziecięcego mającego w tych dniach wyjść pod auspicjami IKC*<sup>372</sup>.

Był tatuś. I córeczka – Lusia.  
I mamusia – wariatka.  
I synek Staś.  
I taka pani, co spała obok tatusia.  
Ogród.  
Basen.  
A w basenie kaczusie taś-taś.

Ta pani była cacy  
i z tatusiem a-a,  
i z tatusiem a-a-luli-luli.

<sup>371</sup> E. Szymański, *O małym Jerzyku historia okropna*, [w:] tegoż, *Satyry*, Czytelnik, Warszawa 1962, s. 75–76.

<sup>372</sup> Najbardziej napadał na „bolszewicki” numer „Płomyka” koncern prasowy krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. Koncern ten wydawał jednocześnie demoralizujące młodzież pismo pt. „Tajny Detektyw”. Tematykę tego utworu zaczerpnął Szymański ze słynnego procesu Gorgonowej, oskarżonej o zamordowanie córki swego kochanka, Lusi.

Mimo że w przypisie jest mowa o „Ilustrowanym Kurierze Polskim”, to w podtytule występuje skrót IKC odpowiadający „Ilustrowanemu Kurierowi Codziennemu”. Przyp. P.P.G.

Patrzcie: tylko lkacy  
ma te zdjęcia dwa.  
Na tym drugim jest ta pani  
(niestety w koszuli).

I ta pani nad ranem,  
kiedy tatuś chrr-chrr-upf!  
Do dziewczynki Lusi przyszła sama.  
Puk ją w główkę dżaganem  
i dziewczynka fajt-trup.  
Krew kap-kapu. Tu plama, tam plama.

Tę dziewczynkę ktoś zgwałcił,  
ta pani była w ciąży.  
Był procesik i dreszczyk fajny.  
Ta pani teraz siedzi  
bo jej pomoc nie zdążył  
wasz kochany Detektyw Tajny<sup>373</sup>.

### **Przykład 283. Krzysztof Teodor Toeplitz – *Dać im szkołę* (16 września 1962)**

Utarł się pogląd, że dziatwa w wieku szkolnym – to przyszłość narodu. Ja osobiście nie widzę przyszłości aż tak czarno. Zanim dziatwa stanie się przyszłością narodu, pokończy szkoły i może nieco zmądrzeje, o ile oczywiście szkoła nie stanie temu na przeszkodzie.

Od wielu lat jako jeden z najbardziej przerażających snów śni mi się matura. Że muszę coś zdawać, wszyscy dookoła mnie rozwiązują zapamiętałe jakieś zadania, a ja siedzę i myślę, że nie warto mi się nawet wygłupiać, bo i tak tego zadania nie rozwiążę. I trochę mi przykro, że się nie uczyłem, gdy była na to pora.

Jest to sen tak sugestywny, że nawet po przebudzeniu przez parę minut wydaje mi się, że muszę zaraz iść i zdawać. Freud takie sny tłumaczy lękiem przed egzaminem życiowym i niedojrzałością. Ale Freud wszystko tłumaczy albo niedojrzałością, albo libido. Nie potrafi tylko poradzić sobie ze snami, po których przez parę dni czuję się zażenowany w towarzystwie znajomych pań. Bo w tych snach wszystko jest jasne jak słońce i nie ma ani żadnych symboli, ani „wewnę-

---

<sup>373</sup> Tenże, *O zamordowanej dziewczynie opowieść pedagogiczna*, [w:] tegoż, *Satyry...*, dz. cyt., s. 77–78.

trzej cenzury”, w której interpretowaniu specjalizuje się psychoanaliza. Natomiast mój sen o maturze wydaje mi się po prostu świadectwem, że za moich czasów maturalnych chodziło się do prawdziwych szkół, z których wiało grozą.

Teraz robi się wszystko, aby w naszych szkołach było jak najradośniej i możliwie najbardziej rozrywkowo. W Kronice Filmowej widziałem dwa tematy o szkole, przy czym w jednym upominano się, aby wprowadzić do szkół modne mundurki i wdzianka, a w drugim, żeby pozwolić pisać długopisami, że pominię już liczne rozprawy na temat zmniejszenia ilości lektur, unikania kompleksów i urazów u uczniów oraz zapobiegania frustracji. I po tym wszystkim nagle pojawiają się głosy, czyby przypadkiem nie wskrzesić instytucji pedli, którzy pilnowaliby rozwydrzoną młodzież w godzinach pozaszkolnych na mieście.

Fundamentalnym nieporozumieniem, jeśli idzie oświatę i szkolnictwo, wydaje się bowiem to, że ludzie zapomnieli, po co właściwie wynaleziono szkoły. Bezkrytycznie ulega się wersji, że młodzież ma z nich wyciągać wiedzę i naukę, i że mają one jakiś wpływ na kształtowanie się charakteru. Jest to, oczywiście, nieprawda. W szkołach mało kto zajmuje się wiedzą. Od najdawniejszych lat panuje tu system migania się, ściągania, ukrywania się przed odpowiedzialnością, słowem, tysiące skutecznych sposobów, aby wiedzy nie osiąść. Panuje również snobizm. Zapytajmy kogokolwiek z dorosłych, czy umiał w szkole matematykę fizykę, a każdy odpowie, że skądże znowu, że nie miał o nich pojęcia, natomiast dobrze pisał wypracowania z polskiego. Słowem, że był szalonym poetą, umysłem wytwornym i refleksyjnym, nie dającym się ujarzmić przez rygory ścisłe. Jednakże w życiu więcej jest przecież inżynierów, techników i w ogóle ludzi uprawiających zawody ścisłe niż poetów, a liczyć, i to dość przytomnie, umie u nas każdy. Dowodzi to po prostu, że to, co się dzieje w szkole, nie ma nic wspólnego z życiem ani wiedzą.

Oprócz poetyczności w szkołach uczy się masy rzeczy niepotrzebnych, na przykład rozmaitych dat historycznych, które oczywiście natychmiast się zapominają – i słusznie, ponieważ można je znaleźć w każdej encyklopedii i podręczniku, kiedy będą potrzebne. Uczy się również najbardziej idiotycznych eksperymentów fizykalnych lub chemicznych, dawno już przeprowadzonych przez uczonych, do których można mieć zaufanie. Pedagodzy tłumaczą, że wyrabia to dociekliwość, ale nie ma przecież nic głępszego od dociekliwości w służbie bezcelowych eksperymentów. Czytałem na przykład niedawno, że pewien Francuz wlaż do zupełnie ciemnej groty i siedzi tam bez zegarka, żeby sprawdzić, ile dni „zgubi” przez miesiąc. Wydaje mi się, że ten Francuz zgubił poczucie czasu, zanim jeszcze wszedł do groty, bo trudno inaczej wyjaśnić ten eksperyment podjęty w epoce cudownie precyzyjnych przyborów pomiarowych,

zegarów, chronometrów i Bóg wie czego. Podobnie trudno jest zrozumieć eksperyment młodych Hiszpanów, którzy postanowili przepłynąć do Ameryki koraletką z czasów Kolumba. Żeby sprawdzić, czy Kolumb naprawdę odkrył Amerykę? A jeśli nie odkrył, tylko odkryła się sama, to jakie to może mieć dzisiaj znaczenie? Sądzę, że zarówno ten Francuz, jak i ci Hiszpanie są ludźmi, którzy wynieśli ze szkoły ducha dociekliwości i potraktowali na serio eksperymentalne sprawdzanie prawa Boyle'a i Mariotte'a, dokonywane na lekcjach fizyki. Bo przecież, powtarzam, szkoła wcale nie polega na tym, żeby uczyć czy żeby bawić, czy też – żeby przygotowywać do życia. Szkoła jest po to, aby uchronić ludzkość przed barbarzyństwem nieletnich. Kiedy młody człowiek wchodzi w wiek, w którym może być agresywny wobec otoczenia, posyła się go do szkoły i przechowuje tam tak długo, dopóki wiek agresji nie minie. Czasem nawet do 18 lat. Potem się wypuszcza. Jeśli ktoś chodził do dobrej szkoły, przez całe życie się już nie podźwignie i w nocy ogarnie go lęk przed maturą. Słowem – dostał szkołę. Jeśli jej nie dostał – cała zabawa na nic i może być nieszczęście<sup>374</sup>.

#### **Przykład 284. Witold Zechenter – *Pewien pedagog* (1962)**

Pewien pedagog z Ustki  
nie miał do portu przepustki.  
Zgryzota z powodu tego  
dręczyła go – nic dobrego,  
aż zapadł na marskość trzustki<sup>375</sup>.

#### **Przykład 285. Jarosław Abramow-Newerly – *Kolega szkolny*. Słuchowisko Teatru Polskiego Radia (1963)**

(*Gabinet dyrektora*)

Kolega: Serwus! Chyba mnie nie wyrzucisz? Kopę lat! Ale się obwarowałeś! Uff! Albo cię trzeba brać szturmem, albo sposobem.

Dyrektor: (*sztywno*) Co to za forma? Nie rozumiem zupełnie, skąd pan się wziął w moim gabinecie. I to bez meldowania u sekretarki.

Kolega: Uspokój się, Pająk. Nie poznajesz szkolnego kolegi? Nie poznajesz Pajaka? Do tego już doszło? Jak ci ludzie nam powyrastali!

Dyrektor: (*bez entuzjazmu*) A, Pająk. Rzeczywiście. W pierwszej chwili nie poznałem.

<sup>374</sup> K.T. Toeplitz, *Dać im szkołę*, [w:] tegoż, *Co ma wisieć – nie utonie*, Książka i Wiedza, Warszawa 1965, s. 98–101.

<sup>375</sup> W. Zechenter, *Pewien pedagog*, [w:] tegoż, *Fraszki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1962, s. 44.

Kolega: Zmieniłem się, co? Postarzałem. Tak, tak. Sporo pracy. Co robić. Nie widzieliśmy się z sobą blisko dwadzieścia lat.

Dyrektor: Możliwe. Siadaj. Dysponuję, niestety, ograniczonym czasem...

Kolega: Rozumiem. Nie będę ci długo zawracał głowy... Słuchaj, Pajac...

Dyrektor: Nie nazywaj mnie tak, proszę. Nigdy nie lubiłem, jak mnie w szkole tak przezywano. W tamtych latach trudno było cokolwiek na to poradzić. Ale teraz? Nie widzę powodu. Pajac, Pajac... Tylko tego brakuje, żeby usłyszała to moja sekretarka... Na moim stanowisku nie mogę sobie pozwolić na głupie przezwiśka... To nie szkoła, Pająk.

Kolega: Masz rację. W takim razie nie nazywaj mnie Pajakiem.

Dyrektor: Przepraszam. O ile mnie pamięć nie myli, nazywałeś się Pająkowski.

Kolega: Tak jest. Tadeusz. Zważniałeś mocno za tym biurkiem. Telefon, sekretarka swoje robi. Chociaż, bo ja wiem, zawsze byłeś taki...

Dyrektor: Jaki znów?

Kolega: No, taki... (*śmieje się*) Pajac... lubiłeś podskakiwać, pajacować, przepraszam, nie obraż się... Tak. (*pauza*) Jak sobie dajesz radę? Chyba lepiej niż z matką, co? Do matematyki toś ty, chłopie, nigdy głowy nie miał. Zawsze musiałem ci pisać ściągaczki. Na każdej klasówce odwaliałeś zadanie ode mnie, ale nigdy nie miałeś szczęścia. Wynik końcowy był prawidłowy, a w środku pełno byków. Stary się potem nie mógł nadziwić! Nieuważnie zrzywałeś, ot co! Gubiły cię nerwy i pośpiech! Taak. Piękne czasy! Buda... Warto urządzić jakiś zjazd, co? To może być interesujące... takie spotkanie po tylu latach. Chociaż dużo chłopaków zginęło.

Dyrektor: Straciłem zupełnie kontakt z dawnymi kolegami... Stykam się jedynie z Gumowskim, a i to dlatego, że pracujemy w jednej instytucji.

Kolega: To Guma pracuje z tobą? Nic nie wiedziałem. Chciałbym go zobaczyć. Pamiętasz, jak go z Frankiem na lekcjach fizyki kłuliśmy cyrklem w zadek? Twardo dotrzymywał umowy. Jeżeli pisał – płacił pięćdziesiąt groszy. Jak wytrzymał – zjadał Franka śniadanie. Zawsze przegrywaliśmy, chociaż cyrkiel był wyostrzony fest. Mój Boże! Szkolne pomysły!

Dyrektor: Daj spokój. Też zachowałeś wspomnienia! Inżynier Gumowski pełni dziś wybitnie odpowiedzialną funkcję... W ogóle powiedziałem ci już, że wiele się zmieniło... To nie szkoła. (*pauza*) Powiedz mi, Pająk, po coś ty właściwie przyszedł.

Kolega: Ja?

Dyrektor: Uhm. Pewnie liczysz na moją pomoc. Przyznaj się.

Kolega: Absolutnie. Przechodziłem po prostu ulicą i przypomniało mi się, że tu pracujesz, więc wpadłem, ot tak, z czystej ciekawości.

Dyrektor: Ot, tak?

Kolega: Uhm.

Dyrektor: Komu ty to mówisz? Za długo się znamy, kochany. Pewnie szukasz protekcji, ale ja naprawdę nic dla ciebie nie mogę zrobić. Wybacz. Za chwilę mam konferencję. W zasadzie dziś nie przyjmuję interesantów, tylko dla ciebie zrobiłem wyjątek.

Kolega: Dziękuję.

Dyrektor: Jestem tak zapracowany, że nie stać mnie po prostu na luksus utrzymywania stosunków z dawnymi kolegami szkolnymi. Choćbym nawet chciał.

Kolega: Rozumiem. No cóż, Pajac, w takim razie przepraszam.

Dyrektor: Przykro mi, że nie mogę ci w niczym pomóc.

Kolega: Mnie również. Swoją drogą, nic się nie zmieniłeś, Pajac. Nic a nic. Zawsze gubił cię pośpiech i nerwy. Teraz też. A tak bardzo chciałem z tobą porozmawiać. Odświeżyć kontakt. Miałem nawet interesującą propozycję... Ha, mówi się trudno.

Dyrektor: Propozycję?

Kolega: Uhm. (*pauza*) Mianowany zostałem niedawno generalnym dyrektorem, gazety nawet pisały... Nie, nie, nie podlegasz mi, na szczęście. Przenoszę się z Krakowa i pomyślałem, że warto by cię wciągnąć... Zabrać... Ale skoro cię nie stać na luksus utrzymywania stosunków z dawnymi kolegami, jesteś tak zapracowany – to propozycja automatycznie upada.

Dyrektor: Chwileczkę, Pajak. Myśmy się nie dogadali...

Kolega: Przykro mi, że zająłem ci cenny czas.

Dyrektor: No, wiesz! Po prostu głupie nieporozumienie.

Kolega: Przepraszam.

Dyrektor: Co ty! Stary! Dla kolegi szkolnego mam zawsze czas.

Kolega: Szkoda, że tak się stało.

Dyrektor: Siadaj.

Kolega: Bądź zdrow, Pajac. Powodzenia (*odchodzi*).

Dyrektor: (*woła za nim*) Dokąd? Pajak! Daj spokój! Żartowałem. Dyrektorze Pajakowski! Ja wam wszystko wyjaśnię, o, Boże! My przecież tyle lat, tyle lat w jednej ławce... (*trzaśnięcie drzwiami*) W jednej ławce razem<sup>376</sup>.

<sup>376</sup> J. Abramow-Newerly, *Kolega szkolny*, [w:] tegoż, *Co pan...*, dz. cyt., s. 108–111. Por. przykłady 301, 324.

**Przykład 286. Jan Huszcza – *Trzy dwójki* (1963)**

Nauczyciel języka polskiego, niejaki Antoni Czyżyk, nie spał całą noc. Przewracając się na metalowym łóżku, którego wysłużona siatka sucho chrzęściła, głośno wzdychał: „Chciwość mnie zgubiła! Aj, aj! Po jaką cholereę wziąłem te pół etatu? Dorobię niewiele, a przykrości mogę mieć na pudły!”

Chodziło zaś o to, że w liceum dla dorosłych, gdzie Czyżyk miał owe pół etatu, przed kilkoma dniami była klasówka. Klasówka – której temat stanowiły poezje Słowackiego – właściwie udała się, gdyż Czyżyk postawił zaledwie trzy dwójce.

Czyżyk miał ten zwyczaj, że najpierw stawiał stopnie w zeszytach, a dopiero potem patrzył na okładkę, gdzie było wypisane nazwisko ucznia. Nauczycielowi chodziło bowiem o bezstronność, unikał więc wszystkiego, co mogłoby na tak pojętej bezstronności ujemnie zaciążyć.

Kiedy jednak spojrział na niebieskie okładki zeszytów, zawierających wypracowania z dwójkami, to aż chwycił się za swoją bujnie owłosioną głowę. Jedną z dwój złapał sekretarz z powiatowego komitetu, drugą przewodniczący prezydium rady narodowej, a trzecią otrzymał kierownik wydziału kultury. Patrząc na te trzy dwójce, Czyżyk przez dłuższy czas siedział nieruchomy i zastygły, jakby pozował malarzowi do olejnego portretu. Potem usłyszał w sobie tchórzliwy głos: „Popraw sekretarzowi na czwórkę, a tym drugim dwom bęcwałom postaw trójki!”

Tchórzliwy głos był natarczywy i długo powtarzał tę propozycję: „Popraw... postaw... popraw... postaw...”. Przypominało to nadwerżoną płytę gramofonową, po której jeździła igła ciągle w tym samym zagłębieniu... Wreszcie Czyżyk zerwał się, płaśnął dłonią o zeszyty i na cały swój pokój zawołał: „Nie będę deprawował się, jak nasz matematyk, który podczas klasówek podrzuca komentatorowi milicji szpargałki z rozwiązaniem zadaniem!”

Wczoraj nauczyciel rozdał zeszyty wszystkim swoim uczniom i dlatego tej nocy nie zmrużył oka aż do świtu, jeszcze raz przeżywając całe wydarzenie. Kiedy zaś przyszedł na lekcje do swojej szkoły macierzystej, dyrektor oschle zakomunikował mu, iż był telefon i on, Czyżyk, proszony jest o zjawienie się w komitecie.

Po byle jak przeprowadzonych dwóch lekcjach powlókł się polonista do budynku komitetu. Idąc pokrytymi lodem chodnikami, łudził się, iż może to chodzi o akademię okolicznościową, na której obiecał wystąpić z referatem. Na miejscu okazało się, iż wzywał go właśnie jego uczeń.

Uczeń siedział za biurkiem, ale podniósł się na powitanie nauczyciela, podsunął mu nawet krzesło, potem znowu usiadł i pogrążył się w nieprzyjemnym



milczeniu, jakby zapominając o gościu. Dopiero po kilku minutach odezwał się:  
– To właścicielowi straganu z pasmanterią, Potapce, postawiliście za wypracowanie piątkę...

– Cóż miałem robić... – tłumaczył się Czyżyk. – Potapko napisał je bez ortograficznych byków i z dużą znajomością tematu!

– Ale to prywatna inicjatywa! Czy wasza świadomość tego nie odróżnia?

– Nie było instrukcji, żeby inaczej podchodzić do wypracowań!

– Nie chodzi o instrukcje, obywatelu Czyżyk! Nie czekajcie na takie instrukcje, bo możecie się nie doczekać! Chodzi o obecność waszej świadomości... Sprawa socjalizmu doznała przez was uszczerbku...

– W jakiż to sposób? – zachnął się Czyżyk.

– Jeżeli ja mówię... – Sekretarz wstał, urwał i po chwili zimno zakończył:

– Ale ja widzę, że nawet nie warto z wami rozmawiać!... Żegnam was!

Mimo iż na dworze panował wcale ostry mróz, Czyżyk szedł w rozpiętej jesionce. Na rogu zaś ulicy rozpiął nawet i marynarkę, gdyż zobaczył zdążającego w tę stronę przewodniczącego miejskiej rady. Uczeń i przewodniczący w jednej osobie nie odpowiedział nawet na ukłon nauczyciela. Ledwie więc Czyżyk dowłókł się do kancelarii nauczycielskiej, nie zwracając żadnej uwagi ani na drzewa w czapkach ze śniegu, ani na zarumienione policzki miejscowych brunetek.

W kancelarii oznajmiła mu jedna z koleżanek, iż pilnie chce się z nim widzieć kierownik wydziału kultury. Ale Czyżyk, zamiast udać się do pragnącego go widzieć ucznia z wydziału kultury, powędrował do inspektoratu, gdzie złożył podanie z prośbą o przeniesienie go do innej miejscowości. I żeby przypadkiem, Boże broń, nie do liceum dla dorosłych!<sup>377</sup>

**Przykład 287. Agnieszka Osiecka – *Okularnicy*. Piosenka z programu „Wszystko, co nasze” Studenckiego Teatru Satyryków, do muzyki Jarosława Abramowa (1963)**

Między nami po ulicy,  
pojedynczo i grupkami,  
snują się okularnicy  
ze skryptami...  
I z książkami, z notatkami,  
z papierami, z kompleksami,  
i te pe, i te de, i te pe.

<sup>377</sup> J. Huszcza, *Trzy dwójki*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), dz. cyt., s. 247–249.

Uszy mają odmrożone,  
 nosy w szalik otulone,  
 spodnie mają zeszlóroczne,  
 miny mroczne.  
 Taki dzieckiem się nie zajmie,  
 tylko myśli o Einsteinie,  
 i te pe, i te de, i te pe.  
 Gnieźdzą się w akademiku,  
 mają – każdy po czajniku,  
 i nie dla nich dewolaje,  
 i Paryże, i „Szanghaje”,  
 i nie dla nich bal i ubaw  
 ani Lala, ani Buba,  
 i te pe, i te de, i te pe.  
 Tylko czasem przy tablicy  
 wiosną jakiś okularnik  
 skradnie swej okularnicy  
 pocałunek...  
 Wtem okular zajdzie mgłą,  
 przemarznięte dłonie drżą...  
 Potem razem w bibliotece  
 i w stołówce, i w kolejce,  
 i te pe, i te de, i te pe.  
 Wymęczeni, wychudzeni,  
 z dyplomami już w kieszeni  
 odpływają pociągami,  
 potem żenią się z żonami,  
 potem wiążą koniec z końcem  
 za te polskie dwa tysiące  
 i te pe, i te de, i te pe<sup>378</sup>.

**Przykład 288. Jadwiga Toeplitz-Mrozowska – *Słoneczne życie.***  
**Fragmety wspomnień dotyczące wydarzeń**  
**z 1895 r. (?) (1963)**

Cztery spośród nas spragnione były – jak kania dżdżu – widowisk teatralnych; ponieważ nie chciałyśmy zwracać się osobiście do pani dyrektorki w tej sprawie, uprosiłyśmy naszą ulubioną kierowniczkę klasy, ażeby przedstawiła ją przeło-

<sup>378</sup> A. Osiecka, *Okularnicy*, [w:] R. Prac, dz. cyt., s. 77–78.

żonej i uzyskała pozwolenie uczęszczania od czasu do czasu na popołudniowe przedstawienia. Niestety, otrzymałyśmy odpowiedź odmowną, usprawiedliwioną odkryciem w szafeczkach i łózkach uczennic licznych fotografii aktorów, przemyconych do nas przez przychodnie koleżanki. Przyznać trzeba, że od pewnego czasu potworzyły się pomiędzy nami specjalne towarzystwa adoracji takich artystów, jak wykwintny Kazimierz Kamiński, arystokratyczny Sobiesław, potężny Bolesław Leszczyński, czy romantyczny Tarasiewicz, a co za tym idzie rozkochane dziewczęta wpatrywały się w ich wizerunki w godzinach lekcji czy rekreacji. Nie było w tym nic zdrożnego, gdyż wielcy artyści byli dla nas niedostępni. Mniej bezpieczna była studenteria, która z okien kamienicy, zamykającej z drugiej strony nasz ogródek, rzucała nam liściki, kwiaty, a co najgorsze ustne nieskromne propozycje, na które się wprawdzie oburzano, ale słuchano chętnie. O tym jednak nikt z grona pedagogów nie pomyślał, uważając ogródek za najpewniejsze miejsce uchronienia nas od pokus ciała i duszy.

Pewnego dnia przełożona wyłapała mnie na gorącym uczynku wpatrzoną w czasie lekcji w rozplómięte, kordianowe oczy Michała Tarasiewicza. Wyrwała mi fotografię z rąk, wsunęła do nieodstępnego worka i wyszła bez słowa z klasy. Poprzysięgam jej zemstę, choć trudno ją było wymyśleć, a jeszcze trudniej wykonać. Ale ponieważ potrzeba jest matką wynalazków, zaczęłam nagle zdradzać wilczy apetyt na wszelkiego rodzaju mdłe słodkości, którymi w charakterze legumin nas częstowano. Gdy podali historycznie roztrzęsiony kisiel, zaczęłam sobie nakładać po pierwszej łyżce drugą, po drugiej trzecią, po trzeciej... wśród ogólnej ciszy rozbrzmiał głos przełożonej: – Jadwigo! Twoje koleżanki też lubią kisiel!

– Na pewno żadna tak bardzo jak ja, pani dyrektorowo! – Zamierzałam się już dobierać do czwartej porcji, gdy pokojówka zręcznie wysunęła półmisek z zasięgu mojej ręki.

Skoro na drugi dzień dojechał do mnie ryż na słodko, w przewidywaniu interwencji pokojówki, ujęłam najpierw mocno lewicą brzeg półmiska, a prawicą zabrałam się do przetrzebień ryżu z jego najsmaczniejszej przyprawy. I znów rozległ się grzmiący i wyraźnie zirytowany głos: – Jadwiga! Co ty wyrabiasz? Nie wydłubuj rodzynek!!!

– Kiedy z tej rozgotowanej mazi są najlepsze, pani dyrektorowo!

Urażona pokojówka chce wycofać półmisek, ale ja go silnie trzymam. Zmagamy się. Chwila napięcia... I biały ryż ląduje nonszalancko na czarnej spódnicy pokojowej. Nawet mojej fantazji trudno było wyobrazić sobie wymysły, jakimi zbryzgał mnie ten babsztyl niczym ryż spódnicę. Aż mnie w dołku zamdlilo... Jedyną pociechą stała się dla mnie reakcja dyrektorowej, która w tłumionej furii zbieła – jak ryż.

Następnego dnia zostałam usadzona przy stole tuż obok pani dyrektor-ki, która własnoręcznie nakładała mi na talerz leguminę. Dla osobistej satysfakcji i ucieśnienia koleżanek trzeba więc było zmienić taktykę postępowania. Już w dzieciństwie odkryto we mnie duży talent mimiczny; mogłam robić z moją twarzą wszystko co chciałam, gdyż dowolnie rozporządzałam jej mięśniami. Mogłam bez pomocy lustra nałożyć sobie maskę tragiczną, komiczną, smutną, przerażającą, mogłam zmienić formę ust, wydłużyć nos i tym podobne cudeńka. Otóż pierwszego dnia mojego sąsiedztwa z przełożoną zrobiłam sobie okrągłe oczy. Z początku nie spostrzegła we mnie tej zmiany, gdyż starannie unikała mojego widoku, ale kiedy po wydaniu mi porcji kompotu z suszonych jabłek zabrała się do spożywania daru bożego, wycelowałam w jej talerz moje sowie oko, które uparcie towarzyszyło każdej łyżeczce wybierającej z talerzyka okrągłe płatki i wrzucającej je zręcznie do czeluści dostojnych ust. Z początku jadła spokojnie, ale im dłużej trwała ta operacja, tym wyraźniej zaczęła zdradzać rosnące zdenerwowanie. Wreszcie, nie kończąc kompotu, spojrzała spod przymkniętych powiek na mój talerz i spytała: – Czemuż to Jadwiga nie je tego, co jej dano?

– Wiem, że powinnam jeść to, co mi wydzieliła opatrność ręką pani dyrektorowej, ale dojrzałam w suszonych jabłkach ugotowane robaczki i straciłam na nie apetyt.

– Co ty mówisz, gdzie są?

– Moje są na talerzyku, a pani dyrektorowej już we wnętrzu.

Jej rozpaczliwe spojrzenie skrzyżowało się z nieruchomymi oczyma sowy. Wzdrygnęła się, odrzuciła serwetę i wstała od stołu. Panny z kamiennymi twarzami podreptały za nią. Moja twarz wyrażała teraz pełną naiwnej słodyczy jędzunię.

Od czasu do czasu pani dyrektorowa asystowała lekcjom. Czuła się też w obowiązku badać stan zdrowia pensjonarek i higienę zakładu. Pewnego poranku wchodzi do naszej klasy, pociąga parokrotnie nosem i z powagą oznajmia kierownicze klasy swoje odkrycie: – W tej klasie jest niedobre powietrze. A czy panienki starannie się myją?

– Myć się myją, ale kąpieli już od dwóch miesięcy nie brały.

Otrząsnęła się niecierpliwie: – A zęby porządnie są myte? – po chwili – Jadwiga! Chodź tu! Chuchnij!

Chuchnęłam tak potężnie, że aż jej głowa w tył odleciała, za późno jednak, bo po tej operacji musiała sobie nos obcierać chusteczką.

– Na górę! Umyj buzię!

– To nie z buzi, pani dyrektorowo. To z kapusty! – I pochylając się wyszeptęłam tak wyraźnie, że mnie cała klasa słyszała: biegunka!

– Co ty gadasz? Co za kapusta?

– Kiszona kapusta. U pani jest źle kiszona; ja się na kiszaniu znam, mogę zakisić; dawajcie beczkę dębową, dużo kopru, jeszcze więcej soli, ubijać, ubijać i zakiszę tak jak nigdzie nie kiszają! Tutaj zakiszona kapusta gnije, bo jak kiszona kapusta za długo kiśnie, to gnije, a jak gnije, to śmierdzi. Trudno jest dobrze kapustę zakisić, ale kisić...

– Cicho! Dość z tym kiszaniem!

– Aha! To nie ja jedna, pani dyrektorowo, nas już pięć tak lata, bo jak w nas zakiśnie...

– Siadaj!!! A panna Eulalia niech lepszy rygor trzyma w klasie i w umywalniach. – Z lekkim potrząsaniem galaretowatego łona wyszła z klasy. Byłam pomszczona i postanowiłam zaprzestać robienia dalszych „szykan” przełożonej, która najwyraźniej składała broń, ustępując z terenu walki<sup>379</sup>.

### **Przykład 289. Edmund Niziurski – *Sposób na Alcybiadesa*. Fragment (1964)**

Przezwisko nie pasowało w żaden sposób do pana Misiaka. Dopiero raz na lekcji historii, kiedy dobrotliwie zwrócił Zasepię uwagę, że czeka go los Alcybiadesa, zrozumieliśmy.

Wzburzony naszą niewiedzą zasadniczą i gruntowną powiedział wtedy:

– Niech wam się nie zdaje, iż wystarczy być moim uczniem, aby nabyć mądrości. Alcybiades też był uczniem Sokratesa, a jednak pozostał lekkomyślny i zepsuty.

Zrozumieliśmy wtedy, że biedak uważał siebie za Sokratesa, lecz nadzwyczajna złośliwość i małpia przekora jego uczniów ochrzciła go Alcybiadesem właśnie dlatego, iż nie cierpiał tego męża greckiego. Oczywiście wiedział o tym przezwisku i z pewnością napełniało go ono goryczą. Jednakże nie dawał tego po sobie poznać. Było ogólnie znaną rzeczą, że nasz Alcybiades zachowywał „formę” nawet w najgorszych przeciwnościach życiowych. Być może świadczyło to o jego sile moralnej, my jednak byliśmy raczej skłonni widzieć w tym zwykłą obojętność na sprawy współczesnego świata i niechęć do jakiegokolwiek działania. Nie byliśmy odosobnieni w tych poglądach. Również Dyr uważał Alcybiadesa za psora, który się minął z powołaniem. Powołaniem Alcybiadesa, według powszechnej opinii, miała być praca naukowa w gabinecie, medytacje filozoficzne, ewentualnie zacisze klasztorne i habit mnicha.

---

<sup>379</sup> J. Toeplitz-Mrozowska, *Słoneczne życie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1963, s. 61.

Niektórzy wyobrażali go sobie w roli antykwariusza, czyli handlarza starożytności, lecz my uśmiechaliśmy się tylko pod nosem na takie wyobrażenia. Alcybiades nie mógł być handlarzem starożytności, ponieważ nawet do tego potrzeba pewnej dozy energii i umiejętności chodzenia po ziemi, której to umiejętności Alcybiades zupełnie nie posiadał.

Alcybiades umiał za to bujać w obłokach. Dał temu wyraz nieznanemu artyście grafik, malując na ścianie gabinetu historycznego fresk przedstawiający Alcybiadesa w jego rozwianym płaszczu i szaliku, latającego między chmurkami z napisem „Spiritus flat ubi vult”. Było to ulubione powiedzenie Alcybiadesa. Słyszając je na początku naszej kariery szkolnej, podejrzewaliśmy Alcybiadesa o alkoholizm, lecz potem starszy brat Pędzelkiewicza, czyli – jak to się popularnie mówiło – Duży Pędzel, wyjaśnił nam, że „spirytus” oznacza po łacinie „duch”, a dokładne obserwacje trybu życia Alcybiadesa tudzież badanie jego oddechu z bliska (co wprowadzało go w niejakie zakłopotanie) stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że przemysł spirytusowy nie ma z nim nic wspólnego i że jedyną rzeczą powodującą stan upojenia zacnego pedagoga były „szampańskie myśli i różne nadużycia intelektualne”, jak to określił Duży Pędzel.

Fresk na ścianie gabinetu historycznego nie przetrwał nawet trzech dni, gdyż z rozkazu wzburzonego Dyra uległ bezwzględnej dewastacji, mimo protestów samego Alcybiadesa, który, jak mogliśmy zauważyć, z niewiadomych powodów był zadowolony z niego. Zachowały się jednak szkice i kopie, a także zdjęcia fotograficzne.

Sprawa fresku pogorszyła i tak już nie najlepsze stosunki między Dyrem a Alcybiadesem. Alcybiades podobno miał się wyrazić, iż w wymazaniu fresku widzi zamach Dyra na swoją popularność wśród uczniów oraz pogwałcenie eksterytorialności gabinetu historycznego. Z drugiej strony Dyr stwierdzał, że Alcybiades, tolerując podobne gryzmoły na ścianach, obniża autorytet Ciała, stwarza niebezpieczne precedensy. „A w ogóle – zakończył – cała sprawa sprowadza się do tego, że profesor Misiak, nasz czcigodny kolega, minął się z powołaniem. Profesor bez poczucia godności i bez energii, profesor wewnątrznie sflaczały nie powinien poświęcać się działalności wychowawczej”<sup>380</sup>.

---

<sup>380</sup> E. Niziurski, *Sposób na Alcybiadesa*, Czytelnik, Warszawa 1977, s. 72–73. Źródło pierwotne: tenże, *Sposób na Alcybiadesa*, Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia, Warszawa 1964.

### **Przykład 290. Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – *Wycieczka szkoły do Warszawy (1964)***

Cię choroba... Zorganizował nasz nauczyciel, zgiń przypadnij siło nieczysta, wycieczkę szkolną do Warszawy. W Bristolu będą dzieci mieszkały... „Szpaka” sobie zobaczą... W dramatycznych tyjatrach plan widzów wykonają... nawet odżywienie będą miały egzotyczne... W „Szanghaju”, na chińskiej kuchni... A my, jak te barany, będziemy za wszystko płacić...

A zaczęło się to wszystko na jesień łońskiego roku. Skończyły się już kopia, zaczeny chwytac przymrozki, a w gazetach pojawiły się pierwsze artykuły o sukcesach gospodarczych PGR-ów. Jesień na całego.

Jednego razu przychodzi do mnie kierownik PGR-u w Partolinie i powiada: – Byłem właśnie w mieście – mówi – i widziałem, jak pięknie pomagają dzieci naszym milicjantom przy leguracji ruchu ulicznego. Może by na naszym terenie też to wprowadzić, co?

– Czego nie – mówię – wprowadziśwa legurację urodzin, możemy wprowadzić legurację ruchu.

Ale on powiada, że tu nie o ruch chodzi.

– Mamy jeszcze sześć hektarów ziemniaków – powiada – niechby sobie więc dzieciny kochane w formie zabawowej te ziemiopłody wykopały. Tylko ostro muszą się wziąć do roboty, bo to już grudzień na karku. Pieniądze wypłaci się komitetowi rodzicielskiemu, niech ta zorganizuje dzieciaczynom wycieczkę do lasu albo farbki wodne kupi.

Nasz nauczyciel, zgiń przypadnij siło nieczysta, ogromnie się przeciwiał, ale jak raz na szczęście się przeziębiał, bo węgla nie miał mu kto z GS-u przywieźć, i pod jego nieobecność aktyw koła rodzicielskiego zorganizował harcerską drużynę kopaczy kartofli imienia Wiktora Biksy, dyrektora powiatowej fabryki krochmalu.

Ogromnie byliśwa dumni... Jak te dzieciny kochane tymi maluškimi rączkami wyciągały te kartofeleczki z tech sześciu hektarów! Cała wieś się zeszła, każdy z boku stoi, żeby harcerzykom w pracy nie przeszkadzać. Niektórzy to nawet swoich zaczeni dopingować systemem warszawskich kibiców. Butelki rzucali.

Kierownik PGR wezwał całą załogę Partolina i powiada: – Nie wstyd wam? Zobaczta, jak te dzieciny tymi zmarzniętymi rączczynami wybierają te kartofle. A wy co? Zaśpiewalibyśta chocia „Płonie ognisko w lesie”.

Kierownik to ta u nich ma mir ogromny, więc bez słowa się rzędem ustawili i na głosy odśpiewali „płonie ognisko”, że ino echo szło po ścierniskach... Bo w Partolinie podorywek na jesień nie robią...

Kiedy kierownik wypłacił komitetowi rodzicielskiemu pieniądze, od razu zaczeny się kwasy. Jedni chcieli kupić młockarnię parową dla dzieci i założyć jem drużynę młocków imieniem Stefensona, a inni żeby dać na fundusz odnowy ołtarza świętej Zyty i założyć drużynę harcerską dobrodziejów kościoła parochialnego.

Pogodził wszystkich Flisów Wojtek.

– Postawta to wszystko na TOTO-LOTKA – powiada. – Wtedy albo sieknie i założymy harcerską drużynę milionerów, albo się dzieciom wszystko wróci w postaci obiektów szportowych.

Uchwała zapadła i delegacja pojechała do powiatu obstawiać. Nie wiada, jak tam dokładnie obstawiali, w każdym razie po tygodniu nasze dzieci stały się współwłaścicielami Stadionu Dziesięciolecia.

I na tem właściwie wszystko by się skończyło, żeby nie nauczyciel, zgiń przedniej siło nieczysta. Ogromnie nie wyrobiona jednostka – mówię wam. Zwołał zebranie komitetu rodzicielskiego i po pierwsze ochrzanił rodziców, że niby dzieciom każą wykonywać roboty, które sami powinni robić, a po drugie w sposób demagogiczny zapytał się, gdzie są te pieniądze, bo on chce na zakończenie roku szkolnego urządzić dzieciom wycieczkę do Warszawy.

Oj, powiedzieli mu wtedy ludzie, powiedzieli... Wygarnęli mu, że jest nie prachtykujący, rewizjonista, a nasz atasze prasowy to go nawet tak śmiesznie nazwał. Powiedział, że nauczyciel jest ultras najgorszego gatunku.

O pieniądzech nikt nie chciał słyszeć. Na tem zebranie się skończyło. Na drugi dzień patrzymy – dzieci z nauczycielem w pole wychodzą, a kaźden niesie taśmę mierniczą pod pachą.

– Co to jest? – pytamy się.

– Ano – powiada nauczyciel – założyłem drużynę harcerską miernicznych, która w formie zabawowej pola nam wymierzy, i drugą drużynę imienia ministra finansów, która o wynikach pomiarów powiadomi urząd skarbowy.

We wszyckich jakby grom strzelił. Czuję, co jest, więc wzięłem go na bok i pytam, wiele pieniędzy na te wycieczkę potrzeba. Wszyscy zapłacili co do grosza i przed terminem. Ale dzieci z pola się spędziło. Też ma głowę ten nauczyciel!<sup>381</sup>

---

<sup>381</sup> J. Ofierski, *Wycieczka szkoły do Warszawy*, [w:] tegoż, *Cie choroba*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1964, s. 49–52.



**Przykład 291. Stanisław Tym – *Mamusie*.  
Fragment programu „Mnie nie jest wszystko jedno”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1964)**

*(Zebranie rodzicielskie w szkole. Trzy panie i nauczycielka).*

Nauczycielka: Chcę dziś omówić postępy w ostatnim okresie. Dobrze, że są trzy panie, można będzie wybrać trójkę klasową.

Pani I: Ja tylko w kwestii, formalnej. Czy przypadkiem tempo nauczania dzieci nie jest za szybkie? One są przeciążone nauką. Mój jak wraca ze szkoły jest cały spocony.

N.: Idziemy według programu.

Pani I: No i co z tego? Nie trzeba się tym sugerować. Program zawsze jest na wyrost.

Pani II: Poza tym chciałam zapytać, czy szkoła naprawdę nie może własnym kosztem wypchać bociana?

Pani III: Właśnie. Co kwartał pieniądze na nowego bociana. Do wypchania. Czy to nie przesada?

N.: Szkoła w ogóle nie ma bociana. Ja nic o tym nie wiem.

Pani II: No proszę. Ładne rzeczy. Dzieci wciąż biorą pieniądze na nowego bociana do wypchania, a nauczycielka nic o tym nie wie.

Pani I: One są głupsze niż dzieci. Nawet mój Jerzyk to zauważył i mówi do mnie: mamusiu, jak to jest, że tatuś pracuje w Ministerstwie Kolejnictwa, a pani postawiła mi dwójkę z lokomotywy Stephena?

Pani III: Rzeczywiście absurd.

Pani I: Albo taki temat: jakie grzyby rosną w „Panu Tadeuszu”? Czy to jest w ogóle dla młodzieży? Pamiętam jeszcze niektóre wyjątki z tej książki, to aż się na samą myśl czerwienię.

Pani II: Oczywiście. Zwłaszcza o mrówkojadzie, czy jak tam.

N.: Szkoła nic o tym nie wie.

Pani III: W ogóle te eksperymenty z lekcjami uświadamiania mnie się nie podobają. Dzieci zadają potem takie pytania, że nawet mąż nie wie o co chodzi, chociaż jest lekarzem.

Pani I: Mąż zdaje się jest dentystą?

Pani III: Tak, ale tylko dla dorosłych, dzieci w ogóle nie leczy. Poza tym uważam, że szkoła powinna zorganizować wieczorek zapoznawczy dla rodziców. Dzieciom wyjdzie to tylko na dobre.

Pani II: Chciałam zapytać czy dzieci muszą koniecznie wychodzić na pauzę? Wtedy zaraz napadają na nich ci z szóstej „b” i bawią się w walkę klasową.

Pani I: Albo w ogóle w rewolucję. Jak tylko któreś z dzieci lepiej wygląda to je biją i krzyczą „burżuazja”. My jesteśmy inteligencja pracująca. To nie jest dziecka wina, że jest grubsze. Ma to w tatusia.

N.: Szkoła nic o tym nie wie.

Pani II: Oczywiście. Zresztą jeżeli mąż dostał medal dziesięciolecia, to chyba o czymś świadczy. Tylko gosposia chodzi do kościoła. Zresztą ma niedaleko.

Pani III: U nas gosposia jest niewierząca. Mamy to nawet zastrzeżone w umowie. Krzywiła się, ale pani wie.

Pani II: Ateistka?

Pani I: Czy to jest ważne? Rodzice mogą być różnych przekonań, a dzieci ich mogą nawet lubić. Mój Jerzyk dwa lata był dumny, że siedzi z Grzesiem, który ma tatusia robotnika. Niedawno przyszedł zapłakany. Pytam co się stało, a Jerzy mówi: matka Grzesia się rozwodzi i wychodzi za architekta – dlatego płaczę.

Pani III: No tak, dzieci to bardzo przeżywają.

Pani II: Po prostu wrażliwa psychika. Potem, jak zmężnieją, będą zahartowane.

Pani I: Hartować muszą się od dziecka.

N.: Szkoła nic o tym nie wie.

Pani I: Ja zapisałam mojego Jerzyka na gimnastykę przyrządową.

Pani III: A jest taka? No, proszę.

Pani II: A czy można zapisać dziecko, jeżeli ojciec dziecka pracuje w Ministerstwie?

Pani I: Zależy w jakim.

Pani II: W dobrym. Zapewniam panią.

Pani III: No i co one robią na tej gimnastyce?

Pani I: Skaczą przez kozła, podciągają się na linie, na równoważni. (*Do nauczycielki*) Zostawiam tu pani świadectwo lekarskie zwalniające Jerzyka ze szkolnych zajęć gimnastycznych. W ogóle proszę zwrócić na niego uwagę.

N.: Ten chłopiec już od pół roku nie chodzi do szkoły. Dzwoniłam do domu to powiedziano, że wiedzą. Szkoła nic o tym nie wie.

Pani I: Ach tak? No to po co pani krzyczy? Jeśli mówią, że wiedzą to widocznie wiedzą. Widocznie sam się uczy.

Pani II: No proszę. Dzielny chłopiec!

Pani III: Ja też jestem pełna podziwu. No, bo czego on się właściwie w szkole nauczył przez 10 lat? Czytać i pisać.

Pani II: Ależ proszę pani! Przez 10 lat czytać i pisać to wszędzie można się nauczyć.

Pani I: Jestem pewna, że chociaż nie skończy szkoły, to i tak się wybije, jak jego tatuś!

N.: O tym szkoła jest głęboko przekonana<sup>382</sup>.

**Przykład 292. Stanisław Tym – *Pierwsza lekcja*.  
Fragment programu „Już pora smażyć konfitury”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1964)**

Nauczycielka: Dzień dobry, kochane dzieci. Prędko odpowiedzcie, bo zaczynamy lekcję i nie możemy bawić się w kurtuazyjne powitania. Jak dorośnięcie, będziecie na to miały masę czasu. Rozpoczynamy dziś nowy rok szkolny. Trochę z opóźnieniem, ale za to w świeżo wyremontowanej szkole.

Karol: Proszę panią, Fryderyk już zrobił dziurę w murze.

Fryderyk: Bo się poślizgnąłem i wpadłem.

Pani: To bardzo nieładnie. Rzeczywiście parkiet jest lśniący, ale robotnicy nie po to budują ściany, żebyście w nie wpadali. Poza tym można wpaść i nie wyjść, tak jak Mazepa. Dowiesz się o tym kiedyś z literatury, Fryderyku, na razie zaś napiszesz dziesięć razy zdanie: „Nie należy ślizgać się i wpadać na ściane”.

Fryderyk: Nigdy się nie dowiem niczego z literatury, bo nie będę umiał pisać. Ja wylosowałem książkę od rachunków.

Pani: Aha... Prawda. Dzieci, proszę się podzielić na dwie grupy według specjalności. Rachunki po prawej, elementarz po lewej. A ty, Feliksie, dlaczego nie stajesz z dziećmi?

Feliks: Ja nie mam żadnej książki.

Pani: To niemożliwe. Każdy z waszych tatusiów, zapisując was do szkoły, losował dla każdego książkę do rachunków albo elementarz.

Dolores: Mój tatuś wylosował dla mnie rachunki, ale zamienił się z ojcem Fryderyka i teraz mam elementarz.

Fryderyk: Mój ojciec słono dopłacił do tego interesu, bo chce, żebym został inżynierem.

Róża: A moja mama, która chodziła do szkoły zaraz po wojnie, i miała i książkę do rachunków, i elementarz i bardzo się dziwi, dlaczego teraz jest inaczej.

Pani: Twoja mama była uczona przestarzałym, tradycyjnym systemem. Obecnie stosujemy eksperyment pedagogiczny, ponieważ sytuacja na rynku wydawniczym pozwala nam na to.

<sup>382</sup> S. Tym, *Mamusie*, [w:] Z. Adrjański, W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Teatry i kabarety studenckie*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975, s. 83–85. Por. tenże, *Mamusie*, [w:] J. Czarny, T. Gigier (oprac.), dz. cyt., s. 109–113; tenże, *Mamusie*, [w:] R. Pracz, dz. cyt., s. 87–89.

Michalina: A ja mam książkę do rachunków, ale nie chcę zostać inżynierem.

Pani: Wcale nie musisz, Michalinko. Możesz kiedyś wyjść za mąż za chłopczyka, który umie pisać. On wtedy będzie pisał artykuły i zarabiał, a kiedy przyniesie pensję do domu, to ty przeliczysz pieniądze.

Michalina: Żeby sprawdzić, czy go nie oszukali?

Pani: Tak, Michalinko... To znaczy... Nie... Kto i po co w naszym kraju miałby go oszukiwać?

Michalina: To po co będę mu przeliczać pieniądze?

Pani: Jak dorośniesz, to się dowiesz. Ale dość tych pytań. Uwaga! Dzieci, które umieją pisać, napiszą teraz zadanie, a potem grupa arytmetyczna je rozwiąże. Dyktuję: „Jeden pajęczek ma 6 nózek, a drugi pajęczek ma 8 nózek. Ile nózek mają razem oba pajęczki?”. Pamiętajcie, jak się pisze słowo „nóżka”? Dolores, przypomnij nam.

Dolores: Nie wiem, ja napisałam „łapek”.

Pani: Aha... Które z dzieci wie? Ręka do góry.

Feliks: Ja wiem. Przez „ó” i przez „ż”.

Pani: Świetnie. Wstyd, dzieci. Feliks wie, choć wcale nie ma elementarza. Rozwiązałyście już? Ile ci wyszło, Fryderyku?

Fryderyk: Wyszło mi  $6 + 8 = 11$ .

Pani: Prawie dobrze, ale policz dokładniej. Które z dzieci wie?

Feliks: 14.

Pani: Świetnie, Feliksie. Wstyd, dzieci, Feliks wie, choć... (*Huk na korytarzu*).

Dzieci: Ooooo!

Pani: Cicho, dzieci. Ja sama wyjrzę na korytarz i zobaczę, co się stało. (*Drzwi się otwierają. Wchodzi obsypany tynkiem Dyrektor*).

Pani: Co się stało, panie dyrektorze?

Dyrektor: Znów się urwał sufit w pokoju nauczycielskim. Ten kierownik robót to też lepszy cwaniak. Podpisać się pod listą płacy to potrafi, ale obliczyć wytrzymałość, to... No nic... Jak tam nauka? Eksperyment się udaje?

Pani: Absolutnie. Mamy nawet w klasie prymusa.

Dyrektor: Brawo, brawo. Który to?

Pani: Feliks. Tym bardziej godny pochwały, że nie ma ani elementarza, ani książki do rachunków.

Dyrektor: Brawo, Feliksie. Możesz zostać dobrym... tym... rzemieślnikiem. Jaki zawód cię pociąga? Kim chciałbyś być?

Feliks: Drukarzem, panie dyrektorze.

Dyrektor: Nie najszczęśliwszy wybór. Zostań lepiej murarzem. Na pewno będziemy budować coraz więcej szkół, żeby dzieci miały się gdzie uczyć<sup>383</sup>.

**Przykład 293. Maria Zientarowa (Mira Michałowska) –  
*Wojna domowa. Wywiadówka (1964)***

Matka Pawła miała grypę. Zniosłam jej sok malinowy domowej roboty. Była wzruszona.

– Jutro jest wywiadówka w szkole Pawła – powiedziała. – Nie wiem, co będzie, bo mąż, jak zwykle, w terenie. A ktoś musi iść. Żądają.

– Co on robi w terenie? – zaryzykowałam.

– Tym razem – oświadczyła – bada, dlaczego ludzie tak mało produkują, a tak dużo konsumują.

Zamyśliłyśmy się.

– Może ja pójdę za panią? – zaproponowałam.

– Cudownie – ucieszyła się matka Pawła. – On przyjdzie do pani i wszystko pani wyjaśni.

Paweł przyszedł pod wieczór. Byłam w dobrym jedwabnym kostiumie i mohairowym szalu w kratę, bo wybierałam się na koncert.

– O piątej – powiedział.

– Co mam robić? – spytałam.

– Nic.

– Jak to nic?

– Posiedzi pani w ławce i posłucha pani.

– ??

– Najpierw jest pogadanka z rodzicami, potem odczytują dwóje, a potem trzeba będzie iść do tych nauczycieli, co stawiają dwóje.

– Ile masz dwój?

– Ja nie mam dwój – powiedział Paweł ponuro. – Ja mam drakę.

– O co?

– O podpowiadanie, o tarczę, może jeszcze o coś.

– To co mam zrobić?

---

<sup>383</sup> Tenże, *Pierwsza lekcja*, [w:] tegoż, *Mamuta tu mam. Utwory zebrane spod łóżka*, Instytut Wydawniczy Latarnik im. Zygmunta Kałużyńskiego, Michałów – Grabina 2005, s. 120–124. Por. tenże, *Pierwsza lekcja*, [w:] J. Czarny, T. Giegier (oprac.), dz. cyt., s. 105–108. Komentarz Stanisława Tyma z 2005 r.: *Bardzo nas w STS-ie wtedy rajcowało, że imiona występujących tu dzieci to imiona z tzw. kluczem. Chodziło wtedy o skojarzenie, że Karol to Marks, Fryderyk – Engels, Feliks – Dzierżyński, Dolores – Ibarruri (komunistka hiszpańska), Róża – Luksemburg (komunistka niemiecka), a Michalina Tatarkówna-Majkowska to ówczesny sekretarz KW PZPR w Łodzi! Waliliśmy w komunę, aż jęczała... Tak nam, naiwnym, przynajmniej się zdawało. Tenże, *Mamuta tu mam...*, dz. cyt., s. 120.*

– Nic. Zrobi mi pani drakę, jak pani wróci.  
– Daj mi jeszcze jakieś wskazówki.  
– Żeby się pani jakoś ubrała – wyrzucił z siebie Paweł.  
– Nie podoba ci się ten kostium?  
– Bardzo ładny – powiedział szybko. – Ale nie do szkoły. Może coś więcej szarego. I włosy...

– Co z włosami? – zaniepokoiłam się.  
– Nic z włosami. Tylko że są takie uczesane. Może pani włoży chustkę na głowę.

– Włożę chustkę.

Pobiegłam po starą jesionkę.

– Ta dobra?

– Bardzo dobra – pochwalił. – Niech jej pani nie zdejmuje. I tak wieje od okna. I pantofle na niskim obcasie – dodał.

Zmieniłam buty, nałożyłam jesionkę i chustkę na głowę. Wygląda pani prawie jak matka – ucieszył się.

– Ale twoja matka tak wcale nie wygląda – zdziwiłam się.

– Moja to sobie nic nie da powiedzieć – powiedział ponuro.

– I co jeszcze?

– Niech pani siada na ostatniej ławce i niech pani siedzi cicho, a jak będą pytali, to niech pani mówi tak albo nie. I niech się pani do niczego nie przyznaje.

– I co jeszcze?

– Bo ja wiem? Niech pani nie podpowiada.

– Która jest twoja ławka? – zapytałam.

– Teraz nie ma się ławki ani klasy. Teraz są pracownie nauczycieli i na każdą lekcję idzie się gdzie indziej.

Zasmuciłam się.

– No to cześć – powiedział Paweł. – To ja przyjdę się jutro dowiedzieć.

Pierwszą osobą, jaką spotkałam w klasie, był Felek Smykański. Siedział w ostatniej ławce pod oknem i palił papierosa. Usiadłam obok. Było nam trochę ciasno, szczególnie że nie zdjęłam palta.

– Cześć – powiedziałam. Felek strzepnął popiół do pudełka od zapalek i spojrzał na mnie zdziwiony.

– Dobry wieczór – mruknął. Nie poznał mnie. Był łysy i gruby. Ostatni raz tańczyliśmy w Jastarni latem ze sto lat temu.

– Jastarnia – powiedziałam i w duchu przeklełam Pawła za tę chustkę, za to, że nie nałożyłam pomadki do ust i za te półbuty. – „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem” – zanuciłam.

– Jezus Maria – jęknął i zaczął się wygramalać z ławki.

– Siedź i zgaś papierosa – syknęłam.

– To ty już masz takiego dorosłego syna? – powiedział, ale w tej samej chwili wszedł profesor i ja szybko zerwałam się z ławki. Wszyscy pozostali na miejscach, więc udawałam, że mi puściło oczko w pończosze i też usiadłam.

– Nie wiedziałem, że masz syna – szepnął Felek.

– Nie mam żadnego syna.

– Córkę?

– Też nie.

– ??

– Chorą sąsiadkę – szepnęłam. Nauczyciel spojrzał na nas i zrobiło się cicho. Odczytał statystykę dwój. Osiemnaście z polskiego, dwanaście z matematyki, szesnaście z łaciny. Coś strasznego. Syn Felka nie miał ani jednej. Paweł trzy z trzech różnych przedmiotów. Trzeba z nim będzie pogadać. Potem była mowa o tarczach. Syn Felka ma tarcze przyszyte do wszystkiego, a Paweł podobno nosi na gumce. Byłam wściekła. Felek dyskretnie zgasił papierosa o podeszwę i ukrył niedopałek pod ławką. Wzięłam niedopałek, schowałam do torebki i spojrzałam na Felka złym wzrokiem. Może to ławka Pawła. Kilka osób zabrało głos w sprawie dwój. Stwierdzili, że statystycznie nasza klasa stoi fatalnie, bo bije niemal rekord szkoły. Powzięto uchwałę o zmniejszeniu dwój na następny kwartał o dwadzieścia pięć procent. Będę musiała pogadać z Pawłem. Potem okazało się, że palą w szatniach, chodzą na wagary do Cedetu, wybijają szyby w oknach, kradną długopisy, biją się i są leniwi. Czekałam cały czas, żeby powiedzieli o nich choć jedno dobre słowo, ale nie było. Potem były różne propozycje zmierzające do podniesienia ich poziomu. Zdecydowano pójść z nimi do ZOO, pojechać do Wilanowa i pokazać im, jak się robi obrabiarki.

– Dużo masz tych synów? – szepnęłam do Felka.

– Czterech – powiedział z dumą.

Jak nas tylko wypuścili, pobiegłam do domu. Piechotę, żeby się wywietrzyć. Felek chciał mnie odprowadzić, ale odmówiłam. Za dużo tych wzruszeń jak na jeden dzień. Matka Pawła czekała na mnie. Miała 39 i sześć.

– Wszystko dobrze – powiedziałam jej. – Trzeba tylko dobrze przyszyć tarczę do jego palta i pilnować, żeby odrabiał starannie lekcje, samemu poduczyć się matematyki, fizyki, łaciny i chemii, żeby go móc sprawdzać, pilnować, żeby się porządnie mył, nie dawać za dużo pieniędzy, kłaść go do łóżka o 10, uważać, żeby nie oglądał filmów w telewizji nie przeznaczonych dla młodzieży, uważać, żeby nie palił, żeby mył zęby rano i wieczorem, żeby się nie spóźniał do szkoły,

żeby przebywał w odpowiednim towarzystwie, żeby chodził codziennie godzinę na spacer, żeby spał przy otwartym oknie i żeby nie mówił wyrazów.

- A ile ma dwój? – spytała słabym głosem matka Pawła.
- Jakich tam dwój? – zaśmiałam się. – Ale gdzie on jest?
- Pewnie siedzi w kuchni i czeka na panią.
- To ja z nim pogadam – westchnęłam.

Poszłam do kuchni. Powoli. I pomyśleć, że o mały włos nie wyszłam za mąż za Felka<sup>384</sup>.

### **Przykład 294. Stanisław Chmielnicki – *O jednej* (1965)**

Egzamin dojrzałości celująca zdała,  
bo dała profesorom dowód, że dojrzała<sup>385</sup>.

### **Przykład 295. Jeremi Przybora – *Serdecznie dziękuję* (1965)**

Osoby: Profesorowa; Dembowicz

Profesorowa: Proszę, niech pan wejdzie.

Dembowicz: Dziękuję serdecznie.

Profesorowa: Mąż mi już wspominał o panu. Dzień dobry panu, panie Dembowicz.

Dembowicz: Dzień dobry, pani profesorowo.

Profesorowa: Więc orientuje się pan w sytuacji. Mąż mój podpisał kontrakt na wyjazd do Bejrutu, na razie na dwa lata...

Dembowicz: Wspominał mi pan profesor.

Profesorowa: Tak... więc postanowiliśmy pozostawić mieszkanie pod pana opieką.

Dembowicz: Serdecznie dziękuję. Moje dotychczasowe warunki mieszkaniowe...

Profesorowa: Tak, tak... rozumiem. Może pan pozwoli ze mną.

Dembowicz: Serdecznie dziękuję. Pan profesor już wyjechał?

Profesorowa: Tak. Ja wyjeżdżam za parę dni. Tu jest taki, jak pan widzi *living room*.

Dembowicz: Z ogromnym smakiem pan profesor to urządził.

<sup>384</sup> M. Zientarowa, *Wojna domowa*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 1994, s. 106–111. Źródło pierwotne: tamże, *Wojna domowa*, Czytelnik, Warszawa 1964.

<sup>385</sup> S. Chmielnicki, *O jednej*, [w:] tegoż, *Fraszki nie tylko opolskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1965, s. 48.



Profesorowa: No, jeżeli chodzi o smak, to już raczej ja. Nie pan profesor. W Teatrze Popularnym pan bywa?

Dembowicz: Oczywiście!

Profesorowa: No więc tam jest reprezentowany smak pana profesora, który projektował teatr. A tutaj to... mój smak.

Dembowicz: O, kominek!

Profesorowa: Tak... Lubi pan muzykę?

Dembowicz: Uwielbiam!

Profesorowa: Tu jest adapter stereofoniczny, komplet płyt wszechstronnego melomana. Nie mam na myśli męża, nie, nie lubi muzyki. Przyjdzie jesień, prawda, napali pan w kominku, zapatrzy się pan w ogień i będzie pan słuchał muzyki. Dobrze tu będzie panu, myślę, tak zacisznie.

Dembowicz: Serdecznie dziękuję. Nie przywykłem do takich warunków.

Profesorowa: Przywyknie pan. A tu, proszę pana, jest jakby sypialenka. Tapczan niezwykle wygodny. Mąż to tylko przyłożył się – już spał snem kamiennym. A tutaj... jakby gabinet. Może pan sobie tu pracować, zwłaszcza widok stąd piękny, jak pan widzi, bezkresny.

Dembowicz: Doprawdy, bezkresny! Serdecznie dziękuję.

Profesorowa: Mąż go sobie zaślaniał. Cierpi na agorafobię. Lęk przestrzeni. Co zresztą daje się odczuć w jego rozwiązaniach urbanistycznych... Co by tu jeszcze... panu pokazać?

Dembowicz: Serdecznie dziękuję. Mieszkanie tu będzie dla mnie doprawdy...

Profesorowa: Może jeszcze zajrzemy do łazienki. Jest obszerna, jak pan widzi, nie taka, jak te dzisiejsze. Tu jest taki przyrząd – do suchej zaprawy wiosłarskiej. To na pewno się panu przyda. Tu jest waga, na której powinien się pan co dzień kontrolować... Tak jak jest teraz – jest dobrze, dobrze. Bardzo dobrze. W sam raz. Ale nie wolno panu ani kila więcej i właśnie to wiosłowanie utrzyma pana w kondycji.

Dembowicz: Serdecznie dziękuję.

Profesorowa: Oczywiście, kiedy się straci kondycję tak definitywnie, jak pan profesor, no to i wiosło nic nie wniosło... Teraz może jeszcze do kuchni? Jak pan widzi... wszystko zautomatyzowane. Zmechanizowane. Obiad ugotuje... panu i zrobi zakupy tutejsza gospodyni. Ona też sprzątnie panu i ewentualnie zrobi pedicure.

Dembowicz: Serdecznie dziękuję. A drogo bierze?

Profesorowa: Średnio, średnio. Ale to pana nie będzie obchodziło. W biurczku znajdzie pan książeczkę czekową na okaziciela, z której pokryje pan

wszelkie takie tam drobne wydatki. Zależy nam na tym, żeby nie wpuszczać tu obcych osób. Zdajemy sobie sprawę z pana skromnych możliwości.

Dembowicz: Serdecznie dziękuję. To rzeczywiście będzie dla mnie wygodą – taka książeczka...

Profesorowa: Tak, tak... Klucze od garażu dam panu przed samym odjazdem. Zastanie pan tam wprowadzie za ledwie volkswagena po trzydziestu tysiącach...

Dembowicz: Serdecznie dziękuję! Dla mnie, przywykłego do komunikacji tramwajowej, taki volkswagen to doprawdy kolosalne ułatwienie.

Profesorowa: Tak, tak... No właśnie... jeżeli chodzi o odwiedzanie pana przez osoby płci odmiennej... to też wolelibyśmy... tutaj piętro wyżej mieszka...

Dembowicz: Serdecznie dziękuję, ale ja teraz pracuję intensywnie naukowo i nie chciałbym się rozpraszać.

Profesorowa: W ogóle nie chciałby się pan rozpraszać?

Dembowicz: W ogóle. Serdecznie dziękuję.

Profesorowa: Nawet kiedy podpije pan sobie?

Dembowicz: Kiedy ja na ogół sobie nie podpijam. Serdecznie dziękuję.

Profesorowa: Nie???

Dembowicz: Nie.

Profesorowa: Ach, to w takim razie ja nigdzie nie wyjeżdżam. Zostaję z tobą. Zasłużyłeś sobie na to, mój chłopcze.

Dembowicz: Serdecznie dziękuję...<sup>386</sup>

### **Przykład 296. Jarosław Abramow-Newerly – *Gazetka szkolna*. Słuchowisko Teatru Polskiego Radia (1966)**

Uczeń I: Zrobiliśmy gazetkę, panie profesorze. (*Pokazuje*). Umieściliśmy pańskie zdjęcie, o tutaj.

Profesor: Zupełnie niepotrzebnie. Tyle razy wam mówiłem. Chcę, żeby wasza gazetka było niezależna, samodzielna, żyła życiem szkoły.

Uczeń I: My cały czas to mamy na uwadze. Dlatego w numerze daliśmy na czołowym miejscu wywiad z prymusem pod tytułem: „Bohater naszej klasy w szkole i po lekcjach”.

Profesor: Bardzo dobry pomysł.

Uczeń II: A tu dyskusja przodujących uczniów – jak piątka pomaga mi w życiu – oraz statystyczny wykaz ocen za drugi semestr, panie profesorze. Windujemy się. Nasza klasa przejęła prowadzenie.

<sup>386</sup> J. Przybora, *Serdecznie dziękuję*, [w:] tegoż, *Dziela (niemal) wszystkie*, t. 2, Znak, Kraków 2016, s. 1140–1142.

Uczennica: To zasługa naszego pana profesora. Potrafi tak interesująco opowiadać. Mogę słuchać nawet po dzwonku.

Profesor: No, dobrze. Ale wydaje mi się, że w waszej gazetce jest również miejsce na piętnowanie braków, na krytykę – nawet ostrą... Nie bójmy się tego.

Uczeń I: Pomyśleliśmy i o tym, panie profesorze. Chcemy zamieścić ostry artykuł interwencyjny o woźnym Franciszku.

Profesor: O woźnym?

Uczeń I: Uhm.

Profesor: Nie chcę wam narzucać swojego zdania, ale myślę, że woźny Franciszek jest człowiekiem pracy, gazetka rozchodzi się co prawda w małym nakładzie, jednego egzemplarza, ale wisi na widocznym miejscu. Cała szkoła ją czyta. Artykuł wasz mógłby pogorszyć stosunki między personelem fizycznym a ciałem pedagogicznym i uczniami.

Uczeń II: Z ust mi pan profesor wyrwał! A nie mówiłem na kolegium? Proszę! Na moje wyszło.

Uczeń I: Trzeba o czymś innym.

Profesor: Ale odważnie. Nie bać się. Poruszać nawet sprawy bolesne.

Uczeń III: Jasne. Choćby problem pantofli. Niektórzy zapominają kapci.

Profesor: No, ten temat został może już wyeksploatowany.

Uczeń III: Nie, ja tak na rybkę. Artykuł nie ma sensu. Oczywiście.

Uczennica: Mam pomysł! Napisać artykuł krytyczny o braku krytyki w naszej gazetce. Ogólnie, rzecz jasna.

Uczeń I: Ale ostro.

Profesor: To co? Napiszesz, Aniu?

Uczennica: To musi być z talentem.

Uczeń II: I z pazurem.

Profesor: Jak z pazurem – to chyba tylko nasz Rafałek. No, co, Rafałku? Napiszesz?

Uczeń I: Spróbuję, panie profesorze. W miarę sił i środków.

Profesor: Wspaniale.

Uczeń III: A co z klasówką, panie profesorze?

Profesor: Przełożę wam na przyszły tydzień. Widzę, że jesteście przepracowani.

Wszyscy: Hura!

Profesor: Tylko żeby gazetka była jak się patrzy.

Uczeń I: Będzie!

Profesor: Pamiętajcie.

Wszyscy: Niech żyje nasz profesor! (*Profesor wychodzi*).

Uczeń I: No, to klasówkę mamy z głowy. Powieś ją. (*Uczeń II niechcący wiesz gazetkę drugą stroną. Widać namalowany portret profesora z zezem i podpis: Gąsior*).

Uczeń I: Nie tą stroną! Dobrze, że nasz Gąsior czyta tylko czołówkę. Inaczej dałby nam szkołę!<sup>387</sup>

**Przykład 297. Jarosław Abramow-Newerly – *Zjazd koleżeński*.  
Słuchowisko Teatru Polskiego Radia (1966)  
i skecz z programu „Marsz do kąta”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1967)**

Woźny: Książd do kogo?

Książd: Przyjechałem na zjazd koleżeński. Nasza szkoła przysłała mi zaproszenie. (*Pauza*). Mój Boże! Nie byłem tu tyle lat! A Franciszek ciągle jeszcze pracuje. Zmieniłem się, co?

Woźny: Prawdę mówiąc... Można wiedzieć, czyja klasa?

Książd: Puchacza. Znaczy profesora Puchaczewskiego. Matura w 38 roku.

Woźny: Pamiętam. Dużo ściągaczek. Książdu chyba też podrzuciłem z trygonometrii. Bóg mi teraz powinien wybaczyć. Jak godność, można spytać?

Książd: Skarbek. Witold Skarbek. Dwudziesty szósty na liście.

Woźny: Skarbek? (*Radośnie*) Brylant!

Książd: Tak mnie przezywali.

Woźny: W pierwszej chwili nie poznałem. Książd stracił wygląd kawalera. (*Z rozrzewnieniem*) Nasz Brylant! Taki nygus. Papierosy ciągle w klozetce palił...

Książd: Rzuciłem. Od trzydziestu lat nie palę.

Woźny: I pierwszy po Bogu teraz. Co to jednak szkoła robi z człowieka! Ale ta klasa księdza to taka raczej... orląt nie było. Książd też chyba zimował w 35-tym?

Książd: Nie pamiętam.

Woźny: Tak, tak. Słabiutki element. Leniwy. Nawet prymus raz dwie dwóje na okres złapał.

Książd: Grabiński. Ma przyjechać.

Woźny: To dobrze. Klasa bez prymusa – to jak orzeł bez korony. Tak zawsze mawiał nasz katecheta – świętej pamięci książd Kormanowicz. Niemcy go zamęczyli. Tak. Najlepsza klasa była po przewrocie majowym. Sami patrioci, kawalerka Dziadka kochała. Tak. Idę podlać kwiaty w nauczycielskim. Przepraszam.

*Korytarz szkolny*

Woźny: Pan major też na zjazd?

<sup>387</sup> J. Abramow-Newerly, *Gazetka szkolna*, [w:] tegoż, *Co pan...*, dz. cyt., s. 156–159.

Major: Tak jest.

Woźny: Już jeden z waszej klasy przyszedł. Czeka na górze.

Major: Franciszek, widzę, mnie nie poznał. W mundurze wyglądam inaczej, co? Walczak jestem!

Woźny: A, Walczak! No, jakżeż! Doskonale pana majora pamiętam.

Major: Pędzę, bo już pewnie po dzwonku.

*Klasa*

Major: Cześć!

Ksiądz: Cześć!

*Długie milczenie*

Major: No, jak tam, stary?

Ksiądz: Bóg zapłać. Pomaleńku.

Major: Kopę lat nas tu nie było.

Ksiądz: Worek zabrałeś? (*Zaniepokojony*). Z kapciami kazali przyjsć? Nic nie pisali na zaproszeniu.

Major: E, nie. Z przyzwyczajenia wziąłem. To syna.

Ksiądz: Już się przestraszyłem. Bo dawniej bez kapci odsyłali do domu. (*Pauza*). Ja za to wziąłem tornister. Spójrz.

Major: Rzeczywiście. Twój czy syna? (*Reflektuje się*). Och, pardon! Zapominam, że ty ciągle kawaler. Co?! Czapka ci ocalała? Nałóż!

Ksiądz: Chwileczkę. No, jak?

Major: Nic się nie zmieniłeś, Brylant! Jak Boga kocham! W czapce wyglądasz jak dawniej. Gdyby nie sutanna... (*Pauza*). To księdzem teraz jesteś.

Ksiądz: Biskupem sufraganem.

Major: No, popatrz, kurdebalans. A ja chyba generałem nie zostanę. Od dzieśięciu lat żałują gwiazdki. Ktoś mnie musiał załatwić. Tam na górze.

*Milczenie*

Major: Znaczy w episkopacie rozrabiasz? No, nic. Człowiek nie ma szczęścia. Podobno Szczypawa został ministrem. Ale ty też dobrze wylądowałeś, chociaż bez spodni. Episkopat to u was tak samo wysoko. Też masz dojścia, co? Herbatka u prymasa, wspólna nasza, co, Brylant? Zawsze byłeś cwaniak, hak mi w smak! Od kogoś matkę zżynał? Gdyby nie ja, do dziś bez matury byś chodził. A u was sam życiorys nie pomoże. Nigdy nie przypuszczałem, że w sukience będziesz chodził. Przecież byłeś normalny chłopak. Pamiętasz tę Joasię, córkę mecenasa Cwajbauma? Ciągle szczypałeś ją na dużej pauzie.

Ksiądz: Człowiek młody, głupi – raz tam za warkocz pociągnął...

Major: (*nakłada kapcie*) No, co? Ślizniemy się?

Ksiądz: Zaraz Puchacz wpadnie. Głupio.

*Wchodzi dyrektor*

Dyrektor: Cześć i chwała, chłopaki! Przepraszam za małe spóźnionko!

Major: Szczypawa! Zawsze przychodził po dzwonku. Nic się nie zmienił, chociaż minister.

Dyrektor: Żaden minister. Za ledwie dyrektor generalny. Nieważne. Mało coś nas, kurka wodna. Grabuła. (*Wita się z majorem*). I ze służą bożym. Pochwalony, ojczulku. (*Wita się z księdzem*). Jeden pomidor w klasie – to już coś. Krzywa rośnie.

Ksiądz: Tylko nie pomidor, dobra?

Dyrektor: Jaki czuły! Nic się ksiądz proboszcz nie zmienił.

Major: Ledwie wszedł do klasy, już wojnę z Kościołem prowadzi. Daj spokój, Szczypawa. Nie jesteście tu służbowo.

*Wchodzą sędzia i prymus*

Sędzia: Czołem, społem i niebawem!

Dyrektor: Glizda prymus!

Prymus: Żadna Glizda... Uwaga, chłopaki! Puchacz idzie!

*Wszyscy ustawiają się w szeregu. Wchodzi nauczyciel z dziennikiem. Jest dużo młodszy od uczniów*

Nauczyciel: Dzień dobry, chłopcy!

Wszyscy (*chórem*): Dzień dobry, panie profesorze!

*Wchodzi Gumowski, próbuje chyłkiem doszlusować do pozostałych*

Prymus: Panie profesorze! Gumowski się spóźnił!

Major (*szeptem*): Nie oduczył się donosić. Na przerwie damy mu wycisk.

Nauczyciel: Możesz dołączyć do grupy, Gumowski!

Gumowski: Dziękuję, panie profesorze. Z prezydium nie chcieli mnie zwolnić.

Nauczyciel: Siadajcie. Każdy na swoim starym miejscu.

*Uczniowie próbują wepchnąć się w ławki*

Dyrektor: Uff! Chyba się nie wcisnę! Nie daje rady. Jak się człowiek tu mieści!?!

Sędzia: Chodź do mnie, Kalafior. Myśmy razem siedzieli, pamiętasz?

*Siadają*

Dyrektor: Prymus! Siadaj koło mnie.

Prymus: Ja z tobą nie siedziałem. (*Podnosi rękę*). Panie profesorze! Skarbek nie chce siedzieć ze Szczypkowskim!

Dyrektor: Cśśś!

Nauczyciel: Dlaczego nie siedzicie na swoich miejscach? Skarbek!

*Ksiądz i dyrektor wstają*

Ksiądz: Bo my raczej, panie profesorze, lepiej jak oddzielnie.

Nauczyciel: Dlaczego?

Dyrektor: Mogłoby być fałszywie zrozumiane.

Nauczyciel: Przez kogo? Proszę mi tu bez filozofii, Szczypkowski. Nie zapominaj, gdzie jesteś. Czego ja uczyłem? Dzienniczek przyniosłeś?

Dyrektor: Nie. Mam tylko dziennik podawczy, panie profesorze.

Nauczyciel: Siadaj ze Skarbkiem. I ma być zgoda, słyszysz? Raz-dwa!

Dyrektor (*szeptem*): Gdyby koledzy z ministerstwa widzieli, że my razem...

*Ksiądz siada z dyrektorem*

Nauczyciel: Duża absencja. Na trzydziestu ośmiu tylko sześciu. To smutne, chłopcy. Bardzo smutne.

Sędzia: To nie nasza wina, panie profesorze. Czasy takie.

Nauczyciel: Oto co zostaje z pracy wychowawcy. Pustynia. Coście zdołali zapamiętać z tych zasad moralnych, sentencji i wzorów, których was całe życie uczyłem? Walczak!

Major: Jestem, panie profesorze.

Nauczyciel: Do tablicy. Coś zapamiętał, Walczak, ze skarbnicy wiedzy ludzkiej, którą starałem ci się wpoić przez tyle lat?

Major: Dużo, panie profesorze. Ogólnie rzecz biorąc.

Nauczyciel: To nie jest odpowiedź ucznia. Mów konkretnie.

Major: Więc konkretnie...

Nauczyciel: Dlaczego zaczynasz zdanie od „więc”? Tyle razy cię uczyłem! No, słucham.

*Uczniowie starają się podpowiadać: „Życie jest piękne, wolność jednostki najwyższym dobrem, prawdziwym szczęściem wyzwolona praca”*

Sędzia: Ogłuchł na froncie. Przed wojną łąpał jak jaskółka.

Dyrektor: Ja się nie dałem zaskoczyć. (*Pokazuje mankiet*). Specjalnie białą koszulę włożyłem. Wszystkie wzory mam wypisane na mankiecie.

Nauczyciel: Spokój! Nie podpowiadać! Walczak jest na tyle dorosły, że swój rozum ma. Majorem został. No, słucham!

*Ksiądz podpowiada głośniej*

Nauczyciel: Skarbek! Jak ci nie wstyd! Biskup sufragan!

Ksiądz: Już więcej nie będę, panie profesorze. Miłość bliźniego mnie gubi.

Nauczyciel: No, słucham, Walczak. A wzór Pitagorasa?

Major (*patrzy w sufit, zawstydzony*): Pi... pi... pi... razy...

Nauczyciel: Co pi? Na suficie wzoru nie znajdziesz. W głowie trzeba mieć.

Major (*załamany*): Nie przygotowałem się, panie profesorze. Miał być zjazd, lampka wina. Nie wiedziałem, że pan profesor będzie pytał na stopień.

Nauczyciel: Dla siebie się uczysz czy dla mnie?

Major: Dla siebie.

Nauczyciel: Od czterdziestu lat powinienes to znać. To podstawa. I kiedy nadrobisz, jak ja idę na emeryturę?

Dyrektor: Jaka szkoda, panie profesorze... Będzie nam pana profesora brak... Pan profesor poczeka – pójdziemy razem.

Sędzia (*szeptem*): Nie podlizuj się tak na chama. Nie jesteś w biurze.

Nauczyciel: Siadaj, Walczak. Przykro mi, że zapomniałeś, że życie jest piękne, wolność jednostki najwyższym dobrem...

Prymus (*kończy*): ...a prawdziwym szczęściem wyzwolona praca, panie profesorze!

Nauczyciel: Brawo, Grabiński! Ty jeden zawsze ratujesz honor klasy. Co robisz?

Prymus: Trzymam taksówkę, panie profesorze. I szklarnię.

Dyrektor: Badylarz. Prywatna inicjatywa.

Sędzia: Nawet ode mnie wziął za kurs, chytrus.

Nauczyciel: Szczypkowski! Kto ci pozwolił! Na środek. Do globusa.

Dyrektor (*do siebie*): O, cholera. Jak zaczniesz pytać ze stron świata, to leżę.

Nauczyciel: Postarzałeś się, Szczypkowski. No, nic. Schowaj mankiet, znam te sztuczki. Charakter, widzę, ci się nie zmienił. Pytanie z kraju ojczystego. (*Pauza*). Lewe doptywy Wisły.

Dyrektor: Lewe?

Nauczyciel: No, lewe. Co się tak dziwisz?

Dyrektor: Ale, to znaczy, panie profesorze, licząc od gór czy od morza?

Nauczyciel: Jak ci wygodniej, Szczypkowski. Byle były wszystkie.

Dyrektor: Osobiście wolę od gór. Albo od morza. Czy muszę po kolei?

Nauczyciel: Nie musisz. Ale wygodniej, po kolei.

Dyrektor: Ja nie dbam o wygodę, panie profesorze. Trudności mnie nie przerażają. Od dzieciństwa ciężko pracowałem. Mój ojciec, z zawodu frezer, już przed wojną związał się...

Nauczyciel: Szczypkowski! Nie jesteś w ministerstwie. Zapomnij o życiorysie. Słucham.

Dyrektor (*szuka pomocy u kolegów*): No, więc, przepraszam, znaczy się... (*niepewnie*) Bug... nie, nie, co ja mówię! Bug na prawym... Podpowiada i tylko myli – chciałem powiedzieć: Bzura, panie profesorze, Bzura...

Nauczyciel: Dobrze. Dalej.

Dyrektor: Bzura, Bzura, tam mieliśmy bitwę w 39, bardzo krwawą, armia „Poznań” i „Pomorze”, wspominał o tym generał...



Nauczyciel: Ja nie pytam o generała, Szczypkowski, tylko o lewe dopływy Wisły. Wszystko zapomniałeś na tych konferencjach, Szczypkowski. Podstaw ci brak. I co będzie?

Dyrektor: Ja się nie przygotowałem, panie profesorze. Od dwudziestu lat nikt mnie o nic nie pytał.

Nauczyciel: No, dobrze. Ale jak ty sobie dajesz radę?

Dyrektor: Sam pytam, panie profesorze. W ten sposób zdobywam wiedzę. Kto pyta, nie błądzi, panie profesorze.

Nauczyciel: Ciekaw jestem, coś zapamiętał, Szczypkowski, z podstaw logiki.

Dyrektor (*uroczyście*): Kochany i drogi nasz profesorze i wychowawco! W imieniu Ministerstwa i Ogólnopolskiego Komitetu...

Nauczyciel: Co ty wygadujesz, Szczypkowski! Zawsze nie na temat. Nie zagaduj!

Dyrektor: ...mam zaszczyt wręczyć, panie profesorze, odznaczenie państwowe, które jest wyrazem (*coraz pewniej*) miłości rzeszy uczniów i wychowanków, którym przez tyle lat wpał pan zdobycze wiedzy ludzkiej. Pan profesor pozwoli, że przypnę ten order... (*podchodzi i przypina order; szeptem*) 25% do emerytury. Były trudności, ale przeforsowałem. (*Całuje, z dubeltówki*).

*Uczniowie śpiewają piosenkę „Choć burza huczy wkoło nas”<sup>388</sup>.*

### **Przykład 298. Jerzy Jurandot – *O jednym Olku Piszczkowskim ballada pedagogiczna (1966)***

Pewnego razu, a był to wtorek,  
Na Hożej za Skorupkami  
Stał piękny młodzian, Piszczkowski Olek,  
I rzucał się kamieniami.

Od dołu rosą nowiutkie mury  
W górze słoneczko połyska,  
A on nie patrzy w dół ni do góry  
I kamieniami się ciska.

Raz trafi w głowę zacną staruszkę,  
Która o lasce się zbliża,

<sup>388</sup> Tenże, *Zjazd koleżeński*, [w:] tegoż, *Co pan...*, dz. cyt., s. 160–168. Por. tenże, *Zjazd koleżeński*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), dz. cyt., s. 209–218; tenże, *Zjazd koleżeński*, [w:] R. Pracz, dz. cyt., s. 118–123.

Raz ucznia w zęby, raz dziecko w nóżkę,  
Raz dziewczę poniżej krzyża.

Choć wielu mężczyzn też tam przechodzi,  
Ale się żaden nie ujął,  
Jeszcze: – I myśmy też byli młodzi,  
Niech się wyszumi – żartują.

Więc się ten Olek nie bał nikogo  
I tak wyszumiał się dalej,  
Że aż dziecinę jedną niebogą  
Na Pogotowie zabrali.

Przybiegła matka, Piszczkowska Anna  
Z domu Kowalik, ze łzami:  
– Ach, synku, nie bądź za chuligana,  
Nie rzucaj się kamieniami!

A on jej na to: – Odjeżdżaj, mama,  
Powiadam ci po dobroci,  
Bo możesz, mama, oberwać sama,  
Odjeżdżaj, mama, po co ci. –

I żeby zademonstrować mamie,  
Jaki tu los czeka na nią,  
Wybrał starannie poręczny kamień  
I gwizdnął w kark jedną panią

Przyleciał ojciec, Piszczkowski Grzegorz,  
Który zarabia niewiele:  
– Przestań się rzucać – mówi do tegoż –  
Dam ci na kino w niedzielę. –

Nie wskórał ojciec, bo onże na to  
Z niewinną rzecze mu miną:  
– Na co mi czekać niedzieli, tato,  
Ja tutaj lepsze mam kino. –

I trrrrach! Kamieniem w staruszka rzucił  
 Z taką celnością i siłą,  
 Że się dziadunio na pysk przewrócił  
 I śmiechu było a było.

Aż sam profesor ze szkoły biegnie,  
 W środku przerwawszy egzamin:  
 – Przestań, Piszczkowski, prosimy pięknie,  
 Nie rzucaj się kamieniami.

Szkoła cię za to, taki obyczaj,  
 Na trzy dni może zawiesić! –  
 A ten się Olek obśmiał nadzwyczaj,  
 Bo taką karę miał gdzieś.

– Lepiej mnie – mówi – trudno dogodzić,  
 Cóż więcej mógłbym uzyskać,  
 Przez trzy dni będę tutaj przychodzić  
 I kamieniami się ciskać. –

Profesor w smutku wraca do szkoły,  
 Płaczą rodzice stroskani,  
 A ten Piszczkowski apiać wesoły  
 I się apiać chuligani...<sup>389</sup>

### **Przykład 299. Jonasz Kofta – *Dialog filozoficzny* (1966)**

Uczeń: Mistrzu! Jeżeli kupiłbym osła i ten osioł rzucałby cień, to czy ten cień byłby również moją własnością?

Mistrz: A bo ja wiem. Nie masz większych zmartwień?

Uczeń: Mam większe zmartwienie. Gdybym kupił sobie słonia i ten słoń rzucałby cień, to czy ten cień...

Około 98,2% mistrzów w tym momencie dopuszcza się rękoczynów na swoich uczniach<sup>390</sup>.

<sup>389</sup> J. Jurandot, *O jednym Olku Piszczkowskim ballada pedagogiczna*, [w:] tegoż, *Moja twardość*, Iskry, Warszawa 1966, s. 216–218. Por. przykład 233.

<sup>390</sup> J. Kofta, *Dolina tysiąca brzuchów. Zebrane utwory sceniczne i satyryczne*, t. 1, Prószyński i Ska, Warszawa 2011, s. 304.

**Przykład 300. Edmund Niziurski – *Jutro klasówka*.  
Fragment (1966)**

Odnalezienie Kłapucha na przerwie nie było jednak proste. Kłapuch należał do najruchliwszych chłopaków w szkole. Nasza klasa była na drugim piętrze, a siódma na parterze. Zwykle zanim zbiegliśmy po schodach na dół, Kłapucha już nie było w klasie. Żeby ustalić jego „aktualne położenie”, należało raczej posłużyć się metodą nasłuchową, jak twierdził Krapulski zwany Krapulem, specjalista i rzeczoznawca w tego rodzaju sprawach. Trzeba było mianowicie zamknąć oczy i natężyć uszy. Jeśli wśród zwykłego zgiełku, wrzawy i brzęczenia korytarzowego usłyszysz się coś pośredniego między śmiechem hieny, pianiem zachrypłego koguta a rzeniem ranionego muła, jest to z pewnością głos Kłapucha. Recepta była, jak widzimy, dość skomplikowana i wymagała sporej dozy wiedzy zoologicznej tudzież absolutnego słuchu. Rychło jednak doszliśmy do wniosku, że jest mniej naukowy, ale bardziej niezawodny sposób na stwierdzenie aktualnego położenia Kłapucha. Po prostu należało nasłuchiwać, kto krzyczy najgłośniej, czy jak wolicie, najbardziej przejmująco.

Stanęliśmy więc przy schodach, gotowi, w razie wykrycia właściwego wrzasku, do biegu w odpowiednim kierunku, przymknęliśmy oczy i nasłuchiwaliśmy. Wierzcie mi, to straszne słuchać tak głosów szkoły, zwłaszcza jeśli się ma takie delikatne uszy jak moje. Ja w każdym razie nie mogę nasłuchiwać dłużej niż pół minuty, bo zaczyna mnie boleć głowa, w dołku mnie gniecie i nos mi się poci. Za bardzo jestem wrażliwy. Cykucki wytrzymuje dłużej, ale to chyba dlatego, że jak twierdzi pan Fasola, który uczy nas śpiewu, Cykucki ma dębowe ucho.

No, ale nic. Zacisnąłem powieki, przygryzłem wargi i nasłuchiwałem. Najpierw słyszałem tylko jeden wielki szum i brzęczenie jak w ulu, dopiero po paru sekundach, gdy ucho trochę się „wczuło” a raczej „wstuchało”, mogłem odróżnić poszczególne głosy: ryk bawoli Zenona koczownika, wycie Rekszy, pomruk Michała, wodza Piratów, słowiczy krzyk pani woźnej, skrzek Światka Dauera zwanego Stawonogiem... ćwierkanie klas młodszych... Och, znałem te dźwięki na pamięć! Wiedziałem już, że jeśli usłyszę rzenie, to bracia Odjemkowie, jeśli wycie wilcze, to Reksza i koloniści, jeśli zaś da się słyszeć beczenie owcy obdzieranej ze skóry, to na pewno Susuł. Jeśli jednak zagrmi coś czasem jak grom – to z pewnością pan Kwas. Pan Kargul, prezes komitetu rodzicielskiego, wydaje natomiast tony miękkie, urywane i miłe uchu.

Ale nie ryki Zenona, czy nawet wycie Rekszy było najstraszniejsze. Najbardziej nieznośne i niezdrowe dla mego ucha były piski dziewczynek, przeszywające aż do głębi czaszki, ostre i kłujące jak igiełki<sup>391</sup>.

**Przykład 301. Janusz Osęka – *Szkolne lata.*  
*Monolog sekretarki* (1966)**

Halo! Kto mówi? Pan dyrektor jest zajęty. Słucham? Kolega szkolny? Nazwisko Zawistowski? Zaraz sprawdzę. Mam tu wszystkie listy kolegów szkolnych pana dyrektora. Czwarta klasa B? A owszem... Czwarta B, zgadza się. Zawistowski. Pan miał zwyczaj przezywania pana dyrektora „kapuścianym łbem”, mimo że pan dyrektor bardzo tego nie lubił. To pan również wrzucił panu dyrektorowi po krzywę za spodenki gimnastyczne w czasie lekcji wychowania fizycznego, po czym, gdy pan dyrektor słusznie poskarżył się nauczycielowi, nazwał pan pana dyrektora donosicielem i obiecał, że zrobi mu z nosa pędzel, czego pan dotrzymał. Słucham? Żarty? Być może, niestety jednak pan dyrektor jest bardzo zajęty. W przyszłości również nie będzie miał czasu. Do widzenia panu. (*Kładzie słuchawkę, po czym dzwonek telefonu*). Słucham? Tak, tu sekretariat dyrektora Kowalskiego... Kto mówi? Pan Słupczak? Dyrektor jest bardzo zajęty. Z panem na pewno będzie rozmawiał? Ach, pan jest kolegą szkolnym pana dyrektora... Tak, rzeczywiście przypominam sobie, Słupczak, klasa siódma C... W tej chwili coś sprawdzę... A, tak, pan był prymusem z matematyki... No, jasne, że zdarzają się takie zdolności... Pan również odmówił panu dyrektorowi ściągaczki na maturze, przez co dyrektor pomylił logarytmy z pierwiastkami i musiał powtarzać rok... Tak, przyznam, że to zabawne, z pewnością pan dyrektor chciałby z panem pogawędzić i wspomnieć dawne lata, na nieszczęście pan dyrektor nie ma absolutnie czasu i nic nie zapowiada, że będzie go miał dla pana kiedykolwiek... Żegnam pana. (*Odkłada słuchawkę; dzwonek telefonu*). Halo! Tak, tu sekretariat. Kto mówi? Pan Głowacz? Dyrektor jest zajęty. Pan dyrektor był uczniem pana? Kiedy? W piątej klasie? Chwileczkę... Czy to pana nazywali uczniowie „Kalafior”? No, przezwisko, jak każde... Pan na przykład zwykł był nazywać pana dyrektora „nierozgarniętym matołkiem” lub „tępą pałą”... Tak, oczywiście, że to stare dzieje... I mówił pan także, że pan dyrektor niepotrzebnie zajmuje miejsce w klasie, które należy się przecież jakiemś normalnie rozwiniętemu chłopcu, nadmieniając przy tym, że to jest zwykła szkoła, a nie zakład dla dzieci cofniętych w rozwoju... Tak, dwójka na półroczu była dużym wstrząsem dla pana dyrektora... Nie,

<sup>391</sup> E. Niziurski, *Jutro klasówka. Opowiadania dla młodzieży*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1982, s. 10–11. Źródło pierwotne: tenże, *Jutro klasówka. Opowiadania dla młodzieży*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1966.

nie, pan dyrektor niestety jest zajęty i najbliższe lata ma również przeładowane pracą... Proszę się wyłączyć, bo mam rozmowę międzymiastową. Do widzenia. Halo? Międzymiastowa? Biała Podlaska? Tak, słucham... Kto? Słowikiewicz? Przecież tyle razy mówiłam już, że pan dyrektor nie ma czasu... Wykluczone! Że co? Że to nie pan wepchnął pana dyrektora do stawu w czasie lekcji o rozmnażaniu żab? A kto?... Gąbaczewski? Jak pan może zrzucić odpowiedzialność na kolegę? Czy tak postępuje porządny uczeń? Nie, panie Słowikiewicz, to pan wepchnął, jeszcze pan mówił, że to się panu dyrektorowi przyda, ponieważ pan dyrektor nigdy się nie myje... Co? To też mówił Gąbaczewski? Pan usiłuje zniesławić szkolnego kolegę... Proszę? Pan dawał panu dyrektorowi ściągać na klasówce z polskiego? Jak pan śmie! Pan dyrektor nigdy nie ściągał! Bezcelność! Do widzenia panu. (*Odkłada słuchawkę; dzwonek telefonu*). Słucham?... Tak jest, panie dyrektorze, rozumiem... Zadzwoń do prezesa Gąbaczewskiego i prosić, żeby znalazł chwilę czasu i był łaskaw przyjąć pana dyrektora... Rozumiem... Tak, tak, kolega szkolny. W tej chwili, (*nakręca numer*). Halo! Czy mam przyjemność mówić z sekretarką prezesa Gąbaczewskiego? Telefonuję z polecenia dyrektora Kowalskiego... Dyrektor prosi, żeby pan prezes był łaskaw go przyjąć... Jest bardzo zajęty? Ależ z pewnością znajdzie chwilę czasu. Dyrektor jest kolegą szkolnym prezesa... Słucham? Dobrze, poczekam... Tak, tak, klasa czwarta A... Tak, taki nieduży... „Tępa pała”? „Kapuściany łeb”? Tak, to pan dyrektor! Skarżyła? Ależ tak, Słupczak zrobił mu za to z nosa pędzel po lekcji gimnastyki... Proszę? Niebawem! Więc to pan prezes wepchnął pana dyrektora do stawu na lekcji o rozmnażaniu żab? Doskonały żart! I mówił, że mu się przyda? Że się nie myje? Przechabawne! We wtorek o ósmej? Ależ się pan dyrektor ucieszy!<sup>392</sup>

**Przykład 302. Maria Zientarowa (Mira Michałowska) –  
*Wojna domowa trwa. Byle do dżdżownicy (1966)***

Anula siedziała w pokoju i czyła się. Siedziała tak już ze dwie godziny, rzecz niezwykła. Radio nie grało, telewizja była zamknięta. Mąż pochodził po mieszkaniu na palcach, pochodził, potem wziął czapkę i płaszcz i wyszedł.

– Wrócę na kolację – szepnął.

Sama sobie miejsca znaleźć nie mogłam. Poszłam do kuchni i nasłuchiwałam. Cicho, strasznie cicho. Nie ma wyjścia, trzeba zrobić coś pracochołnego na kolację. W tych warunkach o czytaniu nie może być mowy. Zaczęłam trzeć ziemniaki na racuchy. Raz stuknęłam tarką o brzeg miski i aż się wzdrygnęłam,

<sup>392</sup> J. Osęka, *Szkolne lata*, [w:] tegoż, *Kronika pewnej planety*, Iskry, Warszawa 1966, s. 52–55. Por. przykłady 285, 301.

taki to był hałas. Na szczęście zadzwonił telefon! Anula zerwała się i pobiegła. Byłam zadowolona, bo przynajmniej się dziecko rozprostuje. To siedzenie nad lekcjami skrzywia kręgosłupy.

– Wiciowce mam z głowy – słyszałam głos Anuli. – Korzenionózki też. Teraz jeszcze nibynózki, no i te, co wiesz.

Przestałam trzeć.

– Rozmnażanie pantofelka umiem – dodała zmęczonym głosem. – Na pamięć. Nie wierzysz? No to ci powiem. Odbywa się ono przez poprzeczny podział mikronukleusa, po czym dzieli się makronukleus i całe ciało.

Słuchała chwilę.

– Przepuściłaś coś! – krzyknęła nagle. – Poczekaj, zaraz ci powiem. O swoim procesie zapomniałaś. Dwa osobniki łączą się ze sobą otworami gębowymi, pływając przez pewien czas razem.

Wytałam ręce i podeszłam do drzwi.

– Proces ten jest procesem płciowym pantofelka – mówiła Anula ponurym głosem – u którego zapłodnienie, z jakim zetknęliśmy się rozpatrując inne gromady pierwotniaków. To nosi nazwę koniugacji. Rozumiesz, koniugacji. Cholera bierze człowieka.

– Anula, jak ty się wyrażasz – powiedziałam odruchowo, ale cicho.

– No to cześć – usłyszałam jeszcze – wracam do koralowców.

Wyłoniłam się szybko na korytarz. Anula spojrzała na mnie błędnym wzrokiem spod grzywki.

– Patrzysz dziś na Kobrę? – spytałam, byle coś powiedzieć.

Dmchnęła w górę, żeby rozchylić włosy, i zobaczyłam, że ma czerwone oczy od czytania.

– Nie wiem, czy zdążę – powiedziała – mam jeszcze robaki płaskie, wyplawki, wirki. Ciocia nie ma pojęcia...

Stała przez chwilę w przedpokoju i mruzczała coś do siebie.

– Kobra – usłyszałam – pewnie płaz, nie gad, wąż, żmija... Sama nie wiem – dodała głośno – będziemy to przerabiać w drugim półroczu.

– Czego się tak kujesz? – zdążyłam wtrącić mimochodem, żeby nie uroczyć.

– Zakład – mruknęła. – Założyłam się z jednym bałwanem, prymusem, że się wyciągnę na piątkę z zoologii.

Odetchnęłam z ulgą i wróciłam do moich racuchów. Tarłam zapamiętałe w tej grobowej ciszy, aż zorientowałam się, że jest tego chyba na cały pułk żołnierzy. Poszłam na palcach do pokoju. Anula leżała całą górną połową ciała na biurku i wodziła nosem po kartkach książki. Od czasu do czasu podnosiła wzrok

do nieba i mruczała coś, co brzmiało jak układ, wydalniczy... komórki płomykowe... protonefridialne...

– Zaraz będzie kolacja – powiedziałam, ignorując jej mamrotanie. – Jak tylko wróci wujek.

– Nie ma go? – zdziwiła się Anula. – Chciałabym, żeby mnie przesłuchał, tylko że to go może krępować.

– Dlaczego miałoby go to krępować? Przecież wiesz, że strasznie lubi cię przesłuchiwać.

– Ale ciocia nie zna zoologii – powiedziała Anula tajemniczo.

– Rzeczywiście, nie znam – przyznałam się.

– Za cioci czasów to takich rzeczy pewnie nie uczyli.

– Uczyli, uczyli, tylko to się zapomina – westchnęłam.

– To niech ciocia to wytłumaczy zoologowi.

– Proszę cię bardzo.

– Już lepiej nie – przestraszyła się Anula. – Ja mam głównie dlatego niezłe stosunki z nauczycielami, że z moich krewnych nikt im głowy nie zawraca.

Podziękowałam jej.

– Ciociu – spojrzała na mnie nie bez trudności. Wyglądała jak niestrzyżony pudel, nawet ładnie. – Ciocia by się szalenie zdenerwowała. Jakby ciocia wiedziała, w jaki sposób rozmnaża się wypławek biały, toby ciocia zemdlała. Ja chyba zadzwonię do Pawła, żeby przyszedł, on to zrobi najlepiej.

– Dobry pomysł – zgodziłam się szybko – i powiedz mu, żeby został na racuchy.

Zaczęłam smażyć. Żeby nie wiem co, to u mnie musi się tłuszcz kopcić. Po niedługiej chwili przyszedł Paweł, zakrztusił się trochę, ale pochwalił apetyczny zapach. Ten chłopak robi się coraz bardziej światowy. Poszedł do pokoju Anuli. Po paru minutach zjawił się mąż.

– Na litość boską! – krzyknął oczywiście – co za straszny smród. Czy już można?

– Można. Paweł przyszedł. Powiedz im, żeby przerwali naukę i przyszli szybko coś zjeść.

Mąż zniknął w pokoju, ale zaraz wrócił.

– Daj mi parę racuchów – zażądał. – Oni nie głodni.

– Jak to nie głodni?

– Mówią, że dzisiaj nic nie będą jeść.

Rzuciłam wszystko i pobiegłam do nich. Paweł stał pod kaloryferem i ogrzewał sobie plecy. W ręce miał wymięty podręcznik. Anula chodziła po pokoju i mówiła monotonnym głosem: – Jednym z wielu przedstawicieli gromady



tasiemców jest tasiemiec nieuzbrojony, zwany też soliterem. Żyje on w jelitach człowieka. Długość jego dochodzi do dziesięciu, dwunastu metrów... do ścianek jelita ludzkiego tasiemiec przytwierdza się za pomocą czterech przyssawek...

- Niezbyt silnych – poprawił Paweł.
- Niezbyt silnych przyssawek – powtórzyła Anula.
- Chodźcie jeść – przerwałam nietaktownie.

Anula zwróciła do mnie twarz. Była koloru lekko-zielonego.

– Ciociu – powiedziała – niech ciocia wyjdzie, bo my zaraz będziemy przerabiać proces rozmnażania się tasiemca. Cioci się nawet nie śniło, co ten tasiemiec wyprawia w brzuchu człowieka.

– Ale racuchy – powiedziałam słabym głosem.

– Ona na pewno dziś nie będzie nic jadła – powiedział Paweł, przerzucając kartki podręcznika. – Jutro też chyba nie – dodał – bo jutro, jak widzę, będziemy mieli do czynienia z glistą ludzką. Pojutrze owsiki – zatroskał się. – O jedzeniu też nie będzie mowy. Za jakie dwa dni – rozchmurzył się – dojdziemy do dżdżownicy, wtedy można ją będzie namówić na kawałek chleba z masłem.

Anula była coraz zieleńsza.

– Jak ją przesłucham, to przyjdę do kuchni – przyrzekł Paweł. – Ja to wszystko przeżyłem w zeszłym roku – dodał – tylko moja matka nie była, oczywiście, taka wyrozumiała jak pani – dodał chytrze. – Pani przecież wszystko rozumie<sup>393</sup>.

### **Przykład 303. Krystyna Żywulska – *Lekcja* (1966)**

Nauczycielka (*wywołuje z dziennika nazwiska*): Adamczyk!

Uczeń 1: Obecny!

Nauczycielka (*sprawdza w dzienniku*): No, niestety, ty będziesz miał dwójkę, Adamczyk.

Uczeń 2: Niech mu pani chociaż trójkę postawi, on ma takie złe warunki mieszkaniowe!

Nauczycielka: Jakie?

Uczeń 2: Oprócz niego mieszka ciocia, wujaszek, szwagierka z mężem, babcia...

Uczeń 3: Z narzeczonym.

Uczeń 2: Tak, bo babcia Adamczyka ma narzeczonego, no i jest jeszcze pies.

Nauczycielka: Psa mogą wyrzucić.

Uczeń 3: Kiedy nie mogą, pani profesor, bo to jak ktoś z rodziny.

<sup>393</sup> M. Zientarowa, *Wojna domowa trwa*, Czytelnik, Warszawa 1966, s. 25–30. Por. też, *Wojna domowa*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 1994, s. 194–198.

Nauczycielka: No i co a tego, że ja mu dam trójkę, powiedzmy. W dalszym ciągu Adamczyk będzie mieszkał w takich warunkach,

Uczeń 4: My możemy trochę to mieszkanie rozluźnić. Psa można by załatwić...

Uczeń 2: Narzeczonego można by wyprowadzić...

Nauczycielka: No, dobrze, dam mu trójkę, ale wy musicie się postarać o większą przestrzeń życiową dla Adamczyka. Berdyczewski Józio – niestety, trójka z minusem.

Uczeń 4: Ojej, niech mu pani profesor da chociaż pełną trójkę. Ojciec pijak a kiedy pije, to tak łązi od ściany do ściany...

Uczeń 2: Pokazać?

Nauczycielka: Nie trzeba. Ja was nie rozumiem. To już Józio uczyć się nie może, jak jego ojciec czasami jest pijany?

Uczeń 4: Pani profesor, ja chciałem powiedzieć, że on czasami jest trzeźwy.

Nauczycielka: I co z tego? Ojciec sobie popije, a Józio ma się uczyć!

Uczeń 2: Ja powiem. On nie może, pani profesor, bo co książkę weźmie i swego tatusia wspomni, to mu się zaraz w głowie zaczyna kręcić i nauka mu nie włązi.

Nauczycielka: To znaczy, że skoro stary Berdyczewski jest nałogowcem, Józio zawsze tak się będzie uczył?

Uczeń 4: Nie zawsze, proszę pani. Są takie antyalkoholowe pigułki, jak się je sypie do zupy, to się jedzie do Rygi. My się na te pigułki złożymy, no nie chłopaki? I będziemy staremu wsypywać...

Uczeń 1: A co będzie, jak on nie jada zup?

Głosy uczniów: Siadaj, Adamczyk! Już my go nauczymy! U nas będzie jadł facet, nie ma strachu!

Nauczycielka: No dobrze już dobrze. Dam mu pełną trójkę, ale musicie wyleczyć starego Berdyczewskiego z pijaństwa. Ciupalska Lucyna – słaba trójka.

Uczeń 3: Ojej, dałaby jej pani profesor czwórkę! Ona taka blada, wcale się nie śmieje!

Nauczycielka: A co jej jest? Chora?

Uczeń 2: Ja powiem. Kocha się. Pokłóciła się z chłopakiem.

Uczeń 4: Wcale się nie pokłóciła, tylko ją rzucił dla tej rudej z dziesiątej c.

Nauczycielka: To żaden powód, aby dać czwórkę. Ten chłopiec zostanie z tamtą i Ciupalska będzie dalej przeżywać. Trójka i koniec.

Uczeń 4: W imieniu naszej organizacji możemy przyjąć zobowiązanie, że mu tę rudą z dziesiątej c obrzydymy,

Uczeń 2: Dla nauki wszystko, proszę pani.

Nauczycielka: No już dobrze, ja ci poprawię na czwórkę, ale pamiętaj, Ciupalska, jak on wróci i ty mimo to nie będziesz się uczyła, ja ci zmniejszę z powrotem na troję.

Ciupalska: Dobrze, proszę pani. Ja się zgadzam.

Nauczycielka: Drapała Andrzej, co ty tu masz? (*Patrzy do dziennika*). Trójka minus, czwórka, jedynka... Jakby nie wyliczyć – wypada dwójka z plusem.

Głosy: Ojej, chociaż całą trójkę...

Nauczycielka: A co znów jest z Drapałą? O ile wiem warunków nie ma złych i ojciec nie pije...

Uczeń 3: Gorzej, pani profesor. Jego ojciec to minister.

Nauczycielka: Ho to świetnie, Drapała też nie może się uczyć?

Uczeń 1: Nie może, pani profesor. Jemu jest wciąż przykro, że mu się lepiej powodzi i on dlatego cierpi.

Uczeń 4: No bo czasem go samochodem do szkoły podwiozą...

Uczeń 3: Ma pełno płyt, samych Beatlesów z dziesięć!

Głosy: Wciąż mu głowę zawracają; „Pożycz”, „Pożycz” – więc on nie może się uczyć.

Nauczycielka: No wiecie, jeśli już syn ministra nie może się uczyć, to świat się kończy! I co z tego, jeśli ja nawet mu teraz trójkę postawię? Minister jest ministrem i koniec.

Uczeń 2: Ja powiem. My, pani profesor, możemy taki liścik napisać, że on obcy ideologicznie, zapatrzony na ten...

Głosy: Na zachód!

Uczeń 2: Właśnie. To kto wie, może go zdejmą i Andrzej będzie mógł się spokojnie uczyć.

Nauczycielka: No już dobrze. Ja mu dam trójkę, a do rządu proszę się nie wtrącać. (*Po chwili*). Matusik Stefan – dwójka, (*rozgląda się po klasie, ale panuje całkowite milczenie*). Powiedziałam: Matusik Stefan – dwójka. (*Milczenie*). Dlaczego nikt nie prosi, żebym dała lepszy stopień Matusikowi?

Matusik (*mówi prawie płacząc*): Bo ja... bo u mnie w domu wszystko jest w porządku! (*Zaczyna płakać*). Bo ja jestem taki nietypowy! (*Szlocha*)<sup>394</sup>.

<sup>394</sup> K. Żywulska, *Lekcja*, [w:] B. Brzeziński, K. Żywulska, *Śmiech to zdrowie. Materiały repertuarowe do programów estradowych*, Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego, Warszawa 1966, s. 60–63.

**Przykład 304. Krystyna Żywulska – *Wszyscy się uczą* (1966)**

Dobry wieczór, panie Gabrielu! Pan się wciąż zajmuje innymi, a ja muszę być za godzinę zrobiona. Nigdy pana nie poganiałam, i mógł pan grzebać w innych głowach, ile się panu podobało, ale od dziś to się kończy, bo ja się przerzucam. Z czego na co? Z garnków na naukę. No, widzi pan, czesze mnie pan od dziecka i czegoś podobnego się pan nie spodziewał! Niech mi pan tu zrobi dużą falę nad samym uchem...

Wszyscy się teraz uczą. Mój sąsiad pracował w firmie E. Goldberg przed wojną jako bochalter, a teraz się ta firma nazywa „Czerwony Guzik” więc on się musi dokwalifikować. Dla E. Goldberga on był dobry, a w „Czerwonym Guziku” się okazało że on guzik umie. Przedział zrobimy może z tej strony, mnie się w ogóle wydaje, że teraz prawa strona modniejsza...

Mój szwagier kończy egzaminy z inżynierii sanitarnej, wczoraj zdał z rezerwuaru. A za to z sedesu olał kolokwium. A szwagierka wkuwała miesiąc angielskie słówka i już bierze dodatek za języki obce. Tutaj, panie Gabrielu, niech pan trochę skróci! Język! To jest wszystko i bez języka nie ma dziś żadnego gadania, panie Gabrielu! Czy mnie się zdaje, że ja jestem z lewej strony jakaś wyblakła? A może by pan mnie przyfarbował?

A to się zaczęło tak, że byłam na brydżu i tam był też ten docent Siwiejko. Wspaniały mężczyzna, po prostu finezyjny! W alpadze od „Adama”! I nagle, wie pan, ten człowiek popatrzył mi tak prosto w oczy i spytał: „Czy pani doktor zna tę pracę z ostatniego «Physical Revue»”? Okazało się, że on mnie wziął za fizyczkę atomową, która miała przyjść na tego brydża, a nie przyszła. Co miałam odpowiedzieć? Gdyby mnie zahaczył literacko, to np. „Kulturę” mam... w jednym palcu, Czeszkę znam od deski do deski! Ale na fizykę to ja zupełnie nie była przygotowana. Ale ja się nie straciłam. Natychmiast zacytowałam Hurwica: „Errata humanum ests!”. Tutaj niech mi pan kręci w dół, dobrze?

No więc tego wieczoru, jeszcze na tym brydżu, kiedy wychodziłam spod asa pik zrozumiałam swoje powołanie. Postanowiłam zrobić doktorat z fizyki atomowej. Co to jest atom, ja już wiem, jeszcze nie wiem dokładnie, co to jest jądro. Ale to głupstwo, zapytam Świderskiego, on gra w „Fizykach”, więc mi wytłumaczy.

Już widzę siebie w Paryżu. Tu ja, tu reaktor, tu galeria Le Fayette! Jeszcze nie wiem, jak się tam dostanę, ale to głupstwo! Moja kuzynka ma we Francji znajomego, któremu uratowała życie w czasie okupacji, on i przyśle zaproszenie, bo on zawsze jej się chętnie odwdzięcza za to życie, wie pan. Niech mi pan tu jeszcze coś wepnie, bo to miejsce styka się z nosem i będzie za wysokie czoło.

Ja już mam nawet przemyślany cykl odczytów na Cambridge. W kraju też mogę wykładać. To nie są co prawda dewizy, ale mogę sobie zawsze dorabiać w „Eurece” jako popularno-naukowa. Myślałam nawet o tym, żeby się przerzucić na Zonna. Boże mój, jaki on jest słodki! Albo niech pan to lepiej wszystko kręci z czoła. Pani doktor w grzywce – to trochę purnonsens. Więc niech pan sobie wyobrazi: P.A.N... Nie, nie „pan” ale P.A.N. ... Polska Akademia Nauk, stół prezydialny, w środku ja, tu Infeld, tu Szenfeld... Ary, ten z Sieradza! Ja mówię po angielsku!

Jeszcze co prawda nie mam magisterium, ale to głupstwo, ja to załatwię. Mój mąż był w Czerwonym Harcerstwie razem z jedynym wysoko postawionym z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Siatkę może pan już zakładać... Z matematyki pomoże mi mój Wicek, bo on jest w dziewiątej „d” i tak jest bardzo wysoki poziom.

Na wszelki wypadek niech pan już mówi od dziś „pani doktor”. Najważniejsze, żeby się wszyscy przyzwyczaili, potem jak się już przyzwyczają, wcale nie będzie takie ważne, czy ja mam ten dyplom czy nie<sup>395</sup>.

**Przykład 305. Ziemowit Fedecki, Andrzej Jarecki –  
*Egzamin wstępny. Prolog programu „Marsz do kąta”  
Studenckiego Teatru Satyryków (1967)***

*(Szkola wieczorowa. Na scenie Dyrektor, Nauczycielka, Woźny śpiewają).*

Razem

Już po raz trzeci zapiał kur,  
Dokoła czerń grobowa.

Dyrektor

Lecz cóż to za wesoły chór?

Nauczycielka

Och, cóż to za wesoły chór?

Woźny (*przedstawiając*)

Ach, cóż to za wesoły chór?

Razem

To szkoła wieczorowa!

<sup>395</sup> Taż, *Wszyscy się uczą*, [w:] B. Brzeziński, K. Żywulska, dz. cyt., s. 104–106.

Woźny

To, proszę państwa, nasz dyrektor.

Oko mu błyszczy jak reflektor.

Dyrektor (z *ukłonem*)

Do czynu, hej, do czynu!

Razem

Dziś pora egzaminu!

Dziś pora egzaminu!

Dyrektor

Kto tu się do nauki pali?

Woźny

Widzi pan, tłoczą się na sali.

Siermięga, surdut, nawet frak –

A wszystkim dobrych manier brak.

Nie pchać się, szkoła to nie preria!

Obowiązują tu kryteria!

*(Z różnych stron sali zbliżają się adepci, śpiewając).*

Adepci

Nas pekaesy wiozły tudzież kolej

Po towar ten deficytowy.

Stoimy tu w kolejce – po co? – po olej,

Po zwykły olej ten do głowy.

Olej –

Na każdym polskim stole.

Olej –

Na bóle i niedole,

O – lej!

Na immanentne zło.

O – lej!

Choć nieuk woła „ja chromołą”,

I choć go olej w oko kole,

I choć nam wszystkim trochę mdło –

To jednak olej, olej, olej!  
Olej –  
Na każdym polskim stole  
Olej na bóle i niedole,  
Olej na immanentne zło.  
Olej, olej, olej, olej!  
Gdy ci oleju brak, to sobie dolej  
I zacznij wszystko od początku.  
W ogonku z nami stań – po co? – po olej,  
Po ten powszechny funt rozsądku.  
Olej  
Na każdym polskim stole!  
Olej  
Na bóle i niedole!  
Olej na immanentne zło –  
– Bo jak nie olej, to co?

Woźny  
E tam, gadanie! Cóż to, nie wis?  
*Ars longa, ale vita brevis.*

Dyrektor (*niezadowolony*)  
Kto z was zamierza żyć dostatnio,  
Niech wie: oświata dla nas matnią.  
Wszak wieńczą wszelkich zasad zasób  
Dwa słowa: *tempus praeceps* – szkoda czasu.  
Na naukę szkoda czasu.  
Czy nie lepiej zażyć wczasu,  
Wszak umiemy jeść i pić!  
Kurdesz, bracia! Lepsza szklanka  
I gitara, i kochanka,  
Niż pajęcza wiedzy nic.  
Na naukę czasu szkoda.  
Popatrz, łasi się przyroda,  
Wabi morze, kusi łąd.  
Nie w nauce świata postępowanie.  
Niech nam żyje życie proste!

Kurdesz, bracia! Chodźmy stąd!  
Czasu szkoda na naukę,  
Gdy świat cały jest jak bukiet,  
Co roztacza cudną woń.  
Niech nam przodków przykład świeci,  
Filomaci, filareci!  
Kurdesz, bracia! Dajcie dłoń!

Adepci  
W takim razie na czym ma polegać lekcja?

Dyrektor  
Na tym, aby wiedzieć, czego chce dyrekcja.

Woźny  
Czy wszystko jasne dla was, dzieci,  
Czy któreś z was chce zgłosić sprzeciw?

Adepci  
My chcemy się uczyć!

Dyrektor  
Wykluczone!

Adepci  
My chcemy się uczyć!

Nauczycielka  
To tortura! Nie ma mowy!

Adepci  
My chcemy się uczyć!

Woźny  
Dajcie spokój, panowie! Jak się raz zacznie, to potem nie można się z tego wyplątać.



Adepci

Co ma się stać, niech się stanie!

Nałóżcie nam oświaty kaganiec.

Dyrektor

Więc dobrze! Ustępuję przed siłą. Ale żebyście później nie żalowali!

Nauczycielka

Panie dyrektorze, proponuję, żebyśmy zastosowali  
najsurowszy regulamin szkolny.

Woźny

Ze wszystkimi szykanami.

Dyrektor

Zgoda?

Adepci

Zgoda!

Dyrektor

To marsz do kąta!

*Wszyscy (chór adeptów i pedagogów wykonuje piosenkę finałową z tańcem)*

Jeśli chcesz wiedzieć, jak życie wygląda,

I zorientować się w różnych poglądach,

Jeśli chcesz wiedzieć, gdzie racja, gdzie błąd –

Musisz własny widzenia mieć kąt.

Jeśli chcesz kochać, jak Juliusz lub Adam,

I jeśli serce jeszcze z tobą gada,

Jeśli się w tobie sumienia tli lont –

Musisz własny widzenia mieć kąt!

Marsz do kąta!

Marsz do kąta!

Klasa piąta czy dziesiąta –

Pod nogami się nie plątać,

Głów bredniami nie zaprzątać,

Intelektu ostrzyć nóż!

Marsz do kąta – i już!

Jeśli chcesz służyć za wzór – marsz do kąta!

Jeśli chcesz wzmocnić nasz chór – marsz do kąta!

Chcesz promieniować jak kobalt lub stront?

Marsz do kąta! A jak nie, to paszoł wont!<sup>396</sup>

**Przykład 306. Ziemowit Fedecki, Andrzej Jarecki –  
Nowy Demostenes. Fragment programu  
„Marsz do kąta” Studenckiego Teatru Satyryków (1967)**

Osoby: Dyrektor szkoły wymowy; Asystent dyrektora; Adept retoryki

*(Miejsce akcji: Szkoła wymowy w prowincjonalnym mieście N. Rzecz dzieje się na przełomie wieków XIX i XX, w tak zwanej belle époque, czyli u schyłku fin de siècle’u).*

Adept: Czy można?

Dyrektor: Czy przybywa pan do szkoły wymowy „Nowy Demostenes”? Jeśli tak, to będzie pan łaskaw wyjść za drzwi, przemyśleć pytanie wstępne, zapukać i po otrzymaniu zezwolenia wejść ponownie. *(Adept wycofuje się tyłem za drzwi).*

Dyrektor: Skaranie boskie z tą nową falą. *(Pukanie do drzwi).* – Kto tam?

Adept *(uchyla drzwi)*: Czy można?

Dyrektor: No, już dobrze, dobrze... wejdź pan i usiądź. Widzę, że z panem trzeba będzie zacząć od rudymentów. Otóż, po pierwsze: „Nowy Demostenes” jest nie tyle szkołą artykulacji, co szkołą logicznego myślenia. – Co to znaczy „czy można”? O co panu chodzi? Czy można pożyczyć parę złotych? Z góry uprzedzam, że nie. Czy można zdjąć spodnie? Proszę bardzo, ale u siebie w domu!

Adept: Czy można wejść?

Dyrektor: Robi pan postępy. Proszę. O co chodzi? Tylko krótko i zrozumiale.

Adept: Od pewnego czasu mam duże kłopoty z wymową...

Dyrektor: Słucham, słucham...

Adept: Sam nie bardzo rozumiem, co się stało, doprawdy trudno mi będzie wytłumaczyć...

<sup>396</sup> Z. Fedecki, A. Jarecki, *Marsz do Kąta! (opera w jednym akcie)*, [w:] Z. Fedecki, A. Jarecki, *Marsz do kąta! Operetki obywatelskie z repertuaru STS*, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 9–13. Por. Z. Fedecki, A. Jarecki, *Egzamin wstępny*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), dz. cyt., s. 157–161.

Dyrektor: Śmiało, śmiało...

Adept: Otóż od pewnego czasu, kiedy znajdę się w towarzystwie i w sposób możliwie najpełniejszy rozwijam któryś z tematów pasjonujących świat w bieżącej dobie – spostrzegani, że słuchacze przestają mnie rozumieć... (*Asystent nachyla się do ucha Dyrektora i żywo gestykuluje, bełkocze coś przez dłuższą chwilę. Dyrektor potakuje z poważną miną. Adept spogląda przerażony*).

Dyrektor: Niech pan mówi dalej. Albo nie. Przerwę panu. W jakich sferach pan się obraca?

Adept: No cóż. Pnę się w miarę moich skromnych sił po szczeblach kariery administracyjnej. Nie bez powodzenia, nawiasem mówiąc...

Dyrektor: Czy przekroczył pan już szóstą grupę uposażeń?

Adept: Zgadł pan. I muszę tu wyznać, że pierwsze niepokojące objawy wystąpiły właśnie na przyjęciu u mego nowego zwierzchnika. – Dosiadłem, proszę pana, tematu z dziedziny jego urzędowych zainteresowań. I tak mi dobrze szło, *notabene*, przygotowałem się uprzednio, i cytata łacińska gdzie trzeba, i *exemplum*, i rekapitulacja – a on patrzy na mnie jak na raroga, i nic. I czuje, panie, że jakaś pustka między nami zalega! (*Asystent nachyla się do ucha Dyrektora i bełkocze jak poprzednio*).

Dyrektor (*potakuje. Do Adepta*): Dalej, dalej...

Adept: Cóż dalej? To się, niestety, powtarza. Walczę z tym jak mogę, wieczorami przesiaduję w bibliotece, biorę lekcje języków obcych, próbuję się umuzykalnić... Nawiasem mówiąc...

Dyrektor (*przerywa*): Nawiasem mówiąc, jeszcze parę takich posunięć i spadnie pan do dziesiątej grupy, a może nawet *adieu Fruziu i fin de siecle!*

Adept: Czyżbym szedł w złym kierunku? Może powinienem pójść do lekarza? Może to dziedziczne? Powiedz pan? – Czy pan mnie chociaż rozumie? (*Asystent bełkocze bardzo głośno i trzaskając drzwiami, wychodzi*).

Adept: Kto to był? Co on powiedział?

Dyrektor: To mój asystent, doktor wszech nauk, wybitna siła naukowa. On powiedział, że nie rozumie ani słowa z tego, co pan tu napłótl.

Adept (*przerażony*): No tak, bardzo mi przykro, ale ja go też nie rozumiem.

Dyrektor: Pański przypadek jest trudny, ale nie beznadziejny. Weźmiemy się do pana. Jutro pierwsza lekcja.

Adept: Dziękuję serdecznie. Wstępuje we mnie nadzieja. Czy mam przynieść jakieś książki, zeszyty?

Dyrektor: Niech Pan Bóg bron! Żegnam pana, do jutra.

(*Nazajutrz Adept siedzi w ławce, przed nim duże lustro. Dyrektor prowadzi lekcję*).

Dyrektor: W toku rozwoju historycznego sfery wyższe utworzyły tak zwany język sfer wyższych. Jego cechami są: dobitność, zwięzłość, prostota. Mniej wyrazów, więcej wyrazu. Weźmy dla przykładu najprostsze zdanie: panie naczelniku, piękną dziś mamy pogodę. Jak by pan to powiedział?

Adept: Właśnie tak, jak pan dyrektor. Nic dodać, nic ująć.

Dyrektor: Źle. Tak pan daleko nie zajędzie. Tu należy zastosować metodę Demostenesa. Proszę bardzo, oto kamyczki. Pan będzie łaskaw.

Adept (*przeżony*): Kamyczki?

Dyrektor: No, ostatecznie, na początek może pan mieć kluski w gębie. Gosposiu!

(*Nazajutrz. Adept siedzi w ławce nad talerzem klusek, wchodzi Dyrektor*).

Adept (*zrywa się z ławki, mówi z kluskami w gębie*): Dzień dobry, panie dyrektorze!

Dyrektor: Dzień dobry. Bardzo dobrze. „Piękną dziś mamy pogodę”.

Adept (*jak wyżej*): Piękną dziś mamy pogodę, panie dyrektorze.

Dyrektor: Dobrze. Przejdźmy do nowego tematu. Dyskusja nad projektem okólnika. „Projekt opracowany przez naszego naczelnika wyczerpująco ujmuje całokształt zagadnienia”. Proszę.

Adept (*powtarza*).

Dyrektor: Prawie dobrze. Robi pan postępy. Od jutra będzie pan pracował pod kierunkiem mego asystenta.

(*Nazajutrz. Adept i Asystent, Asystent coś bełkocze, Adept powtarza. Asystent gwałtownie zaprzecza, Adept bełkocze przeprasza, Asystent bełkocze łaskawie. Adept bełkocze zadowolony z pochwały, Asystent bełkocze rozkazując, Adept podchodzi do katedry, przemawia bełkocząco, Asystent bełkotliwie przerywa, Adept bełkocze stropiony, Asystent powtarza bełkot rozkazując. Adept bełkocze domyślnie, przyjmuje pozę mówcy, wyciąga z kieszeni kartkę i bełkocze z kartki. Asystent bije brawo. Ta sama sceneria. Dyrektor, Asystent, Adept*).

Dyrektor: Cieszę się, że nauka nie poszła w las. Szkoła nasza jest dumna, że dziś będzie mogła wręczyć panu patent. Jeszcze tylko ostatnie małe kolo-kwium. Czcza formalność w gruncie rzeczy. Piękną dziś mamy pogodę, nieprawdaż? Niech pan spróbuje powtórzyć. (*Adept zająkuje się*).

Dyrektor: Spokojnie, proszę się nie denerwować. Dokładnie tak samo jak ja: Piękną... No, proszę.

Adept: Pięk... (*przechodzi na płynny bełkot*).

Dyrektor: Brawo! Trudno o lepsze świadectwo. Dziękuję panu. (*Wręcza Adeptowi dyplom*). Pańska kariera w administracji nabiera realnych kształtów. Każdy urząd przyjmie pana z otwartymi ramionami. (*Na salę wpada goniec z opieczętowanym pismem w rękę, podaje pismo Dyrektorowi*).

Dyrektor (*wręcza pismo Adeptowi*): To do pana, do rąk własnych. (*Adept przebiega pismo wzrokiem, coś bełkocze uszczęśliwiony, podskakuje, łapie się za głowę, wreszcie podaje list Dyrektorowi, usiłując mu coś wytłumaczyć*).

Asystent (*zdenerwowany, bełkocze*): Hę?

Dyrektor: No cóż, piszą, że został przeniesiony do służby zagranicznej. Mia-  
nowano go ambasadorem w królestwie Patagonii... (*Asystent jęczy przeraźliwie,  
rozgłośnie*).

Goniec: Przepraszam, panie dyrektorze, co ten pan mówi?

Dyrektor: Daj mi pan święty spokój!

Dyrektor (*do Adepta*): Czy czuje się pan na siłach wystąpić na forum między-  
narodowym? (*Adept bełkocze radośnie, biorąc się pod boki*).

Dyrektor: Oj, czyśmy się trochę nie zagalopowali!?... Zdaje się, że będzie-  
my musieli rozpocząć przyspieszoną reedukację. Siadaj pan! (*Przemocą sadza  
Adepta w ławce*). – Powiedz pan ma-ma!<sup>397</sup>

### **Przykład 307. Stefania Grodzieńska – *Edukacja* (1967)**

Czy państwo zwrócili uwagę, że wciąż się nawzajem wychowujemy?

Film wychowuje widzów, telewizja wychowuje widzów, gazeta czytelników, milicjant obywateli, żona męża, dzieci rodziców. Każdy daje nam szkołę. Nawet życie. I niech państwo powiedzą, dlaczego w takim razie jesteśmy tak źle wychowani? Ja osobiście zaczęłam wychowywać psa. Kiedy pies sprowadził się do mnie, był zupełnie mały i umysł jego stanowił czystą, nie zapisaną kartę. Zabrałam się do kształtowania jego charakteru. Początek był prosty. – Nie wolno, pies! – wołałam, kiedy szarpał nogawkę znajomego.

Szczeniak był bardzo zdolny. Szybko stał się łagodny, przestał rzucać się na ludzi, łasił się do wszystkich i chętnie przyjmował pieśczęty. Któregoś dnia, wróciwszy do domu, zastałam złodzieja ogołacającego szafę, czemu przyglądał się pies, przyjaźnie merdając ogonkiem.

Zaczęłam oduczać psa od bezkrytycznej życzliwości. Był bardzo zdolny. W krótkim czasie stał się postrachem całej okolicy. Warczał i rzucał się na każdego. Zaczęłam oduczać psa od bezkrytycznej nieżyczliwości. Był bardzo zdolny. Po jakimś czasie zaczął rzucać się na wrogów, a okazywać przyjaźń przyja-  
ciółom. Wyobraźcie sobie, jaka byłam dumna z sukcesu. Ale nie na długo.

„Tempora mutantur et nos mutamur in illis” – to jedyne zdanie łacińskie, jakie zapamiętałam ze szkoły. Mało tego! – wiem nawet, co ono znaczy: „Etapy

<sup>397</sup> Z. Fedeci, A. Jarecki, *Nowy Demostenes*, [w:] Z. Adrjański, W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Teatry...*, dz. cyt., s. 32–35.

się zmieniają i kto ma nosa, zmienia się razem z nimi”. Tak więc czasy się zmieniły i dotychczasowi przyjaciele stali się wrogami, a dotychczasowi wrogowie przyjaciółmi. Pies nie przestawił się w porę, z czego wynikało, że obecnie rzucał się na przyjaciół, a łaścił się do wrogów.

Zaczęłam go znowu przetresowywać. Pies był zdolny. Zdolny jak na psa, ale nie tak szybki w reakcjach jak człowiek. Toteż ledwie osiągnęłam jakie takie wyniki, poprzedni okres stał się nieaktualny i pies, szukając u mnie wzrokiem aprobaty, ugryzł w łydkę obecnego przyjaciela, który był wrogiem w momencie, kiedy pies się do niego łaścił jak do byłego przyjaciela, za co wówczas został obity.

Przełamywany i przestawiany pies stracił wszelką orientację. Jednego dnia gryzł wszystkich naokoło, drugiego przypochebiał się, komu popadło. Lizał kogoś po rękach i zaraz potem kąsał tę samą osobę w pośladek.

Karanie i nagradzanie psa dało ten tylko wynik, że pies wciąż węszył karę lub nagrodę i postępując pod tym kątem, utracił instynkt do reszty.

Słucham? Że trzeba było poradzić się fachowych kynologów? Poradziłam się, taka mądra to ja też jestem. Fachowi kynolodzy obejrzeni psa, obejrzeni mnie i powiedzieli: „Niech pani da mu spokój, może powróci do równowagi”.

I mieli rację. Pozbawiony moich ingerencji, pies mitygował się stopniowo. Jego karesy traciły na namiętności, a ataki na zajadłości, aż w końcu zobojętniał całkowicie. Śmiało mogę teraz wejść z nim do sklepu czy kawiarni. Jest grzeczny. Powinam być zadowolona, mówicie? Eksperyment się udał, twierdzicie? No, to powiedzcie sami: czy to jest odpowiednie zachowanie dla psa w sile wieku? (*Pauza; do widzów*). Milczycie<sup>398</sup>.

### **Przykład 307a. Stefania Grodzieńska – *Wspomnienia chałturzystki*. Fragment (1967)**

Wiem, że istnieją w Polsce znakomite bary mleczne. Czyste, zadbane, gdzie w estetycznym wnętrzu świat pracy konsumuje w kulturalny sposób niedrogie, smaczne i pożywne potrawy. Co to znaczy? No?... Słucham? Proszę, Kowalski mi powie, co to znaczy.

– To znaczy, pani psorko, że jeżeli tak może być gdzieś niegdzie, to mogłoby tak być wszędzie.

– A zatem, kto jest winien, jeśli w większości barów mlecznych klienci jedzą prawie ze słomianki?

---

<sup>398</sup> S. Grodzieńska, *Edukacja*, [w:] H. Lankiewicz (oprac.), *Z anteny telewizyjnej. Satyra – skecz – piosenka*, Wydawnictwo Związkowe CRZZ, Warszawa 1967, s. 78–79.

- Eee... kto jest winien... eee...
  - No? Niech Kowalski pomyśli. Kto? Pan Bóg? Minister komunikacji? Gagarin?
  - Nie, Gagarin nie jest winien, pani psorko.
  - A kto w takim razie?
  - W takim razie kierownictwo poszczególnych barów mlecznych, pani psorko.
  - Doskonale, Kowalski. Niech Kowalski siada. A teraz niech klasa uważa. Kiedy widzę, że jedni robią to, co powinni, a inni mają nas w nosie, to czy ma prawo mnie szlag trafić? Proszę chórem.
  - Ma pra-wo pa-nią szlag tra-fić, pa-ni psor-ko.
  - Dobrze. A o co ma prawo mnie szlag trafić, czy tylko akurat o bary mleczne, czy o różne inne rzeczy też? Dzięciołowski.
  - Też.
  - Całym zdaniem.
  - Szlag panią trafia o inne rzeczy też, pani psorko.
  - Doskonale. A czy wolno mi napisać książkę o tych rzeczach, o które szlag trafia? Woyciechowska mi powie.
  - Wolno pani psorce.
  - Świetnie. I jak taką książkę nazwiemy, Jaskółka?
  - Nazwiemy satyryczną, pani psorko.
  - A czy w takiej książce trzeba za każdym razem zapewniać, że istnieją również uczciwe hotele, grzeczni ludzie, czyste bary mleczne?
  - Ojej, po co, pani psorko!
  - Zabarwienie uczuciowe może sobie Jaskółka zostawić na inną okazję. Proszę odpowiadać na pytania.
  - Nie trzeba za każdym razem zapewniać, pani psorko.
  - Dlaczego nie trzeba zapewniać?
  - Bo o tym i tak każdy wi, pani psorko.
  - Nie „wi”, tylko „wie”.
  - Wie, pani psorko.
- Jak z tej powtórki wynika, każde dziecko wi, przepraszam, wie, o co chodzi<sup>399</sup>.

<sup>399</sup> Taż, *Wspomnienia chałturzystki*, Iskry, Warszawa 1967, s. 26–27.

**Przykład 308. Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) –  
*Dzień nauczyciela* (1967)**

Cię choroba! No i masz ci los! Mamy w Chłapkowicach nowe nadużycia. Wykryliśmy aferę oświatową!

A zaczęło się wszycko niepozornie. Tak jak co roku, zamiarowaliśwa naszemu kierownikowi szkoły, z okazji Dnia Nauczyciela, wręczyć dyplom uznania. Drogo to nie kosztuje – dziesięć złotych blankiet, a niech ta ma biedoczek ten dowód uznania.

Dach u niego zacieka, wilgoć na ścianach, to se dyplomem zacieki zakryje. Dyplomy na zakrywanie plam najlepsze!

Jak widzicie, traktowaliśwa go po ludzku i każdy z nas myślał, że kierownik należycie to oceni. Ale diabła tam! We łbie mu się przewróciło!

Spotkałem go kiejsić na gościńcu i delikatnie mu napomykam, że szykujemy dla niego niespodziankę: dwudziesty dyplom.

– Kto wie – powiadam znacząco – może z okazji lubjjeusza gromada i ramki dorzuci...

On tylko ręką machnął i powiada: – Co tam dyplomy! Bodźców materialnych mi potrza! Ze dwa takie bure by się przydały. Zima za pasem! Coś trza będzie zorganizować!

Co ty, bidoku – pomyślałem – w tej szkole zorganizujesz? Paczkę kredy albo przewód pokarmowy gołębia w słoju ze szpyrytusem?

Nawet o tej rozmowie nikomu we wsi nie wspominałem. Po co pedagogowi sprawami finansowymi autorytet podrywać!

Aż tu kiedyś... siedzimy se w gospodzie i rozpatrujemy projekt Maciaszczyka. Niby, że warto z okazji Dnia Nauczyciela wydać gromadzkie party na cześć naszego kierownika. Z powiatu by się przedstawiciele zaprosiło... Fundusz kulturalny nie wyczerpany. Nie ma co grosza żałować. Niech okazale wypadnie. Cel piękny!

Kierownik ma wrzód na żołądku, więc pić nie pije, nawet zakąsić regularnie nie może, ale przecie będzie mu miło, kiej na jego cześć toasty polecą. „Setkę i śledzika, na cześć kierownika”.

Dobre, co? Setkę i śledzika... Jakby tak włożyć to w usta przedstawiciela z powiatu, toby taki toast mógł nabrać politycznej wymowy... No – sami widzita: myśleliśwa o tym naszym ciele pedagogicznym.

Nagle... masz ci los... o wilku mowa! Do gospody wchodzi nasz kierownik! Zadowolony, uśmiechnięty... woła od proga: – Kochani! Znalazłem notes!

– Jaki notes? – pytamy.



– Ze stopniami. Sprzed wojny. Teraz będę mógł już opublikować swoje pamiętniki.

Powiadam wam, w ludzi jakby grom strzelił! Nie o nas tu chodzi, ale o młodzież. Dzieci wiedzą, że ich ojcowie zawdy mieli same piątki, a że ich pokazać nie mogą, to dlatego, że się świadectwa spaliły w czasie działań wojennych. Inna rzecz, że jakby te szkolne cenzury faktycznie się miały w czasie wojny spalić, toby do dzisiaj musiał się ogień fajczyć.

Ale to już jest sprawa naszego pokolenia. Wyżu demokratycznego nic to nie obchodzi! Powiadam więc kierownikowi: – Czy wy zdajecie sobie sprawę, że waszymi pamiętnikami możecie ujawnić stopnie ludzi na stanowiskach, z których dumna jest nasza gromada? Wiecie, że to może być uznane jako zdrada tajemnicy państwowej?

– Iii... – kierownik na to. – Chocia i taki Wałek, twórca powiatowego cudu gospodarczego... Powiadacie, że taki sprytny, bo wydaje więcej, niż nakradnie... Dawniej taki nie był. Tylko ze śpiewu miał trójkę. Rešta duble. Albo Idzi Y...

– Ani się ważcie na niego coś powiedzieć... Jako prezes spółdzielni jest naszym dobrodziejem... Zreśtą jaki imperialista może posłyszeć i kapitalizm spółdzielnie zadławi...

– Spokojna głowa – kierownik na to – u niego w spółdzielni taki bałagan, że mowy nie ma, żeby tam kapitalizm mógł powstać. Zreśtą taki był od dziecka. Tabliczki mnożenia nigdy nie opanował, tylko w odejmowaniu niejaki zdolności przejawiał. Albo i wy, sołtysie...

– Dosyć!!!! – zawołałem. – Chcieliśwa z wami żyć jak przyjaciele, ale teraz koniec! Będzie tylko służbowo! Dach się wam załata, węgla przywiezie, mieliśwa wam zrobić party, ale mowy nie ma. Weźcie sobie te wędliny i kiełbasy do chałupy. Niech wam zaszkożdzą! Mleka też wam żadna baba od tej pory dokładnie nie wymierzy. Nigdy się już nie połapiecie, czyście za liter nie dostali przypadkowo półtora. Tyle lat jesteście w gromadzie, a przecie nikt wam przykrości nie zrobił, ale teraz, kiej wy do nas z pamiętnikami?... Telewizor wam na święto nauczyciela kupimy! Rujnujcie se nerwy oglądaniem programu! Nawet drzewa się wam narąbie, ale dyplom wybijcie sobie z głowy! Nigdy już dyplomu nie dostaniecie!!!

Jemu w oczach łzy stanęły, że w ostatnim roku przed emeryturą taką nam przykrość zrobił...

– Dziękuję – powiada – żebyście tak mogli jeszcze jaką dobawkę do pensji załatwić...

– Jaką dobawkę? – pytam.

- A premię...
- Co to, to nie... Wysokość premii pewnikiem ustalają wam najgorsi uczniowie<sup>400</sup>.

**Przykład 309. Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) –  
*Wieczorowa politechnika (1967)***

Cię choroba! Oj, rozwinęła się nam ta wynalazczość w Chłapkowicach, rozwinęła... Z wątej, ekskluzywnej roślinki, przekształciła się w ruch masowy, obejmujący całe społeczeństwo, bez różnicy pochodzenia i wykształcenia.

Wynajdują dzisiaj ludziska, co pod rękę popadnie. Ten starą lampkę naftową na strychu wynajdzie, tamten sklep masarski ze świeżą wędliną, jeszcze inny wynajdzie sposoby kupowania nawozów sztucznych w potrzebnych do gospodarki ilościach. Słowem – każdy się stara jak może, żeby nasza wynalazcza sprawozdawczość wyglądała w powiecie jak należy.

Powiem wam, że do nauki zaczęły się garnąć takie jednostki, po których ze wszystkim tego bym się nie spodziewał.

Przychodzi tu kiejsiś do mnie bufetowy Banaszczyk. Kręci się, kręci... Wreszcie nie wytrzymał, wyjął z teczki notatki, odbił korek, co trzeba do szklaneczek rozlał i powiada:

– Prowadzę ci ja ten prywatny bufet we wsi, te jaskinię demoralizacji, i ze wstydu się palę, chocia podatki płacę regularnie w pełnym wymiarze, według mnie, za wysokim. A tymczasem wkoło rośnie to nowe... Ludzie się kształcą, mają ten głód wiedzy i chocia każdy swoje wie, ale to jeszcze mało, musimy się sami dokształcać, bo jak nam inni pomogą, to każdego indywidualnie i wszyscy razem zobaczymy, gdzie jest świńskie południe. Pozwólcie mi, sołtysie – powiada – być rektorem!

– Czym?!!

– Rektorem. Zlikwiduję swój bar, a na jego miejscu założymy prywatną wieczorową politechnikę. Zamiast podatku dostanę jeszcze dotacje. W Polsce się wiedzę popiera.

– Niby sprawa jest do załatwienia, ale masz ty, Banaszczyk, jakiesiś szkoły?

– A tak! Wyższe studia.

– Żadne wyższe studia nie zastąpią solidnej szkoły podstawowej, a ty, o wiele pamiętam, podstawową ukończyłeś na drugim roku studiów.

– Magisterkę robiłem zaocznie. Mam na to dwóch świadków.

---

<sup>400</sup> J. Ofierski, *Dzień Nauczyciela*, [w:] tegoż, *Party u Kierdziołka*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1967, s. 19–22. Por. tenże, *Dzień Nauczyciela*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 75–77.

– Słuchaj, Banaszczyk – mówię. – Ja cię zrobię rektorem, ale żebyś się potem nie wypierał. To jest sprawa poważna...

No i stało się!!! Otwarliśwa w Chłapkowicach wieczorową politechnikę na miejscu starego baru. W powiecie inicjatywę pochwalili i chociaż z oporami, ale kandydaturę Banaszczyka zatwierdzili. Pracownie i gabinety pozostały się te same, ino do Banaszczyka mówiliśwa teraz „magnificencyjo”.

Oj, trzeba wam było zobaczyć, jak się ludzie garnęli do uczelni... Nieraz trzeba było po wykładzie płukanie żołądka robić, a ludzie do nauki się nie zrażali. Nie czas jeszcze dzisiaj mówić o osiągnięciach naszej uczelni. W każdym razie zamiast stawy duchowej zaczęliśmy dawać zakąskę duchową. My pierwsi.

A może mi się tylko wydaje??<sup>401</sup>

**Przykład 310. Agnieszka Osiecka – *Lekcja fizyki*.  
Piosenka z programu „Marsz do kąta”  
Studenckiego Teatru Satyryków,  
do muzyki Wojciecha Solarza (1967)**

Oj dana dana,  
Nie ma szatana,  
A świat realny  
Jest poznawalny.  
Oj dana dana  
Nie ma szatana,  
A świat realny  
Jest poznawalny  
– Oj dana.

Wszystko na świecie jest materyja,  
Wie o tym Grójec i Złotoryja,  
Tylko coś czasem  
Błyśnie pod lasem,  
Tylko coś jęczy,  
Gdy owce pasę,  
Oj dana.  
Oj dana dana,  
Nie ma szatana... (itd.)

Życie jest formą istnienia białka,  
Tylko coś czasem w kominie załka,

---

<sup>401</sup> Tenże, *Wieczorowa politechnika*, [w:] tegoż, *Party...*, dz. cyt., s. 58–60.

Tylko coś gwiźnie,  
Tylko coś liźnie,  
Coś się pokaże  
W samej bieliźnie –  
Oj dana.  
Oj dana dana,  
Nie ma szatana... (itd.)

Ruch – to jest przecież forma energii,  
Lecz pod kaplicą lepiej przyklęknij,  
Bo tam coś łązi,  
Bo tam się rusza,  
A to na pewno zbłąkana dusza,  
Oj dana.  
Oj dana dana,  
Nie ma szatana... (itd.)

Wszyscy szatani są malowani,  
Jest tylko jeden, co nas tu mami,  
Ten to jest żywy,  
Ten jest prawdziwy.  
Patrzcie, jak rosną  
Wam w górę grzywy.  
Oj dana.

*(Tu cud na scenie i widowni. Ciemno, huk, jęk, zimny wiatr przez salę.  
Potem znów światło i spokój).*

Oj dana dana,  
nie ma szatana... (itd.)<sup>402</sup>

**Przykład 311. Agnieszka Osiecka – *Lekcja miłości*.  
Piosenka z programu „Marsz do kąta”  
Studenckiego Teatru Satyryków,  
do muzyki Jarosława Abramow-Newerly’ego (1967)**

To – to się zaczyna,  
Gdy z teczką po szkole  
Idzie się z dziewczyną  
Do głowy po olej.

<sup>402</sup> A. Osiecka, *Lekcja fizyki*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), dz. cyt., s. 341–342.

Ja kocham, ty kochasz, on kocha – lekcja miłości,  
On kocha, ty kochasz, ja kocham – lekcja zazdrości.  
Mówi się do wiersza,  
Nad jeziorem hasa,  
Ale to dopiero pierwsza klasa.

To nie sztuka chłopca kochać, kiedy się zaziębi,  
To nie sztuka przy księżycu w towarzystwie zięby.  
To nie sztuka na wycieczce pod Królewskie Dęby,  
Ale powiedz, jak go kochać – gdy go bolą zęby.

To – to się zaczyna,  
Gdy wyjdiesz na ganek  
I zechcesz z dziewczyną  
Witać każdy ranek.  
Ja kocham, ty kochasz, on kocha – lekcja miłości,  
On kocha, ty kochasz, ja kocham – lekcja zazdrości.  
Światło, gaz, telefon,  
Oszczędności kasa...  
Ale to dopiero pierwsza klasa.

To nie sztuka chłopca kochać gdzieś tam w cichym porcie.  
To nie sztuka na kolację mieć po jednym „sporcie”.  
To nie sztuka, gdy się burzy młoda krew w aorcie,  
Ale powiedz, jak go kochać, gdy się jest w komforcie.

To – to się zaczyna  
W grudniu albo w maju,  
Mówi się o piekle,  
Mówi się o rajcu.  
Ja kocham, ty kochasz, on kocha – lekcja miłości,  
On kocha, ty kochasz, ja kocham – lekcja zazdrości.  
Bywa, że to sekret,  
Albo – pisze prasa,  
Ale to dopiero pierwsza klasa.

To nie sztuka chłopca kochać na Hożej w izdebce,  
To nie sztuka pod Olsztynem na pieszej wycieczce,

To nie sztuka przy big-beacie i przy starej śpiewce,  
Ale powiedz, jak go kochać, ale powiedz, jak go kochać!  
Kiedy on mnie nie chce.  
Nie chce mnie!<sup>403</sup>

**Przykład 312. Agnieszka Osiecka – *Lekcja polskiego*.  
Piosenka z programu „Marsz do kąta”  
Studenckiego Teatru Satyryków,  
do muzyki Macieja Małeckiego (1967)**

Nieraz już przebyłam drogę  
od grudnia do stycznia,  
a nadziwić się nie mogę,  
jaka moja mowa śliczna.  
Czasem uczą się polskiego  
Anglicy i Szwedzi,  
ale nic nie pojmą z tego  
co w tej mowie siedzi.

Ucz, ucz, ucz, ucz się polskiego  
na trudne i na łatwe dni.  
Cóż, coś, coś, coś w tym jest złego,  
co złego to nie my.

Zanim obywatel Szopen  
zasiadł do pianina,  
to mu piękniej niż w Europie  
polskie chrząszcze brzmiały w trzcinach.  
Chociaż tańczy modne tańce  
nasza młodzież cała,  
w średniorolnym gospodarstwie  
dzięcielina pała.

Ucz, ucz, ucz, ucz się polskiego...

Dziwią się zamorskie ludy,  
czemuż to, panowie,  
wielki Polak nie przez Polskę,

---

<sup>403</sup> Taż, *Lekcja miłości*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), dz. cyt., s. 346–347.

a przez Litwę tracił zdrowie.  
A ja trzymam wróbla w garści,  
na dwóch stołkach siedzę.  
Kto mi mowę tę zachwaści,  
przyjaciela pozna w biedzie.

Ucz, ucz, ucz...

Skocznie śpiewam czy też smutnie,  
zawsze dla jednego,  
on nastroił moją lutnię,  
nie wiem po co i dlaczego.  
Porzucił mnie w rozmarynie,  
bo była nie taka,  
ale zawsze jest on przy mnie,  
bo wziął serce do plecaka.

Ucz, ucz, ucz...<sup>404</sup>

### **Przykład 313. Michał Radgowski – *Dalej, bracie, na kursokonferencję* (1967)**

Zorganizowany wypoczynek mas pracujących w Polsce dzielimy umownie na dwie kategorie: 1. wczasy, 2. kursokonferencje. Jeśli zanalizować pokrótce różnice między tymi kategoriami, to okazuje się, że: 1. by uzyskać wczasy, trzeba poświęcić pewną sumę pieniędzy i pewną ilość urlopowego czasu. Obydwa czynniki są w naszym państwie ściśle reglamentowane. 2. By uzyskać prawo udziału w kursokonferencji, trzeba mieć wolę podnoszenia kwalifikacji, dyskusyjny punkt widzenia na różne, przeważnie nieokreślone, sprawy oraz dobre stosunki z tymi, którzy kwalifikacje podnoszą oraz dyskusję podsumowują. Jest rzeczą jasną, że nasza gotowość doskonalenia się i dyskusowania będzie opłacona przez zainteresowaną instytucję, ergo oszczędzamy pieniądze i czas urlopowy. 3. Wczasy bywają w różnych miejscowościach – modnych i zapyziały, kursokonferencje z reguły w najlepszych. 4. Na wczasach zwykle nas nie przekarmiają i słusznie, człowiek odpoczywający nie potrzebuje tylu kalorii, co jednostka pracująca, lub – nie daj Boże – myśląca. Na kursokonferencjach po-

---

<sup>404</sup> Taż, *Lekcja polskiego*, [w:] R. Pracz, dz. cyt., s. 115–116. Por. taż, *Lekcja polskiego*, [w:] J. Czarny, T. Gigier (oprac.), dz. cyt., s. 337–338.

siłki są obfitsze, ponieważ wola podnoszenia kwalifikacji związana jest sama przez się z poważnym ubytkiem energii, a w niektórych wypadkach prowadzi wręcz do wycieńczenia organizmów słabszych.

Z powyższego wynika, że kursokonferencje są lepszą formą wypoczynku, toteż kursokonferenci powracają ze swych pracowitych zlotów w doskonałej formie fizycznej; ogorzali od słońca, napełnieni radością życia korzystnie odcinają się od wymęczonych wczasowiczów, którzy jadali na trzy zmiany, sypiali w pokojach parosobowych i w towarzystwach chrapiących, pilnowali dzieci i żon, podróżowali w tłoku, a nie w zarezerwowanych przedziałach.

Zorganizowanie kursokonferencji narzuca się ze szczególną siłą w następujących warunkach:

1. Istnieje paląca potrzeba wydatkowania funduszu szkoleniowego, który nie może przejść poślizgiem na przyszły rok budżetowy.
2. Istnieje ambitne kierownictwo, które kierując się zasadą „human relation”, doszło do wniosku, iż w warunkach monotonii biurowej pracownicy się nudzą i popadają w urzędową rutynę; trzeba im stworzyć przyjemną odmianę.
3. Istnieją piękne obiekty wypoczynkowe, które nie wykonują planu bądź wskutek tego, że nastawiły się błędnie na obsługę indywidualnego turysty, bądź wskutek źle skalkulowanych cen. Sprzedaż hurtem wszystkich „osobołówek” przyczynia się do podciągnięcia planu, co ze społecznego punktu widzenia jest rzeczą nienaganną.

Jeśli zaistnieją wszystkie te warunki, kursokonferencja niechybnie dojdzie do skutku – jest to konieczność niemal przyrodnicza.

Uzdrowiska i miejscowości wczasowe opanowane przez kursokonferencje są wyraźnie oznakowane: na dworcach ulokowano punkty informacyjne, ambitniejsze rady narodowe wywieszają nawet transparenty z hasłami w rodzaju: „Serdecznie witamy uczestników kursokonferencji nawożenie na glebach ciężkich”. Przesadni życzą nawet pomyślnych obrad.

Człowiek postronny przyjeżdżający służbowo lub prywatnie do takiej miejscowości powinien zrozumieć szybko, że jest tu nieprzyjemnym intruzem oraz że ubieganie się o miejsce w hotelu będzie aktem bezczelności, a nawet – w pewnym sensie zabiegiem antypaństwowym. Należy więc przenieść się do innej miejscowości, w której nastąpiła właśnie przerwa w kursokonferencjach.

Zdarzyło mi się kiedyś w praktyce reporterskiej przybyć do pięknego miasteczka, w którym dyskutowali właśnie pracownicy komunikacji. Obrady toczyły się spokojnie, gdyż w miasteczku tym nie było ani jednego autobusu, zaś ocalała z przeszłości dorożka reprezentowała sektor własności zacofanej. Ponieważ odmówiono mi miejsca w jedynym hotelu podałem się za uczestnika kursokonferencji. Przyjęto mnie serdecznie, wydano bony obiadowe i przydzielono



właściwe locum. Wieczorem w barze tytułowano mnie „szanownym kolegą” i wypytywano o przebieg pierwszego seminarium – wszyscy byliśmy jednakowo zorientowani w tej sprawie.

Na miłośników kursokonferencji czyhają wszakże pewne niebezpieczeństwa, które w krótkości wymieniam: 1. Niektórzy organizatorzy przypuszczają poważnie, że dyskusje zawodowe nie mają żadnych szans w Warszawie, Białymstoku czy Poznaniu, natomiast wybuchną z niesłychaną siłą w Zakopanem, Międzyzdrojach i Kazimierzu Dolnym. Organizatorzy ci wywierają brutalny nacisk na uczestników kursokonferencji, by wstawali o 8 rano i kroczyli do sali konferencyjnej nie bacząc na powaby terenu i pogodę. W takich warunkach wypoczynek nasz jest poważnie zagrożony. 2. Na niektórych kursokonferencjach wprowadza się przykry zwyczaj częściowej odpłatności za wikt i mieszkanie. Pozostaje to w sprzeczności z zasadami gry: należymy wszakże do społeczeństwa z całym zasobem sił moralnych i fizycznych. Te siły służą społeczeństwu, ergo ich wzmacnianie jest robotą społeczną, ergo ta praca powinna być opłacana przez społeczeństwo. 3. Zdarzają się niemiłe przypadki, iż po zapisaniu się na listę uczestników, dowiadujemy się, że kursokonferencja odbędzie się w zwykłym miejscu pracy z przerwą na obiad, który należy zjeść za własne pieniądze. Jasne, że w tych warunkach duch nasz nie poszybuje wyżej biurka i papierka urzędowego.

Mimo tych przeszkód kursokonferencje obejmują powoli nowe regiony kraju. A kraj mamy piękny i rozległy<sup>405</sup>.

### **Przykład 314. Horacy Safrin –**

#### ***Uwagi mądrego niedźwiedzia o górach* (1967)**

Niedźwiedź, co wychowawcą dobrym być potrafi, dawał swej latorośli lekcję geografii:

„Widzisz szczyt, co skałami bieli się z daleka?  
Tam stanąwszy, nie dojrzysz ni zwierza, ni człeka.  
Ten cypel twej szczególnej polecam uwadze,  
on bowiem uzmysławia wszelką ziemską władzę...  
Spójrz na prawo, gdzie piargów bezkształtne kontury  
skrzą się w słońca odblaskach, w promienistej złudzie...  
i dobrze im się przypatrz. To są złote góry,  
które sobie wzajemnie obiecują ludzie...

<sup>405</sup> M. Radgowski, *Dalej, bracie, na kursokonferencję*, [w:] tegoż, *Nieśmiali żyją krócej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1967, s. 60–63.

A teraz pójdźmy ścieżką, która pnie się wzwyż  
 za skłonem ujrzyś górę o spadzistej ścianie.  
 Ta góra chorowała na wielkości manię,  
 zaszła w ciężę i małą urodziła mysz...  
 Na koniec wielką prawdę przyjmij, moje dziecię,  
 którą odziedziczamy po dalekich przodkach:  
 Góra z górą nie zejdzie się nigdy na świecie,  
 ale niedźwiedź z niedźwiedziem na pewno się spotka<sup>406</sup>.

**Przykład 315. Stanisław Tym – *Dzienniczek*. Fragment monologu  
 z repertuaru Krzysztofa Kowalewskiego  
 z programu „Marsz do kąta”  
 Studenckiego Teatru Satyryków (1967)**

(*Wygłasza mężczyzna z dzienniczkiem szkolnym w rękę*).

Spokojnie, Roman. Tylko się nie denerwuj. Chciałeś mieć syna – no, to masz. To jest syn?! Sześć dwójek na półroczu. Czekaj, jak wrócisz do domu, to ja z tobą porozmawiam. Już ja będę wiedział, jak. (*Próbuje odpiąć pasek, ale stwierdza, że spodnie ma na szelkach*). Poczujesz ty ojcowską rękę. (*Czyta*) „Po raz piąty nie umiał narysować sinusoidy”. Piąty raz! Co za matoł. Z kogo on to ma? Trzeba być wyjątkowo tępym, żeby nie umieć narysować tej... no... (*czyta*) ... si-nusoidy. Oo! „Syn od miesiąca nie uczęszcza na gimnastykę”. Biedactwo. Pewnie cię nóżki bolą. Twisty to on może tańczyć cały dzień jak opętany. (*Wykonuje twista*). „Ja mam dwadzieścia lat, ty masz dwadzieścia lat – przed nami siódme niebo!”... Poczekaj. Tatuś ci da ósme niebo. „Syn pański ugryzł w ucho swojego kolegę”, „Nie śpiewa na zajęciach chóru szkolnego”. On w ogóle nie umie śpiewać. Co on umie. „Śpiewa na lekcjach matematyki”. No, proszę. Jednak jak chce, to potrafi. „Po raz szósty nie umiał narysować sinusoidy”. Jak to, nie umiał, przecież już rysował? (*Sprawdza*). A nie, też nie umiał. Tylko spokojnie, Roman, tylko spokojnie. Nie denerwuj się. Ciekawe, co z niego wyrośnie? Ja wkuwałem dniami i nocami, jak byłem w szkole, a ten sobie bimba. Bimba. No, tak. Ja dostaję z tego wszystkiego fiksacji. Mnie już jest gorąco. Proszę bardzo – sfałszował podpis pod uwagę. Mój podpis! On jest taki tępy, że nawet podpisu nie umie porządnie podrobić. Już ja go nauczę. Spokojnie, Roman. Oo! Proszę! „Napłuł na portret prezydenta Mościckiego”. Napłuł. Napłuł na portret prezyden... (*sprawdza*) na portret prezyden... ta? (*Ogląda okładkę*). Rok szkolny 1933/34. Tylko spokojnie, Roman.

<sup>406</sup> H. Safrin, *Uwagi mądrego niedźwiedzia o górach*, [w:] J. Afanasjew, M.J. Kononowicz, W. Słobodnik, H. Safrin, J. Sztudynger, dz. cyt., s. 154.

Dzienniczek Romana Kowalskiego. Mój! No, proszę. Sprzed trzydziestu lat, a jak porządnie utrzymany<sup>407</sup>.

**Przykład 316. Stanisław Tym – *Ballada o Jasiach*.  
Piosenka z programu „Marsz do kąta”  
Studenckiego Teatru Satyryków,  
do muzyki Marka Lusztiga (1967)**

Raz dom budował majster Jaś,  
nazwoził wapna, cegieł.  
Raporty słał do zwierzchnich władz,  
a w nich budowy przebieg...  
Betonu tony, wapno, piach  
i setki metrów stali.  
Wiecha. Zachwyty. Och i ach!  
Gdy dom się wziął zawalił.

W szkole mówili: ucz się ucz.  
A Jaś to miał głęboko.  
Dom się zawalił – Jaś pod klucz.  
I siedzi. Kit mu w oko.

W fabryce był dyrektor Jaś  
(w czepku rodzone dziecko).  
Bił się o plan, w fabryce zaś  
produkcja szła. Na eksport.  
Aż raz w fabrykę strzelił grom  
i wstrząsnął lekko krajem:  
Zamiast na eksport to na złom  
produkcja się nadaje.

W szkole mówili: Jasiu, kuj...  
Jaś na to mówił: kichę...  
Więc teraz – chociaż człowiek swój –  
okrągłą dostał dychę.

Wśród fabryk, pól, wierzbowych baz,  
od Bugu aż do Odry,

---

<sup>407</sup> S. Tym, *Dzienniczek*, [w:] H. Lankiewicz (oprac.), dz. cyt., s. 87. Por. tenże, *Dzienniczek syna*, [w:] R. Sadowski (oprac.), *Podwieczorek bez mikrofonu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979, s. 142–143.

co dzień się zjawia jakiś Jaś  
i jest straszliwie mądry.  
Ma w sobie pewność, wiarę, wdzięk,  
przemawiać lubi w tłumie.  
Ambicję ma – i tylko sęk,  
że Jaś niewiele umie.

I żadna satysfakcja stąd,  
że nowy Jasio w ciupie.  
Bo to, że Jasio zrobił błąd,  
nas po kieszeni łupie.  
Cóż, że Jaś order ma i krzyż,  
jeżeli tylko się da.  
Lepiej się uczmy w szkołach niż  
wciąż na Jasiowych błędach<sup>408</sup>.

### **Przykład 317. Stanisław Tym – *W obronie artykułu* (1967)**

W szkole jest u nas bardzo cacy,  
Przez okna widać zakład pracy,  
Nauczycielska kadra w sumie,  
Raczej oparta na fachowcach  
I nawet woźny coś tam umie –  
Jest tylko jedna czarna owca.

Skarżypyta,  
bez kopyta,  
wciąż donosi!  
Skarżypyty  
nikt nie lubi,  
nikt nie znosi.  
Skarżypyta,  
Głupi lizus,  
Wszawy szpicel,  
Sam do domu  
Wraca z budy  
Przez ulice.  
W szkole spiskowców raczej nie ma,  
Zadania pisze się na temat,

---

<sup>408</sup> Tenże, *Ballada o Jasiach*, [w:] R. Pracz, dz. cyt., s. 114–115.

Nikt zbrojnym czynem wywrotowym  
I spiskiem się tu nie zajmuje,  
Nikt nie chce strącić żadnej głowy –  
A szpicel cały czas szpicluje.

Skarżypyta,  
bez kopyta –  
każdy wie kto.  
Rzadko słucha  
Go już nawet  
Sam dyrektor.  
Skarżypyta,  
Głupi lizus,  
Mierny gnojek.  
Niech donosi!  
Skarżypyty  
Się nie boję!

Że czasem inne mam poglądy?  
Że mam o sprawach różne sądy?  
Że pogląd ciasny mam lub szerszy?  
Ja mam to prawo – powiem tu ci –  
Bo mam siedemdziesiąty pierwszy  
Artykuł mojej Konstytucji!

Skarżypyto  
Zgiń, przepadnij!  
Ciemny typie,  
Nikt się nawet  
Nie zasmuci  
Na twej stypie.  
Wszyscy orzą,  
Uczą, piszą,  
Domy wznoszą –  
Tych nam trzeba,  
A nie durniów,  
Co donoszą<sup>409</sup>.

---

<sup>409</sup> Tenże, *W obronie artykułu*, [w:] Z. Adrjański, W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Teatry...*, dz. cyt., s. 76–78.

**Przykład 318. Wiech (Stanisław Wiechecki) –  
*Studenciaki dopisali* (1967)**

– Powiedz mnie pan, panie Piecyk szanowny, co by tu kupić chłopakowi na gwiazdki?

– Książki jakieś.

– No dobrze, ale jakie?

– Słyszałem, że podobnież wyszedł świeżo Słownik Języka Polskiego ułożony przez jednego profesora. To bardzo pouczające.

– Z pewnością, ale jak to wygląda?

– Uważasz pan to jest coś w podobieństwie książki telefonicznej, sennika egipskiego i temuż podobnież, bo masz pan tam wszystkie słowa ułożone podług tak zwanego analfabetu od a do z, z detalicznym objaśnieniem.

– Na przykład?

– No weźmy na przykład jakieś słowo na literę G. W takim senniku masz nadmienione słowo „gacie” i objaśnienie: „gacie widzieć – kłótnia z żoną”. A w słowniku już inaczej: „Gacie – majtki noszone przez mężczyzn pod spodniami – kalesony”.

– A, to w ten sposób.

– Właśnie. Teraz idziemy dalej. Weźmy pod uwagę takie słowo „Głowa”. Jak tam było w egipskim, już nie pamiętam, ale w słowniku języka polskiego masz pan napisane mniej więcej tak: „Wystająca z popiersia najwyższa część autonomii ludzkiej”.

– Wiesz pan, że ja nie za bardzo to rozumiem. Po co faktycznie opisywać to, co wszyscy wiedzą, przecież kaźden i tak odróżnia głowę od inszej części ciała. Sen w porządku, wymaga wytłomaczenia, ale słowo „Głowa”?

– Nie masz pan racji bytu tak zaznaczać. Po pierwsze, profesorowie lubieją objaśniać, a po drugie nie możesz pan w słowniku dać takiej na przykład odpowiedzi na słowo „Koń”. Coś pan konia nie widział. To byłoby nie naukowo. Totyż pan profesor nam objaśnia: „Koń zwierze jednokopytne” i doda je przykłady: wierzchowiec, koń dorożkarski, koń Pana Jezusa i temuż podobnież. Jednem słowem, słownik musi detalicznie opisać i szafę, i cybernetykie.

– To musi być grubsza książka.

– Rzecz jasna, w kilku tomach. Teraz obecnie wyszedł, zdaje się, szósty. A kudy jeszcze do końca.

– I ten profesor sam to wszystko macha?

– No nie, studenciaki mu pomagają. Ale jak to z młodzieżą. Trzeba, uważasz pan, mocno ich pilnować. Zada jem profesor opisać te, mówmy, „Głowę”,

a oni przez samopoczucie wolnego żartu opiszą wprost przeciwnie. I to takich przykładów naprzytaczają, takim publicznym słowem się posłużą, że profesor włosy z głowy sobie wrywa.

– No dobrze, a skąd te przykłady bierą?

– Jak to skąd? Trudności nie mają żadnych. Do teatru się wybiera, do kina skoczą, przeczytają parę nowoczesnych powieści i już mają przykładów a przykładów, że najwięcej nawet oblatany wozak spod Dworca Głównego lepszych by nie wymyślił.

– No to ten nauczyciel ma z nimi niemożliwe zmartwienie.

– Wiadomo. Do drukarni trzeba lecieć, przepraszać, wycafywać to wszystko i apiać na nowo osobiście kopiować i podbierać do druku. Przez to tak wolno leci ta robota.

– To wiesz pan, boje się, że zaczem on skończy, będzie musiał od początku wszystko zaczynać.

– Dlaczego?

– Bo ta nasza piękna mowa stale i wciąż niemożliwie się zmienia. Weź na przykład takie słowo jak: „wysiadać”. Jak pan myślisz, w jaki sposób profesor go objaśnia.

– Zwyczajnie – wysiadać znaczy się opuszczać jakieś miejsce, gdzie się przedtem siedziało, na przykład wysiadać z tramwaju.

– O właśnie i to jest źle. Wysiadki są teraz inne. Wysiada się z posady, z małżeństwa, z wyścigu pokoju, z życia, czyli że jest to wysiadka śmiertelna. Ale nie z tramwaju. Spróbuj pan zapytać się w tramwaju czy w trajlebusie leguralnego warszawiaka, którego przed panem stoi: „Czy pan wysiada?” obsztorcuje pana z miejsca: „To może pan wysiada – ja wychodzę”.

– No tak jest, ale słownik nie może czekać. Chociaż masz pan racje. Zmiany są stale i wciąż. Sami profesory jeden drugiemu na złość robią i różne prepozycje co i raz zasuważą. Niedawno znalazł się taki, którego w ulicach chciał nam litery z dużych na małe pozmienić. Zażądał, żeby pisać nie „Plac Teatralny”, a „plac Teatralny”. Ale nadział się na „Plac Dzierżyńskiego”, gdzie jak wiadomo mieści się Stołeczna Rada Narodowa i ta się nie zgodziła, żeby nie mieć ekspensu na nowe tabliczki. I w ten sposób projekt wysiadł. Oszczędność nasz uratowała.

– Że tyż panie takie rzeczy przychodzą facetom do głowy, nie mają większych zmartwień czy jak?

– Co pan chcesz, już ładne parę miesięcy nic się w gramatyce nie zmieniało, a każdy chce się wykazać, premie racjonalizatorskie zahaczyć. Ale słownik nie może czekać.

– W każdym bądź razie powinno się w niem zamieszczać to, co już jest wynalezione i do takiej dajmy na to głowy musowo dopisać objaśnienie: baśka, globus, arbuż, czapa.

– Przypuszczam, że to już studenciaki na mur dopisali<sup>410</sup>.

**Przykład 319. Tadeusz Drozda – *Dojrzałość*.  
Piosenka z giełdy piosenki studenckiej  
we wrocławskim klubie Pałacyk (1968)**

Kiedym niedawno osiągnął dojrzałość,  
czego świadectwo dano mi do ręki,  
wówczas na studiach zapytał ktoś śmiało,  
czy z pochodzeniem ma pan sęki?  
I stąd ta moja mina zmięta,  
chodzę z problemem od matury.  
Ja jestem syn inteligenta,  
więc inni patrzą na mnie z góry.  
Ja żadnych punktów, żadnych premii  
ni przychylności, co tu gadać.  
Inni rodziców lepszych mają,  
a czym ja przed światem się wykażę?

Wyrzucę precz świadectwo dojrzałości,  
wynajmę chatę oraz parę koni.  
Będę pracował i myślał o przyszłości,  
by dzieci mogły pisać: ojciec rolnik!  
I z tego prosta rzecz wynika,  
syn mieć spokojną będzie głowę.  
On będzie przecież syn rolnika,  
będzie budował życie nowe.  
Po studiach będzie miał rodzinę,  
z żoną i dziećmi w każde święta,  
ale te dzieci, skończmy kpinę...  
...znów będą dziećmi inteligenta<sup>411</sup>.

<sup>410</sup> Wiech, *Studenciaki dopisali*, [w:] tegoż, *Wista się pali*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1967, s. 255–258.

<sup>411</sup> T. Drozda, *Dojrzałość*, [za:] J. Skoczyła, *Elita i Studio 202. Hej szable w dłoń!*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2013, s. 31.



**Przykład 320. Ludwik Górski – *Pierwsza wizyta.*  
*Opowiadanie studentki* (1968)**

Profesor mówił z zapałem: – Zjawisko to występuje w klasie trapezoedru tetragonalnego, i co ciekawsze...

W tym momencie wtrąciła się żona profesora: – Kochany, nie męcz naszego miłego gościa, przecież to potwornie nudne, te twoje...

– Ależ skądże, pasjonuję się krystalografią – zawołałam, starając się, żeby to wypadło jak najszczerzej.

Była to moja pierwsza wizyta w mieszkaniu państwa C. Zostałam zaproszona przez syna państwa C, ale i pozostali członkowie rodziny nie byli mi obcy. Przed przyjściem czułam wyraźny lęk. – Żeby tylko nikogo nie urazić – myślałam rozpaczliwie. Bardzo mi na tym zależało. Pan C. był moim profesorem i dobry stopień z krystalografii mógł mieć decydujący wpływ na egzaminy semestralne.

Pani C., działaczka w komitetach opieki nad sierocińcami, była serdeczną przyjaciółką stryjenki, u której mieszkałam. Nie wybaczyłaby mi najmniejszego nietaktu w stosunku do profesorowej. Córka państwa C. była w zarządzie klubu sportowego, do którego należałam, i jej głos liczył się przy podejmowaniu decyzji o składzie drużyny. A młody C., lekko rudawy filatelista, darzył mnie uczuciem, z którym jeszcze nie wiedziałam, co zrobić, ale nie miałam zamiaru nim gardzić. Znalazłam się więc w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Siedziałam spocona, starając się wykazywać dużo zainteresowania każdą z poruszanych tu dziedzin. Usiłowałam jak najmniej zaprzeczać. Ale i potakiwanie wywoływało oburzenie co najmniej dwóch osób, a przeważnie trzech. Najgorsze było to, że zadawali konkretne pytania, na które musiałam odpowiadać. Profesor powiedział: – Oglądała pani kiedyś kalcyt? Ma sto siedemdziesiąt pięć różnych postaci i dwa tysiące pięćset czterdzieści cztery kombinacje krystaliczne.

– O tak, panie profesorze, oglądałam, i przyznam się, że zrobiło to na mnie duże wrażenie.

– Mama ma rację – wtrąciła się moja klubowa przełożona – okropna nuda te kryształy. I co pani na to, że AZS tak wypadł w ostatniej rozgrywce. Byłam przekonana, że mimo wszystko...

– Przezań – przerwał młody C. – przecież to ja zaprosiłem pannę Janinę. Chciała obejrzyć moje znaczki.

– Naturalnie – bąknęłam – właśnie znaczki...

– A była pani kiedyś w sierocińcu? – zapytała profesorowa.

– Byłam, byłam – odpowiedziałam – byłam w pewnym sierocińcu... – i czując utkwiony we mnie wzrok profesora szybko dodałam – pokazywano mi tam kalcyty.

– A w jakim sierocińcu? – zapytała zciekawiona profesorowa, a na jej twarzy malowała się duma. Wodziła po pozostałych zwycięskim spojrzeniem.

Zaczęłam się jąkać: – To... to było... było w sierocińcu w... w... na południu kraju. Właśnie wtedy poczta wypuściła piękną serię znaczków sportowych...

Działaczka sportowa przerwała mi: – Założyłabym się, że nie uwzględnili w tej serii rzutu młotem. Niestety kobiety nie rzucają młotem. A jest to przecież dyscyplina, która...

– Rzut młotem? – powiedziałam, udając, że chcę sobie przypomnieć – młot... młot. Był młot. Pamiętam doskonale, że podarowałam ten znaczek z młotem małemu sierocie spotkanemu przypadkowo na ulicy. Tak, proszę pani, od razu poznałam, że to sierota. Miał sieroce spojrzenie i także spodnie, miał też piękny rombowy kryształ siarki...

Nie pamiętam już dokładnie, co jeszcze powiedziałam. Zdaje się, że mówiłam o znaczku pocztowym, na którym był sierociniec ze stadionem sportowym w lewym rogu, z dyskiem w prawym, z piramidą heksagonalną, że profesor wykonywał na nim skok wzwyż, działaczka sierocińcowa grała na lewym łączniku, trzech roześmianych filatelistów tłukło młotkami kryształy diamentu, a siedem wiceprezesek klubu sportowego wręczało sierotom sanie bobslejowe. Nie pamiętam. Nic więcej nie pamiętam.

Przeniosłam się na inny wydział uczelni, należę już do innego klubu, wyprowadziłam się z mieszkania stryjenki i zerwałam z młodym C. A uprzedzano mnie, że oglądanie znaczków w mieszkaniu młodego mężczyzny do niczego dobrego nie prowadzi<sup>412</sup>.

### **Przykład 321. Marian Hemar – *Na wykształconego* (1968?)**

Człowiek wszechstronnie wykształcony

Ma w domu różne leksykony.

Wykształcony człowiek zaziera

To do Szobera, to do Brücknera.

Wykształcenie jest wiedzą, gdzie by

Zajrzeć w razie nagłej potrzeby?

Encyklopedia Powszechna, Kryński,

Arct, Doroszewski, słownik łaciński –

<sup>412</sup> L. Górski, *Pierwsza wizyta. Opowiadanie studentki*, [w:] tegoż, *Lubię być szczęśliwy*, Iskry, Warszawa 1968, s. 63–65.

Wieczorem zajrzy, w nocy poszuka,  
Rano poucza żona żłoba nieuka.

Niewykształcony żłobie, bodajżeć  
Kaczka kopła – nie wiesz gdzie zajrzeć!<sup>413</sup>

### **Przykład 322. Janusz Osęka – *Póki nie jest za późno* (1968)**

Odwiędziłem niedawno mojego kolegę z lat szkolnych. Kolegi nie było w domu, a drzwi otworzyła mi jego małżonka.

– Pan do męża? – spytała, patrząc na mnie badawczo.

– Tak. Jestem jego kolegą z lat szkolnych – odparłem.

– Kto to przyszedł? – rozległo się wołanie z wnętrza mieszkania.

– Jakiś pan do tatusia, synku. Mówi, że jest kolegą szkolnym – powiedziała pani domu, nie spuszcżając ze mnie uważnego spojrzenia.

W przedpokoju pojawił się kilkunastoletni dryblas w wieku szkolnym.

– Kim pan jest? Czym się pan zajmuje? – burknął nieuprzejmie w moim kierunku, taksując mnie podejrzliwie.

– Z zawodu jestem literatem – wyjaśniłem. – Pisuję humoreski, felietony i tak dalej.

– Humoreski? Czy z tego można żyć? – badał mnie dalej młodzieniec.

– Jakoś się żyje – odrzekłem skromnie.

– Kołnierz ma pan futrzany – zauważyła żona kolegi.

– Mały. Jeszcze po dziadku – stwierdziłem z zażenowaniem.

– Hmm... – mruknął syn. – Niech pan siada. Tylu różnych ludzi kręci się dzisiaj po świecie. Przeważnie nie wiadomo, co to za jedni. Naszym zadaniem jest ustrzec ojca od złego towarzystwa.

– Musimy czuć, żeby reagować, póki jeszcze nie jest za późno – dodała mama.

Zdjąłem palto, usiadłem na brzegu krzesła. Żona kolegi szkolnego zajęła miejsce na sofie, a syn zaczął spacerować po pokoju zajęty swymi myślami. Od czasu do czasu zatrzymywał się, spoglądając mi w oczy zniecka.

– Jeden mój kumpel zaniedbał kontroli nad swym ojcem – rzekł wreszcie. – Jego matka też nie była bez winy. Ojciec kumpla ofiarował jej kiedyś srebrnego lisa, a jemu kupił skuter. I co się potem okazało? Wpadł w złe towarzystwo, które wciągnęło go do gangu. A oni nie zareagowali, mimo że już przedtem przynosił do domu jakieś pieniądze. Nie zaradzili złu, kiedy jeszcze nie było za późno.

<sup>413</sup> M. Hemar, *Na wykształconego*, [w:] tegoż, *Liryki, satyry, fraszki*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1990, s. 345.

– Przykra sprawa – pozwoliłem sobie na uwagę. – Jednak ja osobiście do żadnego gangu nie należę.

– Powiedzmy – rzekł młodzieniec z powątpiewaniem.

Rozległ się dzwonek.

– Ojciec wrócił – oznajmiła pani domu.

Kolega szkolny bardzo ucieszył się na mój widok.

– Stary druhu! – wołał. – Witam cię z radością! Zaraz otworzymy butelkę koniaku!

– Jakiego koniaku? – zainteresował się syn. – Skąd ojciec ma koniak?

– Kupiłem jeszcze w zeszłym roku – tłumaczył skonfundowany pan domu.

– Z premii kwartalnej...

– Z premii? – przygwoździł go wzrokiem synalek. – Niech tata pokaże dokumenty wypłaty, kwity!...

– Żebyś tylko w coś nie wpadł, kochanie – napominała mama głosem płaczliwym. – Dziurawiecki ofiarował swojej żonie dwie złote bransoletki, a potem dostał osiem lat. Gdyby ona wcześniej się zainteresowała...

– Żadnych bransoletek ci przecież nie dają – bronił się mój szkolny kolega.

– Na razie na szczęście nie – przyznała małżonka.

– Wczoraj widziałem ojca na ulicy z jakimś facetem – indagował syn. – Miał na rękę dwa złote pierścionki, tak jak ci z podziemia gospodarczego.

– Nie znam go zupełnie – zaklinał się mój kolega. – Podeszedł do mnie i pytał, którędy do dworca...

– Z każdym należy rozmawiać tylko przy świadkach – kontynuował syn. – Potem powiedzą, że coś wręczył i kłapa.

– Zrozum, że trzeba cię pilnować, żebyś się nie dał w nic wplątać – przekonywała małżonka kolegi.

Nagle znów rozległ się dzwonek. W drzwiach ukazał się młodzieniec z włosami zmierzwionym i błyszczącym wzrokiem.

– Stary się przyznał! – krzyknął, wbiegając do pokoju.

– Przyznał się? Do czego? – spytał syn mojego szkolnego kolegi.

– Przyznał się po długich wykrętach – objaśnił tamten. – Pieniądze, za które kupił mi rower, wygrał w pokera od jednego z petentów. Kapujesz, jaka afera? Kazaliśmy mu z mamą natychmiast odnieść rower temu przegranemu...

– Rower, powiadasz – zastanowił się syn kolegi i raptem sposepniał. – Ojciec przecież też obiecał mi rower! – krzyknął, wskazując palcem mego szkolnego kolegi. – Jakże to? Skąd ten rower?

– Rower... no, tego... rower – jękał się przesłuchiwany.

– Pan lepiej niech już pójdzie – zaproponowała mi pani domu. – Rozumie pan, musimy dokładnie dowiedzieć się od męża, co i jak... Póki jeszcze nie jest za późno...

Wyszedłem z kumplem syna mego szkolnego kolegi, który po drodze tłumaczył mi, że dzieci, nie kontrolujące dochodów swych rodziców, są w pełni odpowiedzialne za wszelkie płynące stąd smutne następstwa<sup>414</sup>.

### **Przykład 323. Jerzy Wittlin – *Vademecum szefa.* *Jak układać sobie znajomości? (1968)***

Przewidujący szef rozpoczyna układanie sobie znajomości już w szkole podstawowej. Spośród kolegów klasowych typuje kilku, którzy, jego zdaniem, muszą w przyszłości zrobić karierę. Typując kolegę szkolnego, przyszły szef ustala najpierw, co robi tatuś kolegi, co jego mamusia, jak długo już robią to, co robią, czy długo jeszcze mają szansę robić to, co robią, wreszcie – czy synek zapowiada się na dobrego synka, czy też, być może, wyrodnego. Z kolegami tymi przyszły szef spędza pauzy, dzieli się z nimi przyniesionym prowiantem, podpowiada im na lekcjach, daje im do odpisania wypracowania na klasówce, bierze na siebie winę za palenie papierosów w toalecie, opowiada im pieprzne anegdoty itd.

W gimnazjum postępuje podobnie, z tym że repertuar gestów rozszerza o sprawy męsko-damskie.

Następnym ważnym etapem w układaniu sobie znajomości jest służba wojskowa. Jeśli udało się szefowi zahaczyć jeszcze o okres wojny, wybiera sobie przede wszystkim właściwy las, a następnie właściwych w tym lesie towarzyszy broni. Jeśli w czasie wojny był jeszcze dzieckiem, ogranicza się tylko do jednostki wojskowej.

Dokonawszy wyboru kumpli z wojska, przyszły szef pomaga im w ścieleniu łóżek, myciu manierek, opanowaniu wiadomości z taktyki, kopaniu rowów przeciwczołgowych, ostrym strzelaniu i przygotowaniu się do egzaminu z wiedzy o współczesnym świecie.

Kolejnego wyboru szef dokonuje na studiach. O ile w szkole podstawowej, a nawet jeszcze w gimnazjum, wybór połączony jest z pewnymi trudnościami, zaś ryzyko nieodpalenia w przyszłości znajomego jest poważne, w wojsku, a następnie na studiach możliwość poślizgu znajomego jest już minimalna. Mając to na uwadze, przyszły szef nie ogranicza się już tylko do gestów jednorazowych i prostych, ale stara się powiązać je w jedną harmonijną całość. Niezależnie więc od samopomocy organizuje dla bractwa na uczelni koleżeńskie czwartki,

---

<sup>414</sup> J. Osęka, *Póki nie jest za późno*, [w:] tegoż, *Głos ze studni*, Iskry, Warszawa 1968, s. 19–22.

sobotnio-niedzielne wypady na trawkę, wspólne rejsy na Wigrach, weekendy pod namiotami w Puszczy Piskiej. W tym okresie niezbędną rzeczą dla przyszłego szefa jest wytypowanie wśród najlepiej odpalających koleżanek kandydatki na własną żonę, zaś wśród najlepiej odpalających kolegów – kandydata na męża siostry. Jeśli przyszły szef ma na podorędziu jeszcze jakieś kuzynki, siostrzenice, ewentualnie bratanice, nie zawadzi powiązać ich również z odpalającymi kolegami. Im intensywniejszy program przyszły szef sobie założy, tym więcej będzie miał później wspomnień, tym mocniejsze więzy połączą go z kolegami z ławy szkolnej, kumplami z wojska i z uczelni, którzy, zgodnie z jego przewidywaniami, odpalili<sup>415</sup>.

### **Przykład 324. Włodzimierz Boruński – *Kolega szkolny* (1969)**

Kolega mój ze szkolnej ławy  
Jest dygnitarzem. Hm, to miłe...  
A ja (przypadek to ciekawy)  
Nigdy go o nic nie prosiłem.

Lubię te dawne sentymenty:  
Okres zabawy, gier, zapasów,  
A on, choć bardzo jest zajęty,  
Ma zawsze dla mnie trochę czasu.

Wczoraj złożyłem mu wizytę...  
Owszem, posadził na fotelu,  
Mówiłem ja. On milczał, przy tym  
Chrząkał i mruczał: „Przyjacielu...”

– Pamiętasz Julkę piegowatą? –  
Mówiłem – Staś się przy niej pętał...  
Tyś też się durzył w niej.  
On na to: – Tak, przyjacielu, tak, pamiętam... –

– Pamiętasz te ściągaczki moje,  
Te dwóje z fizyki, z polskiego? –  
On chrząknął tylko i znów swoje:  
– Tak, przyjacielu, tak, kolego... –

<sup>415</sup> J. Wittlin, *Vademecum szefa*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968, s. 7–9. Por. przykład 140.

– A ta matura, ho, ho, stary,  
Siedziała mocno nam na karku,  
A myśmy nic – tylko wagary  
I randki w staromiejskim parku! –

Mówiłem wciąż. On kiwał głową  
I poznawałem z jego miny,  
Że ważył każde moje słowo,  
Choć już gadałem dwie godziny.

Wreszcie skończyłem. I ogromnie  
Byłem szczęśliwy i rozgrzany  
Jego przyjaźnią. On zaś do mnie  
Wyciągnął dłoń i rzekł: – Kochany,

Pewnie chcesz czegoś? Niech usłyszę...  
Ja wiem, doceniam twe gadanie.  
Powiedz mi prawdę: po coś przyszedł?  
Może za małe masz mieszkanie?

Cóż, (pogadaliśmy po trochu  
O wszystkim. Było nam przyjemnie.  
Może chcesz przydział na samochód? –  
No śmiało! Czego chcesz ode mnie? –

– Niczego nie chcę... Mam to wszystko...  
– Odparłem – ja... o dawnych latach... –  
Przerwał mi. Podszedł do mnie blisko  
I spojrzął tak, jak na wariata<sup>416</sup>.

### **Przykład 325. Ludwik Jerzy Kern – *W szkole* (1969?)**

W szkole, pamiętam, jako małe dziecię  
a potem jako dorodne pacholę  
robiłem głupstwa, sami zresztą wiecie  
jakie się różne głupstwa robi w szkole.  
Albo się miauczy, albo nogą tupie,  
albo się inne rzeczy robi głupie.

---

<sup>416</sup> W. Boruński, *Kolega szkolny*, [w:] tegoż, *Nie umiem grać na gitarze*, Iskry, Warszawa 1969, s. 81–82. Por. przykłady 285, 301.

Można na przykład z największym spokojem  
rozpylić w klasie proszek do kichania  
albo tablicę wysmarować łojem,  
(kreda się ślizga i „nici” z pisania),  
można też zrobić podczas lekcji szumek  
i strzelać z korków, z rurek albo z gumek.

...Jeśli to piszę to tylko dlatego,  
że sam mam pewne sprawy na sumieniu,  
sprawy z lat dawnych, z okresu szkolnego,  
sprawy, co tkwią gdzieś w mej pamięci cieniu –  
i nieraz samo wspomnienie mnie złości,  
że dobrym ludziom sprawiałem przykrości.

Dlatego teraz słuchajcie, co powiem;  
nie trzeba dużo – trochę dobrych chęci  
i może serca ciut – ciut – ciut, albowiem  
JEŻELI SĄ GDZIEŚ NA TYM ŚWIECIE ŚWIĘCI  
TO U NAS W POLSCE JEST ICH BARDZO WIELE,  
A NAZYWAJĄ SIĘ – NAUCZYCIELE<sup>417</sup>.

### **Przykład 326. Aleksander Małachowski – *Specjaliści* (styczeń 1969)**

„Strzeż nas, Boże, od wielce wykwalifikowanych specjalistów, zaś od nieuków obronimy się sami” – taką nową wersję ludowego przysłowia proponuję, będąc pod wpływem wieści o nowej katastrofie narodowej, która dotknęła nasze biedne dzieci. „Życie Warszawy” i inne pisma donoszą prawie co dnia, że coś okropnego wydarzyło się ostatnimi czasy w szkolnictwie. Wprowadzono mianowicie w życie nowe programy nauczania. Te od dawna wyśnione, wytęsknione, wymarzone, wymodlone, wyblągane nowe programy nowej szkoły w nowym duchu. Stara szkoła i stare programy nauczania były niedobre, bo – jak wiadomo – nie przygotowywały ani do studiów, ani do życia, ani w ogóle do niczego pożytecznego. Reforma samej szkoły i programów nauczania miała ten stan rzeczy uzdrowić. I uzdrowiła. Daj nam Boże zdrowie!

Cóż zatem donosi prasa? Wpierw rzeczy sensacyjne. Otóż na skutek reformy powstał nowy zawód, nowy fach, nowa konfraternia – należało właściwie powiedzieć, licząca kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy osób udzielających ko-

<sup>417</sup> L.J. Kern, *W szkole*, [w:] *Dzień Nauczyciela*, Gabinet Metodyczny Pałacu Młodzieży w Katowicach, Katowice 1969, s. 8.



repetycji. Pan korepetytor lub w skrócie pan czy też pani stali się najbardziej poszukiwanymi pracownikami w kraju. Są zatrudniani przez dziesiątki tysięcy rodzin, a wynagrodzenie za nauczanie prywatne stanowi centralną pozycję budżetów domowych. Kim są poza tym? Częściowo to studenci lub asystenci szkół wyższych, trochę inżynierów – przeważają jednak nauczyciele czynni w szkolnictwie. Pracują, trzeba przyznać, na ogół bardzo ofiarnie i chętnie, chodzą po domach, nie szczczędzą sił. Praca korepetytorów polega przede wszystkim na uczeniu dzieci tego, czego w szkole nie mogą, nie umieją, nie nadążają nauczyć koledzy po fachu. Matematyk uczy więc za matematyka, anglista za anglistę, polonista za polonistę i tak dalej. Zdarzają się też w tej dziedzinie pewne nadużycia, polegające na swoistym handlu wymiennym. Ja rypię dwóje moim uczniom w szkole i posyłam ich do ciebie na korepetycję, a ty rypiesz dwóje swoim uczniom i przysyłasz ich do mnie. Że obrażam? Nie, taka jest rzeczywistość, piszę prawdę. – A, że bywają obraźliwe prawdy... – Istotnie bywają.

Państwo korepetytorzy mówią zgodnym chórem do rodziców: – Wasze dzieci nie są specjalnie głupie, nie, to wręcz bardzo zdolne i przemiłe szczeniaki. W normalnej szkole mogliby być znakomitymi uczniami. Niestety, nasza szkoła nie jest normalna, nasza szkoła jest reformowana. – Czasami rodzice nieśmiało replikują pytaniem: – A czy wy, państwo korepetytorzy, moglibyście w normalnej szkole być dobrymi nauczycielami, czy może wy też jesteście reformowani? – My, odpowiadają korepetytorzy, jesteśmy raczej zdeformowani, czyli zwiariowani, czyli doprowadzeni do obłądu przez nowe programy nauczania, które zamiast przybliżyć nauczanie do potrzeb szkół wyższych, do życia i do różnych innych pożytecznych rzeczy – uniosły cały proces nauczania w rejony czystej abstrakcji, gdyż oderwały treści, jakich winniśmy nauczać, od możliwości poznawczych uczeni. Jeszcze w ciszy domowej, przy olbrzymim wysiłku obu stron, po wielu godzinach pracy – udaje się to połączyć tak, że uczeń mniej więcej zaczyna się domyślać, o co chodzi. – Czy uczeń może sobie taką mglistą wiedzę utrwalić w głowie? – Nie, skąd, utrwałać można tylko rzeczy, które się dobrze rozumie, mgła się nie utrwała, byle wiatr ją zdmuchnie. – A to po co rypiecie uczniom te niesamowite ilości dwój? (wiadomośc z boku: w najlepszych szkołach po pierwszym okresie postawiono nieraz aż osiemdziesięciu procentom uczniów noty niedostateczne z matematyki i fizyki, połowie zaś dwóje z polskiego, historii, języków itd.) – A bo my się musimy zabezpieczyć, mówią państwo korepetytorzy vel nauczyciele, przed wizytacją. Uczeń nie umie, ale też ma lufę. – A gdyby go tak spróbować nauczyć? – No właśnie, po to przychodzimy do państwa, marnujemy czas i zelówki, żeby ucznia nauczyć. – A gdyby tak w szkole? – W szkole się nie da, za dużo dzieci, za mało czasu, za duży program, a w ogóle, to my państwu

prywatnie powiemy, że my tego programu sami dobrze nie znamy i nie rozumiemy. Musimy się go uczyć razem z dziećmi, na bieżąco. (Wiadomość z boku: dyrektor świetnej szkoły, sam człowiek wielkiej wiedzy i inteligencji, oświadczył rodzicom: „Muszę państwa uprzedzić, że nauczyciele nie znają jeszcze dobrze programu i uczą się go razem z pupilami, ale też muszę przyznać, że pupile pełnią u nas w pewnym sensie funkcje królików doświadczalnych”. Na co zboliała matka siedmiodwójowego pędraka wykrzyknęła: „O ja nieszczęsna, czemużem się nie wstrzymała lub nie pospieszyła z rodzeniem, wychowałby się w innym okresie syneczek mój biedny, królik naukowy”). – A gdy już nauczyciele się tego programu nauczą, pytają dalej rodzice, czy będzie lepiej? – Nam będzie trochę łatwiej, uczniom raczej gorzej, bo zwiększymy wymagania. – Co wtedy? – Cóż, nauka. Żadnych spacerków, sportyków, teatrzyków i wybryków młodzieżowych jak narty czy ślizgawka. Nauka i nauka, aż do całkowitego sflaczenia ciała i otępienia umysłu. – A gdyby tak – nudzą rodzice – zamiast karmić je nadmiarem informacji i wiedzy, spróbować nauczyć dzieci pracy umysłowej, nauczyć porządnie pisać i wystawiać się, myśleć i oceniać, patrzeć i wyciągać wnioski? – Co też państwo wygadują – mówią nauczyciele – na to już nie ma czasu, zresztą specjaliści nigdy do tego nie dopuszczają, bo to byłby program minimum, mało ambitny, i w ogóle co za pomysł, przecież to jest propozycja stworzenia normalnej szkoły, Okropne. Nie wolno nam tego słuchać. – A kto wymyślił ten nowy program, tę kochaną reformę szkolną, wymarzoną i wymodloną? – Jak to kto, specjaliści, żadnych tam nieuków nie było, tylko profesorowie nadzwyczajni, zwyczajni i emerytowani, docenci, doktorzy zwyczajni i habilitowani, adiunkci, ponadto psychologowie, pedagogzy i w ogóle najlepsi z najlepszych. Naszym ukochanym dzieciom niczego nie żałowano. – A starego zwykłego belfra tam nie było? – Co też państwo mówią! Zwykłego, poczcziwego belfra radzić się w sprawach szkolnych! Od tego są przecież specjaliści<sup>418</sup>.

### **Przykład 327. Aleksander Małachowski – *Życie z kalendarza* (październik 1969)**

Onegdaj w kawiarni przysiadł się do mnie znajomy, którego szanuję i podziwiam, bowiem w długiej karierze naukowo-artystycznej nie zdarzyło mu się ominąć ani jednej koniunktury, więc zaszedł wysoko i siedzi w życiu pewnie, nawet trochę jakby rozparty. Zgadało się o dzieciach, bo już nam podrosły i czas teraz zakrzętnąć się wokół ich karier. Coraz trudniej coś dobrego wymyślić dla dzieci.

<sup>418</sup> A. Małachowski, *Specjaliści*, [w:] tegoż, *Iliada pólinteligentów*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 164–167.

Jeszcze niektórzy to mają szczęście i dobre dzieci – uzdolnione matematycznie, więc droga przed nimi prosta. Na ogół jednak potomstwo nasze nie wykazuje żadnych zamiłowań i zainteresowań, wobec tego przypuszcza się nie bez podstaw, że będą z nich wybitni humaniści. Humanistyczną zaś karierę trzeba rozsądnie zaplanować – wypatrzyć jakieś puste pole i tam dzieciaka posłać, żeby się wybił.

– Chłopstwo się teraz wszędzie pcha, nie jest tak łatwo – powiedział mój znajomy – ale ja już coś mam. Mały mój, tak dla oka, uczy się do liceum, ale naprawdę chodzi do jednego prywatnego technikum.

Zastrzygłem uszami.

– Prywatne technikum – gdzie?

– To tak nieoficjalnie, niby korepetycje, ale rzecz jest prowadzona solidnie, choć na razie nieco konspiracyjnie, bo władze się jeszcze trochę krzywią.

– A czegoż się tam dzieciaczek uczy? – zagadnąłem mego spryciarza.

– Panie – mówi on – potęga, kalendarza się uczy. Pan nie widzi, co się dzieje? Już zaczynają się ukazywać pisma kalendarzowe, na razie jeszcze w formie biuletynów wewnętrznych różnych instytucji, ale ani pan się obejrzy, jak będziemy mieli centralny organ z regionalnymi mutacjami albo wręcz z wojewódzkimi periodykami kalendarzowymi. Żadne tam powielane świstki. Rotograwiura, offset i kredowy papier importowany. O ile wiem – powiedział, ścisząc głos – szykuje się zarządzenie wprowadzające poprawkę do oficjalnej rządowej nomenklatury zawodów. Będzie wstawiony kalendarzowiec i starszy kalendarzowiec. To tak tylko na razie. Żeby się wszyscy przyzwyczaili. Jak mój mały podrośnie do wieku uniwersyteckiego, będzie już można z kalendarza zrobić magisterkę, a potem doktorat, no a jak się ma doktorat... – machnął ręką. – Katedrę to ja mu załatwię.

Spryciarz zapalił się. Skończy się ten bałagan, że każdy sobie pisze, co mu przyjdzie do głowy. Bez parafy kalendarzowca nic nie będzie wydrukowane ani opublikowane w radiu czy w telewizji. W związku z jaką rocznicą napisaliście ten tekścik, towarzyszu redaktorze – będzie każdego pytał kalendarzowiec, bo będzie taki – zapewniam pana – w każdej redakcji, w każdej instytucji, jeden człowiek albo nawet cały dział kalendarzowy z kierownikiem, sekretarką i z kim tam jeszcze będzie trzeba. I jeśli autor nie wskaże rozsądnej daty, rocznicy – może być zgon, urodziny, imieniny, wstąpienie na studia albo do wojska właściwej osoby – tekścik się nie ukaże, bo nie ma powodu pisać o tak sobie, bez kalendarzowych podstaw.

– I pan to też musi zrozumieć – drogi redaktorze – bo się panu kariera szybko skończy, szybciej, niż na to liczą pańscy serdeczni przyjaciele. Bo jak pan robi,

już mi mówili. Przychodzi ktoś do pana z reportażem i pan, szast-prast, już to publikuje. Nie wolno tak. Trzeba poczekać, aż będzie powód do publikacji, oczywiście powód kalendarzowy. Z czymś to się musi wiązać.

– A jeśli jest aktualne – spytałem – jakże mogę trzymać i czekać?

– Aktualne, aktualne – wykrzywił się mój spryciarz – pan jesteś nieaktualny, tekst jest zawsze aktualny, jeśli się go publikuje we właściwym kalendarzowo czasie. Taki tekst ogłoszony tak sobie, w ogóle, bez powodu – ulatuje. Nikt go nie pamięta. A potem, przychodzi rocznica i pan nie masz się czym wykazać. Że co? Że pana zawsze interesuje ta tematyka? Bzdura! Co to kogo obchodzi, czym pan się interesuje. Że pan jest zaangażowany ideowo w daną sprawę i nie pozwoli pan jej bylejączyć z powodu rocznicy. Drogi mój, przecież pan jest chory albo całkiem pijany – zajmuje pan publiczne stanowisko i pańskie upodobania osobiste może pan sobie wyładowywać w domu kopiąc ogródek i śpiewając przy tym masowe pieśni na właściwy temat. Na pańskim stanowisku to się już nie liczy, co pana pasjonuje. Liczy się to, czym się pan potrafi wykazać we właściwym momencie. Już się pan zaangażował, wszyscy zobaczyli, fajny jest – powiedzieli, i teraz koniec, do roboty. Kartki wertować w kalendarzu.

Długo jeszcze na mnie krzyczał w tym duchu mój spryciarz, ale potem nadszły go jakieś refleksje, uspokoił się i powiedział: – I żeby właśnie tacy, jak pan, nie mieli wewnętrznych konfliktów, konieczny będzie ten nowy zawód. Bo to musi robić fachowiec. Na kalendarzu też można się położyć. Uczci pan nie tę datę i posada z głowy. A fachowiec, kalendarzowiec z prawdziwego zdarzenia, zatrudniony przy panu w charakterze konsultanta decydującego, nie dopuści, żebyś się pan sypnął. Klawo będzie, co? – cwaniaczył spryciarz.

– Panie – spytałem w końcu – skąd pan to wszystko wymyślił? To jawny obłąd.

– Obłąd – obruszył się spryciarz. – Przecież to jest dawno już wypróbowana technika socjologiczna. Zdała egzamin, zapewniam pana, że zdała. Dwa tysiące lat, spokojna głowa. Nie może być dnia bez właściwej intencji.

Wykonałem jakiś gest niezrozumienia, wtedy on wyciągnął z kieszeni mały podręczny mszałik rzymski, otworzył, potem wertując kartki czytał: 13 października – Świętego Edwarda, Króla i Wyznawcy. 14 października – Świętego Kaliksta, Papieża i Męczennika. 15 października – Świętej Teresy Dziewicy. 16 października – Świętej Jadwigi Wdowy. 17 października – Świętej Małgorzaty Marii Alacoque, Dziewicy.

Opuściłem głowę. Coś mi zaczęło w niej świtać. Kawiarnia pustoszała. Ludzie się rozchodzili.

– Świętego Edwarda mamy dzisiaj, co? – spytałem.

Znajomy spryciarz przytaknął. I triumfalnie pokazując na ostatniego klienta opuszczającego lokal z dużym bukietem kwiatów w rękach – powiedział:

– Widzi pan, jak się przyzwyczaili<sup>419</sup>.

**Przykład 328. Edmund Niziurski – *Siódme wtajemniczenie*.  
Fragment (1969)**

Partacz ulokował kalosze na widocznym miejscu pod tablicą, uwolnił szyję od szala, następnie przeczyścił gruntownie drogi oddechowe, wreszcie stanął za stołem i zmierzył podejrzliwym wzrokiem klasę. Wzorowa postawa młodzieży napełniła go nadzieją, że może tym razem lekcja przejdzie normalnie. Już miał odetchnąć zasadniczo, gdy wtem wzrok jego spoczął na Rymarskim.

– Rymarski, na miejsce! – zakomenderował spokojnie. Rymarski niechętnie począł pełznąć na czworakach do swojego warsztatu, wciąż zaglądając pod stoły. Partacz przyglądał mu się ze zdumieniem.

– Rymarski, cóż to?! Bawisz się w czworonoga? Wstań!

Rymarski wstał i zaczął dla odmiany skakać na jednej nodze.

– Co ty wyrabiasz?! – podniósł głos pan Anielak.

– A bo mój pantofel, proszę pana – zasapał ze złością Rymarski rozglądając się po podłodze.

– Pantofel?

– Taka biała tenisówka, prawie nowa.

– Pewnie znów biliście się pantoflami.

– E, nie... tylko musieli mi zabrać.

– Jak to zabrać? Ściągnęli ci z nogi?

– No nie... tylko mi spadła. Bo ona wciąż mi spada, bo ja jestem lewicowy.

– Co ty bredzisz?!

– To znaczy, mam lewą nogę większą. To u nas rodzinne, proszę pana. Wszyscy mamy lewą stopę większą. O jeden numer. Pan Miąszszyniec od biologii, to nawet nas badał i powiedział, że jesteśmy mutantami i że to bardzo rzadki wypadek...

– Rzeczywiście, dość dziwne – chrząknął pan Anielak, patrząc podejrzliwie na nogi Rymarskiego.

– Bardzo dziwne – potwierdził z niejaką dumą Rymarski. – Pan Miąszszyniec powiedział, że nas zabierze na zjazd biologów do Warszawy i będzie pokazywał, i że Akademia Nauk zwróci nam wszystkie koszty. Za darmo pojedziemy, proszę pana!

<sup>419</sup> Tenże, *Życie z kalendarza*, [w:] tegoż, *Iliada...*, dz. cyt., s. 258–261.

– To przyjemne... – bąknął Partacz.

– Nie takie znowu – Rymarski pociągnął nosem. – Pan nawet nie wie, ile to nas kosztuje. Z początku to ojciec musiał zawsze kupować każdemu po dwie pary, to znaczy dla siebie, dla mojego brata i dla mnie. Jedną mniejszą a drugą większą... Na przykład dla siebie kupował siódmy i ósmy numer. Siódmkę na prawą nogę, a ósemkę na lewą. Najgorsze, że w pracy nie chcieli uwzględnić. Żadnego dodatku z tytułu tej lewicowości, chociaż ojciec podania składał i do Związku pisał, nawet do „Trybuny”. Pan rozumie, ile te buty nasz kosztowały...

– Rozumiem, może jednak... – pan Anielak poruszył się niespokojnie.

Ale Rymarski, nie zważając, na niego ciągnął dalej: – Dopiero jak dorośliśmy, znaczy się ja i brat, to trochę się ojcu ulżyło, bo teraz kupuje tylko pięć par na nas trzech. Cały kłopot, że muszą być w tym samym fasonie. No je potem dobieramy... znaczy się, robimy tak...

– Później dokończysz, Rymarski – przerwał mu pan Anielak, żałując że w ogóle wszczywał tę rozmowę.

– Ja zaraz zakończę, proszę pana... Więc robimy tak. Ja biorę prawą szóstkę i lewą siódmkę, a tę prawą siódmkę, co zostaje, to znów bierze ojciec i do tego lewą ósemkę, pan rozumie, więc zostaje prawa ósemka i tę prawą ósemkę, to bierze brat, bo on ma największe nogi i do tego lewą dziewiątkę...

– Rymarski...

– Tak jest proszę pana... Rzecz w tym, że zostawała nam zawsze lewa szóstka i prawa dziewiątka, cały stos się uskładał...

– Tak tak... to uciążliwe – zasapał zniecierpliwiony Partacz – ale wracajmy do lekcji...

– Co tam uciążliwe, proszę pana, ale żal... Żal było patrzeć, że tyle nowego obuwia się marnuje. – Rymarski dopiero teraz rozgadał się na dobre. – Na szczęście ojciec wpadł na pomysł. Poszedł do związku inwalidów i tam skontaktowali go z dwoma jednonogimi. Z numerem szóstym i z numerem dziewiątym. I ojciec opylił cały zapas za pół ceny i z rabatem...

W tym momencie pan Anielak poczuł, że boli go głowa.

– Rymarski przestań! – jęknął słabo.

Ale Rymarski nawet go nie dosłyszał. – Więc teraz, proszę pana – pytlował dalej – to chodzimy kupować nowe buty zawsze z inwalidami, pan rozumie, żeby, uzgodnić fason, bo każdy ma swój gust, no nie?

– Dosyc – krzyknął Partacz.

– O co chodzi, proszę pana? – wytrzeszczył oczy Rymarski – pan uważa, że nie powinniśmy...

– Powinniście! Powinniście! – sapał pan Anielak – to wszystko bardzo pomysłowe! Ale przestań!

- Dlaczego? – zamrugął oczami Rymarski.
- Nie udawaj imbecyla – krzyczał pan Anielak – myślisz, że ja nie wiem. Ty mnie umyślnie zagadujesz! Byle lekcja przeszła!
- Ale co znowu, proszę pana! Ja tylko tłumaczę, dlaczego gubię te tenisówki.
- Tłumaczysz?! – zatrząsł się pan Anielak – przecież nic nie wytłumaczyłeś! Nie ma w tym żadnej logiki.
- Jak to nie?
- Pan Anielak miał wielką ochotę powiedzieć krótko i dosadnie co myśli o logice Rymarskiego, ale przypomniał sobie, że jednak jest pedagogiem, opanował się więc i rzekł siląc się na spokój.
- Słuchaj, Rymarski, przecież jeśli stosujecie teraz ten sposób i kupujecie obuwie do spótki z tym inwalidą, to powinieneś mieć tenisówki dopasowane do rozmiarów twojej stopy i nie powinny ci spadać...
- No tak, ale zapomniałem powiedzieć, że przy tenisówkach to wysiada proszę pana...
- Wysiada?!
- Bo inwalidzi nie chcą chodzić w tenisówkach. Nie odpowiadają im. A ojcu żał kupować dwie pary, więc muszę nosić na obu nogach siódemki i dlatego mi spada, proszę pana.
- Więc po jakie lichy pytlowałeś o tym wszystkim?!
- Pytlowałem? Ja tylko wyjaśniałem... – Rymarski zrobił minę niewiniątka.
- Smaruj na miejsce i ani słowa więcej – wycedził z tłumioną pasją technik.
- Rymarski wzruszył ramionami i zaczął skakać na lewej nodze, unosząc do góry prawą, tę pozbawioną obuwia. Z dziurawej skarpetki wyglądały mu dwa brudne palce. Partacz spojrział na nie ze wstrętem<sup>420</sup>.

### **Przykład 329. Maria Terlikowska – *Straszny sen* (1969)**

Przyśniło mi się raz wieczorem  
 (Wiecie, jak we śnie bywa czasem)  
 Że byłem... panem profesorem  
 I – że uczyłem naszą klasę.  
 Ale się czułem – jak to we śnie –  
 Sobą i panem, równocześnie.  
 Pan – to były ręce i głowa,  
 A ja – ta druga połowa...  
 Więc idę rano przez podwórze

<sup>420</sup> E. Niziurski, *Siódme wtajemniczenie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1972, s. 27–30. Źródło pierwotne: tenże, *Siódme wtajemniczenie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1969.

W trampkach... i w pana garniturze,  
Właściwie tylko w marynarce,  
Bo od dołu – to byłem harcerz!...  
Idę do naszej klasy i marzę;  
– No, ja im dopiero pokażę;  
Takich, jak ja nauczycieli,  
To oni wcale nie widzieli! –  
Bo najważniejsze – proszę wierzyć  
To mieć podejście do młodzieży...  
Pędzę do klasy jak na skrzydłach,  
A moja klasa jak mnie wita?  
Zamiast kredy – kawałek mydła!  
Gąbka – za szafą ukryta;  
W kałamarz wetknął ktoś cebulę!  
Stół – atramentem zachlapany.  
Fruwają papierowe kule –  
I wszyscy wyją jak pawiany!...  
(Pamiętam dobrze, bo przedwczoraj  
Tak witaliśmy profesora...)  
Zadrzałem. Jak dam sobie radę  
Z tym, z przeproszeniem, wyjącem stadem?  
Jakich mam użyć słów i gestów,  
Kiedy ja jeden, a ich czterdziestu?  
Krzyknąłem: „Spokój!”.  
Krzyknąłem: „Cisza!”.  
Ale mnie nawet nikt nie słyszał...  
Stchórzyłem... Co tu gadać wiele?  
Nawet schowałem się do szatni,  
Wołając: „Byłem nauczycielem  
Pierwszy raz... i ostatni!”.

Więc pytam: „Panie profesorze,  
Jak pan to robi, że pan może?  
Pan się okropnie męczy dla nas.  
Więc ja... więc my... kochamy pana...”<sup>421</sup>

---

<sup>421</sup> M. Terlikowska, *Straszny sen*, [w:] B. Chmielowski, L. Małkowski, M. Świtkowski (red.), *Nauczycieli sławię. Dwa montaże poetyckie na Dzień Nauczyciela*, Gabinet Metodyczny Pałacu Młodzieży w Katowicach, Katowice 1969, s. 14–15.



**Przykład 330. Jerzy Baranowski – *Poprawka* (1970)**

Halo, Lusia?... Słuchaj, Luśka, jak się mówi: „byliśmy” czy „byliśmy”?... Co? Zdaje się? No, moja droga, na „zdaje się” to ja też jestem mądra. Ja muszę wiedzieć na pewno. Słuchaj, zadzwoń z drugiego telefonu do Marioli, ona może wiedzieć... tak, wewnętrzny 135... Co?... Co ona mówi? No, byliśmy – to już na pewno nie! Nieuczka!... Nie bój się, nie słyszała...

Nie, Lusia, bo ktoś ma zaraz do mnie dzwonić i zależy mi, żeby dobrze wypaść... bo z tym kimś wczoraj byliśmy czy byliśmy. No w każdym razie w tej sprawie chciałam się ciebie poradzić, bo się stała straszna rzecz...

Cicho, słuchaj. Więc wiesz, że ja niedawno przeniosłam się do tej nowej wieczerówki dla dorosłych...

Cicho, słuchaj. Więc przychodzę wczoraj do znajomych na dużą prywatkę i nagle nogi się pode mną ugięły: patrzę, a tu bawi się mój profesor! Ja od razu buch do łazienki, ale po godzinie musiałam wyleźć. Na szczęście mnie nie poznał. Widzisz, bo on nigdy na nikogo uwagi w szkole nie zwraca... Dla niego nic nie istnieje poza tematem. Ale co z tego; przez cały wieczór ręce mi się trzęsły. Co się na niego popatrzyłam, to zaraz mi się zdawało, że mnie wyrwie do tablicy, i na dodatek wszyscy się dowiedzą o tej mojej wieczerówce.

Nie! Czekaj. Rzecz w tym, że ja mam właśnie dzisiaj u niego zdawać poprawkę z gramatyki... Czekaj: z „gramatyki” czy z „gramatyki”... Ech!

„Co się przejmujesz”? Ha! Łatwo ci mówić, jak ja ci jeszcze wszystkiego nie powiedziałam?

Bo widzisz, w pewnej chwili on się przysiadł i mówi: „Pani Janeczko, dlatego pani mnie unika?”. Więc ja mówię: „Bynajmniej, niestety nie unikana ewentualnie”. Na to on mówi „Czy ja pani gdzieś nie spotkałem, bo te oczy prześladują mnie szalenie”. Więc ja się przestraszyłam, i mówię, że może bynajmniej w przeszłym życiu byliśmy sobie bliscy... w reinkarnacji. I tak od słowa do słowa, aż mi stwierdził, że ja mam bardzo głęboki umysł... I jak ja teraz pójde na tę poprawkę?...

Co?... No ja wiem, Lusia, że profesor ma prawo być prywatnie normalnym człowiekiem, ale widzisz, ja ci jeszcze wszystkiego nie powiedziałam... Więc, tego, cały wieczór tańczyliśmy i on zaproponował mi „brudzia”! No Łuska, odmówiłabyś, jak masz na drugi dzień poprawkę?! I co ja teraz zrobię, głupia idiotka! Jak ja mu tam mam mówić: „panie profesorze” czy „Zeniu”?

Co? Radzisz „panie profesorze” i udawać jakby prywatki nie było? Ha! Dobrze ci mówić, jak ja ci jeszcze wszystkiego nie powiedziałam... bo widzisz... tego... on mnie odprowadził pod sam dom, no i... powiem ci Lusia, że mi się chłopak podoba, tylko najgorsze, że profesor!... No jednym słowem... Wiesz... no zaczęliśmy się żegnać pod bramą... No chyba z godzinę... do trzeciej w nocy... No i jak ja

teraz pójdę na tę poprawkę!? Ja chyba zwariuję... Jeszcze mówił, że strasznie jestem w jego typie! W „typie”! A z gramatyki lufa!

Co? Łatwo ci mówić „no to co”, jak ja ci jeszcze wszystkiego nie powiedziałam. Bo widzisz, Lusia, tak zmarzliśmy – czekaj „zmarzliśmy” czy „zmarzliśmy” – zresztą to już wtedy było nieważne... więc tak zmarzliśmy pod bramą, że mi się go żal zrobiło! I... zaprosiłam go! No... do siebie, na kawę...

Co?... No niby nic... pewnie, Lusia, że „nic”, ale widzisz ja ci jeszcze dalej wszystkiego... nie powie... No nie! To się nie nadaje na telefon...

Co?... „Zdarza się”? No pewnie, ale widzisz, ja ci jeszcze do końca nie powiedziałam... Bo wiesz: najgorsza sprawa z tego wszystkiego, że on mi się oświadczył!

No wybacz, ale Zenio wcale nie był „nieprzytomny”. Bardzo cię przepraszam, ale ja już lepiej wiem, że on wiedział, co mówi! Jestem STRASZNIE w jego typie! Hm... „Nieprzytomny”!!! Wystarczy, że ja byłam przytomna!...

(*pojednawczo*) No nie złość się, Luśka... Radź, na miłość Boską, co ja mam teraz zrobić!? Dlaczego życie stawia mnie przed tak trudnym wyborem: tu wiedza, a tu szczęście osobiste!

Co?... (*radośnie*) A wiesz, że masz rację!!! Kochana! Tak! Przeczyszę się, założę ciemne „mrówy” i jakoś dobrnę do tej matury! Nie mogę całe życie czerwienić się w towarzystwie, czy się mówi „byliśmy czy „byliśmy”!

Luśka... Zresztą przyznam ci się (*lirycznie*), że... właściwie to marzę o poprawce<sup>422</sup>.

### **Przykład 331. Jerzy Dobrowolski – *Decybel*.**

#### **Fragm. audycji Polskiego Radia (sierpień 1970)**

Ogłoszenia drobne (*leci bilon – muzyka – na muzyce*)

Dam pomieszczenie studentowi za pomoc w liczeniu banknotów.

Na Politechnikę przyjmę zdolnych studentów. Rektor<sup>423</sup>.

### **Przykład 332. Tadeusz Gicgier – *Nic* (1970)**

Nic nie wyjdzie z lekcji

gdy brak predylekcji<sup>424</sup>.

<sup>422</sup> J. Baranowski, *Poprawka*, [w:] J. Wittlin (red.), *Przedstawiamy humor polski. Pory roku*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1970, s. 22–24.

<sup>423</sup> J. Dobrowolski, *Decybel. Radiokronika decybel*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2012, s. 123.

<sup>424</sup> T. Gicgier, *Nic*, [w:] tegoż, *Szkiełko i oko. Fraszki*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, s. 7.

**Przykład 333. Tadeusz Gicgier – Szkoła (1970)**

Polska szkoła życia  
to szkoła picia<sup>425</sup>.

**Przykład 334. Karol Kord (Ernest Petrejtis) –  
*Ojcowski gniew* (1970)**

Ojciec do syna rzekł w wielkim gniewie:  
– Co chcą od ciebie tam, w szkole – nie wiem!  
Mówią, żeś próżniak, chuligan, łobuz,  
Żeś potłukł szyby i zniszczył globus,  
Że na wagary chodzisz, że palisz –  
I że tym nawet głośno się chwalisz!...  
No i bez końca gładzą w tym duchu.  
Lecz ja im powiem, co wiem, do słuchu!  
Jasno wyłożę kawę na ławę:  
Cholera, powiem, to dziecku nawet  
Nie wolno wyćmić jednego „sporta”  
Do licha z taką szkołą! Do czorta!...  
Że globus zniszczył?... Na co te gadki?...  
Ja, ojciec, płacę za to podatki,  
A więc od dziecka mojego – wara!...  
Tak w szkole powiem... No, a ta stara  
Wychowawczyni twoja, lebiega,  
Niech nie zaczyna, niech się wystrzeżga!  
Żaden mizerny profesorzyna  
Nie będzie gnębić **mojego syna!**...  
Słuchaj pan, panie, powiem do dziada,  
Niech mi pan takich rzeczy nie gada!  
To jest oszczerstwo, złośliwa plotka!  
Tych, co tak mówią, może coś spotkać...  
To granda, panie, kant oczywisty!  
Mój syn to chłopak jak anioł czysty,  
A cała skarga – belfrów intryga!  
Skąd by się u mnie wziął syn chuligan?!<sup>426</sup>

<sup>425</sup> Tenże, *Szkoła*, [w:] tegoż, *Szkiełko...*, dz. cyt., s. 28.

<sup>426</sup> K. Kord, *Ojcowski gniew*, [w:] J. Wittlin (red.), *Przedstawiamy...*, dz. cyt., s. 30–31.

**Przykład 335. Eryk Lipiński –*****Ogłoszenie w rubryce „Nauka i Wychowanie” (1970)***

DYPLOM doktorski, świadectwo dojrzałości odstąpię tanio lub zamienię na parę zakietowych spodni. „Inteligent” Kurier<sup>427</sup>.

**Przykład 336. Arnold Mostowicz – *Nauczyciel muzyki* (1970)**

Nowa szkoła w naszym mieście została pięknie wyposażona. Lśniły przyrządy w sali gimnastycznej. Nęciły profanów i amatorów akwaria w gabinecie przyrodniczym. Półki gabinetu fizyki wypełnione były tajemniczymi instrumentami. Nie zabrakło w szkole pianina. Nie zabrakło też i skrzypiec. Zabrakło niestety smyczka.

Były to piękne skrzypce. Gdy leżały spokojnie w nowiuteńkim, wyściełanym aksamitem futerale – prosiły się o mistrzowską rękę Hajfeca czy Ojstracha. Tylko grać na nich a grać. Ale bez smyczka...

Miesiące całe szukano tego drogocennego przedmiotu w okolicznych sklepach wszystkich trzech sektorów naszej ekonomiki. Na próżno!

Najbardziej zasmucony był nauczyciel śpiewu. Nie dawał mu spokoju instrument spoczywający beczynnienie na półce. Całe dni spędzał, przyglądając się grze światła migającego na błyszczącej powierzchni instrumentu. Wreszcie pomyślał sobie: „Czy rzeczywiście potrzebny jest smyczek do nauki gry na skrzypcach? Czy smyczka nie potrafi zastąpić dobra wola?”

Od myśli do czynu jeden tylko krok. Amatorów nauki zgłosiło się wielu. Wkrótce zebrała się spora grupa młodych wielbicieli muzyki i nauczyciel rozpoczął lekcje. Pokazywał, jak należy trzymać skrzypce w czasie gry. Pokazywał, jak wodzić po nich smyczkiem. Pokazywał, jak w czasie gry przymykać oczy. Jak przechylać głowę. Jak wybijać rytm nogą. Jak być natchnionym. Jednym słowem uczył prawie wszystkiego z wyjątkiem samej gry.

W niemym zachwycie spoglądali uczniowie na swego nauczyciela, który tak sugestywnie pokazywał im piękną sztukę Paganiniego. W jego rękach nie był ten instrument zwykłą pomocą naukową, przez nieuczciwego sprzedawcę pozabawioną smyczka. To było dzieło mistrza z Cremony, które lada chwila zapłonąć mogło muzyką Bacha czy Beethovena.

Gdyby jeszcze smyczek...

Po roku poszukiwań znalazł się. Przywieziono go z jakiegoś większego miasta i z należytą czcią wręczono nauczycielowi. Nareszcie! Uszczęśliwiony

<sup>427</sup> E. Lipiński, *Ogłoszenie w rubryce „Nauka i Wychowanie”*, [w:] tegoż (oprac.), *Stańczyk czyli śmieję się przez cały rok*, Iskry, Warszawa 1970, s. 51.

przejechał smyczkiem po nowiutkich strunach. Ze skrzypiec wydobył się jakiś przeraźliwie fałszywy, niezdarny akord. Nauczyciel wsłuchał się przez chwilę w echo zgrzytliwych tonów i opuścił bezsilnie ręce: przypomniał sobie, że na skrzypcach grać nie umie i nigdy nie umiał...

Skończyły się piękne lekcje muzyki. Amatorzy gry na skrzypcach po miesiącu natchnionej nauki wrócili do szarej prozy życia. I tylko czasami wspominają owe chwile, jakie spędzili z nauczycielem muzyki, w atmosferze bez reszty wypełnionej prawdziwą sztuką.

A skrzypce w futerale wyściełanym aksamitem – jak wrzos fioletowym – odpoczywają na półce. Odpoczywają ze smyczkiem u boku.

Któż ośmieli się jeszcze powtórzyć, że niedociągnięcia handlu trzeba zawsze ganić i krytykować?!<sup>428</sup>

### **Przykład 337. Adam Ochocki – *Miotła i katedra* (1970)**

Kandydatów było wielu, ale spleciona misternie z łodyg ryżu miotła – mnie przypadła w udziale. I tegoż jeszcze dnia objąłem stanowisko dozorca przedszkola w osadzie Chanaka, w rejonie gissarskim, dwadzieścia kilka kilometrów od Duszanbe – stolicy Tadżykistanu.

Bezpłatne mieszkanie służbowe i gorąca strawa dwa razy dziennie – to rzeczy nie do pogardzenia w czasie wojny. A to było właśnie wtedy, w 1943 roku. Jako młody, początkujący dziennikarz, uniosłem całą głowę z mej ojczyzny, żeby po długiej tułaczce znaleźć gościnę i spokojną przystań życiową w dalekim, słonecznym kraju. Rosyjski znałem słabo, nie mogłem więc liczyć na jakąś pracę umysłową, toteż bardzo odpowiadało mi nowe zajęcie.

Stary Chakim, zawchoz przedszkola, znajdującego się w tym samym pomieszczeniu co szkoła ludowa, powiedział: – Żle ci tu nie będzie. Tylko pamiętaj – deszcze w Tadżykistanie bywają rzadko. Latem całymi miesiącami może nie spaść ani jedna kropla. Będziesz musiał sam polewać, niebo cię w tym nie wyręczy.

Szybko przekonałem się, że miotłę o wiele trudniej trzymać w ręku niż wieczne pióro. To nie to co pisanie jakichś tam felietonów czy fraszek – to trzeba umieć! W dodatku Chakim, mój bezpośredni zwierzchnik, był wymagający: żądał absolutnego porządku i czystości w oddanym mojej pieczy obiekcie. Ale że zawsze miałem pociąg do wymiatania brudów, szybko zyskałem sobie uznanie szefa.

<sup>428</sup> A. Mostowicz, *Nauczyciel muzyki*, [w:] J. Wittlin (red.), *Przedstawiamy...*, dz. cyt., s. 25–26.

Któregoś dnia do Chanaka przyjechała na inspekcję komisja z duszanbenskigo Obłono. To jakby nasz wydział oświaty. Przewodniczący komisji, Tadżyk w bajecznie kolorowej tiubietejce na głowie i w takimż jedwabnym chałacie, obejrzał starannie wszystkie kąty, cmoknął miejscowym zwyczajem z zadowolenia i uciął pogawędkę z wychowawczynią maluchów.

Stałem obok i mocowałem się z niesforną deską w płocie. Tadżyk po rosyjsku rozmawiał z wychowawczynią o Majakowskim. Już nie pamiętam co, ale wtrąciłem kilka słów o mym ulubionym poecie. Tadżyk otworzył usta ze zdumienia.

– A kto to jest ten wasz dozorca? – spytał wychowawczyni.

Potem porozmawiał ze mną kilka minut i udał się na dalszy obchód, oglądając się co chwila na mnie.

Po dwóch tygodniach stary Chakim wezwał mnie do swego kantorku. Wszedłem z nieodłączną miotłą na ramieniu.

– Było pismo z Obłono w Duszanbe. Chcą, żebyś tam pojechał. Na pewno dostaniesz premię...

Chakim wystawił mi delegację do stolicy Tadżykistanu. O, gdyby ta delegacja zachowała się po dziś dzień! Byłby to chyba jedyny w swoim rodzaju dokument: przy wyjeździe podpisałem delegację jako dozorca, a nazajutrz zlikwidowałem ją jako... nauczyciel!

Rozmowa w Obłono była krótka: – W Chanaka mieszka kilkanaście rodzin polskich. Są tam u was dzieci w wieku szkolnym. Muszą się uczyć. Będziesz nauczycielem w polskiej szkole. Damy wam do dyspozycji jedną klasę w naszym szkolnym budynku.

Radość w polskiej kolonii była wielka, ale ja chodziłem zafrasowany. Z czego będę uczył nasze dzieci? Nie mam przecież polskich podręczników. Na szczęście przypomniałem sobie z lat szkolnych fragmenty kilku wierszy – i o dziwo – prawie całego „Dziada i babę” Kraszewskiego. Tabliczkę mnożenia pamiętałem, nie uleciały mi też z głowy zasady pisowni. Na początek dobre i to, a potem się zobaczy.

Nasza klasa znajdowała się na parterze. W otwartych oknach stali rodzice maluchów, a ja siedziałem przy katedrze i deklamowałem, wybijając ręką rytm na pulpicie:

Był so-bie dziad i ba-ba,  
bar-dzo sta-rzy o-bo-je,  
o-na kasz-lą-ca sła-ba...

Klasa powtarzała za mną chórem. I tak było codziennie. Aż któregoś dnia poczciwa pani Jabłonkowa, której córka była moją uczennicą, podeszła do mnie na przerwie:

– Panie nauczycielu, ja rozumiem: był sobie dziad i baba, był sobie raz, był sobie dwa razy, no, powiedzmy trzy – ale na miłość boską nie codziennie!

Uzupełniłem jakoś swój repertuar, a krótko potem nadeszły z Moskwy upragnione podręczniki szkolne w języku polskim. Zostały wydrukowane dzięki staraniom Związku Patriotów Polskich i pomocy władz radzieckich. Przyszło też kilka egzemplarzy „Wolnej Polski”, wydawanej w Kraju Rad dla mieszkających tam Polaków. Z jakiegoś numeru wyciąłem portret Kościuszki i przybiłem go do ściany w naszej klasie, odłupując kawał muru.

– Czemu niszczyś ścianę? – zgromił mnie stary Chakim. – To tak postępuje były dozorca? I kto jest ten kurnosy obywatel? – wskazał na portret.

Gdy wyjaśniłem, że to nasz bohater narodowy, którego imieniem nazwano pierwszą polską dywizję, sformowaną w Związku Radzieckim i zmagającą się już z wspólnym wrogiem – zawchoz udobruchał się i odtąd – tak długo, jak istniała polska szkoła w Chanaka – Naczelnik patrzył na nas ze swej wysokości.

Nieraz powracam myślą do tamtych czasów. Do rozpływających się w ustach brzoskwiń i melonów, do zrywanych nad ranem, pokrytych rosą winogron (ach, damskie paluszki!), do czajchany, gdzie gasiłem pragnienie, pijąc niezrównany kukczoj, czyli zieloną herbatę, do pachnących lepioszek, których ciągle było mi za mało, do niebotycznych szczytów Pamiru, z wiecznie leżącym na nich śniegiem, do dobrych, gościnnych Tadżyków. Najczęściej przypomina mi się to wszystko, gdy przechodzę obok szkoły i słyszę gwar dziecięcych głosów. Wtedy przed mymi oczyma staje postać kruczowłosego młodziana, trzymającego w ręku... nie, wcale nie dziennik klasowy: splecioną misternie z łodyg ryżu – miotłę...<sup>429</sup>

### **Przykład 338. Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – *Niemoralne kursy* (1970)**

Cię choroba! Powiem wam, że ta wiadomość spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Wiele kryzysów Chlapkowice przeżywały, ale ten chyba był największy.

A zaczęło się to wszycko kilka miesięcy temu. Siedzę sobie w chałupie i medytuję. Bodaj że na temat naszych sukcesów gospodarczych medytowałem. Tak... W tej sprawie medytowałem, tylko już nie pamiętam, o jakie to sukcesy chodziło. W każdym razie, siedzę sobie, medytuję, medytuję, aż tu drzwije do izby się otwierają i wpada stary Lebioda.

– Sołtysie – woła od proga – Mańka Bielakowa źle się czuje!

– Przykro mi – powiadam – ale czego do mnie z tą sprawą przychodzicie? Mam zadzwonić po pogotowie ratunkowe czy jak?

<sup>429</sup> A. Ochocki, *Miotła i katedra*, [w:] tegoż, *Skąd my się znamy?*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, s. 109–112.

– Nie – on na to – chciałem ino, żebyście o tym wiedzieli.

Trzasnął drzwiami i poleciał dalej. Jeszcze pies na podwórku nie przestał za nim szczekać, kiej znowu do chałupy wpadł jak bomba Bliniaków Jasiak.

– Sołtysie – powiada – nowina! Mańka Bielakowa źle się czuje!

– Słyszałem już o tym – mówię. – Pewnie ją jaki wirus grypy użądlił. Niech weźmie aspirynę i jej przejdzie. Na resztę domowników.

– Tak myślicie – westchnął Jasiak – dobrze by to było. Ale czemu, w takim razie, Mańka te grypę w izbie porodowej leczy?

Zimne mrowie przeszło mi po krzyżu.

– W porodówce, powiadasz?

– Ano! Pójdziemy do remizji, bo ma się za kwadrans zacząć zebranie chłopów zainteresowanych stanem Mańcynego zdrowia.

Jak żem przyszedł do remizji, to aże mnie zatkało. Liczyłem, że może być paru zainteresowanych, no niechby kilkunastu, ale żeby aż tylu?... Tłumy jak na „Krzyżakach”. Kiedy było spotkanie z posłem, to ćwierć tej frekwencji nie przyszła. Pokazuje się, że są u nas rzeczy, do których się chłopy chętniej garną niż do poletyki.

Pierwszy zabrał głos Genek Walenciak: – Niech się najpierw wypowie, jako najbardziej zorientowany, sołtys Kierdziołek.

No, myślałem, że trupem padnę.

– Ty mi tu, Genek – powiadam – kolejności zainteresowania nie ustalaj. Nie pierwszy to raz, kiej obywatel coś zbroi, odpowiedzialność zrzuca na władzę. Sprawa jest zbyt poważna, żeby tracić czas na rozgrywki osobiste.

Wstał stary Maciaszczyk i powiada: – Trudno – jeżeli już się stało, to trza ustalić ojcostwo. Nie może potem dzieciak chodzić, jak dajmy na to nieślubny stary Kulawik, któren chocia już siódmy krzyżyk ma na karku, ale po pijanemu w każdym dziewięćdziesięciolatku tatusia się dopatruje.

– Już ta wy się nie martwcie – zawołał jakisić udziałowiec ze sali – Mańka jest dziewczuchą nowoczesną, ona wie, że kodeks familijny jest za nią i żeli wieś nie jest oświetlona jak się należy, to w promieniu 50 kilometrów od powódki u żadnego chłopa ojcostwo nie jest wykluczone.

– Ale krew! Krew muszą pobrać!!!

– Nie bądźta śmieszni! Z palca ci kapkę ino wezną i zaraz poznają? Czyste kpiny!!!

– Antropologicznie muszą mnie zbadać! Czaszkę wymierzyć!

– Trza było sobie przed tym pomiary robić. Teraz was żaden geometra od alementów nie uchroni!



– Nie ma co – powiadam – trza działać kolektywnie. Skoro się jakosić do tej pory żeśwa zgadzali – zgódźmy się dalej. Po prostu uznamy dzieciaka jako syna gromady, a alementy będziwa płacić jako dodatek do składki PZU. Od gradobicia. Baby się nie dowiedzą, a sprawa będzie ułagodzona.

No i na tym stanęło. Zbieramy fundusze i czekamy... Miesiąc – nic... Dwa – nic... Pięć – nic... Dwanaście – nic. Byliśwa nawet zdumione. Straśny późniak z tego syna gromady. Zapomniała Mańka czy jak? Ale, że do porodówki regularnie chodziła, więc na gradobicie płacimy.

Aż tu bomba pękła. Pokazało się, że Mańka faktycznie chodziła do izby porodowej, ale nie konwencjonalnie, ino na jakiesi kursa. Rodzinnego planowania. Nowy dochtorek, któren niedawno do wsi przyjechał, te niby to oświatę szerzy...

Oświatę... Jak żeśwa program zobaczyli, bo plan lekcji potajemnie woźna nam udostępniła, to włosy dęba nam stanęły. No, ogromnie obszerny program. I trudny. Powiem wam, że nawet najbardziej uzdolnione chłopcy poniechtórych zadań nie potrafiły rozwiązać. Nie dziwota, że potem trza do późnej nocy materiał w domu przerabiać.

No, ale rzecz jasna, natychmiast żeśwa Mańce te stypendium od gradobicia cofnęli. A od eksperymentalnej porodówki kaźden chłop z pogardą się odwrócił. Niech ta dochtorek uczy, czego chce. On wie swoje – my swoje. Zobaczmy, na wiele mu się ta izba porodowa przyda, kiej męska kooperacja nawali?!<sup>430</sup>

### **Przykład 339. Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – *Waluś szarlatan* (1970)**

Cię choroba! Paskudna rzecz się przytrafiła w Chlapkowicach. I to właściwie przez mój brak czujności. Samokrytycznie przyznaję.

A wszystko przez tego oszusta Walka Zagulę. Prawie przez całe dwudziestolecie się maskował.

Jeszcze jakoś tak po wojnie, w 45 kolektyw gromadzki zauważył, że Waluś ma zdolności naukowe. Konkretnie matematyczne.

Trochę jak nienormalny się zachowywał. W szkole by ino działania rozwiązywał, do odrabiania lekcji się garnął dobrowolnie, na widok książek głupie oko dostawał, jakby do trzech nie potrafił zliczyć.

Wszycyśwa widzieli, że rośnie z niego matematyk nikt na to nic nie poradzi.

Uchwalił tedy gromadzki kolektyw, żeby go pchnąć a wyższe studia, bo na gospodarce sobie rady nie da.

---

<sup>430</sup> J. Ofierski, *Niemoralne kursy*, [w:] tegoż, *Za Kierdziołkową miedzą*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1970, s. 134–137.

Stary Maciaszczyk, któren się wtedy liczył za najstarszego gospodarza średniego pokolenia, powiedział do Walusia: – Idź, dziecko, na ten uniwersytet, profesorów słuchaj, a swoje myśl. W razie czego kolektyw zawdy ci pomoże.

No to Waluś ojców i władze gromadzkie jak trza w mankiet pocałował i poszedł. Uczył się pierwszorzędnie. Nawet w gazetach raz o nim pisali.

Kiejsię w czasie wakacji na zabawie w Braniejewie poznał Hankę Graculanę. Spodobała mu się. Ale tamtejsze chłopaki chcieli mu ją wybić z głowy. Kłonicami.

Powiedzieliśwa tedy do dzieciaka: – Ty się, Waluś, spokojnie zakochuj, a kolektyw ci pomoże. Trza bez chwalenia się powiedzieć, że braniejewiaki dopiero w trzy tygodnie po ślubie Walusia wychodziły ze szpitala. A i to tylko co odporniejsze. Albo ciut przez nas nie dopracowane.

Potem Waluś skończył studia i jak to gadają, rzucił się w wir pracy naukowej i społecznej.

Córki dochowali się jednej, ale po prawdzie nikt na to nie liczył, bo to Waluś ogromnie społecznie się udzielał i do pomocy kolektywu się nie odwoływał.

Od tej pory słuch o Walusiu zaginął. Widzieliśwa go ino parę razy w telewizji, jak w mózgowych dekstranowych grzebał. I bodaj raz, jak mu medal do kłapy przypinali.

Poznaliśwa go wszyscy, bo chocia głowę miał ciut ciut odwróconą, ale po marynarce żeśwa go poznali.

Dumna była z niego gromada. Nawet w Kółku Racyjnalizatorów sekcję karbidowych tranzystorów nazwaliśwa jego imieniem.

Minęły lata... Aż tu jakosić na wiosną przyjeżdża nasz Waluś do Chlapkowic, wali prosto do mnie i powiada: – Zameldujcie mnie, sołtysie, będę tu pracował.

– Straśnie mi przykro – powiadam – ale nasze laboratorium jest biedne. Cztery puste półlitrowki i jedna ampułka po glukozie, gdzie tu będziesz prowadził badania? Głupiego atomu nie rozbijesz!

– Nie chodzi mi o pracę naukową. Ja będę pracował na roli. Obejmuję swoją część ojcowizny. Jak mawiał Baptiste Russeau – ziemia jest najwyższą wartością!

– Jak się nazywał ten, co tak mówił?

– Russeau.

– No jak on jest Russeau, to pewnie on ma rację, ale może on nie wie, że u nas gleba piątej klasy i ta za wielkiej wartości nie ma... Ale zreśtą to twoja sprawa... Byleś się ino z obowiązkowych świarszczeń wywiązał.

Po trzech miesiącach Waluś przychodzi do mnie, pół litra jak należy na stole stawia i prosi, żeby mu wydać zaświadczenie. Niby, że jest przodującym rolnikiem.

Popatrzałem tak na te pół litra... Korek zakręcany... No... myślę sobie – jest przodujący. Wystawiłem zaświadczenie i tyle żeśwa go widzieli.

Pokazało się potem, że wyzyskał moje dobre serce, bo zaświadczenie było mu potrzebne dla córki, co się na uniwersytet zapisywała.

Skrytykował mnie potem kolektyw za brak czujności i samokrytycznie musiałem przyznać rację.

Ale jakżem mógł to przewidzieć? Znam Walka Zagułę od dziecka. Razem żeśwa krowy paśli, razem do szkoły chodzili, razem kosili i młócili... Kto mógł wiedzieć, że on po latach chłopą będzie udawał?<sup>431</sup>

### **Przykład 340. Jadwiga Rutkowska – *Inni rodzice, inne dzieci* (1970)**

– Jeżeli nie zdasz – powiedziała matka – to do prawdy...

– Inni rodzice – przerwała jej Jola – mówią: „Jeżeli zdasz, to...”, a wy tylko kraczecie nade mną, choć to początek roku szkolnego i do matury jeszcze całe wieki!

– Inne dzieci uczą się jak należy i rodzice nie mają wątpliwości, że zdadzą egzamin.

– Inni rodzice też mają wątpliwości, bo inaczej nie mówiliby „jeżeli”, tylko nie chcą swoim pesymizmem truć na zapas siebie i swoich dzieci!

– Inne dzieci tak nie odnoszą się do rodziców, jak ty! Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że można mówić tym tonem z matką!

– Inni rodzice nie używają już od dawna takich anachronicznych argumentów i albo rozmawiają ze swoimi dziećmi jak ludzie z ludźmi, albo w ogóle nie ma o czym mówić!

– Inne dzieci okazują rodzicom szacunek!

– Może inni rodzice na to zasługują? Zdaje się, że nawet raz widziałam na własne oczy takich rodziców, ale to było bardzo dawno, kiedy byłam jeszcze mała i, być może, dobrze nie pamiętam.

– Inne dzieci nie uzależniają swego stosunku do rodziców od tego, czy rodziców stać na wszystko, co im przyjdzie do głowy. Przestań się rzucać i pieklić, kupimy ci ten twój wymarzony kostium!

– „Wymarzony kostium!” Czy to w ogóle jest kostium? Z MHD?! Inni rodzice jeżdżą służbowo za granicę i zwożą dzieciom nylony, tergale, orlony, stretche i Bóg wie co, a ja noszę wszystko krajowe! Jestem zupełnie bez szans!

– Inne dzieci nie uzależniają swoich szans życiowych od zagranicznych szmatek i nie zamęczają rodziców przesadnymi wymaganiami!

<sup>431</sup> Tenże, *Waluś szarlatan*, [w:] tegoż, *Za Kierdziołkową...*, dz. cyt., s. 67–69.

– Inni rodzice wiedzą, że źle ubrana dziewczyna może się od razu powiesić, bo żeby weszła na ścianę, nic jej się nie uda, nikt jej ręki nie poda i w ogóle nie ma żadnych perspektyw!

– Inne dzieci mają inne perspektywy, nie tylko stroje, zabawy, flirty, inna jest ich postawa wobec życia i inne reakcje na drobne braki lub to, co im się brakuje wydaje. Zresztą, jeśli nam starczy pieniędzy, zamiast tego kostiumu z MHD kupimy ci coś w komisie, tylko już się uspokój i przestań na chwilę grać tragedię grecką pt. „Nieszczęsna córka i wyrodni rodzice”.

– Inni rodzice spontanicznie robią dzieciom przyjemności, a wy tylko ustępujecie z trudem pod wpływem awantur i szantażu!

– Inne dzieci widocznie lepiej niż ty wychowują swoich rodziców! Ktoś kiedyś napisał, że „rodziców należy bić za młodu!”

– Inni rodzice...

– Inne dzieci...

– Inni rodzice...

– Inne dzieci...<sup>432</sup>

### **Przykład 341. Jadwiga Rutkowska – *Metody* (1970)**

Mamusia I: Sama pedagogika, proszę pani, to jeszcze nie jest wyjście. Pestalozzi – przestarzały, nowe źródła – skąpe. Ja posuwam się bardziej w głąb zagadnienia i studiuje psychologię. Oczywiście, systemem gospodarczym.

Mamusia II: Pani uznaje intelektualizm czy woluntaryzm?

Mamusia I: Herbart ma wiele racji, ale nie można jej również odmówić Brentano i Wundtowi, mnie jednak osobiście bardziej przemawia do przekonania behawioryzm i ściśle z nim związana refleksologia Pawłowa.

Mamusia II: To pani przemawia do przekonania, a ma przemówić do przekonania dziecka.

Mamusia I: Droga pani, dziecku najlepiej ręką przemawia się do rozumu!

Mamusia II: Ręką? Nigdy. Najlepiej wieszakiem.

Mamusia I: Wieszaki szalenie łatwo się łamią!

Mamusia II: Bo pani zapewne używa plastikowych. Plastikowe są do niczego. Raz pani uderzy i po wieszaku!

Mamusia I: Nie mogę pojąć, dlaczego teraz zupełnie nie produkuje się dyscyplin? Dawniej w każdym porządnym sklepie z przyborami gospodarczymi był wielki wybór dyscyplin od zwykłych do najbardziej luksusowych!

Mamusia II: Widocznie się nie opłaca, proszę pani! Czy ktoś myśli o kliencie! Mówi się: „Nasz klient – nasz pan!”, a o zwyczajnej dyscyplinie nie ma co marzyć!

<sup>432</sup> J. Rutkowska, *Inni rodzice, inne dzieci*, [w:] tejże, *Różnica płci*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1970, s. 28–29.

Mamusia I: Bo, widzi pani, dyscyplina też jest jakaś przestarzała, mieszczańska; nie rozumiem, dlaczego w tej dziedzinie nie pomyślano o czymś bardziej postępowym. Czasy się zmieniają, zmienia się sztuka, formy mebli, wzory tkanin, tylko w tej dziedzinie życia kompletny zastój. Ciągłe kij, różga, dyscyplina – zupełnie jak w bajeczkach dla grzecznych dzieci! To nie może działać na atomowe pokolenie.

Mamusia II: Znam jednego wybitnego pedagoga, który mówi, że nie ma jak wieszanie za nogi. Na krótko, oczywiście. Ogromnie uspokaja, przy tym krew napływa do mózgu, co usprawnia jego działanie.

Mamusia I: Zupełnie jak u jogów! Oni każą stawać na głowie. Cała kulturalna zagranica stoi teraz na głowie.

Mamusia II: No, właśnie! Stawiać czy wieszać – wszystko jedno, byle osiągnąć pożądany cel. Próbowалам z moim Bronusiem, ale to jest okropnie trudne dziecko do wieszania, tak że nawet nie wiem, czy by mu to dobrze zrobiło. Pogryzł nas wszystkich fatalnie i trzeba było się przeprosić z wieszakiem! Mam wprawdzie znakomity mahoniowy wieszak po dziadku, ale po pierwsze – szkoda mi go, bo gdzie ja drugi taki wieszak dostanę, gdy ten mi się połamie na Bronusiu, a po drugie – Bronus już zbyt się zżył z wieszakiem! Nie robi to na nim odpowiedniego wrażenia! Trzeba wymyślić coś nowego, zadziałać na wyobraźnię dziecka!!

Mamusia I: A może spróbuje pani kabelka!

Mamusia II: Coś w tym jest! Skąd pani wpadła na tę myśl?

Mamusia I: Wie pani, byłam niedawno na świetnej sztuce Durrenmatta „Fizycy”. Tam jeden wielki uczony dusi, oczywiście, dla dobra ludzkości, kabelkiem jedną panią. Troszkę mi się to dziwne wydawało, ale pomyślałam, że niekoniecznie trzeba zaraz dusić, a warto wykorzystać ten pomysł wielkiego pisarza!

Mamusia II: Już nieraz zauważyłam, że sztuka ma wielki wpływ na życie. Muszę namówić męża, żebyśmy częściej chodzili do teatru. Inaczej kompletnie zaśniedziejemy!<sup>433</sup>

### **Przykład 342. Jadwiga Rutkowska – *Wiew przeszłości* (1970)**

Stałam na przystanku pogrążona w medytacjach nad niepunktualnością autobusów, gdy cios w plecy omal nie powalił mnie na bruk.

– Jak się masz, stara! – ryczało potworne jakieś babsko. – Tyle lat, wojna, nie wojna, a jednak od razu cię poznałam!

– Przepraszam, ale ja pani nie poznaję. Chyba bierze mnie pani za...

<sup>433</sup> Taż, *Metody*, [w:] *tejże, Różnica...*, dz. cyt., s. 25–27.

– Biorę cię za ciebie, bo chociaż obie jesteśmy nie pierwszej młodości, ale mnie (tu położyła dowcipny akcent) skleroza jeszcze nie zżera! Nie poznajesz Marysi Strzelczyk?! Podciągałaś mnie z francuskiego, kochana!

A więc są fakty: nazwisko i podciąganie. Koszmarne uczucie – stanąć z czymś takim oko w oko i dowiedzieć się, że to koleżanka, rówieśnica. Słaba pociecha, że ona mnie poznała, a ja jej nie. Może po prostu ma lepszą pamięć.

– Świnia jesteś! – huknął nagle potwór.

– Nie rozumiem...

– Co tu jest do zrozumienia? Mówię, że jesteś świntuch, bo tylko świntuch przysyła złą ściągę.

Nie dość że obrzuca mnie obrzydliwymi inwektywami, to jeszcze ten cwanicki żargon sprzed wieków; nie wytrzymam!

– Pamięć cię (z trudem wysyczałam to „cię”) chyba zawodzi, bo nigdy w życiu nikomu nie dałam fałszywej ściągaczki.

– Łżesz jak zawsze! Kto teraz sprawdzi i rozsądzi?! Gdybyś nie wkleiła mi fałszywej ściągi, zdałabym maturę, a oblałam przez twoją fał...

– Marysia Strzelczykówna, którą podciągałam z francuskiego i której posyłałam tysiące ściągaczek na różnych klasówkach, została na drugi rok w czwartej klasie i od tej pory urwał się wszelki kontakt między mną a Marysią Strzelczyk, czego, mówiąc nawiasem, nigdy nie żałowałam. Tak, że jednak pani (podkreślałam z naciskiem) bierze mnie za kogoś innego, choć nosi pani to samo imię i nazwisko, co moja dawna koleżanka szkolna. Od początku miałam powody powątpiewać o pani tożsamości z Marysią Strzelczyk, ponieważ było to stworzenie ślamazarne i niesłuchanie łagodne, a pani... Z drugiej strony jednak zdolności do nauki pani i Marysi S. wskazywałyby na jedną i tę samą osobę. To właśnie ona w trzeciej klasie na klasówce z polskiego, której tematem był pobyt Stasia i Nel w „Krakowie”, napisała w naiwności serca i mózgu: „Staś i Nel wyjechali do Krakowa” – i na tym skończyła ten sławny w szkole Posseltówny elaborat.

– No, widzisz, stara! Wszystko o'key! – rżało babsko. – Ja jestem twoja Strzelczyk, tylko kiedy zostałam na drugi rok w czwartej, moi starzy przenieśli mnie do innej budy i przy maturze jakaś inna świntucha podetkała mi fałszywą ściągę. Ten szczegół mi się pomylił, bo w starej budzie ty mi zawsze przysyłałaś ściągi. Tylko że twoje były klawe. Musimy się umówić, stara, teraz kiedy cudem na siebie wpadłyśmy.

Wskoczyłam do autobusu w biegu z narażeniem życia, które z Marysią Strzelczyk w perspektywie nie przedstawiało dla mnie dużej wartości.

W autobusie znowu popadłam w zadumę. Niby przykry incydent, a ileż ja mam szczęścia! Taka Marysia Strzelczyk, której się pomyliło „kto jej podetkał fałszywą ściągę”, mogłaby być moim zwierzchnikiem albo grubą rybą w wydaw-

nictwie, od którego zależy wydanie mojej książeczki, albo... Czy ja wiem zresztą, ile tu mogłoby być nieprzyjemnych komplikacji? I już odetchnęłam z ulgą, gdy przyszła refleksja: A skąd ja wiem, czy w jakimś takim niedobrym dla mnie miejscu nie siedzi inna Marysia Strzelczyk z innymi urojeniami przeciwko mnie?<sup>434</sup>

**Przykład 343. Witold Zechenter –  
*W związku z rozbudową szkolnictwa (1970)***

Dawniej przysłowie było w modzie:

Mądry Polak po szkodzie...

Dziś je inne zamienić wolę:

Mądry Polak po szkole...<sup>435</sup>

**Przykład 344. Witold Zechenter – *Maturzystom (1970)***

To zalecenie miej dziś w cenie,

gdy na maturę przyjdzie pora:

zdaj egzaminy z odznaczeniem...

egzaminatora!<sup>436</sup>

**Przykład 345. Jerzy Baranowski –  
*Wycieczka historyczna i kurso-wycieczka (1971)***

Wycieczka historyczna<sup>437</sup>

(aktor wychodzi z zeszytem, czyta)

Wypracowanie domowe. Czego pożytecznego nauczyłem się w czasie wycieczki historycznej?

W czasie klasowej wycieczki historycznej nauczyłem się dużo pożytecznego. Tylko niepotrzebnie pojechałem z siostrą, bo bym więcej skorzystał z historii.

Mamusia upiekła szarlotkę i dała mnie i siostrze, i pojechaliliśmy z całą klasą do jednego historycznego zamku, aby zwiedzić go całego, bo to jest dla nas dzieci bardzo pouczające i to pomoże w historii, kto jest w historii słaby i zapomina daty historyczne... z historii. W tym zamku na górze, tam był jeden pan przewodnik, co wszystko wiedział z historii i nas dzieci oprowadzał po całym historycznym zamku. No, to najpierw ja rozwinąłem szarlotkę, bo byliśmy z sio-

<sup>434</sup> Taż, *Wiew przeszłości*, [w:] tejsze, *Różnica...*, dz. cyt., s. 41–43.

<sup>435</sup> W. Zechenter, *W związku z rozbudową szkolnictwa*, [w:] tegoż, *Drobiażdżki z przejażdżki. Satyry, fraszki, humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, s. 45.

<sup>436</sup> Tenże, *Maturzystom*, [w:] tegoż, *Drobiażdżki...*, dz. cyt., s. 45.

<sup>437</sup> Ponieważ w tym samym roku ukazały się dwa utwory autora na temat wycieczek w celach edukacyjnych, postanowiłem ująć je w zestawieniu jako jeden przykład.

strą głodni, a pan przewodnik powiedział, kochane dzieci ten zamek jest naszą świetną pamiątką historii, i zaprowadził nas do lochu siedmiu zaduszonych, to było bardzo pouczające z historii, przecinek, bo pan przewodnik powiedział, że księżę Mściwój spłodził ośmioro potomstwa i kazał je bez sądu udusić, a jeden chłopiec uciekł mu konno i dlatego ten loch jest tylko siedmiu uduszonych. I pan przewodnik pokazywał nam, jak te biedne dzieci dyszały. No, więc to zwyczajnie, o tak: yyy yych... i potem sztywniały, i już... To było bardzo pouczające, bo oczy im wychodziły i sobie siniały całe... Bardzo było ciekawe, a siostra tak uważnie uważała, że nawet nie chciała szarlotki i powiedziała, że potem. Potem pan przewodnik powiedział nam, jak się taki gród warowny bierze zdradą, no to zwyczajnie trzeba zejść strażnika w nocy i pchnąć go prędko nożem w plecy, tak jak księżę Bolesław Łysy, co potem i Mściwoja, i tak wiele innych trupów kazał utopić w pobliskim jeziorze. To było bardzo pouczające, bo pan przewodnik pokazał nam miejsce w jeziorze, gdzie one pływały, a my, wszystkie dzieci zaczęliśmy obserwować, czy tam jeszcze czego pod wodą nie ma, ale nie było, tylko Heńka się rozplakała. Potem zwiedziliśmy basztę historyczną i pan przewodnik opowiedział wszystkim nam, jak w tej baszcie właśnie był torturowany ten syn Henryka Pobożnego, księżę Bolesław Rogatka, co się ożenił z Adelajdą, córką księcia Sambora II, ale księżna od niego uciekła pieszo do Gdańska, bo była obrażona, bo on miał dużo nałożnic oraz kochanek i prowadził rozpustne życie z gamratkami, które potem sobie otruwał i teraz jedna z nich się ukazuje w nocy na murze jako biała dama i mówi głosem: dlaczego księciu mnie otrułeś, znak zapytania, dlaczego? To było bardzo pouczające z historii, bo pan przewodnik nam wytłumaczył, jak się truje. No, więc się bierze zwyczajnie kielich, nalewa trochę zatrutego wina i mówi: „wypij, kochana moja, wypij na zdrowie to winko”. Ona wypija i od razu chlap na ziemię i tylko jej nogi drygają.

Potem dziewczynki zadawały pytania, jak wyglądały te gamratki, więc ja znowu rozwinąłem szarlotkę, co upiekła mamusia, ale jak pan przewodnik pokazał miejsce, gdzie księżę Rogatka też upiekł żywcem dużo mieszczan z Legnicy, to siostra powiedziała, że mogę zjeść jej połowę, ale ja już nie chciałem, bo pan przewodnik pokazywał ciekawie, jak się pieklili i krzyczeli pomsty. To było bardzo pouczające. A to było już po śmierci Fryderyka II, który bardzo szczęśliwie umarł sobie na dyzenterię i już. A potem poszliśmy sobie z panem przewodnikiem do kaźni! To było najbardziej pouczające, bo pan przewodnik pokazywał nań-, koła do łamania chłopów pańszczyźnianych oraz topory do ćwiartowania. I był bardzo dobry, i pokazywał nam, jak ćwiartowali. No więc to zwyczajnie: bierze się chłopca pańszczyźnianego, kładzie na pieńku, ciach, ciach obcina ręce i nogi, i już, ale na tym musiał skończyć, bo ta moja głupia siostra się zrobiła



zielona i zemdląta, i musieliśmy wracać z wycieczki przed czasem i nawet nie zobaczyłem pali do nabijania. A wszystko przez nią, bardzo szkoda, ale jeszcze zobaczę, bo się znowu zgłoszę na wycieczkę historyczną, bo ta historia jest naprawdę bardzo pouczająca<sup>438</sup>.

„Rozkoszne dziecię” czyli kursowycieczka  
(*monolog dziewczynki w wieku szkolnym*)

Ach, mamusiu kochana! Jak na tej kurso-wycieczce fajnie. Mówię ci! W tamtą stronę całą noc w pociągu śpiewaliśmy, a zaraz rano było jakieś miasto z zabawkami, ale nikt nie wie jakie, bośmy zasnęli. Cała klasa. Mówię ci, fajnie wszyscy pokładali się, gdzie mogli: Józek na schodach do banku, ja na grobie księcia Światopełka, i nasza pani tylko nas budziła i zaganiała do kupy, ale już pod wieczór to sama weszła niechcący do basenu z łabędziami i tak się wybiła ze snu, że potem nawet w teatrze oka nie zmrużyła, tylko słuchała, jak tam na scenie coś krzyczą. Fajnie było, mówię ci – dracznie.

Ale w tym obozie przejściowym to jeszcze fajniej, wiesz, mieliśmy namioty zaraz przy moście. To wszyscy się bali przechodzić na drugą stronę rzeki... Co? Oj, mamusiu, bo ty nie rozumiesz. No zwyczajnie, bo most był wysoki, kolejowy, a właściwie to go nie było, bo się dopiero budowa! Tylko jedna poręcz była, a tu przepaść i tu przepaść. Olek jest od ciebie odważniejszy, a tylko do połowy doszedł i wiatr go fiut! w dół! Fajnie było, mówię ci! A jaki dumny był potem. – To co – mówi – że wodę ze mnie pompowali, ale co się przejechałem karetką, to moje, nie... Oj, mamu! Ty tylko „Boże i Boże!”. Nie bój się. Widzisz, a ja przeszłam po tej poręczy z Krzychem. No, bośmy byli ostrożni. Zaczekaliśmy, jak nie będzie wiatru, w nocy. Oj, mówię ci, w ogóle tam fajnie było... Bagna!... Trzęsawiska! Cała ziemia chodzi, jak idziesz, tylko musisz uważać, żeby z kępy na kępę, z kępy na kępę, bo jak się zapadniesz, to już koniec – wciągnie... Ale co tam, mnie z Krzychem to może wciągnąć o! (*gest-figa*) Oj, mamu, co się miałam nauczyć, to wcale nie po łobuzersku, wszyscy tak u nas robili figę dla draki, że niby te bagna nas właśnie nie wciągną – rozumiesz... Ale i łąki tam fajne! To Krzycho mówi: a weźmiesz do ust żabę?... No, to ja wzięłam, żeby sobie nie myślał, że taki ważny – nie...

Ach, fajnie było!... Co?... Oj, mamu! Taką malutką żabkę... Nie bój się! Że ją trochę potrzymałam w ustach, to nic jej się nie stało; harcerz szanuje przyrodę, słowo daję... Kić, kić, i poleciała na łąkę, a Krzycho mówi, no, teraz to ci już wie-

<sup>438</sup> J. Baranowski, *Wycieczka historyczna*, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska...*, dz. cyt., s. 98–100.

rzę, że ty też... Oj, mamó, wcale nie! Tylko, że ja też... no... a zresztą co ci będę mówić, to takie nasze sprawy z Krzychem, intymne – wybac – ty tego nie zrozumiesz... Co?... Oj, mamó, ty tylko „ach Boże i ach Boże”. A właśnie wcale tak nie było, bo to Krzycho pierwszy powiedział, że „tak cię kocham, że mogę wziąć dla ciebie do gęby chrabąszcza, z twojej ręki”. I widzisz, jaki jest fajny: zbladł, ale wziął, sama mu złapałam. To potem ja też musiałam. (*Dąsa się*). Tak, aha! Taki czyn to wcale nie głupstwo, mamusiu. Jak mamusia mówi, że głupstwo, to proszę, niech mamusia spróbuje, czy tatko tak weźmie chrabąszcza dla mamusi. Chociaż jest od Krzycha dużo większy. A!... Ja się wcale do was nie wtrącam, czego na mnie krzyczysz? Teraz na mnie krzyczysz, a tatuś też dla ciebie zrobił czyn, jak mieszkałaś na drugim piętrze.

A właśnie, że wiem. Wlażł na słup telegraficzny na wprost twego okna i ci tam zaczepił jakiegoś tulipana czy coś. W niedzielnym garniturze. A tu ulewa. Aha! No, to co, że mnie jeszcze nie było, ale i tak wiem, bo babunia to mi wszystko opowiada... Oj, mamusiu, co ci?... I czego się zmartwiłaś – dziwna jesteś. Przecież wiesz, że wcale nie spadł z tego słupa, bo jak przyszedł milicjant i po wiedział: panie kolego, nie można łązić po własności społecznej, to zlażł na dół i poszedł się z tobą ożenić; chociaż w ogóle nie byłaś na wycieczce... Albo na przykład, czy ty byłaś kiedy duszą dzwonu?... Widzisz – a ja byłam. Mówię ci, jaka draka... Oj, zwyczajnie, jak żeśmy zwiedzali wieżę katedry. Mówię ci, mamó, jak tam wspaniale na górze. Co najmniej dwadzieścia pięter wysokości! A tu tylko taka czeluść pod nami i nietoperze. A nad tą czeluścią dzwon. To zaraz Stefan, a Stefan, wiesz, jest cięty na Krzycha, bo mu Krzych kiedyś wylał na łeb gorącą zupę. No, to Stefan założył się zaraz z Krzychem o dziesięć deka fistaszków, że niby Krzych nie skoczy i nie przyczepi się do tego dzyndzyka, co jest w dzwonie i dynda. No, wiesz, fajnie było! Krzycho mówi o! (*gest-figa*) a właśnie, że skoczę, bo sobie wyrabiam charakter. I od razu hop, tak fajnie! Złapał się i wisi, i mówi: a widzisz teraz, że nie jestem baba, tylko wiszę. No, to ja też za nim hop, żeby nie był taki mądry, no nie?... Mówię ci, fajnie było, wisimy sobie, a pod nami tylko ta czeluść... aha i ta gruba Julka – ona zawsze na złość – zaczęła tam na dole ciągnąć za sznur i zadzwoniła nami. Oj, nie bój się, nic nie było, bośmy głośno nie dzwonili, człowiek nie jest dzyndzyk – nie daje rady, zresztą Julka zaraz uciekła... Jak to nasza pani?... Nie, nasza pani nic nie mówiła. No, naprawdę mamusiu, ani słowa, bo jakżeśmy wisieli na tym dzyndzyku, to poszła do miasteczka po pomoc, żeby nas zdjąć, to co miała mówić? A potem jeszcze fajniej było, bo jak nam ręce ścięły, to przyjechali strażacy i kazali nam spadać na taką sieć. Ach, mówię ci, mamó! Cała klasa nam zazdrościła! Wszyscy zaczęli skakać na tę sieć... Oj, nie, mamusiu, strażacy nie mogli jej zabrać, bo byśmy spadali za

daleko. Jak to, co zrobili? Nic. Tylko poklękali i zaczęli się modlić... A bo ja wiem, może dlatego, że to katedra? Fajnie było! Mówię ci. Chcesz fistaszków – masz, sama wygrałam, bo wiem, że bardzo lubisz... Co jesteś taka błada? O rany, tatu-siu – mamusia mdleje! Nie mam pojęcia dlaczego?!<sup>439</sup>

### **Przykład 346. Jerzy Dobrowolski – *Decybel*.**

#### **Fragment audycji Polskiego Radia (wrzesień 1971)**

– Proszę państwa, obecnie Stanisław doktor Jerzy Rożnowski wygłosi pogadankę p.t. „My Polacy kochamy się w cemencie”. Prosimy bardzo.

Dobry wieczór państwu.

Historią odkryć i wynalazków rządzą czasami ciekawe przypadki. Bywa, że kraj, który przoduje w danej dziedzinie – nagle z niewiadomych przyczyn traci w niej swój światowy priorytet. Tak było np. z ziemniakami, które wraz z Kolumbem opuściły niegościnnie kontynent amerykański, aby na stałe jako kartofle zadomowić się na mazowieckich piaskach. Nota bene Amerykanie próbowali potem mścić się na nas za to stonką ziemniaczaną, ale stonka, choć mała i głupia, też wołała nas od nich.

Podobnie jest z cementem. Słowo „cement” nie jest słowem rdzennie polskim. Ma pewne naleciałości. Niemniej jednak weszło na stałe do krwioobieg polskiego języka. Zresztą nie tylko. Polskie worki z napisem „cement” wędrują do wszystkich zakątków świata, a w krajach szczególnie nam bliskich są dobrze rozumiane.

Tradycja cementu w Polsce sięga czasów dawnych, gdy przez nasze ziemie ciągnął znany, obecnie już historyczny „Bursztynowy szlak”. Kupcy greccy i rzymscy przedzierali się przez dziewicze puszcze słowiańskie nad prastary Bałtyk, po złoty, mieniący się w słońcu jantary. Nikt wtedy nie myślał jeszcze o cemencie. Nikt nie myślał o nim nawet wtedy, gdy Władysław Łokietek, znany polski król, rozbitą na dzielnicę scementował w jeden organizm państwowy. Kazimierz Wielki, zostawiając Polskę murowaną, był już tylko o krok od cementu. Ale na ten krok musieliśmy czekać jeszcze bardzo długie lata. Nasza droga do cementu był bowiem trudna i nie była usiana różami – ale była polska.

Dziś, gdy patrzymy na dymiące kominy cementowni, nie myślimy o tym. Ten widok wydaje nam się prosty i naturalny, choć dopiero w ostatnich latach cement na stałe osiadł w naszym krajobrazie. Można powiedzieć, że zrobił to na naszych oczach.

---

<sup>439</sup> Tenże, „*Rozkoszne dziecię*”, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska...*, dz. cyt., s. 47–50.

Cement ma również znaczenie przemysłowe. W swoim ostatnim przemówieniu Walery Malinowski podkreślił jego dziejową rolę mówiąc m.in.: „...więcej cementu, to więcej mieszkań”. Potwierdzili również te opinie fachowcy. Wszyscy są zgodni co do tego, że cement zdobył sobie u nas prawo obywatelstwa. Wszedł w naszą rzeczywistość otwartymi drzwiami i żadna siła nie jest w stanie go od nas wykurzyć. Dziś, patrząc z perspektywy czasu, możemy sobie śmiało powiedzieć prostą, ale jakże ważną prawdę. Jesteśmy scementowani. I to jesteśmy scementowani tak mocno, że nikt i nigdy nie jest w stanie nas rozcementować.

Pocziwy szary cement na stałe dołączył do kolorowej gamy barw naszej rzeczywistości. Dziękuję państwu, do usłyszenia za tydzień.

- Bez przesady. Dziękujemy bardzo panie profesorze. Do widzenia.
- Dziękuję. Do widzenia.
- Kochani, chodźcie już. Panie profesorze, kasa na dole, wie pan?<sup>440</sup>

### **Przykład 347. Franciszek Irecki z Mnisztwa – *W dawnej szkole austriackiej* (1971)**

Pon inspektor szkolny, powiatowy, przychodzował na inspekcje nasmolony do tych szkół, o których miał donosy, że w nich rektorzy nie radzi uczyć języka niemieckiego. Szpatną markę też u niego skyras tego miała m.in. i szkoła istebniańska, w kierej przed kopą roków rektorował pon Szotkowski. Szkoła – jako wszędzi – była jednoklasowa i łobyczajnie ze sztyroma oddziałami. Dziecek było kielanoście i uczyły się na zmiany, bo wszystkie nie zmieściłyby się naroz w jednej izbie. Nauka w takich warunkach trwała od świtu do zmroku, a rektor nazwytać się musiał przeokropnie, jak jaki otrok. Musiał być też – jako to prawią – dziełuchą od wszystkigo. I kierownikiem szkoły i jej gazdą, ale też i pisarczykiem do wszelikajij papierkowej roboty we szkole i w całej wsi.

Do inspektora szły skozy od nikierych takowych szkopyrtoków kąkolowego posiywu kożdoniowskiego, kierzi to po niemiecku sami nie umieli się wyjęzyczyć. Ale za to serca mieli echt niemiecki i domogali się, aby jejich dziecka w tym języku były szkolone. Rektora – poza tymi porę zarażonymi szlązakowską nimoćą – mieli wszyscy radzi i w zocy, toż go namowali, aż se też jyny do dobry pozór i aż się broni, jako jyny może. A on też by ani nie chcioł, co by go mieli tu stela kany przechynąć. Toż się wszechmożnie bronił. Wyszpekulyrował takowy słownik polsko-nemiecki, żeby ulekszyć dzieckom naukę. Ułożył go podle abecadła w formie rymowanej, wierszym. I tak na przykład: „koza – Ziege, mucha – Fliege, matka – Mutter, masło – Butter, szperka – Speck, plama – Fleck” itd.

<sup>440</sup> J. Dobrowolski, *Decybel...*, dz. cyt., s. 285–287.

Jako trufoł, że pon inspektor przyjadą przed samymi feryjami, tak się też i stało. A feryje zaczynały się wtedy od patnostego lipca, a trwały do patnostego września tj. do początku kopanio zymnioków.

Lato było piękne. Nad podziw piękne. Pon inspektor przyjechał skoro rano. Był godnie zamamrany i nie przerządził ani wiela z rehtorem, co wyszeł przed niego na gónek. Jak przyszeł do klasy, dziecka wstały pięknie z ławek i pozdrowiły go – jak były nauczone – „Moorgen!”. Rehtór okłudzoł go po oddziałach w klasie i wyjaśnił, co kiere dziecka kany robiły. Poza tym kozoł wszystkim pochować ślabikorze i szpargoły, rzecy, że teraz bydzie wspólnio lekcyja niemieckigo, kiera – jako dycki – poprzedzi przepowiadanie słówek. Wszystkie dziecka skandowały słówka z pamięci. Szło im to pięknie. Pon inspektor udobruchoł się i potakiwoł głową. Pochwolił też taki sposób nauczanio i podchodząc do dziecek, zapytowoł się ich po niemiecku, jako się nazywają. Wstowały i odpowiadały na przykład, że „ich heisse Adelheid Knopek, ich heisse Georg Kyrpiec” itd.

Pon inspektor był rod i zadowolony. Zyrkoł na wiszący na ścianie obraz różowego na gębie cysorza Franz-Josefa I z białymi bokobrodami, w białym mundurze, ze wstęgą przez ramie. Uśmichoł się do niego i bazyliszkowato i wiernopoddańczo.

Dziecka gorolski mówią tu już po niemiecku.

A te dziecka gorolski chodzowały jeszcze wtedy wszystkie w jednakowym obleczu. W takowych długich po kostki, szarych, hrubawych, parcianych koszulach. I wszystkie były – jak krople rosy – do siebie podobne. Pon inspektor pytoł się rehtora, jako też on późno, kiere z tych dziecek jako się nazywo i czy je dziełuchą czy chłapcem. Rehtór odrzykł, że on późno każdego, ale taki, co na co dzień z nimi nie żyje, nie późno. Kozoł potem, aby dziecka z oddziału piyrszego, tj. z piyrszych ławek wstały, ustawiły się przed ławkami i na tempa uciyrały se nosy. Na tempo „roz” dziecka podniosły koszule do wyrchu wysoko, na „dwa” uciyrały nosy koszulą, na „trzy” spuszczały koszule na dół. I pokozoło się, że w ławkach z prawej strony gónku były dziełuchy, a zaś z lewej strony – chłapcy.

Inspektora to pokazowe poznowani płci uczniów rozbawiło i rozochociło. Uśmioł się przeokropnie i dierzając się za brzuch, wyszeł ze rehtorem do kancynaryje.

I odjechał potem z Istebnej przekonany, że donosy na rehtora były co najmiyni scyganione i łoszkliwe.

Po jakimsi czasie przyszeła jeszcze ku temu z powiatu urzędowo powała dło rehtora za to, że jakoby dobrze pełnił obowiązki austriackiego wychowawcy dziecek.

A wszystko skyrz tych rymowanych słówek niemieckich, no i też isto tego uciyrano fyrnioków do koszul<sup>441</sup>.

**Przykład 348. Marian Piechal –  
*Punkty zbiorowego nauczania* (1971)**

Pomyślałem sobie: któż to może być? Pracownik fizyczny – nie, pracownik umysłowy – też nie. Ktoś ani poniżej, ani powyżej, tylko gdzieś pośrodku. Postać schludna, broda płowa, poważna, oczy płowe, poważne. Z jednej jego strony dziewczynka z tornistrem, z drugiej chłopiec z teczką.

– Pan do szkoły z nimi? – zagadnąłem, uśmiechając się do dzieci.

– Che, che, do szkoły, panie – odparł z lekkim grymasem ironii – a wołałbym do jakiegoś solidnego punktu zbiorowego nauczania.

– Toż to właśnie jest szkoła – powiedziałem, uderzony nieco dziwnym jego wyrażeniem, aczkolwiek całkiem w duchu biurokracji.

– Nie, panie, to nie to samo – wyjaśnił z pobłażliwie wyrozumiałym tonem tajemniczy posiadacz płowej brody, płowych oczu i rodzic grzecznych dzieci.

– Szkoła. Hm, szkoła – ciągnął dalej. – Bo niech mnie pan powie, co to jest szkoła? To miejsce, gdzie uczą czytać, pisać i rachować. I na tym koniec. I szlus.

– No, nie – zaoponowałem – wyrabiają pewne cnoty, kształcą charakter...

– Che, che, che, tere-fere kuku! – przerwał mi nagle, parsknąwszy śmiechem. – Żadnego czegoś podobnego po szkole pan się nie spodziewaj. Szkoła to tresura, tresura i koniec. Tak jak szkoła jazdy konnej czy tańca niedźwiedzi. Czytać, pisać, rachować – i koniec. Najwyżej jakiś tam obcy język. W dodatku źle – i szlus. A nam są potrzebne prawdziwe, rzetelne punkty zbiorowego nauczania...

– Czego?

– Życia! – krzyknął mi prosto w twarz... – Życia i myślenia – dodał po chwili jakby sam do siebie – gdyż życie bez myślenia nie ma sensu, a myślenie bez życia to absurd. Tak, panie, te zwykłe pańskie szkoły tego nie nauczą. Żadne. Ja wiem. Na podstawie doświadczenia. Mam za sobą dziesięć uniwersytetów. A teraz jestem w jedenastym.

– W jakim charakterze? – zapytałem zdumiony w przypiływie nagłego szacunku.

– Woźnego<sup>442</sup>.

<sup>441</sup> F. Irecki, *W dawnej szkole austriackiej*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna do Gogolina. Gawędy, baśnie, legendy*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1978, s. 36–37.

<sup>442</sup> M. Piechal, *Punkty zbiorowego nauczania*, [w:] tegoż, *Sokrates, indyk i żółtek*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1971, s. 286–287.

**Przykład 349. Joanna Wilińska –  
*Rozmowa z dziewczynką* (1971)**

(*Na ławeczce dorosła kobieta i dziewczynka*).

Dorośla: Co ty tu robisz sama o tej porze? Przecież już dawno po lekcjach. Dlaczego nie idziesz do domu?

Dziewczynka: Ja już nie pójdę do domu, proszę pani.

Dorośla: Ależ dlaczego? Co się stało?

Dziewczynka: Na wieś pojedę, jak tatuś, bo tatuś też miał 12 lat, jak wziął w garść węzełek i poszedł pracować do chłopca, więc ja też wzięłam węzełek...

Dorośla: Zaraz, zaraz, nic nie rozumiem... Co to za węzełek, co ty masz w tym węzełku?

Dziewczynka: Takie różne rzeczy. Trochę soli w szmatce...

Dorośla: Soli? Do czego?

Dziewczynka: Do chleba czarnego, żeby jeść w polu jak krowy wygonię, i świeczkę.

Dorośla: Świeczkę? Po co?

Dziewczynka: Żeby się uczyć po nocach jak wuj Tolek, bo wuj Tolek to się uczył po nocach jeszcze pod kołdrą.

Dorośla: Pod kołdrą!

Dziewczynka: Żeby majster nie zobaczył, bo był przeciwny oświacie dla ludu i wuj Tolek miał trudne dzieciństwo, ale wyszedł na człowieka, a mnie to wszystko pod nos podsuwają i tylko się ucz, i ucz. I wełna mnie drapie, a co się mama napłakała, żeby mieć nową sukienkę, co się naprosiła, bo mama też miała trudne dzieciństwo, a ja jestem niewdzięczna i wieczorem mnie nie można do łóżka zapędzić, a ciocia Hela pięć nocy nie spała, jak wujek Włodek ząbków dostawał, bo była najstarsza i musiała się zajmować.

Dorośla: A ty się nie zajmujesz?

Dziewczynka: Wcale się nie zajmuję, bo jestem jedynaczką. I kozuchów nie lubię, a babcia u prababci to nieraz tego mleka upragnęła i nie w głowie jej był telewizor. Bo babcia też miała trudne dzieciństwo, a teraz to się wszystko tym dzieciom należy i nie doceniają.

Dorośla: I dlatego chcesz pójść sobie z domu?

Dziewczynka: Tak, na wieś, będę krowy pasła i też będę miała trudne dzieciństwo, i już.

(*Odchodzi. Dorośla podąża za nią, mówiąc po drodze*).

Dorośla: Wróć do domu, dziewczynko.

Dziewczynka (*Zatrzymując się na chwilę*): Nie!...

Dorośla: Wróć spokojnie. Daję ci słowo, że ty też masz nietatwe dzieciństwo<sup>443</sup>.

**Przykład 350. Marcin Wolski – *Edukacja*.  
Piosenka z programu kabaretu „Salon niezależnych”,  
do muzyki Krzysztofa Knittela (1971)**

Nad brzegową płaską linią  
dzieci z piasku lepią twierdze,  
blanki, baszty, kruchy mur,  
drżą proporce z mewich piór –  
sny dziecinne, sny dziecinne, o potędze. O potędze!

Morze zalewa fosy,  
burzy piaskowe mosty,  
nie chcą dostrzegać dorośli,  
że dzieci również dorosły.

Pozwólcie dzieciom próbować  
i bawić się, póki są czyste,  
w małego technika, w małego socjologa,  
w małego ekonomistę.

Na stoliczkach, późnym zmierzchem,  
kiedy księżyc tonie w stawie,  
rosną małe domki z kart,  
papierowy śmieszny świat –  
sny dziecinne o naprawie.

Wiatr konstrukcje roznosi,  
burzy karciane wioski,  
nie chcą dostrzegać dorośli,  
że dzieci również dorosły.

---

<sup>443</sup> J. Wilińska, *Rozmowa z dziewczynką*, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska...*, dz. cyt., s. 117–118.



Że nad wiek wyrośnięci  
mają dosyć idylli,  
gdy braknie im kawalerki,  
mogą zażądać Bastylii.

Pozwólcie dzieciom próbować,  
nim zagrają z rozmysłem  
w małego cynika, w małego demagoga,  
w małego anarchystę<sup>444</sup>.

**Przykład 351. Marcin Wolski – *Dobre wychowanie*.  
Piosenka z programu kabaretu „Salon niezależnych”,  
do muzyki i w wykonaniu Jacka Kleyffa (1971)**

Pokolenia „kolumbów”, „zetempowców”, „tubylców” –  
bardzo modne i fajne terminy,  
lecz jak nazwać nas, młodszych,  
w ciągu trzech lat dorosłych,  
od tej wiosny przedwczesnej do zimy?  
Jaki termin wykuwać naprędce  
dla tych łebków, co wrażeń niesyte –  
„pokolenie czapki studenckiej”,  
czy „zimowych nausznic z tłumikiem”?  
Bardziej cyniczni niż otwarci,  
zawsze bez zbytu dobrych chęci,  
wciąż ideowo niezbyt zwarci,  
wciąż wychowawczo nie objęci.  
Produkt zniechęceń czy owacji,  
nadmiaru czy też braku myli?  
Może czciciele kontestacji  
lub konformizmu maturzyści?  
Jakby ich dorwać? – myśl uparta  
błądzi w gazetach myślą krętą,  
oj, przydałby się tu mistrz Karhan,  
a może raczej Makarenko...  
Niezależnie, co z nami się stanie,

---

<sup>444</sup> M. Wolski, *Edukacja*, [w:] tegoż, *Co w duszy gra co w brzuchu burczy. Wiersze i satyry*, Wydawnictwo M, Kraków 2011, s. 13–14.

czy znów czwórki rozciągną się drogą,  
ta nabyta świadomość zostanie,  
co nie daje spać pedagogom!<sup>445</sup>

### **Przykład 352. Waław Czynczys – *Mandryl na olejno* (1972)**

Kierownik: Pan się chyba domyśla, panie majster, po co tu pana wezwałem?

Majster: Nie.

Kierownik: Naprawdę?

Majster: Może się nasza robota nie spodobała?

Kierownik: O, właśnie! Trzech ludzi aż pięć dni malowało VII-b. I to ma być robota?

Majster: Nie będzie, panie kierowniku, żadnych wyjaśnień. Należy się kara, wal pan i do widzenia...

Kierownik: Chwileczkę. Kara – karą, ale chciałbym znać przyczynę tego naruszenia.

Majster: Kiedy i tak pan nie uwierzy.

Kierownik: Postaram się.

Majster: Wszystkiemu winien głód wiedzy.

Kierownik: Głód czego? Chuchnij pan!

Majster: Proszę uprzejmie: chu!

Kierownik: Małe dubeltowe...

Majster: Nie, duże żywieckie eksportowe.

Kierownik: No, dobra... Wic powiada pan, dręczył was dziwny głód. Trudno to pojąć...

Majster: Co też pan mówi! Są trudniejsze rzeczy na tym świecie, a można je pojąć. Na przykład: każde ciało zachowuje ruch jednostajny prostoliniowy lub pozostaje w spoczynku, jeśli nie działa na nie żadna siła...

Kierownik: Każde ciało...

---

<sup>445</sup> Tenże, *Dobre wychowanie*, [w:] tegoż, *Z przymrużeniem ucha. Tomik z wolszczyzną*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1984, s. 26–27. Por. tenże, *Dobre wychowanie*, [w:] tegoż, *Co w duszy...*, dz. cyt., s. 15–16; tenże, *Dobre wychowanie*, [w:] I. Kiec, *Historia polskiego kabaretu*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2014, s. 258; tenże, *Dobre wychowanie*, [w:] T. Nyczek, M. Tarkowski, J. Weiss, J. Kleyff, *Salon niezależnych. Dzieje pewnego kabaretu*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008, s. 40–41; tenże, *Dobre wychowanie*, [w:] M. Tarkowski (red.), *Salon niezależnych*, AZ, Warszawa 2004, b.s.; tenże, *Dobre wychowanie*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora. I. Wszystkie drogi prowadzą do rymu*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001, s. 40–41. Treść dotyczy wydarzeń z marca 1968 r. Piosenka wygrała Giełdę w studenckim klubie „Medyk” i Festiwal „Fama” w Krakowie, zajmując I miejsce, lecz natychmiast została zdjęta z programu i nie pojawiła się w koncercie finałowym.

Majster: Tak. Każde żywe ciało, czyli żywa materia, składa się z następujących pierwiastków: wodór, azot, tlen, węgiel, siarka, fosfor, wapń, magnez, potas, żelazo, krzem, chlor, sód.

Kierownik: Panno Zosiu, sodowej wody, prędzej!...

Panna Zosia: Już biegnę.

Majster: Mogę mówić dalej?... Panu się pewnie wydaje, że upał uderzył mi na mózg. Proszę się nie obawiać. Rzecz wygląda całkiem prosto. Po wniesieniu drabin i kubłów z farbą do tej VII-b mieliśmy usunąć z klasy książki i tzw. pomoce naukowe – takie różne barwne tablice, kolby i probówki i coś tam jeszcze, co leżało pod ścianami. Henio dla pokrzepienia już odbijał ćwiartkę i chciał usiąść na podłodze na jakimś obrazku. Ale nie usiadł, tylko się wpatrzył w toto i przeczytał nam na głos podpis: „Mandryl, małpa naczelna (*cynocephalus mormon*), długość 100 cm (w tym ogon 3 cm), żyje w Afryce Zachodniej, ma na pośladkach czerwono-niebieskie modzele, nos i policzki czerwone”. I pokazał nam tę małpę, z nosa i policzków trochę podobna do Franka.

Kierownik: A modzele?

Majster: Nie wiem. Nigdy z Frankiem nie byliśmy w łaźni.

Kierownik: Pytam, co to takiego te modzele?

Majster: A widzi pan i pana to wciąga. Ale nie powiem, bo nie wiem. Więc, panie kierowniku, tak zaczęliśmy te tablice przeglądać, bobrować w książkach i robić różne doświadczenia chemiczne i fizyczne, a czas nam szybko leciał. Wyznaczyliśmy dyżury, co dwie godziny były zmiany – jeden malował lamperie na olejno, drugi czytał na głos różne podręczniki, a trzeci zabawiał się elektrolizą.

Kierownik: Dostyc tych bredni. Potrącam wam z należności po trzy dni.

Majster: Czy to konieczne, panie kierowniku, umówmy się tak: my nadrobimy zaległości po godzinach, a pan się okaże człowiekiem. A w niedzielę założymy panu na balkonie zegar kwiatowy Linneusza. Wspaniała rzecz! Sadzi się w tym celu kozibród łąkowy, który otwiera swój kielich najwcześniej, bo o 3 rano. Potem – goryczel jastrzębowaty (ten wskazuje godzinę czwartą), a dalej – jastrzębiec buldaszkowaty, prosienicznik plamisty itd. itd. Co będzie za rozkosz! Wychodzi pan na balkon o siódmej, patrzy pan na odpowiedni kwiat, wacha go pan i woła do żony: „Wstawaj, kochanie, otwarła się już godzina pęcherzycy (*vezicaria utriculata*)!”...

Kierownik: Panno Zosiu? Czy ma pani jakieś proszki? Głowa mi pęka...

Panna Zosia: Mam panie kierowniku tabletkę od bólu głowy.

Majster: Przepraszam, jeszcze jedno słowo: Henio chciał, żeby zapytać, czy pan przypadkiem nie wie, co to może znaczyć – *tussilago farfara*?

Kierownik: Proszę stąd wyjść! Natychmiast! I nie wracajcie do mnie. U mnie już, panie majster, jesteście spaleni... Panno Zosiu!...

Panna Zosia: Słucham, panie kierowniku.

Kierownik: Do widzenia, panno Zosiu. Ma pani przed sobą człowieka, który zaczyna rozumieć, za co uczeni byli paleni na stosach...<sup>446</sup>

### **Przykład 353. Ludwik Górski – *List do redakcji w sprawie szkoła-kawiarni* (1972)**

Szanowny Panie Redaktorze, dużo się ostatnio mówi o szkoła-kawiarniach, które mają być otwarte w bieżącym roku szkolnym. Ta nowa forma nauczania w klasach, gdzie zamiast ławek będą wygodne stoliki i krzeselka oraz dymiąca filiżanka dobrze zaparzonej kawy, jest moim zdaniem bardzo cenną inicjatywą. Trzeba młodzież wdrażać do właściwego, kulturalnego spędzania czasu w kawiarniach. Ja osobiście, nie wyobrażam sobie dnia pracy, w którym nie wyskoczyłabym ze trzy razy z biura do kawiarni. Nic tak nie uczy jak kawiarnia, gdzie wszystkiego można się dowiedzieć. Dlatego pochwalam ten pomysł.

Wątpliwości budzi we mnie jeden aspekt tej sprawy, a mianowicie, kto będzie parzył i podawał tę kawę. Czy zaparzać będzie nauczycielka, a podawać będą uczniowie lub uczennice, czy też odwrotnie. W tym wypadku obawiam się, że kawa nie będzie dostatecznie mocna. Z tego względu powinna zaparzać nauczycielka. Jeśli chodzi o podawanie, to jak wiemy, dzieci nasze są bardzo przeciętne nauką i dodatkowe zajęcia mogłoby doszczętnie wyczerpać ich siły. A moja Elżunia, panie Redaktorze, jest wątłym dzieckiem, podczas gdy jej wychowawczyni jest młodą, silną kobietą i mogłaby to robić bez uszczerbku dla jej zdrowia.

Mam nadzieję, że Pan Redaktor poruszy tę sprawę gdzie trzeba i poruszy kogo trzeba, żeby naszych dzieci nie męczyć.

Kreślę się z poważaniem

Matka zdrowego pokolenia<sup>447</sup>

### **Przykład 354. Ludwik Górski – *Nasza recenzja* (1972)**

Redaktor: W związku z ukazaniem się na półkach księgarskich nowego wydania książki pod tytułem „Elementarz”, zwracamy się do naszego krytyka z prośbą o wypowiedź. Pierwsze pytanie, jakie mi się nasuwa, brzmiałoby następująco: co pan jako krytyk mógłby dodać lub odjąć na temat kolejnego wydania książki pod tytułem „Elementarz”.

<sup>446</sup> W. Czynczys, *Mandryl na olejno*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 63–65.

<sup>447</sup> L. Górski, *List do redakcji w sprawie szkoła-kawiarni*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 66.

Krytyk: Ukazanie się nowego wydania *Elementarza* jest wielkim wydarzeniem kulturalnym; świadczy to o rozszerzeniu się kręgu miłośników książki. Książka jest rozchwytywana i jej kilkudziesięciotysięczny nakład powinien zaspokoić ten naturalny głód słowa pisanego i czytanego.

Redaktor: Czemu zawdzięcza ten utwór tak duże powodzenie?

Krytyk: Wydaje mi się, że zawdzięcza przede wszystkim niezwyklej prostocie stylu, treści, narracji oraz fabuły. Dla przykładu przyjrzyjmy się jednej z głównych bohaterek tego dzieła, Ali. Ala jest postacią skromnie ale jakże wyraziście zarysowaną. Ala, jak wiemy, ma kota i darzy go głębokim uczuciem. Ala i jej kot wiodą życie proste i głęboko moralne. Nie spotykamy w ich dziejach żadnych zbrodni, wyuzdań czy odstępstw od norm współżycia międzyludzkiego. Ich troski i radości są niewyszukane i przez to zrozumiałe dla każdego.

Redaktor: Jaki jest stosunek przeciętnego nabywcy tej książki do jej treści i wartości moralnych w niej zawartych?

Krytyk: Książka ta jest niewątpliwie dla każdego nabywcy pasjonującą literaturą. Znamy wypadki ślęczenia miesiącami nad nią, aż do przeczytania do ostatniej litery.

Redaktor: Czy pan, jako krytyk, czyta każde kolejne wydanie?

Krytyk: Naturalnie. Każde dzieło różnie odczytuje się w różnych okresach. Krytyka zna to zjawisko. Na przykładu Norwid. Zupełnie inaczej odczytuje go się teraz niż dawniej. Pod słowa „Ala ma kota” można podłożyć różne treści i bardzo proste sformułowania nabierają innego wydźwięku filozoficznego. Weźmy drugą główną bohaterkę dzieła Olę, która ma psa Asa. As w pewnym okresie wydawał się być kryptonimem asa wywiadu, w innym okresie mógł być asem w kartach, którymi ktoś coś rozgrywał. Mógł być też asem kolarstwa, za czym nietrudno ukryć aluzję, zato as ten kręci wciąż i kręci, czyli jest krętaczem. Różnie można tego asa pojmować, interpretować, czy wypuklać.

Redaktor: A jaki jest pana pogląd?

Krytyk: Skłaniam się coraz bardziej do szkoły czysto pieskiej, a mianowicie do tej, która w Asie Oli widzi po prostu psa tej lub innej rasy.

Redaktor: Przyznam się, że i ja miałem podczas lektury tego dzieła podobne myśli. Ale to było bardzo dawno<sup>448</sup>.

---

<sup>448</sup> Tenże, *Nasza recenzja*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 66–68.

**Przykład 355. Jan Huszcza – *Aby... Napisane na prośbę uczennic i uczniów* (1972)**

O ile sobie przypominam, „aby” to spójnik łączący niektóre zdania podrzędne ze zdaniem nadrzędnym. Kiedy indziej „aby” to partykuła o znaczeniu ograniczającym i wyraża mniej więcej to samo, co „tylko, byle, zaledwie...”.

Dawniej na wsi żyło się „aby do przednówka”, bezrobotni żyli „aby do wiosny”. Teraz tę partykułę na wsi i w mieście słyszy się rzadko, za to w szkołach po dziś dzień liczni szepczą: – Aby do dzwonka. – Aby do dzwonka, zapowiadającego upragniony dla niektórych koniec lekcji matematyki, botaniki, historii lub polskiego.

Bo właśnie jest się nieprzygotowanym do odpowiadania, tymczasem zaś pani nauczycielka, jak się wydaje, właśnie czyha na taką lub takiego. Wydaje się takiej lub takiemu, że nie ma nikogo więcej w klasie i że nieuchronnie nadciąga zguba. W młodszych klasach takim nieprzygotowanym czerwienięją uszy, w starszych klasach uszy czerwienięją rzadko, za to myśli się o tym, jak tu się ratować, nie dać się zauważyć do momentu, gdy rozdzwoni się czarodziejski dzwonek.

Między ławkami rozpełza się szept: – Ile minut do dzwonka?

Okazuje się, że jeszcze dwadzieścia. O rany koguta!

Można udać ból zęba, wtulając policzek w dłoń. Ale przecież wczoraj na innej lekcji już się udawało, że ząb boli. Trzeba uciec się do innego sposobu. Może przycupnąć, nisko pochylić się nad pulpitem, kryjąc kędzierzawą czy ostrzyżoną na kretynka główkę za plecami siedzących przed nami? Ale, psiakość, dzisiaj mają oni jakieś wyjątkowo wąskie plecy! Więc podnosimy dwa palce do góry, wstajemy i nerwowo pytamy: – Panie profesorze, czy mogę wyjść? Zrobiło mi się niedobrze.

Nauczyciel jednak orientuje się w sytuacji lepiej, niż nam się wydaje, patrzy na nas podejrzliwie i bezlitośnie oznajmia: – Możesz, ale przedtem odpowiedz mi na pytanie... Ojej! Teraz, gdy za chwilę milczeniem lub jękaniem się ujawnimy nasze lenistwo i niewiedzę, naprawdę robi nam się niedobrze. Jeszcze tylko przez głowę przejdzie zwrot: „Głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział...”. To, zdaje się, pochodzi z jakiejś twistowej piosenki czy z przemówienia, a może z tego... no, jak mu tam na imię... z Pana Tadeusza, licha wiel!

Czasem już od dzwonka na lekcję, dzwonka mobilizującego, czekamy na dzwonek zawiadamiający o przerwie, na dzwonek radosny i wyzwalający. A w czasie 45 minut, które dzielą jeden od drugiego, i trwają w naszym odczuciu kilka godzin, dzieją się straszne rzeczy.

Ileż to pani profesor lub pan profesor, a wraz z nimi i pojętniejsi koledzy, nie nasłuchają się w różnych klasach dziwnych odpowiedzi na różne pytania!

Jeśli to lekcja zoologii, okaże się, że owady w swoim rozwoju pozarodkowym przechodzą przeobrażanie – osmozę, a jeśli lekcja fizyki – to zjawisko przenikania czystego rozczynnika do roztworu poprzez przegrody nosi nazwę metamorfozy.

Na sympatycznej skądinąd lekcji geometrii nie każdy wie, iż kątem ostrym nazywamy kąt wypukły mniejszy od kąta prostego. Kątem rozwartym nazywamy kąt wypukły większy od kąta prostego. Mnie kiedyś również pomyliły się owe kąty, w rezultacie czego znalazłem się aż do końca lekcji w kącie prostym, naprzeciwko katedry nauczycielskiej. Dziś z trudem siebie w tamtym spokojnym miejscu wyobrażam.

Wśród spłoszonych szeptów: – Ile minut do dzwonka? – słyszy się odpowiedzi wyrwanych, gmatwające wszystko. Odpowiedzi – majaczenia, odpowiedzi – wołania o ratunek, który znikąd jakoś nie nadciąga, odpowiedzi – „na wariata”.

Okazuje się, że Szopen to kompozytor, autor melodii jazzowych, który pisze dla Sławy Przybylskiej.

Że Mahomet to nieżyjący już właściciel największego w świecie haremu i pierwszej wytwórni mumii egipskich. Że Ilia Erenburg to austriacka kochanka Napoleona. Że Marks to uczony rosyjski, rodem z Woroneża, zaliczony po śmierci w poczet najwybitniejszych marksistów. Że rośliny rozmnażają się przez obcowanie płciowe. Że Wolter to przyrząd do mierzenia napięcia elektrycznego w woltach, a Einstein to znany reżyser filmowy, który wspólnie z Henrykiem Sienkiewiczem zrealizował film pt. *Krzyżacy*. Że na Wawelu znajduje się dziedziniec, na którym odbywały się teleturnieje. Że trójkąt jest to kwadrat o trzech kątach. Że Jerzy Stephenson to racjonalizator z Rzeszowa, odznaczony medalem przez ministra komunikacji. Że przez „ó” piszą się: ól, kóra, płócha, klóska, bóty.

Na razie kompromitują się inni, rzadko kto otrzymuje nawet trójkę na dwóch szynach czy, jak się mówi gdzie indziej, trójkę z wąsami. Pada więc gęsto trup na skutek trafienia dwóją, czyli golem, czyli lufą. Czujemy, że i my niebawem znajdziemy się wśród trupów, więc szept z każdą chwilą nabiera trwożliwszej tonacji: – Ile minut do dzwonka? Kochani, ile minut do dzwonka?

Niektórzy nie pytają, tylko marzą: „Dzwoneczku srebrny, dzwoneczku naj-srebrniejszy, odezwij się!”.

Wszystko są to dla młodych ludzi, siedzących w ławkach szkolnych, sytuacje poniżające, strzępiące nerwy, budzące jałowe pragnienie ucieczki na jakąś bezludną wyspę. Jak tego uniknąć? Dotąd, niestety, jest tylko jeden niezawodny

sposób: starannie przygotowywać się do każdej lekcji. Sposób prosty jak dwa razy dwa, ale przez to nie wszystkim odpowiadający. I ci właśnie najchętniej mówią: – Aby do dzwonka. – Sam na różnych lekcjach, zwłaszcza na lekcjach fizyki i matematyki, nieraz do takich należałem. I choć upłynęło wiele, wiele lat, jeszcze teraz nie mogę odżałować, że marnotrawiłem czas. A dzwonki z lat szkolnych – metalowe z brązowym rozedrganym sercem i elektryczne – odzywają się czasem we mnie wzruszeniem. Sami kiedyś tego uczucia doznacie!<sup>449</sup>

**Przykład 356. Jan Huszcza – Jubileusz.  
Z kroniki gazetowej (1972)**

Antenna Mokryszko, profesor AMWB i dziekan wydziału z CZSK, obchodziła wczoraj trzydziestolecie pracy naukowej oraz dwudziestolecie pracy w HURT.

W czasie uroczystości przemawiali przedstawiciele: OKA, MDWZT, CZ ZAGUT.

Kwiaty w imieniu młodzieży wręczył przedstawiciel ZG CMF, zaś prezes KW WKLP w imieniu personelu administracyjnego. Ze strony wychowanków zabierali głos reprezentanci WURM, PUP i RUFA.

Wdzięczność za podtrzymywanie kontaktów z zagranicą wyrazili sekretarze ambasad BKRL, INMRL, WCADL.

Depesze gratulacyjne, które min. nadeszły od BMC, WSPRiD, KAiTAS, ZAGON, BLAT, WATTA, HIP-HIP, odczytał przewodniczący SAK ze względu na przymusową nieobecność naczelnika BRAK-u.

Dyrektor departamentu WISTA w ZMHEJ udekorował Jubilatkę odznaką FIPIK-u.

Po południu profesor Antenna Mokryszko wygłosiła uroczysty wykład dla studentów na temat: *Poziom cukru i kwasu pirogronowego we krwi oraz poziom lipidów całkowitych i aktywność aldolazy, aminoferazy asparaginianowej i aminoferazy alaninowej w surowicy królików zatrutowanych parami dwusiarczku węgla.*

Ad multos annos!<sup>450</sup>

**Przykład 357. Jan Huszcza – Kłopoty z wychowaniem (1972)**

Syna mamy. Wspólnie z żoną staramy się go wychowywać. Na razie na grzecznego chłopca. Potem, jeżeli się uda, na porządnego obywatela. Ale od dawna mamy z tym kłopoty. Czasem wcale poważne kłopoty.

<sup>449</sup> J. Huszcza, *Aby...* (napisane na prośbę uczennic i uczniów), [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972, s. 205–208.

<sup>450</sup> Tenże, *Jubileusz (Z kroniki gazetowej)*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, dz. cyt., s. 225–226.



Idzie syn do sklepiku, który znajduje się obok domu, po cukier. Po godzinie wraca bez cukru, ale za to z płaczem.

– Gdzie cukier, synku?

– Nie dali!

– Jak to: nie dali?

– A bo... a bo... jak stałem w kolejce, to mnie dorośli odpychali do tyłu!

– Dlaczego?

– Bo mówili, że ja mam czas, a oni się spieszą... I tak się spieszyli, że nikt mnie nie zauważył.

– A co na to pani sprzedawczyni?

– Pani sprzedawczyni? Ona także się spieszyła. Spieszyła się, żeby załatwić dorosłych... Tatusiu!

– Przestań nareszcie beczeć!

– Tatusiu, ja już więcej nie pójde do sklepu. Wolę pić herbatę bez cukru... I bez rogalika.

– Przestańże, Jerzyku! Wkrótce będą twoje urodziny, to zapomnimy o wszystkich żalach!

– A kiedy będą moje urodziny?

– No, przecież za tydzień. Sam podkreśliłeś w kalendarzu ten dzień czerwonym ołówkiem.

– Aha!

Na urodziny syn otrzymał dwie małe rakiety z siatką i celuloidową piłeczką do ping-ponga. Bardzo się ucieszył, gdyż interesuje się sportem. Ale już naza jutrz piłeczka rozkleiła się, od rakiety odpadła rączka.

Synek, ledwie wstrzymując szloch, żalił się: – To jak ja zrobię kleks w zeszycie, tatuś każe mi iść do kąta i pani w szkole zwraca mi uwagę, a jak dorośli zrobili takie piłeczki i rakiety, to tatuś nie idzie, żeby ich postawić w kącie... Gdzie tu sprawiedliwość?!

Długo tłumaczę synkowi, że na raketce nie ma, niestety, adresu pana, który ją zmajstrował.

– A gdyby był adres?

– Oho! Wtedy wytargałbym go za uszy i posadził do karceru!

Synek z zadowoleniem, podskakując, przyjmuje moje oświadczenie:  
– Pod schodami, w komórce z węglem, gdzie nasz Mruczek poluje na myszy?

– W komórce z węglem, pod schodami!

Przed tygodniem sąsiad kupił samochód. Sprowadził go na podwórko i od-tąd cieszy się wśród dzieci takim uznaniem i szacunkiem, jakiego może nie do-świadczył Napoleon ze strony swoich licznych generałów i marszałków.

– Tatusiu – zwraca się do mnie synek, gdy już oczka kleją mu się do snu – a kiedy ty kupisz auto?

– Nie kupię, Jerzyku. Wiesz przecież, że nie mamy na to pieniędzy.

– Dlaczego?

– Bo twój tatuś, Jerzyku, żyje z pracy.

– Pan Matyrka też przecież żyje z pracy!

– Tak, ale on pracuje w uspołecznionym handlu i jest kierownikiem dużego sklepu.

– To czemu tatuś nie przejdzie do uspołecznionego handlu?

– Nie każdy, kto nawet pracuje w handlu, może... hm... zaoszczędzić na samochód.

– To brzydko, że tatuś nie umie oszczędzać! Trzeba, żeby tatuś założył sobie książeczkę PKO – stwierdza Jerzyk i odwraca się do ściany, gdyż razi go światło.

Dzisiaj zaś Jerzyk przybiegł ze szkoły z płaczem, mokry od potu i umorusany.

– Co się stało, Jerzyku?

– Wracałem chodnikiem, a jakichś dwóch dorosłych panów potrąciło mnie i jeszcze chcieli odebrać mi tornister!

– Jak to?

– Szli tak jakoś zygzakiem, przy tym strasznie wymyślali!

– Takich panów trzeba, Jerzyku, omijać z daleka.

– Dlaczego?

– Bo są źle wychowani!

– Tatusiu, a czemu ich nikt nie wychowuje i nikt nie zwraca im uwagi?<sup>451</sup>

### **Przykład 358. Jan Huszcza – *Listy* (1972)**

Szanowny Panie Redaktorze!

Zjawił się niedawno u nas w Dopłacku pewien pan z odczytem. Podał się za socjologa, mówił o współczesnej kulturze masowej, bo o niej przeważnie prelegenci lubią mówić, jakby innych spraw nie było. Powołując się na film, telewizję i pisma ilustrowane, ów pan socjolog przez cały czas nazywał tę naszą kulturę współczesną kulturą obrazkową.

Jak się tak rozglądam, a zdarza mi się bywać i po za Dopłackiem, to chętnie nazwałbym naszą kulturą raczej napisową. Głosu to ja wtedy nie zabierałem, u nas rzadko kto bez upoważnienia zabiera głos, ale mam wiele dowodów, uzasadniających mój pogląd.

<sup>451</sup> Tenże, *Kłopoty z wychowaniem*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, dz. cyt., s. 184–186.

Gdzie tylko spojrzeć, prawie codziennie pojawiają się jakieś nowe napisy. W lokalach gastronomicznych wiszą przeważnie dwa: „Czystość to zdrowie” i „Klient ma zawsze rację”. Tylko kiep może przywiązywać do nich jakiegokolwiek praktyczne znaczenie, bowiem obrazki z rzeczywistości, jeśli je zestawić z napisami, przeważnie potwierdzają moje zdanie.

W urzędach Dopłacka wiszą znowu inne: „Pluć tylko do spluwaczki”, choć nawet w sklepach z naczyniami nie ujrysz spluwaczki, i: „Petent jest naszym przyjacielem”, choć tylko niektóre młode petentki doznają dobroczynnych skutków tego oświadczenia.

Niebezpiecznie jest przechodzić w pobliżu gabloty z plakatami wzywającymi do walki z chuligaństwem. Jakby naumyślnie chuligani założyli pod tymi gablotami swoją bazę wypadową, a raczej punkt zaczepiania nieśmiałych przechodniów.

Nad głośnikami radiowymi wisi liryczne zdanie: „Cisza koi nerwy!”.

Gdy na miejskiej naradzie skrytykowano autobusy za złą obsługę pasażerów, we wszystkich ich wnętrzach pojawiła się drukowana obietnica: „Usprawnimy miejską komunikację!”. Obok znalazły się inne: „Brakoróbstwo obrzydza życie”, „Krzewienie wiedzy to szlachetny obowiązek”.

Ktoś z nas nawet zaczął żartować, że w ogóle na krytykę pewnych niedociągnięć odpowiadamy napisami. Nie podam nazwiska tego żartownisia, bo go lubię i nie chciałbym mu zaszkodzić. Ale może on i ma rację, bo oto mógłbym zanotować wiele wezwań, rad i oświadczeń:

„Bałaganiarstwo sprzymierzeńcem marnotrawstwa”.

„Literatura rękojmią kultury”.

„Świadomość zobowiązuje do poczucia odpowiedzialności”.

„Kochajmy Bułgarię!”

„Miłe wczasy zapewni ci pobyt nad morzem”.

„Remanenty to hamulec handlu uspołecznionego”.

„Dzieci, unikajcie zapalek!”

„Rolnicy, używajcie sztucznych nawozów!”

„Zbierając złom, wzbogacasz dom!” (Nikt natomiast nie wie, dokąd zwrócić się z zebrany złomem).

„Kto dużo pije, ten krótko żyje”.

„Walcz z gruźlicą!”

„Przechodniu, przestań narzekać!” (Nie wymieniono, na co przestać narzekać).

„Ptaki ozdobą polskich drzew”.

„Drzewa ozdobą polskich ptaków”.

„Zielone światło dla nauki”.

„Hej!”

Powiem nawet więcej: w przekonaniu mieszkańców niektórych okolic naszego kraju napisy nabierają znaczenia wprost magicznego, dobroczynnej siły sprawnej.

Jeśli ktoś, dla przykładu, jeździ piękną trasą Krynica – Stary Sącz, to od dawna widuje dwa szczególnie wymowne napisy. Przed Żegiestowem: „Uwaga! Ruchome usuwisko!”. Za Żegiestowem: „Uwaga! Spadające głązy!”.

Nie trzeba żadnych zabezpieczeń, zabezpieczają bowiem same napisy.

Coraz częściej na polskich drogach pojawiają się traktory z różnymi przyczepami, na przyczepach zamiast tylnych świateł bieleją kredą wypisane koślawe litery: „Nie ma świateł!”. I nikomu nie przychodzi do głowy, że ten, co w nocy najedzie na taką przyczepę, ostrzegawczy napis odczyta dopiero jako aniołek odlatujący w niezmierzone przestrzenie wszechświata.

A więc chyba jednak – kultura napisowa, szanowni panowie prelegenci!<sup>452</sup>

### **Przykład 359. Jan Huszcza – *Niespodzianka* (1972)**

W malowniczym, choć pozbawionym żywszych kontaktów ze światem zakątku mieścił się letni obóz młodzieży.

W powiecie ktoś wpadł na piękną myśl: w najbliższą niedzielę wziąć ciężarówkę, załadować na nią przedstawicieli powiatowych organów oraz amatorski zespół artystyczny. Tańce, śpiew i muzyka stanowiłyby miłą niespodziankę dla młodzieży... Przyklasnęliśmy. Pojechaliśmy.

W drodze ustalono, że występy artystyczne poprzedzi słowo wstępne przewodniczącego. Zwięzłe słowo, podkreślające i nawiązujące. Natychmiast po słowie nastąpią występy.

Młodzież powitała nas entuzjastycznie. Na parę godzin przed zachodem słońca zebrali się wszyscy żądni wrażeń. Usiedli na ławkach pod kasztanami. Niewielki placyk przed ławkami miał się stać terenem występów artystycznych. Hej, ileż tu chciwych patrzenia oczu, łaknących melodyj uszu!

Przewodniczący nie zawiódł. Mówił przekonująco i nawet cokolwiek za długo. Gdy skończył, zjawilo się trio skrzypcowe. Już zaczęli ustawiać pulpity z nutami, kiedy z pierwszej ławy wyrwał się dyrektor i dał znak ręką. Zanim zorientowaliśmy się – przemawiał. Powtórzył właściwie wypowiedź poprzednika z tą nieznaczną różnicą, że się przy tym jąkał.

<sup>452</sup> Tenże, *Listy*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, dz. cyt., s. 29–32.

Kończył, kiedy do mojej duszy wkradł się śliski poszept: „A ja niby co? Gorszy jestem? Języka w gębie nie mam? Mniej jestem uspołeczniony?”. Mówiłem – jak mi się zdawało – interesująco i dobitnie. Z rzadka tylko wyrazy nie chciały nadążyć za myślą czy też odwrotnie...

Nie wiem, jakie motywy kierowały naczelnikiem. W każdym razie skorzystał z chwili zamieszania i również zabrał głos. Zabranie głosu zabrało trochę czasu, gdyż sięgnął myślami nieco wstecz, czyli do okresu średniowiecza.

Po naczelniku przemawiał wiceprzewodniczący.

Po wiceprzewodniczącym wystąpiła kierowniczką.

Po kierownicze zechciał popisać się swoją wymową sekretarz.

Do wystąpienia sekretarza nawiązał niejaki Gwizduła...

Kiedy mówcy skończyli, zapadła ciemność. Słońce skryło się za lasem i – jak mówi poeta – „psy się uspiły...”

Występy artystyczne z żalem musieliśmy odwołać.

Wracaliśmy do siedziby powiatu w przykrym milczeniu<sup>453</sup>.

### **Przykład 360. Ziemowit Kuniński – *Lekcja rachunków* (1972)**

„Zwieziono z czterech młynów  
po worków mąki sześć.  
Pytanie: Magazynu  
Stan w sumie jaki jest?”

Zaczęło dziecię liczyć.  
Liczyło lekcji pół,  
„Piętnaście” na tablicy  
wypadło mu, jak wół.

Więc nauczyciel: „Przecież  
O całe dziesięć błęd!”.  
Przepraszam, a skąd dziecię  
Ma wziąć te worki, skąd?

Z woźniców, w czasie jazdy  
Najmniej już, spało dwu.  
Po worku więc ktoś skradł im.  
Dwa worki mamy tu!

<sup>453</sup> Tenże, *Niespodzianka*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, dz. cyt., s. 93–94.

Trzej spili się, woźnice.  
 Od picia – bitka już!  
 Chwycili za kłonicę,  
 Z trzech worków poszedł kurz!

To razem pięć. Że szwagra  
 Woźnica jeden ma,  
 Co handlarz jest, zatargał  
 Do niego worki dwa.

Już siedem:  
 A swą dolę  
 Mieć magazynier chce.  
 Dwa worki.  
 Dobrze w szkole  
 Liczyło dziecko je!<sup>454</sup>

### **Przykład 361. Mariusz Kwiatkowski – *Delegacja* (1972)**

Sekretarka: Panie dyrektorze, przyszła delegacja.

Dyrektor: A niech to wszystko diabli! Pewnie znowu jakieś pretensje, zażalenia...

Sekretarka: Skąd, panie dyrektorze! Proszę się nie denerwować. Przynieśli całe naręczce kwiatów.

Dyrektor: Kwiatów? Może to jacyś tego... chorzy? Bo jak długo nasze przedsiębiorstwo remontowo-budowlane istnieje, nikt jeszcze z kwiatami nie przyszedł. Z kwiatami, powiada pani? Nie do wiary!...

Sekretarka: Z kwiatami, panie dyrektorze.

Dyrektor: No, to niech pani prosi!

*(Dzieci wchodzą i recytują).*

Chłopczyk i Dziewczynka:

Niech nam żyje przedsiębiorstwo  
 remontowo-budowlane,  
 ze wszystkich przedsiębiorstw  
 najbardziej kochane.

Dziękujemy wam za remont  
 ukochani remontowcy –

<sup>454</sup> Z. Kuniński, *Lekcja rachunków*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 69.

wszyscy z trzeciej „b” uczniowie,

dziewczynki i chłopcy.

Chłopczyk: Proszę, tu jest laurka...

Dziewczynka: ...i kwiaty dla naszej ukochanej załogi.

Dyrektor: Dziękuję wam, kochane dzieci. Naprawdę jestem wzruszony. Nieczęsto otrzymujemy takie dowody uznania. A z której szkoły jesteście, bo my dużo szkół remontujemy.

Chłopczyk: Ach to fajowo!

Dziewczynka: My jesteśmy ze szkoły przy ulicy Stokrotek. Wysłała nas cała klasa, żeby podziękować.

Chłopczyk: Jak wróciliśmy z wakacji i zobaczyliśmy szkołę...

Dziewczynka: ...to wszystkie dzieci tak się ucieszyły, jak nigdy!

Chłopczyk: Skakaliśmy z radości!

Dziewczynka: A jak nasz dyrektor przyszedł i spojrzał, to słowa ale mógł wymówić, tylko kiwał głową.

Dyrektor: Tak się wzruszył?

Chłopczyk: A bo ja wiem? Z dorosłymi nigdy nie wiadomo. Ale my to strasznie się cieszymy i bardzo dziękujemy.

Dyrektor: No, widzicie dzieci. My z myślą o was. Nie szczędzimy sił dla młodego pokolenia, żebyście mieli jak najlepsze warunki życia i nauki. No, a teraz do widzenia i wracajcie na lekcje!

Chłopczyk: Panie dyrektorze, lekcji nie ma.

Dziewczynka: I jeszcze z miesiąc nie będzie, tak żeście wszystko pięknie rozbabrali!<sup>455</sup>

### **Przykład 362. Eryk Lipiński – *Posłaniec w kapeluszu* (1972)**

Jak wielu chłopców w moim wieku byłem uczniem IV klasy Gimnazjum im. Joachima Lelewela w Warszawie.

Nie będę ukrywał, że wówczas nie należałem do czołówki, jeśli weźmiemy pod uwagę naukę, a nie sport. Zwłaszcza rubryka „sprawowanie” wykazywała stale tendencję zniżkową. Kilkakrotne wizyty matki u wychowawcy nie dawały zadowalającego rezultatu, co się zresztą nie zmieniło i do dziś, oczywiście u chłopców dzisiejszych, a przecież tamte matki były prawdziwe, przedwojenne.

Dyrekcja szkoły zażądała przybycia ojca. Sytuacja zaczynała być katastrofalna. Ojca mego nie bałem się, nie o to szło, ale byłem z nim w wielkiej przyjaźni i wiedziałem, że sprawi mu to dużą przykrość, więc pragnąłem tego umknąć.

<sup>455</sup> M. Kwiatkowski, *Delegacja*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 70–71.

Upokorzyłem się więc przed wychowawcą i przysięgłem najszczerzej poprawę. Ale już było za późno. Była to decyzja dyrektora Gadomskiego. Wróciłem do domu całkowicie zgnębiony, a tak zwana dzisiaj „baśka” bez przerwy intensywnie pracowała, jak się z tego wywikłać.

Następnego dnia jechałem już do szkoły wesoły, tuląc pod paltem stary kapelusz ojca. Plan mój był prosty. Kto pamięta przedwojenną Warszawę, ten wie, że na rogu Złotej i Marszałkowskiej był postój pościągów, noszących okrągłe czerwone czapki. Było to niedaleko szkoły, która mieściła się przy ul. Złotej 53.

Tam zaangażowałem jako mego ojca starego pościągę z pięknymi siwymi wąsami, dałem mu kapelusz, nauczyłem, jak się ma nazywać i zachowywać, i żeby w rozmowie z dyrektorem cały czas milczał i potakiwał, a na pożegnanie obiecał, że mi da lanie, że dopilnuje, że się zajmie i w ogóle.

Posłaniec wywiązał się ze swej roli znakomicie, ale ja zostałem ze szkoły wylany.

Zrobiłem mały błąd. Tak jak każdy przestępca nie przewidziałem jednej rzeczy. Otóż ojciec mój w czasie pierwszej wojny światowej przebywał w Moskwie i był tam bardzo znany i aktywny na terenie polskiej kolonii. Dyrektor Gadomski też w tym czasie był w Moskwie i znał doskonale mego ojca.

W ten sposób w połowie roku szkolnego stałem się uczniem II Gimnazjum Związku Nauczycieli.

W szkole tej wkrótce popadłem również w konflikt z dyrekcją, konflikt, który ciągnął się aż do końca mego w niej pobytu. Jeśli byłem ozdobą szkoły, to raczej na boisku sportowym, o czym może zaświadczyć mój najmilszy z profesorów, ówczesny profesor gimnastyki dr Tadeusz Chrapowicki, obecnie znakomity pediatra.

Ale czas zaciera pewne kontury i dziś mój ówczesny dyrektor gimnazjum Czesław Longin Jędraszko patrzy na mnie z dumą, mówiąc: „Oto jakich ludzi nasza szkoła wychowała!”. Ale coś mi się wydaje, że mnie myli zawsze z byłym wiceministrem zdrowia drem Aleksandrem Pachem, który był zawsze uczniem wzorowym i słusznie wysoko zaszedł.

A dzisiaj wszystkie szkoły, do których chadzałem, uważają mnie za swego wychowanka i otrzymuję stale zaproszenia na zjazdy koleżeńskie, a Zaruba zaprosił mnie nawet na zjazd b. wychowanków korpusu Paziów z Petersburga, choć przysięgam, że tam nigdy nie byłem, i podejrzewam, że Zaruba też nie<sup>456</sup>.

---

<sup>456</sup> E. Lipiński, *Erl-69 donosi*, Iskry, Warszawa 1972, s. 32–34.



**Przykład 363. Jerzy Medyński –  
Ogłoszenia nieprawdopodobne (1972)**

Uruchomiona od września br. uniwersalna stacja nadawcza „Pomoc szkolna” poleca swoje usługi w zakresie dyskretnego podpowiadania na wszystkich lekcjach, z wyjątkiem rysunków i gimnastyki. Zainteresowanym polecamy tranzystorowe, odbiorcze długopisy, przy pomocy których najkoszarniejsza nawet klasówka staje się prawdziwą rozrywką. W czasie przerw lekcyjnych nadajemy niezwykle interesujące wiadomości o nauczycielach oraz atrakcyjne koncerty życzeń. Ceny przystępne. Dla zaawansowanych repetentów zniżka.

Przyszkolna spółdzielnia „Postęp techniczny” oferuje najnowocześniejsze ściągaczki na mikrofilmach. Przeszarżałe metody, jak pisanie wzorów matematycznych na paznokciach i sporządzane dotychczas, pracochłonne, a tak niepraktyczne harmonijki, odkładamy do lamusa. Naszym hasłem:

Dbaj o swój techniczny profil  
I ściągając, patrz w mikrofilm!

\* \* \*

Uczennica każda, pilna  
Kształci się na mikrofilmach.

\* \* \*

W domu cię nie spotka przykrość,  
Gdy masz w szkole ściągę mikro!

\* \* \*

Uwaga, uwaga! Chcesz się ukryć przed swym starym,  
Na filmowe przyjdź wagary.

Tylko w naszym kinie znajdziesz gwarantowany spokój! Specjalne, choć nieoficjalne seanse o godzinie 9-tej, 11-tej i 13-tej zapewniają schronienie w deszcz i dają upragniony cień w upały. Dla uczniów studiujących w wyższych klasach szkoły podstawowej prezentujemy i polecamy filmy od lat osiemnastu. Pamiętaj, kino-wagary uczą i bawią! Tu nauczysz się tego, czego nigdy nie nauczyłyś się w szkole!<sup>457</sup>

**Przykład 364. Jerzy Medyński – *Reportaż z terenu* (1972)**

Mężczyzna I: Znajdujemy się w ośrodku doskonalenia kadr naukowych i zwracamy się do jednego z absolwentów ostatniego kursu dla rodziców. Panie magi-strze, jak powiodły się studia?

<sup>457</sup> J. Medyński, *Ogłoszenia nieprawdopodobne*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 72.

Mężczyzna II: Muszę przyznać, że był to trudny kurs, a ja znalazłem się w szczególnie ciężkiej sytuacji.

Mężczyzna I: Przecież warunki dla wszystkich mamusi i tatusiów były jednakowe...

Mężczyzna II: To prawda, ale ja, panie redaktorze, mam aż troje w szkole. Jaś przeszedł do drugiej klasy, Zosia do ósmej, a Kazik do jedenastej. Musiałem się doskonalić równocześnie na trzech naukowych poziomach.

Mężczyzna I: Teraz rozumiem.

Mężczyzna II: Przejdę do szczegółów. Zaczynałem kurs od podstaw i musiałem opanować na wrywki całą tabliczkę mnożenia i co gorsza całą ortografię, aby przy odrabianiu lekcji Jasia nie kompromitować się zaglądaniem do pomocy naukowych.

Mężczyzna I: Tak, tak... i mnie to w tym roku czeka.

Mężczyzna II: Teraz Zosia. To już nie ma żartów, muszę się z nią dostać do liceum, a weźmy choćby naszą historię. Dzisiaj nie tak łatwo wytłumaczyć czternastolatce, że Henryk Brodaty to nie czołowy elektryczny gitarzysta zespołu „Piastelsów”. Tu trzeba pedagogicznego podejścia i rzetelnej wiedzy. A geografia. Niech pan spróbuje wyliczyć wszystkie państwa afrykańskie. Trzeba wyliczać jednym tchem, musi być tempo, bo zanim dojdzie pan do ostatniego państwa powstają już dwa nowe. Ja po prostu nie nadążam.

Mężczyzna I: A co z Kaziem, panie magistrze?

Mężczyzna II: Katastrofa. Musimy zdać maturę i dostać się celująco na studia. To znaczy, że na jedno wolne miejsce już jest nas dwóch. Niech pan teraz doliczy jeszcze co najmniej sześciu innych maturzystów i jeszcze sześciu ich ojców, to ile nam wypadnie? Czternastu kandydatów na jedno miejsce! Rozpacz.

Mężczyzna I: I jak pan sobie poradzi w nowym roku szkolnym?

Mężczyzna II Jak ja sobie poradzę... to jest właśnie do rozwiązania zadanko z jedną, ale bardzo wielką niewiadomą<sup>458</sup>.

### **Przykład 365. Andrzej Nowicki, Joanna Wilińska – *Cennik szkolny* (1972)**

Od dawna już podnosiły się słuszne głosy, zwracające uwagę na niepożądany objaw zróżnicowania cen za osiągnięcia naukowe naszej młodzieży. Ceny te wykazywały rażące dysproporcje, co wywoływało zrozumiałe rozgoryczenie.

I tak, na przykład, w klasie szóstej B pewnej szkoły podstawowej, w pewnym mieście wojewódzkim, jeden z uczniów za czwórkę z wypracowania pod tytułem: „Poranek niedzielny” otrzymał od rodziców tylko bilet na popołudniówkę

<sup>458</sup> Tenże, *Reportaż z terenu*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 73.

do kina, podczas kiedy inny uczeń za to samo osiągnięcie wynagrodzony został scyzorykiem NRD o pięciu ostrzach z korkociągiem.

W tym stanie rzeczy zaistniała konieczność powołania specjalnej komisji międzyrodzicielskiej, która przygotowała ramowy cennik opłat za postępy w nauce, obowiązujący na terenie całego kraju. Cennik ten przewiduje między innymi, że opłata za trójkę z minusem nie może przekroczyć równowartości porcji lodów w lecie, a batonu czekoladowego w zimie, a za wybitniejsze osiągnięcia, ze stopniem bardzo dobrym włącznie, wynagrodzenie nie może sięgać powyżej spodni typu „Texas” z komisju.

Obecnie komisja przystąpiła do opracowania projektu opłat za całokształt osiągnięć całorocznych. I tu przewiduje się ujednoczenie i obniżenie stawek, których górną granicą będzie gitara elektryczna, a nie, jak dotąd było, samochód marki „Syrena”.

Mamy nadzieję, że cennik ten nie tylko zlikwiduje rażące dysproporcje, ale również zapobiegnie wypadkom, kiedy to rodzice obarczeni zdolnymi i pracowitymi dziećmi stacali się niekiedy do podziemia gospodarczego<sup>459</sup>.

### **Przykład 366. Józef Prutkowski – *Nowy rok szkolny* (1972)**

Sprawdzam szkolnego świadectwa pieczętkę –  
Jak dziwnie rozrzucone stopnie!  
Wychowanie fizyczne – na piątkę  
Wychowanie na lekcjach – odwrotnie.

Nowy Rok szkolny. Dziwna zagadka  
(Proszę, sprawdź i podliczaj).  
Niby rok. A u mnie trwał dwa latka  
Zazwyczaj.  
Antygona, owszem. Czy Fedra.  
Panie wielkiego uczucia żądne.  
Ale taka na przykład algebra,  
Pierwiastka do dziś nie wyciągnę.

Kleopatra, owszem. Czy Ligia.  
Joannę pod nogi bym ujął...  
Ale greka, fizyka, religia,  
Dwójka za dwójką.

<sup>459</sup> A. Nowicki, J. Wilińska, *Cennik szkolny*, [w:] S. Stamar (oprac.), dz. cyt., s. 74.

Szkolny temat ciśnie się pod rym –  
 Nowy Rok. Przeżył to każdy.  
 Nigdy nie byłem uczniem dobrym  
 Czy dostatecznym chociażby.

Kiedy wspomnienia przewietrzę,  
 Byłem, dyskretnie wspomnę,  
 Uczniem ledwo niedostatecznym,  
 I to z wysiłkiem ogromnym.

I właśnie za ten wysiłek  
 (Oto lat szkolnych magia -)  
 Biorą mnie czasem do Szpilek,  
 Czasem do radia<sup>460</sup>.

**Przykład 367. Jeremi Przybora –  
*Jak pokochaliśmy przedszkolankę* (1972)**

Osoby: Przyjaciół; Ja; Przedszkolanka; Przedszkolaki

Ja: Kiedy zaczęły się te dni jesienne, co to jeszcze – niby, a jednak już – nie to, siadywaliśmy z przyjacielem w parku, licząc się już z rychłym z nim rozstaniem.

Przyjaciół: Ptaki już prawie się nie odzywają...

Ja: Cisza zupełna...

*(Z oddali zbliżać się zaczyna śpiew przedszkolaków).*

„Idzie jesień, złota jesień,

pani to bogata.

Napełniła nam komory

do drugiego lata.

Napełniła nam komory,

napełniła brogi.

Oj, będzie się czym podzielić,

gdy przyjdzie ubogi!”

*(Przedszkolaki są już blisko, gdy rozlega się gwizdek i głos Przedszkolanki).*

<sup>460</sup> J. Prutkowski, *Nowy rok szkolny*, [w:] tegoż, *Donosy z podpisem*, Iskry, Warszawa 1972, s. 38.

Przedszkolanka: Stój! (*gwizdek*) Dość! A teraz zbierać kasztany! (*Robi się zamieszanie wśród przedszkolaków*). Ale nie na grandę! (*gwizdek*) Ustawić się w kolejce do drzewa! Grzecznie! Spokojnie! (*gwizdek*) Słyszeliście?! W ogonku!

Przyjaciel: Świetna przedszkolanka!

Ja: Znakomita blondprzedszkolanka!

Przyjaciel: Zbudowana mocno, bujnie, a przy tym – z zachowaniem proporcji. I jakie podejście do dzieci!

Ja: Można maluchom pogratulować ciała pedagogicznego. Gdzie ty dzisiaj takie znajdziesz?

Przyjaciel: A główka drobna, kształtna, w blond puklach...

Ja: Jak gdyby zwieńczenie torsu bujnego, a przecież zawsze w porę powściągniętego konstruktywnym umiarem. I ten autorytet moralny!

Przyjaciel: I ta pierś wczesna, śmiała...

Ja: A biodra – rzekłbyś, instrumentalne.

Przyjaciel: Nie mówiąc już o tym, że nogi arcykształtne utrzymują całość na nader wysokim poziomie.

Ja: Dlaczego „nie mówiąc”? Ja bym powiedzia!

Przyjaciel: Jednym słowem – rewelacyjna przedszkolanka!

Ja: Najlepszy pedagog w tym parku!

(*Gwizdek*).

Przedszkolanka: Co tam znowu za rozróżba?! Co tam za bałagan?!

Przedszkolaki: Proszę pani, już nie ma kasztanów! Zabrakło!

Przedszkolanka: A dlaczego zabrakło? Kto powie?

Przedszkolak: Bo nie dowieźli!

Przedszkolanka: Dobrze, Maciek! Bo nie dowieźli! Ale my się na to...

Przedszkolaki: Ale my się na to nie zgadzamy!

Przedszkolanka: Bravo! My się na to nie zgadzamy! A teraz idziemy dalej!

Tylko – parami, bez takich tych i – śpiewać!

„Idzie jesień, złota jesień...” (*Śpiew przedszkolaków odpływa*).

Ja: Poszli.

Przyjaciel: Tak... Odeszła nasza przedszkolanka ze swoimi przedszkolakami, a ciągle jeszcze ją mam w oczach, jak idzie, a dokoła niej – dzieci, dzieci... Masa dzieci.

Ja: Ale i jej samej – sporo, trzeba przyznać.

Przyjaciel: To prawda. Kolosalną pustkę mogłaby wypełnić...

Ja: Drogi przyjacielu, czy myśmy się nie zakochali?

Przyjaciel: Wiesz, zabawne – o tym samym pomyślałem sobie.

Ja: Jeżeli tak, to późno przyszło do nas to piękne uczucie.

Przyjaciół: Ale za to od razu – z dziećmi, co je niejako uwczesnia.

Ja: Być może. Wszelako dzieci przedszkolne już jakby trochę zatarły mi się w pamięci, a ją widzę wciąż nad wyraz plastycznie.

Przyjaciół: I na próżno będziemy od niej uciekać. Jej obraz wszędzie pójdzie za nami. Z przedszkolem...

Ja: To nie uciekajmy.

Przyjaciół: Kto wie, czy nie kochamy jej już bezgranicznie. I to ty może nawet – bezgraniczniej niż ja.

Ja: Och, nie będziemy używać centymetra do uczuć. Najgorsze, że jesteśmy, o ile się orientuję, zupełnie bezbronni wobec niej.

Przyjaciół: Ale gdyby nami pokierowała tak, jak tymi maluchami, to nie mamy czego żałować.

Ja: A może to tylko chwilowe zamroczenie i jak wrócimy do domu, przeczytamy gazety, zjemy kolację, prześpimy się itd., to nam przejdzie?

Przyjaciół: Wróciliśmy do domu, przeczytaliśmy gazety, zjedliśmy kolację, przespaliśmy się itd., ale nam nie przeszło. Nazajutrz czekaliśmy w tym samym parku, na tym samym miejscu...

*(Zbliży się śpiew przedszkolaków; gwizdek).*

Przedzkolanka: Przepraszam, czy to miejsce koło panów – wolne?

My obaj: Ależ oczywiście!

Przedzkolanka: Dziękuję.

Ja *(po chwili)*: Proszę pani... *(do Przyjaciół)* Może lepiej – ty, bo ja jakoś nie śmiem.

Przedzkolanka: Proszę?

Ja: Mówię do przyjaciół, żeby – on, bo ja jakoś nie śmiem...

Przedzkolanka *(nie mogąc zrozumieć, bo dzieci krzyczą)*: Proszę?!

Przyjaciół *(przekrzykuje zgietk)*: Może – ja, bo przyjaciel nie śmie!

Przedzkolanka *(gwizdek)*: Dzieci, jak Boga kocham, dajcie żyć! *(gwizdek)* Zbierać kasztany, ale grzecznie, w ogonku i bez wrzasku!

*(Przedzkolaki trochę cichną).*

Ja: Jeżeli pani pozwoli, to – przyjaciel, bo ja nie śmiem.

Przedzkolanka: No to razem, panowie, ciach!

Przyjaciół: Może w takim razie – pieśnią wyznamy pani...

*(Śpiewają)*

Pewien głos,  
 pewien włos,  
 pewien tors,  
 pewien gors,

pevien lok,  
pevien chód,  
pevien bok,  
pevien przód,  
pevien...

Przedszkolanka: Co się stało?

Ja: Przedszkolaki rzucają w nas kasztanami.

Przyjaciel: Niech oni się nie rzucają!

Przedszkolanka (*gwizdek*): Przestaniecie wy rzucać kasztanami, czy nie?!  
Ja wam porzucam! Czy ja nie mogę mieć chwili prywatnego życia?! Dlaczego nie zbieracie kasztanów?

Przedszkolaki: Bo zabrakło!

Przedszkolanka: To co, że zabrakło?! Dzieci, dla których zabrakło, kupują u tych, co mają, po dwa kasztany za kasztan! (*gwizdek*)

Przyjaciel: Zaczynam się trochę lękać o przyszłość naszej znajomości...

Ja: Przyjaciel obawia się, o ile zrozumiałem, iż dzieci będą nam strasznie bruździły.

Przedszkolanka: To nie ma racji. Dzieci nie będą nam przeszkadzały, bo są jednak zdyscyplinowane.

Przyjaciel: Rozumiemy, ale...

Ja: Przyjaciel ma na myśli, że jednak permanentna obecność dzieci uniemożliwia, że tak powiem, jakieś intensywniejsze skupienie się na uczuciu, które bądź co bądź opanowało nas z przyjacielem na widok pani.

Przyjaciel: Bo jednak dziecko wymaga...

Przedszkolanka: O, ja doskonale panów rozumiem. Ale jako doświadczony już, choć młody pedagog, muszę panów zapewnić, że tylko patrzeć, jak te maluchy zachorują mi na ospę wietrzną i wtedy przez szereg dni jestem już wyłącznie do dyspozycji panów. A wtedy wspólne spaceruje na świeżym powietrzu...

Przyjaciel: O, jeżeli chodzi o połączenie uczucia ze świeżym powietrzem, to to jest właśnie to, czego nam najbardziej potrzeba.

Ja: No a, proszę pani, jak już dzieci wyzdrowieją definitywnie, to – wtedy?

Przedszkolanka: Po jakimś czasie zapadną na kolejną niewinną dziecięcą dolegliwość. Np. – świnkę czy coś takiego. (*Wybucho jakaś dziecięca awantura*).  
Dzieciaki, co tam znowu?! (*gwizdek*) Proszę o spokój! Cicho!! (*Głos Przedszkolanki i wrzask maluchów odpływa*).

Przyjaciel: Tak, ten pierwszy dzień wietrznej ospy, na którą zapadło przedszkole, to był najpiękniejszy dzień naszej miłości do przedszkolanki.

Ja: Spędziliśmy go na długich spacerach po parku, już bardzo szeleszczącym jesienią, a jednak jeszcze tak pięknym...

(*Śpiewamy maszerując: Przyjaciół, Przedszkolanka i Ja*).

„Idzie jesień, złota jesień,

pani to bogata!

Napełniła nam komory...”

Przyjaciół: Trudno nam było uwierzyć w to szczęście. Wielkie uczucie, masa powietrza, ruch na otwartej przestrzeni – wszystkiemu temu potrafiła nadać kształt ładu, porządku, braku przypadkowości, które w naszym wieku, już przecież nie przedszkolnym, nader się ceni.

Ja: To był jednak tylko jeden dzień. Dzień, który napawał szczęściem, ale jednocześnie lękami, że to się może nagle zawalić – ten nasz zamek z jesiennych złotych liści z kasztelanką-przedszkolanką... Nie wiedzieliśmy, jak to się stanie, ale przeczuwaliśmy, że się stanie.

Przyjaciół: No i zaczęło się stawać już nazajutrz. Przyjaciół dostał gorączki i strasznie go obsypało.

Ja: A następnej nocy – przyjaciół dostał gorączki i też go obsypało. Wietrzna ospa, której nie przechodziliśmy w dzieciństwie.

Przyjaciół: No i od tego czasu... Nim wyzdrowieliśmy, przedszkole już miało świnkę.

Ja: Przyjaciółowi wkrótce wywaliło z lewej strony ohydnie. Nie zdążyliśmy wykorzystać ani jednego wolnego dnia przedszkolanki przed tym zniekształceniem się przyjaciół.

Przyjaciół: Odry też nie przechodziliśmy w dzieciństwie...

Ja: Po odrze to już wiedzieliśmy, że... A przecież mogła nam dać naprawdę tyle szczęścia!

Przyjaciół: Przecież nie możemy, proszę pani, ciągle chorować na te dziecięce choroby. I przechodzimy ciężko, i znamy się z nas śmieją.

Ja: Teraz boimy się zwłaszcza szkarlatyny, której również nie przechodziliśmy w dzieciństwie, a która w naszym wieku jest nad wyraz niebezpieczna. Chyba nie trzeba tego pani mówić, że... i koklusz...

Przedszkolanka: O, nie, nie trzeba.

Przyjaciół: Gdyby pani zmieniła zawód, to wtedy...

Przedszkolanka: Nigdy! Wolę zrezygnować z obu panów, niż opuścić jedno choćby przedszkole. Zwłaszcza teraz, kiedy choruje...

Ja: Na co teraz choruje?

Przedszkolanka: Mniejsza z tym. Żegnam. Dziś mgła... Szybko wam zniknę z oczu. (*Gwizdek. Oddała się*).



Przyjaciół: Wspaniała! Wybrała przedszkole.

Ja: Nie miałem co do tego ani chwili wątpliwości. Tak być powinno.

Przyjaciół: Smutny jestem, ale i dumny z naszej przedszkolanki.

Ja: I ja. Jestem też odrobinę ciekawy, na co choruje teraz jej przedszkole...  
(*przerywa mi atak charakterystycznego kaszlu*)

Przyjaciół: Koklusz!

(*Przyjaciół również napada atak charakterystycznego kaszlu i teraz już kaszlemy obaj*)<sup>461</sup>.

### **Przykład 368. Henryk Czarnecki – *Profesor na drodze* (1972)**

„Blady” zauważył znużenie.

– Wbrew pozorom nie zawsze to, co siedzi za kierownicą, jest kierowcą. Umiejętność bowiem sprowadza się nie tylko do tego, by nie najechać na kogoś, ale także, żeby nie zostać najechanym, na przykład przez drzewo czy dom z ogródkiem.

Spojrzał na klasę. Piszą. Z całą powagą przynależną słowom profesora, które majestatycznie płyną z katedry.

– Można się także gdzieś nie zmieścić. Na przykład w bramę. Ale to już nie wina kierowcy, lecz bramy. Są one tak niefortunnie pomyślane, że z jednej strony jest ona o dwa, trzy centymetry za wąska, gdy druga jest co najmniej o metr za szeroka. Pewnie, że budując bramę, można by z tej niepotrzebnej strony odjąć kilka centymetrów i dołożyć do drugiej, ale nigdy przecież nie wiadomo, z której strony kierowcy zabraknie bramy.

Piszą. Słowo w słowo. Do końca zdania. Kropka. Po kropce nagły wybuch śmiechu. Zorientowali się. Rozprostowują się plecy.

– Czy pan profesor nie struga z nas wariatów? – pyta ktoś z opóźnionym zapłonem.

– Mniej więcej od pięciu minut. Trzeba myśleć, co się pisze.

Rozbudzili się już zupełnie. Ławki odzyskują ostrość, ściany wracają do normalnych rozmiarów, profesor zamienia się znów w liczbę pojedynczą. Można już prowadzić lekcję. Nie dadzą się więcej nabrać. Z uwagą wsłuchują się teraz w logiczny tok wykładu, aby w każdej chwili wyłowić każdą dowcipną niedorzeczność. „Blady” ma przecież poczucie humoru, więc znów pewnie czymś strzeli.

„Blady” uśmiecha się z katedry. Nigdzie przecież nie jest powiedziane, by lekcje prowadzić z urzędową powagą. Każdy chwyt jest dobry, jeśli mobilizuje

<sup>461</sup> J. Przybora, *Jak pokochaliśmy przedszkolankę*, [w:] tegoż, *Miłość do magister Biodrowicz*, Czytelnik, Warszawa 1972, s. 43–61. Por. tenże, *Divertimento op. 6 „Ma non troppo”*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 2, dz. cyt., s. 474–477.

uwagę ucznia, każdy uśmiech potrzebny, jeśli rozprasza zmęczenie i senność. Nic dziwnego: po tylu godzinach pracy i lekcji. A że tych kilka zdań trzeba będzie wykreślić z zeszytu...<sup>462</sup>

### **Przykład 369. Wiech (Stefan Wiechecki) – *Nie straszyc dzieci*. Fragmenty (1972)**

No, to wczasy bierą w kość. Nadchodzi wrzesień. Ze wszystkich stron zaczną lada dzień zapychać masowo do Warszawy urlopowicze. W sklepach dziecięcych pojawili się napisy: „Witaj, szkoło”, i temuż podobnie. Po mojemu, nie powinno się dzieci straszyc. Niejeden tak zwany milusiński może się zacząć jąkać i na całe życie mu to się zostanie.

I tak dzieci wiedzą, co je czeka pierwszego września, że zaczyna się dla nich praca. Całą nadzieję mają tylko w budowlanych, że może nie zdążą z remontem szkół. Ale z tem jest coraz lepiej, a właściwie coraz gorzej. Prawie wszystkie szkoły już są podobnie gotowe na przyjęcie młodzieży.

Kochane dzieci, nic na to nie poradziem i oprócz tak zwanego współczucia nic wam nie jestem w stanie ofiarować.

I starsi się tyż tem przejmują. Idę sobie w zeszłym roku 1 września przez Targowe i patrze, że szwagier siedzi z koleżkami w barze „Wisła” przy oknie, piją i zakaszają. No, to wchodzę i pytam się, na jaką cześć. „Nie wiesz? Początek roku szkolnego”.

Przysiadłem się. Myślę, że za parę dni trzeba będzie te uroczystość powtórzyć. Niech wiedzą dzieci, że się o nich myśli<sup>463</sup>.

<sup>462</sup> H. Czarnecki, *Profesor na drodze*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988, s. 24. Por. źródło pierwotne: tenże, *Profesor na drodze*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.

Lekcja w technikum wieczorowym dla dorosłych prowadzona przez polonistę „Bladego” to niewątpliwie najbardziej interesująca ze względów pedagogicznych i gelotologicznych scena filmowa z tego okresu zawierająca elementy komiczne. „Blady” był wyjątkowo surowym nauczycielem, obdarzonym jednak poczuciem humoru. Nawet podczas egzaminu maturalnego, aby rozładować napiętą i senną atmosferę sali egzaminacyjnej, zadawał pytania w stylu „Jak miała na imię Oleńka Bilewiczówna?” lub „Ile lat trwała wojna czteroletnia?” Zob. H. Czarnecki, *Profesor...*, dz. cyt. (1988), s. 153–155. Scena, w której nauczyciel „Blady” płata figla swoim podopiecznym, a opisane zdarzenie zostało uzupełnione o trafny komentarz gelotologiczny, została wykorzystana w wielokrotnie nagradzanym filmie Zbigniewa Chmielewskiego *Profesor na drodze* (zob. Z. Chmielewski (reż.), *Profesor na drodze*, Polska 1973) oraz w jednym z odcinków popularnego serialu *Daleko od szosy* (zob. Z. Chmielewski (reż.), *Daleko od szosy*, Polska 1976). W obu filmach rolę nauczyciela kreował Józef Nalberczak. Przedstawione w książce i filmie nauczycielskie żarty do dziś bywają opowiadane przez nauczycieli na lekcjach. Trudno jednak ustalić, czy ich źródłem były wymienione utwory kultury popularnej, czy trafiły do nich z oryginalnych wspomnień.

<sup>463</sup> Wiech, *Nie straszyc dzieci*, [w:] tegoż, *Przez lufcik*, Czytelnik, Warszawa 1972, s. 160.

**Przykład 370. Tadeusz Zimecki – *Z dziennika licealistki* (1972)**

Ruda i Puzon. To niby ja i Tolek. Tak na nas mówią. Się kochamy. Tolek zerwał z budą. Nudno. Każą o Reju z Nagłowic, że ojciec mowy polskiej. Mowa! Widziałam tego starego na obrazku. Duży, stary „jeleń”. Pisał coś o wójtach i plebanach. Ja jeszcze do budy chodzę, ale chyba rzucę. Tolek ma rację. Kolosalne frajery...

...Pikusia, profesorka od historii, przyszła dziś jak zwykle w wyrudziałej welwetowej kurtce i mowę do mnie trzyma, skąd mam trzysta co tydzień na fryzjera. Strasznie smutne teksty ma Pikusia, że demoralizacja, chamstwo i znieczulica. Te stare meble nic o nas nie wiedzą. Nie znają naszej duszy.

Tam, na Zachodzie to podobnież każdemu młodemu od razu dają samochód. I to nie żadną frajerską syrenkę, tylko taki że można się ścisnąć z Tolkiem, a radar sam steruje. W razie słupa – samochód staje! Obicia są z futer.

Żeby nie Tolek, to nie wiem, co bym zrobiła. Z budy się zaraz urywam. Idziemy na Ścianę Wschodnią. Dziś Tolek powiada: – Oczy podrysowałaś marnie. – Wyjął setę i poszłam kupić francuską kredkę.

\*

Teraz, w sezonie, matka przyjęła jeszcze parę godzin prasowania w pralni i farbiarni pani Chodkiewiczowej. Przychodzi czasem o dziesiątej. I mówi, że nie rozumie mojej nudy. Ojciec mój robi w biurze. Ostatnio wziął urlop. Trzy tygodnie siedział w chacie i coś podliczał. Ojciec to się przynajmniej nie wtrąca. Bierze jakieś proszki, bo coś ma z żołądkiem. Kazali mu nawet jechać do sanatorium. Ale gdzie tam! Biuro się bez niego zawali. Podobno jeszcze nigdy nie spóźnił się do tego biura. Ale najgorsza jest ciotka. Wpadnie czasem i mnie ustawia: – Matka – powiada – na mordę pada. Ojciec – powiada – od wojny urlopu nie wziął, żeby w domu niczego nie brakowało. Pracują obydwoje jak woły robocze, radości żadnej, przyjemności żadnej nie znają, a ty po sobie szklanki nie opłuczesz, wody na herbatę nie zagotujesz. Za moich czasów... – powiada.

No i tak. Ile razy zaczniesz się to „za moich czasów”, zaraz drzwi za sobą zamykam. Starzy nie czynią nic, aby nas zrozumieć. My jesteśmy skomplikowani.

Tolek powiada mi kiedyś: – Baśka – bo mi naprawdę tak na imię – potrzebuję półtora koła. Ale już! Trafia się magneto madeinuesa.

Pytam się, czy kiedyś nasi starzy mieli takie problemy? Tolek Puzon to fajny gość. I twardy. Ostatnio robi judo. Zrobił już dwa chwytów na kopa, jeden od karku i duś na kręgosłup. Jak wziął w bramie na próbę Ziotka z Koszykowej, to gość ciężko sapał. Puzon ma parę i inteligencję. Cała wiara w głowę zachodzi, jak Puzon załapuje nagrania. Ma z Zachodu płyty. Babki nienawidzą mnie za Puzona. Ale Puzon mnie właśnie przyuważał. Pamiętam, jak podszedł na „Legii” i mówi do mnie: – Chcesz być moją dziewczyną?

– Niech będzie – odpowiedziałam i on mnie powiedział później wieczorem nad Wisłą, że mu się podoba moja krótka mowa. Mówił, że mnie będzie kochał co najmniej ze dwa miechy, bo mam dobre nogi. Ale już chodzimy pół roku i mu się nie znudziłam. A Puzona znają. Puzon chodzi dwa tygodnie z górą.

\*

W gruncie rzeczy my wcale źli nie jesteśmy. Dobrze mówił dziś ten redaktor z gazety młodzieżowej. Na chwilę przerwaliśmy potać i każdej z nas dał ankietę. Tam było jedno pytanie, czy lubimy dostawać od chłopaków kwiaty. Później po następnym kawałku wszedł na stołek i podsumował. Że wszystkie lubimy kwiaty – to znaczy, że nie znosimy prymitywu w miłości, że nasi starzy ciągle mają do nas pretensje nie wiadomo o co. Później ten redaktor poderwał Miśkę i poszli do „Bristolu”.

\*

Zaraz jak tylko ojciec wyszedł do roboty, w pięć minut po nim wyszła matka. Jak zwykle płakała. Ma podobno anemię i silne bóle głowy. Całkiem to rozumiem, bo jakbym ja miała całe życie prasować koszule, tobym weszła do wanny z żyletką. Tolek mówił, że jak mu ojciec nie kupi w tym roku samochodu, to tak zrobi. Podobno nic nie boli. Jego ojciec to śmieszny uczony. Profesor. Robi na miesiąc dużo tafl. Jeździ po świecie na konferencje. Raz przywiózł Puzonowi dzinsy. A Puzon chce samochód. Tolek matki nie ma, więc słucha tylko tekstów starego.

Więc siedziałam jeszcze w łóżku, słuchałam płyty, kiedy przyszedł Puzon i przyprowadził takiego jednego. Ten nieznajomy gość pocałował mnie w rękę i powiedział, że ma dobrą robotę, ale na wyjazd. Musiałabym coś przed matką skrócić. (Na przykład, że szykuje się szkolna wycieczka na Wawel). Jeszcze nie wiem, co to za robota, a ten gość każe mi zakładać kostium kąpielowy i żebym się parę razy po pokoju przeszła. Puzon mruga, znaczy, że warto się pokazać. Gość był nawet przystojny, tylko jak dla mnie ciut za stary. Już pod trzydziestkę. I nie lubię gości z wąsikami. Poszłam do łazienki. Kostiumik mam modny. Z tego lata. Staniczek rajcowny. Gość ruszał wąsem i wyjął z palta orzechówkę.

– Odpowiada mnie – powiedział raczej do Puzona – trzydzieści zet za wieczór. Trzy, cztery zmiany. Wszystko. Widzę panią w prezentowaniu damskiej bielizny, w kostiumach, mogą być nawet komplety wieczorowe.

Patrzyłam na Puzona. Dopiero teraz Tolek mi klarował: – Pan Gucio angażuje na pokazy mody.

– Tylko, niestety, na terenowe – powiedział pan Gucio. – Warszawa już obsadzona. Robimy pokazy z występami. Jedzie z nami chór rewelersów „Yeti” oraz magnetyzer Victorio Frucio. Podróż i hotel płacę. A co do diet, to wiem, że dziewczyny z głodu nie umierają. Ha!

To może być ciekawa impreza – myślę sobie. A może zostanę w jakimś baletcie? Grunt, żeby się wkręcić do artystów. W szkole mogłabym sto lat marzyć o takiej karierze. Gość mi dał telefon, żebym się skontaktowała. Zadzwoiłam na wieczór – powiedział, żeby przyjść do SPATiF-u w Ujazdowskie...

Nic z tych pokazów nie wyszło. Bo jak wychodziliśmy ze SPATiF-u na lekkim gazie i Guccio mówił, że się ze mną ożeni, zza budki w Ujazdowskich wyszedł Puzon i dał Gucciovi w ryło.

– Nie o to poszło, żebym cię kochał – powiedział Puzon – ale że nie lubię, jak mi ktoś na chłama rwie babkę. Jeszcze nie przegrałem. Zawsze sam rzucam. Babka lubi być rzucona. Babka nie ma prawa rzucać. Guccio był nerwus. Za szybko się brał. Jeszcze nic nie zrobił, co obiecał, a już cię chciał holować na chatę. Nie znoszę nerwusów! Mnie też obiecał załatwić wyjazd do Szwecji. Guccio jest cwaniaczek, ale wiedz: na Puzona cwaniaczków nie ma!

Staliśmy pod Cedetem, kiedy przeszła Miśka. Nawet nas nie zauważyła. Ona już podobno chodzi do kawiarni literatów. Poznała zagranicznika, co ma sklep z bananami w Bejrucie. Z Miśką chciał się żenić ten śniady Libańczyk, bo powiada, że Miśka jest wonderful, ale mu Miśka powiedziała, że nie lubi bananów. I ostatni raz stałam wtedy z Puzonem pod Cedetem. Wtedy mnie właśnie rzucił. Powiedział: – Dziewczyna byłaś na blat. Równiacha. Możesz chodzić, z kim chcesz, tylko nie z Guccio.

Skoczył do trzynastki. To zaraz rano zadzwoniłam do Guccia. Słuchawkę podniosło jakieś dziecko.

– Tatuś poszedł po węgiel do piwnicy – powiedziało dziecko. Artysta, a po węgiel chodzi! Chatę ma ze starego budownictwa, dzieci ma i żonę. Cześć, Gucciu.

I znowu przyszła nuda. Tolek podobno rwie teraz jakąś z baletu. Ceśka, nie Ceśka. Przyszedł, żeby odebrać płyty. Leżałam na tapczanie. Matka tarła kartofle. (Ojca podobno urodziny, mają być pyzy z mięsem). Nie odezwałam się jednym słowem. Nikt nie wie, co dzieje się w mojej duszy. Mamusia powiedziała słodko z kuchni: – Kochanie, pójdziesz z wałkiem do magła?

W takich chwilach naprawdę odechciewało mi się żyć...

Siedziałyśmy z Katherine (Kaśka, moja przyjaciółka, każe tak na siebie mówić) w „Rio” nad coca-limon, kiedy podszedł do nas jeden stary i zaczął nas rwać „na atom”. Stary rzeził, że przyjedzie kometa, śmajgnie ogonem i świat diabli wezmą. Gra atomowa – powiada – trzeba z życia korzystać, co się da i szybko, bo jutro guzik nacisną i po nas. Wyjął parę tafl w pięćsetkach i mówi, że za nas zapłaci i czy nie chcemy po kieliszku martiniaka w coctail-barze „Grand Hotelu”. Katherine miała pod wieczór odebrać od szewca buty, ale ja miałam wolne. Sta-

ry był nadziany i mówił, że w zeszłym tygodniu rozwalił swojego fiata. Katherine poszła, a stary mi powiada, że mnie ozłoci, tylko żebym była posłuszna. Zwiątałam (kiedy poszedł po taksówkę), bo zauważyłam, że ma sztuczne zęby.

Patrzcie państwo! Po powrocie do domu zastałam naszą Pikusią od historii. Siedziały z matką nad szklankami herbaty. Pikusia przyjaźnie wyciągnęła do mnie rękę. Matka też była słodka. Zaczęły mnie pytać, czy mam złe sny, a później, czy kocham jakiegoś chłopca pierwszą, gorącą miłością. (Aleby się Puzon obśmiał!) Później Pikusia zeszła na życie seksualne i bez pruderii mówiła o cielesnych zainteresowaniach płci odmiennych. Pikusia mówiła, że to świetnie rozumie, że stara się przyjaźnić z młodzieżą, a matka była czerwona. Matka powiedziała, że zginęło jej z torebki 50 złotych, a ja powiedziałam, że to ja, że właśnie zbieramy z moim chłopcem na Encyklopedię Powszechną. Po tym Pikusia pożegnała się z matką. Słyszałam, jak szeptała do matki, w przedpokoju: – A mówiłam! Wcale to tak źle nie wygląda. Tylko trzeba nam do dziecka trochę więcej zaufania. Niech pani chociaż raz pójdzie z nią na ten koncert jazzowy...

Ubaw po pachy! Moja mama na wygibie! Jak Zygma ma półgodzinne solo na perkusji, to matka by chyba oszalała. Z tym jej bólem głowy! Boże, jakżesz te lamusy nie mają o naszej duszy zielonego pojęcia, Zrobię jednak mojej kochanej mateczce przyjemność. Do jedenastej siedzę nad książką. Mur. Postanowione.

...sinus kwadrat alfa... plus cosinus kwadrat alfa równa się jedności... Puzon... gdzie jest teraz Puzon... „H”, wysokość stożka równa się piętnaście całych i sześć dziesiątych... ta z baletu, Ceśka, ma nogi wcale nie lepsze od moich...

Ten stary w „Rio” ze sztucznymi zębami miał chyba rację. Po co to wszystko? Po co te książki? Te sinusy? Do kogo z taką mową?

Matka przyniosła mi do stolika herbatę i biszkopty, których nie dojadły z Pikusią. Pocałowała mnie w czółko. Obrzydliwość. Przyszedł ojciec. Zdejmuje w przedpokoju kalosze. Kaszle. Zaraz osobiście będzie parzył herbatę (specjalność domu: herbata parzona przez ojca). Zaraz przeczyta Trędotawą w „Ekspresie”. Będzie moczył nogi. Weźmie na noc zdrowotny mentolowy cukierek i będzie nim mlaskał jeszcze przez sen do północy. Matka wystawi na korytarz butelkę, później wejdzie na taboret i zacznie nakręcać stary, dziadkowy zegar...

O nie, kochani! Za żadne skarby takiego życia nie wybiorę. Zamykam się teraz z moją płytą przed waszym światem. Przed światem dziadkowych zegarów, przed światem kaloszy, cukierków mentolowych, przed nie rozumiejącą mnie matką, przed Pikusią i sinusami.

Ciao... ciao... ciao...<sup>464</sup>

<sup>464</sup> T. Zimecki, *Z dziennika licealistki*, [w:] tegoż, *Kto zasypia spokojnie nie licząc baranów?*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1972, s. 110–116.

**Przykład 371. Anonim (Tarnowskie Góry) –  
*Eliasz profesorem (1973)***

Raz jeden szandara dowiedział się, że w lesie koło Pyskowic ukrywa się Eliasz. Poszoł tam do tego lasu i razem z feszterem szukali zbójnika bez calutni dzień, ale go nie poradzili zność. To poszli wieczorem do gospody, aby się trocha piwa napić, bo chodzili cały dzień i zrobiło im się gorzko.

W karczmie zoboczyli fajnie obleczonego pana, kiery im pedzioł, że jest profesor z gimnazji gliwickiej i łązi po lesie, aby szukać różne zielska, bo on uczy chłopców o roślinach, a tym huncwotom nie bardzo chce się uczyć. Szandara i feszter zaś mu rozprawiali, jak w lesie szukali tego gałgana Eliasza, bo już najwyższy czas, aby z nim zrobić koniec.

Profesor oburzył się, że policja jest taka niezdarna i dawno już miała zamknąć tego zbójnika w hareszcie, bo to jeno utrapienie boskie z takim zatraconym gałganem. Potem powiedział, że już musi iść na pociąg, bo to przeca nieskoro, a nie chciałby się na drodze spotkać z tym chacharem Eliaszem.

Gdy zapłacił za piwo i wyszedł, karczmarz chciał po nim sprzątnąć kufel. A tu pod kuflem leżała karteczka, a na niej było napisane: – Tu był Eliasz!

Szandara i feszter wyskoczyli bez czapek na dwór. Ale już nie dogonili<sup>465</sup>.

**Przykład 372. Anonim (Krasów-Leśnica pow. Strzelce Op.) –  
*Jak się synek za złodzieja uczył (1973)***

W downych czasach, jak to było w szkole, pan rektor się pytał za co dzieci będą się uczyć. I jedyn chłopak wstał i powiedział, że będzie się uczyć za złodzieja, ale rektor powiedział, że za złodzieja to nieładnie, ale niy umioł go przegwałcić. Kej za złodzieja, to za złodzieja.

– To tam mom tako dużo butelka ze sznuptabaką, jak mi tę butelkę porwiesz, to dostaniesz jeszcze pięć talarek.

Chłopiec się na to zgodził i powróżył, co by to zrobić. I to było tak. Rektor miyszkoł blisko kościoła i blisko kierchofu i chłopiec poszedł do organisty, żeby grał o dwunastej w nocy, nachytoł raków, a tym rakom przywiązał świeczki i poruszał je o tej samej godzinie kiedy organista groł. Kierownik w nocy się obudził i widzioł jak światło po kierchofie chodzi i słyszy jak organy grają. Kierownik się zdumiał co to może być i leciał do kościelnego, mo ino wstać, że duchy po kierchofie chodzą a w kościele organy grają.

<sup>465</sup> Anonim (Tarnowskie Góry), *Eliasz profesorem*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), *Gadka za gadką. 300 podań, bajek i anegdot z Górnego Śląska*, Instytut Śląski w Opolu, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1973, s. 39–40. Więcej o Eliaszu i Pistulce: tamże, s. 32–41.

Gdy przybiegł do kościelnego, to zapomniał drzwi za sobą zawrzyć, i chłopak porwoł co miał porwać, a do tej drugiej napaskudził.

Rechtór i kościelny stoją blisko kierchofu i myślą, co to może być. Jak się na chwile przyglądali, tak potem poszli do izby i tam jeszcze rozmawiali co to mogły być za cuda? I tak poczuł coś smrodławego i buczał po kościelnym, że się źle zachował i kościelny się obraził. Ale rechtór powiedział: – Nie będziemy się tam gorszyć, ino posznupiemy się, bo mom taki fajny sznuptabak – i dawał mu posznupać. A tu otworzył, a tu napaskudzone. Teraz się spamiętół i powiedział: – Już mnie tyn hultaj mo! Chłopak przyszedł rano i dostał swoją zapłatę.

– Kejs już mi to porwoł, toś już niy musioł tam to zrobić, to napaskudzić. Teraz ci jeszcze jedno zadanie zadam. To tam mom w masztarni fajną klacze, jak mi to porwiesz, to dostaniesz dziesięć talarków za to.

Chłopak chętnie zgodził się na to i zaś powróżył jak to zrobić. Pan rechtór narychtował wachtyrzów, trzech w masztelarni, jedyn przy furtce. Chłopak powróżył, oblykł się za żebraczkę, wziął koszyczek na rękę a w tym koszyczku miał butelkę z wódką a jedna była ze szlaftrunkiem. Szoł a otrząsał się, a co chwila bulg, bulg z tyj flaszczyki. Wachtyrze widzieli, to im ślinki leciały i ta żebraczka szła ku nim i, powiedziała, eli by ją przenocowali i dała wszystko wypić i posnęli i on porwoł klaczam. I dał jeszcze wachtyrzowi skrobaczki do ręki.

Rechtór rano stanął i szedł obejrzyć i widzi wachtyrzy śpiących, idzie dali, to już klaczy niy ma.

– Już jest po mojej klaczy!

Chłopiec rano przyszedł i zaś mu musiał dać co mu obiecał i powiedział, to może obstać za tego złodzieja.

Eli żyją, to jeszcze dzisiaj wino piją, a eli nie żyją, to pod ziemią gniją<sup>466</sup>.

### **Przykład 373. Anonim (Wełnowiec Katowice) – *O jednym chłopie co do szkoły chodził (1973)***

Pewnego czasu mieszkał sobie ubogi chłopak obok hrabskiego majątku. Jednego czasu wrócił z pola do domu i mówi do żony: – Nie wiem co to jest, że ja tak pracuję, a mam gorsze urodzaje niż u hrabiego. A żona powiada: – Idź do pana hrabiego i poproś go, to on ci może doradzi.

Chłopek nacisnął czapkę na uszy i poszedł nieśmiałym krokiem do dwora. Pokłonił się nisko dziedzicowi i prosi go o poradę, a dziedzic się uśmiechnął i mówi:

<sup>466</sup> Anonim (Krasów-Leśnica pow. Strzelce Op.), *Jak się synek za złodzieja uczył*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), dz. cyt., s. 292–294.



– Gospodarzu, wy nigdy nie możecie mieć urodzaju, bo w polu chcąc mieć urodzaj, to trzeba być uczonym, i musielibyście przyjść do mnie pracować, przynajmniej trzy lata, to byście się nauczyli gospodarzyć – bo hrabia był pewny, że chłop się zgodzi i będzie u niego darmo pracował.

Ale chłopek podziękował, ukłonił się nisko i wyszedł, przyszedł do domu i powiada do żony: – Już teraz wiem, czemu pan ma lepsze plony jak ja, bo jest uczony. Ja od jutra idę do szkoły.

Pokupił zeszyty, ołówek i na drugi dzień rano wraz z dziećmi poszedł do szkoły. Nauczyciel, gdy go zobaczył, pyta: – A wy co sobie życzycie, gospodarzu?

– Ano, proszę pana, przyszedłem się uczyć.

A nauczyciel się roześmiał i mówi do niego: – A ile wy macie lat?

– Ano pięćdziesiąt.

A nauczyciel powiada: – To jest za późno, teraz się już nie nauczycie.

Więc chłopek wrócił znowu z niczym do domu, ale nie dał za wygrane i postanowił na inny dzień iść do innej szkoły. Rano wstał, zjadł śniadanie, wziął książki pod pachę i idzie, a w tym czasie hrabia wyjeżdżał powozem ze dworu a chłopek go zobaczył i nisko się pokłonił. Hrabia widząc chłopka z książkami pod pachą uśmiechnął się do siebie i pojechał dalej. Gdy ujechał kawałek drogi, spadło mu koło od powozu.

Więc zszedł z powozu, usiadł w cieniu, a teczkę, którą trzymał, położył obok siebie. Po upłynięciu kawałku czasu, gdy parobek koło założył, hrabia wstał, wsiadł do powozu zapominając wziąć z sobą teczkę, w której się znajdowało bardzo dużo pieniędzy, i odjechał. A w międzyczasie nadszedł chłopek i zauważył teczkę leżącą pod drzewem. Podeszedł i wziął ją, i otworzył, a gdy w niej zobaczył tyle pieniędzy, roześmiał się i nie szedł już do szkoły, ale się wrócił do domu i nic żonie nie mówił, że znalazł tyle pieniędzy. A gdy nadeszła wiosna, kupił sobie konia pięknego i krowę. A hrabia widząc, że chłop ma takiego konia i krowę, zaczął się zastanawiać, skąd taki przedtem biedny chłop mógł sobie kupić konia i krowę i przyszło mu na myśl, że nic, tylko on musiał te jego pieniądze znaleźć, bo on wtenczas szedł do szkoły. Więc zaskarżył chłopca do sądu.

Gdy nadszedł dzień, w którym się chłopek stawiał do sądu, hrabia też przyjechał. Sędzia się pyta chłopca: – Powiedz czy znalazłeś pieniądze?

A chłop na to:– Tak, panie sędzio, znalazłem.

– A kiedy to było?

– Ano, panie sędzio, jak szedłem do szkoły.

– A ile macie lat?

– Ano, proszę sądu, pięćdziesiąt.

– Ocho, ocho! To teraz macie pięćdziesiąt lat, a jak chodziliście do szkoły, toście mieli siedem lat, to już upłynęło czterdzieści trzy lat, to już jest sprawa przedawniona, więc z Panem Bogiem do domu!

I na tem się skończyło, a chłopek miał teraz inne urodzaje w polu, bo miał konia i krowę, to i pole lepiej nawoził i w nim lepiej uprawiał, bo nie musiał czekać, aż bogacz przody sobie zrobi a u biedaka później.

Jednego razu orał chłop w polu i wyorał garnek złotych pieniędzy i zakazał żonie, ażeby nikomu o tym nie mówiła. Żona mu przyrzekła, ale tylko spotkała sąsiadkę, nie mogła wytrzymać i opowiedziała jej o tych pieniądzach, a ta przez zazdrość doniosła o tym do sądu.

Gdy się chłop o tym dowiedział, upolował dwa zające i położył je w stawie u hrabiego, nałapał ryb i umieścił je na drzewie, a gdy nadszedł wieczór, zawołał żonę i mówi do niej: – Chodź, pójdziemy na zające do hrabiego stawu i na ryby do hrabskiego ogrodu.

Gdy przyszli na miejsce, chłop się rozebrał, wszedł do stawu i po chwili wyciągnął zające z wody i dał żonie, potem się ubrał i poszli do ogrodu, wszedł na drzewo i spuszczał po jednej rybie na ziemię, a żona zbierała. Gdy już zrzucił wszystkie, zszedł z drzewa i przyszli do domu. Po jakimś czasie dostał chłop wezwanie do sądu jako oskarżony, a żona jako świadek. Na zapytanie sędziego czy to prawda, że on znalazł pieniądze, chłop odpowiedział, że nie. A żona powiada: – On cygani, on wyorał dużo pieniędzy, a wczoraj to mnie zawołał do hrabskiego stawu i złapał dwa zające, a w hrabskim ogrodzie to na drzewie nałapał pełną konewkę ryb.

Sędzia się posłuchał i powiada: – Ty, kobieto, to nie masz dobrego rozumu, bo przecież nikt nie poluje zające w stawie, ani nie łapie ryb na drzewie, tyś tylko swego męża oczerniła.

I kazał chłopu iść do domu, że jest wolny<sup>467</sup>.

### **Przykład 374. Anonim (Zabrze Pawłów) – *O jednym co chciał być doktorem* (1973)**

Według opowiadania starego obywatela z powiatu strzeleckiego sprzed pięćdziesięciu lat. Pewien gospodarz miał syna, który został lekarzem i osiedlił się w pobliskim miasteczku. W owych czasach było to coś niesłychanego i cała wieś była dumna z tego, że z ich grona wyszedł prawdziwy doktor. Raz po raz dochodziły do wsi słuchy o tym, jak to młody doktor elegancko mieszka, jak dobrze zarabia i że wygląda jak pączek.

---

<sup>467</sup> Anonim (Wełnowiec Katowice), *O jednym chłopie co do szkoły chodził*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), dz. cyt., s. 328–331. Por. przykład 428.

Te pogłoski nie dały spokoju sąsiadowi owego gospodarza, który miał syna Tomka, leniucha pierwszej klasy. Ojciec wykombinował sobie: – Jeżeli Tomek nie okazuje chęci do pracy w polu to widocznie jest do czegoś innego stworzony. A ponieważ Tomek był synkiem okazałym i lubił nosić nos do góry – w sam raz będzie się nadawał na doktora. Na co tam długie nauki – kombinował sprytny ojciec – sąsiadów Paweł jest już wyuczony – niby to majstrem – to może dom mojego Tomka do nauki. A zresztą, Tomek nie musi tam być takim wielkim doktorem w mieście, ale może być takim mniejszym na wsi. Tej przysługi nie powinni mi odmawiać, bo ja im też czasami pieniędzy pożyczałem, gdy ich Paweł się uczył.

Ponieważ plan ojca spodobał się bardzo Tomkowi, udali się obaj do sąsiada i pomалу wypowiedzieli, o co im się rozchodzi. Sąsiad był zaskoczony i tłumaczył im, że to przecież nie jest tak łatwo lekarzem zostać. Opowiadał, ile to lat jego Paweł się musiał uczyć, a Tomek się ledwo podpisać umie. Ale to nic nie pomogło, bo jeżeli jeden dzień nic nie załatwili, przychodzili na drugi, trzeci. Zarzucali ojcu Pawła brak dobrej woli, niewdzięczność.

Widząc, że z upartym sąsiadem nie przyjdzie do końca, wybrał się raz ojciec do miasta, aby z synem omówić tą sprawę. Gdy mu ojciec wszystko opowiedział, roześmiał się młody doktor.

– Ojciec, wy się nie starejcie, niech Tomek do mnie przyjdzie, ja go tu dobrze wyuczę.

Rzeczywiście, za kilka dni mieszkał już Tomek w mieście, wystrojony jak na ucznia doktorskiego przystało i każdy dzień przychodził do doktora Pawła na naukę. Ten brał niby wszystko na serio, bo mu coś niecoś opowiadał, dawał książkę lekarską do oglądania, a po południu brał go ze sobą na wizyty do chorych. Przy tym kazał mu chorego za puls trzymać, przyłożyć ucho do słuchawki lub obejrzeć język chorego. Tomek naturalnie nic z tego nie rozumiał, ale naśladował każdy ruch doktora.

Tak minęło kilkanaście dni. Pewnego wieczoru przyszedł doktor Paweł do mieszkania swego asystenta Tomka i wezwał go, aby szedł z nim do jednego młodzieńca, który się nagle ciężko rozchorował. Gdy przyszli na miejsce, zobaczyli młodego człowieka, który jęcząc strasznie, trzymał się za brzuch i wił z bóleści. Doktor pomacał go za brzuch, Tomek to samo, doktor pokiwał głową, tak samo Tomek.

Po chwili zapytał się doktor głosem grobowym: – Gdzie są odchody?

Kobieta, stojąca obok, wyciągnęła spod łóżka nocnik, napełniony do połowy. Doktor wziął go do ręki, powąchał i podsunął Tomkowi, który się jednak spieszenie cofnął w bok. Następnie zażądał łyżki i mieszając zawartość nocnika,

pomału kosztował, a potem podał pełną łyżkę Tomkowi. Ten patrzył na tą scenę osłupiałym wzrokiem, a potem skoczył jak oparzony ku drzwiom, krzycząc: – Jeżeli doktor musi takie smrody kosztować, to ja smole na całą naukę, dla mnie sto razy lepiej w polu robić – i uciekł, aż się za nim kurzyło.

Po ucieczce Tomka wyskoczył chory z uśmiechem z łóżka a gospodyni zabrała nocnik, co dopiero na ten cel zakupiony, aby przygrzać jajecznicę z dzieśnięciu jaj, którą obaj przyjaciele spożyli na kolację z największym apetytem, ciesząc się, że ich plan tak wybornie się udał<sup>468</sup>.

**Przykład 375. Jacek Fedorowicz –  
*Lekcje wychowania administracyjnego.*  
Fragment audycji Polskiego Radia „Poradnia  
Zdrowia Psychicznego Jacka Fedorowicza” (1973?)**

Przeprowadzamy właśnie reformę systemu oświatowego. Nie ustaliłem, czy reforma ta przewidziała (może przewidzi to dopiero następna reforma obecnej reformy) pewien niezwykle ważny aspekt przygotowania naszej drogiej młodzieży do życia we współczesnym społeczeństwie, a mianowicie umiejętność swobodnego poruszania się w Wielkim Świecie Administracji.

Wiele czasu i nerwów tracimy codziennie na załatwianie różnych spraw i bardzo często tracimy z własnej winy, bo po prostu nie wiemy dokąd się udać z naszą sprawą i co ze sobą przynieść. Nie wiemy, bo nikt nas nie nauczył. Dlatego jest sprawą wręcz palącą natychmiastowe wprowadzenie do wszystkich szkół, od klasy piątej aż do matury, nowego przedmiotu pod nazwą wychowanie administracyjne.

My, starzy, jesteśmy już w pewnym sensie straceni. Nasze umysły są zmęczone, co więcej, obciążone i zamulone wiadomościami niepotrzebnymi, w przeciwieństwie do młodych, chłonnych głów naszych dzieci. My zawsze będziemy się dziwić, że bilet tramwajowy kupuje się w kiosku z gazetami i jeżeli nie ma kiosku, to nie będzie biletu, a do nabycia domku campingowego potrzebne jest zaświadczenie z miejsca pracy, a nie – logicznie rzecz biorąc – zaświadczenie z miejsca wypoczynku, bo z tym raczej kojarzy się nam camping.

Wychowanie administracyjne, i to w wymiarze co najmniej trzech godzin lekcyjnych tygodniowo, trzeba wprowadzić natychmiast, aby nasze dzieci wcześniej nauczyły się poruszać po krętych ścieżkach spraw do załatwienia i nie traciły cennego czasu, tak jak tracimy my przez naszą niewiedzę. Przez pierwszy rok uczniowie poznawaliby rzeczy najprostsze. Tu proponuję zacząć

---

<sup>468</sup> Anonim (Zabrze Pawłów), *O jednym co chciał być doktorem*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), dz. cyt., s. 335–337.

od umiejętności wyszukiwania numerów telefonów w książce telefonicznej, co jest rzeczą bardzo trudną, jakkolwiek trudności te bledną przy problemach, które przewiduję na lata następne. Nasze dzieci są zresztą zdolniejsze od nas i w lot chwycą, że telefon Radia znajdujemy pod K, bo „Komitet”, telefon wydawnictwa Nasza Księgarnia pod I, bo „Instytut Wydawniczy”, a Domową Pomoc Lekarską nie pod D, nie pod P, nie pod L, tylko pod E, bo „Eskulap” itp.

Nasze dzieci stopniowo wciągną się w inny system prawidłowości, w skomplikowany acz konsekwentny system logiczny, całkowicie odmienny od naszego i nie będą wydawały okrzyków zdziwienia, gdy w następnych latach, przerabiając temat „gdzie załatwiać”, dowiedzą się, że bilety teatralne należy załatwiać, powiedzmy, w mleczarni.

Tu uwaga na marginesie: załatwiać, a nie kupować. Słowo „kupować” będzie w przyszłości już całkowicie zastąpione słowem „załatwiać”, bo w chwili obecnej zastąpione jest dopiero częściowo, a jeśli chodzi o przykład mleczarni, to wzięty jest z moich doświadczeń osobistych. Ilekroć chcę iść do teatru i mieć dobre miejsce, zwracam się do znajomego, który jest członkiem rady zakładowej mleczarni i dostarcza mi nieograniczone ilości biletów, o jakich nie mógłbym marzyć, kupując w kasach przedsprzedaży, nawet na trzy miesiące naprzód.

Nauczając, nie będziemy przesadzać z natłokiem wiadomości typu encyklopedycznego niejednokrotnie wkuwanych bezmyślnie. Oczywiście, pewnych rzeczy trzeba się będzie nauczyć na pamięć, ale tak już jest w każdej dziedzinie wiedzy. Do opanowania mechanicznego przeznaczone są wyżej wspomniane wiadomości „gdzie załatwiać”, a więc: teatr – w mleczarni, przejazd po mieście – w kiosku, wymianę pieniędzy na dewizy – w resorcie kultury fizycznej, żyłki – w banku (mam tu na myśli PeKaO) itd. To trzeba będzie wykuć jak tabliczkę mnożenia, czy Tablice Mendelejewa. Potem stopniowo będzie można przejść do praw ogólnych, twierdzeń i zasad uniwersalnych.

Wprowadzenie do programu nauczania lekcji wychowania administracyjnego jest rzeczą konieczną i przedmiot ten prędzej czy później zostanie wprowadzony, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Wyłoni się problem podręczników. Tu spieszę zawiadomić odnośne władze, że jestem w trakcie opracowywania tychże. Można więc będzie zwrócić się do mnie.

Dla przykładu i niejako dla zachęty podam teraz dwa tematy opracowane na podstawie gotowych już podręczników. Temat pierwszy zaczerpnąłem z pracy „Ćwiczenia praktyczne dla klasy VI” i po odpowiednim przerobieniu stylistycznym (do dorosłych zwracać się muszę nieco przystępniej i upraszczać pewne sprawy) zatytułowałem: „JAK ZAŁATWIAMY SPRAWY KOMPLEKSOWE”.

Sprawy kompleksowe (podział spraw na różne rodzaje przerabiałby dzieci już w klasie V) to takie, których nie załatwimy w jednym urzędzie, tylko co najmniej w kilku.

Do spraw kompleksowych należą m.in. ślub, rozwód, zameldowanie, rejestracja samochodu, wyjazd za granicę, pogrzeb (oczywiście własny, bo, aby odciążyć swych najbliższych, sprawy pogrzebowe należy zawczasu załatwić osobiście).

Załatwianie spraw kompleksowych składa się z dwóch etapów: etapu pierwszego – przygotowawczego i etapu drugiego, czyli samego załatwiania. Zajmiemy się tylko etapem pierwszym, znacznie ważniejszym. Etap przygotowawczy polega na zebraniu informacji o aktualnym stanie przepisów.

Przepisy, jak wiadomo, ulegają ciągłym zmianom na lepsze i należy zorientować się, które z nich akurat obowiązują, a które nie. Już genialny profesor Parkinson zauważył, że nierzadko coś, co jeszcze rok temu było przestępstwem, dziś jest mile widzianym dobrym uczynkiem. I odwrotnie.

Tak więc ktoś, kto chciałby być zawsze w porządku, musiałby zaprenumerować Dziennik Ustaw i wczytywać się weń regularnie. Celowo użyłem tu trybu warunkowego: chciałby być w porządku. Wielu chciało, ale okazało się to technicznie niemożliwe, w związku z czym każdy z nas jest gdzieś tam nie w porządku i cytowany już znawca biurokracji zachodniej, profesor Parkinson twierdzi, że o to właśnie ustawodawcom chodzi.

Poznanie aktualnego stanu przepisów daje nam automatycznie korzyść dodatkową: pozwala zorientować się w stanie wiedzy ustawodawczej danego urzędnika, który przecież będzie potem załatwiał naszą sprawę. Bo w gruncie rzeczy nie jest ważne, jakie przepisy aktualnie obowiązują, tylko do jakich stosuje się właśnie dany urzędnik.

Zbierając informacje, każdy petent winien pamiętać przede wszystkim o tym, aby umiejętnie zadawać pytania, to znaczy pytać absolutnie o wszystko, ponieważ informujący urzędnik nigdy nie powie ani słowa sam z siebie. Ewentualnie odpowie tylko na konkretne pytanie.

Podam przykład. Turysta pyta w informacji: – O której godzinie mam pociąg do Budapesztu pierwszego lipca?

Naiwny petent już by odszedł zadowolony. Natomiast petent doświadczony pyta: – Czy dostanę bilet na ten pociąg?

Pytanie „dlaczego?” nie jest konieczne, ale należy wypytywać dalej: a na który pociąg dostanę bilet po pierwszym? Czy jak już kupię, to czy muszę potem przyjść jeszcze raz i podstemplować? A może wymienić? A może dokupić miejscówkę? I tak dalej.

Wszystkie otrzymane informacje zapisujemy w specjalnym zeszycie o wymiennych kartkach, tzw. koło-brulionie, bo informacje będziemy wymieniać. Informacje zebrane w różnych urzędach będą ze sobą sprzeczne i informacje właściwe będziemy ustalać na zasadzie większości głosów. Następnie ułożymy kartki według kolejności załatwiania, jako że do niektórych urzędów możemy iść dopiero po uprzedniej wizycie w innych urzędach, do której też musieliśmy się byli przygotować zupełnie gdzie indziej. Niezwykle ważne jest ustalenie kolejności datami, co z kolei uwarunkowane jest godzinami przyjęć w poszczególnych urzędach, ponieważ każdy urząd przyjmuje interesantów w innych godzinach. Zdarzają się sprawy, przy których wszystkie potrzebne urzędy przyjmują jednocześnie tylko przez dwie godziny w tygodniu. I tylko w tym jednym dniu, teoretycznie, mamy szansę załatwienia sprawy w ciągu jednego dnia. Teoretycznie, bo w praktyce trwa to zawsze kilka dni. Przykładowe dwie godziny wyłuskałem na podstawie badań nad godzinami otwarcia urzędów zaangażowanych w sprawę kupna z rąk prywatnych motocykla Jawa, przysłanego z zagranicy. W akcji biorą udział następujące urzędy: Urząd Celny, Polskie Koleje Państwowe, Przedsiębiorstwo Przewozowe Hartwig, Państwowy Zakład Ubezpieczeń, Wydział Komunikacji Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i Wydział Finansowy tejże Rady, a także Wydział Finansowy w miejscu zamieszkania sprzedającego, Biuro Przepisywania na Maszynie, Urząd Notarialny, Konsulat i Poczta. A trzeba zaznaczyć, że przykładowa sprawa kompleksowa jest jedną z prostszych i angażuje stosunkowo niewielką ilość urzędów.

Właściwie skompletowany zeszyt z informacjami powinien zawierać kilkadziesiąt stron maszynopisu. Jeśli taki zeszyt posiadamy, samo załatwianie jest już fraszką, o ile nie prawdziwą przyjemnością<sup>469</sup>.

### **Przykład 376. Tadeusz Łopalewski – *Szkółka aniołów* (1973)**

Powiedział, a raczej zaczął do nas mówić, w te słowa: – Najmilsi! Wstępujemy w erę kosmiczną i droga na inne planety stanęła przed nami otworem. Niejednego z was – powiódł spojrzeniem po siedzącej na murawie młodzieży i uprzytomniwszy sobie, że są tu również dziewczęta, dodał uprzejmie: – oraz niejedną prędkiej czy później skusi lot międzygwiazdny, a kto wie, czy odbywszy praktykę na stacji międzyplanetarnej nie zostanie kosmonautą zawodowym. Względnie kosmonautką – uzupełnił, śląc dobrotliwy, ojcowski uśmiech ku mej Aurelii. Ona

---

<sup>469</sup> J. Fedorowicz, *Lekcje wychowania administracyjnego*, [w:] tegoż, *W zasadzie tak*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1975, s. 69–78. Autor prowadził audycję satyryczną *Poradnia Zdrowia Psychicznego Jacka Fedorowicza*, emitowaną od stycznia 1973 r. w programie III Polskiego Radia, w poniedziałki o 7.30.

zaś zwierzyła mi się półgłosem: – Chętnie widziałabym siebie wśród gwiazd na etacie stewardessy. – I mocniej oparła się o moje ramię, a jej rudawozłociste loki musnęły mi szyję. Kochałem ją, lecz w oszałamiających perspektywach przyszłości uczucie to jak gdyby osłabło i zmałało. Instynktem kobiecym, odgadując niebezpieczeństwo, dodała pośpiesznie: – Zawsze byłam ambitna i sięgałam wysoko! – Po czym wzniosła oczy w górę, jak anioł zbierający się do odlotu.

Działo się to podczas pięknego słonecznego ranka, a była to nasza pierwsza w tym roku wycieczka za miasto. Egzaminami mieliśmy za sobą i to usposabiało nas równie niefrasobliwie, jak widok majowej przyrody.

Przewodził nam nauczyciel wychowania obywatelskiego, mężczyzna trzydziestoletni, łysawy, lecz za to z kędzierzawą brodą, której wystarczyłoby na pokrycie kilku łysin. I on to przemawiał do nas z wysokości pagórka, a słońce zapalało mu na potylicy promienną aureolę, utkaną z resztek owłosienia.

– Kogutki – mruknęła do mnie Aurelia. I wyjaśniła, że takie sterzące na ciemieniu kosmyczki nazywa się „kogutkami”.

Skarciłem ją, że zajmuje się głupstwami, zamiast uważać na wywody profesora, który ciągnął: – Jeżeli wysyłając ludzi na Księżyc bądź dalsze ciała niebieskie, pilnuje się, aby pojazdy oraz ich załoga były idealnie odkażone, aby nie przeniosły w inny świat jakichś ziemskich wirusów, to...

Uczynił pauzę i prywatnym tonem zrobił Klaudiuszowi uwagę, żeby nie łaskotał trawką grubej Lukrecji, która odganiała się jak od muchy, a wszyscy bawili się tym, że ona nie wie, iż to nie mucha, lecz źdźbło trawy. Otrzymawszy lekką naganę, oboje się uspokoili, nasz opiekun zaś podjął swój główny temat: – jest tedy rzeczą zrozumiałą, iż tak samo nie powinno się dopuścić, aby człowiek przenosił tam – wskazał palcem niebieski przestwór nad nami – swoje brudne nałogi, pierwotne żądze i niskie namiętności. Albowiem trzeba liczyć się z tym, że w końcu napotkamy gdzieś w dalekosiężnych naszych wyprawach istoty dotąd moralnie nie skażone, czy to będą selenicy, marsjanie czy inni mieszkańcy wszechświata.

– Na jakiej podstawie pan profesor oczekuje, że spotkamy w Kosmosie istoty myślące? – zadałem pytanie. I byłbym rozwinął swe wątpliwości, gdyby Aurelia nie przerwała mi po pierwszych słowach: – Poczekaj! Zjedz coś przedtem.

Muszę przyznać, że dbała o mój żołądek, i gdybym się z nią ożenił – na co może w cichości ducha liczyła! – mógłbym być spokojny o swe odżywianie. Teraz na przykład siedząc przy mnie na podwiniętych nogach, trzymała na kolanach koszyczek z jedzeniem. Otwierała go parę razy, najpierw pytając wzrokiem, czy zaczniemy jeść, aż zniecierpliwiona odezwała się jak wyżej. Kiwnąłem głową, więc podała mi jajko w skorupce. Zacząłem je rozbijać o obcas, gdy wtem



za moimi plecami rozległy się dźwięki gitar, trąbki i perkusji. To kolega Filipiak uruchomił swój tranzystor, zaś koleżanka Józwiakówna podrygiwała na trawie tak, jakby miała zamiar wstać i rozpocząć tańce. Pedagog łagodnie zwrócił im uwagę: – Niech Filipiak nie przeszkadza Józwiak słuchać. A Józwiak mogłaby się nie wiercić, dopóki nie skończę wykładu.

Radio umilkło, snuł więc swoje rozważania dalej: – Musimy uznać – zwrócił się ku mnie, jakby odpowiadając na rzucone mu wcześniej pytanie – że starożytny mit o aniołach znany wielu religiom, nie jest czczym wymysłem bajkopisarzy. Ostatnio pewien uczony szwajcarski dowiódł, że mity jako takie stanowią sublimację pradawnych doświadczeń ludzkości. Przeżyła ona swój złoty wiek, zanim weszła w okres upadku moralnego, okres wojen, głodu i epidemii. Platońskie ideały nie są tedy fantastycznymi wzorcami dla przyszłości, ale cieniami rzeczy, które niegdyś istniały.

Kończyliśmy podczas jego przemówienia śniadanie z koszyczka Aurelii, a gdy obejrzałem się, szukając jakiegoś liścia dla wytarcia palców, mimo woli zatrzymałem wzrok na jeszcze jednej parze koleżeństwa. Byli to Polikarp i Seweryna. Palili do spółki papierosa i wpuszczali sobie dym wzajemnie z ust do ust Aurelia na ten widok wyciągnęła paczkę „Wczasowych”.

– Zapalisz?

Odmówiłem, aby dać dowód nauczycielowi, że przecież w tym gronie ma poważnego słuchacza. Jakoż patrząc na mnie z uznaniem, powiedział: – W sercach ludzkości istnieje od wieków tęsknota za utraconym rajem. Z tego, że złoty wiek minął stosunkowo szybko, można wnioskować, że ziemia nie nadaje się na bazę idealnego ustroju społecznego, dowodów na to posiadamy bez liku. I oto nauka stworzyła nam nową olbrzymią szansę ocalenia, której zmarnować nie wolno.

Słuchając go, miałem wrażenie, iż rośnie na swoim pagórku. Kogutki na czubku głowy trzepotały mu, jakby miały zapiać po swojemu, podczas gdy jego głos nabierał tonów spiżowych: – Tedy odrzuciwszy naleciałości ziemskie, a mając przed oczyma pradawny ów wzorzec anielski, starajmy się przygotować do bytowania tam, skąd pewnego dnia przyleci do nas gołębica z różdżką oliwną, znakiem pokojowego współistnienia.

– Pan profesor ma na myśli talerze latające – wyjaśnił Klaudiusz swej dziewczynie, a spojrzawszy w niebo, dodał z troską: – Oby tylko nie chciało padać.

Akurat bowiem wiatr zaczął zmieniać kierunek, spędzając tu zewsząd obłoki szare i wełniste jak owce. Słońce przebijało się z coraz większym trudem między tymi przeszkodami, aż natknęło się na nieprzenikloną ciężką chmurę. Zniknęło tam jak w jaskini. Nad laskiem ujrzeliśmy świetlisty zygzak i gdzieś

z hukiem potężnym spadł piorun, niczym ognisty owoc z wiekiwego drzewa. Aurelia przytuliła się do mnie z obawą: – Wiesz, że z tego wszystkiego może się zrobić koniec świata? Nasz stary od godziny wygaduje niestworzone historie. Już ja wolałabym tych jego aniołów nie oglądać.

Niepokój wywołany nagromadzeniem się elektryczności w atmosferze zaczęła i mnie się udzielać. W dodatku Filipiak uruchomił swój tranzystorek, lecz zamiast normalnego big-bitu usłyszeliśmy wśród trzasków i wyładowań kawałek dziennika radiowego. Spiker informował o nowym próbnym wybuchu atomowym na Saharze z siłą stu megaton.

– Czy to dużo, czy to mało? – zainteresowała się Józwiakówna. Klaudiusz, najlepiej stojący z fizyki, odparł szorstko: – Wystarczy, byśmy wszyscy poszli w aniołki! Zgaście to cholerne radio.

– Może byśmy nie czekali, aż lunie deszcz – odezwał się Filipiak, chowając odbiornik. – Do przystanku autobusowego mamy stąd trzy kilometry. Nie chciałbym zmoknąć.

– Może jednak pozwolicie mi skończyć? – zawołał poirytowany pedagog. – Nie wiem, czy nadarzy się jeszcze okazja zebrać was wszystkich razem, jak dzisiaj. Bo przecież opuszczacie liceum, uzyskawszy świadectwa dojrzałości. Czy nie jest to chwila odpowiednia, aby zacząć przebudowę wewnętrzną?

– Owszem, ale jak? – wykrzyknął Polikarp, zapalając nowego papierosa i robiąc z warg gołębi dzióbek. Ale Sewerynie znudziła się zabawa z nim. Powiedziała: – Czy nie dałoby się tego streścić, panie profesorze? – Miała na sobie nową ładną sukienkę i nie chciała jej zamoczyć.

– Owszem! Proponuję w okresie wakacyjnym zorganizować dla całej grupy coś w rodzaju kursów przygotowawczych. Nazwałbym je – w tym miejscu uśmiechnął się żartobliwie, lecz zachęcająco – nazwałbym „szkółką aniołów”. A dewizą naszych studiów byłyby słowa jednego z wieszczów: „Aż was, zjadacie chleba, w aniołów przerobi!”. Chodziłoby jednak o tę siłę nie tyle fatalną, którą czuł w sobie poeta, lecz moralną, z całym naciskiem jeszcze raz to powtarzam: mo-ral-ną! Kształcenie podstawowych uczuć humanitarnych, z braku których ludzkość zbliża się ku totalnej katastrofie, byłoby jednym z naczelných punktów programu.

– Czy warunkiem przyjęcia będzie jakiś egzamin? – spytała Lukrecja.

– Myślę, że zadecyduje biografia kandydata, a przede wszystkim jego czynny altruistyczny, na przykład ratowanie tonących, gaszenie pożarów, bezpłatne krwiodawstwo czy coś w tym rodzaju. Albowiem gotowość poświęcania się dla bliźnich to fundament współżycia społecznego! – zakończył, spojrzawszy w górę, skąd spadły mu na łysinę pierwsze krople deszczu.

– Postaraj mi się o kilka większych liści – rzekła do mnie Aurelia. – Muszę przykryć włosy, zanim lunie. Są świeżo tapirowane. Ruszże się!

Już miałem się podnieść, aby spełnić jej prośbę, gdy Klaudiusz zerwał się z trawy, jakby go coś ugryzło, i czerwieniąc się z podniecenia zawołał: – Absolutnie się nie zgadzam z globalnym potępieniem rodzaju ludzkiego! Pozostanę wierny matce ziemi, choćbyście mi złote góry obiecywali gdzieś na księżycu.

– Ja też! – odezwała się gruba Lukrecja i powiodła dokoła dumnym wzrokiem. – Nam tutaj dobrze, prawda, Klapuś? A jak się pobierzemy i założymy sobie książeczkę mieszkaniową, będzie całkiem fajno.

– Wcale nie tęsknię do takiego wysterylizowanego społeczeństwa, jakie nam tu zachwalał profesor. Zło i dobro chodzą w parze, śmierć toruje drogę nowemu życiu. Tak było, jest i będzie!

Nie spodziewałem się, że z Klaudiusza taki filozof! Jednakże wystąpienie jego nie zrobiło na innych wrażenia, podobnie zresztą jak to, co mówił nasz wychowawca, którego słowa potraktowano jako temat do wycieczkowej pogadanki. A projekt „szkółki aniołów” pokwitowano kilku mniej lub więcej udanymi dowcipami, główną uwagę zwracając teraz na deszczową chmurę, co zawisła nad naszymi głowami. Na dobitkę rozległ się w powietrzu mechaniczny ogłuszający warkot i ujrzeliśmy helikopter krążący coraz niżej z właściwą sobie ciężką powolnością. W pewnej chwili zawisnął nad wzgórzem, a przez otwartą pod spodem klapę wysunęła się chwiejna drabinka.

– Hej, tam na dole! – usłyszeliśmy głos pilota. – Gotów jestem zabrać jednego pasażera lub pasażerkę. Może komu pilno do miasta?

– Mnie! – zawołał nasz pedagog. Zanim zorientowaliśmy się w jego zamiarach, wdrapał się do śmigłowca, drzwiczki się zamknęły i maszyna poszybowała w przestrzeń zamgloną od ulewnego deszczu. Ten deszcz ocucił nas ze zdumienia. Całą gromadą puściliśmy się biegiem w stronę przystanku. Dziewczęta piszczwały i klęły na przemian, skacząc przez przyskające kałuże, my, mężczyźni, staraliśmy się pomagać im w miarę możliwości, ale była to możliwość ograniczona. Filipiak nastawił swój tranzystor na cały regulator, chcąc umilić sobie i nam przykrą nad wyraz przeprawę. Aurelia, wetknąwszy mi do ust placek, który zmienił się już w kleistą papkę, zmuszała mnie do jedzenia, mrużąc: – Jedz, bo i tak wyrzucę!

Klaudiusz ciągnąc za sobą Lukrecję, która toczyła się za nim jak kula u nogi, gadał w przystępie nowej irytacji: – Uciekł, nie oglądając się na nic, choć musiał rozumieć, że tym samolubnym odruchem kompromituje całą swoją teorię,

– Chciałem go jeszcze zapytać – mówił Filipiak, przekrzykując własne radio – czy anioły są bezpłciowe? Jakoś nie słychać, żeby się rozmnażały.

– Poczekaście na mnie! Zdejmę te cholerne pantofle, bo i tak nogi mam mokre – narzekała któraś z dziewczyn.

– A ja nie tylko nogi, bo i piersi, i plecy, i w ogóle – wołała Józwiakówna. W swej przemokłej sukience podobna była do syrenki w nylonowym opakowaniu i pewnie chciała zwrócić uwagę na swoją zgrabną figurę. Ale do budki przystanku autobusowego było już niedaleko. Pierwsi wpadli tam Filipiak z Józwiakówną i otrząsając się z wody, zmoczyli całą ławkę. Ja zaś, popatrzawszy na rozkład jazdy, stwierdziłem, że mamy około dziesięć minut do nadejścia potrzebnego nam wozu.

– Nie pamiętam ile kosztuje bilet? – spytał Polikarp, przeliczając garść bilonu.

– Dziewięć złotych – odrzekłem. I teraz wszyscy spojrzeliśmy na siebie skonsternowani: oto bowiem przed wyruszeniem za miasto wręczyliśmy profesorowi pieniądze na podróż tam i z powrotem.

– Brakuje mi pięciu złotych – odezwał się Polikarp. – Pożyczysz mi, Sewerciu?

– Nie biorę pieniędzy ze sobą, gdy mężczyzna zaprasza mnie na wycieczkę.

– Toteż opłaciłem w tę stronę bilet i za ciebie. Teraz jednak brakuje nam czternastu złotych.

Tymczasem i reszta towarzystwa, a więc Klaudiusz, Lukrecja, Filipiak oraz Józwiakówna, obliczyli, że nie wystarczy im na przejazd powrotny. Aurelia, przeczesując wilgotne loki, powiedziała spokojnie: – Zgłupieliście, jak widzę, wszyscy. Nie trzeba było dawać mu pieniędzy.

– Kto mógł przewidzieć, iż porzuci nas i odleci helikopterem – odrzekłem zmieszany. Do tej chwili należałem do entuzjastów osoby i teorii profesora.

– Defraudant! – syknęła milcząca dotąd Seweryna. Zaciągnęła się papierosem i spojrzała na Polikarpa.

– Wydrwigrosz pod maską idealisty – piętnował go Klaudiusz. – Nadużył zaufania młodzieży. Zresztą nie on pierwszy i nie ostatni! Jak sobie chcecie, moi drodzy, ale to jeszcze jeden dowód, że porozumienie między starszym a młodszym pokoleniem nawet w kwestii ratowania ludzkości jest niemożliwe. Korzysta się z naszej wiary czy nawet łatwości dla celów osobistych.

We mnie jednak tliło się jeszcze zaufanie do naszego wychowawcy. Chciałem zabrać głos w jego obronie, lecz Aurelia wzięwszy mnie na stronę spytała półgłosem: – Powiedz, czy mnie kochasz?

– Akurat się wybrałaś. Podczas takiej ulewy wyciągasz mnie na dwór.

– Nie chcę, żeby tamci słyszeli. Więc jak?

- No, kocham, ale co z tego?
- Zapłacę za ciebie i pojedziemy. Tylko nikomu nie mów, dla wszystkich nie starczy. Stańmy tam dalej, a jak autobus ruszy, wskoczmy w biegu.
- Tak się nie godzi. Albo wszyscy, albo nikt!
- To znaczy, że mnie nie kochasz. Pojadę sama, bo ani myślę drałować dwadzieścia kilometrów na piechotę.
- Co wy tu kombinujecie? – zbliżyła się Józwiakówna. – Bez forsy niczego nie wydumacie. Ale Filipiak powiada, że gotów sprzedać swój tranzystorek i zafundować nam przejazd. Patrzcie, już zatrzymał tam jakiegoś chłopca na furmance. Próbuje!

Chłop nakryty workiem kulił się na wozie pod strumieniami deszczu, podczas gdy nasz ofiarny kolega demonstrował mu swoje grające pudełko. Choć ociekał wodą, podskakiwał na drodze w rytm dziwacznej muzyki, może chcąc tym zachęcić do kupna. Tymczasem szkapa kończyła się załatwiać, a woźnica jakby tylko na to czekał. Podciął ją batem i odjechał, obryzgawszy błotem Filipiaka, tańczącego pośrodku szosy.

– Pewnie złąkł się dureń, że radio kradzione – rzekła Aurelia. – Wciąż o tym rozpisują się gazety! – i po raz drugi spytała, czy ją kocham. Na głowie miała parę liści łopianu niby szczątki wianka, którego nie zdążyła upleść do końca. Od-rzekłem, że w tych warunkach nie ręczę za swe uczucia. Filipiak zaś, wróciwszy do budki, mówił z niechęcią: – Z zegarkiem byłaby ta sama historia, gdyby kto spróbował go sprzedać naprędce.

Od razu Klaudiusz zastrzegł się, że nie ma zamiaru wyzbywać się swojej Doxy, po czym ustawiwszy nogę na ławce jął zawiązać nogawice u spodni.

- Ruszam piechotą, a wy, jak sobie chcecie.
- Weź mnie na barana – zatrzepotała Lukrecja. I zaczęła prosto z ławki grzmolić mu się na plecy. Strząsnął ją tak silnym ruchem, że obsunęła się na mokrą podłogę i rozplakała serdecznie.

– Rozpieściłeś ją zanadto – powiedziała kąśliwie Seweryna. Miała już takie kostyczne usposobienie, że lubiła każdemu dogadać. – Ale słuchajcie! Zdaje się, że nadjeżdża.

Jakoż przy zacichającej ulewie, która z wolna przechodziła w zwyczajny deszcz, zbliżał się, szumiąc i brzęcząc tak pożądany autobus. Podbiegliśmy do niego, zdecydowani jechać na gapę, ale taki był przepełniony, że nawet drzwi nam nie otworzono. Przez zachlapane szyby pasażerowie tępo i obojętnie spojierali na naszą gromadkę. Ponieważ nikt nie wysiadał, kierowca dał sygnał i samochód ruszył, dmuchnąwszy na nas czarnym obłoczkiem spalin.

– Czekamy na następny, czy ruszamy per pedes? – rzucił pytanie Polikarp, gdy Klaudiusz ćwiczył krok na miejscu, trenując przed długim marszem. Zaczęło się już zmierzchać i perspektywa dalekiej wędrówki wyglądała smętnie. Lukrecja wciąż zalewała się łzami, oczekując, kiedy ją Klaudiusz zacznie pocieszać.

– Najgorętsze uczucia wymagają odpowiednich warunków atmosferycznych – tłumaczyłem mojej Aurelii. – Inaczej więdną jak egzotyczne kwiaty w rozbitej cieplarni.

– Głupi jesteś – odrzekła nadąsana.

Na szosie, od strony miasta, gdzie teraz rzadko pokazywały się samochody, błysnęła światłami jakaś półciężarówka. Ze zgrzytem hamulców stanęła przy autobusowej budce, wykręciła się poślizgiem na miejscu i przez tylne wyjście wyrzuciła naszego wychowawcę.

– Dzieci! – wołał wzruszony. – Młodzieży kochana! Jakże mi przykro, żeście tak zmokli. Dopiero tam w górze przyszło mi na myśl, że zostaliście może bez pieniędzy mnie powierzywszy kasę. Natychmiast więc po wylądowaniu śmigłowca postarałem się o inny wehikuł i na wszelki wypadek wróciłem. Teraz mogę was zabrać. Siadajcie, moi mili, siadajcie, jedziemy!

Najpierw zaczęły włączyć dziewczyny, za nimi Filipiak i Polikarp, a Klaudiusz zwłóczył, odwijając podkasane rogawice. Ja zaś pokpiwałem z niego: – A co? Wydrwigrosz pod maską idealisty? Defraudant? Bezpłciowy anioł? Powinieneś choćby dla zasady wracać na piechotę.

– Zamknij się!

– Mam nadzieję, że przynajmniej odczuwasz coś w rodzaju wstydu, na wyrzuty twego sumienia nie liczę.

Wpakował się do środka, ja wlałem za nim, a na ostatku kochany nasz wychowawca. Wóz ruszył, wesoło podskakując. I ta wesołość powoli udzieliła się wszystkim. Ciemne pudło napełniło się gwarem i śmiechem, a profesor nie ukrywał wzruszenia.

– Aniołki moje drogie, darujcie roztrzępańcowi! – powtarzał, jednym ramieniem obejmując opiekuńczo grubą Lukrecję, a drugim nie mniej po ojcowsku Aurelię. Nie podobała mi się ta poufałość, chrząknąłem raz i drugi, by zwrócić na siebie uwagę. Skierowała wreszcie ku mnie swoje niezbyt mądre, lecz piękne oczy. Błysnęły spod rudej grzywki jak płomyki.

– Czego? – burknęła.

– Chodź tu! – rozkazałem. – Chcę ci coś powiedzieć.

Ociągając się i z wyraźną niechęcią przesiadła się na moją ławkę.

– No, co takiego? – spytała nieufnie, bo nieraz dawała się nabierać, choć uważała się za niezmiernie bystrą. Objąłem ją w pół i pocałowałem w ucho: – Nic – odrzekłem półgłosem. – Tutaj mniej trzęsie.

Gdyż nie chciałem jej wyznać, że tu czy na innej planecie będę o nią zazdrosny i będę cierpiał, jeżeli mnie zdradzi, i w ogóle przeżywał to wszystko, do czego człowiek obdarzony tak zwaną duszą i tak zwanym sercem bywa zdolny, a czego nie zdoła się chyba pozbyć nigdzie i nigdy<sup>470</sup>.

### **Przykład 377. Horacy Safrin – *O Ewie* (1973)**

Dyl słuchał, jak uczenie prawi katecheta:

„Z żebra Adamowego powstała kobieta...”

Trefniś trącił sąsiada, chytrze mrugnął okiem:

„Nic dziwnego, że często wyłazi nam bokiem!”<sup>471</sup>

### **Przykład 378. Włodzimierz Ścisłowski – *Pewien pedagog* (1973)**

Pewien pedagog z Chodzieży

spaczonej bronił młodzieży.

– Na sercu to mi legło –

mawiał – aż dostał cegłą

i dotąd jeszcze leży<sup>472</sup>.

### **Przykład 379. Witold Zechenter – *Grymasy z komentarzem*. Fragmenty (1973)**

I z tych właśnie prób<sup>473</sup> wyrosło moje zainteresowanie parodią literacką, które wnet miało zacząć dobrze dla mnie owocować. Właśnie na UJ, w sali Kopernika w Collegium Novum, która była stałą widownią imprez literackich wszelkiego rodzaju, także wesołych, satyrycznych, wielokrotnie w latach trzydziestych występowałem jako satyryk i parodysta czy to w „żywych dziennikach”, organizowanych przez Koło Polonistów, czy też w imprezach „Litartu”, w corocznie powtarzanych „paradach parodii”, ciesząc się wielkim powodzeniem. Towarzyszyli mi w tych występach „na wesoło” moi koledzy, przyjaciele czy znajomi, jak Anatol Krakowiecki, Antoni Wasilewski, Zbigniew Grotowski, Adam Polewka, Zygmunt Leśnodorski i różni inni, młodzi, jak ja wtedy, słuchacze uniwersytetu

<sup>470</sup> T. Łopalewski, *Szkółka aniołów*, [w:] tegoż, *Karuzela wesołków*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1973, s. 54–65.

<sup>471</sup> H. Safrin, *O Ewie*, [w:] tegoż, *Bez figowego listka*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973, s. 89.

<sup>472</sup> W. Ścisłowski, *Pewien pedagog*, [w:] tegoż, *Pozery mylą. Satyry i fraszki*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1973, s. 105. Por. tenże, *Pewien pedagog*, [w:] tegoż, *Pieczeń z satyryka. Wybór satyr*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1987, s. 109.

<sup>473</sup> Chodzi o współpracę autora z działami satyrycznymi ówczesnych czasopism. Przep. P.P.G.

albo znajomi z literatury, z dziennikarstwa, jak Ludwik Tomanek, a potem już szedłem coraz dzielniej tą drogą satyry, byłem współautorem paru szopek, występowałem w „Różowej Kukułce” Pugeta i w wielu innych, przed wojną organizowanych w Krakowie imprezach typu satyrycznego, w sali Bolońskiego, w Klubie Społecznym, w sali przy ul. Skarbowej...<sup>474</sup> [...]

Widownia bawiła się niesłychanie na tych głupstwach, łąpiąc pointy, gdyż omawiani pisarze byli znani, wszystkie docinki, jakie padały w formie kalamburów czy zawoalowanych domyślników były łatwo zrozumiałe, niektóre sparodiowane utwory należały do bardzo popularnych. Podkreślić muszę, że powyższy „referat” wygłaszałem kilkakrotnie, jak świadczą dopiski na rękopisie, i nieraz wśród publiczności, zawsze szczelnie wypełniającej salę, siedzieli „omawiani” autorzy, bywali łatwo rozpoznawani, sam nieraz na nich zwracałem uwagę i wtedy zabawa była jeszcze lepsza. Dodać też wypada, że prawie ze wszystkimi z parodiowanych łączyła mnie nie tylko bliska znajomość, lecz w wielu wypadkach wielka przyjaźń, a było i tak, że poproszono mnie. bym „wziął na kiel” twórczość poetycką jednego z pisarzy, a prośba ta, w rozmowie na wesoło, padła z ust właśnie tegoż poety<sup>475</sup>.

### **Przykład 380. Witold Zechenter – *Pytania* (1973)**

Wprowadzić mają przy maturze  
z polskiego utrudnienia duże  
dla panien. Egzaminowana  
ma odpowiedzieć na pytania:  
jak często pani się gałuszka?  
dlaczego pani czasem burka?<sup>476</sup>  
czy nie telega<sup>477</sup> pani nóżka?  
czy pani kurka, czy kędziora?<sup>478</sup>  
jaki u pani przyboś oraz  
czy pani speiperyzowana?<sup>479</sup>

<sup>474</sup> W. Zechenter, *Grymasy...*, dz. cyt., s. 12.

<sup>475</sup> Tamże, s. 24.

<sup>476</sup> W związku z Wincentym Burkiem, autorem m.in. *Drogi przez wieś*.

<sup>477</sup> Stanisław Telega, przed wojną ruchliwy w środowisku młodych pisarzy w Krakowie działacz literacki, poeta, obecnie na Pomorzu.

<sup>478</sup> Juliusz Kędziora zdobył sobie dużą popularność powieścią *Marcyna*, pisaną w gwarze, która uzyskała pierwszą nagrodę na wielkim konkursie na powieść współczesną, rozpisany w 25-lecie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

<sup>479</sup> W. Zechenter, *Pytania*, [w:] tegoż, *Grymasy...*, dz. cyt., s. 48–49. Por. przykład 179, zawierający pierwotną wersję utworu, jeszcze bez komentarzy wyjaśniających zastosowane



**Przykład 381. Jerzy Jurandot – *Rachunek nieprawdopodobieństwa*.  
Fragmenty komedii w trzech aktach (1974)**

Osoby: Profesor; Magda – studentka; Gustaw – asystent

*(Gabinet Profesora w Instytucie Maszyn Cyfrowych, pół gabinet, pół pracownia. W gabinecie nie ma nikogo. Po chwili Gustaw, asystent Profesora, wprowadza Magdę).*

Gustaw: Proszę tu zaczekać.

Magda: A czy pan Profesor prędko przyjdzie?

Gustaw: Nie mogę, nie jestem upoważniony.

Magda: Słucham...?

Gustaw: Powiedziałem: nie mogę, nie jestem upoważniony.

Magda: Czego pan nie może? Pytałam, czy pan Profesor prędko przyjdzie.

Gustaw: Zgadza się. A ja pani odpowiedziałem na to pytanie, tyle że z pominięciem całego zbędnego łańcucha słów. Słowo jest znakiem przekazującym informacje i dla jasności kodu, którym jest w tym wypadku nasza mowa, powinniśmy zawartą w nim ilość znaków maksymalnie ograniczać. Rozumie pani?

Magda: Nic a nic.

Gustaw: Wyjaśnię. Pani mnie zapytała, czy pan Profesor prędko przyjdzie.

Magda: Właśnie.

Gustaw: Jaka byłaby w tradycyjnym systemie informowania moja odpowiedź? „Może prędko, może nieprędko, to zależy”. Na co pani bez wątpienia zapytała: „A od czego zależy?”. Czy nie tak?

Magda: Chyba tak.

Gustaw: Widzi pani. Odpowiedziałbym: „Od tego, kiedy skończy eksperyment, w związku z którym panią wezwał”. Należy przypuszczać, że pani zapytałaby wówczas: „A jaki to eksperyment?”.

Magda: Nawet na pewno tak bym zapytała.

Gustaw: Czyli nie myliłem się. Ja bym oczywiście odpowiedział: „To już pan Profesor sam pani powie”. Proszę się teraz zastanowić, jaka najprawdopodobniej byłaby pani reakcja na moje słowa.

Magda: Nie ma się co zastanawiać. Zapytałabym: a pan nie może mi powiedzieć?

Gustaw: Słusznie! A ja odpowiadam: nie mogę, nie jestem upoważniony.

---

przez autora kategorie pojęciowe związane z nazwiskami literatów. Takie dookreślenie kategorii pojęciowych stało się niezbędne, ponieważ po 34 latach, które minęły od opublikowania pierwszej wersji utworu, wiele nazwisk zatarło się w pamięci indywidualnej i społecznej. Dzięki temu utwór zyskał wartość dydaktyczną.

Magda: A wie pan, że to dobre...

Gustaw: Prawda? Mój wynalazek.

Magda: Tylko trochę skomplikowane.

Gustaw: Dlaczego? Prosta redukcja zbędnych znaków w strumieniu informacji.

Magda: Ale trzeba tak jak w szachach przewidzieć kilka ruchów naprzód. I to błyskawicznie.

Gustaw: Trudno. Jak pani dobrze wiadomo, maszyna matematyczna zwana przez laików mózgiem elektronowym wykonuje już dziś miliony operacji na sekundę. Jeżeli nasz ludzki mózg będzie coraz bardziej pozostawał w tyle, popadniemy w kompleks niższości wobec czegoś, co sami stworzyliśmy. Czy pani wie, do czego to może doprowadzić?

Magda: To jesteśmy tak samo mądrzy.

Gustaw: Co...?

Magda: Pomięłam zbędne znaki. Pan zapytał, czy wiem, do czego to może doprowadzić. Ja powinnam odpowiedzieć: „Nie, nie wiem. A pan wie?”. Okazałoby się, że pan też nie wie. To jesteśmy tak samo mądrzy.

Profesor (*wchodzi*): O, dobrze, że już pani jest. (*Gustaw wychodzi*). Długo pani czeka?

Magda: Przepraszam, panie Profesorze... Czy mogę odpowiedzieć zwyczajnie, czy stosując redukcję strumienia informacji?

Profesor (*śmieje się*): Widzę, że mój asystent już zdążył zrobić pani wykład. On jest przykładem interesującego sprzężenia zwrotnego: najpierw my sterujemy maszyną, potem maszyna zaczyna sterować nami. Inaczej mówiąc, ma lekkiego bzika, ale ostatecznie kto z nas go nie ma. (*Siada za biurkiem, wskazuje krzesło Magdzie*). Mój syn ma bzika na punkcie piosenek, moja żona na punkcie syna, a ja... zresztą za chwilę sama się pani zorientuje, bo to pozostaje w ścisłym związku z zaproszeniem pani tutaj. Gustaw coś pani mówił?

Magda: Nazywa się Gustaw?

Profesor: W dodatku na nazwisko ma Konrad. Przy takim obciążeniu romantyzmem nie mógł nie uciec w cybernetykę. Mówił pani coś?

Magda: Nie, był bardzo tajemniczy. Przyznaję, że tym bardziej umieram z ciekawości. Zresztą od razu kiedy mnie powiadomiono, że pan Profesor mnie wzywa o takiej porze...

Profesor: A może pani ma inne plany na dzisiejsze popołudnie? Nie chciałbym wprowadzać zamieszania.

Magda: Nie, nie mam żadnych planów. Zamierzałam pouczyć się trochę.

Profesor: Jeżeli tylko tyle, to nauka nie zając, nie ucieknie. (*Śmieją się oboje, Profesor bierze z biurka płyty*). A więc przede wszystkim chciałem pani podziękować za pożyczenie płyt. Już są do zwrotu.

Magda: Podobały się panu Profesorowi?

Profesor: Czy mi się podobały? A wie pani, że nie zastanawiałem się.

Magda: Jak to...?

Profesor: Po prostu. Ja – jakby to powiedzieć? – nie mam do tego stosunku.

Magda: Wybrałam same szlagiery. Jeżeli pan Profesor nie zdążył przesłuchać, to ja je chętnie jeszcze zostawię.

Profesor: Dziękuję, dziękuję. Przesłuchałem i to wielokrotnie. Bez tego w ogóle nie mógłbym ruszyć z miejsca. Pani oczywiście nie próbowała nigdy badać utwalonych na płycie melodii i tekstów metodami matematycznymi i statystycznymi?

Magda: No, nie... Ja zawsze słucham dla przyjemności... Czasem potańczyło się...

Profesor: Pewnie, pewnie. W zasadzie to zupełnie słuszne.

Magda: Pan Profesor nie tańczy?

Profesor: Nie, dlaczego. Jeżeli muszę. Ale w tym wypadku szło mi o coś zupełnie innego. Już po przeanalizowaniu tej stosunkowo niewielkiej ilości obiektów stwierdziłem statystycznie istnienie szeregu typowych zwrotów melodycznych i tekstowych.

Magda: Oj, tak! Bywają okropne banały.

Profesor: Te typowe zwroty posłużyły mi do odpowiedniego zaprogramowania maszyny informacjami z obu dziedzin.

Magda: Maszyny...?

Profesor: Właśnie. Rzecz w tym, proszę pani, że skonstruowałem komputer piszący piosenki. (*Dzwoni telefon, Profesor podnosi słuchawkę*). Hallo. – Tak, ja. – Nie, nie będę, zjedzcie beze mnie. – Co to znaczy: znów? W poniedziałek jadłem w domu. – Trudno, od kilku dni mam taką pracę, że nie mogę. – Nie bój się, jakoś sobie poradzę, z głodu nie umrę. – Tak, dobrze, będę uważał. Nie zaszkoździ mi, bądź spokojna. (*Odkłada słuchawkę*). Więc co to ja mówiłem?

Magda: Że pan Profesor skonstruował komputer piszący piosenki. To fantastyczne!

Profesor: O, nie przesadzajmy. Wie pani przecież, że komponować utwory muzyczne przy pomocy maszyny cyfrowej umiemy już dawno.

Magda (*tonem jak na egzaminie*): Pierwszy utwór! „Suita na kwartet smyczkowy” Hillera i Isaacsona, partyturę przygotowała maszyna Illiac, znajdująca się na uniwersytecie w Urbana, stan Illinois. Potem „Wariacje na tembr i atak”, autor

J.R. Pierce i maszyny cyfrowe IBM 704 i 7090 ze specjalnymi urządzeniami do komponowania. Właśnie niedawno czytałam u Berkeleya.

Profesor: No więc. Potem powstało jeszcze wiele partytur.

Magda: Muzycznych. Ale piosenka to przecież i melodia, i tekst i jakoś muszę trzymać się kupy! Przynajmniej powinny...

Profesor: Powinny, powinny, rzecz jasna. Początkowo nie bardzo chciały. Wychodziły najrozmaitsze dziwołagi, braki i buble.

Magda: To musiało być bardzo śmieszne.

Profesor: Nie jestem pewien, nas raczej irytowało. Ale czuję, że pani miałaby ochotę zapoznać się z którymś z tych słowno-muzycznych niedonosków?

Magda: Okropną! Takie rzeczy mnie zawsze najbardziej pasjonują.

Profesor: Jakie?

Magda: No... jak coś jest nie tak, jak powinno być.

Profesor: Pani ma jednak artystyczną duszę<sup>480</sup>.

### **Przykład 382. Sołtys Kierdziołek (Jerzy Ofierski) – *Przewód doktora Kierdziołka (1974)***

Cię choroba! Zaczęło się wszystko od wezwania do powiatu.

Ludzie kochane! Zima jak diabli, nasza droga na mapie nie zaznaczona, więc kolejności odśnieżania nie ma żadnej. Dwumetrowe zaspy leżą, a śnieg zamiast przestać padać w zaplanowanym terminie, przez cały styczeń wali jak opętany. Powiadam wam – istny wybryk natury! Przez te zaburzenia atmosferyczne, człowiek kręcka dostanie!

A w powiecie, jak by tego nie widzieli. Piszą do mnie: tak i tak... wzywa się was do prezydium wtedy i wtedy... wstawiennictwo obowiązkowe, zabrać ze sobą świadectwo dojrzałości i o wiele możliwe dyplomy ukończenia wyższych studiów.

– Co za ciort? – kombinuję. – Jak myślisz, Zośka, o co im chodzi z tą dojrzałością? Obsmarowała mnie jaka baba w powiecie czy co?

Moja Zośka jest dziewczucha oblatana, toteż z miejsca trafiła w sedno: – Pewnikiem chodzi im o to modne takie... no, co to się na zachodzie pleni... o sex. Zabierz metrykę ślubu, to powinno wystarczyć.

– No a dyplomy?

– Powiesz im, że na dyplomy nie zasłużyłeś. Wyklaruj im, że masz ino wykształcenie podstawowe, ale że ci to przez 15 lat małżeństwa wystarczało.

---

<sup>480</sup> J. Jurandot, *Rachunek nieprawdopodobieństwa. Komedia w trzech aktach*, [w:] tegoż, *Komedia*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974, s. 369–376.

– Dobrze, Zosińko – odpowiedziałem. Ale w duchu sobie pomyślał: oj, głupia ty jesteś, głupia! Małżeńskie wykształcenie podstawowe... A o tym, że każdy ma teraz możliwość studiów zaocznych, toś nie słyszała?

Zmieniłem więc bieliznę, na wypadek jak by się jakieś kolokwium przytrafiło i jadę.

W powiecie przyjęli mnie bardzo elegancko. Kawa Marago była, „ptibery” na przegryzkę... No, Europa!

Nasz przewodniczący ma „hopsa” na punkcie oświaty i samokształcenia, toteż ni z tego, ni z owego wypalił do mnie: – Sołtysie, zamierzamy otworzyć wam przewód.

Mówię wam, myślałem że się tym „ptiberem” udławię.

– Dlaczego, dobrodzieju ludowy nasz kochany? Przewód działa mi regularnie, słowo daję, że nie ma powodu do otwierania.

Przewodniczący uśmiechnął się tylko.

– Mnie chodzi – powiada – o przewód doktorski. Będziecie pierwszym w Polsce sołtysiem z tytułem doktorskim. Musicie sobie tylko znaleźć promotora, i temat. Taki wiecie... społeczny, pożyteczny dla ogółu, no i z kopyta zabierać się do roboty!

Prawdę powiedziawszy, to mam pewne luki w ciągłości wykształcenia, ale... dam sobie radę...

Z promotorem też wielkiego kłopotu być nie powinno. Ośrodek maszynowy pod bokiem, jakisic zbędny motor się znajdzie, tylko skąd wziąć, panie przewodniczący, temat?

On poklepał mnie tylko po ramieniu i powiedział: – Za ekonomię się weźcie, sołtysie! Zbadajcie cykl produkcji naszej wytwórni kiszzonej kapusty w powiecie. Wyniki mają w skali krajowej! Plany przekraczają, premie dostają! Śmiało, sołtysie! Nie bójcie się trudności.

Zbadałem, ale chyba doctorem nie będę. Bo z moich obliczeń wychodzi, że fabrykę trza zamknąć. Faktycznie, od trzech lat plany produkcji przekraczają. Faktycznie, premije dostają. Za oszczędność, bo soli do kapusty nie sypią, a i cykl produkcyjny skrócili, bo kapusty w beczkach nie ubijają.

Tak biorąc na chłopski rozum, cosic się nie zgadza... Może ja faktycznie nie jestem dobry ekonomista... No, ale, idzie kochane, powiedzta! Co z tego, że oni zyski w sprawozdaniach przynoszą, kiej w beczkach kapusta jest zgnita?!<sup>481</sup>

---

<sup>481</sup> J. Ofierski, *Przewód doktora Kierdziołka*, [w:] tegoż, *U sołtysa zabawa*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1974, s. 20–21. Por. wersja z uwspółcześnioną pisownią: tenże, *Sołtys socjolog*, [w:] tegoż, *Błędy i wybaczenia*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1982, s. 103–105.

**Przykład 383. Jan Pietrzak –  
*Jak się wybić? Wywiad telewizyjny (1974)***

Osoby: Prezenter – P.; mgr Izetta Sokolik – S.

P.: A teraz w naszej telewizyjnej programie naszą rozmówczynią będzie jedna z naszych wybijających się postaci naszej socjologii, autorka pracy pod naszym tytułem: „Samotny tłum a wybitne jednostki w świetle najnowszych zdobyczy na polu oświetlenia”, nasza pani magistra Izetta Swawolik! Prosimy!

S.: ... Sokolik, Sokolik!

P.: Ach tak – Sambolik! Czy pani magistra zechce powiedzieć naszym słuchaczom, to znaczy naszym słuchaczkom i słuchaczom, jak się zostaje naszą jednostką wybitną?

S.: O, to bardzo ciekawe pytanie *a priori*, jedno z ciekawszych pytań *sensu stricto*, jakie mi ostatnio zadano...

P.: A więc jednak!

S.: Otóż chcąc zostać jednostką wybitną należy się *a propos* wybić.

P.: Jakie to proste! Pani ma wielki dar przekładania zawiłych spraw nauki na język pojęciów popularnych... Jakie zatem możliwości widzi pani przed naszymi dziewczętami i naszymi chłopiętami?

S.: Możliwości są następujące: wybicie przez przebicie, przez wyrobienie i przez znajomości *stricte*.

P.: A więc jednaki. A które z wybić polecałaby pani szczegółowo, w sensie szczególnie, naszej młodzieży?

S.: Hm, wybicie przez przebicie jest coraz trudniejsze, zwłaszcza że ze względu na słabość murów nie należy próbować głową muru *a priori*... Przez wyrobienie wybijać się trzeba latami, a kto z młodych ma *sensu stricto* do tego cierpliwość? Przeto formą najczęściej spotykaną *a propos* jest wybicie przez znajomości.

P.: Pozwoliż, pani magisterium, że ją naciśniemy do muru... Trzeba te znajomości mieć?!

S.: Ewidentnie! W świetle naszych najnowszych badań znajomości się zawiera *stricte* albo się dziedziczy *a posteriori*... Zawieranie jest dość uciążliwe, tak więc większość jednostek wybitnych osiąga ten stan przez dziedziczenie.

P.: Czy to jest dowiedzione?

S.: Naturalnie! Dzieci wyższych urzędników podstawowych... W przedszkolu już wykazują przebłyski talentu, w szkole ujawniają *stricte* nadzwyczajne zdolności, zaś na studiach radzą sobie doskonale bez punktów dodatkowych i właściwie mogą już nic nie robić, a dyplom mają w kieszeni *a posteriori*.

P.: A więc jednak! Rozumie już teraz, ja rozumie i nasi telesłuchacze też rozumia. I tym uroczym akcentem kończymy naszą rozmowę z naszą panią magister Izettą Symbolik, która zechciała nam użyczyć naszego, przepraszam – swego czasu. Żegnamy się tradycyjnym: do usłyszenia, do zobaczenia<sup>482</sup>.

### **Przykład 384. Jan Pietrzak – *Już nie należę* (1974)**

Pomnę ten dzień – przyjechałem studiować,  
egzamin wstępny trwał wieczność.  
Szalę przeważył punkt dodatkowy  
za pochodzenie społeczne...  
Dziś mam już dyplom, tytuł magistra,  
lekką zmienioną oblicze...  
Już nie należę,  
już nie należę do klasy robotniczej!

Tata – robociarz w walkach klasowych  
zahartowany jak metal,  
matuś z bezrolnych spod Kolbuszowej  
– uświadomiona kobieta!  
Niby się cieszą, że syn kształcony,  
lecz wiem, co trapi ich skrycie:  
ja nie należę,  
ja nie należę do klasy robotniczej!

Kiedys za moich czasów to w szkole  
uczyli, nie wiem jak teraz,  
że kto z pozycji zejdzie klasowej,  
nazywa się – degenerat!  
A ja przepraszam, wolę być zdrowy,  
lecz jak postąpić, co krzycheć,  
by znów należeć,  
by znów należeć do klasy robotniczej?

Kogo popierać, za kim głosować,  
ewentualnie co skreślać,  
gdy w jedną stronę ciągnie rodowód,

---

<sup>482</sup> J. Pietrzak, *Jak się wybić? Wywiad telewizyjny*, [w:] tegoż, *Dlatego kocham życie*, Czytelnik, Warszawa 1974, s. 71–72; tenże, *Jak się wybić*, [w:] D. Sykucka (oprac.), *Księga parodii*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986, s. 133–134.

w drugą – pozycja społeczna?  
Oto rozterka, przy której Hamlet  
śmiesz z tym „byciem – nie byciem”.  
On nie należał,  
on nie należał do klasy robotniczej.

Sto wątpliwości trawi mi duszę,  
niepewność targa wejrzeniem  
– to już typowe, przyznać się muszę:  
inteligenckie skrzywienie!  
Starczy przykładów, by twarz utracić  
może na całe już życie,  
w kołach zbliżonych,  
w kołach zbliżonych do klasy robotniczej.

Jedyna szansa, by choć czasami  
zmienić społeczny swój status,  
to – zagrać rolę w dramacie znanym  
o młodym, dzielnym z warsztatu.  
Treść ideowa, przystępne słowa...  
Ale czy dzisiaj ktoś pisze  
takie dramaty,  
takie dramaty o klasie robotniczej?!<sup>483</sup>

### **Przykład 385. Jan Pietrzak – *Ośłupienie*. Fragment (1974)**

W pierwszej klasie to było na przerwie,  
nauczyciel szedł, łapiąc się ściany...  
Ja jak dziecko naiwnie spostrzegłem:  
– pan ploffesol jest pseciez pijany!  
Głośna z tego zrobiła się sprawa.  
Był dyrektor, dywanik, rozmowa:  
– ty smarkaczu na przyszłość uważaj!  
Tobie chyba się ustrój nie podoba!  
Do dziś pamiętam ośłupienie moje,  
że ten pijak się nazywał ustrojem! [...] <sup>484</sup>

<sup>483</sup> Tenże, *Już nie należę*, [w:] tegoż, *Dlatego kocham...*, dz. cyt., s. 22–23.

<sup>484</sup> Tenże, *Na skrót*. *Dzieła przebrane*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 2000, s. 56.



**Przykład 386. Melchior Wańkowicz – *Karafka La Fontaine'a*.  
Fragmenty listu o losach zabawnej lektury  
w życiu ucznia i jego rodziny (1974)**

Szanowny i Kochany Panie! Piszę do Pana jako do sprawcy nieszczęścia w naszej rodzinie. Wszystkie książki Pana zostały przeczytane, skomentowane, pokradzione i odzyskane, znowu pokradzione i znowu odzyskane. Do kolekcji brakło mi *Tędy i owędy*. Udało mi się ją pożyczyć od znajomych (ale jej nie oddam) i otóż zaczęło się! Zaczęła babcia. Całymi godzinami z pokoju słychać było coś pośredniego między kaszlem a śmiechem. W wolnych chwilach mój mąż ją wykradał i wówczas gdzieś z łazienki (tylko w wannie) rozlegało się basowe wycie z uciechy. Dla mnie pozostawała noc. Zamykałam się w kuchni pod pretekstem gotowania obiadu na dzień następny. Wszystko byłoby w porządku, ale mam synów. Książka rano zginęła. Szukałam i klęłam. Wraca syn ze szkoły, jest anielski. Cichy, uprzejmy, usłużny. Przy obiedzie strzała: „Mamo! Wańkowicza mi zabrali” – „Kto?” – „Wiadomo, Ruda na biologii...” – Płaszcz na siebie i gonię do nauczycielki. Podchodzę pod drzwi i słyszę z pokoju kwik. Od razu zorientowałam się, że Wańkowicz w czytaniu. Otóż zabrała synowi książkę, bo czytał ją na lekcji, i jak się sama wyraziła, „dygotał w czkawce”, a z nim kolega, z którym siedzi. Książkę musiałam jej zostawić na trzy dni. To jeszcze nie koniec. Wczoraj wraca syn ze szkoły i znowu anielski. W czasie obiadu okazało się, że wzywają mnie do szkoły (czwórkę ze sprawowania ma już przez dwa okresy). Idę dziś rano wściekła na szczeniaka, wściekła na męża, który te sprawy mnie zostawia, cały świat gniotę obcasami i obiecuję sobie, że teraz to rozniosę albo syna, albo szkołę. Dyrektor wita przemówieniem... jest mu niezmiernie przykro... w takiej rodzinie... to chuligaństwo... dobry uczeń... ze względu na rodziców... palę papierosa i liczę do dziesięciu... do trzydziestu... Proszę sobie wyobrazić, nauczył się szczeniak i wytrenował wszystkie Pana pogaduszki dorożkarskie z rozdziału *Szyfowe matury* ze strony 52 *Tędy i owędy*. Żadnych kropek nie stawiał i wyrecytował w klasie, wzbudzając ogólny zachwyty. Zupełnie gratis podjął się przekazania swej wiedzy, i to z takim skutkiem, że pod koniec lekcji klasa zarecytowała bezbłędnie. W czasie dochodzenia u dyrektora powoływał się na literaturę i że wszyscy w domu czytali i płakali ze śmiechu, a gdyby Pan Dyrektor znał coś Wańkowicza, toby tak nie mówił... coś mu tam jeszcze nabrechał, no i klops! Musiałam bić się w dygoczącą ze śmiechu pierś i składać samokrytykę za niedopatrzenie, podjąc się dodatkowej roboty w Komit. Rodzicielskim. W domu, cóż, musiałam poderwać albo autorytet szkoły, albo Pana. Wybrałam to pierwsze. Syn za karę dostał od dyrektora do nauczenia urywek z *Pana Tadeusza* (o, pedagogiko!). Nie omieszkał zlokalizować Mickiewicza (ale już w domu i pod nosem), wie, że teraz piszę

do Pana, i prosi bym dodała, że w najbliższym „Peryskopie” będzie się do Pana uśmiechał. Jestem Panu wdzięczna za to, że nareszcie syn mój zainteresował się czymś innym niż kryminałami. Widzę, że już i *Na tropach Smętka* trzymał w ręku. Proszę tylko w TV nie wspominać nazwiska ani miasta, bo mi syna wykończą w szkole. Podobno jedyna nieuleczalna choroba to głupota<sup>485</sup>.

### **Przykład 387. Jerzy Wittlin – *Jak unikać pomocy dzieciom w odrabianiu lekcji (1974)***

Pomoc dzieciom w odrabianiu lekcji jest jedną z najdotkliwszych przykrości, jakie czyhają na nas w wypadku, jeśli zdecydowaliśmy się na powiększenie rodziny. Toteż właściwie przemyślanej oraz rozumnie prowadzonej walce z tą pomocą poświęcamy szczególnie wiele uwagi i troski.

Działania nasze w tej dziedzinie rozpoczynamy jeszcze na długo przed tym, zanim dziecko pójdzie do szkoły. Trzymając się sztywno zasady: „Dziecko zadaje pytanie, dziecko samo sobie odpowiada” – unikamy przede wszystkim dłuższych spotkań z dzieckiem, które zazwyczaj, po ostygnięciu dziecka z pierwszej radości ujrzenia nas, nieuchronnie prowadzą do pytań. Żonie, ewentualnie innym jeszcze, mieszkającym z nami domownikom zakazujemy kategorycznie, pod groźbą sankcji, używania wykrętnego zwrotu: „Tatusi ci to wyjaśni”.

W okresie niemowlęctwa przestrzeganie tych dwóch zasad daje na ogół wystarczające rezultaty. Jednakże w miarę tego jak dziecko rośnie, wzrasta proporcjonalnie ilość stawianych pytań jak również upór dziecka w domaganiu się odpowiedzi. W tej fazie wprowadzamy do walki obok starych nowe elementy, z których najważniejszym jest konsekwentna walka z uporem dziecka.

Walkę z uporem prowadzimy za pomocą metod:

- a) oświatowych
- b) administracyjnych.

Metoda oświatowa walki z uporem dziecka polega na wykorzystaniu każdej chwili, którą musimy spędzić z dzieckiem, do wygłoszenia gawędy o naukowych i historycznych podstawach niesłuszności uporu. Gawędę ilustrujemy przykładami z życia i historii, autentycznymi i wymyślonymi przez nas na poczekaniu, przy czym przerywamy ją nagle w połowie zdania i pod jakimkolwiek pretekstem opuszczamy natychmiast dziecko, nie dając mu w ten prosty sposób okazji do zadawania pytań.

Metoda administracyjna walki z uporem dziecka polega na uprzedzaniu każdego pytania dziecka pytaniem, które my jemu stawiamy, na odsyłaniu go

---

<sup>485</sup> M. Wańkowicz, *Karafka La Fontaine’a*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983, s. 441–442. Źródło pierwotne: tenże, *Karafka La Fontaine’a*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.

po odpowiedź do innych domowników, na pouczeniu go, że jeszcze za młode, by uzyskać odpowiedź na zadane pytanie, oraz na doradzaniu, żeby czekało, aż podrośnie – bez względu na rodzaj pytania.

Tak zahartowane od maleńkości dziecko nie powinno nam już w okresie szkolnym sprawiać poważniejszych trudności. Gdyby jednak na przykład przez zapomnienie zwróciło się do nas o pomoc, wprowadzamy w tej fazie do walki następujące nowe elementy:

- jeśli dziecko uczęszcza do klas od pierwszej do trzeciej, zaślamy się bólem głowy, atakiem kaszlu bądź innymi, trudnymi do sprawdzenia, nagłymi objawami chorobowymi; w tym wieku dziecko musi wiedzieć, że tatuś (mamusia) są chorzy; tłumaczenia w rodzaju: „Mamusia (tatuś) wychodzą na zebranie” czy „do kawiarni” niczego takiemu dziecku nie wyjaśniają, ponieważ nie wie ono jeszcze, co to jest zebranie czy kawiarnia,
- jeśli dziecko uczęszcza do klas od czwartej do ósmej, zaślamy się zebraniem; z tłumaczenia się bólem głowy, brzucha (Zob. „Wzornik listów i pism”, wzór nr 1), atakiem kaszlu itd. rezygnujemy, ponieważ w tym wieku dziecko samo już stosuje powyższe zaślony, dzięki czemu wie, że to symulacja,
- jeśli dziecko uczęszcza do klas od dziewiątej do dwunastej, zaślamy się nagłym wyjściem z domu bez określenia celu (w tym wieku już nawet dziecko nie wierzy w zebrania), opowiedzeniem dziecku, poufale, dowcipu dla dziecka poniżej ósmej klasy niedozwolonego, zaapelowaniem do szlachetności dziecka (daje niewielkie rezultaty), wreszcie – jeśli dziecko przyciska nas do muru – oświadczeniem wprost, że „w moich czasach takich zadań się nie przerabiało”.

Odradza się jako sposobów nieskutecznych:

- tłumaczenia dziecku rzeczy, której samemu się nie rozumie
- dzwonienia do przyjaciół z prośbą o wyjaśnienie problemu, ponieważ w ten sposób łatwo tracimy przyjaciół, nie otrzymując jednakże w zamian za to rozwiązania
- apelowania do sumienia dziecka, żeby nie przeszkadzało, po to tylko, aby już za chwilę stwierdzić, że dziecko nie ma sumienia
- odsyłania o pomoc do drugiego własnego dziecka, ponieważ nie chodzi w tym wypadku o represję, tylko o pomoc<sup>486</sup>.

---

<sup>486</sup> J. Wittlin, *Jak unikać pomocy dzieciom w odrabianiu lekcji*, [w:] tegoż, *Vademecum życia rodzinnego i towarzyskiego*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, s. 70–72. Por. przykład 140.

**Przykład 388. Jerzy Wittlin – *Matka usprawiedliwia córkę z nieobecności w szkole* (1974)**

Usprawiedliwienie Wzór nr I

Na polecenie mojej córki uprzejmie zawiadamiam, że córka moja w poniedziałek bm. nie była obecna w szkole, ponieważ w niedzielę podjęła takie postanowienie.

Jako oficjalny powód nieobecności córka poleciła mi podać ból brzucha. Podając ten powód, córka moja dała mi równocześnie do zrozumienia, że przyczyny jej decyzji są głębsze i sięgają poniedziałkowej klasówki z polskiego, w której dopatruje się ona, wyraźnej i niedwuznacznej szykany szkoły wobec niej. Podejmując naukę w Waszej szkole, córka oczekiwała, że – podobnie jak ona szkołę – szkoła i ją otaczać będzie życzliwością, sympatią, zrozumieniem i że porozumienie to będzie wzajemne i bezwzględnie respektowane. Niestety, szereg faktów świadczy o tym, że szkoła systematycznie i jednostronnie to porozumienie narusza.

Ograniczając się więc chwilowo do sankcji jednodniowej nieobecności, córka moja podkreśliła, że zastrzega sobie prawo – w wypadku dalszego gwałcenia przez szkołę tego dwustronnego porozumienia – ostrzejszych i bardziej zdecydowanych sankcji.

Na polecenie mojej córki Matka<sup>487</sup>.

**Przykład 389. Jan Bester – *Wychowanie* (1975)**

Tak w nich gorliwie pompowali  
wskazania, cnoty i rozumy...  
Wyszli ludkowie krągli, cali,  
balony dumy z dętej gumy.  
Dać im swobodę, takim zuchom!  
Zobaczmyż, jak nadzieje ziszczą?  
Lekko poddają się podmuchom,  
a gdy przycisnąć mocniej – piszczą<sup>488</sup>.

**Przykład 390. Ryszard Marek Groński – *Miazmat* (1975)**

Jak dziś pamiętam: na pauzie, w szkole  
Kolega szepnął klasowej pani,  
Że na parkanach to ja gryzmołę,  
Nie jacyś sprawcy bliżej nie znani.

<sup>487</sup> Tenże, *Matka usprawiedliwia córkę z nieobecności w szkole*, [w:] tegoż, *Vademecum życia...*, dz. cyt., s. 215–216.

<sup>488</sup> J. Bester, *Wychowanie*, [w:] W. Brudziński (oprac.), *Piąty wiek fraszki polskiej. Antologia fraszki trzydziestolecia*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975, s. 7.

Były kolega – ot, taki konus  
Został prymusem za to, że doniósł.

A we mnie odtąd optymizm furczy –  
Jaki ja jestem,  
Jaki ja jestem,  
Jaki ja jestem karierotwórczy!

Potem nastąpiła epoka zebrań  
I dogrzewało wąsate słońko.  
Ktoś wstał. – Kolega udziału nie brał,  
Gdy cały naród walczył ze stonką!

Ten ktoś (nazwijmy go pan klasowy)  
Wszedł do prezydium pod koniec mowy...  
A we mnie nadal optymizm furczy –  
Jaki ja jestem,  
Jaki ja jestem,  
Jaki ja jestem karierotwórczy!

Nie kończąc studiów, podjąłem pracę.  
Kierownik obciął brygadzie premię.  
Inni milczeli. Ja drania szmacę,  
A on nic. Stoi. Oczy wbił w ziemię.

Ale po minie wiem, że doniesie...  
Teraz do niego mówią: Prezesie.  
A we mnie zdrowy optymizm furczy –  
Jaki ja jestem,  
Jaki ja jestem,  
Jaki ja jestem karierotwórczy!

Gdyby nie moje błędy i szajby,  
Formułowane sądy pochopnie,

Ilu to karier nie ujrzał kraj by...  
Dzięki mnie każdy swojego dopnie.

Punkty załapie ten, kto mnie zburczy –  
 Byłem i jestem,  
 Byłem i jestem,  
 Byłem i jestem karierotwórczy!

Krytykant, ferment i odchylenie,  
 Gdy do wiecznego zawinę portu,  
 Wiem, że zapłaczą, tachając wieniec  
 Ci z gmin, ministerstw, central, resortów...

Zgaśł bezpotomnie. Eeeech, głupio wyszło –  
 Kto naszym dzieciom,  
 Kto naszym dzieciom,  
 Kto naszym dzieciom zapewni przyszłość?<sup>489</sup>

**Przykład 391. Jacek Kleyff – *Cała młodzież*. Fragment programu kabaretu „Salon niezależnych” (1975)**

Cała młodzież chce się uczyć.  
 By w świecie tym lepiej móc żyć.  
 Młodzież czyta oraz pragnie  
 zgłębić to co leży na dnie  
 przemian i zmian i to co to jest płodozmian

Jasna sprawa wszystkie dzieci  
 dużo wiedzieć chcą o świecie.  
 Dziecku twemu trudna rada  
 Winneś wpoić co to bieda,  
 Ucisk, zło, żeby tego nie robiło.

Czy pogoda czy słońeczko  
 grupa w tańcu się zakręci.  
 Wychowawca z długim kijem  
 nigdy zucha nie uderzy.  
 Dwa – trzy, dwa – trzy i już grupa tańczy.

---

<sup>489</sup> R.M. Groński, *Miazmat*, [w:] tegoż, *Satyra kłamie!*, Czytelnik, Warszawa 1983, s. 117–118.

Jak wyjąć ziemniaki z worka  
bardzo dobrze wie Mariolka.  
Co się robi na biwaku wytłumaczy  
wszystkim Jasiu... Stasiu.  
Raz – dwa, raz – dwa i już odgruzowany plac<sup>490</sup>.

### **Przykład 392. Jerzy Leszczyński – *Falszywe świadectwo* (1975)**

„Bardzo dobry” z góry na dół  
zdarza się niektórym  
tylko dlatego, że nie ocenia  
się ich z dołu do góry<sup>491</sup>.

### **Przykład 393. Jerzy Leszczyński – *Na dzień nauczyciela* (1975)**

Bodajbyś, cudze dzieci ucząc,  
doczekał się wdzięczności wnucząt<sup>492</sup>.

### **Przykład 394. Leszek Maruta – *Mój stary profesor* (1975)**

Bawiąc niedawno w mym mieście rodzinnym, postanowiłem przy okazji odwiedzić mego dawnego profesora z gimnazjum. Odczuwałem zawsze wobec niego bojaźń pomieszaną z szacunkiem, gdyż w latach szkolnych, jako nasz polonista i wychowawca, dał mi się porządnie we znaki. Był on surowym pedagogiem, a przy tym utrapionym pedantem. Obie te cechy jego charakteru, w połączeniu, stanowiły dla nas prawdziwy dopust Boży.

Do dziś pamiętam, jak w obliczu całej klasy wymierzał mi karę linijką w wyciągniętą dłoń. Ilekroć tylko nie potrafiłem odróżnić podmiotu od orzeczenia czy spółgłoski od samogłoski.

– Podmiot – recytował z namaszczeniem, tłukąc mnie co sił – jest to część zdania, która wskazuje na przedmiot, o jakim w zdaniu jest mowa!

– Samogłoska – ciągnął, targając mnie boleśnie za ucho – jest to głoska, która może być wymówiona bez pomocy innej. Powtórz, ośle jeden!

– Samogłoska – powtarzałem z jękiem – jest to część zdania, w której wyrażamy to, co może być wyrażone...

– Siadaj, ośle! – tym jednym zdaniem wprost przygważdżał mnie do ławki.

<sup>490</sup> J. Kleyff, *Cała młodzież*, [w:] M. Tarkowski (red.), dz. cyt., b.s.

<sup>491</sup> J. Leszczyński, *Falszywe świadectwo*, [w:] tegoż, *Wietrznym piórem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, s. 66.

<sup>492</sup> Tenże, *Na dzień nauczyciela*, [w:] tegoż, *Wietrznym...*, dz. cyt., s. 65.

Z biegiem lat nasz profesor mocno zdziwaczał. Podczas lekcji gramatyki nie ograniczał się, tak jak dawniej, do suchego wykładu, ale zaczął traktować temat jak grecką tragedię, dramatyzując wręcz poszczególne partie podręcznika i wkładając zdania warunkowe i skutkowe na przemian w usta recytatorów i chóru. Piękne efekty uzyskiwał zwłaszcza przy koniugacjach. Trzech prymusów powtarzało, jeden za drugim: ja jadę, ty jedziesz, on jedzie, a my, w chórze, wtórowaliśmy im basem: my jedziemy, wy jedziecie, oni jadą...

Biada przy tym nieszczęśnikowi, który śmiałby pomylić się w tych wszystkich przypadkach, trybach i liczbach. Linijka była zaraz w robocie.

I teraz, śpiesząc wąską, zaciszną uliczką w stronę domu profesora, zastanawiałem się, w jakim stanie go znajdę, czy mnie pozna, czy mnie jeszcze pamięta, czy zachował, mimo sędziwego wieku, dawną jasność umysłu?

Z trudem wdrapałem się po stromych, skrzypiących drewnianych schodach na trzecie piętro, po czym przystanąłem na chwilę, aby odsapnąć.

Solidne, dębowe drzwi mieszkania skutecznie oparły się zębowi czasu. Tylko mosiężna tabliczka z nazwiskiem profesora, dawniej zawsze wypolerowana i błyszcząca, pokryta była teraz nalotem śniedzi.

Zadzwoiłem. Przez długą chwilę panowała za drzwiami martwa cisza, wreszcie usłyszałem z daleka suchy, starczy kaszel.

Zazgrzytała odsuwana pokrywa wziernika i dobiegł mych uszu skrzeczący głos: – Kto tam, pytajnik?

– To ja, panie profesorze, pański dawny uczeń!

– Już otwieram, wykrzykniek! – odezwał się gospodarz domu. Szczęknięt łańcuch i drzwi uchyliły się na oścież. W progu stał mój stary profesor, zgrzybiały, w wyleniałym szlafroku i przydeptanych pantoflach, siwiuteńki jak gołąb i trzęsący głową.

– Aa, wykrzykniek! Kogo ja widzę, pytajnik? – zawołał starzec na mój widok i zaraz pociągnął mnie za sobą w głąb mieszkania. W chwilę potem znaleźliśmy się w saloniku. Nic się tu nie zmieniło od czasu moich sztabackich wizyt odwiedzin. Tylko jak gdyby jeszcze przybyło opastych podręczników gramatyki, uczonych tomów, podających nieomylnie zasady ortografii i interpunkcji.

– Siadaj, wykrzykniek! – zachęcił mnie profesor. – Opowiadaj wszystko o sobie, wykrzykniek! Ja tu, przecinek, kochasiu, przecinek, od lat siedzę w miejscu, przecinek, świata Bożego nie oglądam, przecinek, ale ty młody, przecinek, wiele przeżyłeś, przecinek, wiele widziałeś, przecinek, opowiadaj, wykrzykniek!

– No cóż, panie profesorze – odparłem. – Żyje się, jak inni kombinuje się. Jak mówią, lepsze deko handlu niż kilo roboty. Ożeniłem się też, mam willę, auto. Co roku jeździmy z żoną na wakacje za granicę – ciągnąłem, przyglą-



dając się, nie bez cichej satysfakcji, wystrzępionym rękawom profesorskiego szlafroka.

Starzec słuchał mnie uważnie, ale w pewnej chwili przybłąkał mu się na twarz złośliwy grymas.

– Wszystko pięknie – przerwał mi znienacka – żyjesz, przecinek, kombinujesz, trzy kropki... Ale powiedz mi, przecinek, kochasiu, przecinek, co to jest, dwukropek: samogłoska, pytajnik?

Zbaraniałem. – Dwukropek... e... samogłoska... pytajnik? – wybełkotałem bezmyślnie.

– Ehe – zachichotał starzec – samogłoska, wykrzyknik!

– Samogłoska... ee... – dobytek ze siebie rozpaczliwie głosu – jest to... ee...

– OSIOŁ!! – ryknął starzec, zrywając się z fotela. – Osioł! – krzyczał, patrząc na mnie z nie ukrywaną pogardą.

Przerażony, porwałem kapelusz i rzuciłem się w stronę drzwi. Jak szalony pomknąłem schodami w dół, wypadłem na ulicę...

Profesor stał w otwartym oknie i pokazując mnie palcem, wrzeszczał na całe miasteczko: – Osioł! Osioł!

Wyzwisko to podchwyciły dzieci wracające ze szkoły i wnet popędziły za mną całą czeredą. Uciekając przed dziećmi, wpadłem z całym rozpędem na jakąś kobietę. Kobieta zatoczyła się, zmierzyła mnie wzrokiem i mruknęła: „Idiota”. Nie wiem dlaczego, ale słowo to wróciło mi zachwianą równowagę umysłu, przywróciło utraconą ludzką godność. Przyczesalem włosy i nie zwracając już uwagi na zaczepki urwisów, podążyłem w stronę stacji. Koniec. Kropka<sup>493</sup>.

### **Przykład 395. Edmund Niziurski – *Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego. Fragmenty (1975)***

Porwałem puzon i chciałem od razu wybiec, ale instruktor zatrzymał mnie, musiałem pokazać legitymację szkolną, wypełnić formularz i złożyć parę podpisów. Następnie A. Cyndelski polecił mi udać się do klasy instrumentów dętych, drugie drzwi na prawo, do pana profesora Kiryłło. [...]

Przez moment zastanawiałem się, co robić, gdy nagle drzwi się otworzyły i ukazała się w nich przysadzista niewiasta w średnim wieku, dość tęga, lecz o uduchowionym spojrzeniu. Spojrzała na mnie, na puzon, który ściskałem dumnie, i rozjaśniła się: – A, to ty, włącz szybko – wciągnęła mnie do środka, nim zdążyłem się zastanowić nad sytuacją.

<sup>493</sup> L. Maruta, *Mój stary profesor*, [w:] tegoż, *Austriackie gadanie. Opowiadania i humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, s. 57–60.

- Nareszcie mamy Puzona!
- Jak to, nareszcie? – wykrztusiłem.
- Spodziewaliśmy się ciebie wcześniej... no, ale zjawiłeś się przecież!

Było mi bardzo przyjemnie. To miło być kimś, na kogo się czeka; uśmiechnąłem się do Szyperskiej i zatrąbiłem na powitanie. Biedna Nella wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Chciałem od razu podejść do niej, ale profesorka pociągnęła mnie do otwartej szafy i wyciągnęła stamtąd jakiś okropny kostium... rodzaj zielonego kombinezону z kapturem i z rogami.

- Włóż to! – powiedziała.
- Ale po co?
- Dzisiaj jest próba kostiumowa.
- Ależ pani profesor, to nie jest strój dla Puzona – odezwała się asystentka w niebieskim fartuchu – to jest strój fauna dla Fletu.
- Dla Fletu? Co ty mówisz, moje dziecko. Gdzie są moje okulary?!
- Pani pożyczyła je Moniuszce.
- A, prawda... Niech mi Moniuszko odda!

Podsunięto jej okulary. Założyła je i obejrzała mnie krytycznie.

- Tak, to nie jest strój dla Puzona! Co jest dla Puzona?
- Puzon ma być w stroju kota.
- Dlaczego kota?! – zapytałem z pewnym niepokojem.

Nikt jednak nie kwapił się do wyjaśnień. Wszyscy byli potwornie zaaferowani. Nie zważając na moje zastrzeżenia, ubrano mnie w skórę kota.

– Trochę za duży na ciebie ten kostium... ale to nic. Wypchamy ci brzuch papierem. A teraz podskocz! Zobaczmy, czy dajesz radę...

W momencie gdy podskakiwałem, rozwarły się gwałtownie drzwi i do sali wpadł zadyszany Ciężki Tubka z puzonem w futerale.

- A to co znowu? – krzyknęła do niego profesorka. – Nie przeszkadzaj!
- Jak to? Miałem się przecież zgłosić z puzonem do pani profesor Kołatko – sapał Tubka.

– Już nie jesteś potrzebny. Mamy Puzona. Poza tym, ty jesteś za duży, nie pasujesz... On lepiej pasuje...

- Jak to nie pasuję?!
- Idź, dziecko. – Profesorka Kołatko odpychała delikatnie Ciężkiego Tubkę pałeczką dyrygencką. – Powiedziałam, mamy już puzonistę, który będzie przedstawiał Puzona.

– Puzonistę?! Jakiego puzonistę?! – ryknął Tubka. – Ja tu jestem jedynym puzonistą. Tylko ja jeden potrafię grać na puzonie.

- Zdaje ci się, dziecko drogie...

– Mnie się zdaje?! – Tubka błysnął oczami, nadął się i zatrąbił na puzonie, poruszając wspaniale i biegle rurą instrumentu. Niewątpliwie było to trąbienie na wysokim poziomie. Równie nagłe i niespodziewane jak potężne! Niestety, za blisko lewego ucha pani profesor Kołatko. Nieszczęsna kobieta krzyknęła boleśnie i odskoczyła, ale tak nieszczęśliwie, że uderzyła się o pulpit dyrygencki w prawe ucho.

– O Boże, nic nie słyszę! Jestem ogłuszona! – Padła w ramiona asystentki. Do sali prób wpadł magister A. Cyndelski.

– Co się tu dzieje?! – krzyknął na widok pani profesor Kołatko staniającej się i półprzytomnej.

– Zostałam ogłuszona przez tego wielkiego natręta – wskazała na Tubkowskiego – ten jego puzon... och... nie będę mogła prowadzić próby... Moje uszy!

– Pani profesor pokaże.

Magister A. Cyndelski obejrzał uszy staniającej się pani profesor Kołatko.

– Hańba! Jedno ogłuszone, drugie spuchnięte! Jak mogłeś? – krzyknął A. Cyndelski do wystraszonego Tubki. – Trzeba uważać, do kogo się trąbi... to znaczy, w kogo się trąbi... co ja mówię... chciałem powiedzieć, przy kim się trąbi... A w ogóle, po co trąbiłeś?

– Bo pani profesor Kołatko nie wierzyła, że ja umiem... trąbić.

– To jest skandal! Nie można z wami prowadzić normalnej próby, zawsze jakieś historie. I to w domu kultury! Pomóżcie mi wyprowadzić panią profesor Kołatko do apteczki<sup>494</sup>.

### **Przykład 396. Jeremi Przybora –**

#### ***List z parku dalekiego dzieciństwa* (1975)**

Odbył się niedawno zjazd byłych maluchów z przedszkola, do którego uczęszczaliśmy z przyjacielem przed pół wiekiem. Wtedy to się nie nazywało przedszkole, tylko freblówka. Pani freblanka prowadziła nas co dzień, jeżeli była pogoda, do parku. A tam spotykaliśmy często sierociniec, czyli, jak to się wówczas nazywało, ochronkę, pozostającą pod opieką jakiejś dobroczynnej półduchowej instytucji. Otóż ta ochronka łała nas, freblaków. Sieroty, których życie nie gła-skało, były lepiej od nas, maminsynków i tatusincóreczek, zaprawione do trudu walki i łały nas, jak chciały, czy to w powodzi bzów wiosennych, czy na tle ba-jecznie kolorowej jesiennej scenerii. Niejednokrotnie też odbierały nam zabaw-

<sup>494</sup> E. Niziurski, *Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego*, Krajowa Agencja Wydawnicza RSW Prasa – Książka – Ruch, Warszawa 1977, s. 44–48. Źródło pierwotne: tenże, *Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego*, Krajowa Agencja Wydawnicza RSW Prasa – Książka – Ruch, Warszawa 1975.

ki, na co pani freblanka nie zwracała większej uwagi, pozostając pod urokiem wychowawcy sierocińca. Był on osobą siłą rzeczy półduchowną, a półświecką w proporcjach pod tym względem chyba idealnych dla naszej pani.

Nic więc dziwnego, że stosunek do sierot nas, freblaków, był zaprzeczeniem tradycyjnego współczucia dla istot znajdujących się w pożałowania godnym położeniu. Po prostu baliśmy się sierotek, a jednocześnie podziwialiśmy je jako uosobienie kolektywnej tężyzny, ponieważ w przeciwieństwie do tych z bajek, spędzających czas na płaczu i zbieraniu razów, te nasze z parku zanosily się od śmiechu, rozdając razy nam, wychuchanym pieszczoszkom. Ja osobiście przypłaciłem nawet ten kult sieroty przykrościami natury osobistej, kiedy zapytany przez rodziców, co bym chciał na gwiazdkę, odpowiedziałem, że na gwiazdkę chciałbym zostać sierotą.

Oczywiście te rzewne wspomnienia o naszych przygodach w parku odległego dzieciństwa były m.in. tematem rozmów na naszym zjeździe byłych maluchów. Niewielki to był zresztą zjazd, w znacznej mierze tramwajowy... Kto tam właściwie był? Kituś, Stasierek, Ziuteńka, Dynio... Najatrakcyjniejszym momentem spotkania była zabawa w ogródku jordanowskim, specjalnie wynajętym przez organizatorów imprezy, która miała nam przypomnieć beztroskie igraszki dzieciństwa. Mimo podeszłego wieku naszego ogródek dostarczył nam prawdziwie dziecięcych radości, a nieobecność owych niezapomnianych sierotek nie zmniejszyła żalu, z jakim opuszczaliśmy ogródek po spędzonych tam chwilach beztroski. Sami już przecież wszyscy byliśmy sierotami! Z wyjątkiem Stasiereka... On też najboleśniej chyba przeżywał rozstanie z ogródkiem dzieciństwa i rozpłakał się rzewnie. Nie wiedzieliśmy, jak go pocieszyć, więc w końcu spuściliśmy mu lanie, jak niegdyś sierotki – nam wszystkim. Wtedy dopiero rozpogodził się i przestał płakać<sup>495</sup>.

### **Przykład 397. Stanisław Tym – *Ucz się Jasiu!* Skecz z programu kabaretu „Dudek” (1975)**

*(W czasach PRL-u dla kabaretu „Dudek” pisałem bardzo dużo. Z tamtego repertuaru wybrałem znany wielu widzom skecz „Ucz się, Jasiu!”. Występują w nim: Klient, Majster i Jasio – uczeń. Tekst ten wykonywali na scenie trzej Najwięksi Majstrowie Kabaretu – Wiesław Michnikowski, Jan Kobuszewski i Wiesław Golas. Didaskalia do skeczu dopisałem teraz i stąd właśnie wiem, że był to środkowy PRL. Gdy ten tekst powstawał, byłem pewien, że ani ja, ani nikt z nas końca PRL-u nie zobaczy)<sup>496</sup>.*

<sup>495</sup> J. Przybora, *List z parku dalekiego dzieciństwa*, [w:] tegoż, *Dziecko szczęścia. Listy z podróży (Pocztą trzecia)*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1975, s. 68–69.

<sup>496</sup> S. Tym, *Mamuta tu mam...*, dz. cyt., s. 254.

(*Warsztat hydrauliczny w czasach środkowego PRL-u. Na zydłu siedzi właściciel w fartuchu i bereciku. Wchodzi Klient*).

Klient: Proszę pana, pękła mi rurka przy zlewie i trzeba wstawić nową rurkę, kranik przelotowy i wyjście do baterii...

Majster: A masz pan chwilkę czasu?

Klient: Mam.

Majster: No i patrz pan, że łba mi wyszło. Jasiu, Jasiu!

Jasio Uczeń: Co jest, panie majster?

Majster (*do Klienta*): Kochany, obejdz pan drzwi z tamtej strony, znaczy opuść pan pomieszczenie pracownicze. Jak ja zawołam „E!”, to pan wejdiesz. (*Klient wychodzi prowadzony przez Majstra. Teraz w warsztacie są Majster i Uczeń*).

Majster: Jasiu! Jako mój uczeń kształcisz się u mnie na nauce. Co to jest, mój chłopcze? (*zadając to pytanie, Majster wskazuje na rurkę*).

Jasio: To jest rura, panie majster.

Majster: Tak jest. A do czego jest ta rura?

Jasio: Ta rura jest do niczego.

Majster: Tak jest. Weź tera kajecik i ołówek i pisz. Będzie lekcja teoretyczna „Rozmowa z klientem”. Ee! (*Klient wbiega natychmiast*).

Klient: Więc proszę pana, pękła mi rura...

Majster: Zara, chwileczkę! A dzień dobry kto powie? Młodzież słucha. Ona się uczy...

Klient: Dzień dobry! Więc proszę pana, pękła mi rurka przy zlewie i trzeba wstawić nową rurkę, kranik przelotowy i wyjście do baterii...

Majster: Ale czy masz pan chwilkę czasu?

Klient: Mam, mam...

Majster: To idź pan sobie do kina na jakienś film, co pan jeszcze nie byłeś. Jasiu! Podkreśl wężykiem, że to jest dowcip.

Klient: Ale proszę pana, woda mi się leje!

Majster: I musi się łać. Dana woda podlegająca ciśnieniu, napotykJając na otwór, czyli szczelinę, wypływa. Praw fizyki pan nie zmienisz i nie bądź pan głąb. (*Do Jasia*) Głąb. Zapisaleś?

Jasio (*pisze powoli, powtarzając półgłosem*): Nie... bądź pan... głąb... Tak!

Majster: Tera uważaj. Bendzie się stawiał.

Klient: Proszę pana! Ja chciałem pana uprzedzić, że ja mam gwarancję na naprawę tej rurki! (*Jasio patrzy z uznaniem na Majstra, że – jak zapowiedział – Klient się stawia*).

Majster: No, to to zmienia postać rzeczy. Masz pan tu książkę życzeń i zażaleń i pisz pan, że pan majster odmawia naprawy gwarancyjnej.

Klient: Będzie pan miał nieprzyjemności, proszę pana!

Majster: Kochany, wiesz co oni mogą mnie zrobić? Jasiu, powiedz panu.

Jasio: Oni mogą panu majstrowi skoczyć!

Majster: Tak jest, mogą mnie skoczyć.

Klient: A gdzie oni mogą panu... skoczyć?

Majster: No, Jasiu, powiedz panu. (*Jaś trochę zdezorientowany waha się, ale Majster go zachęca*).

Jasio: Oni mogą panu majstrowi skoczyć tam, gdzie pan może pana majstra w dupę pocałować.

Majster: Tak jest. Z tym że – Jasiu! Jeżeli używasz zwrotu „tam, gdzie pan może pana majstra w... i tak dalej... pocałować”, to zawsze zostawiaj takie jakby niedomówienie. Więcej inteligentnie... A poza tym – bardzo dobrze. (*Do Klienta*) No! Pisz pan zażalenie i nie bądź pan rura.

Klient: Jak to ja mam nie być rura?

Majster: Nie bądź pan rura i nie pękaj pan! (*Śmieje się*).

Jasio: Wężykiem, wężykiem?

Majster: A jak?

Klient: Ja nie pękam, tylko po co ja mam pisać, skoro wiem, że to i tak nic nie da?

Majster (*do Jasia*): Oo! Widzisz? Tera będzie miękna! (*Do Klienta*) No dobrze, dobrze, blisko. Ciepło! Kominuj pan, kominuj.

Klient: Jeżeli pan, prawda, nie chce w ramach gwarancji, to może tak jakoś... tak prawda... prywatnie?

Majster: Prywatnie? A, to jest inna rozmowa. (*Do Jasia*) Jasiu! Pisz punkt drugi... Pisz...

Jasio: Dwa. Tak?

Majster: „Robota prywatna”. Po francusku „trawaj priwee”. To jako ciekawostkę zawodowe se zapisz. (*Do Klienta*) Więc słucham pana, o co się właściwie rozchodzi?

Klient: Proszę pana! Pękła u mnie rurka przy zlewie i trzeba wstawić nową rurkę, kranik przelotowy, wie pan, wyście do baterii.

Majster: Nie ucz pan ojca dzieci robić!

Jasio: Wężykiem, wężykiem?

Majster: A jak! Gdzie szanowny pan zamieszkuje?

Klient: Przy placu Wolności.

Majster: Przy placu Wolności?

Klient: A co, nie wolno?

Majster: Nie o to się rozchodzi...

Klient: Proszę pana, ale ja panu zapłacę!

Majster: Panie, pańskie pieniądze to ja...

Jasio: Co?

Majster: Niedomówienie. Kochany. *(Do Jasia)* Jasiu, po lekcji weźmiesz nowy kranik przelotowy, rurkę do baterii i pójdziesz na plac Zwycięstwa.

Klient: Wolności! Wolności! Plac Wolności 12, mieszkania...

Majster: Cisza jest! Tera ja mówię, nie?! Pójdziesz zatem na plac Zwycięstwa i założysz u tej Kowalskiej. Ona już pół roku czeka, bo jej obiecałem.

Jasio: Ta co nam te czekuladki przynosiła i bileta do teatru?

Majster: Ta sama, tylko mi ze łba wyszła, dopiero pan szanowny był łaskaw mi o niej przypomnieć.

Klient: Ale proszę pana, to może przy okazji i do mnie pan...? To niedaleko. Woda mi się leje, a ja chciałem sobie, wie pan, kafelki założyć i...

Majster: Kafelki? Kochany! Pan masz drobnomieszczzańskie nawyki. Pan chciałbyś mieć tak: zimne wodę osobno, ciepłe osobno, szczelne rurki, kafelki, duperelki, kraniki, dywaniki. Chamstwo – tak! Chamstwo i drobnomieszczczaństwo z pana wylazło!

Klient: A pan się zachowuje skandalicznie!

Majster: Kochany! Nie znieważaj robotnika, którego wraz z chłopem i inteligentem pracującym stanowiom zdrowom siłę narodu. *(Do Jasia)* Zapisaleś?

Jasio: Ja to znam na pamięć.

Majster: Patrz pan – taki szczył i to zna na pamięć! A pan nie znasz. A dlaczego? Bo pan jesteś cham, ćwok, nieuk, swołocz i woda na młyn odwetowców z Bonn! Won! *(Ledwo łapie oddech ze zdenerwowania)*.

Klient: A pan... Pan się zachowuje... zachowuje jak kelner!

Majster: Uuu? Jasiu! Pokaż panu, jak się u nasz zachowuje kielner przy pracy. No! Pokaż panu...

*(Jasio lekko podwija rękawy i zaczyna bić Klienta, który próbuje się bronić, wreszcie wycofuje się i znika za sceny. Jasio, bijąc go cały czas, także znika. Słychać odgłosy ciężkich ciosów. Jasio po chwili wraca)*.

Majster: Nie zgrzałeś się?

Jasio: Eee, nie.

Majster: Weź tera kajecik, ołówek i pisz: chamstwu w życiu...

Jasio *(pisze)*: Chamstwu w życiu...

Majster: No jak piszesz chamstwu, no jak piszesz chamstwu! No jak!

Jasio: No, tak. *(Pokazuje otwarty kajet z tekstem, który właśnie pisał)*.

Majster: No. Może i dobrze. Chamstwu w życiu należy się przeciwstawić siłom...

Jasio (*poprawia Majstra*): Siłą! Siłą!

Majster: Siłom, siłom.

Jasio: Tak jest. Siłom.

Majster (*dyktuje dalszy ciąg*): Siłom i godnościami...

Jasio (*powtarza, zapisując*): Siłom i godnościami...

Majster: Osobistom.

Jasio: Osobistom.

Majster (*do Publiczności*): To była taka scenka kabaretowa do śmiechu, bo wszystkie ludzie lubią się pośmiać. Ale było i koniec. A tera, kto się zacznie śmiać, ten dostanie w ryj!

Jasio: Wężykiem, wężykiem?

Majster: Tak jest! Wężykiem<sup>497</sup>.

### **Przykład 398. Henryk Bardijewski – *Zaskoczenie* (1976?)**

Osoby: Ojciec; Córka; Matka

Ojciec: Kto tu jest? A, to ty... A czemu to nie w szkole?

Córka: Już nie ma szkoły, tato.

Ojciec: Jak to nie ma? Wyrzucili cię?

Córka: Nie. Wypisali.

Ojciec: Jak to wypisali. Dlaczego?

Córka: Bo właśnie zdałam, tato, maturę.

Ojciec: Już?

Córka: Już.

Ojciec: No, coś takiego... Już zdałaś. Maturę. Nie mogłaś mi wcześniej o tym powiedzieć?! Wiesz, jaki jestem zapracowany, nie mogę sam o wszystkim pamiętać. Myślałem, że to dopiero za rok. – Matka o tym wiedziała?

Córka: Mama wiedziała.

Ojciec: No, popatrz, popatrz, matura... No, szkoda, że mi nie powiedziałaś – byłbym ci pomógł, albo co...

Córka: Dziękuję tato, jakoś sobie dałam radę.

Ojciec: Dałam, dałam... Ale co ty, dziecko, teraz będziesz robić? Bez odrabiania lekcji, bez szkoły?...

<sup>497</sup> S. Tym, *Ucz się Jasiu*, [w:] R. Dziewoński, *Sęk z Dudkiem*, Prószyński i Ska, Warszawa 1999, s. 217–220. Por. tenże, *Ucz się Jasiu*, [w:] tegoż, *Mamuta tu mam...*, dz. cyt., s. 254–263.



Córka: Zacznę, tato, studia.

Ojciec: Studia; mówisz. No, to jest jakieś wyjście. Jak znajdę chwilę czasu, to zastanowię się, gdzie by cię skierować.

Córka: Dziękuję, tato, ale ja już się zdecydowałam. Będę studiowała historię.

Ojciec: Coś takiego... Historię! O, nareszcie matka wraca. Zaraz porozmawiamy. (*Do Matki*) Czy ty wiesz, moja droga, co nasza córka mi powiedziała?

Matka: Nie. Ale domyślam się. Ma chłopaka.

Ojciec: Co?! Jeszcze i chłopaka?! Czy ty wiesz, ile ona ma lat?

Matka: Ja wiem. Ale ty pewnie nie wiesz. No, ile?

Ojciec: Ile, ile... Kiedy ktoś jest tak zapracowany jak ja, to nie może wszystkiego pamiętać. No, ile masz lat – szesnaście?

Córka: Więcej, tato.

Ojciec: Więcej? Nie no, żartujesz...

Matka: Gdybyś się chociaż trochę interesował dzieckiem i domem, to...

Ojciec: Siedemnaście...

Córka: Osiemnaście, tato.

Ojciec: Nieprawdopodobne. I ma już chłopaka. Ale ona mi co innego wyznała. Czy ty wiesz, moja droga, że już zrobiła maturę?

Matka: Wiem. Nawet ci o tym mówiłam, ale ty byłeś tak zajęty...

Ojciec: Zajęty, zajęty... Trzeba mi było powtórzyć, przypomnieć... Jak ktoś ma tyle spraw na głowie, tyle wyjazdów służbowych...

Matka: Oczywiście. Na wszelki wypadek przypominam ci, że za dwa lata będzie zdawał maturę Piotruś.

Ojciec: Piotruś? Jaki znowu Piotruś?

Matka: Twój syn. Masz dwoje dzieci, kochanie<sup>498</sup>.

### **Przykład 399. Roman Masarczyk z Raciborza – *Figle studentów* (1976?)**

Pewnego razu w Raciborzu na targu kupił chłop osła. No, jak to bóło we zwyczaju, że dobre kupno trza bóło oblać – no, i po tym trunku chłop zabroł osła i ciągnie ku chałupie, na wieś. Ale gdy wyszedł z nim za miasto, czuł się bardzo zmęczony. Toteż osła przywiązał o przydrożne drzewo, a w cieniu drzewa się położył, aby się trocha wyspać.

<sup>498</sup> H. Bardijewski, *Zaskoczenie*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Z programów radiowego Zespołu „Dziwiewątka”*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1976, s. 20–22.

Tędy niedługo potem szli trze studenci. Gdy chłopą zobaczyli śpiącego, odwiązali osła, pojęli go na swoje paski, a na powróż, na którym był uwiązany osieł uwiązali trzeciego studenta.

Poszli zaraz do miasta, gdzie pierwszymu lepszymu kupcowi sprzedali osła.

Gdy chłop się obudził, zobaczł zamiast osła uwiązanego na powrozie studenta.

A ten mówi do niego:

– Wyboczcie bardzo, ale jestem młody, wesoły student, a wiecie, jak to student! Zawsze mu brak piniędzy. A ojciec mi nie posyłał piniędzy, i bólem taki zły na niego, i przekląłem go. Kara nie dała długo czekać na siebie. Zostałem skazany na miesiąc, aby pokutować w postaci osła. A przed chwilą kara ta się skończyła i znów się stałem człowiekiem. Bądźcie tacy dobrzy i zwolnijcie mnie!

No, chłop bół bardzo litościwy, pouczł go, jak to należy rodziców szanować, jeszcze mu tam jakiś napiwek dół i nawet podarowól mu i ten powróż.

A student ucieszony leciól do miasta z powrotem, trafił swoich kolegów, którzy już w międzyczasie osła sprzedali i dostał swoją, należną mu część.

Po pewnym czasie ten sam chłop poszedł znów na targowisko, aby kupić osła. I zobaczył, o dziwo, tego samego kłapoucha. Podszedł do niego i powiada: – Oj, oj, niepoprawny! Znówes zgrzeszył?!

A trzej studenci stali nieopodal i pękali ze śmiechu<sup>499</sup>.

### **Przykład 400. Sławomir Mrozek – *Jeden sprawiedliwy* (1976?)**

Osoby: Instruktor Domu Funduszu Wczasów Pracowniczych; Kierownik Domu Funduszu Wczasów Pracowniczych; Wczasowicz I

Instruktor: Pływanie jest bardzo ważną rzeczą. Dzisiaj po obiedzie urządzimy pogadankę na temat „Pływanie jest bardzo ważną rzeczą”. Proszę przygotować ostro zatemperowane ołówki i zeszyty liniowane albo gładkie.

Wczasowicz I: Czy może być ołówek chemiczny?

Instruktor: Może.

(*Po godzinie*)

Wczasowicz I: Kolego instruktorze, przyszedłem na pogadankę pod tytułem „Pływanie jest bardzo ważną rzeczą”.

Instruktor: Jak to, a reszta?

<sup>499</sup> R. Masarczyk, *Figle studentów*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna...*, dz. cyt., s. 177–178. Por. tenże, *Figle studentów*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdoty, humoreski i żarty ludu śląskiego*, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1986, s. 178.

Wczasowicz I: Reszta poszła pływać.

Instruktor: A wy?

Wczasowicz I: Mnie noga boli.

Kierownik: Nasi wczasowicze zbyt mało czytają. Trzeba upowszechnić czytanie. Tak samo z gazetami. Trzeba zachęcać. Ale tak, wicie, przystępnie i przede wszystkim nienudnie.

Instruktor: Naturalnie.

*(W godzinę potem)*

Instruktor: Czytanie jest bardzo ważną rzeczą. Dzisiaj, po obiedzie, będziemy mieli pogadankę na temat „Czytanie jest bardzo ważną rzeczą”. Proszę przygotować skoroszyty i liczydła. Od dzisiaj biblioteka beletrystyczna będzie zamknięta. Jak poważnie, to poważnie. Będą wydawane tylko: „Zbiór logarytmów czterocyfrowych”, „Ptaki i ssaki Grenlandii”, „Kant a współcześni”, „Najważniejsze układy geofizyczne Polski za Piastów”, „Sprawozdanie z VI zjazdu pasterzy metodystów w Pińsku w roku 1928”, „Higiena życia codziennego”. „Przyczynki do teorii zastosowania turbin w zespołach elektromechanicznych”, coś jeszcze z daktyloskopii. Żadne Prusy czy Maupassanty. – Jak poważnie, to poważnie.

*(W pół godziny potem)*

Instruktor: A gdzie reszta?

Wczasowicz I: Poszli się zgłosić do miejscowej komisji do walki z analfabetyzmem, jako analfabeci.

Instruktor: A wy?

Wczasowicz I: Mnie już kierownik widział, jak pisałem list do żony.

Instruktor: Oto gazeta z artykułem o racjonalnym korelowaniu paralelności urbanistycznych i ruralistycznych aspektów naszego progresywnego dystansowania antagonistycznych obiekcji etapu. – Proszę przeczytać głośno.

Wczasowicz I: „...W kombinacji z racjonalnym korelowaniem paralelności urbanistycznych i ruralistycznych aspektów naszego progresywnego dystansowania antagonistycznych obiekcji etapu...”

Instruktor: A gdzie reszta?

Wczasowicz I: Śpią.

Instruktor: A wy?

Wczasowicz I: Ja już spałem przed południem<sup>500</sup>.

<sup>500</sup> S. Mrożek, *Jeden sprawiedliwy*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Z programów radiowego Zespołu „Dziewiątka”*, dz. cyt., s. 45–47.

**Przykład 401. Jeremi Przybora – *Kabaret starszych panów*.  
Fragmnty programu telewizyjnego  
„Wieczór XV. Ostatni naiwni” (1976)**

Osoby: Bidula; Kuszelas; Pan A; Pan B

Pan B: Czy pani grywała już większe role?

Kuszelas: Bidula jeszcze nie grywała, bo nie jest wylansowana. Ale ja ją wylansuję. To będzie gwiazda!

Pan A: A mogłaby pani zacytować nam jakiś fragmencik?

Bidula: Dobrze. Fragmencik z jednej sztuki. (*Recytuje*) „Jestem Szarotka, córka profesora Sromotnego. Przyszłam wprowadzić tatusia do akcji. Tatus był kolegą szkolnym pana Barnaby. Zawiść tatusia w stosunku do pana Barnaby zaczęła się jeszcze w szkole, od takiego doświadczenia z ziarenkiem fasoli, co kiełkuje na wilgotnej gazie. Panu Barnabie wyszedł ogromny kieł, a tatusiowi – maluteńki kiełek. I pani nauczycielka śmiała się z tatusia przed całą klasą: – Ech, Sromotny, Sromotny!... Co tobie tam wyszło! Cha cha cha!

A na widok kieła pana Barnaby zaraz spowaźniała i powiedziała: – No, no, Barnaba, no, no! Patrzcie, dzieci – ale mu wyszedł!

I od tego czasu tatuś nienawidził Barnabę. Na popisie orkiestry szkolnej też zresztą tatusiowi nie powiodło się. Miał tatuś w kieszeni bułkę z takim serem, że muchy się zleciały i napstrzyły tatusiowi na nuty i tatuś grał te pstrzenia i fałszował, a pan Barnaba grał bez much, więc – czysto.

Potem już jako początkujący miczurynowcy też się nienawidzili, a raczej nienawidził tatuś. Bo panu Barnabie wszystko wychodziło ogromne i wspaniałe, czego się tknął. Szczepił nasturcję na pomidorze i wychodził mu cudowny nasturmidor. Albo krzyżował szczypiorek z pietruszką i otrzymywał doskonałą szczytruszkę. Tatuś natomiast, po zapyleniu jabłoni pyłkiem bratków, otrzymał obrzydliwe brabłuszka, a ze skrzyżowania maciejki z kalafiolem – cuchnącą kaciacjękę.

Na wieść o uzyskaniu przez pana Barnabę jadalnej stokrotki, tatuś załamał się, porzucił ogrodnictwo i poprzysiął panu Barnabie – zemstę<sup>501</sup>.

<sup>501</sup> J. Przybora, *Kabaret starszych panów. Wieczór XV – Ostatni naiwni*, [w:] tegoż, *Diver-timento*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1976, s. 202–203.

**Przykład 402. Jerzy Dobrowolski –  
*Wspomnienia moich pamiętników. Fragmenty (1977)***

Nasza Księgarnia i Wydawnictwa Szkolne uporały się nareszcie z brakiem podręczników szkolnych i polskiego, historii, rachunków, geografii i innych, wydając zbiorczo podręcznik „Zbiór przemówień Edwarda Gierka – dla klas V”<sup>502</sup>.

**Przykład 403. Jan Gebethner – *Młodość wydawcy.*  
*Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń  
z 1916 roku (1977)***

2 kwietnia rozpoczął się na uniwersytecie uroczystie semestr letni. To już nie była improwizacja, jak parę miesięcy temu, lecz uroczystość oparta na doskonale współpracującym zespole profesorów i studentów. Śmiesznie jest pisać, że w pięć miesięcy można ugruntować tak wielką instytucję, jak uniwersytet, lecz to było faktem. [...] My „starzy” studenci z góry spoglądaliśmy na młodych fuksów – jak stara gwardia napoleońska patrzyła na piechotę liniową. Życie studenckie przebiegało mi zupełnie inaczej niż podczas pierwszych dwóch lat studiów w Krakowie. Mieszkając u matki razem z zamężną siostrą i z braćmi, nie miałem naturalnie tej swobody i beztrudnego życia jak w Krakowie. Ale i tutaj trzymały się nas kawały. Kilka naszych znajomych panien chodziło wtedy na kursy gotowania, prowadzone przez jakąś bardzo poważną matronę. Z paru kolegami bywaliśmy w tych domach i kiedyś powiedzieliśmy naszym koleżankom, że odwiedzimy je na kursach, aby się przekonać o ich zdolnościach kulinarnych. Otrzymaliśmy wtedy odpowiedź, że nie będzie to możliwe, gdyż przełożona nas tam nie wpuści. Założyliśmy się więc, że jednak tam będziemy. Któregoś dnia jeden z nas zatelefonował do przełożonej, mówiąc rzekomo w imieniu redakcji „Tygodnika Ilustrowanego”, że wiele słyszał o tak znakomicie prowadzonych kursach, i zapytał przełożoną, czy zgodzi się na przeprowadzenie z nią wywiadu i wykonanie odpowiednich zdjęć do tygodnika. Przełożona była tym ogromnie przejęta, zgodziła się na wywiad i powiedziała swoim uczennicom, żeby na umówiony termin były przygotowane do fotografii. W umówionym dniu kolega Müller jako fotograf, a ja jako reporter stawiliśmy się punktualnie na kursach. Müller ubrał się dla powagi w jakiś długi czarny surdut swego ojca i wziął ze sobą wypożyczony skądś wielki aparat na statywie, przy którym dla regulowania odległości trzeba było głowę razem z aparatem nakrywać czarną chustką.

---

<sup>502</sup> J. Dobrowolski, *Wspomnienia moich pamiętników*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2014, s. 85. Zapiski autora zawierają komentarze dotyczące bierzących wydarzeń i pomysły do wykorzystania w twórczości satyrycznej.

Nie zapomniał też o paru nabojach magnezji. Gdy po wywiadzie z przełożoną, który z całą powagą przeprowadziliśmy w jej gabinecie, udaliśmy się do kuchni, znajome panny ujrawszy nas zaczęły się tak zaśmiewać, że o mały włos nas nie zdradziły. Dopiero po ostrej uwadze przełożonej, że nie potrafia się zachować, trochę się uspokoiły, co nam pozwoliło utrzymać odpowiednią powagę. Spróbowaliśmy jakiejś zupy i przystąpiliśmy do zdjęć. W tym momencie kolega Müller szepnął mi, że zapomniał klisz.

– Rób zdjęcia bez klisz i nie żałuj magnezji! – mruknąłem do niego.

Nie zapomnę, jak się pani przełożona krygowała przed pustym aparatem, przy czym twierdziliśmy, że na żadnym zdjęciu nie może jej zabraknąć. Co prawda i większość słuchaczek, które wcale się nie domyślały, że to kawał, też starała się stawać na pierwszym planie. Klisz nie mieliśmy, ale za to magnezja poszła cała. A taki smród i dym, jaki z tego powstał, trudno dziś sobie wyobrazić! Gdy magnezji zabrakło, z godnością wyruszyliśmy, czule żegnając zachwyconą przełożoną. Dowiedzieliśmy się potem, że przeglądała ona przez parę tygodni wszystkie pisma ilustrowane, szukając artykułu o swojej szkole, bo nie mogła sobie przypomnieć, z której właściwie byliśmy redakcji. My również nie zdradzaliśmy się, lawirując cały czas w ten sposób, aby się z czym nie wyrwać. Lokal wietrzono podobno ładnych parę dni<sup>503</sup>.

[...] któregoś dnia nieoczekiwanie zjawił się rano w moim mieszkaniu nasz wiceprezes „Bratniej Pomocy” Warszawskiego Uniwersytetu Stanisław Müller. Był on jednym z delegatów, którzy brali udział w zjeździe młodzieży akademickiej w Budapeszcie, i w drodze powrotnej zatrzymał się w Krakowie, aby mnie odwiedzić. Mając w pokoju dużą kanapę, zatrzymałem go u siebie na noc. W czasie rozmowy wspominał, iż w formie rewanżu miał z nimi jechać do Warszawy delegat węgierski, ale nie mogąc otrzymać na czas odpowiednich papierów, musiał pozostać w Budapeszcie. Wtedy przyszedł nam do głowy pomysł, abym ja z nim pojechał do Warszawy, udając Węgra. [...] Na drugi dzień rano poszedłem do fryzjera, znajdującego się w gmachu Teatrów Rządowych na Trębackiej, który był specjalistą od charakteryzacji. Zabrał się do mego oblicza, włożył perukę, twarz przyciemnił, przyczepił dłuższe wąsy i dał trochę przyćmione okulary. Tak zmieniony poszedłem około godziny dwunastej na uniwersytet do biura „Bratniej Pomocy”. Tam już kolega Müller przygotował wszystko na moje przybycie. Ściągnął do „Bratniej Pomocy” członków zarządu, poinformował ich o przyjeździe delegata węgierskiego, zaznaczając jednocześnie, że kolega Węgier mówi po

<sup>503</sup> J. Gebethner, *Młodość wydawcy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977, s. 269–271.

niemiecku i w tym języku można z nim rozmawiać. (Potem mi się przyznał, iż obawiał się, czy przypadkiem który z kolegów nie zna języka węgierskiego). Zdecydowali wtedy, ażeby po zapoznaniu zrobić na miejscu kawkę, naturalnie z odpowiednim poczęstunkiem. Gdy się zjawiłem, zostałem uroczysto przywitany przemową podkreślającą braterstwo Polski i Węgier. Ja w odpowiedzi serdecznie podziękowałem za zaproszenie. Zasiedliśmy do kawki i w wesołej atmosferze rozpoczęły się toasty. Bawiliśmy się doskonale, rozmawiając w łamanym niemieckim języku, gdy przyszedł pedel, który był zawsze przy gabinecie rektora Brudzińskiego, z zaproszeniem, aby gość węgierski złożył wizytę rektorowi. Nie było rady i razem z Müllerem weszliśmy do gabinetu. Naturalnie tam nastąpiła dekonspiracja, nie wypadało bowiem nabierać „Jego Magnificencji”. Rektor znał mnie dobrze z poprzedniego roku, a nasz kawał bardzo mu się spodobał. Poczęstował nas przygotowaną dla „Węgra” kawą i w miłej atmosferze ucieliśmy pogawędkę. Naturalnie do lokalu „Bratniej Pomocy”, gdzie niecierpliwie czekali koledzy, wróciłem jako ja. Koledzy byli początkowo wściekli, że ich tak nabrałem, ale potem przyznali, że dowcip był dobry. Wykończyliśmy resztę „amunicji”, a ja potem udałem się znowu do fryzjera, aby mnie odcharakteryzował, nie chciałem bowiem pokazywać się matce w przebraniu<sup>504</sup>.

#### **Przykład 404. Kazimierz Kretowicz – *Korepetycje* (1977)**

Na studia się nie dostał.

Dlaczego? – Sprawa prosta:

choć wiedza jego spora –

bez korepetytora<sup>505</sup>.

#### **Przykład 405. Eryk Lipiński – *Zdaniem pesymisty*. Fragmenty (1977)**

Warszawscy uczniowie szkół średnich stosowali dawniej, a, jak widziałem, stosują i dziś, sprytny sposób pozbycia się za pieniądze starych książek wycofanych z programu szkolnego.

Przed wojną ulica Świętokrzyska na odcinku Nowy Świat-Marszałkowska była ulicą antykwariatów. Kilku uczniów w odstępach parominutowych wpadało do księgarni antykwariatu, pytając, czy jest na przykład *Fizyka* Kalinowskiego, a jak usłyszeli odpowiedź przeczącą, rozpaczali i pędzili dalej. Toteż gdy do księgarni wszedł chłopiec z paczką książek do sprzedania, a między nimi była tak poszukiwana inna *Fizyka*, antykwariusz kupował ją natychmiast. A chłopcy

---

<sup>504</sup> Tamże, s. 285–287.

<sup>505</sup> K. Kretowicz, *Korepetycje*, [w:] tegoż, *Orły i herosy*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Gdańsk 1977, b.s.

mieli na kino i lody. Nie mogę jednak pochwalać tej metody zdobywania pieniędzy i od czasów szkolnych jej nie stosuję<sup>506</sup>.

**Przykład 406. Bruno Miecugow – *W tył zwrot – naprzód marsz* (1977)**

I: Drużyna – Baczość! Powtórzmy dziś sobie śpiewy historyczne.

II: Chwileczkę. Dziś kolej na moje zajęcia. Mam w planie...

I: W tył zwrot!

II: Naprzód marsz!

I: Stój! W tył zwrot! Powtórzmy piosenkę o pociągu pancernym. – Drużyna śpiew!

Kwartet (*na melodię „Czerwone słoneczko”*):

Ech, wy stare, żelazne kółeczka

pięknie się kręcicie!

Po wiaduktach, zwrotnicach, mosteczkach

równy się toczycie. (*Bis*).

Pociąg bieży, działa z wieży raz i dwa!

Hej da, hej da, hej da!

Co minutę pocisk, albo nawet dwa,

hej da, darum darum da!

(*Na melodię „Nie zmoęła go kula”*)

Nie zmoęła go kula, nie zmoęła go mina,

kiedy tak się toczył po żelaznych szynach,

na szynach stalowych, pociąg nasz parowy...

II: Naprzód marsz!

Kwartet (*wykonuje zwrot i śpiewa na melodię „To był świat”*):

To był grat

w zupełnie starym stylu.

Kto by wsiadł

do tego demobilu!

Sapał jak

stado hipopotamów,

a jak spadł

z nasypu – to na amen.

Kto by chciał

na kocioł leżć parowy,

gdy dziś ma

<sup>506</sup> E. Lipiński, *Zdaniem pesymisty*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, s. 153.



piechoty wóz bojowy!  
To jest wzór  
w zupełnie nowym stylu!  
Istny król  
to wśród automobilów...

I: W tył zwrot!

Kwartet (*robi zwrot i śpiewa na melodię „Korowodu”*):

Kto pierwszy kopie kruszył,  
kto pierwszy machnął procą,  
kto pierwszy strzelał z kuszy,  
kto pierwszy kule toczył,  
kto pierwszy miał armatę,  
choć nie wymyślił prochu,  
kto pierwszy rozbił atom,  
kto zrobił zupę z grochu?  
Zapatrzeni w przyszłość,  
zapatrzeni w dzieje...

II: Naprzód marsz!

Kwartet (*zwrot i śpiewa na melodię „Nasza kompania”*):

Już drużyna idzie nasza  
przez dwudziesty wiek!  
Dwutysięczny rok zaprasza,  
więc wołajmy: – dobra nasza,  
choćby człek się wściekł.

I: W tył zwrot!

Kwartet (*zwrot i na melodię „Gdy piosenka szła do wojska”*):

Gdy husarze szli do bitwy,  
mieli skrzydła jak rybitwy,  
bo husarze szli do bitwy jak na własny ślub.  
Grały w skrzydłach orle pióra,  
wróg przezornie dawał nura...  
Bo dla wroga rzecz ponura, gdy jest trup!  
Gdy husarze szli do bitwy...

II: Naprzód marsz!

Kwartet (*zwrot i śpiewa na melodię „W drogę”*):

W nogi! Zmykajmy chłopcy!  
Oni – zamęczą nas!  
Dokąd – poniosą oczy!

W nogi!

I: Ani się waż!

II: Protestuję! Utrudniacie mi prowadzenie zajęć!

I: To wy mi utrudniacie! Poskarżę się dowódcy!

II: To ja się poskarżę dowódcy!

*(Wychodzą razem, kwartet zostaje i śpiewa na melodię „Płoną góry”)*

Płyną z góry, płyną czasem

sprzeczne chęci dwie.

Jeden chciałby w tył – drugi naprzód chce.

Płyną z góry polecenia,

sypią się jak grad,

masz wykonać je, choćbyś na nos padł.

Czy wam nie żal straconych sił?

Uzgodnić trza, czy w przód, czy w tył.

Co trzeba to – wykona się,

lecz zgódźcie się: co, jak i gdzie...<sup>507</sup>

### **Przykład 407. Jeremi Przybora – *Medea, moja sympatia*. Fragmenty libretta wg Eurypidesa (1977)**

Osoby: Przodownica; Wychowawca; Chłopcy; Medea

*(Na dźwięk dzwonka, obwieszczający koniec lekcji, z pałacu wybiegają dwaj chłopcy, synowie Medei i Jazona. W ślad za nimi, na stopniach gmachu, ukazuje się sędziwy Wychowawca. Lico jego rozjaśnia się na widok pięknej Przodownicy i jej uroczych dziewcząt).*

Przodownica: Witaj, piastunie dzieci Jazonowych!

Wychowawca: Witaj, królowo placówek zmysłowych!

Przodownica: Jak tam Medea? Czy nadal rozpacza?

Głos Medei (z głębi pałacu) O, doloż moja! O, dolo sobacza! *(Po tym okrzyku rozlega się brzęk tłuczonego naczynia).*

Wychowawca:

Jak sama słyszysz, setny tłucze wazon,

odkąd się od niej wyprowadził Jazon.

Bolesne dla niej to i nie zaszczytne.

Głos Medei (z głębi pałacu):

<sup>507</sup> B. Miecugow, *W tył zwrot – naprzód marsz*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Estrada wojskowa*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977, s. 114–116.

Ja mu przetrączę chyba coś lub wytnę! (*Brzęk tłuczonego wazonu*).

Wychowawca:

O ukojeniu myśl jej wszelka obcą.

Z rozpaczy nawet zabroniła chłopcom

od dziś przebywać w jej komnatach częściej. (*Poufnie*)

Lecz to nie całe jeszcze jej nieszczęście.

Przodownica: Co? Co takiego?

Wychowawca:

Teść Jazona nowy,

Kreon król, Glauke ojciec, ma gotowy

pomysł: Medeę chce z dziećmi wypędzić!

Przodownica:

A niechże jego świerzb joński zaswędzi!

Cóż Jazon na to?

Wychowawca:

Teść mu głowę suszy,

a Jazon w Glauke kocha się po uszy.

Posażna ona, w dodatku królowna.

Więc wypędzenie Medeii – rzecz pewna.

Przodownica:

Jazonie! W splot się uwikłasz pajęczy!

Okrutnie ci się Medea wywdzięczy!

Wychowawca (*do chłopców*):

Chłopaki, mamie nie włączcie pod rękę.

W piłkę zagrajcie, zanućcie piosenkę.

Skończyłem na dziś me zajęcia z wami.

Ja sobie tutaj pogadam z paniami. [...] (*Chłopcy oddalają się*).

Wychowawca:

Skoro skończyłem edukację na dziś,

a ty, o pani, nic tu nie poradzisz,

lepiej skorzystać z wolniejszego czasu

i zażyć cienia ogrodu lub lasu...

Kiedy od pańskich swarów drżą pokoje,

my, ich personel, róbmy cicho swoje... (*Chce robić z Przodownicą...*)

Przodownica (*odpychając go*):

Niech mnie pedagog nie szczypie, nie ścisza –

nie mogę teraz zejść ze stanowiska. (*Na progu pałacu ukazuje się Medea*).

Lecz któż się ukazał w pałacu wierzejach?

Wychowawca (*do Przodownicy*):

Medea Pa, kwiatku. Co złego, to nie ja [...] <sup>508</sup>.

### **Przykład 408. Michał Radgowski – *Cudza mufa* (1977)**

Niekiedy ogarnia mnie ludzki, małoduszny żal, że przed laty w sposobnym czasie nie obroniłem pracy doktorskiej; jej fragmenty zostały pożarte przez wyjątkowo zachłanne myszy pierwszej sześciolatki. W ten sposób moi czytelnicy pozbawieni są przyjemności odczytywania mego nazwiska wraz z tytułem, który można umieścić na wizytówce lub drzwiach domostwa.

W najtajniejszych myślach człowiek przydaje znaczenie mniemanym i rzeczywistym przewagom nad bliźnimi; absolwent szkoły podstawowej czuł się nieźle wśród analfabetów, maturzysta przedwojenny to był inteligent całą gębą, ale dziś wyższe wykształcenie jest pospolite jak przyłot bocianów na wiosnę. A jeżeli ktoś się tym chwali, przywołują go do porządku: „Żadna zasługa, dużo to pana nie kosztowało, nauka darmo!”. Albo: „Jeden to w dyskotecce cztery lata przesiedział, ledwie książek liźnął, a dyplom mu dali!”.

Tymczasem doktorat to jakby wyraźnie uformowany wierzchołek w monotonnym masywie wyższego wykształcenia, jeszcze nie najwyższy, jeszcze nie najtrudniejszy, ale przynajmniej z daleka widoczny. I taki doktor nauk – teoretycznie biorąc – musi zainwestować więcej, by się na tym wierzchołku znaleźć.

Publiczność ma niekiedy mylne wyobrażenia o doktoratach i pracach doktorskich. Niektórzy sądzą, że muszą być w nich zawarte epokowe odkrycia na miarę tych, które wymienia się w podręcznikach historii nauki; inni są przekonani, że chodzi o rodzaj telewizyjnej Wielkiej Gry, gdzie uczestnik jest przygotowany np. z Władysława Broniewskiego albo z łodzi podwodnej. To znaczy, wie wszystko o bardzo specjalnej dziedzinie, ale niekoniecznie w sposób twórczy. Pomiędzy tymi biegunami złudzeń rozciąga się bogata i zróżnicowana rzeczywistość. Czasami tematy prac wydają się dziwaczne i zaskakujące, ale kto wie, czy właśnie ich autorzy nie są sprawcami najciekawszych odkryć. Przed wojną ukazała się książka Ignacego Schreibera pt. „Ściągą w praktyce szkolnej”, rozpatrująca metodycznie owo zjawisko ze stanowiska pedagoga i etyka. Autor wywodzi, iż ściąganie wywołuje straszne następstwa: chodzenie najłatwiejszymi drogami, paraliż woli, wyręczanie się pracą innych itp. „Równorzędnie z tym kroczy zatrata poczucia praw rządzących w społeczeństwie i najtragiczniejszy bodaj skutek: wzrastanie niewiary w sprawiedliwość. Czyż nie są zbrodniarzami

<sup>508</sup> J. Przybora, *Medea, moja sympatia*, [w:] tegoż, *Dzieła...*, t. 2, dz. cyt., s. 605–608.

wszyscy ci, którzy tolerują ściągę w szkole?” – zapytuje autor. Dziś może nie ze wszystkim bylibyśmy skłonni się zgodzić, ale temat ciekawy, pozaustrojowy, doktorski.

Przypatrując się różnym doktoratom w dziedzinie humanistyki w obecnej, nieuchronnej fazie produkcji uprzemysłowionej, nie mogę się oprzeć refleksji, iż wszystko właściwie zależy od promotora. Pewien mój znajomy spotkał w bibliotece Profesora, człowieka wielce zasłużonego, siwowłosego, czyniącego skrupulatne notatki.

– Co pan pisze, profesorze? – mówi znajomy niedyskretnie, bo znali się od dawna.

– Pracę doktorską, kolego – mówi profesor.

– Niech pan nie żartuje – mówi znajomy, który bardzo lubił żartować.

– Pracę doktorską mojego doktoranta – mówi profesor – to znaczy, trudniejsze takie fragmenty, ogólne wnioski, także część metodologiczną. Żyjemy w dobie rachunku ekonomicznego, mnie także z tego doktoranta wyliczą. A on przecież tego sam nie napisze...

Jest to wypadek szczególny, drastyczny i pragnąłbym, aby nie poczuła się urażona wielotysięczna rzesza pracowitych doktorantów, a także tych profesorów, którzy nie mają czasu ani ochoty pisać ściąg, paczyć charakterów, nawet jeśli na to zbyt późno.

Kiedyś i ja miałem promotora, niezwykle uroczego i mądrego człowieka, który zmagał się z trzema doktorantami. Doktorant pierwszy był niezwykle zdolny, lecz kompletnie rozchwiany życiowo wskutek posiadania bliźniąt oraz żony aktorki objazdowej, która jeśli brała w ogóle jakieś dziecko na rękę, to tylko na scenie i w roli epizodycznej. Bliźniaki pełzały po notatkach doktoranta, zjadały je i plamiły. Pewnego razu profesor nie mogąc się dodzwonić do swego podopiecznego, zjawił się pod jego drzwiami, kołacząc uparcie. Doktorant uchylił w końcu drzwi, w mieszkaniu było ciemno, w łazience leżały jakieś przewody, śrubokręty, dłuta.

– Wyłączyli mi światło, bo jesteśmy winni za trzy miesiące – mówi doktorant. – Ale właśnie przebijam się w łazience do sąsiada, może mi się uda włączyć do jego mufy.

Profesor, który nie lękał się zawilej mowy Hegla ani Husserla, ale nade wszystko bał się elektryczności, wybiegł w popłochu z lokalu i więcej tam nie wrócił. Po każdej konferencji z podopiecznym wracał z bolącą głową napompowany wiadomościami o bliźniakach i awariach domowych. Temat pracy stał się dlań tak nienawistny, że mówił o tym osobom postronnym, zgrzytając zębami – on, najłagodniejszy człowiek na świecie.

Doktorant drugi był solenny, pracowity i męczący. Przynosił codziennie po pół strony tekstu, zapominając często, co napisał poprzedniego dnia; profesor kleił to ordynarnym klejem z mąki (przemysł artykułów biurowych był wówczas w załązku), najchętniej z wrocławskiej, bo nie robiły się gruzły. Profesor zniechęcił i tę pracę, licząc co ranka dni, które pozostały do jej obrony, tak jak liczy się czas przemijający w celi więziennej. Żył w nieustannym napięciu i nie wiadomo, jak by to się skończyło, gdyby nie pomyślny obrót spraw z trzecią dysertacją.

Doktorant trzeci skłoniony do podjęcia tego dzieła przez jakieś mętne układy rodzinne, zawodowe i towarzyskie, człowiek najpocziwszego serca, interesujący się naprawdę jedynie hodowlą złotych rybek, rozszedł się z żoną i stał się zupełnie nowym człowiekiem, przynajmniej pod względem braku ambicji. Anulowanie otwarcia przewodu doktorskiego było prostą formalnością.

Takie doświadczenia miał mój profesor. Inni mieli lepsze, gorsze, rozmaite, dochowali się geniuszów i przeciętniaków, a bywało, że wychowankowie odpłacili mistrzom jakimś delikatnym albo i nędznym świństwem. Cóż, i tak bywa. Droga do świata nauki to (w porównaniu z dawnymi laty, gdzie nieliczni przedzierali się krętymi i zarośniętymi ścieżkami) szeroka autostrada, którą kroczą coraz większe zastępy ludzi spragnionych wiedzy i władzy. Ale nawet na tak wygodnym szlaku pojawiają się nagle oddziały żab przenoszących się w rejony błotne; a któż chce przejechać żabę?

– Broń się! – słowa, które słyszeli niegdyś muszkietierowie w niebezpiecznych zwadach, znaczą dziś zupełnie co innego w pokojowym doktoranckim świecie<sup>509</sup>.

### **Przykład 409. Leon Roppel – *Długa lina* (1977)**

Gdzieś w szkole powszechnej na Wybrzeżu w okresie przedwojennym odbywa się lekcja rachunków, podczas której nauczyciel stara się jak może wtajemniczyć dzieci rybackie w trudne arkana sztuki dodawania, odejmowania i mnożenia. Wyjaśnia tę ostatnią sztukę obrazowo przy pomocy linijki. Przy okazji odmierzania długości ławki, gdzie przykłada linijkę, objaśnia, co to jest wielokrotność. Tłumaczy też, że tym sposobem można wymierzyć długość każdego odcinka. Podobnie można zmierzyć przy pomocy kroków długość drogi. To już dzieciom jest bardziej zrozumiałe. Szczególnie mierzenie długości przy pomocy lin i sznurów. Dobrze znają liny, potrzebne zwłaszcza przy niewodach i sieciach.

---

<sup>509</sup> M. Radgowski, *Cudza mufa*, [w:] tegoż, *Zajac transferowy*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1977, s. 62–65.

Mniej używa się określenia powróż czy powrózek, którym można najwyżej przywiązać koź do palika, ale liny („lejpry” czy „repy”) są im doskonale znane i dziecku rybackiemu nie ma potrzeby ich objaśniać. Łatwo też odmierzyć np. długość linki przymocowanej do łodzi, a następnie zapytać, ile by takich lin potrzeba, aby dosięgły one z Jastarni do Folwotru (Nowego Portu k. Gdańska). Na takie swoje podchwytliwe pytanie nauczyciel otrzymuje odpowiedź: „To zależy. Gdyby lina była dość długa, to wystarczy jedna”<sup>510</sup>.

#### **Przykład 410. Leon Roppel – *Kwalifikacje kandydata na kupca* (1977)**

W przedwojennym Wejherowie naprzeciw obecnego Sądu Powiatowego, na miejscu dzisiejszego Rolniczego Domu Towarowego, znajdował się dom handlowy braci Goerentów. Dom ten prosperował dobrze, słynął z doskonałego zaopatrzenia oraz grzecznej obsługi i był chętnie odwiedzany przez kupujących z miasta i ze wsi.

Któregoś dnia w miejscowej gazecie ukazało się ogłoszenie, że potrzebny jest uczeń kupiecki. Zgłosiło się ponoć sporo chętnych, w tym nawet kilku synów z zamożniejszych domów, z „listami polecającymi”.

Sprawujący funkcję kierownika handlowego jeden z braci zupełnie nie reagował na owe listy protekcyjne. Osobiście przyjmował kandydatów, przeprowadzał z każdym z osobna rozmowy i przeważnie odprawiał z kwitkiem.

Dziwiono się, że kierownik domu handlowego nie brał pod uwagę rekomendacji, żadnych listów protekcyjnych. Starano się dojść sedna sprawy, aż wreszcie on sam puścił farbę. „Z każdym z kandydatów na kupca przeprowadzałem osobiście krótką rozmowę. Nim to jednak nastąpiło, przypatrywałem mu się, jak otwiera drzwi, czy przypadkiem nie pcha się zbyt natrętnie, w jaki sposób naciska klamkę i czy starannie zamyka drzwi za sobą. Dalej ważne było to, czy staje w należytej odległości od biurka i czy spokojnie trzyma czapkę w ręku. Jeżeli starannie wyciera obuwie o wycieraczkę, znaczy to, że jest dbały o czystość. Jeżeli płaszcz i marynarka jest bez plam, jeśli ma czyste ręce i należyście przстриżone paznokcie – świadczy to o jego zamiętowaniu do staranności. Jeżeli na pytania odpowiada szybko, zdecydowanie, ale grzecznie – znak, że posiada inteligencję potrzebną kupcowi i dobre maniery. Jeżeli podnosi monetę, umyślnie położoną koło biurka, jakiej nie dostrzegli lub zdawali się nie dostrzegać inni kandydaci, dowód, że jest uważny, spostrzegawczy i usłużny... Jeżeli zaś do tego

---

<sup>510</sup> L. Roppel, *Długa lina*, [w:] tegoż, *Dykteryjki i historyjki z Kaszub*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1977, s. 146.

wszystkiego okazuje się dobrym rachmistrzem i na papierze stawia staranne cyfry – można być pewnym, że z tego ucznia wyrośnie kiedyś dobry kupiec i że wszyscy klienci będą z niego zadowoleni...”<sup>511</sup>

### **Przykład 411. Leon Roppel – *Otrzyma nieco więcej* (1977)**

W czasie zaboru pruskiego nauka w szkole prowadzona była tylko w języku niemieckim i dzieciom na Kaszubach poznanie tego języka bynajmniej nie szło łatwo. Początki czytania, pisania i rachowania należały do rzeczy trudnych, dla nauczycieli był to wysiłek nie lada, stąd też nic dziwnego, że nauczyciele posiadali specjalne dodatki do pensji. Za utrudnienia.

W jednej wsi nauczyciel doprowadzony był już prawie do rozpacz. Nie potrafił wyjaśnić znaczenia niemieckich słów kaszubskim dzieciom. Wyjął w końcu dziesięciofenigówkę, podał ją uczniowi i powiedział w złości: – Idź do rzeźnika i kup sobie za tego dętka cielęcego mózdzku!

A na to mały Ignac: – Panie szkolny, móm jô powiedzëc, że to je dlô pana szkolnego? Tëj on mie na pewno dô wicyj!<sup>512</sup>

### **Przykład 412. Leon Roppel – *Powiedział, co wiedział* (1977)**

Mały Konradek uczęszczał do drugiej klasy szkoły powszechnej. Nauczycielką była jego ciocia, toteż z usprawiedliwianiem jego nieobecności w klasie nie było zbyt wiele kłopotu.

Po którejś absencji w szkole pyta nauczycielka siostrzeńca: – Konrad, wczoraj znowu nie byłeś w szkole. Co się stało?

– Cotko – odpowiada chłopiec po kaszubsku. – Cotko, jô ni mógł przyńc do szkołë, bo nama się urodzëlëe trojaczczci.

– Co, trojaczki? – zdziwiła się nauczycielka.

– Jô, trojaczczci. Dwie dzëwczynczi i jeden knôp – odpowiada chłopiec. – Nasz tatuszk jaż zachorzël, jak ma mu to rzekła i powiedzôł, że terô nóm będzë czëżyj!...

– Ale ile osób jest teraz u was w domu?

– Z tatuszkiem i mamuszką to terô nas je dzewinć.

– Mało to nie jest, ale wystarczy! – odpowiedziała nauczycielka i chłopiec otrzymał usprawiedliwienie nieobecności.

Po kilku tygodniach Konradek znowu był nieobecny. I tym razem po lekcjach indaguje go ciocia: – Konrad, wczoraj znowu byłeś nieobecny w szkole. Co się stało?

<sup>511</sup> Tenże, *Kwalifikacje kandydata na kupca*, [w:] tegoż, *Dykteryjki...*, dz. cyt., s. 156–157.

<sup>512</sup> Tenże, *Otrzyma nieco więcej*, [w:] tegoż, *Dykteryjki...*, dz. cyt., s. 30.



– Cotko, to jedno z tēch trojaczków, ta dziewczynka, nama umarła...  
– No tak, to musiałeś pójść na pogrzeb.  
– Jô, mamuszka rzekła, że ono bë i tak długo nie żëło, bo ono chorzało...  
A zresztą mama më le dwa cycczi... A to je za mało!... Bo jak te môle dzece chcą jesc, to wiedno wszëtćzi narôz wrzeszczą... A mamuszka ni miała jé dze przë-sadzëc...<sup>513</sup>

### **Przykład 413. Leon Roppel – *Zawieszenie obrazu i... Patocka* (1977)**

Z nazwiskiem doskonałego folklorysty Jana Patocka (1836–1940) wiąże się „Kopa szëtopórk”, jego zbiory kaszubskich legend, bajek i podań, które w większości jeszcze nie zostały zebrane, opracowane i czekają na opublikowanie. Jan Patock był nauczycielem, później inspektorem szkolnym. Uczył w Wejherowie, Sierakowicach, Borzestowie, Strzelnie, Chylonii, Gościcinie, Rąbie, Żukowie, Kartuzach, Sulęcynie, później w Brodnicy i Grudziądzu, zawsze czynny jako regionalista kaszubski, zbierający wszystko, co dotyczy kultury duchowej Kaszubów. W roku 1934 dość niespodziewanie w pełni sił przeszedł na emeryturę, a oto jak do tego doszło.

W Grudziądzu, gdzie uczył w tamtejszym liceum Pedagogicznym, miewał Patock zajęcia po południu. Któregoś dnia na początku marca przyszedł jak zwykle do szkoły i zdawało mu się, że zauważył jakby jakiś inny nastrój. Uczniowie, ubrani w mundury Przysposobienia Wojskowego, zachowywali się jakby nieco sztywniej, prawie uroczyście, choć najbliższe święto, dzień imienin marszałka Józefa Piłsudskiego, miało być dopiero za kilka dni.

Chcąc się czegoś dokładniejszego dowiedzieć, zatrzymał Patock na korytarzu jednego z uczniów, K. Szachmitowskiego, i zapytał, co jest powodem tego poważnego nastroju i „gali”.

Szachmitowski, dobry uczeń, ale niemały trzpiot i kawalarz, zbliżył się do Patocka i szepnął, mu na ucho: – Panie profesorze, dzisiaj idziemy wieszać Piłsudskiego!

Patock zaniemówił i nie wiedział, jak się ustosunkować do tego powiedzenia. Wyrażenie było wybitnie dwuznaczne. Tak też przedstawił tę sprawę koleżankom i kolegom w pokoju nauczycielskim...

O zdarzeniu doniesiono dyrektorowi liceum, Szczypińskiemu. Był to starszy, dobry pedagog, mający renomę jednego z najlepszych dyrektorów liceów pedagogicznych. Naturalnie zwolennik Piłsudskiego.

<sup>513</sup> Tenże, *Powiedział, co wiedział*, [w:] tegoż, *Dykteryjki...*, dz. cyt., s. 221.

Dyrektor polecił natychmiast zwołać zebranie Rady Pedagogicznej. Co może się za tym kryć?! Może spisek endecki?! Dyshonor mógłby spaść nie tylko na Patocka, ale i na całą szkołę... Ucznia tak odzywającego się trzeba natychmiast zwolnić dyscyplinarnie... Przykładnie ukarać...

Konfrontacja z klasą wykazała jednak rzecz zgoła inną. Oto wszyscy przesłuchani, naturalnie wzywani pojedynczo, stwierdzili, że nie mogło być mowy o żadnym sprzysiężeniu czy spisku antyrządowym. Po prostu chodziło o powieszenie obrazu marszałka Józefa Piłsudskiego, jako że w klasie portretu tego dostojnika państwowego nie było, a wszyscy odczuwali jego brak. I dlatego w dniu tym ubrano mundury PW.

Wyjaśnienie to uspokoiło dyrektora, nie obyło się jednak bez reprimendy dla Patocka, że zbyt mało troszczy się o klasę, że nie było w niej portretu Marszałka, a poza tym, że z powodu braku należytego uszanowania dopuszczono się tak niestosownego żartu. Przecież na temat Marszałka żartować nie można...

Starano się wprawdzie usprawiedliwić Patocka, ale nie udało się. Wkrótce zjawił się w liceum wizytator, wielki zwolennik Piłsudskiego, któremu zrelacjonowano sprawę jako „*crimen laese majestatis*” (zbrodnia obrazy majestatu)... To wpłynęło, że z końcem roku przeniesiono Jana Patocka w stan spoczynku, czy inaczej mówiąc: zawieszono go w czynnościach.

Nie pomogły już żadne interwencje ani powoływanie się na wielki zasługi Patocka przy organizacji szkolnictwa podstawowego na Pomorzu przy odrodzeniu Polski. Od tego czasu, ilekroć w towarzystwie Patocka była mowa o „wieszaniu obrazu”, przypominał to tragikomiczne wydarzenie<sup>514</sup>.

#### **Przykład 414. Stanisław Strugarek – *Kaczmarszek na wywiadówce*. Gawęda z Polskiego Radia (1977?)**

Szanowne zgromadzone! Się nie dziwcie, że jestem dzisiaj zły jak pies, i to do cna wew ten wzruszający wieczór, ale rozgniewołem się na dobre wedle tego ogara, znaczy mojego chłopyszka.

Zawsze myślałem, że mom kochające dziecko, co na starość będzie mi podporą emerytury, a tu mosz. Dowiedziałem się, że mój obuz to nie żoden synek, bo aby mojej osobie porute przynosi. Istne wybiłokno, szczun zakamieniały! Dóprowdy, za kim się to wydało, już som nie wiym. Nabroł mnie jak jaką framugę. Oż mię ręka siyrzbi, żeby mu wtrzepnąć deszczepinią.

Bo tak: Chodzi gzub do licei, cołkie przedpołudnie się męczy i inteligencją pracującą zdobywo, po południu na gry i kółka, na zabawy szkolne chodzi, na ze-

<sup>514</sup> Tenże, *Zawieszenie obrazu i... Patocka*, [w:] tegoż, *Dykteryjki...*, dz. cyt., s. 111–112.

szyta, mapy, inkost i trzonki piyniądze bierze, a na wieczór czyto jak głupi, oż mi się zol robi. A tu w szkole takie coś.

Bo była wywiadówka. Zawołali nos do szkoły, stojeli my ta w ogonku jak po cytryny i po jednemu wołali do klasy. Wchodzę do pośrodku, kłaniam się fasónowo gospodarzowi i się przedstawiom: – Przychodzę się poinformować o postępkach mojego dziecka. I powiadom, kto jestem.

Jak żym powiedział nazwisko, to ten istny profesór byłby o lichu co sprysł z katedry. Się nie dziwie. A jo się pytom: – Jak tam moje dziecko?

– Dziecko? Jakie dziecko? Co za dziecko? Przecie ten bałwan jest zakałą naszego zakładu, to prawdziwe owca parszywo w mojej klasie, czynnik rozkładu moralnego tudzież innego.

– Przepraszam – powiadom, bo mnie już siekło – kto?

– Pański syn!

Zbaraniółem! Tak głupio jeszcze mi nikt nie przyszedł, żeby moją firmę po kątach porozstawiać. No, tyż takie ale coś. Widzioł to świat? Żym się jednak wzion w garść, bo nie takie rzeczy człowiek w życiu o sobie słyszol, i się pytom:

– A zachowanie?

– Nieodpowiednie.

– Hm. Mogłoby być gorzej.

– Wcale nie.

– Słusznie – powiadom. – Wszystko granice swoje musi mieć. A pilność, przepraszam, panie gospodarzu i profesórze?

– W czym?... – mi się spytol.

– W nauce.

– Pod psem. Wcale się nie uczy.

– Ależ, panie wychowawco! To dziecko całe noce czyto.

– Ale co czyta! Pan wie co? Romanse erotyczne, kryminalistykę i bzdury.

– O, ta złokreś! Tamte kreminalne mu podaruje, ale za te romanse to sobie popamięto! Bo ta erotostyka to pewnie o nieprzyzwoitościach. W tym wieku i już zaczyno, no, no! Musze to, złokreś, som przeczytać.

– A podstępny chłopyszka w nauce?

Na to mi profesór przeczytol z góry na dół wszystkie przymioty, a na końcu powiado: – Dwa.

A jo się pytom, po jakimu: po downymu czy nowomodnie. Bo jakby po downymu, to by się synek reprezentował ładnie. Okozalo się, że nie po downymu, czyli cołkiem źle. Zgrzytłem ino zębami i pomacołem się, czy mom posek na się. Ale na końcu się pytom: – A co mo ze śpiywu?

– Bardzo dobrze!

– No, przynajmniej coś dobrze, może będzie tenorem w operze albo w rad-  
to. To po mnie.

Stary profesor popatrzył na mnie i pokiwał głową, przyznał mi rację.

Jak się spytałem, czemu tak często chłopcy po południu do gimnazji uczęszczają, powiedział mi, że nic mu nie jest wiadome o tym i że się pewnie mój nadrach goni ze szczunami z ulicy albo po krzokach poli szporty za płotem. A zaś o nowych książkach i zeszytach ónemu nic nie jest wiadome i nie jest powiedziane, czy mój lofer nie wydaje bej mów na kintop.

W każdym razie wstyd mnie było słuchać tego wszystkiego, a profesor powiedział, że chłopyszek tak czy tak zostanie siedzieć, a żeli się zaro nie poprawi, to go wyćpią na zbity łob z gimnazji i pytanie, czy go gdzie przyjmą.

To mnie rozłościło jak nie wiem. Powiadom, że gzubowi takie lole sprawie, że się z rozumem nie połapi. Profesor powiada, że owszem bić, bić, ale siebie... w piersi, że tak chłopoka wychowałem. Istny wstyd! Zaś mi poradził, co na razie trzeba robić, żeby się ogar poprawił, ale nie powiym, bo mnie wstyd.

I na koniec, na osłodę się pytom, skąd się w chłopyszku to śmierzące leni-  
stwo wziyno, bo przecie ociec, o ile mi wiadomo, porządny i matka też z dobrej  
familii, ino to dziecko – diaski wiedzą, skąd w nim taka natura.

A na to profesor mówi, że to... dziedziczne.

Odetchłem, bo to znaczy, że chłopiec z tego wyrośnie, ale swoją drogą dwa,  
trzy razy zostanie siedzieć.

Hm... mój chłopyszek. Czysty ojciec! I dlatego zły jestem na się, że podejrze-  
wołem biedne dziecko, że ono jest inksze niż ociec za chłopoka by!<sup>515</sup>.

### **Przykład 415. Stanisław Strugarek – *Nowy rok szkolny*. Gawęda z Polskiego Radia (1977?)**

Uroczyłem się godnie, że się nareście te ferie skończyły i dzieciary pójdą znowu  
do szkoły. Bo bez cołki dzień miałem istne piekło na podwyrku i w warsztacie  
stolarskim wysiedzieć spokojnie nie mogłem.

Naturalnie, mój chłopyszek groł pierwsze skrzypki. Cięgiem ino bawi się  
bąkiem na ulicy albo się graj e w klipe, a tak walił, że już musiołem porę szyb  
za niego zapłacić. Roz poszedł na ulice bawić się w gónitko i wprysł w jednego,  
co jechoł na kole, oba się wywalili, całe szczęście, że chłopyszek się pozbiyroł  
i dół w skok, bobym znów musioł na kółko się szarpnąć. A konfekcje – niby rzę-  
chy – to selera tak drze, żeby m mu musioł prawie żelazne albo blaszane pory  
szyć. Dóprowdy, już nie wiym, skędy kozy gnać, bo ta selera drze na morgi!

<sup>515</sup> S. Strugarek, *Kaczmarszek na wywiadówce*, [w:] tegoż, *Wuja Ceśku opowiada*, Wy-  
dawnictwo Poznańskie, Poznań 1977, s. 244–246.

No, więc z radością oddawali my go do tej szkoły. Moja ubrała go w elegancki kitelek – bieluški, z niebieską zagiętką, rękawki krótkie, portasiki aksamitne przerobione ze spódnika babusi, beżowe pończochy. Wyglądał antrakcyjnie. Tak my na łobuza patrzeli i kombinowali, co z niego wyrośnie. Może się wydo za krzesnymi i będzie jaką artystą, bo jego krzesny lubi okropnie chodzić do teatru, a na ulicy ogłądo się za artystkami. Może byndzie doktorem, bo każdemu cięgiem aby język wywolo.

Zaprowadzili my dzieciara na szkolny podwórek, był skromny jak nie nasz, oż my się dziwili. A moja powiado: – Widzisz? Nie mówiłam, że szkoła go do rozumu doprowadzi? I to bez deszczepiny. Kochany dzieciar, a my go tak od wylęgi wyzywali. A to wszystko guli ciebie, stary.

I o licho co byliby my się pożarli, ino jo nie chciałem. Zaś wszystkich chłopyszków zabrali do siebie i powiedzieli, że dzieci kończą naukę o pierwszej. No więc nareszcie zapanowało u nas ciche szczęście rodzinne.

Po obiedzie czekómy jedną godzinę – i nic. Czekómy drugą godzinę, a chłopyszka jak ni ma, tak ni ma. Myślę sobie, ładnie go szkoła uskrómiła. Kole czwor-tej moja mi mówi: – Fyrej ino, stary, na plac oboczyć, czy się ogor tam nie kopie w piłkę z obuzami, juchtami, albo się pewnie uwiesz na wozach.

Poszedłem. Ale po dziecku ani śladu. Kole siódmej zaczęli my się już na dóprowdy denerwować, co się z gzubem stało. Powiadam: – Może by podać do radła, że zginęło dziecko takie a takie, no nie?

Ale moja buchła na mnie: – Ba jesz byle co. Lepiej leć na milicją, bo oni to potrafią.

Chodzili my jak struci. Już my oboje mieli lecieć na miasto, wszystkie dzieciary od sąsiadów chciały nóm dopomóc w szukaniu, jak tu nogle ktoś dzwoni. Letymy do drzwi, otwierómy, patrzymy... i się żegnómy.

Nasz chłopyszek. Ale jak wyglądał! Jak półtora nieszczęścia, czysty kóminiorz! Przyturoł się, roboszek, obdarty, uślabrany jak ostatni nośpłat, bez tej nowej torby, co my ją sobie od ust otjeni, aksamitne portasiki podarte, i to wszędzie, że mu z tyłu chorągiewka wiywała, łapska podrapane.

Zaczyły się istne bachandryje, jak nóm dzieciar opowiedzioł roz przy razie co, gdzie i jak.

Więc przody smykali się po poręczach na sieni w domu jednego kolegi, no i tam zniszczyły się te portki. Mój chłopyszek mioł pecha, bo zjechał z czwarte-go piętra i zlądował na parterze na sąsiadce, która szła z mlykiem i jojkami na górę. Sweterek uślabroł sobie mój gzubek w klasie, bo powiado, że mu mucha łażyła po owce i zaś wlażyła w kałamarcz, a on z całkiej siły w nią dmuchnął i naturalnie cołki inkost wyprysł mu na sznupe i na bieluchny sweterek, że wywijoł jak ostatni ślumper.

Torbę zmarnował ten marnisz na polu, jak grali w piłkę, bo leżała jako bramka i porę razy mu na nią te gibasy nadepty, a zaś jak im pękła wzdętka, zaczyni kopać te torbę, że już potem nie opłacało się jej zbierać, i tak kupa złotych rodzicielskich poszła w pieruny.

Łapska podrapoł sobie, jak się wdrapywał na drzewo, bo pani kosała przynieść kasztanów do klasy. A dlatego przyszedł tak późno, bo musiał jeszcze iść za miasto oboczyć, gdzie się szyny od bimby kończą.

Tak się zakończył pierwszy dzień w nowym roku szkolnym. Rachowołem, że się moje rodzicielskie kłopoty skończyły, a to się dopiero zaczęło!

Właśnie mój chłopyszek skończył opowiadać, jak odpiąłem posek od spodni, żeby dziecku złe myśli drugą stroną wybić, jużem napluł w gorść, jak tu moja na mnie nie hycnie: – Ani mi się woź tknąć te dziecko! Żeli je chcesz katować, toś jest głupi na cołki łeb. Już nie pamiętosz, narwusie, co babusia opowiadło, żeś za dziecioka był najgorszy nadrach, luntrus i lofer z cołkiej ulicy? Wync nie mścij się na biydnym dziecku, bo one jesta niewinne. Ino się uderz w te swoją meakulpe i sobie powiedz, że to twój dzieciór. Chodź, synek, do mamy. Nie bój się! Mama nie do cię bić!<sup>516</sup>

### **Przykład 416. Stanisław Strugarek – *Szkolny. Gawęda z Polskiego Radia (1977?)***

Wędrując po Wielkopolsce, chętnie wstępowałem do szkół wiejskich na rozmowy z nauczycielstwem. Często zastawałem w klasie czy w świetlicy szkolnej piękne aparaty radiowe, adaptery, magnetofony, ba, telewizory. Moje szkolne czasy, kiedy biegłem do szkoły, dźwigając ostrożnie tabliczkę z rysikiem i gąbką, czyli „szwamką”, na sznurku, wydają się dziś tak odległe, że „aż nieprawda”, jak mawiała ciocia Bronia.

Od niej to właśnie, staruszki, mieszkającej gdzieś w powiecie średzkim, usłyszałem opowieść o nieznośnym Frącku – chłopaczysku, które było postrachem całej wsi. Nie, żeby był złego charakteru, gdzie zaś, ino był okropne ladao, nicpoty, że jejka kochany. Ojciec i dobrocią, i rzemieniem kierował go na ludzi – ale nic nie pomagało. Czasem było słychać na pół wsi, jak go ojciec tłukł. Pomagało, ale aby pół dnia. Bo na drugi dzień znowu coś wywinął.

Ba, juści – do dziś ludzie pamiętają, co się niekiedy zdarzało. Więc raz Frącek spuścił z łańcucha najgorszego brytana – Morusa. Psisko, istny cielak, biegło po wsi, szczyrzyło kły i warczało na każdego, co się na drodze pokazał. Pół dnia nikt nie śmiał wyjść z chałupy. Dopiero jak wrócił z jarmarku gospodarz,

<sup>516</sup> Tenże, *Nowy rok szkolny*, [w:] tegoż, *Wuja...*, dz. cyt., s. 241–244.

znów uwiązał Morusa przy budzie. Sołtys chciał Frąckowemu ojcu karę wlepić, ale nie było trzeba, bo ojciec pachem wypisał orędzie na Frąckowej skórze.

Innego razu chłopak wdrapał się na drzewo, do gniazda dzikich pszczoł – namówił też chłopaków od leśniczego – zamajtał kijem w gnieździe. Ludzie, co się nie działo! On, psianoga, ześlizgnął się z drzewa i nic mu nie było. Ale tamte oba chłopaczyska miały tak opuchnięte sznupy, że rodzona matka ich nie poznała. Trzy dni, wej, przykładali im glinowy ocet i babkowe liście na kalafy.

A z cielakami też nielichy kram się zrobił. Kazali Frąckowi pilnować stadka cieląt, żeby w szkodę nie wchodziły. Nagle pokazała się sikawka, na której strażaki gnały duchem do pożaru. Naturalnie, ten tygrys zapomniał o cielakach, o szkodzie, i jak wariat pognał aż do trzeciej wsi, za tymi strażakami. Jak wrócił, po cielakach – oczywiście – ani śladu.

A ojciec ino prał i głupie myśli z syna wyganiał. No, i miarka się przebrała, jak Frącek z chłopakami rzucał do celu kamieniami, niedaleko sołtysowej chałupy. Nagle brzdęk! To Frącek trafił w szybę i kamień trzasnął w lampę naftową, co stała na sołtysowej komodzie.

Co się potem działo! Ojciec Frącka biegał z paskiem w jednej, a z deszczepeliną w drugiej ręce i krzyczał: – Koniec! Dosyć! Już się miarka przebrała. Puść mnie, matka, nie daruję, zasiekę szatana, ale głupotę z niego wypędzę!

Ba, ale szukaj tu winowajcy. Zaszły się tak, że go przez cały dzień nikt nie zobaczył.

Matka wiedziała, że to nie przelewki; jak się stary nie udobrucha, to jeszcze chłopca kaliką robi. Wdziała na się nowy fartuch, zarzuciła niedzielną chustkę i pobiegła do szkoły. Tam przypadła do rąk kierownika, który już trzecie pokolenie abecadła wyuczył, i błagała: – Panie szkolny, niech pan ratuje mojego Frącka. Mój go zatłucze, przecie pan szkolny wie, co to za nerwus. Chłopak jak drapnął z rana, tak my go cały dzień nie widzieli.

Nauczyciel pocieszał zmartwioną matkę. Potem wziął się do szukania chłopca, poprosił tylko, żeby nikt Frącka nie bił. Pan kierownik, czyli, jak niegdyś mawiano, „pan szkolny”, bez zbędnych poszukiwań skierował się od razu w stronę odległego stawku, gdzie w gęstych zaroślach znalazł hardego Frącka. Obaj, nauczyciel i chłopiec, nie od razu wrócili do wsi, ale kołowali miedzami, ścieżynami, sobie tylko znanymi ustroniami, aż wreszcie nad wieczór, gdy pierwsza burza złości ojca minęła, wrócili do chałupy.

Nauczyciel poczekał, aż Frącek z płaczem przeprosił rodziców, potem chłopak się umył i pochlipując, spałaszował obiad i kolację, wreszcie poszedł na górkę spać. Dopiero potem „szkolny” pożegnał się i poszedł.

O czym tam obaj pół dnia na polu gadali, tego nikt nie wie. Tyle tylko wiadomo, że na drugi dzień Frącek, z zieloną opaską na ramieniu, pełnił dyżur w szkol-

nym ogródku i strzegł go przed niesforną zgrają chłopaków. Później został gospodarzem szkolnej świetlicy i czuwał nad sprzętem, książkami i gramami.

Rzadko tylko zdarzało mu się wierzgnąć, ale zaraz sam się poskramiał. Zmienił się nie do poznania.

– No i co się, ciociu Broniu, z owym Frąckiem stało?

– Co? Ady widać go tam koło ula...

– To był dziadzia Franciszek?

– Ano juści. Mój Frącek<sup>517</sup>.

### **Przykład 417. Włodzimierz Ścisłowski – *Zjazd* (1977)**

W Pęduszewie odbył się zjazd wychowanków Państwowego Przedszkola nr 3 im. Bożej Krówki.

– Plosę kolegów! – zaszczebotał wesoło p. Glińczyk, w życiu prywatnym bosman na liniach dalekowschodnich. – Zeblaliśmy się tu wszyscy, wychowankowie nasego kochanego psedskola, aby powspominać tlochę, dawnych kolegów zobaczyć i o swoim życiu opowiedzieć!...

Panowie z podwiązanymi pod szyją śliniaczkami zdecydowanym ruchem sięgnęli po butelki ze smoczkami. Wzniesiono toast długi i serdeczny, aż panna Genia, wychowawczyni grupy drugiej, przetała nieznacznie oczy.

Dyrektor Wrębko walił pięściami w stół, obślinił się i rzucał gałkami z chleba w kierunku kierowniczk. Referent Kowalski, korzystając z radosnego zamieszania, kopał systematycznie sąsiada w kostkę i targał za uszy. Działacz na niwie, kol Sioło, wlaź pod stół, skąd wyśpiewywał jakieś nie znane na ogół przedszkolakom piosenki. Inżynier Przecinkiewicz wylał komuś zupę za kołnierz i ściągnął obrus wraz zastawą na podłogę.

Beztraska atmosfera zmieniła się w burzę owacji, gdy naczelnik Pocięj, chcąc wywołać nastrój jak najbardziej zbliżony do dawnych lat, zaczął wołać, że chce siusiu. Panna Genia z wdziękiem ujęła go za rękę i wyprowadziła z sali.

Toasty wychylano jeden za drugim, niebawem też wychowankowie chwycili się za ręce i rozpoczęli gry ruchowe. Najpierw zdemolowano jadalnię, potem zabawa przeniosła się do pomieszczeń gospodarczych. Podczas przestawiania pieca z kąta w kąt przyjechał radiowóz milicyjny i kontroler PIH-u.

Ekspertyza wykazała, że w mleku, które przygotowano na tę podniosłą uroczystość, znajdowały się dziwnie pachnące składniki, przeznaczone raczej do użytku pozaprzedшкоlnego, co oczywiście nie powinno poderwać zaufania rodziców do tak pożytecznych placówek, jakimi są przedszkola.

<sup>517</sup> Tenże, *Szkolny*, [w:] tegoż, *Wuja...*, dz. cyt., s. 78–80.



Ostatecznie zjazdy byłych wychowanków zdarzają się raz na jakiś czas, nie mówiąc już o tym, że przedszkolanki poznały trochę życie, a do mleka choć raz nie dolano wody<sup>518</sup>.

**Przykład 418. Zenon Wiktorczyk –  
*Egzamin z historii oręża polskiego (1977?)***

Osoby: N., A., B., E.

N.: Powiedźcie mi... W jakiej odległości od księcia Czcihora znajdował się poczet dowódcy w bitwie pod Cedynią?

A.: yyy...

N.: Dokładniej.

A.: Nie wiem.

N.: To już jest dokładniejsza odpowiedź, ale nie historyczna. A historyczna brzmi: poczet księcia Czcihora znajdował się w tej samej odległości, co każdy poczet dowódcy. W bezpieczniejszej.

A.: Ale obywatel szef pytał w jakiej odległości od księcia Czcihora.

N.: No, właśnie. Bo Czcihor bił się na polu bitwy, a poczet objął się na tyłach (*Do E*). A może wy mi powiecie: w jakiej wsi król Łokietek urządził zasadzkę na Krzyżaków w bitwie pod Płowcami?

E.: Przepraszam w jakiej bitwie?

N.: Pod Płowcami.

E.: Już wiem. We wsi Płowce.

N.: Zgadza się. Kto wam podpowiedział?

E.: Nikt. Ja z głowy. Skojarzyłem sobie.

N.: Aha. Zawsze mówiłem, że wy za dużo sobie myślicie. No, a wy? (*Do B*). Wicie, który generał z Warszawy tylko jeden raz był na inspekcji garnizonu bydgoskiego?

B.: To niemożliwe. Może raz na miesiąc?

N.: Nie. W ogóle jeden raz. To taki historyczny generał. – No, pomyślcie. W podobnym mundurze do tego kostiumu.

B.: Już wiem. Generał Henryk Dąbrowski. W styczniu 1807 roku. Przybył na inspekcję pułku Legii przed natarciem na twierdzę Tczew.

N.: Nieźle, nieźle. To jeszcze mi odpowiedźcie na jedno pytanie. Jaka była wtedy najcięższa i najłżejsza kara dyscyplinarna dla żołnierzy stojących garnizonem w twierdzy.

<sup>518</sup> W. Ścisłowski, *Zjazd*, [w:] tegoż, *Mały karierowicz*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1977, s. 21–22.

B.: Najcięższa to jasne. Zakaz opuszczania twierdzy. A najlżejsza to nie wiem.

N.: Też zakaz opuszczania twierdzy. Ale podczas oblężenia. Powtórzyć sobie historię. Powtórzyć<sup>519</sup>.

### **Przykład 419. Jerzy Wittlin – *Dzieci wychowuje się razem* (1977)**

Odpowiedź męża na twierdzenie żony, że syna wychowuje ojciec, bądź też odpowiedź żony na twierdzenie męża, że córkę wychowuje matka. Ponieważ jednak na tym wyraźnym określeniu obowiązków rozmowa o wychowaniu nigdy się nie kończy, nie chcąc jej przedłużyć godzi się pan na współudział w edukacji dzieci, po czym – zwłaszcza jeśli dyskusja spowodowana została jakimś incydentem wywołanym przez dziecko – proponuje pan żonie, aby tym razem zajęła się sprawą, ponieważ pan musi zaraz wyjść na naradę, na której żona nie może pana zastąpić, napisać na jutro referat, którego żona nie może za pana opracować, albo sprawdzić świece w samochodzie, czego żona nie potrafi zrobić – w zależności od tego, czym tłumaczył się pan ostatnio, godząc się z opinią żony, że dzieci wychowuje się razem<sup>520</sup>.

### **Przykład 420. Jerzy Wittlin – *Pierwszy raz w przedszkolu* (1977)**

Aby uniemożliwić nam dokonanie wymiany doświadczeń z innymi dziećmi, w wyniku której natychmiast okazałoby się że:

- nieprawdą jest, jakoby wszystkie dzieci z wyjątkiem nas lubiły kaszkę,
- nieprawdą jest, że wszystkie dzieci razem z Jackiem i Agatką zasypiają,
- nieprawdą jest, jakoby do przedszkola przyjmowano tylko grzeczne dzieci, co bez przerwy usiłowaliśmy nam wmówić mama i babcia, natychmiast, kiedy się tylko pierwszy raz w życiu zjawimy w przedszkolu, pani przedszkolanka, zakazuje nam rozmawiać z innymi dziećmi, a następnie z całą energią egzekwuje od nas wesołą przedszkolną zabawę. W celu ulżenia swojemu losowi w momencie egzekwowania od nas przez panią przedszkolankę wesołej przedszkolnej zabawy, zachowujemy się jak następuje:
- ucząc się wesołych przedszkolnych piosenek, markujemy śpiew ruchem ust, nie wydobywając jednak z siebie głosu, który oszczędzamy na ważniejsze okazje, w przyszłości, kiedy będziemy już dorośli,

<sup>519</sup> Z. Wiktorczyk, *Egzamin z historii oręża polskiego*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Estrada wojskowa*, dz. cyt., s. 97–98.

<sup>520</sup> J. Wittlin, *Dzieci wychowuje się razem*, [w:] tegoż, *Vademecum małżeńskiej samoobrony*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, s. 31.

- ucząc się wesołych przedszkolnych zabaw, nie chcąc już od dzieciństwa zaprzętać sobie głowy głupstwami, udajemy, że nie rozumiemy, na czym one polegają, aż do momentu, kiedy zniecierpliwiona pani przedszkolanka uzna nas za dziecko nie w pełni rozgarnięte i każe nam usiąść, aby przyglądać się tylko, jak inne dzieci wesoło się bawią,
- ucząc się wesołych przedszkolnych gier sportowych w trosce o nienadwężenie wątlęgo jeszcze naszego organizmu, zgłaszamy się do przedszkolnego lekarza i pod pretekstem ostrego klucia w boku, piekącego bólu w kolanie lub niedowładu prawej ręki wymuszamy na nim lekarskie zwolnienie,
- mając zapowiedzianą ciekawą wycieczkę, w czasie której wiele można się nauczyć, symulujemy w przeddzień wycieczki, w domu, torsje i w ogóle do przedszkola tego dnia nie idziemy.

Konsekwentnie zgłaszając się do lekarza przedszkolnego z różnymi dolegliwościami i symulując w domu różne przypadłości, mamy szansę po jakimś czasie zostać uznanymi za dziecko wątłe, wymagające szczególnie troskliwej opieki, w wyniku czego nie tylko zostaniemy zwolnieni z przedszkola, ale zyskujemy pewną możliwość osiągnięcia właściwej, rodzicielskiej opieki<sup>521</sup>.

#### **Przykład 421. Jerzy Wittlin – *Pierwszy raz w szkole* (1977)**

Znalazłszy się pierwszy raz w szkole, przystępujemy przede wszystkim do dokładnego przeanalizowania koleżanek i kolegów z ławy szkolnej po to, aby w przyszłości uniknąć jakichkolwiek niemiłych niespodzianek. W wyniku analizy dzielimy wszystkie koleżanki i kolegów na pięć kategorii według następujących kryteriów:

Kategoria pierwsza: podpowiada dobrze i dyskretnie, pisze wypracowania bez błędów i daje przepisywać,

Kategoria druga: podpowiada źle, ale dyskretnie, pisze wypracowania z błędami i daje przepisywać,

Kategoria trzecia: podpowiada źle i niedyskretnie, pisze wypracowania z błędami i nie daje przepisywać, ale przynosi atrakcyjne śniadania, którymi się dzieli,

Kategoria czwarta: podpowiada źle i niedyskretnie, pisze wypracowania z błędami i nie daje przepisywać, przynosi atrakcyjne śniadania, którymi się nie dzieli, ale posiada przystojną siostrę, której nie ukrywa,

Kategoria piąta: nie podpowiada w ogóle, pisze wypracowania bez błędów i nie daje przepisywać, przynosi atrakcyjne śniadania, którymi się nie dzieli, posiada przystojną siostrę, którą ukrywa i jeszcze do tego wszystkiego skarży.

---

<sup>521</sup> Tenże, *Pierwszy raz w przedszkolu*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz*, Iskry, Warszawa 1977, s. 27–29.

Dokonawszy podziału według wyżej wymienionych kategorii, w sposób zdecydowany określamy nasz stosunek do każdej z nich. I tak:

- z kategorią pierwszą: zdecydowanie się przyjaźnimy,
- z kategorią drugą: przyjaźnimy się, ale w sposób już nie tak zdecydowany, jak z pierwszą kategorią,
- z kategorią trzecią: jeszcze się przyjaźnimy, ale nie jest to już ta przyjaźń, która zdolna jest przetrwać, Bóg wie jak długo,
- z kategorią czwartą: trudno nazwać to przyjaźnią, chociaż nie jest to jeszcze nieprzyjaźń,
- z kategorią piątą: zdecydowanie się nie przyjaźnimy<sup>522</sup>.

### **Przykład 422. Jerzy Wittlin – *Pierwsze wypracowanie z polskiego.* Fragmety (1977)**

Istnieje tylko niewielkie prawdopodobieństwo odkrycia przez nas jakiegoś nowego prawa fizycznego w trakcie pisania pierwszego wypracowania z fizyki albo też obalenia któregoś z pewników w trakcie pisania pierwszego wypracowania z rachunków. Nie zwracamy sobie więc głowy wymyślaniem w trakcie pisania wypracowania jakichś nowych i zaskakujących rozwiązań w tych dziedzinach, tylko normalnie przepisujemy od kolegi albo ze ściągaczki – w zależności od tego, która metoda korzystania z pomocy szkolnych bardziej nam odpowiada. Zupełnie inaczej ma się sprawa natomiast z pierwszym wypracowaniem z polskiego. W tym przedmiocie nasze wypracowanie może się łatwo okazać nie tylko czymś absolutnie nowym w porównaniu z tym, co w ogóle już napisano w tej dziedzinie na świecie, ale wręcz początkiem nowego kierunku w literaturze, jeśli już nawet nie całego ruchu umysłowego, który przetrwa stulecia. Stąd też, w odróżnieniu od innych przedmiotów, pierwsze wypracowanie z polskiego przestaje być tylko sprawą między nami i panią od polskiego, a ewentualna dwójka, jaką otrzymamy za to wypracowanie, wcale nie musi świadczyć o tym, że jest to wypracowanie niedobre. Z równym powodzeniem może być ona dowodem, że pani od polskiego po prostu nie poznała się na naszym talencie.

Chcąc maksymalnie dopomóc jak najpełniejszemu ujawnieniu się naszego talentu literackiego, pisząc pierwsze wypracowanie z polskiego, kierujemy się następującymi czterema zasadami:

- I. Podanego nam tematu wypracowania nie traktujemy dosłownie, jest on tylko pretekstem do ujawnienia naszego talentu.

<sup>522</sup> Tenże, *Pierwszy raz w szkole*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych...*, dz. cyt., s. 30–31.

- II. Znajomość powszechnie dostępnych źródeł: dzienników telewizyjnych, radiowych oraz prasy codziennej wykorzystujemy do wyboru sposobu, w jakim talent nasz aktualnie ujawnić się może najszybciej.
- III. Nie negując istnienia tradycyjnej konstrukcji wypracowania, składającego się z: a) początku, b) środka, c) końca, nie traktujemy jej jednak jako czegoś świętego, zwłaszcza jeśli zachowanie jej mogłoby utrudnić czy wręcz unieвозмоżliwić ujawnianie naszego talentu. Kolejność „koniec – początek – środek” albo „środek i dwa końce” w niczym nie ustępuje kolejności tradycyjnej, a przewyższa ją w sytuacji, kiedy temat jest bardzo duży, a do powiedzenia mamy bardzo mało.
- IV. Różnic między stosowaną przez nas tradycyjną ortografią, interpunkcją, gramatyką, składnią, stylistyką i poetyką nie traktujemy jako naszej ułomności, tylko jako naszą propozycję [...]<sup>523</sup>.

### **Przykład 423. Jerzy Wittlin –**

#### ***Pierwszy raz czytając lekturę szkolną* (1977)**

Bajki opowiadane nam w telewizji albo czytane przez babcię mają nas usypiać. Legendy opowiadane nam w telewizji albo czytane już przez nas samych w pierwszych czytaniach mają nas budzić. Dopiero pierwszy raz samodzielnie czytając szkolną lekturę, mamy sposobność zetknąć się z pięknem mowy ojczyściej, z mądrością zawartych w tej lekturze myśli, wreszcie przeżyć niezapomniane emocje i wzruszenia, jakich potęgą swojego talentu, z myślą o nas, dostarcza autor. Aby jednak, z myślą o przyszłości, tej sposobności nie zmarnować lekko-myślnie, nie podejmujemy szkolnej lektury w sposób żywiołowy, spontaniczny, dając się porwać emocjom, tylko już od pierwszego zdania z najwyższą – na jaką nas tylko stać niecierpliwością, szukamy odpowiedzi na dręczące naszego nauczyciela od polskiego, już od dziesiątków lat, następujące pytania:

- Jakie poglądy rozwija – jeśli w ogóle cokolwiek rozwija i jeśli, to co rozwija można nazwać poglądami – autor już we wstępie do swojego dzieła?
- Co chciał autor powiedzieć przez to, co powiedział, a czego powiedzieć nie chciał przez to, czego nie powiedział?
- Jak moglibyśmy scharakteryzować postać bohatera utworu, pamiętając o tym, że bohater nie musi być bohaterem, aby być bohaterem, zwłaszcza jeśli w rzeczywistości nie jest bohaterem?

---

<sup>523</sup> Tenże, *Pierwsze wypracowanie z polskiego*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych...*, dz. cyt., s. 32–34.

- Jakie postaci innych bohaterów przypomina nam – jeśli w ogóle kogokolwiek przypomina – nasz bohater, co go z nimi łączy, co dzieli, a co go ani nie łączy, ani nie dzieli?
- Co miał na myśli autor, mając do wyboru takie albo inne zachowanie bohatera, wybierając „albo takie” zamiast „albo inne”?
- Czego nauczyłoby bohatera, jeśli się uczył; czego nas uczył, skoro się uczyliśmy; a czego powinno było nauczyć autora opowiadania, gdyby się uczył, zakończenie utworu?<sup>524</sup>

**Przykład 424. Jerzy Wittlin – *Pierwszy raz uzasadniając wybór kierunku studiów. Fragmenty (1977)***

Dobra znajomość przedmiotów kierunkowych, nienaganna ortografia, umiejętność poprawnego wystawiania się, to jeszcze nie wszystko. Kandydat na wyższe studia musi jeszcze umieć, ustnie lub na piśmie, wstrząsnąć komisją egzaminacyjną, uzasadniając, dlaczego właśnie ten, a nie żaden inny przedmiot wybrał sobie jako przedmiot studiów. Ponieważ w odróżnieniu od wzorów matematycznych, dat historycznych i pisarzy epoki romantyzmu uzasadnienia kierunku studiów nigdzie nauczyć się, nie można, przedstawiamy krótki bryk uzasadnień, wierząc głęboko, że jeśli nawet żadne z tych uzasadnień bezpośrednio nie będzie kandydatowi pasować, po dokonaniu niewielkiej adaptacji, znajdzie on na pewno w nich to, czego właśnie szuka.

Kierunek studiów: Farmacja

Uzasadnienie: „Od najwcześniejszych lat mego życia otaczały mnie zawsze fiołki, butelki, pudełeczka i torebeczki z lekarstwami. Przynosili je do domu wszyscy domownicy. Jak daleko sięgam pamięcią, nie pamiętam takiego wypadku, aby ktokolwiek z najbliższych mi osób, bez względu na to, jak poważnie był chory, nie wrócił do domu od lekarza z pełną teczką lub siatką lekarstw. Podobnie nie przypominam sobie wypadku, aby przyniesione lekarstwa zostały kiedykolwiek zużyte w całości, a często zdarzało się i tak, że w ogóle nie były tknięte. W rezultacie powstała u mnie w domu kolekcja lekarstw, jakiej pozazdrościć by mi mogła niejedna apteka i to nie tylko w kraju; ale i za granicą. Nie ma już chyba choroby – bez względu na to, czy prowadzi ona od razu do zejścia z tego świata, czy też tylko do trzydniowej nieobecności w pracy – której nie można by było wyleczyć za pomocą leków poutykanych we wszystkich schowkach, szufladach

<sup>524</sup> Tenże, *Pierwszy raz czytając lekturę szkolną*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych...*, dz. cyt., s. 42–43.

i półkach naszego mieszkania. Obcowanie od dzieciństwa z tymi wszystkimi pastylkami, czopkami, proszkami i miksturami w sposób jak najbardziej naturalny ukształtowało moje zainteresowania. Postanowiłam skończyć farmację, aby sama jak najlepiej wywiązując się z obowiązków kustosa naszego domowego zbioru leków, umożliwić poprzez pracę w aptece tworzenie i innym ludziom równie wspaniałych jak nasza domowych kolekcji leków”.

Kierunek studiów: Filologia polska

Uzasadnienie: „Od wielu lat nasza prasa literacka sygnalizuje brak wybijających się nowych nazwisk w prozie i poezji. Aby więc, chociaż częściowo, lukę tę wypełnić, postanowiłem stać się takim nazwiskiem. Napisałem już dwie powieści, dziesięć opowiadań i osiemnaście wierszy. Utwory moje udostępniałem już kilkunastu redakcjom i wszystkie one były zgodne co do tego, że powinienem się przede wszystkim uczyć, a dopiero później myśleć o pisaniu. Ponieważ zamierzam później myśleć o pisaniu, proszę o umożliwienie mi przede wszystkim nauki, abym w ten sposób mógł wypełnić ten jedyny warunek stawiany przez wszystkie redakcje” [...].

Kierunek studiów: Wychowanie fizyczne

Uzasadnienie: „Od wczesnego dzieciństwa wszechstronnie interesuję się i pasjonuję sportem, w szczególności zaś boksem, zapasami i podnoszeniem ciężarów. Niestety, mimo szerokich możliwości, jakie ma u nas każdy obywatel chcący uprawiać sport, nie mam możliwości aktywnego uprawiania moich ulubionych dyscyplin. Nie uprawiam również i innych dyscyplin, a wszystko z tego powodu, że dojście do mistrzowskich wyników w sporcie wymaga ogromnego wysiłku, poświęcenia i samowyrzeczeń, na które mnie niestety nie stać. Podejmowane w szkole przez moich nauczycieli gimnastyki liczne próby w tej dziedzinie, z reguły kończyły się ich klęską, czego najlepsze potwierdzenie znaleźć można na moich kolejnych świadectwach, w rubryce wychowanie fizyczne. W tej sytuacji z jednej strony – nie mogąc sportu uprawiać czynnie, z drugiej zaś – nie chcąc rezygnować z rozwiniętych już we wczesnym dzieciństwie zainteresowań, zdecydowałem się na wybór kariery działacza sportowego z wyższym wykształceniem i stąd właśnie moje podanie o przyjęcie do Akademii. Mam niezłą prezencję, umiem wznosić toasty, słabo w mowie znam rosyjski i niemiecki, co w sumie – jak sądzę – w pełni mnie kwalifikuje”<sup>525</sup>.

<sup>525</sup> Tenże, *Pierwszy raz uzasadniając wybór kierunku studiów*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych...*, dz. cyt., s. 139–146.

### **Przykład 425. Jerzy Wittlin – *Pierwszy dzień w studenckim hufcu pracy* (1977)**

Łopatę wbijamy w ziemię, prawą dłoń mocno przyciskając do górnego końca trzonka łopaty, lewą dłonią natomiast obejmujemy trzonek łopaty mniej więcej w jego połowie. Jeśli jesteśmy mańkutom, używamy dłoni odwrotnie, jeśli łopata wchodzi w ziemię opornie, pomagamy łopacie prawą nogą, przyciskając nią wierzchołek jej prawej – patrząc od trzonka łopaty, a więc z góry – części. Jeśli łopata wchodzi w ziemię bez trudu, nie tylko nie wprowadzamy do akcji prawej nogi, pamiętając o drugiej części czekającego nas zadania, ale również nie przesadzamy z przyciskaniem prawej dłoni. Po zanurzeniu się łopaty w ziemi na głębokości mniej więcej jednej czwartej długości, pierwszą część naszego zadania mamy prawo uważać za skończoną. Dla godnego uczczenia tego faktu – jeśli palimy – zapalamy papierosa, wdając się w krótką żartobliwą wymianę zdań z towarzyszem pracy, któremu podobnie jak nam udało się szczęśliwie zrealizować pierwszą część zadania. Po pełnym wykorzystaniu wolnego czasu pracy między pierwszą i drugą częścią realizowanego przez nas zadania, przystępujemy do wykonania części drugiej. Polega ona na takim wycofaniu łopaty, które zapewniłoby przeniesienie pewnej: ilości ziemi z miejsca, w którym łopatę wbiliśmy, na inne, wskazane nam uprzednio przez przełożonego, miejsce. W tym celu wbitą w ziemię łopatę przyciskamy prawą i lewą ręką w kierunku poziomym. Siłę przycisku regulujemy w zależności od ilości ziemi, jaka pokryła wierzch łopaty. Jeśli, oceniając na oko, ilość ta nie przekracza naszych możliwości fizycznych, unosimy łopatę z ziemią i kierujemy ją na miejsce wskazane przez przełożonego. Jeśli przekracza, przechylając łopatę w kierunku pionowym, pozbywamy się niepożądaną nadwyżki. Pomyślne wykonanie całego zadania manifestujemy przełożonemu i towarzyszom pracy w jeden z następujących sposobów:

- wypijamy butelkę piwa, przyniesioną ze sobą,
- wypijamy butelkę piwa, którą stawiamy sobie sami w kiosku,
- wypijamy butelkę piwa, którą ktoś nam postawił,
- wypijamy cokolwiek innego, jeśli piwa brak.

Do przerwy śniadaniowej, zwłaszcza jeśli przełożony kręci się blisko, staramy się zadanie to kilka razy powtórzyć. Po przerwie śniadaniowej tempo pracy zwalniamy, pamiętając o wieczorze, kiedy to boleć nas będą ręce i nogi. W ten sposób – im bliżej do końca dnia – dysponując coraz większą ilością wolnego czasu, jako ekwiwalent fizycznego bezrobocia podejmujemy wysiłek umysłowy. Może on polegać na: liczeniu przejeżdżających samochodów, jeśli kopujemy na ulicy albo szosie (jeśli jesteśmy człowiekiem z ambicjami utrudniamy sobie liczenie, oddzielnie prowadząc rachunek samochodów jadących tam i oddziel-



nie z powrotem, oddzielnie licząc samochody do 3,5 ton i powyżej 3,5 ton jadące tam i oddzielnie licząc samochody do 3,5 ton i powyżej 3,5 ton jadące z powrotem itd., itd.), możemy również liczyć przejeżdżające pociągi, jeśli pracujemy przy torze kolejowym (osobno towarowe, osobno osobowe), ptaki, samoloty, ludzie itp. Porównywanie dziennych statystyk może nam dać sporo satysfakcji. Chyba że surowy przełożony uniemożliwi nam kontynuowanie wysiłku umysłowego, w związku z czym już na drugi dzień będziemy zmuszeni zgłosić się po zwolnienie do lekarza<sup>526</sup>.

### **Przykład 426. Anonim – *Student i kobieta* (1978?)**

Roz jeden student wroczył z Paryża. A że dawniej nie było pociągów ani autobusów to szoł piechty. Po drodze zatrzymał się u jednej kobiety i prosił ją o jedzenie i picie. Ona go spytała skąd to idzie, a on jej pedzioł, że z Paris, a ona głupio zrozumiała, że z Paradies i zaraz go zaczęła wypytywać czy tam kaj jeji pierwszego chłopa nie widzioł.

– Ja – pado student – widziołech go, nawet mię prosił, żeby pozdrowić jego kobietę.

Kobieta uradowano pyto, jak się, mu powodzi.

– No wiedzą dobrze mu tam, ino nieborok nagi chodzi i bez pieniędzy.

– A byliby, oni tacy dobrzy i wzięliby mu ubranie i pieniądze?

– Ja mogę to zrobić, czemu nie?

Kobieta uradowana dała mu paczkę i pieniądze. Student się najodł i ruszył w drogę. Po jakimś czasie przyszedł z pojał drugi chłop od tej kobiety, a ona mu uradowano rozprawie jaki to dobry student tu był, który jedzie do Paradies i wzion dla jej chłopa paczkę. Jednak jej drugi chłop zaraz zmiarkował co to za miglanc. Wzion konia i prędko gonil studenta. Ten zaś ujrzoł go z daleka i pyrsk do krzoków, tam se tę paczkę schowol a potem prędko wzion łopatę do ręki i zaczął drogę naprawiać. Jedzie chłop na koniu i pyto czy nie widzioł kaj jakiego młodzika?

– Jechoł niedawno tam w tamtą stronę – pokazał student, ale tam takie gęste krzoki, to musicie z konia zleść.

– A przypilnowalibyście mi go?

– Mogę to zrobić, roboty tu jeszcze dużo, to z godzinę potrwo.

Chłop konia zostawił a student w krzaki po paczkę, za Konia i już go nie było. Jak chłop wrócił, ujrzoł i zrozumioł. Przyszedł do baby nazod i pado jej:

---

<sup>526</sup> Tenże, *Pierwszy dzień w studenckim hufcu pracy*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych...*, dz. cyt., s. 150–153.

„Wiesz spotkołech tego studenta, ale ta droga do Paradisu tak daleko, toch mu dół naszego konia, żeby tam ten twój pierwszy nie musiał tak długo na to ubranie czekać”<sup>527</sup>.

**Przykład 427. Józef Bułatowicz – *Motylek ze szpilek*.  
Fragmenty (1978?)**

O kształceniu  
Niepotrzebnie o studia  
nadal tyle krzyku,  
gdy magister inżynier  
pracuje w butiku<sup>528</sup>.

Tytuł rozprawy doktorskiej  
„Na co czas Polacy tracą  
w pracy poza samą pracą”<sup>529</sup>.

Nagrobek wiecznego studenta  
Ten wieczny student  
jak widzicie,  
wreszcie zaliczył.  
Własne życie<sup>530</sup>.

**Przykład 428. Antoni Hajduk –  
*Jak stary Kubik chodził do szkoły* (1978?)**

W pewnym miasteczku żył sobie starszy już człowiek nazwiskiem Kubik. Żył z żoną w zgodzie, w harmonii, tylko mu zawsze brzęczała w sobotę, jak szedł z wypłatą, że za mało zarabia. Kubik postanowił pójść do zawiadowcy z prośbą, ażeby mu poprawił zarobek. I tak też zrobił. W poniedziałek poszedł do zawia-

<sup>527</sup> Anonim, *Student i kobieta*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Humor śląski, Bery śmieszne i ucieszne*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1978, s. 117. Por. Anonim, *Student i kobieta*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie, czyli humor Górnego Śląska*, Towarzystwo Przyjaciół Opoła, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1991, s. 330–331; Anonim, *Student i kobieta*, [w:] A. Żmuda (oprac.), *Anegdoty Śląskie po raz drugi*, Ad Oculos, Warszawa – Rzeszów 2004, s. 137–138; Anonim, *Student i kobieta*, [w:] B. Skowron (oprac.), *Humor śląski i góralski*, Twoje Wydawnictwo, Warszawa 2011, s. 44–45.

<sup>528</sup> J. Bułatowicz, *O kształceniu*, [w:] tegoż, *Motylek ze szpilek (wybór fraszek z lat 1978–1985)*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987, s. 6.

<sup>529</sup> Tenże, *Tytuł rozprawy doktorskiej*, [w:] tegoż, *Motylek...*, dz. cyt., s. 15.

<sup>530</sup> Tenże, *Nagrobek wiecznego studenta*, [w:] tegoż, *Motylek...*, dz. cyt., s. 34. Por. przykład 495.

dowcę, a zawiadowca mu mówi: – Panie Kubik! Jako ja wam mogą poprawić, kiedy wy inkszej roboty nie potraficie robić, tylko na placu.

– No tak, panie zawiadowco – powiada Kubik – ale młodszy są ode mnie, dopiero przysli i zarabiają więcej ode mnie, a ja już tutaj robię przeszło trzidzieci lat.

– No tak – pado zawiadowca. – Ale, Kubiku, oni poradzą rachować, czytać, pisać, a wy nie potraficie. Oni chodzili do szkoły, a wyście do szkoły nie chodzili. Trzeba było do szkoły chodzić. To byście byli dzisiaj więcej zarobiali.

No, Kubik się zabroł i poszedł do swojich pracy. Ale rozmyśloł po tej pracy, co by zrobić. Mówi: – Aby sobie byt poprawić, to trzeba bydzie do tej szkoły chodzić.

Jak szedł z powrotem, wszedł do sklepu, kupił sobie zeszyt, tabliczka, rysik, elemyntorz i prziszedł do domu. Zjodł kolacjo, zapolił fajka, poszedł spać.

No, rano, o siódmej wstol, zjodł śniodanie, fajkę zapolił, zebroł swoje rzeczy do szkoły i potąpoł.

Przychodzi, a już lekcje się były rozpoczły. Puko na drzwi, wychodzi nauczyciel i pyto się: – No, łociet, co sobie życzycie?

– Panie rehtór, jo przyszoł do szkoły.

– Do szkoły ście przysli? Toście mogli wcześniej przyjsć – powiada. Zamknął drzwi i odeszoł.

Kubik pomysloł, podropoł się za uchem, no, i poszedł do domu.

– Aaa – drogą rozmyśloł – mówi: – Doczkej, to jo jutro przida wcześniej.

I na drugi dzień przyszedł o szóstej rano. Nauczyciel jeszcze społ. Puko na okno, nauczyciel wyjrzoł, widzi tego samego dziada starego, który wczoraj tam u niego był i powiada: – Łociet, jo wam przeca wczoraj mówił, żeście mieli wcześniej przyjsć. I zamknął okno i poszedł.

Kubik idzie do domu, rozmyśloł i pado: – Doczkej, jutro to przida już zaroz po północy.

I tak zrobiol.

Przychodzi, czeko, za chwila wachtyrz pisko dwanoście. Jak odpiskoł to on też już po oknie wali. Nauczyciel wystraszoony, co się po nocy robi, skoczyl do okna, otwiro, patrzy i widzi zaś tego starego dziada.

– Łojciec – powiada. – Nie rozumiecie, że jo wóm padol, żeście mieli wcześniej przyjsć?

– Panie rehtór, wcześni już nie poradzą przyjsć, bo dopiero wachtyrz dwanoście odpiskoł.

– Hę! – nauczyciel się roześmioł i mówi: – Ale suchejcie ino, wyście mieli przyjsć wcześnij, to się nazywo żeście mieli przyjsć do szkoły, jak wam było siedym do szterności lot, a nie teraz – powiada. – Teraz to już za późno. Teraz się już nic nie nauczycie.

Kubik pomyślał, pomyślał, no i poszedł. Idzie taki zamyślony, i naroz kopnył do czegoś, przewrócił się, ale słyszoł, że tam coś brzękło.

– Co tam też może być takiego? – mówi. Wrócił się, patrzy, leży woreczek na szosie. Dźwigo go, dosyć ciężki.

O! Ale tam coś brzęczy w nim. Otwiyro, patrzy, a tam same złocioki po dwadzieścia marek. Uradowoł się, wpakowoł to na ramie, tępie do domu. Prziszeł do domu, wszedeł do komory, wsadził to do beczki, gdzie miół żyto, parę złocioków naturalnie wyciągnął, no, kobiecie nic nie mówił, poszedł spać. I na drugi dzień rano poszedł do roboty.

Tak jak zwykle w sobotę, po drodze jak szedeł do domu z tą wypłata, kupił żonie na zapaskę, kawałek kiełbasy kupił, no tam ciastek prziniósł, i powiado, że dostoł poprawę.

No tak parę razy zrobiół, ale tej kobiecie to podpadło i dowiedziała się, że on poprawy żodnej nie dostoł. I mówi mu: – Ty diobli cyganie stary – powiado. – Skąd ty te pieniądze mosz? Tyś komuś ukrodeł, abo coś, bo tyś wcale poprawy nie dostoł w robocie.

I tak na niego nalegała – długo, aże się ji prziznoł, że znalazł pieniądze.

No i teraz, jak widziała, że on pieniądze mo, to tam ciągle coś wynokwiała i chciała łod niego. To ji tam na jakła mo kupić, to trzewiki nowe, to, to... No, z początku dowoł. Ale się mu to sprzikrzyło i powiado: – Więcej nie dom!

Kobieta się rozzłościła, powiado: – Jak nie dosz, to jo cię zgłoszą na policyjo, żeś znodł pieniądze, a nie łoddoeś.

– A rób, co chcesz! – powiado Kubik.

No i ona od złości poszła i zgłosiła go. On niedługi czas potem miół rozprawa na sądzie. Jego żona za świadka. No, sędzia się go pyto: – Suchejcie ino, łociec, znaleźliście wy pieniądze?

– Tak, panie sędzio, znodech.

– A kiedy to bóło?

– Jakech do szkoły chodziół.

– Jakeście do szkoły chodzili? A wiela wóm to jest lot?

– Pięćdziesiąt sztyry.

Sędzia wejrzoł na ławników, na prokuratora, wszyscy pokiwali głowa – i mówi: – Ta sprawa jest przedawniono – powiado. – Idźcie do domu!

No i tak Kubik wyjechoł, i żył potem z tych pieniędzy do samej śmierci. Żona się z nim pogodziła i żyli spokojnie<sup>531</sup>.

<sup>531</sup> A. Hajduk, *Jak stary Kubik do szkoły chodził*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna...*, dz. cyt., s. 250–252. Por. przykład 373.

**Przykład 429. Jacek Janczarski – *Zabawa szkolna* (1978)**

W najwyraźniej znakomitym nastroju wrócił wieczorem pan Sułek do domu. Podskakiwał nieustannie na jednej nodze, pokazywał język całemu światu i po-dejrzanie podrygiwał w takt podśpiewywanej melodii.

– Ledi ledi ledi ledi ledi la...

– Oho, widzę, że nieźle się pan bawił – zauważyła pani Eliza.

– Ledi ledi ledi la... fantastycznie! – wykrzyknął chłopiec. – Słowo honoru. Ledi ledi ledi la!... – nucił zapamiętane. – Och, ten Cypis, to jest facet! – powiedział z niemym podziwem.

– Ciszej, panie Sułku – uciszała go pani Eliza. – Strasznie głośno pan mówi.

– A komu to przeszkadza? – zapytał pan Sułek czupurnie. – Ledi ledi ledi la... Cypis będzie miał trójkę ze sprawowania! Słowo honoru!

– Na miłość boską, panie Sułku, ciszej! Zupełnie dobrze pana słyszę...

– A ja chcę – perorował – żeby mnie pani słyszała jeszcze lepiej! O wiele lepiej! Raz się żyje!!! „Za zdrowie pań, za zdrowie, szampana pijmy aż do dna, panowie...” – nucił bawolim głosem. – Wyleją go ze szkoły chyba! Jak nic wyleją!

– Cypisa? – spytała pani Eliza.

– A kogo? To jest ktoś! – powiedział pan Sułek z zazdrością.

– Cypis?

– A kto? Mój najbliższy przyjaciel. Jest mały wzrostem, ale...

– Widzę, panie Sułku, że zabawił się pan na tej szkolnej zabawie, prawda?

– Zabawiłem.

– Nie jestem pewna, czy pan był na zabawie szkolnej... – powiedziała, kładąc nacisk na ostatnim słowie.

– Dlaczego niby? – zainteresował się chłopiec.

– Czuć od pana – powąchała – alkohol, panie Sułku.

– Co?

– Urznął się pan, panie Sułku, w kij!

– Ja?... Ja...? – wybełkotał.

– Tak. Pan.

– Jedliśmy jabłka – zaczął tłumaczyć.

– Ach, rozumiem. Sfermentowały i skutek gotowy.

– Jaki skutek? – zatoczył się, pytając.

– Rozebrało pana trochę. To zaraz przejdzie, panie Sułku jedyny. Niech się pan położy – radziła całkiem już uspokojona pani Eliza.

– Nigdy! – zaprotestował.

– No, mój mały... Niech mi pan opowie o tej waszej zabawie. Umieram z ciekawości, prawda? – spytała, umierając z ciekawości.

– Hm... – zastanowił się pan Sułek – od czego by tu zacząć?... Tak... Było tak: najpierw część artystyczna...

– Na czym ona polegała, panie Sułku, z grubsza?

– Przygotowaliśmy piosenki i skecze z życia naszej szkoły.

– Boże, naprawdę? – zainteresowała się pani Eliza nie na żarty.

– Słowo honoru – zapewnił ją chłopak. – Ja ułożyłem kilka satyrycznych fraszek na naszych wykładowców.

– Sam pan tego chyba nie ułożył? Znam pana... – powiedziała stanowczo.

– Co?! – oburzył się pan Sułek. – Sam nie ułożyłem?! A kto ułożył takie coś na matematyka?...

– Jakie coś, panie Sułku?

– Zaraz... zaraz... jak to było? – szukał w pamięci. – Wiem: „Nasz matematyk jest jak patyk!”.

– Dlaczego jak patyk? – spytała poważnie pani Eliza.

– Bo jest chudy – wyjaśnił chłopiec. – Stąd ten patyk.

– Nieźle panu to wyszło – powiedziała niepewnie pani Eliza.

– No – potwierdził pan Sułek. – Wszyscy konali ze śmiechu.

– A matematyk?

– Co... matematyk?

– Też konał ze śmiechu?

– Hm... trochę mniej niż inni. Albo takie coś na panią od fizyki: „Nasza fizyczka jest jak perliczka!”.

– To też pana utwór? – zaniepokoiła się pani Eliza.

– Mój własny – potwierdził jej obawy. – Bo – wyjaśnił – fizyczka jest piegowata. Stąd ta perliczka. O raju, wszyscy konali ze śmiechu. Cypisowi zrobiło się aż niedobrze, tak wył ze śmiechu. Wynieśli go.

– Krótco bawił się pana kolega... – wyciągnęła słuszny wniosek.

– Potem go wnieśli na jego własne życzenie. Musiało przecież dojść do występu Cypisa...

– To Cypis też występował? Nie wiedziałam o tym, prawda?

– A nigdy, skąd miałyby pani wiedzieć?...

– Też racja. Więc, jak to było z występem kolegi Cypisa? – spytała pani Eliza dla formalności.

– Nie kolegi – sprostował pan Sułek – a najbliższego przyjaciela. Niech pani się liczy ze słowami! Otóż Cypis poszedł na całość!

– Boże święty... – westchnęła pani Eliza ciężko.

– To jest facet! Wygarnął prosto z mostu dyrektorowi!  
– Niemożliwe!...  
– Niemożliwe? Niech pani posłucha. Powiedział taką fraszkę własnego pomysłu: „Nasz dyrektor jest mamutem!”.

W tym momencie pan Sułek ryknął zdrowym śmiechem. Długo nie mógł się opanować. Śmiechem swym zaraził nawet do pewnego stopnia panią Elizę.

– Ho ho ho!... I co na to dyrektor? – spytała.  
– Nic. Wyznaczył Cypisowi spotkanie na jutro. Z rodzicami.  
– A co na to Cypis? – spytała pani Eliza, chichocząc niezdrawo.  
– Nic – odpowiedział pan Sułek. – Powtarzał tylko w kółko: mamut, mamut, mamut...

– A co było potem, panie Sułku jedyny?  
– Potem zaczęła się prawdziwa zabawa: kóleczek, koszyczek, przeplatan-ka, białe tango...

– Która koleżanka poprosiła pana do białego tanga? – spytała pani Eliza z błyskiem zazdrości w lewym oku, którym zresztą łąpnęła ni z tego, ni z owego.

– Wszystkie!!! – wrzasnął chłopiec. – Tłok się zrobił przy mnie i przy Cypisie. Gdyby nie dyżurni, pogniotłyby nas.

– Pogniotły – sprostowała pani Eliza.  
– No! Już bym nie żył, gdyby nie dyżurni... Tak to wyglądało.  
– Uduśiłyby pana, prawda, panie Sułku? – dręczyła się dziewczyna.  
– Niewykluczone – nie wykluczył tej możliwości chłopak. – Słowo honoru!

Ledi ledi ledi la... – zanucił znieńcka.

– Nie zatańczyłby pan ze mną? – spytała nieśmiało pani Eliza.  
– Po co? – spytał zdziwiony. – Zabawa skończona.  
– Ale ot tak, jak to narzeczeni... – namawiała, jak umiała.  
– Cicho. Cypisowi żadna nie odmówiła – kontynuował opowiadanie. – Podchodził i mówił: chodź no, maleńka!

– I szły?  
– Jak do miodu. Jedna za drugą, chociaż Cypis nie jest wysoki. Jest mały raczej. O, gdzieś dotąd – pokazał – mi sięga. No, może – pokazał jeszcze raz – niżej. Może gdzieś dotąd...

– Nie jest z nim aż tak źle – powiedziała pani Eliza, śledząc ruch ręki pana Sułka z niepokojem. – Właściwie – dodała, patrząc jak najęta – spory z niego kawał chłopca.

– Mężczyzna, pani Elizo, nie musi czarować urodą – powiedział poważnie pan Sułek. – Cypis na przykład zyskuje przy bliższym poznaniu. Wyleją go jak nic. To jest facet!

– No i jak to się wszystko właściwie skończyło, panie Sułku kochany?  
 – Ciiicho. Potem – opowiadał – zepsuł się adapter. Właściwie to Cypis go zepsuł. No i światło wysiadło, a właściwie to Cypis zepsuł światło. Po prostu wsadził drut do kontaktu i nastąpiło spięcie.

– Czy wtedy panowie wynieśli Cypisa? – domyślała się, jak mogła, pani Eliza.  
 – Chcieli. Niech pani spróbuje wynieść Cypisa! Wybił cztery szyby, stłukł żyrandol, połamał kilka ławek, podarł rajstopy Marysi...

– Jakiej Marysi?  
 – Koleżanka z klasy... następnie wyrwał kaloryfer ze ściany, wybił dziurę w suficie pracowni fizycznej, zjadł preparat zaskrońca razem z probówką pełną formaliny, napisał w ubikacji... i został spokojnie na zabawie. Aha, jeszcze wypalił cztery carmeny, jeden po drugim. Zrobiło mu się niedobrze, ale został. Słowo honoru – powiedział z podziwem pan Sułek – to jest ktoś!...

– Właściwie – zauważyła pani Eliza – nie miał już po co zostawać. Zabawa była skończona...

– Tak – potwierdził pan Sułek. – Posiedzieliśmy jeszcze trochę i poszliśmy do domów. I oto jestem...

– Jak to dobrze, panie Sułku... – szepnęła kobieta, oddychając z ulgą.  
 – Jak to miło mieć pana w domu... Kocham... – zaczęła wyznanie.

– Cicho – przerwał jej z niesmakiem. – Chodź no, maleńka! – powiedział znacząco.

– To do mnie? – zdziwiła się pani Eliza.

– A skąd. Cypis tak mówi. Ciiicho...

W kilka dni potem pani Eliza i pan Sułek dowiedzieli się, że Cypisa wzięt na swoje utrzymanie nieoceniony gajowy Marucha. Gajowy postanowił w leśnych warunkach wychować młodego, trudnego człowieka. Gajowy ponadto był pewien, że albo mu się to uda, albo nie...<sup>532</sup>

### **Przykład 430. Jacek Janczarski – *Korepetycje – język polski* (1978)**

Ponieważ koniec roku szkolnego zbliżał się jak na złość wielkimi krokami, zaszła konieczność zaangażowania wytrawnej korepetytorki dla pana Sułka. Doświadczona ta osoba, w zamian za mieszkanie i wyżywienie, zgodziła się pomagać panu Sułkowi we wszystkich, praktycznie, przedmiotach. Na czas lekcji pani Eliza udała się dyskretnie do doktora Wałaszewskiego...

Kiedy korepetytorka z panem Sułkiem zasiedli do nauki, chłopiec miał akurat bardzo wiele do powiedzenia na temat bardzo ciekawych wydarzeń.

<sup>532</sup> J. Janczarski, *Zabawa szkolna*, [w:] tegoż, *Kocham pana panie Sułku*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1978, s. 126–130.



– ... Cypis z tej, a ja z tamtej! – pokazywał. – I tak na zmianę: jak on z tamtej, to ja z tej! Ale było śmiechu!... – śmiał się serdecznie.

– No – powiedziała pani korepetytorka – my tu sobie gadu, gadu, panie Sułeczku, a czas nagli. Zaczynamy.

– Zaraz – przerwał jej chłopiec. – Na drugiej przerwie – opowiadał dalej – od początku: ja z tej, on z tamtej. To ja, to Cypis... Nagle wchodzi dyrektor...

– Opowie mi pan resztę innym razem, panie Sułku – powiedziała spokojnie kobieta. – Zaczynamy.

– Zaraz. Wchodzi dyrektor, a tu ani mnie, ani Cypisa. Cicho, spokój... cisza...

– Panie Sułeczku drogi, czas na nas. Bardzo pana proszę – powiedziała z naciskiem pani korepetytorka.

– Ledwie wyszedł – kontynuował chłopiec – a my od nowa... Raz Cypis, raz ja. Łeb w łeb! Słowo honoru!

– Wierzę panu – powiedziała kobieta ze spokojem. – To wszystko jest szalenie zajmujące – dodała.

– Lubię szkołę... – westchnął pan Sułek.

– No właśnie, i dlatego, panie Sułeczku, powinien się pan podciągnąć. Przy odrobinie dobrej woli zda pan na pewno. Jest pan zdolny...

– Wiem – odparł po prostu.

– I inteligentny – próbowała rozbudzić w nim zapał do nauki.

– No i... kulturalny – powiedział w uzupełnieniu pan Sułek.

– Wszystko to razem predysponuje pana...

– Co to, to nie! – zaprzeczył gorąco.

– Nie zrozumiał pan! Chciałam tylko powiedzieć, że z łatwością mógłby pan być pierwszym uczniem w klasie.

– Co to, to tak – powiedział pan Sułek po namyśle.

– A nie ostatnim, jak to ma miejsce.

– O, nie... – sprostował szybko – Cypis jest ostatni. Ja zaraz przedtem. O włos. Łeb w łeb!

– Cypis też powinien się podciągnąć. Jest zdolny – powiedziała kobieta z przekonaniem.

– Jest bardzo zdolny – dodał chłopiec.

– Zaczynamy, panie Sułeczku – powiedziała kobieta, kartkując rozłożony zeszyt w jedną linię. – Co tam z polskiego?

– Wyrazy na „dor” – poinformował pan Sułek.

– Nie rozumiem – rzekła kobieta, nie rozumiejąc rzeczywiście.

– Ułożyć wyrazy kończące się na „dor” – wyjaśnił pan Sułek niecierpliwie.

– No dobrze. Ułożył pan?

- Ułożyłem.
  - No, panie Sułeczku, niech pan przeczyta...
- Pan Sułek pochylił się nad zeszytem.
- Matador... – przeczytał pierwszy wyraz.
  - Dobrze.
  - Torreador.
  - Dobrze.
  - Pikador.
  - Dobrze. Świetnie! – ucieszyła się kobieta.
  - ...i Izydor. Koniec.
  - Bardzo poprawnie. Tak... To wszystko z polskiego? – spytała pogodnie.
  - Nie.
  - A co tam jeszcze zadali?
  - Fragment na pamięć.
  - Jaki to fragment?
  - Wszystko jedno – powiedział pan Sułek z rezygnacją.
  - Niemożliwe, panie Sułeczku – zdziwiła się pani korepetytorka.
  - Pani nie mówiła. Ma to być fragment na pamięć. Słowo honoru!
  - I ani słowa o tym, jaki to ma być fragment? Niemożliwe... – dziwiła się kobieta nie po raz pierwszy.
- Ani słowa – potwierdził pan Sułek. – Prawdę powiedziawszy, pani nie dokończyła myśli... Cypis w tym momencie zwariował i trzeba go było wynieść.
- Jak to zwariował? – przeraziła się pani korepetytorka. – To straszne!...
  - Zawsze pod koniec lekcji – wyjaśniał chłopiec – Cypis udaje wariata. Wynosi się go i zaraz jest dzwonek. Tak, że nie wiem ani ja, ani nikt w klasie, jaki to ma być fragment...
- No cóż – powiedziała kobieta – spróbujemy coś dobrać, panie Sułeczku... Coś prostego, bo nie da pan rady. Coś znanego... coś – szukała w myślach – oczywistego, coś wartościowego...
- I żeby było do wiersza – zaproponował pan Sułek. – Prozy nie lubię.
  - Hmm... A może to:
- Jak tam w lesie coś huknęło,  
jak pod dębem coś stuknęło,  
komar upadł na kamienie,  
potłukł głowę i golenie.
- Nagle pan Sułek ryknął takim śmiechem, że zachodziła poważna obawa, że zrobi mu się niedobrze. Wył, skręcał się ze śmiechu jak opętany.
- Z czego pan się tak śmieje?... – spytała niepewnie pani korepetytorka.

- Ha ha ha ha ha!... z tego komara! – wyjaśnił wreszcie, krztusząc się.
- To rzeczywiście śmieszny fragment – przyznała, nie wątpiąc kobieta.
- Nie sądziłam jednak, że aż do tego stopnia – dodała z niepokojem.
  - Bo się pani nie zna na żartach – powiedział bez ogródek pan Sułek.
- Ha ha ha ha ha! „Jak tam w gaju coś nie grzotnie, a to komar złamał gna-ta!” – wyrecytował.
- Nie tak, panie Sułeczku, nie tak... Niech pan powtarza: „Jak tam w lesie coś huknęło...”.
- „Jak tam w lesie coś huknęło...” – powtórzył posłusznie.
- „Jak pod dębem coś stuknęło...” – podpowiadała tekst.
- Drugi raz? – spytał chłopiec, nie rozumiejąc.
- Co... drugi raz?
- Dwa razy to samo? – spytał.
- Nie, panie Sułeczku – wyjaśniła kobieta. – Podobnie, ale nie tak samo. Niech pan posłucha... Jak tam w lesie coś huknęło, jak pod dębem coś stuknęło...
  - Aha – powiedział pan Sułek – rzeczywiście ma pani rację, „Jak tam w dębie coś huknęło, jak pod lasem coś grzotnęło...” – powiedział z triumfem.
- Dobrze?
  - Prawie, prawie – szepnęła pani korepetytorka. – Ale niezupełnie.
  - A co było źle? – spytał pełen dobrej woli chłopak.
  - Właściwie wszystko, panie Sułeczku. No, jeszcze raz! – powiedziała bez zapału. – Jeszcze raz powtórzmy:  
Jak tam w lesie coś huknęło,  
jak pod dębem coś stuknęło,  
komar upadł na kamienie,  
potłukł głowę i golenie.
- Ha ha ha ha ha!!! – zaśmiał się pan Sułek zdrowo. Kobieta spojrzała na niego z tłumionym niesmakiem.
  - Nie, panie Sułeczku, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Niech pan tak nie ryczy ze śmiechu. W ten sposób nigdy nie nauczy się pan tego bardzo prostego fragmentu. No, panie Sułeczku, niech pan się stara powtórzyć...
    - Całość? – zapytał na wszelki wypadek.
    - Jeżeli pan zdoła...
    - „Jak nie pieprznie coś na dębie!...” – zaczął chłopiec.
    - Już źle! – przerwała mu kobieta.
    - Już? – zdziwił się pan Sułek.
    - Początek jest nieco inny – powiedziała, chrypnąc. – „Jak tam w lesie coś huknęło...”

– Zaraz – powiedział pan Sułek. – Jak to było?  
 – „Jak tam w lesie coś huknęło...” – powtórzyła. Dreszcz przeszył całe jej ciało od stóp do głowy.  
 – A o tym dębie? – dopytywał chłopiec.  
 – „Jak pod dębem coś stuknęło...” – powiedziała pani korepetytorka, pocąc się obficie.  
 – A to komar zleciał, tak? – domyślił się pan Sułek.  
 – A to komar... – zaczęła. – Nie, zaraz... zaraz... „Komar upadł na korzenie”.  
 – I złamał... – podpowiadał teraz pan Sułek.  
 – „Potłukł głowę i golenie” – powiedziała kobieta, tracąc przytomność.  
 – Uuuuf nie wchodzi mi to do głowy – zauważył chłopak. – No. Szkoda – martwił się. – Szkoda, bo to ładny i zabawny fragment. Cypisa pokręciłoby chyba ze śmiechu. Szkoda. Słowo honoru.

W zamyśleniu powtarzał pan Sułek to, co zdołał w swoim przekonaniu zapamiętać. – A to komar upadł na kamienie, potłukł gnaty i piszczele...

Pani korepetytorka ocknęła się w tym momencie z omdlenia.

– Żle! Żle! Bardzo źle! Fatalnie, panie Sułku!  
 – Niech pani tak nie krzyczy... Staram się, jak mogę, pracuję jak bawół...  
 – I pamięć ma pan także nie lepszą niż bawół! Nie może pan zapamiętać prostego zdania: „Jak tam w dębie coś nie rąbnie!”  
 – Oho... – zauważył pan Sułek – nie dam głowy, ale chyba to nie tak było.  
 – A jak ja powiedziałam?! – wrzasnęła kobieta.  
 – „Jak tam gruchnie gdzieś na dębie...” Nie dam głowy – nie dawał głowy pan Sułek – ale tam chyba nie tak było...

– No pewnie, że nie tak!!! – ryknęła wściekle pani korepetytorka. – Było tak: „jak tam komar... jak tam w dębie... jak tam korzenie... jak tam w lesie...”. Wszystko mi pan poplątał! Zwariować można!...

– Zawsze to powtarzam – powiedział spokojnie pan Sułek. – Szkoła to wariactwo. Tak samo zresztą powtarza Cypis... – dodał triumfalnie.

Czas było jednak kończyć odrabianie zadanych lekcji z języka polskiego i brać się czym prędzej do matematyki. Zwłaszcza, że gajowy Marucha już dawno przyszedł, aby posłuchać lekcji matematyki na zasadzie wolnego słuchacza... Gajowemu bardzo odpowiadała taka forma samokształcenia i podnoszenia swoich leśnych kwalifikacji<sup>533</sup>.

<sup>533</sup> Tenże, *Korepetycje – język polski*, [w:] tegoż, *Kocham...*, dz. cyt., s. 130–135.

**Przykład 431. Jacek Janczarski – *Korepetycje – przyroda* (1978)**

Dziś pani korepetytorka postanowiła stanowczo podciągnąć pana Sułka z przyrody. Zaniebdany ten przedmiot należało, jej zdaniem, przerobić od samych, jak to się mówi, podstaw. Tylko takie bowiem podejście do zagadnienia rokowało cię szansy powodzenia. Pan Sułek, jak zwykle, nie kwapił się do tego podciągania, kwapił się natomiast do opowiadania niezwykle ciekawych wydarzeń z życia swojej macierzystej szkoły.

– Wtedy Cypis – opowiadał chłopiec – chwycił w obie ręce ten róg antylopy gnu z pracowni biologicznej, przycisnął go do ust, nadął się jak bania, oczy mu się zamglily z wysiłku...

– Panie Sułeczku – przerwała pani korepetytorka – na nas już czas...

– ...i jak nie zatrąbił! – opowiadał dalej pan Sułek. – Jak nie zabuczy! Jak nie ryknie! Bębunki pękały w uszach wszystkim naokoło! Słowo honoru! Działy się rzeczy straszne. Przede wszystkim pani od biologii rąbnęła na ziemię jak długa. Za nią kolejno koleżanki, dyżurni i ci koledzy, którzy stali najbliżej! Słowo honoru...

– No właśnie – przerwała łagodnie pani korepetytorka – no właśnie, a propos przyrody, panie Sułeczku... zdaje się, że nie najlepiej stoi pan z przyrody?...

– Nie wiem – powiedział pan Sułek na odczepnego. – Następnie – kontynuował – przyniesiono Cypisowi, na jego własne żądanie, z pracowni muzycznej zwykle cymbały... Wszyscy, ale to wszyscy prosili, żeby na nich zagrał. A on, że nie nastrojone, że dawno nie grał... A oni...

– Weźmy się wobec tego ostro do przyrody – ciągnęła kobieta.

– A on, że wstydzi się koleżanek... aż wreszcie...

– Wiem, panie Sułeczku, jak to się skończyło – powiedziała nieoczekiwanie pani korepetytorka.

– A to niby skąd?! – zbaraniał chłopiec.

– Znam, panie Sułeczku, Pana Tadeusza.

– Jakiego pana Tadeusza?

– Pan Tadeusz to utwór, a właściwie poemat, Adama Mickiewicza...

– Nie przerabialiśmy – powiedział szybko pan Sułek.

– Tak myślałam – westchnęła pani korepetytorka. – W przeciwnym razie wiedziałby pan, że Cypis jest pod ogromnym wrażeniem tego dzieła literatury polskiej. Gdybyście to już przerabiali, wiedziałby pan, że pana kolega, panie Sułeczku, nieustannie wciela się w postaci bohaterów tego eposu. Kto czytał Pana Tadeusza, ten wie, że początkowo miły Cypis trąbił jak Wojski, a następnie bębnił jak Jankiel...

– Nie wiedziałem o tym. Słowo honoru – powiedział nie pewnie pan Sułek.

– A jednak coś tu nie gra. Jest w tym jakaś bujda.

- Co pan ma na myśli?
- Przecież Cypis też nie przerabiał tego... tam... jak mu?...
- Pana Tadeusza – podrzuciła kobieta.
- W takim razie skąd może to znać, co?
- Nie wiem, panie Sułeczku, nie wiem, lecz sądzą, że jego opiekun, gajowy Marucha, może przecież mieć w gajówce zbiorowe wydanie dzieł Adama Mickiewicza...
- Możliwe – przyznał pan Sułek.
- Sądzę także – rozumowała logicznie pani korepetytorka – że Cypis mógł, choćby przez pomyłkę, przeczytać to lub owo...
- Tak – powiedział pan Sułek – musiało do tego dojść.
- Nie świadczy to najgorzej o pańskim przyjacielu, panie Sułeczku.
- Ha ha ha... dlaczego? – uśmieł się chłopiec.
- Pan też powinien czytać jak najwięcej. To rozwija... No, do roboty, jak to wy mówicie. Co z tą przyrodą?
- Same przekroje – powiedział pan Sułek stanowczo.
- Nie rozumiem.
- Tu nie ma nic do rozumienia. Pani zadała nam dwa przekroje: cebuli i dżdżownicy...
- Spory – zauważyła kobieta – materiał do opanowania...
- Nie – nie zgodził się pan Sułek.
- Tak pan sądzi? – ironizowała pani korepetytorka.
- Tak. Przekroi się jedno i drugie, i zobaczy się, co tam może być w środku. Słowo honoru.
- Sądzę – powiedziała drżącym głosem kobieta – że wystarczy nam teoretyczne opanowanie tematu...
- A ja nie sądzę – nie sądził pan Sułek. – Dlatego będziemy – powiedział z naciskiem – kroić i cebulę, i dżdżownicę! Jak nie obejrzą sobie dokładnie, co tam może być w środku, nic z nauki. Taki jestem. Słowo honoru.
- Kobiecie zrobiło się, delikatnie mówiąc, nieswojo...
- Możemy przecież – proponowała – ostatecznie skorzystać z rysunków... W podręczniku są odpowiednie rysunki. Nie krójmy, panie Sułeczku, zwłaszcza dżdżownicy... Proszę pana...
- Od czego zaczniemy? – spytał ostro pan Sułek.
- Przekrójmy sobie, ostatecznie, panie Sułeczku, cebulę i skończmy, panie Sułeczku kochany, na dziś z przyrodą. Nie pędźmy tak do przodu, panie Sułeczku najdroższy, z materiałem. To za duże tempo... – powiedziała pojednawczo pani korepetytorka.

– A dżdżownica? – zapytał zdezorientowany chłopiec.

– Dajmy jej spokój.

– I dwójka murowana. Miałem się podciągnąć, tak? – spytał rozżalony. – Pani miała mi w tym pomóc, tak? Za mieszkanie i utrzymanie obiecała mi pani dawać korepetycje ze wszystkiego, tak?

– No tak... to prawda – ze skrucną stwierdziła kobieta.

– A pani nic, tylko odciąga mnie od nauki, zamiast mnie przyciągać...

– Ależ nie – zaprotestowała – przyciągam pana, jak tylko umiem.

Pan Sułek włożył ręką do kieszeni i wyciągnął z niej kłębek dżdżownic pętający się i zwijający na okrętkę.

– O – pokazał – mam tutaj kilka dżdżownic... Dobre będą?

– Brr... – zadrżała kobieta. – Niech pan je trzyma przy sobie...

– Dobre czy niedobre? – spytał stanowczo.

– Dobre, dobre... – szeptała. – Nawet bardzo dobre... znakomite... świetne...

Z tym że może zacznijmy jednak od przekroju cebuli... Najpierw cebula, panie Sułeczku najśłodszy... – chwyciła się ostatniej szansy.

– Mnie tam bez różnicy – rzekł obojętnie.

– I poświęćmy temu jak najwięcej czasu, panie Sułeczku. Ostatecznie przekrój cebuli bardzo przypomina przekrój dżdżownicy.

– To się jeszcze okaże. Słowo honoru – powiedział pan Sułek spokojnie.

– O ile wiem – mówiła naukowo pani korepetytorka – cebula także należy do rzędu pierścienic... Budową – mówiła elokwentnie – i kształtem cebula przypomina nam dżdżownicę.

– Nie, tego mi pani nie powie – powiedział pan Sułek. Trzymał teraz w jednej ręce cebulę, w drugiej zaś dżdżownicę. – O, proszę... niech pani tylko spojrzy!...

– Niepotrzebnie, panie Sułeczku, ściska pan z całej siły jedno i drugie...

Pani korepetytorce krew odpływała szybko z twarzy. Słaniała się na nogach na dobre.

– Racja – powiedział chłopiec. – Cebula nie ucieknie. No, ale dżdżownicę ściskam słusznie. Mnie to robił nie na bierze! Stój!!! – wrzasnął chłopiec do wijącej się dżdżownicy. – Stój!!! Ho ho ho... chciała mi się wyślizgnąć ta świnią. No i co? – spojrział na bladą kobietę. – Czy dalej pani sądzi, że jedno przypomina drugie?

– Do pewnego stopnia – szepnęła nauczycielka – wszystko przypomina wszystko...

– Ale nie cebula dżdżownicę. Tak właśnie sądzę. Słowo honoru. Zresztą przekroi się i porówna szczegółowo.

– Dobrze... – zadrżała kobieta – przekroimy i porównamy...

– Weźmiemy na język – dorzucił chłopiec.  
 – O nie!!! Nigdy!!! – ryknęła ostatkiem sił kobieta.  
 – Powąchamy... rozmiarzdzimy... weźmiemy tak zwany rozmaz... – dręczył ją coraz bardziej pan Sułek.

– Boże, Boże... – szeptała pani korepetytorka.

W tym momencie pan Sułek chwycił za nóż i wprawnym ruchem rozpołowił cebulę.

– No i mamy przekrój... – powiedział ze łzami w oczach. – Cebula – płakał – ma, jak widać, słoje... jak sosna...

– Składa się ona – płakała także pani korepetytorka – panie Sułeczku, z pierścieni ułożonych koncentrycznie...

– Jak? – spytał chłopiec przez łyż.

– Koncentrycznie – załkała kobieta. – W środku mniejsze, potem większe i tak dalej, i tak dalej...

Pochlipując, rozglądał się pan Sułek wokół siebie z rosnącym niepokojem.

– Zaraz, zaraz... a gdzie moja dżdżownica?! – krzyknął.

Cichutko, żeby nie przeszkadzać w lekcji, wszedł do mieszkania gajowy Marucha, przydeptując mocno przygotowaną w charakterze pomocy naukowej okazałą dżdżownicę. Poproszony, gajowy siadł swobodnie w miednicy pełnej śmietany i płakał chętnie, przypatrując się przekrojowi cebuli...<sup>534</sup>

### **Przykład 432. Franciszek Juroszek z Istebnej – *Jak zostałem „Quovadisem” (1978?)***

Po pierwszej wojnie światowej było tysiąc dziewięćset dwadzieścia dwa roków – no już ostatni rok chodzili my do szkoły. I też potem przyszły ty plebiscyty, przyszedł do nas jakisi zespół. Nie wiem, skąd to był, a łodgrywali „Bartosza” Kościuszko pod Racławicami. My się im dziwali, jako pięknie spiwali:

„Bartoszu, Bartoszu,  
 Oj nie traćwa nadziei...”

Tak spiwali, a jeszcze rozmaite polskie pieśniczki. Bo nóm się to strasznie podobało, jako też odegrać takiego „Bartosza”. Ale my ni mieli z czego.

Pytółech tam taki sómsiadki – u nas służyła na probostwie – coby mi też tam u wielebnego jaki książki sóm, przyniesła.

Ona mi przyniesła takóm książkę – było pisane: Henryk Sienkiewicz, *Quo vadis*.

<sup>534</sup> Tenże, *Korepetycje – przyroda*, [w:] tegoż, *Kocham...*, dz. cyt., s. 135–139.



Ale to była szumno książka! Bo z łobrozkami, wszecko były wymalowane. I tak my się pozbiyrali i już my łostatni rok mieli do szkoły chodzić i zrobić taki przedstawieni.

Toż teraz już ty role rozdowali. My nie pisali roli, ale tak się na spamięć uczyli. Jo miół być tym Quovadisem.

Bo Sienkiewicz się nóm bardzo nie podobał. Nie chciołech być tym Sienkiewiczem, bo my tak na łobrozku widzieli: z okolorów się tak surowo patrzył, brodym miół takóm gestom, to powiadom: – Lepszi już bydym Quovadisem.

Nerona my wybrali, wszecko, Ligiym, Ursusa, Winicjusza... Toż to było, wiyecie, na polu my to łodgrywali w taki dolinie przy potoku.

A teraz chcielimy od tych chrześcijan jakosi, coby się polili. Toż za łorstwiami z tymi łętami postawili my takich chłopców, iże jak się byndóm polić ty łorstwie, coby jęczeni a narzekali.

A Neronowi my zrobili harfem z takiego zardzewianego drutu, ponaciągali to – łógromnie szpatnie grało.

Choćby byt jaki człowiek śmiały, gdyby tak był w nocy zagroł na tym, to by się wystraszył, byłby uciekoł.

Toż Neron zaczón grać, a my spiwali pretorianie, wszecy my spiwali;  
„Z dymem pożarów,  
z kurzem krwi bratniej...” – bo my inszego nie umieli.

To nóm ogromnie spasowało! Bo tu się krzestianie polili, a my spiwali.

Potem przyszło w cyrku Colosseum – takóm dolinym my też mieli na to, krowy my mieli, bo my paśli krowy. Wziyni my tom Ligiym, ona nie chciała być tak na rogach jako ta prawdziwe Ligia, bo ta jyny miała takóm łopaskym tu przez poły łobleczónom, i jóm było gańba. Toż my potem zostawili, że w koszuli już to może być. No, toż w koszuli.

I wziyni my takóm dobrom jałówkym. Jóm posadzili na rogi tej jałówce, ale cóż? Jałówka ni kroku nie zrobiła; Ursus był gotowy, legła se na zym z Ligióm.

No, wziyni my silniejszóm krowym. Taki rogi miała do wińca jako siodło, toż se siedła na te rogi ta Ligia; krowa poczuła, iże mo na rogach tom dziewczynym, wioł Tam! Widziała trześnie, toż do tych drzew – stąd Ligia zeskoczyła, ale tak jakosi nieszczęśliwie, iże koszula została krowie na rogach, a Ligia uciekała tam do krzoków. Pretorianie za nióm wszecy, coby jóm ratować.

A Winicjusz już stanół z halabardom, powiado: – Ani kroku, bo wszeckich zabijym.

Toż to nóm się tak niy udało, ale jeszcze to łobyło.

Potym trzeba było ucztym na stawach Agrypy!

No, toż to tam nie było ło tyn prowiant tak źle, bo my w dóna wzieni jajka, pobrali z gniazdów kurom, a łowoc też był w łogrodach – śliwki, jabłka – toż jako my mogli, tym ucztym stworzyli.

A tom tratwym, to my wzyini ze stodoły drzwi, sjyni z takij wielkij i postawili. Taki był stów i na tyn stów my dali ty drzwi.

Ale toż to ino ci lepsi mieli być przy tej uczcie, bo tam mało ta tratwa była: toż ta Ligia, Ursus, Neron, no i jo też, jako ten Quovadis.

Zaczyni my tam ucztym łodprawiać. Gdosi skoczól na tom tratwym, i wszecko poszło do wody. A tyn prowiant cały, co my mieli na tej uczcie, toż wszecko po wodzie pływało. No, to się już nie skończyło dobrze, ale cosi z tego było.

Ale potem my mieli wyprask we szkole. Gdosi tam donióśł, iże tam sago dziewczynka były, a łostrówki my spolili... No toż, prziszli my do szkoły, tam już siedziół kierownik i jeszcze nasz nauczyciel. I zaroz nas tam wołajóm ku stołu, jaki to było.

Zbiyrają świadców, a my, co byli winni, toż my się już tak jyny cofali, zadkym ku dźwiyrzóm.

A jak my byli blisko dźwiyrzich, toż wszyscy do pola, i więcej ech już do szkoły nie szeł, takech skończył szkole<sup>535</sup>.

**Przykład 433. Stefan Friedmann, Jonasz Kofta – *Egzamin*.  
Słuchowisko z Polskiego Radia  
z cyklu „Fachowcy” (1978)**

– Tak więc, docent, zbliża się wreszcie długo oczekiwana chwila, w której zrobisz krok do przodu, przedzierzgiwując się z poczwarnego terminatora w solidnego czeladnika. Nie muszę ci chyba mówić, jak wielka to rzecz i co się z tym wiąże. Przede wszystkim – pieniądze, chociaż wiem, że jesteś idealista i pieniądze nie przedstawiają dla ciebie wartości.

– Dlaczego, ja bardzo... chętnie...

– Nie przedstawiają wartości; najlepszy dowód, że do tej pory nie wzięłeś ani jednej pensji.

– Nie wzięłem, bo pan majster mi...

– Więc sam mówisz, że nie wzięłeś, to bardzo ładnie z twojej strony. Teraz będziesz też mógł nie brać, tylko dużo więcej. Ale żeby stało się to, o czym mówię, musisz co?... docent?

– Zdać egzamin.

<sup>535</sup> F. Juroszek, *Jak zostałem „Quovadisem”*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna...*, dz. cyt., s. 99–101. Por. tenże, *Jak zostałem „Quovadisem”*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdody...*, dz. cyt., s. 194–196.

– Tak jest. Tylko takie głupstwo jak egzamin teoretyczny i praktyczny dzieli cię od wejścia w nowy, lepszy świat. A wiesz, gdzie się zbierają czeladnicy?

– Nie, panie majster.

– Już nie w RYJO, tylko w porządnym BRUDASIE trzeciej kategorii, na siedząco.

– Na siedząco?

– A coś ty myślał? Jak widzisz, jest o co walczyć. Tak więc teoretyjka, potem praktyczka i jesteś, docent, człowiekiem. Torbę nosisz o połowę lżejszą i masz do dyspozycji terminatora.

– A gdzie on?

– Na razie nie ma. Ale kto wie, jak ci się zacznie lepiej powodzić, czy sobie takiego przyręcznego nie wynajmiesz. Ale coś ty tak zbladł?

– Tremę mam, panie majster.

– Nie wygłupiaj się. Uczyłeś się?

– Tak, panie majster. Nocami.

– Jakżeś się uczył, to umiesz. Tylko spokojnie, bo to egzamin czeladniczy, a nie obrona pracy doktorskiej.

– Pan majster nie żartuje. Wolałbym sto razy bronić.

– Nie teoryzuj, docent, tylko zaczynamy, bo czasu zostało mało. Co chcesz?

– Mogę prosić o szklankę wody?

– Nalej sobie. Nie dokręcaj za mocno... No, widzisz, zgmiotłeś pakunek w uszczelce... Dobrze się składa, na praktycznym zmienisz uszczelkę, na razie teoria. Gotowy?

– Tak.

– Ciągnij pytania. Masz minutę na zastanowienie. Rozumiesz?

– Tak jest. Można otworzyć okno? Strasznie mi duszno.

– Nie, bo kartki sfruną. Proszę... kartki do wyboru...

– Może tę... nie, tę... albo nie, zaraz, może tę... panie majster, mogę usiąść?

– A siadaj. Wyciągnąłeś?

– Tak.

– To zaczynaj.

– Czytam pytania:

1. *Posadzkarstwo w epoce Odrodzenia. Scharakteryzować schemat klepek Jurasza z Trzyńca.*
2. *W oparciu o współczesne literaturę, filmy, przedstawienia teatralne i telewizyjne uwypuklić nieprzemijające wartości i dominującą rolę fachowca.*

3. *Z Pragi o 8 rano wyruszyło dwóch malarzy na robotę do Śródmieścia. Poprzedniego dnia wzięli zaliczke w wysokości 500 zł i mieli kupić: 1,5 kg tonu i 3,5 kg kredy. Idąc najkrótszą drogą do miejsca pracy, muszą minąć: 12 budek, 7 barów i 3 restauracje. Którego dnia przyjdą po następną zaliczkę i ile ona będzie wynosiła?*

– No i proszę... Co ci jest, docent, czemu płaczesz? Nie bądź dzieckiem.

Uczyłeś się?

– Uczyłem, panie majster. Nocami się uczyłem.

– To wal! Słyszysz? Co się z tobą dzieje?

– Panie majster, mam bóleści. Muszę na chwilę...

– Jak to wyjść? Odpowiadaj na pytanie, bo to egzamin, a nie żarty w Instytucie. Mówisz?

– Tak, mówię, panie majster. A można nie po kolei?

– Pies cię lizał! Można.

– To ja najpierw chciałbym zdawać praktykę, kochany panie majster...

– Co ja mam z tobą... trudno, wyjątkowo się zgadzam. Zmieniam uszczelkę, a ja będę patrzył na stoper. Uwaga: trzy, dwa, jeden, zero... start! Spokojnie, docent... nie tak nerwowo... Spokojnie... i nie tak mocno... nie dokręcaj tak, bo przekręcisz, słyszysz? Coś ty zrobił?!... Przekręciłeś... Tamuj!... Cały jestem mokry...

– No i co, panie majster?

– Oblałeś!<sup>536</sup>

### **Przykład 434. Włodzimierz Ścisłowski – *Nasze nauki* (1978)**

Godzina szesnasta. I tramwaj. I tłoczek.

Jak zając w tym tłoczku przemyślnie więc kluczę.

Wtem słyszę głos gruby i słówka urocze:

– Ja pana nauczę! Ja pana nauczę!

Kolejka w „Orbisie”. Frontalne natarcie.

I miła paniusia. I takież z nią wnuczek.

Paniusia w me ucho przyrzeka zażarcie:

– Ja pana nauczę! Ja pana nauczę!

Okienko. Panienska. I szklanka z herbatą.

Panienska herbatą usteczka swe płucze.

A petent coś bąka. Panienska więc na to:

– Ja pana nauczę! Ja pana nauczę!

<sup>536</sup> S. Friedmann, J. Kofta, *Egzamin*, [w:] J. Kofta, dz. cyt., s. 502–504.

Sielanka w mieszkanku. Gdy oto znienacka  
mąż wraca w pielesze, chrobocząc swym kluczem  
i krzyczy od progu, nie myśli się cackać:  
– Ja pana nauczę! Ja pana nauczę!

Rodacy kochani! Wszak wiedza to wszystko,  
więc pęd ku tej wiedzy optymizm w nas budzi!  
I ja was nauczę, kłaniając się nisko,  
bo Polska jest krajem kształcących się ludzi!<sup>537</sup>

### **Przykład 435. Włodzimierz Ścisłowski – *Powroty* (1978)**

Pan doktor wybył za granicę  
kwalifikacje swoje podnieść  
i jako cnót wszelakich rycerz  
pan doktor działał niezawodnie:

Trochę studiował, trochę zmywał  
mocnym skończywszy rzecz akordem:  
pan doktor ma inicjatywę,  
więc wkrótce wrócił nowym fordem.

Pan docent trafił za ocean,  
by uzupełnić swoją wiedzę,  
i zabrał zaraz się do dzieła  
nie marnotrawiąc nawet niedziel:

Trochę studiował i zamiatał,  
poszcząc codziennie niby kwakier  
i cierpiąc tak za grzechy świata,  
powrócił wkrótce cadillakiem.

Pan adiunkt wrócił nowym oplem,  
a pan magister mercedesem,

---

<sup>537</sup> W. Ścisłowski, *Nasze nauki*, [w:] tegoż, *Tyrady i niuanse. W.S.T. i N. satyry*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1978, s. 17–18.

lecz Ygrek zbłądził się okropnie:  
przywiózł do kraju pustą kiesę.

Powrócił z wiedzą<sup>538</sup>.

### **Przykład 436. Stanisław Zieliński – *Kielbie we łbie*. Fragmenty (1978)**

Przekroczyłem próg prawą nogą i to mi trochę poprawiło humor. W mrocznym hallu zastałem kilkunastu rówieśników, których – żeby się nie spóźnić – przyprowadzono jeszcze wcześniej. Wszyscy mieli głupie miny i tępą rozpacz w oczach. Nikt się z nikogo nie śmiał, nikt nie pchał się na środek. Chyba wszyscy marzyli o dobrym człowieku, który nie proszony wskaże drogę do ubicacji.

Cholerny kuzyn opowiadał potem, że prowadzono mnie na Polną za ucho i że musiał mi szorować kolana szczotką ryżową. Wiadomo, że kolana brudzą się z niczego. Nawet bardzo czysti chłopcy mają z kolanami prawdziwe urwanie głowy. Mama poszła załatwiać do kancelarii, a ja, pośliniwszy białą chusteczkę, zabrałem się do odświeżenia kolan. Natychmiast wszyscy wyciągnęli białe chusteczki.

– Czy uszy też sprawdzają?

Chłopiec nie doczekał się odpowiedzi, wsadził więc ręce w kieszeń i wykręcił się do nas tyłem. Słyszałem, jak skarżył się ścianie, że trafił między lizusów, którzy, choć wiedzą, nic powiedzieć nie chcą. Któż mógł wiedzieć, co będą sprawdzać i czego wymagać? Czułem się coraz gorzej. W głowie panowała idealna pustka.

– Pluń mi na lewe kolano. Zupełnie mi zaschło w gardle – odezwał się ktoś obok proszącym szeptem.

– Dobra, dawaj kolano... – powiedziałem po koleżeńsku i w tej chwili zrobiło mi się gorąco ze złości. Między chłopców zaplątała się baba!

Białe skarpetki do kolan, marynarskie ubranie, obrzydliwe, puszyste włosy! Wykapana baba, tylko kokardy brakowało do kompletu. I mina taka babska. Baba, baba!

– Babie nie będę pluł. Ani mi się śni.

Chciałem, żeby babę pognębić do reszty, spytać głośno, od kiedy baby zdają razem z chłopcami, ale nie zdążyłem. Baba pochyliła pudłowy łeb i strzeliła takiego „byka”, że mi zwiędły nogi.

– Chcesz jeszcze?

---

<sup>538</sup> Tenże, *Powroty*, [w:] tegoż, *Tyrady...*, dz. cyt., s. 19.

Pomyliłem się fatalnie, bo to nie była żadna baba, lecz kolega Jajczarz. Po wyjaśnieniu nieporozumienia otworzyły się drzwi do sali gimnastycznej. Na widok tablicy i stolików, ustawionych daleko jeden od drugiego, przebaczyłem Jajczarzowi piekielnego „byka” i ze zwieszoną głową poszedłem na egzamin.

Kuzyn twierdził, że zdałem tylko dlatego, że nie było w tym czasie osobnych klas dla głupków. Śmiałem mu się w nos. Wtedy wymyślił inną historyjkę. Opowiadał, że na listę przyjętych wpisano mnie przez omyłkę, że wszystko się wyda, więc lepiej, żebym w ogóle do szkoły nie chodził, bo mnie pedel za kołnierz wyprosi z klasy. Niby żarty, ale głupim żartem też można zepsuć humor. Na myśl o jeszcze jednym egzaminie czułem rycynę na języku. „Ciociu, on będzie rzygał...” – syczał uszczęśliwiony kuzynek i na palcach wynosił się z pokoju. A ja musiałem pokazywać język i dawać uroczyste słowo, że mimo wielkiego wysiłku umysłowego nic mi się nie przekręciło w głowie. Tego samego dnia, w kilka godzin po egzaminie, paradowałem już w granatowym „baniaku”, czyli „rondlu”. Gimnazjalna czapka wynagradzała egzaminowe strachy i emocje. Srebrny orzełek z literami G. P. błyszczał wspaniale. Spacerowałem po całej Kolonii. Dotknięcie lepkiego, ceratowego daszka sprawiało przyjemność, o jakiej jeszcze wczoraj nie miałem zielonego pojęcia. Zabiegałem drogą znajomym i obcym. Kłaniałem się bez przerwy. Naczapkowałem się za całe życie. W ogólnym rachunku wyszło to na dobre.

Nowy „rondlek” od razu wpadł w oko szczeniakom z kompletów i z powszechniaka. Trzymałem się jednak dobrze i na okrzyki: „Głupi, może cię kto kupi” nie zwracałem uwagi. Tylko raz dałem się nabrać. Czekałem przed naszą furtką, żeby ukłonić się panu Stasiuńcowi. Raptem, nie wiadomo skąd, napotoczył się mały Kuna.

– Czy to porządny „baniak”, czy taki tani?

Szczeniakowi język się poplątał z zazdrości.

– Bardzo porządny. Porządniejszych nie ma w Warszawie.

Mały Kuna przestępował z nogi na nogę. Wreszcie wystękał: Zdejmij na chwilę. Chciałbym zobaczyć, jak wygląda w środku.

– Oglądaj prędko. Zaraz będę się kłaniał panu Stasiuńcowi.

– Pokaż. No już...

Zdjąłem czapkę, musnąłem rękawem daszek, podsunąłem małemu Kunie pod nos. Niech patrzy. Niech zobaczy podszewkę, znak firmy i skórzaną wkładkę. Szczęście ogłupiło mnie do reszty. Zamiast dać małemu Kunie w ucho, myślałem o niebieskich migdałach. Kuna pochylił się i wypluł do czapki całą zawartość swojej wrednej gęby: garść łupin słonecznikowych, obierzyny, jakieś zielone świństwo, drobno pogryzione.

– Dziurawa głowa! Wszystko wyleciało! – wrzasnął z bezpiecznej odległości.

Małego Kunę powinni byli utopić, jak był jeszcze ślepy. Akurat otworzyły się drzwi i pan Stasiuńcio okrzykiem: „Moje gratulacje!” – osadził mnie na miejscu. Z obrzydzeniem znosiłem upokarzające głaskanie po głowie. Słuchałem opowiadania o kijowskich egzaminach ze wzrokiem wbitym w zapaskudzoną czapkę. Wreszcie stało się to, czego się bałem od samego początku. Pan Stasiuńcio zajrzał do czapki i zrobił ogromnie zdziwioną minę.

– To taki fason. Na szczęście – wystękałem czerwony ze wstydu.

Piękny dzień zmienił się w coś ohydneho. Mały Kuna stał o parę kroków. Wszystko słyszał. Ze szczęścia aż skowyczał. Mogłem mu tylko nadmuchać! Mały bydlak wiedział o tym doskonale. Mieszkał w tym samym domu co pan Stasiuńcio, więc odwrót miał zapewniony.

Pan Stasiuńcio poszperał w kieszeniach, znalazł stary bilet tramwajowy i z wielką powagą położył na kupie, którą mały Kuna nawalił w „rondelku”.

Bebechy przewracały mi się na trzecią stronę, ale podziękowałem grzecznie, choć miałem ochotę powiedzieć coś takiego, żeby panu Stasiuńciowi melonik podskoczył pięć razy na głowie. Nic tak nie żenuje chłopców, jak wygłupy dorosłych.

Mały Kuna przyczepił się do pana Stasiuńcia i na krok nie odchodził od sztuczkowych spodni.

– Doskonała czapka! – krzyknął pan Stasiuńcio.

– Tak jest, proszę pana.

Nareszcie poszli sobie. Pewnie, że doskonała czapka. Po święństwie małego Kuny prawie nie zostało śladu.

Porządną czapkę można było kupić u Mieszkowskiego na Marszałkowskiej 109 lub na Nowym Świecie pod 53 albo u Cieszkowskiego, który też miał dwa sklepy, jeden na Marszałkowskiej 81, drugi na Nowym Świecie po stronie parzystej obok kina „Casino”. Na upartego gimnazjalny „rondel” można było kupić wszędzie, bo roilo się wtedy od różnych „Czapkopólów” i „Uczniopólów”. Ale nasza szkoła kupowała czapki w drugim krańcu miasta w firmie „Antoni Tuczyn” na Podwalu pod numerem 2. Pracownia „Tuczyna” (właściciel nazywał się Karol Fichtner) bodaj pierwsza zaczęła produkować „rondelki” półmiękkie, usztywnione tekturą tylko do połowy wysokości. Cieszyły się one wielkim powodzeniem w starszych klasach i przetrwały aż do reformy szkolnej, która wprowadziła czapki skrojone na wzór maciejówki. Wtedy też pojawiły się pierwsze tarcze z numerem szkoły. Reforma zastała mnie w klasie siódmej. Nowe roczniki tłoczyły się w niższych klasach. Ci nowi byli ciemni jak tabaka. Mówiono o nich, że



budę nazywają „sztubą”, a profesorów „belframi”. Trudno było wymyślić coś bardziej ohydnego. „Tak zapaskudzą budę, że dziesięć pokoleń tego nie zeszkrobie”. Z prawdziwą troską wsłuchiwałem się w piekielny ryk dolatujący z dolnego korytarza podczas każdej pauzy. Słynny czterowiersz:

*Małpa od Górskiego*

*Nosi czapkę wojska francuskiego,*

*A tą małpą się zachwyca*

*Ruda małpa od Staszica!*

poszedł w zapomnienie. Nowi w ogóle nie rozumieli, o co chodzi. O przeszłości wiedzieli tylko tyle, że była. Myśleli, że gmach na Polnej wybudowano specjalnie dla nich. Zanosilo się, że nowi „ciamkając i siorbiąc, zeżrą Ducha Starej Budy”. Dla ratowania tradycji przedłużyłem mój pobyt w szkole o cały rok. Niestety, ówczesne warunki nie wszystkim pozwalały na swobodne gospodarowanie czasem.

Czterowiersz miał tyle lat, co buda. Zanim powstało gimnazjum państwowe, istniała Szkoła Realna, której uczniowie nosili granatowe „kepi” z niebieskimi wypustkami. Czapki kroju francuskiego obowiązywały również uczniów szkoły Górskiego. Tradycja szkoły realnej trwała długie lata. Absolwenci gimnazjum typu humanistycznego pchali się na politechnikę i doskonale zdawali egzaminy konkursowe.

Nakładając nowiutki „baniak”, wiedziałem doskonale, że buda nie wypadła sroce spod ogona. Do francuskiego „kepi” jednak nie tęskniłem. Nie po to przyjechałem z Kijowa, żeby w Warszawie wzdychać do cara i do jego czasów<sup>539</sup>. [...]

Razem z całą gromadą pchałem się do drzwi w końcu korytarza. Spieszycie się wszystkim klasom, ale draby z czwartej łatwo utorowali sobie drogę. Na „dolnym” piętrze byli najstarsi i najsilniejsi. Wspaniale umieli kłuć szpilkami. Nic więc dziwnego, że pierwsi wpadli do środka. Podparli drzwi nogą, naśmiewali się i kpili.

– Nie po to ojciec płaci, żebyś smrodził nam pod nosem!

Przez szparę pokazywali język. Kto się podsunął zbyt blisko, dostawał taką „blachę” w czoło, że odskakiwała głowa. O dobrej „blasze” mówiło się „szwedzka”. Robili też „syfona”. Silne ręce wysuwały się niespodziewanie, jedna chwytala za kark lub za włosy, druga dawała wycisk. Po dobrym „syfonie” nos bolał trzy dni, a kartoflowaty kształt ustępował dopiero po tygodniu.

– Otwierać wychodek! – wrzeszczeliśmy, przebierając nogami.

<sup>539</sup> S. Zieliński, *Kielbie we łbie*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1978, s. 148–154.

Na krzyki przybiegł woźny, pan Napoleon. Jednym pchnięciem otworzył drzwi.

– No, kawaleria, codziennie to samo?

Wkroczyliśmy jak zwycięzcy. W umywalni snuł się niebieskawy dymek. Dalej śmierdziało papierosami jeszcze bardziej. Draby i tam nie dawały nam spokoju. Popychali na ścianę w najbardziej nieodpowiednim momencie. Napoleona zagadywali poufale.

– Panie Poniatowski, patrz pan, co się dzieje. Klozet sobie robią. Niedługo w całej budzie nie będzie spokojnego kąta. Przez tych smrodków może wybuchnąć u nas epidemia.

Zanim Napoleon zaprowadził jaki taki ład, do ubikacji wbiegł nauczyciel w okularach. Woźny wycofał się dyskretnie. Zaczęła się heca na dwadzieścia cztery fajerki.

– Czuję tu dym! Kto palił?

– Nikt, panie profesorze. Nikogo obcego tu nie było.

Papierosiarze myli ręce i znacząco poprawiali spodnie. Bujali okularnika z kamiennym spokojem. Za sam wyraz twarzy należała się im główna rola w filmie.

– Dorosły człowiek odpowiada tylko za siebie! Wszak uważacie się za dorosłych!

– To ze dworu, panie profesorze – powiedział jakiś drab odznaczający się wspaniałym pryszczem na czole.

– A, to ty! Znamy się, mój panie. Nazywasz się? Twoje nazwisko?

– Ależ panie profesorze, proszę tylko spojrzeć. Pan profesor będzie uprzejmy zbliżyć się do okna.

Okularnik był ciekawy jak prosię. Pobiegł do okna.

– Znowu ktoś zapalił klisze – tłumaczył uczeń. – Dlatego tak tu paskudnie śmierdzi.

Nauczyciel wychylił się z okna, a na podwórzu podniósł się taki wrzask, jakby wszystkim chłopcom ktoś zrobił straszliwego „syfona”. Skandowano niezrozumiale dla mnie słowo. W tej chwili chłopak z mojej klasy dał mi kuksa w bok.

– Gazu! Chodu! Będzie draka!

Całym pędem pobiegliśmy na dół. Kilkudziesięciu uczniów stało półkołem nad dymiącym zwitkiem. Dobrze skręcony film mógł zasmrodzić trzy podwórka.

– O, tu leży! Oj, co to?

– Dym się ścieli po zagonie, pędzą, pędzą siwe konie!

Chłopcy wrzeszczeli.

Domyśliłem się, że na kogoś czekają. Takim wrzaskiem można odwrócić uwagę od Sądu Ostatecznego.

– Na śmietnik – komenderował kolega. – Prędeż, bo nam zajmą najlepsze miejsca!

Śmietnik to nie kaligrafia. Wdrapałem się na śmierdzące dziegiem pudło i powiedziałem do kolegi: – Zaraz ich okularnik nakryje. Już leci! O rany, jaki niezadowolony.

Nauczyciel przeciskał się właśnie przez tłum.

– Uwaga, pan profesor idzie! Z drogi, z drogi – wołali chłopcy, robiąc sztuczny tłok.

Wysoki chłopiec przydeptał kopcido i cisnął za mur na sąsiednią posesję. Okularnik uparcie pchał się pod otwarte okno ubikacji. Kiedy dopchał się wreszcie na środek półkola, ucichły raptownie hałasy i krzyki. Tylko za murem dozorca, pewnie pijany od samego rana, wymyślał komuś od łobuzów, gangreny i zarazy boskiej. Nie po to chodzi się do szkoły, żeby wsłuchiwać się w monotonne maciowanie zachłapanego ciecia. Dobry uczeń, jak dobry żołnierz, powinien słuchać swego profesora. Tak sobie myślałem, stojąc na śmietniku. Okularnik wyjął notes, otworzył usta. Zrobiło się jeszcze ciszej. Na sąsiednim podwórku stróż dalej odprawiał swoje nabożeństwo.

– A, same znajome twarze, żadnych niespodzianek. Porozmawiamy pod koniec roku. Nie chowaj się, widzę cię doskonale! Nazwisko? Tak, ty! Nie odwracaj głowy. Ciebie się pytam, panie... Nazywasz się?...

Okularnik wdał się w gadkę jak pijany z białymi końmi na karuzeli w Lunaparaku. Ktoś gwizdnął na palcach, ledwie pomyślałem, że to umówiony znak, ogromna papierowa torba, napełniona wodą, wyfrunęła z okna ubikacji. Druga piguła leciała już z wyższego piętra! Trzask, trzask, jaki cudny dźwięk!

– Dwa pudła – powiedziałem z żalem.

– Opryskało go fest – kolega zatarł ręce. – Ma ciemne ubranie, dlatego tak mało znać.

– Poczekajmy trochę...

– Szkoda marzyć.

Okularnik zawył i pognął w kierunku schodów. W gmachu terkotały już dzwonki, wzywając do klas. Trzeba było złączyć ze śmietnika.

Nie spodziewałem się, że w budzie tak fajnie. Morowa szkoła<sup>540</sup>. [...]

Pewnego roku, w szczupłym gronie najbardziej zainteresowanych, postanowiliśmy sposobem ratować padające na nos stopnie.

---

<sup>540</sup> Tamże, s. 159–162.

– Trzeba Malaja ruszyć z katedry. Wtedy ściągi rozejdą się po sali i zacnie się malinowe życie.

Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Śmiały plan napotkał poważne trudności, lecz po żmudnych zabiegach udało się wymienić szklankę z herbatą, przeznaczoną dla Malaja. Do herbaty wsypaliśmy końską porcję pewnego specyfiku. Od rana trzymałem zaciśnięte kciuki, żeby się Malaj nie rozmyślił, żeby nie przełożył klasówki na następny dzień...

Informacje Napoleona nastrajały optymistycznie: – Pan profesor zjadł bułkę z szynką i wypił szklankę herbaty.

Po przerwie śniadaniowej miała być u nas klasówka.

– Dobrze jest – mówiliśmy, idąc na górę – za dziesięć minut herbata go ruszy. Panowie, sukces.

– Byleby nie wcześniej. Jeżeli to stanie się na schodach, Malaj odwoła klasówkę i fatyga na nic – martwili się pesymiści.

Zaprzyjaźniony farmaceuta gwarantował „natychmiastowy skutek” oraz „sensacje nie do opanowania”. Dwaj chłopcy przeprowadzili próbę w rodzinnym gronie. Relacje brzmiały zachęcająco. Pod wpływem umiarkowanej dawki specyfiku dwie osoby skompromitowały się przy wsiadaniu do tramwaju. Trzecia zatelefonowała z miasta, że o własnych siłach nie może wrócić do domu, ale jak wróci, to zrobi ze mną coś tak strasznego, że spalenie Joanny D’Arc zostanie uznane za niewinny dowcip towarzyski. Sądząc po wynikach, dostaliśmy w ręce towar w najwyższym gatunku. Zafundowaliśmy Malajowi porcję, nie licząc się z kosztami. W takich wypadkach nawet sknera wypuszcza węża z kieszeni na trawę.

Malaj podyktował zadanie i zajął stanowisko na katedrze. Minęło pięć minut, dziesięć. Minął bity kwadrans.

– Oszust, kłamca – usłyszałem rozpaczliwy szept. – Nie podam ręki łajdakowi.

Farmaceuta nie kłamał. W szesnastej minucie Malaj poruszył się nieznacznie. Minę miał taką, jakby usłyszał przez telefon bardzo ważną wiadomość.

– Teraz, teraz, już! – szeptałem przymknąwszy oczy. – Raz, dwa, buch!

W ogromnym napięciu upłynęło znów kilka minut. Malaj chrząknął bardzo ostrożnie. Raptownie zbladł, poczerwieniał i zaciśnął dłonie, aż zbieleły palce. Przestraszyłem się, że nie zdąży do drzwi.

– Nie da rady. Zaraz spuści z tonu. O, znów go ruszyło trochę...

Wtajemniczeni przeżywali piekło. Czas uciekał. Malaj zmagał się ze specyfikiem jak Garkowienko z Zawszupinem – Czarną Maską. W pewnej chwili, spojrzawszy przed siebie, napotkałem wzrok Malaja. Rozwiały się ostatnie nadzieje,

jak powiedziała znakomita bohaterka, wydając na świat bliźnięta. Zrozumiałem, że Malaja żadna siła nie ściągnie z katedry. Będzie tam tkwił aż do całkowitego pogwałcenia słabych. No, i tak się stało. Malaja ruszało, ruszało, ale nie poruszyło. Siedział, ani myślał złązić. Wisiał nad nami i jak latarnia morska tupał okiem po wszystkich stolikach.

– Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka... Za pół chwili nadejdzie ratunek. Znów jakby zachwiał się i kiwnął... – Mimo utraty wiary, zaklinałem Malaja na różne sposoby.

Dzwonek przypieczętował klęskę.

– Kończymy, zamykać kajety!

Dopiero po naszym wyjściu Malaj zszedł z katedry<sup>541</sup>.

### **Przykład 437. Anonim – *Jak się synek po łacinie uczył* (1979?)**

Jeden ojciec miał dwóch synów. Jeden był bardzo robotny, a drugi okropnie zgniły. Ten zgniły powiedział do ojca: – Ja pójdę uczyć się na księdza, dajcie mi ojciec moją ćwierćcinę majątku i idę.

Ojciec dał mu, co mógł i synek poszedł. Ale wcale się nie uczył ino cyganit w świecie, hulał i używał co nie miara. Na sosnę powiedział: „sosnus”, na pękniętą gałąź „pankus”, na sęk „sankus”. Jak raz widział jak baba kurom ser ciepła, zawołał do swojej matki: – Syrus babus kuros chlastus.

Wszyscy, co to słyszeli, myśleli, że on tak bardzo mądrze mówi.

Raz go wzięli ojcowie na pole i on przez nieuwagę nadepnął na grabie, a te go uderzyły w łeb. W złości zapomniał mówić po łacinie i zawołał: – Diabli nadali!

A ojciec się już prawdy domyślił i mówi: – Weżtus tę grabus do rękus i wy-ciepus ten gnojus, bo jak nie, to będzie w domus kijus na zadkus<sup>542</sup>.

### **Przykład 438. Jerzy Baranowski – *Bajka Andersena*. Skecz z repertuaru Barbary Marszel z audycji Polskiego Radia „Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?)**

(Lekcja)

– Marszelówna, do tablicy!

– Obecna!

– Przypomnij nam, o czym mówiliśmy na ostatniej lekcji?

– Omawialiśmy pewną baśń Andersena.

<sup>541</sup> Tamże, s. 175–177.

<sup>542</sup> Anonim, *Jak się synek po łacinie uczył*, [w:] D. Simonides (red.), *Skarb...*, dz. cyt., s. 210. Por. przykłady 17, 469.

– „Pewną”! Dobrze sobie! Jest to jedna z najwspanialszych przypowieści w literaturze światowej! Podaj tytuł.

– „Nowe szaty cesarza”.

– Pamiętasz treść?

– Tak. To było coś o modzie...

– Basiu, jeśli nie przestaniesz pleść takich głupstw, to pójdziesz na miejsce z niedostatecznym!

– O rany! Dlaczego ja dziś nie dostałam grypy?!

– Chyba żartujesz?

– Wcale nie! Tatuś często mi mówił, że są takie sytuacje, kiedy najlepiej mieć grypę. A najlepiej bezgorączkową. Kiedy u tatusia w biurze była dyskusja na temat oceny pracy dyrekcji, to tatuś od razu zachorował i nie poszedł. Oj, mądry wapniak! Dlaczego go nie posłuchałam?!

– Wybacz, Basiu, ale nie interesują mnie nauki twojego ojca...

– A to szkoda... Przecież pan profesor powinien wiedzieć, że oprócz nauki w szkole istnieje jeszcze nauka i wychowanie pozaszkolne.

– Dość tego! Czy możesz mi streścić omawianą bajkę Andersena?

– ...No więc, pewien krawiec zobowiązał się uszyć wspaniałą szatą dla cesarza. Dostał od cesarza bardzo dużo pieniędzy na materiał, ale je sobie przywłaszczył, a urzędnikom cesarskim, którzy przychodzili sprawdzić to jego nibyszycie, machał przed nosem igłą i szył puste powietrze, mówiąc, że tylko głupcy nie widzą tego cudownego materiału. Urzędnicy, bojąc się o swoje posady – bo przecież głupców kiedyś cesarz wywalał ze stanowisk – rozgadywali wszędzie, jaki to wspaniały materiał szyje krawiec i jaka to wspaniała szata powstaje dla cesarza!... Wreszcie nadszedł dzień, że tę niby-wspaniałą szatę miał założyć cesarz na uroczysty pochód przez miasto. W pierwszej chwili przeraził się nieco, bo tu wszyscy wokół chwalą, że taka wspaniała ta szata, a on widzi tylko puste powietrze... więc bojąc się, że wyjdzie na głupca, też zrobił z siebie idiotę. Założył tę niby-szatę i poszedł na pochód... Ale już po chwili nabrał pewności siebie, bo wszyscy mieszczanie wiwatowali i chwalili piękną szatę. No więc dumny tak łaził z gołą piersią... I już.

– „Łaził z gołą piersią i już”! A zapomniałaś o najważniejszym.

– No... i z gołą głową...

– Ależ nie o to mi idzie!

– No więc, oczywiście, niech będzie i z gołą szyją... i z gołą...

– Stop! Basiu, przypomnę ci. Co zawołało w tłumie dziecko?

– „On jest nagi!”

– Marszelówna, dlaczego tak krzyczysz?

- Bo ono przecież krzyczało.
- Nie musisz tu mi odgrywać dziecka! Wystarczy powtórzyć treść. A więc zwykle małe dziecko zawołało: „On jest nagi!” i w tym właśnie tkwi głęboki sens owej baśni... Rozumiesz?
- Rozumiem, ale nie mówmy już o tym. Czy mogę iść na miejsce?
- Zaraz, zaraz. Jeśli rozumiesz, to powiedz mi, jaki stąd płynie wniosek, Basiu?
- O Boże, dlaczego ja dzisiaj nie zapadłam na grypą bezgorączkową!
- Wiesz czy nie?
- No więc wniosek płynie stąd taki, żeby nie zabierać dzieci na pochody, dopóki nie zmądrzeją.
- Co?!
- To znaczy, dopóki nie zgłupieją tak jak wszyscy mieszczanie.
- Co ty pleciesz?! Siadaj, dwójka!
- Masz, znowu dwója... Dlaczego ja, głupia, nie pławię się teraz spokojnie w ciężkiej grypie bezgorączkowej?!
- Przestań biadolić. Należała ci się dwójka, bo nic konkretnego nie powie-działaś.
- Ale to nie moja wina, panie profesorze. Już teraz nie ma takich głupich dzieci jak w czasach Andersena, co wszystko od razu wypapla, co się mówi w domu...
- Co? Nie rozumiem.
- Nic dziwnego, jak pan profesor nie interesuje się wychowaniem poza-szkolnym...<sup>543</sup>

**Przykład 439. Jerzy Baranowski – *Dlaczego dzieci powinny jeździć na kolonie letnie. Skecz z repertuaru Reny Rolskiej z audycji Polskiego Radia „Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?)***

(Lekcja)

- Rolska, do tablicy! Jaki był temat wypracowania?
- „Dlaczego dzieci powinny jeździć na kolonie letnie”.
- Dobrze. Czytaj!
- „Dlaczego dzieci powinny jeździć na kolonie letnie. Na kolonie letnie dzieci powinny jeździć dlatego, że kolonie są bardzo kochane, bo dzieci mają powie-trze oraz mieszkają w zupełnie prawdziwych namiotach na prawdziwej słomie. Ale nawet te, co nie mają szczęścia i śpią w łóżkach w różnych szkołach innych

<sup>543</sup> J. Baranowski, *Bajka Andersena*, [w:] R. Sadowski (oprac.), dz. cyt., s. 140–142.

dzieci, też mają dość wesoło i radośnie, bo nikt na nie nie krzyczy, jak sobie chcą robić dobre uczynki”...

– Nie rozumiem. A któż to jest niezadowolony, gdy dzieci robią dobre uczynki?

– Wszyscy! Bez wyjątku! No, właśnie mam tu przykłady.

– Czytaj.

– „Bo wszyscy starsi to by tylko na nas krzyczeli i krzyczeli. Więc w zeszłym roku trochę dzieci z naszej dzielnicy nie pojechało na kolonie, więc zebraliśmy się wszystkie, żeby robić dobre uczynki. Więc najpierw postanowiliśmy przeprowadzać przez skrzyżowanie biedne, stare staruszki”...

– No, to bardzo ładnie.

– No właśnie... „Ale ich nie było dużo, bo jak się o tym dowiedziały, to zaczęły omijać nasze skrzyżowanie, żeby nam utrudnić dobre uczynki. No więc, wybraliśmy się rano do sąsiedniej dzielnicy całą paczką i nałapaliśmy sobie staruszek”...

– Co?! Jak to, nałapaliście?

– No staruszek, do przeprowadzania! „I Edek z Wojtkiem je pilnowali, żeby się nie rozłążyły, a myśmy przeprowadzali sobie od rana do obiadu”.

– A co one!?

– „One nas prosiły: puśćcie nas już, kochane dzieci, puśćcie nas, aniołeczki, my sobie pójdziemy same. Ale my nie takie złe dzieci, żeby puszczać biedne staruszki same bez opieki i nie zrobić sobie dobrego uczynku. No, to one zaraz na nas zaczęły strasznie krzyczeć i wszyscy starsi na ulicy też, nie wiadomo za co. Ale myśmy się nie zrazili, tylko postanowiliśmy zrobić dobry uczynek panu magistrowi Więckowi, co ma na naszym podwórku samochód. No, więc on był brudny, to go w tajemnicy wyszorowaliśmy piaskiem i pumeksem, żeby pan magister Więcek się bardzo ucieszył, jak zobaczy. A Edek, bo on się zna, bo jest modelarz, to powiedział, że jakby nadać masce inny profil, toby z tej syrenki wyszedł zupełnie nowy model citroena, więc pan magister Więcek się jeszcze więcej ucieszy, i przyniósł młotek, i prawie równo wyklepał całą blachę. Ale nie wyszedł mu citroen, tylko volkswagen, bo tak od razu cały przód poszedł zupełnie do dołu. Bardzo ładnie zrobił, tylko że przednia szyba zupełnie niechcący się zbiła, ale to nic, bo ją zakleiliśmy leukoplastem tak, że prawie zupełnie nie widać”.

– No, a co na to pan Więcek?

– A on nic. „Wyszedł z domu i jak zobaczył, to miał łzy w oczach ze wzruszenia, żeśmy takie dobre dzieci, ale jego żona była bardzo niewychowana i zaczęła zaraz bardzo krzyczeć, aż przyjechało za karę pogotowie zrobić jej zastrzyk i wszyscy starsi zaczęli zaraz na nas krzyczeć. I tak nam zawsze dziękują za dobry uczynek. Bo potem położyliśmy budkę pana milicjanta, żeby mógł sobie



w niej spać na leżąco, a nie męczyć się na ławeczce, to też zaraz wszyscy na nas krzyczeli i tak nam zeszy wakacje”.

– No, to dziękuję. To jest chyba najlepsza odpowiedź na pytanie: dlaczego dzieci powinny jeździć na kolonie?

– Dlatego, żeby nikt na nie nie krzyczał za dobre uczynki.

– Nie. Dlatego, żeby nie wymyślały sobie same tylu „dobrych uczynków”.

– O! I pan profesor też tylko na nas i na nas!...<sup>544</sup>

**Przykład 440. Jerzy Baranowski – *Przysłowia są mądrością narodów.*  
Skecz z repertuaru Reny Rolskiej  
z audycji Polskiego Radia  
„Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?)**

(Lekcja)

– Rolska, do tablicy! Co było tematem wypracowania domowego?

– Całym zdaniem?...

– Całym.

– Tematem wypracowania domowego było: „Podać trzy przykłady, kiedy używamy przysłów”.

– Dobrze. Czytaj.

– „Przysłowia są wielką mądrością narodów i służą nam w rozmowie do rozmowy. Przysłów używamy, jak nie wiemy, co powiedzieć, a trzeba coś powiedzieć, żeby nikt nie wiedział, że nie wiemy, co mamy powiedzieć. Przysłowia bardzo przydają się w życiu, bo są nam one pomocne do życia w różnych wypadkach, na przykład: »w garncu«. A teraz daję przykłady. Zrobiłam rozbiór garnca i tatusia”.

– Co?...

– No, rozbiór garnca i tatusia.

– Czytaj.

– „Przykład pierwszy. Rozbiór garnca. Kiedy na przykład znajdziemy się kiedyś w garncu i nie wiemy, co powiedzieć, to od razu wiemy, co mamy mówić: »W marcu jak w garncu«. I już. Albo jesteśmy, na przykład, tatusiem i mamusia mówi nam, że nie ma co na siebie włożyć, a my nie wiemy, co na to odpowiedzieć, to od razu – dzięki przysłowiom – wiemy, co odpowiedzieć, że »Nie suknia zdobi człowieka«. I już mamusia nie wie, co nam odpowiedzieć. Ale jak zna przysłowie, to może sobie dopowiedzieć, że »Mądry Polak po szkodzie«, i już jest w ten sposób rozmowa o Polakach. Przysłowia są również bardzo litościwe”.

<sup>544</sup> Tenże, *Dlaczego dzieci powinny jeździć na kolonie letnie*, [w:] R. Sadowski (oprac.), dz. cyt., s. 109–111.

- Co?...
- Litościwie.
- Czytaj.
- „Przykład drugi. Rozbiór kota. Przysłowie: «Nie kupuje się kota w worku» jest to litościwie przysłowie. Uczy nas ono, że nie wolno męczyć zwierząt futerkowych, bo w worku jest ciemno, a najlepiej trzymać kota w skrzynce, bo ma czym oddychać i jak co robi, to też nic nie szkodzi, bo w skrzynce jest zawsze piasek”.
- Ależ, dziecko, to nie o to chodzi!
- Jeszcze mam trzeci przykład. Jako trzeci przykład przysłowia rozebrałam sąsiadów. Czytać?
- Jak już rozebrałaś, to czytaj! Może wreszcie będzie coś z sensem.
- „Przysłowia są wielką mądrością, bo w nich jest tak, jak jest naprawdę. Kiedy zamknęli pana Lulanowskiego, kierownika komisju, to cała nasza kamienica mówiła o nim zaraz na drugi dzień! No, bo «Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi». Od razu!”... Koniec wypracowania.
- Idź na miejsce – niedostateczny. To ci pomoże w nauce...
- Ale...
- Żadne „ale”. Pomyśl sobie o takim przysłowiu: „Czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie wiedział”.
- Pomyśl, pomyśl... Przecież to dla chłopaków...<sup>545</sup>

**Przykład 441. Jerzy Baranowski – *Spotkanie na stole*.  
Skecz z repertuaru Barbary Marszel  
z audycji Polskiego Radia  
„Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?)**

(Lekcja)

- Proszę, Marszelówna, kontynuujmy wreszcie lekcję. Czytaj swoje wypracowanie!
- Czytam: „Wypracowanie domowe. Najbardziej podoba mi się zawód lekarza...”
- A to dlaczego?
- Bo jest święto Służby Zdrowia, a ja zawsze najbardziej lubię to, co jest... aktualne. Czytam. Tytuł: „Spotkanie ich dwojga na stole”.
- Dziwne miejsce na spotkanie. Co to znaczy, Basiu?...
- No, to jest tytuł. Bo ja napisałam wypracowanie w formie noweli filmowej.

<sup>545</sup> Tenże, *Przysłowia są mądrością narodów*, [w:] R. Sadowski (oprac.), dz. cyt., s. 195–197.

- Znowu?! Przecież prosiłem, żebyś już nie...
- Niestety! Widocznie dogłębna konieczność wypowiedzi artystycznej jest silniejsza ode mnie.
- Ode mnie też! No, już trudno... nie mam siły, czytaj.
- „Spotkanie ich dwojga na stole. Sala operacyjna była już wypełniona do ostatniego miejsca. Studenci, prasa, telewizja, a tuż przy stole, na którym spoczywał kolejny pacjent, stał rząd skupionych asystentów i pielęgniarek. Nagle otwały się drzwi i ukazała się biała postać z rękami uniesionymi w jakimś cudotwórczym geście. Przez salę przebiegł dreszcz podniecenia! Nawet niewprawne oko mogło pod surowym białym fartuchem i maską odkryć przepyszne kształty dziewczęcego ciała. Tak, to ona! Wybitna chirurga polska, Barbara M. Zaraz będzie ciąć!”
- Kto? Chirurga?
- Nie czytał pan profesor w „Kulturze” tego artykułu o potrzebie feminizacji nazw niektórych zawodów? Ja się z tym zgadzam!
- Można by dyskutować... To dziwnie brzmi, zwłaszcza w odniesieniu do tego „dziewczęcego ciała”.
- No, to możemy używać chirurg... chirurg...
- No, śmiało!
- Chirurżanka. Kwestia umowy. Czytam: „Rozległy się brawa na wejście. Dziewczyna niecierpliwie potrząsnęła pyszną grzywą blond włosów i sala zamarła. »Siostrzo, proszę o skalpel« – rzuciła sucho, po czym zacisnęła swe pyszne, różane wargi, zamknęła oczy i jednym mistrzowskim ruchem rozcięła pacjentowi jamę na równiutkie dwie połowy. Trysnęła krew! Rozległy się brawa! »Siostrzo, proszę teraz o trochę jodiny, bo muszę zatamować upływ czerwonych ciałek«”.
- Basiu, nie dosyć tego?
- Tu się walczy o życie ludzkie, a pan mówi dosyć? Teraz, kiedy pacjent leży otworem?! Czytam: „Zręcznymi palcami chirurżanki dziewczyna zaczęła grzebać w jamie w poszukiwaniu chorej żyłki. »Siostrzo, proszę sprawdzić, czy serce równo pyka« – rzuciła nerwowo, a asystentowi dodała: – »Doktorze, chory potrzebuje więcej tlenu, proszę otworzyć lufcik!«. Teraz zaczęła przerzucać organy wewnętrzne w nerwowym poszukiwaniu. Płynęły cenne sekundy walki o życie! »Gdzie jest ta żyłka?!... Gdzie jest ta chora żyłka?!« – zastanawiała się w strasznym napięciu chirurżanka, oglądając uważnie flaczek po flaczku”. No co, dobre?...
- Skądinąd to jest ciekawe, jak nasza Basia wyobraża sobie operację...
- Zwyczajnie! Tak jak się to zazwyczaj pokazuje na filmie... Panie profesoro, czyżby i pan był niewrażliwy na dramatyczne piękno literatury operacyjnej?!

Czytam: „Rzęsiste krople potu wystąpiły na jej czoło. Czuła, że minuty kapią jak ten pot na dwunastnicę pacjenta, który już zaczyna odzyskiwać przytomność. Otworzył oczy i nagle skądś znajomy wydał jej się zarys tych dumnych męskich ust, tego jelita cienkiego i innych zakrętasów wystających z jamy. Barbara zachwiała się. Ależ tak, to on! Mogła się domyślić wcześniej, że to bezbronne białe ciało jest tak dobrze jej znanym kiedyś ciałem pedagogicznym... Zenona W.! »Profesorze, tyś to? Co za cudowne spotkanie nas dwojga przy tym wspólnym stole« – szepnęła. »Basiu! Jam ci jest – wyrwał mu się z ust słaby szept. – Jak to dobrze, że to ty mnie operujesz, bo do ciebie miałem zawsze największe zaufanie z całej klasy... ponieważ byłaś najlepiej rozwinięta pod każdym względem«. Po tej pochwalie jakby nowe siły wstąpiły w dziewczynę. Szybko opanowała drżenie rąk, które zwykle występuje w każdym filmie telewizyjnym, gdy chirurg musi ukrajać coś komuś bliskiemu... Cięła teraz jak w transie. Wychodziły jej coraz cieńsze plasterki. Raz po raz rozlegały się oklaski całej sali operacyjnej. I już po godzinie nawlekła igłę i wyjątkowo pięknym ścięciem fastrygowała i szyła tułów swego pedagoga”.

– Przepraszam, Marszelówna, ale...

– „Sala szalała z entuzjazmu, lecz oni nie słyszeli już nic. Trwali tak długo, stanowiąc piękny kadr telewizyjny. On blady i dumny ze swej wybitnej uczennicy, ona ot, jak zwykła prosta dziewczyna, pogodnie nucąca nad swą robótką”.

– Dodaj „krwawą robótką”. Dość tego!

– Mocna rzecz, prawda?

– Dla mnie za mocna. Dwójka!

– A co? Czy to tylko ja jedna piszę dziś takie mocne rzeczy?<sup>546</sup>

**Przykład 442. Jerzy Baranowski – *Zastępstwo*. Skecz z repertuaru  
Barbary Marszel z audycji Polskiego Radia  
„Podwieczorek przy mikrofonie” (1979?)**

(Lekcja)

– Marszelówna, na mównicę!

– Gdzie?!

– E, przepraszam, przejęczyłem się. Jak wiecie, miałem wczoraj ważne zebranie w komitecie blokowym, bo miałem zastąpić pana dyrektora szkoły, który jest w dzielnicowej komisji zazielenienia terenów osiedlowych, a wypadło mu akurat zastępstwo na zebraniu zastępców przewodniczących kół przyjaciół turystyki, więc... rozumiecie...

<sup>546</sup> Tenże, *Spotkanie na stole*, [w:] R. Sadowski (oprac.), dz. cyt., s. 167–169.

- Ach, to dlatego mieliśmy w klasie zastępstwo za pana!
- Tak, zastąpił mnie wasz kolega ze starszej klasy, wzorowy uczeń. Jakie on wam polecił wypracowanie domowe? Miały być przymiotniki...
- Brudas? Przymiotniki?
- Kto? Co to za przezwisko?
- E, przepraszam, znaczy Rysiek. Więc z przymiotników polecił nam tylko Suchego.
- Kogo?
- Suchego, znaczy swojego kolegę, też bardzo dobry uczeń, żeby nas jakoś zajął przez te dwie godziny. Opowiadał nam ostatni odcinek „Polskich dróg”.
- Co?... Więc Brudasa nie było... eee, przepraszam, Ryśka nie było?...
- Nie mógł, bo musiał zastąpić akurat matkę na zebraniu komitetu rodzicielskiego.
- Dosyć, Marszelówna, przystąpmy wreszcie do pracy. Daj mi kilka przykładów przymiotników... które...
- Kiedy...
- Teraz, zaraz...
- Nie. Ja mówię: „kiedy” w innym sensie...
- Dość tych rozmówek. Marszelówna, podaj mi przymiotniki...
- Kiedy...
- Ty znowu swoje?
- ... kiedy ja nie mogę.
- A to dlaczego?
- Bo ja jestem dziś w klasie na zastępstwie... Właściwie miało mnie nie być. Proszę pana, niech pan mówi, ja słucham.
- Chwileczkę. Marszelówna, co ty właściwie robisz? Co to za druty? Co to wszystko znaczy?!
- Ja?
- Ty. Tutaj przy tablicy.
- Dział.
- Co?
- Dział, dział!
- Co to za działdzianie? Mów, co robisz!
- No mówię! Dział na drutach. Dzieję, dźmę czy dziamię, nie wiem...
- Co tu się właściwie dzieje?
- Czapkę-uszatkę. Z włóczki wełnopodobnej. Zima idzie.
- Dlaczego dziejesz w klasie?
- Jestem na zastępstwie... Mamy w klasie ostatnio tyle wolnego czasu, że postanowiłam zostać uczennicą-chałupnicą.

- Co? Chałupnicą?
- A, przepraszam, tu nie ma chałupy... No to klasownicą, drutownicą, czap-kownicą uszatkową, wełnopodobną. Trzeba coś robić w wolnych chwilach, więc sobie dłubię. Proszę, proszę, niech pan mówi, ja słucham...
- Lekcja to dla ciebie „wolna chwila”? No, to już szczyt wszystkiego! Na lek-cji robić czapki na drutach!
- A co mam robić, druty na czapkach? Tak, tak, niech pan mówi, słucham.
- Cenne godziny lekcyjne ona trawi na włóczkę!
- No, panie profesorze, a co mam włożyć na trawkę?! Dlaczego pana to tak szokuje, że dźmę sobie spokojnie... Trzynaście, czternaście... piętnaście... Zima idzie, więc trzeba działać!
- Ależ, Basiu, czy nie zdajesz sobie sprawy...?
- Przepraszam, chwileczkę, bo mi się oczko pomyli, piętnaście... szesna-ście, jest. Proszę, proszę, niech pan mówi, słucham... słucham!
- Marszelówna! Nie pozwolę ci na lekcji działać!
- Ale ja muszę. Bo ja dzieję nie jako ja... tylko jako zastępstwo... Chciałam zamówić czapkę-uszatkę w spółdzielni „Ciepła Dziańina”, ale ta pani kierownic-ka spółdzielni powiedziała, że nie udzieje mi czapki, bo ona tylko zastępuje dzie-wiarki, które wyszły gdzieś kogoś zastąpić. Więc ja zastępuję te dziewiarki, bo chcę mieć czapkę-uszatkę!
- Dosty tego. Dziewiarki powinny działać, a ty powinnaś się uczyć!... Oddaj te druty!
- Dobra, proszę bardzo, ale jak odmrozę uszy, to cała odpowiedzialność spadnie na pana profesora...
- Nie ma obaw!
- Ach, racja! Zawsze można znaleźć sobie zastępstwo!<sup>547</sup>

**Przykład 443. Jerzy Dobrowolski –  
*Wspomnienia moich pamiętników. Fragmenty (1979)***

Liceum Gastronomiczne. Dyrektor placówki zwierzył się przy wódeczce, że wybiera zwykle kilku zdolniejszych uczniów i organizuje im Komplet Tajnego Nauczania, aby tradycje gastronomiczne, choć w głębokiej konspiracji, mogły zachować jakąś ciągłość i aby w jakiejś sprzyjającej chwili móc je zastosować w praktyce<sup>548</sup>.

<sup>547</sup> Tenże, *Zastępstwo*, [w:] R. Sadowski (oprac.), dz. cyt., s. 202–224.

<sup>548</sup> J. Dobrowolski, *Wspomnienia moich...*, dz. cyt., s. 88.

**Przykład 444. Stefan Friedmann, Jonasz Kofta –  
*Fachowcy i profesor. Fragment słuchowiska  
Polskiego Radia „Fachowcy” (1979?)***

– To będzie tu.

– Chyba żarówka przepalona, nic nie widać.

– Poświeć zapalką, docent, przeczytaj wizytówkę.

– Profesor dr habil... Zgasta.

– Zapal drugą.

– Profesor dr habil. czł. rzecz. TPWSiZ, czł. koresp. PiMiK, mgr dr Inst. Mniem. Stos... Panie majster, pudełka zapalek nie starczy. To nie wizytówka, to serpentina.

– Ten profesor to figura. Słyszałeś coś o nim, docent?

– Tak szczerze mówiąc, to nie. Ale w nauce jest teraz taki ścisk i specjalizacja, że w kolejce po nobla zna się tylko najbliższych sąsiadów.

– Prawie tak jak w rzemiośle. Jeden wecuje, drugi gwintuje, trzeci montuje i nawet ręki sobie nie podadzą. Co za ludzie!

– Wchodzimy, panie majster.

– Wchodzimy, tylko ostro. Jakby się stawał teoretycznie, to go zagnij, docent, po to cię mam.

– Jesteście, panowie. Proszę rozkładać kajety. Dzisiaj będzie dyktando. Uwaga, podaję tekst<sup>\*549</sup>.

– Chwileczkę, my...

– Tekst następujący: *Jan wszedł na wzgórze. Zobaczył przed sobą wieś. Ze wszystkich kominów wsi dymiło się, tylko z jednego nie dymiło się...*

– Długopis mnie kulkuje...

– Przejdź na ołówek, młody człowieku. *Nie paliła w piecu, psie krwie, mruknął Jan i poprawił zdobyczną parabelkę. Czy można u was wysuszyć onuczki? – chytrze spytał Jan, wchodząc w obejście. Można, ale u nas w piecu się nie pali. Jan podszedł do pieca i otworzył drzwiczki. W piecu siedział faszystowski najmita.*

– Co dalej?

– Popatrz, docent, jaki chytry bandzior.

– Koniec dyktanda.

– A niech to! Sturba suka zadziamdziana!...

– Panie majster!

<sup>549</sup> Następných wypowiedzi profesora nie będziemy oznaczać gwiazdką. Jest on wprawdzie osobą trzecią, ale w swojej dziedzinie uchodzi za fachowca.

– A tom zgłupiał! Szkoła mnie się przypomniała, baranowi. Wystarczy, że taki jeden z drugim zapoda belferską gadułkę, już mnie robi na friko i boję się, czy dwóci nie dostanę. O żesz twoja alfabetyczna postura! Może mnie do kąta postawisz, łysolu? Mnie, starego majstra! Sprawowanie mnie obniżysz! Wstyd, żeby tak starym człowiekiem pomiatać, co z drugiego końca miasta się wlecze, żeby tobie, ochwiaro, się wszystko na te okulary nie zawaliło!!!

– Ależ panowie, musiało zajść godne pożałowania nieporozumienie.

– Panie psorze, pan majster poczuł się urażony niedwuznaczną aluzją do jego niedostatecznych kwalifikacji, zawartą w kategoriycznym trybie postępowania dydaktycznego.

– Pozwolą panowie, że przetrę okulary. Kim panowie są?

– Fachowcy.

– Zaszła pożałowania godna pomyłka. O tej porze zwykle przychodzą do mnie synkowie sąsiada, trudne dzieci. Na rehabilitacyjne sympozjum z historii najnowszej i ortografii, a okulary miałem akurat nieco zaparowane... Szanowny panie, niech pan nie płacze, nie mogę tego znieść.

– To był dla majstra wielki wstrząs. Jeśli wolno mi zaproponować rodzaj mediacji, sugerowałbym przejście na płaszczyznę współkonsumpcji płynów wysokooktanowych o odpowiedniej ilości gradusów.

– Jeśli dobrze pana zrozumiałem, młody człowieku...

– ...Mogę skoczyć.

– Zejdzie pan w takim razie jedno piętro w dół do konsjerżki i powie jej pan, że dziś są moje imieniny Jana Złotoustego; sądzę, że da panu bez marży.

– Pan jednak jesteś kulturalny człowiek, profesorku.

– Lecę, panie majster.

– Ogólne zasady etyki stosowanej sformułowałem już dosyć dawno. Odsyłam pana do mojej prolegomeny do *Etycznych zastosowań niektórych aspektów mniemanologii w kontekście moralnych struktur normatywnych szczepu Buzia z wyspy Obali Archipelagu Mandryle Średnie*. Oxford 1921, papier kredowy, trzydzieści rycin w tekście, półskórek, plus składana mapka i portret autora.

– Jak pan tak nawija, profesorku, to aż mnie się łyzy w oczach kręcą. Żeby miał maturę, życie moje potoczyłoby się inaczej.

– No właśnie. Po co? Ja nie mam matury i jakoś sobie radzę, jak pan widzi.

– Jakim to sposobem?

– W najwyższych rejonach nauki liczy się przede wszystkim solidnie opracowana bibliografia, aneksy, suplementy, odsyłacze, itd...

– Możliwe, ja w tej materii fachowiec nie jestem.

– Niosę prędko, żeby nie ostygło!



- Jak ła.
- *Lacrima*. Owidiusz – koniec cytatu.
- No, to dźwięk!
- *Salut!*
- Wznoszę ten toast, wybaczy mi pan profesor kolokwialny zwrot, za nieustający sojusz nauki z rzemiosłem.
- Po sposobie sformułowania wnoszę o pańskich licznych kontaktach z nauką.
- No jak, docent, rozpoznał cię profesor?
- Docent... A z czego pan się habilitował, kolego?
- Geometria wykreślna. Niektóre szczególnie przypadki stycznej do wytycznych.
- Ciekawa dziedzina i mało zbadana.
- Panie majster, może by się tak zabrać do roboty.
- Widzisz, docent, pan profesor taki dobry człowiek, żal mnie go.
- Mnie też.
- To może dziś nic nie naprawiamy.
- Wszedł mi pan majster w słowa.
- Cieszę się, że panowie doszli do takiego wniosku. Wszelka interwencja mogłaby zakłócić subtelną równowagę ekologiczną urządzeń sanitarnych, które, co prawda, nie działają, ale jeszcze nikogo nie zabiły<sup>550</sup>.

#### **Przykład 445. Horacy Safrin – *Edukacja wilka* (1979)**

Uczono wilka dobrych obyczajów.  
 Odpoczął nieco, kałdun spał.  
 Przeczekał porę zimową, a w maju czmychnął.  
 Nauka wraz z nim poszła w las<sup>551</sup>.

#### **Przykład 446. Horacy Safrin – *O wychowaniu dzieci* (1979)**

Skarży się bocianowa sąsiadce z komina:  
 „Moja pani, mam kłopot z wychowaniem syna...  
 Taki smyk, ledwie podrośł, sen mi spędza z powiek.  
 Nie chce wierzyć, że przyniósł mu siostrzyczkę – człowiek!”<sup>552</sup>.

<sup>550</sup> S. Friedmann, J. Kofta, *Fachowcy i profesor*, [w:] S. Friedmann, J. Kofta, *Fachowcy*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979, s. 47–50. Por. J. Kofta, dz. cyt., s. 449–452.

<sup>551</sup> H. Safrin, *Edukacja wilka*, [w:] tegoż, *Warce Noego. Bajki oraz facecje żydowskie*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, s. 38.

<sup>552</sup> Tenże, *O wychowaniu dzieci*, [w:] tegoż, *Warce...*, dz. cyt., s. 27.

**Przykład 447. Urszula Wierzbicka – *Ośła ławka*. Fragmenty (1979)**

*(Fragment klasy; centralnie stoi przesadnie duża szafa z napisem: „Pomoce naukowe”; z jednej strony stolik nauczycielski, z drugiej ławka uczniowska. Przez klasę przechodzi dziewczynka – typ intelektualistki, podkreślony dużymi okularami z drutu; uczennica, naśladując nauczycielkę, siada przy katedrze i mówi patetycznie):* Pójdźcie, o dziatki, ja was uczyć każę!

*(Raptowne otwarcie szafy, w której błaznuje gromada uczniów; replikują):*  
To się po nas nie pokaże!!!

*(Wybiegają z szaty z niektórymi pomocami szkolnymi, „ogrywając” je jak instrumenty muzyczne, np. globus – perkusja, rytmicznie w takt melodii uderzają probówkami i linijkami; śpiewają):*

Wszyscy:

Jest dużo szkół,  
jest dużo klas,  
a w każdej klasie dużo ław.

Lecz w naszej klasie  
jest ośła ławeczka,  
taka małułka ławeczka  
dla człeczka.

Tym człeczkiem może  
być każdy z was.

My go serdecznie przyjmujemy  
wśród nas.

Jeden z uczniów mówi:

Gdy odrobisz lekcje marnie,  
pałę ci postawią wnet!

Wielka gorycz cię ogarnie,  
gdy do ławki będziesz szedł.

*(Muzyka, zespół tańczy wokół szafy, powtarzając od słów: „Lecz w naszej klasie jest ośła ławeczka...”. Z grupy odrywają się kolejni uczniowie, podchodzą do widowni prowadzeni światłem i mówią):*

R1<sup>553</sup>: Teraz w szkołach bardzo mało jest leniuchów pośród was.

R2: Przechodźcie armią całą rok w rok do następnych klas.

*(Światło punktowca na samotną ławkę, na której jest napis:*

*„Ośła ławka”, w ławce siedzi przerośnięty drugorocznik, ubrany w zbyt ciasne i krótkie ubranie, śpiewa na melodię „Starzyka”):*

<sup>553</sup> Recytator.

Lecz wyjątki są widoczne,  
 ja już trzeci rok rozpocznę  
 w jednej klasie – siódmej bee,  
 w oślej ławce siedzieć chcę.  
 Pyk, pyk, pyk fajeczka,  
 tronem moim ta ławeczka.  
 Ławeczka i gumeczka,  
 celuję w okieneczka  
 To starzyka los...  
 Dwójek pełen trzos...

*(Wbiega cały zespół i otacza ławkę; śpiewają wszyscy dwa ostatnie wersy, tańczą i wznoszą okrzyki):*

Vivat rex beanów! Vivat król oślej ławki!  
 Niech żyje Zygmunt Stary!  
 Rój dwój w jednym ciele!  
 Vivat! Vivat! Vivat!  
 Wie, co to wagary!

*(Kilku uczniów podbiega do szafy, wyjmując z niej „insygnia królewskie” – korona zrobiona z dwójek, berło w kształcie jedyńki; koronują króla. Tymczasem uczennica dyżurna wyjmuje kilka autentycznych pomocy do chemii i układa na stole nauczycielskim. Poszczególne repliki przedzielone są przerywnikami „muzycznymi” – krótkie efekty akustyczne na opisanych uprzednio instrumentach; żywa akcja):*

R1: Najstarszy władca oślej ławy!

Wszyscy: Hurra!!! Koronujemy oślego króla!

R2: Złote myśli z oślej ławki!

R3 (dyżurna – mówi z przekąsem): Łatwiej o beczkę niż o Diogenesa!

R2: Przygotuj na fizę pomoce, Teresa!

R3: Co świadczy o stopniu wykształcenia z fizyki?

Ośli król: Ilość zbitych probówek.

*(Scena przy oślej ławce, wszyscy aprobują dowcipy króla, mówią):*

Vivat ośli król!

Ma wstręt dziki do fizyki.

Od chemii dostaje anemii.

Niech żyje!

Dyżurna (jak wyżej z przekąsem): Co to jest chemia? (Konsternacja i milczenie).

Dyżurna (z przekąsem, grając nauczycielkę, operuje czerwonym, groteskowo dużym ołówkiem w notesie): Milczycie z ochotą.

Ośli król: Milczenie jest największą cnotą!

Dyżurna (*jak wyżej*): Chemia jest to przedmiot, który u mieszkańców oślej ławki powoduje reakcję strachu. Co to jest historia?

Ośli król: Przeszłość, która w czasie terażniejszym nie zostaje zapamiętana przez przeciętnego ucznia na przyszłość. (*Podbiega do szafy, pozostawiając na ławce swoje insygnia, przeobraża się w narratora kierującego przedstawieniem, uderza w patelnię, kłania się cylindrem publiczności i mówi*) Najmniejszy teatrzyk „Ośła ławka” ma zaszczyt przedstawić Szanownej Publiczności Poczety Panujących w oślej ławce! Kurtyna! Akt I – Michał IV Leniwy!

(*Na słowo „kurtyna” otwierają się ogromne drzwi szafy z charakterystycznym zgrzytem, teraz szafa zajmuje całą scenę, jej wnętrze zostało przemienione na scenę, na drzwiach wiszą dekoracje obrazujące „ośłą łączkę” – mogą to być plansze, np. z wyrazami pisanymi nieortograficznie, mapa, na której Bałtyk leży na południu Polski itp. Z szafy wysuwa się szuflada, na której leży w wygodnej pozycji Michał IV. Uczniowie siadają wokół szafy jako widzowie, ale jednocześnie toczy się między nimi rozmowa*):

- Był leń, co zwał się Michałek.
- Nie robił nic w poniedziałek.
- Spać poszedł, a wstał we wtorek dopiero na podwieczorek.
- Zaczekał aż przyszła środa.
- Lecz czasu było mu szkoda.
- Do książki zabrał się w czwartek.
- Lecz nawet nie rozciął kartek.

Narrator: Rozmyślał!

Michałek: Jutro jest piątek, więc w piątek zrobię początek.

Narrator: A w piątek rzekł...

Michałek: Na sobotę odłożę raczej robotę.

Narrator: Przyszła sobota...

Michałek:

W niedzielę

odpocznę wpierw mało – wiele.

A za to już w poniedziałek

odrobię cały kawałek.

(*Dalszy dialog wiedzie między sobą publiczność*).

- We wtorek rzekł: źle się czuję,
- a w środę dostał dwie dwójce!
- Do domu wrócił Michałek,

przygłodził smętnie przedziałek  
i w ojca wlepiwszy ślepiea.

Narrator: Rzekł...

Michałek: Nauczyciel się czepiał! (*Cały zespół po replice Michałka podrywa się uradowany, tańczy i śpiewa*).

Gdy na jakiś ból narzekasz  
i gdy w domu był już lekarz,  
do apteki by się szło!

Patrzysz: wszędzie marmur, szkło;  
a za szkłem równiutko stoi

Puszek z dziesięć czy piętnaście,  
a w nich leki, proszki, moście.

R1: Jest więc olej rycynowy.

R2: Są pigułki na ból głowy.

R3: Na pozbycie się łysiny.

Wszyscy: Wszystko, czego chory chce.

R4: Są tabletki aspiryny.

Wszyscy: No i wszelkie witaminy, Witaminy A, B, C!

R4: Również jest mikstura, która oparzenie leczy w mig.

R5: I jest maść, gdy swędzi skóra.

R6: I są krople na apsik!

(*Cały zespół tańczy i śpiewa*).

Wszyscy:

A na półkach leżą ziółka,

jeśli kogoś boli brzuch,

i zastrzyki są w ampułkach,

gdy ktoś zatrzał się i spuchł.

(*Soliści parlando, oświetlani punktowcem*).

R1: Skoroś lek właściwy zażył,

zaraz jesteś zdrów człowieku.

R2: Ale czemu nikt z lekarzy

na lenistwo nie zna leku?

R3: Czas najwyższy, by uczeni

dla człowieka, co się leni

wynaleźli proszki jakie.

R4: Żeby przestał być próżniakiem.

(*Szafa otwiera się z charakterystycznym skrzypem, zza drzwi szafy głowa Michała, który śpiewa*).

Michał IV:

Gdyby były takie leki,  
zaraz wziąłbym nogi za pas  
i poleciał do apteki,  
żeby kupić większy zapas!  
I choć każdy lek jest gorzki,  
ciągle łykałbym te proszki,  
by nie słyszeć cały dzień:

R5: A to wałkoń, a to leń!

*(Gong. Cały zespół siada wokół szafy. Narrator zapowiada).*

N: Kabaret „Ośła ławka” ma zaszczyt przedstawić Państwu panującego przez dwa tygodnie i dwa dni Lizusa Przylepkę.

*(Z szafy wysuwa się potężny palec na długiej tyczce, a potem wychyla się głowa Lizusa. Niecierpliwe charakterystyczne ruchy „łapy” zgłaszającej się natchalnie do odpowiedzi, stanowią element częsty w tego typu spektaklu).* Wszyscy:

Powiem ja, powiem ja, powiem ja...

*(Gong. Otwiera się szeroko szafa, na drzwiach zmiana dekoracji, wisi potężne ucho i oko – rekwizyty z pomocy naukowych do biologii. Wysuwa się duża złocista rama, w ramę wchodzi Jan III. Jan III wiezie dialog z dziewczynką z publiczności, ilustruje swą wypowiedź, wyciągając na gumkach ukryte w różnych częściach garderoby „ściągi” karykaturalnych rozmiarów).*

N: Teatrzyk „Ośła ławka” przedstawia Państwu Jana III – Podśluchiwacza.

R1: Ośła ławka rozwija wszechstronnie słuch i wzrok.

Dziewczynka:

Mam kolegę w klasie Janka,  
umie lekcję on co ranka,  
wie, co każdy wyraz znaczy.

Jan III:

A ja nie tak, ja inaczej!  
Nigdy lekcji nie odrobię,  
ściągnę skądś najwyżej sobie.

Dziewczynka: Pierwszym uczniem będzie Janek.

Jan III:

W oślej ławce ja zostanę,  
bo ja tylko to mam w głowie,  
co kto inny mi podpowie.

Wszyscy *(śpiewają i tańczą walczyka wokół szafy)*:

Uskarżał się biedny chłopczyzna,  
że belfer mu gola postawił,

że zawsze się gniewa i zżyma  
i suche morały mu prawi.

*(Zespół rozbiega się po całej klasie, każdy recytator wypowiada jeden wers – kwestię, parodiując daną sytuację, jako „Zbyszek”).*

Zbyszku, przestań, w zębie grzebać.

Zbyszku, nie kręć kulek z chleba.

Zbyszku, nie bierz tyle soli.

Zbyszku, zupę jedz powoli!

Zbyszku, nie rusz tego kwiatka!

Zbyszku, wolno, bo się zatkasz...

Zbyszku, ocet cię zabije.

Zbyszku, nie drap się tak w szyję!

Zbyszku, wyjmij dłoń z kieszeni!

Zbyszku, nie kładź się na ziemi.

Zbyszku, nie wchodź na ten taras!

Zbyszku, głowę umyj zaraz!

Zbyszku, nie gwizdź i nie kichaj!

Zbyszku, spodni nie wypychaj...

*(Gong. Reflektor skierowany na szafę zamienioną w tron, na którym siedzi Katarzyna – caryca; w ręku berło – duży cyrkiel, na głowie garnek. Narrator zapowiada):*

N: Teatryk „Ośła ławka” ma zaszczyt przedstawić Państwu panującą wszechwładnie Katarzynę Przerozumną, która wydziedziczyła z oślej ławki dotąd miłościwie panującego Iwana Groźnego Zabijakę. *(Publiczność wie dialog z Katarzyną).*

R1: Zjadła wszystkie rozumy, więc co jej po rozumie? Uczyć się nie chce, bo po co? Gdy sama wszystko umie.

R2: Ile jest dwa i dwa?

Katarzyna: Osiem.

R3: A kto był Kopernik?

Katarzyna: Król!

R4: A co nam Śląsk daje?

Katarzyna: Sól.

R4: A gdzie leży Kraków?

Katarzyna: Nad Wartą.

R1: A uczyć się warto?

Katarzyna: Nie warto! *(Katarzyna śpiewa):*

Kto by się tam uczył, pytał,

dowiadywał się i czytał,  
kto by sobie głowę łamał,  
kiedy mogę sama, sama...

Wszyscy: Toś ty taka mądra dama!

Katarzyna: Siedzę w oślej ławce sama...

*(Gong. Narrator zapowiada. Drzwi szafy uchylają się ze zgrzytem, z szafy najpierw słycać szmery, szepty, potem wychyla się głowa Podpowiadacza, który mówi przez dużą trąbkę, publiczność słucha z natężeniem).*

N: Teatrzyk „Ośła ławka” ma zaszczyt przedstawić Państwu ozdobę panujących w oślej ławce Bolesława Złotoustego Podpowiadacza.

Podpowiadacz: W Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie i Szczebrzeszyn z tego słynie... szszszczczczczcztrszcztrtrrz...

*(Głos zza drzwi szafy):*

R7: Radio, adapter, magnetofon na lekcji nie zastąpią dobrego słuchu...

*(Gong, Narrator zapowiada):*

N: Teatrzyk „Ośła ławka” ma zaszczyt wstawić w ramkę niedoszlą królową oślej ławki – Księżniczkę Skarżypytankę.

*(Raptowne otwarcie drzwi szafy, na drzwiach karykaturalne dekoracje, np. duży język, który Narrator zawiesza Skarżypytance na szyi, pociągając zań w czasie jej monologu).*

Skarżypytanką *(śpiewa)*:

Piotruś nie był dzisiaj w szkole,  
Antek zrobił dziurę w stole,  
Wanda obrus poplamiła,  
Zosia szyi nie umyła,  
Jurek zgubił klucz, a Wacek  
zjadł ze stołu cały placek.

Wszyscy *(przedrzeźniając)*: Cały placek, cały placek, cały placek.

Narrator: Któż się ciebie o to pyta?

Skarżypytanką: Nikt, ja jestem skarżypyta.

Narrator: Kurtyna! *(Kurtyna zapada ze zgrzytem. Po wypowiedzeniu przez Skarżypytankę ostatnich słów, z szafy spada duża mapa, rozwijając się na kształt kurtyny i zasłania scenkę. Drzwi wolno zamykają się).*

Wszyscy *(ustawieni frontalnie)*:

N: Przyszliśmy tu w celach czystych.

R1: Bez aluzji osobistych.

R2: Więc portrety te nikogo  
przypominać wam nie mogą.



N: A na końcu wam wyjaśnię naszą tajemnicę:  
w stół bijemy po to właśnie,  
by ozwały się nożyce.

*(Cały zespół tańczy walczyka i śpiewa):*

A w naszej klasie jest ośła ławeczka,  
ośła ławeczka,  
taka malutka ławeczka dla człeczka.  
Tym człeczkiem może  
być każdy z was.

My go serdecznie przyjmiemy wśród nas.

*(Uczniowie rozbiegani po całej klasie na przemian tańczą wokół szafy, każdy wykonawca, śpiewając refren piosenki, zasiada w oślej ławce).*

Wszyscy (śpiewają):

Gdy klasówkę sknocisz bracie,  
gdy się dwóje sypią na cię,  
gdy matemy nie pojmujesz,  
bo codziennie wagarujesz,  
gdy ci milszy serial „Kobra”,  
niż powtórka z fizy dobra! *(Solo w ławce):*

Marny wtedy los człowieka,  
w oślej ławie miejsce czeka. *(Wszyscy):*

Gdy lektury nie przeczytasz,  
i przyjaciół wokół pytasz,  
co napisał Bolesław Prus,  
boś zapomniał z bryka już,  
gdy ci z histy przysły daty,  
słówek uczysz się na raty. *(Solo – jak wyżej):*

Marny wtedy los człowieka,  
w oślej ławie miejsce czeka. *(Wszyscy):*

Gdy się spóźnisz, bo zasypiasz  
i kolegi zeszyt chwytasz,  
bo swojego zapomniałeś,  
choć zadanie napisałeś,  
gdy cię belfer na tym chwyci  
i dwójeczkę postawi ci – *(Solo jak wyżej):*

Marny wtedy los człowieka,  
w oślej ławie miejsce czeka.

(Wszyscy powtarzają piosenkę, śpiewaną na początku spektaklu, żywa akcja aż do momentu dzwonka, po którym obraz nieruchomieje. Tuż po dzwonku wpada do klasy uczeń ze słowami: „Bukwa idzie”).

Bo w naszej klasie jest ośła ławeczka... itd.<sup>554</sup>

**Przykład 448. Jerzy Wittlin –  
*Egzaminowaną na prawo jazdy uspokajając* (1979)**

Egzaminem na prawo jazdy zaniepokojonej pani, twierdzącej, że absolutnie nic nie pamięta, przypominamy na pocieszenie pytanie, jakie w przeddzień egzaminu zadała swojemu instruktorowi inna znajoma kandydatka: „Nie wszystko jest jeszcze dla mnie jasne – powiedziała. – Założmy, że mój bak benzynowy jest pusty. Czy to może samochodowi zaszkodzić, jeśli ja mimo tego jadę dalej?”<sup>555</sup>.

**Przykład 449. Jerzy Wittlin –  
*Ekonomii ucząc się do egzaminu* (1979)**

Podczas dyskusji między kolegami na temat równowagi podaży i popytu, przytaczamy konkretny przykład udowadniający, że rozumiemy to zagadnienie. Pewnego człowieka skazano kiedyś na karę śmierci przez zamurowanie żywcem. Jako ostatnią wolę, skazaniec wyraził życzenie, aby go zamurowano z żywą gęsią. Wolę skazańca wypełniono. Po tygodniu wykonawcy wyroku słuchają przez ścianę i co się okazuje? Skazany żyje i gęś żyje. Po dwóch, trzech, czterech tygodniach również. Kiedy po miesiącu odmurowano skazanego, darowano mu życie, ale pod warunkiem, że wyjaśni, jak on to zrobił, że i on, i gęś są żywi. A na to skazaniec: „To przecież bardzo proste: ja jadłem to, co gęś zrobiła, gęś jadła to, co ja zrobiłem i jakoś żeśmy żyli!”<sup>556</sup>.

<sup>554</sup> U. Wierzbička, *Ośła ławka*, [w:] tejże, *Szkolny teatr małych form w moim doświadczeniu pedagogicznym*. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1979, s. 86–93. [...] *Ośła ławka* – to kabaret uczniów starszych klas szkoły podstawowej. Materiał programowy obejmował bardzo różnorodne tworzywo – w większości własne teksty satyryczne uczniów odnoszące się do ich środowiska szkolnego. Niekiedy były to trawestacje znanych utworów literackich – wierszy Konopnickiej, Brzechwy, Gałczyńskiego, Marszaka; walczyk opracowany na lekcjach wychowania fizycznego i piosenki na lekcjach wychowania muzycznego. Wspólnym tematem poszczególnych „numerów” było satyryczne widzenie spraw ucznia od strony nauczyciela i samej młodzieży. Taż, *Szkolny teatr...*, dz. cyt., s. 78–79.

<sup>555</sup> J. Wittlin, *Egzaminowaną na prawo jazdy uspokajając*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip. Vademecum – 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1979, s. 59.

<sup>556</sup> Tenże, *Ekonomii ucząc się do egzaminu*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip...*, dz. cyt., s. 59–60.

**Przykład 450. Jerzy Wittlin –  
*Przemądrzałość dzieci ilustrując* (1979)**

Do przytaczanych przez rozmówców przykładów przemądrzałości dzieci, dorzucamy przykład następujący: – Dzieci, powiedzcie mi – mówi nauczyciel w klasie – kto jest szybszy: wyścigowy koń czy gołąb pocztowy? No, jak sądzisz, Arturku?

– Piechotą koń – odpowiada Arturek.

Jeśli rozmowa na ten temat się przedłuży, nie wcześniej jak po pięciu minutach dorzucamy jeszcze jeden przykład:

„Nauczyciel w klasie opowiada o higienie osobistej. Następnie pyta się uczniów, co należy zrobić przed spaniem, ale niestety żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że trzeba myć zęby. Wtedy nauczyciel wywołał Arturka, ale i ten nie dał mu zadowalającej odpowiedzi.

– No, zastanów się – stara się Arturkowi pomóc nauczyciel – co robią na przykład przed spaniem rodzice?

– Na miłość boską – woła Arturek – ja to wiem, pan to wie, ale czy to naprawdę jest pytanie dla drugiej klasy?”

Po tygodniu (najwcześniej!), jeśli rozmowa na ten sam temat w tym samym gronie kontynuowana jest dalej, przytaczamy trzeci (i ostatni) przykład o Arturku: – Arturku – pyta nauczyciel – dlaczego ryby są nieme?

– Pan nauczyciel sam by spróbował mówić z głową pod wodą – odpowiada Arturek<sup>557</sup>.

**Przykład 451. Jerzy Wittlin –  
*Seksualnie uświadamiając córkę* (1979)**

Seksualnie uświadamiając córkę, najłatwiej rozładowuje matka rosnącą w miarę uświadamiania niezdrową ciekawość pociechy wtrącając anegdotę: „W klasie na lekcji biologii pani nauczycielka pyta dzieci, dlaczego w jesieni bociany lecą na południe.

– Ponieważ – odpowiada Krysia – Murzyni też chcą mieć dzieci”<sup>558</sup>.

---

<sup>557</sup> Tenże, *Przemądrzałość dzieci ilustrując*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip...*, dz. cyt., s. 185–187.

<sup>558</sup> Tenże, *Seksualnie uświadamiając córkę*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip...*, dz. cyt., s. 207–208.

**Przykład 452. Jerzy Wittlin –*****Seksualnie uświadamiając syna (1979)***

Przysłuchując się wymianie doświadczeń rodziców na temat właściwych sposobów uświadamiania seksualnego dzieci, wtrącamy: – Słuchaj, Jasiu – mówi ojciec do dwunastoletniego synka – musimy porozmawiać poważnie, jak mężczyzna z mężczyzną. Zastanowimy się wspólnie nad życiem seksualnym.

– Zgoda – odpowiada Jasio – a czego chciałby się tata w tej sprawie dowiedzieć?<sup>559</sup>

**Przykład 453. Krzysztof Daukszewicz –*****Wywiadówka w klasie VIII „c” (1980)***

Równy z dwunastą w klasie VIII-iej zabrzmiał dzwonek.

W ciszę po dzwonku wdarł się ostry zgrzyt ołówka.

To pan historyk wynotował nieobecnych.

Tak się zaczęła słynna w szkole wywiadówka.

Z początku wszystko szło po myśli wychowawcy.

Wymienił tych co są najlepsi w całej klasie.

Heca zaczęła się gdy doszło do dwójkowych, szczególnie gdy zatrzymał się nad małym Jasiem.

– Syn pański – rzekł, zwracając się do ojca Jasia – nie zna historii, co wyraźnie z dwój wynika.

– I znać nie będzie! – krzyknął tata z oślej ławki

– póki nie będzie sensownego podręcznika.

Pan ze zdziwieniem źle skrywanym ojca spytał:

– Skąd się u pana bierze taki akcent wrogi?

– Bo w książce piszą, że przez całą okupację to tylko stalim, kurza twarz, z bronią u nogi!

– I to jest prawda! Nie uprawiać demagogii!

– nomenklatura się wydarła w pierwszym rządzie.

– Armia Krajowa – towarzysze – zawsze stała! I ciągle stoi! Towarzysze! I stać będzie!

<sup>559</sup> Tenże, *Seksualnie uświadamiając syna*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip...*, dz. cyt., s. 207.

Dyskusja prowadziła w stronę rękoczynów a wszystko z winy wstydliwego podręcznika. Stwierdzono, że krytyka rządów powojennych skończyła się na rządach S. Mikołajczyka.

A jakaś Pani wygarnęła partii w oczy, że i przed wojną też bywała demokracja i zapytała: – Czy Piłsudski do nas wróci? Skoro odnowa znaczy tyle co sanacja?

Cisza zapadła, kiedy ojciec Jasia spytał: – Za co dostało dwójkę biedne dziecko moje? – Bo na pytanie: – „Co nam powiesz o Stalinie?” rzekł: – „Nic nie powiem bo się ciągle jego boję”.

A finał wywiadówki był jak w każdym mieście, gdzie już dotarła tak potrzebna nam odnowa. Po głosowaniu tajnym ogłoszono werdykt i Jasia trzeba było zrehabilitować<sup>560</sup>.

#### **Przykład 454. Tadeusz Gicgier – *Nauka* (1980)**

Uczcie się, o przyjaciele!  
Jest nauczycieli wiele:  
kret uczy, jak podkopywać,  
wilk – jak prowianty zdobywać,  
lis – jak wyprowadzić w pole,  
małpa – jak grać inną rolę,  
jak zdobyć poklask – papuga,  
pies – jak szczekać, kot – jak mrugać;  
ryś uczy wysokich chodów,  
niedźwiedź – jak trafić do miodu,  
glista – jak się wśliznąć w łaski,  
flądra – jak kształt przybrać płaski,  
zając – jak nie spuszczać powiek,  
choć z tym czasem ma ambaras,  
a tej całej wiedzy na raz

<sup>560</sup> K. Daukszewicz, *Wywiadówka w klasie VIII „c”*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościobozem*, t. 2, *Spowolnienie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992, s. 93–94.

uczy swe potomstwo – człowiek.  
Bo to stwór genialny taki,  
co przeszedł wszystkie zwierzaki<sup>561</sup>.

**Przykład 455. Ryszard Marek Groński – *Sztuka kochania*.  
Monolog z repertuaru Krystyny Sienkiewicz  
w programie Teatru „Syrena” (1980)**

(*Wchodzi, pokazując egzemplarz książki*).

„Sztuka kochania...” Raczej – sztuka dostania! Co to się działo na kiermaszu, pod Pałacem, kiedy gruchnęła wieść, że doktor Michalina Wiśłocka będzie podpisywać! Było widzieć tę kolejkę szerokotorową, bo teraz szerokie tory modne. A jacy wszyscy ożywieni! Mężczyźni zwłaszcza. Już nie muszą jeździć do krajów skandynawskich. Na seksy.

Co tam. Grunt, że pani doktor napisała bestseller. O takich książkach Boy-Żeleński mawiał, że czyta się je – jedną ręką. Pożółkły ze starości van de Velde nareszcie przejdzie na rentę. Wiśłocka ciekawsza. Wystarczy rzucić okiem na spis rozdziałów. Nie są to rozdziały od łoża. Wprost przeciwnie. O, proszę: Jak rodzi się rozkosz... Przyływy i odływy... Nie tędy droga... Kiedy zacząć...

Zacząć – głupstwo. Kiedy skończyć – o, to dopiero jest problem. (*Wertując książkę*) Ilustracje w tej „Sztuce kochania” też na poziomie. Wykresy... krzywe... Pną się w górę, aż serce rośnie. Ech, żeby to chodziło o dodatkową produkcję antyimportową albo bilans naszego handlu zagranicznego...

Jedno mnie trochę zdziwiło. Na rysunkach kobieta jest zawsze biała, a mężczyzna czarny. Może to ma być cios wymierzony w rasistów z Południowej Afryki? W te apartheidy, obowiązujące nawet w apartamentach? A może to jest zręczne nawiązanie do wierszyka Tuwima:

Murzynek Bambo w Afryce mieszka,  
Czarną ma skórę ten nasz koleżka.

(*Wpatrując się w ilustrację*) Trzeba przyznać, że koleżka pięknie się rozwinęła. Zaraz... Jak to dalej szło w tym wierszyku:

Uczy się pilnie przez całe ranki...  
Bzdura!

Uczy się pilnie przez całe nocki  
Z książeczki pani doktor Wiśłockiej.

<sup>561</sup> T. Gicgier, *Nauka*, [w:] tegoż, *Satyry, fraszki, aforyzmy*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, s. 46.

Ma się czego uczyć. (Czyta)... „Pozycja polinezyjska...” Co ja do tej pory wiedziałam o Polinezji? A tu masz – niby trzeci świat, a jakie wyrafinowanie... (Czyta) „Mężczyzna nie musi siedzieć na piętach...” Racja. Jakby musiał cały czas siedzieć na piętach, pewnie by mu w pięty poszło. (Czyta) „Pozycja kolanowo-łokciowa...” O, to rozumiem. Normalka. U nas nie tylko w miłości bez użycia kolan i łokci daleko się nie zajdzie.

Ale najbardziej poruszył mnie rozdział: „Monotonia wrogiem miłości”. Nie, tego niepodobna opowiedzieć własnymi słowami. Wolę zacytować autorytet: „Wspominałam już tańcach nago dla wyrobienia swobody ruchów. Zupełnie podobnie możemy bawić się we dwoje. Po kolacji, przy ładnie nakrytym stole, urozmaiconej jakimś specjalnie lubianym przysmakiem sporządzonym we dwoje i kieliszkiem wina jednym, przy muzyce. Tańce powinniśmy wzbogacać różnymi elementami erotycznymi. Mamy tu ogromne pole do popisu dla inwencji twórczej... Starzejące się małżeństwa, które nie stronią od tańców żywych i urozmaiconych skomplikowanymi figurami, zachowują swobodę ruchów, gibkość, dobrą wydolność mięśnia sercowego przez długie lata”.

Wiadomość o wydolności mięśnia sercowego tak nas zmobilizowała. Co wieczór siadaliśmy do kolacji. Nasz specjalnie ulubiony przysmak: kaszan-ka. Wypijaliśmy po kieliszku Muscatelli, bo akurat w naszym samie był tylko ten gatunek wina. Adapter gra, tynk z sufitu leci, a my nic, tańczymy. Co któreś z nas wyrznie w jakiś mebel albo zaczepi o klamkę, pocieszamy się, że mamy przeciw – ogromne pole do popisu dla inwencji twórczej.

Gospodarz domu nas odwiedził. Z dzielnicowym.

– Wpłynęło doniesienie, że państwo prowadzą hulaszczy tryb życia, odkąd wprowadzono dodatek pieniężny zamiast bonów na cukier. Co noc u państwa tańce, hulanki, swawole...

Tłumaczymy: – My nie hulaki, my tancory! Pokazujemy zalecenie pani doktor Wisłockiej. Dzielnicowy pokiwał głową. A gospodarz domu na odchodnym rzucił ponuro: – Zboczeńce wykroczone!

Przypomniałam sobie, że oprócz tańców pani doktor rekomenduje zabawy w wannie. O, tak ona pisze: „Łazienka może stać się idealnym schronieniem dla miłości w malutkich mieszkaniach. Woda ma ogromne walory seksualne...”. Mąż wlał do wanny. Siedzi z nogami pod brodą, bo mamy taką wannę, że inaczej nie da rady. Przeciskam się, żeby być przy nim. Pani Wisłocka ma rację. Jeszcze nigdy nie byliśmy ze sobą tak blisko... Siedzimy i trzęsiemy się, bo z kranu płynie woda zimna jak lód, ale za to brunatna.

Jej walory seksualne dawały o sobie znać przez dwa tygodnie. No cóż, oboje zakończyliśmy zabawę w łóżku. Każdy w swoim, Heksenszus... grypa... O monotonii w miłości mowy nie było. Mąż, wykrzywiony z bólu, ryczał jak ranny łoś.

Nie tylko zresztą ranny. Południowy i wieczorny też. Trochę nas to podłamało, lecz nie na długo.

– Patrz – mówię – ty zacofańcze. Pani doktor zachęca do uprawiania gier rodzinnych... Zagrajmy w ciuciubabkę!

Graliśmy przez dwie godziny. W końcu mąż coś tam zaszachrował z przepaską na oczach. Złapał mnie. – Fant! Fant! – wrzeszczy.

No to mu przeczytałam ze „Sztuki kochania” instrukcję: „Wygrywający decyduje, kto dziś kogo będzie pieścił. Partner wygrany wybiera sobie według woli rolę królowy z drewna czy obiektu pieszczot lub aktywnego kochanka...”

– To jaką właściwie rolę wybierasz? – zapytałam. Ale on już tego nie słyszał. Zmęczyło go to ganieanie po pokoju. Włączyłam telewizor. Trafiłam na powtórzenie programu Studia 2 z udziałem pani doktor. Na wszystko miała gotową receptę. Mąż zdradza – przeczekać. Nie wraca do domu – przeczekać. Wraca przytruty – przeczekać. Kłamie – przeczekać. Rzuci w ciebie kryształową popielniczką – przeczekać. Mówi, że zaczyna nowe życie z panną Lalą – przeczekać...

Spojrzałam na śpiącego męża, na poprzewracane podczas zabawy w ciuciubabkę meble, na siebie wreszcie, na całe to swoje życie.

Przczezać – pomyślałam. Przczezać. Niedoczekanie wasze, żebym ja was nie przczezała!<sup>562</sup>

**Przykład 456. Ryszard Marek Groński – *Zacznijmy od elementarza*.  
Fragment programu kabaretu „Pod Egidą” (1980)**

Minęła era samochwalska.

Niejeden bożyk spadł z ołtarza.

Dzienniki czyta pani Falska...

Zacznijmy od elementarza.

Już wszyscy odwiedzili Stocznię,

Gdzie się w działacza przepoczwarza

Artysta śniący nadobłocznie...

Zacznijmy od elementarza.

To jest – Robotnik.

To – klasa robotnicza.

Która strząsnęła z siebie

Narosły draństwo osad.

To jest – Robotnik.

Przyszłości trakt wytacza

<sup>562</sup> R.M. Groński, *Sztuka kochania*, [w:] tegoż, *Satyra...*, dz. cyt., s. 113–116.



Jak w starej pieśni.  
Ruszymy bryłę z posad...

Wielkolud trzymał na plakacie  
Ster mocną dłonią robociarza.  
Zjazdowy plakat pamiętacie?

Zacznijmy od elementarza.

Obrazek znikł: robot i panna.  
– Na błysk tej lampki pan powtarza  
„Bitwa o plan wre nieustanna...”  
Zacznijmy od elementarza.  
To jest – Związkowiec.  
A to są – Nowe Związki.  
Nowe, bo do nich władze  
Naprawdę się wybiera.  
To – Demokracja.  
Nie służy jej grunt grząski.  
Gdy równość praw stanowi  
Sprzątaczkę i premiera.

Fanfary dzisiaj nam nie grają  
A wzrok Temidy zauważa  
Sto złodziejówek w byle Kłaju...  
Zacznijmy od elementarza.  
Gdy Inkwizycji młodsza siostra –  
Cenzura – jakby mniej przeraża.  
Kiedy już w kozie Cosa Nostra...

Zacznijmy od elementarza.

To jest – Odnowa.  
A to ma być – Socjalizm.  
Gdzie dwa i dwa to cztery,  
A plewy to nie ziarno...  
To jest – Odnowa:  
Cel sporów i analiz.

Odnowa, która może  
Liczyć na solidarność<sup>563</sup>.

### **Przykład 457. Jan Kaczmarek – *Przestrogi wakacyjne* (1980)**

Gdyby do pamięci dużego komputera wprowadzić wszystkie rodzicielskie monologi wygłaszane w przeddzień wyjazdu dzieci na kolonie letnie czy obozy, gdyby następnie kazać komputerowi dokonać syntezy tych monologów i sprowadzić je do jednego zintegrowanego wyводу, komputer zapewne wystukałby coś takiego:

...Macie tam wypoczywać! Wakacje to rzecz przyjemna, ale i niebezpieczna... uważać trzeba na każdym kroku... Woda, gdy jest, proszę bardzo, można wejść, ale żeby nie za daleko... do boi i z powrotem... nie zawsze będzie na brzegu żołnierz na urlopie... może się akurat zagadał i nie usłyszy waszego wołania – i trudno mieć do niego pretensje.

W lesie będziecie; uważajcie też, oddychać trzeba głęboko, to jest samo zdrowie... ale żeby nie zadawać się z byle czym. Żmija wyjdzie – uciekać, zakroniec wypełnie – proszę bardzo, można się zaprzyjaźnić, pogłaskać. Grzyby będą... nie brać do ust byle czego!... Te czerwone w „białe kropki” to trucizna... macie w plecaku atlas grzybów, tam wszystko wymalowane, osobno jadalne, osobno trujące, ktoś to próbował i malował... Lupę macie też w plecaku... takiego grzyba trzeba zerwać i grzyb przez tę lupę zbadać... jak mu coś tam nie gra, jak jakiś ogonek mu nie odstaje, tak jak w atlasie – wyrzucić go!

Na bakterie uważajcie... one są wszędzie... potem taka bakteria wtargnie do organizmu, przez ręcznik, przez szklankę, i tragedia gotowa, a penicylinę macie z głowy przez to ciągłe zapalenie migdałków... Lody powinniście lizać powoli... coca-colę też powoli pić... butelek w lesie nie rzucać... butelka plus las plus słońce równa się pożar, to samo dzieci plus zapalki minus słońce...

Na słońce uważajcie, żeby się nie za długo opalać... tu macie po zegarku, opalać się pół godziny... Jak będziecie w lesie, to duża wskazówka na słońce, mała do siebie i gdzie rośnie mech, tam jest północ. „W pustyni i w puszczy” macie też w plecaku. Staś sobie dał radę, to i wy sobie dacie... I nie pchać się jak barany na przejście przez tory... przyłożyć uszy do szyn, posłuchać. Jedzie? – poczekać w rowie, kartkę do domu napisać, potem przejść przez tory...

<sup>563</sup> Tenże, *Zacznijmy od elementarza*, [w:] tegoż, *Satyra...*, dz. cyt., s. 11–12. Komentarz autora: *Piosenka „Zacznijmy od elementarza” była prologiem do programu „Egidy” pt. „Na fali przemian”. Premiera: jesień 1980. Data usprawiedliwia, jak sądzę, entuzjazm dla nowo kreowanych zjawisk. Chwila była taka, że nawet p. Falska stała się idolem. Tenże, *Satyra...*, dz. cyt., s. 11.*

W obozie też na siebie uważać i na mienie wspólne... nie wpuszczać byle kogo na teren obozu... skontrolować, o hasło spytać albo odesłać do komendanta. Kto wie, może to kidnaper... I nie paplać od razu, gdzie jest namiot komendanta... umiejscowienie latryny też zachować w tajemnicy... na papier toaletowy zważać, używać, ale nie niszczyć bez potrzeby, papier trzeba oszczędzać... Jagody i poziomki myć, indywidualnie każdą, nie na łapu-capu... jak która nadgniła, to scyzorykiem wykroić... a po wakacjach wracać do domu, nie łązić, nie pętać się pod nogami... do domu i koniec! A w domu – to my już sobie pogadamy!<sup>564</sup>

### **Przykład 458. Stanisław Ligoń – *Cłowiek. Opracowanie szkolne dziesięcioletniego Karlika (1980?)***

Cłowiek mo jedna gowa, kiero siedzi na karku. Na prawej stronie i na lewej stronie łod głowy siedzom uszy. W postrzodku twarzy siedzi nos, kiery jest niekiedy bardzo cerwiony, ale to nie łod wody.

Na wierchu łod gowy siedzom łocy, a na spodku gęba. Niekiery mo bardzo srogo gęba. Moja ciotka Stazyjka tyz, bo tak padajom łociec.

Nad gębą i pod gębą mo chłop wosy. Baby nie majom tam wosów, bo są niemęskie. Na zadku łod gowy rosnom włosy, u niekierych jasne, u niekierych ćma-we, corne, siwe abo białe. Zaś na niekierych gowach rosnom włosy łyse – jak się trefi. Kobiety majom długie włosy, a niekierzi padajom, że krótki rozum, ale to nieprawda, bo dzisiok jest blank na łopach.

Kark jest niekiedy ruby i krótki abo długi i cienki, ale to nie jest ani tak, ani tak pięknie. Przi karku wisi tułów, czyli łostatek. Na wierchu łod tułowia som z przodku piersi, a ze zadku plecy. Po prawej stronie łod tułowia wisi prawo ręka, a po lewej stronie wisi lewo ręka. Lewo ręka nigdy nie wie, co robi prawo ręka. W piersiach na wierchu, na lewej stronie, siedzi serce. Prawo strona nie mo serca. Szkoda! Mamulka padajom, że dzisiok dużo ludzi ni mo serca. Czy to je prawda, nie wiem! Pod piersiami łod cłowieka wisi brzuch. Bogaci ludzie majom rube brzuchy. W brzuchu cłowiek mo żołądek, kiery jak jest głodny to bucy. Ło drugiej stionie brzucha porzământny cłowiek nie godo, toż jo ryż nic nie powia...

Pod brzuchem wiszom do ziemi dwie nogi, na kierych chodzimy. Jak cłowiek umiero, to pado dusza do ciała: „Do widzynie”!

Więcejechmy się już nie ucyli<sup>565</sup>.

<sup>564</sup> J. Kaczmarek, *Przestrogi wakacyjne*, [w:] M. Wolski (oprac.), *60 minut na godzinę*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1980, s. 55–58.

<sup>565</sup> S. Ligoń, *Cłowiek. Opracowanie szkolne dziesięcioletniego Karlika*, [w:] tegoż, *Bery i bojki śląskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1980, s. 67.

**Przykład 459. Stanisław Ligoń –  
*Ło dobrym wychowaniu – słówek pora* (1980?)**

Wiadomo, jak łokrutnie ciężko przychodzi zachować się w fajnym towarzystwie; przy fajnym stole, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, nie narazić się na pośmiewisko i miano festelnego soronia. A żeby tego uniknąć i zdobyć sobie podziw i uznanie fajnego i dobrze wychowanego, trzymać się trza następującej recepty:

Jak wstaniesz z łóżka, zarozki się umyj i to możliwie z mydłem, wszystko jedno jakim, ale mydłem. Są tacy, kierzi twierdzom, że mydło psuje skóra i wolom się posikać jakomś tam woniącom wodą. Ci robiom stanowco źle. Bowiem takiego zarozki w towarzystwie pocujom, a myśleć bydom ludzie, że jest pomiędzy nimi kozioł, abo inksze woniące stworzonko. Nie zapomnij nigdy umyć se karku i uszów.

Pazurów nie łobgryzej, bo mosz do tego nożycki. Żałoby za pazurami nigdy nie noś, bo to niehigienicznie i pobudzo do drwin.

Buty se koź łopucować, abo se som łopucuj, bo to toniej. Łoblecynie se tyż szczotkom wycyść – bowiem chcąc być fajnym, nie śmiesz mieć na nim fleków i klabustrów z gulaszu, moczki abo likieru.

Koszula zawsze miej cysto, zaś jak łoblecesz corny szakiet, to nie bier buntej koszule, ale lepiej bioły cysty „przodek”. Ino dej pozór, żebyś go se dobrze przypion, aby ci potym z lewej abo prawej strony nie wyłaziła trykołowo koszula, co nie jest fajne.

Kraglik se przedtem mokrom szmatkom umyj, żeby zawsze wyglądał bioły i cysty jak śnieg.

Nie zapomnij też o śnuptychli, bowiem siąkanie nosa w pazury nie może być przyjęte w żodnym fajnym towarzystwie.

Jeśli cię kiedy zaproszom na śniodanie, łobiod, abo wiecerzo do jakiegoś porządneho domu (co si terozki bardzo cęsto zdorzo, jako że staropolsko cnota gościnności biere wszędzie góra!), to zmiarkuj se następujące reguły:

Nim wleziesz do fajnej izby przekonej się, jakie mosz strzewiki i cyś przypadkiem na drodze nie wloz do cegoś, cym byś zbabroł tepichy. Gdybyś bowiem o tym zapomniol, jestem przekonany, żeby cię do tego domu więcej nie zaprosili, co by było bolesne i nieprzyjemne, zwłaszcza jeśli w tym domu dobrze dajom pojeść i popić.

Jeżeliś się więc przekonol, żeś w porządku i łobejrzoł się od stóp do głowy, to możesz zwonić, ale po lekutku, żeby zaś nie padali, że się już żarcio nie możesz docekać.

Jak ci służąco łotworzy dźwierze, wleż i pozdrów pięknie. Służącej się nie dotykej (chyba, że młodo i gryfno, no i żoden tygo nie widzi). W przedpokoju seb-

lyc se lachy, ale ino wierzchnie, to jest płaszcz. W pokoju zastaniesz już gości, kierzy siedzom i jedno ło tym jednym myślą: kiedy to już dadzą pożryć! Głośno tego jednak żoden nie pado i ty tego nie rób. Po jakimś czasie możesz se tak szpasobliwie pedzieć, żeś nie prziszło ło przyjemności, a ino dło jedzenie. Tego ci widzisz za złe nie weznom, a pedzom, żeś dowcipny i mosz humor! Jaceś srogi, ciężki i szeroki w zadku, nie siadej, bo może się zdarzyć, że złomiesz stołek abo zofa (kanapa). Toć pani domu w takich wypodkach zwykle pado: „A to nic nie szkodzi!”, ale po cichu se pado: „Żebyś puk jak krupniok!”. Jo wiem, że tak jest, bo mi się to już zdarzyło. Nojlepiej łoprzyj się szykownie ło ściana (choćaż w nowym budynku tyż tego nie rób, bo ściana mogłaby się zawalić).

We fajnych towarzystwach przy stole posadzom cię wdycki kole jakiejś kobietki abo frelki. Pamiętaj, że to dla ciebie świętość! Obowiązkiem twoim jest bawić jom i nie myśleć jeno ło tym, żeby twój talerz zawsze był kupowaty. Nie, musisz też troszka myśleć ło niej!

Jak jej bydziesz łosprowioł wice i kawały, kiereś słyszol i se zmiarkowol łod Karlika z Kocyndra, to z nośmieszniejszym końcem cekej, aż łyknie to, co wraziła do gęby, inacej mogłaby się udłowić, a taki wypodek udłowienio przy stole wdycki jest nieprzyjemny i nieprzystojny, bo psuje humor i apetyt.

Jeśli somsiadka twoja jest młodo i gryfno, to się bardzo zaleco trzymać ręcyśka zawsze na stole, a to skiż tego, żeby się nie narazić na klachy i łobmowy.

Pamiętaj: swoich łobgryzionych kości somsiadce na talerz nie kładź, z tym że na twoim już nie mosz placu.

Jeśli na półmisku jeszce jest jaki kąsek, to podej go swojej damie, po cichu pomyśl, żeby nie wziena.

Toć możesz to tak urządzić, żeby się troszka namysłała, cy go wziąć, cy nie. Wtedy padej: – O, a więc dostołech kosza, to jo się byda musioł nad tym kąskiem zlitować – i wartko z nim do gęby. Jeśli zrobisz to gryfnie i szykownie, to możesz być pewien, że ci się to zawsze udo. Bydziesz mioł sława, że mosz łogłada, a twój żołądek tyż się bydzie radowol. Naturalnie musisz się w tym ćwicyć. Toć zarozki nie możesz wszystko dobrze robić.

Na ten przikłod nie śmiesz nigdy cukru chytać palcyskami i ciepać go do kawy. W każdym fajnym domu leżom na stole kiele cukierniczki klyszce do cukru. Bieresz se więc paluchami kąsek cukru, wtykosz go do tych klyszcy, a potem wciepujesz do szolki z kawą, abo tejem.

Jednym słowem: co się tycy jedzynio, dowej wdycki pozór. Somsiadowi mi chy nigdy z ręcyśka nie wydzierej i nie skrzec bez stół. – Mię! Mię sam dejcie przodzi! – Dyc prowda, jest to bardzo nieprzyjemnie i markotnie, dziwać się przy podowaniu jodła, jak ci inksi nojwiększe i nojsmacniejsze kąski zabierajom, a tobie się ino tako bździnka łostanie. Toć pieronić nie śmiesz, a jako cłowiek

dobrze wychowany, cierpliwie musisz czekać swojej kolejki. Bo tu widzisz jest granipa, kaj się cłowiek łod zwierzęcio tak zasadniczo różni.

Bakan porwoł Aminowi fajny kąsek i zezar, Amin zaś warczy, bo się na Bąkana gorszy.

Zwierzęta nie znajom etykiety i nie poradzom się maskować, bez co som takie, mile i kochane stworzonka.

Jeśli kiedy podadzom jakoś potrawa, przy kierej nie wiesz, jak jom jeść, to lozprawiej swojej somsiadce coś wesołego i dowej pozór, jak to inksi robiom.

Toć może się zdarzyć, że w bardzo fajnym towarzystwie wszyjscy inksi to samo robiom i jeden dowo pozór na drugiego, bez co żoden nie je. Ale takie wypadki som rzodkie.

Jak coś takiego zajdzie, wtedy nojlepiej zabier się do jedzenie i jedz, jak ci się podoba. Wszyjscy cię bydom naśladowali i podziwiali, jakiś ty fajny i dobrze wychowany!

Terozki musimy się jeszcze zastanowić nad użyciem narządzi do jodła jak: łyżki, widełki i noża. Widołkom nigdy nie śmiesz przy stole dłuwać se w zębach, a jeszcze mniej dropać się z nią po łbie. Jest to niezdrowe i niebezpieczne, bo możesz się skalycyć. (Do tych czynności weź nojlepiej łyżka).

Na fajnym stole znajdują się wdycy wykałaczkki. Otóż z tymi wykałaczkami nie kop se nigdy w uszach, a to skiż tego, że mógłbyś se skalycyć bębenki.

Noża nigdy nie bier do gęby, zwłoszca jak ostry, a to skiż tego... zresztą skiż czego to wszystko jedno, jo padom nie brać do gęby i już.

Jeśli pani domu, to jest gospodyni, przypodkiem pado: – A dyć weznom se jeszcze kąsek – to nigdy nie padej: – O, dziękują im pięknie, tyłach tego świństwa zjod, że mi aż niedobrze! – Nie, tego nie rób! Skromnie podziękuj i powiedz, że zwykle mało jodosz. Można ci uwierzom!

Ale widzisz, byłbych zapomnioł: serwetki se nigdy nie wiąż naokoło karku. To nie jest fajnie. Jeśli zaś to zrobisz, to na wesoło, powiesz, że boisz się pokidać. Wszyjscy się bydom śmioć i padać, żeś oryginalny – a ty bydziesz z tej mądrości mioł ta korzyść, że się doprowdy nie pokidosz.

No i bracie jeszcze jedno: przy jodle nie mlaskej! Nie mlaskej, by nie pedzieli, że skończysz w szlachthauzie!

To tak, zdo się byłoby wszystko, na co trza zwożać przy stole i jodle. Toć gdyby jodło było takie fajne, żeby go nawet psy nie chciały, nigdy tego głośno nie padej. Przezywać możesz nieskorzej w doma, nikomu to nie zaszkodzi, a nojmyniej tobie.

Nojlepiej powiedz, że ci dochtór zapisoł dyjeta. Wszyjscy inksi goście cię bydom rozumieć i zazdrościć ci bydom rozumu.

Po skończonym łobiedzie, pani domu, cyli gospodyni, wstaje łod stołu. Znac cy to, że ci już więcej nic nie dajom, żeś się już dość naćkoł, że się przyjemność skończyła i że terozki powinienes se poszukać inkszej malutkiej izbetki, kaj odsiedzieć musisz to, coś przedtem zjod.

Przedtem jednak podziękujesz swojej damie, to jest somsiadce łod stołu, za towarzystwo, zawiedziesz jom do kanapy i łoddosz jakiemuś inkszemu mam-lasowi pod łopieke. Obowiązek kawalera z wychowaniem spełniłeś.

Terozki starej się, abyś dostał cygara abo cygareta. Bier ino jedna nigdy więcej. Opychanie sobie tym towarem kabzów jest nieprzystojne i świadczy ło złem wychowaniu.

Terozki przy cygarze i cornej kawie, możesz dziepiero twoje mądrości wypakować i pokazać, że mosz ogłada.

Nie używey jednak łobcych wyrazów, kierych znacenio nie rozumiesz.

Mogłoby ci się bowiem zdarzyć tak, jak pewnej freli, kieroch znoł.

Otóż frela ta rada posługiwała się łobcymi wyrazami, kiere specjalnie zbierała i ich się ucyła na pamięć, popisując się potem nimi w towarzystwie. Razu pewnego przeziębila się i dostała kaszlu. Pyto się więc jakiegoś znajomego studenta medyka, jak się po łacinie zwie kaszel. Student, znając manię tej frelki, chcioł się z niej zakpić i łodpowiado, iż kaszel nazywo się po łacinie „juvenis”. (*Juvenis* jednak znaczy – młodzieniec).

Otóż tego samego dnia frela ta zaproszono została na jakiś tam łobiod. Siedzi se więc kole swego somsiada i porząd pokaszluje, Somsiad pyto ją po pewnej chwili:

– O, pani tako zaziębiono?

– Tak – łodpowiado frela – bardzo jestem zaziębiona. Niech pan pomyśli, całą noc tak mnie dusił *juvenis*, że oka zmrużyć nie mogłam!

Toż pozór! – Nie popisywać się mądrościom i znajomościom łobcych wyrazów, ino godać tak, jak cię matka i szkoła polska naucyła. Nojlepiej na tym wyjdziesz i nie zblamirujesz się.

Terozki, kiej nadejdzie chwila pożegnanie, podejdz nojprzód do pani domu, podziękuj pięknie za łobiod i powiedz, że margaryny ani łoju w jodle nic a nic nie było ćuć; że jodła było mało, bo zoden z gości nie miol łodwagi nabrać se jeszcze więcej. Nigdy nie padej, iż jodło było dobre i smacne i że go było za wiela, bo by se myśleli, że ich sztychosz.

Nie padej tyż, że jodło było nad stan i że w zupie musieli wywarzyć grzebień. Som to tak stare bery, że za nie już podczas uczyty w Kanie Galilejskiej jakiś soroń łoberwoł po pysku.

Jakeś się już bracie pożegnał z gospodarzami, idź se teraz do przedpokoju, kaj ci dziołcha do twój mantel. Tu już jest dozwolone polechtać jom, to jest, jeśli ta dziołszka jest gryfno i nie mo osiemdziesiąt lot.

Z pliwmem, czyli tryngieltem, trza się tak urządzić, żeby dać coś do kupy z inkszymi, a to skiż tego, żeby dziołcha nie zmiarkowała, wiela łod ciebie dostała<sup>566</sup>.

### **Przykład 460. Stanisław Ligoń – Krowa. Opracowanie Zeflika Gromotki (1980?)**

Krowa jest zwierzokiem domowym i ssącym, krowa mo sześć stron: jedna prawo, drugo lewo, jedna na wierchu, jedna na dole, jedna na przodku i jedna na zadku. Krowa jest cołko łobciągnięto skórom wołowom, a na zadku mo łogon z puszem na końcu. Z tym puszem łodganiao muchy skiż tego, coby nie powpadały do mlyka. Blank na przodku mo krowa gowa, a to na to, coby tam mogły rość rogi i coby był plac na pysk. Rogi mo krowa na to, coby mogła bóść, a pysk coby miała z cym ryceć. Na spodku pod krowom wisi mlyko, kiere mo urządzenie do ciągnięcia. Jak ludzie to ciągnięcie ciągnom, to leci z niego mlyko. Mlyko robi krowa wdycy, tak że się nigdy nie końcy. Jak łona to robi – tegochmy jeszcze nie mieli.

Krowa wonio bardzo fajnie i cuć jom już z daleka, to robi fajny wiejski luft. Chłop łod krowy nazywo się wół, kiery wyglodo tak samo jak krowa, jeno że ni mo na spodku mlyka, dlatego wół nie jest zwierzątkiem ssącym. Wół to jest tyż przewisko. Krowa mo każdego roku ciele. Jak łona to robi, nie wiem, bochmy się tego jeszcze nie ucyli. Ciele żywi się ssaniem, lotego tyż należy do zwierząt ssących. Krowa žre trowa, łoskrabiny i mlyc. Jak krowa mo dobre jedzenie, to wdycy za to robi dobre mlyko, a jak mo złe jedzenie, to robi niedobre mlyko. Jak na dworze jest górkmo abo jak grzmi, to krowa robi skiste mlyko.

Krowa je bardzo maluško. Co raz zjadła, je potym porząd to samo, tak długo, dopóty się nie najadła. Co łyknie, to ji się zarozkizaś wzbijjo i zaś mo pysk połny. Więcej nie poradzą<sup>567</sup>.

### **Przykład 461. Stanisław Ligoń – *Opis konia. Zadanie szkolne* (1980?)**

Koń należy do zwierząt domowych, jak gęś, kokot, kura, gołąb i płoscyce, chociożki mało kiery mo konia w doma, chyba że ten istny jest kuczerem, głównym dyrektorem abo szergom. Jak wszystkie zwierzęta domowe koń należy do zwierząt pożytecznych, bo dowo człowiekowi zarobek, chocioż mu nie dowo mlyka.

<sup>566</sup> Tenże, *Ło dobrym wychowaniu – słówek pora*, [w:] tegoż, *Bery...*, dz. cyt., s. 52–57.

<sup>567</sup> Tenże, *Krowa. Opracowanie Zeflika Gromotki*, [w:] tegoż, *Bery...*, dz. cyt., s. 72.



Koń jest długi i mo na samym przodku gowa, kiero się nazywo końsko gowa abo łeb. We łebie po łobuch stronach mo koń łocy, kiere som zawsze ślepe, skiż cego nosi koń bryle ze skóry, przez kiere jeszce mniej widzi, jak przed tym. Koń, kiery jest ślepy na łocy, widzi z przodku tak samo, co i ze zadku. Koń nie mo kudłów na łebie, a jeno na karku i tym się różni łod człowieka.

W gębie nosi koń zęby jak człowiek, po kierych się poznowo cy koń jest stary, cy młody.

Koń mo z wierchu pukiel (cyli – jak rehtór padają – grzbiet), kiery się ciągnie bez całygo aż do zadku, a jest na to, aby na nim mogło się rajtować. Ten pukiel jest zawsze bardzo chudy i łostrzy i lotego trza mu zawsze przywiązać siodło abo rubo deka, żeby się tyn, co rajtuje na nim, nie łozłupoł j na poły. Na każdym końcu mo koń jedna szłapa, do kupy śtyry, z kierych jedna zawsze jest popsuto i zawsze musi lotać na trzech abo na jednej. Zadnią szłapą koń świto, na co trza bardzo dować pozór, bo to jest niezdrowe. Na samym zadku mo koń łogon, z kierego się robi materace abo pędzle, a kierym se koń może huścić abo łodganiać muchy.

Między łogonem a łebem mieści się cały koń. Mo łon po bokach wystające ziebra, kierych nie śmie widzieć, aby nie umar ze strachu, że jest takich chudy. Skiż tego dowo mu się na ślypie bryle.

Z konia robi się wusztliki końskie. Używo go się tyż do rajtowania i zaprzęganie, ale coraz maniej, bo ludzie wołą terozki jechać na kole abo na autoku.

Jeśli koń jest rodzaju żeńskiego, to pado się na niego kobyła abo skąpa, cego jednak łozpoznać nie idzie, bo koń męski wyglądo tak samo jak koń babski, kiery nie nosi kiecek. Koń jest stworzyniem bardzo dobrym i pozytecznym, cóż ż tego, kiej go jest coraz to maniej, a to skiż tego że go ludzie coraz to więcej zeżyrają. Koń je trowa, siecka abo łowies. Piwa ani gorzołki nie pije. Cytać tyż nie poradzi, bo nie potrzebuje chodzić do szkoły<sup>568</sup>.

### **Przykład 462. Stanisław Ligoń – *Opis świni.***

#### ***Opracowanie szkolne Zeflika Mądrali (1980?)***

Świnia, jako że ma śtyry szłapy, to należy do zwierząt. Świnia zaczyno się łod przodku dwiema dziurkami łobtoconymi mięsem, co się nazywo ryjok. Ryjok jest bardzo świni potrzebny, bo go wszędy wrožo, aby coś wywoniał, a co zaś wywonio, to zaroz pakuje do pyska. Pysk świni skłodo się z zębisków, długiego języka i tego, co tam wrožo. Język włazi prosto do żołądka, kiery przyjmuje wszystko i jest bardzo srogi, bo każdy świni mo wielki apetyt i żre ciągiem i lotego nazywo się świnią, jak każdy inkszy, kiery łonacy to samo. Wszystko żarcie przemie-

<sup>568</sup> Tenże, *Opis konia. Zadanie szkolne*, [w:] tegoż, *Bery...*, dz. cyt., s. 70–71.

nić się u świni w preswuszt i krupniok, żymłoki abo leberka, kiere są skiż tego, bo świnia żre wszystko, co znojdzie na drodze swego żywota.

Świnia kończy się na zadku małym ogonkiem, kierym miele na wszystkie strony, bo cego inkszego z nim robić nie poradzi. Cało świnia stoi na styrech patkach, kiere się tyż nazywajom nogami. Nogi sięgają od wierchu aż na spodek do samej ziemi. Skiż tego świnia stoi.

Świnia łoblepiono jest marasem, pod kierym znajduje się skóra kierom świnia jest łotocona, aby się nie łozleciała. Chopem łod świni jest wieprzek, kiery nigdy nie wie, camu żyje, aż go zakatrupią.

Dziecko łod świni nazywo się prosie. Mordercą łod świni jest masorz, kiery jom łozłonacy. Łod chwili, łod kierej masorz świnia zabije, to łona już nie żyje. Łoczyszczony zadek łod świni nazywo się szynka, kiero koždy bardzo rod spuszczo z apetytem, jak mo na to. Inksze kąski łod świni sprzedowo masorz na mięso, z kierego robi się niedługo milionerem.

Do strzewów łod świni wrožo masorz mięso i inksze łodpadki co się potem nazywo kielbasa. Lepsze kąski zjodo masorz som, lotego masorz wozy tyle co pietności urzędników abo piąc dwadzieścia robotników do kupy. Świniów jest u nos za tyła. Świnia łogłądać można w szlamie i chlywie, na pastwisku i na spacerze, na wsi i w mieście. Nasz kraj jest bardzo bogaty w świnie i mógłby dużo świń wysyłać do inkszych krajów, ino świnie nie chcom, bo im sam u nas jest dobrze.

Izby, w kierych mieszkajom świnie, nigdy się nie schronio i do tego się chlywikami nazywajom. Głos łod świnie podobny jest do mlaskającego abo chrapiącego człowieka, a wtedy my nie wiemy, kiery drugiego przedrzyżnio.

Są roztomaite świnie: kiery jest pragliwy i łakomy, to padają na niego świnia. Jak się dziecko łobćko abo łopaprze, to mamulka padajom „prosia”. Jak chto na swoja wiara abo ojczyzna przezywo, to padajom porzadni ludzie, że to jest oberświnia. Jak kiery nie wie, czym jest i nosi mantel na łobu ramionach i sprzedo się za pora złotych, to tyż padajom, że jest świnia... i tak jest!<sup>569</sup>

### **Przykład 463. Stanisław Szelc – *Ptastwo*. Fragment programów Kabaretu „Elita” i „Studio 202” (1980)**

Czasy są takie, jakie są, i każdy rozsądny naukowiec katedrę nosi przy sobie.

Teraz będzie wykład, naprzód motto.

Kiedy pięćdziesięcioletni mężczyzna, a nawet wstyd powiedzieć – kobieta, budzi się rano i nic go nie wkurza, to znaczy, że już umarł.

<sup>569</sup> Tenże, *Opis świni. Opracowanie szkolne Zeflika Mądrali*, [w:] tegoż, *Bery...*, dz. cyt., s. 68–69.

Kiedy jako docent habilitowany przygotowywałem się do serii dzisiejszych wykładów, ze zgrozą stwierdziłem, że nauczyłem się wszystkiego na pamięć.

To jakże to tak – myślę sobie – to najtęższe głowy w tym kraju nie mówią z głowy, a ty byś śmiał?

Więc nie śmiem i będę czytał. Otóż zgromadzone tu państwo nie wie, że posiadam drugi zawód wyuczony na filii uniwersytetu w Nehrybce koło Przemyśla... ale po tej stronie.

Tak więc jestem ormi... ormnigo... ormniko... ornito...

Kim ja, w mordę, jestem? – muszę sobie sprawdzić w dyplomie.

Generalnie jestem przyrodnikiem, zajmując się ptactwem, zwierzem i człowiekiem, co brzmi dumnie, jak mawiał poeta Maksym Gromki... Cichy.

Zacznę od ptastwa.

Ptastwo dzielimy na trzy zasadnicze grupy: ptastwo duże, ptastwo małe i ptastwo chodzone pieszo.

Ptastwo żywi się paskudztwem i z tego żyje.

W skład paskudztwa wchodzi: śmieci, obiere, ścierwa, paskudztwa i muchy. Muchy to jest szczególne paskudztwo, co każdy doznał empirycznie, gdy sobie muchy na ręce zabił i rozbryzgał.

Przykłady można by mnożyć.

Nie czas jednak mnożyć, gdy nie ma się czym dzielić.

Idźmy przeto dalej... choć nie ma gdzie iść.

W tym miejscu pragnę dodać, że ptastwo żywi się często ziarnem, nierzadko, dodajmy, z drugiego obszaru płatniczego. Czyli zawsze.

Otóż nieraz widzimy, jak ptastwo idzie za koniem i żre pszenicę. Taki koń w wyniku tak bandyckiej eksploatacji jego organizmu jest następnie osłabiony, niechętnie ciągnie i wykonuje pracę nakładczą. Furman go w zamian wali batem, interweniuje sąd i z tego rzeczony furman ma grube nieprzyjemności, gdyż przy okazji publicznym słowem obraża władzę, nierzadko ludową, i to globalnie, a wszystko to przy dzieciach zbierających złom na budowę metra w Warszawie, co często kończy się wyrokiem od dwóch lat do czapy włącznie. Czy wyłącznie?

Ja tam nie wiem, jak to jest z tymi wyrokami...

Wśród ptaków dużych wyróżniamy następujące: dwukropek... nie, sęp afrykański, marabut (to coś z odzieży), sekretarz – ptak, kondom, kondor w Ameryce, a nawet, wstyd powiedzieć, orzeł, który mógłby przecież znaleźć sobie lepsze towarzystwo niż ma.

Orły dzielimy na przednie i resztki, zadnie.

Nasz jest przedni, a o resztę niech się martwią ich właściciele.

Ptaki małe to są te, które często widzimy, jak na placach i ulicach dziobią sobie garść pszenicy.

Należą do nich takie jak: werbel szary, skowronek, pliszko... siwy obecnie, głąbek, często pokoju, sokorko bogaty. Patrzcie państwo, biednych sokorków nie ma.

Do chodzonego ptastwa należą: stres australijski, imbryk domowy, prawda... znaczy, pardwa oraz kot i lis, co to ptactwem nie jest, ale lubią się koło ptastwa przechadzać.

Wedle niesprawdzonych przekazów istnieje podobno średnie ptastwo po-nure, jak kruki czy też, dajmy na to, wrony w kolorze czarnym.

Ale to chyba niemożliwe, takie zwierzę nie może istnieć długo.

Długo mówiłem<sup>570</sup>.

#### **Przykład 464. Jerzy Wittlin – *Vademecum dla występujących z okazji. Fragmenty dedykacji i podziękowań (1980)***

Dedykacja na książce z okazji promocji ucznia do następnej klasy:

Wojtusiowi, z okazji promocji do następnej klasy, za stałe i konsekwentne postępy w nauce Tatusia.

Wojtusiowi, z okazji promocji do następnej klasy, za pomoc, jakiej, dzięki swojemu wspinałemu stanowisku, nie szczędzi szkole jego Tatuś.

Wojtusiowi, z okazji promocji do następnej klasy, aby tylko Tatusia nie pogniwać<sup>571</sup>.

Z okazji podziękowania złożonego przez przedszkolaka naczelnikowi za uruchomienie przedszkola:

Kochany Panie Naczelniku!

W imieniu koleżanek i kolegów przedszkolaków oraz moim własnym dziękuję Panu Naczelnikowi za oddanie w terminie nowej inwestycji, mającej tak wielkie znaczenie w procesie wychowywania mnie i moich najbliższych kolegów we właściwym kierunku i uczenia nas stosownych nawyków. Szczególną radością, nas dzieci, napawa fakt, że oddane dziś przedszkole zostało zbudowane bez przestojów i marnotrawstwa materiałowego, w oparciu o rachunek ekonomiczny, eliminujący zarówno przerosty etatowe, jak i zużycie materiałów deficytowych ponad ustalony w pierwotnym kosztorysie limit. Obiecujemy Panu, że z personelem opiekującym się nami pracować będziemy zgodnie, posiłek regeneracyjny konsumować będziemy w najgłębszym zrozumieniu fizjologicznych potrzeb

<sup>570</sup> S. Szelc, *Ptastwo*, [za:] J. Skoczylas, *Elita i Studio 202...*, dz. cyt., s. 157-160.

<sup>571</sup> J. Wittlin, *Dedykacja na książce z okazji promocji ucznia do następnej klasy*, [w:] tegoż, *Vademecum dla występujących z okazji*, Iskry, Warszawa 1980, s. 9.

naszego organizmu. Radością zaś, jaką sprawiacz będziemy naszym rodzicom i opiekunom, na pewno przyczynimy się do zapewnienia naszemu przedszkolu opinii godnej „Wieczoru z dziennikiem”. Niech żyje Pan Naczelnik! Niech żyje Zastępca Pana Naczelnika! Niech żyją pozostali obecni na naszej uroczystości!

Z okazji złożenia przez przedszkolaka podziękowania przedszkolance za współpracę:

Szanowna Pani!

W imieniu własnym i zgromadzonych tu wychowanków Pani, chciałbym podziękować za współpracę w dziele naszego przedszkolnego wychowania. Generalnie oceniając sprawę, stwierdzić należy, że w sumie spełniła Pani pokładane w niej przez nas nadzieje, szczególnie w dziedzinie zabaw klockowych, wycinanek oraz rysunków. W tych sprawach wykazała Pani niemało pomysłowości i fantazji; i chociaż proponowane przez Panią rysunki świadczyły o sympatiach do – powiedzmy to sobie szczerze – nie najlepszego malarstwa, czy szerzej jeszcze, plastyki w ogóle, ani ja, ani moi koledzy nie czynią Pani z tego zarzutu; ostatecznie na poziomie przedszkola nie mamy prawa zbyt wiele od Pani wymagać. Natomiast zdecydowanie musi Pani popracować nad sobą w dziedzinie kultury fizycznej i sportu. Pani brak kondycji był wyraźnym hamulcem rozwoju naszych uzdolnień w tym kierunku, a kto wie nawet, czy nie zaprzepaszczaniem jakiejś szansy na przyszłą olimpiadę. Dlatego też proszę do maksimum wykorzystać nadchodzące wakacje, nie wylegiwać się beczynnym na plaży ani też nie zarywać nocy grą w brydża, jak to lekkomyślnie robi wiele przedszkolank, tylko ćwiczyć marszobieg, pływanie, gimnastykę na przyrządach, równocześnie pilnując diety. Aby efekty tych starań jak najlepiej odbiły się na dzieciach, z którymi będzie Pani miała przyjemność podjąć współpracę w roku przyszłym, szczerze Pani życzymy, jeszcze raz serdecznie i przyjacielsko dziękując za współpracę z nami w roku ubiegłym. Wszystkiego najlepszego!

Z okazji inauguracji współzawodnictwa pod hasłem „Szkoły musi starczyć do przyszłego remontu”:

Kochane Dzieci!

Rozpoczynamy dziś wielkie współzawodnictwo pod hasłem: „Szkoły musi starczyć do przyszłego remontu”. Aby współzawodnictwo nasze mogło przebiegać prawidłowo, odremontowaliśmy w czasie wakacji całą szkołę: pomalowaliśmy ściany, naprawiliśmy krzesła, stoły, ławki i drzwi, wprawiliśmy brakujące szyby itd., itd. Słowem, stworzyliśmy takie warunki, że żadna ze współzawodniczących z nami szkół nie ma prawa nam zarzucić, że sztucznie naciągamy wyniki czy coś w tym rodzaju, ponieważ ściany na korytarzach mamy popisane jeszcze z poprzedniego roku, a okna od strony podwórka wybite są już trzeci rok.

Jeśli ktoś nie wierzy, to proszę bardzo, może sprawdzić, ale tylko dziś, ponieważ jutro przystępujemy do normalnych zajęć, a więc będzie już za późno. Kochane Dzieci! Przed sobą macie pół roku nauki, jeśli odliczyć wakacje, święta, przerwy i zwolnienia. W sensie nauki to niewiele, ale w sensie przygotowania szkoły do kolejnego remontu, dostatecznie dużo. Nie zapisujcie więc ścian, nie tłuczcie szyb i nie łamcie krzesel od razu, byle jak, byle tylko coś napisać lub złamać, bo potem może już być za późno.

Nic podobnego! Do następnych wakacji na pewno zdążycie! A spiesząc się i działając nerwowo, znów, jak w ubiegłych latach, może Wam szkoły zabraknąć, w rezultacie czego znów przepadniecie we współzawodnictwie. Liczymy więc na Was! My i majstrowie: malarze, murarze, tynkarze, szklarze, stolarze, i elektrycy. Wierzymy, że nie zawiedziecie naszego zaufania! Dziękujemy Wam!

Z okazji rozpoczęcia roku szkolnego pierwszoklasista dziękuje za przyjęcie do szkoły:

Szanowny Panie Dyrektorze, Szanowna Pani Wychowawczyni naszej klasy, Szanowny Obywatelu Czynniku Społeczny, Szanowne Ciało Pedagogiczne!

W imieniu własnym oraz moich koleżanek i kolegów chciałbym z całego serca podziękować za miłe przyjęcie, jakie nas spotkało na progu szkoły. Przyjęcie to jest dobrą i obiecującą zapowiedzią starań jakich niewątpliwie dołożycie, abyście za lat kilkanaście z dumą mogli mówić o Waszych wychowankach. Jak wiecie, czekają na nas najwyższe stanowiska państwowe, fotele w Akademii Nauk i Sejmie, katedry w szkołach akademickich, gabinety dyrektorskie i ambadorskie. Wierzymy głęboko, że nie zawiedziecie pokładanych w Was nadziei i uczynicie wszystko, co do Was należy, aby zapewnić nam jak najszybsze i jak najsprawniejsze dojście do tych stanowisk. Dołóżcie maksimum starań, abyśmy w przyszłości mogli w jak największej liczbie publikowanych życiorysów, w wywiadach radiowych i telewizyjnych, w drukowanych wspomnieniach pamiętnikarskich, z satysfakcją przynajmniej jednym zdaniem wspomnieć o tej szkole, jej gronie pedagogicznym, a nawet o którymś z Was, wymieniając z imienia i nazwiska. Z naszej strony deklarujemy dobrą wolę pomocy w pięknym i godnym szacunku wysiłku wychowania nas jak najlepiej. Możecie na nas liczyć, Drodzy Pedagodzy! Dołożymy starań, aby zarówno kuratorium, jak i pozostałe władze były z Was zadowolone, aby miały pełne podstawy do podwyżek, awansów i odznaczeń dla Was. Uczynimy wszystko, aby nasz pobyt w szkole oprzeć na zasadach współpracy i wzajemnego zaufania. Przyjmijcie Drodzy Nasi, nauczycielki i nauczyciele, pozdrowienia i życzenia wszystkiego najlepszego dla Was i dla Waszych rodzin. Trzymajcie się!

Z okazji nadania szkole przez literata nazwiska literata:

Kochane Dzieci!

Wasza piękna szkoła otrzymuje dzisiaj nazwisko znanego i zasłużonego pisarza, który całą swoją twórczość poświęcił dorosłym. Jestem przekonany, że kiedy dorośniecie, najpierw sięgniecie po książki patrona Waszej szkoły, człowieka, który zawsze otaczał mnie najwyższym szacunkiem i który powtarzał mi zawsze: „Nie urody ci zazdroszczę, chociaż jesteś piękny, nie popularności, chociaż jesteś powszechnie czytany, ale talentu”, koniec cytatu. Zналиśmy się długo, co wcale nie jest równoznaczne z tym, że przez cały czas przyjaźniliśmy się. Pamiętam, że dwa albo nawet i trzy razy wasz patron zrywał ze mną stosunki, kiedy sprawiedliwie oceniłem to, co napisał. Ale jego gwałtowna reakcja nie oznaczała wcale, że był na krytykę głuchy. Wprost przeciwnie! Skrytykowany przeze mnie, z reguły następny utwór pisał lepiej, wyciągając właściwe wnioski z moich uwag i wątpliwości. W ostatnim okresie życia patrona Waszej szkoły widywaliśmy się już bardzo rzadko. Zajęty własną twórczością nie mogłem zbyt wiele czasu trwonić na pogaduszki i to nawet wtedy, kiedy koledzy byli tak żądni spotkań ze mną, jak właśnie patron Waszej szkoły. Bodajże liczne korekty wydawnicze, nie będę przed Wami ukrywał, że z całego świata, czy też wizyta w moim domu pewnego ambasadora – nie pozwoliły mi wziąć udziału w jego pogrzebie. Z tym większą więc przyjemnością zgodziłem się wziąć udział w dzisiejszej uroczystości nadania jego nazwiska Waszej szkole, w ten sposób niejako oddając mu ostatnią usługę. Człowiek umiera, jego dzieło zostaje, jak to powtarzam zawsze. Pamiętajcie o tym, kochane dzieci, czytając już dziś moje książki, a jeśli wam czasu starczy, być może i książki Waszego patrona.

Z okazji powitania przez ucznia literata, uczestnika wypraw polarnych:

Kochany Panie Literacie!

Witam Pana serdecznie w imieniu uczniów naszej klasy, dziękując za to, że znalazł Pan czas i ochotę, aby nas odwiedzić. Kiedy przed miesiącem dowiedzieliśmy się, że zamiast pana literata od pustyni, który był tańszy, przyjedzie droższy pan literat od lodów, dzięki temu, że jeszcze trochę pieniędzy w szkolnej kasie się znalazło, rzuciliśmy się wszyscy na pańskie książki, których – jak wiadomo – nigdzie nie można dostać. Efekt tego rzucenia się był taki, że pod wpływem zamieszczonych w tej książce opisów połowa naszej klasy przeziębła się, a troje najgorliwszych Pana czytelników dostało z tego zimna zapalenia płuc. Na szczęście jednak trudności z dostaniem pana książek sprawiły, że uczniowie z naszej klasy przeziębiali się nie równocześnie, ale kolejno, w miarę jak wypożyczali i czytali Pana książki – w przeciwnym bowiem razie trzeba by było klasę zamknąć. Zrozumiały więc w pełni dla Pana staje się fakt, że po tych doświad-

czeniu przyszłiśmy na spotkanie z Panem w ciepłej bieliźnie, w swetrach, szalach i nausznikach, a nasz lekarz szkolny czeka w swoim gabinecie, aby natychmiast udzielić pomocy, gdyby ciepła bielizna okazała się niewystarczająca. Prosimy więc nas nie oszczędzać, jesteście, jak Pan sam widzi, przygotowani na najgorsze! Jeszcze więc raz dziękujemy za przybycie i słuchamy.

Z okazji zakończenia roku szkolnego wystąpienie ojca  
Kochane Dzieci!

Pozdrawiam Was serdecznie z okazji zakończenia roku szkolnego. Z przyniesionych przez Was świadectw jasno wynika, że w porównaniu z ubiegłym rokiem uczyniliście zdecydowany krok naprzód. Dziękuję Wam za to w moim imieniu, w imieniu mamy, moich i mamy braci, i siostr z żonami i mężami, w imieniu babci z dziadkiem, drugiego dziadka wdowca i prababci. Prezenty, jakie czekają na Was, jak również wycieczki, w których weźmiecie udział podczas wakacji, będą, jak sądzę, nie tylko zasłużonym, ale i godnym uczczeniem Waszego trudu i poświęcenia w trosce o nieustanne podnoszenie wyników. Stwierdzając to z przyjemnością i z pełnym przekonaniem, chcę równocześnie z całym naciśnięciem podkreślić, że mimo zdecydowanego postępu w roku bieżącym, w Waszych świadectwach kryją się jeszcze poważne rezerwy, które powinniście jak najszybciej i możliwie jak najpełniej uruchomić. Nie namawiam Was oczywiście do żadnego awanturnictwa. Nic podobnego. Chodzi mi tylko o rozsądne działanie. I tak na przykład, jeśli nie macie na świadectwach ani jednej oceny nie tylko bardzo dobrej, ale nawet dobrej, nie żądam, abyście w ciągu jednego roku pozbyli się wszystkich ocen dostatecznych, bo byłoby to zadanie zupełnie nie-realne, to znaczy takie, które zamiast Was zmobilizować, mogłoby tylko pchnąć Was w chaos. Zupełnie podobnie z ocenami niedostatecznymi. Po skoku jakościowym dokonanym w tym roku, zupełne pozbycie się ocen niedostatecznych przyniosłoby Wam kuszącą premię w postaci otwarcia drogi do następnej klasy, a więc skrócenie Waszej nauki o rok, co byłoby dla Was na pewno sprawą niebagatelną. Jak więc widzicie, stawiam przed Wami zadania realne, na miarę Waszego talentu i umiejętności. Starajcie się wypełnić je w przyszłym roku jak najlepiej, ku zadowoleniu Waszych rodziców i najbliższej rodziny. Szczęśliwych wakacji, Drogie Dzieci, do zobaczenia za rok, w następnych klasach!<sup>572</sup>

Z okazji spotkania z przyjaciółmi (informacja ojca o ukończeniu studiów przez syna):

<sup>572</sup> Tenże, *Vademecum dla występujących...*, dz. cyt., s. 28–35.



Moi Drodzy!

Trwająca już od przeszło dziesięciu lat walka między uczelniami o prawo zaliczenia mojego syna do grona swoich wychowanków dobiegła wreszcie końca. Rozpoczynając swoje studia na humanistyce już po pierwszym semestrze mój syn – jak wiecie – zmuszony był poinformować dziekana, że poziom wykładów i seminariów jest grubo poniżej jego ambicji i nie daje mu żadnej gwarancji osiągnięcia poziomu intelektualnego, jakiego oczekiwał. W tej sytuacji nie miał on wcale zamiaru tracić kilku najlepszych lat tylko po to, aby się potem przez całe życie, wyżywać w jakimś recenzenckim pisemku czy jeszcze gorzej. Chcąc jednak dać jeszcze jedną szansę humanistyce, mój syn przeniósł się na inny uniwersytet, do innego miasta, na inny wydział, ale niestety tam nawet miesiąca nie trzeba było, aby syn mój doszedł do wniosku, że padł ofiarą jeszcze większego nieporozumienia. W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego, jak tylko podjąć studia politechniczne. Ogólnie biorąc, zaspokajały one bardziej jego ambicje, nie na tyle jednak, aby skończyć nauki. Wylądował więc ostatecznie w uczelni artystycznej, gdzie właśnie obronił dyplom na skonstruowanym przez siebie instrumencie. Instrumentem tym żywo zainteresowali się Amerykanie, Japończycy, Włosi i Mongołowie, syn otrzymał liczne oferty proponujące mu zarówno tournee koncertowe, jak i podjęcie produkcji tych instrumentów, ale chłopiec jest – jak już powiedziałem – bardzo ambitny, wszystkie oferty odrzucił i pracuje naukowo dalej, stawiając sobie za cel obronę pracy doktorskiej na skonstruowanym przez siebie kwartecie instrumentów, a następnie pracy habilitacyjnej na skonstruowanym przez siebie pełnym zestawie wielkiej orkiestry filharmonicznej. Ale o tych jego planach doktorskich i habilitacyjnych nie mówcie jeszcze nikomu; zawiść ludzka – jak wiecie – nie zna granic i jeszcze go ktoś gotów ubiec!<sup>573</sup>

Z okazji powitania i równocześnie – pożegnania zjazdu naukowego:  
Szanowni Zebrani!

W imieniu własnym i nie tylko własnym, witam Was serdecznie i życzę szczęśliwego powrotu do domu. Wasze przygotowania i referaty, informacje, doniesienia, jak również liczba powołanych sekcji pozwalają Wam powrócić do domów z przekonaniem, że nie był to czas zmarnowany. Dyskusja jest co prawda jeszcze przed Wami, niemniej już teraz z całą odpowiedzialnością można stwierdzić, że podsumowanie jej, wobec bogactwa poruszonych problemów i głębi w podejściu do nich, będzie nie tylko niemożliwe, ale i niepotrzebne.

---

<sup>573</sup> Tamże, s. 37–38.

Szczęśliwie zakończywszy przygotowania do tego zjazdu z nie mniejszą energią musicie natychmiast przystąpić do przygotowania zjazdu następnego. Czasu macie niewiele! Za dwa lata znów będziemy mogli Was serdecznie powitać oraz życzyć szczęśliwego powrotu do domu. Oczywiście do czasu następnego zjazdu, w którym uczestniczyć będziecie osobiście, bądź też – po przejściu na emeryturę – już tylko studiując materiały zjazdowe. Aby była to lektura ciekawa, dobrze wypełniająca Wam czas aż do najpóźniejszej starości, a następnie kiedy już odejdziecie, aby obecność tej lektury w domu była bodźcem dla Waszych synów, wnuków i prawnuków, najpierw do zdobywania prawa uczestnictwa w naszych zjazdach, a następnie do aktywności w kolejnych zjazdach – tego właśnie, witając Was, życzę Wam na pożegnanie.

Z okazji powitania przez kolegę kolegi, który wrócił z kursu:

Drogi Kolego!

Witam Cię serdecznie po rocznej nieobecności, w czasie której zdobyłeś specjalność drwala. Dysponując już dyplomem wozaka z nagrodą książkową zdobytą na kursie, nie spocząłeś na laurach, tylko uczyłeś się dalej, dzięki czemu zarówno siekiera, jak i piła przestały mieć dla Ciebie tajemnice. Mając dyplom drwala w kieszeni, z satysfakcją ruszyłeś teraz, kolego, do lasu, gdybyśmy tylko, w najbliższej okolicy, jakiś las w ogóle mieli. Ponieważ jednak tak się składa, że las, w którym będziesz mógł, Kolego, w całej pełni zastosować wiedzę zdobytą na kursach, dopiero rośnie, stoi przed tobą, Drogi Kolego, otworem albo kurs flisaka retmana albo kurs flisaka oryla, każdy z tych kursów nad rzeką, co wobec kompletnego braku u nas nawet większego stawu, będzie dla Ciebie, Drogi Kolego, na pewno szczególnie atrakcyjny. Kończąc jeden z tych dwóch flisackich kursów, zdobędziesz już trzecią specjalność, co w wypadku kolejnej reorganizacji będzie jak znalazł. Witamy Cię więc, Drogi Kolego, raz jeszcze, po rocznej nieobecności, cieszymy się, że swoją dalszą nieobecnością wzmocnisz nasz kolektyw i nasze wyniki, wreszcie pewni jesteśmy, że wstydu nam nie przyniesiesz, kiedy przez najbliższy rok zdobywać będziesz na kursie nową specjalność. Wszystkiego najlepszego, Drogi nasz Kolego!<sup>574</sup>

Z okazji otwarcia zjazdu wychowanków gimnazjum:

Szanowni: Koleżanki i Koledzy!

Witam Was serdecznie w imieniu Komitetu Organizacyjnego Zjazdu Wychowanków naszego znanego i zasłużonego gimnazjum. Szczególnie serdecznie i gorąco witam w tym gronie naszych sławnych kolegów, którzy nigdy nie ucząc się w naszym gimnazjum, zechcieli zaszczycić nas umieszczeniem informacji o ukończeniu naszego gimnazjum w swoim życiorysie. Nie mniej serdecznie

---

<sup>574</sup> Tamże, s. 41–42.

chciałbym powitać w naszym gronie żony reprezentujące naszych kolegów, którzy czasowo odsiadując wyroki w różnych więzieniach w kraju i za granicą, prosili o przekazanie naszemu zjazdowi wraz z pozdrowieniami zapewnienia, że nieobecni na siedemdziesięciopięcioleciu, jeśli wszystko dobrze pójdzie, zjawią się na pewno na stuleciu naszego gimnazjum. Jak najserdeczniej powitać chciałbym wreszcie rodziny patronów naszej szkoły: pierwszego, z okresu jeszcze przed pierwszą wojną światową, drugiego z okresu międzywojennego i trzeciego z okresu powojennego.

Czynię to ze szczególną satysfakcją, po raz pierwszy bowiem ci nasi trzej patroni występują w takim zestawieniu obok siebie. Mając na uwadze fakt, że bez porównania więcej ich dzieliło, niż łączyło, nie sądzę, aby przed stuleciem naszej szkoły mogli się jeszcze kiedykolwiek pojawić razem. W tak więc pogodnej, miłej i nacechowanej życzliwością atmosferze, ogłaszam nasz zjazd za otwarty<sup>575</sup>. Nauczyciel gratuluje rodzicom syna:

Nie chcę przed Państwem ukrywać, że w mojej, długo już trwającej karierze nauczycielskiej, po raz pierwszy spotykam chłopca tak uczciwego i prostolinijnego, jak syn Państwa. Serdecznie Państwu gratuluję takiego syna i proszę, aby w nagrodę za tę szczerość i prostolinijność chłopca, nie wciągali go już Państwo do dyskusji prowadzonych między sobą na temat, jak właściwie rozwiązać zadania z matematyki, które ma odrobić, czy też co ma napisać w wypracowaniu z polskiego. W efekcie bowiem synek Państwa, wywołany, aby przeczytał wypracowanie domowe, zawsze najpierw dokładnie referuje przebieg rozmowy między Państwem na temat tego wypracowania, a dopiero potem czyta efekt tej rozmowy. Ponieważ, jak wynika z relacji synka, rozmowy na temat między Państwem są dość burzliwe i zawierają szereg – jak synek to sam delikatnie nazywa – niestosownych uwag pod adresem szkoły i moim osobiście, każdą zaś próbę wtrącenia się synka do rozmowy kwitujecie Państwo uwagą: „Nie przerywaj i nie mieszaj się, kiedy dorośli rozmawiają”, lepiej by było gdyby rozmowa poprzedzająca wypracowania pozostała dla synka tajemnicą. Albowiem proszę sobie tylko wyobrazić, co by się działo, gdyby idąc za przykładem synka Państwa, każde dziecko zaczęło opowiadać, co mówili rodzice między sobą o szkole i o mnie, zanim zrobią za dziecko wypracowanie! Stąd też moje gratulacje i równocześnie gorąca prośba do Państwa o nagrodę dla synka za jego szczerość i prostolinijność<sup>576</sup>. Toast nauczyciela na jubileuszu ucznia, który opuścił szkołę w szóstej klasie:

Jestem szczęśliwy, że mogę dziś uczestniczyć w tym jubileuszu i wnieść toast za dalsze sukcesy w życiu osobistym mojego wychowanka. Sądzę, że nie

---

<sup>575</sup> Tamże, s. 88–89.

<sup>576</sup> Tamże, s. 97.

będziesz miał mi za złe, jeśli niczego przed szanownym zgromadzeniem nie ukrywając, powiem, że już od samego początku, dosłownie od pierwszej klasy zapowiadałeś się jako jednostka, która wysoko wzbije się ponad przeciętność. W pierwszej chwili, kiedy taką opinię przekazało szkole przedszkole (łącznie z identyczną opinią przekazaną przedszkolu przez żłobek), pomyślałem sobie: jak zwykle przesada, pewnie ma jakichś ważnych rodziców. I byłem bliski prawdy w tych przypuszczeniach, ale tylko częściowo: nasz drogi jubilat podparł się rodzicami, ale tylko na tyle, na ile było mu to niezbędnie potrzebne. Wkrótce jednak skorzystał z pierwszej okazji, aby się podeprzeć samym sobą. Nie zaskoczył mnie więc zupełnie fakt odejścia naszego drogiego jubilata, i mojego wychowanka w jednej osobie, ze szkoły już w klasie szóstej, kiedy po wakacjach i rozterce – czego zresztą nie ukrywał przede mną – uznał, że szkoła po prostu przestała już za nim nadążać. Pamiętam, że w tej rozmowie nie taił również, że czyni to z przykrością, niemniej jego wysokie poczucie odpowiedzialności nie pozwala lekko-myślnie marnować własnego, tak wybitnego – jak to sam określił – talentu i perspektyw, tylko dlatego, że jego koledzy w klasie nie są tak zdolni jak on. Co było dalej, nie wiem. Ale że wszystko skończyło się jak najlepiej, szczęśliwie, świadczy o tym dzisiejszy jubileusz. A więc sto lat, Drogi Jubilate, sto lat!<sup>577</sup>

Toast na bankiecie z okazji zjazdu wychowanków gimnazjum:  
Koleżanki i Koledzy!

Wznosząc toast na bankiecie z okazji zjazdu wychowanków naszego gimnazjum, piję przede wszystkim zdrowie sąsiadki przy stole z prawej strony, która konsekwentnie odrzucała moje zaloty, i jak życie pokazało – z korzyścią dla mnie, ponieważ udało się jej już pochować dwóch mężów. Piję zdrowie sąsiadki przy stole z lewej strony, która była moim zalotom ogromnie przychylna, i jak życie pokazało – z korzyścią dla mnie, ponieważ pozbawiła mnie w ten sposób kosztów rozwodu i innych nieprzyjemności, jakie miała z mężem. Piję również zdrowie kolegi z naprzeciwka, który szczęśliwie dawał odpisywać, i jego sąsiada z prawej strony, który szczęśliwie nie dawał odpisywać, ponieważ rozwiązania podawał błędne, a w dyktandach robił błędy ortograficzne. Piję wreszcie zdrowie naszej pani od gimnastyki, dzięki której udało się zarówno mnie, jak i pozostałym wychowankom naszej szkoły, zaoszczędzić rozczarowań na wielkich międzynarodowych imprezach, transmitowanych przez radio i telewizję.

Wasze zdrowie, Koledzy!<sup>578</sup>

---

<sup>577</sup> Tamże, s. 118.

<sup>578</sup> Tamże, s. 120.

Syn uspokaja rodziców:

Kochani Rodzice!

Sesja wypadła mi nieszczególnie: nie zaliczyłem ani jednego egzaminu. Analizując przyczyny, doszedłem do wniosku, że winę za to ponosi pewna, nie znana Wam, dziewczyna, która zamiast mnie dopingować do nauki, godziła się, abym przesiadywał u niej całymi dniami, a nawet parę razy mi powiedziała, że jest jej przyjemnie ze mną. Ale nie martwcie się: już jej szybko nie zobaczę, ponieważ pewnego dnia, kiedy jeden chłopak usiłował się do niej przystawiać, uszkodziłem go i teraz czekam właśnie na rozprawę. Poza tym wszystko w najlepszym porządku.

Całuję Wasz Syn<sup>579</sup>.

**Przykład 465. Marcin Wolski – *Centralna Kuźnia Młodych*.  
Fragment programu kabaretu „Sześćdziesiątka”  
(1980)**

Docent Bulldog: Czołem kursanty! (*Cisza*). Hop, hop, hop, co jest? Nie słyszę rekonensansa. A gdzie ten odruch nazwiskiem Pawłów? Zapomnieliście, jak odpowiadać, rozwałeśaliście się, gapy kochane. No to zrobim jeszcze raz, jak was uczono. Ja powiem czołem kursanty, a wy czołem panie docencie. Czołem kursanty!

Zaorski i Ross: Czołem panie docencie!

Buldog: Dobra siadnijta, a wy, Zahorski, i ten drugi, Ruś, do mnie.

Ross: Ross, Ross!

Buldog: Nie bedem drugim ros powtarzał, bo mi się na mózgu zulu-gula zrobi. Zahorski, powiedźcie lepiej, gdzie się znajdujemy.

Zaorski: Znajdujemy się w Centralnej Kuźni Młodych imienia Karola...

Ross: Młota?

Buldog: Karola Marksa!

Ross: A jaka to różnica?

Buldog: Będzie to kurs na prawach najwyższej uczelni, po którym robotnik może zostać dyrektorem, inteligent – bezrobotnym, a chłop – premierem! A propos Zahorski, drugie śniadanie?

Buldog: Aaaaa, proszę, panie docencie.

Zaorski (*wręczając*): Proszę.

Buldog: A co to jest? Prowokancja?

Zaorski: Nie, to jest kanapka z chlebem w środku.

Ross: Właściwa kanapka we właściwym czasie.

---

<sup>579</sup> Tamże, s. 182.

Buldog: A propos czasu. Pomówimy dzisiaj o reformie naszego dokształta. Dostaliście od nasz samorządnie i niezależnie dwa warianty. I teraz wybierajta.

Ross: Ale co tu wybierać? Oba są bez sensu, to tak jak by wybierać dwa plus dwa to siedem, czy osiem.

Buldog: No to na ten przykład spójrzta w przy... w przy... co?

Zaorski: Przyrodzenie?

Ross: Przystosowanie obronne?

Buldog: Siadaj, pała! W przyrodę. Przed rokiem stało jak byk w oficjalnym podręczniku, że wieloryb to ryba. A dziś przeczytajta.

Ross: Prawie ssak.

Buldog: No i widzita, mylowy krok.

Zaorski: Nie można podać społeczeństwu całej prawdy?

Buldog: Hop, hop, hop, hop! Społeczeństwo nie jest przygotowane na tyle prawdy na raz. Mogłoby zażądać jeszcze tranu z tego wieloryba...

Zaorski: No, ale przecież społeczeństwo wykazało...

Buldog: Ja wasz proszę, nie przeciągajta za strunę, bo jeszcze wszystko się cafnie i wieloryb znów będzie ryba albo, co gorsza – jamochłon.

Ross: Protestuję!

Zaorski: Protestujemy.

Buldog: Oj, bo bendem musiał tu wezwać z krótkom, roboczom przyjaciel-skom wizytom woźnego. A ten jak wejdzie do klasy, to już nie wyjdzie.

Ross: Strachy na Lachy. Woźny nie taki głupi, żeby wchodzić.

Zaorski: Dość ma roboty na własnym podwórku.

Buldog: Ale cały czas przestępywa z nogi na nogie.

Ross: Może mu się lać chce.

Buldog: Ciszta! Zrobiła, jak będzietta chcieli, ale mówiem wam, jeszcze przyjdziecie do mnie na kurypetycje, nawet za dwadzieścia lat.

Ross: Za dwadzieścia lat po panu docencie śladu nie będzie.

Buldog: A może się założym, towarzysze kursanty? Może się założym?

Zaorski: Ale kto przetnie?

Ross: Ja na pewno nie.

Buldog: Woźny przetnie ten węzeł. Tawariszcz Gordyński! Pozwólcie siuda!<sup>580</sup>

<sup>580</sup> M. Wolski, *Centralna Kuźnia Młodych*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora...*, dz. cyt., s. 142–143. Komentarz autora: *Koniec 1980 roku, z programu Kabaretu „Sześćdziesiątka” „Tu sześćdziesiątka” nawiązującego do „Tu jedynka”, flagowej audycji propagandy sukcesu. [...] Tekst powstał przy współudziale Tadeusza Rossa i Andrzeja Zaorskiego – przytaczam wersja skróconą, skomasowaną i podrasowaną u schyłku lat dziewięćdziesiątych na potrze-*

**Przykład 466. Anonim – *Jak górniczy dzieci wychowywali* (1981?)**

Dawniej to nie było jak to teraz. Wto tam downiej o jakiś wywiadówkach słyszoł abo o klasówce, o dwójkach czy o jakimś innym nieszczęściu? Terazki to dzieci bez to są takie nerwowe, że już w szkole mają tyła trosków i tyło utropienio, że się nie dziwią, iż nie umieją, tego wytrzymać i chorują. My tam downiej przyszli ze szkoły, torba, jak myją mieli, kopyrt do rogu, rano się ją szukało i zaś to samo. Mamulka padali, szkoła jest od tego, coby dzieci nauczyła. A terazki to chnet wyglądo na to, że to ojcowie są od tego, coby dzieci w głowie wszystko miały. Mój syn przydzie ze szychty i zaroz drugo zmiana mo z synkiem, bo nie rozumie rachunków, bo nie umie tego abo tamtego, a pani nauczycielka zaroz woło rodziców i zaroz na nich, że się dziecko nie uczy. Co oni w szkole robią? Downiej to było tak: jak się wto chcioł uczyć, to ino wystarczyło go do szkoły posłać, no co najważniejsze, trza było mieć na to pieniądze. A terazki to chnet na odwyrtkę. Jak by się miało pieniądze, to by się chnet chciało dać, coby dziecko nie musiało – jak nie mo głowy do tego – tyła uczyć. No to prowda, że są mądrzejsze, ale sami powiedzcie, czy są lepsze?

Alech obiecoł o śmiesznych rzeczach rozprawiać, a tak wom tu gładza. Wyboczcie, ale to te stare lata. Toż wiedzą, roz tak się przytrafiło. Spotyko się dwóch górników i tyn jedyn pado: – Karliczku, ty wiesz, jak mój synek fajniście kłąc i pieronić umie?

– Nie, tegoch nie wiedziół. A rzykać też już umie, nauczyłeś go ojczenaszu, zdrowaśki i przykazań?

– Czyś ty głupi! Taki mały!

Roz zaś przyszedł synek z nauki religii i powiado: – Mamo, jo się dzisiej som zgłosił z religii!

– Ja? To ale fajnie, a o co cię farorz pytali?

– No powiedzieli: niech się zgłosi tyn istny, co ta żaba do kałamarza wciepną!

Innym zaś razem była tako matka, co bardzo dbała o wychowanie swej jedynaczki. Nic ino ciągiem, tego nie wolno, tego nie wolno. A jak ino jej jedynaczka bawiła się z dziećmi od Pytliny, a tam było dziecisków kupa u Pytliny i jak to zawsze, jak ich tak wiele, to się tego nie do w takim porządku utrzymać, no, to jak się ta jedynaczka z dziećmi od Pytliny bawiła, to matka zaroz przez okno: – Anastazyjko, zaroz mi tu do dom przydź. Wiele razy mom ci godać, że z dziećmi od Pytliny nie wolno ci się bawić!

No i tak szło furt. Aż roz, wiecie, przyszła sąsiadka i powiada: – Pani Kowoliczko, co jo wom powiem, co jo wom powiem, wiecie, co się zdarzyło babie od sztajgra... – no i przerwała, bo patrzy, a tu jedynaczka stoi i uszy wyciąga.

Wtedy Kowoliczkowo wejrzała oknem i powiada: – Anastazyjko, idź se na dwór, są tam dzieci Pytliny, to pobaw się z nimi!

Takie to było babsko!

A o tym toście już może słyszeli, jak to było roz z tymi trzema synami? Jak nie, to posłuchajcie.

Mioł ojciec trzech synów. A co jedyn to gorszy. No i roz budzi się ojciec w nocy i powiada do najstarszego: – Synku, przynieś mi szolka wody!

A synek ani drgnie. To ojciec pado do drugiego: – Synku, przynieś mi szolka wody.

A i ten drugi ani drgnie, a słyszeli wszyscy. No to wtedy ten najmłodszy nie wytrzymał i powiada: – Ach, ojciec! Co się tam bydziecie tych gizardów prosić. Idźcie se sami, a po drodze i mię przynieście, bo mi się chce fardońsko fest pić.

Takie to były dzieci! Bo to padają, że ojcowie mogą wyżywić i dziesięcioro dzieci, a dziesięcioro dzieci nie umie wyżywić jednego ojca. Tak to jest, to jest szczyro prawda.

Downiej wiecie, to jak górnik szedł do roboty, to wstawił o trzeciej rano, to jeszcze dzieci spały, a przychodził tak nieskoro, bo to daleko było na gruba, to dzieci zaś spały. Ani czasem jak miesiąc długi nie miał chwilkki, coby z nimi pogodać, przyjrzeć im się, zajrzeć do gęby, czy zęby rosna, czy co, ino robił i robił, aby rodzina wyżywić.

No i padają, że szoł taki górnik przez las do swojej wsi, kaj mieszkoł i skąd do gruby chodził. Idzie, a po drodze spotkoł takiego małego bajtla, może miał ten bajtel z 6 lat.

– Mały, a ty co tu robisz?

– Straciłech się i nie wiem, kaj mom iść.

Myśli se górnik: – Wezna małego do dom. Momy trzynaścioro, to się i tyn bajtel jakoś wyżywi. Nie namyślał się długo, wziął bajtla na barana i do dom.

– Gustła – powiada do baby – przyprowadziłech ci takiego małego bajtla. Patrz, w lesiech go znoł, wyżywimy go jakoś, pra?

– Francik – powiada żona – czyż ty z tej roboty już blank rozum stracił? Czy ty nie widzisz, że to nasz Paulek?

I tak mu się dostało, że nawet swego najmłodszego nie poznoł. Na koniec wom powiem, jak my się uczyli po polsku godać. Pedzieli nom rechtór, że nie godo się: Łon ino on. Że nie godo się pon ino pan. Że nie godo się czopka ino czapka. – To jak my widzieli ptoka, to my wiedzieli, że to ptak. A jak zafurgała



sroka, to my na głos zawołali: – Je, sraka leci! – Jerzyna, alech wom tego narozprawioł, żebyście tego kaj do gazety nie dali, boby mię syn wyśmioł, że takie głupoty rozprawioł<sup>581</sup>.

### **Przykład 467. Anonim –**

#### ***Jakie miano miał pierwszy człowiek (1981?)***

Przyszła raz jedna młoda para na naukę przedślubną. Ksiądz ich zaczął egzaminować, bo to musiał wiedzieć, czy oni wiedzą coś o wychowaniu dzieci, potem o sakramencie małżeńskim i o Biblii. No i jak zaczął pytać, tak ich też spytał: – No moi drodzy, a powiedzcie mi jak było pierwszemu człowiekowi na miano.

A wiecie, ten młody pon to był górnik, a górnicy to zarabiają dobrze i wszyscy mają telewizory. Jak kto mo telewizor, to po to, aby w niego patrzeć. No i ten górnik pomyślał trocha i pado: – Wiem farorzyczku, mioł na miano Hoss!

– Hoss? A to dlaczego? – pyta się ksiądz.

– No bo Hoss!

– Ale co też ty mówisz, przecież mu było Adam!

A górnik podropoł się po głowie i wartko pado: – Pieronie, jo wiedzioł, że to jeden z tych Bonanzów, inoch nie pamiętał który!<sup>582</sup>

### **Przykład 468. Anonim – *O jednym ojcu* (1981?)**

Dawniej się inaczej dzieci wychowywało. Nie były one może takie mądre i czytane jak dzisiejsze, ale wiedziały, jak starszych szanować, jak się obyczajnie zachować.

Spotkał się raz jeden kumoter z drugim przy pracy na polu. Rozprawiają se o gospodarce, o kobietach, no i o dzieciach. A ten jeden chłop był już w wieku Abrahama i miał młodą żonkę, i dopiero przed czterema laty urodził mu się synek. Wszyscy we wsi wiedzieli, że ten syneček jest bardzo mądry, bo ojciec tak się nim pysznił, że kogo napotkał, to mu o swym synku zaczął różne porzekadła opowiadać.

No i teraz też tak. Dał się z kumotrem do gadki i opowiadał, jaki to ten jego syneček jest mądry.

– A wiecie, kumoterku, jak mu powiem: – Wojtusi, przynieść ojcu stołek, to wiecie – śmieje się ojciec – to on mi powiada:– A prawie, że wam nie przy-

<sup>581</sup> Anonim, *Jak górnicy dzieci wychowywali*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga humoru ludowego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981, s. 244–246.

<sup>582</sup> Anonim, *Jakie miano miał pierwszy człowiek*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga...*, dz. cyt., s. 229. Por. Anonim, *Jakie miano miał pierwszy człowiek*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie...*, dz. cyt., s. 320.

niosę. – A jak ja mu powiem: – Ty hultaju mały – to on mi na to: – Ty hultaju stary. – Powiadam wam, kumoterku, takie to małe, a jak to przeklinać umie! Jak jaki stary!

Zdziwiło to kumotra, bo to kto widział takie wychowanie? Pyta więc ojca pysznego: – A nauczyliście to już waszego synka modlić się do Ojca Niebieskiego?

– A bo to kto widział, aby takie małe dziecko modlić się umiało? – odpowiedział urażony ojciec<sup>583</sup>.

### **Przykład 469. Anonim – *O ojcu, co chciał, żeby się syn za dzień nauczył czego w szkole* (1981?)**

Zaprowadził ojciec syna pierwszy raz do szkoły i zapowiedział nauczycielowi, aby go koniecznie nauczył czego za dzień. Nauczyciel tłumaczył ojcu, że to niepodobieństwo, ale w końcu się zgodził. I nauczył chłopca: „Ses dymes z komines, a ja totczas spriatałsia pod bez, kurus gagurus, ja idu, a tot ryjet krowantum, rogantum suchom chrostom oko priedierot”.

Syn wraca ze szkoły i ojciec się go pyta, czego się nauczył w szkole.

– A nauczył mnie nauczyciel tak: „Ses dymes z komines, a ja totczas spriatałsia pod bez, kurus gagurus, ja idu, a tot ryjet krowantum, rogantum suchom chrostom oko priedierot”.

Matka usłyszawszy to, mówi: – Ho, ho, ho, ojciec, to on się już dobrze nauczył, kiedy on tak jak ksiądz w kościele po łacinie śpiewa<sup>584</sup>.

### **Przykład 470. Anonim – *Przekręcona łacina* (1981?)**

Nowicjantka jedna w klasztorze prosiła przełożonej, aby ją cokolwiek poduczyła potrzebnej dla zakonnicy łaciny. Ta jej między innymi regułami wskazała i tę, aby w łacinie głoskę c przed a, o, u położoną, czytać zawsze jak k. Gdy tedy nowicjantka napadła w książce nie bardzo jej widać zrozumiałej lubo polskiej, na ustęp taki: „O córy, córy, naśladujcież wasze matki, co były święte itp”.

Wtedy pamiętna przestroż przełożonej sądząc, że ma właśnie łacinę przed sobą, pocznie czytać: „O kury, kury, naśladujcież wasze matki kobyły święte!”<sup>585</sup>.

<sup>583</sup> Anonim, *O jednym ojcu*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga...*, dz. cyt., s. 246.

<sup>584</sup> Anonim, *O ojcu, co chciał, żeby się syn za dzień nauczył czego w szkole*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga...*, dz. cyt., s. 228. Por. przykłady 16, 437.

<sup>585</sup> Anonim, *Przekręcona łacina*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga...*, dz. cyt., s. 228–229.

**Przykład 471. Anonim – *Student i gospodarz (1981?)***

Pewnego czasu szedł do domu student na święta Wielkanocne. Przeszedł do wody, a tu woda była wielka. Natenczas nadjechał gospodarz parą wołów, więc ten student prosił go, aby go przewiózł bez tę wodę. Ten aż przyjeżdża na środek wody i każe mu złązić. A ten student się odzywa: – Gospodarzu, kiej już tak koniecznie muszę zleźć we wodę, to was proszę, pozwólcie mi dojść choć na koniec dyszla, to będę miał bliżej dojść do kraju.

Tak ten gospodarz pozwolił. Tak ten student głodny, jak się dostał na koniec dyszla, siadł na woły, wydarł zadki i pojechał, a gospodarza zostawił na środku wody we wozie. Tak gospodarz prosił tego studenta, żeby nazad przyjechał. Ten student wrócił się po gospodarza i pojechał do dom.

Gospodarz siadł za stołem i jadł wieczerzę, ale studentowi ani razu ujeść nie dał, tylko się go opytywał, jak tam uczą w szkołach. Biedny student miał daleko do domu, został nocować u tego gospodarza i musiał pójść spać o głodzie. Ale ta gospodyni przyrządzała na święta wielkanocne kielbasę i piekła gąsiora. A ten student miał sakwę i torbę. Jak polegli spać, on się wtedy zapytał: – Panie gospodarzu, słyszeliście, że się będzie przewoził pan kielbasowic do torbowic, a pan gąsiorowic do sakwiewic?

A gospodarz mówi: – Tak! Co to za panowie, co im się tak chce przewozić?

I wtedy wstał ten student, wziął mięso i kielbasę, wepchnął do torby, a gąsiora do sakwy i za to wszystko takie święta zrobił gospodarzowi. Jak gospodarz wstał, tylko się popatrzył na te naczynia, a student zjadł<sup>586</sup>.

**Przykład 472. Krzysztof Jakubowski –  
*Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (I) (1981)***

Zapraszamy teraz do głośników naszych najmłodszych. Dzień dobry, dzieci! W naszym dzisiejszym kąciku usłyszycie historię zatytułowaną: „Łańcuszek dobrej woli”.

Prosimy wszystkie dzieci, aby teraz pod kierownictwem pani przedszkolanki ustawiły się swobodnie według wzrostu równym szeregiem dookoła głośnika. Ustawiając się w takt muzyki, dzieci klaszczą rytmicznie w obydwie dłonie.

– Czy wszystkie dzieci są już wygodnie ustawione?... Jeśli tak, możemy zaczynać naszą historię. Pewnego razu mamusia Janka źle się poczuła...

– Wiesz, Janku – powiedziała do Janka mamusia Janka – jakoś źle się dzisiaj czuję. Odprowadzę cię do przedszkola i wrócę chyba do domu, położyć się i trochę wypocząć.

<sup>586</sup> Anonim, *Student i gospodarz*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga...*, dz. cyt., s. 140–141. Por. przykład 79.

– Ależ mamusiu – odpowiedział Janek – mogę przecież sam iść do przedszkola. A ty jeśli się źle czujesz, powinnaś iść do doktora. Tatuś Joli z mojej grupy jest doktorem i na pewno ci pomoże.

– Naprawdę tak myślisz? – ze wzruszeniem odpowiedziała mamusia Janka. – Może masz rację. Pójdę do tatusia Joli.

I poszli. Janek do przedszkola, a mamusia Janka do tatusia Joli. Wszystkie dzieci przy głośnikach pod kierunkiem pani przedszkolanki pokazują te raz, klaszcząc w obie dłonie w takt muzyki, jak Janek i jego mamusia idą, każde w swoją stronę. Tatuś Joli starannie zbadał mamusię Janka...

– To nic poważnego – powiedział mamusi Janka tatuś Joli – ale jest pani nieco przemęczona. Radziłbym wypoczynek nad morzem.

– Wiesz, Janku – powiedziała mamusia Janka – tatuś Joli doradził mi wypoczynek nad morzem, ale niestety nie mogę sobie na to pozwolić.

– Wujek Jurka z mojej grupy – odpowiedział Janek – na pewno ci pomoże. On podobno jest bardzo dobry.

Mamusia Janka poszła zaraz do wujka Jurka. Wujek Jurka okazał się bardzo dobry i jeszcze tego samego dnia załatwił mamusi Janka bezpłatne wczasy w Jastarni. Tatuś Joli też okazał się bardzo dobry i postanowił osobiście odwiedzić osłabioną mamusię Janka do Jastarni, aby zapewnić jej należytą opieką.

Janek i Jola stali na peronie i długo machali chusteczkami wychylającym się z okna przedziału rodzicom.

Teraz wszystkie dzieci przy głośnikach ustawiają się rzędem i poruszają w takt muzyki obydwojma łokciami, bawią się w odjeżdżający pociąg.

Wyznaczeni przez panią przedszkolankę Janek i Jola stoją na peronie i bawią się w machanie chusteczkami odjeżdżającym rodzicom.

Janek jest bardzo szczęśliwy, że dzięki jego radom udało się zorganizować łańcuszek ludzi dobrej woli, którzy umożliwili mamusi wypoczynek nad morzem. Do usłyszenia!<sup>587</sup>

### **Przykład 473. Krzysztof Jakubowski – *Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (II) (1981)***

Zapraszamy do głośników uczniów klas 6 i 7. W dzisiejszym kąciku przedstawiamy wam audycję zatytułowaną: „Judym z ZOZ nr 45”. Uczniów prosimy o zwrócenie szczególnej uwagi na analogie do pewnych znanych wątków literackich, a nauczycielom proponujemy przeprowadzenie w klasie po audycji dyskusji na

<sup>587</sup> K. Jakubowski, *Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (I)*, [w:] tegoż (oprac.), *Powtórka z rozrywki*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1981, s. 294–295. Jest to parodia audycji edukacyjnych dla dzieci emitowanych w Polskim Radiu.

temat: „Rola postaw społecznikowskich w warunkach rozwiniętego systemu świadczeń socjalnych”.

Historia nasza zdarzyła się w pewnej niewielkiej miejscowości, gdzie w tamtejszym ZOZ-ie ordynował znany społecznik, doktor Zenon B. Pewnego dnia zgłosiła się doń pacjentka na badania ogólne.

– Czuję się bardzo przemęczona, panie doktorze...

– Och, to nic poważnego, nie widzę tutaj żadnych przyczyn organicznych. Doradzałbym po prostu dłuższy wypoczynek. Najlepiej nad morzem.

– Kiedy, niestety, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nie mogę sobie na to pozwolić materialnie, a ponadto mój syn, rozumie pan doktor, Janek, kończy właśnie ósmą klasę i chce zdawać do technikum samochodowego... Nie mogę zostawić go bez opieki.

– Spróbujemy jakoś temu zaradzić, proszę pani.

Doktor B. zaczął działać. Zadzwoił do swego dobrego znajomego, magistra Andrzeja R., który piastował ważną funkcję społeczną w zakładzie zatrudniającym pacjentkę Marię Z. Decydująca rozmowa pacjentki ze społecznikiem odbyła się jeszcze tego samego dnia...

– Doktor B. naświetlił mi sytuację...

– I co? Jest jakaś nadzieja?

– Wszystko załatwione. Oto skierowanie na ulgowe dwutygodniowe wczasy w siodle. Miejscowość Jastarnia. Proszę nie dziękować.

– Ach, dziękuję, dziękuję bardzo... Ale co będzie z Jankiem, jakże ja go zostawię samego?...

– Syna oddamy na czas pani nieobecności pod nadzór kuratora społecznego.

– Naprawdę?! Jakże jestem szczęśliwa.

– Drobiazg. Jesteśmy po to, aby wspomagać załogę w jej palących problemach.

W ten sposób sprawa została załatwiona, a doktor Zenon B. odwiózł pacjentkę do Jastarni własnym samochodem, w trosce, aby męcząca podróż nie nadzarpnęła jeszcze bardziej jej nadwątlonych sił. A Janek, dzięki nadzorowi i rozumnej pomocy społecznego kuratora – który okazał się jednocześnie społecznym inspektorem służby drogowej zdał celująco egzamin wstępny do technikum samochodowego i będzie niebawem cenionym fachowcem. Do usłyszenia!<sup>588</sup>

<sup>588</sup> Tenże, *Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (II)*, [w:] tegoż (oprac.), *Powtórka...*, dz. cyt., s. 301–302.

**Przykład 474. Krzysztof Jakubowski –  
*Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (III) (1981)***

Prosimy do odbiorników młodzież szkół średnich. Będziemy dziś kontynuować zajęcia seminaryjne na temat: „Dawniej a dziś”. Prosimy przygotować przybory do pisania. Przedstawimy wam za chwilę dwie krótkie scenki, ukazujące zagadnienie medycyny pracy dawniej a dziś.

Scenka pierwsza. Pracownica dużej fabryki, Maria Z., z wolna, lecz coraz głębiej zapada na chorobę zawodową. Kiedy stan jest krytyczny, decyduje się wreszcie, za namową syna, którego drogą skrajnych wyrzeczeń kształciła na organistę, pójść do lekarza...

– No, co tam macie, dobra kobieto?...

– Trochę jajeczek, osełkę masła, gomółkę sera i kurkę, proszę wielmożnego pana doktora.

– Dobrze, postawcie tutaj. Co wam dolega?

– Z nóg lecę, ledwie już dycham, proszę pana doktora.

– Pokażcie język... powiedzcie „a”...

– Aaa...

– Nic wam nie jest, kobieto, wracajcie do pracy.

– Serdecznie dziękuję, wielmożnemu panu doktorowi.

– No, dobrze, już dobrze. Następna!

Powróciwszy do fabryki Maria Z. natknęła się na majstra.

– I co doktor powiedział.

– Że nic mi nie jest.

– No, tym razem jeszcze daruję, tylko z dniówki potrączę, ale żeby mi się to więcej...

– Serdecznie dziękuję, wielmożnemu panu majstrowi.

Scenka druga. Pracowniczką dużych zakładów produkcyjnych, obywatelka Maria Z., czuje się źle. Za radą syna, wzorowego ucznia przyzakładowego technikum samochodowego, udaje się po poradę do zakładowej przychodni zdrowia.

– Czy mogę pani służyć?

– Proszę mnie zbadać, panie doktorze, czuję się nie najlepiej.

– Proszę, tu są skierowania do pracowni analitycznej, na prześwietlenie i tak dalej. Proszę przyjść z wynikami.

Na drugi dzień Maria Z. zgłasza się z wynikami.

– To początki choroby zawodowej, proszę pani. Na szczęście w tym stadium całkowicie niegroźne. Pojedzie pani na miesięczny wypoczynek do naszego ośrodka zakładowego w Jastarni. Tak się składa, że ja akurat też się tam udaję. Czy mogę zaproponować pani miejsce w samochodzie służbowym?

– Dziękuję bardzo, panie doktorze...

Maria Z. udaje się do działacza społecznego, aby załatwić niezbędne formalności.

– Proszę bardzo, oto skierowanie. Po powrocie umieścimy panią na innym stanowisku, aby nie dopuścić możliwości nawrotu choroby.

– Dziękuję bardzo.

– Aha, jeszcze jedno. O syna proszę się nie martwić. Będzie pod naszą opieką, a ponadto postanowiliśmy za dobre wyniki w nauce przyznać mu stypendium. Do usłyszenia!<sup>589</sup>

### **Przykład 475. Lech Konopiński – *Moje uniwersytety* (1981?)**

Każdy dziś chętnie stawia noty,  
podsumowuje innych ciurkiem,  
a jakoś nikt nie myśli o tym,  
jak sam do szkoły szedł pod górkę.

Ponieważ mądrość teraz w modzie,  
do wiedzy co dzień szukam klucza.  
Nikt nie zostawia mnie na lodzie:  
każdy mnie szkoli i poucza.

Dokoła mistrzów groźne twarze  
w pedagogicznej biegłych sztuce,  
co zamiast: – Ja cię uczyć każę!  
mówią: – Już ja cię dziś nauczę!

Tak więc codziennie jestem w kropce:  
Nic mi, co obce, nie jest ludzkie!  
I chociaż już nie jestem chłopcem,  
bez przerwy dają mi nauczkę!

Los mi złośliwe figle płata,  
życie po główce mnie nie głaszcze –  
wspominam więc wspaniałe lata,  
kiedy siedziałem w osłej ławce.

---

<sup>589</sup> Tenże, *Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (III)*, [w:] tegoż (oprac.), *Powtórka...*, dz. cyt., s. 305–307.

Wspominam bliźnich moich słowa,  
które w pamięci pozostały,  
że będzie ze mnie mądra głowa  
albo półgłówek przemądrzały...

Wspominam durne dni młodości,  
gdy księżyc świecił tak jak wczoraj,  
a ja uczyłem się miłości  
na nocnych kursach u Amora.

Życ w mej pamięci zawsze będą  
lata szczenięce i bezgrzeszne,  
kiedy uczyłem się na błędach  
i odwiedzałem szkółki... leśne.

Dano mi szkołę znakomitą,  
kiedy się chciałem wybić z tłumu:  
niejedno z głowy mi wybito,  
nim nauczo no mnie rozumu<sup>590</sup>.

### **Przykład 476. Romuald Lenech – *Luka w wykształceniu* (1981)**

Byłbym poddał się konstruktywnej satysfakcji na wieść, że urzędy wzmogą dyscyplinę załatwiania stron i twórczą operatywność, gdyby nie osobiste doświadczenie.

Pewnego dnia otrzymałem z Wydziału Kształcenia następujące zawiadomienie: „Działając w myśl wytycznych o doskonaleniu pracy urzędów, wykryliśmy, iż Obywatel posiada lukę w dokumentacji wykształcenia i nie przerobił do końca siódmej podstawowej. Wzywa się Obywatela do ponownego uczęszczania do szkoły i zajęcia miejsca w siódmej C Szkoły Podstawowej nr 405”.

Początkowo porwał mię pusty śmiech. Próbowałem referentowi tłumaczyć, że skoro skończyłem na uniwersytecie socjologię i omal nie zapisałem się na archeologię, to chyba mam za sobą siódmą klasę podstawową. Referent przywołał kolegę, aby mi zadać kłam. W dokumentach stało jak byk, że brakuje

---

<sup>590</sup> L. Konopiński, *Moje uniwersytety*, [w:] tegoż, *Śmieszne pretensje. Wybór wierszy satyrycznych i humorystycznych z lat 1960–1980*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1981, s. 10.



odpisu świadectw z drugiego półrocza klasy siódmej. Nie pomogły wyjaśnienia, że dokument zaginął zapewne w zawierusze wojennej. Dostałem blankiet legitymacji szkolnej, polecono mi kupić niebieską tarczę i zgolić brodę.

– Dostaniesz do domu imienne wezwanie – referent przeszedł na „ty” – i zgłosisz się do pana dyrektora. A nie pal w ustępie papierosów i nie próbuj za bardzo korzystać z kodeksu ucznia!

Wypowiedziałem dobrze płatną posadę i zaszyłem się w kąt ze stertą bryków, aby się ukryć przed własnymi dorastającymi dziećmi. Dopiero po miesiącu nadeszło kolejne pismo donoszące, iż z powodu braku miejsca w siódmej A, B, C i D, odracza się moje stawiennictwo w szkole na lat 5. Razem z pismem otrzymałem skrócony program przyszłego nauczania w klasie siódmej. Same łatwizny: teoria kwantów, rachunek różniczkowy, metodologia historii literatury, teoria zapłodnienia roślin parzystodłoniastych itp. Na wszelki wypadek postarałem się o dwu korepetytorów opłacanych z potajemnych prac zleconych. Po roku dostałem urzędowe pismo odraczające mi kolejno powrót do ławy szkolnej na lat dziesięć z powodu tłoku w szkołach i pięknie wydrukowany skrót programu nauki w przyszłej siódmej podstawowej. Obok przedmiotów wycieczkowych, jak strategia na poziomie sztabu oraz przymusowych skoków narciarskich, znalazła się tym razem krytyka teorii Einsteina, analiza strukturalna, wstęp do muzyki elektronowej itp. łatwizny. Program kończył się wyjaśnieniem, iż nauka idzie naprzód i młody umysł nie może pozostać nie oświecony.

Do pracy zarobkowej dla opłacenia pięciu korepetytorów-docentów zaangażowałem całą rodzinę. Byłem już przy chemii związków nie wykrytych, kiedy po dwu latach otrzymałem jeszcze jedno pismo, odraczające mi, tym razem ostatecznie, powrót do siódmej klasy na lat piętnaście. Zerknąłem tylko na pierwsze punkty nowego przyszłościowego programu szkolnego na rok 1995. Zauważyłem punkt o zajęciach praktycznych z montowaniem i rozbieraniem rakiet kosmicznych tudzież uwagę, że przedłużanie namysłu o ponad sekundę przy odpowiedzi w szkole będzie karane odebraniem uczniowi wkładu mózgowego ze sztucznymi szarymi komórkami. Nie czytając dalszych punktów, chwyciłem za długopis i napisałem podanie do Wydziału Kształcenia o cofnięcie mnie do pierwszej podstawowej. Zadeklarowałem gotowość chóralnego skandowania:

Ala ma kota, a Magda Azorka,

Cotangens Alfa, znajdziemy się w Tworkach<sup>591</sup>.

<sup>591</sup> R. Lenech, *Luka w wykształceniu*, [w:] tegoż, *Co rozum to przyszłość. Opowiadania satyryczne*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1981, s. 155–157.

**Przykład 477. Jeremi Przybora – *Jak pan mógł?***

**Fragmenty programu „Telefon zaufania” (1981)**

Panie profesorze, jak pan mógł?  
Ledwo przekroczyłam auli próg –  
jak pan mógł?  
W pustej sali, co się aulą zwie –  
pan tak do tablicy przyparł mnie!  
No jak pan mógł?  
Szczęściem huk od tego poszedł, co  
sytuacje oderotyzował. No...  
Panie profesorze, jak pan mógł?  
Jak pan mógł?  
Co za naród!  
Co za ludzie!

Panie instruktorze, jak pan mógł?  
Ledwo przekroczyłam szatni próg –  
jak pan mógł?  
Zaczajony wśród wiszących palt,  
z propozycją wyszedł pan tych salt!  
No jak pan mógł?  
Szczęściem ja już o tem dobrze wiem,  
czem te salta w paltach kończą się, wiem czym!  
Panie instruktorze, jak pan mógł?  
Jak pan mógł?  
Co za naród!  
Co za ludzie! [...] <sup>592</sup>

**Przykład 478. Witold Zechenter –**

***Na tropach folkloru. Monolog estradowy* (1981?)**

Człowiek, jak człowiek, edukację ma i to, co trzeba. Tak właśnie ze mną. Różnie bywało, aż stałem się szoferakiem. Bo to nic trudnego. Sprzęgło, kierownica, wał korbowy – byle wał się tego nauczy. Biegi trenowałem już przedtem – jakaś na przykład draka, to ja od razu tylny bieg. Znaki drogowe – żadna filozofia. I zdało się egzamin. W dodatku znajomek pytał. Jak w życiu.

---

<sup>592</sup> J. Przybora, *Jak pan mógł*, [w:] tegoż, *Dzieła...*, t. 2, dz. cyt., s. 1403.

Zatrudniałem się tu i ówdzie. Zwłaszcza ówdzie. Aż wreszcie dostałem posadę u kopniętych, co szukali folkloru. Nazywali się ekipa. Jeździli po wsiach, wyciągali z chałup co starsze, ale jeszcze żywe, i dalej namawiać na przyśpiewki i gawędy. A gdy kto się dał namówić, przykładał do niego taki mikrotermos, co łapie każde słowo, i nagrywali na tasiemki.

Samochód był owszem, niezły, jeździło się wygodnie, choć czasem trzeba było daleko z szosy, przez takie drogi raczej bite. I kopane. W czynie społecznym. Potem w wiosce mogłem robić co chcę, oni, to znaczy ekipa, do tych starych, a ja nawet czasem młodego folkora przytapałem, pogawędka, tego owego, bez nagrywania.

Raz przyjechaliśmy do takiej wiochy, co samochodu jeszcze nie widziała, chyba w telewizji. Bo u nas teraz wszędzie naprzód tele, a potem wszystko inne. Takie typowe telemorele. Dzieciaki się zbiegły, a profesor pyta, gdzie tu najstarszy człowiek. To mówią, że jest taki, ma sto lat. Podjechaliśmy, a ten stary siedział na przyzbie, na słońcu – był to jeszcze rok, gdy słońce grzało w lecie i w ogóle lato jeszcze wtedy było w lecie – i fajkę kurzył. To profesor mówi, że to, że owo, zachodzi go z tej i z tamtej strony, a on głową kiwa, że niby się zgadza. Więc nastawili to nagrywanie, całą tę pasmanterię zmechanizowaną, a profesor mówi: – Więc zaśpiewajcie nam, obywatelu, jak to za waszych młodych lat śpiewano tu, w waszej okolicy.

Stary odłożył faję, namyślił się i jak nie huknie: – Jak dzieuchę ujrzę z bliska, zaraz chcę, by dała pyska, za spódnicę zaraz chytam...

To profesor przerywa i mówi: – Wiecie, obywatelu, może coś poważniejszego, coś z wojaczki na przykład... Wojowaliście przecież, no nie?

A stary na to: – Oj, wojował ci ja, wojował, wojen nie zliczę, na których ja był i tłukł każdego, i mnie każdy tłukł...

– No świetnie – zachęca profesor – to może coś o tym...

A stary znów: – Jak dzieuchę ujrzę z bliska...

No to profesor mu ładnie podziękował i pyta, czy nie ma takiej samej starej baby, powiedział oczywiście: obywatelki, w tej wsi, by mu coś zaśpiewała.

– Jest – mówi stary – w tamtej chaupie, co te drzewa...

Podjechaliśmy tam, wyszła ta stara, ale mówi, że ona śpiewa tylko w kościele.

– To może – proponuje profesor – jakąś gadkę nam powiecie?

– A powiem – mówi baba i zaczyna rezolutnie, ale mówię wam, takim ostrym głosikiem, że nam uszu mało nie poprzerzynało. – Te... bo to... byli tacy... co to... ee... wicie... on do niej... a ona... eee... bo on przyszedł, a ona... eee... poszła..., bo to wacie, me było... eee... tak wicie...

No to profesor podziękował, przerwał całą tę pasmanterię, tasiemki poskręcali i pojechali dalej. Ale profesor był zły okropnie, że tak się nam w tej wsi nie udało, więc ja mówię do niego wieczorem:

– Panie profesorze, jak już macie nagrywać, to raczej coś wesołego, nie? Z radia coś złapcie, jakieś przemówienie, a lepiej jeszcze jakąś zagranicę, piosenki nagrajcie, to się naród ucieszy, a nie takie tam eee i eee...

– Jakie piosenki? – krzyczy profesor wściekły, jak by go kto ugryzł. – Jakie zagranice?

– Włoskie piosenki na przykład – mówię i zaraz nastawiam tranzystorek, taki fajny mieliśmy z sobą – i jak raz łapię Włochy, Mejdolian był chyba, i tam piosenka:

E riwe deri mi  
mia papija  
granda fernanda melankolija

Amori wapori  
mece fortece  
dolczę far nięte  
kara grandecccccce...

Coś w każdym razie w tym guście. Ale profesor zachnął się i powiedział, że nie są od tego, by włoskie piosenki nagrywać, więc ja mówię, że może francuskie, i łapię zaraz, tak mi się od razu udało, jakąś francuską rozgłośnię, i tam śpiewali:

Par lamur lamur  
e tużur tużur  
e seżur seżur  
a tre żur tre żur...

– Zamknij pan to – mówi profesor – bo się wścieknę, zwariuję, od tych piosenek to już obłąd człowieka łapie...

No to ja szybko nacisnąłem inny guziczek i jak raz złapałem po angielsku, ktoś mówił: „Łyz bykott aj fraj ju temperlely batterflaj ze wiz maj fors metschodk szlans of essszjens...”

Zagniewał się strasznie profesor, odebrał mi ten tranzystorek, wyłączył, więc ja proponuję jeszcze: – Panie profesorze, nagrajmy więc coś rodzimego, co każdy zrozumie, aż mu się na sercu i koło wątroby jaśniej zrobi. O, na przykład, jak na dworcach naszych zapowiadają przez głośniki: „Owaga... Pociung pospizny do Eawy łodjdźdża z pieronu pemtego toru entego o godzinie hetna-  
stej minud choaście... Poszy siadaś czwi zamikasz...”

Takem się wtedy poróżnił całkiem z tymi kopniętymi, że rzuciłem to nagrywanie i poszedłem na taksówkę. Dobrze jest, zegar idzie, forsa leci. A czasem, jak wiozę dzieuchę, bo... o, przepraszam, jeszcze mi się ten folklor przypomniał...<sup>593</sup>

### **Przykład 479. Witold Zechenter – *Nowy rok szkolny* (1981)**

No i skończyły się wakacje,  
urlopy letnie, letnie wczasy!  
W melancholijnym aromacie  
wrzosami już zakwitły lasy.

Od nich to właśnie miano „wrzesień”  
ten miesiąc dostał w dawnych wiekach  
i po tych kwiatach płynie jesień  
jak mgła nieufna i daleka.

Lecz ile gwaru w mieście! Ile  
ruchu! Rozbrzmiewa śmiech swawolny!  
To przecież zgietku czyni tyle  
w tych właśnie dniach – nowy rok szkolny!

A my patrzemy zamyśleni...  
głupstwo, że się skończyły wczasy!  
Lecz smętni, że już tej jesieni  
do wyższej nie przeszliśmy klasy...

Już żadna nas nie wezwie szkoła  
barwami nowych podręczników  
i do tablicy nie wywoła  
nikt, panie dziejku, starych przyków...<sup>594</sup>

---

<sup>593</sup> W. Zechenter, *Na tropach folkloru (monolog estradowy)*, [w:] tegoż, *Gra w otwarte żarty. Fraszki, satyry, humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981, s. 95–99.

<sup>594</sup> Tenże, *Nowy rok szkolny*, [w:] tegoż, *Gra...*, dz. cyt., s. 66–67.

### Przykład 480. Witold Zechenter – *Okres egzaminów* (1981)

Tam ławeczki  
i kwiateczki,  
i słowiki –  
a tu teczki,  
podręczniki  
i słowniki!<sup>595</sup>

### Przykład 481. Zbigniew Korpolewski – *Woźna*. Monolog z repertuaru Hanki Bielickiej w programach estradowych (1982?)

(*Wchodzi, dzwoniąc dzwonkiem*).

Koniec przerwy! Do klasy! Do klasy! Każde do swojej... bo społeczeństwo budujemy bezklasowe, ale póki co, to z klasy do klasy przechodzić trzeba... Nie pchać się... Dzieci... dzieci... Dzie ci się tak śpieszy, Malinowski?... Jeszcze swoją dwóję zdążysz dostać... Dla wszystkich starczy... To nawet zdolne dziecko, tylko trochę konfliktowe... Ledwo nauczyciel do klasy wejdzie, to on już za drzwi wylatuje... i to nie za złe zachowanie, tylko za zadawanie trudnych pytań... A u nas wiadomo – dzisiaj pytanie – jutro odpowiedź. Co on się na tych korytarzach wystoi... Przyda mu się to, jak dorośnie... żadnej kolejki nie przepuści – wystoi... co trzeba... i doniesie, co się da... jak dostanie, oczywiście.

Zenek, co się tak oglądasz? Nie słyszałeś dzwonka? Też zdolne dziecko – nigdy się nie śpieszy... Zawsze niby ostatni, a jak nauczyciel do klasy wchodzi, to zawsze się o niego w drzwiach potknie – urodzony polityk... Znam się trochę na tym, bo ja już w tej szkole z czterdzieści lat dzwonię... z tygodniową przerwą, kiedy w ramach reformy oświaty zainstalowali dzwonek elektryczny... Już mieli mnie przenieść na wcześniejszą emeryturę, ale kiedy samorząd szkolny zwinął kabel i zainstalował z niego podsłuch do pokoju nauczycielskiego, dyrektor zdecydował, że wracamy do metod tradycyjnych (dzwoni), bo to i oszczędność energii elektrycznej, i etat się nie zmarnuje... Dyrektor to u nas tęga głowa – dwa razy starał się na medycynę, trzy razy na polonistykę, a jak się nigdzie nie dostał, to został nauczycielem... z powołania... Z powołania do wojska się w ten sposób wyreklamował. Teraz pewnie żałuje – mógł mieć kartę powołania, a ma tylko kartę nauczyciela, a jako człowiek z niepełnym wyższym wykształceniem – kie-

<sup>595</sup> Tenże, *Okres egzaminów*, [w:] tegoż, *Gra...*, dz. cyt., s. 56. Por. tenże, *Okres egzaminów*, [w:] E. Zechenter-Spławińska, *Malinowy tort. Witold Zechenter po latach*, Wydawnictwo Jagiellonia S.A., Kraków 2007, s. 268.

ruje szkołą... Zdolności organizacyjne ma takie, że tylko patrzeć, jak inspektorem zostanie. Dzieci go bardzo lubią, bo z jakiego by przedmiotu lekcji nie prowadził, zawsze coś śmiesznego powie... A młodzież u nas pośmiać się lubi...

Chociaż zdarzają się też uczniowie poważniejsi – Rembiszewski na przykład – poważny, buźka okrągłutka, uszka duże, odstające – od razu widać, że wysoko zajdzie, albo na ministra, albo na rzecznika prasowego... O, minister jeden to też do nas kiedyś chodził... przed laty, jak były klasy dla dorosłych, uzupełniał wykształcenie... kończył siódmą... Ciężko mu to szło, chociaż bardzo przyjemny człowiek i niezwykle skromny... nigdy się nie wyrwał do odpowiedzi, a nawet jak go nauczyciel do tablicy poprosił, to też się nie odzywał... Raz się tylko zdenerwował, jak mu sekretarka pracę domową sknociła i dwóję dostał... Pani mu nawet chciała wpisać uwagę w dzienniczku, ale przeprosił i przyrzekł poprawę, więc mu za dobre sprawowanie darowała, a on jej darował następnego dnia talon na samochód... Jak się rada pedagogiczna o tym dowiedziała, to każdy mu się chciał do dzienniczka wpisywać, ale nic z tego nie wyszło, bo zgubił dzienniczek i... przestał być ministrem, przeszedł do pracy naukowej, a jako docent już nie musiał naszej szkoły kończyć... Potem zlikwidował te kursy, bo nie było chętnych, czy też zmienił się etap, dość że teraz zamiast „szkoły dla wszystkich” – wszyscy dostają szkołę. Ja osobiście bardzo żałuję, bo to otarł się człowiek o znanych ludzi – było dla kogo dzwonić... A dzisiaj?... Dzień dobry, pani profesor... To nasza matematyczka... Na pierwszy rzut oka wygląda, jakby do trzech nie umiała zliczyć, a liczy zadania z trzema niewiadomymi... – dwie niewiadome w zadaniu, a trzecia w wyniku... Raz, jak jej się udało rozwiązać zadanie prawidłowo, to nagrodę na Dzień Kobiet dostała... Eksperyment oświatowy... Dodatkowo prowadzi wychowanie muzyczne, bo ma najładniejszy głos z całego ciała... pedagogicznego... Aż szkoda, że tego nie usłyszy, bo trochę głucha... Dzieci ją ubóstwiają, bo każdemu stawia piątkę... jeżeli umie usta otworzyć...

Słuch to ma nasz polonista, ale on ma chroniczne zapalenie gardła... więc tylko on jeden słyszy, co mówi... może to i lepiej, bo chociaż wiedzę ma solidną, to bywa roztargniony... Myli często Żeromskiego z Machejkiem... raz to mu się zdarzyło pomylić *Ogniem i mieczem z Łunami w Bieszczadach*... co to dzieci się namęczyły, żeby mu wyjaśnić różnicę. Ten mały blondynek w okularach – to nasz prymus, co chwilę paluszek podnosi... jak jaki wicepremier... Tęga głowa i to ze wszystkich przedmiotów... tylko fizycznie słaby... Kwaśniewski to mu kiedyś tak dołożył, że wyglądał jak ten facet, co w telewizji prowadzi *Rozmowy o rolnictwie*... Ten Kwaśniewski uczy się słabiej, ale bije najmocniej w całej szkole – pewnie jak dorośnie, będzie pracował w pogotowiu albo w izbie wytrzeźwień... Oj, napatrzy się człowiek w tej szkole, napatrzy... Ile to ja już tych pokoleń

przeżyłam? A tych reform oświaty...? Jak dobrze policzyć, to w tej naszej szkole było więcej reform jak przedmiotów nauczania...

Ja myślę, że wszystko przez to, że poziom nauczania nie nadąża za poziomem wiedzy ucznia... A młodzież do wiedzy się garnie, zwłaszcza z tych nowych przedmiotów. Jak wprowadzili u nas wychowanie seksualne, to dzieci tak pilnie odrabiały zadania domowe, że teraz w szkole prawie dziewczynek nie widać – część jest na urlopach macierzyńskich, a część na wychowawczych... Na przerwach widać tylko te najbrzydsze – pewnie jak dorosną, będą w telewizji dziennik czytać... Wychowanie obywatelskie też ma u nas powodzenie – już po kilku lekcjach dzieci założyły samorząd uczniowski i ogłosiły konkurs na stanowisko dyrektora... Dyrektor się sprzeciwił, bo jak wynikało z pierwszych sondaży opinii publicznej, największe szansę... miałam ja... bo to i najdłuższy staż pracy, i największe doświadczenie pedagogiczne, a i popularność wśród młodzieży.

Bo nasza młodzież kocha naukę, jest zdolna i pracowita, ale najbardziej uwielbia... przerwy... Jest to bowiem jedyna część naszej edukacji narodowej, która nie była reformowana, a historia uczy, że nie było jeszcze u nas takiej reformy, która by nam nie wyszła... bokiem. A młodzież, chociaż lekkomyślna, ale swój rozum ma i historii się uczy... A dzwonek na przerwę uratował niejednego ucznia przed odpowiedzią, ale i nauczyciela przed kłopotliwym pytaniem..., bo w naszych czasach coraz więcej pytań pozostaje bez odpowiedzi... albo dzwonek musi zastąpić odpowiedź... w gruncie rzeczy wszystko zależy tylko od tego, w którym uchu dzwoni... na przerwę (*dzwoni*), na przerwę (*dzwoni*), na przerwę oczywiście (*wychodzi ze sceny*)<sup>596</sup>.

### **Przykład 482. Włodzimierz Krzemiński – *Lekcja o ptaszkach* (1982)**

Dzień dobry wam, dzieci! Proszę o spokój. Wy dwaj, z węsami, przestańcie gadać, dobrze?

Dzisiejszą lekcję przyrody poświęcimy ptaszkom. Gdy przychodzi wiosna, cała przyroda się budzi i ptaszki też. Szelmasik, obudź się! I co? I rozkwita. Ptyśiówna, nie rozkwitaj. To jest, nie szczyt Kazia!

Przylatują ptaszki, a najpierw nasz miły Sezonówka Kierowniczek. Z dużym brzuszkiem. Podskoczy, zaćwierka i już go nie ma. Kierowniczek lata wysoko, ale jak czasem usiądzie, to siedzi.

A później, proszę was, przylatują z terenu całe stada Gryzipiórków Mądraszków. Są to ptaszki słabo upierzone, zwłaszcza na główkach. Gnieźdzą się w dużych miastach, ale lubią kręcić się po całym kraju. Szelmasik, nie kręć się!

<sup>596</sup> Z. Korpołewski, *Woźna*, [w:] tegoż, *Hanka Bielicka. Umarłam ze śmiechu. Wspomnienia, anegdoty, niepublikowane monologi*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011, s. 39–41.



Przyleciały już bociany... Ptysiówna, uważaj! Wszyscy kochamy nasze boćki i chętnie je wyręczamy, na przykład w budowie gniazd. Ale najwierniejsze naszym polom i lasom, naszym gospodom i kioskom są dobrze wam znane ptaszki, które niestety nigdy nigdzie nie odlatują i są zawsze wśród nas. Ptysiówna, jakie to ptaszki? No, takie z czerwonymi nosa... dziobami, z charakterystycznym pazurkiem, prztykającym w szyję? No oczywiście, toż to Ciągutka Ochlapus, towarzyska ptaszyna, żywi się rybkami, zwłaszcza w occie i po japońsku, które zwykła natychmiast czymkolwiek popijać. Jajek nie znosi, chyba że w majonezie. Kaziu, powtórz!

No oczywiście, znów włożyłeś Ptysiównie chrabąszcza za kołnierza. Tak się nie robi, Kaziu. Chrabąszczyk może się udusić!

Widzicie, jaka piękna jest przyroda, czyli środowisko naturalne. Żeby ochronić środowisko, nie należy do niego dopuszczać ludzi. Ale o tym na następnej lekcji. A teraz spocznij, wolno palić.

Szelmasik, schowaj język!<sup>597</sup>

### **Przykład 483. Włodzimierz Krzemiński – *Raz pewien młody człowiek* (1982)**

Raz pewien młody człowiek przedziwne miał potrzeby,  
bo dojrzał już fizycznie, a samodzielny nie był.

Po nocach nie mógł sypiać, oblewał egzaminy –  
gdy innym śnił się maluch, to jemu wciąż dziewczyny!

Aż przyszedł do tatusia, odwołał go na stronę  
i spytał: kiedy wreszcie mi zafundujesz żonę?

Choć tatuś się zawahał, przesądził mamy głosik:  
ach, nie bądź taki tyran! No daj, jak dziecko prosi!

Kupili im w Pekao teksasy i perukę,  
i został chłopak tatą, a tatuś został z wnukiem.

Minęło parę wiosen i – wyobraźcie sobie:  
młodzieniec skończył prawo, a zaczął psychologię!

---

<sup>597</sup> W. Krzemiński, *Lekcja o ptaszkach*, [w:] tegoż, *Uwaga, guzik!*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982, s. 42–43.

Ponieważ zaś fizycznie dojrzały był już przecież,  
więc nową żonę znalazł na nowym fakultecie.

I mama, chociaż siwa, słuchała znów wzruszona,  
gdy dziecku po raz drugi zagrali Mendelssohna...

Hej, w pięknym naszym kraju uczelni mamy sporo,  
więc dzieci nam się nieraz rozwiodą i pobiorą,

i będą jak najdłużej w studenckich ławach siadać,  
bo czyż to nie najprostsze: za nic nie odpowiadać?<sup>598</sup>

#### **Przykład 484. Włodzimierz Krzemiński – *Uccie się geometrii* (1982)**

Koledzy, matura za pasem! Ponieważ już niedługo będziecie urzędnikami, uccie się geometrii. Ci, którym uda się nie być urzędnikami, powinni się tym bardziej uczyć geometrii, albowiem w życiu nie stąpa się po różach, lecz po urzędach. A w urzędach nie zrozumiesz nic, nie załatwisz niczego, nie znając podstawowych geometrycznych pojęć. Na przykład:

LINIA – taka jest u nas linia postępowania.

ODCINEK – na tym odcinku sprawa jest *a jour*.

KĄT – pod kątem interesów ogólnie... itd.

PERSPEKTYWA – w perspektywie założeń do wytycznych.

PŁASZCZYŻNA – na płaszczyźnie dwóch różnych pionów.

PION – w pionie naszego dyrektora,

WYCINEK – potraktujemy tę sprawę wycinkowo.

PRZESTRZEŃ – na przestrzeni dwóch okresów planowych.

PUNKT – musimy z punktu zająć stanowisko.

WYSOKOŚĆ – do wysokości wskaźnika wzrostu.

KRZYWA – krzywa zmianowości przebiega bez odchyień.

ROMB – jak będzie podskakiwał, to romb go po premii!

KOŁO – proszę przyjść koło piętnastego...<sup>599</sup>

<sup>598</sup> Tenże, *Raz pewien młody człowiek*, [w:] tegoż, *Uwaga...*, dz. cyt., s. 5–6.

<sup>599</sup> Tenże, *Uccie się geometrii*, [w:] tegoż, *Uwaga...*, dz. cyt., s. 37.

**Przykład 485. Edmund Niziurski – *Szkolny lud, Okulla i ja*.  
Fragment (1982)**

Wiadomo, że nawet podczas lekcji najostrożniejszych gogów, nawet podczas najgorszych klasówek cisza w szkole nie jest zupełna, zawsze słychać jakieś szmery, szelesty i szurania, skrzypienie krzesel, chrząkanie, ocieranie nosów, nerwowy kaszel.

Dlatego nagła i zupełna cisza, jaka zapanowała po moim wystąpieniu, wywabiła z pokoju nauczycielskiego resztę belfrów. Wyszli na korytarz zaniepokojeni i patrzyli dookoła oszołomieni z niemym pytaniem na ustach. Pierwsza otrząsnęła się z szoku Okulla, dając jeszcze raz dowód sprawności swych władz umysłowych.

– Błazeństwa ucznia Żabnego są dziś wyjątkowo nie na miejscu – powiedziała, mierząc mnie surowym spojrzeniem.

W gronie gogicznym dopiero teraz rozległy się podekscytowane szepty. Z pewnością w wyniku tych szeptów Fetyszysta ośmielił się zabrać głos.

– Przepraszam, dlaczego uważa pani oświadczenie Żabnego za błazeństwo?

– Bo go znam, panie kolego. A cóż to może być, jak nie błazeństwo?

Fetyszysta chrząknął.

– To fakt, że uczeń Żabny dał się poznać jako błazen, jednakże pozwolę sobie zwrócić uwagę, że nawet u błaznów zdarzają się czasem odezwania sensowne i propozycje poważne, a pod czapką błazeństwa jakże często kryje się mądrość. Kolega Ciemiężny może przytoczyć przykłady historyczne. Czyż nie tak, kolego Ciemiężny?

Właśnie! – ożywił się nagle historyk, pan Ciemiężny. – Pani dyrektor wspomni Stańczyka, błazna króla Zygmunta.

– Ależ kolego! – Okulla spojrzała z naganą na Ciemiężnego.

– Nie chce nam pan chyba wmówić, że uczeń Żabny jest Stańczykiem?!

– Ja... ja tylko ogólnie na temat błaznów – spłoszył się historyk i wycofał do drugiego rzędu mniej ważnych gogów. – Być może króla Zygmunta stać było na słuchanie błazna, nas nie stać.

– Nas nie stać – podchwycił przytomnie polonista, pan Rubaszko. – My mamy napięte programy.

– Plany i harmonogramy – rzekł zimno Gepard.

– Ależ, drodzy państwo – włączył się matematyk, pan Podlecki. – Pozwolę sobie zauważyć, że dyskusja na temat przydatności błazeństwa jest bezprzedmiotowa, ponieważ bynajmniej nie udowodniliśmy, że w słowach ucznia Żabnego zawarte jest błazeństwo!

– Jak to nie udowodniliśmy? Chyba wszyscy się zgodzili, że uczeń Żabny błaznował – rzekł zaskoczony pan Rubaszko.

– Ja się nie zgodziłem – przypomniał Fetyszysta i mrugnął czarnym okiem do Szufli.

– Ani ja! – pisnęła posłusznie Szufła.

– Ani ja – dodał matematyk. – Zawsze protestowałem i będę protestował przeciw arbitralnym sądom woluntarystycznym oraz przeciw osobom płaszczącym się pod nędznym płaszczkiem humanizmu!

– Co takiego? – pana Rubaszkę zatkało z oburzenia. – Ja?! Ja się płaszczę pod płaszczkiem?

– Pan się płaszczy! Dawno to chciałem panu powiedzieć – sapał matematyk.

– Koledzy, tak nie można! Młodzież słucha! – załamała rękę Okulla.

– Ani czas, ani miejsce na podobne dyskusje. I czy w ogóle warto?!

– Na głoszenie prawdy zawsze jest właściwy czas i miejsce! – rzekł uroczyście matematyk. – A prawda brzmi tak: pan kolega Rubaszko narzuca nam swoje nie udowodnione sądy!

– Przeprowadzanie ścisłego dowodu w sprawach tego typu to przesada matematyczna! – zagrział pan Rubaszko.

– Przesada?! To podstawa!

– Formalistyczna groteska! My, humaniści, kierujemy się po prostu znajomością ucznia, doświadczeniem, wiedzą o człowieku, osobiście cenię także niezawodną intuicję pani dyrektor – Rubaszko przesłał promienny uśmiech Okulli.

– I dlatego popełniacie tyle błędów! – zaśmiał się szyderczo matematyk.

– My? Nigdy, gdy kierujemy się tym, co podpowiada nam głos wewnętrzny.

– Głos wewnętrzny?! Cha, cha, cha!

– Głos wewnętrzny i talent – rzekł z godnością pan Rubaszko.

– Praca nad młodzieżą jest sztuką. Matematyka nie ma tu nic do powiedzenia! Ja wiem, ja to czuję tu! – wskazał na serce gestem poety z pomnika.

– Czucie i wiara silniej mówią do mnie niż pańskie szkiełko i oko!

– Moje szkiełko? Jakie szkiełko?! – zdenerwował się matematyk.

– Pan ma podstawowe luki w wykształceniu humanistycznym! – szydził Rubaszko. – Pan nie umie operować podstawowymi narzędziami pedagogicznymi. Tu zawodzi pańska arytmetyka i algebra, tu nawet zawodzi rachunek całkowity i różniczkowy! Nic się nie sprawdza! Pan nie wykona poprawnie ani jednego działania!

– Ja wypraszam sobie! Ja protestuję w imieniu rozumu!

– Udowodnię panu nicość matematyki i jej praw, gdy w grę wchodzi młodzież!

– Pan mi nie udowodni!

– Przyjmuje pan wyzwanie? Proszę bardzo! Niech pan mi powie: uczeń Żabny plus uczeń Ciesielski plus uczeń Kocemba, co to daje w sumie?

– Trzech uczniów oczywiście! – wypalił Podlecki.

– Trzech uczniów! Pęknięcie ze śmiechu! Otóż to, otóż to! Drogi kolego, każdy prawdziwy pedagog panu powie, że taki typ jak Żabny plus taki typ jak Ciesielski i taki jak Kocemba to daje w sumie krótkie spięcie, awarię pedagogiczną i bezsenność przez trzy dni! Tu się wartość ucznia zmienia w zależności od powiązań niczym w alchemicznej retorce... Na przykład jeden Męcki to jest pół człowieka, prawie zero. Ale dwu Męckich to już dwu do potęgi, a jeszcze jeden to już potęga czwarta i dochodzimy wkrótce do dziesiątych potęg! To jest fenomen energii biologicznej. Pan wie, jak się kumuluje i mnoży energia biologiczna u tych łobuzów?! Zresztą nie tylko u nich. Zdarzają się szlachetne jednostki, które starczą za setki i tysiące. Adam Mickiewicz ocenił siebie skromnie na milion „Nazywam się milion, bo...” i tak dalej.

– To są nędzne sztuczki akrobatyczne. Nie będę dyskutował z kimś, kto operuje pojęciami niewymiernymi, a nawet nieokreślonymi, nadając im dowolną treść, to obraża mnie jako człowieka nauki. Pan jest zaledwie żonglerem słów! Drugorzędnym iluzjonistą!

– Pan za to jest nieszczęsnym linoskoczkiem, próbuje pan chodzić na linii logiki matematycznej, tylko że ona ma pięć metrów i prowadzi donikąd. Na końcu zawsze trzeba zlecieć, panie szanowny, i potłuc się, jak się nie ma skrzydeł humanistycznych, ani nawet skrzydełek jak pan!

– Co? Ja nie mam skrzydełek?

– Pan nie jest nawet pingwinem! Pan jest nielotem kiwi!

– Ja, nielotem kiwi – zbladł matematyk.

Obaj adwersarze podniecali się coraz bardziej niezdrowo. Młodzież chłoneła łapczywie każde ich słowo jak zakazany owoc. Bo też wybitnie smakowity i soczysty to był owoc. Zaiste, młodzież rzadko może uczestniczyć w tak zasadniczych i rozszerzających horyzonty myślowe dyskusjach, prowadzonych na tak wysokim poziomie przez tak wybitne, rozgrzane świętym ogniem indywidualności<sup>600</sup>.

---

<sup>600</sup> E. Niziurski, *Szkolny lud, Okulla i ja*, Oficyna Wydawnicza Akapit, Katowice 1993, s. 183–186. Źródło pierwotne: tenże, *Szkolny lud, Okulla i ja*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1982.

**Przykład 486. Jan Piechota – *Pani nauczycielka* (1982)**

Naska pani nauczycielka była bardzo fajna, bo nie odgrywała żadnego państwa, z każdym pogodała i tak się do naski wsi wezwyczała, że nawet po wsiosku godała. A jak dzieci pytała w szkole, to wołała na nich tak zmyślnie, żebyśta się uśmieły: – Ile jest osiem razy osiem?

Pozirała po całej klasie i pado: – Powie mi Urban...

Wyciągała palec, pokazywała na chodoka i dopiero kończyła: – ...cyk!

– Ile jest siedem razy siedem, powie mi Błoniar ...cyk!

– Osiem razy dziewięć, Włodar ...cyk!

Nawet jak chodok pisał się inaczej i nie kończył się na cyk, to ona i tak wołała go po wsiosku. Bo ludzie na wsi na Nowakowego syna godają Nowa-cyk, a na Motakowego – Motacyk, no to i ona w szkole też tak wołała.

Gawęda pisał się u niej Gawęł-dzik, Gajda – Gaj-dzik, Moskał – Moska-lik, Siąkała – Siąka-lik, Kapinos – Kapino-sik i tak furt. To ino Tomasik ostał się tak, jak się pisał.

No to chodoki, jak wyszły ze szkoły, to się przezywały: – Tyś jest Cyk!

– Tyś jest Dzik!

– A tyś jest Sik!

Pani uczyła chodoków, żeby na dziopy wołały przepisowo, tak jak ona w szkole. Trza mówić Pstrążanka, Pjerożanka, Dylażanka, a nie Pstrągówna, Pierogówna, Dylağówna, bo to nieładnie.

Ale chodoki nie słuchały pani i wołały nieładnie, bo im się to lepiej udało. To znowu dziopy skarżyły do pani i chodoki dostawały lanie.

Pani bardzo bała się sowy. A tu, jak na złość, na lipach, co rosły wele kościoła i szkoły, puchacze i sowy darły się całymi nocami. Jak pani raz wyszła po ćmoku na pole wylać wodę z miednicy, a sowa akuratnie huknęła, tak pani upuściła ze strachu miednicę, stłukła se bardzo palce u nogi i uciekła do szkoły. Bo ludzie u nas godają, że jak kej sowa się drze, to ktosik w tym domu umrze. I pani kazała chodokom te sowy przepędzać i zabijać.

Pani bała się bardzo choroby. To jak kto do niej przyszedł i otworzył drzwi, to ona potem otwierała je łokciem, żeby się nie zarazić. Pucowała klamki i ręce spirytusem, żeby chorobę wygnać.

A jeszcze bardzo bała się myszy. Jak raz w klasie pokazała się mysz, pani narobiła krzyku, wyskoczyła na stół, a chodoki goniły mysz po całej klasie, jaże ją zabiły. I tak zeszła się cała godzina na chytaniu tej myszy. Jak się chodoki skapowały, tak naumyślnie przynosiły do szkoły mysz, i żeby ich pani nie pytała, to puszczały ją na środek i darły się: – Mysza, mysza, mysza!

Pani znowu uciekała na stół, a oni całą godzinę chytały tę mysz, latały za nią i tak im fajnie godzina zeszła. I te chodoki, co najlepiej umiały chytać myszy, dostawały od pani na świadectwie bardzok dobry<sup>601</sup>.

### **Przykład 487. Jan Pietrzak – *Wychowanie przez sztukę* (1982)**

Do uprawiania sztuki artystycznej przekonałem się jako młody chłopiec dzięki akcji „Wychowanie przez sztukę”. Kulturę na przykład przyswoiłem sobie poprzez akcję „Kultura na co dzień”. To dla przykładu, bo tu będę się zajmował raczej sztuką.

Było tak: Jako do junaków budujących Bohaterską Stolicę przysyłano nam różnych prelegentów w ramach akcji właśnie. W hufcu było kilkudziesięciu chłopca, ale mało kto się interesował. Był to w większości element przeważnie na siłę sprowadzony. Na pogadankach i prasówkach wielu spało, a inni strzelali z gumek do kolegów lub wykładowcy. Kiedyś jeden trafił w portret. Afera powstała polityczna, bo wszyscy w pamięci mieli niedawno przerabiany życiorys, w którym szczególnie podkreślano rzut kałamarzem w portret cara jako fakt rewolucyjny. Od tamtej pory nie spotkałem tego kolegi. Ale nie o tym chciałem mówić...

Sztuką, zresztą wyłącznie filmową, interesowałem się już przed przystąpieniem do hufca. „Mściwego jastrzębia” oglądałem pięć razy, „Tarzana wśród mała” z dziesięć, „Jasne łąny” – jeszcze więcej. Nie zawsze udało mi się spuścić wszystkie bilety, bo starsze koniki odganiaли mnie spod wejścia, a milicja nie chciała się wtrącać do naszych sporów. Milicja nie miała wtedy tej elektroniki na wyposażeniu. Szkoda było bilet zmarnować i sam wchodziłem po kronice. Bilet kosztował u mnie sto zł, na starą walutę. Wymiana strasznie mnie uderzyła, bo trzymałem forszę na książeczce. Dostałem 1 za 100, podczas kiedy z wolnej ręki wymieniali po 3 za 100. Od tamtej pory wierzę tylko w Pekao, a nie w PKO. Ale nie o tym chciałem mówić...

O wychowaniu przez sztukę... Pierwszy prelegent mówił dziwne rzeczy. Niewiele rozumiałem, ale dużo notowałem. Zaczął od tego: skoro my budujemy – tak pod włos nas brał – powinniśmy wiedzieć, że „charakter epoki wyraża się najpełniej w budowlach. Duchowe i materialne zasoby epoki znajdują w nich konkretny wyraz i w konsekwencji budowie stanowią nieodwracalne świadectwo wewnętrznego ładu lub wewnętrznego chaosu epoki”. Po latach, jak zacząłem porównywać epokę MDM-u z epoką Żelaznej Bramy... rzeczywiście przyznałem mu rację. Co on tam mówił jeszcze... że brzydkie bywa piękne, a śliczne bywa kiczem. Zaśniedzieliśmy w sztuce, którą myli się z poszanowaniem dla dekoracji.

<sup>601</sup> J. Piechota, *Pani nauczycielka*, [w:] tegoż, *Komedyje iwkowskie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1982, s. 69–70.

Nastąpiła utrata poczucia artystycznego na rzecz domorosłych teorii lansowanych przez dekoratorów, którzy pojęcia nie mają o swojej epoce. Ktoś podniósł rękę: „Ja z zapytaniem o przykład prawdziwej sztuki”. „Katedra Notre-Dame, treny Kochanowskiego, uczyły Yeronesa, Madonna wśród zieleni, obłąkane koguty Chagalla...” Koguty? Tego już było dla nas za dużo. Zerwał się Deminiak, nasz czołowy artysta od gazetek ściennych. „Ja z zapytaniem: czy ta gazetka, która wisi w naszej świetlicy, podoba się panu?” Zaczął bąkać, że to żadna sztuka... „Żadna sztuka? – zdenerwował się Deminiak, bo za piękną szatę graficzną dostał trzy dni urlopu. – Komisji, w której był Komendant i Zastępca d/s polowych, gazetka się podobała. Wszystko jest jak trzeba odrobione: z jednej strony biki-niarz, kułak, stonka i Wuj Sam, a z lewej zwycięskiej strony system trawopolny Trofima Łysenki. U dołu hasło: Wróg nie śpi! Bądź czujny!” Rozróżba się zrobiła. Prelegent szybko wyszedł, więcej go nie widziałem.

Prelegent nr 2 podał tytuł „O potrzebie wysokiej ideowości w sztuce przedstawiającej głębokie zaangażowanie naszych bohaterskich czasów”. Następnie przez dwie godziny czytał nam głośno. Fragmenty notowałem. „Nie dopuścimy, by pod pretekstem sztuki przedkładano brudną bazgraninę, którą może namalować każdy osioł swoim ogonem. Formalizm i abstrakcjonistyczne zawijasy są obce i niezrozumiałe dla ludu. Wszystko zaś, co obce narodowi, tego naród nie popiera i oczywiście nie może być przodujące. Realizm to sztuka konsekwentna, a abstrakcjonizm to nieprzyzwoita partanina, obrażająca uczucia ludzkie”. O muzyce też mówił: „Nie możemy potakiwać tym, którzy kakofonię dźwięków prezentują jako prawdziwą muzykę, gdy natomiast ukochaną przez lud muzykę pogardliwie traktują jako przestarzałą. Nie wolno też uważać za rzecz normalną zamiłowanie do jazzu. Nie jesteśmy przeciwnikami każdej muzyki jazzowej, różne bywają jazy i różna jazzowa muzyka. Dunajewski np. komponował dobrą muzykę i dla jazzu. Przeważnie jednak od jazzu mdli, dostaje się kolek w żołądku. Muzyka, w której nie ma melodii, nie wywoła niczego poza rozdrażnieniem. Uczucia sprzeciwu wywołują tzw. tańce współczesne przyniesione do nas z Zachodu. Dużo jeżdżę po kraju. Widziałem tańce podhalańskie, kujawskie jak kujawiak, rzeszowskie, lubuskie, kaszubskie, mazurskie jak mazurek, polskie jak polka i inne. Są to piękne tańce. Patrząc na nie przyjemnie. To zaś, co nazywają współczesnymi tańcami modnymi, to po prostu jakieś nieprzyzwoitości, szaleństwa, diabeł wie co! Mówią, że takie nieprzyzwoitości zobaczyć można tylko w sektach skakunów. Nie mogę co prawda potwierdzić tego, gdyż nie byłem nigdy na zgromadzeniu skakunów. Odrzucamy kakofonię w tańcu i muzyce. Jesteśmy za muzyką rozgrzewającą i nawołującą do czynu i do pracy”. Skończył czytać, wstał, wyszedł, na żadne pytania nie odpowiadał. Widuję go teraz w TV.



Na tych dwóch prelegentach wychowanie przez sztukę się w hufcu skończyło. Wychowanie przez szefa trwało nadal. „Ja dla was, chłopaki – tak mówił – jak matka rodzona. Jedną ręką pogłaszczę po główce, a drugą dam w dupę. Ot co! Ano, widzicie bo drzewo? Trzy palce w prawo od słupa elektrycznego! Biegiem marsz! Z powroteeeeeem! Biegiem marsz! Z powroteeeeeem!”. I tak pięć razy. „A teraz hufiec – śpiew słyszę!”. Repertuar szefa był szlachetny w treści, marszowy w formie.

Proletariuszu świata,  
Hej, w alarmowy uderz dzwon!  
Kapitał trwa na czatach,  
Na rewolucji czyha zgon.

„Ziemia spadła na ciało”, „My ze spalonych wsi”, „My awangarda pracy armia twarda”, „Miliony rąk”. Jedna piosenka była specjalnie dla nas ułożona:

Hej, hej, junacy, malowane dzieci,  
Niejedna panienka  
Za wami poleci...

Dobry humor szefa objawiał się tym, że pozwalał śpiewać „Wiła wianki i rzucała je do falującej wody”, którego to utworu wyższa komenda nie pochwałała za bezideowość. Raz szef przyszedł na dużej bani i kazał śpiewać „Czerwone maki”. Od tamtej pory nie widziałem go.

Kolejnym moim wychowawcą w tym czasie była organizacja. W momencie przyścia do hufca każdy automatycznie został zapisany, żebyśmy byli jak jedna rodzina, bez podziałów na zorganizowanych i nie zorganizowanych. Na pierwszym zebraniu wyjaśnił nam to w punkcie 1 – zagajenie – przewodniczący, którego mieliśmy w punkcie 2 – wybory – wybrać na przewodniczącego. W punkcie 3 – dyskusja, jeden taki cwany gapa wstał i powiedział, że on nie prosił o przyjęcie, bo czuje, że jeszcze nie dorósł ideowo. Przed końcem zebrania zrozumiał, że dorósł. Wyjaśnił mu to w krótkich słowach zastępca polowych. Wtedy ludzie szybko rośli. Więcej go zresztą nie widziałem.

W organizacji nauczyłem się samokrytyki. Dobry był obyczaj. Zagubił się teraz. Na każdym zebraniu, wg ustalonego z góry grafiku, musiał ktoś złożyć samokrytykę. Każdy się krytkował za to, za co ostatnio podpadł. Że jako dyżurny na kuchni wyrolował kolegów chowając dwie puszki tuszonki, ale to się nie powtórzy, bo z tuszonki przeszliśmy na śledzie. Że owszem, ukradł sort mundurów kolegi w postaci pasa głównego, ale zrozumiał swój błąd. Że na przepustce dał w dziób cywilowi, którego spotkał ze swoją dziewczyną, ale nie sądzi, że tego cywila jeszcze spotka, więc przeprosza organizację za swój czyn. Ja miałem numer na papierosy, których do osiemnastu lat nie wolno było palić. Wyciągałem

z paczki trzy sztuki sportów i kładąc na stół prezydialny, oświadczałem, że to ostatnie papierosy, jakie miałem, i więcej o paleniu nie ma mowy, bo to szkodzi sprawie budowy socjalizmu, ponieważ nałogowiec robi przerwy w pracy na papierosa, zmniejszając wydajność brygady. Po zebraniu przewodniczący zabierał te sporty ze stołu i razem ześmy w kiblu wypalali. Równy był chłopak. Dawno go nie widziałem. Ale nie o tym chciałem mówić...

O czym ja chciałem mówić... Swojego czasu, już po odrobieniu hufca, poszedłem do roboty. Istniał tam zespół świetlicowy pieśni i tańca im. Róży Luksemburg i Karola Liebknechta. W zespole tym uczestniczyła jako solistka taneczna pewna zorganizowana koleżanka. Aktywna w każdym celu. „A kolega czemu nie uczestniczy?” – zagadnęła kiedyś dwuznacznie w stołówce. Wstyd mi się zrobiło, dałem się zapisać. Nastąpił okres wychowania przez kolejną sztukę. W krótkim czasie przyswoiłem sobie świat pojęć muzycznych tamtych czasów, np. *andante vivace* – bojowo, *allegro* – z entuzjazmem, *affettuoso* – z zaangażowaniem, *moderato* – niezłomnie, *unisono* – bezkompromisowo... W „Wesołym wicherze” miałem wstawkę solową. W „Czarnulce” robiłem gwizd syreny i ptaka... Śmiesznie wychodziło. Kiedy na najbliższej akcji miasta ze wsią zabrakło kolegi od żywego słowa – powierzono mi wiersz. Był to wiersz o kułaku Janie Pazole i jego synu Kazimierzu. Pazoła ów...

Oprócz tego, że żył na swoim  
i dobrej ziemi miał kawał,  
jeszcze się lewym trudnił ubojem  
i kupcom mięso sprzedawał.  
Innym on ludziom nigdy nie pomógł,  
był nieużyty i sobek.

Jak już co kiedy pożyczył komu,  
to za potrójny odrobek.  
Zboża odstawiał zawsze za mało,  
dopuszczał się oszukaństwa  
i na podatkach, jak się udało, także nabijał skarb państwa.

Syn zrozumiał pod wpływem traktorzystów, jak się rzeczy mają, i rzekł  
ojcu:

„Nie chcę ja stonką być w kartoflisku,  
nie chcę być w połu kąkolem,  
nie chcę bogactwa czerpać z wyzysku,  
z pracy rąk własnych żyć wolę.  
Wstyd mnie – powiada – wstyd, kiedy widzę,  
że wszyscy inni przy pracy,

już takim życiem żyć ja się brzydzę,  
jak żyją we wsi kułacy”.

Jeszcze jeden o kułaku umiałem. Wtedy kto pióro w rękę trzymał, to na kułaku mógł się odegrać... Teraz tylko Wydz. Finansowy się odgrywa.

Wrócił do domu nasz Piotr Doroba,  
wściekły niby buhaj,  
mruknął „cholera”, warknął „choroba”  
i do swej starej rzekł: „Słuchaj,  
zanim spółdzielnię tu założono,  
gadałem ludziom, tyś plotła  
o wspólnych garnkach i gatkach, żono,  
koszarach i zupie z kotła.

Chociaż łgaliśmy wtedy bezczelnie,  
niejeden dawał nam posłuch,  
lecz odkąd mają tutaj spółdzielnię,  
nie chcą, by robić z nich osłów.

Zawodzą dzisiaj najlepsze środki,  
Robótka idzie nam słabo,  
znają już prawdę, więc na nic plotki –  
Co robić, co robić, babo?”

Radzili nad tym aż do niedzieli,  
zamknięci w izbie i cisi,  
tak się zawzięli, aż zapomnieli przez radio słuchać Bibisi...

Dalej nie bardzo pamiętam, bo w tym momencie na ogół dochodziło do gorszących zajęć na widowni. O – takie wychowanie się odebrało przez sztukę żywego słowa. Wielu miałem wychowawców. Niestety nie było wtedy TV, dlatego teraz nie odchodzę prawie od telewizora, żeby nadrobić lukę w wychowaniu i nie oderwać się za bardzo od narodu, który, jak wiadomo, w 80% wychowany jest od dziecka na telewizji. Gdyby człowiek nie oglądał, toby nie wiedział, co się z tym narodem stało. To był kiedyś normalny naród. Paru przyzwoitych ludzi zawsze było, paru odważnych, paru mądrych... a teraz? Jaka telewizja, taki naród. Przyjemnie popatrzeć... Maszyny takie wielkie robią, jak podjedzie taka kopara, jak tej gliny zagarnie, jak walnie na wywrotkę, albo obok... to jest toto-lotek, jak ta wywrotka z tego błota wystartuje, ruszy, nie ruszy, znowu nie wiadomo, ale utną i nie pokażą, bo co nas to w końcu gównu obchodzi! Na sadzeniaki się przerzucają, jak zaczną sadzić, to sadzą i sadzą. Zalewski do nich dojeżdża, taki blondas z loczkiem, i sadi. Te chłopcy stoją i patrzą, co on się wygłupia. Poważny redaktor z telewizora. A on musi odsądzić swoją tygodniówkę, żeby się za bardzo od

gleby nie oderwać. No i buraki cukrowe. Jak już jesień nadejdzie, wożą i wożą. Miesiącami. Nawalą na furę, przewiozą, wyładują, załadują, nawrócą, wywrócić... Dwie furmanki wynajęli na Woronicza. Słusznie. Po cholere mają codziennie w pole wyjeżdżać, sprzęt rozstawiać, benzynę marnować! A tak, kamerę z okna wystawiają, tam trawnik duży przed telewizją i na tym trawniku te buraki w te i z powrotem, w te i z powrotem, tak że duże oszczędności uzyskali. Suróweczka z wielkiego pieca wali... Nie ma dnia bez spustu. Iskry lecą! Co wieczór świeża suróweczka. Między tymi, co robią na polach i w fabrykach, tacy wywiadowcy się krzątają. Zawsze w kasku jeden z drugim, żeby w łeb nie dostał. Podchodzi z mikrofonem i pytanie podchwytliwe zadaje: No to co, poprawiło się? Skurczybyk, zgrywus. A ten wyznaczony do odpowiedzi patrzy po kumplach, który go w te maliny wpuścił. Taki wstyd przed rodziną. Umażą go na czarno, bo robotnik musi być umorusany, żeby się odróżniał od tego inteligenta z telewizora. Jak on się żonie i dzieciom na oczy pokaże! A nie daj Boże za bramę wyjdzie – po mordzie może dostać. I łapie powietrze, i mówi: No, żeśmy, oczywiście, o 15% przekroczyli zadania, zobowiązania zrealizowali trzy i pół dnia, trzy miesiące przed terminem zobowiązania zrealizowali zadania, 134%! – Co sobie będzie żałował! Kto to sprawdzi? I ucieli... I znowu pokazują maszyny, dźwigi takie, bloki stawiają, przechowalnie dla ludzi. Wejdzie człowiek, ułoży się na PCV, odeśpi i do roboty. I warchlaki kwiczą, aż chrzęst idzie. Pełny ekran. Żeby to jednego dziennie prznieśli do rzeźnika... Nie, wszystko w tym pudle trzymają! I te automaty licencyjne zasuwają. Buteleczki jadą, taki wichajster się kręci... i pierdut! Śmietana z drobiu i jaja z sera, i pasztetowa z papieru toaletowego, i parówki z makulatury, którą zbierają harcerze... Babeczka najładniejsza wyznaczona w kamerę patrzy, a tu tymi wajchami przebiera jak wiatrak. Opakowanka takie estetyczne, eleganckie, plastyczne, pojemniczki takie stoją spryciarskie... i leci to wszystko na eksport, i na odrzut, i pod ładę, i w szmaty. Godzinami można oglądać. Zwłaszcza że nie ma innego wyjścia. Bo są takie kraje na świecie, gdzie w telewizji w ogóle nie pokazuje się, co ludzie robią na polach i w fabrykach. Ani minuty w roku. To jest tam inaczej rozwiązane. Jak człowiek chce sprawdzić, co produkuje dana fabryka żyletek, szklanek, musztardy czy bawełny, to idzie do sklepu, wybiera i sprawdza. Ponieważ u nas ten eksperyment się nie przyjął, trzeba pokazywać, żebyśmy wiedzieli, czym się te dwadzieścia milionów ludzi w gospodarce zajmuje. I to jest rozwiązanie oryginalne.

Tak że wychowanie przez telewizor zastępuje mi wszystkich możliwych wychowawców, których miałem i mieć nie będę. To jest wychowanie kompletne. Bo czyż może być wychowawca bardziej inteligentny niż redaktor Mikołajczyk? Albo red. Broniarek? Jaka szkoda, że go do Sztokholmu wysłali. Kto nas roz-

śmieszny tak jak on? Prof. Jankowski – wybitny moralista? Redaktor Kałużyński – najbardziej ruchliwy intelekt? Przy takich wychowawcach naprawdę trudno nie być satyrykiem<sup>602</sup>.

**Przykład 488. Anatol Ulman – *Przepis szefa na pracę naukową.*  
*Zapis magnetyczny z narady (1982)***

Koledzy. I koleżanki. Powiem krótko. I jasno. Nie będzie to żadne sikanie po ścianie. Totalnie sprawa przedstawia się tak. Musimy uprawiać naukę. Wszyscy obecnie uprawiają naukę. My się bawimy. W takie papierkowe sprawy. Pozycja naszej instytucji wymaga wyjścia na zewnątrz. I nikt nas z tego nie zwolni. Będziemy robić naukę. I publikować. Nasze badania.

Będziemy robić naukę. Od dziś. Od zaraz. Od jutra. Widzę to tak. Tak widzę. Ścieśniamy naszą pracę administracyjną. Tworzymy dwa dni w tygodniu na robienie nauki. Od rana. Od ósmej do trzeciej. Mianowicie otrzymaliście. Dotrzymałem słowa. Dostaliście pojedyncze pokoje na dwie osoby. Żeby nikt nie przeszkadzał. Zrobimy harmonogram. Podam przykład. Na przykład kolega Ksawery wybiera na pracę naukową wtorek i piątek. To kolega Miodek wybiera poniedziałek i czwartek. Albo wybiera środę i sobotę. Albo poniedziałek i środę. Lub poniedziałek oraz sobotę. Możliwe jest także wybranie czwartku i soboty. Oczywiście możliwe jest, że kolega Ksawery wybiera wtorek i czwartek. Wtedy kolega Miodek ma do dyspozycji poniedziałek, środę oraz sobotę. W tym wypadku także piątek. Wobec tego wybiera na przykład czwartek i piątek. Ma szereg możliwości. Dyrekcja pomoże. Jeśli koledzy Miodek i czwartek. To znaczy kolega Ksawery i piątek. Zupełna paranoja. Oczywiście kolega Miodek i Ksawery wybierają ten sam dzień. To jest niedopuszczalne.

Przetrawcie ten przykład. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Dwa dni w tygodniu uprawiamy naukę. I z tego nikt nas nie zwolni. Natychmiast. I to mogę obiecać. My zwolnimy z instytucji. Od teraz jesteście koledzy w instytucji tymczasowo. Dopóki nie wykażecie się robotą naukową. Jak powiedziałem. Zrobimy harmonogram. W dni naukowe siedzimy w pokojach pojedynczo. Drugi kolega będzie w tym czasie pracował administracyjnie. Gdzie, to się zobaczy. Na przykład kolega Ksawery w środę pracuje naukowo. Kolega Miodek pracuje wtedy administracyjnie. Może też być odwrotnie. Albo zupełnie inaczej. Na przykład kolega Miodek pracuje w czwartek naukowo. Wtedy kolega Ksawery administracyjnie. I odwrotnie.

Zrozumcie, koledzy. Co znaczy pracować naukowo. To nie jest patrzeć kon-

<sup>602</sup> J. Pietrzak, *Wychowanie przez sztukę*, [w:] tegoż, *Występ*, Czytelnik, Warszawa 1982, s. 26–37.

cepcyjnie w sufit. Tylko mieć na biurku rozłożone fiszki. I pisać. Bo prace naukowe się pisze. Żadnego czytania w dni pracy naukowej. W dni pracy naukowej jest robienie nauki. Pisanie pracy naukowej. Żadnych pogaduszek. Żadnych odwiedzin w pokojach. Przyjdzie taki. Zrobi przeciąg. Przeciąg wywieje fiszki. Potem zbieranie fiszek. To nie jest praca naukowa. W dni pracy naukowej ustaje picie kawy. Bieganie z garnkiem po wodę. W dni pracy naukowej pisze się prace naukowe.

Taka koncepcja robienia nauki miałaby totalne braki. Gdyby. Ja nie chcę was martwić. Ale. Nałożono na mnie ten obowiązek. Raz na kwartał. Albo co sześć tygodni. Lepiej raz na miesiąc. Więc co pięć tygodni. Umowa stoi. Zrobimy harmonogram. I co trzy tygodnie. Każde z was zgłosi się. Osobiście do mnie. I zreferuje, co zrobiło przez te sześć tygodni. Przyniesie materiały. Najlepiej w formie wydanej publikacji. I fiszki. Mówiłem, już o fiszkach. Więc wiecie. Będziemy rozliczać.

Czy ktoś ma pytania w tej sprawie?! Mówiłem dostatecznie jasno. I zrozumiałe. Mówiłem też o fiszkach. Fiszki należy rozkładać na biurku. Oczywiście w dniu naukowym. Żeby było widać. Jak wejść. Można wtedy nie wstawać z krzesła. Chyba, że ktoś inaczej nie potrafi. I musi wstać. Jak szef wchodzi. To niech wstanie. Ale na krótko. Potem może usiąść. Fiszki rozkłada się na biurku. W rzędach pionowych i poziomych. Są różne kombinacje.

Uprzedzam też totalnie pytania. Mówiłem już o tym.

Czytanie publikacji naukowych nie jest pracą naukową. Ukazuje się za dużo publikacji naukowych w każdej dziedzinie. Nie sposób ich przeczytać. Nie starczyłoby pięćdziesięciu lat na czytanie. W swojej dyscyplinie. Należy naukę robić. Pisać prace naukowe. Czytanie jest stratą czasu. I jest niedopuszczalne w godzinach pracy. Jeśli już chcielibyście czytać. Czytajcie sobie w domu. Nie mogę wam zabronić. W domu możecie robić różne rzeczy. Ale totalna prawda jest tylko jedna. Prace naukowe się pisze. Wyrażam się dosyć jasno!<sup>603</sup>

**Przykład 489. Anna Bikont, Piotr Bikont, Wojciech Cesarski (oprac.) –  
*Małe vademecum Peerelu z wycinków  
gazet podziemnych. Fragmenty (1982–1987)***

W ramach szkolenia politycznego przyprowadza się grupy ZOMO, ROMO i wojska do Muzeum Martyrologii na Majdanku. Jednej z oprowadzanych grup przewodnik opowiada o obozach koncentracyjnych, wspomina o Oświęcimiu. W pewnym momencie pyta: „Czy panowie wiedzą, kto był komendantem obozu w Oświęcimiu?”. Cisza. Nikt nie odpowiada. Milczenie staje się kłopotliwe.

<sup>603</sup> A. Ulman, *Przepis szefa na pracę naukową*, [w:] tegoż, *Szefi takie różne sprawy*, Iskry, Warszawa 1982, s. 36–38.

Wreszcie jeden odważył się: „No, ten, jak mu tam... Honecker!”. „Informator Lublin” nr 45/1982<sup>604</sup>.

Pełny tekst „Międzynarodówki” przepisany przez uczniów z przyniesionej przez nauczycielkę „Gazety Krakowskiej” został uznany za wywrotowy kolejno przez: ojca jednego z dzieci (współpracownika SB), dyrekcję szkoły oraz oficera SB, który wezwał nauczycielkę na przesłuchanie. „Tygodnik Mazowsze” nr 70/1983<sup>605</sup>.

W Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni w związku z nagrodą Nobla dla Wałęsy studenci urządzili wystawę pt. „Polscy laureaci Nobla”, którą po 11 godzinach zlikwidowała SB, konfiskując m.in. portrety Marii Curie-Skłodowskiej, Sienkiewicza i Reymonta. „Solidarność Gdańsk”, nr 38/1983<sup>606</sup>.

Na lekcji wychowania obywatelskiego w jednej z gdańskich szkół podstawowych omawiano temat „Społeczeństwo”. Dzieci zachęcane do swobodnych wypowiedzi zgłaszały się raz po raz. „Społeczeństwem rządzi Jaruzelski” – stwierdził jeden z uczniów. „Bardzo dobrze” – ocenił nauczyciel. „A Jaruzelskim rządzi Związek Radziecki” – uściślił drugi i wyleciał za drzwi. „Solidarność Gdańsk” nr 16/1984<sup>607</sup>.

W szkole na Ursynowie „Sanepid” stwierdził wydzielanie się trujących substancji z podłóg i nakazał zamknąć szkołę. Dyrektorkę „Sanepidu” wezwano do KW PZPR i nakazano podwyższenie norm, tak aby wydzielanie trucizny mieściło się w dopuszczalnych granicach. Szkoła nadal jest czynna. „Tygodnik Mazowsze” nr 73/1984<sup>608</sup>.

25 IX 85 – W IX LO we Wrzeszczu odbywało się zebranie rodziców uczniów kl. I. Przewidziane były również wybory tzw. trójki klasowej. Obecny na spotkaniu Lech Wałęsa – jako że do tej klasy uczęszcza jego syn – zaproponował wybranie do niej dwóch panów siedzących za nim, którzy z racji swojej pracy mają dużo wolnego czasu i pewnie dlatego ciągle mu towarzyszą. Niestety panowie odmówili, bowiem – jak przyznał to jeden z nich – „są tu służbowo i nie dziećmi, ale zgoła kimś innym mają się opiekować”<sup>609</sup>.

---

<sup>604</sup> A. Bikont, P. Bikont, W. Cesarski (oprac.), *Małe vademecum Peerele z wycinków gazet podziemnych w formie kalendarza robotniczego na rok 1990 przez Panów – Abackiego Bbackiego Cabackiego ku uciesze i nauce czytelnika pracowicie zestawione*, Agora, Warszawa 1990, s. 60.

<sup>605</sup> Tamże, s. 201.

<sup>606</sup> Tamże, s. 174.

<sup>607</sup> Tamże, s. 126.

<sup>608</sup> Tamże, b.s. (część źródła bez numeracji stron).

<sup>609</sup> Tamże, b.s. (część źródła bez numeracji stron).

I sekretarz KU PZPR Wyższej Szkoły Pedagogiczno-Rolniczej w Siedlcach oświadczył, że „komitet nie bierze odpowiedzialności za propagowanie idei komunizmu na uczelni”<sup>610</sup>.

Kurator wrocławski, Marzec, na odprawie dyrektorów szkół średnich przed 1 Maja: „Nauczyciele muszą sobie wytupać awanse w pochodzie 1-majowym”. „Z dnia na dzień”, nr 18/1985<sup>611</sup>.

Jedno z pytań ankiety przygotowanej na weryfikację nauczycieli brzmi: „Która z legalnie działających w PRL organizacji najlepiej realizuje idee porozumienia narodowego?”. Odpowiedź: Chyba PCK, bo to i Polski, i Czerwony, i Krzyż. „Nowy Ton” nr 3/1986<sup>612</sup>.

Nauczycieli historii w Warszawie poinformowano, że od nowego roku szkolnego wycofany zostaje podręcznik dla klasy VIII uzgodniony w 1981 r. przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania i „Solidarność”. Uczniowie mają zwrócić książki, nowych się nie przewiduje. Nauczycielom wyjaśniono, że skoro dawniej potrafili uczyć bez podręcznika, to i teraz dadzą sobie radę. „Tygodnik Mazowsze” nr 172/1986<sup>613</sup>.

Wobec ostrego deficytu miejsc w przedszkolach władze oświatowej w Pile ogłosiły, że rodzice kwestionujący odmowę przyjęcia swej pociechy „muszą wskazać palcem rodzinę dziecka, które ich zdaniem nie powinno się znaleźć wśród przedszkolaków” – informuje organ PZPR „Tygodnik Piłski” nr 20. „NAI” nr 80/1986<sup>614</sup>.

Tegorocznych maturzystów w VI LO we Wrocławiu spędzono na spotkanie z wojskowym, który miał agitować chłopców, by wstąpili do szkoły oficerskiej. Na wstępie prelegent nieopatrznie powiedział, że kogo to nie interesuje, może wyjść. Wyszli wszyscy. „Wyrostek” nr 62/1986<sup>615</sup>.

Po opłatkach nauczycielskim w kościele św. Wojciecha w Częstochowie w grudniu 1986 r. jedną z uczestniczek odwiedził esbek, żądając pełnej listy obecnych. „Trzeba zapobiec tragedii – oznajmił – gdyż na spotkaniu rozdawano zatrutą czekoladę”. „Impuls” nr 6/1987<sup>616</sup>.

---

<sup>610</sup> Tamże, s. 51.

<sup>611</sup> Tamże, s. 176.

<sup>612</sup> Tamże, s. 202.

<sup>613</sup> Tamże, s. 125.

<sup>614</sup> Tamże, s. 62.

<sup>615</sup> Tamże, s. 127.

<sup>616</sup> Tamże, s. 198.



W jednej ze szkół lubelskich odbywał się „I Etap Olimpiady Wiedzy o Partii”. Na pytanie „Którą rocznicę powstania będzie obchodziła PZPR w 1987 r.?” wiele odpowiedzi brzmiało: „ostatnią”. „S. Naucz. Lublin” nr 58/1987<sup>617</sup>.

**Przykład 490. Anonim – *Obrony prac doktorskich*.  
Fragment kącika satyrycznego  
z wydawnictwa podziemnego nauczycieli  
„Tu teraz. Pismo oświaty niezależnej” (1983)**

Rada Naukowa Wydziału Psychiatrii Politycznej Akademii Nauk Politycznych Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie (PRL) zaprasza na publiczne obrony prac doktorskich. Obrony odbędą się I KWIEŃNIA 1983 r. w Sali im. Berii. Nazwisk doktorantów nie podajemy, gdyż skład ekipy promowanych ustali trener – członek PRON Antoni Piechniczek w ostatniej chwili (ze względów taktycznych).

g. 10.00 – WPŁYW WCZESNEGO LECZENIA W SZPITALU RADZIECKIM NA TRWAŁOŚĆ BETONU W ŚWIADOMOŚCI AGENTA. CASUS: ALBIN SIWAK. Promotor: Stefan Olszowski (czlen korespondent). Rec. Zofia Grzyb (prosta robotnica).

g. 10.05 – NARASTANIE STANÓW LĘKOWYCH U RONALDA REAGANA POD WPŁYWEM OŚWIADCZEŃ JERZEGO URBANA 1981-1983. Promotor: Wiesław Górnicki (starszy majster). Rec. Zbigniew Broniarek (wykładowca w Academy Muppet-Show).

g. 10.10 – UZWIERZĘCENIE JAKO EFEKT POWTARZALNEGO TRENINGU W REPREZENTACYJNEJ PRÓBIE Z POPULACJI QUASIMODO ZOMO. Promotor: /– Dekr. o st. woj. z 13.12.1981 r. / Rec. Minister Kiszczak (mgr obojga kaligrafii).

g. 10.15 – NIEPRZEMIJAJĄCE WARTOŚCI NOWELI PT. „OBRAZEK Z LAT GŁODOWYCH”. Promotor: Min. Krasiński (profesor nawisowy). Rec. Minister Baka (Wielki Reformator).

g. 10.20 – O MOŻLIWOŚCI ZASTOSOWANIA ODWRÓCONEJ FORMUŁY: „PANU BOGU OGAREK – DIABŁU ŚWIECZKĘ”. Promotor: Jan Dobraczyński (dawniej Bolesław Piasecki). Rec. Redakcja „Argumentów”.

g. 10.25 – DEMENTIA JAKO ŹRÓDŁO PRYNCYPIALNOŚCI. ZE STUDIÓW NAD MIMIKĄ I FRAZEOLOGIĄ KAZIMIERZA BARCIKOWSKIEGO NA KONFERENCJI PARTYJNYCH LITERATÓW. Promotor: Janusz Kłosiński (starszy specjalista). Rec. Janusz Przymanowski (psycholog pancerny).

g. 10.30 – JEDNO-JEDNOZNACZNOŚĆ POJĘĆ: „KONTRREWOLUCJA” I „SŁUSZNY PROTEST” ORAZ ICH ZASTOSOWANIE NA KOLEJNYCH ZJAZ-

---

<sup>617</sup> Tamże, s. 127.

DACH I PLENACH PZPR. Promotor: Stanisław Kania (emerytowany kierownik). Rec. Irena Falska (doktor dishonoris causa) i Mieczysław Rakowski (partner spolegliwy).

g. 10.35 – PRON JAKO FENOMEN SEKSUOLOGICZNY W ASPEKcie OPISOWYM I CZYNNOSCIOWYM. Promotor: Bogdan Suchodolski (in saecula saeculorum), Rec. Mikołaj Kozakiewicz (sex-pozycjonista).

Po zakończeniu obron – odbędzie się przyjęcie na Salonach. Promotor: gen. Oliwa (specjalista). Rec. Tadeusz Hołuj (ekspert degustacyjny). Rodziny promowanych proszą o nieskładanie kondolencji<sup>618</sup>.

Komentarz Wojciecha Polaka: *Tekst ten, najeżony trudnymi dzisiaj do zrozumienia aluzjami, wymaga szerszego komentarza. Takiej uczelni jak Akademia Nauk Politycznych Komitetu Centralnego PZPR nie było. Istniała natomiast w tym czasie Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC PZPR, specjalizująca się m.in. w „problemach marksizmu-leninizmu”. Antoni Piechniczek to ówczesny trener piłkarskiej reprezentacji Polski. Pod jego kierunkiem zajęła ona w 1982 r. trzecie miejsce na Mistrzostwach Świata w Hiszpanii. Piechniczek był istotnie członkiem PRON, trzeba jednak dodać, że ze względu na owe sukcesy sportowe Polacy nie oceniali go zbyt surowo. Stefan Olszowski i Albin Siwak mieli opinię wybitnie konserwatywnych członków Biura Politycznego, a o konserwatystach partyjnych mówiono po prostu „beton”. Stąd aluzyjny tytuł pierwszej „pracy doktorskiej”. Zofia Grzyb była prąsowniczką z Łodzi i członkinią Biura Politycznego PZPR. Także ją (podobnie jak Albina Siwaka) władze lansowały jako autentyczną przedstawicielkę klasy robotniczej, co było żartobliwie komentowane przez społeczeństwo. Wiesław Górnicki (1931–1996) to dziennikarz, bliski współpracownik Wojciecha Jaruzelskiego (autor jego wielu przemówień), od dnia wprowadzenia stanu wojennego paradujący w mundurze kapitana i występujący na konferencjach prasowych razem z Jerzym Urbanem. Zygmunt Broniarek (ur. 1925) to także związany z reżimem dziennikarz. Minister Zdzisław Krasiński (ur. 1930) w latach 1981–1982 był przewodniczącym Państwowej Komisji Cen (jako minister-członek Rady Ministrów), następnie do listopada 1985 r. ministrem ds. cen. Zasłynął jako autor nieudanych reform cenowych, które – według jego słów – miały zagwarantować „chrupiące bułeczki” w sklepach spożywczych. Określenie „profesor nawisowy” wiąże się z jego koncepcjami likwidowania tzw. nawisu inflacyjnego. Minister, pre-*

<sup>618</sup> Anonim, *Obrony prac doktorskich*, [w:] W. Polak, *Śmiech na trudne czasy. Humor i satyra niezależna w stanie wojennym, w latach wojennych i w latach następnych (13 XII 1981 – 31 XII 1989)*, Oficyna Wydawnicza Finna, Gdańsk 2007, s. 79–80. Źródło pierwotne: „Tu teraz. Pismo oświaty niezależnej”, nr 15/1983, 1 kwietnia.

zes Narodowego Banku Polskiego i w końcu sekretarz KC PZPR Władysław Baka był w latach 1980–1990 bezpośrednio zaangażowany w przygotowanie i realizację reformy gospodarczej, która nie przyniosła spodziewanych efektów. Jan Dobraczyński, poza firmowaniem PRON-u, działał także (jak pamiętamy) w Stowarzyszeniu „PAX”, którego założycielem był wymieniony obok Bolesław Piasecki (1915–1979). „Argumenty” to popierany przez władze ateistyczny tygodnik, organ Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej (TKKS). Kazimierz Barcikowski (ur. 1927) to ówczesny dygnitarz partyjny, członek Biura Politycznego i zaufany współpracownik generała Jaruzelskiego. O aktorze Januszu Kłosińskim, który publicznie poparł wprowadzenie stanu wojennego, już pisałem, podobnie jak o pisarzu Januszu Przymanowskim. Stanisław Kania (ur. 1927) wieloletni wysoki dygnitarz PZPR, od 6 września 1980 do 18 października 1981 r. był I sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR. Irena Falska była znaną wówczas dziennikarką telewizyjną, wygłaszającą antysolidarnościowe komentarze w „Dzienniku Telewizyjnym”. Bogdan Suchodolski (1903–1992) to filozof, historyk nauki i kultury oraz pedagog. Od 20 grudnia 1982 r. był przewodniczącym Narodowej Rady Kultury, a w latach 1985–1989 posłem na sejm PRL. Władze starały się go lansować (bezsukcesyjnie) jako autorytet moralny. Socjolog i seksuolog Mikołaj Kozakiewicz (1923–1998) był działaczem sojuszniczego wobec PZPR Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego oraz PRON. Tadeusz Hołuj (1916–1985) to powiązany z reżimem pisarz. Generał dywizji Włodzimierz Oliwa to dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego i zaufany człowiek gen. Jaruzelskiego. W tekstach satyrycznych także jego nazwisko kojarzono z alkoholem, podobnie jak dwóch innych ówczesnych generałów: Józefa Baryłę i Józefa Żyto. Dekret o stanie wojennym, zapisany w nawiasie, nawiązuje do zwyczaju odnotowywania ingerencji cenzury w tekście (zgodnie z ustawą o cenzurze z 1981 r.), co praktykowały głównie pisma katolickie<sup>619</sup>.

**Przykład 491. Krzysztof Jaroszyński, Jerzy Skoczylas –  
Dyskusja oszczędnościowa.  
Fragmety skeczu Leszka Niedzielskiego,  
Jerzego Skoczylasa i Stanisława Szelca (1983?)**

– My, Polacy, jesteście rozrzutni jak mało kto. Sięgnijmy do historii. Mówi się, że podobno wygraliśmy bitwę pod Grunwaldem.

- Jak podobno?! Na pewno!
- Pamiętam! 1328! Kościuszko!
- Chyba Łokietek!

---

<sup>619</sup> W. Połak, dz. cyt., s. 80–81.

– Jak ja się z tego doktoryzowałem, to chyba wiem kto. Kościuszko.  
 – Chwileczkę, a czy to nie był przypadkiem Kopernik?  
 – Kopernik to hokeista.  
 – Panowie, basta, wygraliśmy tę bitwę militarnie, ale ekonomicznie do tyłu. Wtedy, pamiętam dobrze, Niemcy przysłali nam dwa nagie miecze i nasz król, bodajże Leszczyński...

– Marian.  
 – ...od razu się zgodził, przyjął, a trzeba było poczekać, może by dwadzieścia przysłali, a może i *hundertzweiund-zwanzig*.

– Osobiście myślę, że duże oszczędności można by poczynić w kulturze. Po co tyle tych pomników stawiają?

– Jak to po co? Żeby było co odsłaniać.  
 – A przecież wystarczyłby jeden, centralny pomnik, wielofunkcyjny.  
 – Jak pan to sobie wyobraża?  
 – Normalnie. Jest kolumna...  
 – Jaka kolumna?  
 – Zygmunta. Na kolumnie Kościuszko trzyma Zygmunta.  
 – Za co?  
 – Za Wazę! Nad Wazą jest globus, nad nim wierzba płacząca.  
 – Po co wierzba, witka wystarczy.  
 – Jaka witka?  
 – Witkacego.  
 – On jest w czapce.  
 – Kto?  
 – Witkacy.  
 – Myślałem, że ten z bródką.  
 – Ten z bródką miał czapkę w ręku... i nie swoją.  
 – Witkacy jest w czapce, lewą ręką gniecie Krzyżaka i pod spodem napis: „Adamowi Mickiewiczowi – Straszny Dwór”.

– Świetny pomysł, bo na taki pomnik to i gołąb nie narobi, i delegacja z wieńcem nie podejdzie...

– Ja myślę, że największe oszczędności można poczynić w szkolnictwie. Można połączyć różne przedmioty w jeden wspólny przedmiot, na przykład historię, matematykę i angielski.

– Jako WF.  
 – I można uczniowi dać takie zadanie: odpowiedzieć po angielsku, w którym roku była bitwa pod Płowcami, i wyciągnąć z tego pierwiastek...  
 – I to pierwiastek chemiczny.

- To i chemia z głowy, a przy wyciąganiu tego pierwiastka to się gówniarzom prace ręczne pozalicza.
- W szkołach nie ma wychowania seksualnego.
- Nie ma i potem taki młody wejdzie do agencji towarzyskiej i „dzień dobry” nie powie, bo niewychowany.
- Albo zgodzi przy drodze tirówkę, tam gdzie linia ciąga.
- Bardzo proszę, by w kontekście tirówek nie używać słowa „ciąga”.
- Ale największe oszczędności można poczynić w administracji. Po co nam tyle tych województw?
- Jasne! Niech będzie jak w totolotku, sześć, ale trafnych<sup>620</sup>.

### **Przykład 492. Janusz Osęka – *Akcja „PP”* (1983)**

Ulica z pozoru wyglądała tak samo jak zwykle: ci sami nerwowi, rozpychający się przechodnie, te same zatłoczone autobusy, tłumy ludzi na przystankach, normalne kolejki przed sklepami zaopatrzonymi w wywieszkę „Przyjęcie towaru do godziny...”, codzienny zgiełk, zwykły hałas samochodowych silników, dobrze znany śwąd spalin. Było jednak w atmosferze tego powszedniego dnia coś nieuchwytnego – jakaś ledwie wyczuwalna aura odmienności spowiła miasto w koronkową pajęczynę świetlistych promieni. Przykrym zgrzytem w tym harmonijnym koncercie wydała mi się postać mego znajomego, złamanego nie szczęściem, które odbijało się w jego pochmurnym obliczu.

– Co ci się stało? – spytałem po przywitaniu, nie ukrywając mego współczucia.

– Tragedia! – powiedział głosem grobowym. – Wielka, osobista klęska! Dostałem pismo z rady narodowej, nakazujące mi zerwanie z moją dziewczyną, którą po prostu kocham nad życie!

– Pismo nakazujące zerwanie? – zdziwiłem się. – Skąd ta brutalna ingerencja w osobiste sprawy ze strony czynników urzędowych?

– Nie słyszałeś o Akcji „PP”? – zapytał przyjaciel.

– Nie – odparłem.

– W trosce o dalszy wzrost powszechnej kultury i oświaty wszczęta została przez odnośne czynniki Akcja Poprawnej Polszczyzny – wyjaśnił. – Otóż moja narzeczona trzykrotnie przyłapana została przez patrole aktywistów na mówieniu: „W gazecie pisze...” co poprawnie powinno brzmieć: „W gazecie jest napisane...”. Po surowym upomnieniu i mandacie skazana została wreszcie na izolację towarzyską, celem uniemożliwienia dalszego rozprzestrzeniania się jej niepoprawności językowych!

<sup>620</sup> K. Jaroszyński, J. Skoczyła, *Dyskusja oszczędnościowa*, [w:] J. Skoczyła, *Elita i Studio 202...*, dz. cyt., s. 249–250.

– Ależ to jest drakońska decyzja! – stwierdziłem oburzony.

Mój przyjaciel nic nie mówił, wybuchnął tylko niepowstrzymanym łkaniem. Wielkim widać uczuciem darzył rozsadniczkę niechlujnej polszczyzny. Skupiłem cały mój wysiłek na tym, by go pocieszyć.

– Musisz znieść cios po męsku – przekonywałem go. – Powinieneś wziąć się w garść!

Zaledwie wypowiedziałem przytoczone wyżej zdanie, wyrósł koło mnie jak spod ziemi osobnik o urzędowym obliczu.

– Nie mówi się „wziąć” tylko „wziąć” – powiedział, chłodno taksując mnie oficjalnym spojrzeniem. – Za używanie niepoprawnej polszczyzny w miejscach publicznych płaci pan mandat w wysokości tysiąca złotych.

– Tysiąca złotych? – oponowałem. – To bardzo dużo! Nie doszliśmy przecież do takiej zamożności...

– Jeśli chodzi o mandaty, jesteśmy już na tym poziomie – objaśnił, inkasując pieniądze. Zatem na własnej skórze przekonałem się już o skuteczności, z jaką funkcjonowała Akcja Poprawnej Polszczyzny.

Wkrótce w kawiarni spożywałem tort marcepanowy w towarzystwie osoby, którą obdarzałem gorącym, uczuciem. Słodycz jej obecności wraz ze smakiem tortu miały osłodzić mi gorycz porażki, jakiej doznałem ze strony patrolu aktywistów. Jednakże rozproszony klęską finansową nastrój nie pozwolił mi skupić się na właściwym formułowaniu stanu mej duszy i dlatego uciekłem się do gotowego cytatu ze znanej mi piosenki: – „Zapomniałem twoje oczy, zapomniałem twoje usta” – co miało uzewnętrznic moją tęsknotę, dogłębnie odczuwaną na widok drogiej mi osoby. Jednakże jeszcze owo tkliwe zdanie nie zdołało przebrzmieć w powietrzu dźwiękiem srebrnych dzwonek, gdy do rzeczywistości przywołał mnie surowy głos nachylonego nad naszym stolikiem mężczyzny.

– Nie mówi się „zapomniałem twoje oczy” – wołał – tylko „zapomniałem twoich oczu”! To samo tyczy ust! Płaci pan trzy tysiące! Ostatnie, surowe ostrzeżenie i nastąpi izolacja!

Tak więc czekał mnie los nieszczęsnej narzeczonej mego przyjaciela. Nie miałem przy sobie trzech tysięcy. Kiedy funkcjonariusz wypisywał mandat kredytowy, mnie dręczyły czarne myśli. Radość ze spotkania z ukochaną osobą kompletnie wywietrzała mi z głowy.

Pogrążony w ponurych rozważaniach, wlokąc za sobą nogi, zmierzałem w kierunku domu. Przy kiosku z piwem zwróciła moją uwagę jakaś szamotana. Kilka osób siłą odciągało stamtąd w kierunku samochodu podnieconego młodzieńca.

– Ja tą panią... – wykrzykiwał, ohydnie rzucając brukowymi słowami.

– Nie mówi się „tą panią”, tylko „tę panią” – brzmiały pełne powagi głosy. Dalej natknąłem się na inną scenę. Na rogu ulicy kaadzieniec podobnie podniecony, jak jego poprzednik, potężnej budowy, o nie ogolonej twarzy i zaciętych w gniewie ustach, milcząc, kopał obcasami i szpicami butów ciało leżącego na chodniku mężczyzny. Wokół zgromadzili się ludzie – w tłumie widać było nawet kilku aktywistów PP, jednak nikt nie reagował, bo wywoływane wysiłkiem stękania kopiającego i stłumione jęki kopanego trudno było uznać przecież za zwalczane w ramach Akcji błędy językowe<sup>621</sup>.

**Przykład 493. Marcin Wolski – *Kurepetycje*. Fragment programów kabaretu Związku Autorów i Kompozytorów „Warsztat” oraz kabarecika dla dzieci „Małpet szal”, w wykonaniu m.in. Jana Kryszaka (1983)**

Buldog: Pozwólcie, tu Kaszak. Albo nawet nie pozwalajcie. Są z wami duże kłopoty.

Kursant Kryszak: Ze mną, jakie? Makulaturę przyniosłem, kostium na wu-efie zawsze mam, w czynie społecznym zagrabiłem ogródek pana rektora...

B: Już my wiemy, coście zagrabili. Wycieliliście mi kosiarką na trawniku świńskiego wyraża. Aluzju, że niby mam tasiemca, solitera.

K: Co takiego?

B: A ten napis „soliterność” to pies? A propos psa, nie będę ukrywać, że najślabsi jesteście z przyrody, a także zarówno z geografii.

K: Ja się podciągnę!

B: Podciągnąć to możecie gacie! (*Śmieje się z własnego konceptu*). Musimy wam Paszczak dać kurę... kurę... co?

K: Kurę pieczoną?

B: Kurepetycje. I to ekspresowo.

K: Ach, pięćset od godziny?

B: No i widzicie. Taki głupi jednak nie jesteście. Tylko niesystematyczny. Przejdźmy zatem do systematyki. Czy wy wiecie, Krzaczek, jak się dzielą zwierzęta?

K: Jak się dzielą? Ja wiem, jak się mnożą. No więc, samiec bierze samicę...

B: Faj, faj, faj! Piszczek. Nie mówcie o rzeczach, na które ja nawet patrzeć nie mogę. Zwierzęta dzielą się wzdłuż jak pantofelki. A także zarówno na domowe i dzikie. I zapamiętajta raz na jutro. Jak coś się nie rusza, to jest flora, a jak rusza, to fałda.

<sup>621</sup> J. Osęka, *Akcja „PP”*, [w:] tegoż, *Milionowe słowo*, Iskry, Warszawa 1983, s. 139–141.

K: Fauna!

B: Też. A teraz przejdźmy do przykładów. Jakie znasz gady, Kruczek?

K: No to Woźna, Opinia, Nadredaktor...

B: Cicho! Zakonotujcie sobie, że gadzi są takie, że na przykład – kopalne – bo w kopalni żyły: petrodaktyl, dinozaur, brudnozaur...

K: Grunt to Zaor.

B: ...gruntozaur... Hop, hop! Kolega Zahorski to też jest gad, ale żyjący. A skoro jesteśmy przy nich, to notujcie – najważniejsze gady współczesne to żółw, żmija, padalec i baczność – pancernik.

K: Potiomkin? Widziałem film! Ale pancerniki to inny rząd, razem z leniwcami należą do szczerbaków.

B: Cicho sza! Nie będziecie wymyślać rządowi od leniwców. I to szczerbatych. Rząd robi co może. No więc, sami widzita, kiepsko jest z wami... Ale może spróbujemy z innej klatki, znaczy beczi... albo macie coś dla mnie?

K: Drugie śniadanie zjadł mi pan profesor na poprzedniej lekcji.

B: W takim razie pogadajmy o faunie Afryki. No więc, co jest charakterystyczne dla Afryki?

K: Że przypomina pistolet w kaburze.

B: Stop. Nie róbtą aluzji do afrykańskiej metody rządów. Dla Afryki charakterystyczne są słonę, żyrafy, a z galanterii skórzanej boa, krokodyl i antylopa. I tu ciekawostka, czy wiecie, co przeważnie robi taka antylopa?

K: Żre trawę.

B: Jesteś osioł, baranie. Antylopa gnu. A kudu ona tak gnu – przed siebie! Za karę pójdziecie klęczeć na grochu. Nie w kącie! Na zebrze przy przejściu do sekretariatu... Albo czekajcie. Bo jeszcze nie skończyłem. Dla Afryki charakterystyczna jest również małpa. I właśnie pytanie. Czy wiecie, od kogo wy pochodzicie, Kurczak?

K: Od mamy? Od taty?... Jeden z moich przodków był nawet inżynierem.

B: Wróć i zapamiętnij raz na jutro, że przodków głównych masz trzech...

K: Trzech, Lech i Ruś?

B: Australopitek, gibbon i Darwin. A wiecie, co wymyślił Darwin?

K: Dar...win? Win...dar... Może winiak?

B: Wy chyba jesteście pijani. Darwin wymyślił dobór naturalny, czyli ponumerował wszystkie zwierzęta po kolei i tak powstała słynna tablica Mendelsohna, czyli układ okresowy pierwotniaków. A dlatego okresowy, że w każdym okresie uczę was czegoś innego...

K: Ależ panie profesorze. Układ okresowy to raczej tablica tego Mende...

B: Sami jesteście menda, Kraszak. Nie ubliżajcie naukowcom, zasłużonym i w dodatku zagranicznym.



K: Ale właśnie tam są poukładane te pierwiastki.

B: A co to, ja nie wiem? Pierwiastki są tam poukładane w kupie, na stałe. Żaden nie może się wyłamać ani podskoczyć. Taki układ. A wszystkie zależą od wodora. A wiecie, dlaczego siedzą tak cicho jak w rodzinnym grobie?

K: Nie wiem.

B: Bo się tego wodora boją. Że wybuchnie albo zrobi im grzyba. Ale nie ubiegajmy temata. Tablicę Mendelssohna musicie umieć śpiewająco, także samo życiorys tego chińskiego naukowca odkrzyżówek. Jak mu było... mam. Mi-Czu-Rin.

K: Miczurin. Tego to znam. Pierwszy skrzyżował cep z widłami i wyszła mu snopowiężałka.

B: Też. Ale przede wszystkim wyszło mu to, co jest. Znasz moją ulubioną dywizję, Kroczek?

K: Nie.

B: Pchając naukę na nowe tory, strzeż się pociągu. No więc, czarno widzę wasze szansę. Nic nie umiecie, nic dla mnie nie macie.

K: Ja się zgłoszę na poprawkę.

B: Nie będziemy robić poprawki z rozrywki. A może macie jakieś inne bezatuty? Matkę z butikiem, ciotkę w mięsnym, stryja w dzielnicy. Albo ojca... A właśnie, czym zajmuje się wasz ojciec?

K: Mój stary – może!

B: Stary człowiek i morze. To chyba jakiś rybak. A jak nazwisko, Pyszczak?

K: Takie samo jak moje. Zresztą mam wizytówkę, bo pan bez przerwy się myli.

B: Dobrze. Wizytówka jest najlepsza wizytówką człowieka. Ja sam mam dwie, jedną prostą, drugą aligancką z fakultetami... (Czyta) Kiszcz...

K: Tak.

B: ...Rektor Centralnej Kuźni Młodych... Wy, rektorem? Zaraz, ale co ze mną?

K: Zostajecie kursantem.

B: Jak to?

K: Normalnie, jak na szkoleniu. Raz ja kursant, a wy rektor, a potem odwrotnie. Ale ogólny układ pozostaje bez zmian<sup>622</sup>.

---

<sup>622</sup> M. Wolski, *Kurepetycje*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora...*, dz. cyt., s. 200–203. Kabarecik dla dzieci „Małpet szal” został zorganizowany przez Jana Majdrowicza prezesa warszawskiego oddziału ZAKR. Zarówno ten tekst, jak i kolejny w zestawieniu („Szkoła odruchów”), przez dwa sezony były grane w obu kabaretach: tenże, *Kabaret Nadredaktora...*, dz. cyt., s. 200.

**Przykład 494. Marcin Wolski – *Szkoła odruchów* (1983)**

Codziennie rano, a śpię dobrze chociaż w trampkach,  
nad moim łóżkiem zapala się jasna lampka,  
znak, że pobudka, siusiu, potem raz-dwa skłon  
i wnet trawienie uruchamia ostry gong.  
Nawet pięć minut na zegarze nie przeminie,  
ja już się kłaniam, już pucuję, już się ślinię,  
i raz, i dwa, i impuls nowy  
pobudza odruch warunkowy.

Szkoła wzorowa, szkoła morowa,  
szkoła imienia psa Pawłowa.  
Metoda nowa, buda stara,  
uczy, gdzie waruj, a gdzie wara!

A potem lekcje nam prowadzi docent z wąsem,  
to Heglem trzepnie, a to znów elektrowstrząsem  
i przerabiamy schemat znany nie od dziś,  
tak – łapę lizać! A tak znowu – w łydkę gryźć.  
Nie kombinuję, nie główkuję i nie cierpię,  
gdy uczulają na co miewać mam alergię  
i raz, i dwa, i sygnał nowy  
pobudza odruch warunkowy.

Szkoła wzorowa, szkoła morowa,  
szkoła imienia psa Pawłowa  
uczy rasowych i mieszańców,  
jak żyć w kagańcach bez kagańców.  
I tylko czasem źli kursanci w bokach wrzeszczą,  
że im się ciągle te reakcje pieprzą,  
gdy program nauki rektor zmienia nam co rusz,  
co wczoraj dobre, ma złym stać się, ale już...  
Gong obiadek znaczy już, lecz koniec starcia,  
co łapać, głaskać znowu jeno nam wystarcza  
i raz, i dwa, i impuls nowy  
blokuje odruch warunkowy

Szkoła wzorcowa, szkoła morowa,  
szkoła imienia psa Pawłowa.  
Lecz czasem głowię się, o rany!  
Gdzie ten pies został pogrzebany!?<sup>623</sup>

**Przykład 495. Józef Bułatowicz –  
*Nagrobek wiecznego studenta* (1984?)**

Ten wieczny student,  
jak widzicie,  
wreszcie zaliczył.  
Własne życie<sup>624</sup>.

**Przykład 496. Eugeniusz Korkosz – *Trudy edukacji* (1984?)**

Częściej ojciec w szkole  
niż jego pacholę<sup>625</sup>.

**Przykład 497. Adam Ochocki – *Papugi* (1984)**

Waldek uczęszczał do szkoły, której kierowniczką była jego matka. Któregoś dnia w czasie dużej przerwy żaliła się ona przed gremium nauczycielskim:  
– Mam kłopoty z chłopakiem...

– Coś takiego – zdziwiła się polonistka, wychowawczyni Waldka. – Przecież uczy się dobrze, jego zachowanie też...

– Zbikował na punkcie miłości do zwierząt. Zamęcza mnie całymi dniami, żebym mu kupiła papugi, parę nierozłączek. Już nie mam sił. Poradźcie, co zrobić.

Nazajutrz dzień lekcyjny rozpoczął się od matematyki. Nauczyciel ledwo odpowiedział na przywitanie uczniów, którzy odstali przepisowo trzy sekundy, i rzekł, siadając przy katedrze: – Przerobimy dziś zadanie na różne działania. Do tablicy podejdzie... podejdzie... Jaśkiewicz!

– Tak jest, panie profesorze – Waldek podniósł się z ławki.

– Posłuchaj. Ktoś miał dwie papugi. Jedna papuga zjada codziennie pożywienia za 10 złotych i 32 grosze. Pierwsze pytanie: ile w ciągu 50 lat – papugi żyją długo – musi wydać na utrzymanie swych papug ich właściciel?

<sup>623</sup> Tenże, *Szkoła odruchów*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora...*, dz. cyt., s. 199–200.

<sup>624</sup> J. Bułatowicz, *Nagrobek wiecznego studenta*, [w:] tegoż, *Motylek ze szpilek...*, dz. cyt., s. 34. Por. przykład 427.

<sup>625</sup> E. Korkosz, *Trudy edukacji*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 634.

– Prosty rachunek, panie profesorze. Jeżeli jedna papuga zjada codziennie za 10 złotych i 32 grosze, to dwie – za 20 złotych i 64 grosze. Pomnóżmy to przez 365... Siedem tysięcy pięćset trzydzieści trzy złote i sześćdziesiąt groszy, a przez 50 lat – trzysta siedemdziesiąt sześć tysięcy sześćset osiemdziesiąt złotych.

Nauczyciel przeszedł się kilka kroków.

– Trzysta siedemdziesiąt sześć tysięcy. Kilka urlopów z całą rodziną za granicą... Ale czy tylko tyle, Jaśkiewicz, będzie musiał wydać w ciągu 50 lat właściciel papug na ich utrzymanie?

– Mogę sprawdzić obliczenia.

– Bzdura! Zasadniczy błąd w założeniu. Nie rozumiesz, że gdy są dwie papugi, to jedna będzie składać jaja, a z tych jaj wylęgną się nowe papugi, które też złożą jaja, z których znowu coś się wylęgnie? Postęp algebraiczny! A każda papuga będzie chciała zjeść. Ile to pochłonie dodatkowych pieniędzy? Na jedzenie! Na klatki!

– Chwileczkę, panie profesorze... muszę się skupić.

– O to właśnie chodzi, Jaśkiewicz. Zanim kupić, trzeba się skupić. Jeżeli nie potrafisz pojąć tak prostej sprawy, wykluczone, żebyś odpowiedział na drugie pytanie: jaki procent ze swych zarobków wyda po 20 latach na utrzymanie papug ich właściciel, zarabiający 6600 złotych miesięcznie brutto. I na trzecie: po ilu latach papugi zjedzą całą pensję swego właściciela wraz z nim i jego dobytkiem. Siadaj, Jaśkiewicz. Dwója.

Następnie była lekcja rosyjskiego. Nauczycielka rozłożyła przed sobą dziennik i utkwiała wzrok gdzieś pod sufitem.

– Tematem dzisiejszej lekcji będzie papuga.

– Papugę przerabialiśmy już na matematyce – mruknął Cebula, figurujący w dzienniku pod literą „k” – Kasperczak Jan.

– Eto nie mieszajet, Kasperczak. Zgłębicie lepiej temat. To jest tak nazywamy system kompleksowego nauczania. A więc: papuga po rosyjsku nazywa się papugaj. Pisze się popugaj, ale „o” wymawiamy jak „a”: Pa-pu-gaj... Nu ka, Jaśkiewicz, idi siuda.

Waldek z pewną miną pomaszerował w stronę katedry. Rosyjski miał dobrze opanowany.

– Przetłumacz mi następujące zdanie: papugi roznoszą różne choroby.

– Papugai... raznosiat raznyje bolezni.

– Prawilno. Papugi roznoszą różne choroby. Niedawno w Anglii matka kupiła swojej córce papugę, od której zaraziła się nieuleczalną chorobą. Przetłumacz to na rosyjski, Jaśkiewicz.

– Niedawno adna mat’ w Anglii... kupiła swojej córce papugaja... ot katorowo zabolieła nieizleczimój bolezniej...

– Biedna kobieta – westchnęła nauczycielka. – A jak byś się spytał tej dziewczynki o zdrowie jej matki? Nu ka otwiczaj bystro, a to połuczisz, znajesz czto!

Klasa zarechotała.

– No! Jak byś się spytał?

– Jak bym się spytał? Ha!... ha! du ju du twoju mat'!

– Co ty pleciesz, Jaśkiewicz? To przecież po angielsku,

– A jak mam się zwracać do angielskiej dziewczyny? Po chińsku?

Nauczycielka gestem ręki uciszyła klasę i zwróciła się do Waldka ostrym tonem: – Nie dość, że nic nie umiesz, jeszcze zachowujesz się arogancko. Za karę przepiesz sto razy: papugaj eto samoje wrednoje sotworenie. Sadis'.

– Papugaj, papugaj, apiat' dwójka, ajajaj! – zapiszczał Cebula, który bardzo lubił rymować.

Z wypiekami na twarzy Waldek oczekiwał następnej lekcji. Nauczyciel gimnastyki nie wymyślił nic z kompleksowego nauczania. W zasadzie 45 minut przeszło bez wstrząsu, nie licząc guza, jakiego zdenerwowany Waldek nabił sobie, skacząc przez konia. Widok polonistki uspokoił go. Wychowawczynie jak zwykle uśmiechała się przyjaźnie do całej klasy.

– Zajmiemy się dziś orzeczeniem czasownikowym i imiennym. Może ty podejdziesz do tablicy – zwróciła się do Waldka – a wy wszyscy uważajcie, to nowy temat. A więc: orzeczenie jest częścią zdania, za pomocą której wypowiadamy pewną informację o podmiocie, to znaczy określamy czynność, którą wykonuje podmiot lub określony stan, w którym się on znajduje. Na przykład: papuga skrzeczy. Powtórz, Waldek.

– Papuga... skrzeczy.

– Tak jest, skrzeczy. Orzeczenie jest tu wyrażone wyłącznie czasownikiem – skrzeczy. Takie orzeczenie nazywa się orzeczeniem czasownikowym. Może też być inne orzeczenie. Na przykład: papuga jest obrzydliwa. To „jest” służy do wypowiedzenia drugiego wyrazu wchodzącego w skład orzeczenia. Jasne, Waldek?

– Tak.

– A więc w skład orzeczenia wchodzi tu nie tylko czasownik „jest”, ale i drugi wyraz: „obrzydliwa”. Takie orzeczenie nazywa się orzeczeniem imiennym, zasadnicza część orzeczenia imiennego nazywa się orzecznikiem, a czasownik spełniający rolę pomocniczą – łącznikiem. Powtórz, Waldek.

– Papuga... jest łącznikiem.

– Co się z tobą dzieje, chłopcze? Skup się. Co ja powiedziałam o orzeczeniu czasownikowym i imiennym?

– Że orzeczenie jest... częścią papugi. Pani profesor, ja nie mogę tego wszystkiego od razu zapamiętać!

– Ale o innych rzeczach pamiętasz. Niedobrze, Waldek, słyszałam, żeś załapał już dziś dwóję z matematyki i rosyjskiego. Teraz trzecia. Jako wychowawczyni będę musiała porozmawiać z twoją matką...

Minął jakiś czas. Waldek przestał upominać się o papugi. Jego matka odechnęła. Nie miała słów wdzięczności dla ciała pedagogicznego za okazaną jej pomoc. Nastąpiły pogodne dni, wypełnione błogim zadowoleniem matki z syna, który znowu przynosił dobre stopnie. Któregoś dnia matka Waldka dłużej niż zazwyczaj dzwoniła do drzwi mieszkania. Wreszcie klucz zazgrzytał w zamku.

– Dobry wieczór, Walduś. Alem się nalatała. Jadłeś coś?

– Tak. Jola pomogła mi spitrasić obiad. To moja koleżanka. Jola, przedstaw się matce.

Do przedpokoju weszła rośła dziewczyna kotysząc się w biodrach.

– Jola! – dygnęła.

– Ba... bardzo mi miło. Czemu masz takie wypieki, Walduś? Tak gorąco w mieszkaniu, żeś się porozpinał?

– E nie, tylko guziki mi się poobrywały. Wiesz, mam, jestem ci niezmiernie wdzięczny, żeś mi wtedy wybiła z głowy te papugi.

– Cieszę się, synku.

– Papugi tylko by w kółko plotły jedno i to samo. A Jola śpiewa.

– Latała! – zanuciła dziewczyna.

– Jola śpiewa. Orzeczenie jest tu wyrażone wyłącznie czasownikiem „śpiewa”.

– Waldek...

– Jola jest fajna. To „jest”, mam, służy do wypowiedzenia drugiego wyrazu wchodzącego w skład orzeczenia – „fajna”.

– Waldek!

– Widzisz, mam, jak twój syn się wykuł? Mam, niech Jola zostanie z nami. Będziemy jak te papużki nierozłączki. Klatki dla niej nie trzeba. Zmieścimy się we dwójkę na jednym tapczanie<sup>626</sup>.

### **Przykład 498. Adam Ochocki – *Zreformowane przysłowie* (1984?)**

Im dalej w las, tym więcej drzew –

uczą się w szkołach dzieci.

Dla mnie to najwykleszy blef:

im dalej w las – tym więcej śmieci<sup>627</sup>.

<sup>626</sup> A. Ochocki, *Papugi*, [w:] tegoż, *To ci kwiatki!*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984, s. 154–159.

<sup>627</sup> Tenże, *Zreformowane przysłowie*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 423.

**Przykład 499. Marcin Wolski – *Centralna Kuźnia Młodych CKM.*  
Fragmenty nie napisanej powieści  
dla trudnej młodzieży (1984?)**

Rozdział 2

Senny świt wrześnieowy, tak charakterystyczny dla końca dekady sukcesu, rozdarł nagle dźwięk dzwonka, rześki jak sygnał „Lata z radiem”. Nie wywarło to wrażenia ani na nielicznych przechodniach, ani na emerycie, któremu musiało być wszystko jedno, bo siedział na ławeczce i czytał gazetę do góry nogami, czujnie wszakże zerkając dookoła i sporadycznie rzucając w wypchane zana-drze: „Ja Brzoza, kwadrat czysty”. Spokojnie przemaszerowała grupka przed-szkołaków śpiewających „wsiądź do pociągu byle jakiego”, dwóch idących z tyłu starszaków dorzucało: „gdy nago śpię”.

Dzwonek tymczasem brzmiał rozdzierająco, mącąc sen pracownikom po-bliskiej budowy rozpoczętej jeszcze w planie sześćioletnim. Dobiegał od strony przysadzistego gmachu, którego fronton zajmowało z pół setki czerwonych tab-liczek. Były wśród nich i Centralne Zarządy, i Podkomisje, i Biura PTZRWBGHTR-SUW-Południe, i Komitet Osiedlowy, i Terenowe Coś Tam z Czymś Tam. Na sa-mym dole biła w oczy tabliczka z godłem przedstawiającym długopis skrzyżo-wany z myślą naukowo-techniczną. Niżej był napis „Dokształt”.

Dzwonek zachrypiał ostrzegawczo, tak jakby groził czy ostrzegał po raz ostatni, gdy zza zakrętu wypadło trzech osobników z tornistrami.

– Prędej, koledzy, spóźnimy się jak boniedydy! – wołał pierwszy, gruby mężczyzna ostrzyżony na języka.

– Coś pan taki nerwowy, panie Krzysieńku, dokształt nie zając – uspokajał drugi, szczuplejszy i bardziej łykowany, którego włosy wymykające się spod szkolnej czapki gęsto przestebnowała siwizna. – Ja dziś idę na waksy!

– Drugi! – zawołał trzeci, puciołowaty trzydziestopięciolatek, który, gdyby miał więcej szczęścia i dostał pracę w telewizji, mógłby stać się ulubieńcem kobiet w wieku balzakowskim.

– Ależ panowie – wołał grubas nazwany Krzysztofem – tak nie można! We-dług regulaminu trzecia nieobecność eliminuje nas z kursu. A to już nasza piąta...

– Buldog też trzy razy nie przyszedł – zauważył chudy.

– Ależ Maniek – puciołowaty przyszedł w sukurs tęgiemu. – Belfer zawsze jest usprawiedliwiony. Wywiesza kartkę: „Wyszedł na pocztę” albo „Katedra nieczynna z powodu odszczurzenia”. A wczoraj na drzwiach pokoju nauczyciel-skiego wisało „Przyjęcie towaru”.

– Towaru? – oczy Mariana błysnęły kocio. – Czyżby znowu zorganizowali sobie jakieś panienki z żeńskiego liceum?

Pucołowaty wzruszył ramionami.

– Buldog za kobietami nie przepada, co innego dyro! Wszystkie muszą chodzić do niego po zaliczenie. I on zalicza. Moim zdaniem docent był też na do kształcie, tyle że na wyższym szczeblu.

– Nie rozumiem, panie Andrzeju. – Na twarzy Krzysztofa malował się wysiłek intelektualny.

W międzyczasie sforsowali okute drzwi i po okazaniu przepustki wspinali się po owalnych schodach, nie wiedząc czemu zabezpieczonych siatką. Podobno była to pamiątka po dawniejszych właścicielach budynku, którzy nie tyle faszerowali ludzi wiedzą, ile raczej starali się ją z nich wydobyć.

– Sprawa jest jasna – tłumaczył Jędrus. – Świat rozwija się w błyskawicznym tempie i wiedza zdobyta wczoraj nie wystarcza jutro. Mała matura, którą ma Maniek – tu błyskawicznie uchylił się przed fangą wymierzoną przez kolegę – jeszcze jakiś czas temu wystarczyłaby do kierowania nawet Arcydyrekcją. Dziś trzeba być profesorem, i to nadzwyczajnym. Przecież nawet nasza woźna, pani Bielskopodlaska, ma doktorat z AWF-u...

W tym momencie chudy wykonał ostre „ciiii”, które rzuciło ich w stronę kibla, ale za późno. W perspektywie korytarza pojawiła się woźna, której sprężysty krok korespondował z mundurowym krojem fartucha...

Akcja rozegrała się błyskawicznie. Nie minęło dziesięć sekund, a zamiast zaciągania się dymem w intymnej atmosferze klozetu, z obolałymi mięśniami (Bielskopodlaska lubi rzucać przez bark) znaleźli się w ławkach klasopracowni ogólnej.

W piętnastej sekundzie drzwi w szafie z pomocami naukowymi otworzyły się i z sekretnego korytarza łączącego klasę z pokojem nauczycielskim wyłonił się mężczyzna wieku i rodzaju nijakiego, którego elegancki służbowy garnitur, włoskie buty i firmowa teczka, otrzymana gratis podczas ostatniej wizyty na kongresie w Tokio, stanowiły oprawę dla byczej twarzy z małymi, chytrymi oczkami w kolorze organizacyjnym.

– Czołem kursanty! – zagaił.

Poderwali się jak spłoszone wróble.

– Czołem, panie docencie!

– No, kursanty, siadnijcie sobie, gdzie kto może. Kowalski, jaki był temat ostatniej lekcji?

Bolesny skurcz przebiegł po policzkach Krzysztofa i kiedy jedna połowa twarzy szeptem poprawiła – „Kowalewski!”, druga wyrecytowała postulatnie:

– Tematem ostatniej lekcji była klasówka, panie docencie.

– Dobrze – ucieszył się pedagog. – Dwójka!

– Tak jest!



– A dlaczego także zarówno Kowalski nie pytacie się, dlaczego dwójka?  
Kowalewski wzruszył ramionami: – Pan zawsze stawia mi dwójkę, kiedy nie przyniosę drugiego śniadania.

– Święta racja. – Docent rozczulony trzepnął kursanta w ucho. – Znacie swego wychowawcę jak własną... własną... – szukał określenia.

– Kieszeń – podrzucił Marian.

– Bez podpowiadania, Kocieniak! Ale pożartowaliśmy, pożartowaliśmy. Tera do... do czego? – zapytał i natychmiast sam sobie odpowiedział. – Do lekcji. Dzisiejszym tematem naszego tematu będzie fauna Afryki. Kowalski, co to jest fauna?

– Mniemam, że albo zwierzostan, albo grecki bożek.

Wróć! – zgromił go Buldog i zerkając na swoje notatki, rzucił: – Prawidłowa odpowiedź to jest: fauna i flora. Florę pominiem, bo nie będziemy żartować sobie z imiona, jeśli zaś chodzi o faunę Afryki, to one są co następuje: słonie, lwy, tygrysy...

– Tygrysy to chyba w Azji... – odważył się sprostować Jędrus.

– Cicho i nie czepiać się Azji, także zarówno Mniejszej, jak i Słusznej. Co dalej jest w Afryce... no więc są, prawda – przewrócił parę kartek – żmije, żyrafy, zebry... i żeby każdy zapamiętał! Czy ktoś ma coś na to do powiedzenia?...

Na przestrzeni pomiędzy katedrą a tylną ścianą, ozdobioną przez wypchane popiersia ulubionych bohaterów docenta, uniosła się tylko jedna ręka. Kowalewskiego. Zignorował ją.

– Skoro nikt się nie zgłasza, przejdziem do małp. I tu zapamiętnijta, kursanty, najważniejsze wśród małp są naczelne!

Rozległ się chichot, ale zgasł pod piorunującym spojrzeniem przekrwionych oczek.

– Nie ma co się śmiać. I żeby jeden z drugim mi zapamiętał, ludzie pochodzą od małpów. Ale nie ma się czego wstydzić. Kowalski, wymień swoich przodków.

Na czole Krzysztofa nabrzmiały niebieskie żyłki; z godnością, o jaką trudno byłoby go posądzić, wyrecytował: – Jeśli idzie o gałąź po mieczu, to najwybitniejszymi przedstawicielami byli: Mojmir z Kowalewic, dalej Kowallenor z Miletu...

– Hop, hop, hop! I zapamiętaj sobie raz na jutro, że przodków masz trzech; australopitek, gibbon i darwin.

– Przynajmniej raz się cieszę, że należą do innej rodziny niż nasz arystokrata – westchnął Jędrus.

– Cicho tam na ośleję ławce. Przechodzimy do galanterii skórzanej. W Afryce prezentują ją; boa, krokodyl i antylopa... I teraz wam powiem anegdotkę. Czy któren z was wie, co robi antylopa? No, Kocieniak?

– Nie mam pojęcia.  
 – Jesteś osioł, baranie. Antylopa gnu! Za karę pójdziesz klęczyć na grochu<sup>628</sup>. Kudu? Kudu? – warknął widząc, że kursant ruszył ku drzwiom.  
 – Do kąta!

– Ale skąd wziąć groch? Nie ma nawet konserwowanego!  
 – Nie zadawaj mi podchwytliwych pytań – mruknął docent. – O grochu pomówim przy okazji motylkowych. *A propos vice versa* – znasz przynajmniej jakieś motylkowe?

Przestrach wypełził na twarz Mariana. Jędrus spróbował go ratować.

– No... bielinek kapustnik, paż królowej... Dobrze mówię?

Buldog poczuł się głupio. Nie miał ściągi, a jakakolwiek reakcja na wypowiedź najbystrzejszego z uczniów mogłaby zachwiać naukowym autorytetem wykładowcy. Wymacał ręką przycisk pod biurkiem uruchamiający dzwonek. I ledwo rozdzierający dźwięk rzucił się wszystkim do uszu, porwał za dziennik i wypadł z klasopracowni.

Był etatowym pracownikiem Doksztaltu wiele lat, a ten chwyt pedagogiczny nigdy jeszcze go nie zawiódł, no może z wyjątkiem epizodu przed trzydziestu laty, kiedy akurat wysiadło światło, ale wtedy wrzasnął: – Czuję, że wróg klasowy kręci się po korytarzu!!!

I efekt był podobny.

## Rozdział 5

Nikt nie wiedział, jak do tego doszło.

Byli pracownikami Arcydyrekcji, firmy tak olbrzymiej, że żaden z zatrudnionych nie wiedział, czym się właściwie zajmowała. Wszyscy przychodzili na ósmą, wychodzili o szesnastej, wypijając po drodze dziesięć herbat, i trwało to tak latami, kiedy pewnego dnia każdy otrzymał skierowanie na pierwszy rok Centralnej Kuźni Młodych.

Deliberowali nad nim długo i nudno.

– Może rosnące wymagania w Arcydyrekcji wymagają rosnących kwalifikacji – kombinował Jędrus.

– Jakich kwalifikacji, kiedy i tak niczego się nie robi? – odezwał się ustami Mańka ludowy racjonalizm.

– Sprawa jest prosta – konkludował Krzysztof. – Nie. Doksztalt istnieje dla nas, tylko my dla Doksztaltu. Buldog, Bąbel, Chemica i cała ta zgraja muszą mieć uczelnię, żeby zarabiać szmal. Dawanie im dzieci byłoby zbyt ryzykowne,

<sup>628</sup> Por. przykład 493.

wysłała się więc na kurs dorosłych. Poza tym w sprawozdawczości – a to jedyny przejaw życia Arcydyrekcji – bardzo liczą się dyplomy, świadectwa...

– No dobrze, ale dlaczego traktują nas jak dzieci? – pytał Maniek. – Te tornisty, tarcze, białe kołnierzyki, dyżurni...

Tu popatrzył pytająco na Andrzeja.

– Myślę, że tu chodzi o eksperyment psychologiczny. Oczywiście mogliby traktować nas po ludzku, jak dorosłych, doksztalać przez dyskusję, seminaria, ale jakiś psycholog wykombinował sobie, że ponieważ najlepsze efekty nauczania osiągnąć się w szkole podstawowej, to wystarczy stworzyć analogiczne warunki na Doksztalcie...

Może była to słuszna interpretacja. A może nie. Może prawda leżała pośrodku, a może w koszu. Jest faktem, że już po semestrze wiedzieli, że celem kursu jest ogłupienie jego uczestników. Oduczyć myśleć, zinfantylizować, napchać stekiem oderwanych informacji. A wychowawczo działać tak, by zbiorowość skłócić, zdeintegrować, zdeorientować. Być może zresztą Kuźnia była tylko składnikiem jakiegoś bardziej rozległego systemu. Przyszło półrocze.

Krzysztof (*miętosząc dzienniczek*): No i marnota, koledzy, kurza twarz.

Maniek: Niech pan pokaże, panie Krzychu.

Krzysztof: To jest moja prywatna sprawa,

Jędrus: A ja nie mam się czego wstydzić. Wszystkie oceny mam równe: Dwa, dwa, dwa, dwa, trzy...

Maniek (*z zainteresowaniem*): Z czego trójka, Jędrus?

Jędrus: Ze sprawowania. Poza tym pilność mierna, postępy niezadowolające, postawa: be!

Maniek: Ja tam mój dzienniczek spaliłem.

Krzysztof: Mój sam się spalił. Ze wstydu. I pomyśleć, Hilary Kowlewius był rektorem Akademii w Złotym Wieku...

Maniek: W życiu nie wysłę nikogo na taką wywiadówkę.

Jędrus: Bo to była raczej kontrwywiadówka.

Krzysztof: A kto był od pana, panie Marianie, ktoś z rodziny?

Maniek: Nikt z rodziny, Ceśka – moja żona.

Jędrus: Ja tam wysłałem Grubego Rycha. Wińcie, tego wykidają z „Portowego”. Buldog jak go zobaczył, szybko wręczył dzienniczek, ale na przekazanie ustnej nagany się nie odważył.

Krzysztof: A ode mnie był mój wierny Jan, Kurza Twarz!

Jędrus (*z niesmakiem*): Mógłby pan nie przeklinać w takim momencie.

Krzysztof: Toteż ja nie przeklinam. „Kurza Twarz” to był przydomek mego wiernego sługi, ostatniej pamiątki po parcelacji Kowalewic.

Maniek: Ja myślałem, że Jan miał przydomek Wierny.

Krzysztof: A w ogóle u nas we dworze wszyscy mieli przydomki. Stać nas było na przydomki, przyzagrodowe działki, nie wspominając o przyjemnościach. Na przykład szatny nosił pseudo Skórzana Pończocha, koniuszy Ryszard Psie Serce, bo bardzo zwierzęta lubił, a ogrodnika wołali...

Jędrus: Jan Bez Ziemi?

Krzysztof: A gdzieżby, Józef z Ziemią. U nas ziemi był dostatek. Czarnoziemie były takie, że ziemniaki rosły jak topole. Tyle że bulw nie miały. No, ale było, minęło. A wszystko przez ruletkę.

Maniek: Jak to?

Krzysztof: Dziadek był hazardzistą, stale stawiał na czarne i podwajał, stawiał i podwajał. Aż tu zaczęło wychodzić sto razy pod rząd czerwone i włości diabli wzięli.

Maniek: Ceśkę też diabli wzięli. „Taki stary a głupi – wołała po wywiadówce. – Biegasz trzy miesiące z tornistrem, zamiast kupić u belfra świadectwo ukończenia!”

Krzysztof: Czy to takie łatwe? Biorąc pod uwagę, że zwolnienie z klasówki kosztuje dwa drugie śniadania, za dyplom wzięłby roczny abonament do „Victorii”, tasiemiec jeden!

Jędrus: Jego stawki są ogólnie znane i jawne. Zresztą pełny wykaz jest do wglądu u woźnej. Aktualna tabela kursu; piona – drugie śniadanie, czwóra – obiad w barze mlecznym. Trója – kolacja w „Kaukaskiej”.

Krzysztof: Rozumiem! Stosuje odwrotną skalę ocen. A więc te wszystkie moje bomby...

Jędrus: Niestety, panie Krzysieńku. Bomby to są bomby. Natomiast tróje dlatego są takie cenne, że świadectwo na samych trójach nikomu nie rzuca się w oczy, jest najbardziej wiarygodne i prawdopodobne.

Zresztą mimo niedostatecznych ocen wszyscy zostali promowani na następny semestr, żeby nie zaniżyć optymistycznej statystyki, od której leciała premia dla rady pedagogicznej.

## Rozdział 42

Siedzieli w klasopracowni luźno i swobodnie. Przez okna widać było rozchlapane podwórko, na którym nowy woźny, Augustyn Suwalski (godny następca pani Bielskopodlaskiej, której ustąpienie kursanci wymusili strajkiem okupacyjnym w szatni dwa miesiące wcześniej), zamiast uprzętać błoto, zajmował się zdzieraniem zadrukowanego papieru, który nie wiedzieć kto porozklejał na murach. W samej klasie też sporo się zmieniło. Obniżono katedrę, znikła gdzieś

trzcina do bicia po łapach, a na popiersiu majora Smitha (patrona uczelni) powieszono buddyjski różaniec, bo tego wyznania – jak się nagle okazało – był ów, do niedawna zaciekle ateistyczny, przywódca spahisów.

W rogu, w miejscu gdzie przedtem znajdowała się plansza z fotosami prymusów i hasłami w rodzaju: „Więcej się uczysz, więcej wiesz”, „Budujemy drugi Dokszałt” czy też „Trzy razy nie apartheidowi w RPA”, teraz wisiała zwyczajna gablotka z gazetką szkolną organizacji „Uczniość”. Gazetka była oczywiście samorządna i niezależna od władz kursu, z tym jednym zastrzeżeniem, że klucz od gablotki przechowywał stale pan docent i czasami udostępniał go, a czasem nie.

Z tą „Uczniością” w ogóle zrobiło się sporo bałaganu. Do niedawna wszyscy słuchacze i wykładowcy CKM-u byli zarazem członkami Towarzystwa Dokszałcających i Dokszałcanych, wszyscy płacili składki i nikt nie zawracał sobie głowy. Niestety, obecnie zamiast Towarzystw działały dwa Stowarzyszenia, przy czym do pierwszego zapisał się Bulldog, wicedyrektor Baton i woźni. Natomiast w „Uczniości” cała reszta solidarnie działała wbrew swoim żywotnym interesom.

Doszło do takiego rozbudowania demokracji, że w stołówce pedagodzy otrzymywali identyczną zupę co kursanci (jedynie dwa razy więcej). Pojawili się też nowi nauczyciele, przemawiający zgoła innym językiem, i choć mówili to samo co ich poprzednicy, słuchało się tego znacznie przyjemniej. Bulldog mocno przygasał, przez dwa miesiące nalegał nawet, aby mówić do niego per magister, ale nowy wicedyrektor przekonał studentów, aby nie czynili przykrości staremu wychowawcy, który wprawdzie docenturę uzyskał w trybie przyspieszonym, ale zasłużył sobie na nią wieloletnią postawą.

Nowym wicedyrektorem został pan Bronisław Beton-Baton, bardzo wybitny kłusownik i literat, który – jak mówił sam o sobie – represjonowany w poprzednim okresie, dopiero teraz mógł ze wszystkich swych sił służyć odnowie. Złośliwi pytali wprawdzie, jakie to były represje, skoro w ciągu ostatnich dziesięciu lat podyktował siedem książek, z których zrobiono trzy sztuki, jeden serial dla telewizji i kilkadziesiąt adaptacji dla radia, ale powiedzmy sobie otwarcie, były to pytania wrogie i tendencyjne.

W każdym razie wszyscy pracownicy Kuźni, z wyjątkiem dyrektora, który nagle zaniemógł na zdrowiu, i woźnej, która nie zorientowała się w porę, załapali się na właściwy pociąg, pędzący zgodnie z kierunkiem wiatru. Ba, z biegiem czasu rada pedagogiczna stwierdziła, że to właśnie ona zapoczątkowała wszelkie zmiany w Dokszałcie. Krzysiek, Maniek i Jędrzek odnosili się z pobłażaniem do tych wypowiedzi.

– Normalna sprawa, konia kują, a żaba podstawia łapę – zauważył Marian.

Tego dnia „godźwych” miał być poświęcony konsultacji „programu dydaktycznego”; początkowo Buldog bronił się przed koncepcją, żeby samorząd klasowy obok zatwierdzenia kształtu worków na kaptcie i kontroli zużycia kredy miał jakiegokolwiek prerogatywy przy ustalaniu programu, nagle jednak zmienił zdanie.

– Dobra, moje gapy kochane, zrobim, jak chcecie, pomówim dzisiaj o reformie naszego Doksztaltu.

– Dużej czy małej? – rezolutnie spytał Jędrus.

Pedagog zjeżył się i oświadczył, że mała została już dawno wdrożona. A następnie dodał, że opracowano dwa alternatywne programy nauczania do wyboru i mają się zdecydować na jeden z nich w nieprzekraczalnym terminie kwadransa.

– Ależ, panie docencie – zaoponował Krzysztof – obie propozycje są bez sensu, zdecydować się na którąś z nich to tak, jakby w gospodarce skasować albo górnictwo, albo rolnictwo.

– Tak, tak – poparł kolegę Jędreka – według jednego programu nauczania historii nie walczyliśmy z Turkami, a przeciwnie, panowała niezłomna przyjaźń polsko-turecka. Natomiast według drugiego Sobieski zajął Stambuł i ogłosił się sułtanem.

– I dobrze by było – westchnął Buldog – mielibyśmy kozuchy w RWPG.

– A według trzeciej wersji ksiądz Kordecki bez sensu obronił Częstochowę przed Szwedami, bo gdyby nie to, bylibyśmy dziś Szwecją.

– Faj, faj, faj!!! – zakrzyknął docent, widząc, że uczniowie zamierzają wpuścić go w maliny, i natychmiast zmienił temat. Zaczął mówić o zmianach ostatniego roku, których był inicjatorem. Jako przykład wziął przyrodę.

– Spójrzcie, jakie mamy postępowe sukcesy na tem froncie. Przed rokiem w oficjalnym podręczniku pisało, że wieloryb to ryba, a dziś, sami spójrzcie<sup>629</sup>.

Zamachał skryptem odbitym na powielaczu.

– Prawie ssak – odczytał z namaszczeniem.

Wybuch śmiechu.

– Prawie ssak? – wołali kursanci jeden przez drugiego. – To już nie można powiedzieć nam całej prawdy?

– Oszaleliście, społeczeństwo nie jest przygotowane na tyle prawdy na raz, mogłoby jeszcze chcieć tranu z tego wieloryba.

– Ależ to bzdura – zawołał Krzysio – przecież społeczeństwo wykazało... Wykładowca walnął pięścią w stół.

– Społeczeństwo nie ma nic do wykazywania. A kursanci jeszcze mniej. Oto skutki naszej dobroci. Dać ludziom palec, a one nie chcą go ssać! Pamiętajcie

---

<sup>629</sup> Por. przykład 465.

mi raz na jutro, że ostrzegałem: jeszcze wszystko może się cofnąć i wieloryb znów będzie ryba albo gorzej – jamochłon!

Tumult w klasie porobił się na takie dictum okropny, aż wypchanemu dinozaurowi z kąta pomieszczenia łapy opadły jak płetwy. Okrzyki protestu mieszały się z drwiną. Docent zerwał się z miejsca. Myślałem, że wrzaśnie, ale nie, zniżył głos do szeptu: – Jeśli natychmiast nie zapanuje ład, porządek i spokój, to wezwę tu woźnego, a ten, jak wejdzie do klasy, to już nie wyjdzie. I przykro będzie prowadzić lekcje przy obcym.

Instynktownie wyjrzeli przez okno. Woźnego ani śladu, widać było tylko na śniegu zmieszonym z błotem głębokie koleiny po jego wózku na narzędzia gospodarcze. Zapadła cisza. Zdało się, że słychać ciężkie kroki na korytarzu...

– No, nie będziemy się spierać o jednego walenia – powiedział po dobrej minucie Andrzej. – W końcu wszyscy opowiadamy się za kompromisem. Przecież tu, wewnątrz klasy, możemy mówić zgodnie z prawdą, a jak wpadnie na hospicjum dyrektor, odpowiadać jak potrzeba.

Jak tęcza po burzy uśmiech wychynął na twarz docenta.

– No więc, który wariant reformy wybieracie? Nie widzę, nie słyszę. Wdrążym oba.

– Ale przecież oba warianty sobie przeczą – jęknął Kowalewski.

Ale już dzwonek wświdrował się im w mózgi niczym bór stomatologa. Buldog wybiegł, a oni poszli za nim na korytarz, zastanawiając się, czy to idzie nowe, czy też wraca stare. Na zakręcie napatoczyli się na woźnego. Stał! Z miotłą<sup>630</sup>.

### **Przykład 500. Helena Adamczewska – *Małpi proces*.**

#### **Fragmenty dotyczące wydarzeń w 1925 roku (1985)**

W połowie 1925 roku w miasteczku Dayton w stanie Tennessee, liczącym osiem tysięcy białych i czarnych mieszkańców, cztery zbory, tyleż szkół, dwanaście składów aptecznych i dwa hotele, wybuchł wielki skandal.

Jakiś purytański inspektor odkrył, że młody nauczyciel szkoły średniej próbuje wyjaśnić swoim uczniom teorię ewolucji i pochodzenia człowieka. Nauczyciel, nazwiskiem John T. Scopes, być może zapomniał albo po prostu zlekceważył obowiązującą ustawę, na mocy której każda wzmianka o teorii Darwina i związanej z nią ewolucji w publicznych zakładach nauczania podlega karze. Być może doszedł do wniosku, że skoro najwybitniejsi uczeni w Stanach Zjednoczonych, jak paleontolog Henryk Fairfield Osborn, zoolog Charles William Beebe oraz genetycy Thomas Hunt Morgan i Hermann Joseph Muller, naucza-

<sup>630</sup> M. Wolski, *Centralna Kuźnia Młodych CKM*, [w:] tegoż, *Z przymrużeniem ucha...*, dz. cyt., s. 192–203.

jący w Chicago, Nowym Jorku, Harvardzie i Yale, uwzględniają w swoich dyscyplinach teorię ewolucji, to dlaczego dzieci amerykańskich farmerów, drobnych kupców i drwali w Dayton nie miałyby się zapoznać z teorią form przejściowych od człekokształtnych małp w trzeciorzędzie do pracłowika?

Pocziwy sędzia w tej prowincjonalnej dziurze, który prawdopodobnie nigdy nie słyszał o Darwinie, południowoamerykańskich odkryciach, pracach antropologów i zoologów nad porównywaniem cech fizycznych i zdolności umysłowych szympansa i człowieka, o podjętych na wielką skalę wykopalskach w Chinach i Afryce oraz „dziecku z Taungs”, o którym najwięksi nawet luminarze nauki nie potrafili powiedzieć, czy jest jeszcze małpą, czy już człowiekiem – ten to sędzia miał rozstrzygnąć sprawę Johna T. Scopesa.

Głowił się tygodniami. Przewertował statuty stanu Tennessee i wreszcie stwierdził, że istotnie – nauczyciel podpada pod zapisany w nich paragraf. Poinformował zatem młodemu wolnomyślicielowi dać taką nauczkę, na jaką ten sobie zasłużył.

10 lipca 1925 roku rozpoczął się proces Scopesa.

Wiadomość dotarła do szerokiej publiczności i rozniosła się daleko, nie tylko po okolicy. Do Dayton zjechali różni wybitni naukowcy i perswadowali, aby zostawić Scopesa w spokoju. Ale oburzeni farmerzy razem z handlarzami bydła i całą miejscową kołtunerią, należącą do różnych sekt, zażądali surowego ukarania „przestępcy”.

Dayton z dnia na dzień stało się sławne na cały świat. Podskoczyły ceny nieruchomości. Wędrowni kupcy zainstalowali swoje kramy, zwłaszcza wokół domu Scopesa. Zjechali dziennikarze, reporterzy filmowi, duchowni różnych sekt i poważni kupcy, którzy na daytońskiej sensacji obiecywali sobie wielkie interesy. Nie tylko w miasteczku, ale i całej okolicy nie było żadnego wolnego pokoju, a nawet łóżka.

Interwencja gubernatora stanu Tennessee i jego zapewnienia, że teoria ewolucji jest naprawdę nieszkodliwa, nie odniosły skutku. Bogobojni purytanie byli zdecydowani walczyć do upadłego.

Rozprawa trwała 12 dni. Miejscowy sędzia i dwunastu farmerów jako przysięgli mieli rozstrzygnąć jednoznacznie i raz na zawsze, kto ma rację: nauka czy księga Genesis – „...i oto Bóg stworzył człowieka!”.

Obronę Scopesa i teorii Darwina uczeni powierzyli jednemu z najznakomitszych adwokatów, Clarence’owi Darrow. Siły boskie miał reprezentować champion amerykańskich oskarżycieli, William Jennings Bryan, były kandydat demokratów na prezydenta. Konfrontacja obu tych znanych postaci podgrzała jeszcze bardziej i tak już zagęszczoną atmosferę. Darrow z ostentacyjnym powątpiewa-



niem zadawał oskarżycielowi podchwytliwe pytania na tematy z Biblii, a Bryan, poirytowany, odpowiadał cierpko ze skrajnie fundamentalistycznych pozycji.

W całej sprawie przestał już kogokolwiek interesować sam oskarżony.

Mała sala sądowa mogła pomieścić ledwie znikomą część żadnej sensacji publiczności. Wielu, którym udało się zdobyć miejsce, odsprzedawało je natchmiast za ciężkie pieniądze. Za oknami wycie i wrzaski szalejącego tłumu mieszały się z podniecającym jazzem i śpiewem religijnych hymnów. Prorocy wdrapywali się na przytargane skrzynki i beczki, gromko wyklinali Darwina, Scopesa i wszystkie małpy świata. Kobiety i dziewczęta z rozwianym włosiem w zapamiętałym tańcu, rozdzierały na sobie suknie. Proces wytoczony nauce zmienił się w sabat czarownic. Ilekroć obrońca oskarżonego próbował odwołać się do świadectwa archeologów i przyrodników, odpowiadał mu ryk śmiechu z farmerskich gardzieli. Wywiązały się bójki. Próbowano nawet zlinczować Scopesa, jego obrońcę i rzeczoznawców. Podłoga w sali rozpraw trzeszczała. Ławy i stoły poszły w drzazgi. Zarysowały się ściany pod naporem rozhisteryzowanego tłumu, przerażony i bezradny sędzia był zmuszony przenieść rozprawę pod gołe niebo, wydając tym samym jej uczestników na pastwę rozwydrzonego kołtuństwa. Kiedy nauczyciel próbował wyjaśnić pobudki swego wykładu, posypał się nań grad butelek, puszek po piwie i konserwach, a nawet garście gnoju. Znakomitemu obrońcy, który niejedną trudną sprawę doprowadził do szczęśliwego końca, nie pozwolono wygłosić starannie przygotowanej mowy, zagłuszano każde zdanie obelgami, przekleństwami i wyzwiskami.

Nauka przegrała proces z ciemnotą.

Sąd uznał Johna Scopesa winnym wykroczenia przeciw prawom stanowym i skazał go na 100 dolarów grzywny oraz pokrycie kosztów procesowych. Ledwie wyrok został ogłoszony, a wielotysięczny tłum runął na kolana i zaczął śpiewać psalmy. Tymczasem następnego dnia w zatłoczonym Dayton wybuchła epidemia duru brzuszego, która zgarnęła ponad sto śmiertelnych przypadków. Demonstrację namiętności ugasiło żalosne opamiętanie.

Grzywnę zasądzoną Scopesowi oraz kosztu procesu pokryła American Civil Liberties Union. Nauczyciel musiał jednak pożegnać się z zawodem. Świat nauki zaś dowiedział się z ust championa amerykańskich oskarżycieli, że człowiek różni się od zwierząt umiejętnością logicznego rozumowania i moralnością w postępowaniu. To bezsporne stwierdzenie faktu dało zapewne natchnienie poecie, którego wierszyk krążył ponoć nie tylko w amerykańskich szkołach aż do wybuchu II wojny światowej:

„Darwin dowodzi, że człowiek od małpy pochodzi, A ja, patrząc na twą grację, przyznaję mu rację”.

Należy dodać, że dla nierozważnego nauczyciela proces miał jednak swój happy end. Scopes musiał wprawdzie pożegnać się z zawodem, ale zyskał taką popularność, że szczęśliwa przyszłość stanęła przed nim otworem. Nie jako biologa, ale jako... popularnego sprzedawcy samochodów.

Reszta świata uśmieła się serdecznie i szybko zapomniała o „małym procesie”. Jedynie przyrodnicy, głęboko zgorzeleni, podkreślali odtąd, że dorobkiewicz w smokingu, który wypiera się swoich skromnych przodków, nie jest z pewnością wzorem, który może imponować antropologom. I światłemu społeczeństwu<sup>631</sup>.

### **Przykład 501. Józef Bułatowicz – *O kształceniu* (1985?)**

Niepotrzebnie o studia  
nadal tyle krzyku,  
gdy magister inżynier  
pracuje w butik<sup>632</sup>.

### **Przykład 502. Józef Bułatowicz – *W szkole* (1985?)**

Zdjąłbym z pani odzież,  
lecz co powie młodzież?<sup>633</sup>

### **Przykład 503. Tadeusz Gicgier – *Spór w bibliotece* (1985)**

Przyjechało ich na ten występ kilku, ośmiu czy dziewięciu. Byli do siebie bardzo podobni, więc nie udało nam się ich dokładnie policzyć. Bibliotekarka powiedziała nam, że to nowa grupa poetycka „W głąb”.

Usiedli za stołem, na którym stała doniczka z alpejskim fiołkiem, tuż pod wielkimi literami hasła: „Najpierw oświaty kaganiec, a dopiero potem taniec!”. Usiedli i spoglądali ponuro w naszą stronę. Jeden z nich, który przedstawił się jako krytyk literacki, powiedział, że grupa poetycka „W głąb” nie zwykła występować przed słuchaczami mniej licznymi od niej samej i dlatego jeszcze poczekają. Po czym usiadł i też zapatrzył się ponuro przed siebie.

Siedzieliśmy tak w milczeniu z pół godziny, kiedy prezes GS-u nie wytrzymał nerwowo i wybiegł z biblioteki, mrucząc pod nosem, że „już się dosyć wysiedział”. Wtedy sekretarz Urzędu Gminnego poszedł po rozum do głowy,

<sup>631</sup> H. Adamczewska, *W cieniu belle epoque*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1985, s. 151–154.

<sup>632</sup> J. Bułatowicz, *Motylek...*, dz. cyt., s. 6.

<sup>633</sup> Tenże, *W szkole*, [w:] tegoż, *Amorałki*, Wydawnictwo Klubu Literackiego Narew, Ostrołęka 1985, s. 31.

a zaraz potem do remizy strażackiej, gdzie odbywała się kolejna w tym roku uroczystość rycerzy świętego Floriana, poświęcona tym razem walce z alkoholizmem. Strażacy wzbraniali się z przyjściem do biblioteki, więc sekretarz, dla ratowania honoru gminy, powiedział im, że występ ma nakręcać telewizja, co nie było prawdą, i że po występie przewidziana jest lampka wina, co odpowiadało prawdzie.

Strażacy przyszedli i zaczęli się wieczór autorski. Młodzi poeci, nie wstając z krzesel, czytali kolejno swoje wiersze. Były one do siebie bardzo podobne, więc nie udało nam się ich dokładnie zrozumieć. W pamięci utkwił nam tylko jeden utwór poety Frącka pt. *Czerwony dym*, który był programowym utworem grupy. Zaczynał się tak:

Czerwony dym dym dym  
i w niej i w nim nim nim  
nacieraj rąb rąb rąb  
głąb czarną w głąb głąb głąb  
...i tak dalej, i tak dalej.

Potem miała być dyskusja. Siedzieliśmy tak naprzeciw siebie znowu z pół godziny, kiedy sekretarz Urzędu Gminnego pokazał na migi jednemu ze strażaków butelki wina, stojące w kącie biblioteki, i w ten sposób nakłonił go do zabrania głosu. Strażak wstał i wyrębał, że poetę Frącka należałoby wysłać na kurs przysposobienia rolniczego. Bo czarna jest ta sznurówka, którą poeta Frącek ma pod szyją, ale nie głąb, który jest zielony. Na to poderwał się młody krytyk i oświadczył, że nie powinien dyskutować ten, kto nie zna się na awangardzie. A drugi strażak, który służył w wojsku zaraz po wojnie, zaśpiewał: „My awangarda Polski, armia twarda...”, ale nie pozwolono mu dokończyć, bo wybuchł wielki spór o to, czy poezja poety Frącka jest poezją dostępną dla szerszego ogółu. Krytyk dowodził, że tak, a strażacy, że nie i nie. A ponieważ butelki z winem ścierały na siebie coraz więcej spojrzeń, ktoś zgłosił wniosek, aby przeprowadzić głosowanie. Wypadło ono na niekorzyść poety Frącka, o czym zdecydowała zwykła większość głosów.

Dyskusję podsumował młody krytyk, oświadczając, że grupa poetycka „W głąb” wyciągnie z tego spotkania odpowiednie wnioski: nigdy nie będzie występować przed słuchaczami liczniejszymi od niej samej. – Na szczęście – powiedział – na ogół nam to nie grozi<sup>634</sup>.

<sup>634</sup> T. Gicgier, *Spór w bibliotece*, [w:] tegoż, *Wąwóz Belzebuba*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, s. 28–29.

**Przykład 504. Stanisław Janicki – *W starym polskim kinie.*  
Fragmenty wspomnień dotyczących  
okresu międzywojennego (1985)**

Za czasów świetności Eugeniusza Bodo byłem uczniem jedyne go prywatnego gimnazjum w wielkim przemysłowym zagłębiu naftowym. Pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że do naszego miasta przyjeżdża z występami Eugeniusz Bodo. Zapowiedź ta wprawiła w stan ożywienia większą część moich rówieśników i ich rodziców, ale dziewczęta to już naprawdę potraciły głowy. Szkoła nasza posiadała do swojej dyspozycji salę towarzystwa „Sokół”. W tej to sali przygotowanej na wysoki połysk, odbyć się miało moje spotkanie z aktorem, którego znałem do tej pory jedynie z ekranu. Ponieważ występ pana Eugeniusza Bodo miał się odbyć wieczorem, w godzinach porannych na lekcjach piękną reprezentowały dwie lub trzy jej przedstawicielki, te nieliczne, które nie miały chęci na spotkanie z królem dziewczęcych serc. Pozostałe – oraz ich mamusie – od samego rana przygotowywały się na ten pamiętny wieczór. Wreszcie zaczęło się...

Sala wypełniona była do ostatniego miejsca. Pierwsze wrażenie – to bukiet zapachów najróżniejszych perfum. Dziewczęta ubrane w przepisowe galowe mundurki z niebieskimi i czerwonymi tarczami na rękawach, ale było od razu widać, że mundurki były nieco inaczej skrojone. Miały głębsze dekolty. No i przy każdym dekolcie falowała odświętna kokarda. Te falujące kokardy wyrażały całe wzruszenie, jakie miało za chwilę nastąpić.

Wreszcie kurtyna poszła w górę. Dziś nie pamiętam już ani tytułu, ani treści tego wodewilu, ale przypominam sobie pierwsze minuty gry aktorów, wśród których... nie ukazał się oczekiwany pan Eugeniusz. Wprawdzie głos jednej z aktorek nieco przypominał głos znanego artysty, ale cóż z tego. Głosy mogą być podobne. A może? Chyba nie! To jest przecież kobieta. Piękne, białe ręce obnażone aż do barku, pierś i kibić dorodnej białogłowy. No i uśmiech, odsłaniający piękne białe zęby... Cóż to za aktorka? Nikt jej nie zna! I tak trwaliśmy w niepewności. Byliśmy nawet trochę zawiedzeni, że nas tak oszukano. Niektóre dziewczęta głośno wyrażały swoje niezadowolenie.

Ale finał tego wodewilu był taki, że w końcu pan Eugeniusz przestał być niewiastą i stał się prawdziwym i oczekiwanym bóstwem. Wszyscy długo biliśmy brawo. Chłopcy z pewnym żalem, że zniknęła im ze sceny piękna panna Bodo, a dziewczęta z radością, że ukazał się wreszcie ich bóg.

I właśnie wówczas – my chłopcy – przekonaliśmy się co to znaczy mieć groźnego konkurenta... Na dobrą sprawę przestaliśmy istnieć dla naszych koleżanek. Nasze sympatie, a nawet szkolne miłości, jak gdyby oszalały! Po skoń-

czonym przedstawieniu zwartą ławą ruszyły za kulisy. Pan Eugeniusz nie mógł wyjść z za tych kulis. Dopiero któryś z naszych nauczycieli – prawdopodobnie wysportowany nauczyciel wychowania fizycznego – zaczął torować drogę naszemu gościowi wśród rozhisteryzowanych pańienek. Ich mamusie stały wprawdzie nieco w tyle za swoimi pociechami, ale ich piękne stroje i omdlewająca wzrok świadczyły o tych samych uczuciach, jakie ich córki wyrażały bez skrępowania.

Co było potem – nie wiem. Wiem tylko, że nigdy – my, płeć odmienna – nie czuliśmy się tak osamotnieni, upokorzeni, a nawet ośmieszeni jak wtedy w ów wieczór...<sup>635</sup>

### **Przykład 505. Agnieszka Osiecka – *Analfabetyzm*.**

#### **Fragmety wspomnień dotyczące lat 50. XX w. (1985)**

Analfabetyzm, a właściwie Zwalczenie Analfabetyzmu miało dla młodych wilczków we wczesnych latach pięćdziesiątych to samo znaczenie co Wykopki (Wyjazd na Wykopki).

Zwalczenie Analfabetyzmu było mianowicie związane ze wspólnym, koleżeńskim wyjazdem na wieś. Jechało się odkrytą ciężarówką i śpiewało się zetempowskie piosenki. Na przykład:

*Nie papież nam Wybrzeże dał,  
nie Śląsk biskupów był – tarara.*

Był oddech świeżego, polnego powietrza, był widok niebieskich chat przycupniętych przy drodze, a przede wszystkim i nade wszystko – perspektywa spędzenia całej nocy z ukochaną dziewczyną. Była to perspektywa, do której śmiały się młodym oczyma i wyciągały ręce. Gdy tylko powiedziało się A (Analfabetyzm), chciało się też powiedzieć B!... (Baśka!).

Pomyślcie, czasy były wtedy, jeśli chodzi o łóżko, nieprawdopodobnie ciężkie. Mieszkania rodziców – zatłoczone nieprzytomnie, w akademikach – koszarowy dryl i „czarne listy”, a w hotelach meldowano wspólnie tylko małżeństwa. Zwalczenie Analfabetyzmu pachniało wspólną nocą na sianie, chłopską przytulną stodołą i szklanką ciepłego mleka na śniadanie.

Witold Dąbrowski, poeta, który w owych latach był chłopaczkiem jeszcze, ale już płomiennym komunistą i wielbicielem Majakowskiego, opowiadał mi później, jak groźnie i niebezpiecznie bywało na tym „odcinku klasowej bitwy”. Wspominał zebranie wiejskie, na które chłopcy przyszli z bronią i zatarasowali drzwi... Ja miałam więcej szczęścia; mała dziewczynka podeszła do mnie z gi-

<sup>635</sup> S. Janicki, *W starym polskim kinie*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1985, s. 146–148.

gantycznym workiem gruszek i powiedziała: „Niech pani nie uczy babci czytać. Ona jest taka dobra”.

Wspomnienie to pochodzi – o ile pamiętam – z czasów szkolnych...

W latach studenckich szaleństwo Zwalczenia Analfabetyzmu ogarnęło nas jeszcze szerszym płomieniem. Pamiętam jednak kolegę, którego Zwalczenie Analfabetyzmu nie pociągało. Dziewczyn unikał, przyrody nie lubił, łatwo się przeziębiał. Kilka razy nawalił, nie wziął udziału w akcji i ruszyło go sumienie. Postanowił na najbliższym zebraniu ZMP złożyć samokrytykę. A mówił ładnie, ubierał się starannie i w ogóle pochodził ze starej pepeesowskiej rodziny z tradycjami. Powiedział: „Koledzy, tak i tak, zrozumiałem swój błąd, i postanowiłem chociaż po części go naprawić. Zobowiązuję się zacząć od naszej gosposi”.

Miał z tego ów student poważne nieprzyjemności<sup>636</sup>.

### **Przykład 506. Jerzy Szaniawski – Wykład Profesora Tutki w wyższej szkole handlowej (1985)**

Gdy wspomniano nazwisko pewnego profesora, rejent powiedział, że słyszał od studentów, iż wykłady jego określane są jako „suche”. Na to odezwał się sędzia: – Jak uczeń jest leniuchem i nie chce myśleć, będzie on zawsze oskarżał profesora o to, że wykłady jego są nudne lub suche. Mury wyższej uczelni to nie magazyn ilustrowany, w którym popularyzuje się wiedzę i podaje ją w sposób przystępny, pociągający, a czasem nawet – frywolny.

Profesor Tutka zamyślił się i powiedział: – Przypomniał mi się mój wykład w wyższej szkole handlowej. Dyrektor tej szkoły, ekonomista, nie mógł raz mieć lekcji, a chcąc, żeby słuchacze nie stracili godziny, skorzystał z mej obecności w szkole i poprosił, abym coś im opowiedział. Wspomniał tylko, że miewa teraz wykłady o „wartości”.

Zjawienie się moje na katedrze, czułem, że było przyjęte z sympatią, bo chociaż to nie byli moi uczniowie, miałem opinię, iż wykłady moje nie bywają „suche”, jak tu słyszeliście przed chwilą. Ta sympatia młodych słuchaczy, pora, w której odczuwało się wiosnę, zresztą już nie pamiętam, jaka była jeszcze przyczyna – dość, że wszystko to nastroiło mnie jakby lirycznie, trochę nawet sentymentalnie i może dlatego sięgnąłem do osobistych wspomnień. Zapowiedziałem, że to, o czym będę mówił, nie ma może wiele wspólnego z dziedzina ekonomii, ale zupełnie od niej nie odbiega.

---

<sup>636</sup> A. Osiecka, *Analfabetyzm*, [w:] *też*, *Szpetni czterdziestoletni*, Iskry, Warszawa 1985, s. 17–18.

I tak mniej więcej mówiłem:

Działo się to w Alpach, w miejscowości położonej wysoko, oddalonej od ludnych szlaków turystycznych. Zamieszkałem w małym hoteliku. Usługiwała mi niezwykle sympatyczna, mająca wiele uroku dziewczyna. Widocznie, że i ja byłem sympatyczny i miałem w sobie wiele uroku, gdyż wkrótce bardzośmy się pokochali. Miłość ta była pogodna, słoneczna, jedyna chmura, która czasem przesłaniała słońce – to świadomość, że się kochanie wkrótce skończy. Cóż?... „Turysta”... Odjedzie, powie, że na przyszły rok tutaj wróci, ale zwykle nie wraca. Napisze serdeczny list, później w czasie jakichś uroczystych świąt przypomni sobie znajomą i pośle jej barwną pocztówkę, przedstawiającą tańce z jego kraju i – na tym się zwykle kończy. Wiedziała o tym dobrze moja dziewczyna. Gdy po sześciu tygodniach nadszedł dzień, w którym trzeba było się pożegnać, przemiłe, kochane dziewczę przyniosło mi paczuszkę. Dziewczyna miała łzy w oczach, ale mówiła z leciutkim uśmiechem: „To jest popielniczka, którą sama zrobiłam. Gdy pan będzie daleko u siebie i zapali papierosa, proszę strząsać popiół do tej popielniczki i... pomyśleć czasem o mnie”.

Popielniczka, którą postawiłem później na swym biurku, to dwa nałożone na siebie szklane spodki. Spodek dolny wyklejony był obrączkami z cygar. Wypalili te cygara goście hoteliku. W środku widziało się podobiznę Franciszka Józefa, poza tym były głowy Indian, słonie, antylopy, palmy, monogramy, słowem, to, co się zwykle widuje na czerwono-złoty obrączkach cygar.

Pokój mój zaczęła coraz częściej odwiedzać przystojna, kulturalna pani. Zauważyłem raz, że się przygląda mojej popielniczce. Wiedziałem, co myśli: „jak można trzymać na swym biurku rzecz taką tanią i brzydką”. Ale nie mówiła ze mną na ten temat. Pani bowiem miała opinię kobiety „subtelnej” i starała się zawsze tę opinię utrzymać.

Pewnego wieczoru przyniosła mi w prezencie popielniczkę srebrną, wykonaną misternie. Znałem się na ładnych wyrobach i musiałem przyznać, że otrzymałem rzecz cenną.

Po wyjściu pani stały na moim biurku dwie popielniczki. Tania, i droga. Bajkopisarze, poeci, dzieci umieją ożywić często przedmioty martwe, dając im cechy istot żywych, nawet mogą podsłuchać ich mowę, podobną do ludzkiej. Ja wprawdzie nie słyszałem, co mówią do siebie popielniczki, ale czułem, że nie mają ku sobie sympatii, że stać razem nie mogą. Tę nową, srebrną, włożyłem po wyjściu pani do szuflady, a pozostałem przy dawnej. Strąciłem popiół z papierosa i wyraźniej niż w inne dni ujrzałem postać kochanej dziewczyny. Byłem dla niej czulszy i cicho powiedziałem jej imię. Wszystko to pięknie – pomyślałem – ale co zrobić z popielniczką, gdy przyjdzie znów do mnie pani, ta bądź

co bądź bardziej realna? Postanowiłem, że gdy się będę spodziewał jej wizyty, wyjmę z szuflady popielniczkę srebrną, a schowam tę szklaną. Tak też zrobiłem parę razy. Ale pani przyszła kiedyś niespodziewanie. Na biurku mym zobaczyła skromną, szklaną popielniczkę. Co robić? Jak to wytłumaczyć? Było mi nieswojo. Pani nie pytała, gdyż, jak wiadomo, uchodziła za kobietę subtelną. Spostrzegłem jednak, że zwróciła na popielniczkę uwagę. Nawet po twarzy jej przemknął uśmiech ledwie dostrzegalny, ale zdecydowanie złośliwy. Nie czuliśmy się dobrze. Zrodził się między nami jakby załóżek niechęci, zrodziło się przecucie poważniejszych w przyszłości nieporozumień. Przecucie zresztą nie myliło.

Ale wracam do popielniczki: proszę panów – mówiłem – „popielniczka”: „rzecz drobna – rzecz błaha”; „rzecz ładna – rzecz brzydka”; „rzecz tania – rzecz droga”. Te wszystkie określenia nie zawsze są pełne, doskonałe. Całej prawdy, a w tym i prawdy o wartości popielniczki, nie dają.

A więc tak, panie sędzio, mówiłem do słuchaczy w wyższej szkole handlowej. Zlekceważyłem dostojeństwo i powagę jej murów, zamieniając je swym wykładem w magazyn ilustrowany. Nie mówiłem nawet w sposób, jak określił pan sędzia, „frywolny”, ale z lekka sentymentalny. Na usprawiedliwienie moje muszę przypomnieć, co zaznaczyłem na wstępie, że był to dzień, w którym czuło się wiosnę<sup>637</sup>.

### **Przykład 507. Anonim – *I dziadek Łebek był kiedyś rekrutem* (1986?)**

– Przypomniała mi się jedna przygoda z czasów rekruckich – powiada kiedyś dziadek Łebek. – Siedzimy w salce wykładowej, a przy tablicy objaśnia nam kapral, z ilu części składa się karabin maszynowy, potem o chłodzeniu wodą i w pewnym momencie mówi do nas: – Zapamiętajcie chłopcy, że woda zaczyna się gotować przy 90 stopniach.

Jo aż podskoczół na krześle, bo mi się przypomniało, że w szkole nos uczyli, iż woda gotuje się przy 100 stopniach. Dźwigom więc ręką i powiadam: – Przepraszam piyknie, panie kapral, ale woda zaczyna się gotować przy 100 stopniach.

– Cicho tam Łebek – nie przeszkodzę je ie, jak jo wom godom, że woda gotuje się przy 90 stopniach, to na pewno tak jest, a nie inaczej. Zrozumiano!

Po mojej minie widocznie jednak poznoł, iż mnie nie przekonoł, więc powiada: – A zresztą zaroz wom Łebek po koza „czorne na biołym”, że mom racjo i zaczął szukać w podręczniku.

---

<sup>637</sup> J. Szaniawski, *Wykład Profesora Tutki w wyższej szkole handlowej*, [w:] tegoż, *Profesor Tutka*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1985, s. 68–70.



Po chwili, drapiąc się ze zakłopotaniu po czuprynie, kapral zwraca się do mnie: – Tym razem wy Łebek macie rację, bo 90 stopni... to mo kąt prosty<sup>638</sup>.

### **Przykład 508. Anonim –**

#### ***O wójcie, co Niemcom jak pies służył* (1986?)**

Już tymu będzie ze sto roków, jak w jednej dziedzinie niedaleko Goleszowa był fojt, co strasznie szel za Nymcami i Habsburgom jak pies służył, chociaż ani jednego słowa po niemiecku nie łumiał.

Mieli jedną cerę i te prawie chcieli wydać jyny za takigo, co będzie miał język niemiecki w gębie. Kaśka – bo tak ji było na miano – miała już swojigo Jędryska, ale cóż tak jak on, to i ona nie łumieli słóweczka po niemiecku.

Przyszła jesiyń i Jędryska pozwali ku asyntyrunku, a za porę tydni dostał kartkę do wojska. Dziyń przed wyjazdem łopowożył się chłapiec i poszoł piyrszy roz do fojtów, aby się zwierzić ze swoji miłości do Kaśki i popytać ich, coby ji pozwolili na niego czekać.

Stary fojt siedziół przy stole, palcami bębnił po nim, zaciągnął se z fajfki, wypuł się na deliny i tak się łodezwoł: – Toż Jędrysku, godzimy się na to, co se łoba życzycie, jyny pod jednym warunkym: że piyrsze pismo, kiere do Kaśki napiszesz, będzie musiało być napisane po niemiecku!

Kaśka z Jędryskym łuściskał i fojtow, a na drugi dziyń Jędrys poszedł prosto z kufrym do wojska. Za porę tydni przyszło piyrsze pismo łod Jędryska, po tym drugi, a za jaki tydzień już trzeci...

Kiedy już pocztorz prziniósł to sztworte pismo, to fojtka z Kaśką zadecydowały: – Przeca nasz pón kierownik szkoły rządzą nie jyny po naszymu, ale łumją aji po niemiecku a jak pięknie rozprawiajóm po polsku...

Jak się kapkę przeciśniło, toż zapłóciami poszły prosto do szkoły i łod razu dały rectorowi to łostatni pismo przeczytać.

Nauczyciel go wziył do ręki, łusmiychnył się a potym zachmurził i za chwile im go głośno czytoł: – Majne libe Kaśka! Ich szrajbe do Ciebie draj brif. A ty nie łodszrajbowalaś ani ajnc. Jo Cię łaskawie bitte, łodszrajbuj mi. Ale glajch. A poszlij mi geld, bo brałch. Na galaty i szuh, bo jak nie poszlesz, to nyme Gewer i szus. I będzie z nami szlus<sup>639</sup>.

<sup>638</sup> Anonim, *I dziadek Łebek był kiedyś rekrutem*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdoty...*, dz. cyt., s. 77–78.

<sup>639</sup> Anonim, *O wójcie, co Niemcom jak pies służył*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdoty...*, dz. cyt., s. 76–77.

**Przykład 509. Szymon Kobyliński – *Noniusz. Wspominki z życia zewnętrznego. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń po 1944 roku* (1986)**

Zdawałem wówczas maturę w niezwykłym liceum, gdzie patronowie szkoły siedzieli w jej ławkach, nadano jej bowiem imię Powstańców Warszawy – i oni właśnie skandowali tu pracowicie: „Exegi monumentum aere perennius regalique situ pyramidum altius, quod non imber edax, nec Aquilo impotens possit diruere aut innumerabilis annorum series et fuga temporum...” – lub też inną odę, tę ze zwrotem „Carpe diem, quam minimum credula postero”. Odsyłam nieświadomych do cudzych przekładów Horacego, tu podkreśliłem tylko ostatnie zdanie, jako że się na ogół nie pamięta, iż to wezwanie „chwytaj dzień, bieżącą chwilę” uzupełnione jest słowami: „jak najmniej spodziewając się po jutrze”. Właśnie tak żyliśmy, możliwie najwesелей, najbujniej, rozchichotani, odrabiający dziecięcym rozhulaniem czarne lata – i udający, żeśmy nie zauważyli nagłego zniknięcia spośród nas wodzirejki wygłupów i figlów. Zawsze się śmiejącej Praksy – gdy ją na lata, jako polityczną, zamknięto do więzienia. My, wciąż na swobodzie, barszkwowaliśmy beztrosko dalej, lejąc chociażby w prima aprilis na profesorskie krzesło jakieś przeraźliwe perfumy, a potem ryczeliśmy ze śmiechu na wieść, jak w pokoju nauczycielskim ciało pedagogiczne próbowało wyniuchać źródło niesamowitej woni! Kiedy indziej znowu – zniecierpliwiło nas, że oto się obiecuje likwidację okropnego sraczyka na tyłach willi (było to wśród małych domków Grochowa), gdzie mieliśmy naszą klasę u pani prof. Czajowej. Obiecuje się i nic z tego. Toteż z wprawą nabytą przy liniach kolejowych z okresu „Alle Rader miissen rollen für den Sieg” zostały przez chłopaków podłożone ładunki pod drewniane pudło w krzakach, a włącznikiem – po przeciągnięciu niewidocznego kabla – był zamek teczki Pikusia w pokoju klasowym. No i w połowie klasówki z matematyki Pikuś zatrzaskał teczkę. Łomot buchnął tak straszliwy, że przysiedliśmy w sobie, a po obiekcie nie zostało nawet jednej drzazgi i tylko dookolne wille były długo piegowate<sup>640</sup>.

**Przykład 510. Leszek Maruta – *Lekcja języka* (1986)**

Aż uszy bolą od tego plugawego słownictwa! – wyraził się mój przyjaciel, kiedy obaj odpoczywaliśmy na terenie kąpieliska. Istotnie, siedząca obok nas grupka młodzieży suto okraszała rozmowę słówkiem, które oznacza po łacinie krzywiznę, po niemiecku zakręt, a po polsku przedstawicielkę najstarszego zawodu

<sup>640</sup> S. Kobyliński, *Noniusz. Wspominki z życia zewnętrznego*, Iskry, Warszawa 1986, s. 26–27.

świata (jakby nie było jeszcze gorszych zawodów – Czytelnik wie, które mam na myśli). Wstaliśmy, ubraliśmy się, wyszliśmy.

– Ależ mnie razi ten ordynarny język! – użalał się mój przyjaciel, kiedy znaleźliśmy się z kolei w barze mlecznym. Kilku siedzących koło nas ludzi ciężkiej pracy murarskiej zarzucało sobie bez przerwy niekompetencję w dyskusji przy pomocy skrótowego, a wielce wulgarnego słówka, oznaczającego także utrzymywanie intymnych stosunków płciowych. Uszy wprost więdły. Zjedliśmy z niesmakiem, zapłaciliśmy, wyszliśmy.

– Nie, ja tego już nie wytrzymam! – krzyknął nagle w teatrze mój przyjaciel i zerwał się z fotela, kiedy siedzący za nami facet syknął z podziwem: „O sk...”. Wyszliśmy w połowie aktu.

Postanowiłem przeciwdziałać temu masowemu, a jakże okropnemu zjawisku. Potrzebna nam jest natychmiast reforma! I to reforma języka. Te wszelkie plugastwa, świństwa, przekleństwa należy zastąpić innymi, ale takimi absolutnie niezrozumiałymi dla otoczenia. Żeby i wilk był syty, i owca cała.

Rok cały spędziłem, wśród ksiąg. Wreszcie znalazłem. Przekleństwa japońskie! Kto to powiedział, że stać nas na to, aby być drugą Japonią? Święte słowa. No, ale najpierw samemu trzeba dać przykład. Za panią matką wszystko pójdzie gładko.

Wyszedłem z domu i od razu znalazła się okazja. Drogę zajechał mi samochód i o mało co nie wpadłem pod jego koła.

– *O simatta!* Jak jedziesz, *aka* jeden?!

Kierowca uprzejmie kiwnął mi ręką. Doskonale.

Wstąpiłem do baru, zamówiłem obiad. Czekam, czekam, czekam, a tu kelnerka się nie zjawia. Jeść mi się chce, pić mi się chce...

– *Bakajaro!* – wrzasnąłem na całą salę. – Gdzie są te zamówione flaczki i oranżada? *Sensei*, jak długo mam jeszcze czekać? *Musume!*

– Już podaję – odparła grzecznie kelnerka.

Ładna bestyjka. Szkoda, że nie dodała: „Maruta-san-cian” – drogi, kochany panie M...

Eksperyment nie zawiódł. Otoczenie w lot podchwyciło tę innowację. Już i na basenie inaczej teraz ze sobą rozmawiają.

– *Tomodaci*, jak mi jeszcze raz skoczysz na głowę, to ci *ame futte dzi katamaru!*

To samo w przedziale kolejowym.

– Czy może mi pan pomóc dźwignąć tę walizkę?

– *Cikusio!* Niech pani *cici* podniesie.

Jak również w lokalu nocnym: – Czy mogę panią prosić do tańca?

Tu wtrąca się osobnik towarzyszący damie: – *Koncikusjo! Arigato bakajaro, juri kampei ohajo godzaimasu! Nani so des!*

– Un, ha – niefortunny tancerz kłania się tylko głęboko i odchodzi.

Niedawno oprowadzałem wycieczkę Japończyków. Przeszliśmy się po naszym mieście, poszliśmy na basen.

Zżółkli jeszcze bardziej, padli na ziemię. Byliśmy w dyskotecie. Zbledli, zzielenieli. Byliśmy na piwie. Zatkali sobie uszy. Byliśmy w restauracji. Pałeczki wypadły im z rąk. Zerwali się od stołu – i odlecieli do Tokio.

Dobrze im tak. Chcieli z nas zrobić drugą Japonię? Niech teraz cierpią. *Sajonara!*<sup>641</sup>

### **Przykład 511. Andrzej Waligórski – *Bawiąc uczyć* (1986)**

Drogą okólną, niepozorną  
 Ktoś się podkrada jak padalczyk:  
 To tatuś niesie album porno.  
 Co mu pożyczył pan Kowalczyk!  
 To tatuś porno w dom przemyca,  
 A nie chcąc mamie wpaść do rączek,  
 Od tyłu, od ogródka kica  
 Jakby króliczek lub zajęczek!  
 Kica po grządce i po skwerku,  
 I strach, i zachwył ma na licu,  
 Czasem w ten album zerku-zerku,  
 A potem dalej kicu-kicu!  
 Album jest piękny i wesoły,  
 Różne w nim rzeczy są podane,  
 Na przykład są dwie panie gołe,  
 Które się bawią w panią z panem!  
 Aż się tatkowi uszki pocą,  
 Aż rączki w podnieceniu ściska...  
 W swoim łóżeczku, późną nocą,  
 Obejrzy to dokładnie z bliska.  
 Lecz jaki chytrus bywa z tatki!  
 Zanim się weźmie za czytanie –  
 Wsadzi ten album do okładki  
 Z książki uczonej niestychanie,  
 Żeby mieć haka na mamusię,

<sup>641</sup> L. Maruta, *Lekcja języka*, [w:] tegoż, *Hejnał z wieży wariackiej. Humoreski i opowiadki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 122–124.

Kiedy się zbudzi nieprzytomnie  
I spyta: – Co ty czytasz, Niusiek?  
To on odpowie: – Ekonomię...!  
I zacznie dukać różne słowa,  
Takie jak: – Procent, strajk, recesja,  
Rentowność, wartość dodatkowa,  
Polucja... O pardons, progresja...  
Noc płynie... Gdzieś tam sowa huczy...  
Czasami wiatr przez szpary gwiźnie...  
Nasz tatko się i seksu uczy,  
I ekonomii przy tym liźnie,  
I grzeje sobie w łóżku kości,  
Zamiast się gdzieś po knajpach włóczyć...  
Tak wzrasta poziom świadomości,  
I o to chodzi:  
Bawiąc – uczyć!<sup>642</sup>

### **Przykład 512. Andrzej Waligórski – *Stróż Jasia* (1986)**

Jasio piękny był jak róża,  
Ładnie się rodzicom chował.  
Przy tym miał aniołka stróża,  
Który nim się opiekował.  
Czasem, kiedy pani w klasie  
Jasia gnębi i sztorcuje,  
Mówi: Ożesz ty, głuptasie!  
I chce chłopcu wstawić dwóję.  
Stróż poczciwy aniołeczek  
Dziecię chronić chcąc niewinne,  
Trąci panią w ołóweczek –  
I już dwóję ma ktoś inny!  
Takie później, przy maturze,  
Tym młodzieńczym, pięknym zrywie,  
Inne aniołeczki stróże  
Radzą swoim: – Walcz uczciwie!  
Ale Jasia stróż jest lepszy,  
Spod skrzydełka coś wyciąga:  
– Jasiu, nie myśl sam, bo spieprzysz,

---

<sup>642</sup> A. Waligórski, *Bawiąc uczyć*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, Wydawnictwo Literackie, Kraków – Wrocław 1986, s. 15–16.

Patrz, baranie, tu jest ściąga! –  
Potem Jasio się zakochał,  
Ale zamiast pieścić dziewczę,  
Ciągle tylko śpiewał, szlochał,  
Albo głośno czytał wiersze.  
Kiepsko by się to skończyło,  
Lecz aniołek w sposób krótki  
W postać Jasia wszedłszy siłą –  
Zabrał babkę do Sobótki.  
A nazajutrz ta panienka  
Już za Jasiem sama biega,  
Już jest przy nim jakaś miękka  
– Jasio – mówi – to agregat!  
Siedzi Jasio na posadzie,  
Wykonuje zadań szereg –  
Tu swój podpis z wdziękiem kładzie,  
Tam przybija znów stempelek,  
Zaś aniołek z obowiązku  
Podpowiada wciąż tej mumii:  
– Jasiu, zapisz się do związku!  
– Jasiu, dziecko do komunii!  
– Napisz donos! Składki popłać!  
– Szefa spytaj się o zdrowie!  
Nie ma kiedy pojeść, pospać  
Tak jak inni aniołowie,  
Więc go wątpliwości gniotą  
Nie sprawdzone należycie:  
– Czy koniecznie półdidiotom  
Musi się ułatwiać życie?<sup>643</sup>

### **Przykład 513. Andrzej Waligórski – *Szkoła katów* (1986)**

Przed wiekami, w średniowieczu,  
(z dawnych wiemy to traktatów)  
W podkarpackim mieście Bieczu  
Utworzono Szkołę Katów.  
Taka szkoła to unikat,

---

<sup>643</sup> Tenże, *Stróż Jasia*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, dz. cyt., s. 110–111.

Bez najmniejszej konkurencji!  
Na jej czele Magnifi-kat  
Stał, zamiast Magnificencji,  
A że miły i wesoły  
Zawód kata był w tych czasach,  
Przyjeżdżała więc do szkoły  
Studenterii cała masa!  
Co dzień trwały tam zajęcia  
Intensywne niesłuchanie –  
Tu, powiedzmy, jakieś ścięcia,  
Tam, powiedzmy, przypiekanie,  
Ten świdruje, ów wyłupia,  
Inny amputuje rączki,  
Jeszcze inny się wygłupia  
Tak jak wszystkie w świecie zaczeki.  
Ale czasem rzedną miny,  
Drżą najbardziej nawet dzielni,  
Gdy nadchodzą egzaminy  
I kolokwia w tej uczelni.  
Już profesor dał zadanie  
Z wdziękiem i z dezynwolturą:  
– Student Dreptak! Wasz skazaniec!  
Ma się przyznać, że jest kurą!  
Stęka Dreptak biedaczyna,  
Co naprosi się i naklnie,  
Ponaciąga, popodrzyna,  
Nim skazaniec wreszcie gdaknie...  
To też żadne aleluja,  
Bo docenci wybrzydząją:  
– Słabo Dreptak, ledwie trójją.  
U Trypućki gość zniósł jajo!!!  
Idą studia, że aż warczy,  
Przykładają się studenci:  
Tu coś jęczy, tam coś charczy.  
Ówdzie czka, gdzie indziej rzęzi.  
Jedni już przy doktoratach,  
Inni znów przy zaliczeniach,  
A nowicjusz dziarsko zmiata

Palce od nóg, po ćwiczeniach.  
 Wreszcie dyplom, przydział pracy,  
 Pasowanie (ostrzem miecza),  
 Ech, rozpierzchną się chłopacy,  
 Pójdą w świat z pięknego Biecza.  
 lecz kat z katem jak brat z bratem,  
 Zawsze katu kat pomoże,  
 Chałę znajdzie dlań i szatę,  
 Chleb, herbatę, miękkie łoże,  
 Kat da katu flaków, makat,  
 Katamaran, Kaşkę, fiata,  
 A gdzie etat, kata vacat –  
 Tam na etat pchnie kat kata!  
 Mnie też wepchnął mój przyjaciel.  
 Ale mam żal do faceta,  
 Bo kat w radio na etacie  
 To nie kat, to katecheta...<sup>644</sup>

### **Przykład 514. Andrzej Waligórski – *Zabytek* (1986)**

Kiedyś swojego tatkę spytał mały Witek:  
 – Powiedz mi, proszę, tatusiu, co to jest zabytek?  
 – Zabytek – odparł tato – to rzecz z dawnych czasów,  
 Z okresu Jagiellonów, Piastów, względnie Sasów,  
 Co trochę się rozpada, a trochę się kruszy,  
 Ale jest pod ochroną, więc jej nikt nie ruszy.  
 Choćby miała tamtędy przejść nowa arteria –  
 On stoi cały w blaskach, basztach, boazeriach,  
 Rozparty w poprzek drogi, bliski – a daleki,  
 Bo za nim stoją dawne zwyczaje i wieki  
 Ze swymi przesądami, brakiem tolerancji,  
 Cielęcym zapatrzeniem się we wzorzec Francji  
 Albo Anglii lub Austrii, względnie w przepych Wschodu,  
 Z pogardą dla prostego, ciemnego narodu,  
 Z odrabianiem pańszczyzny, topieniem czarownic,  
 Pancierzem zapinanym z pomocą lutownic,  
 Przyłbicą opuszczoną w momentach poruty

<sup>644</sup> Tenże, *Szkoła katów*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, dz. cyt., s. 117–118.



(bo lepiej w takich razach miewać łeb zakuty),  
Z supremacją łaciny, ubóstwem polszczyzny.  
Ciągłym nadużywaniem imienia ojczyzny  
Oraz odwoływaniem się do sądów nieba...  
To jest właśnie zabytek, więc go chronić trzeba!!!  
Synek słuchał uważnie, słówka nie uronił,  
Wreszcie rzekł: – dobrze, tato... Ja cię będę chronił...<sup>645</sup>

### **Przykład 515. Michał Stefan Dalecki – *Ballada pedagogiczna* (1987)**

Sprawa to niesłychana,  
rada trwa już od rana.  
W balladzie dysputy zmora,  
a radzić trza do wieczora.  
Gdy poległ ostatni mówca,  
sens zgubił gdzieś na manowcach.  
Tak się skończyła ballada śliczna:  
swojska – ballada – pedagogiczna<sup>646</sup>.

### **Przykład 516. Michał Stefan Dalecki – *Douczenie* (1987)**

Czego Jaś się nie nauczył w klasie,  
tego douczą go Zosie, Krysie, Basie<sup>647</sup>.

### **Przykład 517. Michał Stefan Dalecki – *Dziedzic* (1987)**

Na szkolnym dworze  
tyś pan – dyrektorze:  
racz – czasem – pamiętać,  
też o plenipotentach<sup>648</sup>.

### **Przykład 518. Michał Stefan Dalecki – *Grzech za śmiech* (1987)**

Nic mnie tak grzesznie nie rozwesela  
jak grzeczny Dzionek Nauczyciela<sup>649</sup>.

---

<sup>645</sup> Tenże, *Zabytek*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, dz. cyt., s. 98.

<sup>646</sup> M.S. Dalecki, *Ballada pedagogiczna*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987, s. 8.

<sup>647</sup> Tenże, *Douczenie*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 2.

<sup>648</sup> Tenże, *Dziedzic*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 7.

<sup>649</sup> Tenże, *Grzech za śmiech*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 12.

**Przykład 519. Michał Stefan Dalecki – *Jak się stał hartuje* (1987)**

W wielu szkołach wiejskich serce ściska żal:  
nie dziatki tam uczą, lecz – hartują stał<sup>650</sup>.

**Przykład 520. Michał Stefan Dalecki – *Legenda* (1987)**

Dawno: rok lub sto lat temu  
przygasta sława – szkolnych systemów.  
dziś po legendach echa – niewesołe –  
to może z totka wziąć „system” na szkołę<sup>651</sup>.

**Przykład 521. Michał Stefan Dalecki –  
*Między dawnymi a nowymi laty* (1987)**

„Uczta się dziatki” – nauczali starzy,  
młodym się Uczta bez nauki – marzy<sup>652</sup>.

**Przykład 522. Michał Stefan Dalecki – *Nobilitacja* (1987)**

W czułym mariażu ze szkolnym stanem,  
ćwierć wieku temu stałem się „Panem”<sup>653</sup>.

**Przykład 523. Michał Stefan Dalecki – *Podzwonne* (1987)**

Z dumnych marzeń, z tajnych mrzonek  
rozgrzeszał ją – szkolny dzwonek<sup>654</sup>.

**Przykład 524. Michał Stefan Dalecki – *Po latach* (1987)**

Wspomniała swego Pana –  
panna maturzystka:  
wspomniała tego tytana,  
gdy gromami ciskał.  
Ten – zasię  
przy kasie:  
zwid to jaki – czy jaka odmiana?  
Wierny portret Świętego Franciszka<sup>655</sup>.

<sup>650</sup> Tenże, *Jak się stał hartuje*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 5.

<sup>651</sup> Tenże, *Legenda*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 2.

<sup>652</sup> Tenże, *Między dawnymi a nowymi laty*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 10.

<sup>653</sup> Tenże, *Nobilitacja*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 2.

<sup>654</sup> Tenże, *Podzwonne*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 6.

<sup>655</sup> Tenże, *Po latach*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 14.

**Przykład 525. Michał Stefan Dalecki – *Rada* (1987)**

Rada moja – wybaczcie – nie pedagogiczna:  
brak pomysłu na szkołę? – poradźcie się ucznia<sup>656</sup>.

**Przykład 526. Michał Stefan Dalecki – *Reform autorzy* (1987)**

Oni wiedzą jak ze starej wywieźć szkoły – Polskę nową:  
więc z zapałem pielęgnują szkołę – papierową<sup>657</sup>.

**Przykład 527. Michał Stefan Dalecki –  
*Rzecznik praw szkolnych* (1987)**

SENS rzecznikiem racji  
szkolnej demokracji –  
im mniej organizacji,  
tym dłużej – wakacji<sup>658</sup>.

**Przykład 528. Michał Stefan Dalecki – *Stare kariery* (1987)**

Szybko Jasio się szkolił,  
(zaliczył kilka przedszkoli)  
i z tej do nauk – podniety:  
rwie – na uniwersytety<sup>659</sup>.

**Przykład 529. Michał Stefan Dalecki – *Szkolna ekonomia* (1987)**

Jakby coś zrobić – naprawdę – z niczego?  
Poradź się Rady – postępu pedagogicznego<sup>660</sup>.

**Przykład 530. Michał Stefan Dalecki – *Tabula rasa* (1987)**

Z małego wyrośnie duże,  
z dużego większe ziółko,  
bo gdy już po maturze,  
zamknie się szkolne kółko<sup>661</sup>.

<sup>656</sup> Tenże, *Rada*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 2.

<sup>657</sup> Tenże, *Reform autorzy*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 3.

<sup>658</sup> Tenże, *Rzecznik praw szkolnych*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 6.

<sup>659</sup> Tenże, *Stare kariery*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 2.

<sup>660</sup> Tenże, *Szkolna ekonomia*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 3.

<sup>661</sup> Tenże, *Tabula rasa*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 2.

**Przykład 531. Michał Stefan Dalecki – *Tożsamość* (1987)**

Za giętkość w sercu, za hardość w ciele  
 zwali Go młodzi – nauczycielem.  
 A gdy odwrotnie było w tym szyku,  
 stawiał Go Urząd – na dywaniku<sup>662</sup>.

**Przykład 532. Michał Stefan Dalecki – *Trójpolówka (szkolna)* (1987)**

Niejedna pracuje nawet na trzy zmiany,  
 czy jest drugi areał tak wykorzystany?<sup>663</sup>

**Przykład 533. Michał Stefan Dalecki – *Uczeń mistrza uczył* (1987)**

„Że zmieniałem klasy mnogie,  
 dziś do wspomnień dodać mogę:  
 urząd godny, grosz, szofera,  
 także ciebie Mistrzu drogi –  
 i stąd we mnie radość szczerą,  
 dzielą nas klasowe progi”<sup>664</sup>.

**Przykład 534. Jan Gross – *Nauczycielska dola* (1987)**

Nawet uczniowie są gotowi,  
 Dać szkołę nauczycielowi<sup>665</sup>.

**Przykład 535. Anonim – *O Juleczku,  
 co miał zwyczaj ssać palec* (1987)**

– Ja wychodzę po ciasteczka –  
 Rzekła mama do Juleczka,  
 – Sprawiajże się tu przykładnie,  
 Nie ssij palców, bo nieładnie,  
 Bo kto palec w buzię tłoczy,  
 Zaraz krawiec doń wyskoczy  
 Z nożycami, zły okrutnie,  
 I paluszki niemi utnie.

<sup>662</sup> Tenże, *Tożsamość*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 4.

<sup>663</sup> Tenże, *Trójpolówka (szkolna)*, [w:] tegoż, *Mag...*, dz. cyt., s. 4.

<sup>664</sup> Tenże, *Mag...*, dz. cyt., s. 11.

<sup>665</sup> J. Gross, *Nauczycielska dola*, [w:] tegoż, *Rodacy przy pracy*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987, s. 15.

Julek przyrzekł służyć mamie,  
Lecz nie wyszła jeszcze z bramy,  
A już nieposłuszny malec  
Myk do buzi duży palec!

Wtem ktoś z trzaskiem drzwi otwiera,  
Wpada krawiec jak pantera  
I do Julka skoczy żywo.  
Nożycami w lewo, w prawo,  
Uciął palec jeden, drugi,  
Aż krew trysła we dwie strugi.

Julek w krzyk, a krawiec rzecze:  
– Tak z nieposłuszeństwa lecę!

Wraca mama, aj! wstyd! bieda!  
Juleczkowi ciastek nie da,  
Bo kto mamy nie usłucha,  
Temu dosyć bułka sucha.

Płacze Julek, żal niebodze,  
A paluszki na podłodze<sup>666</sup>.

### **Przykład 536. Janusz Osęka – *Analiza* (1987)**

Obecnie podchodzimy już do wszelkich problemów poważnie, wykorzystując najnowsze osiągnięcia nauki.

Podczas narady roboczej, jaka odbywała się w laboratorium, zabrał głos docent: – Jest niepokojącym objawem, że w wodzie, dolewanej do mleka, odkryliśmy wiele szkodliwych pierwiastków śladowych metali ciężkich, jak kadm, strat, rtęć, ołów, a także szereg substancji chemicznych niewskazanych dla zdrowia, w tym mnóstwo detergentów i antybiotyków.

Zapadła cisza. Ktoś chrząknął, ktoś wytarł nos. Bo i cóż tu powiedzieć na takie oświadczenie? O głos poprosił adiunkt.

– Ostatnio robiliśmy dokładną analizę chemiczną benzyny sprzedawanej w stacjach na terenie miasta. Wyniki tych prac przemawiają dowodnie za tym, że dolewana do benzyny woda zawiera uderzająco mało składników, o których

<sup>666</sup> Anonim (?), *O Juleczku, co miał zwyczaj ssać palec*, [w:] B. Butenko (oprac.), *Wesoła gromadka*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987, b.s.

przed chwilą wspominał szanowny kolega docent. Mało tego: w badanej wodzie wykryto określone ilości pożytecznego dla zdrowia człowieka żelaza, cynku, miedzi i magnezu!

Wśród zebranych powstało poruszenie. Naukowcy odnieśli się do odkrycia z dużą odpowiedzialnością i powagą. Niejeden przecież, dojeżdżając do pracy własnym samochodem, utknął w ulicznym korku z powodu niewydolności gaźnika, zalanego wodą.

– Dodać trzeba – kontynuował adiunkt – że pewna ilość chloru, zawarta w wodzie dolanej do mleka, nie tylko nie przeszkadzałyby w pracy silnika samochodowego, ale w sposób skuteczny oddziaływałyby na elastyczność membrany pompy benzynowej...

Takie dane naukowe musiały budzić refleksje. Nic więc dziwnego, że po dojrzałym namyśle włączył się do dyskusji sam profesor: – Nieodparcie nasuwa się uzasadnione przypuszczenie, że gdyby wodę dolewaną do benzyny dolewać do mleka, a wodę dolewaną do mleka – dodawać do benzyny, funkcjonowanie tych składników byłoby o wiele korzystniejsze.

Dyskusja w laboratorium miała się, na szczęście, ku końcowi. Jej uczestnicy powoli rozchodzili się do codziennych zajęć, a temat dogasał w prywatnych rozmowach.

– Gdyby tę wodę dolewać tam, a tamtą tu...

Czyż jednak po raz pierwszy zawodzi centralne zarządzanie w zderzeniu z samodzielnością jednostek, wynikającą z reformy?<sup>667</sup>

### **Przykład 537. Włodzimierz Ścisłowski – *Poemacik pedagogiczny* (1987)**

Staś na sukni zrobił plamę  
Oblał bowiem ponczem mamę.

Staś w kąciku lamentuje,  
bowiem znowu dostał dwóję.  
Widząc ojca w srogim gniewie,  
jak przepraszać, sam już nie wie.

– Dwója głupstwo – mama doda –  
– ale ojca, ojca szkoda!

<sup>667</sup> J. Osęka, *Analiza*, [w:] tegoż, *Tego nie było w TV*, Iskry, Warszawa 1987, s. 72–73.

Ojciec, szepcząc – A to dranie!  
– Włożył ciemne swe ubranie  
i by nie mieć w domu waśni,  
poszedł całą rzecz wyjaśnić.

– Ja rozumiem, że nauka,  
lecz nikt mnie tu nie oszuka!  
Koniec roku przecież blisko!  
Pan zna moje stanowisko!

To jest skandal, profesorze!  
Tak już dalej być nie może!  
Staś się uczy należycie,  
więc skąd dwójka jest w zeszycie?

– Dwójka głupstwo – belfer doda –  
– ale Stasia, Stasia szkoda!<sup>668</sup>

### **Przykład 538. Włodzimierz Ścisłowski – *Wzory* (1987)**

Nauczycielska kadra  
uczyła mnie wzorów niemało.  
E równa się em-ce kwadrat,  
a woda to ha-dwa-o.

Dwa-pi-er, Pitagoras,  
silnia, limes, różniczka,  
wzorów plejada jak zmora  
sny mi urozmaica.

Choć w ławce już nie zasiadam,  
wzrok belfrów czuję nad głową,  
pouczają mnie nadal,  
że zawsze żyć mam wzorowo.

Idę z ich wiedzą przez życie,  
które tak szybko ucieka!

---

<sup>668</sup> W. Ścisłowski, *Poemacik pedagogiczny*, [w:] tegoż, *Wszystkie nasze denne sprawy*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987, s. 58–59.

Panowie, co wciąż mnie uczycie,  
podajcie mi wzór na człowieka!<sup>669</sup>

**Przykład 539. Igor Śmiałowski – *Te szczenięce lata!*  
Fragmenty wspomnień  
z okresu międzywojennego (1987)**

Durne te lata były – te lata szczenięce, ale bardzo radosne. Uczyłem się, przysnąłem się bez bicia, niestety kiepskawo. Moim kochanym rodzicom słonecznych dni tym nie przysparzałem. Zdarzały się wprawdzie okresy, że ni stąd, ni zowąd zainteresowała mnie np. przyroda. Wówczas byłem ukochanym uczniem mojego „Dzikuna” – czarującego profesora Bogdanowicza, myśliwego i wielkiego znawcy natury i wszystkiego co rośnie. Ponieważ zawsze nieźle rysowałem, zatrudniał mnie jako klasowego ilustratora jego, często fascynujących, wykładów. Wychodziły tedy spod mojego pędzla kolorowe, duże tablice grzybów, drzew, krzewów, a także zwierząt. Raz omal nie zostałem wyrzucony z klasy, kiedy to pod namalowanym przeze mnie ogromnym dzikiem umieściłem podpis: „Dzikun”. Jednak dobre serce profesora i jego poczucie humoru załagodziły konsekwencje mojego niefortunnego pomysłu.

Tak naprawdę zaś byłem tylko w zgodzie z przedmiotami humanistycznymi. Z trudem przechodziłem z klasy do klasy, ale na maturze, jako jedyny, pokazowo oblałem. Mój długoletni opiekun i wychowawca, o którym już pisałem, mądry i czarujący ksiądz Stanisław Marcinkowski, świetny polonista, dowiódł, że do matury nie dorosłem.

Powrót do domu po tym fakcie i ten wstyd, jaki mną szarpał, był jednym koszmarem. Wieki minęły, zanim nacisnąłem dzwonek. Tata w szlafroku otworzył drzwi. Spojrzał na milczącego synalka i już wiedział wszystko. Sytuacja była wyjaśniona. Mój dobry Tatko znalazł jeszcze wówczas dla mnie słowa pociechy.

Zrewanżowałem się po dżentelmeńsku – w pół roku później zdałem maturę jako ekstern. Może nie błyskotliwie, ale zdałem. Z tą nauką zawsze byłem „na bakier”, mając całą masę spraw na głowie: narty, łyżwy, piłka, a nawet przez jakiś czas lekkoatletyka. Potem było namiętnie czytane (także po nocach) wszystkiego oprócz zalecanej lektury. Uczyłem się z dużą łatwością, ale najczęściej nie tego, co należało. Znałem np. na pamięć poematy Mickiewicza i Fredry, które były nie bardzo cenzuralne. Kiedyś taki „bigos literacki”,

<sup>669</sup> Tenże, *Wzory*, [w:] tegoż, *Pieczeń...*, dz. cyt., s. 12.



spichcony przez nieznanego literata, z fragmentów Mickiewiczowych utworów, uratował naszą klasę przed groźną „przepytanką” na lekcji języka polskiego.

Tego dnia ksiądz Marcinkowski nie był w szampańskim nastroju. Wszedł do klasy jak chmura gradowa. Nagle, ni stąd, ni zowąd, jeden z kolegów wykrzyknął desperacko w grobowej ciszy, nic dobrego nie wróżącej: – Proszę księdza! Igor ma wspaniały Mickiewiczowski „Bigos”.

Ksiądz podniósł wzrok znad dziennika, spojrział w moją stronę i nie zmieniając wyrazu twarzy, jakby od niechcenia, rzucił: – „Bigos”, no proszę, ciekawe, a więc trudno, mów, posłuchamy.

Zamarłem z tremy, ale nie było wyjścia. Wstałem i szalenie poważnie, bardzo spięty wewnątrz, zacząłem recytować tę bzdurę:

*Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie,  
Kto zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,  
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny.  
Widząc to Zosia na białej podaje mu dłoni  
Drażki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni  
I dygając powiada: Wybacz niezgrabności,  
Pierwszy raz wiem, jestem nowym katem.  
Nie szkodzi – łotr odpowie – pierwszy raz mnie wieszają...  
Nie poznam się na tem  
O głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział,  
Nigdy by się o tobie Wojski nie dowiedział.  
Lecz czy cię Zosia kocha, mój drogi, mój miły?  
Kocha jak kochać można, ile starczy siły.  
Oboje wpadli do ogrodu, wkradli się  
Kędy szpaler altanę obrasta.  
Na darniowym siedzeniu coś bieleje się w cieniu  
Tam z mężczyzną siedziała niewiasta.  
Kto był mężczyzna – strzelcem był w borze  
A kto dziewczyna, ja nie wiem.  
Brody ich długie, kręcone wąsiska,  
Wzrok dziki, suknia plugawa, noże za pasem  
Miecz u boku błyska, a w ręku trzymał  
Na taśmie przypięty swój róg bawoli,  
Długi, cętkowany, kręty, jak wąż boa.  
Oburącz do ust go przycisnął, wzdął policzki jak banię,  
W oczach krwią zabłysnął, zasunął wpół powieki*

*Wciągnął w głąb pól brzucha i do płuc wysłał z niego*

*Cały zapas ducha i zagrał.*

*Był sobie dziad i baba... itd. w tym stylu.*

Zapanowała ogólna wesołość. Książd nasz uśmiechał się tylko z politowaniem. Myślał zapewne, że ta rycząca banda cymbałów to kompletne durnie<sup>670</sup>.

### **Przykład 540. Krzysztof Daukszewicz – *Szalet uczelniany* (1988)**

Zaczęła się ta historia owego dnia, kiedy student Eugeniusz G. po oblaniu egzaminu z ekonomii, w akcie desperacji, na drzwiach toalety dla personelu naukowego napisał zdanie następującej treści: „Do dupy z taką ekonomią i taką uczelnią”, i podpisał: „Eugeniusz G”.

Była to pierwsza kabina po lewej stronie, patrząc od korytarza, i był to poniedziałek.

W środę Eugeniusz G., żałując czynu popełnionego w afekcie i mając na względzie dalszy pobyt na uczelni, zaopatrzony w gąbkę i proszek sanitarny wszedł do toalety z zamiarem wymazania haniebnego napisu. Jakżeż się zdziwił, gdy pod swoim zdaniem zobaczył kolejne: „Dlaczego kolega tak sądzi?”. Oraz inicjały: „Mgr J.B”.

Student wyjął z kieszeni kurtki pisak i odpowiedział: „Ekonomia się nie sprawdza, a docent E.S. twierdzi, że to ja nie umiem. Jest to niesprawiedliwy punkt widzenia. Uważam, że w nauce należy uwzględnić realia i zmiany zachodzące w naszej gospodarce. Eugeniusz G”.

„Uważam, że ekonomia jest dobra i tylko jej realizacja oddziałuje destrukcyjnie na aparat gospodarczy. Stary system przecież się sprawdzał. Docent F”. – przeczytał jeszcze tego samego dnia po południu.

„To dlaczego zarabiam na wycieczce w Turcji, a tracę na stażu w Turku?” – zapytał Eugeniusz.

O godzinie jedenastej następnego przedpołudnia widniało: „Na ile wyszedłeś i co wiozłeś? Mgr Z.W., przewodnik »Almaturu«”.

O szesnastej pod pytaniem przewodnika wydrapano ostrym narzędziem: „Nie wtrącać się z duperelami, kiedy rozprawia się o nauce. Uważam, że student Eugeniusz G. prawidłowo ocenia naszą ekonomię. Z oceną uczelni się nie zgadzam. Doktor S.N”.

„A w jakim aspekcie? – dopisano w trzy kwadransy później. – Doktor ekonomii W”.

<sup>670</sup> I. Śmiałowski, *Te szczenięce lata!*, [w:] tegoż, *Cała wstecz*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987, s. 143–144.

„Brak pluralizmu, brak radykalnych reform i inflacja. Oto przyczyny!!! Doktor filozofii N.L”.

„A gdzie demokracja? Docent filozofii K.B”.

„O to mogę pana zapytać!!! Mgr G.D” – widniało na samym dole.

Następnego popołudnia Eugeniusz G., student, przeczytał maczkiem napisane zdanie: „Przenoszę dyskusję do kabiny numer dwa. Spłuczka nie spłukuje. Mgr inż. S”.

„To od czego was mamy? Docent A.B” – wydrapano też maczkiem.

W kabinie numer dwa drukowanymi literami wykaligrafowano: „BRAK ZAPLECZA NAUKOWO-TECHNICZNEGO OTO PODSTAWA NASZEGO KRZYYSU I NIEFUNKCJONOWANIA KŁOZETÓW. Mgr inż. S”.

„Oszczędzać miejsce, każdy chce się wypowiedzieć, egoisto! Student Wydziału Architektury”.

„Nie wypisywać anonimowo! Poza tym zdanie zaczyna się z dużej litery! Pała z polskiego! Docent filologii Krzysztof L”.

„Panowie, nie odbiegajmy od tematu, którym jest ekonomia na tym wydziale. Uważam, że brak funduszy na rozwój zaplecza naukowo-technicznego jest źródłem naszej stagnacji. Profesor Z”.

„A skąd mam brać pieniądze? Księgowy D.L”.

„Niech się wreszcie skończy wtrącanie administracji do dyskusji i do nauki, bo później mamy efekty takie, jakie mamy. Doktor Z.W”.

„Verte”.

I na drzwiach trzeciej kabiny: „Księgowy ma rację! Dotacje są za niskie, stypendia za małe, a poziom nauki za wysoki! Profesor Z.Cz”.

„Za niski. Doktor S.A”.

„To pewno na pańskim wydziale! Cha, cha, cha! Docent S.W”.

„Trzeba zacząć od tego, że studenci sami nie wiedzą, czego chcą. Za zmywanie okien biorą po dziesięć tysięcy, a ja mam tytuł naukowy, sama zmywam i nic z tego nie mam. Docent Katarzyna P”.

„A co pani robi w męskiej toalecie?! Z poważaniem mgr C.D. Logik”.

„To samo, co Pan, kolego! Profesor J.B. Logik”.

„Ale dlaczego w męskiej?! Mgr C.D. Logik”.

„A co to? Kobiety nie mają prawa do dyskusji?! Docent Katarzyna P”.

„Mój Boże! Czytam już trzecie drzwi i to wszystko wygląda jak w naszym senacie. Ludzie, opamiętajcie się! Prorektor P”.

„Pani Zosiu! Niech Pani wejdzie po cichu i to wszystko zaprotokołuje. Docent F. Archiwista”.

„Kapuś!!! Doc. hab. U”.

„Historia oceni, kto z nas był kapusiem. Docent F. Archiwista”.

„Co pana tak goni? Mgr J.A”.

„Ludzie! Chcę znać wnioski końcowe na temat zagadnienia, które poruszyłem w zagajeniu, a nie wypowiedzi na tematy personalne. Eugeniusz G. Student”.

„A czego ten od nas chce? Profesor zwyczajny G.A”.

„Panie Profesorze, niech pan wróci do pierwszej kabiny. To on rozpoczął i ma prawo wiedzieć. Doc. S.T”.

„No właśnie. Eugeniusz G”.

W dwa tygodnie po pierwszym wpisie gdzieś około godziny dwudziestej pierwszej do toalety dla personelu naukowego weszła sprzątaczką Elżbieta W., aby wyszorować podłogi. Usłyszała cichy chrobot dobiegający z kabiny numer pięć. Kabina numer pięć nie miała zasuwki. Elżbieta W. podeszła na palcach do drzwi i mocnym szarpnięciem otworzyła je na całą szerokość, a potem minęło wiele sekund, zanim zdołała wykrztusić: – Panie rektorze! Jak panu nie wstyd! Mój Boże, dorosły człowiek, a takie bezceństwa w głowie.

I przeczytała zdanie następującej treści: „Po przewertowaniu wszystkich pięciu drzwi stwierdzam, że zgadzam się ze studentem Eugeniuszem G. i...”

I to był koniec.

A pani Elżbieta W. wyjęła szminkę, po czym dokończyła:

„...i poproszę o ścierki”<sup>671</sup>.

### **Przykład 541. Antoni Marianowicz – *Profesor Jaś* (1988)**

Jaś do szkoły miał pod górkę,  
Z trudem przebrnął przez maturkę,

Ale tak się zaparł w sobie,  
Że wnet znalazł się przy żłobie

I pomyślał: „A dlaczego  
Nie mam być za uczonego?

Dygnitarstwo to fach byczy,  
Ale tytuł też się liczy”.

Więc skorzystał Jasio z pióra  
Urzędnika swego biura,

<sup>671</sup> K. Daukszewicz, *Szalet uczelniany*, [w:] tegoż, *Izy rajder czyli pieszy jeździec*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1991, s. 86–88.

Co dlań celną i klarowną  
Magisterską pracę skrobnął

(Temat: „Jak się czepia życia  
Kapitalizm w fazie gnicia”).

Lecz magistrem być już wiecznie,  
To brzmi nieco zbyt aptecznie,

Zatem Jasio przy bufecie  
Do rektora rzekł raz: „Wiecie,

Chyba już najwyższa pora,  
Żeby fundnąć se doktora!”.

Rektor na to odparł dumnie:  
„Otworzymy przewód u mnie”.

„Tylko migiem mój rektorku!”  
...Czekał Jasio aż do wtorku.

I zapytał nie bez gniewu,  
Czy już odetkano przewód.

Rektor wnet go uspokoił  
I tak dwoił się i troił,

Że magister Jaś raz-dwa-trzy  
Był doktorem, jak się patrzy

I z rozpędu też habili-  
tował się po krótkiej chwili.

Sprawy biegły swoim torem –  
Jasio, będąc profesorem

Rektorowi rzekł przy wódce:  
„Chcę zwyczajnym być już wkrótce!”.

Były to prorocze słowa,  
Bo nastąpiła nam odnowa.

I persona ta uczona  
Musi być u-zwy-czaj-nio-na!<sup>672</sup>

**Przykład 542. Wojciech Młynarski –  
*Zeszytik z pierwszej klasy* (1988)**

Na dnie szafy, przy porządkach,  
Wśród szpargałów masy  
Wpadł mi w ręce mój zeszytik  
Równy z pierwszej klasy,  
Zeszyt pięknie utrzymany,  
A na stronie pierwszej  
Miał wykaligrafowany  
Taki oto wierszyk:  
„Rozmawiały młode gwiazdy  
Nad Warszawą nocą:  
– Czemu księżyc dziś tak jasny  
I świeci tak mocno?  
I księżyc im odpowiedział,  
Świecąc prosto z góry:  
– Świecę ludziom na budowie  
Pałacu Kultury!”.

Tak zabawnie się złożyło,  
Że wśród śmiecia masy  
Był tam jeszcze zeszyt siostry  
I też z pierwszej klasy,  
Zeszyt gorzej utrzymany,  
A na stronie pierwszej  
Miał wykaligrafowany  
Taki oto wierszyk:  
„Rozmawiały młode gwiazdy  
Nad Warszawą nocą:  
– Czemu księżyc dziś tak jasny

---

<sup>672</sup> A. Marianowicz, *Profesor Jaś*, [w:] tegoż, *Za czym pani stoi?...*, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 23–24.

I świeci tak mocno?  
Księżyc na to im z uśmiechem  
Swą odpowiedź przesłał:  
– Świecę ludziom, którzy przez sen  
Szepcą: Wiesław... Wiesław...”

Tak zabawnie się złożyło,  
Że wśród śmiecia masy  
Był tam jeszcze zeszyt córki,  
Ale z piątej klasy,  
Zeszyt strasznie utrzymany,  
A na stronie pierwszej  
Miał w pośpiechu nabazgrany  
Taki oto wierszyk:  
„Rozmawiały młode gwiazdy  
Nad Warszawą nocą:  
– Czemu księżyc dziś tak jasny  
I świeci tak mocno?  
I księżyc im odpowiedział  
Bez najmniejszej tremy:  
– Świecę ludziom, co malują  
Napis: Pomożemy!”

Gdy to sobie tak czytałem,  
Zamarzyło mi się:  
– Co też ten warszawski księżyc  
Powiedziały dzisiaj?  
Otworzyłem więc okienko –  
Księżyc stał na nowiu –  
I nuciłem tę piosenkę,  
Ciekaw, co odpowie.

I księżyc mi odpowiedział  
Z nieba ciemnej głębi:  
– Pan się nie wygłupia, pan zamknie to okno,  
bo się pan przezięb...<sup>673</sup>

---

<sup>673</sup> W. Młynarski, *Zeszytik z pierwszej klasy*, [w:] tegoż, *Moje ulubione drzewo czyli Młynarski obowiązkowo*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2007, s. 72–73. Por. tenże, *Zeszytik*

**Przykład 543. Igor Sikirycki – *Białe na czarnym* (1988)**

Co na tablicy napisze kreda,  
Tego przed klasą ukryć się nie da<sup>674</sup>.

**Przykład 544. Igor Sikirycki – *Dobry kolega* (1988)**

Dobrym jest kolegą Adaś,  
Znakomicie podpowiada.  
Siedzę razem z tym Adasiem  
Drugi rok w tej samej klasie<sup>675</sup>.

**Przykład 545. Igor Sikirycki – *Gdybym* (1988)**

Gdybym za dwie dwójki  
Dostał jedną czwórkę,  
Mógłbym już pokazać  
Rodzicom cenzurkę<sup>676</sup>.

**Przykład 546. Igor Sikirycki – *Kosmonauta* (1988)**

Wyleciał już ze szkoły  
Podobno po raz trzeci,  
Więc myśli, że i w kosmos  
Z łatwością też wyleci<sup>677</sup>.

**Przykład 547. Igor Sikirycki – *Lubi szkołę* (1988)**

Bardzo lubi naszą szkołę  
Mój kolega Jasiak,  
I dlatego po dwa lata  
Siedzi w każdej klasie<sup>678</sup>.

---

z *pierwszej klasy*, [w:] tegoż, *Od oddechu do oddechu*, Prószyński i Ska, Warszawa 2017, s. 320–322; tenże, *Zeszytik z pierwszej klasy*, [w:] tegoż, *Robię swoje*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 1999, s. 74–75.

<sup>674</sup> I. Sikirycki, *Białe na czarnym*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988, s. 18.

<sup>675</sup> Tenże, *Dobry kolega*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 8.

<sup>676</sup> Tenże, *Gdybym*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 5.

<sup>677</sup> Tenże, *Kosmonauta*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 36.

<sup>678</sup> Tenże, *Lubi szkołę*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 23.



**Przykład 548. Igor Sikirycki – *Naiwny* (1988)**

Wciąż stawiają mi za przykład  
Pracowitość pszczoły.  
– Pewnie chcą, bym miód przynosił  
w słoiku do szkoły<sup>679</sup>.

**Przykład 549. Igor Sikirycki – *Nauka* (1988)**

Do lasu nieraz szedł wesoły  
I na wagarach spędzał czas,  
A gdy wylano go ze szkoły,  
Szepnął: „Nauka poszła w las”<sup>680</sup>.

**Przykład 550. Igor Sikirycki – *Niesprawiedliwość* (1988)**

Kiedy spóźniam się do szkoły,  
Każą mi się wstydzić,  
A że pierwszy wciąż wychodzę,  
Tego nikt nie widzi<sup>681</sup>.

**Przykład 551. Igor Sikirycki – *Nowy półwysep* (1988)**

Nie wszystkim w szkole dobrze się wiedzie...  
Za co dostała dwójkę Jola? –  
Wszak powiedziała: „Białe niedźwiedzie  
Są na półwyspie Coca-cola”!<sup>682</sup>

**Przykład 552. Igor Sikirycki – *Paluszek i główka* (1988)**

Paluszek i główka  
To szkolna wymówka,  
Zwłaszcza kiedy główce  
Zagraża klasówka<sup>683</sup>.

---

<sup>679</sup> Tenże, *Naiwny*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 6.

<sup>680</sup> Tenże, *Nauka*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 43.

<sup>681</sup> Tenże, *Niesprawiedliwość*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 10.

<sup>682</sup> Tenże, *Nowy półwysep*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 12.

<sup>683</sup> Tenże, *Paluszek i główka*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 4.

**Przykład 553. Igor Sikirycki – *Piosenka pewnego ucznia* (1988)**

Nad trele słowika  
I nad śpiew skowronka  
Milszy memu sercu  
Ostatni głos dzwonka<sup>684</sup>.

**Przykład 554. Igor Sikirycki – *Pomoce szkolne* (1988)**

Z pomocy szkolnych,  
Lenia zdaniem,  
Najlepsze jest  
Podpowiadanie<sup>685</sup>.

**Przykład 555. Igor Sikirycki – *Pomysł* (1988)**

Klasa powinna być okrągła.  
– Skąd mi ten pomysł się przyplątał?  
– Już wiem, bo przecież w takiej klasie  
Nigdy nie poszedłbym do kąta<sup>686</sup>.

**Przykład 556. Igor Sikirycki – *Problem* (1988)**

Lubię szkołę, lecz ten problem  
Zawsze działa mi na nerwy:  
Wszystkie lekcje są za długie,  
A za krótkie przerwy<sup>687</sup>.

**Przykład 557. Igor Sikirycki – *Przed klasówką* (1988)**

Nie mógł się wcisnąć  
Do żadnej z ławek,  
Bo miał w kieszeniach  
Pełno ściągawek<sup>688</sup>.

**Przykład 558. Igor Sikirycki – *Pytanie* (1988)**

Czemu w szkole nauczyciel  
Mnie jedno wciąż strofuje?

---

<sup>684</sup> Tenże, *Piosenka pewnego ucznia*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 7.

<sup>685</sup> Tenże, *Pomoce szkolne*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 7.

<sup>686</sup> Tenże, *Pomysł*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 5.

<sup>687</sup> Tenże, *Problem*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 8.

<sup>688</sup> Tenże, *Przed klasówką*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 18.

Wszak i trójkę mam w zeszyście  
Obok tych dziesięciu dwójek<sup>689</sup>.

**Przykład 559. Igor Sikirycki – *Taki los* (1988)**

W szkole jest się, drodzy moi,  
Raz pod wozem, raz na wozie –  
Uczeń, który nieźle stoi,  
Też czasami siedzi w kozie<sup>690</sup>.

**Przykład 560. Igor Sikirycki – *To nieprawda* (1988)**

To nieprawda, że milczenie  
W szkole bywa złotem,  
Bo gdy milczę zapytany,  
Łapię dwóję potem<sup>691</sup>.

**Przykład 561. Igor Sikirycki – *Skarga lenia* (1988)**

Dorostym nawet w kosmos wzlecieć  
Pomaga mózg elektronowy,  
A w szkołach nieszczęśliwe dzieci  
Nad rachunkami łamią głowy<sup>692</sup>.

**Przykład 562. Igor Sikirycki – *Skutek* (1988)**

Kto korzystał z podpowiedzi,  
Nad klasówką wciąż się biedzi<sup>693</sup>.

**Przykład 563. Igor Sikirycki – *Spryciarz* (1988)**

Trzy dwóję na świadectwie  
Do domu przyniósł Jurek  
I szepnął do rodziców:  
– „Przedziwną mam cenzurę.  
Dostałem jedną dwójkę,  
Tym czasem, drodzy moi,  
Co spojrzę na świadectwo,  
To w oczach mi się troi”<sup>694</sup>.

<sup>689</sup> Tenże, *Pytanie*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 5.

<sup>690</sup> Tenże, *Taki los*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 11.

<sup>691</sup> Tenże, *To nieprawda*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 6.

<sup>692</sup> Tenże, *Skarga lenia*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 8.

<sup>693</sup> Tenże, *Skutek*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 14.

<sup>694</sup> Tenże, *Spryciarz*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 40.

**Przykład 564. Igor Sikirycki – *Wyznanie lenia* (1988)**

Dwój bym uniknął ilości sporej,  
Gdybym miał minikalkulatorkę<sup>695</sup>.

**Przykład 565. Eugeniusz Iwanicki – *Zwyczajna nauka* (1989)**

Pan T. wydał książkę, nad którą pracował dziesięć lat. Otrzymał za nią honorarium wynoszące pięć milionów złotych, co w okresie gwałtownej inflacji było jałmużną, a nie ekwiwalentem za intelektualny wysiłek.

W dniu, kiedy podjął owe pięć milionów, jego domowa lodówka zamiast mrozić, zaczęła grzać niczym piec elektryczny. Wezwany mechanik, po godzinie pracy, wystawił rachunek:

- wymiana agregatu – 4000000 złotych,
- robocizna – 2000000 złotych,
- dojazd do mieszkania pana T. oraz powrót 500000 złotych,
- RAZEM – 6500000 złotych.

Pan T. początkowo zaniemówił, ale się opanował.

– Proszę pana – powiedział. – Przez dziesięć lat pracowałem nad książką, którą krytyka określiła jako „otwarty wizerunek naszych czasów”. Otrzymałem za nią zaledwie pięć milionów złotych. Pan natomiast za godzinę pracy żąda ode mnie ponad sześć milionów. Czy to jest sprawiedliwe?

– Nie trzeba było studiować – odparł mechanik a zwyczajnie się uczyć. Wtedy i pan wyszedłby na ludzi<sup>696</sup>.

**Przykład 566. Jacek Łopot – *Ja nie narzekam.*****Fragment piosenki z programu Kabaretu „Długi”,  
do muzyki Leszka Furmana (1989?)**

Gdy po trzydziestym już z kolei  
przegranym meczu czy turnieju  
Zawołał ktoś: „Panowie dość!  
Kibiców trzęsie wprost cholera!  
Przestańcie chwalić w dym trenera!”  
Od sportu spec wywnętrznił się:

<sup>695</sup> Tenże, *Wyznanie lenia*, [w:] tegoż, *Sto fraszek...*, dz. cyt., s. 9.

<sup>696</sup> E. Iwanicki, *Zwyczajna nauka*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), dz. cyt., s. 113. Źródło pierwotne: „Karuzela” nr 17/1989, s. 9.

– „W czym sedno tkwi ja zaraz powiem  
 Zalet drużyny mej nie zliczę  
 Chłopczy z dopingiem, silni, zdrowi  
 Przeszkodą tylko są kibice!  
 Oczyśćmy z nich stadiony w mig  
 Ludzie, o co ten cały krzyk??  
 Ja tam nie narzekam!”

Na wywiadówce w pewnej szkole  
 Wyszedł na jaw w oku kolec  
 Oświata to czy zwykle dno?  
 Dzieci się bije i przemęcza  
 Wracają późno, w nocy ślęczą  
 Do kitu plan – obłądny stan  
 Aż się dyrektor szkoły uniósł:

– „Placówka wzorem jest i przykładem  
 System oświaty sukces by przyniósł  
 Tylko uczniowie nie dają rady!  
 Oczyśćmy z uczniów szkoły w mig  
 Ludzie, o co ten cały krzyk?!  
 Ja tam nie narzekam!” [...] <sup>697</sup>.

**Przykład 567. Jacek Łapot, Piotr Skucha – *Wolno myśleć.*  
 Fragment programu Kabaretu „Długi” (1989?)**

Piotr: Spójrzmy na studentów bez kompleksów, nie bójmy się. To nic, że są przyszłością narodu. Powiedzmy sobie szczerze, nie tacy oni wspaniali. Łachmyty zwykle, zbieranina jakaś!

Jacek: A junacy – to jest młodzież! Jednolita, zwarta. Bez słabych punktów. Jak buldożer!

Piotr: Taki student to, na przykład, indywidualnym tokiem studiuje! Na zajęcia nie chodzi, a i tak tego magistra dostanie!

Jacek: W OHP trzy nieobecności i won! Bumelancie jeden!

Piotr: Student leży w akademiku, gapi się na ścianę... i myśli. I głupieje! Albo czarny sweter założy, wyjdzie na korytarz, popatrzy... i brodę zapuści.

<sup>697</sup> J. Łapot, *Ja nie narzekam*, [w:] J. Łapot, J. Poprawa, P. Skucha, Z. Tumidajewicz, *Kabaret Długi*, Studencka Oficyna Wydawnicza ZSP Almapress, Czeladź 1989, s. 109.

Jacek: A junaki zdrowe chłopy, mocne. To coś zbudują, to coś zwałą, a z premii dziewczynie malucha kupią, albo imieniny koledze urzędą.

Piotr: Pasożytują studenci na jędrnym ciele naszego narodu, garbią się. Resztki ze stołówki wyjadają, co dają!

Jacek: Junak popracuje społecznie, w niedzielę ubranko świeże włoży, na dyskotekę z hufcem pomaszeruje...

Piotr: Zbiorą się ci studenci w kilku, każdy inne włosy ma! Jeden nie ma, dwóch w okularach – i obleją egzamin. Albo dyskusję urzędą, pogadają chwilę, pogadają – przepiją stypendium...

Jacek: A junak, jak przyjdzie święto, czwórki uformuje, ubierze się jednako!

Piotr: Ojciec studenta sporty przestał palić, żeby syn miał na carmeny.

Jacek: Ładnie idzie junak i śpiewa. Wesole. Pomacha tam czymś i fajnie. Niech żyje! – krzyknie. Niech żyje! A on już dawno umarł!

Piotr: Studenci dzieci narobią, lata to potem po akademiku i demoralizuje się!

Jacek: Co z tymi studentami zrobić, proszę państwa?

Piotr: A nauczyć chodzić parami, marynarki jednakowe niech włożą, buty porządne, nie ma co oszczędzać! I raz, dwa, kolumnę niech uformują i naprzód! Kierunek zawsze się znajdzie!!!

Jacek: Co ty?

Piotr: I równiutko, nie wychylać się, wieczorem w kosteczkę, krawat poprawić, na lewo patrz, szósta – pobudka i czyścimy w dwuszeregu! I trzy, cztery! (P. zaczyna maszerować po scenie, ćwiczyć przysiady, pady i pompki).

Jacek: Zgłupiałeś? Opanuj się!

Piotr: I w tył zwrot, naprzód marsz i do nogi, padnij, powstań, raport, grochówka, kryj się i w teren.

Jacek: Bacność!!!

(P. wypręży się w postawie zasadniczej).

Jacek: Bardzo państwa przepraszam, to mu czasem wraca. Spocznij!!! Wolno myśleć<sup>698</sup>.

---

<sup>698</sup> J. Łapot, P. Skucha, *Wolno myśleć*, [w:] J. Łapot, J. Poprawa, P. Skucha, Z. Tumidajewicz, dz. cyt., s. 30–31.

**Przykład 568. Ryszard Marek Groński – *Nauka pływania dla topielców. Fragmenty wypisów z historii najnowszej (1990–1998)***

rok 1990 – Z lektur szkolnych skreślono „Zemstę” Fredry. Jakiś Głowacz orzekł, że Cześniak i Rejent to stara nomenklatura. Spór o mur graniczny też nie ma sensu: jesteśmy znowu Przedmurzem<sup>699</sup>.

rok 1991 – Trybunał Konstytucyjny stwierdza, że instrukcja MEN (o wprowadzeniu chyłkiem religii i katechetów do szkół) nie naruszyła porządku prawnego. Trzech sędziów miało zdanie odrębne. Jedynie ich nazwiska podała prasa<sup>700</sup>.

rok 1993 – Marek Jurek: „Dzieci bite są bardziej wrażliwe i mniej histeryczne”... Zapomniany kalambur Minkiewicza o podobnym wychowawcy: Makabrenko<sup>701</sup>.

rok 1994 – Relacja profesora UW: – Zdający na historię maturzysta opowiadał komisji o kardynale Gierku<sup>702</sup>. Setna rocznica urodzin Jarosława Iwaszkiewicza. W „Wyborczej” pisze Helena Zaworska: „Wprawdzie ostatnio skreślono Iwaszkiewicza z obowiązkowych lektur szkolnych, ale to może być właśnie zachęta do sięgnięcia po owoc nie nakazany”. Jest to argument. Dobrze byłoby jednak wiedzieć, kto skreślił z lektur pisarza, powodowany troską o jego poczytność<sup>703</sup>.

rok 1996 – Po liście Bendera z KUL-u, że Władysław Bartoszewski – dostający niemieckie nagrody – nie jest żadnym profesorem i ma zaledwie maturę, zrobioną na konspiracyjnych kursach:

Gdy matura i chęć szczerza –  
Profesora masz z Bendera!<sup>704</sup>

rok 1998 – Radio Maryja rozpowszechnia liścik. Rodzice mają napisać: „Stwierdzam, że moje dziecko nie dojrzało do wieloświatopoglądowego «wychowania» seksualnego na świeckich lekcjach szkolnych oraz do posiadania osobistych przekonań w tym przedmiocie. Wychowuję dziecko zgodnie z zasadami religii katolickiej, której nauczanie moralne wyklucza pozarodzinne, are-

<sup>699</sup> R.M. Groński, *Nauka pływania dla topielców. Wypisy z historii najnowszej 1989–1998*, Książka i Wiedza, Warszawa 1999, s. 40.

<sup>700</sup> Tamże, s. 52.

<sup>701</sup> Tamże, s. 92.

<sup>702</sup> Tamże, s. 108.

<sup>703</sup> Tamże, s. 110.

<sup>704</sup> Tamże, s. 169.

ligijne rozmowy na te tematy”. Do obowiązków ojca Rydzyka przybyło jeszcze prowadzenie Biura Pisania Listów<sup>705</sup>.

**Przykład 569. Irośław Szymański – *Ojciec doskonały. Pogadanka na temat „Niektóre aspekty wychowania dzieci”*. Fragment programu kabaretu „Loża 44” (1990?)**

Aspekt I

Drodzy Ojcowie! W dobie technokracji i postępu liczyć się musimy z faktem, że i u dziecka dość wcześnie rozwija się potrzeba poznawania świata mechaniki. Jak więc zachowuje się przeciętny ojciec, zastając swoją latorośl z młotkiem w ręku nad rozbebeszonym budzikiem – nagrodą rzeczową za długoletnią pracę społeczną? Niestety, tylko około 2% tak uszczęśliwionych ojców wybucha śmiechem. 98%, czyli znaczna większość, drze z tego powodu szaty i gębę, z czego 70% mamrocząc – „to i owo chłopu nie zegarek!” kończy całą sprawę wielokrotnym odbiciem ręki na całym dziecku lub jego części. Oczywiście, takie postępowanie może rozbudzić w dziecku podejrzenie, iż jest niechciane, niekochane i niepotrzebne, co w konsekwencji prowadzi do przedwczesnego dojrzewania, moczenia nocnego i łapownictwa. Ojciec doskonały w takiej sytuacji podchodzi do problemu naukowo, wyjaśniając: „Kochane dziecko! Budzik, który pozwoliłeś sobie cholero rozebrać, jest tatusiową nagrodą za pracę społeczną, to znaczy pracę, za którą nie płacą, mimo że się pracuje. Praca społeczna, jak każde bezsensowne działanie, jest ciężka i niewdzięczna, w związku z tym budzik miał dla tatusia dużą wartość i w ogóle zrobiłeś tatusiowi przykrość! Jeżeli jeszcze będziesz psuł budziki, to tatuś będzie się spóźniał do pracy, za którą tatusiowi płacą i chałę dostaniesz, a nie rowerek, gnojku!! Dla podkreślenia wagi wypowiedzi możemy dodać – „wynocha”, ale niekoniecznie.

Aspekt II

W pewnym wieku możemy u dziecka zaobserwować ciekawe zjawisko powtarzania zasłyszanych słów. Siedzimy, dajmy na to przy obiedzie i w pewnej chwili słyszymy, jak dziecko obwieszcza: a ja mam – tu mówi gdzie ma – taką ziupkę! Jak zachowują się w takiej sytuacji przeciętni ojcowie? 1% odpowiada machinalnie – ja też!, co najczęściej wiąże się z niską kulturą gastronomiczną w danej rodzinie, 3% udaje, że nie słyszy, zmuszając tym samym dziecko do powtarzania sekwencji, dzięki czemu nabyte słowo dobrze się utrwała, 2% rzeczywiście nie słyszy – patrz broszurka pt. „Wady słuchu u rodziców”, zaś 94%

---

<sup>705</sup> Tamże, s. 197.



pyta – gdzieś ty to słyszał gnojku?!, jednocześnie jedną ręką zdejmując pasek, drugą przytrzymując spodnie, aby nie stracić na autorytecie. A jak powinien zareagować ojciec doskonały? Ojciec doskonały *primo* – jeszcze raz próbuje, jak rzeczywiście jest z tą zupką, *secundo* – podaje literackie odpowiedniki użytego przez dziecko wyrazu, *tercio* – stara się zająć uwagę dziecka czymś innym, bardziej intelektualnym, na przykład dominem albo cymbergajem. Dopiero, gdy powyższe metody nie skutkują, zadaje stereotypowe pytanie – gdzieś to słyszał gnojku?! I kończy dyskusję z pozycji siły.

#### Aspekt III

Zdarzyć się może, że pod nieobecność współmałżonki zaistnieje przed nami konieczność nakarmienia dziecka. Jak w takiej sytuacji powinien postępować ojciec doskonały? Otóż ojciec doskonały odgrzewa kaszanekę... kaszkę, zakłada najgorsze ubranie, unieruchamia w miarę możliwości dziecko. Najskuteczniejsze jest karmienie łyżeczką. Niektórzy ojcowie korzystają co prawda z butelki, ale nie polecamy, bowiem często ta forma przyjmowania płynów pozostaje dzieciom na całe życie. Tak więc karmimy łyżeczką. Wielu ojców, chcąc jakoś umotywić fakt wmuszania w dziecko przygotowanego papu, zagrywa na delikatnych uczuciach dzieciny, judząc – za mamusię!, za tatusia!, za dziadzia!, w zależności ile jest kaszki i jak liczna jest rodzina. W domach ideologicznie bardziej rozwiniętych wymienia się również inne osoby, co jest naturalne, o ile cel uświęci środek. Jeżeli jednak dziecko odpowie – za cholere!., to znaczy, że albo kaszka jest niedobra, albo dziecko ma słabo rozwinięty instynkt rodzinny, lub jak w drugim przypadku – samozachowawczy, i tak czy owak należy zaprzestać tuczu. Ale tylko w tym przypadku. Pamiętajmy – dziecko powinno wyjść wszystko z młeczek. Jeżeli wyje – czekamy aż przestanie i karmimy dalej. Zawsze powinien cechować nas maksymalny spokój. Nawet w sytuacji, gdy dziecko jest niesforne, albo źle związane, uderza pięścią w zawartość.

#### Aspekt IV

Przychodzi wreszcie moment, gdy dziecko zaczyna interesować się sprawami tak zwanej płci. Zazwyczaj przychodzi to niespodziewanie. Na przykład, siedząc przed telewizorem, latorośl nagle zapytuje: tatusiu, a dlaczego ten pan tak strasznie psyciska tę panią? Nie dając się zaskoczyć, odpowiadamy natychmiast: drogie dziecko, jak już wiesz z lekcji historii, ucisk człowieka przez człowieka jest rzeczą haniebną i godną potępienia, ale nie we wszystkich sytuacjach, a zwłaszcza w tych, w których osoba uciskana nie wydaje się być niezadowolona, tak jak ta pani na ekranie! Jeżeli jednak dziecku odpowiedź ta nie wystarcza i zaczyna nas nękać pytaniami pomocniczymi – a po co psyciska?, a ciego tak sapie!, a co będzie potem? – sytuacja wymaga definitywnego wyjaśnienia. Część ojców roz-

wiązuje ten problem autorytatywnym – „wynocha!”, ale ojciec doskonały musi stanąć na wysokości zadania i wprowadzić dziecię w przedsiónek mrocznego świata seksu. W pierwszym rzucie posiłkujemy się więc bocianem, pączkowaniem, zwierzątkami itp. idiotyzmami. Jeżeli zauważymy, że już bocian stawia nas w oczach dziecka w rzędzie kretynów, błyskawicznie przerzucamy się na Spinozę, Demokryta i Platona. No, a potem pozostaje nam już tylko Kamasutra, Starewicz, Wisłocka oraz wspomnienia z lat młodości. Oczywiście, w każdej chwili możemy zastosować ripostę intelektualną – „wynocha!!!”, ale przecież nie o to chodzi! Dziękuję.

Czas to pieniądz: Dziewiąta czterdzieści osiem!... Dziewiąta czterdzieści osiem!...<sup>706</sup>

**Przykład 570. Irośław Szymański – *Uwaga rodzice!*  
Fragment programu kabaretu „Loża 44” (1990?)**

Czy jesteście pewni, że nie planuje się czasowego zamknięcia przedszkola, do którego uczęszcza wasze dziecko? Radzimy sprawdzić!

Mam wolny dzień!

Przedszkole znów zamknięte dzisiaj,

Na dworze zimno, w telewizji dno,

A taty i mamusi nie ma od rana

I nikt się nie zajmuje mną!

Przecież dziecko pod opieką być powinno,

W tym jest cały wychowawczy pic,

Starsi wciąż mówią, że muszę zrozumieć,

A ja nie rozumiem nic!

Na stoliku sennie zegar tyka,

Wszystko idzie mi pod górę w takim dniu,

W kiosku „Ruchu” znów zabrakło dla mnie „Świerszczyka”,

Znów nie będę na bieżąco w kursie wydarzeń

Żeby chociaż człowiek smoczek miał pod bokiem,

Nocą przemocą wydarty z ust,

Może by się zajął tylko smokiem

I nie myślał już:

<sup>706</sup> I. Szymański, *Ojciec doskonały. Pogadanka na temat „Niektóre aspekty wychowania dzieci”*, [w:] tegoż, *Notatki z marszu*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1990, s. 88–92.

Czego za złotych worek dają jeden dolar?  
Co to znaczy, że jest cała gospodarka chora?  
Czego mamy nawis duży?  
Kto nam kazał się zadłużyć?  
Czego cioci z mięsem nie ma, choć wyszła przedwczoraj?  
Czy na Gwiazdkę znów dostanę koszmarne misia?  
Czego do niedzieli grzali, a przestali dzisiaj?

Ile trzeba się namęczyć, podpalając gaz,  
Żeby wreszcie przyjechała straż?  
Czego to co miało pomóc, jakoś nie pomaga?  
Czego starsi, patrząc w ekran, mówią wciąż, że blaga  
Czego dają rady mądre,  
Jak w zabawkach mieć porządek,

Kiedy sami mają wkoło totalny bałagan?  
Czego mama o zakupach mówi, że to z mora?  
Czego tato mi bałwana nie chciał lepić wczoraj?  
I co w końcu miał na myśli  
Gdy na prośbę mą mruknął – „Synku, starczy tych co są!”

Przedszkole znów zamknięte dzisiaj,  
I nikt się nie zajmuje mną,  
Bo taty i mamusi nie ma od rana,  
No, nie wiem, czy im się opłaci to...?  
Uwaga rodzice!<sup>707</sup>

### **Przykład 571. Anonim – *Kurs BHP* (1991?)**

Antek z Franckiem zostali wysłani na kurs bhp. Mieli tam też wykłady z języka polskiego, żeby umieli poprawnie raporty pisać. No i w poniedziałek pani z polskiego zadała im wypracowanie na temat: „Co robiłem w niedzielę”. Antek siadł w domu i napisał: „Rano przyszedł kolega i wypili my trocha. Potem przyszedł drugi i też my wypili. Potem poszliśmy do trzeciego i też my wypili. Potem odwiedziliśmy koleżankę i też my wypili, a potem poszliśmy wszyscy do kolegi i tam też my pili”. Francek wysłuchał tego wypracowania i powiada: – Antek,

<sup>707</sup> Tenże, *Uwaga rodzice!*, [w:] tegoż, *Notatki...*, dz. cyt., s. 188–189.

aleś ty głupi! Takich rzeczy w ogóle nie wolno pisać i to jeszcze z polskiego. Trzeba to zmienić. Wszędzie tam, gdzie mowa o piciu, o wódce, napisz o czytaniu i o książce. No i dobrze.

We wtorek pani kazała Antkowi czytać wypracowanie, które brzmiało: „Rano w niedzielę odwiedził mnie kolega i przyniósł książkę, którąśmy zaraz razem przeczytali. W południe przyszło jeszcze dwóch innych kolegów, którzy przynieśli dwie książki, któreśmy do końca przeczytali. Po południu odwiedziliśmy koleżankę, która wyjęła z bibliotecznej szafki książkę i dała nam poczytać. Wieczorem poszliśmy wszyscy razem do kolegi, który pisze książki i przeczytaliśmy dokumentnie wszystko”<sup>708</sup>.

### **Przykład 572. Anonim – *Studenci na wsi* (1991?)**

W czasie ferii wybrało się dwóch studentów na wieś. Zatrzymali się u jednej kobiety. Ta jak się dowiedziała, że to klerycy, to się radowała, że może ich gościć. No i jak tam siedzieli naroz widzą, że kobieta wyleciała z domu jakoś zamyśloną. Zatrzymali się i pytają ją: – A kaj to tak leccie?

– Jezderkusie, krowa mi zachorowała.

Nie bójcie się – pado ten jeden student – my momy taki powróż, to jak ją tym śmigniemy, to ta krowa zaroz wyzdrowieje. No i wzieni powróż, babie powiedzieli, coby wyszła i zaccli ta krowa bić powrozem a wołać: „Surgewata, surgewata, surgewata”. No i krowa wstała i była zdrowo.

Kobieta podziękowała, powróż od nich zaroz odkupiła i odtąd ludzi leczyła. A sława jej była bardzo daleka. Lata mijały, kobieta się starzała. Roz przylecioł do niej parobek z drugiej wsi, że proboszcz jest ciężko chory. Doradzono mu, coby posłot po tą słynną kobietę. No i baba przyszła, widzi chorego księdza, przeżegnała się i zaczęła go bić powrozem i wołać: Surgewata, surgewata, surgewata.

A proboszcz miał wielki wrzód i z tego taką wysoką gorączkę. No i jak to wszystko widzioł, to się tak zaczął śmiać, bo to on był tym klerykiem, że mu ten wrzód pękł i wyzdrowioł, a babie pado: Babo przecież jo nie krowa!

Ale to tam nic nie pomogło, bo jak baba ujrzała, że proboszcz wyzdrowioł, to bardziej wierzyła, że umie cudownie leczyć, a ludzie to już byli wcześniej o tym przekonani<sup>709</sup>.

<sup>708</sup> Anonim, *Kurs BHP*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie...*, dz. cyt., s. 351–352.

<sup>709</sup> Anonim, *Studenci na wsi*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie...*, dz. cyt., s. 237–238.

### **Przykład 573. Krzysztof Daukszewicz – *Aerobic* (11.11.1991)**

„Nauczanie religii jest w pełni dobrowolne, tak jak dobrowolne są zajęcia aerobicu”.

(H. Samsonowicz, Wprost, 11 listopada)<sup>710</sup>

### **Przykład 574. Krzysztof Daukszewicz – *Katecheta* (1991)**

Do dziewięciolatków szkoły podstawowej w Kaliszu:

„Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię”.

Dziewięciolatki?<sup>711</sup>

### **Przykład 575. Krzysztof Daukszewicz – *Ksiądz proboszcz i duch Gąsiorka* (1991)**

Byłem już ponad rok nauczycielem w szkole podstawowej w Woli Małolepszej. To prawie siedem kilometrów w linii prostej od Worłuja. Piszę: w linii prostej, ponieważ nieznanemu to i dwanaście może się zrobić, bo krzyżówka w środku lasu nieoznakowana i równie dobrze można wylądować w Szczękołapkach.

Ale rok nie wyrok, jak powiadają goście weselni z Worhija, a i mnie trochę wiedzy na temat okolic najbliższych przybyło, więc i mniej przez to błędziłem.

Jechałem do Urzędu po zarobek mój skromny, który otrzymywałem za wiedzę ogromną z dziedziny jamochłonów i pantofelków, a z braku pana od wychowania fizycznego, to i skoku przez konia, kiedy nagle zauważyłem proboszcza z kościoła w Dudach Starych. Znałem go bardzo dobrze, bo i któż nie zna ludzi z Dud Starych, gdy się mieszka w Woli Małolepszej.

Ksiądz dzisiaj z widocznym trudem w stronę plebanii podążał. Zmęczył się, pomyślałem. I jak na wierzącego przystało mówię: – Pochwalony niech będzie!

– Na wieki. Na wieki. – Odrzekł, nie spoglądając w moją stronę, jakby z lękiem, że kiedy spojrzy, to kogo złego zobaczy.

– Żałuję bardzo proszę księdza, że się samochodu nie dorobiłem, bo chętnie bym teraz pomógł na naszej piaszczystej drodze.

– Nie szkodzi. Nie szkodzi. Na wieki. Na wieki. – Odpowiedział tak, jak gdyby chciał się mnie jak najszybciej pozbyć. I dopiero teraz spostrzegłem, że proboszcz zawiany solidnie, miną nadrabiając, do swego domu jak najgodniej próbuje domaszerować.

<sup>710</sup> K. Daukszewicz, *Aerobic*, [w:] tegoż, *Przeżyłem Panie Hrabio*, Wydawnictwo Art „B” Press, Poznań 1991, s. 101.

<sup>711</sup> Tenże, *Katecheta*, [w:] tegoż, *Przeżyłem...*, dz. cyt., s. 100.

– Dziw nad dziwy. – Mamrocę do siebie. A mamrocę tak, ponieważ księdza onego wszyscy w okolicy z nadzwyczajnej trzeźwości znali. Bo i rzeczywiście.

– Wino mszalne tylko z obowiązku pijam – powiedział, gdy go do wina namawiano – i po kieliszeczku naleweczki ze śliweczek węgierek dwa razy w roku, z okazji Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania Pańskiego.

A tu nagle dzisiaj?! Bez widocznej okazji!? W dzień 3-go maja?! Sam na polnej drodze?! Piechotą?! Pod wpływem widocznego alkoholu?... Tyle pytań niezrozumiałych i zdumiewających przez to pukało do głowy, że aż w tym zdziwieniu w piach wleciałem. Całe szczęście, że BMX-em jechałem i przez to równowagi nie straciłem. Kolarzówką już dawno bym w paprociach leżał. Bo przydroże całe w paproć obfitowało, a co gorsza to i w jałowce.

Równowagi nie straciłem, ale widzę, że za to proboszcza trochę mocniej zniosło. Z tym, że co ja poradzić mogę? Rowerem przecież jadę. Na ramę nie zaproszę, bo to i afront można uczynić. I ksiądz słusznieszego wzrostu. I wagi zdrowszej. A po za tym, mówiąc szczerze, to nie pamiętam, żeby ktoś widział duchownego jadącego na ramie. Udam, że nic nie zauważyłem, postanowiłem w duchu. Bo tak najwygodniej. I w razie czego, to skrępowania między nami nie będzie przy spotkaniu następnym. Naciskam więc pedały i jadę. Nie ujechałem i stu metrów, kiedy słyszę za sobą wołanie: – Synu!!

Początkowo nie dotarło to do mnie, bo sierota i nikt mnie słowem tym od małego nie obłaskawiał. Chyba, że ojciec chrzestny? Ale nie. Ten również wołał na mnie: – Pietrek!! Chono tu! Masz stówę i skocz po „Klubowe”. Tylko, żeby ci suche dali! I zapytaj, czy jest „Wareckie”!! Co zostanie ze stówy to twoje, Pietrek. Żebyś wiedział, że ojca masz. Chrzestnego bo chrzestnego, ale żebyś wiedział.

Tak więc „synu” nie słyszałem i z jego strony. – Chłopcze! Stań.

Tym razem zatrzymałem się. Z rowera zeskoczyłem. I oglądam się za siebie. Ale dyskretnie. Tak jakbym gumę sprawdzał, albo łańcuch. I widzę najwyraźniej, że ksiądz do mnie macha: – Zaczekaj synu!

– Czekam, proszę proboszcza.

– Przepraszam, że cię tak obcesowo potraktowałem. – Rzekł, kiedy zrównał się ze mną.

– Nie szkodzi, proszę księdza. Przyzwyczajony do tego jestem, bo z rodzicami moich dzieci często rozmawiam o stopniach i sprawowaniu.

– Bo ty jesteś nowym nauczycielem z Woli Małolepszej. Czy tak?

– Tak, właśnie.

– Od pantofelków i skoków przez konia.

– Tak.

- Rodzice mi opowiadali, że w wychowaniu chcesz przejąć rolę kościoła.
- Ale tylko na odcinku rozwoju fizycznego dzieci i młodzieży.
- A powiedz mi jeszcze jedno. Partyjny ty jesteś synku? Czy bezpartyjny?
- Bezpartyjny.
- To i chwała Bogu. Rozpromienił się nagle z widoczną ulgą. – To i chwała

Bogu.

– Czy to ja na komunistę wyglądam? – Pytam, nadąsany podejrzliwością księdza.

– Ależ skąd – odpowiada życzliwie – i przez myśl mi to nawet nie przeszło. Poza tym komuniści już dawno się z kościołem pogodzili. Już próbują i w nawie honorowej zasiąść. Gorsze mam utrapienie teraz – tu w oczy moje spojrział, jakby ratunku szukając – ale zanim ci to opowiem weź mnie pod rękę i pod plebanię podprowadź. Bo czuje, że bardzo zaszkodził mi ten dzień.

BMX-a wrzuciłem w paproć i idziemy.

– Upiły mnie te szatany.

– Które proszę księdza?

– Chadecy!

– Co też ksiądz?! Może jednak socjaldemokracji, którym nowa władza nie w smak?

– Wiem co mówię synu. Załatwiły mnie dzisiaj partie chrześcijańsko-demokratyczne. Toastami. Rozumiesz synu? Toastami. Tyle razy mówiłem sekretarzowi byłej partii komunistycznej: – Gąsiorek. Rzuć to wszystko. Ty się tylko rozpijesz na tych zebraniach. Już drugi raz twoja żona Barbara na intencję otrzeźwienia daje, a ty jakbyś się Boga wyparł.

– Władza to władza – on na to – i mus to mus. Wyrzucą, to otrzeźwieję.

I zapomniałem o tej rozmowie. Tak synu, władza to straszna rzecz. Ale też i przyjemna z drugiej strony, bo środek w człowieku łaskocze. Władza to jest coś takiego, jakby po plecach podrapać od wewnętrznej strony. A jak pewnie chłopcze zauważyłeś, to my teraz patronat duchowy nad życiem politycznym sprawujemy. W związku z tym obywatele przewodniczący mnie na zebrania zapraszają.

– Co ja tam będę robił? – pytam.

– Przyjdzie ksiądz i opowie o roli Boga w naszym życiu doczesnym.

I tak chodzę i opowiadam. Dzisiaj stało się jednak to, co ów nieszczęsny Gąsiorek mimochodem przepowiedział.

– Co, proszę księdza?

– Że mus to mus. Otóż z okazji trzeciomajowej rocznicy powstały cztery partie o charakterze czysto chrześcijańskim, z którymi musiałem po kolei toasty

uroczyste wznosić. W chwilę później dwie partie chadeckie się utworzyły, którym również odmówić nie można było. Słuchasz mnie?

– Tak, słucham.

– No więc zaraz po tej uroczystości partia socjalistyczna uroczyście się rozwiązała. I z tej okazji też poprosili, żeby pobłogosławić. I zaraz potem na jej miejsce socjaldemokracja chrześcijańska się zawiązała. Z nią również trzeba było, na jej przyszłą cześć i chwałę. I w tym działaniu społecznym zagubiłem się w czasie i w toastach, których liczyć nie wypadało.

– Ale dlaczego wszystko jednego dnia, tego pojąć nie umiem.

– I widzisz synku. Jesteś nauczycielem, a się pytasz.

– Bo jestem od jamochłonów i pantofelków.

– Wiem. Bo gdybyś był od bitwy pod Grunwaldem i od Hołdu Pruskiego to wiedziałbyś, że obecne nasze partie w dwa dni w roku najlepiej się rozwijają. Trzeciego maja i jedenastego listopada. Ponieważ aktywność w owych dniach jest patriotycznych uczuć właściwym podkreśleniem. Dzień powszedni jest dla nich dniem nierozumienia się. Tak stało się właśnie i u nas. Ale same toasty może bym i przeżył synku. Tylko że w chwili kiedym z lokalu Narodowo Chrześcijańskiej Partii Porozumienia między Słowianami Zakaukaskimi wychodził, zza płotu wyrzwał Gąsiorek i mrugnął do mnie, jakby porozumiewawczo. O tak. Widziałeś?

– Tak, proszę księdza. – Zdziwiło mnie to nieco, bo ostatniego co do mnie mrugał z seminarium zapamiętałem. I był to mój profesor od pacierzy, u którego ściągałem na klasówce. Ot, myślę wracając do Gąsiorka, z powodu braku ideałów komunizmu w głowie mu się pomieszało. I poszedłem do świetlicy Liberalnych Demokratów Katolickich. Pobylem tam nie więcej niż dwa kwadransy. Wychodzę. A pod drzewem znowu Gąsiorek. Tym razem kiwa miłosiernie głową. To mnie zdziwiło podwójnie, bo od miłosierdzia na terenie probostwa jestem ja. Szampanem jednak głowę osłabiwszy, odpuściłem i ten przypadek, na karb pomieszania zmysłów gąsiorkowych wszystko zwalając.

Ale kiedym święcił lokal partyjny Chrześcijan Narodowomniejszościowych i kiedy za oknem pojawiła się twarz byłego towarzysza Gąsiorka, to wierz mi synu, że poczułem się tak jakbym szatana zobaczył. Odwróciłem się do ludzi. I za chwilę znów do szyby. I nie ma twarzy. Zwidy jakieś, czy Anioł Stróż ostrzeżga? Takie myśli zaczynają mi po głowie krążyć. I do okna cichcem podchodzę, że niby świeżego powietrza mi potrzeba. I otwieram. I nagle Gąsiorek zza bżów się podnosi i skrzeczy ironicznie jak jakaś strzyga; jak jakiś upiór, w którego nawet i wierzyć nie wypada.

– Pochwalony – mówi – i co? Teraz na księdza proboszcza przyszło. Jak to było? Ty się rozpijesz na tych zebraniach, Gąsiorek. A kto da na księdza intencję? Pewnie znowu moja żona.



Zatrzasnąłem okno i uciekłem, mój synu. Uciekłem cichcem. Piechotą. Angielskim sposobem. Rakiem. I wszystkim czego nie znam, a czym się ucieka. I takim to właśnie trafem spotkaliśmy się na tej leśnej drodze.

– A co te partie głoszą?

– A co mogą głosić? Wolność i sprawiedliwość. *Liberte. Egalite. Fraternite.*

– A gospodarczo? Bo może bym i poparł taką, która by mi portfel do sytości nakarmiła. – Nie wiem czy takie są. I nie męcz mnie takimi pytaniami. Wiem tylko, że wolność i sprawiedliwość... Zresztą to są rzeczy, które na początek najprościej dać. Kiedy się jeszcze nie ma policjanta za sobą i rozgoryczonych przed sobą. Ale taki już jest ten świat. I dlatego pytałem cię wcześniej czy należysz do jakiejś partii.

– A mimo to nie rozumiem.

– Widzisz synu. Jeżeli lubisz te swoje jamochłony i pantofelki, to bądź razem z nimi. Polityka nie sprzyja jamochłonom i pantofelkom. Polityka niszczy i jamochłony i pantofelki. I chyba się ululałem. Tak mi dopomóż Bóg.

I powiedział to ksiądz już przy furtce samej. I w tym swoim zagubieniu wyglądał jak człowiek. I pożegnaliśmy się jak na ludzi tajemnicą związanych przystało. Po cichu i serdecznie. I wróciłem do domu bogatszy o wiedzę na tematy polityczne. I tylko o wiedzę. Ponieważ pieniędzy na wyplatę nie dowieźli, a BMX-a w paprociach nie było<sup>712</sup>.

### **Przykład 576. Krzysztof Daukszewicz – *O czym rozmawialiśmy?* (1991)**

Plotkując na tematy nauczania w Polsce i w Kanadzie, dostałem nagle pytanie:

– Czy język rosyjski jest dalej obowiązkowy?

– Nie – odpowiedziałem – już nawet Związek Radziecki nie jest obowiązkowym państwem<sup>713</sup>.

### **Przykład 577. Krzysztof Daukszewicz – *Zadanie matematyczne dla siedmioklasistów w konkursie matematycznym w katowickim Pałacu Młodzieży* (5.06.1991)**

„... na statku jest piętnastu Turków i piętnastu chrześcijan. Po ustawieniu ich w krąg wyrzucono za burtę co dziewiątego licząc od pewnego osobnika. Ustaw ich tak żeby nie wyrzucić ani jednego chrześcijanina i napisz, od którego zacząć...”<sup>714</sup>

<sup>712</sup> Tenże, *Ksiądz proboszcz i duch Gąsiorka*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłozbożem*, t. 1, *Przyspieszenie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1991, s. 46–53.

<sup>713</sup> Tenże, *O czym rozmawialiśmy?*, [w:] tegoż, *Między Wortujem...*, dz. cyt., s. 21.

<sup>714</sup> Tenże, *Zadanie matematyczne dla siedmioklasistów w konkursie matematycznym w katowickim Pałacu Młodzieży Dnia 5.06.1991*, [w:] tegoż, *Między Wortujem...*, dz. cyt., s. 133.

**Przykład 578. Ryszard Marek Groński –  
*Czy warto być dowcipnym? Fragmenty* (1991)**

Dawno to już stwierdzono, mogę jedynie podpisać się pod tym: w Polsce, bez względu na jej nazwę i ozdobę głowy orła – trzeba być dowcipnym. Nie żeby zaraz wesołym. Można być ponurym jak karawaniarz na deszczu. Można być melancholikiem, pesymistą, czarnowidzem. Ale to nie zwalnia z obowiązku bycia dowcipnym. Pobór na dowcipnych zaczyna się we wczesnej młodości. Już w szkole, w starszych klasach, jeśli nie ma się w odwodzie żartów i ciętych odzywek – jest się skreślonym towarzysko. Sądzę, że teraz to jeszcze się wzmogło: obecność katechetów przymusza do odreagowywania. Czasem ta obecność sama staje się żartem. Czytałem niedawno, że do katechizowania zgłosiła się pani profesor, która do wyprowadzenia sztandaru z Kongresowej była sekretarzem POP...

Co tam szkoła! Studia (jeśli ktoś wpada na deficytowy pomysł) to poligon dowcipów. Skoro na uczelni w Gdańsku, mieście – kolebce, ledwo co obdarowany dyplomem student został rektorem, bo widocznie po drodze mu było do Małego Belwederu w Sopocie – czy człowiek nie obdarzony poczuciem humoru i skłonnością do żartów abstrakcyjnych w ogóle ma szansę na ukończenie studiów? Wątpliwe. A nawet gdy je ukończy? Co dalej? Nigdzie się nie zaczepi, zewsząd go pogonią, Dowcipny da sobie radę. Zagada, zaczaruje, spojrzy w oczy – i zaraz wygrany<sup>715</sup>.

**Przykład 579. Michał Ogórek – *Trochę nauczki* (1991?)**

W tym roku znów sprzed nosa sprzątnęli nam Nagrodę Nobla. Jej laureat w dziedzinie fizyki, prof. Bednorz wywodzi się ze Śląska, ale niepotrzebnie wyjechał. Na miejscu też miałyby widoki na dobrą posadę: w Opolu Przedsiębiorstwo Wdrożeń Postępu Państwowych Gospodarstw Rolnych poszukuje przecież pracowników naukowo-badawczych.

I nasza profesura dochodzi jednak do znacznych osiągnięć. Ostatnim wydarzeniem naukowym stało się opublikowanie przez dziennik „Rzeczpospolita” pracy prof. dr. Wincentego Kawalca pt. „Zakład produkcyjny – ośrodek społecznego oddziaływania”. Laikom i profanom może się wydawać dziwne, że przedmiotem swych studiów profesor uczynił jedną fabrykę koszul „Wólczanka” i to nawet nie całą, ale jej filię w Opatowie. Są jednak, jak wiadomo, na świecie uczeni, którzy skupiają się na cząsteczce atomu i w porównaniu z tym badania prof. Kawalca są przecież dużego kalibru.

---

<sup>715</sup> R.M. Groński, *Czy warto być dowcipnym?*, [w:] tegoż, *Puszka z Pandorą*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Łódź 1991, s. 150.

Zgłębianie dzieł naukowych nie jest rzeczą łatwą i w celu ich zrozumienia należy wgrzyźć się w tok myśli autora. Trzeba powiedzieć, że profesor nie ułatwia nam zadania, podając tylko różne fakty, pozornie bez związku, zostawiając czytelnikowi odszukanie ich głębszego, a prawdę mówiąc, jakiegokolwiek sensu.

Profesor próbuje kolejno różnych metodologii. Po wyczerpaniu metody statystycznej („zakład wyprodukował 35,8 mln koszul”, „na liście eksportowej znaleźli się odbiorcy z Finlandii – 63 115 sztuk” itd.), ponieważ nic z niej nie wynika, autor słusznie zostawia ją w spokoju.

Bardziej zachęcające wyniki daje podejście historyczne. O przesłankach powstania zakładu w Opatowie wiadomo tyle: *Najbliższa linia kolejowa przebiega przez Ćmielów oddalony o 14 km. Nie ma tradycji przemysłowej, bo nigdy tu większego zakładu przemysłowego nie było. Kobiet niewiele w miasteczku, a w okolicznych wsiach dziewczyny szykowały się do rolnictwa, bo ziemia jest dobra. Należy rozumieć, że autor monografii – chociaż nie pisze tego wprost – sugeruje, iż zakład w Opatowie powstać musiał w wyniku samoródtwa. Nikt normalny nie zdecydowałby przecież o budowie fabryki w takim miejscu.*

Hipoteza ta zdaje się być cenna poznawczo i szkoda, że autor jej nie rozwija. Tym bardziej że następna hipoteza profesora prawdopodobnie stanie się już obiektem poważnych sporów naukowych. Chodzi o zależność sformułowaną przez uczonego w ten sposób: *Zakupienie dwóch przyczep campingowych przyczyniło się do zainteresowania załogi wczasami nadmorskimi, sobotnio-niedzielnymi, a także zagranicznymi.* Istnieje obawa, że naukowcy, szczególnie ze szkoły frankfurckiej, zaatakują ten pogląd, powołując się na burżuazyjną teorię, że 500 osób nie zmieści się w jednej przyczepie. W tej sytuacji byłoby dobrze – jeśli można coś radzić – aby nauka polska dokonała zawczasu dokładnych prób pomiarów.

Następna hipoteza, już mniej kontrowersyjna, dotyczy samoświadomości pracowników. Można się chyba zgodzić z tym, że, *pracownik wie, bo jest to ogłoszane na tablicy, ile zarobił, ile dostał nagrody.* Właściwie można byłoby pójść krok dalej i postawić tezę, że wie nawet bez ogłoszania, ale może to już zbyt ryzyko.

Ogólnie badania wykazały, że lepiej jest mieć fabrykę koszul niż jej nie mieć. Teraz trzeba by jeszcze sprawdzić czy zamiast fabryki koszul nie byłoby lepiej mieć koszule<sup>716</sup>.

<sup>716</sup> M. Ogórek, *Trochę nauki*, [w:] tegoż, *13 kolumna. Jak przekonać do aresztu*, Wydawnictwo „petit”, Warszawa 1991, s. 52–53.

**Przykład 580. Jerzy Skoczylas – *Studenckie czasy*.  
Piosenka z programu kabaretów „Elita” i „Studio 202”,  
do muzyki Włodzimierza Plaskoty (po 1991?)**

Pamiętasz, stary, to było sześć lat temu,  
Trzydzieści parę, nieważne, mniejsza z tym.  
W akademiku nas czterech, słoik dżemu,  
Piętrowe łóżka, papierosowy dym.  
Nie wiesz, co z Jolką? Podobno wyjechała.  
Wysłała za Staszka? Poważnie? Niech to szlag.  
Były numery, jak w Bogdanie się kochała.  
No popatrz, stary... to już tyle lat...

Ref.  
Studenckie czasy,  
Luźny młodzieńczy szyk,  
Rajdowe trasy,  
Cierpki stołówki wikt,  
Chwile minione,  
Błahe, beztroskie sny,  
Dziś na dyplomie  
Kilka plamek... to łyzy.

Pamiętasz, stary, tego Witka po urlopie,  
To był numerant, jak coś palnął, człowiek wył.  
Podobno Witek oficerem był w UOP-ie,  
Ten się urządził, zawsze cwany był.  
Pamiętasz, sesje, egzaminy poprawkowe,  
Trzy noce z rzędu, każdej nocy osiem kaw.  
Już nie palisz? Lekarz kazał ograniczyć?  
Nie to zdrowie, szybko leci czas.

Ref.  
Studenckie czasy,  
Ubaw w klubie po świt,  
Znów cztery pasy,  
Wolno wlecze się brydż,  
Mylą się daty,

Wspomnień miesza się rój,  
Dzisiaj etaty,  
Spodni niemodny krój.

Studenckie czasy,  
Skryptów pożółkły plik,  
Obozy, wczasy, taniego wina łyk,  
Kwaśny smak kredy,  
Chłód wykładowych sal,  
To było kiedyś,  
Dziś wspomnienia i żal<sup>717</sup>.

### **Przykład 581. Jan Tadeusz Stanisławski – *Od autora*. Parodia przedmowy do książki naukowej (1991)**

Okres życia polskich uczelni, w których troska o jakość produkcji zagubiła się w pogoni za ilością – niebezpiecznie się przedłuża. Dlatego sądzimy, że obecność tego skromnego „Kursu” obok spiętrzonych na stole studiującego wielotomowych podręczników – nie tylko nikogo nie powinna razić, ale i samym wielotomowym podręcznikom nie przyniesie ujmy, gdy w pewnym okresie studiów na stole czytelnika zamiast nich znajdzie się tylko „Krótki Kurs”. W toku studiów poważnego Czytelnika wykłady, zajęcia praktyczne, podręczniki i literatura naukowa zajmą zawsze należne sobie miejsce. Na miejscu ostatnim, tuż przed decydującą rozmową z Profesorem, winien znaleźć się „Kurs”. Zadaniem bowiem tej książki jest nie uczyć, lecz przypominać, a przypominać sobie można tylko to, co już uprzednio poznano.

Część druga „Kursu” obejmuje stenogramy wykładów. Można ją przerabiać w dwojaki sposób: tygodniowy lub godzinny. W pierwszym przypadku należy co tydzień czytać jeden wykład, dostosowując treść do świąt i rocznic. W drugim przypadku – rozpocząć czytanie około godziny 23.00 i tak czytać, aby skończyć o 5.00 rano dnia następnego Połowem „Polska z lotu ptaka”. Część pierwszą można zostawić na koniec, jako wymagającą skupienia i czasu.

Ze swej strony Autor winien głęboką wdzięczność tym, których rady, uwagi i słowa zachęty nie były mu oszczędzone. Na koniec pragnąłby On podziękować serdecznie Matce swojej za urodzenie, Siostrze – że nie jest jedynakiem, Żonie za przyrządzanie posiłków w tym tak trudnym dla niego okresie, oraz Córce, że

<sup>717</sup> J. Skoczylas, *Studenckie czasy*, [w:] tegoż, *Elita i Studio 202...*, dz. cyt., s. 68–69. Przepuszczalny czas napisania piosenki ustaliłem według roku powstania wspomnianego w tekście Urzędu Ochrony Państwa.

nie przeszkadzała. Jak również Wydawnictwu, dzięki któremu praca ta wypełniła nareszcie tak dotkliwą lukę w nauce (mówiąc bez fałszywej skromności) nie tylko polskiej, ale i światowej<sup>718</sup>.

### **Przykład 582. Jan Tadeusz Stanisławski – *Wiosna dwa*. Parodia wykładu naukowego (1991)**

O wiosnie można by w nieskończoność, tym bardziej że jest to jedna z najbardziej kontrowersyjnych pór roku. Wbrew pozorom – ludzie bardziej wolą jesień. Nawet w powiedzeniu: „aby do wiosny” – zawiera się coś z odczyniania czarów, tak jak w zawołaniu „na zdrowie” (gdy ktoś kichnie) zawieramy zabobonny lęk przed katarem, chorobą niegdyś podobno śmiertelną.

I trudno się dziwić takiemu obrotowi rzeczy. Na wiosnę staje przed maturzystą groza egzaminów końcowych i wstępnych. Niektórym uczniom świta nadzieja przetrwania w tej samej klasie. Rolnikowi mróz po grzbiecie chodzi na myśl o możliwości spóźnionych mrozów, mężczyźni martwią się o nowe sandały, kobiety gryzie troska w co by się ubrać, to znaczy – jak rozebrać. Ziemia upływnia remanenty śniegu, śnieg markotnieje pod okiem słońca, słońce – coraz bardziej się poci.

Jakie zająć stanowisko w tej sytuacji?...

Zdania na ten temat, jak i szkoły działania – są podzielone. Zasadniczo dzielą się jednak na dwie podstawowe. Obie ośmioklasowe. Z tym tylko, że jedna jest czynna – a druga bierna. Szkoła bierna, jak sama nazwa wskazuje, polega na wzmożonym pobieraniu wszystkiego, co się da pobrać. Pobiera więc witaminy, wzmożone dawki wiedzy, kalorie i pieniądze od rodziców. Swoje zwiększone zapotrzebowanie konsumpcyjne motywuje jedynie tym astronomicznym faktem, jakim jest zbliżanie się zrównania dnia z nocą.

Trzeba przyznać, nie bez pewnej dozy złośliwości, że jest to argument tyle wydumany, co ofiarowywanie przez pana Zagłobę Inflant królowi szwedzkiemu. Daje się tu zastosowanie teorii „odwracania kota ogonem”, o której tyle się słyzy, ale do dzisiaj nikt nie wie, czy chodzi tu o zmianę kierunku kota o 180°, czy też o obrócenie tego pożytecznego stworzenia za pomocą jakiegokolwiek ogona trzeciego, byle nie kociego.

Tak więc szkoła „bierna” wbrew utartym opiniom – nie jest szkołą siedzącą beczynnie, nic nie robiącą. Jest to jedna z najbardziej aktywnych szkół i szkód społecznych. Kto jak kto, ale właśnie ci, którzy nie mają prawa – zawsze naj-

---

<sup>718</sup> J.T. Stanisławski, *Od autora*, [w:] tegoż, *Mniemanologia stosowana. Krótki kurs z wypisami*, Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1991, s. 11–12.

głośniej krzyczą, że coś im się należy. Dla przykładu: każdy hrabia zabierał plony chłopom na tej jedynie zasadzie, że był synem poprzedniego hrabiego. Tak jak by kura z racji gdakania musiała być mówcą.

Tak więc Czytelnik winien wystrzegać się wszelkich szkół biernych i szkód społecznych jako tych, w których zjedzą mu jego porcję zanim się obejrzy.

Inaczej rzecz ma się ze szkołą czynną. Określenie „czynna” nie oznacza tu wcale uciążliwej ekspansywności. Przeciwnie. Jest to jedna z najspokojniejszych, najsolidniejszych i najbardziej ustabilizowanych szkół. Ona, po prostu, jest czynna całą dobę. Witaminy przyjmuje regularnie przez cały rok, najwyżej zmienia ich formę z pigułkowej na owocowo-warzywną. Odrabia regularnie lekcje. Rodziców nie zaskakuje nagłymi wydatkami. Pije w miarę i ogranicza się w paleniu.

Owa czynna całą dobę szkoła życia stworzyła już parę potęg na tym świecie. Od Stanów Zjednoczonych poczynając – na „Komedii Ludzkiej” tak popularnego pana Balzaka – kończąc.

Czy to jest nudne?...

Odpowiedź zależy od tego, co nazywamy nudą. Oto pierwszy lepszy przykład z brzegu:

Co roku na jesieni słyszymy, że zima tym razem nikogo nie zaskoczy. Co roku, w zimie okazuje się, że wszystkich zaskoczyła, a zwłaszcza tych, którzy mieli się nie dać zaskoczyć i już sobie na nią ostrzyli zęby.

Przykład drugi: Po każdym Krajowych Targach w Poznaniu – buty mają być modniejsze, a sklepy mądrzejsze. Po roku okazuje się, że sklepy są już po szkodziu, a buty – po modzie...

Przykład trzeci adresowany do młodego Czytelnika: Co roku grozi ci pała z rachunków. Mimo to, co roku masz mdłości i pałę z rachunków.

I teraz pytanie: czy to nie jest nudne?... Bo jeżeli nuda ma polegać na powtarzaniu się w nieskończoność pewnego zjawiska – to trudno nazwać pasjonującą przygodą coroczne latanie przez zasy śnieżne, w niemodnych butach, w pogoni za korepetycjami z rachunków.

A przecież wszystko to jest w gestii każdego człowieka. Trzeba jedynie zmienić szkołę bycia z biernej na czynną.

I to by było na tyle<sup>719</sup>.

<sup>719</sup> Tenże, *Wiosna dwa*, [w:] tegoż, *Mniemanologia...*, dz. cyt., s. 127–129.

**Przykład 583. Krystyna Sylwestrzak – *Na oświatę* (1991–1999)**

Kondycja polskiej oświaty  
 O ratunek woła.  
 Przydałaby się rządzącym  
 Jakaś dobra szkoła!<sup>720</sup>

**Przykład 584. Krystyna Sylwestrzak – *Uczniowska rada* (1991–1999)**

By podreperować naszej  
 Oświaty mizerię,  
 Proponuję również w zimie  
 Dwumiesięczne ferie<sup>721</sup>.

**Przykład 585. Krystyna Sylwestrzak – *Zmiany w oświacie* (1991–1999)**

Ze szkół – ponoć z woli nieba –  
 Odszedł POP, a przyszedł pleban<sup>722</sup>.

**Przykład 586. Jerzy Urban – *Prima aprilis, towarzysze!*  
**Fragmety wspomnień dotyczących lat 70.  
 XX wieku (1991)****

To, że ktoś robi sobie kawały z władzy, było zupełnie niecenzuralne. [...] Diabli wiedzą, jaki wróg naszej rzeczywistości mógłby skorzystać z moich doświadczeń. Z podobnych powodów 20 lat później, w latach siedemdziesiątych, nie udało mi się opublikować reportażu o cudzym kawale primaaprilisowym. Jeden uczeń I kwietnia zastępował kierownika gminnego radiowęzła. Z radiowęzła tego po drucie przekazywano audycje radia polskiego oraz audycje własne do umieszczonych w chałupach głośników, zwanych kołchoźnikami. Uczeń nagrał na taśmę normalny dziennik radiowy i potem zrobił montaż. Jako pierwsze podał wiadomości, które sam umieścił na taśmie: dziś o godzinie tej i tej rano, amerykańscy imperialiści wraz z niemieckimi rewizjonistami przekroczyli granice NRD. Wrogie samoloty zbombardowały Moskwę. Rozpoczęła się III wojna światowa. Napisał też i przeczytał ten chłopczyk różne komunikaty o tym, jak chronić się przed atakiem atomowym, rozkazy mobilizacyjne, wiadomości z frontów itp.

<sup>720</sup> K. Sylwestrzak, *Na oświatę*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 587.

<sup>721</sup> Tamże, *Uczniowska rada*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 588.

<sup>722</sup> Tamże, *Zmiany w oświacie*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 587.



W gminie wybuchła panika, która objawiła się w natychmiastowym wykupieniu soli, cukru i zapalek. Przeszono przyjmować pieniądze. Opis tych zdarzeń, pokazujących, co działałoby się na polskiej wsi, gdyby wybuchła wojna, cenzura wojskowa zdjęła mi w „Polityce” w całości, chociaż ta wojna to był tylko uczniowski żarcik na prima aprilis. Chodziło pewno o to, żeby nie rozpowszechniać pomysłów takich kawałów, bo wówczas ludzie wszędzie sól wykupią<sup>723</sup>.

**Przykład 587. Krzysztof Daukszewicz – A co na świecie?  
Uganda (1992)**

Uczniowie średniej szkoły w mieście Kabalega wdarli się do mieszkania dyrektora szkoły, który wyczuwając, co się święci, ukrył się na strychu. Gimnazjaliści wynieśli z pokoi meble i zaczęli je palić. Policja nie dała rady powstrzymać uczniów, którzy powitali ją gradem kamieni i wielkimi kijami. Stróżę porządku zdołali rozpędzić rozgniewanych nastolatków dopiero po dwóch dniach i to z pomocą oddziałów wojskowych.

Takie wystąpienia nie należą w Ugandzie do rzadkości. Tym razem poszło o słabe oświetlenie klas, fatalne warunki sanitarne i niski poziom nauczania...

Drodzy uczniowie ugandyjscy!

My, drodzy uczniowie polscy, cieszymy się bardzo, że wasze szkoły zrównały się z naszymi szkołami, bo zadaje to kłam propagandzie, która głosi wszem i wobec, że jesteśmy uprzedzeni rasowo.

Uważamy ponadto, że jest to wasz wielki wkład w rozwój inteligencji, a także ogromny krok do Europy, w której my już jesteśmy – jak mówią jedni, a drudzy – że dopiero będziemy, tak jak wy, drodzy uczniowie ugandyjscy.

A jeżeli nawet nie będziemy, to od dzisiaj wiemy, że podążamy w tym samym kierunku.

Jeżeli w waszej szkole są harcerze, to: CZUJ! CZUJ! CZUWAJ!!!<sup>724</sup>

**Przykład 588. Krzysztof Daukszewicz –  
Nowe w szkolnych czytankach.  
Marszałek Piłsudski lubi dzieci i lubi żołnierzy (1992)**

„[...] Marszałek Piłsudski dostaje wiele listów od dzieci na imieniny i święta. Marszałek Piłsudski polecił swojej kancelarii odpisać na wszystkie listy, które przychodzą od dzieci. Marszałek lubi dzieci”.

<sup>723</sup> J. Urban, *Prima aprilis, towarzysze!*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1991, s. 13.

<sup>724</sup> K. Daukszewicz, *A co na świecie? Uganda*, [w:] tegoż, *Między Wortujem...*, t. 2, dz. cyt., s. 103–104.

Gdzie ja to już wcześniej czytałem?

„Prezydent Bierut lubi dzieci i żołnierzy [...]. Prezydent Bierut dostaje wiele listów na imieniny i święta. Prezydent Bierut polecił swojej kancelarii odpisać na wszystkie listy, które przychodzą od dzieci...”

Swoją drogą, na jaki adres obecnie żyjące dzieci wyślą życzenia dla powracającego do obecnego życia Marszałka Piłsudskiego?<sup>725</sup> [...]

Po balu w szkole rolniczej w Dawspudzie znaleziono dwieście butelek po wódce. Aferze zapobiegło oświadczenie grona pedagogicznego, że bal poprzedziła msza święta.

Podniesienie?

Aż takie?<sup>726</sup>

### **Przykład 589. Krzysztof Daukszewicz – *Praca domowa z matematyki dla dzieci, młodzieży i dorosłych* (1992)**

Jeżeli z państwowego funduszu dyspozycyjnego prezydenta przelano na konto prywatnej Fundacji Obywatelskiej Lecha Wałęsy 160 milionów złotych, to ile na tym zarobił Jarosław Kaczyński?<sup>727</sup>

### **Przykład 590. Krzysztof Daukszewicz – *Wiadomości z granicy wschodniej* (1992)**

W autokarze wiozącym dzieci z Ukrainy na wycieczkę do Polski wykryto 1200 butelek wódki i 700 butelek szampana.

Zarówno wychowawcy, jak i uczniowie stracili motywację do dalszego zwiedzania III Rzeczypospolitej<sup>728</sup>.

### **Przykład 591. Ryszard Marek Groński – *Wiejski nauczyciel oczekuje propozycji* (1992)**

Zawód? Nauczyciel... Możecie się śmiać. Matula błagała: Idź synku lepiej na księdza, choćby nawet na księdza-patriotę z PAX-u! Nie chciałem. – Religia – tłumaczyłem niepiśmiennej matuli, to przeżytek. Czy ja mogłem wtedy przewidzieć, że ten przeżytek wszystkich przeżyje? Dowcip mi się przypomniał. Stary,

<sup>725</sup> Tenże, *Między Wortujęm a Przyszłożbożem*, t. 3, *W sam raz*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992, s. 18–19.

<sup>726</sup> Tenże, *Nowe w szkolnych czytankach. Marszałek Piłsudski lubi dzieci i lubi żołnierzy*, [w:] tegoż, *Między Wortujęm...*, t. 3, dz. cyt., s. 33.

<sup>727</sup> Tenże, *Praca domowa z matematyki dla dzieci, młodzieży i dorosłych*, [w:] tegoż, *Między Wortujęm...*, t. 2, dz. cyt., s. 107.

<sup>728</sup> Tenże, *Wiadomości z granicy wschodniej*, [w:] tegoż, *Między Wortujęm...*, t. 2, dz. cyt., s. 41.

ale dowcipy są zawsze stare. Tylko opowiadają je coraz młodszy ludzie. Więc stoi turysta na placu przed Bazyliką św. Piotra w Rzymie. Rozgląda się mruży: „Zaczynali od żłóbka i stajenki. I proszę jak rozkręcili interes!”

Bodaj byś cudze dzieci uczył... Ja uczyłem. Głucha wiocha. Teraz jak przyjeżdża telewizja – cała wieś składa się na komplet zębów. Żeby wyszczerzyć się do kamery. Jeden przyniesie siekacza. Drugi dwa trzonowce. Babcia Żygulina dolną szóstkę. To integruje naszą małą społeczność.

Telewizja przyjeżdża, a najzdolniejszego ucznia, tego, który zrobił największą karierę – w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć. Zaćma, na mózgu. Na widok dziennikarzy chowam się w drewni. Bo co im powiem? Że ja, pedagog – nie pamiętam prymusa? Ryzykowne. Ja nie pamiętam, ale znajdują się tacy, co mnie zapamiętają. Demokracja demokracją – życie uczy rozważli. Oglądałem w telewizorze kolegów. Manifestowali przed Sejmem z transparentem: „Zamienię pensję nauczycielską na dietę poselską”. Strajki szkolne... W 1905 strajkowali uczniowie. Co za roztropna i przewidująca młodzież: już wtedy nie chcieli uczyć się rosyjskiego! Teraz strajkują nauczyciele. Nie, głodówek nie urządzają. Ciało pedagogiczne wątłe, mogłoby tego nie wytrzymać. Po redukcjach – nauczycieli i jednostek lekcyjnych – zostało nas dwóch. Ksiądz katecheta i ja. Ksiądz nie zgodził się, żeby przenieść zajęcia do sali parafialnej. Wynajął ją na pawilon handlowy. Lekcje odbywają się dalej w szkole. Zabytek klasy dwuzerowej – za potrzebą chodzi się na dwór. Grzyb, wilgoć... W gabinecie fizycznym zamienionym na Muzeum Komunizmu zawalił się sufit. Pieniądzy na remont znikąd. Budżet umarł, na miejscowych nie ma co liczyć. Księdzu też nielekkko. Musiał wstrzymać budowę plebanii. Jedziemy na jednym wózku. On jeździ oplem, czasem mnie podrzuci.

Najgorszy syf – nauczanie. Matematyka – o, to jeszcze ujdzie. Ani Pitagoras, ani iloraz nie występowali się czerwoni. Biologia... Ustaliliśmy z księdzem przy herbacie, że Noe zabrał na pokład arki – ewolucję... Za to historia, za to polski – zgroza! Podręczniki nowe, a już przebrzmiały. Myślałem, że dwa poprzednie rządy były nasze. Okazało się, że dopiero trzeci był nasz. Tamte – jeden unicki. Drugi – przepraszam za epitet: liberalny. Wyprzedawali Polskę obcemu kapitałowi, chociaż obcy kapitał bronił się rękami i nogami i tłumaczył, że zapomniał portfela.

Na wszelki wypadek opracowałem dla siebie ściągawkę. Skrót naszych dziejów. Od Światowida, który miał cztery twarze – do współczesnych bożków, co mają ich jeszcze więcej. Od chrztu Polski, który się przyjął – do chrztu Polski, co też się przyjął. Redaktorowi Klehcie zwłaszcza. Od św. Kingi do senatora Grześkowiaka. Od Sobieskiego pod Wiedniem do sowieckiego pod Legnicą. Od... Historia – pół biedy. Nauczycielka życia. Jak to nauczycielka – elastyczna. Gorzej z literaturą. Jak to ugryźć? Chyba tylko bulterier dałby temu radę. Co do nie-

dawna było postępowe – dziś wsteczne. Co krytyczne – winno być samokrytyczne. Co odważne – konformistyczne, żeby nie powiedzieć – plugawe. Tytuły też... Nie bardzo na ten sezon. „Krótka rozprawa między panem, wójtem i plebanem”. Krótka? Pleban z Miodowej elokwentny. „Bez dogmatu”... A co na to pan poseł Nie-siołowski. Jak to – bez dogmatu? Nihilizm i pornografia! „Ulana”... Żeby uczniowie dogadywali: panie psorze – nie Ulana tylko ululana... „Mała Apokalipsa”... Urośnie, nie bójmy się jutra! „Grube ryby”... A cóż to za aluzja? Kiedy ktoś na stanowisku chce wędkować, albo rozwiązywać krzyżówkę czy kancelarię – jego sprawa.

Cała literatura do wymiany. Powrót ustroju to jak powrót hrabiego Monte Christo. Najpierw nikt go nie poznaje. Potem jest już za późno.

Po nocach, siedząc przy kaganku oświaty – poprawiłem i zaktualizowałem wypisy dla maturzystów. Przyjechała pańcia z kuratorium. Wizytuje lekcję. Temat: poezja dwudziestolecia. Tuwim. Ona krzywi się – wiadomo, co to za ancymonek ten Tuwim. Wyznaczony do odpylania piątkowicz wstaje i recytuje „Modlitwę”. Z „Kwiatów polskich”. Ale po moich poprawkach:

Chmury nad nami rozpal w łunę,  
 Uderz nam w serca złotym dzwonem –  
 Nareszcie trafił szlag Komunę  
 I orzeł znowu ma koronę!  
 Daj nam uprzątnąć dom ojczysty.  
 Nikogo odtąd nie bolszewicz.  
 Niech pan minister Macierewicz  
 Ujawni konfidentów listy!  
 Kaczyńskich zapał się ostudzi,  
 Lewica w Sejmie nie napsoci...  
 Daj rząd! Daj rządy silnych ludzi  
 Znanych z umiaru i dobroci.  
 Bankierstwo przypędź! Nie skąp porad,  
 By pieniądź w pieniądź znów porastał.  
 Niech Tymińskiego elektorat  
 Zaludni peruwiańskie miasta.  
 Gdy na odciski lud im stanie  
 Do salonowych mędrków dotrze:  
 Po przyspieszeniu – przetrzepanie.  
 Każdego potrzeb według potrzeb...

– To rozumiem – pani wizytator w skowronkach. – A tego komucha Gałczyńskiego, też kolega przyłączył do Najjaśniejszej? Wiceprymus (udający drugorocznego) zadeklamował „Zimę z wypisów”:

Któż to tak śnieżkiem prószy z niebiosów?

Dyć oczywiście – nasz wojewoda.

Nomenklatura już nie zaszura,

Nikt jej do renty nie doda.

Śnieżku nasypał nowy pryncypał

Nasz z ZChN wojewoda.

A któż na szybach maluje kwiaty,

Czy mróz siarczysty i luty?

Nie, to partyjni dziś cykoryjni

Malują w ramach pokuty...

– Bravo! – pani wizytator promieniała. – O młodszych klasach, o maluszkach też pomyśleliście?

– Ma się rozumieć, że pomyślałem, jakże by:

Chcecie bajki? Oto bajka

Była sobie Pchła Szachrajka.

Znała ją czerezwyczajka...

Nie wiem, co wizytatorka napisała w sprawozdaniu. Wzywają mnie do Warszawy. Mam przepracować ostatnią scenę z „Przedwiośnia” Żeromskiego.

Wiem jak: Cezary Baryka maszeruje na czele rozentuzjzmowanego tłumu. Na Belweder. Żeby podziękować za kawałek Polski, który każdy z manifestantów schował do kieszeni<sup>729</sup>.

### **Przykład 592. Krzysztof Jaroszyński – *Do szkoły!* (1992)**

Przepraszam, że taki trochę wstrząśnięty jestem, ale dzieciaka do szkoły zaprowadziłem. Normalnie – złapałem go za rękę, dwa dni przed terminem, żeby mi nie uciekał i zaciągnąłem. Takie małe dziecko daje się łatwo ciągnąć, trochę się zapierał na krawężnikach, to się go podrzuciło i zaciągnąłem. Nawet nie do pierwszej klasy – w pierwszej już był. Parę lat już był w pierwszej. Wiecie państwo – skalkulowałem sobie i go w tym roku do szóstej dałem, bo bardzo tanio podręczniki do szóstej były. Poza tym dowiedziałem się, że piąta ciężka jest – to co będę swojego dzieciaka męczył, dwa lata w szóstej posiedzi to się tego samego od kumpli dowie. Ciężko go z tą szkołą połączyć. Bo szkoła się zmienia. Jak w czerwcu odebrał ze szkoły taki papierek, że nie zdał do trzeciej, to szkoła była „Imienia Trójek Murarskich”, a teraz jak go zaciągnąłem, to już była „Trójcy Świętej”. Ale w końcu nieważne, jak się szkoła nazywa, ważne jaka jest. Jest piękna – tam chyba w wakacje jakiś pijany murarz musiał wpaść.

<sup>729</sup> R.M. Groński, *Wiejski nauczyciel oczekuje propozycji*, [w:] tegoż, *Jak żyć w postkomunizmie*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1992, s. 24–27.

Te podłogi ślicznie wybielone, klepka na ścianach równo ułożona. Sporo nowych nauczycieli spotkałem – księdza od WF, taki młody, dziarski, w takiej krótkiej sutannie Adidasa, mocny ksiądz. Przywitał się, zrobił przewrót w tył i poszedł pokazać nam salę gimnastyczną, ale też krótko, bo przyszła ekipa z parafii święcić drabinki. Przeszliśmy na korytarz – tam też zmiany: tę tablicę ku czci Lenina, co straszili dzieci, to już zdjęli, przetopili na puszkę dla Kuronia, w tej najnowszej wersji – z lejkiem. Jak ktoś nie ma drobnych, to supę wlewa. Dzieciaki wyją na korytarzu – ledwo dzwonnika było słychać. Potem zaprowadzili nas do tej kruchty nauczycielskiej. Tam się okazało, że to życie nauczyciela, to nie po różach sływa. Oni ostatnio dostali takie instrukcje... zalecenia z kuratorium, że ledwo mogą wyrobić. Okazało się na przykład, że te dzieci, które w poprzednich latach uczyły się języka rosyjskiego – był taki kraj – w tym roku muszą obowiązkowo chodzić na lekcje zapominania rosyjskiego, to się tak wydaje, ale mój dzieciak ma na piątek zapomnieć na pamięć wiersz Majakowskiego i czterdzieści słówek. Wszystko mu kupiłem: zeszyt... nawet dwa, bo jeden może zgubić. Bardzo tanio kupiłem, bo od baby na ulicy. Tanio, bo zapisane. Ale jak sobie pomyślałem, że jeszcze długopisu nie muszę mu kupować, to wszystkie wzięłem. Jeszcze na przyszły rok będzie miał. A te pomoce naukowe drogie takie... sam różaniec do arytmetyki... to dosłownie za kieszeń trzeba się trzymać.

W szkole na początku roku było trochę bałaganu organizacyjnego, bo jak oni wprowadzili te lekcje religii – i bardzo słusznie, niech się dziecko uczy – zabrakło im pracowni na te inne lekcje. Ale taki szczęśliwy zbieg okoliczności – znaleźli na mieście pustą salę... katechetyczną, na parafii. Bo tam kiedyś na parafii religię dawali, ale zaniechali, bo przenieśli, to oni teraz tam przenieśli te przedmioty, co je wypchnęła religia. Dla mnie to jest wszystko jedno. On może uczyć się religii w szkole – wychowania obronnego na parafii. Tylko zdrowszy będzie, bo to na dwóch końcach miasta jest. Sześć razy dziennie musi ganiać.

Szkoła w porządku jest: ona ma poziom, on jest bardzo niski, ale jest. Ma też język wykładowy i nie jest to język polski. On, ten język, łaciną jest. Wszystkiego uczą po łacinie. On inaczej nie mówi. Wraca do domu – dalej mówi po łacinie, tylko o szkole. To jest eksperyment – skoro oni angielskiego uczą po łacinie. Żeby się dowiedzieć jak jest „good morning” po polsku to on ma trzy słowniki. Bo jeszcze po drodze ma „Ave”. I ja się z tym godzę – niech on cały dzień mówi po łacinie, niech biega po całym mieście za tymi lekcjami, tylko żeby tego wina nie pił! Bo to nie wiadomo, jak dalece on wejdzie w tę liturgię, a człowiek woli mieć dziecko trzeźwe<sup>730</sup>.

---

<sup>730</sup> K. Jaroszyński, *Do szkoły!*, [w:] tegoż, *Przepraszam, że kabaret*, Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1992, s. 195–197.

**Przykład 593. Krzysztof Jaroszyński – *Notatnik pedagoga*.  
Fragmenty (1992)**

3 września. Jak miło spojrzeć na prawidłowo funkcjonującą placówkę szkolną! Dziewczynki na zajęciach praktyczno-technicznych wykonują cyklotron – są już przecież dorosłe, na boisku klasa geografii kopie poziomice, w pokoju zajęć uświadamiających robota aż furczy, natomiast w pracowni biologii panuje – niestety – zabobon. Młodzież – jak przed pokoleniami – wychowuje żabę.

A przecież są ciekawsze zwierzęta, jak na przykład koń. Młodzież obznajomiona jest z koniem słabo, lepiej zna takie zwierzęta jak prusak, pchła i temuż podobne. A przecież koń jest piękny! Wraz z koleżanką Partenogenewską, wybitną biologiczką, zapoznaliśmy młodzież z koniem drogą praktyczną. Krótki przejazd tramwajem i już mogliśmy przedstawić młodym konia, a nawet kilku. Młodzież konie dotykała, uczeń Pietras nawet wyjadł jednemu siano z naczynia, taki daje się zauważyć głód wiedzy. Ale zobaczyć konia to jeszcze za mało, trzeba jeszcze umieć rozpoznać, który koń jest zdrowszy, silniejszy, wreszcie szybszy. Młodzi chętnie wskazywali, który koń jest ich zdaniem najlepszy i efekty nie dały na siebie długo czekać.

Już w drugiej gonitwie uczennica Marska trafiła porządek 4–2 (wyplata po 92 złote), a w piątej Pietras trójkę po francusku, za co pewnie otrzyma obniżony stopień ze sprawowania. Dochody z lekcji o koniu decyzją koleżanki biologiczki i moją postanowiliśmy spożytkować na sesję podsumowującą w lokalu Cristal-Budapest, znajdującym się dokładnie na drodze powrotu z toru do placówki szkolnej...

11 września. Wytrawny pedagog – albo nawet głupi, ale z doświadczeniem – wie, że młodzież posiada czas wolny po zajęciach i czyni wówczas prywatki. Na takich prywatkach niejednokrotnie młodzi zaglądają do kieliszka, niektórzy nawet kilkakrotnie podczas wieczoru, zdarza się też, że między młodzieżą – gdzie skutek zaniedbania występuje różnica płci – dochodzi do inicjacji. A przecież od wielu lat walczymy z rażącymi różnicami w środowisku młodzieży i różnica płci to ostatnia, jaka nam pozostała do zwalczania. Niemniej światły pedagog nigdy nie zakazuje urządzania prywatek. Przeciwnie – stara się do nich przyłączyć. Nasze grono pedagogiczne tytułem eksperymentu włączyło się ostatnio w prywatkę u Pietrasa, noszącą wyraźne ślady niebezpieczeństwa. Kolega wuefmen ku większemu zaprzyjaźnieniu się z młodzieżą przyniósł alkohol w postaci płynu marki Krakus, zaś kolega manualny płyty z piosenkami „Małe mieszkanko na Mariensztacie” i „Pójdę na Stare Miasto” oraz pocztówkę dźwiękową z wiązanką przyśpiewek z okolic Łowicza. Młodzież przyjęła nas początkowo nieufnie – kanapkami, dopiero gdy kolega wuefmen zadzierzgnął

bliższe kontakty z uczennicą Marską, przenosząc się do innego pokoju, bariera nieufności znikła.

Dla podtrzymania lekkiego nastroju zaprosiliśmy z kolegą manualnym dwie starsze uczennice do zabawy w łaskotki, co młodzież w osobach rzeczonych uczennic przyjęła chętnie, tym bardziej, że kolega manualny jest zręczny w palcach – rzecz by można – profesjonalnie. Reszta młodzieży za naszą zgodą taktownie opuściła mieszkanie w celu przygotowania się do zajęć na dzień następnny. Ucznia Pietrasa zaś – gospodarza tej imprezy – nie mogąc usprawiedliwić z tak błążej przyczyny, zawiesiliśmy salomonowym wyrokiem w prawach ucznia na kilka dni, aż posprząta.

*18 września.* Przeprowadziliśmy bardzo głęboką akcję na wychowanie fizyczne młodzieży, u której ekspertyza higienistki wykazała duży odsetek cherlu. Młodzi cherleją i postanowiliśmy zwalczyć to zjawisko na wielu frontach jednocześnie. I tak na terenie naszej placówki od pewnego czasu – muszę podkreślić z dumą – schodów NIE MA. U stropu zamontowaliśmy liny plecione, osobną dla chłopców, osobną dla dziewcząt – sięgającą jedynie pierwszego piętra. Oznacza to, że na drugim piętrze, na przykład w gabinecie biologii ostatnio dziewcząt nie widać. Zbiegło to się jakoś z innowacją, żeby szatnia była na strychu, co sprawia, że panienki nie zostawiają okryć w szatni i współczynnik zachorowalności dziewcząt zmalował o 50%. Nie jest to cyfra bez znaczenia, wzięwszy dodatkowo pod uwagę inicjatywę kolegi wuefmena, który wyłączył w naszej placówce centralne ogrzewanie, celem dalszego zahartowania organizmów. Wprawdzie – powiedzmy sobie w oczy – młodzież szczęka, ale szczęka zdrowo.

Mianowicie ruch drgający uzębienia powoduje oczyszczenie tegoż, a zwłaszcza wypadanie resztek pożywienia z ubytków i w rezultacie prowadzi do eliminacji próchnicy. Wypada się pochwalić, że ostatnio w gabinecie dentystrycznym młodzieży nie widać. Wprawdzie wśród przyczyn tego stanu jest i to, że koleżanka stomatolog jeszcze nie wróciła z macierzyńskiego, niemniej wyniki wychowania przez wuef widać. Tężyzna fizyczna młodzieży wraca, czego najlepszym dowodem jest, że uczniów naszych prywatnie, po lekcjach – na dzień dzisiejszy – unikamy.

*23 września.* My pedagodzy od lat uparcie walczyliśmy z ordynarnym zwyczajem pisania rozmaitych haseł i sloganów na ścianach sanitariatów na terenie naszej placówki. Próbowaliśmy wielu metod. Była moda na likwidację ścian – veto podniosły dziewczynki, mimo że chłopcy pomysł poparli. Rzecz upadła (mam na myśli inicjatywę, nie ścianę). Z kolei odwołaliśmy się do nowoczesnych metod wychowawczych, a mianowicie powiedzieliśmy młodzieży, że jeśli już muszą pisać – niech piszą hasła i slogany zalecane w podręcznikach.



Na przykład „suma kątów przyprostokątnej wynosi...” i tak dalej, wyleciało mi chwilowo z głowy. Dało to sporą poprawę, niemniej obok definicji pikofarada nadal pojawiały się napisy treści lubieżnej, bądź światopoglądowo niesłusznej. Toteż nakazaliśmy samej młodzieży oczyścić się z elementów przestępczych i młodzi przeprowadzili obławę. Ileż było śmiechu, gdy dzieci z właściwą sobie powagą dokonały zasadzenia się i w toalecie znaleźli kolegów manualnego i wuefmena, którzy markowali pisanie na ścianach, chcąc się przekonać, czy młodzież jest czujna. Jest!

*Z taśmy magnetofonowej rejestrującej zajęcia praktyczne w terenie dnia 2 października.* „...drogie dzieci, sztuka rozmawiania przez telefon jest niezwykle ważna w życiu współczesnym. Znajdujemy się właśnie przed budką telefoniczną. Ktoś mi powie, co było zadane na dziś? No? Taak. Złotówka. Zadane było przynieść z domu jedną złotówkę, słabsi uczniowie mieli przynieść dwie. Pietras czternaście złotych. Za chwile każde z was przeprowadzi jedną prawidłową rozmowę. Jak chyba wiecie, należy najpierw wsunąć monetę w szczelinę, następnie podnieść słuchawkę. Na tarczy znajdują się cyfry od zera do jednego, tylko w odwrotnej kolejności. Może pierwsza... uczennica Marska, masz tu numer, wykręć do pana Wąchorskiego i powiesz mu, że jak nie odda tych 600 złotych, to mu ktoś życzliwy powyrywa nogi z tego, na czym skończyliśmy ostatnią rozmowę. Przygotowuje się uczennica Mazurna, poprosisz wewnętrzny 51 i powiesz, że jeśli ten pan nie odczepi się od wiadomej osoby, to niech zadzwoni do Wąchorskiego i dowie się, z czego mu się co powyrywa. Pietras przygotowuje złotówkę i zadzwoni pod ten numer, to będzie warsztat, poprosisz Grubego i wyjaśnisz, że będzie musiał poczekać na ten tysiąc, bo Wąchorski nawala. Dobrze. Widzę Marska skończyła, wchodzi Mazurna, czeka Pietras, przygotowuje się Porożak. Ty zadzwonisz do tej pani... tu nasze dane i zawiadomisz ją, że jej małżonek robi jej rogi... hm, przepraszam cię, Porożak... i nadmieniam, że całe miasto o tym wie, nawet Wąchorski. I tu dasz jej numer Wąchorskiego, który ma Marska. Pietras, jaki wynik rozmowy z warsztatem? Było zajęte? Niedostateczny, Pietras. Ile ci jeszcze zostało złotych? Trzyście... No widzisz – masz pecha. Tu niedaleko jest sklep spożywczy, nabędziesz dwa opakowania piwa »Warka«. Oho, zbliża się pora dzwonka. Te dzieci, które jeszcze nie dzwoniły – podniosą rączki. Taaak... Mazurna. Zbierzesz te złotówki, jesteście wolni, a ja muszę wziąć taryfę do Wąchorskiego, bo widzicie, że nie umiecie się dodzwonić...”

*23 listopada.* Wcielamy w młodzież tę symboliczną ochronę przyrody. Że nawet ten świetlik, chrabąszcz, a nawet mysza to jest przyroda w swym całości kształcie imponująca. I, że jeśli gdzieś kot goni myszę, to goni przyrodę w osobie tej myszy i wypada przywalić temu kotu tak, żeby mu nigdy mysza do głowy

nie przyszła. Wraz z koleżanką przyrodniczką Partenogenewską postanowiliśmy w naszej placówce wzmocnić instynkt ochrony ptaka. Poprzednio mieliśmy akcję budowy karmników, ale – przyznać trzeba – ponieśliśmy wychowawczą porażkę... Młodzież zdejmowała karmniki z drzew w parku i przynosiła jako swoje. Wprawdzie natychmiast powtórnie wieszaliśmy karmniki w parku jako nowe, ale ptactwo – pozbawione noclegu na jedną dobę – pozostawało dezorientowane. Zauważyliśmy także inne niepokojące objawy – uczeń Pietras podjadał sikorkom słoninę i nie było na to metody wychowawczej. Ale od czego też jest biblioteka pedagoga – poszperaliśmy w podręcznikach i metoda się znalazła. W jednej książce historycznej o Hiszpanii znaleźliśmy interesujący opis i natychmiast wdrożyliśmy go w naszej sprawie. Uczeń Pietras już w dwunastej minucie mąk zrezygnował ze słoniny, a nieco później z sikorek i z przytomności.

Poleciliśmy także przynieść uczniom po jednym gołębiu na lekcję wychowawczą, by go poglądowo wypuścić. Tam też wpadliśmy na ciekawy pomysł. Oto by młodzież lepiej zapamiętała, iż ptaka należy wypuścić, do nogi gołębia kazaliśmy umocować po kilka metrów linki szpagatowej, by po wypuszczeniu móc ptaka ściągnąć z powrotem i w ten sposób wypuszczać wielokrotnie dla lepszego zapamiętania.

*27 grudnia.* Na kilka dni przed wigilią młodzież naszej placówki pobiła Świętego Mikołaja. W roli Mikołaja wystąpił nasz woźny Modrzewicz, który czuje się już lepiej i z pewnością zajączka wielkanocnego z soli zje własnymi rękami, co nie udało mu się z karpem wigilijnym. Mimo to woźny Modrzewicz, a także grono pedagogów cieszy się, bo pobicie Mikołaja jest dowodem wysokiej świadomości młodzieży. Nie wierzy już ona w zabobonictwo i guślarstwo, że dzieci przynosi kukułka, a ile razy bocian uderzy dziobem w drzewo, tyle będzie potomstwa w kapuście. Wypadek uznano za wyrastający z naszej narodowej tradycji, zwłaszcza czasów carskich, kiedy należało właśnie bić Mikołaja (I, II i tak dalej).

Do świąt przygotowaliśmy się z należytą odpowiedzialnością i postanowiliśmy spędzić święta przy pracy. Aby równocześnie odbyć święta przy choince, padła propozycja, by pracować nad choinką. Uczennica Marska zdobyła łańcuch z budki telefonicznej, którym postanowiliśmy ochronić drzewo przed kradzieżą. Ponadto słyszeliśmy, że przy choince bywa łańcuch. Wprawdzie Marska przyniosła łańcuch z książką telefoniczną, ale nikogo to specjalnie nie zmartwiło, zważywszy, że książka to wyborny upominek pod choinkę. Wykorzystaliśmy również inne sposoby zabezpieczenia choinki przed kradzieżą, w tym alarmowy system świetlny, który skonstruował społecznie, za niewielkim wynagrodzeniem nasz fizyk, kolega Paradziej. System składał się z szeregu żarówek, dla niepo-

znaki pomalowanych na rozmaite kolory i zawieszonych na drzewku. Gdyby złodziej (lub ktoś inny, kto kradnie) chciał podwędzić choinkę, musiałby wyłączyć żarówki z kontaktu, które nieomal natychmiast zasygnalizowałyby kradzież poprzez zgaśnięcie. Dla doskonalszego zabezpieczenia wykorzystaliśmy jeszcze jeden system alarmowy, tym razem akustyczny. Polega on na umieszczeniu na drzewie pewnej ilości baniek szklanych, które w chwili gwałtownej kradzieży zsuwają się z gałązek i rozbijając się, wydają charakterystyczny dźwięk, alarmujący właściciela. Trzy systemy zabezpieczające stworzyły pewną gwarancję i pozostało już jedynie załatwienie jakiegoś drzewka. W tym celu wysłaliśmy ucznia Pietrasa z piłą do parku miejskiego.

*28 grudnia.* Dziś odbyło się spotkanie Ciała Pedagogicznego w celu złożenia sobie życzeń noworocznych. Już podczas pierwszej mowy toastowej kolega manualny złożył na ręce kolegi wuefmena życzenia dla niego i gromadki nieślubnych dzieci, o których wiadomo, że są owocem szczególnie intensywnej korepetycji, jakich dopuszczał się nasz kolega na niektórych uczennicach. Manualny dodał, że jest też pełen podziwu dla jego przedsiębiorczości, dzięki której upłynął z naszej placówki konia z łękami, zestaw skrzyń, kilkanaście metrów bieżących drabinki dębowej, a nawet uczniowskie pepegi oddane w depozyt.

Z kolei wuefmen wznosił toast za zdrowie kolegi manualnego, podkreślając szczególnie umiejętność, która pozwala być mu świetnym, aktywnym i pełnym pomysłów pedagogiem, będąc w życiu prywatnym półgłówkiem i tępym idiotą bez cienia ludzkich odruchów. Zaś na koniec swego wystąpienia kolega wuefmen wspomniał o dorobku naszego fizyka, kolegi Paradzieja, który chociaż uległ niedawno na mrozie odmóżdzeniu trzeciego stopnia, mimo wszystko trzyma się dzielnie, choć już nawet nie pamięta, jakiego uczy przedmiotu. W odpowiedzi Paradziej przybliżył nieco sylwetkę wuefmena, niewątpliwie cennego współpracownika i żarliwego kolegi. Podał mianowicie do publicznej wiadomości fakt, że inicjały X.X. jakich używa wuefmen, nie oznaczają skrótu jego imienia i nazwiska Xawery Xerowiec (jak na prawo i lewo informuje rzeczony), ale są po prostu wynikiem istotnej luki w wykształceniu – skądinąd starannym – kolegi wuefmena. Dalej magister Paradziej zaproponował wypicie zdrowia naszej biologiczki, koleżanki Partenogewskiej, którą wszyscy lubimy i podziwiamy, choć niewielu już pamięta, jak wygląda, ponieważ w zeszłym roku była w pracy dwukrotnie, w tym raz wypadła święto ruchome, uniemożliwiające zajęcia. Dodał też, że pogłoski, jakoby Partenogewska wyjechała do Nowej Zelandii nie odpowiadają prawdzie, ponieważ spotkał ją przypadkiem wieczorem w barze „Ruczaj” w towarzystwie kilku mężczyzn tryskających zdrowiem i biologią (za pewne kolegów po fachu). Na koniec wypowiedzi rzucił jeszcze nieco światła

na postać woźnego Modrzewicza, którego poświęcenie i rodzinny stosunek do naszej placówki zaowocowały tym, że w pracowni chemii umieścił całą swoją rodzinę, która przeprowadza nieustającą destylację, w gabinecie dentystycznym zakopował prywatne ziemniaki, a w toalecie uczniowskiej motor szwagra. Woźny Modrzewicz uściślił, że motor jest istotnie szwagra, ale szwagra dyrektora. On zaś sam – Modrzewicz chce uczcić toastem mrówczą pracę sekretarki Czerwiakowej, która pożycza pieniądze Komitetu Rodzicielskiego na procent wyróżniającym się brakiem gotówki pracownikom naszej szkoły. Na koniec zabrał głos dyrektor, który ogłosił potrzebę zasadniczej odnowy w łonie szkoły i zaproponował, by Paradziej zajął się pracami ręcznymi, manualny śpiewem, Modrzewicz chemią, a Partenogenewska z wuefmenem niech zagospodarują gabinet chemii na kawalerkę, ponieważ mają się ku sobie i jest to już tajemnica poliszynela.

W części artystycznej naszego spotkania nasz polonista Imek wyjaśnił, co to jest „tajemnica poliszynela”.

10 stycznia. Często słyszy się w prasie czy w telewizji o pasjonującym hobby – miniaturystyce. Miniaturyści – przeważnie cudzoziemcy – potrafią wykonać organy Hammonda wielkości ziarna fasoli, albo buty z prawdziwej skóry, męskie, numer 0,003. Dlatego nasz pedagog manualny, inżynier Kwaśny postawił na miniaturystykę, po prawdzie głównie z tej przyczyny, że materiału otrzymuje nasza szkoła niedużo, a i pracownia ma tak mały metraż, że gdy wewnątrz znajduje się cała grupa, to inżynier Kwaśny prowadzi wykłady z parapetu za oknem.

Miniaturystyka przyjęła się. Już po miesiącu uczeń Pietras wykonał odważnik dwukilowy wielkości naparstka, dziewczynki z najstarszej klasy zrobiły znaki drogowe „Uwaga. Dzieci!” o wymiarach 8 × 6 mm. Uczennica Marska skonstruowała taboret 6 × 9 z drzewa balsa, które jest nie tylko najlżejsze z drzew, ale też lżejsze od siebie samego i unosi się w powietrzu. Młodzi wyrób uczennicy Marskiej łapali przez jakiś czas, było sporo śmiechu. Dziewczęta na zajęciach gospodarskich zrobiły obiad półkaloryczny o wadze 2 gramy porcja, z kotлетem siekanym wielkości zatrasku i surówką.

Uczeń Kononowicz wykonał Marię Konopnicką z kartofla wysokości 2 cm, która zamyka oczy, gdy się ją kładzie. Dość powiedzieć, że pasja miniaturystyki zawładnęła nawet gronem pedagogicznym i dyrekcją, którzy – zachęceni przez młodzież – zmniejszyli ferie zimowe do rozmiarów 21 minut 10 sekund w ten sposób, że gdy ostatnie dzieci wychodziły z naszej szkoły, pierwsze już zaczynały zajęcia, wypoczęte po feriach.

27 stycznia. W podręczniku do polskiego młodzieży otrzymują niezapomniane stronicie rodzimej literatury. Niezapomniane o tyle, że muszą je znać na pamięć.

Tego wymaga nasz polonista magister Imek. Jednak młodzież tęskni do żywego słowa i polonista postanowił zaprosić na lekcję człowieka teatru. Po zgromadzeniu składowego funduszu Imek udał się do pobliskiego teatru poprosić gościa. Uczniowie zaś w międzyczasie udekorowali salę napisem na ścianie, że Polacy nie gęsi są, ale ponieważ brakowało portretu autora tego powiedzonka – Janusza Kochanowskiego – pożyczylimy z sąsiedniej pracowni fizyki portret Newtona, który był trochę podobny do naszego poety. Jednak pod Newtonem był podpis, toteż dla pewności odwróciliśmy portret fotografią do ściany. O godzinie dziewiątej przybył człowiek teatru nazwiskiem Kostyrko, który powiedział o trudnej pracy człowieka teatru. Trudnej, ponieważ kotłownia jest tam duża i przestarzała, a drugi palacz poszedł na macierzyński. Następnie człowiek teatru Kostyrko pokazał nam brykiety węgla koksującego oraz szufłę. Opowiedział też kilka anegdot z życia kotłowni, które musieliśmy przerwać z uwagi na tematykę. Na końcu spotkania ujawniło się zabawne nieporozumienie, albowiem okazało się, że człowiek teatru Kostyrko nie pali w kotłowni teatralnej, tylko w kotłowni sąsiadującej z teatrem łaźni miejskiej. Imek wyjaśnił, że musiał dostać zły adres, bo przecież wcześniej w teatrze nie był. Zajęcia z panem Kostyrko potraktowaliśmy jako lekcję higieny (łaźnia).

*Z taśmy magnetofonowej rejestrującej zajęcia z chemii w dniu 5 lutego.*  
„... Drogie dzieci, do wychowania was w duchu przeciwpożarowym wybrałem pożar. Za chwilę Pietras i Mazurna wyjdą z klasy i zaproszą w wybranym przez siebie miejscu ogień. Potem wróćcie nie mówiąc, jakie pomieszczenia wybraлиście. A my przeprowadzimy wzorową akcję. Tymczasem reszta dzieci zapozna się z gaśnicą. Wprawdzie gaśnicy tu nie ma, kolega manualny niedawno przerobił ją na saturator, ale na szczęście mam przy sobie fotografię gaśnicy. Proszę bardzo, tu widać... mnie z Mireczkiem, tam dalej jest Zofia z dziećmi i wujo Stefan. Ale tutaj, nad wujkiem Stefanem, znad ramienia wujka wystaje coś takiego podłużnego. To jest fotografia sprzed lat, dziś już dobrze nie pamiętam, może rzeczywiście coś takiego wujowi wystawało, ale być może też jest to gaśnica. Proszę puścić to po klasie. Dalej jest sprawa koca przeciwpożarowego. Znacie pewnie popularną piosenkę „Mam chusteczkę haftowaną, co ma cztery rogi...” Do zabawy z tą piosenką używa się czworokątnego przedmiotu płachetnego. Koc przeciwpożarowy wygląda podobnie, jest tylko odpowiednio większy, tak jakby zabawa miała trwać odpowiednio dłużej. Do przedmiotów przeciwpożarowych zaliczamy również bosak.

Niech Marska otworzy jakieś drzwi, bo tu swąd idzie... Dziękuję. Bosak... Każde z was pewnie często biegało na bosaka i tu ostrzegam, byście w razie pożaru tych rzeczy nie mylili. Bosak to przedmiot. Mam tu ze świetlicy grę ma-

rynarską „bierki”, w skład której wchodzi też bosak. Przepraszam... jednak zamknijcie te drzwi, bo tak z korytarza idzie, że widzę was jak przez mgłę. Akurat te bierki są trochę zdekompletowane, ale widzę tu trójzęb... chociaż prawdę mówiąc, ledwo widzę... Bosak tym się różni od trójzęba, że środkowy zęb trójzęba przechodzi w hak, jeden boczny zęb na podstawie środkowego zębu trójzęba, lub jak kto woli, haka bosaka nie haczeje, a byłego przeciwnego zęba trójzęba nie ma w ogóle. Halo! Wy tu jeszcze jesteście? Podejdźcie bliżej... w tym kierunku, skąd nawołużę. Teraz o wodzie. Wodą też gasi się pożary z wyjątkiem instalacji elektrycznych, żeby nie zardzewiały. Mam tu próbkę wody... puście po klasie... Pietras?... Ej! skąd wy macie te błyszczące czapeczki? Co to za żaba... Ej. Panowie – nie szarpacie mnie! Noo!!!”

18 lutego. Prowadzimy szeroką akcję „Mleko dla młodzieży” i muszę z dumą podkreślić, że w naszej szkole dzieci otrzymują mleko za darmo. Za darmo, ale pod tym warunkiem, że przyniosą sąsiadowi z ławki tyle samo mleka, co sami wypijają. Młodzi wymieniają się mlekiem bardzo chętnie, dbają o kulturę konsumpcji, mają własną aparaturę, to znaczy szklanki, a niektórzy przynoszą nawet własne noże i widelce. I – przyznać trzeba – rzucania sztuczkami na stołównie nie ma. Nie ma... bo stołównę zbudujemy dopiero w następnym półroczu. Ale uczniowie śledzą z zapalem budowę, interesują się problemami technicznymi. Młodzież nowocześnieje. Widać to na każdym kroku. Ot, uczeń Pietras. Dawniej biegał mi po papierosy, a dziś już jeździ motorowerem i trzeba przyznać, że papierosy przywozi szybciej i lepsze. Trzeba będzie go pozostawić na drugi rok, bo to już w czerwcu matura i gotów odejść.

24 lutego. Powstałe przed kilku tygodniami kółko muzyczne już zaczyna nam poważnie owocować. Młodzież sięga po instrumenty chętnie, bo opracowaliśmy specjalny system kar i nagród. Zwłaszcza tych ostatnich. Przepraszam, nagród i kar. I tak wyróżnieniem za pilną naukę gry jest dodatkowy wymiar godzin ćwiczeń, ale już na innym instrumencie. I tak przykładowo uczeń Pietras – waltornia – w ramach nagrody otrzymał dodatkowy przydział ćwiczeń, ale już na altównie. Natomiast długo przez nas rozstrząsany system kar i nagród sprawdził się w postaci bicia karnego dowolnie wybranym instrumentem muzycznym, chociaż wybranym nie przez karnego. Nadal tu będę powoływał się na przykład Pietrasa, który, odmówiwszy dodatkowych godzin ćwiczeń na rożku angielskim, otrzymał karę w postaci skrzypiec, a konkretnie bicia smykkiem klasycznym. Aby nie mylić kary z nagrodą, uczeń składa podpis w książeczce kar i wyróżnień, a potem opiekun dopisuje, czy to była kara, czy nagroda.

11 marca... Już myślimy o dorocznym święcie pedagogów, w związku z czym nasi pracownicy już podjęli krótkoterminowe zobowiązanie, że w tym roku nie bę-

dziemy przyjmować od uczniów prezentów. Po pierwsze, jedni rodzice są zamożniejsi, inni ubożsi (choć w podręcznikach nie znaleźliśmy, jak to mogło się stać). Wskutek czego jedni rodzice są nam w stanie kupić fiata 126p, a inni sezamki. To wywołuje w nas nieobiektywny stosunek do uczniów, bo w końcu fiata 126p można co niedzielę kupić w dowolnej ilości, a sezamków nie ma nigdzie. Rodzice naszych uczniów nie mają rozeznania, co kupić; dochodzi do zabawnych pomyłek. W zeszłym roku kolega wuefmen otrzymał długopis, chociaż można się domyślić, że gdyby ten kolega umiał się posługiwać długopisem, to zajęłby się czymś poważniejszym, niż skakanie przez konia od dwunastu lat. Nie szukając daleko... ja, w ubiegłym roku otrzymałem dwie portmonetki puste w środku, choć powszechnie wiadomo, że to prezent niepraktyczny, zważywszy, że banknoty zużywają się szybciej niż portmonetka. Nie ukrywałem, że prezent ten został przeze mnie zrozumiany jako obelga i potomstwo tych rodziców już się u nas nie uczy.

Wspomnę o jeszcze jednym niemiłym wydarzeniu: nasza biologiczka Parthenogenewska otrzymała w formie prezentu psa, którego płęć przyszło ustalić. W trakcie ekspertyzy wyszło na jaw, że kwestię płci nasza pracownica знаła słabo, ponieważ opuściła tamto seminarium, a gdy przy pomocy woźnej poznała tajemnicę rozpoznawania płci u ssaków, rozsmakowała się w tej dyscyplinie tak dalece, że od kilku miesięcy jest na bezpłatnym i widujemy ją w rozmaitych miejscach z osobnikami o silnie rozwiniętej płci, choć – przyznajemy z ubolewaniem – nie tej samej, co płęć naszej koleżanki. Wszystkie te smutne wypadki złożyły się na decyzję, że w tym roku nie będziemy przyjmować prezentów. Będziemy natomiast przyjmować upominki.

21 marca... Dziś niestety muszę poruszyć problem karygodnych ekscesów, jakie nastąpiły na terenie naszej placówki z okazji dnia pedagoga. Program uroczystości – zatwierdzony podpisem przez władze szkolne – został zniekształcony karygodnie. Scena amatorska, która zamierzała wystawić montaż anegdot z czasów odzyskiwania, nie zrozumiała powagi sytuacji i wystawiła anegdoty śmieszne, a nawet śmieszniackie. Kiedy po przedstawieniu młodzieży zaprosili nas na poczęstunek – tak zwane słodkie – znowu zachowano się niepoprawnie. Nikt oczywiście nie zamierza inicjatorów karać za zakupienie krakersów brydżowych, choć za tę samą sumę można nabyć pewną ilość śledzia w puszkach. Niemniej karygodne w najwyższym stopniu wydaje się mi zaproponowanie nam płynu Ratafia, który zmuszeni byliśmy wychylić do dna, by nie zrazić fundatorów do odruchu w zasadzie pozytywnego, jakim jest częstowanie starszych. Nie mam też szczególnej pretensji o to, że uczniowie klas starszych nie powstrzymali fizycznie kolegi wuefmena, który – nienawykły do takiej ilości węglowodanów w organizmie – wskoczył na stół i postanowił spalić zapas kaloryczny w drodze

huśtania się na żyrandolu zabytkowym – okazały flamand. Nie skarżę też uczniów o to, że odnosząc mnie do domu, aktyw klasowy potrząsał mną na wybojach i nie pozwalał dzwonić do mijanych drzwi tytułem żartu (jakkolwiek miałem na myśli wyłącznie wychowanie młodzieży w duchu poczucia humoru i afirmacji życia – Staff). Natomiast nie przeboleję i nie mogę puścić płazem ostatniego popisu młodzieży, gdy po ułożeniu mnie na słomiance pod drzwiami, ktoś – odkrywając najniższe odruchy sadystyczne – zawiadomił dzwonkiem moją rodzinę.

*Z taśmy magnetofonowej, rejestrującej wycieczkę po ZOO 4 kwietnia.* Dziś – pamiętajcie dzieci – pierwsza w tym sezonie nasza wspólna wycieczka. Pokażę wam praktycznie, jak wzorowo winno przebiegać zwiedzanie. Proszę całą czternastkę do środka. Żebyście się nie pogubili, okazynie wypożyczyłem psa owczarka. Tak więc, jeśli ja się gdzieś zawierusze – trzymać się owczarka. Zrazu widzimy wybieg dla niedźwiedzi... Co tam jest? Nic. Fosa... No po co zaglądasz? Nie wolno karmić niedźwiedzi. Nie. Przecież mów... Trudno – stało się. Resztę proszę za mną. Jesteśmy przed klatką z pytonem. Nie zbliżamy się do klatki, bo pyton czasami może się prześliznąć... o właściwie... tak. A niech to. Zabieramy naszą wesołą dwunastkę dalej. Co? Zosia też? Gdzie? Z małpami? No to trudno. Cała jedenastka przesuwa się pod klatkę z lwem, będziemy właśnie obserwować, jak pracownik ZOO karmi króla dżungli, który się na niego nie rzuci, bo mu nie zależy. Tak, tak, pracownik nie przymknął drzwi... ale nie wchodzić tam... mówiłem... Policzcie się i idziemy tą alejką do fok. Foka nic człowiekowi nie zrobi, jest łagodna, o ile nie będzie się jej podbierać pożywienia. Co mówię? Zostaw to! Oddaj, nie jedz! No sami widzicie... Reszta proszę za mną... złapcie się za rączki, zróbcie trzy pary, niech nikt się nie odłącza. Pietras – żadnych fotografii. Nie przechodź przez ten płot, to nie jest przebrany pan w kożuchu, to jest prawdziwy niedźwiedź. Biały. Przekonasz się. Zobaczysz... No, widzisz... Znaczą, nie widzisz. Dzieci! Proszę do mnie. Tutaj. Nie do goryla, tylko do mnie, tu stoję. Pomyliliście się. Co za tępaki. Goryl! Proszę mi oddać, ja mam je na stanie. ODDAJ...! Nie? To nie. A wy chodźcie tutaj oboje. Jeszcze pokażę złote rybki i do domu. O! To są złote rybki, to jest akwarium, a tutaj woda, TYLKO WODA. Po co wychyłasz się? Spróbuj jakoś wyjść. NO! Panie dozorczo, co to za ryba? Aha... szkoda. To już koniec wycieczki, chodź ze mną, wracamy już do domu. Jesteśmy już za bramą, tu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Zresztą pilnuje nas owczarek... Nie baw się z psem. Owczarek puść dziecko. No puść! A ty go nie drażnij. Owczarek puść mu szyję... No, teraz to puść!... Pies! Do nogi...!

*19 kwietnia.* Minął właśnie Dzień Zajęć Społecznych. Na terenie śródmieścia nasz geograf, obywatel Laguna, zresztą wybitny specjalista od moren czołowych na Kujawach, wyznaczył skrzyżowanie Kawczej i Postępu na teren akcji pomocy



staruszkom. Za każde przeprowadzenie pobierano honorowo symboliczną złotówkę, za którą młodzież zakupiła makulaturę w składzie surowców wtórnych. W ten sposób uczniowie wywiązali się z obowiązku dostarczania po jednym kilogramie makulatury na tak zwany okres. Następnie w bramie domu Postępu nr 22 młodzi wykonywali Niewidzialną Rękę. Korzystając z panujących w bramie ciemności, przyszywano przechodniom niepostrzeżenie guziki, myto i perfumowano środkiem „Jucht”. Tam też zgromadzone kółko recytatorskie umiłało przejście przez bramę czytaniem ciekawszych ustępów z wydawnictw młodzieżowych, jak „Umiem żeglować” czy „Budujemy transporter opancerzony”. Ludność wydaje się poruszona naszą akcją, czego naocznym dowodem jest to, że po kilku godzinach rejon skrzyżowania Kawczej i Postępu wyludnił się całkowicie.

27 kwietnia. Każdy pedagog winien być człowiekiem otwartego umysłu, a to objawia się między innymi umiejętnością korzystania z najnowszych osiągnięć techniki. Wielkim osiągnięciem współczesnej pedagogiki są lekcje telewizyjne. Postanowiliśmy i my włączyć się w nowoczesny nurt nauczania. Staraniem naszym i Komitetu Rodzicielskiego zakupiliśmy odbiornik telewizyjny Neptun. Następnie odbyło się specjalne posiedzenie, na którym zapadła decyzja, na jakiej lekcji ma być użyte urządzenie. Kolega wuefmen zakupił nawet z własnych oszczędności gazetę „Kurier Polski” w celu rozszyfrowania programu telewizyjnego. Decyzją grona wybór padł na lekcję rysunków u koleżanki Walory-Szczęskiej. Z uwagi jednak na eksperymentalny charakter zajęć postanowiliśmy być obecni całym gronem pedagogicznym. W odpowiedniej porze wprowadzono odbiornik do pracowni plastycznej, a następnie zajęliśmy miejsca naprzeciw młodzieży. Dzielił nas tylko odbiornik. Kolega manualny uruchomił telewizor, zaś koleżanka Walory-Szczęska rozdała młodzieży kartony i kredki i poleciła narysować telewizor od tyłu. My zaś z drugiej strony obejrzelśmy Misia Yogi.

5 maja. Bardzo duży nacisk kładzie nasza placówka na naukę języków obcych, zwłaszcza w formie praktycznej. Stąd właśnie znajdujemy się obecnie wraz z klasą ósmą B przed budynkiem hotelu „Forum” w stolicy. W tej chwili chłopcy trenują liternictwo zagraniczne z nazw i rejestracji pojazdu, zapoznają się z pisownią etc.

*Z taśmy magnetofonowej.* „...Co tu jest napisane? TOYOTA, ptaszyno. Nie zapamiętasz? No, to zabierz emblemacik do domu. Tylko śrubokręt jest do zwrotu. Uwaga! Wchodzimy do środeczka, dziewczynki proszę przodem. Jesteście już wszystkie? A więc od tej pory zaczynamy mówić w językach obcych. Uwaga teraz. Każda dziewczynka i chłopiec wybierze sobie kogoś tutaj i porozmawia z nim w języku obcym. Na „trzy-cztery” biegniemy... Czy każde już ma swoją parę?... No, pięknie... Co jest. Marska? Ten pan zaprasza cię na kolację? To idź,

dziecko, idź. Zabierz zeszytik i notuj nazwy potraw. I ceny. Szuszkowska. Tam idzie jakiś pan do wyjścia, tak, ten śniady. Dróbkowski. Co tam się dzieje? Ile? Kupuj. Marska. Co tam jest?... Ci panowie nie chcą cię wpuścić do windy?... Dróbkowski, Kierzga, Pietras – porozmawiajcie z nimi. Szuszkowska! Co tam znowu? Koleżankę?... Mazurna, zostaw tego faceta w smokingu, on tu tylko sprzęta, skontaktuj się z Szuszkowską. Coś tu przyniósł, Pietras? Przecież to kremplina, oddaj z powrotem, albo spróbuj zainteresować tego w dzinsach... Tak, tak, tego w ortalionie... Telefon do mnie? Szuszkowska?... Co? Pentacon Six... Ja wiem? Przynieś, obejrzymy. I dalej Mazurna... No, jak tam?... Zapomniałaś zeszytu? Nie ma o czym mówić. A skąd pochodzi?... Z Jeziornej pod Warszawą? CZYŚ TY ZWARIOWAŁA?... Co?... Nie, nie pytam skąd pochodzi zeszyt, tylko ten... pan... A ile lat?... Co?... Chyba „uncle”... I pospiesz się, bo zaraz jest dzwonek... Nie szkolny, tylko dzwonek w hallu, że już 22.00, i zaczynam stawiać stopnie...”

21 maja. Inspekcja z kuratorium stwierdziła, że młodzież naszej placówki jest oswiała, mało radosna i nastrój ten niemile kontrastuje z ich przyszłością. Dlatego też natychmiast zorganizowaliśmy szeroką akcję pod hasłem „Uśmiechnięci żyją dłużej”. Na lekcjach wychowawczych dokonaliśmy rozwinięcia tej myśli, tłumacząc, że oznacza to między innymi, że niezadowoleni żyją krócej. Mieliśmy nadzieję, że zmusi to uczniów do zastanowienia się. Jednak to nie wszystko. Pragnęliśmy wpłynąć na zadowolenie bezpośrednio i dlatego nawiązaliśmy ścisły kontakt z pobliską wytwórnią lodów. Wkrótce już każdy niezadowolony uczeń mógł – na mocy zarządzenia dyrekcji – wyjść z zajęć i udać się na lody. Tajna nasza umowa z agentem wytwórni łodziarskiej polegała na tym, że naszym uczniom agent sprzedawał lody patyczkiem umieszczonym nie wzdłuż loda – jak zazwyczaj bywa – ale w poprzek. Te właśnie patyczki w wyniku łapczywego spożywania dostawały się do jamy naszych uczniów poprzecznie i – klinując się tam – nadawały twarzy konsumenta grymas zadowolenia. Na mocy osobnej umowy z dentystką, ta nie usuwa patyczków z jamy, a przeciwnie – opiera je o mocniejszy grunt, jak – np. wyrobione ubytki w uzębieniu. Już dziś można powiedzieć, że następna inspekcja z kuratorium będzie w pełni zadowolona.

12 czerwca. W wypoczynianiu zbiorowym młodzieży obowiązuje taka zasada, że dla dzieci ćwierćinteligencji organizuje się półkolonie, dla dzieci półinteligencji – ćwierćkolonie. W zeszłym roku prowadziłem nawet ósemki, czyli jedena ósma kolonie, słyszałem nawet o szesnastkach. To jest już najskromniejsza forma wypoczynku, polegająca w zasadzie wyłącznie na przystaniu dziecka do domu kartki pocztowej z widoczką miejscowości, gdzie chciałoby wypoczywać. Za to szesnastki są tanie – 6,40 w wypadku pocztówki czarno-białej. Są jeszcze usługi specjalne: przysłanie piasku na awizo, czy wczasy telefoniczne.

Te ostatnie polegają na opłaceniu wczasowiczowi rozmowy telefonicznej z miejscowością letniskową, skąd informatorka turystyczna streszcza w kilku słowach stan pogody, rozrywki i odpowiada na dwa pytania dowolne.

Wracając do spraw wypoczynku kolonijnego – należy organizować je w trosce o bezpieczeństwo młodzieży. Woda. Woda jest żywioł, są liczne wypadki, w wodzie jest fenol... Lód potrafi się załamać. Jednym słowem z wody radzimy zrezygnować. W zeszłym roku – na przykład – udało nam się znaleźć teren całkowicie pozbawiony wody. Las. Wiadomo: las lubi się palić. Przedtem może pogryźć wściekła wiewiórka, wilcze jagody są tam, na mchu można się zaziębić. W zeszłym roku z lasu zrezygnowaliśmy. Drogi. Drogi niebezpieczne są z uwagi na pojazdy, które prowadzą lekkomyślni kierowcy, szumowiny z barów wracają drogą. Od drogi kurzy się. W zeszłym roku znaleźliśmy teren, gdzie nie tylko nie było dróg, ale również trawy (żmije), czy wreszcie gór, z których się spada samemu lub lawiną. Znaleźliśmy teren, gdzie po prostu nie było NIC. Rozrywkę zapewniliśmy w postaci spotkania z ciekawym człowiekiem – konkretnie był to dozorca z piekarni automatycznej w Poznaniu. Mówił godzinę, ale kolonie niewiele dłużej trwały. Mimo wszystkich przedsięwziętych środków bezpieczeństwa wypadek zdarzył się. No, ale kto mógł przewidzieć piorun kulisty na Pustyni Błędownskiej?

17 czerwca. W dalszym ciągu o koloniach. Młodzież już podczas podróży powinna polubić swoich wychowawców. Kilka partyjek pokera, pomoc przy otwieraniu piwa, albo dziewczynkom przy pudrowaniu się na korytarzu i tak dalej. Już na miejscu należy wybrać odpowiednie pokoje dla siebie i dla młodzieży. Młodzi czują się wyróżnieni, gdy wychowawca zdecyduje się spać w ich sali. Niemniej dzieci mogą się czuć z lekka skrępowane ciągłą obecnością opiekuna, dlatego należy je ulokować w pokoju pierwotnie przeznaczonym dla nas. Jeśli tak postąpią wszyscy wychowawcy, to młodzież całej kolonii będzie mogła nocować w jednym pokoju, co znacznie ułatwia pilnowanie. Przecież niektórzy podopieczni lubią sobie nielegalnie popalić, a w takim tłoku jest to już wykluczone. Dzięki temu i każdy wychowawca będzie miał dla siebie salę i młodzieży będzie ciepło, a ponadto – jak mówi powiedzonko – jak ciasno, to właśnie, gdy goło to wesoło.

Dalsze obowiązki wychowawcy to niszczenie grzybów zebranych przez młodzież w lesie, lub rekwiracja, konsumowanie za podopiecznych posiłków niestrawnych, lub niskokalorycznych (bo to i młodzież się nie naje i wychowawcy nie starczy). Wychowawca jest też zobowiązany współżyć intymnie z: kucharkami, by lepiej gotowały, sprzątaczkami, żeby sprzątały, ratownikiem, żeby pilnował, leśniczym, żeby nie postrzelił i starszymi kolonistkami, by wyniosły i one cząstkę zadowolenia z tego pobytu. Nie należy współżyć z higienistką (od tego

jest lekarz). Dzieci należy chronić przed utratą kieszonkowego poprzez zabranie tegoż w depozyt i oddanie po zakończeniu kolonii, o ile coś jeszcze zostanie. Nie należy doprowadzać młodzieży do niewypałów. Jeśli jakiś opiekun nie może pokonać ciekawości, niech się sam zajmie niewypałem, jeśli nie ma już nic innego do rozbierania. Natomiast zalecamy ogniska. To miła tradycja i z pewnością umili młodzieży długie letnie wieczory, gdy będzie mogła sobie z okna sali popatrzyć na wesoło pełgające płomyki i posłuchać trzasku szczap.

*Z taśmy magnetofonowej, rejestrującej spotkanie pokolonijne z rodzicami dnia 27 sierpnia.* „...Słucham? Jak nazwisko? Zezel?... Aha, Rezel. To był chłopiec? Taki niski, piegowaty, nie wymawiał „sz”?... Tak? To ja nie mam takiego na liście. Dobrze, ja jeszcze się upewnię, tam zostało mi jeszcze kilka sztuk bez przydziału, ale o ile sobie przypominam, to same dziewczynki. W razie czego przyśle jakąś najładniejszą w zamian... Kto następny? Tchurżówna? A znamy, znamy... Przecież wróciła, więc o co chodzi?... Wróciła łysa? Wytarła się. Tak, źle spała, tarła głowę o poduszkę i wytarła się. Pościel była szorstka... Dalej słucham. Manoniak, Manoniak... a ja mam tu potwierdzenie odbioru Manoniaka... Inny wrócił? Wakacje rozwijają młodzież, nie ma się czemu dziwić... Tamten się nie golił? Chwileczkę, dostał za dobre sprawowanie pod koniec turnusu brzytwę, to się zaczął golić... Pietras?... Co z nim?... Poważnie?... Opalił się tak może?... Mówi pani, że autentyczny Murzyn?... Zaraz, zaraz, myśmy mieli spotkanie z obozem międzynarodowym, młodzi wymieniali się chustami, może pomyłkowo ci się sami zamienili?... To nie ma pani powodów do niezadowolenia, to nie był dobry uczeń... Ponadto źle mu tam nie będzie, to jest bardzo pręźnie rozwijający się kraj afrykański... No, no... nie widzę powodu do żalów, ostatecznie jest, nie zgubił się zupełnie, jak ten Ręzel. Proszę państwa... ja tu mam jeszcze trochę pracy papierkowej... Dziękuję... Jeśli można to upominki proszę tam, na tym małym stoliku...”

*2 września.* Zbliży się powoli nowy rok szkolny i wytrawny pedagog wie, że nastał czas porządków. Ekipy remontowe odświeżają nam pomieszczenia, a sam pedagog winien sobie odremontować pamięć. Podstawowe informacje, które moglibyśmy zapodziać gdzieś podczas wakacji znajdziemy w dowodzie osobistym (jeśli odnajdziemy dowód osobisty). Poznajemy zatem swoje imię, nazwisko, adres, znaki szczególne. Z tego cennego dokumentu możemy też dowiedzieć się kilku niespodzianek: a to, że urodziliśmy dziecko, lub inną osobę znajdującą się pod pieczęcią posiadacza dowodu, że mamy jakąś pracę.

Pedagog w tym momencie dowiaduje się, że jest pedagogiem. Nie zna jednak swojej specjalności, bo ta nie jest w dowodzie wyszczególniona. Wtedy należy zorganizować sobie błyskawiczny konkurs: zadawać sobie pytania i błyskawicznie na nie odpowiadać. Kto to był Konopnicki? Nie wiemy. Stawiamy więc sobie minus z polskiego. Jak rozpoznać północ? Minus z geografii. Rozmnaża-

nie mszaka? Minus z biologii. Przeskoczyć ławkę w parku. Minus z wuefu. I tu okazuje się, że nie kwalifikujemy się do wykładania żadnego przedmiotu, zaczynamy się denerwować, siedzimy jak mysz pod miotłą... i nagle JEST. Przecież siedzieliśmy cicho, młodzież powinna też zachowywać się cicho. Stawiamy sobie plus z zachowania i już wiemy – jesteśmy wychowawcą. Ileż satysfakcji daje człowiekowi świadomość tego, że wie kim jest. Idziemy więc do naszej szkoły sprostać następnemu zadaniu. Wykryć, którą klasę prowadziliśmy. Tu już trzeba posłużyć się sprytem. Wystarczy zagadnąć woźną: „Niech mi pani, kochana, da herbatkę... Tam, do mnie”, a potem śledzić woźną, dokąd niesie. Potem już tylko należy pozbierać butelki po ekipie remontowej, oddać do skupu, uzyskane pieniądze obrócić na nowy sprzęt i zabrać się ochoczo do pracy. Czeka nas przecież odbieranie egzaminów poprawkowych.

29 września. Kilka dni temu nasza szkoła przeżyła wielką chwilę, a mianowicie została zlikwidowana. Koledzy Paradziej i Marocki – specjaliści od nauk ścisłych – obliczyli oszczędności wynikłe z likwidacji naszej placówki. Z inwentarza ruchomego wysuwają się na plan pierwszy tablice ściennie – odarte z linoleum, którym pokryliśmy podłogi, parkiet, który zerwano na boazerie i boazerie – adaptowane na tablice szkolne. Odkryliśmy też na stanie nie rozpakowane jeszcze akwarium pogładowe. Niestety po rozpakowaniu okazało się, że ktoś podwędził szyby, wskutek czego woda tam już długo nie stała i ryba jest już prawie nieświeża. Po dokładnym przestudiowaniu wszystkich pozycji inwentarza okazało się, że z całej szkoły jedyne przedmioty stanowiące jeszcze jakąś realną wartość, to żywa siła fachowa, czyli my. Z chwilą likwidacji placówki uruchamiają się zatem poważne rezerwy w naszej postaci, które z pewnością zasilą inne placówki, pod tym wszakże warunkiem, że się pospieszymy i znajdziemy pracę przed przysłaniem tam naszych teczek personalnych<sup>731</sup>.

### **Przykład 594. Jan Karnowski – *Jak Sowizdrzał uczył się rozumu.* Fragmenty (1992?)**

Wieść niesie, że w Tuskach na Kaszubach była dawniej wysoka szkoła. Z bliska i z daleka zjeżdżali tam ludzie, którzy mieli w głowie mało rozumu i pragnęli go zdobyć więcej. O tej szkole dowiedział się także Sowizdrzał i tak do siebie rzekł: – Zbytków mam pełen worek, ale rozumu, niestety, nieco za mało. Muszę go sobie nabyć, by nikt na świecie mnie nie przechytrzył.

Wyszedł z domu, wędrował i wędrował, aż wreszcie dotarł do wsi, która nosiła nazwę Tuszki. Gdy przeszedł połowę wsi, ujrzał na pewnej chacie wielki

<sup>731</sup> Tenże, *Notatnik pedagoga*, [w:] tegoż, *Przepraszam...*, dz. cyt., s. 7–26. Por. przykłady 202, 204.

sztyld, na którym widniał namalowany chłop z gołą głową jak bania, wskazujący palcem wprost na swoje czoło.

– Dobrze trafiłem – rzekł Sowizdrzał i wszedł do chałupy. W izbie siedzieli rzędem sami mądrale, a po środku nich Tuskowski Meck. Można go było poznać po czapce nałożonej aż po same uszy na banię i przewiązanej sznurkiem pod brodą. Sowizdrzał stanął przed nim i spytał: – Czy to wy jesteście mądrzy tuskowiaczy?

– Tak, to my – odrzekł Meck.

Sowizdrzał: – Może rozwiążecie pewną zagadkę, bo ja nie mogę jej rozwiązać.

– Gadaj – zachęcił Meck, więc Sowizdrzał spytał: – Co to jest przypadek, a co opatrność?

Tuskowiaczy zaczęli tak kiwać baniami, jakby słońce ruszały się za płótem. A Tuskowski Meck odwiązał czapkę, zdjął ją z bani, podrapał się za uchem, potem nałożył z powrotem i odrzekł: – Już mam! Wiesz, chłopcze, u nas jest tak: jak się ożenisz i trafisz na lichą babę, wtedy to jest przypadek, ale jak trafisz na dobrą, to jest doprawdy opatrność. Bo co by to miało być?

Po tych słowach Sowizdrzał przekonał się, że tuskowiaczy rzeczywiście mają rozum w głowie<sup>732</sup>.

### **Przykład 595. Aleksander Labuda – *Wszyscy dobrze radzą* (1992?)**

Dobra rada jest lepsza niż licha pomoc. Każdy dobrze radzi. Możesz usłyszeć dobrą radę od swoich i obcych, od mamusi i tatusia, w radiu i telewizji. Dobrą radę możesz przeczytać w gazetach i książkach, a także usłyszeć w kościele i szkole, na zebraniach i szkoleniach, u doktora i w szpitalach, we wszystkich urzędach i sądach. Nawet łgarz i złodziej dobrze radzą. Ale tych dobrych rad jest chyba nieco za wiele, a pomocy za mało. Jeśli przez cały dzień będziesz jedynie słuchał dobrych rad i czytał je, to któż za ciebie wykona robotę?

Tatuś: – Synku, ty jeszcze jesteś za mały. Żeby pić. Gdy wyjdiesz z wojska i wypijesz sobie z kolegami, to jakoś ujdzie. Ale teraz tego nie rób, bo to prowadzi do hultajstwa. Przecież nie masz być za młodu taki, jak twój tatuś.

Mamusia: – Skaranie boskie z tą dziewczuchą! Jeszcze nie ukończyła szkoły, a już z kawalerami się włóczy. Córeczko, słuchaj, jak ci mamusia radzi: nie lataj na zabawy i nie wystawaj wieczorami z kawalerami, bo to do niczego dobrego nie prowadzi. Dobrze o tym wiem, sama po sobie.

---

<sup>732</sup> J. Karnowski, *Jak Sowizdrzał uczył się rozumu*, [w:] S. Janke (oprac.), *Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów*, Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1992, s. 39–40.

Nauczyciel: – Uczcie się, twarde łby, żebyście nie byli takimi osłami jak my!

Doktor: – To chyba rak, idź się pan przebadać w akademii.

Profesor: – Wrzućcie go do kotła z wrzątkiem i gotujcie pięć minut. Gdy stanie się czerwony, będzie to prawdziwy rak i przetrzuci się tak czy siak. Radzę podpisać, żeby nie było za późno.

Chirurg: – Jest bardzo źle i musimy ci amputować obie nogi, obie ręce i łeb. Tutaj się podpisz i miej wiarę w nasz amputacyjny kunszt!

Dentysta: – Masz tylko pięć spróchniałych zębów, a to za mało. Jeśli dasz sobie wyrwać wszystkie, nowe dostaniesz za darmo. W przeciwnym razie za te pięć musisz zapłacić. Wybieraj – albo zaraz płacisz, albo wyrwamy zębiska.

Aptekarz: – Pij trzy razy dziennie herbatę z siedmiu ziół, a będziesz chodzić leciutko jak ja do wygódki.

Sędzia: – Pogódźcie się, pogódźcie się. Nie chcecie? To ja was nauczę rozumu.

Adwokat: – Nie popuścimy, idziemy dalej! Pokażemy mu! Tu podpisać – i na początek jednego „szarego”!

Dziennikarz: – Czytajcie gazety, a dowiecie się z nich, że kawałek papieru zawsze może się wam przydać!

Komornik: – Rolnicy, płąćcie i płączcie albo co innego, ale wszystko róbcie na czas!

PKO: – Bądź oszczędny i gospodarny – składaj pieniążki w PKO. Zyskasz wiele, a nigdy nie stracisz tego, co już straciłeś.

Toto-Lotek: – Grajcie w Toto-Lotka i obstawiajcie zakłady. Stawka mała – zysk duży.

*Tak oto każdy dobrze radzi,  
Ale dokąd to prowadzi?  
Nie jest lichą dobra rada,  
Lecz pomocy nam nie „nada”<sup>733</sup>.*

### **Przykład 596. Wojciech Młynarski – *W szkole wolności* (1992)**

Ta myśl pod czaszką taka żmudna,

Tak przyczepiła się i boli:

Czemu ta wolność taka trudna,

Tyle trudniejsza od niewoli?

I jak tę wolność przetłumaczyć

Na dni, co plotą się spokojnie,

<sup>733</sup> A. Labuda, *Wszyscy dobrze radzą*, [w:] S. Janke (oprac.), dz. cyt., s. 103–105.

Skoro nie umie nikt wybaczyć,  
Skoro nie umie nikt zapomnieć...?

W szkole wolności tyle wolnych klas,  
Nie używana brama się telepie,  
Lecz w żadnej klasie ciągle nie ma, nie ma nas –  
– My nie musimy! My już wiemy lepiej!

Jakąż wolnością nam zakwita  
Nasz wolny wreszcie dzień powszedni?  
Wolnością pięknych, trudnych pytań,  
Czy też wolnością głupstw i bredni?  
Wolnością, co szacunek budzi,  
Czy też wolnością świństw i kantów?  
Wolnością pięknych, mądrych ludzi,  
Czy niedouków, dyletantów?

W szkole wolności tyle wolnych klas  
I bezrobotny belfer biedę klepie,  
Lecz w żadnej klasie ciągle nie ma, nie ma nas –  
– My nie musimy! My już wiemy lepiej!

I myśl powraca taka żmudna,  
Taka natrętna, aż się dziwię:  
Czemu ta wolność taka trudna,  
Jeśli traktować ją uczciwie?  
Bo dawno już się, mamó moja,  
Tak śmiesznie nie składały gwiazdy:  
Dano nam wolność – piękny pojazd,  
Nikt nie chce robić prawa jazdy...

Mógłbym pieśń dalej ciągnąć, ale cóż,  
Tutaj mój wywód skończyć się postaram:  
W szkole wolności dawno jest po dzwonku już,  
Trzy czwarte Polski – chyba na wagarach...  
Trzy czwarte Polski – raczej na wagarach!<sup>734</sup>

---

<sup>734</sup> W. Młynarski, *W szkole wolności*, [w:] tegoż, *Od oddechu do oddechu*, Prószyński i Ska, Warszawa 2017, s. 366–367.



**Przykład 597. Roman Skwiercz – *Spodnie* (1992?)**

Jank dwa dni nie był w szkole. Trzeciego dnia nauczycielka spytała go: – Dlaczego nie byłeś w szkole?

– Bo mamusia wyprała spodnie i one nie wyschły – odpowiedział Jank.

– No tak, to był jeden dzień. A drugi?

– Drugiego dnia już prawie byłem w szkole, lecz gdy dochodziłem do płotu i spojrzałem na podwórko, zobaczyłem suszące się spodnie pani nauczycielki. Zawróciłem więc i poszedłem do domu<sup>735</sup>.

**Przykład 598. Bernard Sychta – *Nauczyciel zabłądził* (1992?)**

W szkole w Mechowej, w Puszczy Darżlubskiej, zaczął uczyć nowy nauczyciel. Po lekcjach poszedł do lasu na grzyby. Zabłądził jednak i nie mógł znaleźć drogi, która prowadziłyby do domu. Gdy już się bardzo zmęczył, spotkał w lesie chłopca, który pał krowy. Nauczyciel bardzo się ucieszył i spytał chłopca o drogę do domu.

– O, mądrała – odezwał się chłopiec. – Pan nauczyciel zna cały świat, Afrykę, Amerykę i wszystkie góry, drogi, rzeki, a nie wie, którędy się idzie do biednej Mechowej<sup>736</sup>.

**Przykład 599. Bernard Sychta – *Profesor* (1992)**

W gimnazjum w Wejherowie pracował przed wojną jako woźny niejaki Naczka. Gdy uczniowie nie chcieli go słuchać, często groził im i mówił, kaszubiąc: – Ti smarkaczu, jak ti sę nie poprawisz, to ja ci wstrzymam świadectwo, bo pan dyrektor tilko podpisuje, a ja pieczętuję.

Kiedys pewien ojciec przyszedł do gimnazjum spytać, jak uczy się jego syn. Gdy na korytarzu spotkał Naczka, dał mu zażyć tabaki i zapytał: – No, Teofilku, ilu tu jest profesorów?

– Razem ze mną trzynastu.

– Co, ty też jesteś profesorem?

– A cóż myślisz? Przecież ja pieczętuję wszystkie ważne papiery<sup>737</sup>.

**Przykład 600. Andrzej Waligórski – *Jagienka i orzechy* (1992)**

Żyła raz jedna panienka  
Która zwała się Jagienka;  
Wiele z niej było pociechy,  
Bo tłukła pupą orzechy.

<sup>735</sup> R. Skwiercz, *Spodnie*, [w:] S. Janke (oprac.), dz. cyt., s. 155.

<sup>736</sup> B. Sychta, *Nauczyciel zabłądził*, [w:] S. Janke (oprac.), dz. cyt., s. 75.

<sup>737</sup> Tenże, *Profesor*, [w:] S. Janke (oprac.), dz. cyt., s. 78.

Opisał ją, że jest taka,  
Sam pan Sienkiewicz w Krzyżakach.  
Wpierw żyła w cnocie jak mniszka,  
A potem wyszła za Zbyszka.  
I wiodło im się chędogo,  
Chociaż, niestety, ubogo,  
Bo się pokończyły wojny,  
Zaczął się okres spokojny,  
A rycerz – rzecz znana wszędzie –  
Żyje z tego, co zdobędzie.  
Ruszył więc Zbyszko conceptem  
I wpadł na taką receptę:  
Przywiesił na bramie druczek,  
Że tu się orzechy tłucze  
I od każdego orzecha  
Zgarniał taryfę do miecha.  
Laskowy orzech maleńki  
To nie problem dla Jagienki;  
Mogła za jednym przysiadem  
Stłuc całe pół kilo zadem,  
A gdy dorwała fistaszka  
Zostawała z niego kaszka.  
Niewiele też większej troski  
Przysparzał jej orzech włoski.  
Aż raz przybył jakiś młokos,  
Przywożąc z Afryki kokos,  
I zwrócił się do Jagusi,  
Że mu tę rzecz roztłuc musi.  
Spłonila się żwawa młódka,  
Wzięła dech, napięła udką,  
Pomodliła się przelotnie  
I w ten kokos jak nie grzmotnie!  
Niestety twarda skorupa  
Nawet przy tym nie zachrupa...  
Wrzasła Jaguś wniebogłoso,  
Podskoczyła pod niebiosy  
I jak drugi raz przywali!  
...a ten bydlak jak ze stali!

Natomiast biedna dziewczyna  
 Zrobiła się całkiem sina,  
 Oddech jej się jakby urwał,  
 Wymamrotała: – O kurwa...  
 Potem się zaniosała wyciem  
 I się pożegnała z życiem!  
 Wniosek: Na ogół umiemy  
 Rozgryzać własne problemy,  
 Lecz zagraniczne nowości  
 Przysparzają nam trudności!  
 Morał: Tylko wzrost oświaty  
 Może zmniejszyć nasze straty.  
 I hasło bezwarunkowo:  
 Mniej dupą, a więcej głową!!!<sup>738</sup>

### **Przykład 601. Jan Walkusz – *Egzamin* (1992?)**

Szmytkom dość dobrze się wiodło. Mieli dwadzieścia pięć morgów ziemi, dwa konie i trójkę dzieci. Najstarsza Lena po zamążpójściu zamieszkała w Kartuzach i pracowała w magistracie. Boles, który wziął sobie za żonę Mielewczycową Różę z Tuchlina, był kowalem na Bukowej Górze. Najwięcej kłopotu sprawiał Szmytkom najmłodszy Jank. Do roboty był kochanym dzieckiem. Robił za dwóch i tyleż zjadał. Gorzej było z nauką. Nauczyciel w szkole połamał na nim wszystkie kije. Do łba nic mu nie wchodziło, a jak się czegoś nauczył, to wkrótce wszystko zapominał. Ojczulek jednak zbytnio się tym nie przejmował, wciąż powtarzając: „Na gospodarstwie nauka i tak się nie przydaje. Tu trzeba mieć plecy jak stodoła i rękę jak mściszewicki kowal, a nauka jest dla tych, którzy chcą w mieście mieć lekki chleb”.

Problem zaczął się wówczas, gdy chłopiec miał zostać przyjęty do pierwszej komunii. Nasz Jank płakał i dużo się uczył, ale w głowie niewiele mu zostawało.

Dziw nad dziwy! Wreszcie ksiądz jegomość srodze zakłopotany sprawą, powiedział: – Janku, zostaniesz przyjęty, ale najpierw musisz zdać u mnie egzamin z tych najważniejszych wiadomości.

Chłopiec przybiegł uradowany do domu: – Tatko, jegomość powiedział, że mnie przyjmie, ale najpierw muszę zdać egzamin.

<sup>738</sup> A. Waligórski, *Jagienka i orzechy*, [w:] tegoż, *Błędny rycerz. Utwory wybrane*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 17–18. Por. tenże, *Jagienka i orzechy*, [w:] tegoż, *Wieczór autorski*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2008, s. 162–164.

– Tylko się, łobuzie, nie ciesz, bo sam wiesz, że z twoją makówką nie jest najlepiej. Kiedy ma być ten egzamin? – spytał stary Szmytka.

– W sobotę po południu.

– To dobrze. Coś chyba da się zrobić.

W sobotę od rana Jankowi nogi same chodziły. Tatko kazał mamuśce zarznąć najlepszą gęś i dobrze ją wypatroszyć, bo przecież chłopiec musi zostać przyjęty. Gdy już wszystko było gotowe, ojczulek włożył gęś za pazuchę i poszedł z Jankiem do jegomościa na egzamin.

– Tatko – odezwał się chłopiec – ale ja się boję.

– Wiem, że masz rozum zarośnięty trawą, ale nie bój się. Jakoś to załatwimy.

Gdy doszli do plebanii, ojczulek został za drzwiami, a Jank zapukał i wszedł do środka.

– Aha! Przyszedłeś. No to sprawdźmy, czegoś się nauczył.

Chłopcu zrobiło się ciepło, a zęby latały jak maszyna do cięcia słomy. Jegomość rozsiadł się na krześle i rzekł: – Najpierw, chłopcze, ładnie się przeżegnaj.

Jank westchnął i zaczął: – W imię... i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

– A gdzie zostawiłeś Ojca? – spytał jegomość.

– Stoi z gęsią za drzwiami<sup>739</sup>.

### **Przykład 602. Anonim – *Po lekcji geografii* (1992)**

Po lekcji geografii

Krzyś takie myśli ma:

– Jeśli jest Morze Czarne –

to mogę być i ja!<sup>740</sup>

### **Przykład 603. Jerzy Stefan Feliksiak – *Po egzaminie* (1993?)**

Często po egzaminie niepewni studenci

muszą sprawdzać prawdziwość tezy Kopernika

– i tak długo nocami ślęczą przy kielichach,

aż się dobrze upewnią, że Ziemia się kręci<sup>741</sup>.

<sup>739</sup> J. Walkusz, *Egzamin*, [w:] S. Janke (oprac.), dz. cyt., s. 147–148.

<sup>740</sup> Anonim, *Po lekcji geografii*, [w:] *501 dowcipów o dzieciach*, Przedsiębiorstwo Wydawniczo-Kolporterskie Artmen, Wałbrzych 1993, s. 64.

<sup>741</sup> J.S. Feliksiak, *Po egzaminie*, [w:] J. Czarny, T. Giegier (oprac.), dz. cyt., s. 125.

### **Przykład 604. Jacek Prześluga – *Ęcyklopedia szalonego małolata*. Fragmenty (1993)**

Belfer. Teoretycznie rzecz biorąc – NAUCZYCIEL. Człowiek ze sfery budżetowej, źle opłacany, rzadko doceniany i stale pogrążony w kompleksach – bo gdyby tak był biznesmenem, menedżerem, politykiem... O, wtedy belfer pokazałby światu! Ale to tylko czcze przechwałki. Z belframi podobno lepiej nie zaczynać, taka zasada pokutuje od lat i ci, którzy próbowali ją negocjować, sami sobie udowodnili, że jest prawdziwa. Z belframi trzeba ostrożnie, na dystans. Nie należy pozwalać im na poufałość, klepanie po ramieniu i szczypanie po udach, można natomiast pozwolić wygadać się im: uwielbiają mieć tzw. posłuch, cenią pilnych słuchaczy. Dla belfra idealna jest całkowicie bezszelestna, cicha, śpiąca klasa. Ty śpisz, on mówi, mówi, mówi... Choć bywa odwrotnie<sup>742</sup>.

Buda. Coś dla psa i ucznia. Idealne miejsce spotkań towarzyskich, znakomita palarnia, genialna nudziarnia i... wyśmienity temat wspomnień. Z budą trzeba się oswoić, do budy trzeba chodzić – póki Sejm nie uchwali w tym względzie jakiejś sensownej poprawki – budę trzeba przeżyć, innej rady nie ma. Czasem buda ma tzw. klimat i nazwę, wtedy zamiast do budy chodzi się do „Batorego”, „Rejtana” czy „Marcina”, ale to rzadkość. Buda, generalnie, jest zjawiskiem dość powszechnym; postawiono tysiąc takich bud – jota w jotę podobnych do siebie, śmierdzących lizolem i starymi skarpetkami, dusznych i ciasnych, odległych o kilometry od domu, malowanych zielonoszarą olejnicą, wypełnionych tysiącem ławek i krzeseł produkowanych opod jedną sztancę przez wytwórnię akcesorii katowskich, ustawionych w dwóch, trzech rzędach...

Buda to także synonim oświatowej konserwy, nietolerancji, porządku pod sznurek rozpięty przez nauczyciela. Buda to miejsce uczniowskich i profesorskich męczarni, w którym przyjemność nauczania zmieniono w rytuał realizowania programów – im są głębsze, tym gorliwiej się je wdraża. Wreszcie – buda, to sentyment, budynek, do którego się wraca, ludzie, których się pamięta, nauczyciele, których się przeklina i po latach... ceni<sup>743</sup>.

Dowcip. [...] Z dowcipami klasowymi sytuacja bywa klarowna: w większości są tyleż głupie, co śmieszne – i prawie nikomu to nie przeszkadza. Dowcipy klasowe powtarzane są później w czasie zjazdów koleżeńskich (A pamiętacie? – tu dowcip – chachacha!) i partyjnych; bo czymże więcej są smażone przez polityków referaty, jeśli nie zbirem zasłyszanych w młodości kawałów-banałów?<sup>744</sup>

<sup>742</sup> J. Prześluga (red.), *Ęcyklopedia Szalonego Małolata*, Wydawnictwo Ekolog, Piła 1993, s. 14.

<sup>743</sup> Tamże, s. 17–18.

<sup>744</sup> Tamże, s. 28.

Dym z mózgu. Zjawisko fizyczne, z którym do czynienia miewają najczęściej maturzyści. Polega ono na przyswojeniu sobie wiedzy do tego stopnia, że jej nadmiar zaczyna uchodzić – w postaci dymu lub pary – uszami, nosem i porami skóry na czaszce. Dym z mózgu może się wić także podczas standardowych KLASÓWEK, jest wówczas efektem usilnego przypominania sobie tego, co nigdy nie zostało zapamiętane. Najgorzej bowiem jest nie zapamiętać i zapomnieć co było do zapamiętania. Ratunkiem na dym z mózgu może być – w przypadku maturzysty – spacer, a w przypadku klasówkowicza – ściągą lub zeszyt kolegi. Uwaga! Na dym wijący się z mózgu nie działa zwykła gaśnica pianowa. Piana może pogryźć oczy, a pogryzione oczy nie nadają się do dalszego KUCIA tak samo, jak pogryziona z wściekłości książka. Wniosek: zdrowiej jest gasić książkę<sup>745</sup>.

Hyena klasowa. Indywiduum czerpiące korzyści z WYZYSKU mądrzejszych od siebie przyjaciół i permanentnie zrynkające wszystkie zadania domowe, tudzież klasowe, nigdy też nie wyrażające słów podziękowania. Hyena jest zwierzęciem towarzyskim, nigdy nie sprząta po sobie, nigdy nie pomaga przy robieniu kanapek na prywatce, nigdy nie zaprasza do siebie. Chyba, że drugą hyenę<sup>746</sup>.

Katecheta. W szkole: nauczyciel do zadań specjalnych. Jego odpowiednikiem w wojsku jest komandos<sup>747</sup>.

Klasa. Wyraz o wielorakim znaczeniu. Klasa może być pierwsza, maturalna, ekstra, robotnicza, śpiewu, fortepianu lub ciemna, a czasami nawet bywa klasą dla siebie. Klasa pełna małolatów to po prostu „nasza klasa”, a „umarła klasa” to już niestety Kantor.

Klasa jest jednocześnie wyrazem uznania wobec pewnych zachowań i pewnych ludzi. Dlatego właśnie mówi się, że jeden BELFER ma klasę, a inny nie; podobne opinie dotyczą zresztą chłopaków i dziewczyn – jest więc „facet z klasą” i „babka z klasą”. Wynika z tego, że klasę wypada mieć, trzymać, zachować – brak klasy oznacza to niegodziwość, w odróżnieniu od nieobecności klasy, co oznacza wyłącznie wagary<sup>748</sup>.

Klasówka. Instrument stosowany chyba w średniowiecznych katowniach, perfekcyjnie wpływający na stan ścinanych wówczas głów, a dzisiaj z przyjemnością używany przez NAUCZYCIELI, wysoko oceniających oddziaływanie klasówek na kształt młodego rozumu. Klasówka nazywana jest różnie: sprawdzia-

---

<sup>745</sup> Tamże, s. 32–33.

<sup>746</sup> Tamże, s. 51.

<sup>747</sup> Tamże, s. 61.

<sup>748</sup> Tamże.

nem, świstówką, pisemną powtórką materiału, jej cel wszelako jest jasny – wycisnąć z ucznia resztki potu i zmusić go, by zapamiętał to, czego się nauczył przynajmniej na okres jednej godziny lekcyjnej, lub chociaż dziecięciu minut – bo tyle trwają zwykle świstówki.

Istnieje wiele sposobów przygotowywania się do klasówek, a jeszcze więcej – omijania ich. Przygotowywać się można kując, powtarzając, robiąc ściąggi, pisząc tzw. podkładówki lub tylko uzbijając w nadzieję, że „może jakoś się uda”. Ominąć klasówkę można w sposób najprostszy – łukiem. Ówczas jednak łukiem ominąć trzeba całą szkołę, co może różnie się skończyć. Znane są także przypadki chorób klasówkowych – szczególnie podatne są na nie dzieci z rodzin lekarskich i pielęgniarskich – spóźniających się w dniu klasówki tramwajów, autobusów i pociągów, a nawet – precz szatanie! – uciezek całych klas, tłumaczących się później... *bo, przecież, pani psor, myśmy naprawdę myśleli, że tej lekcji nie będzie...*

Tak czy siak, klasówki są po to, by dręczyć – z jednej strony, unikać ich – z drugiej lub zaliczać je – z trzeciej strony. Co jest najłatwiejsze?<sup>749</sup>

Kucie. Czynność połykania podręczników w całości lub partiami zamieniona ze zwykłej nauki w patologię. Kuciem zajmują się najczęściej KUJONY, ale od czasu do czasu – wszyscy. Kucie może przerodzić się w koszmar, niestety<sup>750</sup>.

Kujon. Wyższe stadium Świelika (patrz: ŚWIATŁOŚĆ). Człowiek – albo dziewczyna – który wierzy, że musi nauczyć się wszystkiego, bo inaczej nie będzie umiał nic. Kujon zajmuje się pamięciowym połykaniem podręczników. Wspaniale referuje wszelkie regułki, cudownie cytuje daty i cytaty, zna na pamięć wszystkie matematyczne wzory i wszystkie chemiczne symbole. Jednocześnie – potrafi rozłożyć się na najprostszym zdaniu (bo akurat tę stronę z książki zjadł przed nim kto inny), potrafi przedobrzyć w kuciu i pomierdać dosłownie wszystko. Kujon to z reguły największy panikarz w klasie, pierwszy w kolejce do narzekania – że jeszcze niczego nie umie – i ostatni w kolejce do przekazywania kolegom ściągawek. Są wyjątki: Kujon dobrze w środowisku wychowany, to skarb! Ale rzadki<sup>751</sup>.

Lekcja. Po rosyjsku: „urok” – to słowo najlepiej oddaje charakter skojarzeń wiążących się z tym hasłem. Lekcja to 45 minut harmonijnego obcowania wspaniałego NAUCZYCIELA z miłą jego sercu czeredą cichych i sympatycznych owieczek, zwanych niekiedy uczniami. W czasie lekcji panuje atmosfera pokornego

---

<sup>749</sup> Tamże, s. 61–62.

<sup>750</sup> Tamże, s. 66.

<sup>751</sup> Tamże, s. 66–67.

przyjmowania daru wiedzy wszelakiej, tak gładko przekazywanego młodzieży przez jej dola, psora...

I nikt dotychczas nie potrafi powiedzieć: dlaczego ni stąd, ni zowąd słycać nagle ryk wampira: – *Kowalski, durniu jeden, dlaczego się wiercisz?!?!?* albo *Jak ja ci się, Malinowska, jeszcze raz do tyłu odwrócę, to popamiętasz!!!* Pomijając już pewną trudność z odwracaniem się do przodu, warto zwrócić uwagę na istotny szczegół: wampir okazuje się mieć ludzką postać! Ma linijkę w ręce, usmarowany kredą żakiet i chyba sztuczne zęby. Co gorsza, ludzką postać mają też Kowalski z Malinowską, mało tego – oni nawet mają imiona!

Lekcja jest więc jednocześnie czasem oświecenia i czasem wojny, nauki i walki o szacunek, o pozycję, o hierarchię ważności na placu boju. Na szczęście – mija 45 minut, brzmi dzwonek, jest przerwa, a po niej... zmieniają się wampiry, zmieniają się owieczki<sup>752</sup>.

Lufa. Czyli dwójka, ocena niedostateczna, pała, cwaja, kaplica. Gdyby oceny mogli wystawiać również uczniowie, pojedynek na dwóje i piątki mógłby się zakończyć niespodziewanym wynikiem, a tak sprawa jest z góry przesądzona: dwój to hak wyłącznie dla ucznia i koniec. Jest dowiedzione, że nawet najlepszym uczniom dwój powinna się zdarzyć, ba – musi się zdarzyć! Jest też dowiedzione, że najlepsi kolekcjonerzy luf nie mają, niestety, szans na znalezienie się w księdze rekordów Guinnessa, choć gdyby taką konkurencję stworzono – chętnych byłoby wielu.

Lufa rzecz nabyta, da się z nią żyć, tylko... przed starymi trochę wstyd. Otrzymanie lufy można uzasadnić wyjątkową złośliwością ze strony nieprzyjaciela, przepraszam – nauczyciela, zapomnieniem, chwilowym osłabnięciem na lekcji, przejściowymi problemami okresu dojrzewania lub w ostateczności uwarunkowaniami genetycznymi: – *przecież ty, tato, też zbierałeś lufę za lufą, widziałem Twoje świadectwa...* To działa!!!<sup>753</sup>

Nauczyciel. Oficjalna forma słowna określająca człowieka, który za kiepską pensję stara się wpoić wiedzę obcym sobie małolatom, napotykając z reguły na niespotykany opór materii; patrz także BELFER. Nauczyciel może być wspaniałym przyjacielem, chodzącą dyscypliną, wymagającą poczciwiną, piłą, ostrym jak brzytwa dyktatorem, pospolitym chamem, a czasem nawet słodką idiotką. Nauczyciel, w przeciwieństwie do ucznia, ma swój dzień i wtedy jest mu z wychowanymi dobrze. Uwaga: nauczyciel też jest człowiekiem i zasługuje na ochronę!<sup>754</sup>

---

<sup>752</sup> Tamże, s. 69.

<sup>753</sup> Tamże, s. 72–73.

<sup>754</sup> Tamże, s. 86.



Owsik. Potocznie – bardzo niecierpliwy i nadgorliwy BELFER. Nie poczeka, nie usiedzi na jednym miejscu, zawsze gotów jest podejmować jakieś bzdurne działania: a to świstówki, a to powtórki, a to odpytywanki przy TABLICY. Owsik lubi wykazywać się przed zwierzchnikami, dlatego trzeba nań zwracać szczególną uwagę w przypadku nie zapowiedzianych wizytacji<sup>755</sup>.

Szkoła. Oficjalna nazwa przedsiębiorstwa edukacyjnego, którego celem jest produkcja absolwentów w cyklu corocznym. Szkoła jest matką wyobraźni, ojcem wiedzy i cioteczną stryjenką więzienia. Do szkoły trzeba chodzić. Do szkoły można chodzić pod górkę. Do szkoły można i trzeba chodzić czasami. Czasami nawet długo. Długopis do szkoły też trzeba nosić. Nosić się trzeba elegancko, ładnie. Ładnie jest w szkole. W szkole trzeba się uczyć, bo szkoła to szkoła. Szkoła to oficjalna nazwa przedsiębiorstwa edukacyjnego, którego celem jest produkcja absolwentów. Dla absolwentów nie ma pracy i zasiłków. Dlaczego szkoła nie uczy, jak żyć bez pracy i zasiłków?<sup>756</sup>

Tablica. Słowo to znaczy w języku zulu gula tyle samo co „miejsce straceń” i oznacza kawałek zielonej lub czarnej płyty, pod którą każdy może przeżyć swoją Somosierrę. Przy tablicy obowiązuje grzeczność, dobry słuch i wzrok – by dojrzeć i usłyszeć to, co podpowiadają koledzy. Tablica ma właściwości przyciągające, warto o tym pamiętać, gdyż raz przyciągniętego i przegranego może przyciągać jeszcze wiele razy<sup>757</sup>.

Trucie. Jest to swoista forma przekazu ustnego stosowanego przez bardzo wielu NAUCZYCIELI, a polegająca na nieprzerwanym, 45 minutowym wykładaniu spraw prostych przy wykorzystaniu miliona skomplikowanych słów. Truciu można zaradzić: już to wtykając sobie do uszu zatyczki, już to podsypiając, już to zmieniając szkołę, a najlepiej... przyzwyczajając się do trucia. W każdej szkole i każdej firmie znajdują się tacy, co tylko trują i trują – i nie ma na nich żadnej siły<sup>758</sup>.

Uczeń. Podmiot edukacji, sprowadzany w niektórych BUDACH do zaszczytnej roli przedmiotu. Uczeń może być dobry, bardzo dobry i najlepszy. Dobry ma wiele zainteresowań pozaszkolnych i dlatego miewa trudności w pogodzeniu ich z nauką. Uczeń bardzo dobry miewa zainteresowania pozaszkolne, a uczeń najlepszy ma tylko naukę<sup>759</sup>.

---

<sup>755</sup> Tamże, s. 91.

<sup>756</sup> Tamże, s. 110–111.

<sup>757</sup> Tamże, s. 116.

<sup>758</sup> Tamże, s. 117.

<sup>759</sup> Tamże, s. 119. Por. przykłady 92, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 652, 656.

**Przykład 605. Krzysztof Daukszewicz – *Między Wortujem a Przyszłościem. Lewom marsz! Fragmenty (1994)***

Ksiądz katecheta ze Szkoły Podstawowej nr 7 w Kielcach strzelał na postrach z pistoletu gazowego do ucznia, który chwilę wcześniej zdetonował petardę.

„Z pewnością pistolet nie należy do arsenału środków pedagogicznych” – powiedział kurator oświaty.

Dzieci zmieniły księdzu pseudonim z Batman na Kowboj<sup>760</sup>.

**Przykład 606. Krzysztof Stankiewicz – *Na straży tajemnicy państwowej. Fragmenty (1994)***

Wałbrzyscy nauczyciele nie chcą być strażnikami tajemnicy państwowej. Ma to tę zaletę, że więcej czasu będą mieli na krzewienie wiedzy. Kiedy więc dostali do podpisania zobowiązanie „Stwierdzam własnoręcznym podpisem, że znana mi jest treść przepisów o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej, a także przepisów o odpowiedzialności karnej za naruszenie tajemnicy”, zaprotestowali. Przeciwno pomysłodawcom z wojewódzkiego kuratorium wystąpiła nauczycielka „Solidarność”, domagając się ukarania kuratora.

Ciacho dla kuratora

Również nauczyciele z Elku oprotestowali kuratora. Siedmiu pedagogów z podstawówki zbuntowało się przeciwko wymuszeniu od nich przed pierwszym składki na ciasto dla kuratora. Oj, kończy się słodkie życie.

Stolikowcy z pierwszej klasy

Podczas gdy nauczyciele zajęci są świętą wojną z kuratorami, uczniowie samoorganizują sobie czas. Do sądu we Wrocławiu trafiła sprawa dwóch młodych ludzi z pierwszej klasy szkoły podstawowej, którzy notorycznie obrabiali szkolny sklepik, kradnąc m.in. ołówki, zeszyty i gumę do żucia. Zrabowane przedmioty starali się sprzedawać na stoliku turystycznym niedaleko szkoły. Zgubiła ich nadmierna brawura.

Partyzant

Z granatem obronnym F-1 przyszedł do szkoły dwunastoletni uczeń piątej klasy szkoły podstawowej w Krakowie. Motywem nie była zemsta na wrednej nauczycielce, ale chęć zaimponowania rówieśnikom, co też się stało. Na szczęście obyło się bez zamieniania boiska szkolnego w poligon. Wezwani przez dyrekcję szkoły saperzy zarekwirowali granat. Historia była nadzwyczaj prosta – uczeń podebrał „zabawkę” tacie. Ojciec chłopca znalazł granat, bę-

<sup>760</sup> K. Daukszewicz, *Między Wortujem a Przyszłościem. Lewom marsz!*, Polski Dom Wydawniczy, Warszawa 1994, s. 38.

dąc nad morzem, i zabrał go do domu, żeby zaimponować żonie. Po prostu taka partyzancka rodzina.

„Faszyści” z podstawówki

Dwunastu ósmoklasistów z Przemyśla założyło tajną organizację faszystowską. Tajemnica nie była jednak zbyt wielka, bo ugrupowaniem zajęła się policja. Służby porządkowe wytropiły „marszałka SS” i innych wysokich oficerów, i to zanim zdążyli przygotować sobie legitymacje służbowe. Udaremniono też planowane ćwiczenia „bojowe”. W trakcie rozmowy z członkami ugrupowania stwierdzono, że chłopcy mają bardzo mętne pojęcie o znaczeniu słowa „fasyzm”. Wykluczono zatem zaangażowanie ideowe. W efekcie dyskusji merytorycznych organizacja przestała istnieć, a jej założyciele obiecali przyłożyć się do nauki.

A przed nią bieży baranek...

Żywego baranka z czerwoną kokardą dostała od wdzięcznych uczniów nauczycielka matematyki z V ogólniaka w Katowicach. Powinna być z prezentu zadowolona, bo w grę wchodziły jeszcze mniej atrakcyjne: wianek, badylek i motylek. Wszystko zgodnie z „Dziadami” i Kazikiem<sup>761</sup>. Niestety, ponieważ nauczycielka mieszka w bloku i sąsiedzi mogliby mieć jej za złe zażyłość z barankiem, musiała pozbyć się prezentu.

Za karę

Uczniowie z VIII Liceum Ogólnokształcącego w Poznaniu poddali w wątpliwość przepis o nieobowiązkowej nauce religii. Asumpt do tych wątpliwości dała dyrekcja szkoły, która zarządziła, że uczniowie nie chodzący na lekcje religii muszą w czasie rekolekcji sprzątać szkołę. Jak zwykle – dorośli wszystko zepsują<sup>762</sup>.

### **Przykład 607. Krzysztof Daukszewicz – *Szkoła przetrwania* (1994)**

Wędrując po miastach i miasteczkach, za chlebem, spotkałem koleżankę z lat szkolnych. Razem kończyliśmy liceum pedagogiczne. Były kiedyś takie licea. W latach sześćdziesiątych. Przyuczały bardzo solidnie do ciężkiego i odpowiedzialnego zawodu nauczyciela.

Nasze Liceum Pedagogiczne nr 8 w Szczytnie uczyło jeszcze na dodatkowych zajęciach i sztuki przetrwania.

Oprócz podstaw nauczania w klasach I–IV, nauki języka polskiego, matematyki i tego całego pedagogicznego mini-abecadła, musieliśmy jeszcze gotować, piec, szyć i cerować. Wszystko po to, żeby w razie kataklizmu przetrwać

<sup>761</sup> S. Staszewski (Kazik), Kult, *Baranek*, [w:] tegoż, *Tata Kazika*, S.P. Records, Polska 1993. Przep P.P.G.

<sup>762</sup> K. Stankiewicz, *Na straży tajemnicy państwowej*, [w:] tegoż, *Największe bzdury w ciągu ostatnich miesięcy w Polsce*, Phantom Press International, Gdańsk 1994, s. 81–83.

w boju. Bo nasz zawód to był bój. W moim przypadku dotyczył szkoły podstawowej w Jerutach Dużych, gdzie trafiłem tuż po maturze, i gdzie zamieszkiwałem na strychu, w pokoju – 40 metrów kwadratowych, z jednym piecem kaflowym, z którego jakiś żartobliwy zdun wyjął i sprzedał za wódkę cegły szamotowe, wstawiając w to miejsce jakąś dziurawkę czy coś innego, równie pospolitego.

W wyniku tego eksperymentu piec dawał, na krótko, intensywne ciepło w promieniu jednego metra. A zimy w latach sześćdziesiątych nie podlegały jeszcze nowym prawom ocieplania kontynentów. I mroziły bez litości od listopada do kwietnia.

Ponieważ nauczono mnie wcześniej przetrwać w takich warunkach, przetrwałem. Chociaż parę razy miałem w mieszkaniu lód zamiast wody. Wtedy przychodził katar, i po tygodniu odchodził.

W naszej szkole – mówię cały czas o liceum – dyrektor powtarzał dodatkowo, że aby zostać dobrym nauczycielem, trzeba mieć dużo czasu dla obcych dzieci i trzeba za pierwsze zarobione pieniądze kupić dwie rzeczy. Zegarek (aby być punktualnym). I radio (by wiedzieć, co się dzieje na świecie).

Kupiłem jedno i drugie.

Potem, dalsze dwadzieścia lat, w lepszy lub gorszy sposób dawałem sobie radę, traktując świat i najbliższe otoczenie w miarę pogodnie, bo i pogoda ducha też się bierze z wiary przetrwania.

Wczoraj właśnie spotkałem koleżankę – Halinę – z tej samej szkoły, z młodszej klasy, pozostającą do dzisiaj w błogosławnym stanie nauczycielskim. Błogosławnym mimo tego, że dzieci coraz częściej próbują wychowywać ideolodzy a nie nauczyciele. Cytowany chociażby kurator Walczak, z tonącego miasta Łodzi.

Koleżanka, rozwiedziona, wychowuje samotnie córkę.

– Jak sobie dajesz radę?

– Pracuję w przedszkolu, a po południu zajmuję się dziećmi niepełnosprawnymi.

– I ile za to wszystko masz?

– Około czterech milionów.

– I możesz za to przeżyć?

– Nie. Ale wracam do domu i szyję na maszynie bluzki i sukienki. Za to bardzo dobrze płacą.

– I nie ciężko ci?

– Ciężko, ale nie narzekam.

I to właśnie jeszcze jedna osoba z tej mojej szkoły przetrwania. Osoba, którą nie złamały zarobki, nowy model nauczania, kapitalizm – już bez ludzkiej twarzy – i kurator Walczak.

Jeżeli Halina potrafi przekazać to i dzieciom, które uczy, one także przetrwają<sup>763</sup>.

**Przykład 608. Krzysztof Daukszewicz –  
*Wiedźma czyli wspomnienia znachorki.*  
Fragmenty monologu wewnętrznego  
z dialogami przez telefon (1994)**

Ja rozumiem, że wszystko musi być teraz droższe. Przyszły takie czasy, że musimy ponosić koszt rewaloryzacji kraju. Najpierw Kraków, teraz my. I wiem, że nie powinnam narzekać. Nie chciałam komunizmu, to go nie ma. A nawet jeżeli chciałam, to raczej model fiński. Tylko że ani Rusczy, ani ja nigdy do Finlandii nie dotarliśmy. Nawet za batuszki Stalina. Więc na czym polegał taki model, nikt nie wiedział. Po prostu organizowali życie po swojemu.

Czuję się coś nie najlepiej. Zresztą, jak mam się czuć, kiedy zdrowie zniszczyłam za rodzinę i Ojczyznę. Mój Ojciec miał lepiej, umierał wyłącznie za Polskę. Bo był jednocześnie patriotą i hipochondrykiem. Chciał zginąć za Piłsudskiego, a zginął za Stalina. Zdążył tylko krzyknąć: – NIECH ŻYJE JÓZEF...! I było po nim. I do dzisiaj nie wiadomo, którego miał na myśli. Ale może to i dobrze. Bo jak go znam, to umierał za legiony, a trzeba było żyć za Bieruta. A Bierut był agentem NKWD. Podobno. Bo nie można ujawnić akt tajnych współpracowników.

*Telefon:*

– Tak. To ty córeczko? A co, już nie w szkole?

– A ty co robisz mamo?

– Wspominam dziadka.

– Nic za często o nim myślisz?

– A dlaczego mam nie wspominać? Dziś jest akurat rocznica jego urodzin.

Ty go nie znałaś, więc i nie masz żadnego sentymentu. I nie ma się co zresztą dziwić.

– Oczywiście! Bo ja już jestem tylko ofiarą braku zabezpieczenia, przed niechcianą ciążą!

– Nie dokuczaj! A nawet jeśli tak jest, to czy przez to cię mniej kocham? Przynajmniej nie musiałam się nikomu z ciebie tłumaczyć. Kiedy urodziłam Leszka i starałam się o mieszkanie, wezwał mnie taki jeden z UB. Nawet przystojniaczek jak na tamte czasy. Posadził w pokoju z jednym stołem i jednym taboretym. Zapalił światło i zaczął przepytawać:

<sup>763</sup> K. Daukszewicz, *Szkoła przetrwania*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościobozem. Po przełomie*, Polski Dom Wydawniczy, Warszawa 1994, s. 79–81.

- Z kim macie dziecko, towarzyszko?
- Z chłopem, panie oficerze.
- Nie sypialiście z chłopem. Tylko z wrogiem klasowym. On na to, już z pianą na ustach.
- Nie z wrogiem, a z fryzjerem. Odpowiadam.
- Wy bronicie bandyty, który zaciął przy goleniu naszego towarzysza sekretarza. Aż do krwi. Zadał tym samym ból naszej całej klasie robotniczej!!
- I wali pięścią w stół. Wtedy mówię spokojnie, żeby tylko dziecka nie uderzył: – Fryzjer tnie każdego, panie komisarzy. Bywa, że i opozycję zatnie. Taki to jego zawód. A ja z nim sypiałam jeszcze przed tym, jak pana sekretarza skaleczył.
- Takie przypadki trzeba przewidywać. A i z waszym ojcem też nie wiadomo, jak było do końca.
- Jak to, nie wiadomo? Ja do niego. Przecież krzyknął w agonii: – Niech żyje Józef! Krzyknął, czy nie?!
- Owszem, mamy zanotowane, że krzyknął, ale mamy pretensje do waszej rodziny, że nie umierał całym zdaniem. A my, komuniści, nie lubimy nie-domówień!
- Nie mógł skończyć pełnym zdaniem, bo mu kula w gardle utkwiła.
- I dlatego, towarzyszko, mieszkania nie dostaniecie. Chyba, że wstąpicie do partii. A co tam w twojej szkole Reniu?!
- Nudy. Dzwonię wcześniej, bo nie było matmy.
- A co się stało?
- Bo nie mamy nauczyciela. Pan Henryk odszedł, bo był przeciwny ustawie o aborcji.
- I to przeszkadza w ułamkach?
- Przeszkadza.
- A macie coś do domu zadane?
- Nic.
- A co było na polskim?
- Pani mówiła o aborcji.
- Że co?
- Że usuwanie ciąży to wielkie barbarzyństwo.
- A z geografii?
- Pan też mówił o aborcji.
- Znowu.
- Ale tym razem pan tłumaczył, że ta ustawa to jest wielkie barbarzyństwo.

- A historia?
  - Aborcja.
  - W świetle historii?
  - Nie! Tym razem myśmy mówili, że to średniowiecze.
  - A co robiliście na wuefie?
  - Pan tłumaczył, że na dyskoteki i wycieczki powinniśmy zabierać prezerwatywy.
  - A ty co na to?
  - Zapytałam go, od kiedy dziewczynkom są potrzebne takie rzeczy.
  - A co on na to?
  - Że od wtedy, kiedy dziewczynki zadają się z chłopczykami i urodził się wirus HIV.
  - I jakie lekcje jeszcze były?
  - Zajęcia praktyczno-techniczne.
  - I co? Też aborcja i prezerwatywy?
  - Mniej więcej.
  - Pewnie was uczył, jak się nakłada?
  - Mamo, tak nie można!
  - Bo już mam dość tej waszej szkoły. Przynajmniej ten na zajęciach mógłby was czegoś nauczyć!
  - Czego?
  - Nie wiem! Malować ściany, zбивać deski, wbijać gwoździe, naprawiać komputery. Po prostu, czegoś pożytecznego.
  - Powiedział. Po cholerę mam was tego uczyć, kiedy i tak pójdziecie na bezrobocie.
  - A co na to katechetka?
  - Straszy Panem Bogiem i zbiera podpisy, że jesteśmy za religią i za dzieckiem poczętym.
  - A co z prezerwatywami?
  - Mówi, że nic wie, co to jest, ale zawsze dopowiada, że to na pewno ciężki grzech.
  - A co wy na to?
  - Podpisujemy wszystko i pieprzymy się jak dawniej. To cześć Mamo! Pa pa!
  - Cześć!
- Co to znaczy: – Pieprzymy się jak dawniej? No i z tej nauki ma później wyrosnąć inżynier elektronik albo informatyk. Z aborcji i prezerwatyw. Ale tak to jest, jak się wychowuje dzieci bez ojca. Ale kto mógł przewidzieć śmierć golibrody. Niezdolny fryzjerszyk jako wróg władzy ludowej. Towarzysz komisarz zaciął

go o wiele skuteczniej, pozbawiając zawodu i życia... A mnie alimentów, bo i tak pewnie bym za niego nie wyszła. Takie to były czasy. Ale i teraz w gazetach Stalin, w radiu Stalin, w telewizji Stalin. Jeśli wszędzie, to i w głowie. Znowu jak żywy. Beria go ukatrupił, a Radiokomitet ożywił<sup>764</sup>.

**Przykład 609. Krzysztof Daukszewicz –  
Z konspektu kuratora Walczaka z Łodzi (1994)**

„Płcie są dwie: męska i żeńska”.

\* \* \*

„Kobieta musi hamować swoje kokieterijno-prowokacyjne zachowanie”, aby umożliwić mężczyźnie „wykształcenie pozagenitalnych form osobowej komunikacji”.

„Dlaczego dziewczynka powinna żyć seksualnie dopiero w małżeństwie?”

„Aby dziecko poczęte było z miłości, a nie w odurzeniu alkoholowym lub z pękniętej prezerwatywy”<sup>765</sup>.

**Przykład 610. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck  
próbuje pokierować dziećmi (1994)***

Z początkiem nowego roku szkolnego, Mister O’Goreck postanowił poważnie rozmówić się z Dziećmi.

– Martwię się o Was, Dzieci – zagał. – Jeżeli i w tym roku nic się nie zmieni, czarno widzę waszą przyszłość.

Dzieci pokornie milczały. Nic nie miały na swoje usprawiedliwienie.

– Czy nie po to chodzicie do szkoły, żeby się czegoś potrzebnego nauczyć? Nabrać jakichś umiejętności? – pytał uporczywie Mister O’Goreck. – Tymczasem siedzicie tylko w książkach, odrabiacie lekcje, zbieracie dobre stopnie, a co na przyszłość?

Dzieci pospuszczały głowy.

– W zeszłym roku dzień w dzień siedziałyście w szkole na wszystkich lekcjach. Ani razu nie byliście nigdzie się czegoś nauczyć – wypominał Mister O’Goreck. – Koledzy z drugiej ławki co tydzień byli w Berlinie na przemycie. Czy Wy jak rok długi coś przemyciłyście?

Odpowiedzią było głucho milczenie.

<sup>764</sup> Tenże, *Wiedźma czyli wspomnienia znachorki. Monolog wewnętrzny z dialogami przez telefon*, [w:] tegoż, *Hrabia, Wiedźma i Cycek, Ypsilon*, Warszawa 1994, s. 47–50.

<sup>765</sup> Tenże, *Z konspektu kuratora Walczaka z Łodzi*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem. Po przelocie*, dz. cyt., s. 78.



– Czy sprzedałyście z zyskiem coś pod Pałacem albo na Stadionie? – mówił Mister O’Goreck głęboko zawiedziony. – Czy weszłyście w kontakt choćby z jedną lipną firmą? Czy wiecie jak nie płacić podatków? Jak nie zwracać długów? Czy znacie jakiś kruczek bankowy? Jesteście kompletnie nieprzygotowane do życia.

Mister O’Goreck załamał ręce. Nie wiedział już, jak do Dzieci przemawiać. Wszystkie jego wysiłki wychowawcze spełzały na niczym.

– Czy nauczyłyście się chociaż rozmówek niemieckich „Wifil kostet das”, jak kazałem? – spytał zrezygnowany.

– Nie, ale znamy łacinę – powiedziały Dzieci.

– Łacinę! – jęknął Mister O’Goreck. – Wy mnie do grobu wpędzicie!

Postanowiono, że Dzieci, zamiast startować w olimpiadzie matematycznej, żeby się czegoś pożytecznego nauczyć, pojedą w tym czasie na wycieczkę do Moskwy po transport kawioru. Mister O’Goreck ostrzegł tylko, że jeśli znów zamiast się kształcić, urwą się do Galerii Trietiańskiej, to już z całą pewnością skończą gdzieś na studiach doktoranckich i on tego dożyć nie chce.

#### SŁOWNICZEK

SZKOŁA – forma zapobiegania temu, żeby nie zostać bezrobotnym od razu po urodzeniu;

PRYMUS – uczeń, który po wyjściu ze szkoły niczego już się więcej nie nauczy<sup>766</sup>.

### **Przykład 611. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck wychodzi naprzeciw potrzebom dzieci* (1994)**

Na wieść o tym, że w szkole dzieci Mister O’Gorcka źle się dzieje, zwołano zebranie Komitetu Rodzicielskiego. Okazało się, że szkoła nie wychodzi potrzebom dzieci naprzeciw.

– W sklepiku szkolnym zaopatrzenie jest fatalne – zauważyli Jedni Rodzice.

– To niedopuszczalne, aby nie było w nim wszystkich rzeczy potrzebnych uczniom na przerwie.

Pani Kierowniczka tłumaczyła, że sprzedaż papierosów i wódek mocno ostatnio spadła i sklepik popadł w kłopoty finansowe.

– Handel musi być elastyczny – twierdzili Jedni Rodzice.

– Dostosowywać się do popytu. Kiedy ostatnio skończyła się kokaina, nie dowozili jej przez miesiąc.

<sup>766</sup> M. Ogórek, *Mister O’Goreck próbuje pokierować dziećmi*, [w:] tegoż, *Mister O’Goreck. Pierwsze cytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994, s. 56.

– Są przejściowe braki w zaopatrzeniu – broniła się Pani Kierowniczka.  
– Jednak ciągle rozszerzamy ofertę. Ostatnio wprowadziliśmy nowy asortyment: ciasteczka z marihuaną.

– Nasza córka nie znosi marihuany – odparli Inni Rodzice. – A heroiny jak nie było, tak nie ma.

Zebranie orzekło, że braki w zaopatrzeniu są niedopuszczalne i że pełny asortyment znajdować się musi w ciągłej sprzedaży.

– Nie mówimy już o tym skandalu, że nie ma kompletu strzykawek – dodali Następni Rodzice. – Nasz syn jest bardzo wąty i chodzi cały pokłuty z powodu niewłaściwych igieł.

– Czy higienistka szkolna nie mogłaby po prostu każdemu uczniowi jego działki dożylnie wstrzykiwać? – proponowali Kolejni Rodzice.

Następnie zapisano, żeby przerwy były smaczne, bo ostatnio były tylko miętowe, od których dzieci dostawały zgagi.

– Wysokie wymagania wychowawcze należy stawiać i sobie – odparowała rozgoryczona Pani Kierowniczka. – Czy któryś z uczniów podzieli się choć czasem swą działką z wychowawcą?

SŁOWNICZEK

SZKOLNICTWO – sieć dystrybucyjna LSD<sup>767</sup>.

### **Przykład 612. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck idzie na wywiadówkę* (1994)**

Na krótko przed rozdaniem świadectw, Mister O’Goreck został pilnie wezwany do szkoły.

– Pańskie dzieci nie nauczyły się następujących rzeczy – zaczęła bez wstępów Pani Nauczycielka. – Broniewskiego, Wiosny Ludów, bolszewików, Mickiewicza bez „Do przyjaciół Moskali” oraz Rewolucji Francuskiej.

– Dopilnuję, aby zdali to wszystko u Pani jak najprędzej – obiecał Mister O’Goreck.

– Jeszcze by tego brakowało! – krzyknęła Pani Nauczycielka, wystraszywszy się nie na żarty. – Chyba Pan nie myśli, że ich o to zapytam!

– Skoro nie umieją... – powiedział stropiony Mister O’Goreck.

– Nie umieją, ponieważ zostało to wycofane z programu – powiedziała urażona Pani Nauczycielka. – Tylko Pana uprzedzam.

<sup>767</sup> Tenże, *Mister O’Goreck wychodzi naprzeciw potrzebom dzieci*, [w:] tegoż, *Mister O’Goreck. Pierwsze...*, dz. cyt., s. 57.

– Mam dopilnować, aby się tego nie uczyły – uprzytomnił sobie wreszcie Mister O’Goreck.

– Z rozmnażania znają tylko pączkowanie i podział. Konsultowaliśmy się w tej sprawie z ministerstwem i tam o innym rozmnażaniu nie słyszeli – wyjaśniała dalej Pani Nauczycielka.

– Dopilnuję – potwierdził Mister O’Goreck. – A AIDS?

– Co AIDS? – spytała zimno Nauczycielka.

– Jak z fizyką? – szybko zmienił temat Mister O’Goreck.

– Ruch jednostajnie przyspieszony – odparła Pani Nauczycielka.

– Dopilnuję – powiedział Mister O’Goreck.

– Ruch jednostajnie przyspieszony powinien zostać w zasadzie uczniom wpojony – informowała Pani Nauczycielka. – Jednakże związek nauczycielstwa postanowił go nie wpajać na znak protestu przeciwko niskim płacom w szkolnictwie. Postanowiliśmy, że tak długo jak będziemy źle traktowani, nikt nie dowie się niczego o tym ruchu. Chyba Pan rozumie, że zaznajamianie dzieci z ruchem jednostajnie przyspieszonym w obecnej sytuacji jest działaniem obliczonym na wykończenie polskiej oświaty – spojrzała znacząco na Mister O’Gorcka.

Mister O’Goreck solennie zapewnił Panią Nauczycielkę, że absolutnie niczego o takim ruchu nie wie. Widocznie w jego szkole też trwał w tym czasie strajk.

– Jaka niewiedza jest jeszcze wymagana przez szkołę? – dopytywał się Mister O’Goreck.

Tego było już jednak Pani Nauczycielce nadto. Uznała, że opowiedziała o wszystkim wyczerpująco, a jeśli Mister O’Goreck jeszcze czegoś nie wie, to niech weźmie dla dzieci korepetycje.

SŁOWNICZEK

NAUCZYCIEL – osoba, która tak fatalnie pokierowała swoim życiem, że musi uczyć tego innych<sup>768</sup>.

### **Przykład 613. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck zapewnia dzieciom przyszłość (1994)***

Po powrocie ze szkoły Dzieci Mister O’Gorcka poinformowały go, że podjęły ostateczną decyzję co do swojej przeszłości.

– Jakże się cieszę! – uradował się Mister O’Goreck, który był już przekonany, że przez całe życie będą tylko jeździć na deskorolce. – Czy można wiedzieć, co postanowiłyście?

<sup>768</sup> Tenże, *Mister O’Goreck idzie na wywiadówkę*, [w:] tegoż, *Mister O’Goreck. Pierwsze...*, dz. cyt., s. 58–59; tenże, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005, s. 130–131.

- Owszem – powiedziały Dzieci. – Zostaniemy komunistami.
- Mister O’Goreck poczuł, jak oblewa go zimny pot.
- Dlaczego akurat komunistami? – wyjęczał. – Jest tyle innych zawodów.
- Ten jest dla nas najlepszy – stwierdziły Dzieci kategorycznie. – Zawsze mówiłeś, że powinniśmy wybrać zawód cieszący się szacunkiem społecznym.
- Ale czy aby macie do tego zawodu predyspozycje? – Mister O’Goreck szukał gorączkowo argumentów. – Wiecie, że jest specyficzny.
- Jest dla nas wymarzony – powiedziały Dzieci. – Nie wiesz, kto zawsze zostawał komunistą? Ten, który był skrzywdzony i nic nie posiadał.
- Coś tam jednak posiadacie – wtrącił urażony Mister O’Goreck.
- Tak czy owak jesteśmy dołem społecznym – rozstrzygnęły Dzieci.
- Na komunistów nadajemy się idealnie.
- Ale czy nie jest to ryzykowne? – mnożył wątpliwości Mister O’Goreck.
- Ryzykowne? – roześmiały się Dzieci. – Ludzie będą nas wybierać do władzy, a my sobie będziemy tylko siedzieć w banku, albo w spółce obracać państwowymi pieniędzmi.
- To swoich mieć nie będziecie? – zaniepokoił się Mister O’Goreck.
- Swoje to my będziemy mieć dla siebie, a obracać będziemy państwowymi – wyjaśniły Dzieci. Miały wszystko obmyślane.
- No, ale nikt na świecie nie będzie chciał z wami rozmawiać – Mister O’Goreck wytoczył ostatni argument.
- I to nam odpowiada – oświadczyły Dzieci. – Przynajmniej nie będziemy musiały uczyć się języków.

Po namyśle Mister O’Goreck musiał przyznać, że może Dzieciom nie byłoby w życiu najgorzej.

#### SŁOWNICZEK

KOMUNISTA – wyzwisko, oznaczające osobę, którą wybraliśmy do parlamentu<sup>769</sup>.

### **Przykład 614. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck przygotowuje się do matury (1994)***

Na kilka dni przed maturą, Mister O’Goreck stwierdził, że jego dzieci nic nie umieją. Z odkryciem tym popędził czym prędzej do Pani Profesorki.

- Pani Profesor, musi pani oblać moje dzieci! – zawołał już ze szkolnej szatni.

<sup>769</sup> Tenże, *Mister O’Goreck zapewnia dzieciom przyszłość*, [w:] tegoż, *Mister O’Goreck. Pierwsze...*, dz. cyt., s. 60.

Pani Profesorka w ramach akcji protestacyjnej powstrzymywała się właśnie od czytania.

– Jeszcze czego! Po moim trupie! – odrzyknęła. – Czyżby pan nie wiedział, że przyłączyłam się do strajku?

– Toteż nie proszę, aby wypromowała pani moje dzieci, ale oblała – wyjaśnił Mister O’Goreck.

– Oblanie jest taką samą pracą jak promowanie, a nawet gorszą – powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu Pani Profesorka i zatopiła się z powrotem w proteście.

– Co zrobić, żeby dzieci mogły w tej sytuacji nie zdać matury! – zastanawiał się gorączkowo Mister O’Goreck.

– Pańskie dzieci mogłyby nie zdać matury w każdej chwili, gdyby w budżecie zarezerwowano na to stosowne środki – wyjaśniła Pani Profesorka. – Nie będę przecież oblewała pańskich dzieci za darmo!

Rozwiesiła odpowiednie plansze poglądowe i na wykresie pokazała Mister O’Gorckowi, jak drastycznie spadła w ostatnich latach opłacalność oblania jednego ucznia.

– Jestem przygotowany na wydatki związane z maturą – powiedział Mister O’Goreck niepewnie, mnąc w rękę kopertę.

– Co to, to nie – oburzyła się Pani Profesorka. – Przykro mi, ale w czasie strajku powstrzymujemy się od wykonywania wszelkich rutynowych czynności.

– Mogłaby pani choć nie dopuścić ich do matury – zaproponował zrezygnowany Mister O’Goreck.

– A i owszem – powiedziała Pani Profesorka. – Zamierzam właśnie nie dopuścić do matury.

#### SŁOWNICZEK

MATURZYSTA – produkt pracy nauczyciela, którego produkcja ma być przerwana ze względu na nieopłacalność<sup>770</sup>.

### **Przykład 615. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck posyła dzieci na studia* (1994)**

Aby ułatwić dzieciom start na studia, Mister O’Goreck poszedł zapisać je na kurs przygotowawczy.

– Chodzi mi o to, aby dały sobie radę podczas studiów – wyjaśnił Mister O’Goreck. – Boję się, że nie są jak na to dość zdolne.

<sup>770</sup> Tenże, *Mister O’Goreck przygotowuje się do matury*, [w:] tegoż, *Mister O’Goreck. Pierwsze...*, dz. cyt., s. 61.

– Studia wymagają dużych zdolności – zgodził się Wykładowca.  
– Ale nie taki diabeł straszny, jak go malują. Solidną pracą wszystkiego można się nauczyć.

– Czy zakres przygotowań jest wystarczająco szeroki? – niepokoił się Mister O’Goreck.

– Przygotowujemy adekwatnie do każdego rodzaju studiów – obruszył się Wykładowca. – Przykładowo, jeśli dzieci wybierają się na humanistykę, uczymy je szybko przeliczać kursy walut w pamięci. Z praktyki wiemy, że z tym mają zawsze największe kłopoty. Ale już po tygodniu naszych kursów odróżnią każdego fałszywego dolara.

– I to jest im potrzebne? – zdziwił się Mister O’Goreck.

– Na studiach to jest podstawa – tłumaczył Wykładowca. – Mogą już zacząć sprowadzać towar z zagranicy i go odsprzedawać. Pierwszy semestr jakoś przetrzymają.

– Przydałoby się im poszerzyć wiadomości z geografii – zauważył Mister O’Goreck.

– Trafił pan w sedno – ucieszył się Wykładowca. – Trasy, które dy jechać z Pekinu, aby nie zostać złapanym z perłami, albo z Bangkoku z haszyszem – trzeba wykuć na pamięć. Od tego zależy ich przyszłość.

– Czy potrzebne będą jakieś pomoce naukowe? – chciał dowiedzieć się Mister O’Goreck.

– Ja wiem...? – zastanawiał się Wykładowca. – Na początek powinna wystarczyć walizka z podwójnym dnem.

– Jest pan pewien, że to będzie im przydatne w nauce? – upewniał się Mister O’Goreck.

– Może być pan spokojny: przerabiamy zawsze to, co się aktualnie studiuje – oświadczył Wykładowca.

– W każdym razie chciałbym, żeby zachęcił ich pan do twórczego rozwoju – zaznaczył Mister O’Goreck.

– Ma się rozumieć! – zawołał Wykładowca. – Najpierw łóżko polowe, na drugim roku ciężarówka, na absolutorium powinni mieć hurtownię.

– Sądzi pan, że skończą studia w terminie? – spytał jeszcze Mister O’Goreck.

– Daję panu gwarancję, że to się po naszym kursie nie zdarza! – przysiągł Wykładowca. – Będą studiować do oporu, jak długo się da; niech pan będzie spokojny o ich przyszłość.

## SŁOWNICZEK

UNIwersytet – placówka przygotowująca nowe, wykształcone kadry na targowiska<sup>771</sup>.

**Przykład 616. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck zleca prace naukowe* (1994)**

Mister O’Goreck postanowił zaangażować pomoc do przedsięwziętych porządków. Zadzwoił do spółdzielni studenckiej, aby przystali kogoś z uniwersytetu.

W umówionym dniu w drzwiach Mister O’Gorcka stanął Dziekan.

– Podobno ma pan dla mnie pracę – powiedział.

– Mam okna do umycia – powiedział zmieszany Mister O’Goreck. – Myślałem, że przyjdą studenci.

– Studenci już się tym nie zajmują – powiedział Dziekan. – Doszliśmy do wniosku, że powinna to od nich przejąć wyższa kadra naukowa. Gorzej nam się powodzi. Bardziej chyba niż studentom należą się nam jakieś zarobki, nie uważa pan?

– Ależ naturalnie – pośpieszył z zapewnieniem Mister O’Goreck.

– Mycie z wykładem czy bez? – zapytał Dziekan, wyciągając szmaty i inne pomoce naukowe. – Pełna usługa obejmuje wykład – zastrzegł od razu.

– Niech będzie z wykładem – przystał Mister O’Goreck. – Tylko żeby było bez egzaminu.

– Może woli pan kolokwium? Albo repetytorium? – namawiał Dziekan.

– Wykluczone – Mister O’Goreck okazał się twardy.

– Nikt nie chce samego wykładu, bez mycia – poskarżył się jeszcze Dziekan, patrząc na Mister O’Gorcka z wyrzutem.

Wylażł na drabinę i rozpoczął wykład. Wypisywał na szybach jakieś wzory, po czym wycierał wszystko do czysta. Mister O’Goreck słuchał tego tylko czterdzieści pięć minut, po czym wyszedł na przerwę.

– Widzi pan, wystarczy trochę wiedzy, aby zaraz wszystko wyjaśniło – powiedział wyraźnie zadowolony z efektów naukowych Dziekan.

## SŁOWNICZEK

UCZENI – środowisko, które utrzymuje się z czego innego niż robi<sup>772</sup>.

<sup>771</sup> Tenże, *Mister O’Goreck posyła dzieci na studia*, [w:] tegoż, *Mister O’Goreck. Pierwsze...*, dz. cyt., s. 62–63.

<sup>772</sup> Tenże, *Mister O’Goreck zleca prace naukowe*, [w:] tegoż, *Mister O’Goreck. Pierwsze...*, dz. cyt., s. 64.

**Przykład 617. Michał Bobrowski – *Edek, ty draniu!*  
Piosenka z repertuaru Sylwii Garbowicz  
w programie „40 Spotkanie z balladą. Paw story”,  
do muzyki Romana Opuszyńskiego (1995)**

Tak spragniona byłam wiedzy  
Studiowali już koledzy,  
A ja w nędzy.  
Bez pieniędzy  
Klepię biedę...  
Do romansów jam nie skora  
Lecz jak żyć mi bez sponsora?  
No i wtedy  
W moje życie  
Wkroczył Edek...

Wyrzekł tylko cztery słowa:  
„Ja cię będę sponsorował”  
i na tapczan  
rzucił śmiało  
moje ciało.  
Wszystko wtedy dałam z siebie,  
A on poczuł się jak w niebie  
I wychodząc  
też zostawił  
mi niemało.

I odtąd do mnie przychodził już stale,  
I sponsorował mnie dosyć wytrwale,  
I mówił: „kochać  
Cię będę  
Po grób!  
A potem ślub  
A potem ślub”.

Choć wyjeżdżał – zawsze wracał.  
„Tu mnie” mówił „czeka praca”.  
Chciał być blisko,  
Dawał wszystko,



A miał dużo...

Więc myślałam sobie serio:

„Przy nim zrobię magisterium”.

Aż tu nagle Spada na mnie

Taki cios!

Edek –

Pamiętasz co się działo latem?

Edek –

Wspominam na Mazurach chatę...

Edek –

A dziś rzuciłeś mnie jak szmatę...

Edek –

Ty draniu!<sup>773</sup>

**Przykład 618. Krzysztof Daukszewicz – *Między Wortujem a Przyszłozbożem. Pamiętnik popaprańca. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z maja 1986 roku (1995)***

Nowy Sącz

Profesorzy szkoły w nowosądeckim, tak napisali w tekstach o używaniu prezerwatyw: „Gumkę zakładamy na czubek żołędzia”.

Podobno dęby wyraziły zdziwienie<sup>774</sup>.

**Przykład 619. Krzysztof Daukszewicz – *Między Wortujem a Przyszłozbożem. Pamiętnik popaprańca. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z maja 1986 roku (9.05.1995)***

Otrzymałem dzisiaj – przez tajnego kuriera z Mazur – kopię pisma z 9 maja 1986 dotyczącego ingerencji cenzury w życie kulturalne Wyższej Szkoły Oficerskiej Milicji Obywatelskiej w Szczytnie. Dokument ów, ze względu na żartobliwą treść, cytuję w całości.

---

<sup>773</sup> M. Bobrowski, *Edek, ty draniu!*, [w:] tegoż, *To my. Spotkanie z Balladą*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2002, s. 111–112.

<sup>774</sup> K. Daukszewicz, *Między Wortujem a Przyszłozbożem. Pamiętnik popaprańca*, Univ-Comp, Warszawa 1995, s. 21.

(odpis)

Olsztyn 1986-05-09

OKRĘGOWY URZĄD

KONTROLI PUBLIKACJI

I WIDOWISK W OLSZTYNIE

ul. Kościuszki 13 tel. 334-90

UOL-075 8 86

TOWARZYSZ

GENERAŁ STANISŁAW BICZYSKO

KOMENDANT WSO MSW SZCZYTNO

W związku z przedstawionym naszemu Urzędowi przez Sekcję Kulturalno-Oświatową Waszej Szkoły tekstem scenariusza Teatru Poezji „Etiuda” zatytułowanym „Dialog polski” pozwalamy sobie zainteresować Towarzysza Generała tym tekstem osobiście.

„Dialog polski” literacko jest swobodną kompilacją tekstów kilku autorów polskich (nie zawsze zgodną, jak się wydaje z wymową oryginałów), można ją określić jako wiwisekcję społeczno-narodową i historyczno-polityczną zastraszonego „polskiego piekła” bez nadziei i bez szans na lepsze, tak z przyczyn wewnętrznych, jak i zewnętrznych (społecznych – troska o swoje małe i większe interesy, historycznych – mity romantycznych zrywów, geograficznych – „Polska leży nad Wisłą”, politycznych – wszystkie miesiące „to dla Polaków niebezpieczna pora”).

Centralną postacią jest „X” (przez opis kostiumu kojarzący się z działaczem, partyzantem, biurokratą lub też pracownikiem SB), który temu polskiemu piekłu narzuca polonez zgody, a my „zasypujemy sobie oczy piaskiem”, żeby nie widzieć tego o czym wiemy: w końcu i „X” przyznaje bezcelowość wszelkiego działania „bo to wszystko musi zginąć”. Może tylko przyszłe pokolenia mają niłą szansę odróżnienia prawdy od fałszu i będą żyć „w jasności”.

Wymowa ideowa tekstu jest więc zdecydowanie negatywna, narusza dobro chronione w art. 2 Ustawy o kontroli publikacji i widowisk i w całości nie może uzyskać zgody na rozpowszechnianie.

Ponieważ opisana sprawa dotyczy Waszej Uczelni, Urząd nasz nie podejmuje oficjalnych czynności przewidzianych prawem.

Liczymy natomiast, iż interwencja Towarzysza Generała wykluczy w przyszłości równie nieprzemysłane, aczkolwiek bardzo ambitne działania.

W załączeniu przysyłamy tekst omawianego widowiska poetyckiego.

Pozostajemy z szacunkiem.

DYREKTOR

(podpis nieczytelny)

tow. płk Gołosz

Po co to jest potrzebne i komu?

Kto ma to u nas cenzurować?

A może trzeba z nimi zrobić to samo co z orkiestrą?

86.05.12 St. Biczysko (dopisek odręczny)

Mój Boże, co oni zrobili z tą orkiestrą? Czy jeszcze żyje? A może trafiłem na ślad zbrodni?!<sup>775</sup>

**Przykład 620. Krzysztof Daukszewicz – *Strajk pana profesora.*  
Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń  
z 1977 roku (1995)**

Nigdy w moim życiu nie doszedłem do tytułu magistra. Byłem dyrektorem, przewodniczącym, panem nauczycielem, pokerzystą – niestety, magistrem nigdy. Nawet przez jeden dzień. Nie udało się, choć na studiach – co prawda zaocznych – zapowiadałem się jako naukowiec nadzwyczaj interesująco. Średnia ocen powyżej czterech rokowała nadzieję, że w przyszłości mogę sięgnąć po najwyższe tytuły, z profesorem zwyczajnym włącznie. Albo nawet i nadzwyczajnym. Niestety, na mej – wydawałoby się – prostej drodze do kariery stanął wielce zasłużony pedagog, u którego musiałem zdać równie poważny egzamin z wiedzy wyjątkowo obszernej. PEDAGOGIKA OGÓLNA – to się chyba wtedy nazywało. Przedmiot w swojej pojemności taki, że klękajcie narody. Jakieś sześćdziesiąt ksiązek literatury obowiązkowej i z tysiąc pięćset uzupełniającej. I żeby było śmieszniej, większość zagadnień znałem – przez przypadek – na tyle, że mogłem iść zdawać z przeświadczeniem, że jestem niezłe przygotowany. A jeszcze trzeba dopowiedzieć, że pan profesor był człowiekiem starej daty, nadzwyczaj wymagającym i brak odpowiedzi na jedno z trzech pytań kończył się dwójką na cały indeks, i że kiedy wszedłem do gabinetu, w którym ów pan urzędował, był rok 1977, a ja czułem, że kończy się moja kariera belfra i być może zaczyna satyryka.

Wszedłem. Ukłoniłem się wyjątkowo nieśmiało, dla lepszego wrażenia. (W naszym towarzystwie nazywaliśmy tę postawę – skruszony zając). Pan profesor poprosił, żebym usiadł i zapytał, czy jestem przygotowany do egzaminu. Na co – zgodnie z nieprawdą – odpowiedziałem, że tak.

---

<sup>775</sup> Tamże, s. 10–12.

– Proszę wyciągnąć dowolny zestaw pytań. Trzy minuty do namysłu i słuchamy.

Dwa były bardzo specjalistyczne, dotyczyły czegoś tam z wychowania, więc odpowiedziałem w miarę zadowolająco. Natomiast trzecie było tak wstrząsające, że zapamiętam je do końca życia i mogę cytować bez końca: OMÓW SYSTEM OŚWIATOWY W BUŁGARII.

– Słucham – przerwał minutę ciszy profesor. – Jakie ma pan trzecie pytanie?

– „Omów system oświatowy w Bułgarii”.

– No więc słucham?

– Panie profesorze – wyrzeszałem z siebie całą odwagę – jeżeli kiedykolwiek w życiu będzie mi do czegoś potrzebny system oświatowy w Bułgarii, to pojadę tam i osobiście się dowiem.

Teraz z tamtej strony biurka zapadła długa i przejmująca cisza.

– Poproszę indeks – usłyszałem po jakimś bliżej nieokreślonym czasie.

Podąłem będąc trupio błąd.

– Proszę pana, ma pan u mnie trzy. Jest to pierwsza postawiona przeze mnie ocena dostateczna, nie za wiedzę, a za bezczelność. Ale mam do pana pytanie na zakończenie spotkania: – Czy pan chce na stałe związać się z socjalistyczną pedagogiką?

– A co pan profesor by poradził?

– Poszukać lepszego zajęcia.

W następnym semestrze nie przystąpiłem już do egzaminów. Ruszyłem w stronę Warszawy smakować w chlebie artysty.

I właśnie kilka dni temu pomyślałem, że gdyby nie ten mądry człowiek, byłbym teraz być może habilitowanym mężczyzną, który za trzy miliony złotych miesięcznie chce nauczyć młodzież, jak ma żyć. I być może nie mając pod ręką żadnego przekonywującego argumentu, szykowałbym się w pojedynkę do strajku<sup>776</sup>.

### **Przykład 621. Waldemar Łysiak – *Do przyjaciół mądrali* czyli *ostatnie tango w Siedemnastce (1995?)***

Budo, katorgo moja! Ty jesteś jak zdrowie!

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto stracił zdrowie w tobie...

Dziś mówię: żegnaj! tej szkolnej chorobie,

Której na imię lekcje, gorączki klasówek,

<sup>776</sup> Tenże, *Strajk pana profesora*, [w:] tegoż, *Między Worłujem a Przyszłozbożem. Pamiętnik...*, dz. cyt., s. 125–127.

Bełkoty odpowiedzi, ściągawek fortele,  
Uwagi, stopnie, tarcze i nauczyciele  
Pedagogicznym ciałem zwani...

Lecz jeśli oni ciałem,  
To my winniśmy być uznani duszą szkoły!  
Wszyscy, co grzali ławy, prymusy i matoly,  
Całe uczniowskie plemię.

Tutaj nadstawcie uszy:

**Łuczeń jezd chlubom łuczelni**, a nie profesory,  
Bo cóż warte ciało bez duszy?  
Bez belfra uczeń wyżyje, lecz belfry bez uczniów  
Są jak klucznik bez kluczy – stado głodnych trutniów,  
Co żeby się wykarmić krwią biednego żaka,  
Musi go mieć. Jak nie ma – jak go do szkoły nie przynęci,  
To nie ma szkoły, nie pomogą wszyscy święci.  
Bez ucznia dydaktyka zamarłaby w bezruchu.  
A jednak się kręci!

Kręci się, bo raczymy przychodzić do budy,  
Znosić wszystkie katusze, nie zważać na trudy,  
Dzień w dzień tą samą drogą, przeklinając w duchu.  
Po co? Przecież nie po świadectwo, tego nam nie trzeba,  
Lecz żeby dać zarobić na kieliszek chleba  
Profesorskiemu ciału, które się starało  
Wbić nam do tępych główin swoją mądrość całą.

Profesorowie kochani! Gdyście już wysłuchali  
Tej ody do Was – „Do Przyjaciół Mądrali”,  
Nie miejcie nam za złe, że się Wam dostało.  
Cierp ciało boś chciało!

Będziemy Was wspominać z prawdziwą wdzięcznością,  
I ciebie, Siedemnastko, choć byłaś twardą koniecznością,  
Lecz w naszym życiu pierwszą, a szkoła pierwsza  
Jest jak pierwsza miłość, najgłębsza, najszczęsza  
I najmocniej w pamięci człowieka zapada.

Żegna cię, stara budo, ósmaków gromada,  
 Kłaniając ci się nisko i z serca dziękując!  
 Pełń swoją piękną służbę po najdalsze czasy!  
 W imieniu wszystkich kolegów  
 – Szatan z ósmej klasy<sup>777</sup>.

### **Przykład 622. Krzysztof Daukszewicz – 1 wrzesień (1996)**

Dzieci poszły do szkoły. To bardzo dobrze. Nareszcie rodzice będą mieli wytchnienie. A poza tym nauczą się czegoś pożytecznego. Dowiedzą, jak się żyło w starożytnym Egipcie i Rzymie i jak się żyje we współczesnej Szwecji i Rumunii. Gdzie leży Polska i jaki jest najwyższy szczyt w Tatrach. Do tego dojdzie znajomość dwóch języków obcych, tabliczka mnożenia, dzielenie ułamków oraz błędy ortograficzne i stylistyczne. Poezja Młodej Polski, „Odprawa Posłów Greckich” i czy Roman Bratny miał wpływ na literaturę powojenną.

Mnie dojdą rozmowy przez telefon z moimi synami, jakie często odbywam, dzwoniąc gdzieś ze świata i próbując się czegoś o ich postępach w nauce oraz zachowaniu na lekcjach dowiedzieć, przekrzykując telewizor odkręcony na full: – Cześć, mówi tata.

- Słyszę, cześć!
- Co słyszać?
- Telewizor.
- A jak tam w domu?
- Wszyscy żyją.
- A mama?
- Też.
- A jak poszło w szkole?
- Świetnie.
- A przyniósłeś jakiś stopień?
- Przecież mówię, że poszło świetnie.
- A co teraz robisz?
- Gdybym nie rozmawiał przez telefon, to bym robił coś mądrzejszego.

\* \* \*

I skoro jesteśmy przy maślach, zobaczymy, czego się dzieci nauczą z ich pierwszych czytanek.

„Dawno, dawno temu – zaczęła opowiadać – kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie, była, jak wiesz, wojna. Warszawę zajęli Niemcy. Byli oni bardzo źli dla

<sup>777</sup> W. Łysiak, *Do przyjaciół mądrali czyli ostatnie tango w Siedemnastce*, [w:] tegoż, *Na łamach 3 oraz wywiad-rzeka*, Wydawnictwo PLJ, Warszawa 1995, s. 296–298.

nas, Polaków. Wtedy Warszawiacy powiedzieli sobie, że tak dłużej być nie może i postanowili wypędzić Niemców siłą”.

„Krajobraz z uśmiechem” kl. II

\* \* \*

„Bawiłyśmy się w szczęśliwą rodzinę [...], kiedy do pokoju wszedł Grzesiek i zaczął grzebać w biurku.

- Dziadziusiu – pisnęła Zosia – czego szukasz?
- Swoich zębów – odpowiedział grubym głosem Grzesiek.
- A po co?
- Ażeby was zjeść!
- Ale ja jestem niesmaczna!
- To od razu widać – zażartował Grzesiek, a Zośka się obraziła”.

Ten sam „Krajobraz...”

Ale dziewczynki nie tylko się obrażają.

„Komunijne dziewczynki

słodkie jak cherubiny,

bo nie chcą sobie uszargać

sukienek komunijnych.

Nie kłóć się,

nie wyzywają,

nie lecą dziką zgrają,

nawet nie tłuką się z chłopakami,

bo się nie daj Boże,

coś podrze,

popłami.

Bo się rozkręcą loki,

bo się wianuszek przesunie.

Poczekajcie chłopaki!

Niech no tylko przyjmujemy komunię!!

„Krajobraz z uśmiechem” kl. II

A co na to chłopcy?

„Idą hufce i hordy od rana,

idą piesze i konne brygady

wszystkie karne i równe jak ściana

wśród dzisiejszej radosnej parady.

Idą starsi i młodzież i dzieci,

gra muzyka wśród tłumów powodzi.

Hymn dziękczynny do niebios gdzieś leci,  
smutną Polskę Bóg szczerze nagroził”.

„Podajmy sobie ręce” kl. III

No i w ten oto sposób wróciliśmy do naszego ukochanego kraju<sup>778</sup>.

### **Przykład 623. Krzysztof Daukszewicz – *Filozofia i logika* (1996)**

Najgorzej jest wtedy, gdy dziecko zostaje w domu z powodu choroby i w tym samym czasie zepsuje się magnetowid i komputer. Jest wtedy rozdrażnione, złe, okrutne, ogląda w telewizji nie to, co trzeba, i czepia się dorosłych. Taki właśnie przypadek miałem ostatnio w domu.

Czytałem właśnie dzieła wybrane wybitnych filozofów, żeby w razie jakiegoś spotkania móc porozmawiać z intelektualistami o sprawach egzystencjalnych, a syn pod wpływem gorączki oglądał wiadomości i programy publicystyczne.

– Tato! – przerwał akurat w momencie, kiedy już miałem dowiedzieć się, co to jest autorytet moralny. – Tato! Do ciebie mówię!

– Słucham cię, synku.

– Oglądałem przed chwilą audycję publicystyczną, z której wynika, że mamy bardzo dużą rezerwę dolarową.

– To dobrze – i wbiłem się znowu w książkę.

– To bardzo źle, tato.

– Jak to źle? Mieć dużo pieniędzy to jest nawet bardzo dobrze. Chyba że człowiek jest wybitnym filozofem, wtedy żyje z własnej wiedzy.

– Mylisz się, tato, właśnie pan z ministerstwa finansów opowiadał, że mamy stanowczo za dużo dolarów i to przeszkadza rozwojowi naszej gospodarki.

– Nadmiar pieniądza?! Synku, z tego, co pamiętam, to do tej pory przeszkadzał nam ich brak.

– Za dużo obecnie mamy dolarów.

– To niech je ten pan z ministerstwa wymieni w kantorze na złotówki.

– Nie może.

– To niech za te pieniądze wybuduje fabryki dla bezrobotnych i oczyszczalnie ścieków. Widziałem nie tak dawno w górach kolorową rzekę. Raz jest czerwona, a innym razem żółta, w zależności od tego, co farbują w zakładzie. Daliby na ekologię i od tej pory byłaby tylko niebieska.

– Nie mogą tak zrobić.

– Dlaczego?

<sup>778</sup> K. Daukszewicz, *1 wrzesień*, [w:] tegoż, *Między Wortujęm a Przyszłościem. Magister Prezydent*, Univ-Comp, Warszawa 1996, s. 167–169.



– Bo wtedy nie będziemy mieli rezerw, bez których, jak się okazuje, żyć też się nie da. Tato! Ja chcę, żebyś mi logicznie wytłumaczył, dlaczego jest niedobrze, jak się ma za dużo pieniędzy.

– Jakich pieniędzy? – zacząłem strugać wariata.

– Przecież mówiłem, że dolarów.

– To co innego, synku. Ja zapomniałem, o jakie pieniądze chodzi. To rzeczywiście fatalnie mieć dolary. Szczególnie gdy się ma ich milion albo dwa. I kiedy, dajmy na to, jest reżim, który preferuje ruble.

– My posiadamy cztery miliardy.

– O, to jeszcze gorzej, to straszne, mój synku. Cztery miliardy to wyjątkowo okropna rzecz.

– Dlaczego, tatusiu?!

– Bo ciężko to sobie wyobrazić.

– Ministrowi też?

– Oczywiście! Ministrowi jeszcze bardziej.

– Ale dlaczego?

– Synku, to jest straszna odpowiedzialność! Ogromna! I być może chce się ich nawet pozbyć, żeby mu inni nie ukradli na nieudaną komputeryzację ministerstwa.

– Ale przecież w Ameryce im kto ma więcej dolarów, tym bardziej się z tego cieszy. To dlaczego u nas im więcej, tym większa tragedia?

– Bo oni w tej Ameryce wmówili sobie, że dolary nie są walutą obcą.

– Co czytasz? – usłyszałem w odpowiedzi.

– Dzieła filozoficzne najwybitniejszych filozofów.

– A nie mógłbyś przeczytać czegoś z logiki? Wtedy bym więcej rozumiał.

Przeczytałem jeszcze tego samego wieczora. Następnie wyłączyłem telewizor i zaniósłem magnetowid z komputerem do punktu napraw. Za dwa dni syn przestanie pytać<sup>779</sup>.

### **Przykład 623a. Marek Jarosiński – *Jak oszukiwać nauczycieli*. Fragment o egzaminie wstępnym na wyższą uczelnię (1996)**

Kłapa. Niewiele da się tutaj wykołować. Trzeba się nauczyć całego wymaganego materiału. Komisja egzaminacyjna was nie zna, więc żadne względy pozamerytoryczne nie odgrywają roli. Komisji nie robi różnicy, kto zostanie przyjęty. Stanowicie dla niej anonimową masę kandydatów, z której musi ona wyłuskać najlepszych. Trzeba być po prostu dobrym. Aha, ważna wskazówka. Komisja

<sup>779</sup> Tenże, *Filozofia i logika*, [w:] tegoż, *Prawdziwki i zmyślaki*, Wydawnictwo Orgelbrandów, Polskie Radio Program III, Warszawa 1996, s. 127–129.

egzaminacyjna, która przeprowadza egzamin ustny, doceni pewność siebie (ale tylko taką, która ma pokrycie w nabytej wiedzy), wygadanie i ogólną orientację.

Dobrze jest „sypnąć” kilkoma naukowymi terminami w rodzaju: prakseologia, semantyka, werbalizm, predestynacja, racjonalizm, konwersacja, konstatacja, ignorancja, struktura, partycypacja, predylekcja, utylitaryzm i tym podobnymi mędrkowskimi słówkami pod warunkiem, że dokładnie zna się ich treść.

Warto też w wypowiedź pisemną lub ustną wpleść wiedzę wykraczającą poza podręczniki, np. „czytałem, że...”, „autor taki a taki pisał, że...”, „nie do końca zgadzam się z myślą, tezą, według której...”.

Nauczyciele humaniści uwielbiają sformułowania: „odnoszę wrażenie, że...”, „nie od rzeczy byłoby tu zauważyć, że...”, „na tej podstawie można sformułować wniosek, że...”, „miarą szczególnego znaczenia tego wydarzenia jest fakt...”, „w twórczości tego autora ogniskują się główne problemy epoki”, a już najbardziej lubią (przede wszystkim filozofowie) „ogład rzeczywistości”.

Przyrodoznawców zachwyca „ekologia” i „monitoring”, ekonomistów „tezauryzacja”, „aprecjacja”, „deprecjacja”, „dewaluacja”, „koszyk walutowy”, „stopa redyskontowa”, „parametry opisujące to czy tamto” i wszystko, co dotyczy papierów wartościowych, to teraz w modzie.

Socjologów cieszą „procesy społeczne”, „przeobrażenia świadomości społecznej”, „białe i niebieskie kołnierzyki”, „dezintegracja społeczna”, „anomia”, „cybernetyka społeczna”, „atomizacja życia społecznego”.

Historyków zabawią zręcznie wplecione w wypowiedź anegdoty dotyczące wielkich postaci historii.

Pisemna odpowiedź na pytanie egzaminacyjne powinna być przejrzysta, zręcznie zbudowana. Należy wystrzegać się zbyt długich zdań, w których łatwo zagubić nie tylko sens przekazu, ale nawet podstawowe elementy zdania – podmiot i orzeczenie. Logiczne, składne przedstawienie tematu wywoła na oceniającym najbardziej pożądaną wrażenie. O ortografii i estetycznym charakterze pisma nie wspominamy, to sprawy oczywiste.

A teraz uwaga! Będzie podany niezawodny sposób na omotanie egzaminatorów – pracowników dydaktycznych jakiegokolwiek uczelni. Otóż przed egzaminem trzeba dotrzeć do nazwisk członków komisji, a następnie po prostu udać się do biblioteki tejże uczelni i poprosić o wydobycie z zapomnianych, zakurzonych półek bibliotecznych dzieł zebranych waszych egzaminatorów, albo jeśli oni sami nie dochrapali się publikacji naukowych, to chociażby ich mistrzów w danej dziedzinie.

O pomoc w tej sprawie możecie zwrócić się do studentów waszej przyszłej uczelni, którzy doskonale orientują się w dorobku naukowym poszczególnych

egzaminatorów. Studenci, wasi starsi koledzy z pewnością pomogą także zorientować się w katalogu zbiorów i posłużą własną legitymacją studencką, na ogół wymaganą przy wypożyczaniu zasobów biblioteki.

Pamiętajcie! Każdy nauczyciel akademicki ma nieprawdopodobnego hopla z przerzutką na punkcie swoich prac ogłoszonych drukiem. Nieważne, że nikt normalny nigdy by ich nie przeczytał, że zawarte są one w najbardziej dziwacznych i nawet dla was, gorliwych adeptów pracy naukowej, całkiem egzotycznych czasopismach wydrukowanych w mikroskopijnym nakładzie. To nieważne. Dla ich autorów są one ukochanym tematem rozważań i dlatego jeśli kandydat, którego obowiązuje poziom szkoły średniej, nagle „zastrzeli” autora znajomością, chociaż o tyle, o ile zna jego prace, może liczyć na wiele<sup>780</sup>.

### **Przykład 624. Kabaret „Potem” – *Romeo i Julia i Prelegent.* Fragment programu „Serca jak motyle” (1996)**

Osoby: Prelegent – dużo wiedzący o sztuce i życiu; Julia – dziewczyna Romea, córka starego Kapuleta; Romeo – romantycznie zakochany; Magister – ogólnie przybłąda

Prelegent: Kiedy mówimy o miłości, musimy sobie zdać sprawę, czym dla miłości było „Romeo i Julia”. To był symbol zwycięstwa miłości nad nienawiścią. Nad nacjonalizmem rodziców. Przypomnijmy sobie obszerne fragmenty tego dramatu.

Julia (*do siebie*): Romeo... Jakież to piękne imię! Już to, że się zaczyna na „eR” doprowadza mnie do drżenia. A dalej?! O eM E O!... Boże!!!

Romeo (*wbiega natychmiast*): Julio!!!

Julia: Rrr... (*dreszcz!*) Romeo!

Romeo: Jakże cię kocham romantycznie! Powiedz słowo, a wyrzeknę się całego świata dla twego jednego spojrzenia.

Julia: Nie Romeo, popatrzę na ciebie za darmo! (*Spogląda jak powiedziała: za darmo*).

Romeo: Nic już więcej nie chcę!

Julia: A pocałować?

Romeo: Chciałbym... (*zakłopotany*). Tylko nie pomyśl sobie, że mi zależy...

Julia: Całuj, Rromeo, całuj!!! („ł” wymawiane aktorsko, bo przecież aktorka).

Romeo (*wzbiera do pocałunku*).

<sup>780</sup> M. Jarosiński, *Jak oszukiwać nauczycieli*, Wydawnictwo Pomocy Szkolnych Verbum, Warszawa 1996, s. 30–33.

Coś (*zza kulis*): Hm! Hm!

Julia: Ojciec! Boże, ojciec. Schowaj się!

Romeo (*chowa się*).

Prelegent (*pojawia się zamiast ojca*): Popatrzcie państwo, jak to jest dobrze napisany dramat. Można powiedzieć, że jest to dramat kultowy. Miłość przedstawiona tak prosto, uwikłana jednak w skomplikowane stosunki społeczne. (*Odchodzi*).

Romeo (*wychodzi z ukrycia*): Kto to był?

Julia: To nie ojciec... z rodziny też nikt. Może Monteki?

Romeo: Nie. Też go nie znam.

Julia: Udawajmy, że go nie było.

Romeo: Właśnie. Obiecałaś mi swoje usta!

Julia (*niebawale hojna*): Cóż usta?!... Wszystko dam! Chcesz wszystko?

Romeo (*skwapliwie*): Chcę! (*lecz trochę zakłopotany*) Tylko nie pomyśl, że mi zależy...

Julia: Nie pomyślę. Bierz!!!

Coś (*zza kulis*): Hm! Hm!

Julia: Znowu ktoś!

Romeo (*chowa się*).

Prelegent (*wchodząc, patrzy dziwnie na Julię*): Widzicie, rysunek psychologiczny kochanków poprzez swoją prostotę nadaje dramatowi wymiar uniwersalny. Bardzo dobrze napisany. (*Schodzi*).

Romeo (*wychodzi z ukrycia*): Coś za bardzo się tu kręci... Jak tu jeszcze raz wejdzie, to go zabiję...

Julia: Zabij!

Romeo: Tylko sobie nie pomyśl, że mi zależy.

Julia: Pomyślę sobie: ot, wypadek!

Romeo: Julio! Nasza jest noc!

Julia: Obejmij mnie!

Romeo (*obejmuje*).

Prelegent (*zza kulis*): Hm! Hm! (*odskakują od siebie, ale Romeo się nie chowa, on sięga po broń*).

Prelegent (*staje daleko od Romea i woła w kierunku, gdzie ma przygotowanego pana magistrza*): Panie magistrze, proszę!

Romeo (*jednak się chowa*).

Magister (*wchodzi*).

Prelegent: Zaprosiłem do dyskusji magistrza socjologii, aby omówił tło społeczne sztuki.

Magister: Waśnie rodzinne, to ma moc! Przyczyny już zapomniane, ale nienawiść żywi się sama sobą. Nienawiść karmi nienawiść.

Prelegent: Dobrze opisane tło...?

Magister: Socjologia, to ma moc! (*Obaj idą*).

Romeo (*wychodzi z ukrycia*): KTO TO YEEEST?

Julia: Obcy!... Z Atlantydy!...

Romeo: Julio, pójdę już.

Julia: Zostań, jeszcze ranek nie tak blisko.

Romeo: Pójdę!

Julia: Zostań! Słowik to, nie skowronek...

Romeo: Pójdę!

Julia (*rezygnuje*): Jak chcesz...

Romeo: To zostanę. Tylko nie pomyśl sobie...

Julia: Zamknij się!!! (*Zaciąga Romea w spokojniejsze miejsce*).

Prelegent (*wchodzi niepewnie, chrząkając*): To tragiczna historia. I smutna... i dobrze napisana... gdzie oni są? Gdzie oni są?... No, nie spodziewałem się... Niby klasyka, niby Werona, a tu tak, jak u nas w Kokorzynie<sup>781</sup>.

### **Przykład 625. Jacek Prześluga – *Ęcyklopedia szalonego małolata*. Tom 2. Fragmenty (1996)**

Kartkówa. Praprzyczyną stresów i komplikacji życiowych (patrz HISTERIA). Może być w postaci zapowiedzianej – i wtedy nazywa się to: *klasówka*, może być w postaci zaskoczenia – i wtedy mówi się o *świstówce*, może być robiona na gębę – i wówczas używa się określenia *dyktando*, wreszcie może być pod postacią sprawdzianu – i wtedy mówi się: *szlag by to trafił!* Pisanie każdej z tych wersji przypomina drogę przez mękę, aczkolwiek ma swoje naukowe uzasadnienie. W każdej bowiem szkole trzeba co pewien czas skontrolować pracę nauczycieli. Cóż wart byłby nauczyciel, gdyby kształcił wyłącznie ludzi mądrych inaczej (patrz BARAN)? Ano. niewiele. Też byłby mądry inaczej.

Wymyślono więc *kartkowę*, by nauczyciel (w skrócie: *n-l*, nie mylić ze skrótem *n-l*, który oznacza nieprzyjaciela, co czasem na jedno wychodzi), więc – Jezu, ale nam długa dygresja wyszła! – więc: wymyślono, żeby *n-l* przejrzał się we własnym lustrze i mógł powiedzieć o sobie: – *Mądre te moje głąby, mądre, aż miło!* Wtedy on, *n-l*, czuje się najlepiej i ma *satysfikcję* z dobrze wykonanego, rzetelnie sprawdzonego dzieła.

<sup>781</sup> Kabaret „Potem”, *Romeo i Julia i Prelegent*, [w:] W. Sikora, *Nie tylko... kabaret Potem*, Croma, Wrocław 1998, s. 140-141.

Nie jest jednak wykluczone, że gdyby np. nauczycielce języka polskiego zrobić *świstówkę* z fizyki, jej ocena byłaby mniej więcej porównywalna z ocenami najgłupszych w szkole uczniów. Podobnie – gdyby zrobić fizykowi *dyktando* z rodzimej ortografii...

Jeśli nie praktykuje się takich rozwiązań, to tylko z tej przyczyny, że wyniki sprawdzianu wśród nauczycieli mogłyby podważyć sens nauki w ogóle. A to już pachniałoby skandalem<sup>782</sup>.

Magister. Potwierdzający wyższe wykształcenie tytuł, który może zdobyć każdy z wyjątkiem prezydenta (patrz: ALEKSANDER MAGISTER KWAŚNIEWSKI) Zdobycie tytułu *magistra* okupione jest licznymi wyrzeczeniami (patrz WÓDKA oraz BIBKA). może jednak stanowić ochronę przed jajkami (nie patrz JAJKA, ponieważ takiego hasła nie ma) rzucanymi przez Ligę Republikańską. Wśród nowoświeconych w dobrym tonie jest więc przedstawiać się: – *Magister jestem*; człowiek przedstawiający się w ten sposób nie zasługuje na obrzucenie jajkami – w przeciwieństwie do prezydenta – i jednocześnie zasługuje na zaszczytne miano opozycji.

Słowo *magister* niekoniecznie musi oznacza ścisły związek z mądrością (patrz: ROZUM), choć może. O człowieku, który niekoniecznie ma ścisły związek z rozumem, mówi się, że *stał obok magistra*. O człowieku, który chwali się, że ma tytuł, a nie ma, mówi się *kłamagister*<sup>783</sup>.

Matóra. Papier na całe życie zdobyty w wielkim trudzie po licznych wyrzeczeniach (patrz: LB) i w pocie czoła występującym podczas używania ściągawek. Sama *matóra* nie świadczy o niczym, choć świadczy dobrze; może więc dobrze świadczyć o niczym. Ważniejszy od niej jest *wiek matóralny*, czyli najlepszy okres (nie patrz: CIOTKA) do dojrzewania, rozkwitania i pączkowania, przy czym pączkowanie uważamy za najciekawsze.

Nie *matóra* lecz chęć szczerą robi z Ciebie bohatera, oficera, konesera, gondoliera, lesera, rapera, wołyżera, maklera, sutenera, bukmachera, brygadiera, dromadera... cholera... dromadera się nie da<sup>784</sup>.

Skulofobia. Pochodzenie tego słowa mocno jest skomplikowane, ale co to dla nas. Więc: *skulofobia*, od angielskiego *skul*, czyli szkoły, oznacza lęk przed szkołą (patrz również: NERWY). Choroba jest dziedziczna, przekazywana z pokolenia na pokolenie, nieuleczalna, zaraźliwa i obrzydliwa. Objawy: ogólne znużenie, niechęć do życia (nie mylić z *chęcią do współżycia*), książkowstręt,

<sup>782</sup> J. Prześluga (red.), *Ęcyklopedia Szalonego Małolata od a do... końca... Tom drugi*, Wydawnictwo Ekolog, Piła 1996, s. 84–85.

<sup>783</sup> Tamże, s. 100–101.

<sup>784</sup> Tamże, s. 102–103.

antynauczytelizm, senność, skleroza przedklasówkowa, brak reakcji na bodźce pozytywne (*dostaniesz stówę, jak zdasz na piątkę*) oraz słaba odporność na bodźce negatywne (*wagaryzm*).

*Skulofobia* jest zjawiskiem powszechnym, choć mało spenetrowanym przez naukowców. W ostatnich latach lęk przed szkołą coraz częściej dokucza n-lom. Niestety, nie mają oni skłonności do *wagaryzmu*, przez to choroba, na którą narzekają, nie ma w pełni rozwiniętego charakteru<sup>785</sup>.

Ściąga. Kawalek papieru, który ratuje życie. Zawiera skondensowaną wiedzę z określonego na wstępie *ściągi* przedmiotu i może służyć jako podpórka w ważnych czynnościach (patrz: KARTKÓWA). Używana zwykle przez odpornych na wiedzę i nawykłych do spędzania czasu wolnego w sposób inny niż nakazuje szkolny regulamin (patrz: LB)<sup>786</sup>.

### **Przykład 626. Maciej Zembaty – *Makabreska i współczucie*. Fragmenty (1996)**

Pierwszą piosenkę napisałem w roku 1957. Miałem więc, co łatwo obliczyć, o ile umiemy liczyć albo posiadamy kalkulator (a ja nie posiadam), około 13 lat i właśnie kończyłem Szkołę Podstawową. Pani P., a właściwie Towarzyszka P., która uczyła mnie polskiego, a poza tym działała na szkolnym froncie ideologicznym, będąc jednocześnie Sekretarzem P.O.P.<sup>787</sup>, poleciła mi napisać Szopkę Noworoczną, a także ją wyreżyserować. Nie mogłem nie przyjąć tego wyzwania, gdyż, tak jak wielu moich kolegów, podkochiwałem się skrycie w Towarzyszce. Do dzisiaj zresztą pamiętam jej krępą sylwetkę, czarne, kręcone włosy, również na nogach, a także inne szczegóły. Oczywiście Towarzyszka P. doskonale zdawała sobie sprawę z moich uczuć, których nie ośmieliłem się aż do dzisiaj wyartykułować, i dobrze wiedziała, że jej nie odmówię. Nie wiedziała jednak, co napiszę. Nie wiedziała, że premiera Szopki, zaplanowana jako punkt kulminacyjny szkolnej zabawy tanecznej, oznaczać będzie koniec jej tak pięknie rozwijającej się kariery politycznej. Ja też wtedy tego nie wiedziałem. Gdybym wiedział, prędeż rękę dałbym sobie uciąć, niż wyrządzić taką krzywdę mojej Ukochanej.

Moja bardzo wielka wina polegała na uczynieniu bohaterami kilkunastu piosenek Szopki nie moich kolegów, ale Nauczycieli. Wszystkie teksty zostały natychmiast po premierze skonfiskowane i dlatego nie mogę ich tu zacytować, lecz, o ile pamiętam, były istotnie dość złośliwe.

---

<sup>785</sup> Tamże, s. 131–132.

<sup>786</sup> Tamże, s. 136.

<sup>787</sup> Podstawowej Organizacji Partyjnej w Szkole też Podstawowej.

Czy 13-letni chłopak potrafi być złośliwy? Zdecydowanie tak. Często bywa nawet sadystą, nadmucha żaby przez słomkę, oblewa koty benzyną i podpala, tak więc robi takie rzeczy, o których pewna część dorosłych bałaby się nawet pomyśleć. W moim przypadku cała, właściwa dzieciom, złośliwość uległa jednak sublimacji. Zamiast męczyć zwierzęta, które uwielbiam, wolałem pisać pamflety i rysować karykatury, gdyż ludzi (oczywiście nie wszystkich) nie lubię i nigdy nie lubiłem, między innymi dlatego, że męczą zwierzęta.

Po premierze nie wyleciałem ze Szkoły tylko dlatego, że wzięła mnie w obronę Pani Dyrektor Liberowa, mama Antka Libery (tego od Samuela Becketta). Zrażony na pewien czas do literatury postanowiłem poświęcić się malarstwu i dlatego zdałem egzamin do warszawskiego Liceum Sztuk Plastycznych. Tam jednak zetknąłem się z Jackiem Kuroniem, który przez pewien czas uczył mnie historii.

Jacek był nauczycielem niezwykłym i mówiąc szczerze, uważam, że powinien nadal się tym zajmować, a nie polityką, dziedziną zawsze podejrzaną i ohydną, choć, niestety, fascynującą. W pierwszej licealnej obowiązywał w tamtych latach podręcznik Historii Starożytnej pióra trzech radzieckich akademików – opasła, nudna księga pełna dat i marksistowskiej interpretacji takich zdarzeń jak Wojna Trojańska czy Założenie Rzymu (753 p.n.e.).

Jacek poprosił nas o pozbycie się tego podręcznika w dowolny sposób i zastąpienie go Iliadą Homera w przekładzie St. Młeczki. Następnie każdy z 20 uczniów (w Liceum Sztuk Plastycznych były bardzo małe klasy) wybrał sobie jeden z zaproponowanych przez J.K. tematów, dotyczących szeroko rozumianej kultury. Ja zdecydowałem się na dom grecki. Na podstawie uważnej lektury Iliady miałem samodzielnie stworzyć dokładny opis architektury takiego domu, jego funkcji, wyglądu i przeznaczenia. Jednym słowem, była to normalna praca naukowa, którą prowadziliśmy pod kierunkiem naszego Nauczyciela, przy użyciu różnych narzędzi metodologicznych, jakie umiejętnie i delikatnie nam podsuwał.

Rozpisuję się o tym tak obszernie, ponieważ podczas jednego zaledwie roku pracy pod okiem Jacka nauczyłem się więcej niż podczas późniejszych studiów uniwersyteckich!!!

Jestem (niekiedy) optymistą. Kto wie? Może ta książka wpadnie w ręce Tow. Min. Prof. Wiatra, który może ją nawet przeczyta... Towarzyszu Ministrze, reforma polskiego szkolnictwa jest do przeprowadzenia. Musi tylko Minister poprosić Jacka, żeby wytłumaczył Ministrowi, o co chodzi. Będzie to Ministra kosztowało butelkę armaniacu z funduszu dyspozycyjnego. Chyba warto spróbować...

Pod kierunkiem Jacka moja klasa zajmowała się nie tym, co trzeba przez pierwsze półrocze. Potem, kiedy już wszyscy ukończyliśmy Krótki Przyspieszony Kurs Metodologii Podań Historycznych – Prof. Kuroń zaproponował nam



Ćwiczenia z Dziennikarstwa Stosowanego, a więc utworzenie własnymi siłami trzech tytułów: gazetki o odchyleniu lewicowym (odpowiednik dzisiejszej „Wyborczej”), pisma szeroko pojętego środka („Rzeczypospolitej”) i wreszcie prawnicowego („Życia Warszawy”). Nie muszę Ci tłumaczyć, Czytelniku, że po moich niedawnych doświadczeniach z Szopką Noworoczną mianowałem sam siebie Redaktorem Naczelnym tytułu centrowego, uważając niesłusznie, że tak będzie najbezpieczniej. Już w pierwszym numerze na okładce znalazła się wyważona karykatura Dyrektora Liceum, która jednak pomimo to nie znalazła jego uznania. W drugim numerze zamieściłem więc jeszcze bardziej wyważoną karykaturę Profesorki od Matfizy składającej się naprawdę głównie z biustu o imponujących, jak na 65 lat, rozmiarach.

W kolejnych numerach redagowanej przeze mnie gazetki ukazywały się nie tylko portrety Nauczycieli, ale także i teksty, zaś na stronie ostatniej, zamiast działu sportowego<sup>788</sup>, znajdował się kącik poetycki, w którym zamieszczałem przeważnie własne utwory. Jeden z nich pamiętam do dzisiaj. Nazywał się Modlitwa. Oto jego końcowy fragment:

O Panie, spraw łaskawie  
Żeby na prof. od rzeźby  
Wyrosły szybko wierzby  
Magister fotografik  
Niech się powiesi w szafie  
Natomiast J. Kuronia  
Strzeż bacznie i ochraniaj...

Jacek wybaczył mi lapsus w ostatnim słowie – zresztą popełniłem go (lapsus) całkowicie świadomie, w imię lepszego rymu. Moja modlitwa zresztą się po latach spełniła, kiedy Jacek, będąc ministrem, otrzymał ochronę BOR-u. Co do innych próśb moich, Pan nie był, niestety, już tak łaskawy, a nawet spuścił na mnie Dłoń Swoją w postaci Wezwania do szkoły.

Moja biedna mama tak się zdenerwowała, że opuszczając gościnny gabinet Dyrektora, rozchorowała się na nienagannie wyfroterowaną posadzkę, gustomne sprzęty, białe ściany, a nawet częściowo na samego gospodarza tego wytwornego pomieszczenia.

Pomimo to pozostałem w Liceum aż do matury, którą zdałem, stając zarazem przed koniecznością wyboru dalszej drogi życiowej<sup>789</sup>.

<sup>788</sup> Od sportu całe życie trzymałem się jak najdalej, czemu zawdzięczam zachowaną do dzisiaj dobrą formę fizyczną.

<sup>789</sup> M. Zembaty, *Makabreska i współczucie*, [w:] tegoż, *Makabra i współczucie*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 14–17.

**Przykład 627. Krzysztof Daukszewicz – *Między Wortujem a Przyszłościem. Król Maniś Pierwszy.*  
Fragmety wspomnień dotyczące wydarzeń  
z marca 1997 roku (1997)**

Tak jak rozbawił mnie pan przewodniczący<sup>790</sup>, tak wzruszył niebywale list dziesięciu profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego do biskupa diecezji w Essen z prośbą, by nie przyznawać nagrody Władysławowi Bartoszewskiemu. Co prawda list został napisany dwa miesiące temu, ale sprawa ciągnie się do dzisiaj. Otóż panowie profesorowie napisali między innymi, że Bartoszewski „jest to człowiek, który może legitymować się co najwyżej maturą... i że jest nie znany bliżej jako katolik”. I jeszcze inne epitety, których nie ma potrzeby przytaczać. I mając w pamięci Wisławę Szymborską, po przyznaniu której Nobla paru krytyków i kolegów zdążyło już napisać, że laur bardziej należał się Herbertowi i Różewiczowi, podczas kiedy pani Wisława wypadła przy odbiorze nagrody tak, że Czesław Miłosz przy niej to był SZTYWNY PAL AZJI, mam jedną sugestię: żeby w konstytucji zamiast powiatów wpisać zdanie o naturalnej, obowiązkowej nienawiści do ziomków nagradzanych za granicą.

Proponowałbym zacząć od słów: „Ten cham bez polotu...” i proponowałbym nagradzać w zamian takich jak Andrzej Gołota, który sam o sobie powiedział, że jest głupi. I wtedy zaczniemy konstytucję od zdania: „MY, WIERZĄCY W PANA BOGA, A NIE WIERZĄCY W POLAKA...”, a skończymy okrzykiem: „Polska mistrzem Polski”<sup>791</sup>.

**Przykład 628. Krzysztof Daukszewicz – *Między Wortujem a Przyszłościem. Król Maniś Pierwszy.*  
Fragmety wspomnień dotyczące wydarzeń  
z kwietnia 1997 roku (1997)**

[...] skoro piszemy o naszej młodej, nie do końca opierzonej demokracji, to wyczytałem, że ma ona wkroczyć także i do naszych szkół. Uczniowie będą mogli wystawiać oceny swoim nauczycielom. Nauczyciel powiada na lekcji: – Kowalski, stawiam ci z geografii pałę!

A uczeń na to: – A ja ci drugą! I jak mi natychmiast nie postawisz tróji, to obaj oblejemy na świadectwie!

<sup>790</sup> Chodzi o Mariana Krzaklewskiego, przewodniczącego NSZZ Solidarność. Przyp. P.P.G.

<sup>791</sup> K. Daukszewicz, *Między Wortujem a Przyszłościem. Król Maniś pierwszy*, Wydawnictwo Tevere, Warszawa 1997, s. 53–54.

Ja mam dalekiego znajomego, którego syn, chodząc do szkoły średniej, niepublicznej, gra dodatkowo na giełdzie papierów wartościowych. I ma takie dochody, że gdybym ja miał podobne, to nie musiałbym już pisać książek. Ten małolat od dawna ma już swoje wyobrażenie na temat rzeczywistości i swoją demokrację. Otóż dyrektorze szkoły, która mu nawcisnęła, bo według niej dzień w szkole powinien zaczynać się od wpływu Józefa Piłsudskiego na Lecha Wałęsę, a nie od analizy wartości świadectw udziałowych, powiedział z dużą nonszalancją i swobodą: – Jak mi pani będzie tak bruździć jak dzisiaj, to się wkurzę, że kupię tę całą budę i zrobię z niej osiedlową dyskotekę.

– A co wtedy będzie ze szkołą? – zapytała dydaktycznie nauczycielka.

– Nic – odpowiedział – trzeba było się uczyć, jak była!

\* \* \*

I a propos „uczyć” – oto wyczytałem w dzisiejszej prasie:

„Lech Wałęsa, laureat pokojowej nagrody Nobla i były prezydent Polski, będzie wykładać na uniwersytecie w Seulu – twierdzą źródła koreańskie.

Wałęsa został mianowany honorowym profesorem na Uniwersytecie w Korei i dwa razy do roku na specjalnym studium pomagisterskim będzie wykładać zagadnienia dotyczące problemów stosunków pracy [?!?! – znaki zapytania od autora]. Na pierwsze wykłady były prezydent wyjedzie już w maju. Wtedy podpisze dwuletni kontrakt z uczelnią.

Nie wiadomo, ile zarobi na swoim naukowym kontrakcie”.

Pewnie w którymsz z najbliższych wywiadów usłyszymy: – Dlaczego pan kandydował na prezydenta?!

– Żeby zostać profesorem<sup>792</sup>.

**Przykład 629. Krzysztof Daukszewicz – *Między Worłujem a Przyszłościem. Król Maniś Pierwszy.*  
Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń  
z października 1997 roku (1997)**

Rozpoczął się nowy rok akademicki.

W „Życiu” Wołka czytam informację, której nawet po przepisaniu na potrafię zrozumieć do końca.

„Kupię martwą duszę. Dobrze zapłacę!! – tak brzmi jedno z wielu ogłoszeń w akademiku UW przy ulicy Kickiego.

Popyt na miejsca jest ogromny. Wygra ten, kto da więcej. Mechanizm jest prosty: składasz podanie i jeśli jesteś szczęśliwcem, którego dochód nie prze-

---

<sup>792</sup> Tamże, s. 65–66.

kracza dwustu pięćdziesięciu złotych na miesiąc, dostajesz przydział. Jeżeli nie stać cię na akademik, wywieszasz ogłoszenie o sprzedaży – tłumaczy studentka matematyki.

– Sprzedający dyktuje cenę. Rok temu żądano sześćset złotych, w tym roku chcą już tysiąc dwieście. Następnie co miesiąc staje w kolejce do dziekanatu, aby odebrać dofinansowanie. Do jego kieszeni trafia trzydzieści do siedemdziesięciu procent kosztów, które ponosi jego «lokator». Dodatkowe pieniądze, które zarobi, i te z refundacji, umożliwiają wynajęcie z kolegami jakiegoś tańszego lokum. Czysta paranoja”.

Dla studentki matematyki może to i prosty mechanizm, dla mnie to więcej niż paranoja.

\*\*\*

I skoro mamy inaugurację roku akademickiego, a za dwa tygodnie Dzień Nauczyciela, chciałbym przypomnieć w tym miejscu fakt sprzed roku. Otóż napisałem wówczas Balladę o wyskubanym orle. Inspiracją była wiadomość, że minister edukacji, pan Jerzy Wiatr, otrzymał najwyższe odznaczenie państwowe, które urzędnik będący na służbie czynnej może otrzymać tylko w czasie wojny za wybitne zasługi na polu walki. Z kim się naparzał pan minister poza jednym znanym przypadkiem – nie wiadomo. Ale dostał, to trudno, widocznie chciał. Nie to mnie zdenerwowało. Wkurzył mnie fakt, że jak zwykle w takich wstydliwych przypadkach, otrzymał owo wyróżnienie po cichu, pod kocem, za Pałacem Namiestnikowskim przy bladym świetle księżycy i dwóch latarek. Niestety tak się niefortunnie złożyło, że tego dnia w śmietniku obok nocowali nauczyciel i anestezjolog, i oni rozdmuchali ten fakt przed całym społeczeństwem. Jedni się natychmiast oburzyli, ja postanowiłem uhonorować pana ministra dodatkowo balladą.

#### Ballada o wyskubanym orle

A kiedy na wojenkę szedł  
oświaty bronić aż do krwi,  
to grały surmy partyjne  
i orzeł biały mu się śnił.

A cóż za dzielny wojak to?  
Już pewnie żeś człowieku zgadł.  
To najdzielniejszy w kraju mym  
minister Wiatr, minister Wiatr.

A kiedy w starym Krakowie  
studenckie hordy biły go,  
spod skorup godnie patrzył On  
i nie zalewał się żółcią.

A cóż za dzielny wojak to?  
Już pewnie żeś człowieku zgadł.  
To najdzielniejszy w kraju mym  
minister Wiatr, minister Wiatr.

A gdy do ręki dzielnej tak  
długopis i szabelkę brał,  
historię kraju zmieniał wnet  
tak łatwo, jak on tylko chciał.

A cóż za dzielny wojak to?  
Już pewnie żeś człowieku zgadł.  
To najdzielniejszy w kraju mym  
minister Wiatr, minister Wiatr.

Dlatego w Edukacji Dzień  
prezydent sam docenił Go  
i wręczył w najciemniejszą noc  
ten order Orła Białego.

A za co dostał order ten?  
Już pewnie żeś człowieku zgadł.  
Bo najdzielniejszy w kraju mym  
minister Wiatr, minister Wiatr.

Lecz orzeł, gdy zobaczył to,  
raptownie wzbił się wyżej chmur,  
ze wstydu wziął oskubał się  
i teraz order jest bez piór.

I też to nie zmieniło nic,  
już pewnie żeś człowieku zgadł.  
Bez piór jest także wyżej chmur  
minister Wiatr, minister Wiatr.

Zainteresowanych informuję, że jest i muzyka. A może by poszukać pana ministra wśród nut? Zajrzę pod pięciolinię.

Nie znalazłem<sup>793</sup>.

**Przykład 630. Stefan Friedmann – *Le'kcja francuskiego*.  
Fragmenty (1997?)**

Ludzie wszędzie są tacy sami. Ale od czasu do czasu różnią się. A to skórą, a to wzrostem, a to grubością, a to liczbą włosów, a to językiem. I tak: jeden ma język cienki i długi, drugi – szeroki, jak deska do prasowania.

W swych wędrówkach poznałem wiele języków. Od suahili do dżugaszwili.

Teraz kolej na Ciebie, łaskawy Czytelniku. Ponieważ nauka nie hańbi, a szlachectwo nie obliże – za chwilę poznasz tajniki francuskiego.

– Uszy umyte? Kajety wyjęte?

Zaczynamy!

LESSON PREMIERS Lekcja 1

*Aujourd'hui: La boucherie* (buszeri) – W mięsny.

Słowniczek pomocniczek:

kiszka – budę

kiszka dla stworzenia – psu na budę

nóżka wieprzowa – ę żigo dó budę

udziec barani – żigo do mutę

amator nóżek – żigo lak

– *Bonjour!* Czy mówi pan po polsku?

– Rozumiem cośkolwiek, jeśli nie mówi szybko.

– Poproszę plasterek szynki!

– Ranny?

– Jak najświeższy.

– Pytam czy pan ranny, bo chce plasterek. Skaleczony?

– Nie. Ja go położę na pajdzie bom głodny. O cholera, nie mogę odkleić tego plastra.

– Mamy również la kiszka!

– Z wodą?

– Nie z kaszaną.

– A czy posiada pan francuską wędlinę?

<sup>793</sup> Tamże, s. 134–137.

- Posiadam. A która to?
- Jakto, balerą. To najbardziej francuska wędlina.
- Czy jeszcze sobie coś życzy?
- Tak, proszę trochę od karku.
- Najuprzejmie.
- Ooo! To boli. Nie od tego karku ja sobie życzę. Od woła.
- No to chce czy odwoła? Może szpąder?
- Może. Ale proszę wysłać.
- To będzie koreszponder.
- A to co?
- Flaki.
- Dlaczego takie w kolorze?
- Bo to flaki różnych narodów.
- Każdy naród ma swoje potrawy. Głównie w oparciu o mięso.
- Anglik je befsztyk.
- Francuz ślimaki.
- Ruski je kluski.
- Polak je patriotą. Konsumuje barszcz biało-czerwony.
- A uszka?
- Uszka po sobie. Jedzenie potraw z mięsa jest bardzo nieprzyjemne...

i szkodliwe.

- Ono szkodzi najbardziej tym, z których upiekli to mięso.
- To też. Ale za dużo tłuszczu zwierzęcego powoduje utratę...
- Masz?
- Nie. Utraciłem. Ale miałem. A do tego może się w środku znajdować jad.
- Ktoś zjad i pad.
- Dlatego najlepiej popić.
- O to chodzi. To bardzo ważne. Popić mięso. Ale czym?
- W ostateczności, to może być nawet wódka.
- Fui!
- Niestety. Zdrowie ważniejsze. Mam tu przy sobie plasterki kiełbasy...
- A ja przyniosłem, przypadkiem, karafkę z wódką...
- To nalejmy. Mięso lubi pływać.
- Kto tak powiedział?
- Jeden chłop, któremu krowa spadła z mostu do rzeki<sup>794</sup>.

---

<sup>794</sup> S. Friedmann, *Le'kcja francuskiego*, [w:] tegoż, *Dzieła zebrane. Mniejsza całość*, Łoża Wydawnicza Interesa, Warszawa 1997, s. 39–41.

**Przykład 631. Olga Lipińska – *Co Ola wie o Reju* (sierpień 1997)**

– Miałam dzisiaj koszmarny sen – mówi mama – śniła mi się wojna.

– Zawsze ci się śni wojna, jak trzeba wracać do Warszawy – śmieje się mąż.

Pijemy sobie na werandzie wieczorną herbatę, „lato zbiera się do drogi”, jak śpiewała Agnieszka, i rzeczywiście trzeba pożegnać Mazury.

– Opowiem wam, co mi się śniło.

– Nie! – krzyczymy chórem. – Mamo. Jest tak przyjemnie, nie strasz nas.

Każdy chyba miewa koszarne sny. Najczęściej, sądząc z opowiadań, są to horrory, które w codziennym życiu się nie zdarzają. Nie lubię zresztą słuchać o snach i nie wierzę, że można je pamiętać w szczegółach, a potem kojarzyć z jakimś wypadkiem, bo śniła nam się biała noga. A jednak ja też miewam koszarne sny. Właściwie jeden i ten sam. I tu będę niekonsekwentna, bo go pamiętam w szczegółach. Śni mi się, że siedzę sobie w szkolnej ławce, przede mną leży piórnik, gumka myszka, zeszyt w kratkę, ekierka, cyrkiel... Nie! Ratunku, nie chcę! – zrywam się, krzyczę i biję głową o ścianę. Potem leżę sobie długo w noc i nie mogę zasnąć z radości, że jestem już stara i nie pójdę już nigdy do szkoły. Myślę, że moja mama też odczuwa z tego powodu ogromną ulgę.

Nigdy jej tego nie powiem, ale moje koszarne sny o szkole to rezultat jej działań pedagogicznych. Nie powiem, bo w sumie ona miała rację i właściwie wszystko jej zawdzięczam. Oprócz wypadku ze szkołą. Tego nie daruję jej chyba nigdy. Ona też mi nie daruje tych lat udręki i wędrówek po różnych szkołach z niemożliwym do wychowania dzieckiem. Już przedszkola zmieniałam jak rękawiczki, bo za nic w świecie nie chciałam być krasnoludkiem, „Pod grzybami nasze budki, hopsasa, hopsasa”... No, wszystko się we mnie gotowało!

– Ty niedobre dziecko! – płakała mama i prowadziła do nowych krasnoludków.

Wtedy marzyłam o szkole. A ściśle o pensji pani Latter. Nareszcie urosłam, dostałam tornister i poszłam do szkoły. Po godzinie wróciłam.

– Nic tam po mnie – oświadczyłam osłupiałej mamie – tam są dzieci nienormalne, co nie umieją czytać ani pisać, ani nie znają „Świtezianki”.

Byłam wściekła na mamę, że zakpiła ze mnie. Babcia popłakała się ze śmiechu: – Wiedziałam, wiedziałam, że to się tak skończy!

Tu dygresja, a właściwie sedno sprawy. Mama moja, z wykształcenia pedagog z pasją do literatury pięknej, czytywała nam (mnie i siostrze) na dobranoc „Ballady i romanse”, „Pana Tadeusza”, „Beniowskiego”, „Wierną rzekę” czy co tam akurat miała pod ręką. Bajeczki dla dzieci nudziły ją śmiertelnie. Toteż w wieku lat trzech płakałam nad Iosem Salomei i znałam na pamięć większość ballad Mickiewicza.



– *Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie dopużyciem negoboru w jej hawszy...* – powtarzałam, bojąc się zasnąć z powodu upiora. Być może, bezsenność dręcząca mnie do dziś wzięta się z przejścia literaturą piękną w tak młodym wieku. Prawdą jest, że przekroczyłam po raz pierwszy próg szkoły z wielkim tornistrem i wielkim bagażem wiedzy. Umiałam biegle czytać, pisać, rachować i poruszać się dość swobodnie po literaturze polskiej. Nie mówiąc o własnych sądach w każdej dziedzinie życia. Aha, jeszcze znałam wiele arii operowych i operetkowych. Babcia była melomanką i w domu wiecznie ktoś śpiewał. I jako tak świetnie wykształcona sześciolatka na pierwsze pytanie pani: „Co kto umie?” – zgodnie z prawdą wszystko to opowiedziałam. „Kłamiesz, dziecko” – powiedziała pani, dzieci zachichotały, a we mnie się zagotowało. Wstałam, wyrecytowałam „Świteziankę” i nie czekając na oklaski, porwałam tornister i wybiegłam ze szkoły.

– Nigdy więcej tam nie wrócę.

– Wrócisz, i to zaraz! – wydała na mnie wyrok mama.

Lata śmiertelnej nudy w szkole osładzały mi wakacje, psy i lektury. Trudno powiedzieć, jak i czy w ogóle się uczyłam. Czytałam. W tych „złoty szkolnych czasach” przeczytałam wszystko, co się dało, ze szkoły nie pamiętam nic. Owszem, wbiła mi się w pamięć tępa pani nauczycielka, która przez cały rok zadawała mi jedno pytanie: Co Ola wie o Reju? „Miła pani. My, prostacy, a cóż wiemy, nieboracy?”.

– Herbata ci wystygła, co się tak zamyśliłaś?

– Nic. tak sobie myślę, że kończą się wakacje, i ogarnął mnie lęk, że pierwszego września muszę iść do szkoły.

– Niestety, już nie musisz.

– Na szczęście, mam, na szczęście<sup>795</sup>.

**Przykład 632. Andrzej Żor – *Alma Mater czyli profesorskie dole i niedole*. Fragment powieści satyrycznej o życiu akademickim (1997)**

Rada Wydziału

Od rana ruch był znacznie żywszy niż zwykle. Już o dziewiątej korytarzami biegali zdyszani adiunkci, z lekko zmierzwionymi włosami (z wyjątkiem przedwcześnie dotkniętych łysiną) i dyżurną kartką papieru w ręku. Asystenci za to przycupnęli w kątach, w pokojach, laboratoriach, przekazując sobie wiadomo-

<sup>795</sup> O. Lipińska, *Co Ola wie o Reju*, [w:] tejsze, *Mój pamiętnik potoczny*, Prószyński i Ska, Warszawa 2005, s. 116–117.

ści całkowicie pewne i równie całkowicie sprzeczne ze sobą. Łączyła je za to jedna wspólna cecha, nie dotyczyły mianowicie pochłoniętych nimi asystentów ani na jotę.

O dziewiątej dwadzieścia przybył Dziekan-Docent doktor habilitowany Bonifacy Gąsior, pełniący poza obowiązkami Szefa Wydziału także funkcję Kierownika Katedry Ptactwa Domowego. Od dwóch lat piastował stanowisko Dziekana z mozołem, dziwiąc się bezustannie, dlaczego został nią zaszczycony. Był wszak najmłodszym samodzielnym pracownikiem nauki i trudno uwierzyć, iż wybór nie padł na najbardziej godnego i predestynowanego kandydata. Pocięszczał się wówczas mniemaniem o swych wyjątkowych talentach organizacyjnych i to sprawiało mu wyraźną ulgę. Stworzył też określony Kodeks Postępowania. Wchodził do Dziekanatu punktualnie o dziesiątej, wypijał herbatę i przez najbliższe dwadzieścia cztery minuty przyjmował studentów. Zawsze ośmiu, przeznaczając każdemu z nich trzy minuty i każdą rozmowę kończąc jednobrzmiącym wyrokiem, odsyłającym nieszczęśnika do prodziekana do spraw dydaktyczno-wychowawczych Docenta Kapuścińskiego. Studenci stronili od tych wizyt tak, że opiekunowie grup mieli wyznaczone zadanie specjalne w postaci znalezienia odpowiedniej liczby interesantów. Brak choćby jednego tworzyłby bowiem DYSHARMONIĘ.

Ale dość o tym. Profesorowie przybywali coraz liczniej, dołączając do grupujących się wcześniej przed salą przedstawicieli asystentów, bibliotekarzy, administracji i samorządu studenckiego. Tuzów wciąż jednak nie było. Zza uchylonych drzwi gabinetu wyglądało oko Porfiriona, w Katedrze Zwierząt Futerkowych zaś na zmianę ukazywały się chudziutkie twarzyczki sióstr Myszkowskich – Pelagii i Lubinory.

Nie przyjść przed swym uczonym kolegą – to zadanie wyznaczili im ich przełożeni.

O dziesiątej pięć sala zaczęła się wypełniać. Większość zajęta już miejsca, gdy w drzwiach ukazało się dwu młodszych asystentów, prowadząc, a właściwie niosąc Seniora Rady – Profesora Morszczuka. Mimo swych 97 lat i kompletnej głuchoty nie opuszczał żadnego posiedzenia. Siadał i natychmiast zasypiał, trzymając rękę tuż przy uchu, niby na pulsie zdarzeń, zwijając ucho w trąbkę, by nie uronić szczegółów dysputy, wykazując daleko idące zainteresowanie.

Cieszył się ogromną popularnością, nie tyle z racji naukowych osiągnięć (choć i te nie były mu obce), ile z powodu podpisywania niezliczonej liczby protestów, petycji, proklamacji, listów otwartych, wniosków, postulatów, replik, polemik, dezyderatów itp., itd. – wymierzonych przeciwko władzom. To zyskało mu przydomek NIEUGIĘTEGO PRZECIWNKA ŚLEPOWRONIZMU i RYCERZA

BEZ SKAZY, choć z biegiem lat nie był (delikatnie mówiąc) pewien, co podpisywał. Podpisywał jednak i tym zdobywał powszechny szacunek i sławę.

W swej nienawiści nie zauważył ewolucji systemu. Ślepowronizm przybierał bowiem różne postacie. Tuż po Wielkim Przewrocie nastąpiła epoka ślepowronizmu wojującego. Zwalczano wszelkie przejawy myśli i idei, na które mogło paść podejrzenie, iż nie są ślepowrońskie. Posądzonych o sprzyjanie obrazoburstwu wysyłano na ogół do rejonów o obniżonej temperaturze, by tam ochłonęli nieco, uznali swój błąd i wrócili na łono. Nie wszystkim się to udawało. Potem przyszła epoka ślepowronizmu z ludzką twarzą, choć niektórzy teoretycy protestowali przeciw używaniu tej nazwy sugerującej, iż mógłby istnieć Ślepowronizm o nieludzkim obliczu. „Słuszne nie może być nieludzkie” – dowodził wybitny egzegeta twórczości klasyków – Profesor Homeostat Bździuk. Spór badaczy, reprezentujących różne dziedziny nauk społecznych, doprowadził do powstania nowej periodyzacji i przyjęcia neutralnego nazewnictwa. Ślepowronizm wojujący otrzymał nazwę wczesnej fazy wczesnego ślepowronizmu. Jak się Państwo domyślcie, po fazie wczesnej musiała przyjść... myślicie, że późna? Otóż nic bardziej błędnego, słowo „późny” ma odcień pejoratywny, wiąże się ze zmierzchem (na przykład – późna pora) lub uwiędnięciem (na przykład – późny wiek). Po wczesnej fazie następowała rozwinięta faza wczesnego ślepowronizmu, następnie wczesna faza ślepowronizmu rozwiniętego i oczywiście rozwinięta faza rozwiniętego ślepowronizmu. Ponieważ przejście do „rozwiniętej rozwiniętego” oddalało się w czasie wskutek popełnianych błędów i wypaczeń, podzielono fazy na etapy, okresy zaś na podokresy! Cóż za raj dla badaczy!! Jakież naukowe polemiki można toczyć, nie wychodząc przy tym poza krąg jedynie słusznej ideologii!

W Macierzystym Uniwersytecie powołano więc do życia kluczowy problem badawczy, nad którym biedzili się naukowcy szczególnie wyróżnieni. Zaczęli od badania zagadnienia faz w doktrynach partii ślepowrońskich w świecie (odwiedzając wszystkie kraje po kolei, z oczywistym pożytkiem dla nauki!) i dochodząc po kilku latach do genialnego wniosku, że partie ślepowrońskie mówią jednym głosem. „Kopernikański przewrót w naukach społecznych!” – wołał gromkim głosem Profesor Kalasanty Kołek, kierownik problemu.

Różnice dotyczyły natomiast dokładnego określenia miejsca, w którym znalazł się rodzimy ślepowronizm (jeden z przywódców ujął rzecz ładnie, mówiąc o „własnej drodze do ślepowronizmu”). Polemiki koncentrowały się wokół kwestii, czy doszliśmy już do średniozaawansowanego etapu wczesnej fazy rozwiniętego ślepowronizmu, czy też znajdujemy się w innym punkcie. Morszczuk nie rozumiał i nie chciał rozumieć DIALEKTYKI. Gromił... i już.

Bączyński i Taps-Kociński nie przechytrzyli siebie nawzajem. Weszli razem, prowadzeni pod rękę przez Dziekana Gąsiora, który idąc powoli odkrywał, że jest nie tylko świetnym organizatorem. Jest także dobrze zapowiadającym się dyplomata.

Główny Ideolog przycupnął na skraju pierwszego rzędu. Zawsze notował skrupulatnie, często nazywano go więc Sekretarzem.

– Otwieram uroczyście posiedzenie Wysokiej Rady Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi – rozpoczęła Dziekan.

Woźni stukali laskami zamasyżycie. – Pierwsze w bieżącym roku akademickim.

– Protestuję! – Morszczuk przebudził się raptownie. – Protestuję, zgłaszam sprzeciw! Mamy do czynienia, Wysoka Rado, z drastycznym naruszeniem zasady kwadransa akademickiego.

Senior opadł na krzesło, jakby wystraszył się swojego wysiłku, i zasnął ponownie.

– Racja, racja – poparła go lewa strona sali.

– Poszanowanie reguł akademickich – wspierał Morszczuka Profesor Zubrzycki – jest naszym obowiązkiem. Naruszenie zasady kwadransa, choć błaha w istocie, tworzy precedens, prowadząc do naruszenia innych reguł.

– Kto narusza kwadrans, może doprowadzić do naruszenia zasady eksterytorialności Uczelni – atakował bez pardonu przedstawiciel samorządu studentckiego.

Pióro Głównego Ideologa poruszało się coraz szybciej. Gdy atakowano JE-DYNIE SŁUSZNE, pozostawało mu tylko opisać przypadek skrupulatnie. Główni Ideolodzy wyższych szczebli oczekiwali meldunków pełnych entuzjazmu, powszechnego poparcia lub przynajmniej akceptacji ustalonego porządku. A tu ten Morszczuk!

– A może wyznaczyć kogoś odpowiedzialnego za entuzjazm? – pomyślał i myśl ta wydała mu się wyśmienita. Powie o tym na najbliższym spotkaniu Głównych Ideologów Uczelni.

– Szanowni Koledzy! Drogi, Szanowny Profesorze (to do Morszczuka). Spór jest w rzeczy samej bezprzedmiotowy. Wszak minęła dziesiąta szesnaście. Mamy więc kwadrans poza sobą – replikował Dziekan<sup>796</sup>.

---

<sup>796</sup> A. Żor, *Alma Mater, czyli profesorskie dole i niedole*, Iskry, Warszawa 1997, s. 30–34.

**Przykład 633. Krzysztof Daukszewicz – *Między Wortujem a Przyszłościem. Polska Rzeczpospolita Polska. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 29 października 1998 roku (1998)***

Dzisiejsze spostrzeżenia opatrzę takim oto graffiti:

CUKIERKI SĄ SŁODKIE,  
ALE SEKS NIE PSUJE ZĘBÓW.

W szkołach zapanowała nowa moda. Ona już była i dawniej, ale nie aż tak powszechna. Poszedłem ostatnio do sklepu papierniczego i zauważyłem, jak potworne spustoszenie wśród młodzieży czynią zeszyty, i to czyste, niczym nie zapisane. Można powiedzieć – niewinne i dziewicze. Nie żadne książki z matematyki, fizyki, biologii czy wypaczonej historii, które i we mnie za czasów szkolnych czyniły potworne spustoszenie w organizmie, a konkretniej mówiąc, w głowie.

Mało tego, podręcznik o seksie, którego dni są już pewnie policzone, też jest przy nich przysłowiową cienizną.

Otóż na większości okładek zeszytów widnieją zdjęcia mocno przesiąknięte erotyzmem. Na jednym on stoi między jej rozchyłonymi nogami, obejmuje ją, ona natomiast siedzi w niebywale kusej spódniczce na stole, a ręce trzyma na jego – za przeproszeniem – pośladkach. Prócz niej na stole, na którym nie znajdziesz ani śladu po zeszytce czy ołówku, widać butelkę szampana, a na półce obok stoją jeszcze dwie butelki cinzano i bacardi. Na innych zeszytach też widziałem równie półnagie panienki o zgrabnych piersiach i rozmarzonych oczach wpatrujących się w pierwszoklasistów.

Dwie bogobojnie pojmujące naukę zakonnice zmarnowały w Katowicach pół dnia, żeby znaleźć zeszyt z kasztanami na okładce.

I prawdopodobnie niedługo dojdzie do tego, że dziecko idące do pierwszej klasy będzie zamawiało w sklepie papierniczym zeszyt w sposób następujący:

- Poproszę zeszyt.
- A jaki, w kratkę czy w linie?
- Poproszę ten bez majtek<sup>797</sup>.

---

<sup>797</sup> K. Daukszewicz, *Między Wortujem a Przyszłościem. Polska Rzeczpospolita Polska*, Wydawnictwo Tevere, Warszawa 1999, s. 14–15.

**Przykład 634. Krzysztof Daukszewicz – *Między Wortujem a Przyszłościem. Polska Rzeczpospolita Polska. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 6 listopada 1998 roku (1998)***

Okazało się ostatnio, że uprawianie lekcji o seksie jest u nas za drogie i za dużo by nas wszystkich kosztowało. W związku z tym świeżo upieczony minister edukacji powiedział, że będzie kombinował po swojemu i że młodzież wyjdzie na tym najlepiej, kiedy seks rozrzuci się po kawałeczku na różne lekcje. Bardzo mi się to spodobało i postanowiłem pomóc człowiekowi choćby w tym, jak dopasować tematy do przedmiotów.

Na lekcji języka polskiego – Co znaczy miłość na podstawie książki pt. *Kopciuszek*.

Na lekcji historii – Co oznacza termin: najstarszy zawód świata.

Na chemii – Środki antykoncepcyjne i jak im zapobiegać.

Na biologii – Dlaczego motylek zapyla.

Na fizyce – Czym się różni prawo naturalne od prawa Archimedesesa.

Na geografii – Gdzie leżą tirówki z Bułgarii.

Na plastyce w dalszym ciągu rysujemy, jak bociany przynoszą dzieci.

Natomiast na matematyce liczymy, czy nam się taka edukacja opłaca.

Według mnie pan minister znalazł się w takiej sytuacji jak pewna babcia, która na drodze Poznań – Warszawa stała jakieś trzysta metrów za Bułgarkami i również machała ręką. I zatrzymał się przy niej samochód, wychylił się cnotliwy pan i powiedział: „A babcia to by się wstydziła!”<sup>798</sup>.

**Przykład 635. Ryszard Marek Groński – *Rewolucja w Pikutkowie po raz trzeci. Z Tuwima i Jurandota. Fragment (1998)***

(*Wchodzi córka*).

C: Słucham, mamó.

X: Was tam w szkole uczyli różnych wierszyków...

C: Uczyli, tatusiu. Brałam udział w eliminacjach do konkursu recytatorskiego i zajęłam...

X: No to mów wierszyk z tego konkursu. Kawałek powiedz.

C (*super patos, poza recytatorska*):

Ale Komuna się nie podda,

Komuna śmiercią gardzi!

Paryżu gniewny, okrzyk podaj:

<sup>798</sup> Tamże, s. 21.

„Do broni, komunardzi! [...]”.

X: Ładnych uczą was wierszyków. Jakieś – za przeproszeniem – miazmaty! Diabli wiedzą – ze Wschodu czy z Zachodu... Wynoś się!  
(*Córka wybiega z płaczem*)<sup>799</sup>.

### **Przykład 636. Krzysztof Daukszewicz – *Przystanek* (maj 1999)**

Dopał ją na przystanku *vis a vis* szkoły, do której jeszcze parę lat temu chodził. Wyglądała na taką, co nosi przy sobie pieniądze, może nie za duże, ale na piwo i na wieczór z kumplami powinno wystarczyć. Dla większego efektu wyciągnął nóż i krzyknął: – Dawaj forszę!!!

Ale kobieta zaczęła się drzeć.

– Morduj! Morduj! Jezu mój kochany! Pomóżcie!! Ludzie!!! Pomocy!!! Pomocy... – krzyczała coraz głośniejsze, jakby ktoś ją nakręcił. W szkole na pierwszym piętrze otworzyło się okno i wyrżał przez nie starszy mężczyzna.

– Ciszej tam na przystanku!!! Nie wiecie, że młodzież pisze maturę?!

– Ale mnie ten bandyta morduje!!! – wrzasnęła.

– A nie możecie przenieść się za róg? Tam nikomu nie będziecie przeszkadzać – odwrzasnął ten z piętra.

– Pomocy! Jestem nauczycielką!!!

Ale okno już się zamknęło.

– I czego drzesz mordę, ruo! I tak ci nikt nie pomoże, bo panuje znieczulica. Widzisz, czego ich nauczyłaś! – zachrypiał bandzior, usiłując schwycić ją za gardło, ale w tym momencie na drugim piętrze otworzyło się okno szkolnej ubikacji.

– Proszę pani... Proszę pani... Halllooo!!! Proszę pani!!!

– Słucham! – wyrzęziła.

– Jestem maturzystą.

– I co z tego!? Boże!!! Schowaj ten nóż, bandyto!!! A o co chodzi!? – krzyknęła do młodzieńca, ubranego w schludny maturalny garnitur.

– Zna się pani na polskim?

– Tylko trochę... Nie dźgaj mnie tym nożem, bo nie można się skupić! – ofuknęła zdumionego bandytę. – Rozpraszasz mnie...

– A tobie o co chodzi? – zwróciła się do ucznia.

– Czy Wesele napisał Wyspiański czy Żeromski?

– Wyspiański. Ratunku!!!

<sup>799</sup> R.M. Groński, *Rewolucja w Pikutkowie po raz trzeci*, [w:] tegoż, *Nauka pływania...*, dz. cyt., s. 36.

- A jak miał na imię?
- Co to, kurwa, śledztwo?! – wtrącił się bandzior.
- Kto jak miał na imię, Wyspiański czy Żeromski?
- Wyspiański.

Bandzior rozluźnił uścisk i wycharczał: – Słyszałaś, ruo, o co koleś pyta?

- Józefie święty... Stanisław – krzyknęła, próbując się uwolnić.
- No to Józef czy Stanisław? – dopytywał się maturzysta.
- Stanisław!!!
- A Konrad!?
- Marek, ty nieuku!!! – wtrącił się rzezimieszek ze swoją wiedzą.
- Nie słuchaj go – szarpnęła się – to Wallenrod! Słyszałeś!? Wallenrod!!
- Jak się tak będziesz drzeć, to ci zaraz dowalę! – próbował wybrnąć z sytuacji bandzior.

– A czy był postacią negatywną czy pozytywną?

– Nie pamiętam. Nie duś, jak odpowiadam, bo nie zrozumie.

Ze złości kopnęła bandziora tak, aż odbił się od przystanku.

– Ja, chłopcze, jestem matematyczką. – I zajęła się obroną torebki.

– Proszę pani... – To znowu był ten z okna.

– Tak?! O Jezu!!! Tym razem zraniłeś mnie do krwi, bandyto!!! Czego jeszcze chcesz!? – rzuciła w stronę szkoły.

– Czy mogłaby pani przyjść jutro na matematykę!?

– Jeżeli dożyję... – wycharczała, bo w tym czasie atakujący znów złapał ją za szyję. Ale nagle puścił. Bo właśnie przyszedł mu do głowy pierwszy w jego życiu biznes.

– Te... koleś!!! – zawołał w kierunku szkolnej ubicacji.

– Słucham pana?

– Jak dasz trzy paczki, to ją jutro doprowadzę.

Opowiadanie to dedykuję nauczycielom szkoły średniej w Warszawie, gdzie w czasie pisania egzaminu dojrzałości jeden z profesorów krzyknął do ofiary bitej na przystanku: „Ciszej, tu się pisze maturę!”<sup>800</sup>.

### **Przykład 637. Krzysztof Daukszewicz – *Sylwia* (1999)**

Idzie w tym roku do szkoły średniej. Chce zostać przedszkolanką.

– Co powinnam opanować, jakie przedmioty, żeby zostać dobrą wychowawczynią? Język polski czy raczej matematykę?

– Filozofię i logikę – odpowiedziałem.

<sup>800</sup> K. Daukszewicz, *Przystanek*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościobozem. Polska...*, dz. cyt., s. 126–128.



– A co, według ciebie, jest ważniejsze?  
 – Filozofia, bo ona zostaje w człowieku na całe życie, a logika kończy się z chwilą podjęcia pracy.  
 – Skąd o tym wiesz? – spytała.  
 – Badałem to.  
 Teraz ze strachem czekam na pytanie: – A gdzie się prowadzi takie badania?<sup>801</sup>

### **Przykład 638. Henryk Grandys – *Polska Akademia Nauk PAN* (1999)**

Późno przyszło mi do głowy,  
 Że PAN – dubler naukowy –  
 Postępuje nierzetelnie,  
 Za nic ma wyższe uczelnie.

Niedobre to – *I'm sorry* –  
 No cóż?  
 Starzeją się nam doktory,  
 Mogą też służyć za wzór,  
 Dożywotnich synekur<sup>802</sup>.

### **Przykład 639. Marek Polański – *Pełnia sezonu*. Fragmenty (1999)**

Pod przewodnictwem kapelana, na Jasną Górę udała się pielgrzymka byłych słuchaczy i pedagogów Wojewódzkiego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu. Po odśpiewaniu „Międzynarodówki” pielgrzymi powrócili do swoich zajęć. [...] Mignęła nam wiadomość, iż większość pracowników nauki, w tym profesorowie, od lat nie napisała ani jednej pracy naukowej. Nie wiemy, czy wiadomość jest prawdziwa, ale skoro chłopu nie opłaca się siał i orać, to być może państwu profesorostwu nie opłaca się pisać... [...] Na wydziale nauk społecznych obroniono kolejną pracę doktorską na temat: demokracja, czy totalitaryzm. Przezorny doktorant na wszelki wypadek niczego nie sugeruje. [...] Trwa intensywne śledztwo, mające wyjaśnić, kto jest autorem słowa „gimbus”. Głównym podejrzanym jest na dzień dzisiejszy minister edukacji narodowej pan Handke, któremu grozi postawienie w stan oskarżenia w związku z ustawą o czystości języka polskiego<sup>803</sup>.

<sup>801</sup> Tenże, *Sylwia*, [w:] tegoż, *Izy rajder...*, dz. cyt., s. 95.

<sup>802</sup> H. Grandys, *Polska Akademia Nauk PAN*, [w:] tegoż, *Fraszki i satyry*, nakładem autora, b.m., 1999, s. 8.

<sup>803</sup> M. Polański, *Pełnia sezonu*, LRS Media, Katowice 1999, bez stron.

**Przykład 640. Michał Bobrowski – 57 Spotkanie z *Balladą*.  
*Jesień w Kopydłowie. Fragmenty przedstawienia  
do muzyki Romana Opuszyńskiego (2001)***

*(Wbiega proboszcz z parasolem. Firkowa przysysa się do jego ręki).*

6. temat muzyczny – *Proboszcz*

Proboszcz: O, pan komendant! A jakiego strażaka nie ma? Wystarczy, Firkowa, wystarczy... Myślałem, że mi bagaż do samochodu załaduje.

Komendant: To dobrodziej autem? A owieczki piechotą, bez pasterza?

Proboszcz: Niestety, Niestety. Kościelny wiernych poprowadzi, a ja chcąc nie chcąc muszę tłuc się tym mercedesem, bo kto postoję zorganizuje? Jak sam wszystkiego nie dogładnę – to pan wie...

Komendant: No. Trza przyznać, że dopiero ksiądz u nas nastał, a już tym pielgrzymkom Kopydłów wiele zawdzięcza.

Proboszcz: Miło to słyszeć synu.

Komendant: Po ostatniej pielgrzymce to nam sześciu małych Kopydłowiaków przybyło.

Proboszcz: Panu to tylko grzeszne myśli w głowie.

Komendant: Mnie niech dobrodziej w to nie wrabia, bo przecie nie ja z tymi niewinnymi duszyczkami po stodołach sypiałem.

Firkowa: Nowa nauczycielka przyjechała.

Proboszcz: Co mi tan Firkowa głowę... Jak to nowa nauczycielka? Już?

Komendant: I z kim teraz ksiądz będzie teraz grywał w zechcyka? Może ze mną?

Proboszcz: Powiadają, komendancie, że pan w kartach oszukuje.

Komendant: Ja? Z dobrodziejem to się nawet równać nie mogę. Mówią, że ksiądz dużo lepszy!

Proboszcz: Pewnie, że lepszy... Eee, pan to zawsze jakieś takie... No, niechże Firkowa już idzie! Trzeba zobaczyć, czy kury nie zniosły. I niech zapisuje ile. A czubotka zawsze znosi w tygodniu dwa więcej i ja o tym wiem.

Komendant: I uważajcie, Firkowa, bo jak dobrodziej po powrocie nie będzie się mógł jaj doliczyć, to macie przegwizdane.

*(Firkowa wychodzi).*

Proboszcz: Komendancie!

Komendant: Przecie o kurzych mówimy. A ksiądz o czym myślał?

Proboszcz: Ja myślę, kogo nam kuratorium do szkoły przysłało? Mam nadzieję, że stateczną niewiastę. Żeby tylko jakiegoś wychowania seksualnego nie wprowadziła... Podobno pan Jurczyński nigdy...

Komendant: Żeby uczyć, trza umieć, a nie słyssałem, żeby pan Jurczyński nam tu po wsi praktykował.

Proboszcz: Mój poprzednik wspominał, że od czasu jak się pan Jurczyński po zmianach w osiemdziesiątym dziewiątym wypowiedział i nawrócił – złego słowa o panu nauczycielu nie można było powiedzieć. A baldachim na procesji zawsze tak mocno trzyma, że jestem spokojny, iż mi na łeb nie spadnie.

Komendant: A jak dla księdza moje trzymanie nie dość mocne – to mogę nie nosić. Tyle, że strażaki też wystąpią po cywilu, bo paradnych hełmów nie wydam.

Proboszcz: Komendancie! Nie to chciałem powiedzieć.

Komendant: Chciał czy nie chciał, ale powiedział. A co do tej nauczycielki, to zgrabna du... dużo młodsza od pana Jurczyńskiego, a jak szła ze stacji, to chłopaki mało skręcenia karku nie dostały. Nie wiem, czy ona się zna na tym seksownym wychowaniu czy nie, ale pomoce naukowe ma bardzo dobre.

Proboszcz: I ja w takiej chwili muszę wyjechać!

Komendant: A cóż się ksiądz tak napalił? Jeszcze jej przecie nie widział. Może w ogóle nie w księdza typie.

Proboszcz: Synu, jak możesz! Chodzi o szkołę, o Kółko Różańcowe i te niewinne dziewice, co w niedzielę na chórze „Hosanna” zawsze śpiewają.

Komendant: No. A co do tego chóru, to warto by balkonik przy organach w kościele trochę poszerzyć. Wydaje mi się, że tym księdzowym dziewicom zaczyna się tam robić ciasno.

Proboszcz: Ciasno, właśnie. Też o tym myślałem, też. Gdyby drzewo skądś zdobyć, a strażacy w czynie społecznym...

Komendant: A wie ksiądz dobrodziej, dlaczego się tam tak ciasno zrobiło?

Proboszcz: Bo coraz więcej dziewcząt garnie się do chóru...

Komendant: Bo ostatnio dwóm dziewicom strasznie szybko brzuszki rosna...

Proboszcz: Święty Chryzostomie!

Komendant: Na moje rozeznanie to nie święty Chryzostom w tym palce maczał, ale moi strażacy, więc za pokutę mogliby się ciesielką zająć. Ale desek to nie mamy.

Proboszcz: Może parę desek znalazło by się gdzie tu w remizie? Ja zobaczę...<sup>804</sup>

[...].

---

<sup>804</sup> M. Bobrowski, *57 Spotkanie z Balladą. Jesień w Kopydłowie*, [w:] tegoż, *To my...*, dz. cyt., s. 254–257.

27. temat muzyczny-jeńcy (Z przeciwnej strony nadchodzi Rysiek i Franek, obaj z rękami w górze. Za nim z siekierą Nauczycielka).

Komendant: O, kruca! Rysiek! Widzę coście się dostał do niewoli!

Nauczycielka: Nie pora na żarty, komendancie. To pańscy ludzie?

Komendant: Ludzie, to dużo powiedziane. Ale moi.

Nauczycielka: Czy pan im kazał ściąć tego jawora?

Komendant: Jakiego jawora? (*Franek na czworakach ucieka do remizy*).

Rysiek: Tego, co przed kruchtą rośnie. Poszli my go rznąć, ale pani nauczycielka wybiegła i powiedziała, że nie pozwoli, zastłoniła pień sobą i powiedziała, że jak chcę, to najpierw muszę ją – znaczy zabić, ale ksiądz nie kazali, mówili, żeby tylko jawora.

Komendant: A tobie wydaje rozkazy ksiądz czy komendant?

Rysiek: Melduję, że komendant.

Komendant: Rozkaz był?

Rysiek: Melduję, że nie było.

Komendant: I co teraz będzie?

Rysiek: Melduję, że teraz dostanę w pysk.

Komendant: I to dwa razy, bo jeszcze ci się od rana należało.... (*Nauczycielka zasłania sobą Ryska*).

Komendant: ... ino później, bo mnie na razie ręka boli.

Nauczycielka: Boże, co się stało? (*Rysiek parska śmiechem*).

Komendant: Rysiek, nie gap się, ino schowaj te narzędzia i bier się do jakiej roboty. (*Rysiek wychodzi*).

Nauczycielka: Oko podsiniaczone... A gdzież pan był?

Komendant: W Gwizdałkach. Zrobiłem Gawronowi wykład na temat szkodliwości wypalania łąk.

Nauczycielka: Jak pan wygląda!

Komendant: Ja? Jakby pani Gawrona widziała!

Nauczycielka: Nie mógłby pan swojej działalności edukacyjnej prowadzić w trochę mniej gwałtowny sposób?

Komendant: Nie idzie o to jak – idzie o to, żeby skutecznie. A Gawron to już nigdy w życiu łąki nie podpali. Mowy nie ma!

Nauczycielka: Wprawdzie w sprawie metody pedagogicznej różnimy się poglądami na temat sposobu wprowadzania oświaty rolniczej... ale ... niech pan ściąga tę koszulę.

Komendant: E, już?

Nauczycielka: Ktoś to musi zaszyć. A komendant nie może chodzić jak obdartus.

Komendant: Tyle pani powiem, że jakby mój strażak jakiej innej dał się wziąć do niewoli – to marny jego widok. A jawora sambyk ścion – coby se nie myślała.

Nauczycielka: Po moim trupie! Czy pan wie, ile lat trzeba, żeby takie piękne drzewo wyrosło?

Komendant: A żeby taka nauczycielka wyrosła – to ile trza?

Nauczycielka: No, no... Na razie mówimy o tym jaworze. Nie można dopuścić do tego żeby go ścięto.

Komendant: No, szkoda by go było, ale na księżzowym gruncie stoi – i nic nam do tego.

Nauczycielka: Niech mi pan nie mówi, że jak by panu zależało – to by pan sobie z tym jaworem nie poradził. Pan tu wszystko może.

Komendant: Wszystko, to ino Pan Bóg może. Ale po nim – w Kopydłowie – to chyba ino ja. Dobrze gadam?

Sala: Dobrze gadacie!

Nauczycielka: A proboszcz – jaki jest?

Komendant: E, nawet dość, choć ze mną to zawsze w wojnie. Mówi, że ze mnie ateusz. Wie pani – jak się dowiedział, że nowa nauczycielka przychodzi – najbarzy to się bał, że pani tego seksownego wychowania zacznie uczyć!

Nauczycielka: Doprawdy?

Komendant: A jak będzie z tym wychowaniem?

Nauczycielka: Boi się pan, czy nie zdemoralizują panu dzieci?

Komendant: Ja tam – wolny ptak! (*Wchodzi Hanka*).

Nauczycielka: Żadna nie usidliła?

Komendant: A myśli pani, co bym się dał?

Nauczycielka: Nigdy nie należy się zarzekać.

Hanka: Przepraszam (*podbiega do Komendanta*). Jeśli ten, o którym pan mówił, jest komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej – to tak. (*Hanka całuje Komendanta w policzek i wybiega*)<sup>805</sup>.

### **Przykład 641. Michał Bobrowski – *To my. Spotkanie z Balladą*.**

#### **Fragmenty wspomnień o wydarzeniach z przełomu lat 60. i 70. XX wieku (2002)**

Audycje nagrywaliśmy w klubie Nowy Żaczek, stąd nazwa cyklu *Wieczory w Nowym Żaczku*. Poszczególne zaś audycje nazywały się *Spotkanie z Balladą...* (i tu dodatkowe określenie jaką – np. *Starofrancuskie*).

---

<sup>805</sup> Tamże, s. 305–309.

Nie ma wdzięczniejszej publiczności nad studencką, zwłaszcza gdy na scenie występują ich koledzy. A więc na naszych radiowych *Wieczorach* zabawa była przednia. Nikogo nie peszyły skromne radiowe mikrofony ustawione na scenie i widowni. Nikogo też nie trzeba było namawiać do wspólnych śpiewów i zabaw, a szczerzy aplauz towarzyszył występom każdego wykonawcy, choćby swoją piosenkę śpiewał przed tym audytorium po raz setny. Całość prowadzili oczywiście Krzys i Marek, a przy niezbyt dokładnie nastrojonym pianinie zasiadał pierwszy kierownik muzyczny *Spotkań z Balladą* – Antek Mleczek – wówczas jeszcze student Wyższej Szkoły Muzycznej.

I tak na pełnym luzie nagrywało się za każdym razem dwa do trzech kilometrów taśmy. Zrobienie z tego materiału półgodzinnych audycji należało już do mnie. Nie raz przyszło mi posiedzieć przy stole montażowym do białego rana, aby nie tracąc atmosfery spotkania, zdyscyplinować całość i nadać mu formę odpowiadającą wymogom anteny.

Znakomity konferansjer Krzys Materna obok zamiłowania do kabaretu żywił genetycznie zakodowaną niechęć do wojska. Co gorsza – wojsko go śmieszyło, czemu dawał wyraz na zajęciach z tego obowiązkowego przedmiotu, którego wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Ludwika Solskiego był pan pułkownik X.

Nikt nie lubi być przedmiotem studenckich żartów, zwłaszcza wojskowi. Twardy, wojennie zahartowany umysł pana pułkownika X nie mógł pojąć, że gdyby Krzysztof Materna czuł pociąg do wojska, a nie do kabaretu, być może wybrałby szkołę oficerską miast teatralnej. Krzysowi natomiast zabrakło życiowego doświadczenia, aby przewidzieć, że nadeptanie na odcisk pułkownikowi ma skutki znacznie groźniejsze od postawienia gołej stopy na grzbiecie skorpiona.

W rezultacie Krzys oblał egzamin z „wojska”, a staraniem pana pułkownika nie miał żadnych szans obrony. Zwolniony z uczelni dostał natychmiast powołanie do wojska i to do karnej kompanii. To wydarzenie pozbawiło nas szansy na przeczytanie gdzieś w Polsce afisza o treści:

*„hamlet”*

*w roli tytułowej Krzysztof Materna,*

natomiast życie kulturalne i towarzyskie jednostki wojskowej, w której Krzys odrabiał swój patriotyczny obowiązek wobec Ojczyzny, nabrało nowego blasku.

W przeciwieństwie bowiem do teatralnego pułkownika, dowódca karnej kompanii, w której życie świetlicowe leżało martwym bykiem, w mig zorientował się, jaka perłę zesłał mu los. Powierzył niedoszłemu Hamletowi kierowanie świetlicą i to śmiałe posunięcie wkrótce wysunęło jednostkę na czoło w garnizonie pod względem ilości imprez kulturalnych w przeliczeniu na głowę żołnierza. Krzysio-

wi zaś dało dostęp do kasyna oficerskiego, co na tym etapie jego kariery miało poważne znaczenie. Podobno w czasie, gdy Krzysztof nosił wojskowy mundur jego jednostka uchodziła za najweselszą w Ludowym Wojsku Polskim, a kto wie, może i była najweselszą wśród wojsk byłego Paktu Warszawskiego.

Wróćmy jednak do naszych baranów (takie powiedzonko z francuskiego... Czytelniku! Nie bierz tego dosłownie!). Pan pułkownik X nie tylko swoją decyzją pozbawił nas szansy na oglądanie Krzysztofa Materny na deskach teatralnych, ale co gorsze, zagroził egzystencji *Spotkania z Balladą*, pozbawiając nas konferansjera. O ile z kandydatami na Hamleta nie ma lekko, o tyle z kandydatami na dobrego konferansjera jest stokroć gorzej. Ale tu sprzyjało mi szczęście. W czasie jednego z *Wieczorów* w zabawie wziął udział młody człowiek, zwracający uwagę ogromną *vis comica*, pełnym luzem na scenie i ciętym, inteligentnym dowcipem. Nazywał się Jerzy Stuhr, i po ukończeniu studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim pogłębiał wiedzę na wydziale aktorskim PWST.

Zaproponowałem mu udział w naszej audycji. Jurek kokieteryjnie powiedział: *Zaskoczył mnie pan... W zasadzie chętnie, ale nie wiem czy dam radę.* I kłamał wtedy jak z nut, bo doskonale wiedział, że nie tylko da radę, ale będzie świetny. I rzeczywiście – był<sup>806</sup>.

**Przykład 642. Jan Kaczmarek – *Polak mądry po szkodzie.*  
Na motywach fraszki Jana Kochanowskiego  
(lipiec 2002)**

*Nową przypowieść Polak sobie kupi,  
że i przed szkodą i po szkodzie głupi!*

Każdy rozumny, rozsądny człowiek  
zna to fundamentalne przysłowie:

Znąją je starcy, zna również młodzież,  
że Polak mądry – mądry po szkodzie!

Musi rozumieć przysłowie takie,  
kto z urodzenia jest kim? Polakiem!

Gdy nad tą myślą pilnie się skupić,  
wyjdzie, że Polak przed szkodą głupi!

---

<sup>806</sup> Tenże, *To my...*, dz. cyt., s. 6–7.

Czy w to wierzymy, czy nie wierzymy,  
zaraz tę złotą myśl obalimy!

Tak się po prostu dziwacznie dzieje:  
ponosząc szkody – Polak mądrzej!

Tu się konkluzja rysuje cenna:  
Polak się uczy! Uczy na błędach!

Głupi przed szkodą – mądry po szkodzie,  
taką opinię ma w swym narodzie!

Wiedzą narody inne, że wiedza  
jest w uniwersytetach, w college'ach.

Kiedy studiować więc zamierzają,  
to się na studia wyższe udają.

Już zaś Polacy – Kowalski, Nowak –  
oni się kształcą – na swych przysłowiach.

Oni na studia nie wyjeżdżają,  
Oxfordy w swoich chałupach mają!

Bez profesorów, książek i skryptów,  
stołótkowego, nędznego wikt.

Ja nie wiem, na co Polacy liczą,  
traktując wiedzę tak chałupniczo!

Już w Odrodzeniu Jan Kochanowski  
nie szczędził swojej rzetelnej troski.

Wieszcz mówił tak o naszym narodzie:  
głupi przed, jeszcze głupszy po szkodzie!

I przez to tak się opacznie dzieje:  
szkód wciąż przybywa – Polak głupiej!



Pora więc nowe przysłowie kupić:  
Polak przed i po szkodzie jest głupi.

Prościej ujmując rzecz – dla wygody –  
Polak się żadnej nie boi szkody.

Wiedzą to starcy, wie też i młodzież,  
że Polak głupszy po każdej szkodzie.

A że uparta to strasznie menda,  
wciąż się od nowa uczy na błędach!

I przez to tak się fatalnie dzieje,  
że nam z dnia na dzień Polak głupieje!

I stąd rozliczne nasze kłopoty!  
Wciąż rosną nowe szczyty głupoty!

Wiersz ten w całości na pamięć umiem,  
choć w paru miejscach go nie rozumiem!

Alem jest Polak! I choć się męczę,  
nic nie poradzę na tę demencję!

Kończymy lekcję, już dzwonek dzwoni.  
Żegnam się z Państwem!  
*Janek Antoni!*<sup>807</sup>

**Przykład 643. Ryszard Marek Groński – *Jeż na kaktusie*.  
Fragmenty wypisów z historii najnowszej  
dotyczące wydarzeń z lat 1999–2002 (2003)**

„Nasz Dziennik” demaskuje podręczniki do nauki angielskiego. Czujna jak tatrzański świstak Anna Murawska odkryła, że – „we wszystkich podręcznikach roi się od dialogów i tekstów o sytuacji rodzinnej, gdzie rozwód, druga żona, opuszczenie domu przez nastolatków, bycie jedynakiem – jest normalne i bardzo częste... W podręcznikach panuje atmosfera liberalizmu w stosunkach

---

<sup>807</sup> J. Kaczmarek, *Polak mądry po szkodzie*, [w:] tegoż, *Listy dygresyjne*, Wydawnictwo Europa, Wrocław 2009, s. 157–158.

mażeńskich, ogromnej tolerancji dla samodzielności dzieci, partnerstwa wobec nauczycieli...”. No proszę: czy warto uczyć się angielskiego, żeby czytać o podobnych świństwach? Liberalizm, partnerstwo, tolerancja – że też MEN na to pozwala! Jest taki dowcip (sorry) angielski. Aktor grający Ryszarda III woła: – Królestwo za konia!

– A może być osioł? – pyta widz z galerii.

– Może. Ale niech pan koniecznie zgłosi się z siodłem<sup>808</sup> [...].

Sensacja: w Górach Świętokrzyskich naukowcy odnaleźli jaja dinozaurów. Ściślej: fragmenty jaj, bez skorupki. Pewnie skorupki zużyto na pisanki. Są tacy, którymi to odkrycie nie wstrząsnęło. Nie chcę się chwalić; wczoraj rano widziałem na własne oczy dinozaura. Szedł z komórką przyklejoną do ucha, w łapie niósł teczkę i zniknął w lokalu partii politycznej. Której – nie powiem.

Inne odkrycie: profesor Bogdan Zakrzewski, autor książek o Fredrze, Słowackim, Mickiewiczu, pamiętnik o pisarstwie i śląskim folklorze, „upublicznił” (tak się dziś pisze) odnaleziony fragment II części *Pana Tadeusza*. Profesor zbadał fotokopię manuskryptu, będącego w posiadaniu Tomasza Szewycera, i doszedł do wniosku: mamy do czynienia z autentykiem. „Kontynuacja miała się rozgrywać w czasie Powstania Listopadowego, a głównym bohaterem miał być syn Tadeusza i Zosi. Wiadomo, że poeta nigdy kontynuacji nie ukończył”.

Ja także niedawno na stryżku pensjonatu w Galicji znalazłem rękopis – może to napisał Wieszczyk, może podróbka spadła z pióra anonimusa?

...Zosi i Tadeusza syn miał imię Jacuś.

To imię – po Robaku – przydało się na cuś.

Jacuś szybko pokwitał, stał się dużym chłopcem,

Lecz grzechy tego świata były mu czymś obcym.

Sam rozumkiem niedużym praw natury docieknął,

Że dziecię katolickie musi przynieść bociek.

Jak dzięcielina Jacuś rumieńcem zapala

Ojca głos słysząc: – „Gdyby kuśka nie skakała...”

„Co to kuśka?” – zapytał katechetki Knysok.

Ta z ruska zaciągnęła: „Piszi greichow spisok!”

Wezwwała wychowawcę. Pan profesor Handke

Prawą handkę miał ciętą. Zagrzmiął: „Tyś miał randkę!”.

Wnet sypią się na gołą raz za razem razy...

Tak Jacuś na rycerza rósł bez nocnej zmayı.

<sup>808</sup> R.M. Groński, *Jeż na kaktusie. Wypisy z historii najnowszej 1999–2002*, Książka i Wiedza, Warszawa 2003, s. 9.

...Jankiel postarzał bardzo. Kuśtyka i kwęka.  
 A to głowa go boli, to noga, to ręka,  
 To znowu w piersiach kłuje go doba za dobą.  
 Ale kto widział Żyda, co zjedna chorobą?  
 Na cymbałach już Jankiel nie gra przed publiką.  
 Chciał zagrać – awanturę zrobili mu dziak:  
 „Masz grać wyłącznie wtedy, kiedy świat to widzi,  
 Jaką u nas estymą cieszą się dziś Żydzi.  
 Starsi Bracia po wierze i naród wybrany.  
 Tolerancja jest u nas. A piszą – szykany!”  
 Jankiel duma: gdzie kłębek, tam muszą być nici.  
 Nie ma antysemitów. Są – chwilosemici,  
 Przez chwilę nas kochają. Alibi dostarczmy,  
 A potem, po festynie – jazda Żydu z karczmy!

„...Zbrzydła mi – rzekł Tadeusz – ta małżeńska nuda.  
 Ciągłe te same piersi, wciąż te same uda!”  
 Słyszając to Zosia westchnie: „Utraciłam hymen  
 Z tobą, mężu. Scierpiałam tabuny Telimen,  
 Urodziłam ci syna: ciężki to był połów.  
 Kto na nudę się skarży? Żałosny niedouk!”  
 „Ja niedouk? – Tadeusz zerwał się z fotela  
 I spojrzeniem jak kulą w stronę Zosi strzela.  
 A Zosia w śmiech: – „Po ciotce mej, świętej pamięci  
 Została biblioteka. Choć w nosie kurz kręci  
 Warto zdjąć z półki książkę o Sodomy stu dniach. –  
 Tyle wiedzy w tej książce, ile prawdy w studniach.  
 Czytaj, mężu! Podpowie ci to markiz de Sade,  
 Jak należy korzystać z erotycznych przesad...”  
 Tadeusz przejrzał dzieło. I jęknął: „Europo!  
 To my do ciebie z sercem, a ty do nas z dopą...”

O naszych czasach także będzie się mawiać z rozczeniem: – Dawne, dobre czasy. O XIX wieku tak mawiano. A przecież, Anna Karenina świadkiem, wtedy pociągi wpadały na kobiety!

Jakie są te nasze czasy? W Gdańsku „Solidarność” zorganizowała sesję naukową (zaraz po mszy). Tematy referatów: „Czy różdżkarstwo prowadzi do okultyzmu”, „Astrologia, sposób na szczęśliwe życie?”, „Okultyzm i pseudonauka w szkolnictwie, kulturze i środkach masowego przekazu”<sup>809</sup> [...].

<sup>809</sup> Tamże, s. 20–22.

Ze szkół wyprowadzono podręczniki mogące zgorszyć małych. Rośnie dziatwa obłożona wartościami jak bułka hamburgerem. Gdzieś na prowincji zdarzyło się, że nauczycielka pokazała uczniom kolorową planszę: – To nasi prarodzice. Adam i Ewa.

– Proszę pani – rozległ się głos prymusa – po czym mamy poznać, która z postaci to Adam, która Ewa? Przecież oni nie są ubrani<sup>810</sup>.

**Przykład 644. Ryszard Marek Groński – *Szkolny żarcik* (2003)**

– Kto najbardziej zmienił historię? Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Napoleon Bonaparte?

– Panie psorze – historię najbardziej zmienili historycy!<sup>811</sup>

**Przykład 645. Artur Andrus – *Eskimosek (czyli piosenka o tym, jak to dzieci muszą się uczyć piosenek o innych dzieciach zazwyczaj z dalekich krajów), do muzyki Włodzimierza Korcza* (2004)**

Eskimos, chłopiec wesoły,  
Tornister nosi na trokach  
I chodzą z nim do szkoły  
Renifer albo foka.  
Codziennie w mroźny poranek  
Eskimos je na śniadanko  
Twarożek z ciepłym tranem  
I naleśniki z kaszanką,  
A potem biegnie do kiosku,  
Kupuje bilet na skuter  
I jedzie, i śpiewa po eskimosku  
Na eskimoską nutę:

Hej najweselej jest u nas,  
Niech każdy o tym wie,  
W szkole imienia Zdobywców Bieguna,  
W klasie czwartej „b”.

<sup>810</sup> Tamże, s. 105.

<sup>811</sup> Tenże, *Szkolny żarcik*, [w:] tegoż, *Jeź...*, dz. cyt., s. 13.

Za oknem białe niedźwiedzie  
Szukają tłuszczu i białka,  
A Eskimosek siedzi  
I uczy się o całkach,  
I uczy się grać na lutni,  
I zna metabolizm wielbłądów,  
I wie, jak działa sputnik  
– Choć w igloo nie ma prądu,  
I wie, kiedy był plejstocen  
I kto jest premierem w Peru,  
I na czym dokładnie polegał proces  
Wokalizacji jerów...

Hej najweselej jest u nas,  
Niech każdy o tym wie,  
W szkole imienia Zdobywców Bieguna,  
W klasie czwartej „b”.

Po lekcjach pomaga mamie  
W spełnianiu dobrych uczynków  
I uczy się na pamięć  
Piosenki o... Murzynku.  
Że Bambo uczy się pilnie,  
Bo wierzy mały Murzynek,  
Że kiedyś będzie w Wilnie  
Studiował medycynę,  
Że Bambo ma piega na nosku,  
Do szkoły jeździ na słoniu  
I uczy się w szkole o Eskimosku,  
Który się uczy o nim...

Hej najweselej jest u nas,  
Niech każdy o tym wie,  
W szkole imienia Zdobywców Bieguna,  
W klasie czwartej „b”.

Nie można zatem wykluczyć,  
Że dajmy na to w Iraku,

Arabek musi się uczyć  
 Piosenek o Polaku.  
 I czego o nas się dowie  
 Chłopiec z krainy cytrusów?  
 Że... Pogotowie Strajkowe  
 I że... Brakuje gimbusów,  
 Że... Rząd nie słucha związków,  
 Że... Wychowawcze błędy,  
 Że... Ośmiolatki na Śląsku  
 Napadły na komendy,  
 Że... Żle... Że... Coraz gorzej...  
 Że... Wrywanie stołków...  
 Wiesz co, Arabku? Może  
 Ucz Ty się o Mongołku...<sup>812</sup>

### **Przykład 646. Artur Andrus – *Marianek Bambo* (2004)**

Marianek Bambo w Koluszkach mieszka,  
 Zadbaną ma skórę ten nasz koleżka.  
 Uczy się pilnie przez całe ranki  
 Ze swej mariańskiej pierwszej czytanki.  
 (Bo tę czytanke, Panowie, Panie  
 Wydali w Licheniu księża Marianie).  
 A gdy do domu Marianek wraca,  
 Psoci, figluje, to jego praca.  
 Aż mama krzyczy: „Bambo łobuzie!”  
 A Bambo zadbaną nadyma buzię.  
 Mama powiada: „Napij się mleka!”  
 A on na drzewo mamie ucieka.  
 (Bo Państwo Bambo w ogródku ślicznym  
 Hodują jesion genealogiczny).  
 Mama powiada: „Chodź do kąpieli”,  
 A on się nie boi, że się wybieli,  
 Tylko się nie chce ruszyć spod ściany  
 Bo już i tak jest bardzo zadbany.  
 Lecz mama kocha swojego synka,  
 Bo dobry chłopak z tego Marianka (*coś mi rym nie wyszedł, przepraszam*).

<sup>812</sup> A. Andrus, *Eskimosek*, [w:] tegoż, *Popisuchy*, Piątek Trzynastego, Łódź 2004, s. 20–21.

Szkoda, że Bambo zadbany, wesoły  
Nie chodzi razem z nami do szkoły.  
On nie ma czasu w szkole zagościć,  
Bo jeździ na wszystkie „Parady Miłości”<sup>813</sup>.

### **Przykład 647. Jan Pietrzak – *Magistrowie od siedmiu boleści* (12.05.2004)**

Okazało się niedawno, że prokuratorzy i sędziowie nie chcą zajmować się przestępstwem polegającym na kupowaniu magisteriów. Może sami kupowali? Twierdzą oni, że brakuje w Polsce przepisu prawnego, który da się zastosować w tym przypadku. Może celowo nie ma takiego przepisu? Powstały nawet firmy proponujące dostarczanie tekstów magistrantom. Półgłówki niezdolne do napisania pracy, mogą za drobną opłatą cieszyć się tytułem magistra. Kłopot w tym, że dysponując dyplomem, zabierają się do jakiejś pracy, niestety, niestety... Prywatne oszustwo nabiera społecznego wymiaru. Kto wie, czy większość naszych nieszczęść nie bierze się stąd, że prawa stanowią w Sejmie ludzie, którzy całe życie ściągali. Że drogi budują inżynierowie, którzy dostali się na studia po znajomości. Że reformują medycynę osobnicy, którzy dawali łapówki za zaliczenie każdego roku. Wreszcie, że następne pokolenia uczone są w szkołach przez farbowanych magistrów, którzy nie wiedzą, że bez ściągawek, łapówek, fałszerstw można w ogóle kończyć szkołę. Im się przecież nie udało...

Uczciwie zdobyta wiedza, to warunek konieczny, lecz daleko nie wystarczający, by robić rzeczy sensowne i użyteczne. Ale od tego wszystko się zaczyna. Musi być jakiś wspólny mianownik, który pozwala społeczeństwu na organizowanie wspólnego losu.

Jeżeli nawet z językiem ojczystym ludzie sobie nie radzą, jak mają się porozumieć w sprawach dużo trudniejszych? Oto Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła jak przestrzegana jest ustawa o języku polskim. Na dziesięć pism urzędowych, jedno zaledwie jest poprawne językowo. Kto te pisma pisze? Ano, fachowcy od ściągawek, posiadacze lewych dyplomów, magistrowie od siedmiu boleści. Ciekawy przepis występuje w ustawie o służbie cywilnej. Wymaga on od urzędników znajomości języków obcych. Znajomości języka ojczystego nie wymaga! Ustawodawca widocznie zakładał, że jest to umiejętność oczywista. Niestety – nie jest!

Ułomność naszego życia publicznego zaczyna się właśnie od języka. Nie są w stanie funkcjonować w jednej partii absolwenci pegeerowskich zawodówek

---

<sup>813</sup> Tenże, *Marianek Bambo*, [w:] tegoż, *Popisuchy...*, dz. cyt., s. 19.

z profesorami Uniwersytetu Warszawskiego. Tu w ogóle nie chodzi o różnicę poglądów, lecz o to, że strony nie potrafią swych poglądów przystępnie zdefiniować. Odmienny aparat pojęciowy uniemożliwia porozumienie. Stąd taka mnogość partii w ostatnich piętnastu latach. Posiedzi jeden z drugim na zebraniach przez rok, dochodzi do wniosku, że nic nie kapuje i przeskakuje do innej partii. Zdarzają się próby przełamania tego stanu rzeczy. Pamiętamy radiową wymianę obelg między Janem Rokitą a Andrzejem Lepperem, kilka tygodni temu. Było coś niesłychanie śmiesznego w tym, że Rokita potraktował Leppera językiem chamstwa i agresji. Ten ostatni lekko zgłupiał. Nie jestem jednak przekonany, kto w społecznym odbiorze lepiej wyszedł na tym eksperymencie. Pewnie jedynie felietoniści i satyrycy... Co ma swoje dobre strony<sup>814</sup>.

### **Przykład 648. Jan Pietrzak – *Państwo i wyczyn* (23.08.2004)**

Ciesząc się z kilku olimpijskich sukcesów, zwłaszcza ze złotosrebrnej Otylii Jędrzejczak, nie czujemy się jednak nadmiernie rozpieszczeni przez dwustu naszych reprezentantów. Brak woli walki, niedotrenowanie, słabości psychiczne – wszystko to owocuje odległymi miejscami. Wiadomo, że głównie liczy się w tych zawodach udział, a nie wynik, ale jednak za ten udział ktoś musi płacić. Nie znam szczegółów, ale zwykle większość kosztów ponosi budżet państwa, czyli my wszyscy. Powraca stare pytanie, z jakiego powodu mamy finansować sportowe hobby zdrowych, młodych ludzi, nie przynoszących nam zaszczytu, a wręcz przeciwnie?

To, że ktoś lubi biegać, skakać, grać w siatkówkę, jest jego prywatną sprawą. Jeżeli w jakiejś mierze jest sprawą publiczną, to jedynie na poziomie szkolnym. Wtedy dorastająca młodzież powinna mieć warunki do fizycznego harcowania: boiska, pływalnie, korty, dobrych nauczycieli... itp. Państwo musi dbać o to, by wchodzące w życie pokolenia nie były cherlawe, niesprawne, nieporadne fizycznie. Wychowanie fizyczne powinno być w szkołach znacznie poważniej traktowane niż obecnie. Wiem coś o tym, jako szczęśliwy tatuś piątki dzieci, z których każde musiało i musi trenować coś poza szkołą, aby nie gnuśnieć.

Natomiast troska państwa o wyczynowców, którzy ze sportu czynią swój zawód, jest rodem z durnego socjalizmu. Jedynie podczas międzynarodowych imprez sportowych socjalizm miał okazję pokazać światu, że w ogóle coś potrafi. Nie potrafił wyprodukować papieru toaletowego, kielbasy, piwa, telewizorów, ale produkował muskularnych homunkulusów. Szczególnie nieistniejące już

---

<sup>814</sup> J. Pietrzak, *Magistrowie od siedmiu boleści*, [w:] J. Pietrzak, A. Krauze, *Codziennik satyryczny*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2004, s. 97–98.



państwa: ZSRR i NRD inwestowały w produkcję ludzkich maszyn do bicia rekordów, szprycując wybrańców chemią i ideologią. Sportowcy tacy służyli też za pożądane tło do zdjęć dla przywódców partii i rządu. Dyskretna propaganda podpowiadała, że ten kto klepie po plecach mistrzów i rekordzistów, to dopiero musi być heros!

Prezydentowi Kwaśniewskiemu, niegdysiejszemu ministrowi sportu, do dzisiaj pozostały te socjalistyczne nawyki. Ale czy to wystarczający powód, by finansować wyprawę do Aten dwustu nieudaczników z ich opiekunami? Sądząc po wynikach, jedynie ok. dwudziestu reprezentantów miało jakieś powody, by tam się udać<sup>815</sup>.

**Przykład 649. Jan Tadeusz Stanisławski – *Zezem*.  
Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń  
w latach 50. XX wieku (2004)**

Moja edukacja teatralna [...] była żałosna, bo wtedy dość żałosne rzeczy grano na sposób żałosny. Nawet w „Zemście” Fredry doszukiwano się elementów klasowych i tak ją wystawiano. Repertuar teatrów był przeważnie wypełniony sztuczidłami socrealistycznymi produkcji rosyjskiej.

Treść jednej zapamiętałem. Stary uczoney radziecki ma córkę piękną i postępową. Kocha się w niej młody, postępowy uczoney. Okazuje się, że stary jest na usługach CIA, zawłaszcza wynalazek młodego i chce sprzedać soldatesce amerykańskiej. Córka demaskuje tatusia. Tatuś idzie do mamra, a córeczka za postępowego uczonego. Kurtyna. Publiczność się budzi...

Po takiej edukacji najprostsze nawet zdarzenie na scenie, byle niekonwencjonalne – może okazać się wstrząsającym przeżyciem<sup>816</sup>.

**Przykład 650. Zofia Nowacka-Wilczek –  
*Podwyżka dla nauczycieli* (2005)**

Nie taję,  
można się za nią  
tylko wstydu najeść<sup>817</sup>.

<sup>815</sup> Tenże, *Państwo i wyczyn*, [w:] J. Pietrzak, A. Krauze, dz. cyt., s. 183–184.

<sup>816</sup> J.T. Stanisławski, *Zezem. O wyższości święt Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia*, Rosner i Wspólnicy, Warszawa 2004, s. 18.

<sup>817</sup> Z. Nowacka-Wilczek, *Podwyżka dla nauczycieli*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), dz. cyt., s. 692.

**Przykład 651. Michał Ogórek –  
Nieskoordynowane ruchy w oświacie (2005)**

Jakiś czas temu „Gazeta Wyborcza” (tak zwany główny grzbiet, który jest najbardziej narażony na polemiki i różne zaczepki – stąd powiedzenie „dostać po grzbiecie”) przyniosła wiadomość, że w szkole w Zielonej Górze zamierzają kupić alkomat, aby móc sprawdzać, czy uczniowie są pijani. Najbardziej zastanawiające w informacji było to, dlaczego nauczycielom taką trudność sprawia odróżnienie ucznia pijanego od trzeźwego, co – wydawałoby się – nie jest takie trudne do przeprowadzenia najprostszą metodą wzrokową, słuchową oraz węchem.

Wyjaśnienie tej zagadki przynosi „Gazeta” na tej samej stronie, ale w wiadomości ze Stargardu. Tam w szkole znaleziono pijaną nauczycielkę. Naturalnie, pijanej nauczycielce trudno jest stwierdzić stopień upojenia alkoholowego uczniów i dlatego alkomat bardzo się przyda.

Uczniowie i nauczyciele mogliby wtedy przed każdą lekcją badać się alkohometem wzajemnie. W zależności od otrzymanych wyników mogliby wówczas ustalać, kto jest bardziej trzeźwy i kto dziś prowadzi.

Stan opisany w tych dwóch informacjach z jednego dnia wyjaśnia wiele nieporozumień powstających w szkole między młodzieżą a kadrami pedagogicznymi. Obie strony nie piją równo. Podczas gdy uczniowie są pijani w Zielonej Górze, to grono akurat w Stargardzie. Wiadomo, że nic nie wpływa na atmosferę tak źle jak to, iż urznie się tylko część towarzystwa<sup>818</sup>.

**Przykład 652. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck organizuje dzieciom węgry (2005)***

Na początku tygodnia do Mister O’Gorcka zadzwonił Wychowawca.

– Chcę zapytać, czy mogę oczekiwać, że jako Komitet Rodzicielski włączy się pan w tym roku w organizację wagarów dla swoich dzieci? – zapytał surowo.

– W organizację wagarów? – Mister O’Goreck nie zrozumiał.

– Proszę nie udawać, że pan nie wie, iż w tym tygodniu trzeba wysłać dzieci na jakieś węgry – upomniał Mister O’Gorcka Wychowawca. – Wynika to z planu wychowawczego szkoły.

– Czy dzieci nie mogłyby sobie uciec same? – wyraził wątpliwość Mister O’Goreck.

<sup>818</sup> M. Ogórek, *Nieskoordynowane ruchy w oświacie*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek...*, dz. cyt., s. 44.

– Same? – Wychowawca zaśmiał się szyderczo. – Nie spodziewa się pan chyba, że one zrobią coś z własnej inicjatywy! Młodzież sobie bimba. Uczniowie są bierni, niesamodzielni i do wszystkiego trzeba ich popychać. Jakby za ucieczki z lekcji nie wzięto się kuratorium, to w ogóle by z nich nic nie wyszło.

– Może wagary trzeba by im jakoś umilić? – zastanawiał się Mister O’Goreck.

– Wagary są niedofinansowane – powiedział Wychowawca znacząco. – Nie można oczekiwać, że miasto pokryje wszystkie koszty z budżetu. Wagary, proszę pana, kosztują.

Mister O’Goreck na wszelki wypadek nie podjął tego tematu.

– Dlatego też tak powszechne są narzekania młodzieży na organizację wagarów – podsumował Wychowawca, widząc, że nic nie wskóra. – W tej sytuacji proszę jednak nie winić szkoły za to, że z wagarów zdarzają się częste ucieczki.

#### SŁOWNICZEK TRUDNIEJSZYCH TERMINÓW

LEKCJA – powód, dla którego dawniej uciekali uczniowie łapani przez nauczycielki, a obecnie nauczycielki są siłą zatrzymywane przez uczniów<sup>819</sup>.

### **Przykład 653. Michał Ogórek – *Czas do szkoły* (2005)**

Wchodzimy w kolejny rok, w którym młody człowiek musi się uczyć życia starszych ludzi, pomimo że nie jest to nic a nic interesujące, a potem – co jest zresztą do przewidzenia – nie zdaje egzaminu. Natomiast starszy człowiek nie musi się tego uczyć, bo on to zna.

System edukacji jest więc – jak widać – specjalnie tak urządzone, aby do szkoły musieli chodzić tylko młodzi.

Na lekcjach nauczyciele opowiadają, jak to było, kiedy ludzie musieli obchodzić się bez koła albo elektryczności. A co to uczniów obchodzi, jak nauczycielom kiedyś się powodziło? Albo: jak to na świecie było prymitywnie, kiedy żyły tylko jamochłony. Nauczyciele ust nie mogli do nikogo otworzyć.

W szkole wykłada się *ex cathedra*, czyli jak w starej katedrze. Dlaczego w każdej klasie porusza się tematy, którymi na trzydzieści osób zainteresowana jest – i to też nie całkiem – zaledwie jedna, to jest nauczyciel? I nikogo nie obchodzi ta różniczka.

Coraz bardziej dramatyczne staje się pytanie: dlaczego to młodzi mają się uczyć od starych, jak było, a nie raczej starzy od młodych, jak jest? Szczególnie drastyczną formę nierówności ta przybiera w szkołach i na kursach wie-

<sup>819</sup> Tenże, *Mister O’Goreck organizuje dzieciom wagary*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek...*, dz. cyt., s. 64.

czorowych, gdzie młodzi wykładowcy uczą starszych od siebie uczniów tego, czego się na ich temat dowiedzieli.

Nieuzasadnione przywileje z racji wieku są zasadą, na jakiej oparta jest cała edukacja. Uczniowie muszą się w szkole nauczyć języka nauczycieli, aby się z nimi jakoś móc porozumiewać. Swoje słownictwo, zajebiste, dzisiejsi uczniowie będą mogli wprowadzać do szkół dopiero, gdy się zestarzeją – wtedy kiedy dla nowych dzieci będzie to już jakaś łacina.

Tymczasem, prawdę mówiąc, czy nauczycielom nie przydałoby się w życiu bardziej, gdyby to oni nauczyli się mówić tak, jak się mówi? Profesorowie od swoich uczniów nauczyliby się zresztą wszystkiego prędzej aniżeli uczniowie od nich, bo po pierwsze, jest tego mniej, a po drugie, z natury rzeczy profesorom nauka łatwiej przychodzi<sup>820</sup>.

#### **Przykład 654. Michał Ogórek – *Wychowywanie jest procesem obustronnym* (2005)**

Amerykańscy psycholodzy ustalili, że na rozwój dziecka źle wpływa to, że dorośli wie więcej od niego. Naukowcy radzą więc, żeby dorośli, aby nie powodować frustracji dziecka – jeśli nawet wie więcej niż ono – nie zdradzał się z tym przed nim. Udając, że tak jak wychowywane przez niego dziecko nie umie czytać, mówić, zawiązać sznurowadła etc., stwórz mu lepsze warunki do rozwoju.

Metodę tę stosuje się już od jakiegoś czasu w amerykańskiej kinematografii, która dla swych widzów udanie tworzy wrażenie, że naturalnym stanem dla człowieka jest umysłowość dwunastolatka.

W takiej konfiguracji dorośli muszą się uczyć wszystkiego od dzieci. Pół biedy, kiedy mamy na wychowaniu dziecko dwuletnie: wystarczy wówczas wyrażać swe uczucia słowami „papu” i „ee”; przy dziecku młodszym musimy już pełzać<sup>821</sup>.

#### **Przykład 655. Michał Ogórek – *Skąd się wzięli uczniowie* (2005)**

Do tematów najbardziej denerwujących nauczycieli należy kwestia, skąd się biorą uczniowie.

Pierwsze doświadczenia lekcji wychowania seksualnego w szkole nie są niestety w pełni zadowalające. Wielu uczniów, którym nauczyciele jako metodę antykoncepcji pokazali zakładanie prezerwatywy na banana, przed przystąpieniem do aktu seksualnego stosuje się do tego zbyt dosłownie, kupując pre-

<sup>820</sup> Tenże, *Czas do szkoły*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek...*, dz. cyt., s. 106–107.

<sup>821</sup> Tenże, *Wychowywanie jest procesem obustronnym*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek...*, dz. cyt., s. 132.

zerwatwę i banana. (Sprzedaż bananów wzrosła od wprowadzenia tych lekcji w szkołach ponad dziesięciokrotnie). Nauczyciele skarżą się w związku z tym, że – figurujące w programie szkolnym – zakładanie prezerwatwy na banana jako metoda antykoncepcji okazało się mało skuteczne i potrzebne są w tym zakresie dalsze próby laboratoryjne.

Rezultatem tej edukacji jest to, że Polacy, wypełniając ankiety personalne po angielsku, w rubryce „sex” (czyli „płeć”) wpisują na wszelki wypadek – „no”<sup>822</sup>.

### **Przykład 656. Michał Ogórek – *Mister O’Goreck znajduje wspólny język z młodzieżą* (2005)**

W lesie Mister O’Goreck spotkał klasę szkolną, przyprawioną przez Pana od Przyrody na lekcję. Mister O’Gorckowi przypomniały się młode lata.

– W jaki sposób jakie zwierzątko zdobywa pożywienie? – pytał Pan od Przyrody. – No, które z was mi powie?

Dzieci nie zwracały na Pana od Przyrody żadnej uwagi, tłukąc się kijami.

– Może Jasio... – nie dawał za wygraną Pan od Przyrody.

– Chyba chce dostać w dziób – stwierdził Jasio w odpowiedzi.

– Świetnie! – zawołał Pan od Przyrody. – Jasio orientuje się, jak zdobywają pożywienie ptaszki. A inne zwierzątka? Powiedz ty, Stasiu.

– Weźmie w ryja – powiedział Stasio ni to do Pana od Przyrody, ni to do klasy.

– Brawo! – wykrzyknął Pan od Przyrody. – Stasio wie, jak robią to dziki!

Pan od Przyrody zwrócił się teraz do Ewelinki.

– Dostanie w trąbę, jak pragnę zdrowia – powiedziała Ewelinka.

– Tak! – Pan od Przyrody klasnął w dłoń.

Mister O’Goreck poszedł pogratulować Panu od Przyrody, że udało mu się znaleźć z klasą porozumienie.

– Trzeba tylko zadawać takie pytania, na które odpowiedź nie sprawia im trudności – wyjaśnił skromnie Pan od Przyrody.

SŁOWNICZEK TRUDNIEJSZYCH TERMINÓW

MARZENIE SZKOLNE UCZNIA – doczekać dzwonka bez jedyńki;

MARZENIE SZKOLNE NAUCZYCIELA – doczekać dzwonka z jedyńką (a także – ile można – dwójką, trójką w ogóle wszystkimi zębami)<sup>823</sup>.

<sup>822</sup> Tenże, *Skąd się wzięli uczniowie*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek...*, dz. cyt., s. 175.

<sup>823</sup> Tenże, *Mister O’Goreck znajduje wspólny język z młodzieżą*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek...*, dz. cyt., s. 180.

**Przykład 657. Michał Ogórek – *Nauczycielom też może się przelewać (kulinaria)* (2005)**

Kadra pedagogiczna za swą pracę otrzymuje kwiaty. Ten ich główny dochód pozostaje jednak zwykle niewykorzystany i do niczego nie służy, a nauczyciele dalej nie mają co do garnka włożyć.

Oto specjalny przepis na Dzień Nauczyciela ze starej książki kucharskiej:

Sorbet z fiołków

60 ml (4 łyżki) kremu fiołkowego (creme de violette); 200 ml syropu cukrowego; 300 ml soku winogronowego; 30 ml (2 łyżki) soku z limony; 1 białko; 50 g cukru pudru.

Połączyć wszystkie płynne składniki w misce i schłodzić, aż osiągną konsystencję papki. Dodać ubitą pianę z białek zmieszaną z cukrem pudrem. Ponownie schłodzić. Podawać w szklankach udekorowanych kwiatami fiołków<sup>824</sup>.

**Przykład 658. Stanisław Tym – *Rodzina Wtorków, czyli 2 + 1* (2005?)**

Doc. Jan Wtorek jest absolwentem. Pracuje naukowo w Instytucie Badań Biochemii Analitycznej, gdzie ma półtora etatu. Jego żona Halina jest etatową piełgniarką dyplomowaną zatrudnioną w firmie ubezpieczeniowej „PSU NA ŻYCIE”. Mają córkę, 12-letnią Agnieszkę. Rodzina państwa Wtorków utrzymuje się ze sprzątanía pomieszczeń, wynajmowania się do różnych innych prac porządkowych oraz z opieki nad dziećmi – jeśli czas pozwala.

Instytut, w którym pracuje pan Jan, jest w stanie likwidacji. Ostatnia grupa jego personelu zajmuje trzy studzienki kanalizacyjne, w których kończy prace naukowo-doświadczałne. Firma pani Haliny wybudowała w ostatnim roku 9 przepięknych wieżowców. Prezesem zarządu jest dr Wacław Jarmużyna, który 10 z tych wieżowców odsprzedał bardzo korzystnie Agencji Rozwoju Regionalnego – spółce cywilnej senegalsko-polsko-austriackiej z siedzibą na Cyprze. Korzystnie dla agencji, oczywiście i ze szkodą dla spółki „PSU NA ŻYCIE”, która do listopada musi się wynieść ze wszystkich wieżowców. Dr Jarmużyna po wpłaceniu kaucji w wysokości 300 mln \$ pojechał na wycieczkę do Indii.

Agnieszka Wtorkówna ma 12 lat, chodzi do VI klasy szkoły nr 1007 i jest w ochotniczej grupie uczniowskiej chroniącej nauczycieli przed „młodzieżą uczącą się inaczej”<sup>825</sup>.

<sup>824</sup> Tenże, *Nauczycielom też może się przelewać (kulinaria)*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek...*, dz. cyt., s. 206.

<sup>825</sup> S. Tym, *Rodzina Wtorków, czyli 2 + 1*, [w:] tegoż, *Mamuta tu mam...*, dz. cyt., s. 96.

**Przykład 659. Anonim – Ożenek a oceny społeczne (2006?)**

Ożenek jest zawsze czymś trudnym dla naukowców. Zwykli ludzie sięgają po różne pośrednie i obłudne metody dla stwarzania fałszywego wrażenia swej atrakcyjności. Naukowcy nie są zdolni do wynoszenia wyglądu ponad funkcję.

Jednakże naukowcy mają jeden atut. Są ogólnie uznawani jako najlepszy materiał dla ożenku: inteligentni, zależni, pracujący, honorowi, krzątający się wokół domu. Większość zwykłych ludzi postrzega naukowców jako tych, którzy na dużo wcześniej mają wysoko płatną pracę niż tracą swoją cnotę.

Mężczyźni-naukowcy osiągają szczyt swojej atrakcyjności seksualnej później niż większość zwykłych ludzi; ich erotyczne dynamo jest najbardziej nalaadowane między trzydziestką a późną czterdziestką. Kobiety-naukowcy stają się niewrażliwe na seks, bez względu na wiek, i pozostają takimi aż do około trzydziestu minut po śmierci klinicznej. Dłużej, jeśli jest to ciepły dzień<sup>826</sup>.

**Przykład 660. Anonim – Prawdziwy naukowiec (2006?)**

Według kwizu określającego cechy prawdziwego naukowca, jesteś prawdziwym naukowcem:

– Jeśli w dzień Bożego Narodzenia rodzinie poświęcasz tylko połowę dnia, a podczas drugiej połowy zajmujesz się pracą naukową.

– Gdy żona chce omówić z tobą plan wakacji z waszymi dziećmi, reagujesz pytaniem: My mamy dzieci?

– Jeśli nauczycielka wzywa cię, aby porozmawiać o postępach w szkole twoich dzieci, masz trudności z określeniem ich imion.

– Jeśli podczas pobytu na kongresie naukowym w bardzo atrakcyjnym zakątku świata w czasie wolnym przesiadujesz w hotelu, przygotowując się do obrad następnego dnia<sup>827</sup>.

**Przykład 661. Joemonster.org – Chuck Norris. Z półobrotu. Fragmenty (2006)**

Jak Chuck Norris odbiera dzieci ze szkoły, to nikt nigdy nie śmieje się z tego, że podjechał Ładą. Nigdy<sup>828</sup>.

Kiedyś pan od matematyki chciał udowodnić małemu Chuckowi, że  $1+1=2$ . Od tej pory pan profesor musiał nauczyć się myśleć abstrakcyjnie<sup>829</sup>.

<sup>826</sup> Anonim, *Ożenek a oceny społeczne*, [w:] R. Tokarczyk, *Antologia anegdoty akademickiej*, Wolters Kluwer Polska, Warszawa 2006, s. 86.

<sup>827</sup> Anonim, *Prawdziwy naukowiec*, [w:] R. Tokarczyk, dz. cyt., s. 91.

<sup>828</sup> Joemonster.org (oprac.), *Chuck Norris. Z półobrotu*, Joemonster.org, Poznań 2006, s. 11.

<sup>829</sup> Tamże, s. 12.

Chuck Norris wchodzi do akademika bez okazywania karty mieszkańca<sup>830</sup>.  
 Panie w dziekanacie zawsze mówią Chuckowi Norrisowi: „Dzień dobry”.  
 Zawsze<sup>831</sup>.

Chuck Norris nigdy nie musiał zaliczać sesji. To sesja musiała zaliczyć  
 Chucka<sup>832</sup>.

**Przykład 662. Joemonster.org – Kwiatki polityków,  
 czyli spieprzaj dziadu! Fragmenty (2006)**

Nowy MEN czyli Minister Edukacji Narodowej

Fragment audycji w Antyradiu:

– W związku z zaistniałą sytuacją – Lepper Ministrem rolnictwa, Giertych –  
 edukacji, pragnę podzielić się krótką refleksją... Choć może to nie miejsce...

– Dżizes Kurwa Ja Pierdole!!<sup>833</sup>

**Przykład 663. Joemonster.org –  
 Z pamiętnika ministra edukacji. Fragmenty (2006)**

Kochany pamiętniczku!

Dziś widziałem z okna kolejną demonstrację przeciwko mnie. Doszło już  
 nawet do tego, że nie mogę wyjść do piwnicy po ziemniaki, żeby się nie potknąć  
 o jakiegoś leżącego, „zmęczonego upałem” demonstranta czy porzucony trans-  
 parent. Smutno mi się zrobiło na sercu, bo człowiek się stara, wysiła te kilka  
 zwojów, a oni mu bez przerwy kołodki pod nogi rzucają...<sup>834</sup> [...].

Wczoraj zastanawiałem się, czy skubani demonstranci nie mają może tro-  
 chę racji. W sumie to może faktycznie nie powinienem zostawać ministrem edu-  
 kacji, a np. ministrem zdrowia. Przecież na medycynie znam się tak samo jak  
 na szkolnictwie... Aby rozwiać swoje wątpliwości, postanowiłem zasięgnąć „opi-  
 nii przeszłości”. Wyciągnąłem z szafy kopię swojej pracy maturalnej i przeczy-  
 tałem. Temat: „Niepokalane poczęcie a owca Dolly – różnice i podobieństwa.  
 Opisz temat na podstawie przeczytanych książek”. Wybrałem „Naszą szkapę”,  
 panoramę firm i książkę telefoniczną. Tak, to powinno zamknąć usta moim prze-  
 ciwnikom...<sup>835</sup> [...].

<sup>830</sup> Tamże, s. 36.

<sup>831</sup> Tamże, s. 42.

<sup>832</sup> Tamże, s. 77.

<sup>833</sup> Tamże, s. 125.

<sup>834</sup> Tamże, s. 129.

<sup>835</sup> Tamże, s. 130–131.



Nawet sobie nie wyobrażasz, drogi pamiętniczku, ile kontrowersji wzbudził mój pomysł utworzenia instytutu wychowania. A przecież ja na każdym kroku przekonuję się, że jest on potrzebny! Np. wczoraj, gdy zygzakiem wracałem z zebrania partii, zaczęła mnie pewna skąpo ubrana pani i powiedziała, że jak chcę, to ona może wskoczyć ze mną w krzaki i za 150 zł zdjęć majtki i mi dać... Dasz wiarę?! Po co mi jej majtki?! I to za taką cenę!<sup>836</sup> [...].

Nawet sobie, pamiętniczku, nie wyobrażasz, jak wielki entuzjazm wywołała moja decyzja o amnestii dla maturzystów. Codziennie otrzymuję setki, a nawet tysiące dowodów wdzięczności. Drobne prezenty i kwiaty sprawiają mi wielką przyjemność. A Andrzej i Renata nawet złożyli się i wykupili mi kurs samoobrony...<sup>837</sup>

**Przykład 664. Maciej Szymkiewicz – *Sejm się śmieje.*  
Fragmenty wypowiedzi sejmowych  
na temat edukacji z 19.07.2006 (2006)**

5. kadencja, 22 posiedzenie, 2 dzień (19.07.2006)

Krzysztof Szyga (KPRLN)

Wysoki Sejmie! Jak mówiłem, zdałem maturę i dlatego znam prawo Ohma. Zgodnie z prawem Ohma, aby obniżyć natężenie, trzeba obniżyć napięcie, co jest raczej niemożliwe, gdyż może nie potencja, ale potencjał obu ugrupowań jest ogromny. (*Wesołość na sali*). Napięcie, jak wiemy, jest różnicą tych potencjałów. Jak w takim razie obniżyć natężenie drugim sposobem wynikającym z prawa Ohma? Zmniejszyć... (*Głosy z sali: Opór*). Zwiększyć czy zmniejszyć? (*Głosy z sali: Zwiększyć*).

Zwiększyć, doskonale. Jak widzę, wielu posłów zdało maturę. (*Wesołość na sali, oklaski*). Należy zwiększyć opór, opór przed tzw. polityczną poprawnością, czyli zwykłym konformizmem, i nie bać się, panie premierze, nawet radykalnych rozwiązań. Panie premierze, proszę korzystać z prawa Ohma.

[...].

Nauczyłem się trochę o atomistyce też dzięki maturze. W nauce tej funkcjonuje pojęcie „czas połowicznego rozpadu”. Życzę panu, panie premierze, gorąco, by dla pana koalicji czas ten był jak najdłuższy. Dzięki maturze znam się też wystarczająco na innych przedmiotach, na przykład na astronomii. (*Głos z sali: Bardzo dobrze, widać, że się uczył*). Wiem więc, gdzie szukać gwiazdozbioru

<sup>836</sup> Tamże, s. 132–133.

<sup>837</sup> Joemonster.org, *Z pamiętnika ministra edukacji*, [w:] Joemonster.org (oprac.), *Kwiatki polityków, czyli spieprzaj dziadu!*, Vesper, Poznań 2006, s. 139.

Bliźnięt. (*Wesołość na sali, oklaski*). O tej porze roku na wschodzie, tuż przed wschodem Słońca. Zapraszam wszystkich, którzy chcą to zaobserwować. Życzę na koniec panu, panie premierze, by wasza gwiazda, na wzór Kastora i Poluksa, cały czas lśniła na firmamencie niebieskim, a z nią gwiazda Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Dziękuję bardzo. (*Oklaski*)<sup>838</sup>.

**Przykład 665. Stefania Grodzieńska – *Nie ma z czego się śmiać.*  
Fragmenty wspomnień  
z okresu międzywojennego (2007)**

Przed wojną Łódź była miastem polsko-żydowsko-niemieckim, co tak pięknie pokazali panowie Reymont i Wajda w swoich *Ziemiach obiecanych*. Były więc szkoły z niemieckim językiem wykładowym i babcia była zadowolona, że będę mogła iść do I klasy i nie stracę roku. A jak już będę dobrze mówiła po polsku, a nie tylko dobrze po rosyjsku i niemiecku i słabo po francusku, to się przeniosę do polskiej szkoły.

Dziadek nigdy się babci nie przeciwstawiał, więc babcia zrobiła wielkie oczy, kiedy poszedł i zapisał mnie do polskiego gimnazjum. Przełożoną tego gimnazjum była fanatyczka marszałka Piłsudskiego. Jedną z przyczyn jej poglądów politycznych był fakt, że niegdyś trzymała z marszałkiem czyjeś dziecko do chrztu. Dziadek (nie Piłsudski, tylko mój) poszedł do tej szkoły i poprosił panią przełożoną o chwilę rozmowy. Po paru minutach wyszły oba szydła z worka i gadali sobie jak piłsudczyk z piłsudczycą. Dziadek uprzedził ją, że dziewczynka doskonale się uczyła w berlińskiej szkole, ale nie zna dobrze polskiego.

O tym wszystkim dziadek opowiadał babci i mnie przy obiedzie. Mielony z marchewką dlatego tak mi utkwiał w pamięci, że jedząc go, dowiedziałam się o mojej polskiej przyszłości. Przy kisielu babcia z kolei dowiedziała się, że ma przed sobą uczennicę I klasy Gimnazjum Żeńskiego Janiny Pryssewiczówny. Co prawda pani przełożona była już w wieku, do którego pasowałaby raczej końcówka „owa”, ale nie miała potrzebnego do tego męża. Tę „-ównę” nosiła z dumą i godnością. Jakaś Janina Pryssewicz nie wchodziła w rachubę. Byłaby równie dziwna jak Eliza Orzeszko czy Maria Rodziewicz.

Dziadek kończył swą relację, nie kryjąc oburzenia: – Wyobraź sobie, moja droga, że ona spytała, czy to dziecko da sobie radę w polskiej szkole bez znajomości polskiego!

– I co ty na to? – spytała babcia.

<sup>838</sup> M. Szymkiewicz (oprac.), *Sejm się śmieje*, Vesper, Poznań 2006, s. 318–319.

– Ja na to, że TO DZIECKO da sobie radę ze wszystkim, bo to jest emigranckie dziecko, proszę pani, i szybko skierowałem rozmowę na Pierwszą Brygadę. Byliśmy na te tematy z panią przełożoną całkowicie zgodni i Stefcia jest przyjęta [...].

Wtedy w gimnazjach były klasy wstępne: A, B i C, przyjmowano od sześciu lat, więc dziewięciolatki były w I klasie, a w klasie maturalnej – szesnastolatki [...]. Rozległ się dzwonek i szatnia opustoszała. Patrzyłam uważnie, do jakiej klasy wchodzi dziewczynki w moim wieku i też weszłam. Korzystając z panującego jeszcze zamieszania, stanęłam na ławce i wykrzyczałam wyuczone zdanie: „Nazywam się Stefania Grodzieńska, kto chce ze mną siedzieć?”.

Ten gest w połączeniu z nienagannym rosyjsko-niemieckim akcentem zrobił wrażenie i wszystkie chciały. Cały scenariusz wymyślił dziadek, ale bez fałszywej skromności powiem, że wykonałam go perfekcyjnie. Nie było to dla mnie trudne. Zawsze lubiłam być gwiazdą moich pięciu minut, przy tym jako emigranckie dziecko, wyszwendane po tyłu środowiskach, nie znałam uczucia tremy. Zadzwonił drugi dzwonek i dziewczynki pobiegły na swoje miejsca. Jedna z nich złapała mnie za rękę, pociągnęła, krzyknęła do tej, której miejsce miałam widocznie zająć: „Siadaj z Jadźką!” i już siedziałyśmy obok siebie. To była Krysia Jabłkowska, siedziałyśmy w jednej ławce przez siedem lat, do dnia wyrzucenia mnie ze szkoły na rok przed maturą. Do tej wstydlivej sprawy powrócę. Na razie zdradzę tylko, że z dumą, a nawet z pychą przypominam przy różnych okazjach, że wielki Andrzej Wajda też nie ma matury. Owszem, mógł studiować: na szczęście dla światowej kinematografii, zaraz po wojnie rekrutowano studentów na ASP bardziej na podstawie teki prac kandydata niż zaświadczeń o ukończeniu tajnych kompletów. Tym bardziej że młodzi ludzie, schodząc do podziemia lub wyruszając do partyzantki, nie odczuwali potrzeby zaopatrywania się w dokumenty o wykształceniu. Raczej wszelkich papierów się pozbywali. Więc po co taki kandydat Wajda, którego portfolio musiało być co najmniej zadowalające, miałby sobie zawracać głowę maturą?

W moim przypadku powody były mniej malownicze, ale jest faktem, że pomijając taki drobiazg jak późniejsze dwa fakultety Andrzeja Wajdy, oboje mogliśmy pisać „wykształcenie – niepełne średnie”. A mimo to oboje wyrosliśmy na ludzi. Nie ma z czego się śmiać.

Pauza się skończyła. Weszła nauczycielka francuskiego. Wstałyśmy.

– *Bonjour, mes enfants. Assayez-vous.*

Usiadłyśmy.

– Ty jesteś ta nowa – zwróciła się do mnie po polsku. – Jak masz na imię?

– *Je m'appelle Stephanie, madame* – odpowiedziałam po francusku, nie żeby się popisać, tylko przy całej szczupłości mojej francuszczyzny, którą po trochu wypychała mi mama, było mi łatwiej niż po polsku.

– *O, tu parles français* – ucieszyła się nauczycielka.

– *Un petit peu, madame.*

Tu przestraszyłam się ewentualnej opinii pracusia i lizusa i pośpiesznie wystękałam po polsku, że mam braki w polszczyźnie, ale postaram się je nadrobić. Używam tu *oratio obliqua*, żeby nie straszyć moją ówczesną polską *oratio recta*.

Klasa wybuchła cyklonem śmiechu, a było z czego się śmiać. Stało się to, czego najbardziej się obawiałam: ośmieszyłam się [...]. W cyklonie śmiechu padł mój prestiż. Oczywiście po opisanych perypetiach językowych uczennicy odbyła się normalna lekcja francuskiego, z której nic nie pamiętam, bo po cyklonie straciłam kontakt z mózgiem. Siedziałam w ławce obok Krysi Jabłkowskiej i zastanawiałam się, czy rzucić się z okna (niestety klasa była na parterze), czy przeciąć sobie żyły przyniesionymi na lekcje plastyki nożyczkami (niestety tępe), kiedy mała ciepła rączka uścisnęła moją zlodowaciałą dłoń i Krysia powiedziała: „Czytałaś *Anię z Zielonego Wzgórza*? To ty będziesz Anią, a ja Gilbertem, żadna siła nas nie rozłączy”.

Tymczasem pani Wyszacka od francuskiego wyszła z klasy i rozpoczął się lincz. Przyjazne przed lekcją dziewczynki otoczyły naszą ławkę i krzychały: „won, Niemro”, „idź do szwabskiej szkoły”, „a może ona po niemiecku też nie umie”, „chwalipięta”, „kłamczucha”, „udaje, że nie umie po polsku”, „nie ma rodziców”, „jest w jakimś przytułku”, i dalej w tym duchu. Krysia później mi wyjaśniła, że pani przełożona wczoraj po lekcjach specjalnie przyszła, żeby polecić klasie miłe przyjęcie mnie, bo to i tamto. Z trudem odróżniałam jakieś pojedyncze okrzyki, od razu jednak zrozumiałam, że wszystkie są przeciwko mnie.

Krysia, nie puszczając mojej ręki, wstała i krzyknęła: „Jesteście obrzydliwe, wstrętne, jaki to wstyd dla szkoły, dla Polski!”. Klasa przyciszyła się nieco, ale wciąż rozlegały się wrogie okrzyki. Krysia ścisnęła moją rękę i nie dawała się zakrzyczeć, wreszcie zawołała: „Chcę wam powiedzieć coś ważnego, posłuchajcie!”. Klasa ucichła, a Krysia powiedziała: „Chciałam iść po panią Leokadię (wychowawczyni! – uczyła rysunków w innych klasach i dlatego jej tu nie było), ale Stefcia mi zabroniła skarżyć”. To nie była prawda. Powiedziałam tylko: „Chcesz, to je stłuczemy. Umiem dobrze szczypać”. Mała, odważna Krysia stanęła w mojej obronie przeciwko 23 rozjuszonym dziewczynkom, a do tego jeszcze zrobiła ze mnie bohaterkę... Weszła pani Leokadia i rozejrzała się.

– Słyszałam jakieś hałasy.

– Bawiliśmy się w zoo – wytłumaczyła szybko Krysia – i byliśmy różnymi zwierzętami.

Pani Leokadia przypatrzyła się mojej zapłakanej twarzy i wciąż zaciśniętym naszym rękom.

– Widzę, że nowa koleżanka już ma przyjaciółkę. To dobrze. Dziękuję, żeście tak miło ją przyjęły.

Nastąpiła chwila ciszy, potem emocje wyzwoliły się w ogólnym wybuchu śmiechu. Pani Leokadia przeczekwała, a kiedy się uciszyło, powiedziała bardzo poważnie: „Nie ma z czego się śmiać”<sup>839</sup>.

### **Przykład 666. Marcin Rychlewski (oprac.) – *Absurdy PRL-u*. Fragmenty dotyczące wydarzeń z 1957 roku (2007)**

Ministerstwo Oświaty wydało tymczasowy program dla szkół przysposobienia rolniczego na rok 1957/1958. W programie tym na stronie 36 czytamy: Rozplód. Temat ten jest stosunkowo prosty, na ogół znany młodzieży z praktyki i nie powinno być większych trudności przy jego realizacji. („Przekrój”, 19 stycznia 1958, nr 667)<sup>840</sup>.

### **Przykład 667. Marcin Rychlewski (oprac.) – *Absurdy PRL-u*. Fragmenty dotyczące wydarzeń z marca-kwietnia 1968 roku (2007)**

Z „Trybuny Ludu”

Zwolnieni ze stanowisk na Uniwersytecie Warszawskim (26.03.1968) 25 bm. zostali zwolnieni ze swych stanowisk na Uniwersytecie Warszawskim profesorowie Wydziału Filozoficznego: prof. dr Bronisław Baczko, prof. dr Leszek Kołakowski i prof. dr Stefan Morawski, docenci tego wydziału: Zygmunt Bauman, Maria Hirszowicz oraz profesor Wydziału Ekonomii Politycznej – Włodzimierz Brus.

Opinia publiczna posiada już sporo informacji o organizatorach ostatnich wydarzeń na Uniwersytecie Warszawskim i w środowisku studenckim. Wiadomo, że bezpośrednimi sprawcami tych wydarzeń była dobrze zorganizowana grupa studentów lub byłych absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego, głównie pochodzenia żydowskiego, znanych od dłuższego czasu z rewizjonistycznych wystąpień i poglądów [...].

<sup>839</sup> S. Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, Instytut Wydawniczy Latarnik im. Zygmunta Kałużyńskiego, Michałów-Grabina 2007, s. 18–24, Wspomnienie dotyczy Gimnazjum Żeńskiego Janiny Prysiewiczówny w Łodzi, w okresie międzywojennym.

<sup>840</sup> M. Rychlewski (oprac.), *Absurdy PRL-u 2. Antologia*, Vesper, Poznań 2007, s. 215.

Wszyscy wymienieni pracownicy naukowo-dydaktyczni ponoszą dużą moralną i polityczną odpowiedzialność za ostatnie wydarzenia na UW. Udzielali oni przez długi czas ideowego wsparcia oraz osłony grupie Kuronia i Modzelewskiego, a następnie Michnika, Szlajfera, Blumsztajna, Dajczgewanda i innych.

Wierność i poparcie dla partii. Wrogów ludowej ojczyzny izolować od uczciwie pracującego społeczeństwa (3.04.1968).

Na zebraniu zespołów redakcyjnych szczecińskiej prasy, radia i TV podjęta została jednomyślnie rezolucja, w której m.in. czytamy: „Solidaryzujemy się z decyzjami, które uniemożliwiają już określonej grupie naukowców Uniwersytetu Warszawskiego, rewizjonistom i pseudoliberalom, oddziaływanie na młodzież studencką i sprzeczne z interesami narodu polskiego utrzymywanie monopolistycznego wpływu na rozwój polskiej myśli socjologicznej, ekonomicznej i filozoficznej. Jesteśmy przeciwko Żółkiewskim, Baumanom, Brusom i Staszewskim.

Uważamy jednak, że podobnie zdecydowanego działania partii wymaga również polska prasa, agencje prasowe, radio i telewizja, zgodnie z tym, co powiedział towarzysz Wiesław: „Z racji swych kosmopolitycznych uczuć ludzie tacy powinni jednak unikać dziedzin pracy, w których afirmacja narodowa staje się rzeczą niezbędną”<sup>841</sup>.

### **Przykład 668. Marcin Rychlewski (oprac.) – *Absurdy PRL-u.* *W trosce o oświatę (2007)***

Jeden dzień pracy kierownika domu kultury (obserwację prowadziła studentka Studium Kulturalno-Oświatowego)

Czytanie korespondencji (w nawiasie podaję czas w minutach – 15 min.)

Rozmowa towarzyska ze studentką (20 min.)

Rozmowa z plastyczką na temat zrobienia dekoracji na planowaną imprezę kabaretową (20 min.)

Kierownik telefonuje do klubu X w sprawie prelegenta (10 min.)

Czytanie gazety codziennej (3 min.)

Kierownik wychodzi, nie podając gdzie (32 min.)

Kierownik przegląda plan pracy (15 min.)

Kierownik wychodzi (5 min.)

Rozmowa towarzyska ze studentką (25 min.)

Wyjście do filii nie wiadomo po co (90 min.)

Rozmowa z instruktorem na temat planowanej imprezy kabaretowej (30 min.)

---

<sup>841</sup> Tamże, s. 38–40.

Kierownik wychodzi, nie podając gdzie (30 min.)

Wyjście na obiad (30 min.)

Rozmowa z instruktorami na temat planowanego koncertu (30 min.)

Wyjście do domu (10 min.)

Razem: 365 minut<sup>842</sup>.

### **Przykład 669. Krzysztof Daukszewicz – *Menel belgijski* (2008)**

Jeden z tamtejszych działaczy antyalkoholowych pojechał na belgijską wieś wygłosić pogadankę o szkodliwości picia mocnych, a nawet i słabych trunków i zaczął wykład od retorycznego, ale jak się okazało bardzo niebezpiecznego pytania.

– Jeżeli osioł – powiedział – będzie miał przed sobą wiadro wódki i wiadro wody, to czego się napije?

– Wody – krzyknął miejscowy menel.

– ... a dlaczego?

– Bo osioł<sup>843</sup>.

### **Przykład 670. Krzysztof Daukszewicz – *Menel z podstawówki* (2008)**

Wzruszył mnie kolega ze szkolnej ławy, który awansował do stopnia menea, czekający pod Teatrem Jaracza w Olsztynie, z nadzieją, że go wspomogę w upojnym zakończeniu dnia.

– Co słysząc Krzysieńku! Poznajesz mnie?

– Nie za bardzo.

– Jestem Stefan, chodziliśmy razem do podstawówki.

– Aaaa, Stefan!... Rzeczywiście chodziłem ze Stefanem. To ty? Nic się nie zmieniłeś.

– W rzeczy samej.

A muszę tu dodać, że byłem tego dnia w teatrze z okazji dnia świątecznej pomocy, więc pytam byłego kumpla: – To powiedz mi Stefan, jak ci mija ten dzień orkiestry Jurka Owsiaaka.

Na to on ze szczerością odpowiedział: – Krzysieńku, tak se dałem wczoraj w palnik, że do tej pory nie zauważyłem żadnej orkiestry<sup>844</sup>.

<sup>842</sup> Tenże, *W trosce o oświatę*, [w:] tegoż (oprac.), *Absurdy PRL-u 2...*, dz. cyt., s. 91.

<sup>843</sup> K. Daukszewicz, *Menel belgijski*, [w:] tegoż, *Meneliki, limeryki, epitafia, sponsoruje raska mafia*, Bellona, Warszawa 2008, s. 54.

<sup>844</sup> Tenże, *Menel z podstawówki*, [w:] tegoż, *Meneliki...*, dz. cyt., s. 47.

**Przykład 671. Zdzisław Michał Kamiński – *Apel* (2008)**

Czytajcie dzieci, bo warto!  
Tak chłopcy jak i dziewczęta;  
Każde z was zaraz nabierze klasy.  
Otworzą wam się oczęta!  
Czytajcie dzieci! To miłe!  
W głowie nie będzie sieczki;  
Trzeba wprowadzać taką modę,  
że wszyscy czytają książeczki!

Trzeba wiedzieć, że kto czyta  
inaczej na świat patrzy.  
Nawet jak będzie bezrobotny,  
to jednak będzie bogatszy!  
Kto czyta pilnie i co dzień,  
pogłębia wiedzę o świecie.  
Tego co znajdzie w książce  
nie znajdzie w Internecie!

Czytajcie dzieci pilnie!  
Kto czyta unika błagi.  
I powie jak w bajce Andersena  
prawdę, że król jest nagi...  
bo trzeba jeszcze, drogie dzieci,  
w idee wierzyć ufnie...  
A wtedy kochasiu, masz jak w banku,  
że tyłek od tego ci spuchnie...

Tak więc czytajcie drogie dzieciaki!  
Wytrwale i niezmiennie.  
Czytajcie także swoim rodzicom.  
Dwadzieścia minut dziennie!<sup>845</sup>

---

<sup>845</sup> Z.M. Kamiński, *Apel*, [w:] tegoż, *Skończyły się żarty*, nakładem autora, Warszawa 2008, s. 58. Utwór nawiązuje do akcji „Cała Polska czyta dzieciom”: <https://calapolskaczycztadzieciom.pl> (22.03.2021).



**Przykład 672. Artur Andrus – *Żuj rzeżuchę.*****Wpis na blogu z 4 kwietnia 2009 roku (2009)**

Na święta jak zwykle przyjeżdża z Ameryki ciotka Zośka. Tym razem nie sama. Przywozi ze sobą przyjaciółkę. Jane, emerytowana policjantka, jest podobno urocza i fascynuje się Polską. Chcąc zaimponować ciotce Zośce, zaczęła się samodzielnie uczyć naszego języka. Pierwsze słowa, jakie opanowała, pochodzą z okładki płyty Kazika, którą kilka lat wcześniej Zocha podarowała jej na urodziny. Zatem początkiem jej przygody z językiem polskim było jakże słowiańsko brzmiące: *Las Maquinas de la Muerte*.

Cała rodzina postanowiła włączyć się aktywnie w edukację Jane i przy świątecznym stole mamy zamiar nauczyć ją kilku zdań. Tylko jakich? Czasem w takich kłopotliwych sytuacjach zwracam się do bardziej doświadczonych ode mnie. Poprosiłem o pomoc słuchaczy mojej audycji. Zapytałem, jakie były pierwsze słowa, których nauczyli swoich znajomych obcokrajowców. Kiedy zaczęły spływać listy z cytatami, poprosiłem o przysyłanie „drugich słów”, bo te pierwsze nie nadają się do przeczytania w radiu. Ale w tych „drugich słowach” (czyli tych, których uczymy obcokrajowca zaraz po opanowaniu przez niego: k..., ch..., p...) wykazujemy niezwykłą pomysłowość. Oto kilka opowieści moich słuchaczy – wszystko autentyki!

Natalia: Podczas podróży autostopem po Europie poznałam we Francji pewnego Włocha, który przyjechał tam na studia. Nie znał ani jednego słowa w języku francuskim, ale za to nauczył się, będąc niegdyś w Krakowie, kilku zdań – „Babcia śpi na wycieracze”, „Kot pali fajkę”, „A ja jestem trzeźwy”.

Przemek i Ela: Właśnie wróciliśmy z Egiptu. Tubylcy dopytywali się, co znaczy „dobra, dobra zupa z bobra”.

Kinga: W ubiegłym roku na regatach spotkaliśmy pewnego pana, bodajże Anglika, który dowiedziawszy się, że jesteśmy Polakami, powiedział z dumą, że zna trzy słowa po polsku na „dź” – „dżen dobry”, „dżenkuje” i „dżyn-tonik”.

Krzysztof: Moi irlandzcy współpracownicy w biurze architektonicznym w Dublinie znali po polsku tylko dwa słowa – żaba i kijanka. Co ciekawe – nie znali przekleństw. Nie jestem w stanie sobie przypomnieć, dlaczego były to akurat te wyrazy... Ale powtarzali je z upodobaniem.

Marek: „Pracowałem z Duńczykiem, który twierdził, że miał kiedyś dziewczynę polskiego pochodzenia i w związku z tym zna jedno słowo po polsku. Cytuję: „Krokodylek”.

Anna: Uczyliśmy polskiego znajomych Włochów. Poza typowymi zwrotami grzecznościowymi i słowami powszechnie uznawanymi za obraźliwe, jednego

z nich nauczyliśmy bardzo przydatnego zwrotu „Jem kartofle”. Był bardzo pojęty, ale siadając do stołu, mówił „Dobranoc”.

Kasia: Mój kolega, chcąc pomóc swojemu koledze Hiszpanowi zabłysnąć na pierwszej randce z Polką, nauczył go kulturalnego zwrotu – „Jaką paszę preferujesz?”.

I na koniec opowieść o tym, jak się może skończyć takie nauczanie.

Łukasz: Jestem lektorem języka polskiego na Uniwersytecie Wrocławskim, dwa lata temu moi studenci (głównie Azjaci) na zakończenie kursu kupili mi kwiaty ze wstęgą „Ostatnie pożegnanie”.

Ja postaram się wmówić Jane, że jeśli podczas wielkanocnego śniadania chce komuś życzyć „smacznego”, powinna powiedzieć: „Żuj rzeżuchę i żryj żur”. Podobno najłatwiej zapamiętuje się coś napisanego do rymu, dlatego zabrałem się za układanie wiersza, który może pomóc Jane i innym obcokrajowcom uczącym się polskiego:

Żuj rzeżuchę i żryj żur,  
Krokodylkiem cię postraszę,  
Żuj rzeżuchę i żryj żur,  
Preferujemy taką paszę<sup>846</sup>.

### **Przykład 673. Artur Andrus – *Wypracowanie.***

#### **Wpis na blogu z czerwca 2009 roku (2009)**

Parę lat temu ktoś mi podarował odbitkę klasówki. To była praca z przyrody albo biologii. Nauczyciel polecił pisemnie odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest znaczenie zieleni w miastach, osiedlach, krajobrazie?”. Uczeń, którego pracę dostałem, przesłyszał się troszkę i zanotował temat: „Jakie jest znaczenie jeleni w miastach, osiedlach, krajobrazie”. No i się zaczęło. Niby tylko jedna głoska, a konsekwencje nieprawdopodobne. Nie wiem, jaką ocenę dostał ten uczeń za wypracowanie, ja dałbym mu szóstkę choćby za determinację w poszukiwaniu sensu. Zacytuję kilka fragmentów (zachowuję oryginalną pisownię): „Znaczenie jeleni w miastach jest bardzo małe i niebezpieczne ponieważ jeleni nie ma tam żadnej satysfakcji życiowej. Ponieważ nie miał by jak się tam poruszać po między tyloma ludźmi i pojazdami... W osiedlach ma dobre warunki życiowe ponieważ jest tam bardzo zaludniona trawą zieloną którą jelenie wiosną, jak i późną jesienią sporzywiają do codziennego posiłku... W krajobrazie bardzo ważna jest dla jeleni wolność, którą mogą się nacieszyć poprzez całe swoje życie, kiedy

<sup>846</sup> A. Andrus, *Żuj rzeżuchę*, [w:] tegoż, *Blog osławiony między niewiastami*, Prószyński i Ska, Warszawa 2012, s. 261–263.

ktoś ich niezabije... Jeleń w krajobrazie ma bardzo duże znaczenie ponieważ ma satysfakcję na polach, łąkach, polanach, lasach ponieważ ma tam co robić na świeżym powietrzu...”

Przysięgam, że nie zmyśliłem ani słowa. Ale postanowiłem sobie teraz pomyślać. Wyobraziłem sobie, że znowu jestem uczniem, że siedzę zestresowany w ławce, bo pan od historii kazał wyjąć kartki. Zapisałem temat: „Polska w okresie rozbicia dzielnicowego spowodowanego testamentem Bolesława Krzywoustego”. No to zagryzam końcówkę długopisu i piszę (postaram się też o jakąś oryginalną pisownię): „Po ogłoszeniu testamentu Bolesława Krzywoustego dzielnicowy był bardzo przygnębiony. Nie spodziewał się, że tak mało Krzywousty zapisze mu w testamencie. A wtedy akurat znowu obcięto dotacje dla policji, a tak to by dzielnicowy z tego spadku mógł kupić papier do ksero i wydrukować karteczki z napisem jak się nazywa i jaki jest do niego numer telefonu, żeby porozklejać po klatkach schodowych, bo niektórzy twierdzą, że dzielnicowego nie znają. Ale większość porządnych ludzi na naszym osiedlu go zna i każdego ranka wypatrujemy go przez okno i witamy serdecznym pozdrowieniem, zapraszając do swoich domów, żeby porozmawiać o aktualnej sytuacji w dzielnicy i poinformować o niepokojących zjawiskach, na przykład, że bracia Myślowie (Janusz Myśl i Marek Myśl) wyszli z więzienia i wczoraj wieczorem ktoś widział, jak dozorca spod siódemki bije się z Myślami. Dla nas dzielnicowy jest jak lekarz albo ksiądz, gdyby nosił kitel albo sutannę to byśmy do niego mówili panie doktorze albo ojcze. Tym bardziej patrząc na jego zatroskanie, szeptaliśmy do siebie:

– Spójrzcie jaki nasz dzielnicowy rozbity i jaka w związku z tym w okresie jego rozbicia jest trudna sytuacja w Polsce.

Więc żeby go pocieszyć ułożyliśmy z mamą taką piosenkę:

Hejże ludzie! Czapki z głowy!

Idzie dzielny dzielnicowy!

W prawej ręce niesie zeszyt,

A na czapce polski orzeł,

Dzielnicowy cię pocieszy,

Dzielnicowy ci pomoże.

Złapie zbójów osiedlowych

I ukarze włamywacza

Dzielnicowy, dzielnicowy,

Dzielnicowy cza cza<sup>847</sup>.

---

<sup>847</sup> Tenże, *Wypracowanie*, [w:] tegoż, *Blog...*, dz. cyt., s. 279–281.

**Przykład 674. Krzysztof Daukszewicz – Porażenie.**  
**Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń**  
**z 6 czerwca 2004 roku (2009)**

Za oknem jest pięknie, chociaż tego nie widzi mój syn Grześ, który wybiera się na swój ostatni egzamin maturalny. Będzie odpowiadał z wiedzy o Polsce i świecie. Tak sobie wybrał, bo sądził, bez konsultacji ze mną, że to jest łatwy przedmiot i teraz on, Małgosia i ja trzęsiemy się ze strachu, ponieważ od kilku dni mówi, że nie ogarną niczego, co jest związane z naszym rządem i sejmem. Gdyby zamiast WOS-u wziął sobie jako drugi przedmiot geografę, to być może miałby tylko taki sam problem jak nasza sławna maturzystka Renia Beger, która na pytanie dziennikarza: – Czego się najbardziej pani obawiała na egzaminie z geografii? – odpowiedziała z ujmującą szczerością: – Największy problem miałam z opanowaniem wiatrów.

Zaskoczyło mnie to wyznanie, ponieważ uważam, że wiedzę na ten temat powinniśmy mieć wyssaną z mlekiem naszych przodków.

Wieje ze wschodu, mamy dodatkowo kłopot i z gazami.

Wieje na północ, wiadomo, że razem z tym wiatrem odlecą do Skandynawii lekarze i pielęgniarki.

Wieje z południa, znak, że kolejna fabryka, która miała być u nas będzie na Słowacji.

Wieje z zachodu, to strach, że kanclerz Schroeder znowu powie, że wykończymy Niemcy zbyt niskimi podatkami i za szybkim rozwojem gospodarczym.

PS. Ciekawy jestem, czy te maturzystki z Samoobrony też przed egzaminem założyły na szczęście czerwone stringi.

I skoro jesteśmy przy intymnych częściach ciała to zaskoczył mnie, chociaż już nie powinien, pan przewodniczący Andrzej Lepper, który wygląda na to, tu przepraszam wszystkich wrażliwych na zbyt dosadne słowa, że zagląda innym posłom do dupy, ponieważ kilka dni temu powiedział z sejmowej trybuny że poseł Abgarowicz z Platformy Obywatelskiej ma owsiki, kiedy poważny polityk nie powinien ich mieć, a ponieważ pan przewodniczący uważa się za polityka najważniejszego z poważnych to wygląda na to, że zaglądał i do swojej, bo wszak usiedzieć też nie może.

A temu wszystkiemu przygląda się z platformerskiej ławy inny poseł, Edward Płonka, który najpierw wygłasza piękne zdania o tym, co trzeba robić dla dobra kraju, potem wraca do domu, bierze do ręki wiertarkę i robi dziurki w żółwiku, żeby mu za daleko nie uciekał. Tak więc, kiedy Grzesio wybierał się do szkoły, dałem mu jedyną najsensowniejszą radę tego dnia: – Kiedy zadadzą ci pytanie

na temat, co myślisz o naszym sejmie i senacie, zanim odpowiesz, zadzwoń do wujka Tomka i poproś, żeby ci znalazł dobrego adwokata<sup>848</sup>.

**Przykład 675. Krzysztof Daukszewicz – *Pamiętnik IV Rzepy.*  
Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń  
z 8 maja 2006 roku (2009)**

Ewunia chodzi do zerówki, ale emocjonalnie związana jest ze starszakami z przedszkola do którego chodziła, w którym polityka też nie jest, jak się okazuje, sprawą drugorzędną.

- Jakie ugrupowania są w przedszkolu? – zapytałem z głupia frant.
- Wszystkie oprócz SLD – usłyszałem zaskakującą odpowiedź.
- A co się stało z Sojuszem Lewicy?
- Żłobek opanował PiS, obstawił swoimi maluchami i robi przesiew.
- Tak, że do przedszkola te komuszki już nie docierają, czy tak?
- Docierają, dziadku, ale już po weryfikacji.
- O matko moja, a jakiej znowu weryfikacji?!
- Do przedszkola dopuszczani są tylko ci, którzy po zawiązaniu się koalicji PiS, LPR, SAMOOBRONA, narobili ze strachu w pieluchomajtki.
- A cóż to za nowa metoda weryfikacji?
- Jędrzek z mojej grupy mówi, że jego tata mówił, że za komuny to się sprawdzało.
- Co się Ewuniu sprawdzało?!?
- Sfajdany, znaczy, będzie lojalny. Jędrzek mówi, że jego tata mówił, że w PRL-u nie wszystko było złe.
- A co było dobre według taty Jędrka?
- Posłuszeństwo i sfajdanie<sup>849</sup>.

**Przykład 676. Krzysztof Daukszewicz – *Pamiętnik IV Rzepy.*  
Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń  
z 14 maja 2005 roku (2009)**

Nie ma lekko z tymi nowymi maturami i to nie chodzi o samą młodzież, ale o nauczycieli i dyrektorów, którzy czują się obecnie, jakby stali na straży nie do końca zabezpieczonych fortec. W noc poprzedzającą egzaminy z języka polskiego czuwali w swoich gabinetach, patrząc w szarą i mokrą dal, z której wyłaniali się od czasu do czasu kurierzy z zalakowanymi kopertami pełnymi pokrętnych testów.

<sup>848</sup> K. Daukszewicz, *Porażenie*, [w:] tegoż, *Pamiętnik IV Rzepy*, Bellona, Warszawa 2009, s. 13–14.

<sup>849</sup> Tenże, *Pamiętnik...*, dz. cyt., s. 136.

Wszystko to się dzieje dlatego, że tegoroczne egzaminy maturalne są tak strzeżone jak spotkania przywódców świata w Davos, a może jeszcze bardziej, ponieważ w wielu naszych szkołach w ten dzień nawet sika się z ochroniarzem za plecami.

W tym nocnym czuwaniu brakowało mi tylko tętentu końskich kopyt, dźwięku ostróg i błysku szabel. A taka sceneria byłaby odpowiednia. Dowiedziałem się przed chwilą z radia w Białymstoku, że sto sześćdziesiąt cztery szkoły podlaskie miały być rok temu wyposażone przez Ministerstwo Edukacji w komputery, żeby młodzież znad Bugu też miała bliżej do Europy i minęła właśnie pełna rocznica, a dzieci z Podlasia w dalszym ciągu uczą się pracy z komputerami w sposób wirtualny, przypominając sobie na lekcji z informatyki dowcip, jak to pani mówi na lekcji: – A dzisiaj, drogie dziatki, zapoznamy się z komputerem.

– Brawo! Brawo! Nareszcie!!! – krzyknęli uczniowie.

– A w jaki sposób? – zapytał ciekawy wiedzy Jaś.

A pani na to: – W bardzo prosty Jasiu. Powiedz mi, ile to jest: trzy komputery dodać siedem!

Natomiast, jeżeli chodzi o oświecanie dorosłych, a w szczególności naszych polityków, to podobno jeden z nich przyszedł do dyrektora szkoły i powiedział, że on też chce zdawać maturę na nowych zasadach.

– A z jakich przedmiotów?

– Z historii, geografii i języka obcego.

– A z jakiego języka obcego!?

– Może być polski<sup>850</sup>.

### **Przykład 677. Krzysztof Daukszewicz – *Pamiętnik IV Rzepy.* Fragmenty wspomnień dotyczących wydarzeń z 13 października 2006 roku (2009)**

Maciej Giertych, tatuś pana ministra edukacji, ogłosił w europarlamencie, że nie było żadnej ewolucji ani świata, ani człowieka, i teraz pan Roman musi się zastanowić, w którym podręczniku tę prawdę ogłosić.

W każdym razie teraz już mogę z całą odpowiedzialnością obwieścić to, o czym wiedziałem od dawna. Leszek Miller począł się w czerwonej kapuście.

Podobno w podręcznikach historii jest szykowana korekta dotycząca wypadków w Stoczni Gdańskiej. Według tej korekty przez płot brat podsadzał brata, a z drugiej strony zleciał Lech Wałęsa.

---

<sup>850</sup> Tamże, s. 57–58.

Jednocześnie, na pytanie badaczy: Co 13 grudnia 1981 roku robił Jarosław Kaczyński? To podobno chciał iść na barykady, ale kot mu nie pozwolił.

\* \* \*

Krzysztof Skiba publikuje, jako pierwszy, ujednolicony dla wszystkich typów szkół plan lekcji. A oto fragment:

5.30 – pobudka w koszarach szkolnych

5.40 – gimnastyka, zaprawa, ćwiczenia z pozdrawiania dyrektora szkoły

6.00 – higiena osobista

6.30 – apel poranny wciąganie flagi na maszt, słuchanie hymnu w wykonaniu Jarosława Kaczyńskiego

7.30 – początek zajęć w klasach, historia bejsbola i innych przedmiotów używanych na chwałę białej rasy

8.30 – nauka wierszy patriotycznych z tomu poetyckiego „Od Orła Białego do Wierzejskiego”

9.30-10.00 – przerwa na wysłanie SMS-ów – poparcie dla Radia Maryja

10.00 – wychowanie fizyczne: ćwiczenia stałych elementów gry oraz praktyczno-techniczne zagrania podczas obław na obcokrajowców

11.00 – biologia: lekcja pt. „Jak rozpoznać Murzyna”

12.00 – marszobiegi szlakiem bojowców ruchu narodowego

13.00 – matematyka: nauka liczenia naboji [...]

14.00 – język polski: nauka pisowni słów: kastet, kajdanki i nóż sprężynowy

18.00 – apel wieczorny: marsz po przechodniach z pochodniami<sup>851</sup>.

### **Przykład 678. Krzysztof Daukszewicz – *Pamiętnik IV Rzepty*. Fragmenty wspomnień dotyczące wydarzeń z 2 listopada 2005 roku (2009)**

Wietnamskie dzieci uczące się w warszawskich szkołach należą do najlepiej uczących się w stolicy. Jedną z takich prymusek, trzynastoletnią Kasię Thu Ha Do Yan, zapytano, jakie ma plany na przyszłość. Dziecko odpowiedziało tak:

„Wiem, że jak będę się dużo uczyć, to dostanę się na studia prawnicze. Gdy je skończę, chcę zostać burmistrzem, potem ministrem spraw zagranicznych, a na zwieńczenie mojej kariery będę pierwszą kobietą prezydentem Polski. Wtedy pokażę tym wszystkim, którzy mi dokuczali”<sup>852</sup>.

---

<sup>851</sup> Tamże, s. 192–194.

<sup>852</sup> Tamże, s. 86.

**Przykład 679. Waldemar „Major” Fydrych –  
Żyoty Mężów Pomarańczowych.  
Fragmenty wspomnień dotyczących lat 70.  
XX wieku (2010)**

Zbliżał się dzień I Maja – Święto Pracy, które w Polsce Ludowej było obchodzone hucznie i uroczyście przez państwo. Organizowano pochody, niesiono portrety przywódców.

W marszach uczestniczyli niemal wszyscy uczniowie i pracownicy państwowych zakładów. Oficjalnie obecność była nieobowiązkowa, lecz w rzeczywistości wszędzie kładziono nacisk na obecność.

– Nie pójde na pochód – rzekł na lekcji języka polskiego Fydrych.

Nauczycielka udała, że nie słyszy i kontynuowała lekcję. Kolejni nauczyciele jednak reagowali.

– Zwariowałaś! – rzekł wychowawca klasy – Możesz nie iść, ale nie afiszuj się – skończył.

– Ponownie pan inżynier Benetkiewicz<sup>853</sup> dzwonił do mnie do pracy – Major odbył krótką rozmowę ze zdesperowaną matką.

Tym razem czuł, że ma haka na otoczenie i wszyscy są bezsilni. On jest panem sytuacji – nie pójdzie na pochód. Nawet prośby ojca szły w próżnię. Napięcie z dnia na dzień narastało. Czuł triumf nad otoczeniem, zwycięstwo nad konformizmem. Cała szkoła mówiła, że on nie pójdzie. Nauczyciele byli przestraszeni, umoralniali, jednak jego wróg Dyrektor milczał. Sprawiał wrażenie nieobecnego. Odwołał lekcję, Major nie miał okazji na konfrontację.

– Może dyrektor pojechał po instrukcje do Ministerstwa – dyskutowano.

I Maja Waldemar wstał rano. Nieopodal z sąsiedniej ulicy dobiegały dźwięki muzyki, był piękny poranek.

– Masz iść na pochód! – usłyszał zde gustowany głos ojca.

W telewizji odezwały się kuranty kremlowskie. Pokazano imperialną trybunę w Moskwie, na której pojawili się towarzysze Marszałkowie dysponujący siłami mogącymi zniszczyć kulę ziemską. Była to typowa w tych czasach transmisja. Major wyszedł z domu, postanowił działać. Ulica pachniała kwiatami powiewem muzyki. Szedł wzdłuż pochodu, mijał maszerujące załogi zakładów pracy. Dotarł do miejsca przed trybuną, gdzie orkiestra grała marsza. Przed wejściem na nią stał ORMOWIEC<sup>854</sup>, któremu pokazał flakonik.

– Przyniosłem kropelki na serce dla mego ojca – rzucił, wchodząc na stopnie.

<sup>853</sup> Inżynier Benetkiewicz – wychowawca klasy Waldemara Fydrycha.

<sup>854</sup> ORMO – Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej.



Na trybunie byli dygnitarze partyjni, przedstawiciele Wojska Polskiego, oficerowie Armii Radzieckiej. Ogólnie mówiąc „elegancja Francja”: Krawaty a la Dior, woda kwiatowa zbliżona do Chanela. Połowa kwiatów była w czerwieniach, harcerze w biało-czerwonych chustach, a na dole niczym rzeka płynęły transparenty. Zakłady pracy niosły wielkie hasła o powiększeniu produkcji, kultywowaniu wartości socjalistycznych, tylko gdzieniegdzie pojawiało się hasło o przyjaźni ze Związkiem Radzieckim lub walce z imperializmem. Były też transparenty krytykujące wyzysk kapitalistyczny na świecie. Major przyszedł na świat kilka tygodni po odejściu Marszałka Stalina. Wtedy królowały transparenty atakujące Jankesów i kapitalizm, który nazywano zgniłym. Czasy się zmieniły, wtedy ścigano by za mówienie „nie pójdę na pochód”. Teraz było bezpieczniej.

Po zakładach pracy ruszyły szkoły. Z dała Major usłyszał muzykę szkolnej orkiestry. Miał zebrany pęk kwiatów rzucanych przez klasę robotniczą na trybunę. Zbliżył się do centrum i rzekł do sekretarzy Partii, dyrektorów i oficerów.

– Teraz idą moi!

Zrobiono mu miejsce. Na dole maszerowała rzeka zielonych beretów, na czele w złocistokrwawych odcieniach z amarantami orkiestra szkolna i poczet sztandarowy, wszystko uporządkowane, twarze maszerujących zwrócone były w stronę trybuny. Major zaczął rzucać kwiaty. Dało się słyszeć krzyki „tysy na trybunie”. Nauczycieli w szkole interesowało, jak Major znalazł się na trybunie.

– Wuj mnie zaprosił – kłamał.

– Co wuj? – pytała profesorka.

– Tak, przyjechał ze stolicy.

– Co?

Waldemar Fydrych widział jakie wrażenie robi słowo „stolica”.

– Co on tam robi?

– Pracuje w ministerstwie – rzekł, rozpierając się na krześle.

Nauczyciele patrzyli na niego z podziwem.

– Widać po tobie, że masz znajomości. – On zaś mrużył oczy jak kocur w świetle słońca. Czuł się komfortowo. Wiedział, że rozmówczyni nie widzi jego twarzy.

– Tak – mówił – po pochodzie byłem na bankiecie, poznałem wielu ciekawych ludzi – kończył powoli, patrząc się w dal, czuł, że słowa takie jak „znajomości”, „protekcja” robią duże wrażenie na nauczycielach.

Czekał na konfrontację z Dyrektorem. Chciał wiedzieć, jak ten zareaguje. „W końcu byłem na pochodzie, odpowiem mu właśnie w ten sposób” – Major myślał jak załatwić Dyrektora. Na lekcji była cisza, cała klasa czekała na wydarzenie. Dyrektor jakby od niechcienia napomknął:

– Wiem, byłeś na trybunie jako młody dziennikarz, miałeś akredytację.

Cios był poważny, Dyrektor nie wpadł w panikę, nie pytał – dlaczego? Sam wymyślił własną historię, Major zaś chciał protestować, coś powiedzieć, sugerować znajomości w ministerstwie. Dyrektor wyręczył go.

– Na spotkaniu z dyrektorami innych szkół mówiliśmy o tobie, wszyscy zazdroszczą mi, że mam takiego ucznia – skończył Dyrektor.

Klęska! Major nie pokonał Dyrektora. Pozostało mu skończyć szkołę i zdać na studia<sup>855</sup>.

### **Przykład 680. Artur Andrus – *Znaczy... Kobiety.* Wpis na blogu z 8 marca 2011 roku (2011)**

Z przedszkola pamiętam tylko fragment piosenki: „Dzień Kobiet, Dzień Kobiet, niech każdy się dowie, że dzisiaj święto dziewczynek”... Wiem jeszcze, że wśród tych dziewczynek była wymieniona pani kucharka. Ale nie wiem, dlaczego w przedszkolnej akademii z okazji Dnia Kobiet występowałem w czapce górnika. Zresztą w tej samej czapce występowałem na akademii z okazji Święta Pracy i Dnia Matki. Bieda była, widocznie bieszczadzkie przedszkole nie mogło szastać pieniędzmi na nowe kostiumy do każdego przedstawienia.

W podstawówce sam nie występowałem. Dni Kobiet obsługiwał dyżurny kolega, grzeczny blondynek w odprasowanym garniturku i kartonowym cylindrze, który śpiewając *Będiesz moją panią*, wywoływał eksplozję macierzyńskich uczuć u kobiet, które dotychczas nie były jego matkami. Nauczycielek, pań woźnych, pani sekretarki. Ja w podstawówkowym repertuarze miałem rolę starego młynarza z piosenki:

*Cztery córki miał tata,  
Stary młynarz ze Zgierza,  
Każda piękna, bogata,  
Każda chciała żołnierza...*

Nic nie mówiłem, nie śpiewałem, kręciłem się tylko z workiem na plecach i podkręcałem przyklejonego wąsa. Jak widać wtedy istniał taki stereotyp młynarza ze Zgierza – worek na plecach i przyklejone wąsy. Ale ta piosenka chyba nie była wykonywana na Dzień Kobiet. Raczej, ze względu na przedmiot pożądań młynarzówien, na Dzień Wojska Polskiego.

Rolę z liceum pamiętam doskonale. Składałem kobietom następujące życzenia: „Przyjmijcie, drogie panie, bukiet najserdeczniejszych życzeń, przewiązanych czerwoną wstążką naszej męskiej wdzięczności”. Autor scenariusza aka-

---

<sup>855</sup> W. „Major” Fydrych, *Żywoty Mężów Pomarańczowych*, Fundacja Pomarańczowa Alternatywa, Warszawa 2010, s. 13–15.

demii, polonista, który wymyślił ten zgrabny zwrot, tak był nim zachwycony, że używał go wielokrotnie, lekko tylko dostosowując do okoliczności. Na przykład w Dniu Nauczyciela bukiet życzeń przewiązany był „czerwoną wstążką naszej uczniowskiej wdzięczności”. Gdyby to były inne czasy, na pewno pojawiłby się na przykład „wstążka chrześcijańskiej wdzięczności”. Nie jestem tylko pewien, czy byłaby czerwona.

Nadszedł czas spłacenia długu. Postanowiłem wreszcie napisać coś od siebie. Nie przypuszczam, żeby miało to być wykonywane na akademiach szkolnych, ale pieśń powstała. Wykonywałem ją z kolegami podczas Kabaretowego Dnia Kobiet. Wersja do śpiewania była nieco inna – były refreny, trochę zmieniona kolejność zwrotek, tutaj przedstawiam wersję do czytania:

Nie ma kobiet niedobrych,  
Tak jak nie ma kobiet słabych,  
Drzewa przegryzają bobry,  
Mężczyzn rozgryzają baby...  
Znaczy... Kobiety.  
Nie ma kobiet niemitych,  
Tak jak nie ma kobiet płaskich,  
Gdyby takie nawet były,  
Najważniejsze zawsze laski...  
Znaczy... Kobiety.

Choć mnie ciągasz na mielizny,  
Wpędzasz mnie na dno rozpaczy,  
To kobieta dla mężczyzny  
Bardzo dużo znaczy!

Niedaleko Legnicy,  
W górę od Jeleniej Góry,  
W poniemieckiej kamienicy  
Mieszka stary grawer, który  
Znaczy kobiety.  
Graweruje pośladek  
W słonko, drzewko i obłoczek,  
Napis: „Tutaj byłem, Władek”  
Oraz kilkadziesiąt foczek...  
Znaczy... Kobiety.

Spójrz! Stoimy jak tygrysy,  
Które czają się do skoku:  
Jeden siwy, drugi łysy,  
Trzech z wadami wzroku.  
Macho, playboy i pierdoła,  
I ci trzej, co widzą słabo,  
Życzą chórem: bądź wesoła,  
Ukochana polska babo!

Bądź, kobieto, przyjacielem!  
I wyciągaj ty mnie ze dna,  
Bo kobieta znaczy wiele!  
Najchętniej niejedna!<sup>856</sup>

**Przykład 681. Artur Andrus – *SRM (syndrom rodzica maturalnego)*.  
Wpis na blogu z 16 maja 2011 roku (2011)**

Nie mam dostępu do tych danych, ale ciekaw jestem, czy przypadkiem w okresie matur w aptekach nie notuje się nagłego wzrostu sprzedaży środków uspokajających? I nie chodzi o samych maturzystów. Albo dla nich to żadne przeżycie, albo telewizje manipulują – 90 procent wychodzących z sal egzaminacyjnych ma promienny uśmiech na twarzy. Natomiast warto by było w tym samym czasie porównywać wyrazy twarzy maturzystów z wyrazami twarzy ich rodziców. Tu już może być zauważalna różnica.

Zapytałem słuchaczy mojej audycji o ich doświadczenia, poprosiłem o radę dla innych rodziców, których pociechy właśnie teraz zdają maturę. Dygresja – trzeba będzie kiedyś dokładniej się zastanowić, dlaczego dzieci nazywa się „pociechami”? Przecież bywają różne. I gdyby ich rodzice nie posługiwali się wyłącznie językowymi stereotypami, być może mówiliby tak: – Mam pięcioro dzieci, w tym jedną pociechę, troje utrapień i jedno tsunami.

Wracajmy do losu rodziców maturzysty. Jak przeżyć taki stres? Jak nie zwariować? W czasie radiowej dyskusji pojawiły się różne propozycje – od przymusowego wysyłania rodziców na zagraniczne wakacje w czasie trwania matur, przez organizowanie grup wsparcia (tak, żeby mogli siedzieć razem i trzymać się za ręce), uruchamianie specjalnych portali typu [www. ojciecmaturzysty.pl](http://www.ojciecmaturzysty.pl), aż do organizowania zawodów sportowych, zwłaszcza pojedynków bokserskich.

---

<sup>856</sup> A. Andrus, *Znaczy... Kobiety*, [w:] tegoż, *Blog...*, dz. cyt., s. 462–465.

Te podane przed chwilą są wymyślone, ale na dowód, że nie jest to problem błahy, że matura dziecka naprawdę ma wpływ na zachowanie się człowieka, zacytuję kilka fragmentów listów:

Mateusz: Rodzice podczas mojej matury systematycznie pili herbatki ziołowe na uspokojenie, a tata dodatkowo (ku zdumieniu mamy) odnalazł w sobie pasję do sadzenia kwiatów.

Maturzystka: Informuję, że najskuteczniejszym sposobem na nerwy przedmaturalne okazało się wysłanie mamy na beatyfikację do Rzymu. Wyjazd kilka dni wcześniej, żeby można się było pouczyć, i powrót po. Rewelacja. Zdaję kolejne. Mama w Barcelonie.

Monika: A ja w trakcie matury oznajmiłam rodzicom, że jestem w ciąży. Momentalnie przestali się stresować maturą: -). Dzisiaj, jako mama dziewczynki w pierwszej klasie LO, zastanawiam się, czy nie można byłoby uznać mojej córce tego, iż jedną maturę już zdawała, i z tego powodu dać jej za dwa lata jakiejś formy?

Michał: Zapracowany ojciec jakieś dwa tygodnie po mojej maturze mówi: Ty, chodź, siądziemy do matematyki, żebyś przynajmniej to zdał.

Ja: Yyy...? Już po maturach.

Ojciec: Yyy... Widziałeś, jak Wisła grała wczoraj?

Waldek: Kiedy uczyłem się do matury, moja kochająca i pełna optymizmu babcia, widząc mnie ślęczącego nad książkami, z rozbrajającą szczerością stwierdziła: – Po co ty się, wnusiu, uczysz? Przecież i tak nie zdasz. Dodam tylko, że zrobiłem babci na złość i zdałem.

Podsumowując: picie herbatki i prace w ogródku, wyjazd na beatyfikację do Rzymu (albo Barcelony), niespodziewana ciąża córki (nagłe ojcostwo syna), zapracowanie – to są metody już sprawdzone i godne polecenia. Mam wredny charakter i korci mnie, żeby lansować model wymyślony przez babcię pana Waldka. Najlepszym sposobem na pozbycie się własnego stresu jest stresowanie uczącego się dziecka. Albo można skorzystać ze światłych porad wybitnych poetów. I trawstując myśl Jeremiego Przybory, który w piosence *W czasie deszczu dzieci się nudzą*, stwierdzał, że:

*Więc tu trzeba by zalecić:*

*w czasie deszczu nie mieć dzieci!...*

po prostu

Dobrą radę dam wam ja tu:

Nie być ojcem w czasie matur!

Żeby wszystko poszło gładko,

W czasie matur nie być matką!...

Zrzec się praw rodzicielskich na maj, ruszyć w miasto, wrócić w czerwcu i wynagrodzić to nadmiarem miłości wyrażonym w banknotach emitowanych przez Narodowy Bank Polski, gdyż są one prawnym środkiem płatniczym w Polsce<sup>857</sup>.

**Przykład 682. Anna Januskiewicz, Marcin Rychlewski (oprac.) –  
*Czarna księga humoru. Fragmenty* (2011)**

Pewien japoński nauczyciel matematyki zadał swoim uczniom nieskomplikowane zadanie, mające doskonalić umiejętność dzielenia i tym samym udało mu się wstrząsnąć opinią publiczną – nie tylko we własnym kraju. Poprosił bowiem swoich podopiecznych, aby ustalili, ile dni będzie potrzebne na zabicie osiemnastu dzieci, jeśli codziennie będzie się mordowało 3.

Wypada mieć nadzieję, że treść zadania była efektem czarnego humoru pedagoga, a nie projekcją sfrustrowanej psychiki.

Nie mniej kontrowersyjny pomysł edukacyjny pojawił się w Indiach. Otóż pewne hinduskie wydawnictwo oświatowe – chcąc, aby dzieci łatwo przyswoiły sobie literę „I”, posłużyło się przy haśle *idol* rysunkiem Jezusa. *Jezus Twoim idolem*. Dlaczego nie? Sęk w tym, że tenże na obrazku w jednej ręce trzymał piwo, a w drugiej papierosa.

Elementarz szybko został wycofany ze sprzedaży<sup>858</sup> [...].

Niewątpliwy sukces pedagogiczny odniósł natomiast indonezyjski psycholog, któremu udało się pomóc rzucić palenie dwulatkowi.

Malec wypalał do dwóch paczek papierosów dziennie i wpadał we wściekłość, ilekroć rodzice odmawiali mu nikotyny.

Ciekawe, czy chłopczyk przed kuracją, o ile mieszkałby w Polsce, respektowałby zakaz palenia w miejscach publicznych<sup>859</sup>.

**Przykład 683. Grzegorz Maślanka (oprac.) –  
*Najsłynniejsze polskie radio* (2011?)**

Ojciec T.: – Ja już nie mogę się na to wychowanie seksualne patrzeć. I popatrzcie, jak ono jest wprowadzane w Polsce. Rękami katolików jest wprowadzane. To jest normalny instruktaż. dzieci się instruuje, jak robić samogwałt, jak sobie robić dobrze... bez Boga. [...] Tak zwane wychowanie seksualne czy też wychowanie do życia w rodzinie będzie prowadziło naród do grobu<sup>860</sup> [...].

<sup>857</sup> Tenże, *SRM (syndrom rodzica maturalnego)*, [w:] tegoż, *Blog...*, dz. cyt., s. 486–488.

<sup>858</sup> A. Januskiewicz, M. Rychlewski (oprac.), *Czarna księga humoru*, Vesper, Poznań 2011, s. 225.

<sup>859</sup> Tamże, s. 226.

<sup>860</sup> G. Maślanka (oprac.), *Absurdy RP 3 1/2*, Vesper, Poznań 2011, s. 198.

Gość Radia M.: – Zrobiono reformę edukacji – postmodernistyczną. Są tam jakieś ścieżki, nie ma mowy o odkłamaniu przeszłości, nie ma mowy o pełniejszym zapoznaniu się z dziedzictwem i naszego narodu, no i właśnie tej kultury, z jakiej nasz naród wyrasta, czyli z kultury greckiej, łacińskiej. Tylko są różnego rodzaju ścieżki, które dają naprawdę swobodę lawirowania różnym grupom nacisku i interesu. *Nota bene*, program ten był przygotowany na życzenie UE i OECD. OECD jest organizacją, która powołała do bytu instytucję będącą reprezentacją New Age<sup>861</sup>.

**Przykład 684. Grzegorz Maślanka (oprac.) –  
*Skrzydlate słowa III Rzeczypospolitej. Edukacja III RP.*  
Fragmenty dotyczące wydarzeń z lat 2006–2007 (2011)**

„Nasza szkapą z pokładu *Idy*” Henryka Sienkiewicza – 1. na pierwszy rzut oka *curiosum* wołające o pomstę do nieba w opinii każdego literaturoznawcy i przeciętnie wyedukowanego absolwenta szkoły podstawowej. Dla przypomnienia: „Nasza szkapą” to nowela Marii Konopnickiej. Jej akcja toczy się w Warszawie, a bohaterami są ubogie dzieci, dla których jedyną radością w życiu jest koń, tytułowa szkapą. Z pokładu *Idy* zaś pochodził Łysek, również koń, tyle że pracujący w kopalni. Jego dramatyczną historię opisał Gustaw Morcinek. Henryk Sienkiewicz zaś zajmował się opisywaniem koni, choćby w „Trylogii”, ale historykom literatury nic nie wiadomo, aby miał cokolwiek wspólnego ze szkapą Konopnickiej lub ślepym koniem Morcinka. 2. tajemnicze dzieło literackie polskiego noblisty, którego istnienie ujawnił Roman Giertych, swego czasu minister edukacji w wywiadzie, jaki z nim przeprowadziła Monika Olejnik:

– *Jak się nazywają bohaterowie naszej szkapą?*

– *Pani redaktor mnie chce przepytać odnośnie Sienkiewicza? Występowały dzieci, ale imion nie pamiętam, które straciły konia, który pracował, smutna historia, pracował w kopalni.*

No cóż... Rzeczywiście smutna historia...<sup>862</sup> [...]

Szkoła Giertychowska – wyrażenie nazywające jedno z najciekawszych zjawisk w historii polskiej edukacji. Jeśli bowiem uważnemu obserwatorowi dziejów edukacji w III Rzeczypospolitej wydawało się, że nic nie jest go w stanie zaskoczyć w kontekście kolejnych reformatorskich pomysłów osób odpowiedzialnych za tę sferę życia społecznego, musiał przeformułować swą opinię 5 maja 2006 roku. Wtedy bowiem ministrem edukacji narodowej został Roman

<sup>861</sup> Tenże, *Najstynniejsze polskie radio*, [w:] tegoż (oprac.), *Absurdy...*, dz. cyt., s. 224.

<sup>862</sup> Tenże (oprac.), *Absurdy...*, dz. cyt., s. 121–122.

Giertych, twórca Młodzieży Wszechpolskiej, oskarżanej wielokrotnie o nacjonalistyczne wybryki, i prezes Ligi Polskich Rodzin, partii nader często kojarzonej z antysemityzmem, skrajnym konserwatyzmem i nietolerancją.

Swego czasu, oceniając własne dokonania na stanowisku ministra edukacji, Giertych powiedział: „To ja rozpocząłem proces powrotu do normalności. Poprzedni ministrowie tylko rozregulowali szkołę, dopuścili do przemocy na niespotykaną skalę i otworzyli szkołę na dyktat sił i środowisk walczących z autorytetem rodziców i nauczycieli”. Jego ambicją stało się „przebudowanie polskiego społeczeństwa za sprawą szkolnictwa”. Sypał pomysłami jak z rękawa, nie dbając o to, czy istnieją prawne normy umożliwiające wprowadzanie jego kolejnych inicjatyw, czy jest w stanie zabezpieczyć środki na nie potrzebne, a zwłaszcza nie zastanawiając się nad konsekwencjami i społecznym odbiorem swych postulatów. Stąd szybko przestał być traktowany jako rzetelny reformator, a stał się przedmiotem rozlicznych dowcipów, dla których źródłem były kolejne propozycje edukacyjne.

Kpiono zatem z Giertycha przede wszystkim w związku z tzw. amnestią maturalną. Jej idea zasadzała się na tym, aby wręczać świadectwa maturalne tym, którzy... nie zdali jednego z egzaminów dojrzałości. Nawet licealiści dostrzegali absurdalność zjawiska, więc wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy w styczniu 2007 roku Trybunał Konstytucyjny orzekł niezgodność projektu z ustawą zasadniczą. Być może szczególnie rozumienie, odbiegające od stereotypów, tego, jak należy podnosić poziom edukacji sprawiło, że w środowisku lidera LPR powstał także pomysł, aby zlikwidować prace magisterskie i zastąpić je na wyższych uczelniach egzaminem ustnym. Minister postanowił również zmienić stosunek uczniów do religii. Stąd nowa norma każąca wliczać notę z tego przedmiotu do średniej ocen na świadectwie. Trudno ocenić, na ile fakt ten wpłynął na to, jak uczniowie postrzegają religię w szkołach, ale z całą pewnością przyczynił się do wyższych wyników nauczania niż w latach poprzednich, bo nie od dziś wiadomo, że dzieci nie muszą sobie wrywać rękawów, aby otrzymać wysoką ocenę z religii. Pokrzywdzone pozostają jedynie te, które na ten przedmiot nie uczęszczają, bo jakoś nikt dotąd nie zrobił nic, aby upowszechnić w polskich szkołach szumnie kiedyś zapowiadany przedmiot zwany etyką. W zakresie podnoszenia poziomu wiedzy z całą pewnością ministrowi Giertychowi trzeba podziękować za jedno. To za jego sprawą nazwisko Witolda Gombrowicza przestało być obce młodym Polakom, którzy w 2007 roku, kiedy to dzięki prezesowi LPR rozpętała się wojna o spis lektur, nagle zaczęli wypytywać swych polonistów, kto zacytuje Gombrowicza, o czym jest to całe „Ferdydurke” i skąd całe zamieszanie. Giertych uznał, że autora „Transatlantyku” należy wyrzucić z listy lektur za brak patriotyzmu,



a kanon ukształtować zgodnie z systemem wartości... ministra edukacji oczywiście, uzupełniając o kolejne pozycje Sienkiewicza, Zofii Kossak-Szczuckiej czy Jana Pawła II. Gombrowicz zszedł na krótką chwilę do podziemia edukacyjnego, a minister osiągnął efekt odwrotny do zamierzonego, bo niektóre przekorne dzieci zaczęły czytać „Ferdynurke”.

O ile Roman Giertych nie zatroszczył się o to, w jaki sposób tysiące uczniów dotrze do książek Kossak-Szczuckiej w zasadzie nieobecnej na rynku wydawniczym, o tyle ucieszył społeczeństwo informacją, że ma zamiar wydać 19 mln złotych w ramach akcji „Dzieła papieża w każdej szkole” i kupić każdej szkole średniej 15-tomowy zbiór książek Jana Pawła II. Równie hojny był w przypadku innej inicjatywy mającej w jego zamierzeniu kształtować właściwą postawę patriotyczną, a zwanej „patriotycznym szlakiem”. W ramach tejże uczniowie mieli mieć możliwość zwiedzania tych miejsc, gdzie toczyła się według ministra Giertycha „ważna” historia. Obiecał 22 mln rocznie na realizację pomysłu. Niestety, nauczyciele, którzy w 2007 roku chcieli swych wychowanków dokądkolwiek zabrać, nie mogli jakichkolwiek środków na ten cel z MEN wydestakować. Nie powinno się jednak z tego robić problemu, bo w ramach kształtowania wśród uczniów właściwej postawy patriotycznej minister zażądał od dyrektorów szkół śpiewania hymnu państwowego w trakcie uroczystości szkolnych i rozważał wprowadzenie nowego przedmiotu – „wychowania patriotycznego”, które miało się odbywać podczas lekcji historii ojczystej. Historia powszechna zaś miała się stać osobnym przedmiotem.

Za jeden z istotniejszych aspektów swej działalności na polu edukacji Roman Giertych uznał przeciwdziałanie patologii. Stąd każdy dyrektor szkoły został zobowiązany pod koniec 2006 roku do przekazania ministerstwu spisu tych uczennic, które zaszły w ciążę. Ministerstwo miało na tej podstawie opracować system pomocy, nie zważając na to, że polecenie szefa resortu jest niezgodne z konstytucją. Być może w ramach owego systemu pomocy rozważano nad podziałem gimnazjów na męskie i żeńskie. Zabieg taki według Giertycha miał także zapobiegać przemocy w szkole. Też miały przeciwdziałać kolejne osławione inicjatywy: projekt wprowadzenia „godziny bezpieczeństwa” czy mundurki szkolne, przez które omal nie rozpadła się koalicja rządowa, a będące jednym z elementów programu „Zero tolerancji” (dla przemocy w szkołach). Niepokornych uczniów minister edukacji chciał umieszczać w szkołach o zaostrzonym rygorze, a więc placówkach z internatami przeznaczonymi dla „szczególnie trudnej młodzieży”.

Wiadomo, że efekt edukacji zależy nie tylko od tego, kogo i jak się edukuje, ale również od tego, kto się tym zajmuje. I nawet jeśli to się jawi jako ponury żart, to swego czasu w związku z tym zastępca Giertycha, Mirosław Orzechow-

ski, powiedział, iż „nauczyciele, którzy ujawnią, że są homoseksualistami, będą zwalniani z pracy”. Możliwość lustrowania środowiska polskich pedagogów również pod tym kątem miała chyba zapewniać realizacja kolejnego pomysłu – mianowicie powoływania „koordynatorów ds. bezpieczeństwa”, czyli nauczycieli do zadań specjalnych. Ich rzeczą byłoby nadzorowanie nie tylko zachowania uczniów, ale także nauczycieli, oraz pozostawanie w stałym kontakcie z policją i kuratorem. Brak zaufania do nauczycieli wyraził się także w koncepcji odejścia od stałego zobiektywizowanego sposobu oceny pracy pedagogów i szkół na rzecz doraźnego, przeprowadzanego przez wizytatorów. Ci, którzy nie wierzyli, że polska szkoła za czasów ministra Giertycha zmierza w stronę totalitaryzmu, utwierdzili się w tym ostatecznie, gdy – jak w PRL-u – w placówkach edukacyjnych pojawiły się „trójki wizytacyjne”. Tyle, że kiedyś trójki takie lustrowały ulice w poszukiwaniu wagarowiczów, a w „IV Rzeczypospolitej” była to usankcjonowana przez ministra kontrola szkół przez jego wysłanników.

13 sierpnia 2007 roku Roman Giertych przestał być ministrem edukacji. Tym samym skończyła się era groteskowej „szkoły giertychowskiej” w Polsce. Nawet mundurki nie przetrwały<sup>863</sup>.

„Ja akurat się cieszę, że moim ministrem nie będzie minister Giertych, ale można powiedzieć w ten sposób, że jeżeli w starożytnym Rzymie koń został senatorem, to dlaczego koń nie może być ministrem edukacji, w IV RP naturalnie” (Joanna Senyszyn, 2006).

\* \* \*

„W 2010 r. wchodzi na maturę obowiązkowa matematyka. Nie możemy sobie pozwolić, żeby połowa maturzystów nie zdała matury z matematyki, bo w kraju brakuje inżynierów. [...] wpłynę na CKE, żeby pierwszy egzamin z matematyki nie był na zbyt wysokim poziomie” (Roman Giertych, 2007).

\* \* \*

„Przykładem skłonności inteligencji humanistycznej do samozatraty są idące w dziesiątki studentki psychologii, etnografii, antropologii, socjologii, które dały się wykorzystać seksualnie Simonowi Molowi. W tej grupie łatwo jest upowszechnić różne mody ideologiczne, aż do zaniku instynktu samozachowawczego” (Ludwik Dorn, 2007).

\* \* \*

„Inteligent techniczny przy rządzeniu państwem jest wygodniejszym sojusznikiem” (Ludwik Dorn, 2007).

---

<sup>863</sup> Tenże (oprac.), *Skrzydlate słowa III Rzeczypospolitej. Edukacja III RP*, [w:] tegoż (oprac.), *Absurdy...*, dz. cyt., s. 132–136.

\* \* \*

„Co do homoseksualizmu, to nie sądzę, by rodzice chcieli, żeby na lekcjach biologii uczono ich dzieci, że z pary dwóch samców mogą rodić się dwa zwierzątka – bo to nieprawda” (Roman Giertych, 2006).

\* \* \*

„To największy minister edukacji od czasu istnienia takiego ministerstwa. Ja mu zazdrozczę wszystkiego, nie tylko wzrostu. Jest piekielnie wrażliwy na seks, zwłaszcza męski. Wymyślił imponujący program propagandy homoseksualizmu i zapewnił mu ogromną reklamę. Lambda i Kampania przeciw Homofobii z czasem wystawią Giertychowi pomnik, kwiaty będą składać. »Największemu propagatorowi odmienności« – napiszą na wieńcu. Aż miło patrzeć, jak geniusz polskiego nacjonalizmu sielankowego z miesiąca na miesiąc ujawnia lwi pazur” (Kazimierz Kutz, 2007).

\* \* \*

„Niedługo nie będzie już polskiej szkoły – będzie szkoła LPR. To szkoła, w której nie będzie niczego – parafrazując pana Kononowicza” (Joanna Senszyn, 2007)<sup>864</sup>.

### **Przykład 685. Krzysztof Daukszewicz – *Cwane główki i chłopaki z drogówki. Meneliki 2. Fragmenty (2012)***

Z Dobrodzienia

Opowiadała mi to pani nauczycielka. Wraca wieczorem ze szkoły, jest już zmierzch i mija trzech obywateli siedzących na ławeczce pod sklepem i sączących z gwinta kolorowy płyn, i nagle jeden z nich mówi: – Dobry wieczór pani profesor.

– Dobry wieczór – też pozdrowiła i przyśpieszyła kroku. I nagle słyszy, jak odzywa się do pozostałych ten, który ją przywitał: – To poszła moja najulubieńsza pani nauczycielka, ona mnie wyprowadziła na ludzi<sup>865</sup> [...].

Pana Tomasza

Byłem wtedy na studiach w Szczecinie. To jakieś piętnaście lat temu. Któregoś dnia idę na przystanek, żeby jechać na uczelnię, stanąłem przed przejściem dla pieszych i mam w rękach notatki i skoroszyt. Podchodzi do mnie pan, już to menel już to nie i pyta: – Będzie wojna?

– Słucham?

– Jak pan myśli, będzie wojna?

<sup>864</sup> Tenże (oprac.), *Absurdy...*, dz. cyt., s. 171–172.

<sup>865</sup> K. Daukszewicz, *Cwane główki i chłopaki z drogówki. Meneliki 2*, Bellona, Warszawa 2012, s. 94.

Zdumiony wystękałem: – Nie wiem.

Ten ruszył na przystanek mówiąc: – To czego was w tej szkole uczą?<sup>866</sup> [...]

Opowieść pani przedszkolanki

Bardzo brzydka pogoda za oknem i dzieci nie wyszły na spacer. Bawią się w sali i w grupie u pięcioletków między chłopcami i dziewczynkami toczy się rozmowa: – Wiesz – mówi mała Hania do Stasia – będziemy się bawić w dom. Chcesz?

– Tak.

– Ja będę matką, a ty ojcem? Chcesz?

– Dobrze.

– No i ty wrócisz pijany do domu z pracy, a ja będę ci szukać po kieszeniach.

Chcesz?

I Staś się rozplakał.

– Czemu płaczesz? – zapytała wychowawczyni.

– Nie mam kieszeni<sup>867</sup> [...].

Bajka o Czerwonym Kapturku

– Córeczko, co robiliście dzisiaj w przedszkolu?

– Pani nam czytała bajkę o Czerwonym Kapturku.

– I czego się z niej nauczyłaś?

– ... że trzeba zapamiętać, jak wygląda babcia<sup>868</sup> [...].

Kolbudzkie

Opowiada to pani prowadząca przedszkole. Pod budynek pewnego dnia podszedł z lasu jelonek i nie przejmując się dziećmi, podgryzał trawkę. Pani tłumaczy, że to są różki, to kopytka, a ta biała plamka w okolicach ogonka nazywa się lustro. Na to jeden z maluchów: – Ciekawe, jak się on w nim przegląda?

W tym samym przedszkolu był podawany na obiad barszcz ukraiński i jeden z chłopców usłyszawszy, jak się nazywa ta zupa, mówi: – A ja wiem co to jest Ukraina. To jest prośę pani zagranica i tatuś tam jeździ na Ukrainę, bo zarabia pieniążki i mówi, że tam jest fajnie i rozrywkowo, i na drugi dzień nie boli go głowa, a ja jak będę dorosły, to też na pewno pojedę, bo ja jak i tata lubię się bawić.

Tu jedna dziewczynka siedząca obok odsunęła od siebie jak najdalej mogła talerz.

– Co się stało? – spytała pani wychowawczyni. I usłyszała zdecydowany głosik: – Nie lubię zagranicznych zup<sup>869</sup>.

<sup>866</sup> Tamże, s. 131–132.

<sup>867</sup> Tamże, s. 171.

<sup>868</sup> Tamże, s. 174.

<sup>869</sup> Tamże, s. 175.

**Przykład 686. Wojciech Mann – *Co zrobić, żeby poradzić sobie ze szkołą* (2012?)**

Częstokroć przychodzi na dziecko taki szczególny nastrój, że nie bardzo mu odpowiada perspektywa pobytu w szkole. Czy to zestaw lekcji jakiś nieodpowiedni, czy może w ogóle coś jest w powietrzu – szkoła nie pasuje. I tu rodzi się problem. Otóż osoby stare, czyli rodzice i inne wuję, mają obrzydliwy zwyczaj lekceważenia nastrojów dziecka. A przecież jak ono dorośnie, to może uchwalić takie prawo, że starzy się nie pozbierają. Mimo to wypychają młodego obywatela do tej przereklamowanej szkoły.

Tak więc dziecko musi samo sobie radzić. Ale mądrze. Znanе są przypadki głupich działań. Na przykład spektakularne robienie sobie krzywdy. Helenka M. z Podlasia powiedziała rano, wychodząc z domu, że idzie do szkoły. Wbrew obietnicy wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie ma dziś sieć dwóch sklepów garmażeryjnych Kluska. Wiadomo, bez studiów wylądowała w gastronomii. A rodzice muszą robić dobrą minę.

Z kolei Walerek z Kielc, chcąc uniknąć przykrego dnia w szkole, na złość nauczycielom nauczył się wszystkich przedmiotów. Niespodziewanie dostał celujące stopnie z wszystkich klasówek, testów i kartkówek, a także z odpowiedzi ustnych. Rada nauczycielska uznała to za grubymi nićmi szytą prowokację i wywaliła idiotę ze szkoły.

Unikać szkoły należy więc sensownie, tak aby nie drażnić nauczycieli i nie wpakować się w niespodziewaną emigrację.

Najsensowniejszą drogą jest możliwie szybko zapisanie się do młodzieżowej sekcji mocnej partii politycznej. Wówczas każdy belfer zaakceptuje informację, że musimy być na biurze albo na klubie albo że są wybory lub manifestacja. Powodów opuszczenia lekcji jest mnóstwo, a nie wymagają trudnego do podrobienia podpisu ojca czy jego żony<sup>870</sup>.

**Przykład 687. Wojciech Mann – *Lekcja angielskiego 1* (2012?)**

Spiker: Z ubolewaniem zawiadamiam państwa, że dzisiejsza lekcja języka angielskiego nie zostanie poprowadzona przez naszą stałą panią magister, ponieważ poparzyła sobie ciało podczas rozmrażania lodówki. W zastępstwie jej wietnamski kolega Eugeniusz Kierbedź.

---

<sup>870</sup> W. Mann, *Co zrobić, żeby poradzić sobie ze szkołą*, [w:] tegoż, *Kroniki wariata z kraju i ze świata*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012, s. 96. Znak zapytania przy dacie został umieszczony dlatego, że nie udało mi się ustalić, czy autor wykorzystywał wcześniej ten i kolejne teksty w radiu lub telewizji.

E. Kierbedź (z *silnym akcentem obcym*): Dzen dobre, państwo.

Spiker: Przepraszam cię, Gieniu, ale to jest lekcja języka angielskiego...

E. Kierbedź: Dlaczego?

Spiker: Po prostu lekcja. Miałeś zastąpić panią magister i poprowadzić zajęcia.

E. Kierbedź: O, to nie jest dobre dla mnie. Ja urodziłem się w Polsce i nie znam języki. Tylko polski. Słabo.

Spiker: Bardzo państwa przepraszamy, ale mimo naszych wysiłków lekcja angielskiego nie odbędzie się. *Thank you, listeners, and guten Tag*<sup>871</sup>.

### **Przykład 688. Wojciech Mann – *Lekcja angielskiego 2* (2012?)**

Spiker: Z głębokim ubolewaniem informujemy państwa, że nasz ekspert językowy profesor Kogut zatruł się masłem roślinnym. W związku z tym zapowiadana na dzisiaj lekcję języka angielskiego poprowadzi w zastępstwie nasz wietnamski kolega Eugeniusz Kierbedź. Dzień dobry, Cieniu!

E. Kierbedź: Dlaczego?

Spiker: Bo jest jasno. Dzień.

E. Kierbedź: Smutno mi.

Spiker: W tej sytuacji podziękujemy chyba naszemu wietnamskiemu koledze za krótką lekcję i na koniec przećwiczmy typowe angielskie pożegnanie. Jak należy się żegnać po angielsku, Mr. Gieniu?... Bardzo państwa przepraszamy, ale nasz ekspert opuścił już studio. *Aufwiedersehen*<sup>872</sup>.

### **Przykład 689. Jerzy Skoczylas – *Ta nasza klasa*. Fragmenty (2012)**

W 2012 roku zadebiutowałem jako dramaturg, bowiem wtedy miała miejsce premiera mojej sztuki *Ta nasza klasa*, którą wystawił wrocławski Teatr Komedia. Spektakl reżyserował Wojtek Dąbrowski, a muzykę skomponował Boguś Klimsa. Na scenie, oprócz naszej trójki z Elity, pojawiły się jeszcze dwie aktorki: Małgosia Szeptycka i Kasia Skoniecka. Rzecz jest o klasowym zjeździe. Zjeżdżają się starzy kumple i (wiecznie młode) koleżanki, co nie tylko staje się okazją do snucia wspomnień, ale też generuje komiczne sytuacje.

Jednym z niezapowiedzianych zjazdowiczów okazuje się koleś o szkolnej ksywce Kędziorowaty, który opowiada klasie o swojej zawodowo-biznesowej karierze.

Kędziorowaty: Jeszcze wam nie mówiłem, że futerkowe hodowałem, auta sprowadzałem, a teraz jestem za dyrektora szpitala.

<sup>871</sup> Tenże, *Lekcja angielskiego I*, [w:] tegoż, *Kroniki...*, dz. cyt., s. 24.

<sup>872</sup> Tenże, *Lekcja angielskiego*, [w:] tegoż, *Kroniki...*, dz. cyt., s. 29.

Jurek: Szpitala!? Jesteś doktorem?

Kędziorowaty: Ale ekonomii.

Jurek: Wiać jesteś tylko administratorem szpitala.

Kędziorowaty: Nie obrażasz mnie?

Jurek: Skąd, to świetnie się składa. Naszej klasie lat nie ubywa, więc znajomości w służbie zdrowia bardzo się przydadzą. Prawda? (*w stronę widowni*) Popatrzcie na Zdzicha, jak marnie wygląda. Tylko na ostry dyżur. Mów, Kędziorowaty, jakie warunki winna spełniać dobra placówka służby zdrowia?

Kędziorowaty: No, jakie?

Jurek: To ja się ciebie pytam.

Kędziorowaty: To pytaj.

Jurek: Przecież pytam.

Kędziorowaty: Aha. Warunki są dwa. Pierwszy i drugi.

Jurek: Mógłbyś rozwinąć temat?

Kędziorowaty: Po pierwsze sprzęt, a po drugie świetnie wyszkolony zespół, a ja zespół mam świetnie wyszkolony – sam po nocach szkolę pielęgniarki. Tak, że na ostatnim przeglądzie pieśni medycznej zdobyliśmy Grand Prix oraz Puchar Przechodni Powązek i Osobowic.

Jurek: A co ze sprzętem?

Kędziorowaty: Bardzo dobrze! Tę rurę mają nam załatać już pod koniec miesiąca.

Jurek: Jaką rurę!?

Kędziorowaty: Nad salą operacyjną pękła nam rura kanalizacyjna i chorzy się skarżą, że leje im się do środka. To utrudnia zabiegi, bo trzeba szmatami wycierać, a higiena przede wszystkim.

Jurek: Oczywiście, ale jak już uporacie się z tą rurą, to zaraz zaczniecie...

Kędziorowaty: Starać się o farbę i pomalujemy sufit w korytarzu.

Jurek: Sufit?

Kędziorowaty: Sufit. Bo na ściany już nie wystarczy, a chorzy narzekają, że sypie im się do oczu.

Jurek: Do czego?

Kędziorowaty: Do oczu!

Jurek: To oni spacerując po korytarzu, muszą akurat gapić się w sufit?

Kędziorowaty: Oni nie spacerują, oni tam leżą.

Jurek: Wiem, to jest ten słynny eksperyment korytarzowy.

Kędziorowaty: Rozszerzyłem go jeszcze na strych, piwnicę i drewnię, a ostatnio dwóch szczipłych kurdupli udało mi się umieścić w rynnie, dzięki temu codziennie mają bezpłatną kąpiel, a w zimie hibernację.

Jurek: Ale mówimy tu raczej o sprawach socjalno-bytowych, a co ze sprzętem *stricte* medycznym?

Kędziorowaty: *Stricte*... nie wiem, on już chyba u nas nie pracuje, ale jeśli idzie o sprzęt medyczny, nie jest źle. Dostaliśmy z ministerstwa kolejną partię strzykawek jednorazowych.

Jurek: Dużo?

Kędziorowaty: Sześć. Ale z jakością tych strzykawek nie jest najlepiej. Już po trzykrotnym użyciu tłoki przepuszczają i bardzo chlapią na pościel, a z pościelą...

Jurek: Kiepsko?

Kędziorowaty: Skąd wiesz? Widzę, że nasza klasa orientuje się w problemach służby zdrowia. Planujemy jednak kolejny eksperyment i będziemy chorych przyjmować z własną pościelą, we własnych piżamach i z własnymi lekarami.

Jurek: Chorzy na to pójdą?

Kędziorowaty: A mają wyjście? Ostatnio zgłosił się do nas na operację pacjent już przez szwagra rozcięty do operacji.

Jurek: Proszę, jaka piękna postawa społeczna. Szwagier znalazł czas, by pomóc służbie zdrowia.

Kędziorowaty: I to rozrząbał go w czasie wesela.

Jurek: A jak radzicie sobie ze środkami farmakologicznymi?

Kędziorowaty: Bo pewnie myślicie, że jest źle?

Jurek: Tak myślimy.

Kędziorowaty: Otóż nie! Sięgnęliśmy do źródeł medycyny ludowej. A więc chleb zagniatany z pajęczyną.

Jurek: Wiem, czytałem o tym w *Krzyżakach*.

Kędziorowaty: Też czytałem. Jak Kmicica Papkin zranił w nogę i przyszła Curuś-Bachleđa, i mu opatrzyła.

Jurek: Zgadza się.

Kędziorowaty: Następnie wszelkie zioła, okadzanie – to ksiądz kapelan, a ostatnio oddział chirurgii urazowej zamieniłem na oddział ziazium.

Jurek: Czego!?

Kędziorowaty: Ziazium. Co, nie pamiętasz z dzieciństwa? Lekarz, jak mama, na ziazium podmucha, pochucha....

Jurek: I to pomaga?

Kędziorowaty: Gównem pomaga, ale w każdym razie nie szkodzi.

Jurek: A to już dużo.

Kędziorowaty: Bardzo dużo, bo co mówił patron medycyny Hefajstos?



Jurek: Niewierni.

Kędziorowaty: *Festina lente tabula rasa!*

Jurek: Nie wyrażaj się, co sobie pomyśli nasza klasa.

Kędziorowaty: Przez jakiś czas zatrudnialiśmy też znachora, który leczył przez wyciągnięcie ręki.

Jurek: Pamiętam. To tak jak ten słynny uzdrowiciel Harris. (*Pokazuje gest*).

Kędziorowaty: Możliwe, ale on tę rękę wyciągał tak. (*Pokazuje gest*).

Jurek: Tak nie wolno!

Kędziorowaty: Nie wolno! Musieliśmy go zwolnić, bo u nas lecznictwo jest bezpłatne.

Jurek: Poważnie? Nie słyszałem.

Kędziorowaty: No, chyba że coś w kopercie na parapet.

Jurek: Powiedz, co robiłeś wcześniej, nim trafiłeś do służby zdrowia?

Kędziorowaty: Piłem!

Jurek: Ja się pytam, co robiłeś zawodowo?

Kędziorowaty: Zawodowo piłem!

Jurek: A jak wytrzeźwiałeś?

Kędziorowaty: To zakładałem polskie plantacje bananów i ananasów.

Jurek: Ale u nas nie rosną banany i ananasy.

Kędziorowaty: Bo ja mam wyjątkowy talent. Czego nie dotknę, wszystko spieprzę!

Jurek: Wróżę ci wielką karierę. Wysoko zajdziesz<sup>873</sup>.

### **Przykład 690. Tadeusz Ross – *Życie przerosło kabaret*.**

#### **Fragmety wspomnień dotyczące wydarzeń w 1948 roku (2012)**

Łódź, rok 1948. Dookoła głęboki stalinizm. Moja szkoła podstawowa mieści się w starym domu przy ulicy Zgierskiej. Pamiętam ten szary, zniszczony budynek, który wprawdzie przetrwał wojnę, ale z całą pewnością nie nadawał się na szkołę. Już prędzej na jakiś magazyn albo hurtownię. W roku szkolnym przypominał mi ul z tysiącami pszczoł, kłębiących się w środku i wylatujących na zewnątrz. Wszystkie dzieci miały przytroczone do pasków blaszane kubeczki, które przy każdym ruchu wydawały głośny, metalowy dźwięk. Dzieci krzyczą, kubki dzwonią, nauczyciele wrzeszczą. I w tym wszystkim ja – bojący się hałasu chłopiec, przyzwyczajony do wiejskiej ciszy [...].

<sup>873</sup> J. Skoczylas, *Ta nasza klasa*, [za:] tegoż, *Elita i Studio 202...*, dz. cyt., s. 370–374.

Wracając do szkoły. W każdej zawsze jest hałas. Więc nie lubiłem swojej szkoły, ani tej, ani następnej. Wprawdzie byłem dzieckiem potwornie nieśmiałym, ale za to dość dobrze wyedukowanym, a mój poziom wiedzy nieraz przewyższał poziom moich rówieśników. Nie cierpiałem historii i matematyki. Nie obchodziły mnie losy Mieszka czy Bolesława Krzywoustego. Dat uczyłem się z trudem, głównie dlatego że nie chciałem się ich nauczyć. Uważałem to za stratę czasu. O matematyce myślałem jak najgorzej. Niewątpliwie był to wynalazek jakiegoś szalonego sadysty, który tabliczki mnożenia używał w celu zadawania najokrutniejszych tortur swoim ofiarom. Takim jak ja.

Od historii i matematyki zdecydowanie wolałem przyrodę i język polski. Uwielbiałem moją wychowawczynię, panią Irenę Kliss, a może raczej pannę, bo przedstawiała się wówczas jako Irena Klissówna. Więc panna Irena była prawdziwą pasjonatką nauki i szkoły. Miała siłę przekonywania odwrotnie proporcjonalną do swojego niewielkiego wzrostu. Kiedyś, po latach, kiedy przyjechałem do Łodzi, chciałem ją odwiedzić, ale nie było jej już między nami. Nieszczęśliwie wierzę w niebo, ale gdyby przypadkiem istniało, to panna Irena z pewnością skutecznie wychowywałaby tam jakieś niegrzeczne anioły albo edukowała niedouczzone dusze. Wspomnę tylko, że w tamtych szkolnych latach byłem chłopcem bardzo religijnym. Chodziłem często na msze, modliłem się w domu, a nawet – żeby lepiej skupiać się na modlitwie – uciszałem babcię i ciocię, które patrzyły na mnie z lekkim zdumieniem, ale zawsze respektowały moje prośby [...].

Pamiętam przezwiska, jakie nadawaliśmy naszym nauczycielom. Nauczycielka fizyki miała ksywkę Kanapa, bo była nad wyraz rozłożysta, nauczyciela od chemii nazywaliśmy Dyzio Sprężynka, bo chodził po klasie tak sprężystym krokiem, że co chwilę miało się wrażenie, że wyrzuci go w górę, a nauczyciel od matematyki, mój największy postrach, bo byłem z tego przedmiotu kompletnym niedorozwojem, miał ksywkę Flak – od nazwiska Flakiewicz. Muszę się skupić w tym miejscu na małą dygresję. A mianowicie był w naszej klasie pewien uczeń, Janusz Boss, absolutny geniusz matematyczny. Zadania rozwiązywał już w trakcie spaceru do tablicy. Podchodził i wpisywał gotowe rozwiązanie. Byłem też ja, uczeń o podobnie brzmiącym nazwisku – Ross, tyle że matematyczny debil. Flak uwielbiał robić sobie porównania, które zawsze wypadały na moją niekorzyść. Najpierw oczywiście wywoływał do tablicy mnie, wycedzając przez zęby syczące: „Ross!”. A kiedy szedłem na środek klasy, na miękkich nogach, z absolutną pustką w głowie, Flak patrzył na mnie z nienawiścią, obrzydzeniem, niesmakiem i pogardą, bo szczerze nie cierpiał każdego, kto nie rozumiał matematyki. Po minucie mojego milczenia krzychał: „Siadaj!”. Ja, trupio błąd, wra-

całym na miejsce, a wtedy Flak rozpromieniał się i mówił z satysfakcją: „Boss!”. Boss podchodził do tablicy, od razu wpisywał rozwiązanie, a Flak posyłał mi spojrzenie, które mogło zabić. Gdyby jakąś wojnę gdzieś na świecie prowadzić przy pomocy wojska złożonego z samych Flaków, to żaden wróg nie miałby szans na zwycięstwo.

Niedawno w sejmie podszedł do mnie marszałek Stefan Niesiołowski, który mieszka w Łodzi, i zapytał: – Czy ty pamiętasz takiego nauczyciela geografii Królikowskiego, bo słyszałem, że chodziłeś do „dwójki”?

Czy pamiętam Królikowskiego? A czy mógłbym nie pamiętać uśmiechniętego, pucułowatego faceta, któremu nadaliśmy przydomek Globus? Oprowadzał nas wszystkich po świecie, nie ruszając się z sali, a ja dzięki niemu do dziś pamiętam, gdzie leży Borneo.

Pamiętam też Puzona, naszego rusycystę. Rosyjski w czasach głębokiego stalinizmu był językiem najważniejszym, więc Puzon w szkole również był najważniejszy. Miał ogromny nos, który wystawał mu z twarzy jak wielki bałkazan [...].

Sto dni przed maturą organizowaliśmy studniówkę. Miała się odbyć w którymś z żeńskich liceów. W końcu jesteśmy. Bawimy się przy płytach, na których Natasza Zylska śpiewa *Serduszko puka w rytmie cha-cha*, a Marysia Koterbska *Bo mój chłopiec piłkę kopie* (tak właśnie wymawiała to słowo – przez „l”). Tańczymy do piosenek bożyszca kobiet Janusza Gniatkowskiego i tajemniczej, przejmującej Marty Mirskiej. Nie pamiętam już, jak były ubrane dziewczyny, ale my, chłopcy, w większości nosiliśmy modne wówczas czarne obcisłe sweterki z wyłożonymi na wierzch białymi kołnierzykami koszul (swoją drogą, co za ohyda!). Do tego oczywiście krótkie, zwężane spodnie, odstawiające kolorowe skarpetki (z których tak często kpiła reżimowa prasa, nazywając je reliktem zgniętego kapitalizmu). Krzykiem mody były również buty na słoninie, których dumni posiadacze nazywani byli chuliganami. Studniówka byłaby całkiem udana, gdyby nie słynna wtedy w Łodzi banda Kłaka – znana z tego, że wpadała znienacka na zabawy i rozwalala wszystko w drobny mak. Niestety bez zaproszenia pojawiła się też na naszym balu, przeszła jak burza, ale nikt nie stracił dobrego humoru. Byliśmy młodzi, a młodość ma to do siebie, że nawet jak porządnie oberwie, to natychmiast cudownie zdrowieje.

Pamiętam atmosferę Łodzi z tamtych szkolnych lat. Było to wprawdzie miasto robotnicze, ale ludzie chętnie chodzili do teatrów i często o sztuce i aktorach rozmawiali. Rozmawiałem kiedyś z Wicusiem – karzełkiem, który sprzedawał gazety na ulicach Łodzi. Był równie popularną postacią w mieście, jak nieco później milicjantka Łozdia. Wicus chodził po ulicach i krzyczał, straszliwie seple-

niąc i nie wymawiając niektórych sylab: „Epe, Wite Watę! Epe, Wite Watę!”. „Epe” oznaczało gazetę „Ekspres”, a „Wite Watę” – „Wicek Wacek”, występujące w niej dwie rysunkowe postacie, prowadzące ze sobą krótki, w ówczesnym pojęciu śmieszny dialog, naśmiewając się z kułaków i wszystkiego, co zachodnie. Wicus sprzedawał więc swój „Epe”, a ja zawsze chętnie z nim rozmawiałem, choć były to rozmowy dość abstrakcyjne [...]. Czasem przyprowadzałem kolegów, żeby posłuchali tych moich z Wicusiem rozmów. Wtedy Wicus czuł się bardzo ważny i wygłaszał przemówienie w tym swoim dziwacznym języku. My słuchaliśmy tego z poważnymi minami, jakbyśmy słuchali jakiegoś profesora na Sorbonie czy Harvardzie. Kiwaliśmy głowami, a potem, tłumiąc śmiech, rozmawialiśmy ze sobą językiem Wicusia. Ten język zagościł nawet na jakiś czas w naszej klasie. Raz spróbowałem porozmawiać w ten sposób z nauczycielką historii, która wyraźnie się na mnie uwzięła.

– Ross, do odpowiedzi. – Wywołała mnie któregoś dnia.

– Usz ię – odparłem z powagą.

Wszyscy natychmiast zorientowali się, że szykuje się niezła draka, i czekali w napięciu na rozwój wydarzeń. Wyszedłem z ławki i stanąłem na środku klasy.

– Co cię tak zamurowało? – spytała belferka. – Podejdź bliżej do tablicy.

– E ogę, oszę ani.

– Co powiedziałaś?

– Oedziaem, e e ogę.

– Nic nie rozumiem. Co ci się stało? Mów wyraźniej.

– Ofię adzo yanie, oszę ani.

– Ross, robisz sobie ze mnie żarty? – jej irytacja zbliżała się do punktu „zero”.

– E obie, oszę ani. Epe, Wite Watę! – dodałem na koniec.

To przesądziło sprawę. Klasa ryknęła takim śmiechem, że pani od historii zrobiła się czerwona jak radziecki sztandar i krzyknęła: – Dość tego! Idę po dyrektora!

Po chwili do klasy wszedł dyrektor Filipowicz i zwrócił się prosto do mnie:

– Ross, co ty wyprawiasz?

– Nic, panie dyrektorze – odpowiedziałem najnormalniej w świecie. – Zostałem wezwany do tablicy, więc stoję i czekam.

– Ale podobno bełkoczesz.

– Ja bełkoczę, panie dyrektorze? Przecież mówię normalnie.

– Przecież mówi normalnie – dyrektor zwrócił się do pani od historii.

– Nie rozumiem, o co chodzi?

– Teraz mówi, ale przedtem się wygłupiał – wyskrzypiała wściekła nauczycielka. – Przecież nie prosiłabym tutaj pana dyrektora bez powodu. W każdym razie bardzo dziękuję, że pan przyszedł.

Dyrektor spojrział na mnie i wydawało mi się, że lekko się uśmiechnął<sup>874</sup>.

**Przykład 691. Tadeusz Ross – *Życie przerosło kabaret*.  
Fragmety wspomnień dotyczące wydarzeń  
w latach 50. XX wieku (2012)**

W latach 50. studentów obowiązywały obozy wojskowe. Państwo ludowe w razie napaści zachodniego wroga musiało mieć bowiem skutecznych obrońców w postaci aktorów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków i innych wyżej wykształconych. Władza wymyśliła sobie, że z artystów zrobi żołnierzy, chociaż każdy normalny człowiek wie, że artyści, jak mało kto na świecie, do wojska się nie nadają. No ale władza ludowa oczywiście wiedziała lepiej, więc po pierwszym roku studiów musiałem pojechać na obóz. Oczywiście wcześniej kombinowałem, jak by się od tego obowiązku wywinąć. Udawałem, że mam padaczkę, że słabo widzę, że mam potężny niedosłuch, a nawet, że jestem garbaty (co doradził mi starszy kolega Zbyszek Zapasiewicz, sugerując, bym włożył sobie pod koszulę Jasiek). Ostatecznie poszedłem na komisję, kulejąc. Wojskowi doskonale znali się jednak na artystycznych sztuczkach. Lekarz jednoznacznie wykluczył wrodzoną wadę w chodzie, a i desperackie próby udawania wariata – łącznie ze zwracaniem się do majora „proszę księdza” i nerwowym chichotaniem – na nic się zdały. Zirytowana komisja niemal z hukiem wyrzuciła mnie za drzwi, kwalifikując tym samym jako zdolnego do udziału w obozie.

Szkolenie na żołnierza miało się odbywać w jednostce wojskowej w Wałczu. Byłem absolutnie zdruzgotany perspektywą spędzenia tam sześciu tygodni, zwłaszcza że w domu czekała na mnie młoda żona, postanowiłem więc zastosować taktykę „pierdła”, w której tajniki wprowadził mnie nieoceniony Franek Starowieyski. „Musisz stawiać im intelektualny opór”, tłumaczył Franek. „Jak wydadzą rozkaz: padnij, to mów, że jesteś esteta i nie możesz paść, bo sobie ubrudzisz mundur, a w brudnym mundurze nie będziesz godnie reprezentował swojej ojczyzny. Poza tym oni i tak nie będą znali słowa: esteta, więc tym bardziej się wkurzą, że ich obrażasz, i tym szybciej cię wsadzą do pierdła. A w pierdłu spokojnie przeczekasz, dadzą ci żarcie i ominą cię wszystkie te kretyńskie marsze, biegi i manewry”.

---

<sup>874</sup> Zob. T. Ross, *Życie przerosło kabaret*, Prószyński i Ska, Warszawa 2012, s. 43–49.

Pewnie nietrudno się domyślić, że chętnie zastosowałem się do rad Francka – i ku swojemu zaskoczeniu stwierdziłem, że jego metoda naprawdę działa. Przynajmniej dwa razy w tygodniu byłem lokatorem pierdła. Siedziałem tam spokojnie, pisałem listy do żony i obmyślałem plan występu, który miał się odbyć na obozie. A byli ze mną nie byle jacy studenci: Wojtek Młynarski, Jurek Maksymiuk, Mieczysław Nowakowski (późniejszy doskonały dyrygent), Marian Kociniak, Władysław Kowalski i inni później mniej lub bardziej znani.

Pamiętam, jak któregoś dnia podszedł do mnie Wojtek Młynarski, podsunął mi pod nos jakąś zabazgraną karteczkę i powiedział nieśmiało: „Wiesz, napisałem taką piosenkę. Może byś ją kiedyś zaśpiewał?”.

Ale nie zaśpiewałem. Gdybym wiedział wówczas, kim będzie Wojtek, pewnie padłbym przed nim na kolana i śpiewał tę piosenkę bez ustanku. Nikt jednak nie podejrzewał wtedy, że Wojtek stanie się w przyszłości geniuszem tekstu i że po mistrzowsku zapisze historię ówczesnej Polski w swoich niepowtarzalnych piosenkach. Oczywiście w literaturze muzycznej są miliony piosenek banalnych, płytkich i kiczowatych i one też spełniają swoją rozrywkową rolę, ale prawdziwa piosenka to ta, która oprócz muzyki porusza, wzrusza, czasem rozśmiesza, daje do myślenia, zostawia ślad w naszych sercach i umysłach. Takie piosenki śpiewali Edith Piaf, Gilbert Becaud, Jacques Brel, Charles Aznavour, Yves Montand i wielu, wielu innych. I takie właśnie piosenki pisał, i w dalszym ciągu pisze Wojciech Młynarski, wielki kronikarz naszych czasów i pogmatwanych, polskich dziejów.

Powszechnie znany studentom wszystkich warszawskich uczelni był wówczas major Jedziniak – kluczowa postać przysposobienia wojskowego oraz obozów wojskowych. Był to wyjątkowo mało skomplikowany człowiek, który z rosyjskim akcentem nieustannie gadał głupoty. A tym większe, im bardziej był przez nas, studentów, podpuszczany. I tak pewnego razu na zajęciach przysposobienia wojskowego wstałem i zapytałem majora Jedziniaka: „Obywatelu majorze, czy słyszał obywatel major o najnowszym karabinie maszynowym Rawicz i Landauer?”. A był to bardzo znany w tamtych czasach duet fortepianowy. Major odparł oczywiście, że zna taki karabin, a powiedział to z takim przekonaniem, że wszyscy studenci pokładali się na ławkach ze śmiechu. Następnym razem na ćwiczeniach ze strzelania major Jedziniak straszliwie się na mnie wkurzał, nie mogąc zrozumieć, że ktoś nie umie trafić w tarczę – i nie chodziło o jakiś punkt w centrum czy choćby na obrzeżu tarczy, tylko o tarczę w ogóle. „Co wy, szeregowy, ślępy jesteście, nie widzicie tarczy? A jak przyjdzie wróg?”, pytał major raz po raz. „Widzę, panie majorze”, odparłem z pełną świadomością tego, z czym za chwilę będzie się musiał zmierzyć Jedziniak. „Ale jak sobie wyobrażam, że to nie tarcza, tylko człowiek, na przykład pan major, to ręka mi drży i nie mogę

trafić. No chciałby obywatel major, żebym w obywatela majora trafił?”. Naturalną konsekwencją tej wymiany zdań były dwa dni paki, który to „wyrok” przyjąłem z nieskrywaną satysfakcją.

Wtedy, na tym wojskowym obozie, wszyscy byliśmy młodzi, więc głupoty w rodzaju „padnij”, „czołgaj się”, „na ramię bryń”, „do nogi bryń” jakoś wytrzymaaliśmy, naśmiewając się pod nosem<sup>875</sup>.

**Przykład 692. Mirosław Kaźmierz Binkowski –  
*Na dzin nouczyciela* (2013)**

Nouczycielu, dziś świynto Twoje  
I jo z bukiytm przed Tobom stoję.  
Zaczym ci jednak złoże życzynia,  
Posuchej, co mom do powiydzynia.  
Bez wszystkie lata co robisz w szkole,  
Różnistych uczni przecie już miołyś,  
Ale takiyóg jak jo zdolnyóg  
Ni miołyś chyba jeszczyk żodnyóg.  
Jo jezdyin bystry, inteligyntny,  
W ryncznych robotach zawsze żym chyntny.  
Fikom koziołki na gimnastyce.  
Z rachunków czasym tyż coś wyliczę.  
Wiyim dzie na mapie Żnina mom szukać.  
Umie łodróżnić wróbla łod kruka,  
No jednym słowym powiedzie musze,  
Trafiyło ci się uczyć gieniusza!  
Na takie szczyńście pewnieś nie liczył,  
To czego jeszczyk mogę Ci życzyć?  
Może już tylko zes życzliwości,  
Złoże życzynia Ci ciyrpliwości.  
No bo gieniusze som charakterne  
I majom prawo być se chymerne.  
Nawet jak byde ździebko lyniwy,  
Wyrozumiaył bądź i ciyrpliwy.  
Jak bym zaś zaspoł do szkoły z rana,  
Ty się nie borchej, jo w końcu wstanę.  
Jak nie łodrobie kiedy zadania,

---

<sup>875</sup> Zob. tamże, s. 84–86.

Ty mi to łodpuść dycht bez godania.  
Nie rób rejwachu jak przy tablicy,  
Źle bym trójkąta pole wyliczył  
I niech cię nagło krew nie zaleje,  
Jak nie wiyim czymu wichura wieje.  
A jak twierdzyinie Pitagorasa  
Kciołbyś łody mnie usłyszyc czasym,  
To ci łotwarcie powiedzie musze:  
Pitagorasa lepi nie ruszej!  
Bogiyim a prawdom, tyn Pitagoras  
Tyż dokazywał w szkole roz po roz.  
Nie zawsze lekcje miał łodrobiane,  
Lektury rzodko miał przeczytane,  
Ale miał mondrych nauczycielów,  
Co choć utrucie feste z niym mieli,  
To lichych stopniów mu nie stowiali,  
Bo kim łon bydzie już miarkowali.  
I tero sławne som w cołkiym świecie.  
Pitagorasa uczyli przecie!  
Ty tyż doczekać się możesz chwały,  
Jak bydziesz dló mnie wyrozumiaily,  
Bo wcale nie je to wyklóczóne,  
Źe bydzie zy mnie jaki uczony,  
Abo piosynkorz, poseł, pianista,  
Czy jak Szymborsko, zacny noblista.  
Mogę tyż przecie być senatorem,  
W telewizorze znanym aktorem.  
Musisz uwożać by świat nie stracił  
Taki wybitny jak jo postaci!  
A jak już sławne byde miał życie  
I wywiad zy mnom dadzom w gazycie,  
To w tym wywiadzie, możesz być pewiyn,  
Wspomnę, że uczył mię taki jedyn!  
Bez co się staniesz znany, szczyříśliwy  
I powiysz: Dobrze, żym był ciyrpliwy!

Nauczyciele, tak samo zresztom jak tero, nie zarobiali tedy kokosów. Spotkołym kiejsiś chłopoka, co porę łot pryndzy chodził do moji szkoły i na samych trójach z ledwościom jom skończył. Łopowiadał mi, że robi za traktorzystę w pe-



geerze, a jak zgodalim się ło wypłacie, to ło kozołało się, że mo na rynkę dwa razy tyła, co jo w szkole dostaje. Pewnie tyż bez to, jednygó razu matka chłoposzka z ósmy klasy, którnóm zawołołym se do szkoły, bo jeji gzub same pały dostawoł, powiedziała mi załamano: – Panie, jo tam już ni mom siły, żeby go do nauki gonić, ale żeby chociaż za nauczyciela się wyuczył!

Jak jo żyłm jeszczyk byłm studyntym i za nauczyciela się kształcył, to wysyłałi nos na lekcje do doświadczonych nauczycielów, co bym przyglondali się jak noleży uczyć. Jednygó razu poszlim na lekcje do pionty klasy, a było to z poczuntku roku szkólny. Nauczycielka dopiiry co poznawała dziecioków i uczyła się jejiich nazwisków. Widać było, że nazwisków czech dziecioków już się nauczyła i zadowolono, że mo dobrom pamiyńć, pokazywała palcym na dziecioka i wymieniała jego nazwisko, a tyn wstawoł i łodpowiadoł. Jak dzisie j pamiyntom, że te nazwiska, co je umiała, to były: Nowok, Kujawa i Wiaderko, zaś innych dziecioków, zaniym się ło co zapytała, to jyno pokazywała palcym, a oni musieli powieździć jak się nazywajom. Nojwiyncy, to łodpoytywała tych czech, no to co rusz do łodpowieździ wstawoł Nowok, wstawoła Kujawa i wstawoła Wiaderko. Nowok z Kujawom mieli zadowolone pyski, że Pani już wiy jak się nazywajom, ale Wiaderko cingiyłm podnosiła się jakoś tako niezadowolniońo. Jak dzieś tak za czwortym razem nauczycielka wywołała Wiaderko do łodpowieździ, dziewczuszka akuratnie to dpowiedziała na pytanie, ale potym ździebko zmiynszano zagodała: – Pani, ale jo się nie nazywom Wiaderko!

– Niy? A jak tyż się nazywosz?

– Korytko!

Łod tamty pory zapamiyntołym se, żeby uwożać i nie przekryncać nazwisków dziecioków, ale i tak kiejsiś dziewczuszka, co się Bochynek nazywała łobraziła się na mnie, bo cinyngiyłm wołołym na niom Chlebosko.

Jak moje rodzone dziecioki miały po porę lot, to jeździylim z niymi do babusi i dziadusia do Żnina. My z kobyitom chowalim dziecioki tak, jak w mondrych ksiunżkach stojało, ale moja mama z tatom tych ksiunżek nie czytali i ze strachym żyłm się przyglondol, jak wnuki jym na łeb włazom. Mama widziała moje przerażynie i powiedziała mi kiejsiś: – Łod wychowywania som lojtiec i matka, a babusia z dziadusiym som łod tego, co by wnuków rozpuszczać. My bez te porę dni je porozpuszczomy, a wy potym se je wychowujta jak kceta.

Do dzisie j moje gzuby te babusine i dziadusiowe rozpuszczanie wspóminalom, a że jym nie zaszkoździło, to już tero wiyłm, bo na porzonnych ludzi wyrosły<sup>876</sup>.

<sup>876</sup> M.K. Binkowski, *Na dzin nauczyciela*, [w:] tegoż, *Kupa śmijchu po pałucku*, ADMIN, Toruń 2013, s. 10–13.

**Przykład 693. Mirosław Kaźmierz Binkowski –  
*Mynczarnia dobrygò wychowanio. Fragmenty (2013)***

Jak w domu łojciec z matkom cię cinyngiym denerwujom.  
Jak ciuchów, co rych w modzie, ci w składzie nie kupujom.  
Jak co dzień cię futrujom szpinakiym i kaszkami,  
A ty rych źdźarbyś lody i popknył je cipsami.  
Jak ci nie kozom paczyć na film, dzie się szczylajom.  
Jak w gry na kumputerze ci pograć zabróniajom.  
Jak cinyngiym jyno słyszysz: *nie ruszej, lodyndź, zostow!*  
*Weź wyćpij wreście śmieci! Czewiki ustow prosto!*  
Jak góniom cię do szkoły, lektury czytać kozom.  
Jak mówiom byś na lekcjach był cicho i uwożoł.  
Jak w kółko ci brawyndzom i prawiom ci morały,  
Żeś na to jes za gupi, na tamto zaś za mały.  
Jak zmiyrzgnie ci nareście to wieczne ich godanie,  
Wstań z wyra wczesnie rano i migiym zjydz śniodanie,  
Do torby lompy spakuj, zabowki pozabiyrej,  
Pokiwej łojcu, matce i ... do babusi fyrej.  
Babusia uśmiychniynto i od proga cię przywito.  
Czy byłyś usuchany, się wcale nie zapyto.  
Niezdrowe dobre żarcie ci zaro uszykuje.  
Niezdrowe wedle matki, a tobie rych smakuje.  
Jak beknie ci się niczym po liściach stary krowie,  
Babusia się zaśmieje i powiy ci: *na zdrowie!*  
Jak z gymby ci się wymsknie łacińskie jakie słowo,  
Pogłosko cię i powiy, byś się nie denerwowoł.  
Nie wyzwie cię łod glajdy, jak się ubrechtosz w błocie.  
Nie krzyknie, zyndź w ty chwili, jak wdrapiesz się po płocie.  
Jak na łbie z kłaków zrobisz na cukier se fryzurę,  
Babusia cię pochwoli – łod matki miołbyś bure!  
Jak se załóżysz kolczyk na ucho z jedny strony,  
Babusi się spodobo, zaś łojciec by cię zgrorniył.  
Jak byś dziewuchę jakom se ciongnył za warkocze,  
Napomni zatroskano, byś przy tym się nie spociył.  
Do składu z zabowkami zabierze cię ze sobom  
I bez godanio kupi to, co ci się spodobo,  
Jak wolisz w piłę pograć, a nie tam iść do szkoły,  
Do usprawiedliwinie, że rychtyk byłyś chory.

Nie bydziesz se czytaniem lektury mynczyć głowy.  
Babusia jom przeczyto, a potym ci łopowiy.  
Jak nuczyciel zado z rachunków ci zadanie,  
Babusia powiy jyno byś rynkom machnył na nie.  
Czy mosz umyte giyry, przed spaniyem się nie spyto.  
Zaśpiywo kołysankę i bajkę ci przeczyto.  
Zaczym się bajka skończy, spać bydziesz jak ta trusia,  
A rankiyem pocichutku łobudzi cię babusia.  
Spakować kozę lompę, zabowki pozabiyać  
I powiy, że do łojca mosz i do matki fyrać,  
Bo łoni wychowajom cię na porzonných ludzi,  
A u babusi jyno dycht byś się rozpaskudziył!  
I bydziesz musioł fyrać do domu bez godanio,  
Dzie czeko cię mynczarnia dobrygó wychowanie.

Pewniykim nie jedyn z Wos przypómniół se tero, jak to i jego babusia z dziadusiym rozpuszczali jak dziadoski bicz. Jo tyż zawdy žym móg liczyć na mojom babusie. Jak mama nie kciała dać mi na kino, to starczyło markotnie spojrzeć się na babusie, a ta już siyngała do portmanetki. Jak tata nie kcioł mię puścić na prywatkę, to zaro usłyszoł łod babusi, że pewnie zapómniół, jak som był chłopokiyem i że dzieciok, czyli jo, musi się przecie za młodu wyszumić! Nie wiym, czy to było pedagogiczne, ale babusia na swojym stowiała, bo tata z mamom jakosiś barzy suchali się babusi, niż jo žym się ich suchoł [...] <sup>877</sup>.

**Przykład 694. Jerzy Skoczylas – *Elita i Studio 202.*  
*Hej szable w dłoń!* Fragmenty wspomnień  
dotyczące wydarzeń w latach 60. XX wieku (2013)**

Pojechałem na wakacje, a że egzaminy pozdawałem, to po pierwszym roku studiów przyszedł drugi. Na drugim roku studiów założyłem mundur, ale już nie harcerski, tylko wojskowy. Na szczęście nie musiałem go wkładać codziennie, jedynie raz w tygodniu, w czwartki, gdy odbywałem obowiązkowe szkolenie wojskowe w ramach Studium Wojskowego Politechniki Wrocławskiej. Od drugiego do czwartego roku studiów było wojo. Mundury mieliśmy ciekawe, a stosunek do nich dziwny. Były to mundury starego typu, z krótkimi butami, do których nosiło się tak zwane owijacze. Wśród studentów obowiązywała też niepisana zasada, że mundur trzeba sobie w miarę możliwości dobrać tak, by był za duży i by wyglądał w nim jak ostatnia oferma – albo raczej jak Szwejk.

<sup>877</sup> Tenże, *Mynczarnia dobrygó wychowanie*, [w:] tegoż, *Kupa śmiychu...*, dz. cyt., s. 13–15.

Gdy się umundurowałem i przejrzałem w lustrze, z dumą stwierdziłem, że dochowałem wierności wspomnianej zasadzie. Słowa „oferma” i „Szwejk” nawet w połowie nie oddawały stanu faktycznego. Wśród naszych wojskowych wykładowców większość stanowili pułkownicy i majorzy w wieku emerytalnym lub przedemerytalnym. Nigdy nie mówili tego głośno, ale chyba byli w stu procentach pewni, że czego jak czego, ale wojska z nas zrobić się nie da. Czyniliśmy, co w naszej mocy, by ich w tym poglądzie utwierdzić.

Największym problemem były włosy. W tamtych latach nosiło się włosy długie. Niestety, wojskowy regulamin dopuszczał jedynie krótkie – i pole do konfliktu gotowe. Gdy straszenie nas regulaminem nie skutkowało, dowódcy wzywali patrol garnizonowy z prawdziwego wojska. Patrol ten miał nas wyłapywać przed wejściem do Studium Wojskowego i kierować do fryzjera. Ale nie z nami te numery. Patrol stał i myśmy też stali, tyle że w bezpiecznej odległości od patrolu. Po jakimś czasie patrol kapitulował i odjeżdżał, a my przychodziliśmy na szkolenie. Wszyscy dostawali dwóje za spóźnienie, ale co tam dwójka – grunt, że włosy uratowane!

Niestety, do czasu. W trakcie wakacji po drugim i czwartym roku jechało się na poligon do regularnej jednostki wojskowej i tu już na uratowanie włosów nie było żadnych szans. Po przyjeździe strzygli nas na zero i jeszcze brali za to po pięć złotych. Dziś ogolona głowa to prawie norma, wtedy był to cios w samo serce.

Nie wiem, czy nie zdradzam tajemnicy wojskowej, ale szkolenie poligonowe odbywałem w jednostce wojskowej w Gorzowie Wielkopolskim jako saper. Chyba jednak nie zdradzam, bo słyszałem, że jednostkę rozformowano. Do historii przeszła nasza przygoda związana z budową mostu na Warcie.

Pewnego razu nasi dowódcy stwierdzili, że saperską wiedzę posiadaliśmy już w takim stopniu, iż jesteśmy w stanie wybudować most. Uzbrojeni w ciężki i skomplikowany sprzęt rozpoczęliśmy prace na brzegu Warty. Szło nam różnie, ale po kilku godzinach na koślawo wbitych w grunt podporach ułożyliśmy parę kilkutonowych elementów nawierzchni. Kazano nam czekać na majora z jednostki, który miał przyjechać i ocenić nasz trud i wysiłek. Żar lał się z nieba, bo lipiec był upalny, więc schroniliśmy się przed słońcem pod zbudowaną przez nas konstrukcją. Po pewnym czasie na brzegu rzeki ukazał się wojskowy, terenowy gazik, który mknął w naszą stronę, wzniesając za sobą tumany kurzu. W gaziku stał major. Jedną ręką trzymał się samochodu, łapiąc równowagę, drugą zwinętą w trąbkę miał przytkniętą do ust i coś wrzeszczał. Gdy znalazł się bliżej, zrozumieliśmy, co takiego krzyczał. Było to jedno, powtarzane w kółko niecenzuralne słowo:

– Spier...ać!!! Spier...ać!!!

Nie musiał nas długo namawiać. Czym prędzej wykonaliśmy rozkaz majora, uciekając spod wzniesionej budowli.

Gdy tylko odbiegliśmy na bok, nasze kilkotonowe dzieło runęło jak domek z kart. Niestety, nie znam nazwiska tego majora, ale chyłę przed nim czoło. Jakież to musiał być fachowiec, skoro już z odległości kilometra zauważył, że to, cośmy wznieśli, musi się zawalić. A trzeba wiedzieć, że ów major był ludowy, nie natowski, a mimo to wiedzę miał.

Wszystkim nam wlepił po dwóci, ale ocalił nam życie. Dzięki, panie – o, przepraszam, obywatelu majorze!<sup>878</sup> [...]

Internetu nie było wtedy wcale. I może dlatego kluby studenckie przy każdej okazji wypełniały się po brzegi.

Organizowano na przykład spotkania z naukowcami. Na jednym z nich dowiedziałem się, że profesor Roman Kurdziel – spec od elektrotechniki i bardzo wymagający pedagog – zna na pamięć całego Pana Tadeusza. Do tego stopnia, że recytował go na wrywki. Przyniesiono więc dzieło wieszca i zaczął się egzamin, choć ten jeden raz dla profesora, a nie dla nas. Przekazywaliśmy sobie książkę i dawaliśmy profesorowi zadania: księga siódma, wiersz dwudziesty, a on skupiał się przez pięć sekund i bezbłędnie cytował. Fascynujące.

Profesor Jerzy Skowroński opowiedział nam o swojej przygodzie z izolatorem. Jego katedra projektowała między innymi izolatory, duże, wiszące na słupach. Profesor zaprojektował takie cacko ze specjalnego szkła i postanowił sprawdzić, jak zachowa się w środowisku zapyłonym. Izolator wywieziono na Górny Śląsk, umieszczono na jakimś słupie w pobliżu huty i koksowni, gdzie wisiał sobie przez trzy lata. Nadeszła godzina zero. Izolator zdjęto i wieczorową porą przywieziono do instytutu profesora. Rano sztab specjalistów miał zacząć badania. Niestety, ekipę uprzedziła sprzątaczką, która przyszła godzinę wcześniej i zobaczywszy takiego kocmołucha, dokładnie go wyszorowała i wypucowała. Profesor o mały włos nie dostał zawału. Sprzątaczce nic się nie stało. Ówczesni naukowcy to byli ludzie z klasą i mieli poczucie humoru.

Nasz dziekan, profesor Konstanty Wołkowiński, zasłynął z kary, jaką raz nałożył na niegrzecznego studenta. Student ów nadużył napojów wysokowych i narozrabiał, a że nie zrobił tego po raz pierwszy, trafił przed oblicze dziekana. Dziekan spojrział na osobnika i rzekł: – Ja panu odbiorę akademik.

Student na to: – Kiedy ja nie mam akademika.

– To ja panu odbiorę bony stołówkowe.

<sup>878</sup> J. Skoczylas, *Elita i Studio 202...*, dz. cyt., s. 23–25.

- Kiedy ja nie mam stołówki.
- W takim razie zabiorę panu stypendium.
- Kiedy ja nie mam stypendium.
- To ja panu to stypendium dam i je panu odbiorę!

Dziekan opowiedział nam też, ponoć autentyczną, anegdotę na temat pierwszego rektora politechniki profesora Dionizego Smoleńskiego.

Profesor Smoleński mieszkał przy ulicy Mickiewicza i któregoś wieczoru, gdy wracał z uczelni, na obrzeżach parku Szczytnickiego zderzył się z pijanym jegomościem. Po krótkiej szamotaninie profesor się oswobodził i ruszył dalej. Coś go jednak tknęło. Sięgnął do kieszonki kamizelki i stwierdził, że nie ma w niej zegarka z dewizką. Dziarski rektor zawrócił. Dorwał pijaczka, natłukł swoją dębową laską, po czym sięgnął do jego kieszeni, wyrwał zegarek i dumny ze swego czynu potruczał do domu. Trochę się zdziwił, gdy na nocnym stoliku zobaczył swój zegarek. Tego dnia zapomniał go ze sobą zabrać. Bardzo to przeżył i potem dawał ogłoszenia do gazet, by odszukać, przeprosić i wynagrodzić okradzionego.

Takie to były imprezy i tacy to byli naukowcy<sup>879</sup> [...].

Intensywność życia artystycznego musiała się odbić na jakości studiów. Oblałem pierwszy i jedyny podczas całych studiów egzamin z podstaw automatyki kompleksowej. Nie wiem, czy na ten fakt nie miało wpływu moje zachowanie, ale z pewnością wykładowca mnie nie lubił. A to dlatego, że jesienią i zimą w czasie zajęć gasiliśmy światła. Rzecz jasna, nie tak trywialnie, wyłącznikiem: pstryk, pstryk. Gasiliśmy sposobem, wszak byliśmy elektrykami. Z lamp oświetlających salę wykładową wykręcało się żarówki. Papierowe serwetki do wycierania ust obficie się ślińiło i robiło z nich kulki. Tak spreparowaną kulkę kładło się na żarówkę i całość delikatnie wkręcało w oprawę. Dopóki kulka była mokra, przewodziła prąd i żarówka świeciła. Gdy tylko wyschła, lampa gasła. To dodawało zajęciom dramaturgii, a my obstawialiśmy, która lampa zgaśnie wcześniej. Na koniec zostawała jedna i wszyscy popatrywali na nią ze strachem i z nadzieją. Wreszcie „pyk” – i stawała się ciemność. Oczywiście prowadzący zajęcia doskonale wiedział, że za tym wszystkim ktoś stoi. Jak skonstatował, że w tej grupie byłem też ja, nie wiem. Ale intuicja go nie zawiodła.

Inny „dowcip” spłatali studenci naszej matematyce, pani Łopuszańskiej. W dużej, amfiteatralnej sali wykładowej obok tablicy była umywalka. Gdy odkręcało się kran, w rurach coś niemożliwie wyło i warczało. Kto ma w domu kran z wodą, ten na pewno kiedyś tego doświadczył. Tuż przed wykładem niezna-

---

<sup>879</sup> Tamże, s. 28–29.

ny sprawca odkręcił ów kran, wprawiając rury w wibracje, a nad nim przykleił kartkę: „Proszę nie zakręcać, badania prowadzi Instytut Inżynierii Sanitarnej”. Biedna Łopuszańska przekrzykiwała wyjące rury przez cały wykład, co chwilę komentując: – Co to za pomysły, żeby w trakcie mojego wykładu prowadzić takie badania<sup>880</sup> [...].

Od pierwszego września rozpoczynałem pracę w technikum samochodowym jako nauczyciel elektrotechniki i automatyki. Zachciało mi się kończyć studia, to teraz przyszło ponieść tego konsekwencje. Jeszcze nikt nie zdążył powiedzieć do mnie „panie magistrze” czy „panie inżynierze”, a zaczęli mi mówić „panie profesorze”. Zostałem nie tylko profesorem od elektrotechniki, ale i wychowawcą klasy IV B. Do dziś nie wiem, czy ówczesne władze oświatowe wiedziały, co czynią, ale to uczyniły.

Pamiętam test, jakiemu poddali mnie uczniowie na jednej z pierwszych lekcji. Wytypowany delikwent zadał mi bardzo skomplikowane pytanie z zakresu elektrotechniki samochodowej, a klasa patrzyła na mnie z zaciekawieniem, bo wiedziała, że zostałem trafiony. Opowiedziałem im: – Nie wiem, ale skoro was to interesuje, to poszukam w literaturze i jutro wam odpowiem.

Wtedy pytający odparł: – Niech pan nie szuka, myśmy tylko chcieli sprawdzić, czy pan będzie ściemniał. Ale pan jest w porządku.

Kontakt z uczniami został nawiązany, trochę gorzej było z dyrekcją. Któregoś dnia w telewizji leciał ważny mecz, więc razem z moją klasą uciekliśmy z lekcji. Rzecz się wydała. Dyrektor do spraw pedagogicznych wezwał mnie na dywanik, usadził naprzeciw siebie i rzekł: – Panie inżynierze, czy pan chce być dobrym pedagogiem?

Spojrzałem mu w oczy i odpowiedziałem: – Nie.

– Jak to nie!?

– No nie – odpowiedziałem z całkowitą prostotą i szczerością.

– Aha – odrzekł mój przełożony. – Tośmy sobie wszystko wyjaśnili.

Tego dnia zawarliśmy pakt o nieagresji. Szefostwo szkoły zorientowało się, że długo miejsca tam nie zagrzeję.

Praca w samochodówce miała swoje dobre strony, które procentowały potem przez wiele lat. Procenty te sływały także na moich znajomych i kolegów, absolwenci technikum samochodowego pracowali bowiem w stacjach obsługi samochodów i na stacjach benzynowych. Kto pamięta tamte czasy, ten wie, że w socjalizmie większości rzeczy się nie kupowało, tylko załatwiało. W tym ustroju rozwiązywało się problemy, jakie nie występowały w żadnym innym systemie.

---

<sup>880</sup> Tamże, s. 65–66.

Choć profesorem byłem raptem dwa lata, to potem jeszcze przez długi czas pośredniczyłem w zdobywaniu takich rarytasów, jak uszczelka do malucha, żaróweczka świateł cofania czy kanister benzyny. Moi dawni uczniowie witali mnie zawsze z uśmiechem, więc chyba belfrem byłem nie najgorszym. Spotykałem ich nie tylko we Wrocławiu, ale i w San Francisco, Johannesburgu czy Sydney.

Z moich uczniów zapadły mi w pamięć wszystkie dziewczyny – głównie dlatego, że na osiem klas, w których uczyłem, były aż dwie. Zapamiętałem też Władka Frasyniuka, ponieważ już jako absolwent zrobił bardzo dużo, by nie dało się o nim zapomnieć. Los sprawił, że potem przez jakiś czas mieszkaliśmy przy jednej ulicy. Do dziś zdarza mi się, że mijający mnie na ulicy starszy, siwy pan woła: „Dzień dobry, panie profesorze!”. Ależ oni się postarzelii!<sup>881</sup>

### **Przykład 695. Jerzy A. Krakowski – *Neomaturzyści* (2014)**

Jak pewnie wszyscy wiecie, młodzież aspirująca do podjęcia studiów w wielkim ośrodku musi najpierw uporać się z neomaturą, dzielącą osobouczniów na tych, którzy mogą studiować, i na tych, których przyszłość zamknie się wraz z drzwiami stodoły osób płodzących na podkarpackiej, małopolskiej i każdej innej wsi.

Ostatnio wybraliśmy się z kolektywem na piwko ze sprajtem, ot tak, żeby zresetować się po zrealizowaniu planu sprzedażowego. Mieliśmy przyjemność spotkać w modnym homopozytywnym lokalu w centrum wielkiego ośrodka młodzież neomaturalną, która wyrwała się ze swojego małego miasta, aby odetchnąć atmosferą dyskursu akademickiego i doświadczyć przedsmaku studiowania.

– Cipka, neomaturzyści – przywitaliśmy się serdecznie, od razu sprawdzając, czy oni również dążą do afirmacji waginy w przestrzeni publicznej wbrew patriarchalnej pruderii.

– Cipka, Redakcjo – odpowiedzieli neomaturzyści. Ucieszyło nas to, że są zaznajomieni z techniką feministycznego dyskursu. – Uwielbiamy tę atmosferę wielkiego miasta. U nas, w Nowym Sączu, nawet nie uwidzisz geja. Tutaj zaś, jako iż jest to wielki ośrodek, towarzystwo też jest bardziej różnorodne. Aczkolwiek z radością na to patrzymy. Iż, iż, iż.

– Pewnie z utęsknieniem wypatrujecie października?

– Nie łapię, xD

– W październiku zaczyna się rok akademicki. Pewnie nie możecie się doczekać?

– A, to tak, xD, nie mówcie do nas przerzutniami, pliz. To nam przypomina o konieczności zdania matury, jako iż nie jest łatwo dostać się do wielkiego

<sup>881</sup> Tamże, s. 101–103.



ośrodka. Jakby nie główkować, to zdać musimy, co jest yebanym fashysmem, aczkolwiek iż mać, ogólnie.

– System wam rzuca kłody pod nogi.

– Nieee, nie rzuca, co wy. W Nowym Sączu to owszem, czasem jakiś moher rzuci jajkiem, kiedy testujemy nowe legginsy, ale nie, tak poza tym to drewnem w nas nie rzucają.

– Raczej chodziło mi o to, że po drodze napotykanie trudności.

– Taaa, xD, mamy do szkoły trochę pod górkę, czasem trzeba przejść przez jezdnię, ale z tym sobie radzimy, bo trzeba było zapamiętać: zielone – idź, czerwone – stój, zdaje się. Chyba. Wszędzie trzeba się na pamięć uczyć, a my nie mamy pamięci, jako iż przede wszystkim stawiamy na kreatywność.

– A jakie chcielibyście podjąć studia?

– Humanistyczne. Matmy nie łapiemy, właściwie książek też nie bardzo lubimy czytać, znaczy tych grubych, powyżej szesnastu stron. Aczkolwiek neta to jeszcze. Kiedyś przeczytaliśmy „Kamizelkę” i trochę się zraziliśmy do czytania, przereklamowane. Najlepiej więc studia z fejsbunia. Zarządzanie lajkami będzie? Bo w social mediach to akurat jesteście oblatani. Mamy też konto na instagramie. Czasem wrzucimy fotkę z imprezy.

– No to życzymy wam powodzenia, centra outsourcingowe już na was czekają.

– A jak, xD. Do Sącza na pewno nie wrócimy, xD. W końcu przelew to kaźden z nas umie przeczytać, więc się nadamy, ta? Dokładnie<sup>882</sup>.

### **Przykład 696. Michał Ogórek – *Polska Ogórkowa*.**

#### **Fragmenty podręcznika dla wszystkich klas (2014)**

System edukacji jest tak urządzony, aby do szkoły musieli chodzić tylko młodzi. W szkole młody człowiek musi się uczyć życia starszych ludzi, które nie jest dla niego nic a nic interesujące. Na lekcjach nauczyciele opowiadają, jak to było, kiedy ludzie musieli obchodzić się bez koła albo elektryczności. A co to uczniów obchodzi, jak nauczycielom kiedyś się powodziło? Albo: jak to na świecie było prymitywnie, kiedy żyły tylko jamochłony. Nauczyciele ust nie mieli do kogo otworzyć.

Coraz bardziej dramatyczne staje się pytanie: dlaczego to młodzi mają uczyć się od starszych, jak było, a nie raczej starsi od młodych, jak jest? Szczególnie drastyczną formę nierówność ta przybiera w szkołach i na kursach wieczoro-

---

<sup>882</sup> J.A. Krakowski, *Neomaturzyści*, [w:] tegoż (red.), *Lemingi. Młodzi, wykształceni i z wielkich ośrodków*, Fronda, Warszawa 2014, s. 39–41.

rowych, gdzie młodzi wykładowcy uczą starszych od siebie uczniów tego, czego się na ich temat dowiedzieli.

Profesorowie od swoich uczniów nauczyliby się zresztą wszystkiego prędzej aniżeli uczniowie od nich, bo z natury rzeczy profesorom nauka łatwiej przychodzi.

Odwróceniu tej fatalnej tendencji służyć ma niniejszy podręcznik, skierowany wyłącznie do osób, które już wiele się nauczyły, ale niekoniecznie tego, co im się w życiu przydaje<sup>883</sup>.

Warto to przestudiować

Każdy, kto wybiera się na studia, zadaje sobie pytanie: czy warto? Czy nie lepiej od razu po maturze iść na bezrobocie? Można tak oczywiście zrobić, ale uważamy, że mimo wszystko warto poświęcić te parę lat i iść na bezrobocie dopiero po studiach. Studia mają bowiem parę bezsprzecznych zalet.

Nawet jeżeli w planach ma się wyjechać na emigrację, to lepiej to zrobić po studiach: można wówczas korzystać ze zniżki na przejazd po całej Europie. Trzeba z tym tylko uważać, ponieważ następna zniżka – na powrót – zaczyna przysługiwać dopiero po ukończeniu 60 lat.

Tak się bowiem paradoksalnie składa, że na studia idzie się po to, aby zostać lekarzem, adwokatem czy muzykiem, a zostaje się studentem<sup>884</sup>.

Edukacja jest średnia

Już połowa polskiej młodzieży będzie miała wyższe wykształcenie. Jak to jest możliwe? Metodą ukończenia studiów. Jest to bardzo ciekawe, bo jeżeli połowa populacji ma takie samo wykształcenie, to jest ono średnie, a nie wyższe. Wynika to z praw statystyki. Ale średnią będzie teraz wyższa edukacja. Czyli szkoła wyższa będzie teraz szkołą powszechną. To nie za dobrze, bo w szkole powszechnej uczy się tylko czytać i pisać<sup>885</sup>.

Skąd się wzięli uczniowie

Do tematów najbardziej denerwujących nauczycieli należy kwestia, skąd się biorą uczniowie. Pierwsze doświadczenia lekcji wychowania seksualnego w szkole nie są niestety w pełni zadowalające. Wielu uczniów, którym nauczyciele jako metodę antykoncepcji pokazali zakładanie prezerwatywy na banana, przed przystąpieniem do aktu seksualnego stosuje się do tego zbyt dosłownie, kupując prezerwatywę i banana. (Sprzedaż tych owoców wzrosła od wprowadzenia

---

<sup>883</sup> M. Ogórek, *Polska Ogórkowa. Podręcznik dla wszystkich klas*, Agora S.A., Warszawa 2014, s. 4. Książka jest parodią podręcznika zawierającą komentarze do bieżących wydarzeń z podziałem na przedmioty. Por. przykład 653.

<sup>884</sup> Tamże, s. 46.

<sup>885</sup> Tamże, s. 65.

tych lekcji w szkołach ponad dziesięciokrotnie). Nauczyciele skarżą się w związku z tym, że – figurujące w programie szkolnym – zakładanie prezerwatywy na banana jako metody antykoncepcji okazało się mało skuteczne i potrzebne są w tym zakresie dalsze próby laboratoryjne.

Rezultatem tej edukacji jest to, że Polacy, wypełniając wnioski wizowe w rubryce „sex” (czyli po angielsku „płeć”), wpisują na wszelki wypadek „no”<sup>886</sup>.

### **Przykład 697. Krzysztof Daukszewicz – *Lekcja historii*. Humoreska z 10 kwietnia 2012 roku (2015)**

Przyszła wiosna, zrobiło się ciepło. Na tarasie, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, żeby za horyzontem położyć głowę na złotej poduszce i smacznie zasnąć, dziadek usiadł ze swoimi wnuczętami, żeby opowiedzieć im bajkę na dobranoc.

– O czym chcecie? O Smoku Wawelskim czy o Wandzie, co nie chciała Niemca?

– Ani o Smoku, ani o Wandzie.

– A dlaczego, moje dzieciaczki?

– Bo w smoki to już chyba tylko dziadek wierzy, a dzieci w szkole mówią, że Angela Merkel nie jest wcale taka straszna. Opowiedz nam, dziadku, o naszej najnowszej, prawdziwej historii.

– O której?

– O tej, co się wydarzyła przed Smoleńskiem. Bo o Smoleńsku już wiemy.

– A co wy wiecie, opowiedzcie dziadkowi.

– ...I że była mgła, i że była brzoza, i że był drugi krąg, i że było pełno Ruskich, którzy nie wiadomo skąd się tam wzięli. Skąd się tam wzięli, dziadku?

– Stąd, bo tam jest Rosja.

– Wiedziałam, że coś przed nami ukrywają – szepnęła Zosia Stasiowi.

– A czy mógłbyś nam opowiedzieć o tym, co działo się wcześniej? – zapytał Staś.

– Ale kiedy wcześniej? Nasza historia ma ponad tysiąc lat. O czym chcecie, żebym opowiedział?

– O powstaniu warszawskim! O powstaniu warszawskim!! O powstaniu!!!

– Dlaczego o powstaniu?

– Bo ty je znasz. Babcia mówiła, że brałeś w nim udział, to ty nam opowiedz najlepiej, jak to było. Bo ty je pamiętasz, dziadziusiu! Prawda?!

– Oczywiście, że pamiętam. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym miałem trzydzieści lat, to jak mógłbym zapomnieć. Takiej historii się nie zapomina.

<sup>886</sup> Tamże, s. 96. Por. przykład 655.

- To opowiedz nam, dziadku! Opowiedz! Opowiedz!
- No już dobrze, uprosiliście mnie. Otóż zaczęło się dwudziestego drugiego lipca osiemdziesiątego dziewiątego roku o godzinie trzynastej.
- Dlaczego o trzynastej?
- Bo w tamtych czasach była to godzina, kiedy najchętniej ruszało się do boju. Ale był też inny, bardzo ważny powód. – Tu dziadek ściszył głos.
- Jaki, dziadziuniu?
- Otóż generał Jarosław, pseudonim „Niezłomny”, dowódca powstania, nie lubił za wcześnie wstawać. Tego dnia jednak to było wyjątkowo uzasadnione, bo poprzedniej nocy prawie od świtu razem ze swoim sztabem omawiał plan ataku w czasie godziny „W”.
- Dlaczego godzina „W”? – zapytał z wypiekami na twarzy Krzysław.
- To się wzięło, wnusiu, od słowa „wykop”. Tego dnia, o tej właśnie godzinie, dowódca wojsk niemieckich generał Schwarcdonalld miał zwyczaj grać z SS w swój ulubiony *deutsche football*.
- A skąd generał Jarosław o tym wiedział?
- Miał w sztabie niemieckim podwójnego agenta, kapitana Hofmana.
- Takiego jak Hans Kloss?
- Takiego, tylko że ten był jeszcze przystojniejszy. Kochały się w nim wszystkie *froilain* z całej Rzeszy, ale on na nie nie zwracał uwagi, ponieważ był oddany tylko „Niezłomnemu”.
- I co dalej, dziadku?
- Sytuacja, kochani, wydawała się bardzo prosta, wręcz wymarzona, ponieważ dzień wcześniej generał Schwarcdonalld odesłał do twierdzy Breslau swego najzdolniejszego adiutanta, pułkownika Schetgollfa, znakomitego stratega.
- Dlaczego odesłał?
- Ponieważ Schetgollf domagał się kolejnego żelaznego krzyża, a następny krzyż mógłby oznaczać, że sam chce zostać Führerem, a jeżeli tego krzyża nie dostanie, to może dokonać zamachu.
- I o tym wszystkim wiedział generał „Niezłomny”?
- Generał „Niezłomny” wiedział dużo więcej, ponieważ miał drugie źródło informacji. A był nim słynny agent AsAs.
- Podwójny?
- Tak go nazywano, ponieważ był to as nad asami. Wiedział wszystko i widział wszystko, nawet w najgęstszej mgle... to był...
- Kto, dziadziuniu?
- Major Macierzanka. Nie było drugiego takiego zwiadowcy. W czasie walki potrafił każdą część ciała odrzucić wrogie granaty.

- Uaaaaay!
- Tak było, lecz tego dnia stało się nieszczęście...
- Jakie, dziadku?
- Schwarcdonalld przegrał mecz.
- Z kim?
- Własny wermacht mu dokopał, więc ruszył na powstańców z podwójną wściekłością.
- I nikt nie chciał im pomóc?
- Początkowo wszyscy mieli nadzieję, że na pomoc ruszą Sowieci, którzy stali już po drugiej stronie Wisły, ale niestety dowodzący armią czerwoną marszałek Aleksiej Kwaskawoj czekał, aż „Niezlomny” się wykrwawi. Jedni mówią, że miał taki rozkaz z Moskwy, a drudzy, że liże rany, ponieważ kilka tygodni wcześniej, w bitwie pod Charkowem, otrzymał postrzał w obie nogi.
- A byli jeszcze inni, którzy chcieli pomóc?
- Kiedy powstanie wybuchło, do stolicy ruszył z Kieleckiego najsłynniejszy dowódca Batalionów Chłopskich generał Kargul, przez miejscowych nazywany „Ponurym”. Szedł na czele swoich oddziałów, ale kiedy przybył na miejsce, było już po wszystkim. Po latach okazało się, że był wybitnym strategiem, potrafił walczyć z każdym przeciwko każdemu.
- A co się stało z „Ponurym”?
- Jak wszedł do stolicy, to już z niej nie wyszedł i jest w niej do dzisiaj.
- A dlaczego, dziadziusiu, powstanie upadło?
- Z różnych powodów, moje dziatki, z różnych powodów. Jednym z nich było to, że w czasie największych walk szeregi generała Jarosława opuścił jego do tej pory najwierniejszy adiutant pułkownik Ziobrewicz pseudonim „Delfin”.
- Dlaczego opuścił „Niezlomnego”?
- Myślał, że stworzy większą armię i własny rząd na uchodźstwie. Pułkownik ze swoim niewielkim oddziałem dostał się do Belgii, siejąc postrach na niemieckich drogach.
- Przejechał przez całe Niemcy?
- Dzięki fortelowi Szalonego Taksówkarza, jego prawej ręki, który dołączał do każdej kolumny, udając, że też jest z wermachtu.
- To ten taksówkarz był bardzo odważny, dziadku!
- Jeszcze większą brawurą popisał się komandos nazywany z angielska Johny Firecat, który w stolicy pojawił się w sutannie, przebrany za księdza. Mówili do niego brat Ozon. Kiedy jednak wszystkim wydawało się, że zostanie umiłowanym kapelanem powstańców, bo głosił, że dzięki niemu Kościół rozda swoje ziemie ubogim, nagle pod osłoną nocy przepłynął Wisłę i stanął w jednym szeregu z marszałkiem Kwaskawojem. I jaki jest z tego wniosek, wnusie?

- Nie wiemy, dziadziusiu.
- ...że najgorzej być zdradzonym o świecie.
- A co się stało z generałem „Niezlomnym”?
- Dzięki Bogu, nie dał się złapać ani Ruskim, ani Niemcom, ani Polakom. Ale bardzo wytrwale szukał, a być może dalej szuka swojego miejsca w świecie.
- I myśli dziadek, że znajdzie?
- Nie wiem. Ale niektórzy mówią, że ostatnio widziano go w Budapeszcie.
- A ty co robiłeś w tym powstaniu, dziadku?
- Początkowo brałem w nim udział. Pod koniec walk jednak umarłem.
- Ze śmiechu.

(Historia tego powstania warszawskiego została napisana w oparciu o daty, które zapamiętał rzecznik prasowy SLD, poseł Joński).

PS Według innych źródeł, a tego samego rzecznika, powstanie rozpoczęło się w styczniu, na Westerplatte, a głównodowodzącym wojsk niemieckich był von Jungingen<sup>887</sup>.

### **Przykład 698. Krzysztof Daukszewicz – *Dzień świrów*. Humoreska z 1 września 2012 roku (2015)**

Nauczyciele obchodzili dziś swoje święto, ale radości na ich twarzach nie było widać, ponieważ, jak powiedział jeden z nich, „strach uczyć, a żyć trzeba”. Część małolátów, rozpieszczonych przez rodziców albo puszczonej przez nich samopas, ma głęboko w dupie i szkołę, i wiedzę, i wychowawców, którzy często mają w portfelu mniejsze pensje niż ci miesięczne kieszonkowe.

Czterdzieści pięć lat temu byłem nauczycielem w niewielkiej szkole na Mazurach. Miałem dopiero dziewiętnaście lat, ponieważ poszedłem do pracy tuż po ukończeniu Liceum Pedagogicznego w Szczytnie. W piątej klasie szkoły, w której zacząłem uczyć, zastałem wyjątkowego bęcwała, który był młodszy ode mnie tylko o dwa lata, ponieważ każdy rok dla utrwalenia materiału powtarzał.

Rósł, potężniał, tłukł młodszych od siebie, a młodszy byli już wszyscy, prawie oficjalnie palił papierosy i przeszkadzał nauczycielom, bo wiedział, że nikt nie zrobi mu krzywdy, a kiedy doczołga się do ostatniej klasy podstawówki, to natychmiast przesiądzie się na traktor, którym już jeździł ojcu po piwo i sobie po fajki. Pewnego dnia na mojej lekcji był tak upierdliwy, że nie wytrzymałem i postanowiłem spuścić mu łomot. Ten zaczął uciekać. Najpierw po klasie, potem po szkole i dalej. Dopadłem go pod jedynym we wsi sklepem i przyłożyłem,

<sup>887</sup> K. Daukszewicz, *Lekcja historii*, [w:] tegoż, *Tuskuland*, Prószyński i Ska, Warszawa 2015, s. 50–55.

ile się dało, za co od miejscowych rolników dostałem gratulacje. Ich szacunek objawiał się od tego dnia tym, że kiedy tylko pojawiałem się w spożywczym, natychmiast miałem proponowaną degustację wina marki wino, o pięknej, zachęcającej nazwie Wino owocowe półsłodkie.

Mogę o tym pisać, ponieważ ta dokonana na uczniu zbrodnia dawno już uległa przedawnieniu. Teraz za taki wyczyn otrzymałbym najmniej osiem lat i dożywotni zakaz pracy w oświacie, czyli więcej, niż grozi Marcinowi P, temu od Amber Gold, który skrzywdził kilkanaście tysięcy ludzi. Ale efekt tamtego dnia był taki, że mój uczeń bałwan nikomu w szkole już nie przeszkadzał. Skończył podstawówkę, mając lat prawie dwadzieścia, i od tego czasu widziano go już wyłącznie na traktorze, z którego zsiadał tylko wtedy, gdy szedł spać.

PSL z okazji Dnia Nauczyciela wymyśliło hasło: „Szkoła ma uczyć, nie tuczyć”, i chce odjąć dzieciakom od ust wafelki i batoniki sprzedawane w szkolnych sklepikach. A co w zamian? Ja bym postawił na potrawy, które najbardziej smakują ludowcom – bigos, flaki, żurek i fasolkę po bretońsku. Wszystko to podgrzewane w mikrofali, żeby nie było jak w tym dowcipie:

- Panie kelner, te kartofle są zimne!
- Widocznie taki gatunek<sup>888</sup>.

### **Przykład 699. Aszdiennik.pl – *Jak wychować wolnego Polaka?* (2016)**

Poradnik praktyczny dla rodziców

#### **Jak wybrać właściwe imię?**

Chłopiec powinien mieć na imię Jarosław, ale może być też Andrzej. Bardziej pomyślowi i oryginalni rodzice mogą też pomyśleć o Antonim. Imię Zbigniew jest dość ryzykowne. Jeśli spodziewacie się dziewczynki, to najlepiej Beata albo Beata. Nadanie córce imienia Ewa może skutkować tym, że dzieci w przedszkolu nie będą się z nią bawić. Zresztą słusznie.

#### **W jakim duchu wychować dziecko i jak dobrać odpowiednie wzorce?**

Nie ma co za wcześnie wprowadzać dziecka w świat polityki, dlatego w pokoju niemowlaka obok portretów Beaty Kempy czy malowideł przedstawiających Jochima Brudzińskiego mogą się też znaleźć zdjęcia rodziców. Dojrzały dwulatek powinien już jednak słuchać wystąpień Jarosława Kaczyńskiego na stojąco. Jeśli nie mieszkacie w Warszawie, to warto dojechać i przynajmniej dwa razy w tygodniu odbyć z dzieckiem żoliborski spacer „śladami prezesa”. Skupienie się tylko na niedzielnych wizytach na Nowogrodzkiej to jednak trochę za mało

---

<sup>888</sup> Tenże, *Tuskuland*, dz. cyt., s. 112–113.

dla szybko rozwijającego się dziecka. Ale nie ma też co przesadzać. Pierwsza piesza pielgrzymka do Torunia nie powinna się odbyć przed piątym rokiem życia. Oczywiście zimą, bo wcześniej na pewno nieraz będziecie chcieli letni urlop spędzić, wędrując z różnych miejsc Polski do Radia Maryja.

### **Jak opowiadać dziecku bajki?**

Każda opowiadana dziecku historia powinna mieć dobry finał i kończyć się zwrotem: „i żyli długo i szczęśliwie w państwie prawa i sprawiedliwości”. Pozytywnym bohaterem bajek ze zwierzętami powinien być jakiś domowy zwierzak (może być kot). Ksywki negatywnych postaci powinny kojarzyć się z Niemcami, jak np. Shredder czy Tusk. W bajkach, które opowiadasz dziecku na dobranoc, mogą się pojawić pewne subtelne nawiązania do rzeczywistości. Na przykład ryś będzie chciał opchnąć lemingom kredyt we franku albo zły lis będzie pluł jadem w stronę zwierzątek, które udają się na poranną mszę.

### **Jak odpowiadać na trudne pytania?**

Skąd się biorą dzieci? Z chęci służenia Polsce.

Czy istnieje Święty Mikołaj? Tak, ale wyjechał do Irlandii za rządów Tuska.

Czemu ten pan ma inny kolor skóry niż my? Bo Merkel zmusiła nas do przyjmowania uchodźców.

Dlaczego za dnia świeci słońce, a nocą na niebie pojawiają się gwiazdy i księżyc? Bo tak chciał Naród.

### **Kiedy dziecko powinno iść do szkoły?**

W tej sprawie rodzice powinni mieć pełną swobodę, ale nikt w Polsce nie wpuści do szkoły sześciolatek. Najlepiej chuchać na zimne i posyłać tam ośmiolatki.

### **Szkoła podstawowa**

Tu kluczowe są lektury. „Polska moich marzeń” Jarosława Kaczyńskiego będzie świetna dla malucha, który właśnie nauczył się składać literki. Dopiero później przyjdzie czas na dzieła profesorów Zybertowicza i Krasnodębskiego.

### **Kluczowe gry i zabawy**

Dziecko może spotkać się z komunistycznymi i reżimowymi formami spędzania wolnego czasu. Warto zastępować je jednak od razu tymi bardziej godnymi wolnego Polaka.

Ciepło-zimno – W tej grze kluczowe słowa należy zastąpić innymi: „wydrukuj” – „nie wydrukuj” i zabawić się w szukanie orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego.

Berek – Nie ma co biegać bez sensu. Warto, by dzieci w klasie wybrały kogoś z gorszego sortu i ganiały go z kijami (piankowymi), nazywając Bronkiem.

Gra w pomidora – W tej grze kluczowe dla gry słowo „pomidor” zastępujemy wyrażeniem „dobra zmiana”.



Chowany – Tak jak w zwykłej zabawie dzieci chowają się przed sobą nawzajem. Tyle tylko, że szukający udaje esbeka. Chcąc wypłoszyć dzieci z ich kryjówek, sugeruje, że i tak mu doniesiono, gdzie są. Jeśli to się nie uda, zaczyna zbierać haki.

Zamiast gier planszowych warto podtykać makietę WSI, tak by dziecko mogło w każdej chwili rozwiązać tę zbrodniczą organizację.

### **Jak świętować urodziny?**

Zamiast życzyć dziecku wszystkiego najlepszego, życzysz mu wolnej Polski. To to samo. Możecie zaśpiewać: „Sto lat”, ale za każdym razem trzeba dodać, że też dla Andrzeja Dudy. Trudno też wyobrazić sobie udaną imprezę urodzinową dziecka bez skandowania wraz z dziadkami: „Komuniści i złodzieje, cała Polska się z was śmieje”.

### **Gimnazjum**

W tym czasie może przyjść bunt. Problem zniknie, gdy gimnazja zostaną zlikwidowane, ale reżimowe rządy zastawiły tu na rodziców pułapkę. Stworzyły gimnazja, czyli fabryki zła. Przez to wszystko dzieci bywają nieobliczalne i mogą się interesować czymś równie bezsensownym, co prawa człowieka. Wizyta u najbliższego zaprzyjaźnionego prokuratora powinna jednak pomóc. Jeśli problemy będą się powtarzać, nie bójmy się donosić na własne dzieci. To przecież dla ich dobra.

W tym wieku problemy są zwłaszcza z chłopcami. A chyba lepiej, żeby synek został kilka razy aresztowany przez ABW, niż miał potem kolegów z Nowoczesnej. Zresztą po kilku zatrzymaniach dziecko samo zacznie opowiadać cały swój dzień podsłuchowi, który znajduje się w waszej szafie.

### **Języki obce**

Tak, ale uczymy tylko słownictwa, dzięki któremu będzie można bronić dobrego imienia Polski za granicą.

### **Zajęcia dodatkowe**

Gdy już dziecko wyrosło z bycia ministrantem, to najwyższy czas, by pomyśleć o odpowiednich zajęciach. Nie będzie przecież leżeć i beczynnienie myśleć. Poza tym harcerstwo i przygotowywanie oprawy na mecze na pewno mu nie wystarczy.

Szkoła muzyczna to dobry pomysł dla dziecka, które chciałoby na szkolnej akademii zagrać na harfie jakiś utwór Jana Pietrzaka. Nie zapominajmy jednak o szlifowaniu zdolności manualnych. Zajęcia plastyczne powinny mieć wymiar praktyczny, tak by dziecko latem na plaży potrafiło ułożyć z piasku Świątynię Opatrzności, a w jesienne wieczory umiało wyhaftować makatkę z Beatą Kempą.

**Liceum**

Na twojego małego męża stanu czeka tam wiele pułapek. Dlatego warto zadbować, by szkolne przedmioty spełniały minima programowe.

Język polski – Uzupełniony kursem polskich noblistów z Rymkiewiczem na czele.

Historia – Obok podręczników uczniowie zapoznają się z teczkami agentów, którzy prowadzili ich rodziców.

Matematyka – Uzupełniona algebrą prezesową.

Geografia – Tak, ale z uwzględnieniem, że Europa to podrzędna część Polski.

Fizyka – Wraz z praktycznym kursem profesora Biniendy.

Biologia – Życie, prawa i obowiązki zarodków według Gowina.

Przysposobienie obronne – Przed wracającym z Europy Tuskiem.

Wychowanie fizyczne – Głównie sztuki walki z młodszymi dziećmi, które nie chodzą na religię.

Religia – Wzbogacona o elementy języka polskiego, który zastąpiła w klasach humanistycznych<sup>889</sup>.

**Przykład 700. Alosza Awdiejew – *Opowiem ci kawal*.*****Życie ludzkie od zabawnej strony. Fragmenty* (2017)**

Szkoła jest instytucją, która każde utalentowane dziecko usiłuje przerobić na uległego matosa. Na szczęście nie każde dziecko się daje, z takich biorą się laureaci Nagrody Nobla. Dzieci i rodzice przeżywają szkołę jak przewlekłą chorobę i czują prawdziwą radość, kiedy dostają świadectwo jej ukończenia. [...] Na szczęście nie wszyscy idą na wyższe studia. Lepsza część tych, którzy idą, jakoś załatwia sobie dyplom i kończy katorgę edukacji. Gorsza część, niestety, jest skazana na kształcenie się do końca życia<sup>890</sup>.

**Przykład 701. Wojciech Maziarski –*****Pan Prezes i podstępni harcerze* (2017)**

Po wakacjach pan Prezes czekał na współpracowników w swoim gabinecie. Przed drzwiami ustawiła się już kolejka podekscytowanych i lekko onieśmielonych osobistości. Była tu Anna Zalewska, której oszałamiający uśmiech jarzył się w półmroku niczym latarnia nadziei, wskazująca drogę żeglującym rozbit-

<sup>889</sup> Aszdzienik.pl, *Jak wychować wolnego Polaka?*, [w:] Aszdzienik.pl, *Nowa Polska. Przewodnik dla Polaków*, Agora S.A., Warszawa 2016, s. 104–111.

<sup>890</sup> A. Awdiejew, *Opowiem ci kawal. Życie ludzkie od zabawnej strony*, Mando, Wydawnictwo WAM, Kraków 2017, ss. 16 i 20.

kom. Był Marek Suski z nienaganną grzywką, która nigdy nie poddawała się podmuchom wiatru ani strumieniom deszczu. Był Joachim Brudziński w świeżo wyglancowanych kaloszach, w których latem pokonywał bezdenne przepaście i zdobywał niebotyczne turnie Beskidu Sądeckiego, skacząc po skałach zwinnie niczym kozica. Było też wielu innych, nawet Krystyna Pawłowicz z pudełkiem sałatki. Brakowało jedynie pana Antoniego, którego najwyraźniej zatrzymały jakieś ważne obowiązki. Być może właśnie przeprowadzał niecierpiącą zwłoki ekshumację albo ważny eksperyment śledczy.

Zgromadzeni czekali w milczeniu, taksując się nawzajem wzrokiem. Te wrześniowe audyencje, w czasie których ministrowie, posłowie i działacze składali panu Prezesowi meldunki produkcyjne, stały się już częścią nowej tradycji, łączącej myśl patriotyczną i zaangażowanie obywatelskie z życiem towarzyskim i odrobiną szaleństwa. Działaczki partyjne przez wiele letnich tygodni obmyślały i przygotowywały kreacje na tę okazję, pragnąc zaprezentować się jak najszykowniej, a może nawet – kto wie, kto wie... – olśnić samego pana Prezesa.

Beata Szydło przypięła do swej tyleż bujnej, co męskiej piersi wyjątkowo okazałą stalową broszkę, odlaną i wykutą w zakładach Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Pięknie prezentował się też poseł Dominik Tarczyński w jedwabnej koszuli, karakułowym futrze, cholewkach z krokodylej skóry, czapce z lisim ogonem i z przypudrowanym noskiem. Działaczki starały się odwracać głowy, ostentacyjnie udając, że na niego nie patrzą, ale co chwilę któraś nie wytrzymała i rzucała w jego stronę powłóczyście, zalotne spojrzenie. Patriotyzm mieszał się z erotyzmem, tworząc w powietrzu elektryzującą mieszankę, budząc żądze i zachęcając do flirtów.

Sam pan Prezes założył na tę okazję galową pelerynę w barwach narodowych z orłem na piersi. Prezentował się naprawdę dostojnie. Wszedł na podest ustawiony pośrodku gabinetu i wezwał pierwszego gościa. Anna Zalewska grzecznie się ukloniła, uklękła przed podestem, a jej promienny uśmiech rzucał na ściany i meble migotliwe refleksy, niczym lustrzana kula w dyskotecce.

– No i co u pani słyhać, pani minister? – zapytał pan Prezes.

– Wszystko wspaniale, panie Prezesie, 1 września zlikwidowałam gimnazja.

– To wspaniale! – ucieszył się pan Prezes. – A co ze szkołami innych szczebli?

– Pracuję nad tym, panie Prezesie, mam jeszcze czas, bo do końca kadencji zostały dwa lata.

– Wiem, wiem, nie od razu Kraków zbudowano – łagodnie uśmiechnął się pan Prezes. Był dziś nastrojony łaskawie i przychylnie wobec działaczy. „Moje

kochane łobuziaki” – myślał, patrząc z wyżyn podestu na ich sylwetki kolejno klękające u jego stóp.

Następny był minister rolnictwa.

– A pan co zlikwidował? – zapytał pan Prezes.

– Aukcje arabów w Janowie. Tegoroczna była już ostatnia – Krzysztof Jurgiel dumnie wyprężył pierś.

– Bardzo dobrze! – pochwalił go pan Prezes.

Potem do gabinetu wchodzili kolejni ministrowie, by pochwalić się osiągnięciami i opowiedzieć o planach na przyszłość. Minister środowiska zlikwidował Puszczę Białowieską, minister zdrowia prywatne szpitale, minister sprawiedliwości niezawisłe sądy, zaś prezes Kurski telewizję publiczną i festiwal w Opolu.

– A ja zjadłam do końca sałatkę – powiedziała posłanka Pawłowicz, z dumą pokazując puste pudełko. Pan Prezes polecił sekretarce, by w nagrodę na deser dała jej lizaka.

I wtedy drzwi nagle otworzyły się z trzaskiem i do gabinetu z impetem wpadła przerażająca postać. Mundur wisiał na niej w strzępach, z licznych zadrapań sączyła się krew, z pogniecionego hełmu smętnie zwisały resztki maskującego sitowia. To był pan Antoni. Spóźnił się, ale w końcu dotarł do gabinetu pana Prezesa, a przez otwarte drzwi zza jego pleców napłynął kłęb dymu i woń pożogi.

– Co się stało? – zapytał pobladły pan Prezes.

– Zwycięstwo! – wyszeptał zdyszany pan Antoni, a na jego pokrytej bitewnym pyłem, posiniaczonej twarzy rozblęsnął uśmiech.

– Wygraliśmy... Obroniliśmy placówkę.

Następnie złożył panu Prezesowi regulaminowy raport o przebiegu zwycięskiej bitwy na Westerplatte, w czasie której siły dobrej zmiany odparły atak zastępu harcerzy, wspieranych ogniem dział pancernika Schleswig-Holstein i wyrokami europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

– A teraz do Katowic! Muszę jeszcze obronić przed harcerzami tamtejszą wieżę spadochronową – pan Antoni odwrócił się na pięcie i w pośpiechu wybiegł z sali.

Pan Prezes ze zrozumieniem pokiwał głową. Dobrze wiedział, jak podstępnym i groźnym wrogiem jest ZHP... Swoją drogą, warto by wyjaśnić, co się stało z prezydentem. Dlaczego mimo wymiany baterii w pilocie nie reaguje na żadne polecenia? Od wielu już tygodni pan Prezes naciska i naciska guziki – i nic, zupełnie bez skutku. Może to celowy sabotaż?

– Pani Basiu – zwrócił się do sekretarki – czy nie kręcił się tu ostatnio jakiś harcerz?

## Ćwiczenia

1. W jakim celu dobra zmiana likwiduje gimnazja, puszcze, festiwale, sądy i trybunały?
  - a. żeby nie było złodziejstwa
  - b. żeby nie było bandyctwa
  - c. żeby nie było niczego
2. Kto popsuł pilota od prezydenta? Które z poniższych organizacji mogły być zamieszane w sabotaż?
  - a. Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia
  - b. Polski Związek Hodowców Koni Arabskich
  - c. Związek Harcerstwa Polskiego
  - d. Kluby „Gazety Polskiej”
  - e. Konferencja Episkopatu Polski
  - f. Fundacja Batorego<sup>891</sup>.

**ANEKS**

**Opublikowane po polsku komiczne utwory zagranicznych autorów dotyczące edukacji**

**Przykład 702. Michał Zoszczenko – *Opowiadania o Leninie.*  
*Opowieść o tym, jak się Lenin uczył (1940)***

Lenin uczył się bardzo dobrze, a nawet świetnie. Ukończył gimnazjum ze złotym medalem. Zapewne uczyłby się również bardzo dobrze w szkole wyższej. Niestety, władze usunęły go z uniwersytetu za to, że był rewolucjonistą. A tego rząd nie mógł znieść. Car nie pozwalał rewolucjonistom na naukę w szkole wyższej. Więc Leninowi nie pozwolono kształcić się na uniwersytecie. Ktoś inny na jego miejscu pozostałby bez wyższego wykształcenia. Ale Lenin postanowił zrobić inaczej. Powiedział do swojej matki tak: – Muszę ukończyć wyższe studia.

Czas mijał. Minęły już dwa lata od usunięcia Lenina z uniwersytetu. Wreszcie Lenin napisał podanie do ministra oświaty. Prosił, by pozwolono mu przystąpić do egzaminów końcowych z wszystkich przedmiotów.

Zdumiony minister pomyślał sobie: „W jaki sposób on zda wszystkie egzaminy od razu? Przecież nie chodził do żadnej uczelni. Dobrze. Udzielę mu pozwolenia, ale wątpię, żeby mu się to udało”.

---

<sup>891</sup> W. Maziarski, *Pan Prezes i podstępni harcerze*, [w:] tegoż, *Czytanki o dobrej zmianie. Lektury z ćwiczeniami dla młodych zdraździeckich i kanalii*, Magam, Warszawa 2017, s. 114–117.

Kiedy nadeszło pozwolenie ministra, Lenin wziął się ostro do nauki. Całe dni spędzał z książką w ręku, czytał, pisał, uczył się języków obcych, tłumaczył i tak dalej. W lecie poszukał w ogrodzie cichego zakątka w alei zarośniętej gęsto lipami. Wkopał w ziemię stół i ławkę. Rankiem przychodził tu i uczył się samotnie aż do obiadu. Po odpoczynku kąpał się w rzece, powracał do swego stołu w ogrodzie i znów uczył się trzy lub cztery godziny. A wieczorem, po drugim spacerze i kąpeli, znów widziano go pochylonego nad książkami.

Cała rodzina była zdumiona tym, że Lenin może się tak dużo uczyć. Lękano się nawet o jego zdrowie. Ale Lenin powiedział swoim najbliższym: – Człowiek, który umie prawidłowo odpoczywać, potrafi dużo uczyć się i pracować.

Rzeczywiście, Lenin prawidłowo odpoczywał. Godzinę uczył się, potem uprawiał gimnastykę. Później znów pisał godzinę lub dwie, a następnie biegł nad rzekę i pływał. Po odpoczynku lub spacerze w lesie wracał do książek i uczył się znowu.

W swoim letnim gabinecie, w pobliżu stolika, ustawił drążek do ćwiczeń gimnastycznych. I od czasu do czasu ćwiczył na drążku. W ładną pogodę kąpał się w rzece kilka razy dziennie. Pływał doskonale. Tak znakomicie, że wszyscy byli zdumieni.

Jeden ze znajomych Lenina, wspominając przeszłość, opowiadał o groźnym jeziorze w Szwajcarii, w którym utonęło wiele ludzi. Jezioro to było bardzo głębokie, znane z zimnych prądów, wirów. Ale Lenin śmiało pływał w nim. Ów znajomy powiedział kiedyś Leninowi, że musi być ostrożniejszy, bo w tym jeziorze toną ludzie.

– Toną, mówi pan? – rzekł Lenin. – Nie ma obawy, ja nie utonę.

I popłynął tak daleko, że prawie nie było go widać z brzegu.

Właśnie dzięki pływowi i gimnastyce, dzięki prawidłowemu wypoczynkowi, Lenin potrafił uczyć się wytrwale i opanował cały program nauki szkoły wyższej. Uczył się w ten sposób prawie dwa lata. A w ciągu tego czasu przerobił cały kurs uniwersytecki, czyli to, czego inni uczą się cztery lata.

Zdał wszystkie egzaminy i uzyskał dyplom z odznaczeniem. A profesorado tak mu powiedzieli: – Niezwykła rzecz. Przecież pan nie uczył się na uniwersytecie i nie słuchał naszych wykładów. Więc jak pan mógł przygotować się tak dobrze do egzaminów? Chyba panu ktoś pomagał.

Lenin odrzekł na to: – Nie, uczyłem się sam.

Wówczas profesorowie zdziwili się jeszcze bardziej. A minister aż rozłożył ręce ze zdumienia.

Bo profesorowie i minister nie wiedzieli o tym, że Lenin był nie tylko bardzo mądry i bardzo zdolny, lecz również bardzo pracowity. A tę umiejętność

pracy zawdzięczał ćwiczeniom gimnastycznym i dobrze zorganizowanemu odpoczynkowi.

Oto dlaczego Lenin uzyskał dyplom uniwersytecki z doskonałym wynikiem<sup>892</sup>.

### **Przykład 703. N. Charkow – Wychowawca (1950–1953?)**

Pewnego niedzielnego wieczora uczeń siódmej klasy Borys Timofiejew stał przy oknie z posępną miną i, wydymając usta, nerwowo targał tiulową firankę. Nikołaj Pietrowicz, leżąc na kanapie, gniótł w rękę zgaszonego papierosa i już blisko pół godziny wyłuszczał synowi swoje ojcowskie pretensje: – Kiedy ty wreszcie zmadrzejesz?... Nie szarp firanki... W jesieni masz egzamin z algebry! A o czym ty myślisz? Co ty masz w głowie?... „Zenity”, „Spartaki”? Czy to „Dynamo” pójdzie za ciebie, nicponiu, zdawać algebrę? Tak?... Pytam! Żeby mi więcej nie było żadnych piłek nożnych! Pamiętaj! Ile masz jeszcze pieniędzy przeznaczonych na sport?

– Cztery ruble... sześćdziesiąt kopiejek...

– A cóż to za zakładka w algebrze – dwa papierki rublowe?

– To... bułki... Zaoszczędziłem na bułkach...

– Daj mi tu zaraz!

– Tatusiu! Chciałem dzisiaj... ostatni raz! Rozumiesz sam... półfinał! „Górnik” z „Elektrykiem”...

– Żadnych „Elektryków”! Dwója z algebry, a jemu stadion w głowie! Możesz sobie zostawić sześćdziesiąt kopiejek. Resztę dostaniesz po egzaminach... Oczywiście, jeżeli zdasz... – Nikołaj Pietrowicz przeliczył pieniądze i wsunął do kieszeni. – A teraz marsz do swego pokoju! Wyłącz radio. Siedź i ucz się!

Borys poczuł się okradziony, zrujnowany, doszczętnie zniszczony; ściskając w kieszeni żalodne dziesięciokopiejkówki – resztki swego kapitału – wyłączył radio i znikł za drzwiami.

W kuchni coś rąbano, podzwaniały naczynia. To Anna Iwanowna gospodarowała, przygotowując kolację. Zegar wskazywał za kwadrans siódmą. Nikołaj Pietrowicz westchnął i zerwał się z kanapy. Kanapa również westchnęła – jęknęły stare sprężyny. Nikołaj Pietrowicz zakrzętnął się po pokoju. Na stole rozesał duży arkusz papieru, postawił pudełko z masy plastycznej z dominem i popielniczkę, położył dwa doskonale zaostrome ołówki, zapalki i paczkę papierosów.

Zegar zaczął wybijać siódmą i jednocześnie rozległo się pukanie do drzwi. Nikołaj Pietrowicz pobiegł do przedpokoju.

– Co do sekundy! – witał gości. – Zuchy!

<sup>892</sup> M. Zoszczenko, *Opowiadania o Leninie*, tłum. A. Galis, Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia, Warszawa 1970, s. 12–16.

– Zuchy, ale nie wszyscy – ponuro mruknął gość w popielatym garniturze i słomkowym kapeluszu.

– Proszę!... Proszę!... A gdzie Bryzgałow? – zaniepokoił się Nikołaj Pietrowicz.

– Pojechał dziś do okręgu. Wezwano go. Przysłali telegram, żeby ich diabli! – wypalił drugi gość, jakby oznajmiał gwałtowną katastrofę.

– Jak to, przepraszam... to... to... – Nikołaj Pietrowicz cofnął się i uderzył głową o framugę. – Jakże to?

– Ano pojechał! – zahuczał gość w słomkowym kapeluszu. – Ale cóż tak skamieniałeś w tych drzwiach? Wpuść nas chociaż do pokoju.

Prawie co niedziela, punktualnie o siódmej wieczorem Nikołaj Pietrowicz witał tych samych gości. Byli to: księgowy rejonowego urzędu skarbowego – Wołokow, księgowy z wytwórni drożdży – Dikuszkin i Bryzgałow – księgowy rejonowego oddziału łączności. Razem z Nikołajem Pietrowiczem – księgowym rejonowego wydziału zdrowia – tworzyli oni stały i niezawodny kwartet zapalonych, niez mordowanych „graczy” w domino. I oto teraz trzech partnerów, którzy cały tydzień pieścili marzenie, aby w niedzielę uciąć partyjkę, przeżywało katastrofę.

Księgowi stali w pokoju tak przybici i zdetonowani, jakby im co najmniej nie zatwierdzono bilansów kwartalnych albo – na psa urok! – kontroler państwowy odnotował w aktach brak dowodów kasowych. Widok stołu przygotowanego do gry drażnił, działał na nerwy, złościł. Zapanowała długa, przytłaczająca cisza... Wyraźnie słychać było powtarzające się co sekundę tykanie budzika.

– No cóż, trzeba będzie jakoś we trójkę... Z „dziadkiem”?

– Cóż to za gra z „dziadkiem”? To niepoważnie...

– We trójkę... Bzdura!...

Przez zamknięte drzwi dobiegło monotonne, smętne zawodzenie.

– Kwadrat sumy dwóch liczb równa się...

Trzej partnerzy jednocześnie drgnęli i jednocześnie zwrócili głowy w stronę drzwi.

– Kwadrat sumy dwóch liczb... – dobiegał ponury jęk.

– Borys... w domu? – szepnął Wołokow i zamachał słomianym kapeluszem.

– Boria! – westchnął Dikuszkin.

– Tss... – gniewnie zasyczał Nikołaj Pietrowicz. – Jest ukarany. Ma dwójkę z algebry... W jesieni egzamin.

– Więc o co chodzi? – zacierając ręce spytał Dikuszkin – o co?

– Mówię przecież: egzamin, inaczej nie przejdzie do ósmej!



– Ach, Nikołaju Pietrowiczu – huknął basem Wojłokow – w swoim czasie wszyscy łapaliśmy dwóje z algebry! Nie ma się czym przejmować...

Dikuszkin i Wojłoków chwycili gospodarza pod ręce i gestykułując energicznie, obaj równocześnie coś mu kładli w uszy. Nie spuszczała przy tym oczu z drzwi prowadzących do pokoju ukaranego matematyka. Wreszcie Nikołaj Pietrowicz odsunął ręce przyjaciół, zmarszczył czoło, odkaslnął głośno i groźnie zawołał: – Borys!

Przez drzwi wysunęła się najpierw ręka z podręcznikiem algebry, a potem rozkułtana głowa niefortunnego siedmioklasisty.

– Proszę, tatusiu... Ach, dzień dobry, Iwanie Iwanowiczu! Dzień dobry, Wasiliju Wasiljewiczu!

– Zapamiętaj sobie! – Nikołaj Pietrowicz pogroził palcem. – Nie rzucam słów na wiatr!...

– Ja się uczę, tatusiu... – Borys zaczerwienił się, obracając książkę w ręku.

– Uczysz się! Już ja wiem, jak ty się uczysz! Patrzysz w książkę... a widzisz... to, tego... Cóż za pożytek z takiej nauki? Bezmyślne kucie! Nic więcej! Hm... hm... Odłóż na razie tę matematykę, zrób przerwę i wiesz co... chodź do nas na czwartego...

– Ratuj, Boria – żałośnie prosił Dikuszkin.

– To nawet z korzyścią – autorytatywnie dodał Wojłokow – sprawdzić działanie mózgu... Domino to także... matematyka.

Podręcznik algebry opisał w powietrzu gwałtowną krzywą i wyleciał za drzwi. Borys, z trudem hamując radość, podszedł do stołu. Miał do domina pociąg dziedziczny, po tatusiu.

– Ale ja mam tylko sześćdziesiąt kopiejek – wyciągnął z kieszeni drobniaki i z wyrzutem spojrzał na ojca.

– To nic, to nic! – zamachał rękami Dikuszkin. – My taniutko... Po dwadzieścia kopiejek od partii.

– Masz, weź swoje pieniądze! – Nikołaj Pietrowicz cisnął wygnieciony zwitek. – Siadajcie, przyjaciele!...

Rozmowa nagle stała się głośna, wszyscy zaczęli szurać krzesłami, sięgnęli po papierosy, jakby im zdjęto ciężar z ramion.

...O północy, kiedy Anna Iwanowna weszła z tacą i zakąskami, zmęczeni gracze dodawali kolumny cyfr i rozliczali się. Najwięcej przegrał Nikołaj Pietrowicz i jego partner. Nie wiodło im się dzisiaj najwyraźniej. Ale za to Borys i Dikuszkin mieli szczęście. Uczeń uśmiechał się sam do siebie, obliczając wygraną.

– Tatku! – wołał podniecony grą. – Jesteś mi winien trzy siedemdziesiąt. Płacisz od razu czy mam ci zapisać?

– Co takiego?! – Nikołaj Pietrowicz gniewnie spojrział na syna. – Co? Jeszcze tutaj?... A kto będzie się za ciebie uczył algebry?... Marsz do swego pokoju! W tej chwili!...<sup>893</sup>

#### **Przykład 704. A. Darbijan – *Kret-ornitolog* (1950–1953?)**

Kret napisał gruby tom,  
Przeszło tysiąc dwieście stron.  
Tytuł dzieła zaś był taki:  
„Jak powinny latać ptaki”.  
Słowem, uczony elaborat  
Zawierający setki porad  
Dla orłów,  
jaskółek,  
sikorek  
i szpaków,  
Trznadli tudzież innych ptaków.

– Słuchaj, sprawa nie jest prosta,  
Jak tej pracy mogłeś sprostać?  
Ptaków nie znasz, drogi krecie,  
Nie latałeś nigdy przecież.  
Od lat żyjesz w swojej norze...  
Ty, pod ziemią urodzony,  
Jak o ptakach pisać możesz? –  
Krzyknął słowik przerażony.

– Ech, miły słowiczku,  
Naiwny jesteś, jak widać –  
Odrzekł kret  
i dodał ciszej: –  
Nieważne to, co się p i s z e,  
A ważniejsza rzecz, j a k w y d a ć.  
Na cóż pytanie twoje zda się,

<sup>893</sup> N. Charkow, *Wychowawca*, tłum. M. Okólow-Podhorska, [w:] J. Śpiewak (red.), *Prochor XVII król blacharzy i inne humoreski radzieckie z lat 1950–1953*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1954, s. 133–137. Nie udało mi się ustalić imienia autora. W opracowaniu znajduje się tylko jego inicjał. Przyp. P.P.G.

Gdy mój przyjaciel kruk  
Jest redaktorem w „Ptasiej Prasie”<sup>894</sup>.

**Przykład 705. S. Wasiljew – *Cyatkiewicz* (1950–1953?)**

Cyatkiewicz wielki morus,  
Do problemów wszelkich dorósł.  
Taka zeń *persona grata*,  
Że zapiera ludziom dech;  
Nosi tytuł kandydata  
Historycznych nauk wszech...  
Żurnalista zeń uczony,  
Propagator zagorzały,  
Co z szybkością strzały umie  
Zapisywać całe strony.  
Wlewa strumień formuł wartki,  
Których się starannie wykuł,  
Na cierpliwe białe kartki –  
I gotowy ma artykuł.  
Treść na oko tam bogata  
I zgłębiona aż do dna:  
Tu cytata, tam cytata,  
Tamta tu, a tutaj ta...  
Z cytat tych wzdychają jeno  
Uwięzieni w cudzysłowie  
Czernyszewski  
z Awicenną  
Tudzież wszyscy Tołstojowie.

Cyatkiewicz, wielki morus,  
Do problemów wszelkich dorósł.  
W aulach go słuchacze chłoną,  
Kiedy stylem płynnie mglistym  
Pcha w szufladkę oznaczoną  
Każdej filozofii system.  
Któż z zebranych się nie wzruszy,

<sup>894</sup> A. Darbijan, *Kret-ornitolog*, tłum. S. Zawadzki, [w:] J. Śpiewak (red.), dz. cyt., s. 121–122. Nie udało mi się ustalić imienia autora. W opracowaniu znajduje się tylko jego inicjał.

Gdy on tak językiem miele  
I wprost w uszy,  
wprost do duszy  
Wlewa im swe dźwięczne trele!  
Z ust mu tryska treść skrzydlata  
I przejrzysta niczym lza –  
Tu cytata, tam cytata, Tamta tu, a tutaj ta...

Cydatkiewicz, wielki morus,  
Do problemów wszelkich dorósł.

Latem jeździ na letnisko,  
Gdzie postawił sobie willę;  
Las – opodal, rzeczka – blisko –  
Istną tworzą tam idyllę.  
Z lewa – ptaszek, z prawa – krowa.  
Klekot boćka, kwik prosięcia...  
Zachłystując się, teściowa  
Wielbi w głos zamożność zięcia.  
Nie wie jejmość ta pocziwa  
(Bowiem żaden z niej detektyw),  
Że na kabzę zięcia wpływa  
Cały, liczny dość, kolektyw,  
Że wkład do rodzinnej kieski  
Wnoszą nowi jej zięciowie!  
Awicenna,  
Czernyszewski  
Tudzież wszyscy Tołstojowie...

Cydatkiewicz wielki morus,  
Do problemów wszelkich dorósł.

Wsparty mianem kandydata,  
Śmiało się na Parnas pcha –  
Tu cytata, tam cytata,  
Tamta tu, a tutaj ta.  
Lecz gdy pilniej się pogrzebie,  
Można spostrzec nie od dziś,

Że z nim źle, gdy musi z siebie  
 Wykluć samodzielną myśl...  
 Ktoś go spytał po odczycie,  
 Jakich się spodziewa zmian,  
 Które z sobą wniesie w życie  
 Nowy pięcioletni plan?  
 Bądźmy szczerzy, moi mili:  
 Nasz kandydat raka spiekł,  
 Lecz ochłonął i po chwili  
 Już cytata zbawczą siekł!  
 A gdy tak cytował dalej,  
 Popatrzili nań ze ściany  
 I głowami pokiwali  
 (Jakby myśląc: „Przetrzymamy!”)  
 Wielcy twórcy – tutaj jeno  
 Cytatowe pogotowie:  
 Czernyszewski  
 z Awicenną  
 Tudzież wszyscy Tołstojowie...

\*

Szczerze żal nam tego typu,  
 Że podobny taki jest  
 Do tych wyświechtanych cytat  
 W cudzysłowach czy też bez...<sup>895</sup>

### **Przykład 706. Jarosław Hašek – *Lekcja religii* (1959)**

Dzieci z Koroupowa wiedziały z religii tylko tyle, że dobry Bóg w swej nieskończonej łaskawości stworzył trzcinę. Po trzcinie zaś katechetę Horaczka. Oba te akty stworzenia wzajemnie się dopełniały. Potem Bóg nauczył ludzi robić z trzciny różgi, a katechetę Horaczka – używać tych różeg z niezwykłą umiejętnością.

Przeważnie zaczynało się to w ten sposób, że ksiądz Horaczek, wszedłszy do klasy z zachmurzonym obliczem, robił przegląd wystraszonych twarzy swoich uczniów i mówił: – Waniczku, głuptasie, wydaje mi się, że nie potrafisz wymienić z pamięci siedmiu grzechów głównych.

<sup>895</sup> S. Wasiljew, *Cydatkiewicz*, tłum. J. Minkiewicz, [w:] J. Śpiewak (red.), dz. cyt., s. 268–271. Nie udało mi się ustalić imienia autora. W opracowaniu znajduje się tylko jego inicjał.

Katecheta Horaczek wprowadził specjalny system pytań. Uczniowie musieli wymieniać od końca dziesięcioro Bożych przykazań. Lub też zapytywał: – Ludwiku, łobuzie, szybko powiedz, jakie to jest przykazanie, trzecie od końca, o tym, żeby nie kraść!

Była to matematyka religijna, kończąca się chłostą jako smutnym, religijno-rachunkowym wynikiem. Zawsze było jednakowo i czy to był Waniczek, Buchar, Ludwik, czy ktoś inny, smutnie zwlekał się z ławki i szedł przed katedrę. Szedł pełen wątpliwości co do doskonałości Bożej, przeświadczony, że już się nic nie zmieni i że wiedza religijna nie mieści się w katechizmie, lecz w tej części spodni, na której się siedzi.

Było to proste i zrozumiałe: wypiąć dokładnie tylną część ciała i dostać lanie z wprawnej ręki katechety, uzbrojonej w namoczoną trzcinę. Sceny te powtarzały się niezmiennie dzień w dzień. Katecheta z miłym uśmiechem kładł sobie jednego po drugim na kolanie, mówiąc: – Podziękujcie, biedacy, Bogu, że was tak mogę grzmocić.

Pewnego dnia z pobliskiego Koziego Dworu Wieprzek przyniósł wiadomość, że dobrze jest natrzeć trzcinę czosnkiem. Nie dlatego, że mniej boli, ale dlatego, że po uderzeniu trzcina pęknie.

Były to takie samozachowawcze, optymistyczne pomysły. Tak wierzyli w ten czosnek, że gdy nacierali nim trzcinę, Krotochwil aż płakał z radości.

Katecheta wyperswadował im to doskonale na spodniach. Potem wygłosił do nich przemówienie. Powiedział, że to, co zrobili, było podstępem, oczywiście śmiesznym podstępem, jak się przekonali. Kara była zupełnie sprawiedliwa. Chcieli oszukać Boga. Wyliczył im, jakie to dla nich na przyszłość może mieć groźne następstwa. Był to pierwszy stopień na drodze moralnego występku i zguby. Gotów był założyć się, że czosnek ten ukradli, i dlatego będzie ich grzmocił od nowa. Nie łudzi się wcale i widzi już wszystkich na szubienicy, z wyjątkiem Wenouszka, syna pana zarządcy, i Zdenka (ci nigdy nie byli bici, ojciec Zdenka był w zarządzie szkolnym).

W ten sposób smutnie mijały dni, nie przynosząc żadnych zmian. Zdawało się, że chłopcy ze szkoły Koroupowskiej nic nie wymyślą na swoją obronę i że wszystko będzie powtarzać się nadal z całą beznadziejnością. Jednak Melhuba wniósł świeży moment do tego religijnego zagadnienia.

Nad stawem dowiedział się, że wielką pomocą może się tu okazać papier. Najpierw zrobił w domu próbę. Wypchał sobie spodnie papierem i upuścił na podłogę dzbanek z mlekiem. Natychmiast dostał lanie, lecz ból nie był nawet w połowie tak dotkliwy jak zwykle. Zaczęli więc poszukiwać papieru tak, jak

Chińczycy, którzy podnoszą każdy papierek, by go uchronić przed zniszczeniem. W tym wypadku papier miał ich chronić. Dostawcą tego towaru był Misterka, syn kupca. Katecheta zauważył, że oznaki bólu na twarzach biedaków są ostatnio słabsze.

Zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że według wszelkiego prawdopodobieństwa już im skóra stwardniała i że na lekcje religii trzeba się będzie zaopatrzyć w lepszą trzcinę, jako że dobry Bóg pozwala również rosnąć większym i mocniejszym trzcinom.

Katecheta ustawił więc skazanych na chłostę rzędem przed tablicą i powiedział im: – Widzę, żeście się już przyzwyczaili do cienkiej różgi. Tu masz pieniądze – rzekł do Misterka – niech twój tatuś wybierze bardzo mocną trzcinę.

Zauważył, że jakiś błysk przemknął przez oblicza delikwentów, i zatarł ręce; perwersyjnie zaciąwszy usta, poczuł, że tego rodzaju odraczanie chłosty wywołuje w nim nowe, nieznanne uczucie.

Ojciec Misterka wybrał doskonałą trzcinę, która swą grubością neutralizowała ochronną warstwę papieru. Zaszła więc konieczność udoskonalenia wynalazku.

Melhuba usłyszał raz nad stawem słowo: „papa do krycia dachów”.

Zawrzało wtedy podczas lekcji religii, a katecheta wzdychał: – Mój Boże, ci mają twardą skórę!

Powiedział więc Misterkowi, żeby poszedł kupić jeszcze mocniejszą trzcinę. Była to najmocniejsza trzcina, jaką kiedykolwiek widziano w Koroupowie. Pod jej uderzeniem pękała i płaszczyła się papa.

– Teraz już nam nic nie pomoże – wzdychał Melhuba.

Podczas następnej lekcji religii, siedząc w ławkach, uczniowie smutnie patrzyli przed siebie. Wiedzieli, że bezcelowy jest wszelki opór; tylko Wieprzek lekko się uśmiechnął.

Na pytanie: „Kiedy Bóg po raz pierwszy objawił ludzkości swoje boskie miłosierdzie?” odpowiadali coraz gorzej.

Przed katedrą stało ich piętnastu razem z Wieprzkiem. Dziesięciu było już po chłości i krzyczało, co wprawiło katechetę w doskonały humor. Wreszcie kolej przyszła na Wieprzka.

Katecheta położył go sobie na kolanie, gruba trzcina zawisła w powietrzu i bęc! Rozległ się donośny dźwięk, tak jak gdyby uderzono w perkusyjne talerze, tak jak po uderzeniu pałką w wielki tam-tam.

Katecheta uwolnił uśmiechającego się Wieprzka i krzyknął: – Spuszczaj spodnie!

Wieprzek przestał się uśmiechać, spuścił spodnie i podał katechecie błaznaną tabliczkę, którą zabrał z kościoła. Oszołomiony katecheta przeczytał: Złóżcie ofiarę na przyozdobienie świątyni Pana<sup>896</sup>.

**Przykład 707. René Goscinnny, Jean-Jacques Sempé –  
*Mikołajek. Dzienniczki. Fragment (1960)***

Dziś po południu w szkole nie było nam do śmiechu, bo do klasy przyszedł dyrektor z naszymi dzienniczkami. Dyrektor nie miał zadowolonej miny, kiedy wszedł z dzienniczkami pod pachą.

– Pracuję w szkolnictwie od wielu lat – powiedział – ale nigdy jeszcze nie spotkałem tak rozhukanej klasy. Dowodzą tego również uwagi, które wpisała do dzienniczków pani nauczycielka. No, a teraz rozdaję wam je.

Kleofas od razu zaczął płakać. Kleofas jest najgorszy w klasie i każdego miesiąca pani pisze mu w dzienniczku masę różnych rzeczy i tata i mama Kleofasa nie są zadowoleni, nie dają mu deseru i nie pozwalają patrzeć na telewizję. Już się tak do tego przyzwyczaili – opowiadał mi Kleofas – że raz w miesiącu mama nie robi deseru, a tata chodzi na telewizję do sąsiadów.

W moim dzienniczku było: „Uczeń bardzo żywy, często roztargniony. Mógłby się uczyć lepiej”. A u Euzebiusza: „Uczeń niekarny, bije się z kolegami. Mógłby uczyć się lepiej”. U Rufusa: „Uparcie bawi się na lekcjach gwizdkiem, wielokrotnie już konfiskowanym. Mógłby uczyć się lepiej”. Jedyne, który nie mógłby uczyć się lepiej, to Ananiasz. Ananiasz jest pierwszym uczniem i pieszczoszkiem naszej pani. Dyrektor przeczytał nam z dzienniczka Ananiasza: „Uczeń pilny, inteligentny. Wiele osiągnie!”. Dyrektor powiedział nam, że powinniśmy brać przykład z Ananiasza, że jesteśmy mali nicponie, że skończymy w więzieniu i że to przyczyni wiele zmartwienia naszym tatusiom i naszym mamom, którzy z pewnością mają co do nas inne projekty. I wyszedł.

Byliśmy porządnie zmartwieni, bo dzienniczki muszą być podpisane przez naszych tatusiów, no, a to nie zawsze jest przyjemne. Więc kiedy zadzwoniono na koniec lekcji, zamiast jak zwykle pędzić do wyjścia, potrącać się, popychać i rzucać sobie teczki na głowy, wyszliśmy cichutko, bez słowa. Nawet pani miała smutną minę. Nie mamy do naszej pani żalu. Trzeba przyznać, że w tym miesiącu błaznowaliśmy trochę, a poza tym Gotfryd nie powinien był wylać atramentu na Joachima, który przewrócił się na podłogę, krzywiąc się strasznie, bo Euzebiusz dał mu fangę w nos, a to przecież Rufus pociągnął Euzebiusza za włosy.

<sup>896</sup> J. Hašek, *Kronika śmiechu*, tłum. S. Krysiak, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1950, s. 130–133. Inne przygody katechety i jego uczniów zob. s. 134–142.



Szliśmy wolno ulicą, powłócząc nogami. Przed ciastkarnią poczekaliśmy na Alcesta, który poszedł kupić sześć bułeczek z czekoladą i zaczął je od razu jeść.

– Muszę się zaopatrzyć – powiedział Alcest – bo dziś wieczorem z deseru nici.

I żując bułeczki, ciężko westchnął. Trzeba powiedzieć, że w dzienniczku Alcesta było: „Gdyby ten uczeń wkładał tyle energii w naukę, co w odżywianie się, byłby pierwszy w klasie, bo mógłby uczyć się lepiej”.

Najmniej zmartwiony był Euzebiusz.

– Ja – powiedział – ja się nie boję. Mój tata nic mi nie mówi, patrzę mu prosto w oczy, a on podpisuje, i koniec.

Ma szczęście ten Euzebiusz! Doszliśmy do rogu i rozstaliśmy się. Kleofas płakał, odchodząc. Alcest nie przestawał jeść, a Rufus gwizdał cicho na swoim gwizdku.

Zostałem sam z Euzebiuszem.

– Jeżeli się boisz wracać do domu, to nic prostszego – powiedział Euzebiusz. – Chodź do mnie i zostań na noc.

Euzebiusz to dopiero kumpel! Poszliśmy razem i Euzebiusz opowiadał mi, jak to on patrzy swemu tacie prosto w oczy. Ale im byliśmy bliżej jego domu, tym mniej Euzebiusz mówił. Kiedy doszliśmy do bramy, nie mówił już nic. Postaliliśmy chwilę, a ja spytałem: – No co, wchodzimy?

Euzebiusz podrapał się w głowę i powiedział: – Poczekaj na mnie chwileczkę, zaraz po ciebie przyjdę.

I wszedł do domu, a że zostawił uchylone drzwi, usłyszałem odgłos klapsa i gruby głos, który mówił: „Nie dostaniesz deseru! Marsz do łóżka! Ty nicponiu!”. A potem płacz Euzebusza. Widać tym razem Euzebiusz nie popatrzył swemu tacie w oczy jak należy.

Najgorsze było to, że musiałem wracać do domu. Stawiałem ostrożnie nogi, uważając, żeby nie wchodzić na linie między płytami chodnika. To nie było wcale trudne, bo szedłem powoli. Wiedziałem, co mi powie tata. Powie mi, że on był zawsze pierwszym uczniem i że jego tata był zawsze dumny z mojego taty, i że mój tata przynosił ze szkoły masę pochwalnych laurek i odznaczeń, i chętnie by mi je pokazał, ale zginęły przy przeprowadzce, kiedy się ożenił z moją mamą. A potem tata powie, że do niczego nie dojdę, że będę żył w nędzy i że ludzie będą mówić: „To jest ten Mikołaj, który miał w szkole złe stopnie”, i będą mnie wytykać palcami i śmiać się ze mnie. Następnie tata mi powie, że wypruwa z siebie żyły, żeby mi dać staranne wykształcenie, żebym był dobrze przygotowany do życia, a ja jestem niewdzięcznik i ani trochę mnie

nie obchodzi zmartwienie, jakie sprawiam moim biednym rodzicom, i że nie dostanę deseru, a z kinem to poczekamy na następny dzienniczek.

Mój tata wszystko to mi powie tak jak w zeszłym miesiącu i w zaprzeszłym, ale ja mam już tego dosyć. Powiem mu, że jestem bardzo nieszczęśliwy i jeśli tak, no to dobrze, pójdę sobie z domu i pojedę bardzo daleko, dopiero będą mnie żałować, i wrócę za wiele, wiele lat, będę miał dużo pieniędzy i tacie będzie wstyd, że mi powiedział, że do niczego nie dojdę, a ludzie nie ośmielą się wytykać mnie palcami i wysmiewać i za te pieniądze zabiorę tatę i mamę do kina, a wszyscy będą mówić: „Spójrzcie, to jest ten Mikołaj, który ma masę pieniędzy i funduje kino swojemu tacie i swojej mamie, chociaż nie byli dla niego zbyt dobrzy”, a do kina zabiorę też naszą panią i dyrektora, no, i stanąłem przed domem.

Kiedy tak myślałem sobie o tym wszystkim i układałem te fajne historie, zapomniałem o dzienniczku i szedłem bardzo szybko. Ale teraz coś mnie znów dusiło i pomyślałem, że lepiej byłoby odejść od razu i wrócić dopiero za wiele lat, ale zrobiło się już ciemno, a mama nie lubi, żebym był tak późno na dworze. Więc wszedłem.

W salonie tata rozmawiał z mamą. Tata miał przed sobą na stole masę papierów i nie miał zadowolonej miny.

– To nie do wiary – mówił – ile się u nas wydaje na dom, można by pomyśleć, że jestem multimilionerem! Spójrz na te rachunki! Na ten rachunek od rzeźnika! Ze sklepiku! Naturalnie, pieniądze na to wszystko ja muszę skądś wytrzasnąć!

Mama też nie była zadowolona i mówiła, że tata nie ma pojęcia, ile kosztuje utrzymanie, i że powinien któregoś dnia pochodzić z nią po sklepach, że ona wróci do swojej mamy, i że przy dziecku nie mówi się o takich sprawach. Wtedy ja podałem tacie dzienniczek. Tata otworzył dzienniczek, podpisał, oddał mi go i powiedział: – Dziecko tu nie ma nic do rzeczy. Chciałbym jedynie, żebyś mi wytłumaczyła, dlaczego baranina tyle kosztuje!

– Mikołaju, idź się pobawić do swojego pokoju! – powiedziała mama.

– Właśnie, właśnie – powiedział tata.

Poszedłem na górę do mojego pokoju, położyłem się na łóżku i zacząłem płakać. Bo gdyby tata i mama naprawdę mnie kochali, to zainteresowałyby się mną choć trochę!<sup>897</sup>

---

<sup>897</sup> R. Goscinny, J.-J. Sempé, *Dzienniczki*, [w:] R. Goscinny, J.-J. Sempé, *Mikołajek*, tłum. T. Markuszewicz, E. Staniszkis, Nasza Księgarnia, Warszawa 1996, s. 75–80.

**Przykład 708. Ludwig Thoma –  
*Wojna. Wypracowanie szkolne* (1971)**

Wojna (*bellum*) jest to taki stan, w którym dwa narody, albo i więcej, próbują, kto silniejszy. Znamy ten stan od najdawniejszych czasów, a ponieważ często występuje w Biblii, więc wojnę zwiemy świętą. W starożytnym Rzymie zamykano świątynie, kiedy się rozpoczynała wojna, być może bóg Janus nie chciał nic o tym wiedzieć.

Ale to jest śmieszny przesąd wykorzeniony przez chrześcijaństwo, które z tego powodu nie zamyka kościołów.

Wojny mogą być religijne, zaborcze, narodowe, obronne itd. Kiedy jakiś naród przegra i potem zaczyna od nowa, nazywamy to wojną odwetową. Najczęstsze były dawniej wojny religijne, ponieważ wtedy ludzie chcieli, aby wszyscy jednakowo kochali Boga, i dlatego się zabijali. W dzisiejszych czasach mamy więcej wojen handlowych, bo świat już nie jest taki idealny. W wojnach starożytnych brali udział także bogowie. Walczyli ze sobą, jedni pomagali jednej, inni – drugiej stronie. Widzimy to już u Homera. Bogowie siadali na pagórkach i przyglądali się. Jak się rozzłościli, tłukli się po łbach.

To znaczy, tak wierzyli starożytni. My się z tego śmiejemy, bo to dziecinne uważać, że są różne bóstwa, które ze sobą walczą.

Dzisiaj ludzie wierzą tylko w jednego Boga, a kiedy się zaczyna, modlą się, żeby im pomógł.

Duchowni obu stron powiadają, że Bóg jest z nimi, co jednak nie jest możliwe, bo musiałby się rozdzielić.

Widać to dopiero po wszystkim. Kto przegrywa, powiada, że tylko został doświadczony.

Na początku wojny gra muzyka. Ludzie śpiewają na ulicy i płaczą. To się nazywa hymn narodowy.

Król każdego narodu wygląda z okna, przez co entuzjazm rośnie. Potem się zaczyna. Jest to właściwa część wojny, którą nazywamy bitwą. Najpierw jest modlitwa, potem się strzela i zabija ludzi. Na koniec król robi objazd i patrzy, ilu jest zabitych.

Wszyscy mówią, to bardzo smutne, że tak być musi. Ale ci, którym się nic nie stało, pocieszają się, że to jednak najpiękniejsza śmierć.

Po bitwie śpiewa się znowu nabożne pieśni, co nieraz widzimy na obrazach. Poległych kładzie się do masowych grobów, gdzie spoczywają, póki ich nie każą wygrzebać profesorowie.

Ich mundury wędrują do muzeum, chociaż najczęściej zostają tylko guziki. Okolicę, gdzie ludzie zostali pozabijani, zwie się polem chwały. Kiedy już

mają dosyć, wracają zwycięscy do domów: wszędzie panuje radość, że wojna się skończyła, i wszyscy ludzie idą do kościołów, aby podziękować za to Bogu.

Jeśli ktoś sądzi, że byłoby rozsądniej w ogóle nie zaczynać, to jest socjaldemokrata i trzeba go zamknąć.

Potem następuje pokój, w którym człowiek marnieje, jak powiada Schiller. Zwłaszcza marnieją inwalidzi, bo nie dostają pieniędzy i nie mogą nic zarobić.

Niektórzy otrzymują katarynki, na których grają patriotyczne pieśni dla zbudowania młodzieży, żeby też dobrze przyłożyła, kiedy się zacznie. Wszyscy, którzy byli na wojnie, dostają okrągłe medale, niektórzy zaś reumatyzm i są potem woźnymi w gimnazjum, jak nasz pedel. Tak więc wojna ma też swoje dobre strony<sup>898</sup>.

### **Przykład 709. Kurt Tucholsky – *Człowiek.* *Wypracowanie z roku 1931* (1971)**

Człowiek ma dwie nogi i dwa światopoglądy. Jeden, kiedy mu się dobrze powodzi, i drugi, kiedy mu się powodzi źle. Ten ostatni zwie się religią. Człowiek jest kręgowcem, ma nieśmiertelną duszę, a także ojczyznę, aby mu się w głowie nie przewróciło.

Produkuje się człowiek w sposób naturalny, ale uważa się to za rzecz nienaturalną i o tym się nie mówi. Człowieka się produkuje, ale nie pyta, czy chciałby być wyprodukowany.

Człowiek jest stworzeniem pożytecznym, ponieważ służy do tego, aby przez śmierć żołnierską powodować wzrost kursu akcji naftowych, a przez śmierć górniczą zwiększać zyski właścicieli kopalń. Człowiek przyczynia się też do rozwoju kultury, sztuki i nauki.

Człowiek ma oprócz instynktu rozrodczego oraz zamięłowania do jedzenia i picia dwie namiętności: hałasować i nie słuchać. Można w ogóle określić człowieka jako stworzenie, które nigdy nie słucha tego, co do niego mówią. Jeśli sam jest mądry, to ma oczywiście rację, gdyż rzadko wtedy usłyszy coś rozsądnego. Ludzie bardzo chętnie słuchają: obietnic, pochlebstw, wyrazów uznania i komplementów. Należy się przy tym posługiwać pochlebstwami o trzy numery większymi, niż nam się to wydaje możliwe. Człowiek nie ma litości dla swego rodzaju, dlatego stworzył prawa. Jeśli jemu nie wolno – nie wolno także innym.

Ludzkość dzieli się na dwie części: męską, która nie chce myśleć, i żeńską, która myśleć nie potrafi. Obie te części obdarzone są tak zwanymi uczuciami. Uczucia można najłatwiej wywołać, drażniąc odpowiednie ośrodki nerwowe.

---

<sup>898</sup> L. Thoma, *Wojna – wypracowanie szkolne*, tłum. W. Brudziński, [w:] G. Branstner (oprac.), *Przedstawiamy humor niemiecki*, Iskry, Warszawa 1971, s. 15–16.

Niektórzy ludzie wydzielają wtedy lirykę. Człowiek jest istotą roślino- i mięsożerną. W czasie podróży do bieguna północnego spożywa czasami egzemplarze własnego gatunku, ale faszyzm dba potem, aby to się wyrównało.

Człowiek jest stworzeniem upolitycznionym, które najchętniej pędzi życie w grupie. Każda z grup nienawidzi innych grup, ponieważ są inne, i nienawidzi własnych, ponieważ są własne. Ta ostatnia nienawiść zwie się patriotyzmem.

Każdy człowiek ma wątrobę, śledzionę, płuca i sztandar; wszystkie te cztery organy są konieczne do życia. Podobno bywają ludzie bez wątroby, bez śledziony i o jednym płucu, ale nie ma ludzi bez sztandaru. Słabą działalność rozrodczą człowiek pobudza przy pomocy najróżnorodniejszych środków. Należą do nich: walka byków, zbrodnia, sport i sądownictwo.

Nie ma ludzi wśród ludzi, są tylko ludzie, którzy rządzą, i tacy, którzy są rządzeni. Ale nikt jeszcze nie zapanował sam nad sobą: ponieważ oponujący niewolnik jest zawsze silniejszy niż żądny władzy pan. Każdy człowiek jest słabszy od siebie.

Kiedy człowiek czuje, że już mu się żadna sztuka nie uda, staje się nabożny i rozsądny, rezygnuje z kwaśnych winogron, zamyka się w sobie. Poszczególne grupy wieku wśród ludzi traktują się wzajem jak różne rasy: starzy na ogół zapomnieli, że byli młodzi, albo zapominają, że są starzy, a młodzi nigdy nie potrafią pojąć, że się też zestarzeją.

Człowiek nie chce umierać, ponieważ nie wie, co potem nastąpi. Jeśli wydaje mu się, że wie, to też nie ma chęci, ponieważ chciałby jeszcze trochę pobyc w tym świecie. „Trochę” znaczy w tym wypadku – wiecznie. A poza tym człowiek to istota żyjąca, która stuka, robi złą muzykę i każe swemu psu czekać. Czasem człowiek zachowuje spokój, ale wtedy jest już martwy.

Oprócz ludzi są jeszcze Sasi i Amerykanie, ale tego jeszcze nie przechoziliśmy, bo zoologia jest dopiero w następnej klasie<sup>899</sup>.

### **Przykład 710. Lew Łoginow – *Dziwne dzieci* (1976)**

Najspokojniej w świecie jedliśmy śniadanie.

– Tata – syn z powagą zajrzał mi w oczy – nie pójdę do szkoły. Posiedzę w domu.

Przestałem jeść, odsunąłem talerz i najsurowiej jak umiałem zapytałem: – Czy ty się w ogóle zastanawiasz nad tym, co chcesz powiedzieć?

– Oczywiście! – spokojnie odparł syn. – Koniec okresu i po prostu muszę się pouczyć.

---

<sup>899</sup> K. Tucholsky, *Człowiek – wypracowanie z roku 1931*, tłum. W. Brudziński, [w:] G. Branstner (oprac.), dz. cyt., s. 56–57.

– A ja – powiedziałem nieomal z wściekłością – mam koniec kwartału. Także muszę popracować. Więc, twoim zdaniem, powinienem przestać chodzić do pracy?

– Ty, tato, jesteś przecież dorosły! Jesteś inżynierem! Tymczasem mylisz ze sobą zupełnie różne rzeczy. Pracę i szkołę. To nie jest to samo.

– Przede wszystkim jestem starszym inżynierem! A po drugie, zarówno praca, jak szkoła, to sprawy równie poważne – powiedziałem, wiążąc krawat. – Ty masz szkołę. Ja mam pracę. Ty jesteś mały, ja jestem duży.

– O, nie, to są różne rzeczy – oponował w dalszym ciągu. – Dorośli są poważni, a my, dzieci, nie jesteśmy. Jest wśród nas wiele takich dzieci, które nie rozumieją, że koniecznie musimy dobrze się uczyć.

– Nie opowiadaj głupstw! Myślisz może, że wśród nas, dorosłych, wszyscy rozumieją, że trzeba dobrze pracować? Ubieraj się i marsz do szkoły! I uważaj na lekcjach.

– O to właśnie chodzi, tato, że to jest absolutnie niemożliwe. My na lekcjach gramy w wojnę morską. W inteligencję. Nie ma siły, żeby się skoncentrować na czymś poważniejszym.

– To są wymówki – powiedziałem do syna, zaczynałem już być doprawdy wściekły. – My także gramy na zebraniach w szubienicę. Ale to nam nie przeszkadza w wykonywaniu planów kwartalnych. Więc nie zwracaj mi głowy!

– Gdybyż to szło tylko o to! – jęknął syn. – Ale Fiodorow przynosi znaczki pocztowe i pokazuje je na lekcjach. Sorokina zamienia kalendarze. Bułkin sprzedaje emblematy...

– Chodzisz już do piątej klasy – zacząłem tupać na syna – a wygadujesz takie głupstwa! Wielkie mi rzeczy, że Bułkin sprzedaje emblematy. U nas w pracy można okazji kupić futro z prawdziwego futra, bieliznę, buty, kosmetyki. Wczoraj o mało nie kupiłem koca. Czysta wełna. Szkocka krata. Nie zdążyłem, nim dopiłem piwo w bufecie, wyprzedzili mnie faceci z kontroli technicznej. Więc dlatego mam nie chodzić do pracy? Przeciwnie! Niejeden tylko dlatego chodzi do pracy!

Syn włożył płaszcz i poszedł do szkoły. A ja usiadłem na krześle, żeby odsapnąć. *Dziwne dzieci* nam rosną – myślałem. – Rozpieszczone. Nieprzyzwyczajone do pokonywania trudności<sup>900</sup>.

---

<sup>900</sup> L. Łoginow, *Dziwne dzieci*, [w:] M. Siemionow (oprac.), *Przedstawiamy pisma satyryczne świata. Krokodil. Safari na grzesznym świecie*, tłum. W. Dąbrowski, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1976, s. 38–39.

**Przykład 711. Jan Poliszczuk – *Zagłada ciała* (1976)**

Nowa wychowawczyni naszej klasy podbiła wszystkich już na pierwszej godzinie lekcyjnej. Nosek miała niefrasobliwie zadarty, a oczy jej promieniały jakby je ktoś podświetlił od wewnątrz żaróweczkami od kieszonkowych latarek. Klaudia Iwanowna wycelowała palec w skrzynkę, w której był królik i powiedziała melancholijnie: – Niebogato sobie żyjecie, dzieci! Flory nie macie, a i z fauną nietęgo... Jeden gryzoń na tyłu pobierających nauki!

Wstał na to Stasiek Dubowski i nieśmiało oświadczył, że u niego na strychu jest pełno białych myszy. A jeżeli Klaudia Iwanowna nie ma nic przeciwko albinosom, to on może je jutro podrzucić.

– Podrzucisz? – zapytała z zainteresowaniem nauczycielka. – A gdzie pracuje twój tatuś?

– Tatuś pracuje w sklepie – zaniepokoił się Stasiek. – Jest kierownikiem działu dziczyzny...

– Dziczyzny? To bardzo postępowe! Poproś go, żeby jutro do mnie przyszedł.

– Ale za co? – przeraził się Stasiek. – Ja przecież te myszy za darmo...

– Bardzo mnie cieszy twoja inicjatywa! A tatuś niech przyjdzie w celu stworzenia ciała rodzicielskiego... Aha, dzieci, a propos, czy któreś z was ma tatuśka stolarza?

– Tak! odezwał się uszczęśliwiony Tiesza Sadykow. – Mój tatuś jest stolarzem meblowym.

W tym momencie Tania Sokołowa nie zdzierżyła i wyznała, że jej mamusia jest malarką. A malarki, jak powiedziała mama, to najcenniejszy skarb w skarbnicy naszej sztuki i należy je nosić na rękach.

– No cóż, spróbujemy – powiedziała Klaudia Iwanowna, a twarz jej opromienił czarujący uśmiech. – Mamy szczęście, dzieci. Zaprosicie rodziców na konferencję ze mną.

Wychowawczyni przyjęła rodziców w świetlicy organizacji pionierskiej. To wywarło niejaki wrażenie. W kącie drzemał werbel. Nad atrybutami pionierskiej drużyny kłębił się kurz.

– Taka to sprawa, towarzysze rodzice i towarzyszkami rodzicielki! – rozradowanym głosem powiedziała Klaudia Iwanowna. – Trzeba z tym skończyć! Jeden gryzoń na całą klasę i żadnego wyglądu zewnętrznego!... Musimy połączyć nasze wysiłki we wspólnym wychowaniu dorastającego pokolenia!

Ciało rodzicielskie milczało, cokolwiek zawstydzone.

– Wy, na przykład, towarzyszko rodzicielko Sokołowa, powinnyście zająć się oprawą artystyczną naszej gazetki ściennej oraz tablicy współzawodnictwa

z klasą siódmą „b”... Wam, towarzyszu rodzicu Sadykow, powierzymy wykonanie klatek dla kącika zoologicznego... A towarzysz rodzic Dubowski będzie naszym... hm... czym naszym będziecie, towarzyszu? Macie trochę zanadto neutralny zawód... Zresztą, macie doświadczenie handlowca? Będziecie więc u nas w soboty wydawali sprzęt sportowy... Nie możemy przecież w tym celu odrywać uczących się od intensywnej pracy. Najważniejsza rzecz, to oprzeć się na społeczności rodzicielskiej!

W siódmej „c” zaczęła się epoka odrodzenia. Na ścianach pojawiły się wykonane w stylu renesansu tablice współzawodnictwa oraz plakaty, mobilizujące działwę do opanowania nauk i techniki nie gorzej niż na dostatecznie. W terrariach na parapecie okna beztrosko baraszkował królik-weteran i ponury jeź, który wabił się Satyryk. W soboty wydawany był sprzęt sportowy, w idealnej zgodzie z listą inwentarzową.

– No – powiedziała Klaudia Iwanowna, rozglądając się ze znużeniem po klasie – pierwszy etap mamy z głowy. Ale czy nie odnosicie wrażenia, że nasz aktyw nie jest dość aktywny? Co? Zdumiewa mnie, że towarzysz rodzic Sadykow może obojętnie patrzeć na to, że w sali gimnastycznej nie ma drabinek tak potrzebnych dla rozwijania sprawności fizycznej dzieci. Jeżeli towarzyszowi rodzicowi Sadykowowi nie wystarczają godziny pozalekcyjne, to wyjdziemy mu naprzeciw. Niech wykonuje stolarkę podczas godzin lekcyjnych, w piwnicy. Dyrekcja szkoły obiecała, że wyznaczy odpowiednie do tego pomieszczenie. Proszę tylko za bardzo nie stukać!

Stolarz meblowy próbował być jęknać, że w fabryce czekają na niego nieskompletowane komplety i niewykonany plan. Aktyw rodzicielski tak jednak zaczął na niego psykać, że Sadykow rozsądnie zrezygnował.

– A teraz – powiedziała przymilnie Klaudia Iwanowna – przejdziemy do was, towarzyszeko rodzicielko Sokołowa. Na frontonie szkoły należałoby namalować panneau, które przedstawiałoby politechnizację procesu nauczania. Wymiary panneau uzgodniliśmy już z dzielnicą. Bodaj dwa metry na osiem. Możecie zacząć jutro.

Malarka pobladła i już do końca siedziała naburmuszona jak sowa.

– Wy zaś, towarzyszu rodzicielu Dubowski – kontynuowała nauczycielka – musicie zwiększyć zakres działalności. Będziecie odtąd wydawali sprzęt nie tylko w soboty, ale również we wtorki. I bardzo proszę, żebyście byli uważniejsi! Dzieci zauważyły, że dwukrotnie pomyliliście się na ich niekorzyść. Pamiętajcie, że szkoła to nie byle sieć handlowa...

– Ale człowiek nie może się rozdwoić – wątlým głosem powiedział kierownik działu dziczyzny. – Darujcie, ja całym sercem jestem tutaj, ale głowa zostaje



tam, znaczy się, w sklepie... Obawiam się, że ekspedienci pod moją nieobecność mogą przemienić dziczyznę w głowiznę...

– Trzeba prowadzić pracę wychowawczą wśród podwładnych – ucięła Klaudia Iwanowna i dla wszystkich było jasne, że temat został wyczerpany.

Niebawem trudno było poznać ciało rodzicielskie. Pod oczyma malarki pojawiały się mroczne cienie. Kierownik działu dziczyzny chudł z każdym dniem. Stolarz meblowy na widok Klaudii Iwanowny zaczynał się nerwowo jąkać.

– Oto w czym rzecz, bracia – powiedział, przerywając na chwilę naprawę sprzętu sportowego. – W pracy dostałem już drugą naganę... Mam pewną myśl. Postanowiłem przenieść mojego Tieszę do innej szkoły.

– A co z rejonizacją? – jęknęła malarka. – Przecież nie przyjmą go do szkoły z innego rejonu. Inaczej sama dawno bym to zrobiła.

– Mam kuzynkę na przedmieściu – powiedział zadowolony z siebie Sadykow. – Przemelduję chłopaka do niej... Och, jakie ja serwantki będę teraz robił. Ludzie będą całowali mój hebel!

Ciało rodzicielskie skisło z zazdrości.

W tydzień później kierownik działu dziczyzny natknął się na ulicy na stolara-dezertera. Stolarz meblowy szedł, zataczając się. Policzki dygotały mu w tiku.

– Co wam jest? – zapytał współczująco kierownik działu dziczyzny. – Nastąpiło przecież rozbicie ciała. Czym się martwisz, człowieku?...

Sadykow westchnął przeraźliwie.

– Jeszcze nigdy mnie tak nie oheblowywali... Przeniosłem chłopaka na odległe osiedle... Zacząłem wykonywać plan w stu czterdziestu koma siedem procenta... I łubudu! Wzywają mnie na konferencję tatusiów... Patrzę, a nauczycielka podobna jest do Klaudii Iwanowny jak dwie krople kleju stolarskiego... Zobaczyła mnie, ucieszyła się i zmobilizowała do naprawienia w czynie społecznym pałeczek do pokazywania na mapie... No i co ja mam teraz robić?<sup>901</sup>

### **Przykład 712. Silárd Darvas – *Wzorowy pedagog* (1977)**

– Ja nigdy nie biję dzieci – oświadczył mi mój przyjaciel Jenő Guzlica, widząc, że to działa na mnie irytująco, zwłaszcza w chwili, gdy jego synek Jenő Guzlica systematycznie pluje mi w oczy.

– Moim zdaniem – dodał mój przyjaciel – nie ma złych dzieci, są tylko źli pedagodzy.

Mały Jenő jak gdyby słowa ojca zrozumiał, bo przestał pluć, nabrał garścią z ćwierć kilo śmieci i nasypał mi do kawy.

<sup>901</sup> J. Poliszczuk, *Zagłada ciała*, [w:] M. Siemionow (oprac.), dz. cyt., s. 52–54.

– Pan jest głupi, pan jest głupi! – mówił, pokazując mi język długi przynajmniej na pół metra.

– Nie zwracaj na niego uwagi! – szepnął Guzlica. – Dziecko koniecznie chce się popisać. Jak nikt nie reaguje, zaraz się uspokaja.

Naraz mój przyjaciel wrzasnął przeraźliwie, bo chłopiec podszedł go z tyłu i chlusnął mu za kołnierz dzbanek wody. Tu, już nie mogłem powstrzymać się od uwagi.

– Jenó, jak można? – zacząłem z wyrzutem, na co Guzlica machnął ręką.

– Zostaw – rzekł – już ja to... Dzisiaj fantazja chłopca ponosi. W takich razach trzeba oddziaływać na jego uczucie, a złagodniej jak baranek. Uważaj dobrze!

Co powiedziawszy, Guzlica przysłonił twarz i zapłakał gorzko.

– Jenó uderzył tatusia – łkał i zerkał chytrze zza dłoni. – Jenó uderzył kochanego tatusia i teraz tatusia serce boli, bardzo boli... Och, jak boli!

Jeno przez chwilę patrzył bezradnie na ojca, po czym podszedł bliżej i kopnął go z całej siły w piszczel. Guzlica zsiniał z bólu, lecz udawał dalej: – Dziecko jest niedobre, kopie kochanego tatusia. Fe! Tatuś cię zostawi i pójdzie sobie w świat, poszukać sobie innego synka...

Widocznie Jenó przejął się słowami ojca, bo chwycił pogrzebacz i tak go walnął w biodro, że ten upadł. Teraz wzorowy pedagog już przestał udawać i naprawdę ryknął jak krowa. Tylko że Jenó miał i pogrzebacz, i żelazne nerwy. Walił ojca ile włązło.

Nie mogłem dłużej na to patrzeć. Wziąłem Jenó na kolano i po prostu zacząłem przemawiać do jego duszy za pośrednictwem siedzenia. I – o dziwo: chłopiec natychmiast się uspokoił, usiadł na ziemi i zaczął się bawić.

Guzlica patrzył na mnie z wyrzutem.

– Pewnie mu coś uszkodziłeś i teraz będzie miał wadę na całe życie<sup>902</sup>.

### **Przykład 713. Jindřich Bešta – *O szkole i rodzicach* (1978)**

Oczywiście, zwodnicze jest przeświadczenie, że wychowuje jedynie rodzina. W swoim zbożnym dążeniu do wychowania przyszłości narodu otrzymuje ona wsparcie ze wszystkich stron. Tylko ignorant mógłby pominąć kolosalny wkład szkoły w przygotowanie idealnego obywatela. Rzecz nie jest naturalnie taka prosta, jakby na pierwszy rzut oka mogło się wydawać. Z całą odpowiedzialnością oświadczam, że jeśli chodzi o moją rodzinę, to szkoła nie tyle wspierała, co raczej krzyżowała jej najlepsze zamiary. Odwrotny punkt widzenia zaprezentował

<sup>902</sup> S. Darvas, *Wzorowy pedagog*, [w:] L. Tabi (oprac.), *Ludas Matyi. Humor z papryką*, tłum. T. Fangrat, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977, s. 14.

wychowawca klasy, który mi kiedyś oznajmił: – To jest, wie pan, ciężka sprawa. My byśmy w szkole mogli się rozerwać na strzepy, ale cóż, rodzice unicestwiają nasze wysiłki.

Przy tej sposobności pragnę zapewnić ministrów oświaty i szkolnictwa, że nic przeciwko nim nie mam, jak i przeciwko większości nauczycieli, z wyjątkiem tych, którzy uczą moje dzieci. Z całego serca żałuję, że zostały zniesione dzienniczki uczniowskie. Bowiem wpisy typu: „Nosi do szkoły wosk i kładzie go na kaloryferach, żeby zapaskudzić powietrze w klasie” – albo – „Przyniósł do szkoły pszczoły i wrzucał je dziewczętom za kołnierz” – nigdy już nie będą kaligrafowane, a wielka szkoda. Nie będą się już powtarzać desperackie okrzyki na temat konieczności przedkładania dzienniczków rodzicom do podpisu, wpisywane niejednokrotnie kilkanaście nawet razy pod rząd. A i to, że dyrektor szkoły jako najwyższy autorytet był zmuszony konstatować, że nasze dziecię niewątpliwie osierociąło, bośmy się nie stosowali do nawoływań – stało się również muzyką przeszłości. Niechybnie przetrwa jednak przez wieki proceder, który ma ogromny wpływ na zaburzenia w ustroju nerwowym rodziców. Jest to tak zwane wezwanie do szkoły. Dowiadujecie się tam takich rzeczy, że wam włosy na głowie stają dęba. Z nadmiernie przekrwionym z przejęcia mózgiem mamroczenie przez zaciśnięte zęby: „No, ja temu draniowi kości poprzetrącam!”, i właśnie wtedy nauczyciel z anielskim wyrazem twarzy powiada: „Ale w żadnym razie proszę go nie bić, to nie jest wychowawcze”. A wprost instynktownie wyczuwa się, że w duchu mówi: ach, mogliby mu tak porządnie...

Ja rozumiem nauczycieli. Ale cóż, epilogiem tej dramatycznej rozmowy bywa zazwyczaj refleksja, że choćbyście swojego syna stłukli na kwaśne jabłko, nic to nie da. Toteż po przyjeździe do domu przejęty rodzic, przepędziwszy już od siebie złe skojarzenia: „na kwaśne jabłko” i „niedaleko pada jabłko od”, zaczyna się rozwódzić, jak to on sprawował się w szkole i macha potomkowi przed oczyma jednym czy dwoma świadectwami, wybranymi spośród tych mniej kompromitujących, na dowód, że on to ho-ho...

Wszystko to są jednak błahostki. Nie żeby w głębi duszy przyznawać rację teściowej, bez przerwy powtarzającej: „Grunt, że Milanek jest zdrow”. Nie, nie, są to błahostki w porównaniu z tym, co następuje później, kiedy pociecha uczęszcza już do ósmej i dziewiątej klasy. Krzywa jakich takich wyników w nauce katastrofalnie załamuje się. W tych latach i ja zacząłem poważnie się zastanawiać, czy by nie było lepiej rzucić w diabły pracę i samemu zabrać się do nauczania swoich dzieci. Przetłumaczono mi jednak, że przepisy na to nie pozwalają. O pracy i tak nie mogło być mowy, ponieważ niemal dzień w dzień biegałem do szkoły na alarmujące wezwania i roztrząsałem psycho-patologiczne anoma-

lie moich dzieci. Rodzina wówczas żyje w atmosferze, wobec której stosunki w zakładzie poprawczym trzeciego stopnia są, śmiem twierdzić, istną sielanką. Nie ma chwili, w której dziecko nie pozostawałoby pod ostrym nadzorem. Może odetchnąć jedynie, kiedy dorosła część rodziny daje energiczny wyraz swojemu zdziwieniu, że głowa domu nie ma zielonego pojęcia o algebrze, a równania z dwiema niewiadomymi to dlań abra kadabra. Wybucho sprzeczka i niebawem wysnuwa się niezbity wniosek, w kogo właściwie nasza pociecha się wdała.

Zawód przeżywa nie tylko rodzina. Rodzic wstrząsa również ciałem pedagogicznym, przyznając się, że nie umie sprostać zakresowi wymagań dziesięciolatki, sam dyrektor szkoły konstatuje, że to wprost koszmarna sytuacja, kiedy rodzice wymigują się od pomagania szkole w realizacji jej niezwykle ciężkich obowiązków.

Byłem świadkiem, jak pewien ojciec, doprowadzony do kresu wytrzymałości niepowodzeniami swojego dziecięcia w ostatniej klasie, biegł po korytarzu szkoły podstawowej, wykrzykując: „Nie umiem matematyki, chemia jest mi obca, nie wyznaję się w geografii, zabijcie mnie, zabijcie!”. Uspokoił się dopiero na widok swojego potomka, którego z miejsca ukarał cielesnie i popychając go przed sobą ku wyjściu, powtarzał stereotypowo: „Ja ci pokażę...”, a w głosie jego pobrzmiwało rozpaczliwe łkanie.

Skoro mówiliśmy o gehennie – rodziców niedojrzałej dziatwy, wypada dla sprawiedliwości powiedzieć również o kalwarii tych, którzy według powszechnego przekonania są sprawcami rodzicielskiej udręki. Będzie tedy mowa o nauczycielach – a ściślej o nauczycielkach – szkół dziesięcioletnich. Nie mają lekkiego życia i bądźmy sprawiedliwi, często sami, lub same, przyczyniają się do tego, że nam i im jest ciężiej, niż normalnie jest.

Powiada się, że na jedną rodzinę przypada niecała dwójka dzieci. W okresie ich dojrzewania wypełniają rodzicom wolny czas nader wyczerpująco. Wyobraźcie sobie teraz, że w jednej klasie jest przeciętnie 32 dojrzewających wyrostków bądź podlotków, lub też wyrostków z podlotkami jednocześnie w różnych układach. W szesnastu ławkach szesnaście dwójek. Ich wzajemne stosunki są na pierwszy rzut oka nierozpoznawalne. Ale nauczyciel – on wie wszystko. Odgadnie co do minuty, kiedy Liżypatelka wyjmie drugie śniadanie i zacznie pracować szczękami. Bez bliższych oględzin poznaje, kto przysnął. Intuicyjnie wyczuwa, gdzie akurat się tli ognisko zapalne i z góry oczekuje ożywienia w klasie. W szkole koedukacyjnej „na nosa” wie, kogo i kiedy przesadzić. Są to bagatelki, że tak powiem – nauczycielski chleb powszedni. Nerwowy ustrój pedagoga jest już do tego przystosowany i doznaje szoku jedynie wtedy, gdy przeczuwany incydent nie następuje.

Oczywiście, są i rzeczy nie do przewidzenia, rzeczy, od których jeżą się włosy na głowie, nauczycielskiej, ma się rozumieć. W tylnych ławkach rozlega się nagle pianie. W takim wypadku doświadczony, szpakami karmiony nauczyciel ani drgnie, najwyżej zajmie wygodniejszą pozycję, żeby mieć klasę jak na dłoni, i spod oka obserwuje. Ale naiwniak, niekoniecznie początkujący, zrywa się z katedry i pędzi w stronę domniemanego kurnika. Błąd! Kardynałny! Albowiem w chwili, gdy dopada niesfornej ławki, rozlega się artystycznie bezbłędne pianie z pierwszych rzędów. Jest to ostatnia szansa, żeby się opamiętać. Biada, jeżeli nauczyciel nie uchwyci się jej oburącz, bądź jeśli nie da wiary własnym uszom. Wówczas nie ma rady. Odwraca się, biegnie z powrotem i tak może biegać po klasie do dziś dnia.

Nie ma co się dalej rozwodzić, sami sobie przypomnijcie, jakimi sposobami za waszych szkolnych czasów doprowadzało się nauczycieli do szaleństwa. Dopiero wtedy ich krytykujcie! A przecież nie wspomniałem jeszcze o innym froncie, na którym muszą stawać w obronie swojej nagiej egzystencji – o froncie rodzicielskim. Pedagodzy, a i dziatwa, są narażeni na szwank zwłaszcza ze strony ojczulków typu „socjalistyczny playboy”. Dyskretny zapach wody kolońskiej, wyrafinowanie podebrana koszula ze wspaniale harmonizującym i szafowo związanym krawatem – to wszystko robi swoje. Wystarczy jeszcze zagruchać dźwięcznym basbarytonem i dzieło zagłady zostaje dokonane: zamiast trójki, piątka ze sprawowania jak ulał.

A przesłanie? Co się będziemy czarować! Wszystko to kropla w morzu utrapień, które powinny omijać zarówno szkołę, jak i dom<sup>903</sup>.

### **Przykład 714. Lubomir Feldek – *Wiersz w obronie dzieci* (1978)**

Poeta z rana, świeżych wrażeń łasy,

idzie na spacer.

Patrzy – w autobusie

wygodnie sobie jadą urzędasy,

w ręku – nic

albo cieniuśkie teczusie.

Do biur służbowe auta chyżo rwą się,

każde z kociakiem dyrektorskim sunie.

Dajcie no lupę!

<sup>903</sup> J. Bešta, *O szkole i rodzicach*, [w:] H. Müllerova (oprac.), *Przedstawiamy pisma satyryczne świata. Díkobraz-Roháč. Humor znad Wełtawy i Wagu*, tłum. J. Waczków, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1978, s. 34–36.

Ich drobniuchne rąsie  
trzymają coś?  
Drobniuchne torebunie.

Trotuarami idą do roboty  
najprzeróżniejszych rzemieślników setki,  
niosąc w prawicach –  
co? Heble i młoty?  
Jakie znów młoty?  
Poranne gazetki.

Lecz nagle kto to?  
Złej przeszłości cienie?  
Poeta przetań jedno, drugie oko:  
tak, niewolnicy!  
Gnąc się pod brzemieniem  
nasze pociechy do szkoły się wloką.

Temu, co sądzi, że kto mądre księgi  
dźwiga,  
tym samym mądrzejszym się stanie,  
trzeba by taką księgą sprawić cięgi:  
w łeb, w łeb!  
No co, zmądrzeliśmy, kochanie?!

Odpowiedzialnym dać do podźwignięcia  
jakiś balaścik –  
żeby się ugięli!  
Ot, album!  
A w nim rentgenowskie zdjęcia  
garbów tych małych księgonosicieli!

Lub wbić im do łba  
krótki wierszyk jeden:  
Bujda,  
co dotąd w poezji się rzekło!  
Dzieciństwo to nie utracony Eden!  
Ciesz się, że masz już za sobą  
to piekło!

Już po godzinnym niewielkim mozole  
męczy się człek  
i musi dziób przepłukać,  
a dziecku pięć,  
sześć,  
siedem godzin w szkole  
każą się trudzić –  
ślęczyć, pisać, dukać,  
Bierzesz do domu robotę i...  
zawał!

Korzyści mało, a jaki ambaras!  
A belfer dziecku dzień w dzień by zadawał  
domowych prac na trzy zawały naraz.

Wiek trwała walka  
uparta, niełatwa,  
by osiem godzin pracowali ludzie –  
dlaczego tedy musi nasza dziatwa  
po dziesięć godzin  
mozolić się w trudzie?

Musi też  
(boć jest więcej godzin w dobie)  
szukać w ROHAČU zdjęć,  
w sklepach – panamy,  
czy tym podobnych nieprawdopodobieństw.  
My, belfrzy,  
dziatwy jesteśmy panami!

Że chce pobrykać?  
Że w domu się żali?  
Figle jej w głowie –  
nie będzie się bawić,  
bo szkoła i rodzina,  
my,  
dojrzali,  
umiemy dzieci dzieciństwa pozbawić.

Starszy po pracy tankuje,  
 randkuje,  
 nie martwi się, kto był Cezara kmotrem.  
 A dziecko,  
 jeśli codziennie nie wkuje  
 tych sześciu lekcji,  
 nazywamy łotrem.

Starszy, gdy czegoś brak mu,  
 skargę kropnie.  
 Dziecku brak wiedzy?  
 Kiepsko uczą widać.  
 Lecz wtedy belfrzy dają mu złe stopnie,  
 choć ono  
 winno im  
 świadectwo wydać!

Dość! Chcesz, by dziecko taki wiersz wkuwało?  
 „Toż każą nam go znać na pamięć, tatku!” –  
 krzyczy syn.  
 Tego jeszcze brakowało!  
 Więc jeszcze tylko wniosek na ostatku:  
 Krzyż mi  
 (od teczki krzywym do tej chwili)  
 cierpie na myśl, że przyszli historycy  
 wykpią nas:  
 Byli ongi ludzie dzicy,  
 co własne dzieci niewolili<sup>904</sup>.

### **Przykład 715. Arkadij Awerczenko – *W klasie* (1988)**

Nauczyciel historii, Maksymilian Taczkin, powoli odwracał kartki dziennika klasowego, prześlizgując się wzrokiem po nazwiskach uczniów. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

– A teraz poprosimy... poprosimy... Mikołaja Siniuchina!

Wywołany uczeń zbladł, opuścił głowę, powłókł się do tablicy i znieruchomiał przed obliczem nauczyciela, rozwierając usta w bolesnym grymasie.

<sup>904</sup> L. Feldek, *Wiersz w obronie dzieci*, [w:] H. Müllerova (oprac.), dz. cyt., s. 89–90.



– No, słucham... słucham – zachęcał go Taczkin.

– Nie nauczyłem się lekcji, panie profesorze... – wymamrotał Siniuchin, patrząc w okno.

– O! – udał zdziwienie Taczkin. – Można wiedzieć dlaczego?

Siniuchin powinien był oświadczyć, że metoda „stąd dotąd” i „powtórzyć to, co było zadane na poprzednią środę” jest mało atrakcyjna i nie może go, Siniuchina, zainteresować przedmiotem. Mógłby jeszcze dodać, że kilkakroć próbował wczytać się w podręcznik, nieskończoną ilość razy zaczynał „stąd”, ale gołe, niedziałające na wyobraźnię fakty plątały mu się w głowie, rozmazywały i przeszkadzały dobrać „dotąd”. Nie potrafił się jednak zdobyć na szczerą wobec nauczyciela.

– Bolała mnie głowa... Mama zachorowała... Musiałem biegać do apteki.

– Ha, ha, ha! – zaskrzeczał Taczkin. – Tyle nieszczęść naraz. No cóż? Postawię ci pałę...

Popatrzył uważnie na ucznia. Wyraz jego twarzy widać go zastanowił, bo odwrócił się i popadł w zadumę...

„Wyobrażam sobie, jak on mnie w tej chwili nienawidzi... Co zrobiłby ze mną, gdyby tak role się odmiały, gdybym ja był na jego miejscu, a on – na moim?...”

\* \* \*

Trzymając dziennik pod pachą, do klasy wszedł uczeń Mikołaj Siniuchin. Wskoczywszy jednym susem na podium katedry, popatrzył uważnie na nauczycieli siedzących z poblądłymi, przestraszonymi twarzami w ławkach uczniowskich. Po czym przysunął sobie krzesło, otworzył dziennik i odczekawszy złowróźnie minutę, powiódł wzrokiem po rzędach pedagogów.

– A teraz poprosimy... poprosimy... Wasyla Ichmientiewa.

Nauczyciel geografii, Ichmientiew, zjeżył się, obciągnął marynarkę i nieśmiało podszedł do tablicy.

– Wasyl Ichmientiew? – zapytał uczeń Siniuchin, przypatrując się nauczycielowi. – Hm... Chcę panu powiedzieć, że pańskie metody nauczania i sprawowanie wcale mnie nie cieszą.

– Dlaczego? – wyjąkał zdetonowany nauczyciel. – Staram się jak mogę...

– Czyżby? – uśmiechnął się ironicznie Siniuchin. – Stara się pan? Mam w tej sprawie nieco odmienne zdanie... Nie jestem drobiazgowy, panie Ichmientiew, i nie będę się czepiał tego, że ma pan urwany guzik w marynarce, a rękaw pobielony kredą. To z nauką nie ma nic wspólnego. Do dziś wstydzę się tych czasów, gdy za podobne błahostki obniżano stopnie. Nie o tym chciałem z panem porozmawiać... Pan pozwoli, że zapytam o coś innego. Jak pan wykłada? Nudy na pudy. Nie potrafi pan wzbudzić w uczniach najmniejszego zainteresowania.

A pańskie sprawowanie poza szkołą? Wstyd! Chyba nie za to pobiera pan pensję, żeby po nocach rznąć w karty, pić wódkę i zjawiać się na lekcjach w takim stanie, że pożał się Boże! Czy można więc dziwić się uczniom, że słuchają pana z obrzydzeniem i geografia nie chce im wejść do głowy!

– Ja... już nie będę... – wykrztusił z siebie nauczyciel. – To nie ja ponoszę winę... To Maksymilian Taczkina zaprosił mnie do siebie na winta i popijawę... Nie chciałem iść... To wszystko przez niego...

Siniuchin, nie panując nad sobą, uderzył delikatną dłonią w blat katedry.

– Dość! Niech pan sobie zapamięta raz na zawsze, panie Ichmientiew: nie zniosę donosów na pańskich kolegów! Nie będę do tego zachęcać, jak to pan w swoim czasie robił. Wstyd! Proszę wrócić na miejsce i przemyśleć swoje dotychczasowe postępowanie!... Maksymilian Taczkina!

– Obecny... – odezwał się nauczyciel historii zduszonym głosem.

– Widzę, że obecny. Proszę do tablicy... Przed chwilą jeden z pańskich kolegów wylewał tu gorzkie żale, że wyciąga go pan na karty i rozpija. Możliwe, że to prawda, ale nie chcę się wtrącać do pańskiego prywatnego życia, nie chcę wprowadzać bezsensownego, policyjnego nadzoru nad nauczycielami poza szkołą. Jestem ponad to. Jednak poczuwam się do obowiązku powiedzieć panu, że pański stosunek do uczniów i metoda nauczania są poniżej wszelkiej krytyki!

– Dlaczego? – spuścił głowę nauczyciel Taczkina. – Przychodzę na lekcje punktualnie, nie miałem dotąd ani jednego spóźnienia.

– W nosie mam pańską punktualność! – zawołał uczeń Siniuchin. – Nie o to chodzi. Jaki jest pański stosunek do młodzieży? Jaki system wykładania? Pana pedanteria i formalizm zabijają w uczniach wszelką chęć do nauki. Wykłada pan ciekawy, czarujący przedmiot – a co pan z niego zrobił? Historię narodów objaśniania pan jak rozkład jazdy na kolejach? Dlaczego? Dlatego, że z pana nie nauczyciel, ale szewc! Nie lubi pan ani swojej pracy, ani młodzieży, nie ma pan dla nich serca. Proszę mi wierzyć, te subtelne natury odpłacają panu taką samą monetą. Niech pan powie: co pan zadał klasie na jutro?

– Stąd dotąd... – szepnął nauczyciel.

– Wiem, że stąd dotąd, ale konkretnie o czym?

– Tego nie... pamiętam.

Na czole Mikołaja Sirauchina zarysowała się zmarszczka. Ze złością wstał z krzesła, pociągnął nauczyciela za ucho i powiodł w kierunku kąta.

– Ludzie w futerałach! Bezduśne istoty! – krzyczał uczeń Siniuchin. – Formaliści! Sami się zasuszycie, a teraz chcecie to zrobić z innymi. Proszę uklęknąć!

nać w kącie, może ta kara skłoni pana do zastanowienia się nad swym postępowaniem. A jutro niech przyjdą pańscy rodzice – chcę z nimi porozmawiać!

Kłęcząc z opartą o róg klasy głową, nauczyciel historii Maksymilian Taczkin gorzko płakał...

– Jeśli dostałem pałkę – zacisnął wargi – strzelę sobie w łeb!

\* \* \*

Taczkin uśmiechnął się do swych myśli, uniósł głowę znad dziennika i zwrócił się do przybitego, zgnębionego otrzymanym stopniem Siniuchina: – Tak, tak, Siniuchin... Wlepiłem ci pałkę. Ale jeżeli moje postępowanie z jakichś powodów ci się nie podoba, możesz mi też postawić pałkę...

Klasa zarechotała z żartu. Nauczyciel podniósł głowę.

– Cisza! Na następną lekcję powtórzycie to, co było zadane w zeszłą środę, a z nowej przerobicie stąd dotąd...

Na korytarzu radośnie zabrzmiał dzwonek...<sup>905</sup>

---

<sup>905</sup> A. Awerczenko, *W klasie*, [w:] tegoż, *Pies łańcuchowy i inne humoreski*, tłum. A. Ochocki, Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1988, s. 45–48.

## Bibliografia

- Abramow J., *Agitatory*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., *Myślenie ma kolosalną przyszłość. Wybór tekstów satyrycznych i piosenek Warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków 1954–1956*, Iskry, Warszawa 1957.
- Abramow J., Jarecki A., *Esteesik*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., *Myślenie ma kolosalną przyszłość. Wybór tekstów satyrycznych i piosenek Warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków 1954–1956*, Iskry, Warszawa 1957.
- Abramow J., Jarecki A., *Esteesik*, [w:] R. Pracz, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994.
- Abramow J., *Konferansjer*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., *Myślenie ma kolosalną przyszłość. Wybór tekstów satyrycznych i piosenek Warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków 1954–1956*, Iskry, Warszawa 1957.
- Abramow J., *Konferansjer*, [w:] R. Pracz, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994.
- Abramow J., *Krótką decyzją*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., *Myślenie ma kolosalną przyszłość. Wybór tekstów satyrycznych i piosenek Warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków 1954–1956*, Iskry, Warszawa 1957.
- Abramow J., *Zjazd koleżeński*, [w:] R. Pracz, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994.
- Abramow-Newerly J., *Gazetka szkolna*, [w:] tegoż, *Co pan zgłasza?*, Czytelnik, Warszawa 1977.
- Abramow-Newerly J., Jarecki A., *Esteesik*, [za:] T. Polanowski, *Bunt żaków. Studenckie teatry satyryczne*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (red.), *Kalendarz Szpilek, Szpilki*, Warszawa 1957.
- Abramow-Newerly J., *Kolega szkolny*, [w:] tegoż, *Co pan zgłasza?*, Czytelnik, Warszawa 1977.
- Abramow-Newerly J., *Konferansjer*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Abramow-Newerly J., *Lekcja*, [w:] tegoż, *Co pan zgłasza?*, Czytelnik, Warszawa 1977.
- Abramow-Newerly J., *Lwy STS-u*, Rosner i Wspólnicy, Warszawa 2005.
- Abramow-Newerly J., *Zjazd koleżeński*, [w:] tegoż, *Co pan zgłasza?*, Czytelnik, Warszawa 1977.
- Abramow-Newerly J., *Zjazd koleżeński*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Adamczewska H., *W cieniu belle epoque*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1985.

- Afanasjew J., *Krótki kurs studentologii*, [w:] A. Cybulski, *Pokolenie kataryniarzy. Zapiski z 10-lecia Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”*, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1963.
- Afanasjew J., *Regulamin Studenckiego Świąta Wrony*, [w:] A. Cybulski, *Pokolenie kataryniarzy. Zapiski z 10-lecia Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”*, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1963.
- Afanasjew J., *Rozpocznie się*, [w:] J. Afanasjew, M.J. Kononowicz, W. Słobodnik, H. Safrin, J. Sztudynger, *Pięć śmiechów głównych*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1967.
- Alvarez M., *De institutione grammatica*, Venetiis Unitorum Societas, b.m. 1585.
- Andrus A., *Eskimosek*, [w:] tegoż, *Popisuchy*, Piątek Trzynastego, Łódź 2004.
- Andrus A., *Marianek Bambo*, [w:] tegoż, *Popisuchy*, Piątek Trzynastego, Łódź 2004.
- Andrus A., *SRM (syndrom rodzica maturalnego)*, [w:] tegoż, *Blog osławiony między niewiastami*, Prószyński i Ska, Warszawa 2012.
- Andrus A., *Wypracowanie*, [w:] tegoż, *Blog osławiony między niewiastami*, Prószyński i Ska, Warszawa 2012.
- Andrus A., *Znaczy... Kobiety*, [w:] tegoż, *Blog osławiony między niewiastami*, Prószyński i Ska, Warszawa 2012.
- Andrus A., *Żuj rzeżuchę*, [w:] tegoż, *Blog osławiony między niewiastami*, Prószyński i Ska, Warszawa 2012.
- Anonim (?), *O Juleczku, co miał zwyczaj ssać palec*, [w:] B. Butenko (oprac.), *Wesoła gromadka*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987.
- Anonim (Krasów-Leśnica pow. Strzelce Op.), *Jak się synek za złodzieja uczył*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), *Gadka za gadką. 300 podań, bajek i anegdot z Górnego Śląska*, Instytut Śląski w Opolu, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1973.
- Anonim (Tarnowskie Góry), *Eliasz profesorem*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), *Gadka za gadką. 300 podań, bajek i anegdot z Górnego Śląska*, Instytut Śląski w Opolu, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1973.
- Anonim (Wełnowiec Katowice), *O jednym chłopie co do szkoły chodził*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), *Gadka za gadką. 300 podań, bajek i anegdot z Górnego Śląska*, Instytut Śląski w Opolu, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1973.
- Anonim (Zabrze Pawłów), *O jednym co chciał być doktorem*, [w:] D. Simonides, J. Ligęza (oprac.), *Gadka za gadką. 300 podań, bajek i anegdot z Górnego Śląska*, Instytut Śląski w Opolu, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1973.
- Anonim, *Anonima facecje polskie abo żartowne a trefne powieści biesiadne*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 1, *Od Reja do Niemcewicza*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958.
- Anonim, *bez tytułu*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Anonim, *Do młodego Jasia*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.

- Anonim, *Do pewnego literata*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Anonim, *Dobrze mówiący, źle zrozumiani*, [w:] A. Brückner (oprac.), *Co nowego? Zbiór anegdot polskich z r. 1650*, Akademia Umiejętności, Kraków 1903.
- Anonim, *Dziwak*, [w:] W. Wołowski (red.), *Encyklopedia humoru zawierająca najcenniejsze utwory humoru ludzkiego*, t. 1, nakładem autora, Drukarnia A. Pajewskiego, Warszawa 1890.
- Anonim, *Elektrotechnik*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Facecyae polskie. Abo zartowne a trefne powieści biesiadne, tak z rozmaitych Authorow zebrane, iako też y powieści ludzkiej spisane. Teraz znowu poprawione, y przydano*, b.w., b.m. 1624.
- Anonim, *Fizjologja. Wypracowanie szkolne Józia o człowieku*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Jak górnicy dzieci wychowywali*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga humoru ludowego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981.
- Anonim, *I dziadek Łebek był kiedyś rekrutem*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdoty, humoreski i żarty ludu śląskiego*, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1986.
- Anonim, *Jak się synek po łacinie uczył*, [w:] D. Simonides (red.), *Skarb w garncu. Humor ludowy Słowian zachodnich*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1979.
- Anonim, *Jakie miano miał pierwszy człowiek*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie, czyli humor Górnego Śląska*, Towarzystwo Przyjaciół Opola, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1991.
- Anonim, *Jakie miano miał pierwszy człowiek*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga humoru ludowego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981.
- Anonim, *Katechizm francuski w czasach zaburzeń narodowych ogłoszony*, [w:] *Magazyn wesołych i moralnych zabaw czyli zbiór gładkich wierszów, dowcipnych powieści, żartów, anegdotów, ary, pieśni światowych i innych ciekawych wydarzeń*, b.w., Wilno 1812.
- Anonim, *Kolenda noworoczna śpiewana przez żaków*, [w:] S.S. [Stanisław Jarzyna] (oprac.), *Księga dowcipu i humoru zawierająca przeszło 6.000 dowcipów, anegdot wierszem i prozą w XVII rozdziałach*, t. 2, Drukarnia Dziedzictwa bł. Sarkandra, Cieszyn 1932.
- Anonim, *Komedyja o Wawrzku do szkoły i ze szkoły. 1612*, [w:] J. Lewański (oprac.), *Dramaty staropolskie. Antologia*, t. 4, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961.
- Anonim, *Kurs BHP*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie, czyli humor Górnego Śląska*, Towarzystwo Przyjaciół Opola, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1991.
- Anonim, *Kwestia pedagogiczna*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski (oprac.), *Polska fraszka i satyra medyczna*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1961.

- Anonim, *Lato*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Mądry student i głupi pan*, [w:] D. Simonides (red.), *Skarb w garncu. Humor ludowy Słowian zachodnich*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1979.
- Anonim, *Na balu pedagogów*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Na chwającego się żaka*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), *Epigrammata, nagrobki, fraszki, ucinki, żarty, grzeczności, oraz myśli zwięzłe i dowcipne, bezimiennych pisarzy naszych, części już drukowane, części jeszcze drukiem nieogłoszone, zebrane, na cztery księgi rozdzielone i wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza*, nakładem autora, drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1854.
- Anonim, *Nagrobek bakalarzowi*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), *Epigrammata, nagrobki, fraszki, ucinki, żarty, grzeczności, oraz myśli zwięzłe i dowcipne, bezimiennych pisarzy naszych, części już drukowane, części jeszcze drukiem nieogłoszone, zebrane, na cztery księgi rozdzielone i wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza*, nakładem autora, drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1854.
- Anonim, *Nagrobek nauczycielowi i razem organiście*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), *Epigrammata, nagrobki, fraszki, ucinki, żarty, grzeczności, oraz myśli zwięzłe i dowcipne, bezimiennych pisarzy naszych, części już drukowane, części jeszcze drukiem nieogłoszone, zebrane, na cztery księgi rozdzielone i wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza*, nakładem autora, drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1854.
- Anonim, *Nagrobek nauczycielowi i razem organiście*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, nakładem autora, druk W. Korneckiego, Kraków 1892.
- Anonim, *Nagrobek studentowi XVII. wieku*, [w:] I.P. Legatowicz (oprac.), *Epigrammata, nagrobki, fraszki, ucinki, żarty, grzeczności, oraz myśli zwięzłe i dowcipne, bezimiennych pisarzy naszych, części już drukowane, części jeszcze drukiem nieogłoszone, zebrane, na cztery księgi rozdzielone i wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza*, nakładem autora, drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1854.
- Anonim, *Nagrobek studentowi*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Anonim, *Nagrobek Żydkowi*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Anonim, *Najtańsza szkoła*, [w:] M. Wołowski (red.), *Encyklopedia humoru zawierająca najcelniejsze utwory humoru ludzkiego*, t. 4, nakładem autora, Drukarnia A. Pajewskiego, Warszawa 1891.
- Anonim, *Nauczyciel wiejski i wilki. Bajka*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, *Od Asnyka do Zapolskiej*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1965.

- Anonim, *Nauka kaprala w wojskowej szkole*, [w:] S.S. [Stanisław Jarzyna] (oprac.), *Księga dowcipu i humoru zawierająca przeszło 6.000 dowcipów, anegdot wierszem i prozą w XVII rozdziałach*, t. 1, Drukarnia Dziedzictwa bł. Sarkandra, Cieszyn 1932.
- Anonim, *Nauka*, [w:] D. Simonides, *Kumotry diobła. Opowieści ludowe Śląska Opolskiego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1977.
- Anonim, *Obrony prac doktorskich*, [w:] W. Polak, *Śmiech na trudne czasy. Humor i satyra niezależna w stanie wojennym w latach wojennych i w latach następnych (13 XII 1981 – 31 XII 1989)*, Oficyna Wydawnicza Finna, Gdańsk 2007.
- Anonim, *O chłopie, co go ksiądz nauczał, co jest święta Trójca*, [w:] A. Brückner (oprac.), *Facecye polskie z roku 1624*, Akademia Umiejętności, Kraków 1903.
- Anonim, *O chłopie, co syna do szkoły wiozł*, [w:] A. Brückner (oprac.), *Facecye polskie z roku 1624*, Akademia Umiejętności, Kraków 1903.
- Anonim, *O jednym ojcu*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga humoru ludowego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981.
- Anonim, *O mistrzu, co dyscypułów nie miał*, [w:] A. Brückner (oprac.), *Facecye polskie z roku 1624*, Akademia Umiejętności, Kraków 1903.
- Anonim, *O ojcu, co chciał, żeby się syn za dzień nauczył czego w szkole*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga humoru ludowego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981.
- Anonim, *O przymnożeniu swobód i wolności żydkom naszym*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, nakładem autora, druk W. Korneckiego, Kraków 1892.
- Anonim, *O sołtysie, co syn jego studował*, [w:] A. Brückner (oprac.), *Facecye polskie z roku 1624*, Akademia Umiejętności, Kraków 1903.
- Anonim, *O wójcie, co Niemcom jak pies służył*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdoty, humoreski i żarty ludu śląskiego*, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1986.
- Anonim, *Oznaka studenta*, [w:] S.S. [Stanisław Jarzyna] (oprac.), *Księga dowcipu i humoru zawierająca przeszło 6.000 dowcipów, anegdot wierszem i prozą w XVII rozdziałach*, t. 1, Drukarnia Dziedzictwa bł. Sarkandra, Cieszyn 1932.
- Anonim, *Ożenek a oceny społeczne*, [w:] R. Tokarczyk, *Antologia anegdoty akademickiej*, Wolters Kluwer Polska, Warszawa 2006.
- Anonim, *Pamiętnik uczennicy*, „Nowa Kultura”, nr 48/1953.
- Anonim, *Pater, Magister et Filius*, [w:] K. Budzyk, H. Budzykowa, J. Lewański (oprac.), *Literatura mieszczańska w Polsce od końca XVI do końca XVII wieku*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.
- Anonim, *Po lekcji geografii*, [w:] 501 dowcipów o dzieciach, Przedsiębiorstwo Wydawniczo-Kolporterskie Artmen, Wałbrzych 1993.
- Anonim, *Prawdziwy naukowiec*, [w:] R. Tokarczyk, *Antologia anegdoty akademickiej*, Wolters Kluwer Polska, Warszawa 2006.
- Anonim, *Program wykładów historii polskiej dla szkół średnich*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.



- Anonim, *Przekręcona łacina*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga humoru ludowego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981.
- Anonim, *Radca*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Silva rerum*, [w:] J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Billip (oprac.), *Dawna facecja polska (XVI–XVIII w.)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960.
- Anonim, *Skutki wychowania*, [w:] O. Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 14, *Wielkie Księstwo Poznańskie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Wrocław – Poznań 1962.
- Anonim, *Studenci na wsi*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie, czyli humor Górnego Śląska*, Towarzystwo Przyjaciół Opola, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1991.
- Anonim, *Student i gospodarz*, [w:] D. Simonides (red.), *Księga humoru ludowego*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981.
- Anonim, *Student i kobieta*, [w:] A. Żmuda (oprac.), *Anegdoty Śląskie po raz drugi*, Ad Oculos, Warszawa – Rzeszów 2004.
- Anonim, *Student i kobieta*, [w:] B. Skowron (oprac.), *Humor śląski i góralski*, Twoje Wydawnictwo, Warszawa 2011.
- Anonim, *Student i kobieta*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Humor śląski. Bery śmieszne i ucieszne*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1978.
- Anonim, *Student i kobieta*, [w:] D. Simonides (oprac.), *Śląskie beranie, czyli humor Górnego Śląska*, Towarzystwo Przyjaciół Opola, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1991.
- Anonim, *Szkolna mizéria w dialog zebrana...*, [w:] K. Budzyk, H. Budzykowa, J. Lewański (oprac.), *Literatura mieszczańska w Polsce od końca XVI do końca XVII wieku*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.
- Anonim, *Szkolna mizeryja w dialog zebrana...*, [w:] J. Lewański (oprac.), *Dramaty staropolskie. Antologia*, t. 3, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961.
- Anonim, *Talia kart*, [w:] *Anegdotki. Zeszyt III*, Drukarnia J. Korzeniewskiego, Warszawa 1874.
- Anonim, *Tymczasowa „doktoryzacja”*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski (oprac.), *Polska fraszka i satyra medyczna*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1961.
- Anonim, *Ustęp z wykładu historii w Uniwersytecie Berlińskim*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Ustęp z wykładu historii w Uniwersytecie Berlińskim*, [w:] Z. Jasiński, *Śląski kogel-mogel czyli wybór karykatur, satyr i dowcipów politycznych oraz takich sobie głównie z okresu powstań śląskich*, Instytut Śląski, Opole 1982.
- Anonim, *Wolna wola*, [w:] J. Tuwim, *Cicer cum caule czyli groch z kapustą. Panopticum i archiwum kultury. Seria II*, Czytelnik, Warszawa 1959.

- Anonim, *Wypracowanie szkolne*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Z notatnika czteroklasisty*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Anonim, *Zasady dawnej pedagogii*, [w:] S.S. [Stanisław Jarzyna] (oprac.), *Księga dowcipu i humoru zawierająca przeszło 6.000 dowcipów, anegdota wierszem i prozą w XVII rozdziałach*, t. 1, Drukarnia Dziedzictwa bł. Sarkandra, Cieszyń 1932.
- Anonim, *Zgubne skutki oświaty. Spowiedź diabła*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, *Od Asnyka do Zapolskiej*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1965.
- Asnyk A., *Uczeni*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Asnyk A., *Uczeni*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, *Od Asnyka do Zapolskiej*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1965.
- Aszdiennik.pl, *Jak wychować wolnego Polaka?*, [w:] Aszdiennik.pl, *Nowa Polska. Przewodnik dla Polaków*, Agora S.A., Warszawa 2016.
- Awdiejew A., *Opowiem ci kawał. Życie ludzkie od zabawnej strony*, Mando, Wydawnictwo WAM, Kraków 2017.
- Awerczenko A., *W klasie*, [w:] tegoż, *Pies łańcuchowy i inne humoreski*, tłum. A. Ochocki, Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1988.
- Badecki K., *Polska komedia rybałtowska. Pierwsze zbiorowe i krytyczne wydanie*, Ossolineum, Lwów 1931.
- Bałucki M., *Na łonie natury. Fraszka sceniczna – fragmenty odśłony 2*, [w:] R. Hennele (oprac.), *Kpiarze pod Giewontem*, Iskry, Warszawa 1987.
- Baranowski J., „Rozkoszne dziecię”, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska. Część IX. Ciesz się powoli!*, Wydawnictwo Harcerskie Horyzonty, Warszawa 1971.
- Baranowski J., *Bajka Andersena*, [w:] R. Sadowski (oprac.), *Podwieczorek bez mikrofonu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979.
- Baranowski J., *Dlaczego dzieci powinny jeździć na kolonie letnie*, [w:] R. Sadowski (oprac.), *Podwieczorek bez mikrofonu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979.
- Baranowski J., *Poprawka*, [w:] J. Wittlin (red.), *Przedstawiamy humor polski. Pory roku*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1970.
- Baranowski J., *Przysłowia są mądrością narodów*, [w:] R. Sadowski (oprac.), *Podwieczorek bez mikrofonu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979.
- Baranowski J., *Spotkanie na stole*, [w:] R. Sadowski (oprac.), *Podwieczorek bez mikrofonu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979.
- Baranowski J., *Wycieczka historyczna*, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska. Część IX. Ciesz się powoli!*, Wydawnictwo Harcerskie Horyzonty, Warszawa 1971.

- Baranowski J., *Zastępstwo*, [w:] R. Sadowski (oprac.), *Podwieczorek bez mikrofonu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979.
- Barącz S., *Gandziaboross*, [w:] tegoż, *Bajki, fraszki, podania, przysłowia na Rusi itd. zebrał ks. Sadok Barącz S.T.D.Z.K.*, nakładem autora, Tarnopol 1866.
- Bardijewski H., *Zaskoczenie*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Z programów radiowego Zespołu „Dziwiątka”*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1976.
- Bartels A., *Vox populi vox Dei*, [w:] tegoż, *Piosnki i satyry. Zeszyt 1*, nakładem K. Bartoszewicza, Kraków 1888.
- Bartoszewicz K., *Perły humoru polskiego*, t. 3, nakładem autora, druk W. Korneckiego, Kraków 1892.
- Bartoszewicz K., *Słownik prawdy i zdrowego rozsądku*, Druk Jana Cotty, Warszawa 1905.
- Belmont L., *Prosta droga*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Bešta J., *O szkole i rodzicach*, [w:] H. Müllerova (oprac.), *Przedstawiamy pisma satyryczne świata. Díkobraz-Roháč. Humor znad Wełtawy i Wagu*, tłum. J. Waczków, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1978.
- Bester J., *Ballada pedagogiczna*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1955*, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, Warszawa 1955.
- Bester J., *Wychowanie*, [w:] W. Brudziński (oprac.), *Piąty wiek fraszki polskiej. Antologia fraszki trzydziestolecia*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Bikont A., Bikont P., Cesarski W. (oprac.), *Małe vademecum Peerelu z wycinków gazet podziemnych w formie kalendarza robotniczego na rok 1990 przez Panów – Abackiego Babackiego Cabackiego ku uciesze i nauce czytelnika pracowicie zestawione*, Agora, Warszawa 1990.
- Binkowski M.K., *Mynczarnia dobrego wychowania*, [w:] tegoż, *Kupa śmichu po pałucku*, ADMIN, Toruń 2013.
- Binkowski M.K., *Na dzin nouczyciela*, [w:] tegoż, *Kupa śmichu po pałucku*, ADMIN, Toruń 2013.
- Bobrowski M., *57 Spotkanie z Balladą. Jesień w Kopydłowie*, [w:] tegoż, *To my. Spotkanie z Balladą*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2002.
- Bobrowski M., *Edek, ty draniu!*, [w:] tegoż, *To my. Spotkanie z Balladą*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2002.
- Bogucki J.S., *Czy może sowa urodzić sokoła?*, [w:] tegoż, *Wizerunki społeczeństwa warszawskiego. Szkice obyczajowe*, nakładem Aleksandra Nowoleckiego, Warszawa 1855.
- Bonczyk N., *Stary Kościół Miechowski*, Instytut Śląski, Katowice 1936.
- Bontzek N., *Stary kościół Miechowski. Obrazek obyczajów wiejskich w narzeczu górnośląskiem napisał ks. N. Bontzek. Parvum parva decent*, nakładem ks. N. Bontzek, Bytom 1879.

- Boruński W., *Kolega szkolny*, [w:] tegoż, *Nie umiem grać na gitarze*, Iskry, Warszawa 1969.
- Boy-Żeleński T., *Moja metoda naukowa. List otwarty Tadeusza Boy-Żeleńskiego do prof. Stanisława Szpotańskiego*, [w:] B. Winklowska, E. Lipiński (oprac.), *Obrazunki boyowskie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.
- Brodziński A., *Świat oświecony*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Brodziński A., *Świat oświecony*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 1, *Od Reja do Niemcewicz*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958.
- Brudziński W., *Spółczniczka*, [w:] tegoż (oprac.), *Na fali humoru i satyry. Z repertuaru radiowej spółdzielni satyrycznej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Brudziński W., *Trzy rozmowy z nauczycielem Nowakiem*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1955*, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, Warszawa 1955.
- Brudziński W., *Uczennica*, [w:] R.M. Groński, *Od Stańczyka do STSu. Satyra polska lat 1944–1956*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1974.
- Brudziński W.L. (oprac.), *„Staba pamięć”. Scenka według G. Horvatha*, [w:] Z. Wiktorczyk (oprac.), *Bez retuszu. Portrety satyryczne*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Brudziński W.L., Marianowicz A., *Wywiad z Bartkiem*, [w:] A. Marianowicz (oprac.), *Estrada satyryczna. Wybór tekstów estradowych z lat 1945–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Brudziński W.L., Marianowicz A., *Wywiad z Bartkiem*, [w:] A. Marianowicz (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1956*, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, Warszawa 1956.
- Brudziński W.L., Marianowicz A., *Wywiad z Bartkiem*, [w:] W. L. Brudziński, *Po nosie*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Brudziński W.L., Polanowski T., *Sen bumelanta. Szopka polityczna*, [w:] *Sen bumelanta. Materiały repertuarowe dla młodzieżowych zespołów świetlicowych*, Wydawnictwo Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej, Wydział Propagandy i Agitacji, Warszawa 1950.
- Brudziński W.L., *Słów kilka o chowaniu dzieci*, [w:] tegoż, *Po nosie*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Brzechwa J., *Ratujmy dzieci*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Brzechwa J., *Ratujmy dzieci*, [w:] R.M. Groński, *Od Stańczyka do STSu. Satyra polska lat 1944–1956*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1974.
- Brzeziński B., *Elementarz amerykański*, [w:] tegoż, *Dla każdego coś ciętego*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Brzeziński B., *Kto jest cacy?*, Czytelnik, Warszawa 1958.
- Brzeziński B., *Kubuś. Tragikomedie w dwóch aktach*, [w:] tegoż, *Kto jest cacy?*, Czytelnik, Warszawa 1958.

- Brzeziński B., *Niegrzeczne pacholę*, [w:] tegoż, *Proszę o przyjemny wyraz twarzy... Humoreski i fraszki*, Gebethner i Wolff, Kraków 1945.
- Brzeziński B., *Pouczająca lektura*, [w:] tegoż, *Dla każdego coś ciętego*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Brzeziński B., *Zjazd koleżeński*, [w:] tegoż, *Sokrates w szewrolecie. Humoreski, monologi, skecze*, Iskry, Warszawa 1960.
- Buchner W., *Program zabawy, urządzonej dla uczennic przez przełożoną pensji, połączony z kolacyjnym menu*, [w:] tegoż, *Facet – wesoły kalendarzyk na 1890 rok*, nakładem autora, Warszawa 1889.
- Budzyński W., *Rozmowa o dzieciach*, [w:] W. Budzyński, J. Wasylkowski, *Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Dialogi i skecze z Wesołej Lwowskiej Fali*, Instytut Lwowski, Warszawa 2000.
- Budzyński W., *Zjazd koleżeński*, [w:] W. Budzyński, J. Wasylkowski, *Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Dialogi i skecze z Wesołej Lwowskiej Fali*, Instytut Lwowski, Warszawa 2000.
- Bułatowicz J., *Motylek ze szpilek (wybór fraszek z lat 1978–1985)*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.
- Bułatowicz J., *Nagrobek wiecznego studenta*, [w:] tegoż, *Motylek ze szpilek (wybór fraszek z lat 1978–1985)*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.
- Bułatowicz J., *O kształceniu*, [w:] tegoż, *Motylek ze szpilek (wybór fraszek z lat 1978–1985)*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.
- Bułatowicz J., *Tytuł rozprawy doktorskiej*, [w:] tegoż, *Motylek ze szpilek (wybór fraszek z lat 1978–1985)*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.
- Bułatowicz J., *W szkole*, [w:] tegoż, *Amorałki*, Wydawnictwo Klubu Literackiego Narew, Ostrołęka 1985.
- Bury J. (Stanisław Wasylewski), *Lusia zdaje maturę*, [w:] tegoż, *Świadczenia wojenne pani Muszki i inne humoreski*, Spółka Nakładowa „Odrodzenia”, Lwów 1921.
- Bystrzycka Z., *Elementarz*, [w:] tejże, *Ładne kwiatki. Felietony satyryczne*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Catler (Pal-ski), *Z idylli*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Charkow N., *Wychowawca*, tłum. M. Okólow-Podhorska, [w:] J. Śpiewak (red.), *Prochor XVII król blacharzy i inne humoreski radzieckie z lat 1950–1953*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1954.
- Chmielewski Z. (reż.), *Profesor na drodze*, Polska 1973.
- Chmielewski Z. (reż.), *Daleko od szosy*, Polska 1976.
- Chmielnicki S., *Kwiaty oświaty*, [w:] tegoż, *Pejzaż satyryka*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1962.
- Chmielnicki S., *O jednej*, [w:] tegoż, *Fraszki nie tylko opolskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1965.

- Choynowski P., *Kino i dzieci*, [w:] tegoż, *Rzeczy drobne i zabawne*, nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1930.
- Co nowego abo dwór mający w sobie osoby i mozgi rozmaite z których wydorne powieści, abo dworstwa, jako by nowe tego wieku apophtegmatata zebrane i na pospolity pożytek i uciechę są wydane przez Maurycyusza Trztyprztyckiego Radopatrzka Gładkotwarzkiego*, b.w., b.m. 1650.
- Cyroński S., *Język warszawski*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Czarnecki H., *Profesor na drodze*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988.
- Czarnecki H., *Profesor na drodze*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.
- Czarny J., Giegier T. (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Czyczys W., *Mandryl na olejno*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Dalecki M.S., *Ballada pedagogiczna*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Douczenie*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Dziedzic*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Grzech za śmiech*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Jak się stal hartuje*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Legenda*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Między dawnymi a nowymi laty*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Nobilitacja*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Po latach*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Podzwonne*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Rada*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Reform autorzy*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Rzecznik praw szkolnych*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.

- Dalecki M.S., *Stare kariery*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Szkolna ekonomia*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Tabula rasa*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Tożsamość*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Dalecki M.S., *Trójpolówka (szkolna)*, [w:] tegoż, *Mag i ster*, Wydano ze środków OUPIS w Łodzi, Łódź 1987.
- Danielewski I., *Chłopiec szewski w terminie*, [w:] S.S. [Stanisław Jarzyna] (oprac.), *Księga dowcipu i humoru zawierająca przeszło 6.000 dowcipów, anegdot wierszem i prozą w XVII rozdziałach*, t. 2, Drukarnia Dziedzictwa bł. Sarkandra, Cieszyn 1932.
- Darbijan A., *Kret-ornitolog*, tłum. S. Zawadzki, [w:] J. Śpiewak (red.), *Prochor XVII król blacharzy i inne humoreski radzieckie z lat 1950–1953*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1954.
- Darvas S., *Wzorowy pedagog*, [w:] L. Tabi (oprac.), *Ludas Matyi. Humor z papryką*, tłum. T. Fangrat, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977.
- Daukszewicz K., *I wrzesień*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem. Magister Prezydent*, Univ-Comp, Warszawa 1996.
- Daukszewicz K., *A co na świecie? Uganda*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 2, *Spowolnienie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992.
- Daukszewicz K., *Aerobic*, [w:] tegoż, *Przeżyłem Panie Hrabio*, Wydawnictwo Art „B” Press, Poznań 1991.
- Daukszewicz K., *Cwane główki i chłopaki z drogówki. Meneliki 2*, Bellona, Warszawa 2012.
- Daukszewicz K., *Filozofia i logika*, [w:] tegoż, *Prawdziwki i zmyślaki*, Wydawnictwo Orgelbrandów, Polskie Radio Program III, Warszawa 1996.
- Daukszewicz K., *Katecheta*, [w:] tegoż, *Przeżyłem Panie Hrabio*, Wydawnictwo Art „B” Press, Poznań 1991.
- Daukszewicz K., *Ksiądz proboszcz i duch Gąsiorka*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 1, *Przyspieszenie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1991.
- Daukszewicz K., *Lekcja historii*, [w:] tegoż, *Tuskuland*, Prószyński i Ska, Warszawa 2015.
- Daukszewicz K., *Menel belgijski*, [w:] tegoż, *Meneliki, limeryki, epitafia, sponsoruje ruska mafia*, Bellona, Warszawa 2008.
- Daukszewicz K., *Menel z podstawówki*, [w:] tegoż, *Meneliki, limeryki, epitafia, sponsoruje ruska mafia*, Bellona, Warszawa 2008.
- Daukszewicz K., *Między Wortujem a Przyszłościem. Król Maniusz pierwszy*, Wydawnictwo Tevere, Warszawa 1997.
- Daukszewicz K., *Między Wortujem a Przyszłościem. Lewom marsz!*, Polski Dom Wydawniczy, Warszawa 1994.

- Daukszewicz K., *Między Wortujem a Przyszłościem. Pamiętnik popaprańca*, Univ-Comp, Warszawa 1995.
- Daukszewicz K., *Między Wortujem a Przyszłościem. Polska Rzeczpospolita Polska*, Wydawnictwo Tevere, Warszawa 1999.
- Daukszewicz K., *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 3, *W sam raz*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992.
- Daukszewicz K., *Nowe w szkolnych czytankach. Marszałek Piłsudski lubi dzieci i lubi żołnierzy*, [w:] K. Daukszewicz, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 3, *W sam raz*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992.
- Daukszewicz K., *O czym rozmawialiśmy?*, [w:] K. Daukszewicz, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 1, *Przyspieszenie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1991.
- Daukszewicz K., *Pamiętnik IV Rzepy*, Bellona, Warszawa 2009.
- Daukszewicz K., *Porażenie*, [w:] tegoż, *Pamiętnik IV Rzepy*, Bellona, Warszawa 2009.
- Daukszewicz K., *Praca domowa z matematyki dla dzieci, młodzieży i dorosłych*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 2, *Spowolnienie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992.
- Daukszewicz K., *Przystanek*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem. Polska Rzeczpospolita Polska*, Wydawnictwo Tevere, Warszawa 1999.
- Daukszewicz K., *Strajk pana profesora*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem. Pamiętnik popaprańca*, Univ-Comp, Warszawa 1995.
- Daukszewicz K., *Sylwia*, [w:] tegoż, *Izy rajder czyli pieszy jeździec*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1991.
- Daukszewicz K., *Szalet uczelniany*, [w:] tegoż, *Izy rajder czyli pieszy jeździec*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1991.
- Daukszewicz K., *Szkoła przetrwania*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem. Po przełomie*, Polski Dom Wydawniczy, Warszawa 1994.
- Daukszewicz K., *Tuskuland*, Prószyński i Ska, Warszawa 2015.
- Daukszewicz K., *Wiadomości z granicy wschodniej*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 2, *Spowolnienie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992.
- Daukszewicz K., *Wiedźma czyli wspomnienia znachorki. Monolog wewnętrzny z dialogami przez telefon*, [w:] tegoż, *Hrabia, Wiedźma i Cycek*, Ypsilon, Warszawa 1994.
- Daukszewicz K., *Wywiadówka w klasie VIII „c”*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 2, *Spowolnienie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1992.
- Daukszewicz K., *Z konspektu kuratora Walczaka z Łodzi*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem. Po przełomie*, Polski Dom Wydawniczy, Warszawa 1994.
- Daukszewicz K., *Zadanie matematyczne dla siedmioklasistów w konkursie matematycznym w katowickim Pałacu Młodzieży Dnia 5.06.1991*, [w:] tegoż, *Między Wortujem a Przyszłościem*, t. 1, *Przyspieszenie*, Hrabia & Ignacy, Warszawa 1991.
- Dobrowolski J., *Decybel. Radiokronika decybel*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2012.



- Dobrowolski J., *Wspomnienia moich pamiętników*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2014.
- Dołęga M., *Poezja dla dzieci*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Drozda T., *Dojrzałość*, [w:] J. Skoczylas, *Elita i Studio 202. Hej szable w dłoń!*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2013.
- Dziedzyk Z., „*Pasztet nie z Truflami, ale z Facecjami*”: mało znana humorystyczna efemeryda z pierwszej połowy XIX wieku, „*Kwartalnik Historii Prasy Polskiej*”, nr 18 (2)/1979.
- Em-Ka, *On i ona*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Ex-bocian (Faustyn Świdorski), *Wyborne skutki edukacji*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski (oprac.), *Polska fraszka i satyra medyczna*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1961.
- Fedecki Z., Jarecki A., *Egzamin wstępny*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Fedecki Z., Jarecki A., *Marsz do Kąta! (opera w jednym akcie)*, [w:] Z. Fedecki, A. Jarecki, *Marsz do kąta! Operetki obywatelskie z repertuaru STS*, Czytelnik, Warszawa 1986.
- Fedecki Z., Jarecki A., *Nowy Demostenes*, [w:] Z. Adrjański, W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Teatry i kabarety studenckie*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Fedorowicz J., *Lekcje wychowania administracyjnego*, [w:] tegoż, *W zasadzie tak*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1975.
- Feldek L., *Wiersz w obronie dzieci*, [w:] H. Müllerova (oprac.), *Przedstawiamy piśma satyryczne świata. Dikobraz-Roháč. Humor znad Wełtawy i Wagu*, tłum. J. Waczków, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1978.
- Feliksiak J.S., *Po egzaminie*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Filewicz J., *Czytanka*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Fiszer G., *Pan Kałamarzewski, nauczyciel szkół elementarnych starej daty. Obrazek sceniczny*, Wydawnictwo „Kultura i Sztuka”, Lwów 1928.
- Fog M.S. (oprac.), *Absurdy Polski międzywojennej, Vesper*, Poznań 2008.
- Friedmann S., Kofta J., *Egzamin*, [w:] J. Kofta, *Dolina tysiąca brzuchów. Zebrane utwory sceniczne i satyryczne*, t. 1, Prószyński i Ska, Warszawa 2011.
- Friedmann S., Kofta J., *Fachowcy i profesor*, [w:] S. Friedmann, J. Kofta, *Fachowcy*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979.
- Friedmann S., *Le'kcja francuskiego*, [w:] tegoż, *Dzieła zebrane. Mniejsza całość*, Łoża Wydawnicza Interesa, Warszawa 1997.

- Fydrych „Major” W., *Żywoty Mężów Pomarańczowych*, Fundacja Pomarańczowa Alternatywa, Warszawa 2010.
- Gałczyński K.I., *Dwaj maturzyści*, „Przekrój”, nr 370/1952.
- Gałczyński K.I., *Dwaj maturzyści*, [w:] tegoż, *Liryka 1923–1953*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1994.
- Gałczyński K.I., *Pomnik studenta*, [w:] tegoż, *Satyra, groteska, żart liryczny*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Gałczyński K.I., *Zima z wypisów szkolnych*, [w:] tegoż, *Satyra, groteska, żart liryczny*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Gałczyński K.I., *Zima z wypisów szkolnych*, [w:] W.L. Brudziński, A. Marianowicz, A. Mostowicz (oprac.), *Coś nam zostało z tych lat. Szpilki 1935–1965*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa 1967.
- Gąsior, *Przemowa uliczna do młodzieńca z patentem szkolnym*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 4, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Gebethner J., *Młodość wydawcy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977.
- Gicgier T., *Nauka*, [w:] tegoż, *Satyry, fraszki, aforyzmy*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980.
- Gicgier T., *Nic*, [w:] tegoż, *Szkiełko i oko. Fraszki*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970.
- Gicgier T., *Spór w bibliotece*, [w:] tegoż, *Wąwóz Belzebuba*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985.
- Gicgier T., *Szkoła*, [w:] tegoż, *Szkiełko i oko. Fraszki*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970.
- Ginczanka Z., *Słówka*, [w:] W.L. Brudziński, A. Marianowicz, A. Mostowicz (oprac.), *Coś nam zostało z tych lat. Szpilki 1935–1965*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa 1967.
- Ginczanka Z., *Słówka*, [w:] Z. Mitzner, L. Pasternak (oprac.), *Satyra prawdę mówi... 1918–1939*, Czytelnik, Warszawa 1963.
- Gizewiusz G., *Ucz się, bracie, po niemiecku...*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, *Od Fredry do Bałuckiego*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1961.
- Gliński K., *Krnąbrny Jaś*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Gliszczyński A., *Ongi i dziś*, [w:] tegoż, *Humor i satyra H.K.T.*, Drukarnia Piotra Ambroziewicza, Warszawa 1912.
- Gombrowicz W., *Ferdynand*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987.
- Gomulicki W., *Wspomnienia niebieskiego mundurka*, G. Gebethner i Spółka, Warszawa – Lublin – Łódź – Kraków 1918.
- Gosciny R., Sempé J.-J., *Dzienniczki*, [w:] R. Gosciny, J.-J. Sempé, *Mikołajek*, tłum. T. Markuszewicz, E. Staniszkis, Nasza Księgarnia, Warszawa 1996.

- Górski L., *List do redakcji w sprawie szkoła-kawiarni*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Górski L., *Nasza recenzja*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Górski L., *Pierwsza wizyta. Opowiadanie studentki*, [w:] tegoż, *Lubię być szczęśliwy*, Iskry, Warszawa 1968.
- Grandys H., *Polska Akademia Nauk PAN*, [w:] tegoż, *Fraszki i satyry*, nakładem autora, b.m., 1999.
- Grodzieńska S., *Edukacja*, [w:] H. Lankiewicz (oprac.), *Z anteny telewizyjnej. Satyra – skecz – piosenka*, Wydawnictwo Związkowe CRZZ, Warszawa 1967.
- Grodzieńska S., *Już nic nie muszę*, Akapit Press, Łódź b.r.
- Grodzieńska S., *Kolega*, [w:] tejże, *Rozmówki*, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1949.
- Grodzieńska S., Minkiewicz J., *Smutno mi Boże*, [w:] A. Marianowicz, E. Lipiński (oprac.), *Kalendarz Szpilek 1958*, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, Warszawa 1958.
- Grodzieńska S., Minkiewicz J., *Smutno mi, Boże*, [w:] L. Klekow (oprac.), *Psychiczna nadra. Z programów Warszawskiego Teatru Satyryków*, Czytelnik, Warszawa 1955.
- Grodzieńska S., Minkiewicz J., *Smutno mi Boże*, [w:] R.M. Groński, *Od Siedmiu Kotów do Owcy. Kabaret 1946–1968*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1971.
- Grodzieńska S., *Nie ma z czego się śmiać*, Instytut Wydawniczy Latarnik im. Zygmunta Kałużyńskiego, Michałów – Grabina 2007.
- Grodzieńska S., *Pierwsze wiadomości*, [w:] tejże, *Dzionek satyryka*, Czytelnik, Warszawa 1953.
- Grodzieńska S., *Pozytywne niemowlęta*, [w:] tejże, *Dzionek satyryka*, Czytelnik, Warszawa 1953.
- Grodzieńska S., *Pozytywne niemowlęta*, [w:] tejże, *Felietony i humoreski 1944–1954*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Grodzieńska S., *Racjonalne wychowanie*, [w:] tejże, *Rozmówki*, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1949.
- Grodzieńska S., *Wspomnienia chałturzystki*, Iskry, Warszawa 1967.
- Groński R.M., *Czy warto być dowcipnym?*, [w:] tegoż, *Puszka z Pandorą*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Łódź 1991.
- Groński R.M., *Jeż na kaktusie. Wypisy z historii najnowszej 1999–2002*, Książka i Wiedza, Warszawa 2003.
- Groński R.M., *Miazmat*, [w:] tegoż, *Satyra kłamię!*, Czytelnik, Warszawa 1983.
- Groński R.M., *Nauka pływania dla topielców. Wypisy z historii najnowszej 1989–1998*, Książka i Wiedza, Warszawa 1999.
- Groński R.M. (oprac.), *Nasze ogniska. Część IX. Ciesz się powoli!*, Wydawnictwo Harcerskie Horyzonty, Warszawa 1971.

- Groński R.M., *Rewolucja w Pikutkowie po raz trzeci*, [w:] tegoż, *Nauka pływania dla topielców. Wypisy z historii najnowszej 1989–1998*, Książka i Wiedza, Warszawa 1999.
- Groński R.M., *Szkolny żarcik*, [w:] tegoż, *Jeż na kaktusie. Wypisy z historii najnowszej 1999–2002*, Książka i Wiedza, Warszawa 2003.
- Groński R.M., *Sztuka kochania*, [w:] tegoż, *Satyra kłamię!*, Czytelnik, Warszawa 1983.
- Groński R.M., *Wiejski nauczyciel oczekuje propozycji*, [w:] tegoż, *Jak żyć w postkomunizmie*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1992.
- Groński R.M., *Zacznijmy od elementarza*, [w:] tegoż, *Satyra kłamię!*, Czytelnik, Warszawa 1983.
- Gross J., *Nauczycielska dola*, [w:] tegoż, *Rodacy przy pracy*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.
- H.I.Polit, „*Vivat gwałtonomia, vivant profesores*”. *Majora Jędrzejewicza, Ministra W.R.iO.P. imaginacyjne przemówienie do profesorów w dniu wejścia w życie nowej ustawy akademickiej*, [w:] E. Lipiński (oprac.), *Szczutek Cyrulik Warszawski Szpilki 1919–1939*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Hajduk A., *Jak stary Kubik do szkoły chodził*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna do Gogolina. Gawędy, baśnie, legendy*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1978.
- Hamerliński-Dzierożyński A., *Farfałki sarmackie i romantyczne*, Iskry, Warszawa 1988.
- Hašek J., *Kronika śmiechu*, tłum. S. Krysiak, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1950.
- Haufa H., *Dialog w szkole*, [w:] J. Mikołajczak, *Kpink i docinki*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989.
- Hemar M., *Kiedy znów zakwitną białe bzy. (Utwory wybrane)*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991.
- Hemar M., *Koń trojański*, Burchard Edition, Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1993.
- Hemar M., Lechoń J., Tuwim J., Gałczyński K., Paczkowski J., Karpiński Ś., *Szopka polityczna 1931*, [w:] T. Januszewski (oprac.), *Hemar, Lechoń, Słonimski, Tuwim. Szopki 1922–1931 Pikadora i Cyrulika Warszawskiego*, Iskry, Warszawa 2013.
- Hemar M., *Na wykształconego*, [w:] tegoż, *Liryki, satyry, fraszki*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1990.
- Hemar M., *Nierozsądne wychowanie*, [w:] R.M. Groński, *Kabaret Hemara*, Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Warszawa 1989.
- Hempel F., *Pani Trzepiotalska*, „Pasztet nie z Truflami, ale z Facecjami”, 1822.
- Hertz B., *Pedagodzy*, [w:] tegoż, *Satyry 1919–1951*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1952.
- Hoffmanowa K. z Tańskich, *Anekdoty. Prawdziwie o dzieciach*, [w:] tejże, *Wybór pism. Tom 10*, nakładem Wilhelma Bogumiła Kohna, Wrocław 1833.

- Hoffmanowa K. z Tańskich, *Troskliwość zbyteczna*, [w:] tejeże, *Wybór pism. Tom 10*, nakładem Wilhelma Bogumiła Kohna, Wrocław 1833.
- Huszczka J., *Aby... (napisane na prośbę uczennic i uczniów)*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.
- Huszczka J., *Jubileusz (Z kroniki gazetowej)*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.
- Huszczka J., *Kłopoty z wychowaniem*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.
- Huszczka J., *Listy*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.
- Huszczka J., *Niespodzianka*, [w:] tegoż, *Kolokwiarz*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.
- Huszczka J., *Pilna Jadwisia*, [w:] Z. Mitzner, L. Pasternak (oprac.), *Satyra prawdę mówi... 1918–1939*, Czytelnik, Warszawa 1963.
- Huszczka J., *Szkolnictwo zawodowe*, [w:] tegoż, *Impertyncje*, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa 1947.
- Huszczka J., *Trzy dwójki*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Irecki F., *W dawnej szkole austriackiej*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna do Gogolina. Gawędy, baśnie, legendy*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1978.
- Iwanicki E., *Zwyczajna nauka*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Jakubowski J., *Pacanów, gdzie kozy kują*, [w:] tegoż, *Książeczka humorystyczna pocztowa na rok 1865*, drukiem Wawrzyńca Pizsa, Bochnia 1865.
- Jakubowski K., *Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (I)*, [w:] tegoż (oprac.), *Powtórka z rozrywki*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1981.
- Jakubowski K., *Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (II)*, [w:] tegoż (oprac.), *Powtórka z rozrywki*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1981.
- Jakubowski K., *Kącik humoru dla dzieci i młodzieży (III)*, [w:] tegoż (oprac.), *Powtórka z rozrywki*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1981.
- Jan z Kijan, *Delicje szkolne*, [w:] S. Grzeszczuk, *Staropolskie potomstwo Sowizdrzała. Plebejski humor literacki*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1990.
- Jan z Kijan, *Fraszki sowizdrzała nowego*, [w:] K. Badecki (oprac.), *Polska fraszka mieszczańska. Minucje Sowizrzalskie*, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1948.
- Jan z Kijan, *Rekreacja szkolna*, [w:] S. Grzeszczuk (oprac.), *Antologia literatury sowizrzalskiej XVI i XVII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk – Łódź 1985.
- Jan z Kijan, *Sowizrzał nowy, abo raczej Nowyźrzał nie patrząc ia iak sowy...* Kraków 1614, [w:] K. Badecki (oprac.), *Polska fraszka mieszczańska. Minucje Sowizrzalskie*, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1948.
- Janczarski J., *Korepetycje – język polski*, [w:] tegoż, *Kocham pana panie Sułku*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1978.

- Janczarski J., *Korepetycje – przyroda*, [w:] tegoż, *Kocham pana panie Sułku*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1978.
- Janczarski J., *Zabawa szkolna*, [w:] tegoż, *Kocham pana panie Sułku*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1978.
- Janicki S., *W starym polskim kinie*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1985.
- Januszewski T. (oprac.), *Hemar, Lechoń, Słonimski, Tuwim. Szopki 1922–1931 Pika-dora i Cyrulika Warszawskiego*, Iskry, Warszawa 2013.
- Januszkiewicz A., Rychlewski M. (oprac.), *Czarna księga humoru*, Vesper, Poznań 2011.
- Jarecki A., *Dziedziczne cechy polityczne*, [w:] J. Abramow-Newerly i in., *Myślenie ma kolosalną przyszłość. Wybór tekstów satyrycznych i piosenek Warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków 1954–1956*, Iskry, Warszawa 1957.
- Jarosiński M., *Jak oszukiwać nauczycieli*, Wydawnictwo Pomocy Szkolnych Verbum, Warszawa 1996.
- Jaroszyński K., *Do szkoły!*, [w:] tegoż, *Przepraszam, że kabaret*, Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1992.
- Jaroszyński K., *Notatnik pedagoga*, [w:] tegoż, *Przepraszam, że kabaret*, Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1992.
- Jaroszyński K., Skoczylas J., *Dyskusja oszczędnościowa*, [w:] J. Skoczylas, *Elita i Studio 202. Hej szable w dłoń!*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2013.
- Joemonster.org (oprac.), *Chuck Norris. Z półobrotu*, Joemonster.org, Poznań 2006.
- Joemonster.org, *Z pamiętnika ministra edukacji*, [w:] Joemonster.org (oprac.), *Kwiatki polityków, czyli spieprzaj dziadu!*, Vesper, Poznań 2006.
- Jurandot J., *O jednym Olku Piszczkowskim ballada pedagogiczna*, [w:] tegoż, *Moja tfurczość*, Iskry, Warszawa 1966.
- Jurandot J., *Rachunek nieprawdopodobieństwa. Komedia w trzech aktach*, [w:] tegoż, *Komedie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.
- Jurandot J., *Rzecz wstydliva*, [w:] L. Klekow (oprac.), *Psychiczna zadra. Z programów Warszawskiego Teatru Satyryków*, Czytelnik, Warszawa 1955.
- Juroszek F., *Jak zostałem „Quovadisem”*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdoty, humoreski i żarty ludu śląskiego*, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1986.
- Juroszek F., *Jak zostałem „Quovadisem”*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna do Gogolina. Gawędy, baśnie, legendy*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1978.
- Jus W., *Koniec świata*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 16*, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1920.
- Jus W., *Studentka*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 3. Utwory Wł. Jusa*, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1917.
- Kabaret „Potem”, *Romeo i Julia i Prelegent*, [w:] W. Sikora, *Nie tylko... kabaret Potem*, Croma, Wrocław 1998.
- Kaczmarek J., *Polak mądry po szkodzie*, [w:] tegoż, *Listy dygresyjne*, Wydawnictwo Europa, Wrocław 2009.

- Kaczmarek J., *Przestrogi wakacyjne*, [w:] M. Wolski (oprac.), *60 minut na godzinę*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1980.
- Kaji S., *Vilnius Intellectuals and the Early 19th-Century Concept of Lithuania: The Society of Scoundrels (Towarzystwo Szubrawców) and Local Society*, „Lithuanian Historical Studies”, nr 16/2011.
- Kamiński Z.M., *Apel*, [w:] tegoż, *Skończyły się żarty*, nakładem autora, Warszawa 2008.
- Karnowski J., *Jak Sowizdrzał uczył się rozumu*, [w:] S. Janke (oprac.), *Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów*, Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1992.
- Kern L.J., *W szkole*, [w:] *Dzień Nauczyciela*, Gabinet Metodyczny Pałacu Młodzieży w Katowicach, Katowice 1969.
- Kędziński B. (reż.), *Włatcy móch*, Polska 2006–2011.
- Kl.J., *Ganz pomade. Pieśń ogromnie współczesna*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Kleiner J., *Z zagadnień komizmu*, [w:] tegoż, *Studia z zakresu teorii literatury*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1956.
- Klewe (Klemens Weitz), *Jeden dzień profesora*, [w:] tegoż, *Z pamiętnika pchły i inne ucieszne historie*, nakładem Księgarni Feliksa Westa, Brody 1905.
- Klewe (Klemens Weitz), *Lekcja tańców*, [w:] tegoż, *Z pamiętnika pchły i inne ucieszne historie*, nakładem Księgarni Feliksa Westa, Brody 1905.
- Kleyff J., *Cała młodzież*, [w:] M. Tarkowski (red.), *Salon niezależnych*, AZ, Warszawa 2004.
- Kochanowski J., *Fraszki*, Drukarnia Łazarzowa, Kraków 1584.
- Kochanowski J., *O kaznodziei*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej XV–XX w.*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953.
- Kofta J., *Dolina tysięcy brzuchów. Zebrane utwory sceniczne i satyryczne*, t. 1, Prószyński i Ska, Warszawa 2011.
- Konopiński L., *Moje uniwersytety*, [w:] tegoż, *Śmieszne pretensje. Wybór wierszy satyrycznych i humorystycznych z lat 1960–1980*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1981.
- Koprowski J., *Fraszka angielska*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Kord K., *Ojcowski gniew*, [w:] J. Wittlin (red.), *Przedstawiamy humor polski. Pory roku*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1970.
- Korkosz E., *Trudy edukacji*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Korotyńska E., *Nauczyciel. Komedyjka w 1 akcie*, Wydawnictwo Księgarni Popularnej, Warszawa 1927.
- Korotyńska E., *Pan Beksalski. Komedyjka w 1 akcie*, nakładem „Nowego Wydawnictwa”, Warszawa 1934.
- Korpolewski Z., *Woźna*, [w:] tegoż, *Hanka Bielicka. Umarłam ze śmiechu. Wspomnienia, anegdoty, niepublikowane monologi*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011.

- Koźmiński P. (Paul de Coś), *Notatka z pamiętnika studenta*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Koźmiński P. (Paul de Coś), *Notatka z pamiętnika studenta*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, *Od Asnyka do Zapolskiej*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1965.
- Kotarbiński T., \*\*\*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Krajewski J., *O studencie chorym*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Krajewski J., *O studencie chorym*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Krakowski J.A., *Neomaturzyści*, [w:] tegoż (red.), *Lemingi. Młodzi, wykształceni i z wielkich ośrodków*, Fronda, Warszawa 2014.
- Krasicki I., *Bajki i przypowieści*, nakładem Michała Grölla, Warszawa 1779.
- Krasicki I., *Derwisz i uczeń*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Krasicki I., *Derwisz i uczeń*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Krasicki I., *Derwisz i uczeń*, [w:] K. Borzęcki, Z. Woźniewski, *Polska fraszka i satyra medyczna*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1961.
- Krasicki I., *Mikołaja Doświadczynskiego przypadki* (fragmenty księgi pierwszej), [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 1, *od Reja do Niemcewicza*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958.
- Krasicki I., *Mikołaja Doświadczynskiego przypadki*, nakładem Michała Grölla, Warszawa 1776.
- Krasicki I., *Syn i ojciec*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Kraszewski J.I., *Szuflada i głowa*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (red.), *Kalendarz Szpilek*, Szpilki, Warszawa 1957.
- Kretowicz K., *Korepetycje*, [w:] tegoż, *Orły i herosy*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Gdańsk 1977.
- Krukowski K., *Egzamin*, [w:] tegoż, *Mała antologia kabaretu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1982.
- Krysiak S., *Sport to zdrowie*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), *Na obie łopatki. Zbiór satyr*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1952.
- Krzemiński W., *Lekcja o ptaszkach*, [w:] tegoż, *Uwaga, guzik!*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982.
- Krzemiński W., *Raz pewien młody człowiek*, [w:] tegoż, *Uwaga, guzik!*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982.
- Krzemiński W., *Uczcie się geometrii*, [w:] tegoż, *Uwaga, guzik!*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982.
- Krzywołębski A., *Chłopiec wyćwiczony*, [w:] K. Badecki, *Polska satyra mieszczańska. Nowiny sowiżralskie*, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1950.



- Krzywogębski A., *Chłopiec wyćwiczony*, druk J.K.M. X.X. Trynitarzów, Lublin b.r.
- Kuniński Z., *Lekcja rachunków*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Kuniński Z., *Piosenka o społecznicach*, [w:] W. Brudziński (oprac.), *Na fali humoru i satyry. Z repertuaru radiowej spółdzielni satyrycznej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Kwiatkowski M., *Delegacja*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Labuda A., *Wszyscy dobrze radzą*, [w:] S. Janke (oprac.), *Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów*, Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1992.
- Lec S.J., *Na oświatę w wolnej Polsce*, [w:] tegoż, *Spacer cynika. Satyry i fraszki*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Łódź 1946.
- Lec S.J., *O nadmiarze inteligencji w Polsce*, [w:] tegoż, *Spacer cynika. Satyry i fraszki*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Łódź 1946.
- Lec S.J., *Z tysiąca i jednej fraszki*, Iskry, Warszawa 1959.
- Lechicka A., *Historia autentyczna*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Lechoń J., Słonimski A., Tuwim J., *Przegląd przedwieczorny*, [w:] D. Sykucka (oprac.), *Księga parodii*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986.
- Legatowicz I.P. (oprac.), *Epigrammata, fraszki, nagrobki, ucinki, żarty, grzeczności, oraz myśli zwięzłe i dowcipne, bezimiennych pisarzy naszych, częścią już drukowane częścią jeszcze drukiem nieogłoszone, zebrane, na cztery księgi rozdzielone i wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza, Wilno 1854 r.*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, nakładem autora, druk W. Korneckiego, Kraków 1892.
- Legowicz J., *Młódź szkolna utęskniona do Miesiąca Augusta*, [w:] tegoż, *Zbiór przystoynych rozrywek czyli sposoby uczciwe y ucieszne do przystoynego rozweselenia umysłu na użytek powszechności a szczególnie dla młodzi wieyskiej do druku podany*, Drukarnia Jego Królewskiej Mości XX Bazylianów, Wilno 1797.
- Legowicz J., *Na studenta leniwego*, [w:] tegoż, *Zbiór przystoynych rozrywek czyli sposoby uczciwe y ucieszne do przystoynego rozweselenia umysłu na użytek powszechności a szczególnie dla młodzi wieyskiej do druku podany*, Drukarnia Jego Królewskiej Mości XX Bazylianów, Wilno 1797.
- Lenech R., *Luka w wykształceniu*, [w:] tegoż, *Co rozum to przyszłość. Opowiadania satyryczne*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1981.
- Leszczyński J., *Falszywe świadectwo*, [w:] tegoż, *Wietrznym piórem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.
- Leszczyński J., *Na dzień nauczyciela*, [w:] tegoż, *Wietrznym piórem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.

- Ligoń S., *Cłowiek. Opracowanie szkolne dziesięcioletniego Karlika*, [w:] tegoż, *Bery i bojki śląskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1980.
- Ligoń S., *Krowa. Opracowanie Zeflika Gromotki*, [w:] tegoż, *Bery i bojki śląskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1980.
- Ligoń S., *Ło dobrym wychowaniu – słówek pora*, [w:] tegoż, *Bery i bojki śląskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1980.
- Ligoń S., *Opis konia. Zadanie szkolne*, [w:] tegoż, *Bery i bojki śląskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1980.
- Ligoń S., *Opis świni. Opracowanie szkolne Zeflika Mądrali*, [w:] tegoż, *Bery i bojki śląskie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1980.
- Lipińska O., *Co Ola wie o Reju*, [w:] tejże, *Mój pamiętnik potoczny*, Prószyński i Ska, Warszawa 2005.
- Lipiński E., *Erl-69 donosi*, Iskry, Warszawa 1972.
- Lipiński E., *Ogłoszenie w rubryce „Nauka i Wychowanie”*, [w:] tegoż (oprac.), *Stańczyk czyli śmiejmy się przez cały rok*, Iskry, Warszawa 1970.
- Lipiński E., *Zdaniem pesymisty*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977.
- Litwiniuk J., *Drobiazg, błahostka, mała różnica*, [w:] *Scena młodzieżowa Nr 1. Teatr, piosenki, taniec, zgaduj-zgadula, satyra*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1956.
- Łabęcki A., *Na dom poprawy*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Łapot J., *Ja nie narzekam*, [w:] J. Łapot, J. Poprawa, P. Skucha, Z. Tumidajewicz, *Kabaret Długi*, Studencka Oficyna Wydawnicza ZSP Almapress, Czeladź 1989.
- Łapot J., Skucha P., *Wolno myśleć*, [w:] J. Łapot, J. Poprawa, P. Skucha, Z. Tumidajewicz, *Kabaret Długi*, Studencka Oficyna Wydawnicza ZSP Almapress, Czeladź 1989.
- Łoginow L., *Dziwne dzieci*, [w:] M. Siemionow (oprac.), *Przedstawiamy pisma satyryczne świata. Krokodil. Safari na grzesznym świecie*, tłum. W. Dąbrowski, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1976.
- Łopaciński (Jędrzej Śniadecki?), *O edukacji*, „Wiadomości Brukowe”, nr 187 z 3/[15] lipca 1820.
- Łopaciński (Jędrzej Śniadecki?), *O edukacji*, „Wiadomości Brukowe”, nr 204/1820 z 30 października/[11] listopada 1820.
- Łopalewski T., *Jajko i kura*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Łopalewski T., *Szkołka aniołów*, [w:] tegoż, *Karuzela wesołków*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1973.
- Łysiak W., *Do przyjaciół mądrali czyli ostatnie tango w Siedemnastce*, [w:] tegoż, *Na łamach 3 oraz wywiad-rzeka*, Wydawnictwo PLJ, Warszawa 1995.
- Makarczyk J., *Miłosny list*, [w:] E. Kassel, S. Bernatt (oprac.), *Morze w humorze*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1957.
- Makarczyk J., *Porty i marynarze. Humoreski sentymentalne*, Liga Morska Kolonialna, Warszawa 1934.

- Makuszyński K., *Bezgrzeszne lata*, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1925.
- Makuszyński K., *Bezgrzeszne lata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.
- Małachowski A., *Specjaliści*, [w:] tegoż, *Iliada półinteligentów*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972.
- Małachowski A., *Życie z kalendarza*, [w:] tegoż, *Iliada półinteligentów*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972.
- Mann W., *Co zrobić, żeby poradzić sobie ze szkołą*, [w:] tegoż, *Kroniki wariata z kraju i ze świata*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012.
- Mann W., *Lekcja angielskiego I*, [w:] tegoż, *Kroniki wariata z kraju i ze świata*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012.
- Mann W., *Lekcja angielskiego*, [w:] tegoż, *Kroniki wariata z kraju i ze świata*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012.
- Marewicz W., *Do nauczycielów*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Marianowicz A., *J.N.G.*, [w:] tegoż (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Marianowicz A., *J.N.G.*, [w:] tegoż, *Królowa Bona umarła?*, Iskry, Warszawa 1973.
- Marianowicz A., *J.N.G.*, [w:] tegoż, *Opowiadki spod ciemnej gwiazdki*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Marianowicz A., *J.N.G.*, [w:] tegoż, *Plamy na słończku. Wiersze, utwory estradowe, szopki, parodie, fraszki, humoreski, przekłady 1945–1956*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957.
- Marianowicz A., Minkiewicz J., Załucki M. (oprac.), *Szopka satyryczna 1956*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1956.
- Marianowicz A., *Niezależnemu*, [w:] tegoż, *Na wpół drwiąco*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1950.
- Marianowicz A., *Ojciec i syn*, [w:] tegoż, *Plamy na słończku. Wiersze, utwory estradowe, szopki, parodie, fraszki, humoreski, przekłady 1945–1956*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957.
- Marianowicz A., *Opowieść o niemrawym chłopczyku*, [w:] tegoż, *Plamy na słończku. Wiersze, utwory estradowe, szopki, parodie, fraszki, humoreski, przekłady 1945–1956*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957.
- Marianowicz A., *Profesor Jaś*, [w:] tegoż, *Za czym pani stoi?...*, Czytelnik, Warszawa 1988.
- Marianowicz A., *Wymiana*, [w:] tegoż, *Satyry*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.
- Marianowicz A., *Żale uczennicy*, [w:] tegoż, *Plamy na słończku. Wiersze, utwory estradowe, szopki, parodie, fraszki, humoreski, przekłady 1945–1956*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957.
- Maruta L., *Lekcja języka*, [w:] tegoż, *Hejnał z wieży wariackiej. Humoreski i opowiadki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986.
- Maruta L., *Mój stary profesor*, [w:] tegoż, *Austriackie gadanie. Opowiadania i humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.

- Masarczyk R., *Figle studentów*, [w:] A. Widera (oprac.), *Anegdota, humoreski i żarty ludu śląskiego*, Śląski Instytut Naukowy, Opole 1986.
- Masarczyk R., *Figle studentów*, [w:] A. Widera (oprac.), *Od Cieszyna do Gogolina. Gawędy, baśnie, legendy*, Instytut Śląski w Opolu, Opole 1978.
- Maślanka G. (oprac.), *Absurdy RP 3 1/2*, Vesper, Poznań 2011.
- Maślanka G. (oprac.), *Skrzydlate słowa III Rzeczypospolitej. Edukacja III RP*, [w:] tegoż (oprac.), *Absurdy RP 3 1/2*, Vesper, Poznań 2011.
- Maślanka G., *Najstłynniejsze polskie radio*, [w:] tegoż (oprac.), *Absurdy RP 3 1/2*, Vesper, Poznań 2011.
- Maziarski W., *Pan Prezes i podstępni harcerze*, [w:] tegoż, *Czytanki o dobrej zmianie. Lektury z ćwiczeniami dla młodzieży zradzieckich i kanalii*, Magam, Warszawa 2017.
- Medyński J., *Ogłoszenia nieprawdopodobne*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Medyński J., *Reportaż z terenu*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Michalski Z., *Świat deskami zabity*, [w:] W. Machejko, *Pstrąg. Studencki Teatr Satyry*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2005.
- Miećgów B., *W tył zwrot – naprzód marsz*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Estrada wojskowa*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977.
- Minkiewicz J., „*Vivat gwałtonomia, vivant profesores*”, [w:] tegoż, *Bilans osobisty*, Wydawnictwo Trio, Łódź 2001.
- Minkiewicz J., *O prozaikach lat trzydziestych*, [w:] tegoż, *Kazania i skargi*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1946.
- Minkiewicz J., *Sen naturalny*, [w:] tegoż, *Bilans osobisty*, Wydawnictwo Trio, Łódź 2001.
- Minkiewicz J., *Sen naturalny*, [w:] tegoż, *Kazania i skargi*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1946.
- Minkiewicz J., *Wiersz naukowy*, [w:] tegoż, *Pigułki*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1951.
- Minkiewicz J., *Że wymogi nie dość ostre*, [w:] tegoż, *Kazania i skargi*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1946.
- Mitzner Z., *Z dziejów satyry polskiej. Szopka*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz (red.), *Kalendarz Szpilek, Szpilki*, Warszawa 1957.
- Młynarski W., *W szkole wolności*, [w:] tegoż, *Od oddechu do oddechu*, Prószyński i Ska, Warszawa 2017.
- Młynarski W., *Zeszycik z pierwszej klasy*, [w:] tegoż, *Moje ulubione drzewo czyli Młynarski obowiązkowo*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2007.
- Młynarski W., *Zeszycik z pierwszej klasy*, [w:] tegoż, *Od oddechu do oddechu*, Prószyński i Ska, Warszawa 2017.

- Młynarski W., *Zeszytik z pierwszej klasy*, [w:] tegoż, *Robię swoje*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 1999.
- Morcinek G., *Czarna Julka o tym jak poszliśmy witać cesarza (fragmenty)*, [w:] T. Chróścielewski, H. Karwacka, E. Kozikowski (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 4, *Od Kasprowicza do Tuwima*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1968.
- Morcinek G., *Czarna Julka*, Czytelnik, Warszawa 1959.
- Mostowicz A., *Nauczyciel muzyki*, [w:] J. Wittlin (red.), *Przedstawiamy humor polski. Pory roku*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1970.
- Mrożek S., *Anonim*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Mrożek S., *Jeden sprawiedliwy*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Z programów radiowego Zespołu „Dziwiątka”*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1976.
- Mrożek S., *Profesor*, [w:] R.M. Groński, *Od Stańczyka do STSu. Satyra polska lat 1944–1956*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1974.
- Müller J.P., *Handbuch der Physiologie des Menschen für Vorlesungen*, Verlag von J. Hölscher, Coblenz 1833.
- Nawrocka A., *Z notatnika obozowego*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), *Na obie łopatki. Zbiór satyr*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1952.
- Nerbuch (Władysław Buchner), *Egzamin na posła do IV dumi*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Nerbuch (Władysław Buchner), *O dyplomach*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 1, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Nieć G., *Jakub Szymkiewicz „Szlachcic na Łopacie”. Satyryczny reporter „Wiadomości Brukowych”*, Collegium Columbinum, Kraków 2006.
- Niejaki X (Bolesław Surówka), *Uczęszczając. Fragment pamiętnika*, [w:] tegoż, *Dziura w brzuchu*, Wydawnictwo AwiR, Katowice 1946.
- Niewieski S., *Na nieuka*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Niewieski S., *Na nieuka*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 1, *Od Reja do Niemcewicza*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958.
- Niewieski S., *Rythmy abo wiersze Stanisława Niewieskiego, filozofijey doktora Akademiej Zamoyskiej profesora z jego kalendarzy przez 20 lat wydanych do roku 1695 zebrane, item jest tu jeszcze przydatek rytmów ze czterech kalendarzy zebranych, których w pierwszej nie było edycyjej bo się potym napisały*, b.w., Zamość 1695.
- Niewieski S.J., *Na nieuka*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.

- Niziurski E., *Jutro klasówka. Opowiadania dla młodzieży*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1982.
- Niziurski E., *Jutro klasówka. Opowiadania dla młodzieży*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1966.
- Niziurski E., *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej Nasza Księgarnia, Warszawa 1959.
- Niziurski E., *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2000.
- Niziurski E., *Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego*, Krajowa Agencja Wydawnicza RSW Prasa – Książka – Ruch, Warszawa 1977.
- Niziurski E., *Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego*, Krajowa Agencja Wydawnicza RSW Prasa – Książka – Ruch, Warszawa 1975.
- Niziurski E., *Siódme wtajemniczenie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1972.
- Niziurski E., *Siódme wtajemniczenie*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1969.
- Niziurski E., *Sposób na Alcybiadesa*, Czytelnik, Warszawa 1977.
- Niziurski E., *Sposób na Alcybiadesa*, Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia, Warszawa 1964.
- Niziurski E., *Szkolny lud, Okulla i ja*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1982.
- Niziurski E., *Szkolny lud, Okulla i ja*, Oficyna Wydawnicza Akapit, Katowice 1993.
- Nowacka-Wilczek Z., *Podwyżka dla nauczycieli*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Nowaczyński A., *Facecje sowizdrzalskie*, [w:] tegoż, *Małpie zwierciadło. Wybór pism satyrycznych*, t. 1, 1897–1904, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
- Nowaczyński A., *Małpie zwierciadło. Wybór pism satyrycznych*, t. 1, 1897–1904, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
- Nowaczyński A., *Skotopaski sowizdrzalskie*, [w:] tegoż, *Małpie zwierciadło. Wybór pism satyrycznych*, t. 1, 1897–1904, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
- Nowicki A., Wilińska J., *Cennik szkolny*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Ochocki A., *Miotła i katedra*, [w:] tegoż, *Skąd my się znamy?*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970.
- Ochocki A., *Papugi*, [w:] tegoż, *To ci kwiatki!*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984.
- Ochocki A., *Zreformowane przysłowie*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Ofierski J., *Dzień Nauczyciela*, [w:] tegoż, *Party u Kierdziołka*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1967.
- Ofierski J., *Dzień Nauczyciela*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Ofierski J., *Niemoralne kursy*, [w:] tegoż, *Za Kierdziołkową miedzą*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1970.

- Ofierski J., *Przewód doktora Kierdziołka*, [w:] tegoż, *U sołtysa zabawa*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1974.
- Ofierski J., *Sołtys socjolog*, [w:] tegoż, *Błędy i wybaczenia*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1982.
- Ofierski J., *Waluś szarlatan*, [w:] tegoż, *Za Kierdziołkową miedzą*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1970.
- Ofierski J., *Wieczorowa politechnika*, [w:] tegoż, *Party u Kierdziołka*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1967.
- Ofierski J., *Wycieczka szkoły do Warszawy*, [w:] tegoż, *Cie choroba*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1964.
- Ogórek M., *Czas do szkoły*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck idzie na wywiadówkę*, [w:] tegoż, *Mister O'Goreck. Pierwsze czytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck organizuje dzieciom wagary*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck posyła dzieci na studia*, [w:] tegoż, *Mister O'Goreck. Pierwsze czytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck próbuje pokierować dziećmi*, [w:] tegoż, *Mister O'Goreck. Pierwsze czytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck przygotowuje się do matury*, [w:] tegoż, *Mister O'Goreck. Pierwsze czytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck wychodzi naprzeciw potrzebom dzieci*, [w:] tegoż, *Mister O'Goreck. Pierwsze czytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck zapewnia dzieciom przyszłość*, [w:] tegoż, *Mister O'Goreck. Pierwsze czytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck zleca prace naukowe*, [w:] tegoż, *Mister O'Goreck. Pierwsze czytanki*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1994.
- Ogórek M., *Mister O'Goreck znajduje wspólny język z młodzieżą*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.
- Ogórek M., *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.
- Ogórek M., *Nauczycielom też może się przelewać (kulinaria)*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.
- Ogórek M., *Nieskoordynowane ruchy w oświacie*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.
- Ogórek M., *Polska Ogórkowa. Podręcznik dla wszystkich klas*, Agora S.A., Warszawa 2014.
- Ogórek M., *Skąd się wzięli uczniowie*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.
- Ogórek M., *Trochę nauczki*, [w:] tegoż, *13 kolumna. Jak przekonać do aresztu*, Wydawnictwo „Petit”, Warszawa 1991.
- Ogórek M., *Wychowywanie jest procesem obustronnym*, [w:] tegoż, *Najlepszy Ogórek, czyli kalendarz na każdy rok*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005.

- Ojciec, nauczyciel i syn. *Pater, magister et filius. 1579–1620 (?)*, [w:] J. Lewański (oprac.), *Dramaty staropolskie. Antologia*, t. 3, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961.
- Olizarowski T.A., \*\*\*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Olizarowski T.A., *Bez tytułu*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Opaliński K., *Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzieży*, [w:] J. Lemański (oprac.), *Satyra polska. Antologia*, t. 1, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1912.
- Opaliński K., *Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzieży*, [w:] J. Kijas (oprac.), *Krzysztof i Łukasz Opalińscy. Wybór satyr*, Wydawnictwo M. Kot, Kraków 1950.
- Opaliński K., *Satyry*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987.
- Osadczy W., *Święta Ruś. Rozwój i oddziaływanie idei prawosławia w Galicji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2007.
- Ośęka J., *Akcja „PP”*, [w:] tegoż, *Milionowe słowo*, Iskry, Warszawa 1983.
- Ośęka J., *Analiza*, [w:] tegoż, *Tego nie było w TV*, Iskry, Warszawa 1987.
- Ośęka J., *Ile jest 2 × 2*, [w:] tegoż, *Cyrk pcheł*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Ośęka J., *Lekcja przyrody*, [w:] tegoż, *Przełom w Bulwie*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Ośęka J., *Póki nie jest za późno*, [w:] tegoż, *Głos ze studni*, Iskry, Warszawa 1968.
- Ośęka J., *Problem dorosłych*, [w:] tegoż, *Cyrk pcheł*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Ośęka J., *Szkolne lata*, [w:] tegoż, *Kronika pewnej planety*, Iskry, Warszawa 1966.
- Osiecka A., *Analfabetyzm*, [w:] tejże, *Szpetni czterdziestoletni*, Iskry, Warszawa 1985.
- Osiecka A., *Dziobak*, [w:] tejże, *Kolory. Piosenki estradowe*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1962.
- Osiecka A., *Dziobak*, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska. Część IX. Ciesz się powoli!*, Wydawnictwo Harcerskie Horyzonty, Warszawa 1971.
- Osiecka A., *Dziobak*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Polska poezja satyryczna*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Osiecka A., *Lekcja fizyki*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Osiecka A., *Lekcja miłości*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Osiecka A., *Lekcja polskiego*, [w:] J. Czarny, T. Gicgier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Osiecka A., *Lekcja polskiego*, [w:] R. Praczyński, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994.



- Osiecka A., *Na węgry*, [w:] tejsze, *Kolory. Piosenki estradowe*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1962.
- Osiecka A., *Na węgry*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Polska poezja satyryczna*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Osiecka A., *Okularnicy*, [w:] R. Praczyński, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994.
- Paczkowski J., *Mój syn*, [w:] tegoż, *Na ostrzu noża. Satyry*, Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa 1935.
- Paczkowski J., *Poezja w opracowaniu dla młodzieży szkolnej*, [w:] tegoż, *Na ostrzu noża. Satyry*, Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa 1935.
- Pasternak L., *Lekcja historii*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Pasternak L., *Lekcja historii*, [w:] tegoż, *Ja się nie śmieję*, Iskry, Warszawa 1976.
- Petrejtis E., *Pytanie*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Pępowski A. (?), *Z roku 1496*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Piechal M., *Punkty zbiorowego nauczania*, [w:] tegoż, *Sokrates, indyk i żółtek*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1971.
- Piechota J., *Pani nauczycielka*, [w:] tegoż, *Komedyje iwkowskie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1982.
- Piekarski K. i in. (oprac.), „Przewodnik bibliograficzny” nr 13/1925, [w:] J. Tuwim, *Cicer cum caule czyli groch z kapustą. Panopictum i archiwum kultury*, Czytelnik, Warszawa 1958.
- Pierwsza szopka satyryczna wystawiona przez kabaret „Zielony Balonik” w Jamie Michalikowej*, [w:] E. Lipiński, A. Marianowicz, *Kalendarz Szpilek, Szpilki*, Warszawa 1957.
- Pietrzak J., *Jak się wybić*, [w:] D. Sykucka (oprac.), *Księga parodii*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986.
- Pietrzak J., *Jak się wybić? Wywiad telewizyjny*, [w:] tegoż, *Dlatego kocham życie*, Czytelnik, Warszawa 1974.
- Pietrzak J., *Już nie należą*, [w:] tegoż, *Dlatego kocham życie*, Czytelnik, Warszawa 1974.
- Pietrzak J., *Magistrowie od siedmiu boleści*, [w:] J. Pietrzak, A. Krauze, *Codziennik satyryczny*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2004.
- Pietrzak J., *Na skróty. Dzieła przebrane*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 2000.
- Pietrzak J., *Państwo i wyczyn*, [w:] J. Pietrzak, A. Krauze, *Codziennik satyryczny*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2004.
- Pietrzak J., *Wychowanie przez sztukę*, [w:] tegoż, *Występ*, Czytelnik, Warszawa 1982.

- Piotrowski G.J., *Na Człowieka wszystko umiejącego, naturalnie bez uczenia się*, [w:] tegoż, *Satyr przeciwko zdaniom y zgorzseniom wieku naszego*, t. 1, *Za powodem Satyra Jana Kochanowskiego, xiążęcia naszych poetów, który się na końcu Satyr kładzie*, wydany, Scholarum Piarum, Warszawa 1773.
- Piotrowski G.J., *Na grubiaństwo pochodzące z domowej złej edukacji*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 1, *Od Reja do Niemcewicza*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958.
- Piotrowski G.J., *Na grubiaństwo pochodzące z domowej złej edukacji*, [w:] J. Lemański (oprac.), *Satyra polska. Antologia*, t. 1, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1912.
- Piotrowski G.J., *Na grubiaństwo, pochodzące z domowej złej edukacji*, [w:] tegoż, *Satyr przeciwko zdaniom y zgorzseniom wieku naszego*, t. 1, *Za powodem Satyra Jana Kochanowskiego, xiążęcia naszych poetów, który się na końcu Satyr kładzie*, wydany, Scholarum Piarum, Warszawa 1773.
- Piotrowski G.J., *Na uczących prywatnie młódz polską ludzi przychodniów z cudzych krajów bez examinu: jakiejby religii i doskonałości byli*, [w:] tegoż, *Satyr przeciwko zdaniom y zgorzseniom wieku naszego*, t. 1, *Za powodem Satyra Jana Kochanowskiego, xiążęcia naszych poetów, który się na końcu Satyr kładzie*, wydany, Scholarum Piarum, Warszawa 1773.
- Piotrowski G.J., *Ze satyry: „Na grubiaństwo pochodzące z domowej złej edukacji*, [w:] K. Bartoszewicz (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, Księgarnia K. Gren dyszyńskiego, Petersburg 1897.
- Pląskowski Wł., *Janek i Josek*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Polak W., *Śmiech na trudne czasy. Humor i satyra niezależna w stanie wojennym w latach wojennych i w latach następnych (13 XII 1981 – 31 XII 1989)*, Oficyna Wydawnicza Finna, Gdańsk 2007.
- Polanowski T., *Disce puer*, [w:] tegoż, *Wybrałem fry-wolność*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1961.
- Polanowski T., *O Planie 6-letnim*, [w:] tegoż, *Kolce bez róż*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Polański M., *Pełnia sezonu*, LRS Media, Katowice 1999.
- Poliszczuk J., *Zagłada ciała*, [w:] M. Siemionow (oprac.), *Przedstawiamy pisma satyryczne świata. Krokodil. Safari na grzesznym świecie*, tłum. W. Dąbrowski, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1976.
- Potocki W., *Gniew na dzieci*, [w:] J. Lemański (oprac.), *Satyra polska. Antologia*, t. 1, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1912.
- Potocki W., *Jaje niż oko*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Potocki W., *Pleban uczy teologii*, [w:] Z. Kuchowicz (oprac.), *Anegdoty, facecje i sensacje obyczajowe XVII i I-szej poł. XVIII wieku*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1962.

- Powój, *Abecadło*, [w:] M. Wołowski (red.), *Encyklopedia humoru zawierająca najcenniejsze utwory humoru ludzkiego*, t. 1, nakładem autora, Drukarnia A. Pawejewskiego, Warszawa 1890.
- Prus B., *Na prowincji. W pokoju dziecięcym*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej XV–XX w.*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953.
- Prus B., *Przyszłość prelegentów*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 3, *Od Asnyka do Zapolskiej*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1965.
- Prutkowski J., *Gadu, gadu*, [w:] tegoż, *Gdybym był Gogolem...*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1955.
- Prutkowski J., *Nowy rok szkolny*, [w:] tegoż, *Donosy z podpisem*, Iskry, Warszawa 1972.
- Prześluga J. (red.), *Ęcyklopedia Szalonego Małolata od a do... końca... Tom drugi*, Wydawnictwo Ekolog, Piła 1996.
- Prześluga J. (red.), *Ęcyklopedia Szalonego Małolata*, Wydawnictwo Ekolog, Piła 1993.
- Przewodnik bibliograficzny miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jako też czytających i kupujących książki. Założony w r. 1878, wydawany obecnie przez Narodowy Instytut Bibliograficzny w Niebylcu pod redakcją Szymona Starowolskiego, wydali J.A. Załuski, J.D.A. Jarocki, M.H. Juszyński, A.B. Jocher, seria II, tom VI, zeszyt 13, 1925 (fragmenty)*, [w:] H. Markiewicz (oprac.), *Zabawy literackie krakowskich uczonych*, Collegium Columbinum, Kraków 2007.
- Przybora J., *Divertimento op. 6 „Ma non troppo”*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 2, Znak, Kraków 2016.
- Przybora J., *Jak pan mógł*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 2, Znak, Kraków 2016.
- Przybora J., *Jak pokochaliśmy przedszkolankę*, [w:] tegoż, *Miłość do magister Biodrowicz*, Czytelnik, Warszawa 1972.
- Przybora J., *Kabaret starszych panów. Wieczór XV – Ostatni naiwni*, [w:] tegoż, *Divertimento*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1976.
- Przybora J., *List z parku dalekiego dzieciństwa*, [w:] tegoż, *Dziecko szczęścia. Listy z podróży (Poczta trzecia)*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1975.
- Przybora J., *Medea, moja sympatia*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 2, Znak, Kraków 2016.
- Przybora J., *Na wyraj*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 1, Znak, Kraków 2015.
- Przybora J., *Serdecznie dziękuję*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 2, Znak, Kraków 2016.
- Przybora J., *Znów wiosna*, [w:] tegoż, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 1, Znak, Kraków 2015.
- Radgowski M., *Cudza mufa*, [w:] tegoż, *Zając transferowy*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1977.

- Radgowski M., *Dalej, bracie, na kursokonferencję*, [w:] tegoż, *Nieśmiali żyją krócej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1967.
- Raort W. (Józef Wilhelm Rapaport), *Miłość prawdy*, [w:] tegoż, *Kłopoty pana Michała i inne dolegliwości. Satyry*, Spółka Nakładowa „Odrodzenie”, Lwów 1922.
- Raort W. (Józef Wilhelm Rapaport), *Z pamiętnika działacza*, [w:] tegoż, *Grochem o ścianę*, Wydawnictwo „Odrodzenie”, Lwów 1925.
- Reinstein Fr., *Lekcja francuskiego*, [w:] tegoż, *Humoreski*, Drukarnia A.T. Jezierskiego, Warszawa 1902.
- Reinstein Fr., *Stanowisko studenta w życiu towarzyskiem*, [w:] tegoż, *Humoreski*, Drukarnia A.T. Jezierskiego, Warszawa 1902.
- Rej M., *Co ze trzech jaj siedm uczynił*, [w:] tegoż, *Figliki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970.
- Rej M., *Żacy, co kawki na zwonicy zbierali*, [w:] tegoż, *Figliki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970.
- Rej M., *Żacy, co półgroszki działali*, [w:] tegoż, *Figliki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970.
- Rej z Nagłowic M., *Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, żwirząt i ptaków kstały przypadki i obyczaje są właśnie wypisane*, Drukarnia M. Wierzbicka, Kraków 1562.
- Rodoć M. (Mikołaj Biernacki), \* \* \*, [w:] tegoż, *Satyry i fraszki*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1950.
- Rodoć M. (Mikołaj Biernacki), *bez tytułu*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Rodoć M. (Mikołaj Biernacki), *To zupełnie inna kwestja*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Roppel L., *Długa lina*, [w:] tegoż, *Dykteryjki i historyjki z Kaszub*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1977.
- Roppel L., *Kwalifikacje kandydata na kupca*, [w:] tegoż, *Dykteryjki i historyjki z Kaszub*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1977.
- Roppel L., *Otrzyma nieco więcej*, [w:] tegoż, *Dykteryjki i historyjki z Kaszub*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1977.
- Roppel L., *Powiedział, co wiedział*, [w:] tegoż, *Dykteryjki i historyjki z Kaszub*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1977.
- Roppel L., *Zawieszenie obrazu i... Patocka*, [w:] tegoż, *Dykteryjki i historyjki z Kaszub*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1977.
- Ross T., *Życie przerosło kabaret*, Prószyński i Ska, Warszawa 2012.
- Rozbicki S.R., *Stodoła i ksiądz prefekt*, [w:] tegoż, *Bajki ulubione humorystyczne wydane dosłownie przez Sotera R. Rozbickiego pacjenta filozofii ze znalezionego rękopismu Herszka Klapibrody dzierżawcy fabryki garnków glinianych w mieście Kocku*, nakładem T. Wyszomierskiego, Warszawa 1856.
- Rozbicki S.R., *Stodoła i ksiądz prefekt*, [w:] tegoż, *Bajki ulubione humorystyczne*, nakładem Wł. Borkowskiego, Warszawa 1887.

- Rozumiłowski G., *Pisma humorystyczne Grzegorza Rozumiłowskiego oryginalne. Złożone z ludowych opowieści, ulotnych poezji, ucinków, filozofii moralnej, dowcipu, satyr, bajek, facecyi i rozmaitych anekdot. Zeszyt II*, W drukarni gr. kat. Kapituły – pod zarządem uprzyw. dzierżawcy M. Dzikowskiego, Przemysł 1856.
- Rozumiłowski G., *Pisma humorystyczne Grzegorza Rozumiłowskiego oryginalne. Złożone z ludowych opowieści, ulotnych poezji, ucinków, filozofii moralnej, dowcipu, satyr, bajek, facecyi i rozmaitych anekdot. Zeszyt III*, W drukarni gr. kat. Kapituły – pod zarządem uprzyw. dzierżawcy M. Dzikowskiego, Przemysł 1856.
- Różewicz T., *Rozgadał się*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Różewicz T., *Wspomnienia ze „starej budy”*, [w:] tegoż, *Uśmiechy*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Różycki Z., *Pan profesor*, [w:] tegoż, *Figle młodego satyra*, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1911.
- Rudzki K., *Egzamin*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Kabaret „Szpak”*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Rutkowska J., *Inni rodzice, inne dzieci*, [w:] tejże, *Różnica płci*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1970.
- Rutkowska J., *Metody*, [w:] tejże, *Różnica płci*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1970.
- Rutkowska J., *Powołanie*, [w:] *Scena młodzieżowa Nr 4*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1958.
- Rutkowska J., *Wiew przeszłości*, [w:] J. Rutkowska, *Różnica płci*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1970.
- Rutkowska J., Wilińska J., *Z życia świetlicowego*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej XV–XX w.* Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953.
- Rutkowska J., *Powołanie*, [w:] S. Stamar (oprac.), *Naszym nauczycielom. Poezja, miniatury satyryczne, propozycje sceniczne*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1972.
- Rychlewski M. (oprac.), *Absurdy PRL-u 2. Antologia*, Vesper, Poznań 2007.
- Rychlewski M. (oprac.), *W trosce o oświatę*, [w:] tegoż (oprac.), *Absurdy PRL-u 2. Antologia*, Vesper, Poznań 2007.
- S.S. [Stanisław Jarzyna] (oprac.), *Księga dowcipu i humoru zawierająca przeszło 6.000 dowcipów, anegdot wierszem i prozą w XVII rozdziałach*, t. 2, Drukarnia Dziedzictwa bł. Sarkandra, Cieszyn 1932.
- Sabowski W., *Nad poziomy. Powieść z r. 1863*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1968.
- Safrin H., *Edukacja wilka*, [w:] tegoż, *W arce Noego. Bajki oraz facecje żydowskie*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979.
- Safrin H., *O Ewie*, [w:] tegoż, *Bez figowego listka*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973.

- Safrin H., *O logice*, [w:] tegoż, *Mucha na cokole*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1959.
- Safrin H., *O wychowaniu dzieci*, [w:] tegoż, *W arce Noego. Bajki oraz facecje żydowskie*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979.
- Safrin H., *Pedagog*, [w:] tegoż, *Mucha na cokole*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1959.
- Safrin H., *Uwagi mądrego niedźwiedzia o górach*, [w:] J. Afanasjew, M.J. Kononowicz, W. Słobodnik, H. Safrin, J. Sztudynger, *Pięć śmiechów głównych*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1967.
- Serafinowicz R., *Wymigali się*, [w:] *Sen bumelanta. Materiały repertuarowe dla młodzieżowych zespołów świetlicowych*, Wydawnictwo Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej, Wydział Propagandy i Agitacji, Warszawa 1950.
- Siemieński L., *Oryginalność*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Sikirycki I., *Białe na czarnym*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Dobry kolega*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Gdybym*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Kosmonauta*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Lubi szkołę*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Naiwny*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Nauka*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Niesprawiedliwość*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Nowy półwysep*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Paluszek i główka*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Piosenka pewnego ucznia*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Pomoce szkolne*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Pomysł*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Problem*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.

- Sikirycki I., *Przed klasówką*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Pytanie*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Skarga lenia*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Skutek*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Spryciarz*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Taki los*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *To nieprawda*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Sikirycki I., *Wyznanie lenia*, [w:] tegoż, *Sto fraszek szkolnych*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988.
- Skiba W., *Nad poziomy*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, *Od Fredry do Bałuckiego*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1961.
- Skiba W., *Nad poziomy*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1958.
- Skiba W., *Szkoła*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Skoczylas J., *Studenckie czasy*, [w:] tegoż, *Elita i Studio 202. Hej szable w dłoń!*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2013.
- Skoczylas J., *Ta nasza klasa*, [w:] tegoż, *Elita i Studio 202. Hej szable w dłoń!*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2013.
- Skrzydło L., *Jedność przeciwieństw*, [w:] W. Machejko, *Pstrąg. Studencki Teatr Satyry*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2005.
- Skwiercz R., *Spodnie*, [w:] S. Janke (oprac.), *Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów*, Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1992.
- Słaza T., Włast A., Boczkowski J., *Misja jedzie... Revue polityczne w 3-ch aktach*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 15*, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1920.
- Sokoł Szahin F., *O filozofie i chłopie*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perty humoru polskiego*, t. 3, nakładem autora, druk W. Korneckiego, Kraków 1892.
- Stankiewicz K., *Na straży tajemnicy państwowej*, [w:] tegoż, *Największe bzdury w ciągu ostatnich miesięcy w Polsce*, Phantom Press International, Gdańsk 1994.
- Stanisławski J.T., *Od autora*, [w:] tegoż, *Mniemanologia stosowana. Krótki kurs z wypisami*, Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1991.
- Stanisławski J.T., *Wiosna dwa*, [w:] tegoż, *Mniemanologia stosowana. Krótki kurs z wypisami*, Wydawnictwo Zebra, Warszawa 1991.
- Stanisławski J.T., *Ze zem. O wyższości święt Wielkiej Nocy nas świętami Bożego Narodzenia*, Rosner & Wspólnicy, Warszawa 2004.

- Staszewski S. (Kazik), Kult, *Baranek*, [w:] tegoż, *Tata Kazika*, S.P. Records, Polska 1993.
- Strugarek S., *Kaczmarszek na wywiadówce*, [w:] tegoż, *Wuja Ceśku opowiada*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1977.
- Strugarek S., *Nowy rok szkolny*, [w:] tegoż, *Wuja Ceśku opowiada*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1977.
- Strugarek S., *Szkolny*, [w:] tegoż, *Wuja Ceśku opowiada*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1977.
- Sychta B., *Nauczyciel zabłądził*, [w:] S. Janke (oprac.), *Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów*, Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1992.
- Sychta B., *Profesor*, [w:] S. Janke (oprac.), *Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów*, Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1992.
- Sylwestrzak K., *Na oświatę*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Sylwestrzak K., *Uczniowska rada*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Sylwestrzak K., *Zmiany w oświacie*, [w:] J. Bułatowicz (oprac.), *Z fraszką przez stulecia (XV–XX wiek). Antologia*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2005.
- Syrokomla W., *Epilog życia*, [w:] J. Tuwim (oprac.), *Cztery wieki fraszki polskiej*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Szaniawski J., *Wykład Profesora Tutki w wyższej szkole handlowej*, [w:] tegoż, *Profesor Tutka*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1985.
- Szczepko i Tońko, *O dobrem wychowaniu*, [w:] K. Wajda, H. Vogelfänger, *Szczepko i Tońko. Dialogi radiowe z „Wesołej lwowskiej fali” Lwów 1934, Reprint z posłowiem Jerzego Janickiego*, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1989.
- Szczepko i Tońko, *O dobrym wychowaniu*, [w:] W. Szolginia (oprac.), *Na wesołej lwowskiej fali*, Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1991.
- Szeląg J., *Były czasy...*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), *Na obie łopatki. Zbiór satyr*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1952.
- Szeląg J., *Wstęp*, [w:] *Wybór satyr z literatury polskiej XV–XX w.*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953.
- Szelc S., *Ptastwo*, [w:] J. Skoczylas, *Elita i Studio 202. Hej szable w dłoń!*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2013.
- Szlachetko P., Kowalczyk J.R., *STS. Tu wszystko się zaczęło*, Prószyński i Ska, Warszawa 2014.
- Szlengel W. (?), *Matura*, [w:] A. Żółkiewska, M. Tuszewicki (oprac.), *Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy*, t. 26, *Utwory literackie z getta warszawskiego*, Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2017.
- Szymański E., *O małym Jerzyku historia okropna*, [w:] tegoż, *Satyry*, Czytelnik, Warszawa 1962.
- Szymański E., *O zamordowanej dziewczynie opowieść pedagogiczna*, [w:] tegoż, *Satyry*, Czytelnik, Warszawa 1962.



- Szymański I., *Ojciec doskonały. Pogadanka na temat „Niektóre aspekty wychowania dzieci”*, [w:] tegoż, *Notatki z marszu*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1990.
- Szymański I., *Uwaga rodzice!*, [w:] tegoż, *Notatki z marszu*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1990.
- Szymkiewicz M. (oprac.), *Sejm się śmieje*, Vesper, Poznań 2006.
- Ścisłowski W., *Nasze nauki*, [w:] tegoż, *Tyrady i niuanse. W.S.T. i N. satyry*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1978.
- Ścisłowski W., *Pewien pedagog*, [w:] tegoż, *Pieczeń z satyryka. Wybór satyr*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1987.
- Ścisłowski W., *Pewien pedagog*, [w:] tegoż, *Pozery myślą. Satyry i fraszki*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1973.
- Ścisłowski W., *Poemacik pedagogiczny*, [w:] tegoż, *Wszystkie nasze denne sprawy*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.
- Ścisłowski W., *Powroty*, [w:] tegoż, *Tyrady i niuanse. W.S.T. i N. satyry*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1978.
- Ścisłowski W., *Wzory*, [w:] tegoż, *Pieczeń z satyryka. Wybór satyr*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1987.
- Ścisłowski W., *Zjazd*, [w:] tegoż, *Mały karierowicz*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1977.
- Śmiałowski I., *Te szczenięce lata!*, [w:] tegoż, *Cała wstecz*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987.
- Taranienko Z. (oprac.), *Otrzęsiny*, [w:] tegoż (oprac.), *Śmiech staropolski*, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, Warszawa 1977.
- Terlikowska M., *Straszny sen*, [w:] B. Chmielowski, L. Małkowski, M. Świtkowski (red.), *Nauczycieli sławę. Dwa montaże poetyckie na Dzień Nauczyciela*, Gabinet Metodyczny Pałacu Młodzieży w Katowicach, Katowice 1969.
- Tetmajer K., *Sen nauczyciela w Płakanowie pod Poznaniem*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Thoma L., *Wojna – wypracowanie szkolne*, tłum. W. Brudziński, [w:] G. Branstner (oprac.), *Przedstawiamy humor niemiecki*, Iskry, Warszawa 1971.
- Toeplitz K.T., *Dać im szkołę*, [w:] tegoż, *Co ma wisieć – nie utonie*, Książka i Wiedza, Warszawa 1965.
- Toeplitz-Mrozowska J., *Słoneczne życie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1963.
- Tom K., *Sztubak*, [w:] B. Rudzki (oprac.), *Estrada nr 26. Konrad Tom. Monologi. Z repertuaru Romualda Gierasieńskiego*, t. 1, nakładem B. Rudzkiego, Warszawa 1920.
- Tomska I., *Wieczór autorski*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Tucholsky K., *Człowiek – wypracowanie z roku 1931*, tłum. W. Brudziński, [w:] G. Branstner (oprac.), *Przedstawiamy humor niemiecki*, Iskry, Warszawa 1971.

- Tuczyński F.K., *Kasper Pokraka sowizdrzał polski. Żywot największego figlarza, jaki żył na bożym świecie*, nakładem Fr. Chocieszyńskiego, Poznań 1903.
- Tuwim J., *Cyganka oraz inne satyry i humoreski prozą, teksty kabaretowe i aforyzmy*, Iskry, Warszawa 2011.
- Tuwim J., *Dzieje pewnego aforyzmu*, [w:] tegoż, *Piórem i piórkiem*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.
- Tuwim J., *Porwanie Sabineki. Farsa ze śpiewami w 4 aktach według Franciszka Schönthana*, [w:] *Scena młodzieżowa Nr 4*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1958.
- Tuwim J., *Przebłyśki genialności i definicje*, [w:] tegoż, *Cyganka oraz inne satyry i humoreski prozą, teksty kabaretowe i aforyzmy*, Iskry, Warszawa 2011.
- Tuwim J., *S.O.S! S.O.S! S.O.S!*, [w:] tegoż, *Cicer cum caule czyli groch z kapustą. Panopticum i archiwum kultury. Seria II*, Czytelnik, Warszawa 1959.
- Tuwim J., *W kabarecie ale nie tylko (skecze, parodie, fraszki, humoreski, żarty, aforyzmy)*, Wydawnictwo PiK, Katowice 1994.
- Tym S., *Ballada o Jasiach*, [w:] R. Prac, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994.
- Tym S., *Dzienniczek syna*, [w:] R. Sadowski (oprac.), *Podwieczorek bez mikrofonu*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1979.
- Tym S., *Dzienniczek*, [w:] H. Lankiewicz (oprac.), *Z anteny telewizyjnej. Satyra – skecz – piosenka*, Wydawnictwo Związkowe CRZZ, Warszawa 1967.
- Tym S., *Mamusie*, [w:] J. Czarny, T. Giegier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Tym S., *Mamusie*, [w:] R. Prac, *Teatr Satyryków STS*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1994.
- Tym S., *Mamusie*, [w:] Z. Adrjański, W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarrecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Teatry i kabarety studenckie*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Tym S., *Mamuta tu mam. Utwory zebrane spod łóżka*, Instytut Wydawniczy Latarnik im. Zygmunta Kałużyńskiego, Michałów – Grabina 2005.
- Tym S., *Pierwsza lekcja*, [w:] J. Czarny, T. Giegier (oprac.), *Trudno nie pisać satyry. Antologia*, Res Polona, Łódź 1993.
- Tym S., *Pierwsza lekcja*, [w:] tegoż, *Mamuta tu mam. Utwory zebrane spod łóżka*, Instytut Wydawniczy Latarnik im. Zygmunta Kałużyńskiego, Michałów – Grabina 2005.
- Tym S., *Rodzina Wtorków, czyli 2 + 1*, [w:] tegoż, *Mamuta tu mam. Utwory zebrane spod łóżka*, Instytut Wydawniczy Latarnik im. Zygmunta Kałużyńskiego, Michałów – Grabina 2005.
- Tym S., *Ucz się Jasiu*, [w:] R. Dziewoński, *Sęk z Dudkiem*, Prószyński i Ska, Warszawa 1999.
- Tym S., *Ucz się Jasiu*, [w:] tegoż, *Mamuta tu mam. Utwory zebrane spod łóżka*, Instytut Wydawniczy Latarnik im. Zygmunta Kałużyńskiego, Michałów – Grabina 2005.

- Tym S., *W obronie artykułu*, [w:] Z. Adrjański, W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, K. Rudzki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Teatry i kabarety studenckie*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Ulanowska S., *Z humorystyki ludowej*, „Wisła”, t. 4, 1890.
- Ulman A., *Przepis szefa na pracę naukową*, [w:] tegoż, *Szef i takie różne sprawy*, Iskry, Warszawa 1982.
- Urban J., *Prima aprilis, towarzysze!*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1991.
- Uwagi inscenizacyjne*, [w:] Z. Wiktorczyk (oprac.), *Bez retuszu. Portrety satyryczne*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- W.H., *Czy to jest pytanie dla ucznia I. klasy?*, [w:] tegoż (red.), *Ucieszny ilustrowany kalendarz humorystyczny. Figliki – anegdotki – żarty – opowiadania na rok 1926*, Polskie Wydawnictwo Kalendarzy J. Nowaka, Cieszyn – Orłowa 1925.
- Waldorff J., *Obywatel specjalista*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), *Na obie łopatki. Zbiór satyr*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1952.
- Waligórski A., *Bawiąc uczyć*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, Wydawnictwo Literackie, Kraków – Wrocław 1986.
- Waligórski A., *Jagienka i orzechy*, [w:] tegoż, *Błędny rycerz. Utwory wybrane*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000.
- Waligórski A., *Jagienka i orzechy*, [w:] tegoż, *Wieczór autorski*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2008.
- Waligórski A., *Stróż Jasia*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, Wydawnictwo Literackie, Kraków – Wrocław 1986.
- Waligórski A., *Szkoła katów*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, Wydawnictwo Literackie, Kraków – Wrocław 1986.
- Waligórski A., *Zabytek*, [w:] tegoż, *Dreptakowisko*, Wydawnictwo Literackie, Kraków – Wrocław 1986.
- Walkusz J., *Egzamin*, [w:] S. Janke (oprac.), *Ptak za uszami. Humor i satyra Kaszubów*, Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1992.
- Wańkowicz M., *Karałka La Fontaine’a. Tom 1-2*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983.
- Wańkowicz M., *Karałka La Fontaine’a*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
- Wańkowicz M., *Szczeniące lata*, Towarzystwo Wydawnicze Rój, Warszawa 1935.
- Wańkowicz M., *Szczeniące lata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987.
- Wasiljew S., *Cydatkiewicz*, tłum. J. Minkiewicz, [w:] J. Śpiewak (red.), *Prochor XVII król blacharzy i inne humoreski radzieckie z lat 1950–1953*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1954.
- Wasowski G., *PKP, czyli poczet królów Polski*, Wydawnictwo Garamond, Warszawa 1996.
- Wasowski G., *PKS, czyli przegląd książek szkolnych*, Prószyński i Ska, Warszawa 1997.
- Wasylewski S., *Czterdzieści lat powodzenia. Przebieg mojego życia*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1959.

- Waśniewski J., *Po szewsku*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Wiech (Stefan Wiechecki), *Dryndą przez Kierbedzia*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990.
- Wiech (Stefan Wiechecki), *Nie straszyć dzieci*, [w:] tegoż, *Przez łufcik*, Czytelnik, Warszawa 1972.
- Wiech (Stefan Wiechecki), *Studenciaki dopisali*, [w:] tegoż, *Wista się pali*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1967.
- Wiech (Stefan Wiechecki), *Telimena nie była żonata*, [w:] tegoż, *Na perłowo*, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa Czytelnik, Warszawa 1951.
- Wiech (Stefan Wiechecki), *Tępy uczeń*, [w:] tegoż, *Trup przy telefonie*, Etiuda, Kraków 2004.
- Wiech (Stefan Wiechecki), *Trzej studenci*, [w:] tegoż, *Dryndą przez Kierbedzia*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990.
- Wiechecki S. (Wiech), *Ala ma kota*, [w:] tegoż, *Śmieć się pan z tego. Dzieła wybrane. Wybór felietonów*, t. 2, 1946–1955, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1956.
- Wierzbicka U., *Ośła ławka*, [w:] tejże, *Szkolny teatr małych form w moim doświadczeniu pedagogicznym*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1979.
- Wiktorczyk Z., „Głos Ameryki” o prześladowaniach kultury w Polsce, [w:] tegoż (oprac.), *Bez retuszu. Portrety satyryczne*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Wiktorczyk Z., *Egzamin z historii oręża polskiego*, [w:] W. Filler, R.M. Groński, A. Ikanowicz, A. Jarecki, Z. Wiktorczyk, J. Wittlin (red.), *Estrada. Materiały repertuarowe dla estrad. Estrada wojskowa*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977.
- Wilińska J., *Rozmowa z dziewczynką*, [w:] R.M. Groński (oprac.), *Nasze ogniska. Część IX. Ciesz się powoli!*, Wydawnictwo Harcerskie Horyzonty, Warszawa 1971.
- Wilkoński A., *Wspomnienia szkolne*, [w:] T. Chrościelewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, *Od Fredry do Bałuckiego*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1961.
- Wilkoński A., *Wspomnienia szkolne. Pomyłki. Ułamek ze starej gawędy*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1907.
- Winawer B., *Roztwór profesora Pytla. Humoreska 3-ch aktach*, Wydawnictwo „Odrodzenie”, Katowice 1946.
- Wittlin J., *Dedykacja na książkę z okazji promocji ucznia do następnej klasy*, [w:] tegoż, *Vademecum dla występujących z okazji*, Iskry, Warszawa 1980.
- Wittlin J., *Dzieci wychowuje się razem*, [w:] tegoż, *Vademecum małżeńskiej samoobrony*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977.
- Wittlin J., *Egzaminowaną na prawo jazdy uspokajając*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip. Vademecum – 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1979.

- Wittlin J., *Ekonomii ucząc się do egzaminu*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip. Vademecum – 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1979.
- Wittlin J., *Jak unikać pomocy dzieciom w odrabianiu lekcji*, [w:] tegoż, *Vademecum życia rodzinnego i towarzyskiego*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
- Wittlin J., *Matka usprawiedliwia córkę z nieobecności w szkole*, [w:] tegoż, *Vademecum życia rodzinnego i towarzyskiego*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
- Wittlin J., *Pierwsze wypracowanie z polskiego*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz*, Iskry, Warszawa 1977.
- Wittlin J., *Pierwszy dzień w studenckim hufcu pracy*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz*, Iskry, Warszawa 1977.
- Wittlin J., *Pierwszy raz czytając lekturę szkolną*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz*, Iskry, Warszawa 1977.
- Wittlin J., *Pierwszy raz uzasadniając wybór kierunku studiów*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz*, Iskry, Warszawa 1977.
- Wittlin J., *Pierwszy raz w przedszkolu*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz*, Iskry, Warszawa 1977.
- Wittlin J., *Pierwszy raz w szkole*, [w:] tegoż, *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz*, Iskry, Warszawa 1977.
- Wittlin J., *Przemądrzałość dzieci ilustrując*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip. Vademecum – 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1979.
- Wittlin J., *Seksualnie uświadamiając córkę*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip. Vademecum – 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1979.
- Wittlin J., *Seksualnie uświadamiając syna*, [w:] tegoż, *Jest taki dowcip. Vademecum – 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1979.
- Wittlin J., *Vademecum dla występujących z okazji*, Iskry, Warszawa 1980.
- Wittlin J., *Vademecum szefa*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968.
- Wł.M., *Na studentkę*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Władysławiusz A., *Przygody i sprawy trefne ludzi stanu wszelakiego teraz nowo polskim rymem spisane i nowo wydane od Adama Władysławiusza*, [w:] K. Budzyk, H. Budzykowa, J. Lewański (oprac.), *Literatura mieszczańska w Polsce od końca XVI do końca XVII wieku*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.
- Wolniewiczówna C., *Profesor Dowcipnicki ma głos*, [w:] tejże, *Kawał na karnawał*, Biblioteka Wieczornicowa, Zjednoczenie Młodzieży Polskiej, Warszawa 1926.
- Wolniewiczówna C., *Ucz się człeku*, [w:] tejże, *Wieczór humoru*, Biblioteka Wieczornicowa, Zjednoczenie Młodzieży Polskiej, Poznań 1928.

- Wolski M., *Centralna Kuźnia Młodych CKM*, [w:] tegoż, *Z przymrużeniem ucha. Tomik z wolszczyzną*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1984.
- Wolski M., *Centralna Kuźnia Młodych*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora. I. Wszystkie drogi prowadzą do rymu*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001.
- Wolski M., *Dobre wychowanie*, [w:] I. Kiec, *Historia polskiego kabaretu*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2014.
- Wolski M., *Dobre wychowanie*, [w:] M. Tarkowski (red.), *Salon niezależnych*, AZ, Warszawa 2004.
- Wolski M., *Dobre wychowanie*, [w:] tegoż, *Co w duszy gra, co w brzuchu burczy. Wiersze i satyry*, Wydawnictwo M, Kraków 2011.
- Wolski M., *Dobre wychowanie*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora. I. Wszystkie drogi prowadzą do rymu*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001.
- Wolski M., *Dobre wychowanie*, [w:] tegoż, *Z przymrużeniem ucha. Tomik z wolszczyzną*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1984.
- Wolski M., *Dobre wychowanie*, [w:] T. Nyczek, M. Tarkowski, J. Weiss, J. Kleyff, *Salon niezależnych. Dzieje pewnego kabaretu*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008.
- Wolski M., *Edukacja*, [w:] tegoż, *Co w duszy gra, co w brzuchu burczy. Wiersze i satyry*, Wydawnictwo M, Kraków 2011.
- Wolski M., *Kabaret Nadredaktora. I. Wszystkie drogi prowadzą do rymu*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001.
- Wolski M., *Kurepetycje*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora. I. Wszystkie drogi prowadzą do rymu*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001.
- Wolski M., *Szkoła odruchów*, [w:] tegoż, *Kabaret Nadredaktora. I. Wszystkie drogi prowadzą do rymu*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001.
- Wołody Skiba (Władysław Sabowski), *Nad poziomy*, [w:] T. Chróścielewski (red.), *Księgi humoru polskiego*, t. 2, *Od Fredry do Bałuckiego*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1961.
- Wołody Skiba (Władysław Sabowski), *Szkoła*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 3, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.
- Wygodzki S., *Zapomniane słowa*, [w:] A. Marianowicz (red.), *Antologia satyry polskiej 1944–1955*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Zagórski J., *Juliusz*, [w:] Z. Mitzner, L. Pasternak (oprac.), *Satyra prawdę mówi... 1918–1939*, Czytelnik, Warszawa 1963.
- Zagórski W., *Marcus Tullius Maruda*, [w:] tegoż, *Humoreski*, Drukarnia A.T. Jezierskiego, Warszawa 1900.
- Zagórski W., *Z teki chochlika*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1953.
- Załucki M., *Po wakacjach*, [w:] tegoż, *Oj-czyste kpiny*, Iskry, Warszawa 1957.
- Zaruba J., *Z pamiętników bywalca*, Iskry, Warszawa 1958.
- Zawadzki A., *Icek Feinkind rekrutem*, [w:] A. Orłowski (oprac.), *Encyklopedia humoru i satyry polskiej*, t. 2, nakładem Tygodnika „Mucha”, E. Wende i Spółka, H. Altenberg, Warszawa – Lwów 1914.

- Zbierzchowski H., *Podrożenie opłat szkolnych*, [w:] E. Lipiński (oprac.), *Szczutek Cyrulik Warszawski Szpilki 1919–1939*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.
- Zbierzchowski H., *Szkółka freblowska w Sejmie*, [w:] A. Zakrzewski (oprac.), *Prosto z Wiejskiej. Sejm i Senat II Rzeczypospolitej w karykaturze i satyrze*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków 1990.
- Zbyszewski K., *Niemcewicz od przodu i tyłu*, Gebethner i Ska, Warszawa 1991.
- Zechenter W., *Grymasy z komentarzem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973.
- Zechenter W., *Lekcja historii*, [w:] J. Brzechwa, A. Marianowicz (red.), *Na obie łopatki. Zbiór satyr*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1952.
- Zechenter W., *Maturzystom*, [w:] tegoż, *Drobiażdżki z przejażdżki. Satyry, fraszki, humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970.
- Zechenter W., *Na tropach folkloru (monolog estradowy)*, [w:] tegoż, *Gra w otwarte żarty. Fraszki, satyry, humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.
- Zechenter W., *Nowy rok szkolny*, [w:] tegoż, *Gra w otwarte żarty. Fraszki, satyry, humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.
- Zechenter W., *Okres egzaminów*, [w:] E. Zechenter-Splawińska, *Malinowy tort. Witold Zechenter po latach*, Wydawnictwo Jagiellonia S.A., Kraków 2007.
- Zechenter W., *Okres egzaminów*, [w:] tegoż, *Gra w otwarte żarty. Fraszki, satyry, humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.
- Zechenter W., *Pewien pedagog*, [w:] tegoż, *Fraszki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1962.
- Zechenter W., *Pytania*, [w:] tegoż, *Grymasy z komentarzem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973.
- Zechenter W., *Pytania*, [w:] tegoż, *Guzy dla muzy. Fraszki, satyry, parodie*, Książnica Atlas, Lwów – Warszawa 1939.
- Zechenter W., *W związku z rozbudową szkolnictwa*, [w:] tegoż, *Drobiażdżki z przejażdżki. Satyry, fraszki, humoreski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970.
- Zefiryra, *Ogłoszenie o nowej pensji dla panien*, [w:] S. Czerniak, J. Huszcza, J. Saloni (oprac.), *Księgi humoru polskiego*, t. 1, *Od Reja do Niemcewicza*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958.
- Zefiryra, *Ogłoszenie o Nowej Pensji dla Panien. Wiadomości Brukowe Nr. 199*, [w:] K. Bartoszewicz, *Perły humoru polskiego*, t. 3, nakładem autora, druk W. Korneckiego, Kraków 1892.
- Zembaty M., *Makabreska i współczucie*, [w:] tegoż, *Makabra i współczucie*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- Zieliński S., *Kielbie we łbie*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1978.
- Zientarowa M., *Drobne ustroje*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1980.
- Zientarowa M., *Drobne ustroje*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.
- Zientarowa M., *Wojna domowa*, Czytelnik, Warszawa 1964.
- Zientarowa M., *Wojna domowa trwa*, Czytelnik, Warszawa 1966.
- Zientarowa M., *Wojna domowa*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 1994.

- Zimecki T., *Z dziennika licealistki*, [w:] tegoż, *Kto zasypia spokojnie nie licząc baranów?*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1972.
- Zoszczenko M., *Opowiadania o Leninie*, tłum. A.Galis, Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia, Warszawa 1970.
- Żor A., *Alma Mater czyli profesorskie dole i niedole*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1997.
- Żółkowski A. (red.), *Momus. Tomik I*, b.w., Kraków 1829.
- Żółkowski A. (red.), *Momus. Tomik I*, W drukarni D.E. Friedleina, Kraków 1836.
- Żółkowski A. (red.), *Momus. Tomik II*, b.w., Kraków 1829.
- Żółkowski A. (red.), *Momus. Tomik II*, W drukarni D.E. Friedleina, Kraków 1836.
- Żywulska K., *Lekcja*, [w:] B. Brzeziński, K. Żywulska, *Śmiech to zdrowie. Materiały repertuarowe do programów estradowych*, Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego, Warszawa 1966.
- Żywulska K., *Nauczycielka*, [w:] tejże, *Tu mówi życzliwy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.
- Żywulska K., *Odczyt popularny*, [w:] tejże, *Tu mówi życzliwy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.
- Żywulska K., *Referat*, [w:] tejże, *Tak zwane życie*, Iskry, Warszawa 1956.
- Żywulska K., *Wszyscy się uczą*, [w:] B. Brzeziński, K. Żywulska, *Śmiech to zdrowie. Materiały repertuarowe do programów estradowych*, Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego, Warszawa 1966.